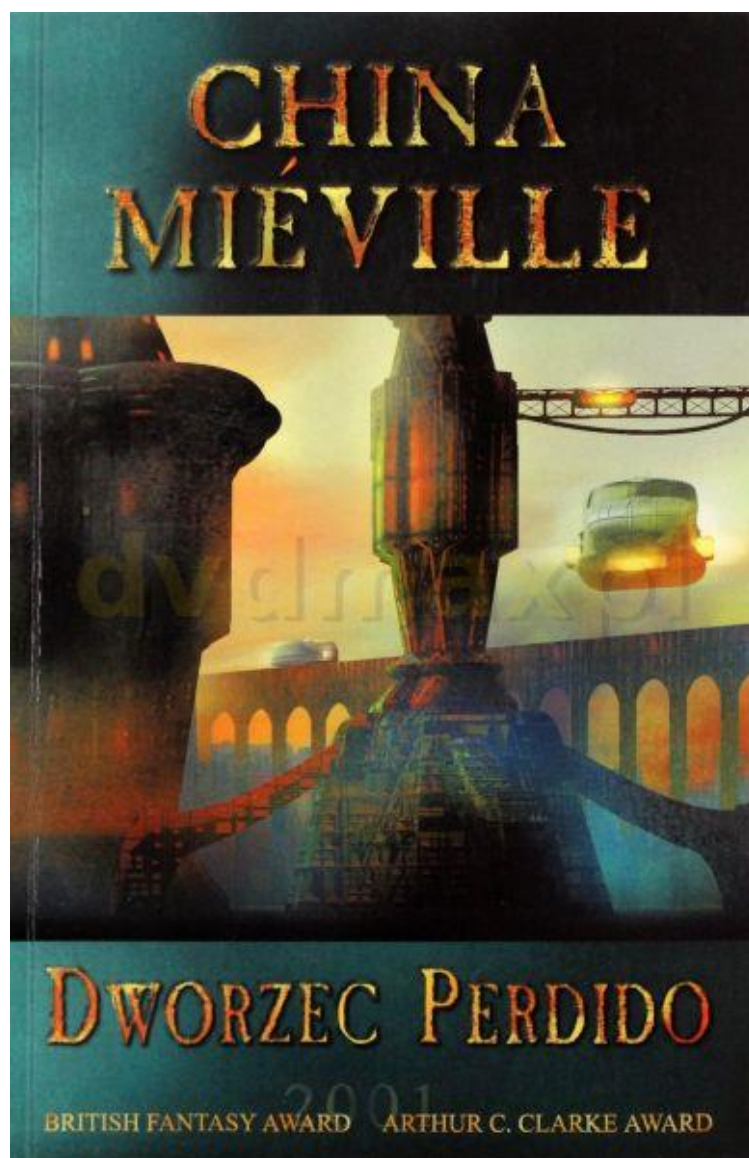


Annotation

Metropolia Nowe Crobuzon to centralny punkt świata Bas-Lag. Ludzie, mutanty i niezwykle obce rasy żyją tu obok siebie, w ponurym labiryncie walących się domów i wysokich kominów, w widłach rzek niosących tony zanieczyszczeń, pośród fabryk i hut pracujących dzień i noc. Od ponad tysiąca lat Parlament z pomocą brutalnej milicji sprawuje kontrolę nad społecznością robotników i artystów, szpiegów i żołnierzy, uczonych i magików, a także włóczęgów i prostytutek.

Lecz oto w Nowym Crobuzon pojawia się kaleki przybysz z mieszkem pełnym złota i zleceniem, którego niepodobna wykonać. Za jego sprawą, choć bez jego udziału, miasto dostaje się w szpony niepojętego terroru, a losy milionów obywateli zależą od garstki renegatów...

To mocna, buzująca energią i pomysłami powieść, dowód świeżej wyobraźni, która nie uznaje ograniczeń ni autorytetów. Kogo znużyły powtarzane w nieskończoność schematy fantastyki tolkienowskiej i tęskni do światów naprawdę innych, niepodobnych do niczego, co zna, powinien odwiedzić Nowe Crobuzon Chiny Mievillea – tędy prowadzi droga do fantastyki XXI wieku. Jacek Dukaj



-
- [China Mieville](#)
 - [CZEŚĆ PIERWSZA. ZLECENIA](#)
 - [CZEŚĆ DRUGA. FIZJONOMIE LOTU](#)
 - [CZEŚĆ TRZECIA. METAMORFOZY](#)
 - [CZEŚĆ CZWARTA. PLAGA KOSZMARÓW](#)
 - [CZEŚĆ PIĄTA. RADY](#)
 - [CZEŚĆ SZÓSTA. SZKLARNIA](#)
 - [CZEŚĆ SIÓDMA. KRYZYS](#)
 - [CZEŚĆ ÓSMA. WYROK](#)
-

China Mieville

Dworzec Perdido

Tłumaczył: Maciej Szymański

Tytuł oryginału: Perdido Street Station

Pragnę podziękować mojej kochanej matce, Claudii, a także siostrze, Jemimie, za ich pomoc i wsparcie. Wielkie dzięki należą się także tym, którzy w toku pracy udzielali mi cennych rad i dzielili się ze mną spostrzeżeniami, a zwłaszcza Scottowi Bicheno, Maksowi Schaeferowi, Simonowi Kavanagh oraz Oliverowi Cheethamowi.

O mojej głębokiej miłości i wdzięczności nigdy nie przestanę zapewniać Emmy Bircham.

Dziękuję pracownikom wydawnictwa Macmillan, a przede wszystkim mojemu redaktorowi, Peterowi Lavery'emu, za jego niewiarygodne wsparcie. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi pomógł Mic Cheetham; jestem mu nieskończenie wdzięczny.

Zabrakłoby miejsca, gdybym miał złożyć podziękowania wszystkim pisarzom, którzy wywarli wpływ na moją twórczość, ale pozwolę sobie wspomnieć o dwóch – ich zdumiewające dzieła są dla mnie niewyczerpanym źródłem inspiracji. Z pokorą dziękuję M. Johnowi Harrisonowi i nieżyjącemu już Mervynowi Peake'owi. Gdyby nie oni, ta książka nigdy by nie powstała.

Zaprzestałem nawet, na pewien czas, zatrzymywania się przy oknie pokoju i spoglądania na latarnie ponad głębokimi, rozświetlonymi ulicami. Tracenie kontaktu z miastem w taki sposób to jedna z form umierania.

Philip K. Dick, Możemy cię zbudować

Trawiasta równina, zarośla, farmy i wreszcie pierwsze, walące się domy wystające ponad ziemię. Noc trwa już tak długo. Na obu brzegach rzeki, niczym grzyby po deszczu, zaczynają pojawiać się zapomniane rudery.

Kołyszymy się. Miota nami głęboki nurt.

Mężczyzna stojący za mną z wysiłkiem ciągnie rumpel i barka zmienia kurs. Lampa kołysze się, a wraz z nią wątył krąg światła. Mężczyzna boi się mnie.

Wychylam się ponad dziobem niewielkiego pojazdu, ku ciemnej, wartko płynącej wodzie.

Ponad oleisty warkot silnika i piśszczotliwe dźwięki rzeki wybijają się odgłosy domów. Więźby trzeszczą szeptem, wiatr szumi w strzechach, ściany osiadają wolno, a stropy osuwają się za nimi, wypełniając przestrzeń. Dziesiątki domostw zmieniają się w setki i tysiące; rozprzestrzeniają się na boki, coraz dalej od brzegów, rzucając słabe światła na całą równinę.

Otoczają mnie. Rosną. Są coraz wyższe, grubsze i bardziej hałaśliwe. Mają spadziste dachy i mocne mury z cegieł.

Rzeka skręca nagle, by stawić czoło miastu, które pojawia się niespodziewanie, zmieniając krajobraz swą masywną sylwetką. Otaczająca je po światła rozplywa się po okolicy, ku skalistym wzgórzom, jak krew wypełniająca siną, stłuczoną tkankę. Brudne wieże miasta rozjaśniają mrok. Czuję się upokorzony. Nie mogę nie ugiąć karku przed imponującym tworem, który rozłożył swe cielsko u zbiegu dwóch rzek, by zanieczyszczać je, rozsiewać swój fetor i rozbrzmiewać głosami klaksonów. Grube kominy rzygają brudem ku niebu nawet teraz, w środku nocy. To nie prąd rzeki popycha nas w stronę miasta, raczej wciąga nas ku sobie jego masa. Z daleka dobiegają stłumione krzyki, sporadyczne ryki zwierząt oraz nieprzyjazny łomot i dzwonienie wielkich, fabrycznych maszyn. Linie kolejowe przeszywają ciało miasta niczym wystające żyły. Są tu pociemniałe ściany z czerwonej cegły, przysadziste kościoły przywodzące na myśl starożytne chramy, poszarpane markizy łopoczące na wietrze, splątany labirynt starego miasta, ślepe zaułki, studzienki ściekowe wystające z ziemi niczym płyty grobowców, nieustannie zmieniający się krajobraz wysypisk, rumowiska kamieni, biblioteki pełne dawno zapomnianych woluminów, stare szpitale, wieżowce, statki i szeregi metalowych szponów, które unoszą ładunki z pokładów.

Jak mogliśmy nie zauważyć, że jest tak blisko? Jakaż to kuglarska, topograficzna sztuczka sprawia, że tak gigantyczny potwór kryje się za zakolem rzeki i nagle wyskakuje na niczego nie podejrzewającego wędrowca?

Za późno, żeby uciekać.

Mężczyzna mamrocze coś do mnie; tłumaczy, gdzie jesteśmy. Nie odwracam się do niego.

Ten zrujnowany labirynt wokół nas to Krucze Wrota. Gnijące budowle chylą się ku sobie, wyczerpane. Rzeka zostawia tłuste ślady na murowanych nabrzeżach, gdzie miasto powstaje z otchłani rozkładu, by utrzymać w ryzach płynącą wodę. Fetor jest coraz trudniejszy do zniesienia.

(Zastanawiam się, jak to wszystko wygląda z góry; wtedy miasto nie może się ukryć i zbliżając się do niego z wiatrem, można z odległości wielu mil dostrzec je, podobne do brudnej plamy albo gnijącego ścierwa, w którym kłębi się robactwo. Nie powinienem o tym myśleć, ale teraz już nie potrafię przestać. Leciałbym wzwyż z prądami wstępującymi wzbudzonymi przez dymiące kominy, żeglowałbym wysoko ponad dumnymi wieżami i srał na tych, których natura uwiązała do ziemi; pofrunąłbym ponad chaosem i wylądował tam, gdzie przysłaby mi ochota... Nie wolno mi o tym myśleć, nie mogę tego zrobić; muszę przestać, nie teraz, nie tak, jeszcze nie).

Widzę domy śliniące się bladym grzybem, organicznymi bohomazami rozciągającymi się po frontowych elewacjach od zawilgoconych fundamentów aż po okna na najwyższych piętrach. W szpary między starymi budynkami na końcach ślepych uliczek wcisnęły się dodatkowe piętra naprędce skleconych domostw. Krajobraz jest zniekształcony, jakby na dachach rozlały się zniecka i zastygły

pomarszczone kałuże wosku. Widać, że – niegdyś ludzkie – ulice zasiedliła odmienna forma inteligencji.

Pomiędzy okapami dachów i ponad płynącą wodą rozciągają się druty naprężone stwardniałymi bryłami mlecznobiałej flegmy. Brzęczą z cicha jak basowe struny. Coś przemyka ponad nami; mój sternik z odrazą spluwa do ciemnej wody.

Jego plwocina rozpuszcza się i znika. Masy ślinowej zaprawy, otaczające nas ze wszystkich stron, z wolna rzedną. Pojawiają się wąskie ulice.

Pociąg z donośnym gwizdem przejeżdża po torach ułożonych ponad rzeką. Spoglądam w jego stronę, ku południowemu wschodowi, i widzę sznur małych światełek przemykających po moście i znikających w krainie mroku, w paszczy kolosa, który pożera swych mieszkańców. Wkrótce minimy fabryki. Dźwigi wyłaniają się z ciemności niczym chude ptaki; tu i ówdzie poruszają się, by dać pracę nocnej zmianie. Łańcuchy ciągną w górę bezwładne ciężary podobne do bezużytecznych kończyn, wprawione w ruch upiornym wirowaniem zębatych przekładni i kół zamachowych.

Wielkie, drapieżne cienie niespiesznie patrolują niebo.

Słyszę huk, powtórzony echem, jakby jądro miasta było puste. Czarna barka wciska się w gąszcz podobnych korabiów, załadowanych koksem, drewnem, żelazem, stalą i szkłem. W tym miejscu światło dalekich gwiazd odbija się od wody przez śmierzdzącą tęczę zanieczyszczeń kołyszających się niepokojąco na falach, tęczę ścieków i substancji chemicznych :

(Och, gdyby tak wznieść się ponad to wszystko, nie czuć tego smrodu, tego brudu, tego łajna, gdyby tak nie wracać do miasta przez to szambo... Ale muszę przestać, muszę, nie mogę o tym myśleć, muszę przestać).

Obroty silnika spadają. Odwracam się i patrzę na mężczyznę, który spuszcza wzrok i ignorując mnie, koncentruje się na sterowaniu. Prowadzi barkę w stronę doku, obok magazynu tak pełnego towarów, że labirynt wielkich skrzyń wypełza poza bramę. Sternik uważnie wybiera kurs między innymi jednostkami, ku dachom wyłaniającym się wprost z wody. Mijamy szereg zatopionych domów, wzniesionych po niewłaściwej stronie murowanego nabrzeża. Kryte masą bitumiczną cegły ich ścian ociekają wodą. Wyczuwam pod nami jakiś ruch. Woda kotłuje się, tworzy wir. Martwe ryby i żaby, które już dawno przegrały walkę o oddech w tej zupie rozkładających się szczątków, schwytane w pułapkę kręcą się jak szalone między prostą burtą barki a betonowym nabrzeżem. Wreszcie szczelina zamyka się – mój kapitan zeskakuje na keję i obwiązuje liną wyslizgany poler. Pomrukuje przy tym triumfalnie i czym prędzej wygania mnie na brzeg. Łąduję ostrożnie, jak na rozżarzonych węglach. Uważnie szukam drogi między stertami śmieci i tłuczonego szkła.

Mężczyzna jest zadowolony z kamieni, które mu zostawiam. Mówi, że jesteśmy w Zakolu Smogu. Celowo odwracam głowę, kiedy pokazuje mi kierunek – nie chcę, żeby wiedział, że czuję się zagubiony, że pierwszy raz jestem w tym mieście, że boję się tych ciemnych i groźnych gmachów, spomiędzy których nie mogę uciec w powietrze, że lęk i klaustrofobia przyprawiają mnie o mdłości.

Nieco dalej na południe widzę dwie olbrzymie kolumny sterczące z rzeczno-nurtu. To szczątki bramy do Starego Miasta, niegdyś wspaniałej, teraz zaś popadającej w ruinę. Historyczne ryty, które zdobiły te obeliski, zostały zżarte przez czas i kwaśne opary; pozostała jedynie głębiej rzeźbiona spirala, podobna do olbrzymiego gwintu. W dalszej perspektywie widzę zarys niewysokiego mostu (to Przeprawa Drudów, tłumaczy mi mężczyzna). Nie zwracam uwagi na jego gorliwe wyjaśnienia. Wchodzę w tę strawioną wapnem strefę i mijam uchylone drzwi,

kuszące obietnicą prawdziwej ciemności i ucieczki przed fetorem rzeki. Głos mojego sternika jest już ledwie słyszalny; niewielka to pociecha, że już nigdy nie zobaczę tego człowieka.

Nie jest zimno. Na wschodzie widzę dające nadzieję światła miasta.

Pójdę wzdłuż linii kolejowej. Przyczaję się w jej cieniu i razem z nią będę miał domy, wieże, koszary, biura i więzienia miasta. Podążę szlakiem podpór, które kotwiczą w ziemi napowietrzny tor. Muszę znaleźć drogę do centrum.

W moim płaszczu (ciężka i obca materia drażniąca skórę) targanym wiatrem wyczuwam pokaźną masę sakiewki. To ona będzie tu moją ochroną, to ona podtrzyma iluzję, którą sobie stworzyłem, ożywi smutek i wstyd, podsyci rozpacz, która pchnęła mnie w drogę do tego wielkiego wrzodu, brudnego miasta z kości i cegieł, spisku przemysłu i zbrodni, unurzanego w świetnej historii i przebrzmiałej potędze, do tej niepojętej ziemi jałowej.

Do Nowego Crobuzon.

CZĘŚĆ PIERWSZA. ZLECENIA

ROZDZIAŁ 1

Wysoko ponad targowiskiem z traskiem otworzyło się okno. Wyleciał przez nie koszyk i szerokim łukiem poszybował nad głowami niczego nie podejrzewających sprzedawców i klientów. W połowie drogi wyhamował nagle, zakolysał się, obrócił i podążył ku ziemi w wolniejszym, choć nierównym tempie. Tańcząc niebezpiecznie na sznurku, zahaczał drucianą siatką swych ścianek o szorstki tynk. Chwilami ocierał się mocniej o ścianę budynku, a wtedy na ziemię sypały się płatki farby i drobiny zwietrzałej zaprawy.

Słońce prześwitywało przez warstwę poszarpanych chmur, rozlewając nad miastem szarawą poświatę. W gmatwaninie straganów i wózków pod sunącym w dół koszykiem nie było żadnego porządku. Miasto cuchnęło jak zwykle, lecz tego dnia – a był to dzień targowy w Żmijowej Norze – ostry smród łajna i rozkładu, który nigdy nie opuszczał Nowego Crobuzon, był przynajmniej na tych paru uliczkach, przez kilka godzin, zaprawiony aromatem papryki i świeżych pomidorów, gorącego oleju, ryb i cynamonu, wędzonego mięsa, bananów i cebuli.

Oblężone przez hałaśliwy tłum stragany z mięsem, owocami i warzywami ciągnęły się wzdłuż całej ulicy Shadrach. Stoiska z książkami, manuskryptami i obrazami zapełniały Selchit Pass, zaułek zaniedbanych drzew i kruszącego się betonu, wiodący na wschód. Królestwem ceramiki była ulica biegnąca na południe, w stronę Barrackham; na zachodzie sprzedawano i kupowano części maszyn, w innej alejce zabawki, w dwóch kolejnych ubrania, a w pozostałych nieskończoną różnorodność dóbr. Trakty pełne straganów schodziły się w Żmijowej Norze niczym szprychy zepsutego koła.

W samej Norze wszelkie podziały znikwały bez śladu. W cieniu starych murów i niebezpiecznie zaniedbanych domów piętrzyła się sterta ubrań, na chwiejącym się stole stały – w większości uszkodzone – naczynia i prymitywne, gliniane ozdoby, obok zaś leżała skrzynka z rozpadającymi się książkami. Antyki, seks i proszek przeciw pchłom. Ze wszystkich stron dobiegały syczące głosy sprzedawców. Żebracy kłócili się o coś w martwych skorupach opuszczonych domów. Istoty dziwnych ras kupowały jeszcze dziwniejsze przedmioty. Bazar w Norze był chaosem towarów, handlarzy i brudu. Tutaj liczyło się jedno prawo: niech kupujący uważa.

Straganiarz stojący pod zsuwającym się coraz niżej koszykiem zadarł głowę i spojrzął w słońce, chwilowo przesłonięte obłoczkami zdrapanego tynku. Przetarłszy oczy, chwycił sfatygowany pojemnik, który zatrzymał się właśnie tuż nad nim, i pociągnął za linkę, by zawisła luźno. W koszyku znajdowała się moneta, mosiężny szekel, a pod nią karteczka ze słowami nakreślonymi starannym, bogato zdobionym, pochyłym pismem. Handlarz podrapał się po nosie, czytając wiadomość, po czym zaczął przebierać w stertach towaru. Wkładał do pojemnika jajka, owoce i warzywa, raz po raz zerkając na listę. Przy jednej z pozycji zatrzymał się, przeczytał ponownie i z lubieżnym uśmiechem ukroił plaster wieprzowego mięsa. Kiedy skończył, wsunął szekla do kieszeni i zaczął w niej gmerać, szukając drobnych. Zawahał się, obliczając w myśli koszt „dostawy”, nim w końcu dorzucił do koszyka z zakupami cztery stivery.

Mężczyzna wytarł ręce o spodnie i zamarł, zastanawiając się nad czymś przez dobrą minutę, po czym nabazgrał coś kawałkiem węgla na odwrocie listy zakupów i włożył ją między produkty.

Pociągnął za linkę trzykrotnie, a wtedy koszyk wysunął się z jego rąk i podjął chwiejny lot w górę. Wzniósł się ponad dachy niższych budynków, jakby popychał go gwar targowiska. Sunąc jeszcze wyżej, wystraszył kawki odpoczywające za wybitą szybą na pustym piętrze i pozostawił na murze kolejny ślad zdartej farby, nim wreszcie zniknął w oknie, z którego go spuszczone.

*

Isaac Dan der Grimnebulin zdał sobie sprawę, że śni. Z niemalym zaskoczeniem skojarzył, że znowu jest pracownikiem uniwersytetu i jak dawniej może paradować dumnie przed wielką tablicą pełną uproszczonych schematów dźwigni, przekładni i sił. Wstęp Do Nauki O Materii. Isaac wpatrywał się właśnie z niepokojem w grupę studentów, kiedy ten obłudny sukinsyn Vermishank zajrzał do sali.

– Nie mogę teraz wyklądać – szepnął dość głośno Isaac. – Za duży hałas na rynku – wyjaśnił, wskazując na okno.

– W porządku. – Vermishank był obleśnie łagodny. – Czas na śniadanie. Przystaniesz myśleć o hałasie. – Słyszając tę absurdalną tezę, Isaac natychmiast i z wielką ulgą otrząsnął się ze snu. Tylko wrzaski dobiegające z bazaru i zapach jedzenia pozostały przy nim na dobry początek nowego dnia.

Leżał na łóżku, nie otwierając oczu. Słyszał kroki Lin przemierzającej pokój i czuł minimalne wychylenie desek podłogowych. Poddasze z wolna wypełniało się dymem z kuchni i Isaac zaczął się ślinić.

Lin klasnęła dwukrotnie. Zawsze wiedziała, kiedy się budził. „Pewnie dlatego, że zamykam wtedy usta” – pomyślał i zaśmiał się bezgłośnie, nie otwierając oczu.

– Cicho! Mały, biedny, zapracowany Isaac jeszcze śpi – zajęczał i skulił się na posłaniu jak dziecko. Lin klasnęła jeszcze raz, tym razem jakby szyderczo, i odeszła. Isaac stęknął i przewrócił się na bok. – Sekutnica! – zawołał za nią. – Hetera! Megiera! Dobrze już, dobrze, wygrałaś, ty... ty... pannico-złościco... – Przecierając oczy, usiadł i uśmiechnął się niewinnie. Lin nie odwracając się, wykonała w jego stronę dość obsceniczny gest.

Stała nago przy kuchence, plecami do Isaaca, raz po raz umykając przed kropelkami gorącego tłuszczu pryskającymi z patelni. Pled ześliznął się ze stromeego

brzucha mężczyzny. Isaac był masywnym, nabitym jak sterowiec i silnym mężczyzną, o ciele bujnie porośniętym siwiejącymi włosami.

Lin była bezwłosa. Mięśnie przeżyły się pod jej czerwoną skórą tak wyraźnie, że można było dostrzec każdy z nich, jak w atlasie anatomicznym. Isaac przyglądał się jej z narastającym pożądaniem.

Poczuł swędzenie tyłka. Sięgnął ręką pod koc i zaczął się drapać, bezwstydnie jak pies. Wyczuł coś pod paznokciem i zaraz cofnął dłoń, by sprawdzić, co to takiego. Na końcu palca ujrzał małego, na wpół zmiażdżonego insekta, wijącego się bezradnie. Był to refflick, niegroźny pasożyt kheprich. „Pewnie wpadłeś w szok, kiedy spróbowałeś moich soków”. – pomyślał Isaac i pstryknięciem pozbył się owada.

– To refflick, Lin – powiedział. – Czas na kąpiel. Zirytowana Lin tupnęła nogą.

Nowe Crobuzon było wielką wylęgarnią wszelkich chorób i plag. Pasożyty, infekcje oraz plotki szerzyły się w mieście w niekontrolowany sposób. Dla kheprich comiesięczna kąpiel chymiczna była niezbędnym elementem profilaktyki, jedynym sposobem na uniknięcie dokuczliwego swędzenia i ran.

Lin przesypała zawartość patelni na talerz, który ustawiła na blacie obok swojego śniadania. Usiadła i gestem przywołała Isaaca. Mężczyzna wstał i nieco chwiejnym krokiem przemierzył pokój. Z ulgą spoczął na małym krzeselku, uważając na sterzące zeń drzazgi.

Siedzieli z Lin naprzeciwko siebie, nadzy przy gołym blacie drewnianego stołu. Isaac miał świadomość tego, jak wyglądałaby ta scena widziana oczami osób trzecich. „Wyszłaby z tego piękna, ale i dziwna rycina” – pomyślał. Pokój na poddaszu, drobiny kurzu wirujące w smudze światła wpadającej przez małe okno, książki, papier i farby schludnie poukładane na tanich, drewnianych regałach. Śniadoskóry mężczyzna, wielki i nagi, z wolno ustępującym wzwodem, ściskający w dłoniach nóż i widelec, siedzący naprzeciwko khepri o smukłym, kobiecym ciele i osobiwej, krytej chityną głowie.

Ignorując śniadanie, przypatrywali się sobie nawzajem przez dłuższą chwilę.

Dzień dobry, kochanku, zamigła wreszcie Lin i zabrała się do jedzenia, nie odrywając wzroku od Isaaca.

Właśnie w takich chwilach, podczas posiłków, obcość Lin była najbardziej widoczna. Wspólne jądanie było dla nich wyzwaniem i dowodem wzajemnego podziwu. Obserwując ją, Isaac poczuł znajomy dreszcz emocji: obrzydzenie minęło szybko, ustępując miejsca dumie (ze zwycięstwa nad obrzydzeniem) i pożądaniu (zabarwionemu poczuciem winy).

Fasetkowe oczy Lin pobłyskiwały odbitym światłem dnia. Jej głowoodnóża drgnęły nieznacznie, gdy podniosła z talerza połówkę pomidora, aby ścisnąć ją szczypcami. Opuściła ręce, pozwalając, by wewnętrzne żuwaczki zajęły się pożywieniem unieruchomionym w zewnętrznych.

Isaac bez słowa przyglądał się, jak opalizujący skarabeusz, który był głową jego kochanki, konsumuje śniadanie.

Patrzył, jak przetyka, jak jej gardło wysklepia się nieznacznie w miejscu, gdzie blade podbrzusze owada zmieniało się gładko w ludzką szyję... Choć oczywiście Lin nigdy nie zgodziłaby się na taki opis. Ludzie mają korpusy, ręce i nogi kheprich, powiedziała mu kiedyś, a do tego głowy ogolonych gibbonów.

Isaac uśmiechnął się i pomachał plasterkiem smażonej wieprzowiny. Wziął go do ust, owinąwszy lubieżnie językiem, po czym wytarł palce o blat stołu, nie przestając się uśmiechać. Lin skinęła w jego stronę głowoodnóżami.

Mój potworze, zamigła.

„Jestem zбочeńcem” – pomyślał Isaac. „I ona też”.

Rozmowy przy śniadaniu bywały raczej jednostronne: Lin mogła bez problemu posługiwać się przy jedzeniu językiem gestów, natomiast próby Isaaca kończyły się wydawaniem mało zrozumiałych dźwięków i rozrzucaniem po stole okruszków pokarmu. Woleli więc czytać: Lin przeglądała biuletyn dla artystów, a Isaac wszystko, co tylko wpadło mu w ręce. Wertując książki i stertę papierów, natknął się na listę zakupów sporządzoną ręką Lin. Słowa „porcja wieprzowiny” były zakreślone w kółko, a pod nimi widniał dopisek dokonany znacznie mniej subtelną ręką: „Masz towarzystwo? Miło poświntuszyć z rana!!!” Isaac machnął kartką w stronę Lin.

– Co ten niedomyty dupek sobie wyobraża?! – zawołał, plując jedzeniem na wszystkie strony. Gniew, choć podszyty rozbawieniem, był autentyczny.

Lin przeczytała notatkę i wrzuciła ramionami. *On wie, że nie jem mięsa. Domyśla się, że mam gościa. Gra słów: wieprzowina-świntuszyć.*

– Dzięki, kochanie. Tyle sam zrozumiałem. Ale skąd on wie, że jesteś wegetarianką? Często urządzaście sobie takie dowcipne gierki?

Przez chwilę Lin spoglądała na niego bez ruchu.

Wie, bo nie kupuję mięsa, zasygnalizowała, potrząsając głową nad bezdenną głupotą pytania. Nie martw się, dowcipkujemy wyłącznie korespondencyjnie. On nie wie, że jestem robalem.

Celowe użycie obelżywego określenia rozdrażniło Isaaca.

– Cholera, przecież niczego nie insynuuję! – Ręka Lin drgnęła nieznacznie w odpowiedniku ludzkiego uniesienia brwi. Isaac jęknął bezsilnie. – Na boską sraczkę, Lin! Nie wszystko, co mówię, ma związek z moim strachem przed ujawnieniem naszego związku!

Byli kochankami od prawie dwóch lat. Nigdy nie próbowali myśleć zbyt intensywnie nad zasadami, które rządziły ich znajomością, ale im dłużej mieszkali razem, tym trudniejsza do kontynuowania była strategia uników. Pytania, których do tej pory nie mieli odwagi zadać, czekały na odpowiedzi. Niewinne uwagi i pytające spojrzenia innych, nazbyt długie momenty fizycznego kontaktu w miejscach publicznych czy choćby tych kilka słów od handlarza – wszystko to przypominało im, że pod pewnymi względami prowadzą sekretne życie. Wolno narastało w nich napięcie.

Nigdy nie powiedzieli sobie: „Jesteśmy kochankami”, więc nigdy nie musieli mówić: „Nie ujawnimy naszego związku przed wszystkimi, dla niektórych pozostanie tajemnicą”. Jednakże już od wielu miesięcy było dla nich jasne, że tak właśnie sprawy się mają.

Lin zaczynała już sugerować – drwiącymi i kwaśnymi uwagami – że niechęć Isaaca do ujawnienia ich związku miała w najlepszym razie znamiona tchórzostwa, a w najgorszym – bigoterii. Denerwował go ten brak zrozumienia z jej strony. Przecież wyjawiał istotę swej „przyjaźni” z Lin najbliższym przyjacielom, podobnie jak ona swoim. Dla niej zresztą było to znacznie łatwiejsze.

Była artystką. Obracała się w kręgach libertynów, bywalców knajp, nierobów wszelkiej maści, artystów i pseudoartystów, poetów i pamflicistów oraz modnych frajerów. W takim towarzystwie to, co skandaliczne, uchodziło za szczyt dobrego smaku. W herbaciarniach i barach na Polach Salacusa wyczyny Lin – znane jedynie

z aluzji, nigdy niedementowane i nigdy niepotępiane – były przedmiotem ożywionych dyskusji i doskonałą pożywką dla dowcipnych insynuacji. Jej miłosne igraszki były dla bywalców jeszcze jednym awangardowym eksperymentem, artystycznym happeningiem, tak jak muzyka „betonu” w poprzednim sezonie, czy Smark-Art rok wcześniej.

Isaac potrafił podjąć tę grę. Był znany w tym świecie na długo przed tym, nim poznał Lin. Był przecież naukowcem-odszczepieńcem, cieszącym się złą sławą wolnomyślicielem, który porzucił lukratywną posadę wykładowcy, by zająć się eksperymentami nazbyt dziwacznymi i genialnymi dla wątych umysłów rządzących uniwersytetem. Czy ktoś taki musiał przejmować się konwenansami? Mógł sypiać z kimkolwiek i z czymkolwiek miał ochotę, to jasne!

Tak postrzegano Isaaca na Polach Salacusa, gdzie jego związek z Lin był publiczną tajemnicą. Tylko tam mogli cieszyć się względną swobodą, tylko tam mógł objąć ją przy barowym stoliku i szeptać coś, gdy sączyła z gąbki słodzoną kawę. Tak wyglądała ta historia z jego punktu widzenia i była w niej co najmniej połowa prawdy.

Istotnie, odszedł z uniwersytetu przed dziesięcioma laty, ale uczynił to przede wszystkim dlatego, iż zrozumiał, jak fatalnym jest nauczycielem.

Spoglądając na zdumione twarze nic nierozumiejących i coraz bardziej spanikowanych studentów, pojął pewnego dnia, że władając umysłem potykającym się nieustannie w ślepy, anarchistycznym pędzie korytarzami teorii, potrafi nagłymi skokami zdobywać wiedzę, ale nie jest w stanie oświecać innych tak, jak tego pragnie. Wtedy właśnie spuścił wstydliwie głowę i umknął z uczelni.

Kolejnym odstępstwem od mitu, który Isaac stworzył na własny użytek, była prawda o Kierowniku Wydziału, podłym Vermishanku. W istocie nie był on drętwym epigonem, ale wyjątkowo dobrym biotaumaturgiem i skasował program badawczy Isaaca nie, dlatego, że był realizowany nieortodoksyjnymi metodami, ale dlatego, że prowadził donikąd. Isaac bywał genialny, ale i niezdyscyplinowany. Bawiąc się ze swym podwładnym jak kot z myszą, Vermishank zmusił go do błagania o fatalnie opłacaną posadę wolnego badacza, zapewniającą jedynie najskromniejszy dostęp do uniwersyteckich laboratoriów.

I właśnie ta praca sprawiała, że Isaac traktował swój związek z Lin z wielką ostrożnością.

Ostatnio nic łącząca uczonego z uczelnią stała się jeszcze cieńsza. Dziesięć lat dyskretnej kradzieży pozwoliło mu urządzić własne laboratorium. Główną składową dochodów badacza były kwoty uiszczane przez niezbyt szacownych obywateli Nowego Crobuzon, których głód zaawansowanej wiedzy naukowej nie przestawał go zadziwiać.

Jednakże prace Isaaca – których cel nie zmienił się na przestrzeni lat – nie mogły przebiegać w próżni. Musiał publikować. Musiał się spierać. Musiał zabierać głos podczas konferencji, jako wieczny buntownik. Bycie odszczepieńcem miało swoje niebagatelne walory.

W pewnych wszakże sprawach akademicy wcale nie musieli udawać, że są konserwatywni. Studenci obcych ras stosunkowo niedawno – zaledwie przed dwudziestu laty – zostali dopuszczeni do uczelni w Nowym Crobuzon. Miłość do istoty odmiennego gatunku mogła być ekspresową drogą do osiągnięcia statusu pariasa, nie zaś miana rebelianta, którym Isaac tak się szczylił. A jednak nie przerażało go to, że wydawcy pism naukowych czy organizatorzy konferencji mogą dowiedzieć się o nim i o Lin. Najbardziej bał się tego, że ktoś mógłby spostrzec, iż on wcale nie próbuje ukrywać tego związku. Gdyby starał się zachowywać choćby pozory tajemnicy, nikt nie uznałby go za przekraczającego granicę.

Wszystko to Lin znosiła jak najgorzej.

Ukrywasz prawdę o nas, żeby móc publikować u ludzi, którymi gardzisz, stwierdziła pewnego razu, gdy skończyli się kochać.

W ponurych momentach Isaac zastanawiał się, jak Lin zareagowałaby, gdyby świat sztuki groził jej ostracyzmem.

*

Tego ranka zdołali ujarzmić narastającą burzę żartami, przeprosinami, komplementami i żądzą. Z trudem wciskając się w koszulę, Isaac uśmiechnął się do Lin, a wtedy jej głowoodnóża zadrgały czule.

– Co masz w planie na dziś? – spytał.

Jadę do Kinken. Potrzebuję kolorowych jagód. Wybieram się też na wystawę w Howl Barrow. A wieczorem pracuję, dodała z żartobliwą groźbą.

– W takim razie rozumiem, że nie zobaczymy się przez jakiś czas? – Isaac wyszczerzył zęby w uśmiechu, a Lin pokręciła głową. Mężczyzna policzył na palcach dni. – No cóż... w takim razie może zjemy kolację w Zegarze i Kogucie, powiedzmy... w migalec, o ósmej?

Lin zamyśliła się, na moment zwieszając ręce w bezruchu.

Fantastyczny, zasygnalizowała po chwili. Nie dodała jednak, czy chodzi jej o pomysł na wspólną kolację czy o Isaaca.

Wrzucili brudne garnki i naczynia do wiadra z zimną wodą, stojącego w kącie, i zostawili je w spokoju. Lin zebrała notatki i szkice, by ruszyć w stronę wyjścia, ale Isaac objął ją lekko i pociągnął ze sobą na łóżko. Zaczął całować jej ciepłą, czerwoną skórę. Lin obróciła się w jego ramionach. Wsparty się na łokciu, by dobrze ją widział, wolno rozchyliła rubinowy pancerz i szeroko rozłożyła głowoodnóża. Dwie połówki zadrżały, gdy osiągnęły punkt maksymalnego wychylenia, a wtedy z wnętrza „głowy” wyłoniły się piękne, niewielkie, bezużyteczne, owadzie skrzydła.

Lin pociągnęła ku nim dłoń mężczyzny, zapraszając go do pieszczenia delikatnej, niemal bezcielesnej konstrukcji. W kulturze kheprich był to gest całkowitego zaufania i najgłębszej miłości.

Powietrze między kochankami zdawało się iskrzyć. Członek Isaaca zeszywniał.

Łagodnie gładził palcami rozwidlające się żyłki wibrujących skrzydeł, obserwując promienie światła, które mieniły się perłowo, prześwitując przez zwiewną tkanę.

Drugą ręką zadarł spódnicę Lin i przesunął palcami po jej udach, które otworzyły się na moment i zaraz zamknęły, chwytając dłoń w ciepłą pułapkę. Isaac zaczął szeptać, przeplatając miłosne zaklęcia nader sprośnymi propozycjami.

Słońce szybowało wysoko ponad nimi, przesuając po podłodze cień wolno płynących chmur i okiennych ram, lecz kochankowie nie zwracali uwagi na upływ czasu.

ROZDZIAŁ 2

Minęła jedenasta, zanim się pozbierali. Isaac spojrzął na kieszonkowy zegarek i zerwał się na równe nogi, by w pośpiechu zebrać ubrania, myślą błędząc już wokół czekającej go pracy. Lin oszczędziła mu niezręcznych negocjacji, które wiązałyby się

ze wspólnym wyjściem z domu. Pochyliła się i pogładziła czułkami kark kochanka, przyprawiając go o gęsią skórkę, po czym wyszła, nim znalazł własne buty.

Jej pokoje znajdowały się na dziewiątej kondygnacji wieży. Schodząc na dół, minęła niebezpieczne ósme piętro, siódme pokryte ptasimi odchodami i rozbrzmiewające głosami kawek, szóste zamieszkałe przez starszą panią, która nigdy nie opuszczała mieszkania, i wreszcie pięć najniższych – siedlisko hutników, drobnych złodziejasków, panienek do wynajęcia i szlifierzy ostrzących noże.

Wyjście z budynku znajdowało się po przeciwnej stronie niż targowisko w Żmijowej Norze. Lin wychynęła z półmroku na cichą, jasną ulicę, służącą jedynie jako boczne dojście do bazarowego królestwa straganów.

Oddalając się miarowym krokiem od hałaśliwych kłótni handlarzy, zbliżała się do ogrodów Sobek Croix. Przy wejściu zawsze czekały sznury taksówek. Lin wiedziała, że niektórzy kierowcy (zwłaszcza przetworzeni) są na tyle liberalni lub zdesperowani, by wozić nawet kheprich.

Im dalej odchodziła od Nory, tym mniej porządne były domy, które mijała. Grunt począł wznosić się nieco ku południowemu zachodowi, czyli w tę stronę, w którą zmierzała. Czubki drzew rosnących w Sobek Croix sterczały niczym kłęby gęstego dymu ponad stromymi dachami rozpadających się domostw, poza ich listowiem zaś widać było daleką panoramę wysokich, tępo zakończonych budynków zbudowanych na wrzosowiskach Ketch Heath.

Miasto widziane wypukłymi, lustrzanymi oczami Lin było kompletnym wizualnym chaosem. Każdy z milionów sześciokątnych segmentów składających się na jej narząd wzroku przekazywał do mózgu obraz o ostrych barwach i jeszcze ostrzejszych zarysach kształtów. Wszystkie były nadzwyczajnie wyczuwane na zmiany natężenia światła, ale nie na odróżnianie drobnych szczegółów – chyba że khepri skoncentrowała się na jakimś detalu aż do lekkiego bólu. Dla pojedynczych segmentów oka łuszczące się fragmenty tynku na wałących się murach były właściwie niewidoczne; architektura była dla nich masą brył o podstawowych barwach. A jednak obraz ten był na swój sposób precyzyjny: każdy impuls wizualny, każdy jego fragment, każdy kształt, każdy odcień barwy różnił się od sąsiedniego na tyle, by stać się źródłem informacji o całej strukturze. Co więcej, Lin potrafiła smakować substancje chemiczne unoszące się w powietrzu i na tej podstawie stwierdzać, która z ras zamieszkuje dany budynek. Wyczuwała wibracje powietrza i dźwięki z taką precyzją, że mogła rozmawiać swobodnie w zatłoczonej i gwarnej sali czy wyczuć przejeżdżający gdzieś wysoko pociąg.

Lin próbowała kiedyś opisać Isaacowi, w jaki sposób postrzega miasto:

Widzę równie wyraźnie jak ty, a może nawet wyraźniej. Dla Ciebie wszystko jest jednorodne: z jednej strony rozpadający się dom, z drugiej nowiutki pociąg z błyszczącymi tłokami, tu krzykliwie wymalowana kobieta, a tam stary i poszarzały sterowiec... Musisz przyjmować to wszystko jako jeden obraz. Co za chaos! Taki strumień danych nic ci nie mówi, jest pełen wewnętrznych sprzeczności, opowiada różne historie. Dla mnie każda cząstka jest spójną całością, różni się minimalnie od sąsiedniego fragmentu, ale wszystkie wariacje tworzą stopniowo racjonalny obraz.

Isaac był zafascynowany tym fenomenem przez półtora tygodnia. Jak zawsze w takich przypadkach, sporządzał tony notatek i wyszukiwał niezliczone książki o owadzie wzroku. Poddawał Lin nużącym eksperymentom, badając głębię i odległość skutecznego widzenia. Wiedząc, że sztuka czytania nie jest dla kheprich czymś naturalnym, z wielkim podziwem obserwował swą kochankę, która sięgając po książkę, musiała koncentrować się jak ktoś niemal ślepy.

Jednakże zainteresowanie uczonego szybko minęło – ludzki umysł nie był zdolny do przetwarzania obrazu w taki sposób, jak czyniły to khepri.

Nieśmierdzący groszem mieszkańcy okolic Żmijowej Nory kłębili się wokół Lin coraz liczniej, szukając szansy zarobku – poprzez kradzież, żebractwo, handel lub grzebanie w śmieciach piętrzących się wprost na ulicy. Dzieci biegały między nimi z krzykiem, wywijając dziwacznymi konstrukcjami z pogiętego żelastwa. Od czasu do czasu pojawiali się też bardziej zamożni obywatele, ale ci znikali szybko, rozglądając się z widoczną dezaprobatą.

Trepy Lin były mokre od ulicznego blocka, bogatego źródła pożywienia dla strachliwych stworzeń wyglądających ukradkiem z rynsztoków i kanałów. Okoliczne domy miały płaskie dachy, a ich sąsiednie ściany połączone były prymitywnymi kładkami z desek. Były to drogi ucieczki dla tych, którzy musieli umykać i skrótów dla tych, którzy cenili wygodę – tak powstawał świat chwiejnych przejść wysoko ponad powierzchnią Nowego Crobuzon.

Bardzo niewiele było dzieciaków, którym chciało się przeżywać Lin. Społeczność tej dzielnicy zdążyła przywyknąć do obcych. Khepri wyczuwała doskonale kosmopolityczną atmosferę okolicy – rejestrowała delikatne zapachy wydzielin przedstawicieli niezliczonych ras, w większości nieznanymi. Udało jej się odróżnić przyjemny zapach kheprich, wilgotny odór vodyanoich, a nawet dobiegający gdzieś z daleka pyszny aromat ludu kaktusów.

Lin skręciła w brukowaną uliczkę okrążającą Sobek Croix. Taksówki stały długim rzędem wzdłuż żelaznego ogrodzenia. Wybór był wielki – dwukołowce, czterołowce, zaprzęgi konne i pteraptasie, wozy parowe na gąsienicach... a także żalosne wehikuly, w których prze-tworzeni byli pojazdami i kierowcami zarazem. Lin stanęła przed kolejką wozów i machnęła ręką. Pierwszy z woźniców litościwie popędził wrednie wyglądające ptaszysko, aby pociągnęło pojazd w stronę potencjalnej klientki.

– Dokąd? – Mężczyzna wychylił się z siedziska, aby odczytać dokładny plan podróży, który Lin nakreśliła w notatniku. – Dobra – powiedział i kiwnął głową zapraszając pasażerkę do środka.

Taksówka była otwartym wozem dwumiejscowym. Lin mogła w spokoju przyglądać się scenkom z życia południowych dzielnic miasta. Wielki ptak-nielot biegł, kołyszając się na boki, ale koła pojazdu łagodziły ten ruch. Pasażerka usadowiła się wygodnie i jeszcze raz spojrzała na instrukcje, które wcześniej pokazała woźnicy.

Isaac nie byłby zadowolony z tego planu podróży. Ani trochę.

Lin naprawdę potrzebowała kolorowych jagód i rzeczywiście jechała po nie do Kinken. Jeden z jej przyjaciół, Cornfed Daihat, istotnie miał tego dnia wystawę w Howl Barrow.

Tylko że wcale nie miała zamiaru jej oglądać.

Rozmawiała już z Cornfedem i pouczyła go, jak ma odpowiadać, gdyby kiedyś Isaacowi przyszło do głowy zadawać niewygodne pytania (nie przypuszczała, by tak się stało, ale wolała się zabezpieczyć). Cornfed był oczywiście zachwycony – odgarnąwszy z twarzy białe włosy, z zapalem zaklinał się, że pragnie być potępiony na wieki, jeżeli puści parę z ust. Najwyraźniej wydawało mu się, że Lin puszcza Isaaca kantem, i czuł się zaszczycony, mogąc stać się choćby biernym uczestnikiem kolejnego erotycznego skandalu w jej bujnym życiu.

W istocie jednak khepri po prostu nie zdążyłaby na jego wystawę – miała ważną sprawę do załatwienia w innej okolicy.

Taksówka jechała teraz w stronę rzeki. Lin podskoczyła na siedzeniu, gdy drewniane koła wjechały na mniej równy bruk. Skręcili w ulicę Shadrach, zostawiając

za sobą dalekie targowisko i ostatnie stragany z warzywami, przejrzalymi owocami i rybami.

W oddali, ponad niskimi domami, wznosiła się masywna wieża milicji we Flyside. Wielka, brudna, pękata, w jakiś sposób nieprzyjazna kolumna wrastała w niebo na wysokość trzydziestu pięciu pięter. Wąskie okna podobne do strzelnic znaczyły jej ściany, a wstawione w nie ciemne, matowe szyby nie odbijały promieni słońca. Betonowa skóra wieży łuszczyła się miejscami. Trzy mile dalej na północ Lin dostrzegła zarys jeszcze wyższej budowli: głównej bazy milicji. Tak zwany Szpikulec przebijał ziemię i sterczał ku górze niczym klinga przeszywająca serce miasta.

Lin wygięła szyję. Ponad wieżą we Flyside unosił się w powietrzu groteskowy, do połowy napełniony gazem sterowiec. Wyginał się na wietrze, nadymał i wyciągał jak zdychająca ryba. Mimo sporej odległości Lin czuła wibrację silnika latającej maszyny, która unosiła się z wysiłkiem, by zniknąć w szarych chmurach.

W powietrzu rozchodził się jeszcze jeden dźwięk, wywołujący przykry dysonans z buczeniem sterowca: gdzieś w pobliżu zadrżał potężny dźwigar, gdy kapsuła milicji z wyciem pomknęła na północ, w stronę wieży.

Pojazd gnał jak oszalały, zawieszony na pojedynczym, podniebnym torze, który wbijał się w jedną ze ścian wieży i pojawiał po przeciwnej stronie, niczym nić przewleczona z północy na południe przez ucho gigantycznej igły. Kapsuła stanęła nagle, z hukiem uderzając o masywne bufory. Wyłoniły się z niej sylwetki, ale Lin nie zobaczyła nic więcej, bo taksówka nie zatrzymała się ani na chwilę.

Drugi raz tego dnia poczuła cudowny zapach ludzi-kaktusów, gdy pteraptak dociągnął wóz do Szklarni w Riverskin. Wyrzucone poza teren tej klasztornej budowli (skręcone kunsztownie elementy konstrukcyjne tworzyły stromą szklaną kopułę widniejącą na wschodzie, w samym sercu dzielnicy), pogardzane przez starszych, gangi młodych kaktusów kręciły się po okolicy, zazwyczaj spędzając czas na podpieraniu zrujnowanych ścian i słupów. Znudzeni, bawili się nożami. Ich kolce były pokryte agresywnymi wzorami, a wiosenną zieleń skór zasłaniały przerażające blizny tatuaży.

Obojętny wzrok kaktusów spoczął na taksówce.

Ulica Shadrach zaczęła nagle opadać. Wóz dojechał bowiem do najwyższego punktu okolicy, skąd w zasadzie wszystkie drogi prowadziły w dół. Lin i jej woźnica dobrze widzieli teraz szarawe, a na szczytach pobielone śniegiem zęby gór ciągnących się imponującym łańcuchem na zachód od miasta.

Dopóki taksówka nie zbliżyła się do Smoły.

Stłumione okrzyki i odgłosy pracy maszyn dochodziły z okien wpasowanych w murowane nabrzeża – niektóre z oszklonych otworów umieszczono poniżej linii wysokiej wody. To tu znajdowały się więzienia, sale tortur i warsztaty, a także ich najohydniejsze hybrydy: fabryki karne, w których skazańców zmieniano w przetworzonych. Po czarnej powierzchni rzeki sunęły wolno barki, pokaszując i rżąc silnikami.

Wkrótce oczom Lin ukazały się iglice mostu Naboba. Za nimi zaś pojawiły się pochyłe dachy, skulone niczym ramiona zmarzniętych istot i wsparte na gnijących ścianach, łatanych wyjątkowo smrodliwym, organicznym budulcem – dzielnica Kinken.

Po drugiej stronie rzeki, w Starym Mieście, ulice były węższe i ciemniejsze. Pteraptak niepewnie mijał budynki pokryte stwardniałym żelem wydzielanym przez żuki-budowniczych. Khepri wyłaniały się co chwila z okien i drzwi przetworzonych domostw. To one były tu większością, to było ich terytorium. Ulicami spacerował tłum kobiet o owadzich głowach. Niektóre przystawały w przepastnych bramach, żując owoce.

Nawet woźnica taksówki umiał wyczuć ich rozmowy: powietrze było cierpkie od substancji chemicznych służących kheprim do komunikowania się między sobą.

Organiczna miazga wystrzeliła spod kół wozu. „Pewnie przejechaliśmy samca” – pomyślała Lin i wzdygnęła się na myśl o jednym z tych bezmózgich stworzeń, które tak licznie gnieździły się we wszelkich dziurach Kinken. „I bardzo dobrze”.

Coraz bardziej spłoszony pteraptak znarowił się do reszty, gdy mężczyzna próbował zmusić go do przejścia pod niskim łukiem z cegieł, ozdobionym stalaktytami śluzu wydzielanego przez żuki. Lin klepnęła w ramię woźnicę walczącego z wodzami i pospiesznie nakreśliła w notatniku kilka słów:

„Ptak niezadowolony. Zaczekaj tu. Wrócę za pięć minut”.

Mężczyzna z wdzięcznością skinął głową i wyciągnął rękę, by pomóc Lin wysiąść z wozu. Khepri odeszła, pozostawiając go samego ze spłoszonym zwierzęciem. Skręciła za najbliższym rogiem, kierując się ku centralnemu placowi Kinken. Blade nacieki zwieszające się z dachów nie dosięgły znaków i tablic stojących na końcu ulicy. Wciąż jeszcze można było odczytać nazwę „Aldelion Place”, ale i tak nie używał jej żaden z obecnych mieszkańców dzielnicy. Nawet nieliczni ludzie i przedstawiciele innych gatunków, którzy jeszcze tu pozostali, stosowali nazwę przetłumaczoną z języka kheprich: Plac Posągów, w oryginale brzmiącą jak syk i zalatujące chlorem beknięcie.

Była to rozległa połać utwardzonej ziemi, otoczona ze wszystkich stron zdewastowanymi domami liczącymi sobie po kilkaset lat. Przebrzmiałe dzieła architektury ostro kontrastowały z wielką, burą masą jeszcze jednej wieży milicji, piętrzącej się na północnym horyzoncie. Niewiarygodnie strome dachy sięgały niemal ziemi. Brudne okna pokryte były dziwaczными wzorami. Lin wyczuwała ciche, terapeutyczne brzęczenie kheprich-pielęgniarek w pobliskich gabinetach medycznych. Słodki dym unosił się ponad tłumem, złożonym głównie z kheprich, choć tu i ówdzie widać było przedstawicieli innych ras, ciekawie przyglądających się rzeźbom. To one stanowiły jedyną zabudowę placu: czteroipółmetrowe posągi zwierząt, roślin i potworów, z których nieliczne miały swe odpowiedniki w przyrodzie; inne istniały tylko w umysłach twórców. Wszystkie monumenty sporządzono z wielobarwnej wydzieliną kheprich, zwanej khepri-śliną.

Każdy z nich był pomnikiem wielogodzinnej, wspólnej pracy. Grupy kheprich spędzały całe dni, pracując ramię w ramię: przeżuwały kleistą papkę i kolorowe jagody, poddawały je procesom metabolicznym, otwierały gruczoły w tylnej części swych owadzich głów i wypluwały na zewnątrz porcje gęstej śliny (choć oczywiście była to tylko umowna nazwa tej substancji). W ciągu godziny plwocina kheprich zastygała w kontakcie z powietrzem, tworząc gładką, twardą, perłowo połyskującą powierzchnię.

Zdaniem Lin posągi były symbolem poświęcenia, wierności grupie oraz przywiązania do chorych wyobrażeń podpartych pseudobohaterstwem. I dlatego wolała mieszkać i płuć na swoje rzeźby w samotności.

Minęła sklepiki z owocami i warzywami, tablice koślawymi literami reklamujące larwy-budowniczych do wynajęcia oraz centra sztuk pięknych, w których można było kupić wszystko, czego mogła potrzebować artystka pracująca własnymi gruczołami.

Obce kobiety zerknęły ukradkiem na Lin. Jej spódnica była długa i pokryta jaskrawym wzorem, jak te, które nosiło się na Polach Salacusa: jak spódnice ludzkich samic, w niczym nieprzypominające tradycyjnych, baloniastych pantalonów, które królowały tu, w getcie. Lin była naznaczona. Była outsiderem. Opuściła swoje siostry. Zapomniała o roju.

„A żebyście wiedziały, cholery, że zapomniałam” – pomyślała Lin, buntowniczo furkoczając długą, zieloną spódnicą.

Znajoma właścicielka sklepu uprzejmie, acz zdawkowo potarła jej czułki swoimi.

Lin dobrze przyjrzała się półkom. Wnętrze sklepu pokryte było stwardniałą larwią wydzieliną, której warstwy układały się na murach i w kątach znacznie równiej niż w większości tutejszych domostw. Potrzebne artystce ingrediencje stały na półkach, które sterczały jak nagie kości z organicznego tynku, oświetlone płomieniem gazowej lampy. Okno zostało kunsztownie zasmarowane barwnikami z jagód, tak by światło dnia nie zakłócało spokoju wnętrza.

Lin przemówiła – klikając i poruszając głowoodnóżami, wydzielając delikatne mgiełki zapachów. Zakomunikowała w ten sposób, że potrzebuje jagód szkarłatnych, niebieskozielonych, czarnych, opałowych i purpurowych. Przy okazji trysnęła sprayem szczerego podziwu dla fachowego doboru towaru przez właścicielkę sklepu.

Gdy tylko dostała to, czego chciała, wyszła w pośpiechu.

Atmosfera panująca w pełnej obłudzie społeczności Kinken przyprawiała ją o mdłości.

Woźnica czekał tam, gdzie go zostawiła. Wskoczyła na swoje miejsce za jego plecami i gestem kazała mu ruszać na północny wschód.

„Rój Czerwonego Skrzydła, towarzystwo wzajemnej adoracji” – pomyślała. „Pamiętam was dobrze, wy świętoszkowate suki! Wiecznie gadacie o wspólnocie i wspaniałym roju kheprich, podczas gdy nasze siostry w Creekside zabijają się za parę ziemniaków. Nie macie absolutnie nic; ludzie nazywają was robalami, kupują wasze dzieła tanio, a jedzenie sprzedają wam drogo, ale ponieważ są i tacy, którzy mają jeszcze mniej, mienicie się dumnie obrończyniami tradycji kheprich! Ale beze mnie. Ubieram się tak, jak chcę, a moja sztuka należy wyłącznie do mnie”.

Lin odetchnęła z ulgą, gdy na mijanych przez wóz domach przestała dostrzegać organiczną zaprawę, a jedynymi kheprimi, które dostrzegała w tłumie, były podobne do niej renegatki.

Przejechali pod ceglаныmi łukami Dworca Bazar Śliny dokładnie w chwili, gdy górą przetoczył się pękaty pociąg, porykujący niczym parowe, nieznośne dziecko. Skład pomknął w stronę serca Starego Miasta. Przesądna Lin poleciła woźnicy skierować wóz ku mostowi Barguest. Nie była to może najbliższa przeprawa przez Egzemę, siostrę Smoły, ale ta bardziej dogodna znajdowała się w Brock Marsh, trójkątnym skrawku Starego Miasta wciśniętym między dwie rzeki dokładnie tam, gdzie ich wody zlewały się, by popłynąć dalej jako Wielka Smoła. A właśnie tam, podobnie jak zastępy niezależnych naukowców, Isaac miał swoje laboratorium.

W zasadzie nie istniało ryzyko, że mógłby wypatrzeć Lin, zagubiony w labiryncie swych podejrzanych eksperymentów. Nie chcąc jednak nawet myśleć o takiej ewentualności, postanowiła skierować taksówkę w stronę dworca Gidd, za którym linia kolejowa Dexter biegnąca na wschód, wznosiła się coraz wyżej i wyżej ponad miastem.

„Jedź za pociągami” – poinstruowała woźnicę. Przebyli szerokie ulice dzielnicy West Gidd, by starożytnym i olbrzymim mostem Barguest przepłynąć się nad Egzemą – czystsza i chłodniejszą rzeką spływającą pomiędzy szczytów Bezhek. Na drugim brzegu kazała zatrzymać wóz i zapłaciła za podróż, dodając hojny napiwek. Ostatnią milę postanowiła przebyć pieszo; wołała, by nikt nie był w stanie odtworzyć trasy jej podróży.

Spieszyła na spotkanie w cieniu Żeber, Szponów Miasta Kości, w Dzielnicy Złodziei. Za jej plecami niebo na moment zapełniło się ruchomymi sylwetkami: aerostat płynął majestatycznie na tle chmur, a wokół niego krążyły malutkie, skrzydlate figurki, budzące skojarzenia z delfinami igrającymi przy wielorybie. Nieco bliżej, po napowietrznym torze mknął pociąg. Kierował się ku centrum Nowego Crobuzon, ku węzłowi architektonicznej tkanki, w którym łączyły się wszystkie włókna tworzące miasto; gdzie pojedyncze tory milicyjnej sieci transportowej zbiegały się w Szpikulcu niczym nici pajęczej sieci; gdzie pięć największych linii kolejowych miasta znajdowało swój kres w niezwyklej, ogromnej fortecy z ciemnej cegły, gładzonego betonu, drewna, stali i kamienia, wzniesionej w brudnym sercu metropolii: w gmachu Dworca Perdido.

ROZDZIAŁ 3

W pociągu naprzeciwko Isaaca usiadła mała dziewczynka z ojcem – niezbyt schludnym dżentelmenem w meloniku i marynarce kupionej zapewne w sklepie z używaną odzieżą. Isaac starał się robić możliwie straszne miny za każdym razem, gdy dziecko spoglądało na niego.

Ojciec szeptał coś do dziewczynki i raz po raz zabawiał ją prestidigitatorskimi sztuczkami. Wcisnął jej w dłoń kamyk i szybko splunął na niego. Kamyk natychmiast zamienił się w żabę. Dziewczynka pisnęła z zachwytu nad oślizłym płazem i nieśmiało spojrzała na Isaaca. Uczony otworzył szeroko oczy i usta, udając kompletne oszołomienie, i wstał. Nie odrywał wzroku od towarzyszy podróży nawet wtedy, gdy otwierał drzwi wagonu i wysiadał na stacji Sly. Po chwili był już na dole i zagłębiał się w gęstwinę ulic, przeciskając się przez ciżbę w stronę Brock Marsh.

W wąskich i krętych zaułkach Dzielnicy Naukowej, najstarszej części miasta, ruch wozów i zwierząt pociągowych nie był zbyt wielki. Nie brakowało za to pieszych najróżniejszych ras, a także małych piekarni, pralni, warsztatów rzemieślniczych i wszelkich innych punktów usługowych, których potrzebowała każda społeczność. Były tu też puby i sklepy, a nawet wieża milicji – niewysoka, ale masywna, ulokowana na samym czubku klina Brock Marsh, w miejscu, gdzie łączyły się wody Smoły i Egzemy. Obdarte plakaty przyklepione do kruszących się ścian reklamowały te same imprezy taneczne, ostrzegały przed tą samą ostateczną zagładą świata i namawiały do wspierania tych samych partii politycznych, co w pozostałych dzielnicach miasta. A jednak, mimo pozorów normalności, panowało tu swoiste napięcie, jakby wszyscy na coś czekali.

Borsuki – z racji swej legendarnej odporności na niebezpieczeństwa nauk ukrytych uznawane tradycyjnie za najlepszych towarzyszy specjalistów w tej dziedzinie – przemykały tu i ówdzie z listami zakupów w zębach, a ich gruszkowate ciała znikwały raz po raz w specjalnych, przesłoniętych klapkami otworach w drzwiach sklepów. Ponad wystawami z grubego szkła niemal każdą budowlę wieńczyły zagospodarowane poddasza. Stare magazyny na brzegach obu rzek już dawno przebudowano. W zapomnianych piwnicach pozakładano świątynie pomniejszych bóstw. W wiekowych halach i najmniejszych nawet niszach architektonicznych

gnieździł się ci, od których Dzielnica Naukowa wzięła swą nazwę: fizycy, chimeryści, biofilozofowie, teratolodzy, chymicy, nekrochymicy, matematycy, metalurdzy, szamani rasy vodyanoi oraz ci, których badania – tak jak w przypadku Isaaca – nie pasowały w stu procentach do żadnego z niezliczonych, ale precyzyjnie zdefiniowanych działów teorii.

Ponad dachami unosiły się dziwne obłoki. Łączące się nurty dwóch rzek płynęły leniwie, ale ich wody buzowały i parowały w miejscach, gdzie niesione prądem, bezimienne substancje chemiczne mieszały się, tworząc potężne związki. Ścieki z nieudanych eksperymentów, z fabryk, laboratoriów i kadzi alchymików łączyły się w mieszanki przypadkowych kombinacji. Woda w Brock Marsh miała nieprzewidywalne właściwości. Zdarzało się, że nieletni zbieracze złomu przeczesujący płytkie, muliste obrzeża nurtu wchodziłi na dziwnie zabarwione plamy i zniechęca zaczęli mówić dawno zapomnianymi językami, znajdowali szarańczę we włosach, lub ich ciała stawały się przezroczyste, aż wreszcie znikaly bez śladu.

Isaac skręcił w Promenadę Umbry, pokrytą spękanymi kamiennymi płytami przerośniętymi bujnym zielskiem, a prowadzącą brzegiem spokojnego zakola rzeki. Na drugim brzegu Egzemy ujrzał Żebra, sterczące nad dachami Miasta Kości niczym gigantyczne kły, strzelające w niebo na setki stóp. Skręcając na południe, rzeka przyspieszała nieco. Pół mili dalej widać było wyspę Strack, hamującą prąd Egzemy w miejscu, gdzie spotykał się z nurtem Smoły i połączone wody skręcały mocno na wschód. Już od samych brzegów wyspy piętrzyły się na niej pradawne, kamienne gmachy i wieże Parlamentu. Nie było stopniowej zmiany, skarpy, roślin czy drobnych zabudowań; pionowe płaszczyzny obsydianu wznosiły się jakby wprost z wody, podobne do zamarzniętych fontann.

Chmury rozpraszaly się z wolna, odsłaniając spłowiałe niebo. Isaac widział już czerwony dach swego warsztatu, wybijający się ponad okoliczne domostwa. Nieco bliżej miał jednak do zachwaszczonego podwórka lokalu, do którego zmierzał: do Konającego Dziecka. Błaty bardzo starych stolików, stojących w tym „ogródku”, pokrywała gruba warstwa wielobarwnych grzybów. Odkąd Isaac sięgał pamięcią, nikt nigdy nie siedział przy żadnym z nich.

Wszedł do środka. Wydawało się, że światło dało za wygraną w połowie drogi przez niemiłosiernie usmarowane okna – we wnętrzu panował półmrok. Ściany były nieozdobione, jeśli nie liczyć efektownych plam brudu. Nie było tłoku; jedynie kilka sylwetek najbardziej zapalonych pijaków pochylało się nad butelkami. Niektórzy z nich byli ćpunami, inni prze-tworzonymi, a jeszcze inni jednymi i drugimi: Konające Dziecko nie odrzucało nikogo. Grupka wychudłych młodzieńców leżała pokotem na jednym ze stołów, zapewne pod wpływem shazbahu, nasennika lub innego naparu. Jakaś kobieta ścisnęła kieliszek metalowymi szponami, z których buchała para i kapął na podłogę smar. Mężczyzna w kącie podniósł głowę znad miski z piwem i oblizał lisi pysk, który wszczepiono w jego twarz.

Isaac powitał dyskretnie stojącego przy drzwiach starca, Joshuę, na którym dokonano bardzo drobnego, ale i bardzo okrutnego prze-tworzenia. Był on swego czasu włamywaczem i został złapany na gorącym uczynku, jednak odmówił wydania swych kompanów. Sędzia skazał go za to na wieczne milczenie: mężczyźnie odjęto usta i zastąpiono je łata jednolitego ciała. Nie chcąc do końca życia żywić się zupą podawaną rurą przez nos, Joshua wyciął sobie nowe usta. Ból omal nie przyprawił go o obłęd, a poszarpana szczelina w twarzy stała się wiecznie otwartą raną w zwiotczalej skórze.

Joshua skinął Isaacowi na powitanie i palcami zacisnął „wargi” na słomce, przez którą łapczywie sączył cydr.

Isaac ruszył w głąb sali. Stojący w dalekim rogu bar był niski, wznosił się nie więcej niż trzy stopy nad posadzką. Za nim zaś, w kadzi z brudną wodą unosił się właściciel lokalu, Silchristhek.

Sil mieszkał, pracował i spał w wannie, przemieszczając się z jednego jej końca w drugi za pomocą wprawnych ruchów płetwiastych dłoni i żabich nóg. Jego cielsko, na pozór pozbawione kości, trzęsło się przy tym jak rozdęte jądro. Był stary, tłusty i zręczliwy, nawet jak na vodyanoięgo. Przypominał ozdobiony kończynami worek krwi, ze słabo wyodrębnioną głową, pośrodku której znajdowała się wielka, wiecznie ponura gęba.

Dwa razy w miesiącu wylewał wodę z wanny, a bywalcom kazał polewać się świeżą wodą – kąpiel ta sprawiała mu taką przyjemność, że stękał i pierdział z zadowolenia. W rzeczywistości vodyanoi mógł bezpiecznie spędzać z dala od wody nawet i okrągłą dobę, ale Sil miał to gdzieś. Chłubił się swoją gnuśnością i opryskliwością, jedno i drugie z upodobaniem praktykując w brudnej wodzie. Isaac nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż Sil dobrowolnie angażuje się w swoiste brutalne przedstawienie: zdawał się rozkoszować własnym dążeniem do absolutnej obrzydliwości.

W dawnych czasach Isaac lubił tu pijać choćby ze względu na młodzieńczy zapał do eksplorowania obszarów skrajnej nędzy. Dojrzawszy, znajdował przyjemność w odwiedzaniu bardziej zadbanych lokali, a norę Sila odwiedzał tylko dlatego, że znajdowała się blisko laboratorium i – całkiem niespodziewanie – przez wzgląd na ostatnie prace badawcze. Sil podjął się bowiem dostarczania mu eksperymentalnych próbek, których potrzebował.

Śmierząca woda barwy szczyń wychlusnęła z wanny, gdy Sil wijącym ruchem podążył Isaacowi na spotkanie.

– Co podać, Zaac? – szczeknął szynkarz.

– Kingpina – odparł uczony, rzucając dwojaka prosto w błoniastą dłoń Sila. Vodyanoi sięgnął po butelkę stojącą na jednej z półek za jego plecami. Sącząc tanie piwo, Isaac przysiadł na niskim stołku i skrzywił się natychmiast, czując pod sobą plamę wilgoci niewiadomego pochodzenia.

Sil znowu rozwalił się wygodnie w wannie. Nie patrząc na Isaaca, rozpoczął monosylabową, idiotyczną konwersację o pogodzie i piwie. Takie miał zwyczaje – badacz mógł jedynie odezwać się od czasu do czasu, by podtrzymać rozmowę.

Na bufecie stało kilka prymitywnych figurek wykonanych z wody, na oczach Isaaca wsiąkających wolno w stare drewno. Dwie z nich rozpadały się coraz gwałtowniej, aż wreszcie zatraciły do reszty swój kształt i stały się niewielkimi kałużami. Sil od niechcienia zaczerpnął wody z wanny i począł lepić. W jego rękach ciecz zachowywała się jak glina; zatrzymywała postać, którą nadały jej wprawne dłonie. Drobinę brudu i przebarwienia ze starej wanny Sila zostały uwięzione we wnętrzu figurek, vodyanoi spłaszczył palcem miniaturową twarz i uszczypnął ją, wyciągając długi nos, a następnie ścisnął rękami nogi wielkości małych kiełbasek. Po chwili ustawił przed Isaakiem gotowego homunkulusa.

– Tego ci potrzeba? – spytał. Isaac dopił szybko resztę piwa.

– Dzięki, Sil. Doceniam to.

Ostrożnie dmuchnął na figurkę, która posłusznie przewróciła się wprost w nadstawione dłonie. Chlupnęła z cicha, ale Isaac wciąż wyczuwał napięcie powierzchniowe, które utrzymywało nadany przez Sila kształt. Vodyanoi przyglądał się jego poczynaniom z cynicznym uśmieszkiem. Nie zwracając nań uwagi, uczony wybiegł z lokalu, by jak najszybciej dostarczyć niezwykle dzieło do laboratorium.

Wiatr wzmógł się nieco. Isaac osłonił ciałem swą zdobycz i szybkim krokiem przemierzył uliczkę łączącą Konające Dziecko z ulicą Wioślarzy, przy której mieścił się jego warsztat pracy. Pchnął mocno brzuchem zielone drzwi i zniknął w bramie budynku. Laboratorium było niegdyś fabryką, a następnie magazynem. Jego rozległą, brudną podłogę zastawiono teraz małymi stolikami roboczymi i retortami, w kątach zaś stanęły okazałe tablice.

Z dwóch końców sali rozległy się niemal równocześnie powitalne okrzyki Davida Serachina i Lublamaia Dadscatta – podobnych do Isaaca uczonych-indywidualistów, którzy do spółki z nim wynajmowali dawny magazyn. David i Lublamai zajęli parter, wypełniając dwa narożniki pomieszczenia własnymi sprzętami. Ich obszary robocze dzielił szeroki na czterdzieści stóp pas nagich desek. Pośrodku niego sterczała wspólna pompa wodna, dokoła niej zaś toczył się po podłodze konstrukt sprząający kurz w sposób tyleż głośny, co nieskuteczny. „Trzymają tę bezużyteczną maszynę wyłącznie przez sentyment” – pomyślał Isaac.

Warsztat pracy Isaaca, wraz z małą kuchnią i łóżkiem, znajdował się na galerii wystawnej ze ścian starej hali fabrycznej mniej więcej w połowie ich wysokości. Szeroka na dwadzieścia stóp, okrążała całe pomieszczenie, a jej krawędź zabezpieczała tandetna, drewniana barierka, która jakimś cudem trwała na swoim miejscu od chwili, gdy Lublamai przed laty pozbił ją w pośpiechu i umocował.

Drzwi zamknęły się za Isaakiem z takim hukiem, że wiszące na ścianie lustro zdrzało. „To cud, że jeszcze nie pękło” – pomyślał uczony. „Trzeba będzie w końcu je stąd zabrać”. Jak zwykle myśl ta umknęła mu równie szybko, jak się pojawiła.

Gdy ruszył na górę, przeskakując po trzy stopnie, David dostrzegł zdobycz w jego rękach i roześmiał się głośno.

– Kolejne arcydzieło Silchristheka, Isaacu? – zawołał. Uczony odpowiedział mu krzywym uśmiechem.

– Niech nikt nigdy nie powie, że nie zbieram wyłącznie najlepszych! Isaac, który dawno temu jako pierwszy odkrył zapomniany magazyn, skorzystał z prawa wyboru najdogodniejszego miejsca do pracy – i to było widać. Łóżko, piecyk i nocnik stały w jednym rogu platformy, w przeciwnym zaś znajdował się dziki gąszcz krągłych naczyń i sprzętów tworzących laboratorium. Szklane i ceramiczne pojemniki, pełne dziwnych substancji i niebezpiecznych chymikaliów piętrzyły się na półkach. Ściany zdobiły heliotypy, na których uwieczniono Isaaca i jego przyjaciół w różnych pozach podczas wypraw w dalekie rejony miasta i w ostępy Rudewood. Zaplecze hali znajdowało się od strony Promenady Umbry; przez okna widać było wody Egzemy i brzegi Miasta Kości, a ponad nimi doskonałą panoramę Żeber i linii kolejowej Kelltree.

Isaac minął owe wielkie łukowato zwieńczone okna i zbliżył się do osobliwej maszyny z polerowanego mosiądzu, naszpikowanej rurkami rozmaitych przekrojów i otoczonej tarczami niezliczonych mierników. Na każdym elemencie widniał stempel następującej treści: Własność Wydziału Fizyki Uniwersytetu w Nowym Crobuzon. Nie przenosić.

Isaac odetchnął z ulgą, gdy upewnił się, że mały palnik w sercu maszyny nie zgasł. Podrzucił do środka garść węgla i szczelnie zamknął komorę. Umieścił wykonaną przez Sila małą figurkę z wody na platformie obserwacyjnej i nakrył ją szklanym kloszem, a następnie zaczął manipulować zaworami umocowanymi poniżej. Maszyna wypompuwała z naczynia powietrze i zastąpiła je gazem płynącym przez cienki, skórzany wąż.

Badacz odprężył się nieco. Teraz dzieło vodyanoiego mogło przetrwać nieco dłużej. Poza rękami artysty, niedotykane przez nikogo, mogło istnieć nie dłużej niż

godzinę; potem woda na powrót przyjęłaby swą zwykłą postać. Wszelka ingerencja znacząco przyspieszała proces rozpadu, obecność gazu szlachetnego zaś spowalniała go. Isaac przypuszczał, że pozostały mu mniej więcej dwie godziny na dokonanie zaplanowanych eksperymentów.

Jego zainteresowanie wododziełem vodyanoich przyszło dość okrężną drogą jako skutek uboczny badań nad jednolitą teorią energii. Zastanawiał się, na czym polega fenomen tej sztuki, jaka siła pozwala wodolubnym istotom kształtować ciecz w dowolny sposób i czy była to ta sama energia, której szukał: czasem spajająca, a czasem dezintegrująca materię. Zmiana kierunku badań była typowym zjawiskiem w pracy Isaaca: uboczne rozmyślenia często nabierały własnej mocy i na krótki czas stawały się jego głęboką obsesją.

Isaac ustawił soczewki w odpowiedniej pozycji i zapalił lampę gazową, by doświetlić obiekt badań. Wciąż jeszcze nie mógł się pogodzić z totalną ignorancją świata nauki, otaczającą wododzieło. Czytając literaturę na ten temat, zżymał się, ponieważ tak zwana nauka głównego nurtu była w tym przypadku nic nie warta; „analiza” zbyt często była tylko opisem (i to mało precyzyjnym), ubranym w mądre brzmiący, lecz z gruntu bezsensowny żargon. Ilekroć rozmyślał na ten temat, przypominał mu się ulubiony fragment z *Hydrofizykonometrii* Benchamburga, wielce szanowanej lektury naukowej. Wył ze śmiechu, gdy czytał go po raz pierwszy, a kiedy skończył, przepisał starannie i przypiął do ściany.

„Vodyanoi, stosując metodę zwaną przez nich wododziełem, są w stanie manipulować plastycznością i potęgować napięcie powierzchniowe wody w taki sposób, że ciecz przyjmuje i przez krótki czas utrzymuje kształt nadawany przez operatora. Osiągają ten efekt dzięki hydrokohezji akwamorficznego pola energetycznego o niewielkim zasięgu diachronicznym”.

Innymi słowy, Benchamburg nie miał większego pojęcia o niezwykłych zdolnościach vodyanoich niż Isaac, pierwszy lepszy łazęga z ulicy czy sam stary Silchristchek.

Poruszając stosownymi dźwigniami, uczonego nastawiał kolejno szklane tafle, by przepuścić wiązki światła o rozmaitych barwach przez drżącą rzeźbę, której kontury pomалу zaczynały się rozlewać. Spoglądając przez potężną lupę, widział krążące bezmyślnie w wodzie drobne żyjątka. Wewnętrzny układ cieczy nie zmienił się ani trochę – po prostu woda z wanny Sila zapragnęła zająć inny fragment przestrzeni, niż powinna.

Isaac zebrał odrobinę płynu przeciekającą przez szparę w platformie. Zamierzał zbadać ją później, choć z poprzednich doświadczeń wiedział, że nie znajdzie niczego zdumiewającego.

Sięgnął po notes, by zapisać kilka myśli. Następnie powrócił do eksperymentowania z wododziełem: minuty mijały, a on dziurawił rzeźbę igłą strzykawki, pobierał próbki z wnętrza, drukował jej heliotypowe wizerunki ze wszystkich stron i wreszcie właczał do wnętrza bąbelki powietrza, które wędrowały ku górze i wyrywały się na wolność przez „głowę” homunkulusa. Na koniec wygotował całą wodnistą postać, pozwalając, by zamieniła się w parę.

W pewnej chwili Szczerość, borsuczycza Davida, wspięła się po schodach na półkę Isaaca i szturchnęła nosem jego dłoń. Badacz w roztargnieniu pogłaskał zwierzę, a kiedy polizało jego palce, wrzasnął do Davida, żeby nakarmił pupilkę. Zdziwił się dopiero wtedy, gdy odpowiedziała mu cisza. David i Lublamai wyszli,

zapewne na spóźniony lunch. Isaac zorientował się nagle, że minęło kilka godzin, odkąd zjawił się w laboratorium.

Przeciągnął się i poszedł do spiżarni. Rzucił Szczeroci kawał suszonego mięsa, w który natychmiast z wielką ochotą wbiła kły. Wolno odzyskiwał świadomość tego, co dzieje się w otaczającym go świecie, na początek słysząc silniki łodzi płynących rzeką gdzieś za ścianą budynku.

Drzwi na dole otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Isaac podreptał w stronę schodów, spodziewając się ujrzeć powracających kolegów.

Zamiast nich zobaczył nieznanego przybysza, stojącego pośrodku pustej przestrzeni parteru. Delikatne prądy powietrzne przyzwyczajały się stopniowo do obecności obcego, coraz wolniej omiatając go mgiełką wznieconego z podłogi kurzu. Plamy światła padające na deski przez otwarte okna i wybite szyby nie wydobyły z półmroku szczegółów jego sylwetki. Drewniana półka skrzypnęła z cicha, gdy Isaac przestąpił z nogi na nogę. Postać zadarła głowę i odrzuciła do tyłu obszerny kaptur. Złożywszy ręce na piersiach, przybysz zamarł, wpatrując się w gospodarza laboratorium.

Isaac gapił się na niego w osłupieniu.

To był garuda.

Uczony omal nie zleciał ze schodów, po omacku zaciskając palce na poręczy – bał się spuścić niezwykłego przybysza z oczu choćby na krótką chwilę. Wreszcie dotarł na dół.

Garuda wciąż patrzył na niego bez słowa. Fascynacja Isaaca zwyciężyła nad dobrymi manierami: uczony bez żenady gapił się wprost na gościa.

Wielki stwór miał ponad sześć stóp wzrostu. Spod brudnego płaszcza wystawały drapieżne, zakończone szponami stopy. Poszarpane sukno zwisało prawie do podłogi, zasłaniając niemal wszystkie szczegóły sylwetki i muskulatury przybysza, z wyjątkiem głowy. W dużej, ptasiej twarzy garudy było coś władczego. Ostry, zagięty dziób był formą pośrednią między sowim a pustułczym. Ubarwienie piór nie było jednolite, niektóre miały kolor ochry, inne były pstrokate, a jeszcze inne brązowe. Czarne oczy o wielkich źrenicach i niebywale wąskich tęczęwkach spoglądały na Isaaca w napięciu, spod łukowatych, jakby dumnie zmarszczonych brwi.

Zza głowy garudy sterczały na dobre dwie stopy skryte pod suknem płaszcza wierzchołki schludnie złożonych skrzydeł – potężnych kończyn z kości, skóry i piór. Isaac nigdy nie widział z bliska przedstawiciela tego gatunku z rozpostartymi skrzydłami, ale czytał opisy chmur pyłu, które był w stanie wznieść ich ruch oraz wielkości cienia, który rzucały z powietrza na tropioną ofiarę.

„Co robisz tak daleko od domu?” – pomyślał zdumiony Isaac. „Sądząc po barwie piór, przybywasz z pustyni! Musiałeś przebyć mnóstwo mil, żeby dotrzeć tu z Cymek. Do licha, czego tu szukasz, imponujący sukinsynu?”

Z trudem powstrzymał się, by nie pokręcić głową ze szczerym podziwem dla wielkiego drapieżcy, nim wreszcie odchrząknął i odezwał się:

– Czym mogę służyć?

ROZDZIAŁ 4

Ku swemu śmiertelnemu przerażeniu, Lin była już spóźniona.

To, że nie była wielką miłośniczką Miasta Kości, wcale jej nie pomagało. Wymieszana, wielostylowa architektura tej dzielnicy dezorientowała ją: były w niej ślady industrializmu, krzykliwe, ostentacyjne akcenty nowobogactwa, był rozpadający się beton doków i naprężone skóry namiotów w zaułkach prawdziwej nędzy. Skrajnie

odmienne formy zlewały się ze sobą w całość, przeplataną plamami dzikiej, niekontrolowanej zieleni krzaków i barwnymi łętami kwiatów. Tu i ówdzie rośliny o twarde łodygach przebijały się wprost przez płaszczyzny betonu i smoły.

Lin znała nazwę ulicy, lecz znaki i tablice wokół niej w większości były zniszczone; zwisając smętnie, pokazywały najbardziej niewiarygodne kierunki. Niektóre szczelnie zasłoniła rdza; inne przeczyły sobie nawzajem. Mimo to odczytywała je w skupieniu, próbując szukać odniesień na własnoręcznie naszkicowanej mapce.

Mogła orientować się w przestrzeni według położenia Żeber. Zadarła głowę i zobaczyła je natychmiast; zasłaniały sporą połać nieba. Tylko jedna część „klatki piersiowej” była widoczna. Spłowiełe i spękane krzywizny konstrukcji zaginały się na szczycie i przechylały, jakby miały upaść i zmiążyć budynki stojące po wschodniej stronie. Lin ruszyła w ich stronę.

Ulice były coraz szersze i po chwili znalazła się na kolejnym placu, który sprawiał wrażenie opuszczonego, ale rozmiarami znacznie przewyższał poprzednie. W zasadzie nie był to zagospodarowany plac, a jedynie ogromna, niedokończona dziura w środku miasta. Otaczające ją budynki zwrócone były doń nie frontami, lecz tylnymi i bocznymi, często ślepyimi ścianami, jakby przed nimi miały powstać – choć nigdy nie powstały – znacznie bardziej wytworne kamienice. Niedokończone ulice Miasta Kości niepostrzeżenie zmieniały się w kępy zarośli, w których znikwały ostatnie fragmenty zapomnianych murów.

Tu i tam na brudnej trawie stały naprędcy sklecone stragany. Na zwykłych, składanych stolikach zniechęceni handlarze sprzedawali tanie ciastka, starodruki i wszelkiego rodzaju graty wygrzebane ze strychów i piwnic. Uliczni żonglerzy bez większego zapału pokazywali swoje sztuczki. Klientów było niewielu; większość istot różnych ras siedziała na kamieniach, czytając, jedząc, grzebiąc w suchej ziemi lub gapiąc się na sterzące ku niebu kości.

To właśnie z krawędzi tego placu wyrastały sławetne Żebra.

Pożółkłe gnaty nieznanego lewiatana, grubsze od pni najpotężniejszych drzew, wznosiły się łukowato, nie całkiem równolegle do siebie. Mniej więcej sto stóp nad ziemię pochylały się już nad dachami okolicznych domów, z powrotem schodząc się ku sobie. Ich czubki niemal się stykały, niczym gigantyczne, zakrzywione palce lub boskich rozmiarów kostna pułapka na ludzi.

Istniały plany zabudowy tego placu – inwestorzy zamierzali wznieść w tej prastarej klatce piersiowej biura i domy – ale nic z tego nie wyszło.

Narzędzia, których używano na placu budowy, łamały się szybko i ginęły. Cement nie chciał się wiązać. Jakby smutne sąsiedztwo na poły pogrzebanych kości skutecznie zapobiegało zagospodarowaniu zapomnianego cmentarzyska.

Pięćdziesiąt stóp pod nogami Lin archeolodzy odnaleźli kręgi wielkości domów; olbrzymie fragmenty kośćca, które dyskretnie pogrzebano na zawsze, gdy na miejscu wykopalisk wydarzył się o jeden wypadek za wiele. Brakowało kończyn, bioder; nigdy nie znaleziono też kolosalnej czaszki. Nikt nie potrafił określić, jakież to stworzenie padło tu przed tysiącleciami i wyzionęło ducha. Niedomyci handlarze pracujący w rejonie Żeber specjalizowali się w wymyślnych opisach przedstawiciela gatunku *Gigantes Crobuzon* – czworonoga lub istoty dwunożnej, humanoida lub drapieżnej bestii, zębatego, z wielkimi łętami lub ze skrzydłami; nie brakowało też opowiadań pornograficznej natury.

Mapka Lin wskazywała jej drogę ku bezimiennemu zaułkowi po południowej stronie Żeber. Wszedłszy w uliczkę, odnalazła pomalowane na czarno domy, których

polecono jej szukać. Wszystkie były puste, miały zamurowane drzwi, zamknięte na glucho okna i szyby wysmarowane smołą – wszystkie z wyjątkiem jednego.

Na ulicy nie było nikogo – ani ludzi, ani zwierząt, ani nawet taksówek.

Ponad jedynymi niezamurowanymi drzwiami ktoś narysował kredą coś w rodzaju planszy do gry – duży kwadrat podzielony na dziewięć mniejszych. Nie było na nich jednak ani numeru, ani żadnego innego znaku.

Lin przez moment kręciła się w pobliżu czarnych domów. Nerwowo poprawiała spódnicę i bluzkę, aż wreszcie, zła na samą siebie, podeszła do drzwi i zapukała cicho.

„Wystarczy, że się spóźniłam” – pomyślała. „Nie będę wkurzać go jeszcze bardziej waleniem do drzwi”.

Po chwili usłyszała dobiegający z góry szcęk poruszających się zawiasów i dźwigni. Uniósłszy głowę, dostrzegła błysk światła: ktoś uruchamiał system soczewek i lusterek, aby gospodarze mogli upewnić się, czy gość jest wart uwagi.

Drzwi otworzyły się.

Przed Lin stanęła prze-tworzona potężnej postury. Jej twarz wciąż jeszcze była obliczem smutnej, urodziwej kobiety o ciemnej skórze i długich, zaplecionych w warkocze włosach, za to ludzkie ciało zastąpiono wysokim na siedem stóp szkieletem z czarnego żelaza i stopu lutowniczego. Metalowe ciało spoczywało na sztywnym, teleskopowym trójnogu. Najwyraźniej zmieniono je tak, by mogło sprostać najcięższemu pracom: masywne stawy, tłoki i cięgła emanowały niebywałą siłą. Prawe ramię prze-tworzonej znajdowało się na wysokości głowy Lin; z wnętrza metalowej rury wystawał groźnie wyglądający grot harpuna.

Khepri odruchowo skuliła się z przerażenia.

Niegdyśejsza kobieta o smutnej twarzy przemówiła potężnym głosem:

– Panna Lin? Artystka? Spóźniła się pani. Pan Motley już czeka. Proszę za mną.

Prze-tworzona cofnęła się nieco, balansując na środkowej nodze i przestawiając dwie pozostałe poza nią, by zrobić przejście dla Lin. Podczas całej operacji harpun nawet się nie zakołysał.

„Jak daleko można się posunąć?” – pomyślała Lin i wstąpiła w ciemność korytarza.

W dalekim końcu zupełnie czarnego tunelu stał człowiek-kaktus. Lin bardzo słabo wyczuwała w powietrzu zapach jego soków. Miał ponad siedem stóp wzrostu i grube kończyny; musiał być wyjątkowo ciężki. Głowa wyrastała na jego spadzistych ramionach niczym krągły kamień, a niesymetryczną sylwetkę zniekształcały dodatkowo pęki twardych narośli. Zielona skóra kaktusa była jedną masą blizn, trzyciałowych kolców i delikatnie czerwonych, wiosennych kwiatków.

Olbrzym skinął na Lin sękatymi paluchami.

– Pan Motley może pozwolić sobie na gest cierpliwości – rzekł, odwracając się i rozpoczynając wspinaczkę po schodach – ale nie przypominam sobie, żeby czekanie kiedykolwiek sprawiało mu przyjemność. – Kaktus odwrócił się niezdarnie, nie przerywając marszu i oskarżycielsko uniósł brew, spoglądając na artystkę.

„Odpieprz się, sługusie” – pomyślała niecierpliwie. „Lepiej zaprowadź mnie w końcu do swojego szefa”.

Kaktus pracowicie kuśtykał na bezkształtnych stopach, podobnych do małych pieńków drzewa.

Lin usłyszała za plecami wzmożone syczenie sprężonej pary i pohukiwanie mechanizmu: prze-tworzona weszła na schody. Nie odwracając się, khepri podążyła za kaktusem w głąb krętego tunelu bez okien.

„Ogromny dom” – pomyślała po dłuższej chwili. Wreszcie zdała sobie sprawę, że musieli przejść przez cały rząd domostw, w których wyburzywszy ściany działowe, wnętrza przebudowano i odnowiono wedle gustu właściciela. Za drzwiami, które mijali po drodze, rozległ się raz stłumiony, posępny odgłos maszyny. Czułki Lin drgnęły lekko. Gdy odeszli nieco dalej, z pomieszczenia dobiegł łomot podobny do dźwięku całej serii bełtów wystrzelonych z kuszy i wbijających się w miękkie drewno.

„O matko” – pomyślała ponuro Lin. „Gazid, kurwa twoja mać, w coś ty mnie wpakował?”

Istotnie, to Lucky Gazid, żałosna parodia impresaria, uruchomił proces, w wyniku którego Lin znalazła się w tym zatrważającym miejscu.

To on zrobił heliotypy najnowszych jej prac i zniknął z nimi gdzieś na mieście. Zawsze tak to wyglądało – Gazid usilnie starał się zasłużyć na dobrą reputację w kręgach artystycznych Nowego Crobuzon. Był żalosną postacią; wiecznie przypominał każdemu, kto chciał go słuchać, jak to przed trzynastu laty udało mu się zorganizować niezłą wystawę pewnej nieżyjącej już rzeźbiarce eterycznej. Lin i większość jej przyjaciół litowali się nad nim i pogardzali nim zarazem. Każdy jednak pozwalał mu robić heliotypy prac i łaskawie wciskał parę szekli tytułem „zaliczki na poczet honorarium agenta”. Wtedy Gazid zniknął na kilka tygodni, po czym pojawiał się w zarzyganych spodniach i z krwią na butach, naćpany jakimś nowym świństwem, i proces zaczynał się od początku.

Ale nie tym razem.

Tym razem Gazid znalazł kupca na prace Lin.

Protestowała, kiedy przysiadł się do jej stolika w Zegarze i Kogucie. Tego dnia nie wypadła jej kolej, napisała mu na swojej tabliczce; przecież dała mu całą gwineę „zaliczki” nie dalej niż tydzień wcześniej. Gazid przerwał jej jednak i uparł się, żeby odeszła z nim na stronę. Uczyniła to, przy akompaniamencie chóralnego śmiechu elity artystycznej Pól Salacusa, a wtedy Gazid podał jej sztywną, białą karteczkę z prostym symbolem szachownicy o dziewięciu polach. Na odwrocie nadrukowano krótki tekst.

„Panno Lin. Mój pracodawca jest pod wrażeniem wizerunków pani dzieł, które dostarczył nam pani agent. Zastanawia się, czy zechciałaby pani umówić się z nim na spotkanie, by przedyskutować sprawę ewentualnego zlecenia. Z niecierpliwością będziemy oczekiwać odpowiedzi”.

Podpis był nieczytelny.

Gazid był kompletnym wrakiem, uzależnionym od większości świństw dostępnych na rynku, i potrafił zdobyć się na wszystko, byle skombinować pieniądze na prochy, lecz Lin nie wyobrażała sobie, aby mógł wziąć udział w przekręcie, którego elementem byłby liścik od potencjalnego klienta. Nie mógł mieć w tym żadnego interesu – chyba że naprawdę któryś z zamożnych obywateli Nowego Crobuzon był gotów zakupić prace Lin i obiecał agentowi prowizję.

Khepri wyciągnęła ćpuna z baru, wzbudzając jeszcze większą wesołość – ale i konsternację – towarzyszy i zaczęła wypytywać go o szczegóły. Z początku Gazid próbował kluczyć; widać było, że z wysiłkiem grzebie w myślach, szukając odpowiednich, w miarę wiarygodnych kłamstw. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że w trosce o własne zdrowie powinien mówić prawdę.

– Jest taki facet, od którego od czasu do czasu kupuję towar... – przyznał w końcu z wahaniem. – Tak się złożyło, że miałem akurat rozłożone na półce odbitki twoich rzeźb... no i... kiedy przyszedł, spodobały mu się i powiedział, że parę z nich

chciałby zabrać. A ja mu na to: „Dobra”. Jakiś czas później spotkaliśmy się znowu i stwierdził, że pokazał heliotypy gościowi, u którego sam zaopatruje się w towar, i że tamtemu też się spodobały, i że je zabrał, i że pokazał swojemu szefowi, i że w końcu dotarli do takiego faceta, co siedzi na samym szczycie tego interesu i bardzo interesuje się sztuką – w zeszłym roku kupił na przykład parę prac Alexandrine. No i temu najważniejszemu też wpadły w oko, i to tak skutecznie, że chciałby, abyś zrobiła coś specjalnie dla niego.

Lin przetłumaczyła sobie w myśli pokrętną opowieść Gazida. „Szef twojego dealera narkotykowego chce, żebym dla niego pracowała???” – napisała z oburzeniem.

– Coś ty, Lin, nic z tych rzeczy!... To znaczy... może i tak, ale... – Gazid zaciął się na moment. – Powiedzmy, że tak – dokończył z głupią miną i znowu umilkł. – Tylko że... Tylko że on chce cię poznać. Jeżeli jesteś zainteresowana, musisz spotkać się z nim osobiście.

Lin musiała to przemyśleć.

Z pewnością miała przed sobą ekscytującą perspektywę. Sądząc po wizytówce, nie interesował się nią byle pośrednik, tylko któraś z bardzo grubych ryb. Lin nie była głupia; wiedziała, że taka współpraca może być niebezpieczna. Z drugiej jednak strony była autentycznie podniecona i nie bardzo mogła zapanować nad emocjami. W jej życiu artystycznym byłoby to wielkie wydarzenie. Mogłaby dyskretnie napomykać w towarzystwie, że jej mecenasem jest boss przestępczego półświatka. Była dość inteligentna, by zdawać sobie sprawę z dziecinności tej ekscytacji, a jednocześnie niewystarczająco dojrzała, by się tym przejmować.

I właśnie w chwili, gdy myślała o tym, jak bardzo się nie przejmuje własną dziecinnością, Gazid wymienił sumę, o której wspomniał mu tajemniczy pośrednik. Lin poczuła, że nogi się pod nią uginają.

„Muszę pomówić z Alexandrine” – napisała i czym prędzej wróciła do lokalu.

Alex jednak nic nie wiedziała. Owszem, skasowała od jakiegoś bandyty tyle forsy, ile się dało za dwa płótna, ale spotykała się wyłącznie z gościem średniego szczebla, a ten po prostu dał jej niewiarygodną sumę w zamian za dwie świeżo ukończone prace. Odkąd dobili targu, więcej o nim nie słyszała.

I to było wszystko. Alex nie знаła nawet imienia tajemniczego kolekcjonera.

Lin pomyślała, że dokona czegoś więcej.

Dlatego zdecydowała się przesłać wiadomość, która z rąk Gazida miała przedostać się do nielegalnej sieci komunikacyjnej wiodącej cholera wie dokąd: wiadomość, że zgadza się na spotkanie, ale chce znać przynajmniej nazwisko klienta, aby mogła zapisać je w swoim pamiętniku.

Podziemny świat Nowego Crobuzon trawił jej życzenie przez okrągły tydzień, nim wypuł odpowiedź w postaci drukowanej notatki, którą ktoś przecisnął nocą pod drzwiami mieszkania artystki. Było na niej zaledwie kilka słów – adres w Mieście Kości, data i tylko jedno nazwisko: Motley.

Korytarz wypełniły gorączkowy stukot i klekot pracujących mechanizmów. Eskortujący Lin kaktus zatrzymał się przed jednymi z wielu ciemnych drzwi, uchylił je i odsunął się na bok.

Oczy Lin szybko przystosowały się do jaskrawego światła. Miała przed sobą salę maszyn – wielkie pomieszczenie o wysoko zawieszonym stropie i ścianach pomalowanych na czarno (jak wszystko w tym ponurym gmachu), dobrze oświetlone gazowymi lampami i zastawione mniej więcej czterdziestoma biurkami. Na każdym z nich stała masywna maszyna do pisania; stukot klawiszy towarzyszył gorączkowej pracy sekretarek, które zajęte były przepisywaniem całych stert odręcznych notatek.

W większości były to kobiety rasy ludzkiej, ale Lin zarejestrowała też zapach i widok nielicznych mężczyzn, kaktusów, dwóch kheprich oraz jednego vodyanoiego, pracującego na maszynie z klawiaturą przystosowaną do wielkich, błoniastych łap.

Pod ścianami stali prze-tworzeni, przeważnie byli to ludzie, ale nie tylko. Odsetek obcych poddanych okrutnemu procesowi był tu wyższy niż w całej populacji, gdzie stanowili oni rzadkość. Niektórych prze-tworzono organicznie, wszczepiając im szpony, rogi i dodatkowe mięśnie, jednakże większość stanowili mechaniczni – duchota panująca w sali była głównie skutkiem pracy ich kotłów parowych.

W przeciwległej ścianie Lin zauważyła zamknięte drzwi prowadzące zapewne do czyjegoś biura.

– Nareszcie, panno Lin – rozległ się nagle donośny głos z tuby umieszczonej nad owymi drzwiami. Żadna z sekretarek nie podniosła głowy. – Zechce pani przejść przez salę. Zapraszam do mojego gabinetu.

Lin weszła między biurka. Próbowała odczytać treść notatek sporządzanych przez sekretarki, ale w pokoju o czarnych ścianach nie było to łatwe zadanie dla jej oczu. Kobiety pisały szybko i wprawnie, przenosząc treść rękopisów bez spoglądania na klawiaturę czy wynik swej pracy.

„W nawiązaniu do naszej rozmowy z trzynastego tego miesiąca – wystukała jedna – proszę o wznowienie działalności franchisingowej pod naszym nadzorem. Szczegółowe warunki omówimy w najbliższym czasie...”

Lin przeszła dalej.

„Zdechniesz jutro, ty skurwysyńskie, robacze gównie, ale najpierw pozazdrościsz prze-tworzonym, tchórzliwa pizdo. Będziesz wrzeszczeć tak, aż usta zaczną ci krwawić...” – pisała następna.

„O nie...” – pomyślała Lin. „Pomocy!”

Drzwi biura otworzyły się cicho.

– Zapraszam, panno Lin. Zapraszam! – zagrzmiała tuba. Lin nie zawahała się. Weszła do środka.

Szafy z aktami i półki z książkami zajmowały większość miejsca w niewielkim gabinecie. Na jednej ze ścian powieszono tradycyjny, olejny obraz przedstawiający pejzaż Zatoki Żelaznej. Za wielkim biurkiem z ciemnodrzewa wisiał zwijany parawan ozdobiony sylwetkami ryb – powiększona wersja przepierzeń, za którymi zwykle przebierały się modelki pozujące artystom. Pośrodku parawanu rysunek jednej z ryb zastąpiono małą taflą lustra, w którym Lin zobaczyła samą siebie.

Dotarłszy do płótna, zawahała się i stanęła.

– Proszę usiąść – odezwał się głos zza parawanu. Lin przyciągnęła krzesło stojące przed biurkiem. – Widzę panią, panno Lin. Lustrzany karp jest okienkiem z mojej strony. Moim zdaniem uprzejmość nakazuje uprzedzić o tym gości. – Mówca wyraźnie spodziewał się odpowiedzi, więc Lin skinęła głową. – Spóźniła się pani, panno Lin.

„Na Diabli Ogon! Że też musiałam się spóźnić akurat na to spotkanie!”. – pomyślała w panice Lin. Zaczęła pospiesznie pisać w notatniku słowa przeprosin, ale przerwał jej głos zza zasłony.

– Rozumiem język znaków, panno Lin.

Khepri odłożyła notatnik i wprawnymi ruchami dłoni przeprosiła najlepiej, jak umiała.

– Proszę się tak nie przejmować – odparł gospodarz z nieszczerą uprzejmością. – Zdarza się. Miasto Kości nie jest zbyt przyjazne dla odwiedzających. Następnym razem wyjdzie pani z domu nieco wcześniej, nieprawdaż?

Lin gorliwie przytaknęła, że taki właśnie ma zamiar.

– Bardzo podoba mi się pani dorobek artystyczny, panno Lin. Mam tu wszystkie heliotypy, które udało się wydobyć od Lucky’ego Gazida. To wyjątkowo smętny, żaloszny, złamany życiem kretyn, ten Gazid – uzależnienie jest smutne w większości przypadków – ale muszę przyznać, iż ma, że się tak wyrażę, nosa do ciekawej sztuki. Ta kobieta, Alexandrine Nevgets, także była jego podopieczną, prawda? Bez polotu, nawiasem mówiąc, w przeciwieństwie do pani, ale w miarę zdolna. Dlatego zawsze jestem gotów ulżyć doli Lucky’ego Gazida. Będę żałował, kiedy wreszcie umrze. A bez wątplenia nadejdzie kiedyś ten smutny dzień, gdy ktoś rozpruje mu brzuch tępym i brudnym nożem za garść drobniaków; a może zniszczy go gorączka choroby wenerycznej, którą złapie od nieletniej dziwki lub ktoś połamie mu kości za donosicielstwo – w końcu milicja płaci informatorom nie najgorzej, a ćpuny nie mogą być zbyt wybredne, jeśli chodzi o źródła dochodów...

Głos dobiegający zza parawanu był melodyjny i miał w sobie coś hipnotycznego; słowa – choć tak brutalne – układały się w głowie Lin w coś w rodzaju łagodnego wiersza. A jednak bardzo się bała, nie miała pojęcia, jak mogłaby odpowiedzieć na to, co mówił gospodarz. Jej ręce pozostawały więc nieruchome.

– Skoro więc, jak już mówiłem, polubiłem pani twórczość, chciałbym teraz porozmawiać z panią, by przekonać się, czy jest pani odpowiednią osobą do przyjęcia mojego zlecenia. Pani prace są dość niezwykle, zwłaszcza w zestawieniu z tradycyjnymi dziełami kheprich. Zgodzi się pani ze mną?

Tak.

– Proszę mi opowiedzieć o swoich rzeźbach, panno Lin. Może pani bez obawy mówić o nich ze szczerym uczuciem. Nie mam nic przeciwko poważnemu traktowaniu sztuki, zresztą proszę nie zapominać, że to ja zacząłem tę rozmowę. Kluczowe słowa, które powinna pani mieć w pamięci, odpowiadając na moje pytania, to: „tematyka”, „technika” oraz „estetyka”.

Lin zawahała się, ale strach pomógł jej podjąć decyzję. Bardzo chciała zadowolić tego człowieka, a skoro zrealizowanie tego zamiaru wymagało opowiadania o własnej sztuce, nie miała nic przeciwko temu.

Pracuję samotnie, zaczęła. To część mojego... buntu. Opuściłam Creekside i Kinken, zostawiając swój rój. Mój lud żyje tam w poczuciu pogłębiającej się beznadziei, więc i wspólna sztuka stała się debilnie heroiczna. Przykład: Plac Posągów. A ja chciałam wypluć coś... paskudnego. Usiłowałam uczynić którąś z figur, które tworzyłyśmy razem, trochę mniej idealną... Siostry się wkurzyły. Dlatego postanowiłam działać samodzielnie. Teraz robię paskudne rzeczy. Paskudne jak Creekside.

– Właśnie tego się spodziewałem. Pani motywacja jest, proszę wybaczyć, raczej mało oryginalna. Co w niczym nie osłabia siły pani dzieł, rzecz jasna. Khepri-ślina to cudowna substancja. Wykonane z niej prace mają niesamowity połysk, są mocne i lekkie, a przez to bardzo praktyczne – wiem, że nie powinienem używać tego słowa w odniesieniu do dzieł sztuki, ale jestem z natury pragmatyczny. Tak czy inaczej, używanie tak genialnego budulca do wyrażania frustracji złamanych życiem kheprich to okropne marnotrawstwo. Poczulem wielką ulgę, kiedy przekonałem się, że ktoś jednak stosuje ten materiał do tworzenia czegoś naprawdę interesującego, niepokojącego. Kanciastość pani rzeźb, nawiasem mówiąc, jest fascynująca.

Dziękuję. Opanowałam doskonałą technikę gruczołową. Lin postanowiła skorzystać z przyzwolenia na odrobinę autoreklamy. Zostałam wykształcona wedle zasad szkoły Outnow, które zabraniają kształtowania raz wyplutej śliny. To świetne ćwiczenie; pomaga osiągnąć pełną kontrolę nad pracą. Lecz mimo to... zbuntowałam się. Wracam do miejsc, w których ślina jest jeszcze miękka, i obrabiam ją stosownie

do potrzeb. Mam dzięki temu większą swobodę, mogę kształtować nawisy i inne elementy wymagające precyzji.

– Czy używa pani bogatej palety barw? – Lin skinęła głową. – Heliotypy pozwalają jedynie na oglądanie dzieł w sepii. Dobrze wiedzieć. Wiem już co nieco o technice i estetyce. Teraz bardzo chciałbym usłyszeć coś o tematyce pani prac.

Lin zeszywniała. Nagle zdała sobie sprawę, że nie potrafi opowiedzieć o tym, co tak naprawdę przedstawiały jej rzeźby.

– Pomogę pani. Opowiem o tym, co sam uważam za interesujące. Być może to wystarczy, byśmy mogli stwierdzić, czy nadaje się pani do wykonania mojego zlecenia.

Głos umilkł w oczekiwaniu na zgodę Lin.

– Proszę unieść głowę, panno Lin – odezwał się gospodarz, kiedy odpowiedziała potakującym skinieniem. Przewyciężając strach, zrobiła to, o co prosił. Niepokoila ją ta pozycja; ukazując wrażliwe podgardle pod owadzią głową, miała wrażenie, że naraża się na niebezpieczeństwo. Mimo to odłoniła szyję, pozwalając, by oczy ukryte za lustrem w kształcie ryby przyjrzały się jej uważnie.

– Ma pani w szyi identyczne elementy, jak kobieta rasy ludzkiej. Widzę nawet to samo zagłębienie u jej podstawy, które tak chętnie opiewają poeci. Pani skóra ma odcień czerwieni, który ludzie uznaliby za dość niezwykły, przyznaję, ale mimo wszystko mógłby uchodzić za ludzki. Spoglądam jednak w górę, wzdłuż tej pięknej, ludzkiej szyi – bez wątplenia zaneguje pani użycie słowa „ludzkiej”, ale proszę dać mi jeszcze moment – i nagle... nagle docieram do miejsca... do tej wążutkiej strefy, w której owa miękka, ludzka skóra zlewa się z blado kremową, segmentowaną, spodnią stroną pani głowy. – Po raz pierwszy odkąd Lin weszła do gabinetu, gospodarz zdawał się szukać w myśli właściwych słów. – Czy kiedykolwiek stworzyła pani podobiznę kaktusa? – Lin potrząsnęła głową. – Ale na pewno widziała pani z bliska jedną z tych istot? Weźmy chociażby mojego pracownika, który przyprowadził panią tutaj. Czy zwróciła pani uwagę na jego stopy, palce, szyję? Są takie miejsca na jego ciele, gdzie skóra myślącej istoty przemienia się w skórę bezrozumnej rośliny. Kiedy odcina się kaktusowi szeroką, okrągłą podeszwę stopy, on nic nie czuje. A gdy ukłuje się go wyżej, w miękką część uda, piszczy z bólu. Jest jednak i taka strefa... zupełnie inna... gdzie nerwy splatają się ze sobą i zmieniają, gdzie uczą się, jak być obojętną rośliną, gdzie najostrzejszy nawet ból jest daleki, rozproszony, raczej niepokojący niż przerażający. Proszę pomyśleć o innych przykładach. O torsie skorupiaka lub calowca, o stadium przejściowym w kończynie prze-tworzonego, o wielu innych rasach i gatunkach zamieszkujących to miasto i niezliczonych odmianach istot z całego świata, żyjących w ciałach kundli, mieszańców. Zapewne powie pani, że nie dostrzega żadnej fazy przejściowej w swoim ciele, że khepri są i zawsze byli skończoną całością, że dostrzeganie w pani ciele „ludzkich” cech jest przejawem mojego antropocentryzmu. Jeśli jednak odrzucimy ironię tego oskarżenia – ironię, której jeszcze pani sobie nie uświadamia – z pewnością przyzna pani, że istnieją owe strefy przemiany w ciałach stworzeń należących do innych ras; może nawet w ciałach ludzi. – Gospodarz ciągnął wypowiedź. – A cóż można powiedzieć o naszym mieście? Wciśnięte między dwie rzeki, które łączą się, by stać się morzem, między góry, które zmieniają się niepostrzeżenie w płaskowyż, gdzie drzewa porastające z rzadka południowe przedmieścia gromadzą się niespodziewanie i oto ilość staje się jakością: nagle tworzą las. Architektura Nowego Crobuzon także się zmienia. Proszę pomyśleć o budowlach industrialnych, o rezydencjach, przepychu, o slumsach, o podziemiach, o konstrukcjach napowietrznych, o jaskrawych kolorach, o szarości, o żyznej ziemi, o pustkowiu... Pani na pewno rozumie. Nie będę kontynuował.

I taki właśnie jest cały świat, panno Lin. Wierzę, że na tym polega jego fundamentalna dynamika: na przemianach. Na istnieniu stref, w których jedna rzecz staje się inną. I ten temat interesuje mnie najbardziej. Sfery, w których to, co oddzielne, staje się częścią całości. Strefy hybrydowe. Czy sądzi pani, że i dla niej te zagadnienia mogą być ciekawe? Bo jeśli tak... to zamierzam zaproponować pani pracę. Zanim jednak udzieli pani odpowiedzi, proszę zrozumieć dobrze, co to oznacza. Poproszę panią o uchwycenie w rzeźbie żywego obiektu. Stworzy pani model naturalnej wielkości. Model... mnie.

Bardzo niewielu ludzi zna moją twarz, panno Lin. Człowiek na moim stanowisku musi być nadzwyczaj ostrożny. Z pewnością rozumie pani, dlaczego tak jest. Jeżeli przyjmie pani to zlecenie, uczynię panią bogatą, ale jednocześnie stanę się częścią pani umysłu. Tą częścią, która będzie mnie pamiętać. Tą, która będzie moja. Nie pozwolę pani podzielić się tą wiedzą z nikim. Jeżeli jednak uczyni to pani, postaram się, żeby przed śmiercią cierpiała pani niewyobrażalne męki. Tak więc... – Zza parawanu dobiegł cichy trzask i Lin zdała sobie sprawę, że jej rozmówca siedzi na krześle. – Tak więc, panno Lin, czy jest pani zainteresowana strefą hybrydową? Czy jest pani zainteresowana pracą dla mnie?

„Nie mogę... Nie mogę odrzucić takiej propozycji” – pomyślała bezradnie. „Nie mogę. Przez wzgląd na pieniądze, na sztukę... Bogowie, pomóżcie mi. Nie mogę jej odrzucić. Błagam, nie pozwólcie, żebym żałowała tej decyzji”.

Po chwili skinęła ręką na znak zgody.

– Och, tak się cieszę. – Gospodarz odetchnął z ulgą. Serce Lin zaczęło bić jeszcze szybciej. – Naprawdę, jestem zadowolony z pani decyzji. No cóż... – W niewidocznej części gabinetu rozległo się ciche szuranie. Lin siedziała nieruchomo, tylko jej czułki drgały niespokojnie. – Mam nadzieję, że żaluzje dzielące nas od sekretariatu są opuszczone? – upewnił się pan Motley. – Myślę, że powinna pani zobaczyć obiekt, nad którym będzie pani pracować. Pani umysł należy teraz do mnie, Lin. Pracuje pani dla mnie.

Pan Motley wstał i pchnął parawan, przewracając go na podłogę.

Lin także wstała, niepewnie, w zdumieniu i strachu poruszając nieświadomie głowoodnóżami. Patrzyła.

Strzępy skóry, futra i piór powiewały, kiedy się poruszały. Wypustki na końcach wątych członków zaciskały się kurczowo. Oczy pobłyskiwały z głębi ciemnych oczodołów. Rogi i wyrostki kostne sterczały groźnie na wszystkie strony, macki drżały spazmatycznie, a liczne usta błyszczały wilgocią. Łaty różnokolorowych skór kontrastowały ze sobą fatalnie. Pęknięte kopyto postukiwało z cicha o drewnianą podłogę. Wypukłe strumienie mięśni zderzały się ze sobą pod skórą, tworząc absurdalne zgrubienia i zawirowania. Ludzkie mięśnie sprzężone z obcymi ścięgnami i przypadkowo złożonym kośćcem pracowały w niełatwej zgodzie, nadając ruchom powolne tempo i znamiona wysiłku. Łuski błyszczały. Płetwy drżały. Skrzydła trzepotały bezradnie. Owadzie szczytce zaciskały się i otwierały.

Lin cofnęła się odruchowo i potknęła; strach nakazywał jej uciekać przed tym powolnym ruchem. Chitynowy pancerz okrywający jej głowę pulsował neurotycznie. Trzęsła się z przerażenia.

Pan Motley zbliżał się do niej jak myśliwy do swej zdobyczy.

– I co, panno Lin? – spytał jednym z uśmiechniętych, ludzkich ust. – Który z moich profili podoba się pani najbardziej?

ROZDZIAŁ 5

Isaac czekał, przyglądając się gościowi. Garuda także stał w milczeniu. Isaac widział jego narastającą koncentrację, jakby przybysz szykował się do przemówienia.

Głos, który wreszcie wydostał się z gardzieli garudy, był chrapliwy i monotony.

– Jesteś uczonym. Nazywasz się... Grimnebulin.

Gość wymówił nazwisko z widocznym trudem. Podobnie jak papuga wytresowana, by mówić, kształtował spółgłoski i samogłoski gdzieś w głębi gardła, bez pomocy ruchliwych ust. Isaac tylko dwa razy w życiu rozmawiał z garudą. Pierwszym był pewien wędrowiec, który od dawna ćwiczył ludzką mowę, a drugim student, urodzony i wychowany w Nowym Crobuzon członek garudziej mniejszości, od dziecka wykrzykujący słowa w miejskim slangu. Ich głosy nie brzmiały normalnie, ale też w niczym nie przypominały tego zwierzęcego charkotu, który wydobywał się z gardła człowieka-ptaka, zmagającego się z obcą mową. Isaac zastanawiał się przez moment, zanim zrozumiał, co do niego powiedziano.

– Tak jest – odpowiedział, wyciągając rękę. – A ty? Jak się nazywasz? – spytał powoli.

Garuda spojrzał władczo na wyciągniętą dłoń i po chwili uściśnął ją w zaskakująco delikatny sposób.

– Yagharek... – Pierwszą sylabę zaakcentował przenikliwy skrzek. Stwór umilkł i poruszył się niezgrabnie, nim odezwał się ponownie. Powtórzył swoje imię, dodając na końcu trudne do rozszyfrowania dźwięki.

Isaac pokręcił głową.

– Tak brzmi twoje pełne imię i nazwisko?

– Imię... i tytuł.

Isaac spojrzał na garudę spod uniesionych brwi.

– Czy to oznacza, że mam honor rozmawiać ze szlachetnie urodzonym?

Przybysz spojrzał na niego pustym wzrokiem. Nie odrywając oczu od uczonego, odezwał się bardzo powoli:

– Jestem Zbyt Zbyt Abstrakcyjnym Yagharkiem Którego Nie Należy Szanować.

Isaac zamrugał nerwowo i potarł dłonią policzek.

– Hmm... Ach tak. Musisz mi wybaczyć, Yagharku, nie znam się zbyt na... na tytułach przysługujących garudom.

– Wkrótce zrozumiesz.

Isaac zaprosił Yagharka na górę. Przybysz wszedł ostrożnie po drewnianych stopniach, na każdym z nich pozostawiając wgłębienia po wielkich i ostrych szponach. Gospodarz nie zdołał jednak namówić go ani na to, by usiadł, ani na to, by coś zjadł lub wypił.

Garuda stał więc przy biurku Isaaca, który usiadł wygodnie i wpatrywał się w niego, zadartszy głowę.

– A zatem... Co cię do mnie sprowadza?

Yagharek znowu przestąpił z nogi na nogę, zanim się odezwał.

– Przybyłem do Nowego Crobuzon wiele dni temu. Przybyłem, bo tu są uczeni.

– Skąd pochodzisz?

– Z Cymek.

Isaac gwizdnął z cicha. A więc nie mylił się: jego gość miał za sobą daleką podróż; co najmniej tysiąc mil przez twardą, spaloną słońcem ziemię, przez suchą sawannę, morze, bagno i step. Uczucia, które kazały mu podjąć taką wyprawę, musiały być bardzo, bardzo silne.

– Skąd wiesz o uczonych z Nowego Crobuzon?

– Czytałem o waszym uniwersytecie. O nauce i o przemyśle, które gnają tu naprzód jak nigdzie indziej. I o Brock Marsh.

– Czytałeś? Ale gdzie?

– W naszej bibliotece.

Isaac zdębiał. Bezwiednie rozdziawił usta i zaraz je zamknął.

– Wybacz – powiedział. – Wydawało mi się, że jesteście nomadami.

– Owszem. Nasza biblioteka też.

I Yagharek opowiedział coraz bardziej zdumionemu Isaacowi o bibliotece z Cymek. Członkowie wielkiego klanu bibliotekarzy pakowali co pewien czas tysiące woluminów do podróźnych skrzyń i lecąc parami, przynosili je z miejsca na miejsce, wraz z resztą plemienia poszukując żywności i wody w nieustającym, morderczym lecie kraju Cymek. Gdy tylko lądowali, rozbijali ogromne osiedle namiotów, a ich żądni wiedzy współplemieńcy przybywali tłumnie, jeśli tylko znaleźli się w pobliżu.

Biblioteka liczyła sobie setki lat, a w jej zbiorach znajdowały się dzieła w niezliczonych, żywych i martwych językach: w mowie ragamoll (której dialekt używany był powszechnie w Nowym Crobuzon), w hotchi, w vodyanoi odmiany fellid i południowej, w wysokim khepri i wielu innych. Był wśród owych dzieł nawet kodeks spisany w tajemnym dialekcie łapowżerców, twierdził z dumą Yagharek.

Isaac milczał, wstydząc się własnej ignorancji. Jego dotychczasowe poglądy na temat garudów nagle legły w gruzach. Miał przed sobą kogoś więcej, niż tylko dumnego dzikusa. „Pora pójść do własnej biblioteki i nauczyć się co nieco o garudach. Jestem świńskim ignorantem” – pomyślał samokrytycznie.

– Nasza mowa nie ma formy pisanej, ale dorastając, uczymy się pisać i czytać w kilku innych językach – ciągnął przybysz. – Bez przerwy kupujemy nowe książki od podróżników i handlarzy, z których wielu odwiedziło Nowe Crobuzon. Niektórzy nawet pochodzą z tego miasta. Dlatego tak dobrze je znamy – wiemy wiele o historii i legendach.

– W takim razie jesteś lepszy ode mnie, przyjacielu, bo ja gównem wiem o twoich stronach – odparł Isaac bez entuzjazmu. Znowu zapadła niezręczna cisza. Wreszcie Isaac uniósł głowę i przemówił: – Nadal nie wiem, dlaczego tu jesteś.

Yagharek odwrócił się i wyjrzał przez okno na barki unoszące się bez celu na wodzie.

Odszyfrowanie emocji zawartych w jego głosie nie było łatwe, ale Isaac odniósł wrażenie, że słyszy w nim niesmak.

– Przez dwa tygodnie pełzałem jak robak od dziury do dziury. Szukałem gazet, plotek, informacji, a wszystkie one prowadziły mnie do Brock Marsh. W Brock Marsh zaś wskazywały na ciebie. Zadawałem jedno pytanie: „Kto potrafi zmienić własności materii?” „Grimnebulin, Grimnebulin” – odpowiadali mi wszyscy. „Jeśli tylko masz złoto – mówili – będzie do twojej dyspozycji. Pomoże ci też, jeżeli nie masz złota, ale zdołasz go zainteresować albo jeśli znudzisz go, ale wzbudzisz w nim litość. Albo jeśli będzie miał taki kaprys”. Wszyscy mówią że ty znasz sekrety materii jak nikt inny, Grimnebulin. – Yagharek spojrzał prosto w oczy uczonego. – Mam trochę złota. Zainteresuję cię. Zlituj się nade mną. Błagam, pomóż mi.

– Powiedz, czego potrzebujesz – zachęcił go Isaac. Yagharek wbił wzrok w podłogę.

– Być może leciałeś kiedyś balonem, Grimnebulin. Może spojrzales wtedy na dachy, na ziemię. Ja wzrastałem, polując wysoko na niebie. Garuda to myśliwy, Grimnebulin. Zabieramy ze sobą łuki, włócznie i długie bicze, kiedy wzbijamy się w niebo, żeby polować na ptaki. To właśnie czyni nas garudami. Nasze stopy nie są przystosowane do chodzenia po waszych podłogach, tylko do wbijania pazurów w drobną zdobycz i rozrywania jej na strzępy. Do znajdowania oparcia w suchych konarach drzew i skalnych kolumnach gdzieś między niebem a ziemią. – Yagharek

mówił jak poeta. Zdania, które wypowiadał, były urywane, za to ich forma była piękna: inspirowana eposami i dziełami historycznymi, które garuda zgłębiał przez całe życie. Dziwny był język istoty, która uczyła się ludzkiej mowy ze starych ksiąg. – Latanie nie jest luksusem. Jest tym, co daje garudzie jego tożsamość. Ciarki mnie przechodzą, gdy patrzę na dachy, które ograniczają moją wolność. Chcę spojrzeć na to miasto z góry, zanim wrócę w swoje strony, Grimnebulin. Chcę latać. Nie raz, ale za każdym razem, gdy przyjdzie mi na to ochota. Chcę, żebyś mi to umożliwił.

Yagharek rozpiął płaszcz i rzucił go na podłogę, spoglądając na uczonego ze wstydem i dumą zarazem. Isaac znowu rozdziawił usta.

Yagharek nie miał skrzydeł.

Do jego pleców umocowana była misternie wykonana rama z drewnianych poprzeczek i skórzanych pasków, która podskakiwała idiotycznie przy każdym ruchu tułowia. Miał na sobie coś w rodzaju kamizelki, do której przyszyto dwie solidne, ręcznie strugane deski udające skrzydła, wystające wysoko ponad głowę i zwisające u dołu na wysokość kolan. Nie było na nich ani skóry, ani piór, ani płótna; z całą pewnością nie służyły do latania. Były tylko przebraniem, chytrą sztuczką, dzięki której Yagharek ubrany w obszerny płaszcz mógł wyglądać tak jak każdy normalny, skrzydlaty garuda.

Isaac wyciągnął rękę. Yagharek zeszytniał, ale zapanował nad sobą i pozwolił mu dotknąć konstrukcji.

Uczony w zdumieniu potrząsnął głową. Pod skórzaną kamizelką dostrzegł fragment poszarpanej blizny na grzbiecie przybysza, nim ten obrócił się gwałtownie twarzą ku niemu.

– Dlaczego? – szepnął Isaac.

Na ptasiej twarzy Yagharka pojawiły się zmarszczki, kiedy ze wszystkich sił zacisnął powieki. Piskliwy, bardzo ludzki jęk wyrwał się z jego gardła. Narastał szybko i zaraz zmienił się w ptasią pieśń bojową, głośnie, monotonna, żalonna i samotna. Isaac spojrzał na garudę z niepokojem, gdy melancholijny śpiew zamienił się w prawie niezrozumiały krzyk:

– Dlatego, że to jest moja hańba! – Yagharek umilkł na chwilę, a potem przemówił już znacznie spokojniejszym głosem. – To jest moja hańba.

Odpiął niezgrabną masę drewna i skóry, która z głośnym klekotem spoczęła na podłodze laboratorium.

Był półnagi. Jego ciało, szczupłe, sprężyste i kształtne, prezentowało się nadzwyczaj zdrowo. Tyle że bez imponującej masy „skrzydeł” ukrytych dotąd pod płaszczem sprawiało wrażenie mniejszego i znacznie delikatniejszego.

Yagharek odwrócił się niespiesznie i Isaac wstrzymał oddech, gdy jego oczom ukazały się blizny, które wcześniej widział tylko przez ułamek sekundy.

Dwa długie nacięcia w plecach garudy, na wysokości łopatek, wypełnione były jaskrawoczerwoną tkanką, która wyglądała tak, jakby się gotowała. Kiepsko gojące się rany nie miały regularnego kształtu – na boki rozchodziły się drobne pęknięcia, podobne do nabiegłych krwią żył. Pasma zniszczonego mięsa miały co najmniej półtoręj stopy długości i cztery cale szerokości. Isaac współczująco zmarszczył czoło – brzegi ran były ząbkowane i zagięte, co mogło oznaczać tylko jedno: skrzydła Yagharka zostały odpiłowane od grzbietu. To nie było jedno gładkie cięcie, ale długotrwałe tortury, których celem było okaleczenie. Isaac skrzywił się mimowolnie.

Ukryte pod cienką warstwą świeżej tkanki kikuty kości poruszyły się lekko. Naprężone mięśnie były groteskowo widoczne.

– Kto to zrobił? – spytał cicho Isaac. „A jednak opowieści były prawdziwe” – pomyślał. „Cymek to dziki, bardzo dziki kraj”.

Minęła długa chwila, zanim Yagharek zdobył się na odpowiedź.

– Ja... Jato zrobiłem.

W pierwszej chwili Isaac był pewien, że nie rozumiał.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Jak, do kurwy nędzy, mógłbyś sobie...?

– Sprowadziłem na siebie karę! – przerwał mu krzykiem Yagharek. – To jest sprawiedliwość. Dlatego mówię, że ja to zrobiłem.

– To ma być pieprzona kara?! Kurwa, za co?! Co zrobiłeś?

– Zamierzasz krytykować sprawiedliwość mojego ludu, Grimnebulin? Obawiam się, że nie będę mógł tego słuchać, nie myśląc o waszych prze-tworzonych...

– Nie próbuj odwracać kota ogonem! Choć oczywiście masz rację; na myśl o prawach obowiązujących w tym mieście wątroba mi się przewraca... Ale teraz po prostu usiłuję zrozumieć, co ci się przytrafiło.

Yagharek westchnął ciężko i w zadziwiająco ludzki sposób wzruszył ramionami. Kiedy się odezwał, w jego głosie był spokój i ból.

– Byłem zbyt abstrakcyjny. Nie byłem wart szacunku. Zdarzyło się... szaleństwo. To ja byłem szalony. Popełniłem ohydny, ohydny zbrodnię... – Yagharek urwał i znowu zaczął jęczeć.

– Ale co dokładnie zrobiłeś? – Isaac zacisnął zęby, sposobiąc się do wysłuchania opowieści o makabrycznych szczegółach.

– Ten język nie jest w stanie wyrazić mojego przestępstwa. W mojej mowie... – Yagharek utknął na dłuższą chwilę. – Spróbuję to przetłumaczyć. Osądzono mnie... i słusznie... za kradzież wyboru... kradzież wyboru drugiego stopnia... z kompletnym nieposzanowaniem.

Yagharek zapatrzył się na panoramę miasta za oknem. Głowę trzymał wysoko, ale nie ośmielił się spojrzeć w oczy Isaaca.

– I dlatego zostałem nazwany Zbyt Zbyt Abstrakcyjnym, a w konsekwencji niegodnym szacunku. I tym teraz jestem. Przestałem być Konkretną Jednostką i Szanowanym Yagharkiem. Ta osoba już nie istnieje. Zdradziłem ci moje aktualne imię i mój tytuł. Jestem Zbyt Zbyt Abstrakcyjnym Yagharkiem Którego Nie Należy Szanować. Tak pozostanie na zawsze.

Isaac pokręcił głową, a Yagharek przysiadł wolno na skraju jego łóżka. Wyglądał jak uosobienie rozpacz. Uczony patrzył na niego bardzo długo, zanim się odezwał.

– Musisz o czymś wiedzieć – rzekł Isaac. – Tak naprawdę... wielu z moich klientów żyje, nazwijmy to, po niewłaściwej stronie prawa. Nie będę udawał, że zrozumiałem cokolwiek z twoich wyjaśnień na temat tej zbrodni, ale z drugiej strony to nie moja sprawa. Jak sam powiedziałaś, w tym mieście nie ma słów, które mogłyby ją opisać. Dlatego nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek pojął, co takiego masz na sumieniu. – Isaac mówił wolno i z powagą, ale jego umysł już wybiegał w przyszłość. Zastanawiając się nad tym, co go czeka, kontynuował z coraz większym ożywieniem. – Twój problem jest... ciekawy – ciągnął, rysując w wyobraźni wektory sił, linie femtomorficznych rezonansów i pól energetycznych. – Łatwo byłoby wyprawić cię w powietrze. Moglibyśmy skorzystać z balonów, manipulacji siłami i Bóg wie czego jeszcze. Nie byłoby trudno powtórzyć to działanie wielokrotnie. Ale wysłanie cię w powietrze zawsze, kiedy tylko tego zapragniesz, za pomocą własnego napędu... Bo o to właśnie ci chodzi, prawda? – Yagharek przytaknął ruchem głowy. Isaac pogładził podbródek. – Do licha... Tak, to jest dopiero problem do przemyślenia!

Isaac zaczął pograżać się w precyzyjnych obliczeniach. Ta część jego umysłu, która zwykle zajmowała się prozaicznymi sprawami, podpowiedziała mu, że nie ma istotnych zobowiązań na najbliższe dni i może oddać się w pełni rozwiązywaniu

najnowszej zagadki. Inna, równie pragmatyczna, część jego osobowości dokonywała oceny ważności spraw zaległych. Niewiele tego było – kilka śmiesznie prostych analiz związków chemicznych, które mógł przekładać w nieskończoność, półobietnica zsyntetyzowania jednego czy dwóch eliksirów... Jeśli nie liczyć drobiazgów, zajmowały go ostatnio jedynie własne badania nad wododziełem vodyanoich. A przecież i tę sprawę mógł odłożyć na później.

„Nie, nie, nie!” – zaprzeczył sam sobie w duchu. „Wcale nie muszę odkładać badań nad wododziełem... Mogę połączyć dwie sprawy! Przecież wszystko to ma związek z nienormalnym zachowaniem cząstek... Co za różnica? Ciecz, która lubi stać pionowo, czy ciężka materia, która pragnie latać... Coś w tym musi być... Jakiś wspólny mianownik...”

Isaac z wysiłkiem powrócił do rzeczywistości, do własnego laboratorium, w którym Yagharek wciąż siedział bez ruchu, spoglądając na niego bez emocji.

– Zainteresowałaś mnie swoją sprawą – powiedział po prostu. Yagharek natychmiast sięgnął do sakiewki i wyjął pełną garść nierównych, brudnych bryłek złota. Isaac spojrzał na nie szeroko otwartymi oczami. – Tak... no cóż... dziękuję. Z pewnością przyjmę jakieś wynagrodzenie, może zwrot za wydatki albo stawkę godzinową...

Yagharek podał mu całą sakiewkę.

Isaac jakimś cudem zdołał nie gwizdnąć ze zdumienia, gdy zważył w dłoni jej masę. Zajrzał do środka i zobaczył w niej jedynie złoto: warstwę na warstwie, bezładną mnogość cennych bryłek. Zapominając na moment o godności, wpatrywał się w nie jak urzeczoną. Miał w ręku równowartość takiej kwoty pieniędzy, jakiej jeszcze nigdy nie widział w jednym miejscu. Z pewnością był to majątek wystarczający na przeprowadzenie szeroko zakrojonych badań i dostatnie życie przez wiele miesięcy.

Jedno było pewne: Yagharek nie był asem w ubijaniu interesów. Mógł zaoferować jedną trzecią albo jedną czwartą tego, co zawierała sakiewka, a i tak każdy z naukowców pracujących w Brock Marsh byłby w siódmym niebie. Powinien był zatrzymać większość złota, pokazując je uczonemu na zachętę, gdyby jego zainteresowanie opadło.

„Może i zatrzymał sobie większość” – pomyślał Isaac i jego powieki rozsunęły się jeszcze szerzej.

– Jak mam się z tobą kontaktować? – zapytał, nie odrywając wzroku od złota. – Gdzie mieszkasz?

Yagharek bez słowa pokręcił głową.

– Jakoś przecież musimy utrzymywać łączność...

– Przyjdę do ciebie – odparł garuda. – Codziennie, co dwa dni, co tydzień... Jak chcesz. Dopilnuję, żebyś o mnie nie zapomniał.

– Tego nie musisz się obawiać. Ale czy jesteś pewien, że nie chcesz dostawać ode mnie wiadomości?

– Nie wiem, gdzie znajdę się jutro, Grimnebulin. Muszę się kryć przed tym miastem. Ono mnie tropi. Muszę być w ciągłym ruchu. – Isaac bezradnie wrzucił ramionami. Przybysz wstał, sposobiąc się do wyjścia. – Rozumiesz, czego pragnę, Grimnebulin? Nie chcę łykać żadnych eliksirów. Nie chcę nosić upręży. Nie chcę włączyć do wnętrza maszyny. Nie chcę jednej wspaniałej podróży do chmur i wieczności spędzonej na ziemi. Chcę, żebyś umożliwił mi start w przestworza tak łatwy, jak przejście z pokoju do pokoju. Potrafisz tego dokonać, Grimnebulin?

– Nie wiem – odrzekł z namysłem Isaac. – Ale podejrzewam, że tak. Moim zdaniem nie mogłeś trafić lepiej. Nie jestem ani chymikiem, ani biologiem, ani

taumaturgiem... Jestem dyletantem, Yagharek, zwykłym amatorem. Uważam się za... – Uczony urwał i zaśmiał się lekko, by przemówić po chwili z większą werwą. – Uważam się za coś w rodzaju dworca głównego dla wszystkich szkół myślenia. Jestem jak Dworzec Perdido. Słyszałeś o nim? – Yagharek skinął głową. – Nieuniknione, prawda? Kurewsko wielka rzecz. – Isaac poklepał się po brzuchu, kontynuując analogię. – Spotykają się w nim wszystkie linie kolejowe: Sud, Dexter, Verso, Head i Sink. Każda musi przejść przez Perdido. I podobnie jest ze mną, taką mam pracę; takim jestem naukowcem. Jestem z tobą szczerzy. Widzisz, moim zdaniem potrzeba ci właśnie kogoś takiego jak ja.

Yagharek miarowo kiwał głową. Rysy jego drapieżnej twarzy były ostre, surowe. Nie widać było na niej śladu emocji. Zdania, które wypowiadał, wymagały odszyfrowania. Nie w jego obliczu, nie w oczach, nie w postawie (ponownie dumnej i władczej) i nie w głosie Isaac dostrzegał rozpacz. Przebijała ona jedynie z jego słów.

– Możesz być dyletantem, szarlatanem lub oszustem... Bylebyś na powrót wyprawił mnie w niebo, Grimnebulin.

Yagharek schylił się, by podnieść swe paskudne, drewniane przebranie. Zapiął na sobie uprząż bez widocznego skrępowania, choć zapewne cierpiał w głębi duszy. Isaac bez słowa obserwował, jak garuda narzuca na siebie obszerny płaszcz i cicho schodzi po drewnianych stopniach.

Oparłszy się o poręcz, w zamyśleniu patrzył na plecy Yagharka, który stąpając po zakurzonej podłodze, mijał nieruchomą maszynę sprzątającą, sterty byle jak ułożonych papierów, krzesła i tablice. Smugi światła, które jeszcze niedawno wdzierały się do wnętrza przez otwory w ścianach, zniknęły bez śladu. Słońce wisiało już nisko, za budynkami stojącymi po przeciwnej stronie ulicy, zasłonięte nieprzerwanymi ciągami cegieł. Ześlizgując się z nieba ponad starożytnym miastem, oświetlało niewidoczną stronę Gór Tańczącego Buta, Kolca i turni nad Przełęczą Pokutnika, rzucając na zachód od Nowego Crobuzon długie na wiele mil cienie poszarpanych skał.

Yagharek otworzył drzwi i wyszedł na ulicę pogrążoną w półmroku.

*

Isaac pracował do późnej nocy.

Gdy tylko Yagharek opuścił laboratorium, uczony otworzył okno i uwiązał do wbitego w mur gwoźdźca długi kawałek czerwonej linki. Kiedy prznosił ciężką maszynę liczącą z biurka na podłogę, pliki kart perforowanych wysypały się z przegrody na półce. Klnąc, zebrał je w schludny stosik i odłożył na miejsce. Następnie ustawił na blacie maszynę do pisania i zabrał się do sporządzania listy. Od czasu do czasu zrywał się gwałtownie i wędrował do naprędce skleconych półek z książkami lub do sterty dzieł spoczywających wprost na deskach podłogi. Znalezione woluminy zabierał ze sobą i wertował od tyłu, szukając bibliografii. Pracowicie kopiował szczegółowe informacje, dziabiąc dwoma palcami w klawisze maszyny.

W miarę pisania jego założenia badawcze stawały się coraz bardziej rozległe. Przeszukiwał coraz więcej książek, z szeroko otwartymi oczami rozważając ogrom pracy, którą przyjął na swoje barki.

Kiedy skończył, rozsiadł się wygodniej na krześle i zamyślił głęboko. Potem wziął czystą kartkę papieru i zaczął kreślić diagramy – mentalne mapy, plany pracy.

Za każdym razem docierał do tego samego modelu: do trójkąta z krzyżem osadzonym pośrodku. Nie umiał powstrzymać uśmiechu zadowolenia.

– To mi się podoba... – mruknął.

Nagle rozległo się stukanie w okno. Uczony wstał i podszedł do brudnej szyby.

Na zewnątrz szczyrzyła doń zęby mała, szkarłatna twarzy idioty. Z jej wydatnego podbródka sterczały dwa grube rogi, a grzbiety i wyrostki kostne nieprzekonująco udawały fryzurę. Ponad nieapetycznym, choć radosnym uśmiechem błyszcząły wodniste oczy.

Isaac otworzył okno, wpuszczając do hali resztki dziennego światła i głośny spór syren barek rzecznych, które próbowały wymusić na sobie pierwszeństwo na ciemnych wodach Egzemy. Stworzenie, które przysiadło na parapecie, wskoczyło do środka, chwyciwszy się drewnianej ramy sękatymi łapskami.

– Siemanko, szefie! – zatrajkotało z fatalnym akcentem. – Zobaczył to czerwone чудо, szalik czy coś... Zobaczył i mówi do siebie: „Czas odwiedzić szefuńcia!” – Stwór mrugnął porozumiewawczo i zarżał głupkowato. – W czym problemik, kierowniku? Jezdem do usług.

– Dobry wieczór, Miętafiksie. Widzę, że odczytałeś sygnał. – Isaac powitał gościa, a stwór zatrzepotał czerwonymi, nietoperzowymi skrzydłami.

Miętafix był wyrmenem. Krępe istoty tego gatunku, o wypukłych piersiach i grubych ramionach – podobnych do kończyn ludzkich karłów – umocowanych poniżej ohydnych, ale funkcjonalnych skrzydeł, należały do najpopularniejszych bywalców przestworzy nad Nowym Crobuzon. Dłonie służyły im za stopy. Ramiona sterczące z pękatych korpusów przywodziły na myśl krótkie, krucze nóżki. Wyrmeni potrafili wykonać po kilka chwiejnych kroków, balansując na dłoniach, kiedy znajdowali się pod dachem, ale zdecydowanie woleli krążyć nad miastem, dla draki wrzeszcząc i pikując w stronę niczego niespodziewających się przechodniów.

Byli bardziej inteligentni od psów czy małp, ale zdecydowanie głupszy od ludzi. Rozkoszowali się intelektualną dietą skatologicznych i slapstickowych dowcipów oraz naśladownictwem – nawet imiona dla siebie wybierali bezrozumnie z tekstów popularnych piosenek, katalogów meblowych czy porzuconych książek, które ledwie byli w stanie przeczytać. Miętafix, na przykład, miał siostrę Zakrętkę, a jeden z jego synów nosił atrakcyjne imię Świerzb.

Wyrmeni zajmowali setki i tysiące drobnych nisz na poddaszach, w altanach i za parkanami. Większość z nich wybierała żywot na obrzeżach miasta. Na olbrzymich wysypiskach u granic Stoneshell i Abrogate Green, a także na zaśmieconych, nadrzecznych polach w Griss Twist, wprost roiło się od wyrmenów – kłócących się, śmiejących, pijących stojącą wodę z kanałów oraz pieprzących się na łądzie i w powietrzu. Niektórzy, tacy jak Miętafix, wzbogacali śmieciarskie życie dorywczymi pracami na czarno. Kiedy nad dachami pojawiały się uwiązane szaliki lub na murach wokół okien na najwyższych piętrach rysowano kredą wielkie symbole, najczęściej oznaczało to, że ktoś potrzebuje usług wyrmena.

Isaac pogmerał palcami w kieszeni i wyciągnął z niej szekla.

– Chciałbyś tyle zarobić, Miętafiksie?

– Jasna sprawa, szefuniu! – wykrzyknął z zapalem wyrmen. – Patrzy na dół! – dodał ostrzegawczo i zesrał się z donośnym hukiem. Rzadki stolec rozprysnął się na ulicy, Miętafix zaś zarechotał radośnie.

Isaac podał mu zwiniętą w rulon listę książek, którą wcześniej sporządził.

– Zaniesiesz to do biblioteki uniwersyteckiej. Wiesz, gdzie to jest? Za rzeką. Doskonale. Będzie otwarta do późna, powinieneś zdążyć. Dasz to bibliotekarzowi.

Nota jest podpisana, więc nie powinieneś mieć kłopotów. Załadują ci trochę książek. Myślisz, że zdołasz je tu przydzwigać? Mogą być dosyć ciężkie.

– Zero problemu, kierowniku! – Miętafix wyprężył pierś jak kogut. – Ja silny gość!

– Świetnie. Jeśli przyniesiesz wszystkie za jednym kursem, dostaniesz coś ekstra.

Miętafix chwycił zwiniętą kartkę i odwrócił się, gotów odlecieć z bezczelnym, dziecinnym wrzaskiem, lecz Isaac złapał go znienacka za krawędź skrzydła. Zdziwiony wyrmen odwrócił się gwałtownie.

– Problemik, szefie?

– Nie, nie... – Isaac wpatrywał się z uwagą w podstawę imponującego skrzydła, delikatnie otwierając je i zamykając ruchem ręki. Pod ogniście czerwoną skórą, twardą, chropowatą i pokrytą plamami, wyczuwał ruchy wyspecjalizowanych mięśni służących lataniu. Ich praca była fenomenalnie wydajna. Badacz zatoczył skrzydłem pełny okrąg, czując pod palcami, jak naprężają się kolejno, generując ruch imitujący wiosłowanie, który w locie służył odgarnianiu powietrza spod ciała wyrmena. Miętafix zachichotał.

– Łaskotki, szefuńciu! Świntuch! – wrzasnął stwór.

Isaac machinalnie wyciągnął rękę po kartkę papieru, a nie znalazłszy jej, omal nie pociągnął wyrmena za sobą w stronę biurka. Wyobrażał sobie jego skrzydło jako funkcję matematyczną, jako składową płaszczyzn...

– Wiesz co, Miętafix? Kiedy wrócisz, dam ci jeszcze jednego szekła, jeśli zgodzisz się, żebym zrobił ci parę heliotypów i przeprowadził kilka prostych eksperymentów. Zabiorę ci pół godziny, nie dłużej. Co ty na to?

– Superowo, kapitan!

Miętafix wskoczył na parapet i skoczył ku ciemniejącemu niebu. Isaac zmrużył oczy, przyglądając się krągłym ruchom skrzydeł, które bez większego wysiłku unosiły w przestworza dobrych osiemdziesiąt – a może i więcej – funtów żywego mięsa i kości.

Kiedy wyrmen zniknął mu z pola widzenia, uczony usiadł przy biurku i w pośpiechu sporządził jeszcze jedną listę – tym razem odręcznym pismem.

Na samej górze umieścił nagłówek: *Badanie*. Poniżej wyszczególnił punkty:

„fizyka; grawitacja; siły/płaszczyzny/wektory; POLE JEDNORODNE”.

Jeszcze niżej dodał kolejną specyfikację:

„Lot: I) naturalny; II) taumaturgiczny, III) chemiczno-fizyczny, IV) kombinowany, V) inny”.

Wreszcie dodał i podkreślił tytuł pisany kapitalikami: **FIZJONOMIE LOTU**.

Oparł się wygodnie, nie odprężony jednak, lecz raczej gotowy do skoku. Podśpiewywał bezwiednie, podniecony ponad wszelką miarę perspektywą nowych badań.

Sięgnął po jeden ze starych, masywnych woluminów, które wcześniej wydobył spod łóżka. Rzucił go płasko na blat, rozkoszując się głuchym dźwiękiem. Oprawę książki zdobiły tłoczone litery, wypełnione marną imitacją złota.

Bestiarium Potencjalnie Rozumnych: Świadome Rasy Świata Bas-Lag.

Isaac pogładził czule oprawę klasycznego dzieła Shacrestialchita, przed wiekiem przetłumaczoną z języka lubbock vodyanoich i uzupełnioną przez Benkerby'ego Carnadine'a, człowieka trudniącego się kupiectwem, podróżnika i uczonego-amatora z Nowego Crobuzon. Nieustannie wznawiane i naśladowane dzieło pozostawało wciąż niedościgłym wzorem. W indeksie Isaac zatrzymał palec na literze G, a potem długo wertował księgę, nim znalazł kopię doskonałej akwareli wyobrażającej ludzi-ptaki z Cymek i zdobiącą wstęp do eseju na temat garudów.

Kiedy światło wpadające przez okna stało się zbyt słabe, uruchomił lampę gazową stojącą na biurku. Tymczasem gdzieś na wschodzie, w chłodnym powietrzu zmierzchu, Miętafix z wysiłkiem bił skrzydłami i sapał niemiłosiernie, obciążony workiem książek przewieszonym przez pierś. Widział już jasny płomień lampy w laboratorium, a poniżej, tuż pod oknem, drżący blask ulicznej latarni. Nieprzerwany strumień nocnych owadów zbliżał się do niej spiralnym torem niczym rój elektronów. Niektóre odnajdowały drogę przez pęknięcia w kloszu i wpadały do wnętrza latarni, by natychmiast spłonąć w niewielkim błysku. Zwęglone szczątki opadały pyłem na dno szklanego dzwonu.

Lampa na biurku była latarnią morską nad niebezpiecznymi wodami miasta, pomagającą wyrmenowi w odnalezieniu drogi znad ciemnej rzeki, w wyrwaniu się z objęć drapieżnej nocy.

W tym mieście ci, którzy wyglądają tak jak ja, nie są tacy jak ja. Raz tylko (znużony, przestraszony i desperacko szukający pomocy) pozwoliłem sobie na błąd zwątpienia w tę prawdę.

Szukając kryjóWKi, pożywienia i ciepła pośród nocy, a także ucieczki przed dziwnymi spojrzeniami, które witały mnie wszędzie, dokądkolwiek szedłem, zobaczyłem raz młode pisklę biegnące bez wysiłku wąskim zaułkiem między bezbarwnymi domami. Moje serce omal nie wyskoczyło z piersi. Zawołałem za nim, za tym chłopcem z mojego ludu, w języku pustyni... a on odwrócił się, spojrzał na mnie, rozłożył skrzydła, otworzył dziób i... wybuchnął kakofonicznym śmiechem.

Począł kląć mnie w obcej mowie. Jego krtań toczyła walkę za każdym razem, gdy wyrzucał z siebie te ludzkie słowa. Wołałem doń w naszej mowie, ale nie rozumiał. Wreszcie wrzasnął coś przez ramię i zobaczyłem gromadę ludzkich dzieci, uliczników, wypełzających z nor niczym duchy gnębiące żywych. Młodzik, jasnowłose pisklę, wskazał na mnie ręką i znowu zasypał przekleństwami wykrzykiwanymi zbyt szybko, bym mógł je pojąć. Oni zaś, jego towarzysze, smarkacze o brudnych gębach, te niebezpieczne, brutalne, amoralne, małe istoty o pryszczatych twarzach i w obszarpanych portkach, umazane smarkami, ropą i ziemią, dziewczęta w ubrudzonych koszulinach i chłopcy w zbyt wielkich marynarkach, chwycili kamienie brukowe i zaczęli ciskać je w moją stronę, w ciemną niszę, w której stanąłem na przegniłym progu.

Chłopiec, którego nie nazwę już garudą, który był niczym więcej niż tylko człowiekiem z dziwacznymi skrzydłami i piórami, mój zagubiony nie-brat, rzucał kamienie wraz z nimi, śmiejąc się, z upodobaniem wybijając szyby nad moją kryjóWKą i przezywając mnie bez wytchnienia.

Gdy pociski zasypały mnie deszczem odłamków i płatków odłupanej farby, zrozumiałem, że jestem sam.

Tak więc wiem już, że muszę żyć, nie znajdując wytchnienia w mojej samotności, łże nie wolno mi więcej przemawiać do innych istot w ojczyściej mowie.

Przyzwyczailem się do nocnego życia, wychodzę na ulice dopiero wtedy, gdy miasto się wycisza, staje się bardziej skłonne do introspekcji. Spaceruję wtedy, czując się jak intruz w jego solipsystycznym śnie. Przybyłem tu w mroku i żyję w mroku. Dzika jasność pustyni wydaje mi się teraz ledwie legendą, którą słyszałem dawno, dawno temu. Staję się stworzeniem nocnym. Zmieniają się moje przekonania.

Wynurzam się z kryjóWKi na ulice podobne do ciemnych rzek meandrujących głębokimi kanionami z cegieł. Zimne wiatry wiejące od strony gór niosą powietrze gęste jak melasa i zapełniają pogrążone w mroku miasto chmurami pyłu i śmieci.

Dzielę się przestrzenią ulic z wirującymi skrawkami papieru i napowietrznymi wirami piasku; obok mnie przemykają tumany kurzu, niczym błędni złodzieje kryjący się w bramach.

Pamiętam pustynne wichry: chamsin, chłostający ziemię niczym ogień pozbawiony dymu, fen, uderzający z zasadzki spalonych słońcem gór i chytry samum, który znajduje drogę nawet przez skórzane ściany i drzwi biblioteki.

Wiatry w tym mieście są znacznie bardziej melancholijne. Snują się alejami jak potępione dusze, zaglądając w zamglone, oświetlone gazowymi palnikami okna. Jesteśmy braćmi, tutejsze wiatry i ja. Razem włóczymy się po okolicy.

Razem znaleźliśmy śpiących żebraków, stłoczonych obok siebie w poszukiwaniu odrobiny ciepła niczym dzikie zwierzęta; strąconych przez biedę z wyższego szczebla ewolucyjnej drabiny.

Widzieliśmy też, jak nocą wyławiano z rzeki ciała martwych istot. Ubrani na czarno funkcjonariusze milicji holowali bosakami rozdęte bezokie zwłoki, których rany wypełniała na poły ścięta, galaretowata krew.

Obserwowaliśmy zmutowane stworzenia wypełzające z kanałów i pławiące się w zimnym świetle gwiazd. Szeptaly między sobą rysując w cuchnącym biocie mapy i wypisując sekretne wiadomości.

Siedząc z wiatrem u boku, widziałem rzeczy okrutne i dziwne.

Swędzą mnie blizny i kikuty kości. Zapominam już ciężar, szelest i ruch moich skrzydeł. Gdybym nie był garudą modliłbym się chyba. Skoro jednak jestem, nie będę hołdował aroganckim duchom.

Czasami zakradam się do hali, w której Grimnebulin czyta, pisze i rysuje. Wspinam się po cichu na dach i kładę plecami na skośnej połaci. Sama myśl o tym, że wielka energia jego umysłu skierowana jest ku kwestii latania, mojego latania, mojego wybawienia, zmniejsza ból i swędzenie w mym poranionym grzbiecie. Wiatr szarpie mnie gwałtowniej niż zwykle, kiedy tu jestem – czuje się zdradzony. Wie, że kiedy znowu stanę się całością straci kompana nocnych wędrówek po zakamarkach Nowego Crobuzon. Więc chłostuje mnie, kiedy tak Madę się na dachówkach, grożąc, że ściągnie mnie w dół, w wody tej szerokiej, śmierdzącej rzeki. Rozdrażnione masy tłustego powietrza chwytają mnie zapiorą; ostrzegają przed tym, co będzie, kiedy je opuszczę. Ale ja mocno trzymam się dachu wszystkimi szponami i pozwalam, by lecznicze wibracje z umysłu Grimnebulina przeciskały się przez skruszałe poszycie i nasycaly sobą moje okaleczone ciało.

Sypiam w niszach u stóp kolumn wspierających tory, po których z hukiem przemykają pociągi.

Jadam wszelką organiczną substancję, którą uda mi się znaleźć i która nie może mnie zabić.

Ukrywam się jak pasożyt w skórze tego starego miasta, które chrapie, pierdzi, pomrukuje, drapie się, puchnie i z wiekiem jest coraz bardziej skore do przemocy.

Czasem wspinam się na sam szczyt tych olbrzymich, olbrzymich wież, które sterczą z zabetonowanej ziemi niczym kolce gigantycznego jeżozwierza. Wysoko, w nieco rozrzedzonym powietrzu, wichry zatracają swą melancholijną ciekawość, która osłabia je na poziomie ulic. Zapominają o humorach, które tamują ich pęd na wysokości drugiego piętra. Podrażnione grotami wież wystających ponad drżącą poświatę miasta – blask intensywnie białych lamp karbidowych, smolistą czerwień płonącego tłuszczu oraz wątle i trzaskające płomyki latarni gazowych, buntujące się przeciw ciemności – wiatry odzyskują właściwy sobie wigor.

Tylko tam mogę wbić pazury w koronę budynku, rozpostrzeć ramiona, poczuć gwałtowne uderzenia pędzących mas powietrza, zamknąć oczy i... choć na chwilę przypomnieć sobie, jak to jest, kiedy się lata.

CZĘŚĆ DRUGA. FIZJONOMIE LOTU

ROZDZIAŁ 6

Nowe Crobuzon było miastem nie do końca przekonanym do praw grawitacji. Aerostaty pełzały z chmury na chmurę jak robaki po główkach kapusty. Kapsuły milicji pędziły przez środek miasta ku zewnętrznym dzielnicom, a liny podtrzymujące je w powietrzu na wysokości kilkuset stóp brzęczały przy tym jak struny gitary. Wyrmeni przemierzali przestworza, pozostawiając za sobą nieapetyczne ślady defekacji. Gołębie dzieliły niebo z kawkami, jastrzębiami, jaskótkami i zbiegłymi z niewoli papugami. Latające mrówki i osy, pszczoły i muchy, motyle i moskity wiodły powietrzną wojnę przeciwko tysiącom drapiezców, takich jak aspisy i dheri. Nieporadne golemy sklecone przez pijanych studentów tłukły się po niebie na niewydarzonych skrzydłach ze skóry, papieru czy nawet ze skórek owoców, rozpadając się w locie. Nawet pociągi przewożące co dnia rzesze pasażerów i ogromne masy ładunków między poszczególnymi dzielnicami gnijącego truchła Nowego Crobuzon zazwyczaj poruszały się po napowietrznych torach, ponad domami, jakby bały się zarażenia gangreną toczącą architekturę.

Miasto wzrastało wzwyż, jakby czerpało inspirację z potężnych gór piętrzących się na zachodzie. W niebo wbijały się dziesięcio-, dwudziesto- i trzydziestopiętrowe, kanciaste budynki mieszkalne. Próbcowały sięgać chmur niczym wielkie, tłuste paluchy, niczym pięści, niczym kikuty kończyn, chwiejące się niespokojnie ponad rzędami niższych domostw. Tony betonu i smoły składające się na miejską zabudowę już dawno zakryły pradawny rys geograficzny okolicy: pagórki, zagłębienia, równiny – pozostało po nich jedynie minimalne falowanie terenu. Łagodnie nachylone zbocza Vaudois Hill, Flyside, Flag Hill i St Jabber's Mound pokryły się slumsami, przypominającymi z daleka skalne rumowiska.

Czarne ściany gmachu Parlamentu sterczały z brzegów Strack Island jak ostre zęby rekina lub kolce płaszczki, niczym monstrualna, organiczna broń skierowana ku niebu. Budynek okryty był z zewnątrz plątaniną rur i mozaiką wielkich nitów. Gdzieś głęboko w jego trzewiach drżały i pomrukiwały stare piece. Pokoje niejasnego przeznaczenia wystawały groteskowo poza jego główną bryłę, a architekt tego dzieła nie przejął się zbytnio zapewnieniem im odpowiednich podpór. Gdzieś we wnętrzu gmachu, w Komnacie, z dala od czystego nieba, przechadzali się Rudgutter i jego nudziarze. Parlament przypominał ogromną górę znieruchomiałą na krawędzi architektonicznej lawiny.

Królestwo, które rozciągało się ponad miastem, nie było czystsze. Kominy fabryczne przebijały membranę oddzielającą ziemię od przestworzy i wyrzucały tony trującego smogu do wyższego świata – jakby na złość bogom. Niżej, tuż ponad dachami domów, zbierały się gęste i cuchnące chmury dymu z niskich kominów. Krematoria wypuszczały w powietrze prochy testamentów palonych przez ich zazdrosnych wykonawców, zmieszane z sadzą uchodzącą z węglowych palenisk, na których ogrzewały się ciała umierających kochanków. Ohydne obłoki dymu podobne do duchów spowijały Nowe Crobuzon fetorem, który dusił jak poczucie winy.

Parszywy mikroklimat miasta sprawiał, że niemal bez przerwy kłębiły się nad nim chmury. Wydawało się, jakby pogodę w Nowym Crobuzon kreował wieczny, potężny, pełnący wolno huragan z ośrodkiem nad sercem metropolii, nad gigantyczną budowlą-hybrydą stojącą w centrum dzielnicy handlowej zwanej Crow, nad koagulatem wielu mil linii kolejowych i lat przemian w stylach architektonicznych: nad Dworcem Perdido.

Było to industrialne zamczysko, najeżone setkami przypadkowo rozmieszczonych gzymsów. Jego zachodnim wierzchołkiem był milicyjny Szpikulec, przerastający rozmiarami wszystkie inne wieże w okolicy, uwiązany z siedmiu stron świata mocarnymi liniami napowietrznej komunikacji. A jednak, mimo swego ogromu, kwatery milicji była jedynie dodatkiem do olbrzymiego gmachu stacji.

Architekt, który stworzył Dworzec Perdido, człowiek szalony, został wtrącony do więzienia siedem lat po ukończeniu prac konstrukcyjnych. Mówiło się, że był heretykiem, że zamierzał zbudować sobie boga.

Pięć gargantuicznych, ceglanych paszczyk połykało po jednej z miejskich linii kolejowych. Tory wyłaniały się z nich na wysokich, łukowatych wiaduktach niczym kolosalne języki. Sklepy, sale tortur, warsztaty, biura i nigdy niewykorzystane przestrzenie wypełniały tłusty kałdun gmachu, który – obserwowany z pewnych punktów widokowych – sprawiał wrażenie spinającego się do skoku wysoko ponad Szpikulec, ku wielkiemu niebu, w które wdarł się swymi wieżami z taką łatwością.

Isaac nie pozwalał sobie na romantyczne rozważania. Gdziekolwiek spojrzał (a oczy miał opuchnięte; buzował za nimi potężny umysł pełen nowych formuł, rozpatrujący bez ustanku możliwości wyrwania się ze szponów grawitacji), w całym mieście dostrzegał tylko lot w rozmaitych jego formach. Widział i to, że nigdy nie był on sposobem na ucieczkę ku lepszymu życiu. Lot był w Nowym Crobuzon czymś zwyczajnym, jeszcze jedną metodą przemieszczania się z jednych rejonów miasta w inne. Pocięsało go to. Był naukowcem, nie mistykiem.

*

Isaac leżał na łóżku i gapił się w okno, wodząc oczami za dalekimi sylwetkami latających stworzeń. Wokół niego, na posłaniu i podłodze, leżały rozsypane niczym papierowa fala przyboju książki, artykuły, spisane na maszynie notatki oraz długie taśmy odręcznych zapisków. Klasyczne monografie spoczywały obok wyciętych pseudonaukowców. Biologia i filozofia walczyły o miejsce na biurku badacza.

Węszył, poruszając się krętą ścieżką fachowej literatury, jak ogar tropiący zwierzynę. Niektórych tytułów nie mógł pominąć, na przykład *O Grawitacji i Teorii Lotu*. Inne, jak *Aerodynamika Roju*, były luźniej związane z tematem. Jeszcze inne były wariacjami na granicy rzetelnej wiedzy i większość poważnych kolegów Isaaca z pewnością spoglądałaby na nie spod zmarszczonych brwi. Jednym z nich było dzieło *O Dweomerach, Którzy Żyją Nad Chmurami i O Tym, Co Mogą Nam Powiedzieć*.

Uczony podrapał się po nosie i pociągnął przez słomkę łyk piwa, które postawił sobie na piersiach. Za ledwie od dwóch dni realizował zlecenie Yagharka, a już spoglądał na miasto z zupełnie nowej perspektywy. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie postrzegał je tak jak dawniej.

Przewrócił się na bok i rozsunał papiery, które przeszkadzały mu ułożyć się wygodniej. Wyciągnął spod siebie kolekcję manuskryptów oraz plik heliotypów, na których uwiecznił skrzydła Miętafiksa. Uniósł je nad głowę, by jeszcze raz z bliska przyjrzeć się muskulaturze dumnie prezentowanej przez wyrmena.

„Mam nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo” – pomyślał.

Spędził cały dzień, czytając i notując. Pomrukiwał uprzejmie, gdy David i Lublamai wołali coś na powitanie, zadawali pytania lub proponowali wspólny lunch. Zjadł tylko trochę chleba, sera i papryki, które Lublamai bezceremonialnie postawił przed nim na biurku. W miarę jak dzień stawał się coraz cieplejszy, a gazowe palniki dodatkowo ogrzewały salę, zrzucał z siebie wprost na podłogę kolejne warstwy odzieży.

Czekał na dostawę materiałów. Dość szybko zdał sobie sprawę, że wykonanie zlecenia będzie wymagało zaangażowania ogromnej wiedzy naukowej, a spośród wszystkich dziedzin, którymi się parał, najslabiej znał biologię. Czuł się swobodnie, czytając o lewitacji i taumaturgii kontrgeotropicznej, a także o swej ukochanej teorii jednorodnego pola, ale spoglądając na wizerunki skrzydeł Miętafiksa, pojął, jak niewiele wie o biomechanice zwyczajnego latania.

„Potrzebuję martwego wyrmena... nie, lepiej żywego, na którym mógłbym poeksperymentować” – rozmyślał, wpatrując się w heliotypy. „Nie... jednego martwego, którego mógłbym pokroić, a drugiego żywego, żeby popatrzeć, jak fruwa...”

Swobodne rozważania przybrały nagle znacznie bardziej konkretną formę. Isaac usiadł przy biurku i zastanawiał się nad czymś jeszcze przez chwilę, nim wyszedł i zniknął w ciemnych uliczkach Brock Marsh.

*

Najslawniejszy spośród niesławnych lokali między Smołą a Egzemą mieścił się w cieniu potężnej świątyni Palgolaka; o kilka ponurych zaułków od mostu Danechiego, który łączył Brock Marsh z Miastem Kości.

Większość mieszkańców Brock Marsh stanowili, rzecz jasna, piekarze, zamiatacze, prostytutki i przedstawiciele wielu innych zawodów, którzy najprawdopodobniej nigdy w życiu nie rzucili zaklęcia i nie zaglądali nawet do retort czy probówek. Podobnie wyglądała sytuacja w Mieście Kości, gdzie odsetek osobników systematycznie łamiących prawo z pewnością nie był wyższy niż w całej reszcie Nowego Crobuzon. Mimo to Brock Marsh na zawsze miało pozostać Dzielnicą Naukową, a Miasto Kości – Dzielnicą Złodziei. Tam zaś, gdzie mieszały się wpływy obu regionów – ezoterycznie, ukradkowo, romantycznie, a czasem i niebezpiecznie – znajdowały się Cóрки Księżyca.

Szyld, na którym dwóm satelitom krążącym wokół tarczy księżyca nadano formę ładnych, acz nieco jarmarcznie przystrojonych dziewcząt, umieszczony nad intensywnie szkarłatnym frontonem, podkreślał osobiście atrakcyjny klimat starego lokalu. Klientela Córek Księżyca składała się z najodważniejszych przedstawicieli miejskiej bohemy: artystów, zbuntowanych naukowców, ćpunów, a także złodziei i informatorów milicji, pracujących pod czujnym okiem właścicielki pubu, Czerwonej Kate.

Przydomek Kate nawiązywał do imbirowej barwy jej włosów, ale Isaac zawsze uważał, że odnosi się także do fatalnej kondycji finansowej bywalców, którzy notorycznie byli pod kreską. Właścicielka była kobietą postawną i bystrą – zazwyczaj wiedziała, kogo należy przekupić, a komu zakazać wstępu; kogo trzasnąć w zęby, a kogo uraczyć piwem. Z tego powodu (a także, jak podejrzewał Isaac, za sprawą dyskretnej działalności paru zaprzyjaźnionych taumaturgów) Córki Księżyca jak dotąd z powodzeniem trwały na rynku, balansując niebezpiecznie między strefami wpływów rozmaitych band oferujących ochronę. Funkcjonariusze milicji odwiedzali lokal Kate raczej rzadko, a ich wizyty były zawsze krótkotrwałe. Piwo było tu dobre, a szefowa nie interesowała się zbytnio tym, o czym szeptało towarzystwo szukające cienia w odległych zakamarkach sali.

Tego wieczoru Kate powitała Isaaca machnięciem ręki, które natychmiast odwzajemnił. Rozejrzał się po zadymionym pomieszczeniu, ale osoby, której szukał, nie było. Po chwili ruszył w stronę baru.

– Kate – zawołał, przekrzykując gwar. – Nie widziałaś Lemuela? Kobieta potrząsnęła głową i nie czekając na zamówienie, podała mu kufel Kingpina. Uczony zapłacił za piwo i odwrócił się w stronę sali.

Nie bardzo wiedział, co robić. Córki Księżyca były w zasadzie biurem Lemuela Pigeona. Isaac wiedział, że może spotkać go tutaj każdego wieczoru, zajętego handlowaniem, targowaniem i ubijaniem interesów. Domyślał się, że tym razem półlegalne machinacje zatrzymały go gdzieś na mieście. Wolnym krokiem przespacerował się między stolikami, w zasadzie bez celu – co najwyżej szukając znajomych twarzy.

W rogu sali dostrzegł postać w żółtej szacie – Gedrecsechet, bibliotekarz Świątyni Palgolaka uśmiechał się do kogoś łagodnie. Isaac rozchmurzył się natychmiast i ruszył w jego stronę.

Z niejakim rozbawieniem zauważył, że przedramiona młodej kobiety dyskutującej z Gede są wytatuowane symbolami sprzężonych ze sobą kół zębatach. Zrozumiał, że ma przed sobą Trybik Boskiego Mechanika, misjonarkę bez wątpienia próbującą nawrócić bezbożnika. Kiedy podszedł bliżej, usłyszał kilka ostatnich słów z jej wypowiedzi.

– ...I jeśli zwrócisz się do świata i Boga z choćby odrobiną dyscypliny intelektualnej, próbując dokonać analizy, przy której tak obstawiasz, przekonasz się, że twój bezsensowny świadomorfizm to pozycja nie do obrony!

Ged uśmiechnął się jeszcze szerzej do kostropatej dziewczyny i otworzył usta, by odpowiedzieć. Uprzedził go Isaac.

– Wybacz, że się wtrącam, Ged. Chciałem ci tylko coś powiedzieć, moje ty młode Kółeczko Zamachowe, czy jak cię tam zwa...

Misjonarka chciała zaprotestować, ale Isaac nie zamierzał dopuścić jej do głosu.

– Zamknij się. Powiem krótko i przejrzyście: spieprzaj. I zabierz ze sobą tę swoją „dyscyplinę”. Chcę pogadać z Gede.

Ged chichotał. Jego przeciwniczka z wysiłkiem przełykała ślinę, starając się zapanować nad gniewem. Pomogła jej w tym dość przekonująca tusza Isaaca oraz jego radosna wojowniczość. Zebrała się więc pospiesznie, próbując zachować resztki godności.

Stojąc już, otworzyła usta, by zakończyć spotkanie ułożoną naprędce, kąśliwą ripostą, lecz i tym razem nie zdążyła.

– Odezwij się, a wybiję ci zęby – uprzedził Isaac z pogodnym uśmiechem. Kobieta zamknęła usta i oddaliła się z dumnie uniesioną głową. Kiedy znikła im z pola widzenia, Isaac i Ged wybuchnęli śmiechem.

– Po co w ogóle z nimi gadasz? – zapytał uczony.

Ged, który przycupnął za niskim stolikiem jak wielka żaba, zakolysał się na rękach i nogach, wywijając przy tym długim językiem, który wysunął z szerokich, obwisłych ust.

– Żal mi ich – odparł, rechocząc. – Są tacy... zaangażowani.

Ged był bodaj najdziwniejszym, bo najbardziej pogodnym ze wszystkich vodyanoich, jakich kiedykolwiek widziano w Nowym Crobuzon. Nie było w nim nawet śladu owej nachalnej opryskliwości, która cechowała z natury antypatyczne istoty tej rasy.

– Właściwie – dodał, uspokoiwszy się nieco – nie mam przeciwko Trybikom tak wiele jak niektórzy. Oczywiście, nie mają w sobie ani krzty dyscypliny, o której mówią ale przynajmniej traktują rzecz poważnie. No i nie są tacy jak... bo ja wiem... Kompleta czy Boskie Potomstwo, czy coś w tym guście.

*

Palgolak był bogiem wiedzy. Wyobrażano go albo jako tłustego człowieka czytającego w wannie, albo jako smukłego vodyanoiego w podobnej pozie, a czasem i w bardziej mistyczny sposób: jako obu jednocześnie. Wśród wyznawców miał mniej więcej tyle samo przedstawicieli obu ras. Był przyjaznym, sympatycznym bóstwem; mędrcem, którego egzystencja poświęcona była wyłącznie zbieraniu, segregowaniu i rozpowszechnianiu informacji.

Isaac nie czcił żadnych bogów. Nie wierzył też we wszechmoc, którą przypisywano niektórym; wielu odmawiał nawet prawa egzystencji. Z pewnością istniały stworzenia i duchy zamieszkujące inne aspekty bytu i bez wątpienia przynajmniej część z nich władała sporą potęgą – przynajmniej z ludzkiego punktu widzenia – ale czczenie ich wydawało się Isaacowi praktyką wynikającą z tchórzostwa. Jednakże nawet on miał dziwną słabość do Palgolaka. Miał wręcz nadzieję, że tłusty drań naprawdę istnieje, w tej czy innej formie. Podobała mu się koncepcja międzyrasowego bóstwa, które w swej fascynacji wiedzą włóczy się gdzieś po zaświatach w wannie pełnej wody, pomrukując z zadowoleniem, gdy tylko natknie się na coś interesującego.

Biblioteka Palgolaka była co najmniej tak wielka jak zbiór ksiąg Uniwersytetu Nowego Crobuzon. Nie wypożyczała książek, za to przyjmowała chętnych w swych czytelnich o każdej porze dnia i nocy. Naprawdę niewiele było pozycji, do których nie umożliwiała dostępu. Wyznawcy Palgolaka ochoczo trudnili się prozelityzmem, wierzyli bowiem, iż wszystko, co wiedzą wyznawcy ich boga, natychmiast staje się także i jego wiedzą. Z tego samego powodu z wielkim zapałem oddawali się czytaniu książek. Jednakże działalność misyjna ku chwale Palgolaka miała drugorzędne znaczenie – liczyło się przede wszystkim gromadzenie informacji. Wyznawcy boga wiedzy składali przysięgę, iż wpuszczą do swej biblioteki każdego, kto tylko zechce szukać w niej oświecenia.

Fakt ten bywał najczęściej przyczyną skarg Geda. Biblioteka Palgolaka w Nowym Crobuzon dysponowała bodaj najlepszą kolekcją manuskryptów o tematyce religijnej w całym świecie Bas-Lag i dlatego przyciągała nieustannie pielgrzymów należących do najrozmaitszych kościołów i sekt. To oni, przedstawiciele chyba wszystkich wyznań świata, gromadzili się w północnych rejonach Brock Marsh i Spit

Hearth, odziani w długie szaty, maski, z batami, smyczami, szklami powiększającymi i wszelkim innym ekwipunkiem właściwym danej grupie.

Niektórzy z pielgrzymów bywali nieprzyjemni. Zaciekle rasistowskie Boskie Potomstwo, na przykład, było jedną z najprężniej rozwijających się sekt. Ged uważał za swój niełatwy, święty obowiązek pomaganie także i tym typom, którzy pluli na niego i nazywali „ropuchą” czy „świnia rzezną”, gdy tylko podnosili głowy znad swych ksiąg objawionych.

W porównaniu z nimi egalitarne Trybiki Bosmecha były niegroźną sektą, nawet jeśli swą wiarę w mechaniczność Jednego Prawdziwego Boga propagowały w dość agresywny sposób.

Przez lata znajomości Isaac i Ged spierali się ze sobą wielokrotnie – głównie na tematy teologiczne, ale także w sprawach literatury, sztuki i polityki. Isaac szanował przyjacielskiego vodyanoiego. Zdawał sobie sprawę, że z racji swej żarliwej wiary Ged czyta niewiarygodnie dużo ksiązek, a tym samym dysponuje imponującą wiedzą niemal na każdy temat. Na początku rozmowy bibliotekarz zawsze wzbraniał się przed wygłaszaniem opinii na temat informacji, którymi się dzielił. „Tylko Palgolak ma dość wiedzy, by zaoferować rozsądną analizę” – mawiał Ged, przystępując do dyskusji, jednakże po trzecim drinku zrywał z religijnym dogmatyzmem i z zapalem wiódł dysputy podniesionym głosem.

– Ged – zagadnął Isaac. – Powiedz mi, co wiesz o garudach?

Vodyanoi wzruszył ramionami i uśmiechnął się, dostrzegając sposobność podzielenia się wiedzą.

– Nie za wiele. Ludzie-ptaki. Żyją w Cymek, na północy Shotek i podobno w zachodniej części Mordigi. Być może także na innych kontynentach. Mają puste kości. – Oczy Geda zastygły, skoncentrowane na utrwalonych w pamięci stronicach z ksantropologicznego dzieła, które cytował. – Tworzą egalitarne społeczeństwo. Całkowicie egalitarne i całkowicie indywidualistyczne. Myśliwi i zbieracze; brak podziału pracy ze względu na płeć. Nie używają pieniędzy, nie mają hierarchii społecznej, w każdym razie nie jest ona instytucjonalna. Uznają po prostu, że ktoś może być mniej lub bardziej godny szacunku – coś w tym guście. Nie czczą żadnych bogów, znają tylko odpowiednik naszego diabła, który być może istnieje naprawdę. Nazywają go Dahnesch. Polują i walczą biczami, łukami i strzałami, włóczniami i lekkimi ostrzami. Tarcz nie używają; są zbyt ciężkie, by z nimi latać. Dlatego mogą niekiedy posługiwać się dwoma rodzajami broni jednocześnie. Od czasu do czasu wdają się w walki z innymi grupami lub gatunkami, zapewne są to konflikty o tereny łowieckie. Słyszałeś może o ich bibliotece? – Isaac skinął głową. Oczy Geda zaślniły wręcz nieprzyzwoitym pożądaniem. – Na Boga, chciałbym tam zajrzeć... tyle że nic z tego – dokończył ponuro. – Pustynia to nie najlepsze miejsce dla vodyanoich. Za sucho...

– Widzę, że cholernie mało wiesz na ich temat, Ged. Chyba daruję sobie dalszą rozmowę – powiedział Isaac. Ku swemu zdumieniu zauważył, że vodyanoi spochmurniał. – To żart, Ged! Ironia! Sarkazm! Wiesz o nich diabelnie dużo! Przynajmniej w porównaniu ze mną. Przejrzałem całego Shacrestialchita, a ty już zdążyłeś opowiedzieć więcej, niż dowiedziałem się przez dwa dni. Wiesz może co nieco o... hmm... ich prawach?

Ged spojrzął na niego uważnie, mrużąc wielkie ślepie.

– Co ty kombinujesz, Isaacu?... Jak powiedziałem, to egalitarna społeczność. System opiera się na maksymalizacji wolności wyboru dla każdej jednostki, na komunistycznej wspólnocie, gwarantującej każdemu jak najmniej ograniczeń swobody. O ile pamiętam, jedynym przestępstwem jest pozbawienie innego garudy

możliwości wyboru. Złagodzenie lub zaostrzenie kwalifikacji czynu zależy od tego, czy dokonano go z szacunkiem czy bez. Mają fioła na punkcie tego szacunku...

– Jak można ukraść komuś wybór?

– Nie mam pojęcia, ale przypuszczam, że – na przykład – jeśli rąbniesz komuś włócznie, to pozbawiasz go wyboru używania jej... Może wtedy, gdy okłamujesz innych co do miejsca, w którym znalazłeś smakowite porosty, pozbawiasz ich wyboru zdobycia pożywienia?

– Zatem to możliwe, że niektóre kradzieże wyboru mają swoje odpowiedniki w naszym prawie, a inne są absolutnie niewytłumaczalne.

– Tak sądzę.

– Powiedz mi jeszcze, jaka jest różnica między abstrakcyjną jednostką a konkretną jednostką.

Zaskoczony Ged spojrział na Isaaca z ukosa.

– Na mój mokry zadek, Isaacu... poznałeś garudę, prawda? – Uczony uniósł brew i lekko skinął głową. – Szlag! – wykrzyknął Ged. Goście siedzący przy sąsiednich stolikach odwrócili się jak na komendę i spojrzeli na niego ze zdziwieniem. – I to garudę z Cymek...! Isaacu, musisz skłonić go – a może ją? – żeby przyszedł do mnie i opowiedział mi o Cymek!

– No, nie wiem, Ged. On jest... jak by ci to powiedzieć... trochę małomówny...

– Proszę cię! Proszę...

– Dobrze już, dobrze... Zapytam go, ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. A teraz mów, jaka jest różnica między tą pieprzoną abstrakcyjną a konkretną jednostką.

– Fascynujące! Domyślam się, że nie możesz mi powiedzieć, nad czym konkretnie pracujecie...? Nie, na pewno nie. Cóż, mówiąc najprościej, wedle mojego rozumienia, garudowie tworzą egalitarną społeczność, bo ponad wszystko respektują prawa jednostki. Nie można szanować czyjejś indywidualności, jeżeli własną rozpatruje się w abstrakcyjny, izolowany sposób. Chodzi o to, że istota jest indywidualną jednostką tylko wtedy, gdy egzystuje w społecznej matrycy innych jednostek, szanujących jej indywidualizm i prawo do dokonywania wyborów. I to właśnie nazwałbym konkretną jednostkowością: istota musi rozumieć, że zawdzięcza swój byt szacunkowi przejawianemu przez wszystkich pozostałych członków społeczności i że z tego powodu jest im winna wzajemny szacunek.

– Zatem abstrakcyjna jednostka to garuda, który przynajmniej na jakiś czas zapomniał o tym, że jest członkiem większej społeczności i że jest winien szacunek wszystkim innym jednostkom, którym przysługuje prawo wyboru?

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

– Mądrzejszy już nie możesz być, Isaacu? – spytał łagodnie Ged i roześmiał się serdecznie.

Isaac nie był pewien, czy może.

– Słuchaj, Ged. Gdybym powiedział: „Kradzież wyboru drugiego stopnia z kompletnym nieposzanowaniem”, wiedziałbyś, jakiego przestępstwa dopuścił się garuda?

– Nie. – Ged zamyślił się na moment. – Nie wiedziałbym, ale brzmi to poważnie... Sądzę jednak, że w bibliotece znalazłbym wyjaśnienie – dodał na pocieszenie.

I wtedy w polu widzenia pojawił się Lemuel Pigeon.

– Ged – wtrącił pospiesznie Isaac. – Wybacz, proszę, ale naprawdę muszę zamienić słowo z Lemuelem. Pogadamy później, dobrze?

Ged uśmiechnął się bez urazy i machnął łapą na pożegnanie.

– Lemuelu... pozwól na słowo. Możesz na tym zarobić.

– Isaac! Interesy z ludźmi nauki to zawsze przyjemność. Co słysząc w świecie wybitnych umysłów?

Lemuel rozwalił się wygodnie na krześle. Prezentował się, jak zwykle, fircykowato. Miał na sobie bordową marynarkę i żółtą kamizelkę. Na głowie nosił nieduży cylinder, spod którego wysypywała się masa płowych włosów, związanych w kitkę najwyraźniej wbrew ich woli.

– Mój wybitny umysł, Lemuelu, znalazł się w stanie impasu. I tu właśnie, przyjacielu, być może zaczyna się twoja rola.

– Moja? – Pigeon uśmiechnął się krzywo.

– Tak jest, Lemuelu – odparł uroczyście Grimnebulin. – I ty możesz przysłużyć się wielkiej sprawie nauki.

Isaac lubił żartować z młodszym mężczyzną, choć chwilami czuł się przy nim raczej niezręcznie. Lemuel był cwaniakiem, informatorem, paserem – kwintesencją pośrednika. A jako że był pośrednikiem najskuteczniejszym na rynku, zapełnił sobą doskonałą niszę w półlegalnym środowisku miasta i czerpał ze swej działalności spory dochód. Paczki, informacje, oferty, wiadomości, imigranci, towary – wszystko, co tylko mogło być przedmiotem wymiany, przechodziło przez ręce Lemuela Pigeona. Dla ludzi takich jak Isaac, którzy nie chcieli brudzić sobie rąk i nóg buszowaniem w tak zwanym półświatku Nowego Crobuzon, był wprost bezcennym pomocnikiem. Parał się też działalnością w odwrotnym kierunku: dzięki niemu przedstawiciele nie całkiem legalnych interesów mogli liczyć na kontakt ze światem uczciwych obywateli bez narażania się na twarde lądowanie na progu posterunku milicji. Lemuel nie należał w istocie do żadnego ze środowisk – jego specjalnością było balansowanie na granicy tego, co zgodne i nie do końca zgodne z prawem.

Był to żywot niebezpieczny. Lemuel musiał być brutalny i bezlitosny, a w razie potrzeby nawet podły. Kiedy sytuacja stawała się naprawdę groźna, nie wahał się pozostawić wspólnika własnemu losowi w tumanie kurzu wznieconym ekspresową ucieczką. Wszyscy o tym wiedzieli; Pigeon nigdy nie ukrywał prawdy. Na tym polegała jego uczciwość: nie udawał, że należy mu ufać.

– Lemuelu, mój młody demonie nauki – zagaił po chwili Isaac. – Prowadzę pewne badania. Chciałbym, żebyś sprowadził dla mnie próbki wybranych gatunków istot. Interesuje mnie mianowicie wszystko, co lata. Jesteś mi potrzebny, bo rozumiesz chyba, że człowiek na moim stanowisku nie może włączyć się po Nowym Crobuzon, szukając jakichś zasranych strzyżków... Człowiek na moim stanowisku powinien szepnąć słowo komu trzeba i czekać, aż skrzydlate tałatajstwo samo spadnie mu na kolana.

– Lepiej daj ogłoszenie w gazecie, stary druho. Dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

– Dlatego, że potrzebuję mnóstwa próbek i nawet nie chcę wiedzieć, skąd będą pochodzić. Potrzebuję różnorodności. Muszę dostać tyle rozmaitych fruujących istot, ile tylko uda się sprowadzić, a niektóre z nich na pewno niełatwo będzie zdobyć. Potrzebuję, na przykład, aspisa. Mógłbym, rzecz jasna, zapłacić jakiemuś poszukiwaczowi przygód dzikie mnóstwo forsy za parchaty, ledwie żywy egzemplarz albo... mogę zapłacić tobie za uwolnienie dla mnie, twojego szanownego klienta, zdrowego i dorodnego aspisa zamkniętego w pieprzonej złotej klatce gdzieś we Wschodnim Gidd albo na Rubieżach. Kapujesz?

– Isaac, stary druhu... Zaczynam cię rozumieć.

– Naturalnie, Lemuelu. Przecież jesteś biznesmenem. Najbardziej zależy mi na rzadkich okazach. Na czymś, czego nigdy jeszcze nie widziałem. Na niecodziennych pomysłach na fruwanie. Nie zapłacę ci dobrze za kosz pełen kosów – co wcale nie oznacza, że ten gatunek mnie nie interesuje. Niech będą i kosy, ale w towarzystwie drozdów, kawek i wszelkiego innego ptactwa. Dostarcz mi też gołębie, drogi Lemuelu, twoich imienników. Ale najbardziej ucieszą mnie stworzenia takie jak wężoważki.

– Rzadkie – zauważył Lemuel, wpatrując się intensywnie w kufel piwa.

– Bardzo rzadkie – zgodził się Isaac. – I dlatego pokażna kwota zmieni właściciela, jeżeli dostanę egzemplarz w dobrym stanie. Rozumiemy się, Lemuelu? Chcę dostać ptaki, owady, nietoperze... ale także jaja, kokony, larwy. – wszystko, co kiedyś może zmienić się w latające stworzenie. Badanie wczesnych stadiów rozwoju może być nawet cenniejsze niż analiza budowy dojrzałych. Przynies mi wszystko, co lata i nie jest większe od psa. Nie potrzebuję olbrzymów i niebezpiecznych bestii. Owszem, byłbym pod wrażeniem, gdyby udało ci się schwytać druda albo wiatrorożca, ale nie chcę, żebyś to robił.

– A kto by chciał, Isaacu? – przytaknął filozoficznie Lemuel. Isaac wcisnął pięć gwinei w banknocie w górną kieszonkę marynarki pośrednika. Uniósłszy szklane kufle, przepili do siebie.

*

Nazajutrz, siedząc wygodnie za biurkiem, Isaac wspominał spotkanie u Czerwonej Kate i wyobrażał sobie, jak zlecenie, które zostawił pośrednikowi, przekazywane jest z ust do ust w półświatku Nowego Crobuzon.

Nie pierwszy raz korzystał z usług Lemuela. Ilekroć potrzebował rzadkiego lub nielegalnego składnika do swych eksperymentów albo manuskryptu, który powielono jedynie w kilku egzemplarzach, albo informacji o sposobach syntezy zakazanych substancji – zawsze mógł na niego liczyć. Tym razem do poczucia humoru Isaaca przemawiała myśl o tym, że członkowie podziemnych organizacji wielkiego miasta będą z zapałem szukać dla niego ptaków i motyli, zamiast marnować czas na walki gangów i handlowanie narkotykami.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że następny dzień to już migalec. Od ostatniego spotkania z Lin minęło sporo czasu, a ona nawet nie wiedziała o jego niezwykłym przedsięwzięciu. Isaac przypomniał sobie, że są umówieni na kolację. Nie miał nic przeciwko odłożeniu badań na krótki czas i opowiedzeniu kochance o wszystkim, co się wydarzyło. Cieszył się nawet na myśl o wyrzuceniu z pamięci tylu nowin i podzieleniu się nimi z Lin.

„Lublama i David już poszli” – pomyślał. „Jestem sam”.

Przeciągnął się z lubością jak wielki mors, rozrzucając po podłodze notatki i rysunki. Wyłączywszy gazową lampę, wyjrzał na ulicę. Przez brudną szybę ciemnego magazynu ujrzał wielką, zimną tarczę księżyca i piruety jego dwóch córek – nagich skał, satelitów krążących wokół niego od niepamiętnych czasów niczym dalekie świetliki.

Zapadał w sen, wpatrując się w nieustającą pracę lunarnego mechanizmu. Pławiąc się w świetle księżyca, śnił o Lin: był to sen delikatny, erotyczny i pełen głębokiej miłości.

ROZDZIAŁ 7

Knajpa Zegar i Kogut wylała się poza drzwi lokalu. Stoliki i kolorowe lampiony stały na dziedzińcu, tuż nad kanałem oddzielającym Pola Salacusa od Sangwiny. Brzęk szkła i gwar rozbawionych głosów niosły się nad pokładami barek, które wpływały do pobliskiej śluzy i wzniosłszy się na wyższy poziom wody, ruszały dalej, w stronę rzeki, zostawiając w tyle hałaśliwe towarzystwo.

Lin czuła zawroty głowy.

Siedziała wraz z gromadą przyjaciół u szczytu sporego stołu, ustawionego pod fioletową lampą. Po jednej stronie miała Derkhan Blueday, krytyczkę sztuki z pisma „Beacon”. Po drugiej zasiadł Cornfed, dyskutujący namiętnie z kaktusową wiolonczelistką Thighs Growing; dalej Alexandrine, Bellagin Sound, Tarrick Septimus, Importunate Spint oraz silna grupa malarzy, poetów, muzyków, rzeźbiarzy i zwyczajnych wałkonii, których Lin prawie nie znała.

To było jej naturalne środowisko. To był jej świat. A jednak nigdy dotąd nie czuła się tak wyalienowana jak w tym momencie.

Świadomość tego, że dostała tę pracę, że wpadło jej zlecenie, o jakim marzyli wszyscy artyści i które mogło uszczęśliwić ją na długie lata, oddaliła ją od towarzystwa. Nowy, przerażający pracodawca skutecznie odizolował ją od świata, który znała. Lin czuła się tak, jakby nagle, bez ostrzeżenia znalazła się w środowisku krańcowo różnym od zuchwałego, rozbawionego, ożywionego, cennego, introspektywnego towarzystwa z Pól Salacusa.

Nie widziała się z nikim, odkąd wróciła wstrząśnięta ze spotkania w Mieście Kości. Bardzo tęskniła za Isaakiem, ale wiedziała, że na pewno starał się wykorzystać w stu procentach czas rozstania i poświęcił się bez reszty swym badaniom. Miała też świadomość, że piekliłby się, gdyby odwiedziła go w Brock Marsh. Na Polach Salacusa ich związek był publiczną tajemnicą; obnosząc się z nim w Dzielnicy Naukowej, sami weszliby w paszczę bestii.

I dlatego przez cały dzień siedziała beczynnym, zastanawiając się nad tym, jakie zadanie wzięła na swoje barki. Wolno, niepewnie, powróciła myślą do potwornej postaci pana Motleya.

„Jasna cholera!” – pomyślała. „Czym on właściwie jest?”

Nie miała w pamięci precyzyjnego obrazu swego pracodawcy, tylko ogólne wrażenie totalnego chaosu jego ciała. Skrawki wspomnień pojawiały się nagle, drażniąc umysł: ręka zakończona pięcioma szczypcami kraba, wystającymi w równych odstępach. Spiralnie skręcony róg sterczący spomiędzy oczu. Gadzi grzbiet kostny przecinający pasmo koziej sierści. Lin nie potrafiła określić, co było punktem wyjścia przemian pana Motleya. Nigdy nie słyszała o tak zmasowanym, tak chaotycznym i tak barbarzyńskim prze-tworzeniu. Człowiek tak zamożny jak on musiał mieć zresztą dość pieniędzy, by opłacić najlepszych prze-twarzaczy, którzy mogliby przywrócić mu bardziej ludzkie kształty. Lin nabierała pomału przekonania, że postać pana Motleya była realizacją jego świadomych zamierzeń.

Albo też był on ofiarą Momentu.

Lin zastanawiała się, czy obsesja na punkcie „sfer hybrydowych” była konsekwencją wyglądu pana Motleya, czy może kolejność zdarzeń była odwrotna.

Kredens w jej mieszkaniu był już pełen surowych szkiców jego ciała, ukrytych pośpiesznie przed Isaakiem, który mógł przecież zjawić się wcześniej i zostać na noc. Sporządziła też notatki, próbując jakoś uporządkować szaloną anatomię swego modela i pracodawcy.

Przerażenie słabło w niej z każdym dniem; pozostały jedynie gęsia skórka i coraz żwawszy nurt artystycznych koncepcji.

„To” – pomyślała „będzie dzieło mego życia”.

Pierwsza sesja z panem Motleyem czekała ją następnego dnia, w pylnik po południu. Potem miała odwiedzać go dwa razy w tygodniu, przynajmniej przez miesiąc, a być może jeszcze dłużej – w zależności od tempa pracy.

Nie mogła się doczekać.

*

– Lin, ty nudna suko! – wrzasnął Cornfed i cisnął w nią dorodną marchwią. – Coś ty taka cicha?

Lin nabazgrała coś szybko w notesie.

Cornfed, skarbie, to ty mnie nudzisz.

Wszyscy parsknęli śmiechem, a Cornfed powrócił czym prędzej do swego krzykliwego flirtu z Alexandrine. Derkhan pochyliła siwiejącą głowę w stronę Lin i odezwała się cicho:

– A mówiąc poważnie, Lin... Rzeczywiście prawie się nie odzywasz. Coś się stało?

Lin pokręciła delikatnie głowociąłem.

Pracuję nad czymś poważnym. Ciągle o tym myślę, zasygnalizowała. Możliwość odpuszczenia sobie pisaniny na rzecz mowy znaków, którą Derkhan знаła doskonale, przyniosła jej ulgę. *I tęsknię za Isaakiem*, dodała z udawaną rozpaczą. Krytyczka skrzywiła się współczująco. „Urocza z niej kobieta” – pomyślała Lin.

Derkhan była osobą bladą, wysoką i szczupłą, chociaż jej brzuch zaokrąglił się nieznacznie, odkąd wkroczyła w wiek średni. Mimo że uwielbiała towarzyskie szaleństwa na Polach Salacusa, była w istocie bardzo wrażliwa i z reguły unikała znajdowania się w centrum uwagi. Recenzje, które pisała, były zazwyczaj bezlitośnie szczere. Gdyby nie to, że lubiła prace Lin, prawdopodobnie nie zrodziłyby się między nimi przyjaźń. Jej osądy publikowane w „Beaconie” były niekiedy brutalne.

Lin mogła śmiało powiedzieć Derkhan o tym, że tęskniła za Isaakiem. Krytyczka znała prawdziwą naturę tego związku. Niespełna rok wcześniej, gdy spacerowały razem po Polach, Derkhan zatrzymała się przy jednym ze straganów, żeby kupić coś do picia. Podając sprzedawcy pieniądze, niechcący upuściła portmonetkę. Schyliła się natychmiast, by ją podnieść, ale Lin była szybsza. Sięgając po nią, zatrzymała się tylko na ułamek sekundy, gdy zobaczyła stary, podniszczony heliotyp, który wypadł na ziemię. Uwieczniono na nim piękną i drapiezną kobietę w męskim stroju, a poniżej nakreślono szminką znak XXX, symbol pocałunku. Lin oddała portret Derkhan, która bez pośpiechu – i nie patrząc jej w oczy – schowała go do portmonetki.

– To było dawno temu – stwierdziła zagadkowo Derkhan i zajęła się piwem, które podał jej sprzedawca.

Lin poczuła wtedy, że jest jej winna sekret. Kilka miesięcy później odczuła ulgę, gdy nadarzyła się dogodna okazja: po głupiej kłótni z Isaakiem spotkała się z

Derkhan przy kieliszku. Wyjawiała jej wtedy prawdę, której krytyczka i tak musiała się domyślać. Słuchając opowieści, Derkhan kiwała głową nad niedolą artystki.

Od tamtej pory stały się sobie bliskie. Isaac także lubił Derkhan, przede wszystkim za jej wywrotowe poglądy.

I właśnie w chwili, kiedy myśli Lin znowu podryfowały ku kochankowi, usłyszała jego głos.

– Cholera, przepraszam wszystkich za spóźnienie...

Odwróciła się i zobaczyła jego masywną postać przeciskającą się między stolikami. Jej czułki drgnęły w geście, w którym musiał rozpoznać uśmiech.

Chór uradowanych głosów powitał Isaaca. Mężczyzna spojrzał na Lin i uśmiechnął się specjalnie dla niej. Machając ręką na powitanie całemu towarzystwu, drugą dłonią powiódł nieznacznie po plecach swojej kochanki, która wyczuła, jak jego palce nadają niezgrabnie komunikat „kocham cię”.

Isaac przyciągnął sobie krzesło i wcisnął je między Lin a Cornfeda.

– Wracam właśnie z banku, gdzie złożyłem w depozycie garść pięknych, lśniących bryłek złota. Lukratywny kontrakt – wykrzyknął – uszczęśliwia naukowca cieszącego się fatalną opinią! Stawiam kolejkę! – Odpowiedziały mu jednomyślne głosy zadowolenia, a zaraz potem rozległy się wrzaski przyzywające kelnera. – Jak tam twoje przedstawienie, Cornfed? – spytał Isaac.

– Fantastycznie, fantastycznie! – odkrzyknął, po czym dodał: – Lin widziała je już w rybnik.

– Ach, tak – odpowiedział niezbyt zadowolony Isaac. – Podobało ci się?

Lin twierdząco skinęła dłonią.

Cornfed stracił zainteresowanie wszystkim poza apetyczną szparką między krągłymi piersiami Alexandrine, widoczną w dekolcie jej mało subtelnej sukienki. Isaac mógł poświęcić uwagę wyłącznie Lin.

– Nie uwierzysz, co mi się przytrafiło... – zaczął.

Lin ścisnęła pod stołem jego kolano. Odwzajemnił pieśczętę bez wahania.

A potem półgłosem opowiedział Lin i Derkhan w skrócie o wizycie Yagharka. Zobowiązał obie do milczenia i przez cały czas rozglądał się, by mieć pewność, że nikt nie podsłuchuje. W połowie opowieści na stole pojawił się zamówiony wcześniej kurczak. Isaac zaczął posilać się w dość hałaśliwy sposób, nie przerywając relacji ze spotkania w Córkach Księżyca i z entuzjazmem rozprawiając o dostawie niezliczonych zwierząt do badań, której spodziewał się lada dzień w swym laboratorium.

Kiedy skończył, rozparł się wygodnie i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Promieniał przez chwilę, po czym spojrzał na Lin ze skruchą i zapytał uprzejmie:

– A co nowego w twojej pracy?

„Nic, mój kochany – pomyślała – o czym mogłabym ci powiedzieć”.

Porozmawiajmy lepiej o twoich badaniach.

Isaac poczuł się głupio, zdając sobie sprawę z jednostronności dotychczasowej rozmowy, ale nie mógł odmówić sobie opowiadania: zbyt mocno pochłonęła go praca. Lin jak zawsze słuchała go z melancholią i czułością – melancholię wzbudzała w niej całkowita samodzielność, jaką przejawiał Isaac w takich chwilach, z czułością zaś odbierała jego entuzjazm, pasję naukowca.

– Spójrzcie na to! – zawołał nagle Isaac i wyciągnął z kieszeni kartkę papieru, by rozłożyć ją na stoliku.

Było to ogłoszenie reklamujące jarmark otwarty właśnie w Sobek Croix. Tylne strona arkusza była sztywna od zaschniętego kleju: uczoney zerwał go ze ściany.

„Jedyny w swoim rodzaju, NADZWYCZAJNY JARMARK PANA BOMBADREZILA to gwarancja prawdziwych emocji nawet DLA NAJBARDZIEJ WYBREDNEJ KLIENTELI. PAŁAC MIŁOŚCI, TUNEL STRACHU, WIELKI WIR i mnóstwo innych atrakcji po rozsądnych cenach. Zapraszamy także na niesamowity spektakl CYRKU OSOBLIWOŚCI. POTWORY I CUDA ze wszystkich zakątków Bas-Lag. JASNOWIDZE ze Spękanej Ziemi; najprawdziwszy PAZUR TKACZA; ŻYWA CZASZKA; lubieżna KOBIETA-WAŻ; URSUS REX, człowiek – król Niedźwiedzi; karłowaci LUDZIE KAKTUSY; GARUDA, skrzydlaty człowiek pustyni; KAMIENNI LUDZIE Z Bezhek; DEMONY W klatkach; TAŃCZĄCE RYBY; skarby skradzione z Gengris i inne, niezliczone CUDA I DZIWY. Niektóre z atrakcji nie są przeznaczone dla osób bojaźliwych lub skłonnych do omdleń. Cena biletu: 5 stiverów. Ogrody Sobek Croix, od czternastego cheta do czternastego meluara; codziennie od osiemnastej do dwudziestej trzeciej”.

– Widzicie? – szczechnął Isaac, stukając kciukiem w pogięty plakat. – Mają tam garudę! Ja tu rozsyłam po całym mieście zamówienia na wątpliwej przydatności drobiazg i pewnie skończę z klatką schorowanych kawek, a oni tam trzymają pieprzonego garudę!

Wybierasz się tam? – spytała Lin.

– Jasne, że tak! – parsknął Isaac. – I to zaraz! Myślę, że moglibyśmy pójść całą gromadą. Pozostali – dodał, zniżając głos – nie muszą wiedzieć, po co tam idę. Jarmark to jarmark, niech się zabawią. Mam rację?

Derkhan uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Zamierzasz rąbnąć im tego garudę, czy co? – szepnęła konfidencjonalnie.

– No, nie wiem. Może uda się zrobić mu przynajmniej parę heliotypów albo zabrać go na parę dni do laboratorium... Coś wymyślimy! Co wy na to? Macie ochotę odwiedzić cyrk osobliwości?

Lin wzięła z jego talerza kawałek pomidora i oczyściła starannie z drobin mięsa i sosu. Chwyciwszy go mocno żuwaczkami, zaczęła jeść. *Może być ciekawie*, zasygnalizowała. *Stawiasz?*

– Jasne, że stawiam! – zagrzmiał Isaac i umilkł. Przez dobrą minutę wpatrywał się intensywnie w Lin. Wreszcie rozejrzał się, czy nikt nie podgląda, i niezręcznie ułożył dłonie w krótką serię symboli.

Tęskniłem za tobą.

Derkhan taktownie odwróciła wzrok.

Lin uznała, że powinna przerwać tę chwilę intymnego kontaktu. Zaklaskała głośno, aż wszyscy obecni umilkli i odwrócili się w jej stronę. Poprosiwszy Derkhan o tłumaczenie, zaczęła przemawiać w języku znaków.

– Eee... Isaac chce nam udowodnić, że poglądy o rzekomym nudziarstwie uczonych i ich pełnym oddaniu pracy są nieprawdziwe. Intelktualiści, podobnie jak rozpustni artyści – tacy jak my – doskonale wiedzą, co znaczy dobra zabawa. I dlatego dostaliśmy od niego to... – Lin machnęła ogłoszeniem i rzuciła je na środek stołu, aby wszyscy mogli je przeczytać. – Przejazdki, spektakle, cuda i strzelnice, a wszystko za marnych pięć stiverów, które pocziwy Isaac, jak powiedział, będzie łaskaw wyłożyć...

– Nie za wszystkich! – ryknął Isaac z udawanym oburzeniem, lecz jego głos utonął w fali pijackich okrzyków wdzięczności.

– ...Jak powiedział, będzie łaskaw wyłożyć – powtórzyła uparcie Derkhan. – Dlatego proponuję, żebyśmy zaraz skończyli picie i jedzenie i ruszyli do Sobek Croix.

Przy stole zapanował rozgardiasz. Ci, którzy skończyli posiłek, zbierali swoje rzeczy. Inni rzucili się ze zdwojoną energią na ostrygi, sałatki i smażone banany. „Zmuszenie tej grupy do jakiegokolwiek synchronizacji działań graniczy z cudem” – pomyślała z przekąsem Lin. Nic nie zapowiadało rychłego wymarszu ku Sobek Croix.

Isaac i Derkhan spierali się o coś, siedząc po przeciwnych stronach stołu. Czułki Lin poruszyły się nieznacznie, odbierając urywki szeptem wymienianych argumentów. Isaac z podnieceniem mówił o polityce. W dyskusjach z Derkhan prędzej czy później zawsze dochodził do punktu, w którym zaczynał wylewać przed nią mało konkretne żale na tematy społeczne. „Pozuje” – pomyślała Lin z rozbawieniem. „Włazi na nie swój teren i próbuje zrobić wrażenie na dziennikarce”.

Zauważyła, że Isaac dyskretnie popycha po stole monetę i w równie ukradkowy sposób odbiera szarą kopertę. Nie miała wątpliwości, że był to najnowszy numer „Runagate Rampant” – nielegalnego, radykalnego biuletynu, w którym regularnie ukazywały się felietony Derkhan.

Jeśli nie liczyć najszczerzej niechęci względem milicji i władz miasta, Lin nie interesowała się polityką. Siedziała więc w miarę wygodnie na ogrodowym krześle i spoglądała na gwiazdy widoczne ponad fioletową poświatą lampionu. Myślała o tym, kiedy po raz ostatni była na jarmarku. Pamiętała szaloną różnorodność zapachów, kocią muzykę i chór rozbawionych głosów, konkursy zręcznościowe i tandetne nagrody, egzotyczne zwierzęta i jaskrawe kostiumy – wszystko to tworzyło w jej wyobraźni szemraną, tandetną, ale i podniecająco żywotną całość.

Jarmark był miejscem, w którym można było na moment zapomnieć o normalnych zasadach rządzących życiem. Tylko tam bankierzy i złodzieje spotykali się, by zabawiać się i podniecać w jednakowy sposób.

Jednym z najwcześniejszych wspomnień Lin było to sprzed dwudziestu lat, w którym wlokła się w tłumie istot wzdłuż niekończącego się szeregu kolorowych namiotów i stawała obok przerażającego, olbrzymiego, wielobarwnego koła – gigantycznej karuzeli na jarmarku w Gallmarch. Ktoś – nie pamiętała już kto, może przechodząca obok khepri albo życzliwy straganiarz – podał jej jabłko w polewie, które zjadła z wielkim nabożeństwem. Tak, ten skromny owoc z cukrowym dodatkiem był jednym z niewielu wspomnień Lin z dzieciństwa.

Siedząc przy stole, piła z gąbki słodką herbatę. Pozwalając przyjaciółom pozbierać się niespiesznie, rozmyślała o jabłku w polewie i cierpliwie czekała na kolejne spotkanie z jarmarkiem.

ROZDZIAŁ 8

- Zapraszam, zapraszam, spróbujcie szczęścia!
- Drogie panie i panny, każcie swym partnerom zdobyć dla was bukiet!
- Nic nie zakręci was bardziej niż przejażdżka Kręciołem!
- Poznajcie hipnagogiczny mesmeryzm Silliona Niezwykłego!
- Trzy gwinee za trzy rundy! Kto spróbuje stawić czoło „Żelaznemu Człowiekowi”, Magusowi, w trzech rundach uczciwej walki, ten zabierze do domu trzy gwinee! Zapraszam wszystkich prócz ludzi-kaktusów!

Wieczorne powietrze było gęste od dźwięków. Wyzwania, nawoływania, zaproszenia i ciepłe słowa zachęty rozbrzmiewały wokół roześmianego towarzystwa niczym pękające balony. Palniki na gaz wzbogacony odpowiednio dobranymi chymikaliami świeciły czerwienią, zielenią błękitem i kanarkową żółcią. Trawniki i ścieżki ogrodów Sobek Croix lepiły się od rozrzuconych słodczy i rozlanych sosów. Drobne szkodniki raz po raz wyskakiwały spomiędzy straganów w ciemny gąszcz

krzewów, unosząc bezcenne łupy. Kieszonkowcy przemykali w ciżbie niczym drapieżne ryby wśród gęstych wodorostów. Okrzyki oburzenia i piski trwogi znaczyły ich ślad.

Tłum przypominał rozkołysany las ludzi, vodyanoich, kaktusów, kheprich i innych, rzadziej spotykanych istot: hotchich, striderów, stiltspearów oraz wielu ras, których Isaac nie potrafił nawet nazwać.

Lecz zaledwie o kilka jardów od tętniącego życiem jarmarku absolutna ciemność spowijała trawę i zarośla ogrodów. Pierwsze rzędy krzewów i najniższe konary drzew okrywała warstwa śmieci, głównie podartych i porzuconych papierów targanych bezlitośnie przez wiatr. W mroku tonęły też krzyżujące się ścieżki, prowadzące ku stawom, kwietnikom i całym akrom nieużytków, a także do klasztornych ruin leżących w samym sercu Sobek Croix.

Lin, Cornfed, Isaac i Derkhan wraz z resztą towarzystwa spacerowali między ogromnymi konstrukcjami ze stali, połyskującymi kolorowo w jaskrawych światłach palników. Z maleńkich wagoników zawieszonych na łańcuchach wysoko nad ich głowami dobiegały piski zachwyconych pasażerów. Co najmniej setka maniakalnie wesołych melodii rozbrzmiewała jednocześnie z grających szaf i organów, tworząc wokół zwiedzających niepokojącą kakofonię dźwięków.

Alex pogryzała orzeszki w miodzie, Bellagin żuł solone mięso, a Thighs Growing wchłaniała wodnistą papkę (przysmak ludzi-kaktusów). Zabawiali się podrzucaniem co bardziej smakowitych kąsków i chwyтaniem ich ustami w powietrzu.

Park był pełen gości rzucających obręczami do celu, strzelających z dziecięcych łuków i zgadujących, pod którym kubkiem znajduje się moneta. Dzieciaki wyły z radości lub rozpacz. prostytutki wszelkich ras, płci i specjalności przechadzały się prowokacyjnie między budami z piwem i straganami, mrugając znacząco do potencjalnych klientów.

Towarzystwo rozpraszalo się z wolna w miarę zbliżania się do centralnej części jarmarku. Wszyscy zatrzymali się na moment przy strzelnicy, by popatrzeć na łucznicze popisy Cornfeda. Kiedy skończył, ostentacyjnie wręczył swą zdobycz – dwie lalki – Alexandrine i pewnej młodej, pięknej kurewce, która dopingowała z zapalem jego triumfy. Wkrótce potem cała trójka zniknęła gdzieś w tłumie, trzymając się pod ręce. Tarrick dowiódł swej zręczności w konkursie łapania żywych krabów w sztucznej, wirującej topieli. Bellagin i Spint kazały sobie wyczytać przyszłość z kart i zapiszczały ze strachu, gdy znudzona wróżka odwróciła kolejno karty z wizerunkiem Węza i Wiedźmy. Zaraz też zażądały konsultacji u konkurencyjnej wróżbitki o wylupiastych oczach. Kobieta wbiła skupiony wzrok w chitynowe grzbiety barwnych żuków buszujących w trocinach...

Isaac i pozostali zostawili amatorki wróżb w tyle.

Nieliczna już grupa skręciła w alejkę za Kołem Przeznaczenia, ku koślawemu ogrodzeniu, za którym widać było rozproszone na uboczu, niewielkie namioty. Nad bramką wisiała tablica, na której niewprawna ręka umieściła napis: „Cyrk Osobliwości”.

– No tak... – mruknął Isaac w nieco teatralnej zadumie. – Chyba zajrzę, czy mają tu coś ciekawego.

– Będziesz zgłębiał tajniki ludzkiej niedoli, Zaac? – spytała modelka pewnego malarza, której imienia uczoney nie mógł sobie przypomnieć. Prócz Isaaca, Lin i Derkhan do bram Cyrku dotarło jedynie kilka osób z pierwotnego składu grupy. Wszyscy wyglądali na lekko zaskoczonych decyzją Grimnebulina.

– W ramach badań – odparł z godnością Isaac. – W ramach badań. Idziesz ze mną, Derkhan? Może ty, Lin?

Pozostali wreszcie pojęli aluzję i zareagowali na nią różnorako: niektórzy z uśmiechem machnęli ręką, inni nie kryli irytacji. Zanim jednak oddalili się gremialnie, Lin zwróciła się gestem do Isaaca.

Raczej mnie to nie interesuje. Teratologia to bardziej twoja działka. Spotkamy się przy wyjściu za dwie godziny?

Uczony ścisnął jej dłoń i lekko skinął głową. Khepri pożegnała się z Derkhan i pobiegła, by dogonić nieznanego Isaacowi nawet z imienia artystę.

Isaac i Derkhan spojrzeli na siebie bez słowa.

– "...I w końcu zostało dwoje" – zanuciła po chwili kobieta. Był to wers z dziecięcej śpiewanej wyliczanki o koszu pełnym kociąt, które groteskowo zdychały jedno po drugim.

*

Isaac uiścił dodatkową opłatę za wstęp do Cyrku Osobliwości. Choć pokaz dziwactw nie zgromadził aż takich tłumów jak inne atrakcje jarmarku, namioty nie świeciły pustkami. Im bardziej zamożni goście pojawiali się za ogrodzeniem, tym częściej słyhać było głosy powątpiewania i podejrzliwości. Wystawa zdumiewających twórców natury obnażyła ludzką skłonność do podglądactwa i zwyczajną hipokryzję bogatych mieszczan.

Lada chwila miało rozpocząć się coś w rodzaju wycieczki, której przewodnik obiecywał pokazanie chętnym wszystkich atrakcji Cyrku. Nawołując z zapalem, szybko ustawił zwiedzających w ciasną grupę i kazał im trzymać się razem, zapewniając, że wkrótce zobaczą dziwy, jakich nie oglądają oczy większości śmiertelników.

Isaac i Derkhan z początku trzymali się na uboczu, lecz po chwili ruszyli w ślad za wycieczką. Uczony spostrzegł, że jego towarzyszka trzyma w pogotowiu notatnik i pióro.

Ubrany w melonik Mistrz Ceremonii zbliżył się do pierwszego namiotu.

– Panie i panowie – wyszeptał donośnym, chrapliwym głosem – w tym oto namiocie czai się najbardziej niesamowita i przerażająca bestia, jaką kiedykolwiek widziały oczy zwykłych ludzi. Albo vodyanoich, albo kaktusów, albo jakichkolwiek innych istot – dodał normalnym tonem, kłaniając się uprzejmie nielicznym obcym, którzy znaleźli się w grupie zwiedzających. Po chwili powrócił do nadętego stylu wypowiedzi. – Jako pierwszy, piętnaście wieków temu, opisał ją w swych dziennikach podróży Libintos Mędrzec z miasta, które nazywano podówczas po prostu Crobuzon. Podczas swych licznych wypraw na południe, na spalone słońcem pustkowia, Libintos widział i opisał wiele niezwykłych, a czasem i straszliwych stworzeń. Żadne jednak nie było bardziej przerażające niż osławiony... mafadet!

Nawet Isaac, który do tej pory uśmiechał się sardonicznie, dołączył do zbiorowego westchnienia przejętego tłumu.

„Czy to możliwe, żeby mieli tu mafadeta?” – pomyślał, kiedy MC odsłaniał kurtynę zwisającą przed wejściem do niedużego namiotu. Na wszelki wypadek zaczął przeciskać się bliżej.

Po chwili rozległo się jeszcze głośniejsze, jęklive westchnienie i ci, którzy stali w pierwszych rzędach, zaczęli cofać się gwałtownie. Inni natychmiast zajęli ich miejsca.

Za czarnymi prętami klatki widać było bestię zaiste niezwykłą, skutą masywnymi łańcuchami. Spoczywała na nagiej ziemi, a jej płowy korpus przypominał nieco cielsko ogromnego lwa. Z płątaniny gęstszego futra ponad barkami wyrastała długa, giętka szyja grubości ludzkiego uda. Pokrywające ją czerwone łuski połyskiwały jak natłuszczone. Układały się w zawiły wzór wzdłuż całej szyi, która spłaszczała się nieco i zaginała przy końcu, płynnie przechodząc w groźną, węzową paszczę. Łeb mafadeta spoczywał na ziemi. Wielki, rozdwojony język wysuwał się z niej raz po raz, a ślepie płonęły jak palniki.

Isaac chwycił Derkhan za ramię.

– Psiakrew, to naprawdę mafadet – wysapał zdumiony. Derkhan kiwnęła głową, spoglądając na zwierzę szeroko otwartymi oczami.

Tłum cofnął się nieco. Mistrz Ceremonii chwycił kij z kolcem na końcu i wsunął go między pręty, by dźgnąć lekko pustynnego potwora. Zwierz syknął basem i żałośnie machnął masywną łapą w stronę swego ciemńcy. Długa szyja zwinęła się spiralnie, cofając głowę jak najdalej od źródła bólu.

W ciżbie widzów rozległ się krzyk i grupa naparła niespodziewanie na barierkę oddzielającą ją od klatki.

– Panie i panowie, proszę się cofnąć! Błagam! – Głos Mistrza balansował na granicy dobrze wyćwiczonej hysterii. – Jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie! Proszę nie drażnić bestii!

Mafadet znowu syknął, wyczuwając zagrożenie, i niezdarnie odpełził w głąb klatki, by znaleźć się poza zasięgiem ostrego kolca.

Podziw Isaaca dogasał w szybkim tempie.

Wyczerpane zwierzę jęczało z bólu i upokorzenia, wciskając się w najdalszy kąt swego więzienia. Nagi ogon zahaczył bezwładnie o śmierdzące truchło kozy, które zapewne miało być pożywieniem. Futro mafadeta było poplamione łajnem i pyłem, a także krwią sączącą się z licznych ran i zadrapań. Rozciągnięte na gołej ziemi ciało drgnęło z wysiłku, gdy mięśnie węzowej szyi uniosły w górę zimnooki, tępo zakończony łeb. Zwierz zasyczał, a słysząc podobnie syczącą odpowiedź tłumu, rozchylił szczęki, próbując obnażyć kły.

Isaac skrzywił się boleśnie.

Tam, gdzie z dziąseł bestii powinny były wystawać drugie na stopę, połyskliwe kły, sterczały ledwie kikuty połamanych zębów. „Wybili je celowo” – pomyślał Isaac – „bo bali się trującego, morderczego ukąszenia”.

Patrzył jeszcze przez chwilę na niespokojne ruchy czarnego jęzora, nim zwierzę ułożyło się i znieruchomiło w kącie.

– Jasna dupa – szepnął Isaac do Derkhan, nie kryjąc żalu i niesmaku. – Nigdy bym nie pomyślał, że będę współczuł takiej kreaturze.

– Patrząc na tego biedaka, zastanawiam się, w jakim stanie będzie garuda – odpowiedziała Derkhan.

Przewodnik zasłaniał już kurtynę, by ukryć żałosny stan zwierzęcia przed oczami co bystrzejszych widzów. Czyniąc to, opowiadał historię o próbie trucizny, którą przeszedł Libintos, znalazłszy się w rękach króla mafadetów.

„Bajeczki dla dzieci, banały, kłamstwa i pozerstwo” – pomyślał z pogardą Isaac. Zauważył, że zwiedzający mieli niespełna minutę na przyjrzenie się więźniowi brudnej klatki. „Tym mniejsza szansa, że ktokolwiek dostrzeże, w jakim stanie jest ten nieborak”.

Mimowolnie wyobraził sobie zdrowego i dorodnego mafadeta na wolności. Potężna masa sprężystego ciała, przeciskająca się zwinnie pośród zeschniętych krzewów... i szybki jak błyskawica atak zakończony ukąszeniem jadowitych kłów.

A ponad tym wszystkim krążący po niebie garudowie z nożami w dłoniach.

Tłum w ekspresowym tempie został przepędzony do sąsiedniego namiotu. Isaac nie słuchał już krzykliwych opowieści przewodnika. Obserwował Derkhan, skrobiącą coś pospiesznie w notesie.

– To dla „RR”? – spytał szeptem. Derkhan rozejrzała się nerwowo.

– Możliwe. To zależy od tego, co jeszcze zobaczymy.

– Co zobaczymy? – syknął wściekle Isaac, ciągnąc Derkhan za sobą w stronę kolejnego „eksponatu”. – Zobaczymy ludzką podłość w czystej postaci! I pieprzoną rozpacz ofiar, Derkhan!

Zatrzymali się o kilka kroków przed grupką gapiów zgromadzonych wokół dziecka urodzonego bez oczu. Chudziutka, delikatna dziewczynka płakała bezgłośnie i kiwała głową w takt głosów rozlegających się w tłumie. „Widzi dzięki wewnętrznemu narządowi wzroku!” – głosił szyld nad jej głową. Niektórzy z widzów rechotali cynicznie i pokrzykiwali w stronę nieszczęsnej.

– Cholera, Derkhan... – Isaac potrząsnął głową. – Popatrz, jak się nad nią znęcają...

Ledwie zdążył to powiedzieć, a już kilka głów zwróciło się w jego stronę z wyrazem niesmaku. Odwrócili się i odeszli, splunawszy przez ramię w stronę kobiety, która śmiała się najgłośniej.

– To już się zmienia, Isaacu – powiedziała cicho Derkhan. – Zmienia się coraz szybciej.

*

Przewodnik wycieczki kroczył wolno ścieżką między ciasnymi namiotami, zatrzymując się przy wybranych okropieństwach. Grupa powoli zaczynała się rozpadać; gromadki ciekawskich zaczynały zwiedzanie na własną rękę. Przy niektórych namiotach zatrzymywali ich pracownicy Cyrku. Czekali, aż zbierze się większa liczba chętnych i dopiero wtedy odsuwali zasłony. Do innych można było wejść w dowolnym momencie. Tu i ówdzie zza grubych płócien dobiegały piski uciechy, krzyki przerażenia i jęki niesmaku.

Derkhan i Isaac weszli do jednego z długich namiotów. Nad wejściem przeczytali kolejny ręcznie pisany szyld: **MAGAZYN CUDÓW! CZY ODWAŻYSZ SIĘ WEJŚĆ DO MUZEUM UKRYTYCH TAJEMNIC?**

– Odważymy się, Derkhan? – mruknął Isaac, gdy znikali w dusznym i pełnym kurzu wnętrzu.

Światło wpływało wolno do ich oczu z zakamarków bawełnianej sali. Pod miękkimi ścianami i pośrodku Magazynu Cudów stały długie rzędy gablot z żelaza i szkła. Blask świec i lamp gazowych filtrowano soczewkami w taki sposób, by tworzył dramatyczne plamy światła dokładnie tam, gdzie znajdowały się dziwaczne eksponaty. Zwiedzający kluczyli między gablotami, szepcąc coś podnieconymi głosami i od czasu do czasu wybuchając krótkim, nerwowym śmiechem.

Isaac i Derkhan także wałęsali się wolno między stojami z żółknącym alkoholem, w którym moczyły się fragmenty ciał. Były tam dwugłowe płody i kawałki ramienia krakena. Obok pływał połyskujący głęboką czerwienią przedmiot, który mógł być szponem Tkacza lub wypolerowaną rzeźbą z drewna; były też oczy, które podrygiwały spazmatycznie, żyjąc w słoju odżywczego płynu; były biedronki o

grzbietach wytatuowanych w fantazyjne wzory widoczne jedynie przez szkło powiększające, a także ludzka czaszka telepiąca się po klatce na sześciu owadach, wykonanych z metalu nogach. Zobaczyli też gniazdo powiązanych ze sobą ogonami szcurów, które na zmianę wypisywały na maleńkiej tablicy obsceniczne słowa. Nie zabrakło również książki wykonanej ze sprasowanych piór, zębów drudów i kła narwala.

Derkhan przez cały czas notowała. Isaac zaś kontemplował relikwie szarlatanerii i pseudonauki, nie kryjąc zainteresowania.

Wkrótce opuścili Muzeum i stanęli między namiotami Angleriny, Królowej Najgłębszego Morza z lewej, a siedzibą Najstarszego Człowieka-Kaktusa w Bas-Lag z prawej strony.

– Zaczynam wpadać w depresję – oznajmiła Derkhan.

Isaac podzielał jej uczucia.

– Znajdźmy wreszcie tego Człowieka-Ptaka, Wodza z Dzikiej Pustyni i spieprzajmy stąd. Kupię ci watę cukrową.

Długo lawirowali między namiotami zdeformowanych, otyłych, włochatych i karłowatych istot, nim Isaac zatrzymał się zniemacka i uniósł rękę, wskazując na szyld, który spostrzegł kątem oka.

Król Garuda! Pan Przesławił!

Derkhan uchyliła ciężką kotarę. Wymieniwszy spojrzenia, weszli do ciemnego wnętrza.

*

– Oho! Oto i przybysze z niezwykłego miasta! Zapraszam, wejdźcie, usiądźcie i posłuchajcie opowieści z okrutnej pustyni! Zostańcie chwilę z wędrowcem z najdalszych stron!

Gdzieś z głębi mrocznego namiotu rozległ się płaczliwy głos. Isaac zmrużył oczy, próbując dostrzec coś za prętami klatki. Po chwili wyłowił z ciemności niewyraźną jakby obolałą postać.

– Jestem wodzem mojego ludu. Przybyłem do Nowego Crobuzon, aby poznać to miasto, o którym tyle słyszeliśmy.

Głos był słaby, piskliwy, skrzeczący i pełen udręki, ale w niczym nie przypominał zupełnie obcych dźwięków, które wydobywały się z gardła Yagharka. Mówiący postąpił o krok bliżej w stronę kraty. Grimnebulin otworzył szeroko oczy i usta, gotów do triumfalnego okrzyku, ale głos uwiązł mu w krtani i zmienił się w ledwie słyszalny szepot.

Postać stojąca przed Isaakiem i Derkhan poruszyła się nieznacznie, a potem bezceremonialnie podrapała po brzuchu. Ciało obcego było ciężkie i obwisłe, jak krągłości chorobliwie otyłego chłopca. Skórę miał bladą, szorstką od zimna i chorób. Isaac zmierzył go wzrokiem z głębokim rozczarowaniem. Dziwaczne narośle sterczały z palców nóg stwora, niczym szpony niezręcznie narysowane przez dziecko. Głowę miał okrytą piórami, ale były to pióra rozmaitych kształtów i rozmiarów, wetknięte w ciało w najzupełniej przypadkowy sposób i także na szyi tworzące nierówną choć dość szczelną okrywę. Oczy, które wpatrywały się badawczo w Isaaca i Derkhan, należały bez wątplenia do krótkowzrocznego

człowieka. Powieki, sklejone ropną wydzieliną unosiły się i opadały z największym trudem. Dziób, wielki i poplamiony, przypominał stary odlew ze stopu cyny i ołowiu.

Za plecami istoty widać było brzegi brudnych – i śmierdzących, jak się zdawało – skrzydeł. Ich rozpiętość z pewnością nie przekraczała sześciu stóp. Isaac przyglądał się z niesmakiem ich niezdarnym, spastycznym ruchom, po których z obwisłych piór sypały się kawałki zaschniętego błota.

Kiedy dziób otworzył się, Isaac dostrzegł w jego wnętrzu zarys ludzkich ust formujących słowa oraz nozdrzy. Ów dziób był bowiem niczym więcej, jak tylko prymitywnie wykonaną atrapą, zakrywającą twarz w taki sposób jak maska gazowa.

– Pozwólcie, że opowiem wam o czasach, gdy przemierzałem przestworza w pogoni za łowną zwierzyną... – zaczęła żalosna postać, lecz Isaac zrobił krok naprzód i uniósł dłoń w nakazie milczenia.

– Proszę cię, na wszystkich bogów! – wykrzyknął. – Oszczędź nam tego... zażenowania.

Fałszywy garuda cofnął się nieco, ze strachu gwałtownie trzepocąc powiekami.

Na długą chwilę w namiocie zapadła cisza.

– O co chodzi, mistrzu? – szepnął wreszcie stwór, pochylając się ku prętom klatki. – Co ja takiego zrobiłem?

– Przyszedłem tu, żeby zobaczyć pieprzonego garudę! – zagrzmiął uczony. – Za kogo ty mnie masz? Jesteś prze-tworzonym, stary, każdy głupiec to zauważy!

Wielki, martwy dziób zamknął się z trzaskiem, gdy mężczyzna nerwowo oblizał usta, strzelając oczami na prawo i lewo.

– Do licha, szefie – szepnął błagalnie. – Proszę, nie idź pan na skargę. Ten wygląd to wszystko, co mam. Widzę, żeś pan gość wykształcony... A ja naprawdę wyglądam prawie jak garuda... Ludzie chcą przecież słuchać o polowaniu na pustyni, zobaczyć człowieka-ptaka... A ja z tego żyję.

– Cholera, Isaac – szepnęła Derkhan. – Opuść mu. Rozczarowanie uczonego nie miało granic. W myślach przygotowywał już listę pytań do podniebnego łowcy. Dokładnie wiedział, w jaki sposób zbada wielkie skrzydła i które interakcje między mięśniami będą dla niego najbardziej interesujące. Był też gotów dobrze zapłacić garudzie za udział w badaniach i sprowadzić do Cyrku Geda, aby mógł wypytać przybysza o Bibliotekę Cymek. Spotkanie z przestraszonym, chorym człowiekiem dukającym tekst, którego wstydziliby się najmarniejsza trupa ulicznych aktorów, przynębiło go niezmiernie.

Współczucie zwyciężyło w nim jednak nad gniewem, kiedy tak stał i spoglądał na żalosego niby-garudę. Upierzony mężczyzna machinalnie ścisnął lewe ramię prawą dłonią, przestępując z nogi na nogę. Musiał otwierać niedorzeczny dziób, aby zaczerpnąć powietrza.

– Na Diabli Ogon... – zaklął cicho Isaac. Derkhan podeszła do kraty.

– Co zrobiłeś? – spytała.

Mężczyzna znowu rozejrzał się uważnie, zanim odpowiedział.

– Kradłem – odszepnął pospiesznie. – Złapali mnie, kiedy wynosiłem stary portret garudy z rezydencji jednej starej cipy w Chnum. Wart był majatek... Mistrz powiedział, że skoro tak bardzo podobają mi się garudowie, to... – prze-tworzony zawiesił głos -...to mogę być jednym z nich.

Isaac widział teraz wyraźnie, że pióra wepchnięto bezlitośnie w skórę na twarzy mężczyzny; bez wątplenia zakotwiczone je na tyle silnie, by ich usunięcie wiązało się z bólem nie do zniesienia. Kiedy prze-tworzony odwrócił się nieco w stronę Derkhan, Isaac zobaczył na jego grzbiecie kłęb stwardniałego mięsa, z którego „wyrastały” owe

skrzydła – odebrane zapewne myszołowowi lub sępowi i byle jak spięte z ludzkimi mięśniami.

Zakończenia nerwowe spojono bezsensownie, w przypadkowy sposób, toteż jedynym ruchem, jaki mogły wykonywać pierzaste, dawno skazane na śmierć skrzydła, były spazmatyczne szarpnięcia. Isaac zmarszczył nos, czując odór zgnilizny, która trawiła pomału grzbiet prze-tworzonego.

– Boli cię? – indagowała Derkhan.

– Już nie tak bardzo, panienko – odparł mężczyzna. – Szczęście, że mam chociaż to – dodał, wskazując szerokim gestem na namiot i pręty klatki. – Nie brakuje mi jedzenia. I dlatego byłbym wdzięczny jak wszyscy diabli, gdyby państwo nie mówili szefowi, że mnie rozszyfrowali.

„Czy naprawdę większość ludzi, którzy tu przychodzą, akceptuje tę ohydną farsę?” – zastanawiał się Isaac. Przepęłniały go żal, gniew i niesmak. Miał ochotę wyjść, nie oglądając się za siebie.

Gdzieś w tyle rozległ się szelest kurtyny i do namiotu weszła grupka roześmianych kobiet, wymieniających między sobą sprośne żarty. Prze-tworzony spojrzał na nie ponad ramieniem Derkhan.

– Oho! – zawołał. – Oto i przybysze z niezwykłego miasta! Zapraszam, wejdźcie, usiądźcie i posłuchajcie opowieści z okrutnej pustyni! Zostańcie chwilę z wędrowcem z najdalszych stron!

Mężczyzna zostawił uczonego i reporterkę, posyłając im ostatnie, błagalne spojrzenie. Powitały go okrzyki zachwytu i zdumienia ze strony nowo przybyłych.

– Pokaż, jak lataasz! – pisnęła jedna z kobiet.

– Niestety – usłyszeli Isaac i Derkhan, opuszczając namiot – klimat w waszym mieście jest zbyt surowy dla istot mojej rasy. Przeziębłem się i chwilowo nie mogę latać, ale jeśli nadstawicie uszu, opowiem wam o widokach z bezchmurnego nieba nad Cymek...

Zasłona opadła za wychodzącymi i głos mężczyzny stał się stłumiony, daleki.

Isaac zauważył, że Derkhan ponownie pochyła się nad notatnikiem.

– Co to będzie? – spytał.

– „Tortury Mistrza zmuszają prze-tworzonego do życia w charakterze atrakcji Cyrku Osobliwości”. Oczywiście nie napiszę, o kogo chodzi – odpowiedziała, nie podnosząc głowy znad kartki. Isaac skinął głową.

– Chodźmy już – mruknął. – Może znajdziemy gdzieś tę wata cukrową.

*

– Teraz dopiero jestem w kurewskiej depresji – westchnął ciężko Isaac, sięgając ustami po strzęp słodkiego kłębowiska, które niósł przed sobą na patyku. Włóknisty cukier przylgnął do jego zarostu.

– Dlatego, że zobaczyłeś, co zrobiono temu człowiekowi, czy dlatego, że nie zobaczyłeś swojego garudy? – zainteresowała się Derkhan.

Uczony zamyślił się, nieco zaskoczony pytaniem. Opuścili już pokaz dziwolągów i racząc się wata cukrową, wolno mijali inne atrakcje jarmarku.

– Bo ja wiem... Chyba raczej dlatego, że nie spotkałem garudy... Ale – dodał obronnym tonem – nie byłbym nawet w połowie tak przybity, gdybyśmy trafili na

zwyczajne oszustwo – wiesz, facet w kostiumie czy coś w tym guście. Jednak, gdy zobaczyłem poniżenie tego człowieka, po prostu trafił mnie szlag.

Derkhan w zamyśleniu kiwnęła głową.

– Wiesz, moglibyśmy rozejrzeć się po okolicy – odezwała się po chwili. – Na pewno znalazłoby się w okolicy paru garudów. Choćby i z pokolenia wychowanego w mieście – dodała, bez przekonania zadzierając głowę ku niebu. Poświata setek kolorowych lamp sprawiała, że blask dalekich gwiazd był ledwie widoczny.

– Nie teraz – odparł Isaac. – Nie jestem w nastroju. Jakoś straciłem zapał – wyjaśnił. Minęło sporo czasu, nim przemówił ponownie. – Naprawdę zamierzasz napisać coś o tym miejscu dla „Runagate Rampant”?

Derkhan wzruszyła ramionami i odruchowo rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje.

– Sprawa z prze-tworzonymi nie jest wcale taka prosta – stwierdziła. – Jest w ludziach wiele pogardy i uprzedzeń wobec tych nieszczęśników... Rządź i dziel. Możesz mi wierzyć, że zwalczanie takich postaw nie jest łatwe, kiedy większość społeczeństwa uważa prze-tworzonych za potwory. Co gorsza, generalnie ludzie wiedzą, jak przesrane jest ich życie, tylko że utarł się jakiś taki dziwny pogląd, że należało im się. Nawet jeśli ten czy ów lituje się nad nimi, większość myśli, że to kara boska czy coś w tym guście. Niech to szlag... – dodała nagle i potrząsnęła głową.

– Co jest?

– Byłam niedawno w sądzie, kiedy Mistrz skazywał na prze-tworzenie jakąś kobietę z wieżowców na Ketch Heath za ohydny, ale i żałośnie smutną zbrodnię – Derkhan skrzywiła się na samo wspomnienie. – Zabiła własne dziecko; uderzyła je czy potrząsnęła nim, bo ciągle płakało. Siedziała na sali rozpraw, a jej oczy były... tak cholernie puste... Nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Ciągle jęczała, powtarzając imię dziecka, a Mistrz spokojnie odczytywał wyrok. Oczywiście poszła do więzienia – na dziesięć lat, o ile się nie mylę – ale najbardziej utkwilo mi w pamięci prze-tworzenie, które jej zasądził. Wszczepią w jej twarz rączki dziecka, „żeby nie zapomniała o tym, co zrobiła”, jak powiedział sędzia. – Głos Derkhan stwardniał, gdy powtarzała słowa Mistrza. Przez chwilę szli w milczeniu, mozolnie skubiąc watę cukrową. – Jestem krytykiem sztuki, Isaacu – odezwała się w końcu Derkhan. – Całe to prze-twarzanie to także sztuka, wiesz? Chora sztuka. Ale jakiej wymaga wyobraźni! Widziałam już prze-tworzone pełzające z wielkimi, spiralnie skręconymi konstrukcjami z żelaza na grzbietach. To były ich domki, do których chowały się na noc. Kobiety-ślimaki! Widziałam też nieszczęśników z mackami zamiast ramion, stojących w rzeczonym mule i próbujących chwycić ryby tak, jak głowonogi łapią swoją zdobycz. A co z tymi, których prze-tworzono na gladiatorów? Oczywiście nikt nie przyzna, że zmieniono ich po to, by ginęli na arenie, ale tak właśnie jest... – Kobieta zawiesiła głos, by po chwili kontynuować: – Sztuka przetwarzania zepsuła się. Zgniła. Zjełczała. Pamiętam, że zapytałeś mnie kiedyś, czy trudno jest znaleźć punkt równowagi między krytyczną analizą sztuki a pisaniem felietonów do „RR”. – Derkhan przekrzywiła głowę, by spojrzeć w oczy mężczyzny. – To jedno i to samo, Isaacu. Sztuka to coś, co uprawiamy z wyboru... Jest procesem tworzenia czegoś nowego z fragmentów otaczającego świata; procesem czyniącym nas bardziej ludzkimi, bardziej khepri, wszystko jedno. Dotyka istoty osobowości. I coś z tej idei pozostaje nawet w prze-twarzaniu. Dlatego ci sami ludzie, którzy pogardzają prze-tworzonymi, podziwiają Jacka Pół-Pacierza, bez względu na to, czy on istnieje, czy też nie. Nie chcę żyć w mieście, w którym prze-twarzanie jest najwyższą formą sztuki.

Isaac ścisnął w kieszeni kopertę z nowym numerem „Runagate Rampant”. Samo posiadanie tego pisma było niebezpieczne. Gładząc szary papier, w myśli zagrał na nosie piętrzącemu się na północnym wschodzie gmachowi Parlamentu, burmistrzowi Benthamowi Rudgutterowi oraz skłóconym partiom, wojującym już tylko o to, w jaki sposób wyrwać dla siebie największy kawałek tortu władzy. Partie Pełne Słońce i Trzy Pióra, partia Różne Drogi (którą Lin nazywała „faktorią skandali”), kłamcy i kusieciele z partii Nareszcie Przejrzeliśmy – całe to pompatyczne i swarliwe towarzystwo przypominało mu grupkę wszechmocnych sześciolatków wadzących się w piaskownicy.

Na końcu ścieżki usianej papierkami od cukierków, plakatami, biletami, rozdeptanym jedzeniem, porzuconymi lalkami i pękniętymi balonami stała Lin, oparta o bramę jarmarku. Isaac uśmiechnął się do niej z niekłamana radością. Gdy podeszli bliżej, khepri wyprostowała się i machnęła ręką, po czym wolno ruszyła w ich stronę.

Isaac zauważył w jej zewnętrznych szczypcach jabłko w polewie. Wewnętrzne żuwaczki wgrzały się w nie z apetytem.

Jak poszło, skarbie? – zasygnalizowała Lin.

– Kompletna pieprzona katastrofa – sapnął żałośnie Isaac. – Zaraz ci opowiem.

Gdy odwracali się plecami do bram jarmarku, zaryzykował i na moment chwycił jej dłoń.

Trzy malejące postacie zniknęły szybko w słabo oświetlonych uliczkach Sobek Croix, gdzie latarnie – a nie zostało się ich zbyt wiele – z trudem przeciskały swój blask przez zbrązowiałe od sadzy klosze. Odchodzący zostawiali w tyle niewiarygodną gmatwaninę barw, metalu, szkła, cukru i potu, bez wytchnienia zalewającą niebo falami hałasu i światła.

ROZDZIAŁ 9

Po drugiej stronie miasta, w ciemnych zaułkach Echomire i ruderach Badside, ponad zaniedbanymi kanałami, w Zakolu Smogu i pośród rozpadających się posiadłości w Barrackham, w wieżach Tar Wedge i nieprzyjaznych, betonowych lasach Dog Fenn, rozprzestrzeniło się szeptane słowo: „Ktoś płaci za skrzydlate istoty...”

Niczym bóg, Lemuel tchnął życie w ową wiadomość i kazał jej lecieć. Zastępy drobnych opryszków słyszały ją z ust handlarzy narkotykami, straganiarze przekazywali ją byłym dżentelmenom, a lekarze o wątpliwej reputacji dostawali ją za pośrednictwem ochroniarzy.

Zamówienie Isaaca dotarło błyskawicznie do najdalszych zakątków nawet najbardziej zapomnianych slumsów, wędrując pośród wytworów alternatywnej architektury, w kloaczne doliny miasta.

Były to miejsca, gdzie umierające domy chyliły się nad podwórzami, drewniane kładki łączące ich ściany zdawały się organicznymi tworam, a ulicami snuły się wynędzniałe zwierzęta pociągowe, resztką sił ciągnące wozy z towarami trzeciego gatunku. Zrujnowane mostki ponad rowami, którymi płynęły nieczystości, przypominały złamane, martwe kończyny. Wiadomość od Isaaca torowała sobie drogę w każdym terenie, docierając do adresatów choćby i kocimi ścieżkami.

Skromne ekspedycje śmiałków z miasta jechały linią Sink na południe, do stacji Feli, i pieszo wyruszały do Rudewood. Poszukiwacze maszerowali wzdłuż zapomnianych torów tak długo, jak się dało, skacząc po drewnianych podkładach naziemnej linii i wreszcie mijając pusty, bezimienny dworzec na skraju lasu. Opuszczone perony już dawno przegrały walkę z bujną zielenią. Dmuchawce,

naparstnice i pędy dzikich róż znalazły drogę przez żwirową podsypkę torów i grubym kobiercem przykryły szyny. Drzewa porośnięte bluszczem pojawiały się najpierw z rzadka, by już po chwili otoczyć coraz bardziej nerwowych intruzów gąszczem konarów i liści.

Szli z workami, procami i wielkimi sieciami. Przeciskali swe niezdarne, ukształtowane przez miasto cielska przez splątaną gęstwinę korzeni i pni, pokrzykując, potykając się i niepotrzebnie łamiąc gałęzie. Daremnie wypatrywali ptaków, których śpiew dezorientował ich, jakby dobiegał ze wszystkich stron jednocześnie. Bez celu próbowali szukać analogii między miastem a tym nieskończone obcym królestwem: „Jeżeli nie zabłądziłeś w Dog Fenn – mawiali niektórzy, nie mając pojęcia, jak bardzo się mylą – to już nigdzie nie zabłądzisz”. Kręcili się w kółko, na próżno wypatrując wysokiej wieży milicji w Vaudois Hill, skutecznie zasłoniętej przez drzewa.

Niektórzy nie powrócili. Większość zjawiała się w mieście z pustymi rękami, wściekle drapiąc oparzenia, ukąszenia i skaleczenia. Równie dobrze mogli wyprawić się na poszukiwanie duchów. Byli jednak i tacy, którzy triumfowali – schwytanie przerażonego słowika czy zięby za każdym razem witały okrzyki niedorzecznie dzikiej radości. Szerszenie na pożegnanie zatapiały swe harpuny w ciałach prześladowców, lądując w słoikach i garnkach. Jeżeli miały szczęście, zadowolony łowca nie zapomniał o wywierceniu dziurek w pokrywce.

Wiele ptaków i jeszcze więcej owadów zginęło. Te, które przetrwały, trafiły do miasta rozpościerającego się zaraz za linią ostatnich drzew.

Na ulicach Nowego Crobuzon także trwały łowy: dzieci wspinały się po murach, by wyciągać jaja z gniazd uwitych w dawno zatkanym rynnach. Zamknięte w pudełkach od zapalek kokony, gąsienice i larwy, które do tej pory służyły im jako towar wymierny jedynie na pęczek drutu czy kawałek czekolady, teraz zyskały wartość wyrażoną w pieniądzu.

Zdarzały się wypadki. Dziewczynka ścigająca gołębia pocztowego należącego do jej sąsiada spadła z dachu i roztrzaskała sobie czaszkę. Starzec poszukujący larw był żądłony przez rozjuszone pszczoły tak długo, aż jego serce przestało bić.

Mnożyły się kradzieże rzadko spotykanych ptaków i innych zwierząt latających. Niektórym udawało się wyrwać na wolność. Do powietrznego ekosystemu nad Nowym Crobuzon na krótko dołączyli nowi drapieży i nowe ofiary.

Lemuel znał się na swojej robocie. Inni zapewne sięgnęliby jedynie w głąbiny, ale nie on. Pośrednik dopilnował, by o zamówieniu złożonym przez Isaaca dowiedzieli się też mieszkańcy lepszych dzielnic: Gidd, Canker Wedge, Mafaton, Nigh Sump, Ludmead i Crow.

Urzednicy i lekarze, prawnicy i radni, restauratorzy i osoby niezmuszone trudnić się jakimkolwiek zajęciem... nawet funkcjonariusze milicji zaczęli działać. Lemuel często (choć zazwyczaj niejawnie) korzystał z pomocy szanowanych obywateli Nowego Crobuzon. Podstawowymi różnicami między elitą a bardziej zdesperowaną częścią społeczności były, jego zdaniem, kwota, za jaką opłacało się pracować, oraz skłonność do ryzyka. W tym przypadku w salonach i jadalniach dobrych domów słyszało się ostrożne głosy zainteresowanych.

W samym sercu Parlamentu trwała debata o podatkach w sektorze biznesu. Burmistrz Rudgutter siedział na swym tronie w królewskiej pozie i miarowo kiwał głową, podczas gdy jego zastępca, MontJohn Rescue, tubalnym głosem prezentował stanowisko partii Pełne Słońce i agresywnie wymachiwał palcem w stronę ogromnej, wysoko sklepionej sali. Co pewien czas mówca milkł, aby poprawić gruby szalik, który nosił na szyi mimo ciepła.

Radni drzemali ukradkiem, spowici leniwie wirującym obłokiem kurzu.

We wszystkich pozostałych częściach olbrzymiego gmachu, w skomplikowanym labiryncie korytarzy, przejść i łączników, które zaprojektowano chyba specjalnie po to, by jak najłatwiej było zgubić się w nich na zawsze, krzątały się energicznie legiony sekretarzy i gońców. Wąskie tunele i klatki schodowe z polerowanego marmuru łączyły się z większymi ciągami komunikacyjnymi. Z wielu z nich praktycznie nie korzystano, nawet ich nie oświetlano. Jednym z takich właśnie wąskich korytarzy wędrował starszy człowiek ciągnący za sobą rozlatujący się wózek.

Z dala od gwaru niosącego się od strony głównego wejścia do budynku Parlamentu zebrał siły, by wciągnąć ładunek na górę po stromych schodach. Korytarz był niewiele szerszy od wózka; minęło sporo niełatwych minut, zanim mężczyzna dotarł na wyższe piętro. Zatrzymał się na moment i otarł pot sponad brwi i ust, po czym ruszył dalej wznoszącym się lekko korytarzem.

Daleko przed nim pojawiła się ukośna smuga światła słonecznego, wdzierająca się z bocznej odnogi korytarza. Doszedłszy do niej, skręcił i natychmiast poczuł na twarzy przyjemne ciepło. Blask sączył się z niewielkiego świetlika oraz z okien w pozbawionym drzwi gabinecie na końcu korytarza.

– Dzień dobry panu – zaskrzeczał starzec, stając na progu.

– Dzień dobry – odpowiedział mężczyzna siedzący za biurkiem.

Biuro było niewielkie, kwadratowe, a przez jego wąskie, przyciemniane okna widać było Griss Feli oraz łuki estakady linii kolejowej Sud. Za przeciwległą ścianą rozciągała się panorama z ciemną bryłą głównego gmachu Parlamentu na pierwszym planie. Obok okien widać było wbudowane w mur małe, przesuwne drzwiczki. W kącie leżała sterta skrzynek.

Był to jeden z tych pokoi, które wystawały poza elewację budynku, na poziomie znacznie przekraczającym wysokość domów stojących po obu stronach rzeki. Pięćdziesiąt stóp niżej płynęły ciemne wody Wielkiej Smoły.

Dostawca wyładował z wózka paczki i pudła. Błady dżentelmen w średnim wieku przyglądał się temu, nie ruszając się z miejsca.

– Nie za wiele tego dzisiaj, proszę pana – mruknął starzec, rozcierając obolałe kości. Kiedy skończył, ruszył w drogę powrotną tym samym korytarzem, którym przyszedł. Odciążony wózek podskakiwał lekko na nierównościach kamiennej podłogi.

Urzędnik przejrzał szybko pakunki i wystukał na maszynie kilka krótkich notatek. Otworzył wielki rejestr zatytułowany „Nabytki”, przekartkował go i dokonał stosownych wpisów, każdy z nich poprzedzając datą. Wreszcie otworzył dostarczone paczki i sporządził listę dzienną, po czym powtórzył jej treść w wielkiej księdze.

„Raporty milicji: 17. Ludzkie przeguby: 3. Heliotypy (obciążające): 5”.

Mężczyzna sprawdził, dla którego departamentu przeznaczona była każda z kolekcji i rozdzielił je na dwie grupy. Kiedy jedna sterta przesyłek była wystarczająco duża, przełożył pakunki do skrzynki i zaniósł do drzwiczek w ścianie. Płyta o wymiarach cztery na cztery stopy odsunęła się ze świstem sprężonego powietrza, kiedy pociągnięciem dźwigni uruchomił tłok ukrytego mechanizmu. Obok wnęki znajdował się otwór na karty perforowane.

We wnętrzu obsydianowego pokrycia gmachu Parlamentu wisiała klatka, której otwarta kłapa znajdowała się na wysokości kwadratowych, rozsuwanych drzwi. Równowagę zapewniały jej łańcuchy umocowane u góry i z boków; ich końce ginęły gdzieś poza zasięgiem wzroku urzędnika. Mężczyzna wrzucił skrzynkę z paczkami do otworu drzwi i posunął ją w stronę klatki, która zakołysała się łagodnie pod ciężarem.

Kiedy zwolnił blokadę, kłapa zamknęła się z hukiem, zabezpieczając ładunek ze wszystkich stron drucianą plecionką klatki. Urzędnik zatrzasnął drzwi ścienne i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej plik grubych kart programujących, z których każda nosiła czytelne oznaczenia: „Milicja”, „Wywiad”, „Skarb Państwa” i wiele innych. Wybrawszy jedną z nich, wsunął ją w szczelinę obok drzwi.

W ścianie coś zabrzęczało. Miniaturowe, czułe cięgła zareagowały na nacisk. Napędzane parą – dostarczaną rurami z podziemnych kotłowni – maleńkie koła zębate przesunęły się wzdłuż karty. Tam, gdzie napotkały otwory i nacięcia, zapadały się nieco i zamierały na moment, przekazując stosowny sygnał w głąb mechanizmu. Gdy zakończyły swój przebieg, kombinacja zer i jedynek przyjęła formę binarnej instrukcji, która siecią przewodów z parą i poprzez kable popłynęła ku ukrytym maszynom analitycznym.

Klatka wyrwała się nagle ze swej przystani i rozpoczęła gładką, choć odrobinę chwiejną podróż pod okrywą Parlamentu. Wędrowała ukrytymi tunelami w górę lub w dół, czasem na boki lub na ukos, przeskakując gwałtownie na coraz to nowe łańcuchy. Utrzymywała kurs przez pięć sekund, trzydzieści, dwie minuty lub dłużej, aż wreszcie z hukiem anonsującym przybycie zatrzymywała się na dzwonie zawieszonym przy innych kwadratowych drzwiach. Skrzynka została odebrana przez urzędników w punkcie przeznaczenia; tymczasem za ścianą biura tego, który ją wysłał, pojawiła się już nowa, pusta klatka.

Mężczyzna z działu Nabytków pracował sprawnie. Zarejestrował i rozesał większość pakunków w ciągu niespełna piętnastu minut. I wtedy właśnie zauważył, że jedna z nielicznych paczek, które pozostały na jego biurku, trzęsie się dziwnie. Natychmiast przestał notować i dźgnął lekko podejrzaną opakowanie.

Z pieczętek zdobiących papier wynikało, że przesyłka ta została dostarczona z jakiegoś statku handlowego, którego nazwa – niestety – nie była czytelna. Wyraźne były natomiast dane adresata: dr M. Barbile, Dział Badań i Rozwoju. Urzędnik usłyszał ciche skrobanie. Wahał się tylko przez moment, nim ostrożnie rozwiązał sznurek opasujący paczkę i zajrzał do środka.

We wnętrzu, w pieczołowicie przygotowanym gniazdku ze skrawków papieru, leżały masywne larwy, grubsze od ludzkiego kciuka.

Mężczyzna cofnął się odruchowo, szeroko otwierając oczy skryte za szklami okularów. Ubarwienie larw było oszałamiająco piękne: czerwienie i zielenie ich ciał lśniły niczym pawie pióra. Stworzenia wierciły się nieustannie, próbując stanąć na krótkich, lepkich nóżkach w ciasnocie opakowania. Z ich głów, tuż nad maleńkimi otworami gębowymi, sterczały grube czułki. Tylne części ich ciał były pokryte wielokolorowymi włoskami, które połyskiwały w świetle i sprawiały wrażenie nasączonych rzadkim klejem. Długie korpusy ani na chwilę nie przestawały falować.

Urzędnik dostrzegł poniewczasie przyklejoną do tylnej ścianki pudełka fakturę, częściowo zniszczoną w transporcie. Tego typu przesyłki kazano mu przekazywać dalej bez zaglądnienia do wnętrza i „na wiarę” wpisywać do rejestru dane wynikające z rachunku.

„Cholera” – pomyślał niespokojnie. Ostrożnie rozwinął rozerwaną na pół fakturę. Jej treść była jeszcze w miarę czytelna.

„Gąsienice C x 5”.

Nic więcej.

Urządник zmienił pozycję na krześle i dumając intensywnie, wpatrywał się w małe, włochate istoty pełzające nerwowo po strzępach papieru i po sobie nawzajem.

„Gąsienice?” – pomyślał i rozpromienił się nagle, choć zaraz odezwał się w nim głos niepokoju. Raz po raz zerkał na nieosłonięty drzwiami korytarz.

„Rzadko spotykane gąsienice... Pewnie z zagranicy” – myślał.

Przypominał sobie doskonale szepty w pubie, mrugnięcia powiek i nieznaczące skinienia głów. Słyszał wtedy ofertę: ktoś proponował pieniądze za stworzenia tego rodzaju... „Im rzadziej spotykane, tym lepiej”, mówił.

Twarz urzędnika zmarszczyła się nagle w grymasie strachu. Ręka zawisła niepewnie nad paczką... Mężczyzna wstał i podszedł do wyjścia. Nasłuchiwał przez chwilę, ale z korytarza nie dobiegał żaden dźwięk.

Powrócił do biurka, kalkulując w myślach różnicę między ryzykiem a potencjalnym zyskiem. Raz jeszcze przyjrzał się z bliska podartej fakturze. Pieczęć była nieczytelna, a dane wpisane odręcznie. Nie zastanawiając się długo, począł grzebać w przepastnej szufladzie biurka. Wpatrywał się w napięciu w pusty korytarz, wyciągając nóż do papieru i pióro. Czubkiem ostrza począł drapać delikatnie zapisaną powierzchnię – najpierw usunął „daszek” piątki, a potem zabrał się do ścierania jej ładnie ukształtowanego „brzuszka”. Po chwili zdmuchnął drobiny papieru i suchego atramentu. Pierzastym końcem pióra starannie wygładził zszarganą nieco powierzchnię. Odwróciwszy je, umoczył końcówkę w kałamarzu i z wielką precyzją zabrał się do uzupełniania braków prostą „nóżką” i łączenia jej z poziomą kreską.

Nie trwało to długo. Wyprostował się i spojrzał krytycznie na swoje dzieło – wyglądało na zupełnie przyzwoite „4”.

„Najgorsze za mną” – pomyślał.

Szukając odpowiedniego pojemnika, przewrócił na lewą stronę wszystkie kieszenie, ale bez rezultatu. Podrapał się po głowie i nagle jego oblicze rozjaśnił uśmiech. Urządnik wyciągnął z szafki etui do okularów, otworzył je i wypełnił drobnymi skrawkami papieru. Następnie, marszcząc nos ze strachu i obrzydzenia, naciągnął mankiet koszuli na dłoń i włożył rękę do pudełka. Wkrótce poczuł między palcami miękkie brzegi ciała jednej z gąsienic. Delikatnie i szybko, jak tylko potrafił, wyciągnął ją spomiędzy towarzyszek i upuścił wprost do futerału. Błyskawicznie zamknął i zablokował pokrywkę, by uniemożliwić ucieczkę wijącemu się w panice stworzeniu.

Wrzucił etui na samo dno aktówki, głębiej niż miętówki, służbowe papiery, pióra i notesy.

Uważnie przewiązał pakunek sznurkiem, usiadł wygodnie i czekał. Teraz dopiero zdał sobie sprawę z tego, jak szybko i mocno bije mu serce. Pocił się trochę. Wziął kilka głębokich wdechów i mocno zacisnął powieki.

„Uspokój się wreszcie” – pomyślał na pocieszenie. „Podniecająca część zabawy już za tobą”.

Minęły kolejne dwie lub trzy minuty, ale nikt się nie pojawił. Urządnik wciąż był sam. Dziwaczne oszustwo pozostało niezauważone. Mógł odetchnąć z ulgą. Spojrzawszy ponownie na fałszywą fakturę, uznał, że odwalił bardzo dobrą robotę. Otworzył rejestr i w sekcji DB i R. dokonał wpisu:

„Dwudziestego siódmego cheta, Anno Urbis 1779: Ze statku handlowego X. Gąsienice C x 4”.

Wydawało mu się, że ostatnia cyfra wyróżnia się spośród pozostałych znaków, jakby napisano ją czerwonym atramentem.

Tę samą wiadomość wpisał maszynowo na listę dziennych operacji, a następnie chwycił twarde, związane ponownie pudełko i przeniósł je w sąsiedztwo rozsuwanych drzwiczek. Otworzywszy właz, wepchnął paczkę larw do czekającej klatki. Czuł na twarzy powiew suchego powietrza, dolatujący gdzieś z dołu, z bezdennych trzewi między ciałem a skórą gmachu Parlamentu.

Urzędnik zatrzasnął klapę klatki i zasunął drzwi. Spośród zbioru kart perforowanych wybrał niezgrabnie tę, na której napisane było DB i R. Ręce trzęsły mu się jeszcze trochę, kiedy wsuwał ją w czytnik maszyny analitycznej.

Znowu rozległo się syczenie pary, a potem metaliczny szcęk. Instrukcje dotarły do tłoków, młotów i kół zamachowych: klatka ruszyła pionowo w górę. Szybko oddalała się od urzędniczego biura i dolnych kondygnacji budynku, mknąc ku wysokim, ostro zakończonym wieżom.

*

Pudełko z gąsienicami kołysało się mocno, niesione na łańcuchach przez mroczone sztolnie. Nieświadome podróży larwy krążyły po swym małym więzieniu robaczkowatymi ruchami ciał.

Bezszelestnie pracujące silniki przesuwaly klatkę od haka do haka, wielokrotnie zmieniając kierunek jej ruchu, opuszczając ją na pasy transmisyjne i odbierając w innej części gmachu. Krążąc mechanicznymi żyłami we wnętrzu grubych ścian, drucziany zasobnik wznosił się stopniowo i nieubłagane ku wieżom silnie strzeżonego, Wschodniego Skrzydła.

Wreszcie z cichym brzękiem opadł na sprężynową rampę. Dźwięk dzwonka przerwał ciszę i po minucie drzwi szybu się otworzyły. Czyjeś ręce sięgnęły w głąb klatki i wyjęły przesyłkę, by wciągnąć ją do jaskrawo oświetlonego pomieszczenia.

W długim, białym pokoju nie było okien, jedyne źródło światła stanowiły lampy gazowe. Porządek panował nawet w najdalszych zakamarkach. Nie było kurzu ani śmieci, salka była rażąco, sterylnie czysta.

Pod ścianami, przy stołach roboczych, odziane na biało postacie w skupieniu wykonywały swoją pracę. Jedna z owych jasnych, zamaskowanych postaci rozwiązała sznurek opasujący paczkę i odczytała fakturę, po czym ostrożnie zdjęła pokrywę pudełka i zajrzała do środka.

Zamknąwszy kartonik, kobieta uniosła go w wyciągniętej ręce i ruszyła ku przeciwległej ścianie pokoju. Jeden z jej kolegów, szczupły kaktus o kolcach starannie zabezpieczonych pod grubym, białym płótnem kombinezonu, otworzył wielkie, pancerne drzwi, do których zmierzała. Kiedy okazała mu przepustkę, pozwolił jej przejść i ruszył za nią.

Szli ostrożnie korytarzem tak białym i surowym jak sala, w której pracowali. Jego wyłot zamknięty był solidną kratą z żelaza. Widząc, z jaką ostrożnością kobieta niesie przed sobą paczkę, kaktus pospieszył przodem i wsunął kartę perforowaną w szczelinę ściany, do której doszli. Kratownica odsunęła się ze zgrzytem.

Weszli do obszernej, ciemnej sali.

Strop i ściany znajdowały się wystarczająco daleko, by pozostać niewidoczne dla oczu wchodzących. Dziwaczne wycie i pomrukiwanie dobiegało ze wszystkich stron jednocześnie. Oczy przybyszów powoli przyzwyczajały się do półmroku, wyławiając zeń klatki wzmocnione ciemnodrzewem i żelazem, otoczone szkłem

pancernym. Niektóre były olbrzymie – miały rozmiary sporego pokoju – inne zaś niewiele większe od grubej książki. Wszystkie umieszczono na podwyższeniach, niczym gabloty w muzeum, i zaopatrzone w wykresy, mapy i opasłe tomy opisów. Odziani w biel naukowcy poruszali się żwawo między szklanymi konstrukcjami jak duchy w ruinach zamku, notując coś i obserwując bez przerwy albo na przemian uspokajając i dręcząc mieszkańców klatek.

Uwięzione stworzenia węszyły, parślały, podśpiewywały i kręciły się podejrzliwie w swych ciemnych celach.

Kaktus skrzył i odszedł energicznym krokiem, by po chwili zniknąć w mroku. Kobieta niosąca larwy niepewnie ruszyła w głąb sali.

Stworzenia rzucały się w jej stronę i drżała za każdym razem, gdy pancerne szyby jęczały pod naporem ich ciał. Coś poruszyło się w kadzi z rzadkim mułem: kobieta dostrzegła zębate macki strzelające w jej stronę i zatrzymujące się na przezroczystej ścianie. Poczwała, że skierował się ku niej snop światła organicznego pochodzenia. Idąc dalej, minęła niewielką klatkę okrytą czarnym sukmem. Znaki ostrzegawcze ustawiono ze wszystkich stron, dołączając do nich instrukcje postępowania z uwięzionym wewnątrz stworzeniem. Grupka uczonych przeszła obok, dźwigając notatniki, zestawy kolorowych klocków i spore kawały gnijącego mięsa.

Przed kobietą niosącą paczkę pojawiły się czarne, drewniane ściany wysokie na dwadzieścia stóp. Wydzielono nimi kwadratowe pomieszczenie, zasłonięte od góry warstwą przybitej starannie blachy falistej. Przed zamkniętym na kłódkę wejściem do „sali w sali” stał strażnik w białym stroju. Na głowie miał dziwaczny hełm, w rękach ścisnął karabin skałkowy, a u pasa wisiała mu zagięta szabla. U jego stóp, na posadzce, leżało kilka podobnych hełmów.

Kobieta skinęła głową w stronę strażnika, gestem prosząc o otwarcie drzwi. Mężczyzna spojrzął na identyfikator wiszący na jej szyi.

– Rozumiem, że wie pani, co robić? – upewnił się cichym głosem.

Kiwnęła głową na potwierdzenie, a potem z wielką ostrożnością położyła pakunek na podłodze, sprawdziwszy uprzednio, czy sznurek nie obluźował się zbyt. Wybrała jeden z nieporęcznych hełmów leżących pod ścianą i bez entuzjazmu włożyła go na głowę.

Była to konstrukcja z metalowych rurek i śrub, otaczająca głowę ze wszystkich stron. Z przodu, na wysięgnikach długości jednej stopy, nieco powyżej poziomu oczu, umocowane były małe lusterka wsteczne. Kobieta zaciągnęła pasek pod brodą, by unieruchomić hełm, po czym odwróciła się plecami do strażnika i zaczęła regulować lusterka. Operując przegubami, ustawiła miniaturowe tafle w taki sposób, by wyraźnie widzieć sylwetkę mężczyzny. Przez moment spoglądała naprzemiennie w jedno i drugie lusterko, testując widoczność.

Wreszcie skinęła głową.

– Dobra, jestem gotowa – powiedziała, podnosząc pudełko i rozwiązując sznurek. Kiedy strażnik otwierał drzwi za jej plecami, intensywnie wpatrywała się w lusterka. Mężczyzna nawet na moment nie skierował wzroku ku wnętrzu pokoju.

Uczona weszła do ciemnicy tyłem, obserwując otoczenie za pomocą zwierciadeł.

Gdy drzwi zamknęły się tuż przed jej nosem, była już mokra od potu. Całą uwagę skupiła na obrazie przekazywanym przez lusterka; wolno kręciła głową, skanując jak najszerszy wycinek przestrzeni, która rozciągała się za jej plecami.

Niemal całe wnętrze pokoju wypełniała klatka o wyjątkowo grubych prętach. W ciemnobrazowym świetle lampek oliwnych i świec widać było umierające krzewy i

drzewa, którymi wypełniono żelazne więzienie. Gąszcz gnijących roślin oraz półmrok panujący w całym pokoju sprawiały, że przeciwległa ściana nie była widoczna.

Kobieta spojrzała nerwowo w lusterka. Nie zauważyła żadnego ruchu.

Szybko podeszła tyłem do klatki, w miejscu, gdzie między prętami można było przesunąć niedużą tacę. Sięgnęła ręką za siebie i zadarła głowę, by skierować lusterka ku dołowi. Spoglądając na odbity obraz, manipulowała dłonią przy metalowym uchwycie. Nie było to łatwe i nie wyglądało zbyt elegancko, ale w końcu zdołała chwycić i wysunąć na zewnątrz ruchomą tacę.

Gdzieś w kącie klatki rozległo się głośnie tłuczenie, jakby ktoś z całych sił trzepał gruby dywan. Oddech kobiety stał się szybki i płytki. Coraz bardziej nerwowymi ruchami starała się przesypać larwy do wysuniętej tacy. Wreszcie cztery niewielkie istoty ześlizgnęły się na metalową powierzchnię wraz z deszczem skrawków papieru.

Natychmiast dała się odczuć jakaś zmiana w powietrzu. Gąsienice wyczuły zapach mieszkańca klatki i rozpaczliwie wołały o pomoc.

A to, co żyło po drugiej stronie prętów, odpowiedziało.

Wołania nie były słyszalne – rozbrzmiewały na niedostępnych ludzkiemu uchu długościach fal. Uczona poczuła, że włosy na całym jej ciele jeżą się nagle, a cienie emocji odczuwanych przez małe istoty tłuką się pod jej czaszką jak niedosłyszane plotki. Odłamki niezrozumiałej radości i nieludzkiego przerażenia wciskały się jednocześnie w jej nozdrza, w uszy i pod powieki.

Drżącymi palcami przepchnęła tacę do wnętrza klatki.

Odchodząc od mocarnych prętów, poczuła na nodze lubieżne muśnięcie. Jęknęła cicho ze strachu i szarpnęła nogawką kombinezonu, z wielkim trudem panując nad instynktem, który nakazywał jej obejrzeć się przez ramię.

W lusterkach wstecznych dostrzegła zarys ciemnobrązowych kończyn prostujących się gdzieś pośród listowia, żółknące zęby i puste, czarne oczodoły. Gęstwina paproci i większych krzaków zaszeleściła cicho i stwór zniknął.

Kobieta w panice kopnęła drzwi, z trudem przełykając ślinę. Odruchowo wstrzymywała oddech, póki się nie otworzyły. Wypadła na zewnątrz, prosto w ramiona strażnika. Chwyciła klamry pod brodą i otworzyła je energicznym ruchem, aby uwolnić się od ciężkiego hełmu. Przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń, słuchając uspokajających odgłosów zamykanych szczelnie drzwi.

– Gotowe? – szepnęła w końcu. – Tak.

Odwróciła się niespiesznie. Nie mogła podnieść głowy; uparcie wpatrywała się w podłogę, sprawdzając prawdziwość słów strażnika po szerokości szczeliny pod drzwiami. Dopiero kiedy upewniła się, że są zamknięte, powoli i z wyraźną ulgą podniosła wzrok i spojrzała w oczy mężczyzny.

– Dziękuję – wymamrotała, podając mu hełm.

– Było dobrze? – zapytał uprzejmie.

– Tam nigdy nie jest dobrze – warknęła w odpowiedzi i odwróciła się gwałtownie.

Gdzieś za drewnianą ścianą rozległo się donośne trzepotanie.

Energicznym krokiem ruszyła w drogę powrotną labiryntem szklanych klatek z dziwnymi zwierzętami. Dopiero w połowie dystansu zdała sobie sprawę, że wciąż jeszcze ścisła w dłoni tekturowe, puste pudełko, w którym przyniosła larwy. Zgniotła je z całych sił i wsunęła do kieszeni.

Zaciągnęła za sobą teleskopową kratę, pozostawiając w tyle wielką salę pełną mrocznych, złowrogich kształtów. Znowu była w sterylnie czystym, białym korytarzu. Po chwili minęła masywne drzwi pokoju, w którym znajdował się Dział Badań i Rozwoju.

Zamknęła je za sobą i zablokowała. Była szczęśliwa, że może wrócić między swych kolegów w białych kombinezonach, cierpliwie przyglądających się femtoskopom, czytających uczone traktaty i konferujących półgłosem z pracownikami ze znajdujących się obok departamentów. Każde z uchylonych drzwi do sąsiednich pokoi opisane były czerwonymi i czarnymi literami.

Doktor Magesta Barbile powróciła do swego stołu roboczego, aby sporządzić raport. Nim zajęła się pisaniem, zerknęła jeszcze raz na drzwi, którymi powróciła, a ściślej na wykaligrafowaną na nich inskrypcję:

„Niebezpieczne zwierzęta. Zachować nadzwyczajną ostrożność”.

ROZDZIAŁ 10

– Czy jest pani amatorką narkotyków, panno Lin?

Lin wiele razy powtarzała panu Motleyowi, że prowadzenie rozmowy podczas pracy sprawia jej wielką trudność. Odpowiadał na to z niezmienną pogodą ducha, że nudzi mu się; zresztą nie tylko teraz, ale i za każdym razem, kiedy pozuje do portretu. Mawiał też, że Lin nie musi podtrzymywać konwersacji. Jeżeli jednak w tym, co słyszała z jego ust, znalazłaby coś interesującego, powiadał, mogła zanotować co nieco w pamięci i podjąć dyskusję po zakończeniu sesji. Nalegał, żeby nie przejmowała się jego zachowaniem, bo po prostu nie potrafił usiedzieć bez ruchu i bez słowa przez dwie czy trzy godziny – oszalałby, milcząc. Tak więc Lin słuchała tego, co miał do powiedzenia i starała się zapamiętać jedną czy dwie uwagi, by z grzeczności porozmawiać z nim po pracy. Nadal bardzo się starała, by był z niej zadowolony pod każdym względem.

– Powinna pani spróbować. Szczerze mówiąc, jestem pewien, że już to pani zrobiła. Taka artystka... Zgłębiająca meandry psychiki... I tak dalej. – Lin odniosła wrażenie, że pan Motley uśmiecha się.

Namówiła go na urządzenie studia do pracy na poddaszu jego domu w Mieście Kości. Jak zauważyła, w całym budynku nie było drugiego miejsca, w którym miałyby pod dostatkiem naturalnego światła. Nie tylko malarze i heliotypiści potrzebowali takiego oświetlenia: prawdziwa tekstura powierzchni, które tak wytrwale kształtowała techniką gruczołową, w blasku świec nie była widoczna, lampy gazowe zaś wyolbrzymiały jej cechy. To dlatego targowała się z Motleyem w nerwowej atmosferze tak długo, aż zgodził się z jej ekspercką opinią. Od tamtej pory kaktus-
lokaj witał ją przy drzwiach i prowadził wprost na najwyższe piętro, gdzie z klapy w suficie zwisała drewniana drabinka.

Zawsze wchodziła i schodziła z poddasza samotnie. Kiedy pojawiała się w domostwie, pan Motley już na nią czekał. Stał nieruchomo w wielkiej przestrzeni studia, o kilka stóp od otworu, z którego wylaniała się artystka. Trójkątne w przekroju poddasze ciągnęło się co najmniej przez jedną trzecią długości szeregu połączonych domów i samo w sobie było ćwiczeniem z perspektywy, przeciętej w połowie chaotycznym konglomeratem mięsa i kości, którym był pan Motley.

Nie było tam mebli. Jedyne drzwi prowadziły do ciasnego korytarza, ale Lin nigdy nie widziała ich otwartych. Powietrze na poddaszu było suche. Stąpała boso po luźnych deskach, przy każdym kroku ryzykując kontakt z drzazgami. Na szczęście brud na dużych, mansardowych oknach był w miarę przezroczysty, przepuszczał światło i rozszczepiał je nieco. Lin gestem zapraszała pana Motleya, by stanął w plamie słonecznego blasku, po czym spacerowała wokół niego, żeby odświeżyć zapamiętany obraz przed przystąpieniem do pracy.

Któregoś dnia zapytała go, gdzie zamierza ustawić swoją podobiznę w skali jeden do jednego.

– Nie powinna pani zaprzętać sobie tym myśli – odpowiedział, uśmiechając się pobłażliwie.

Stała przed nim i patrzyła, jak letnie, szarawe światło rozlewa się po jego członkach. Przed każdą sesją spędzała kilka minut na ponownym zaznajamianiu się z budową swego klienta.

Podczas pierwszych paru sesji była przekonana, że zmienił się w ciągu nocy, że odłamki fizjonomii tworzące tę zdumiewającą całość reorganizowały się, kiedy nikt nie patrzył. Zaczęła żyć w strachu, czy podoła temu zleceniu. Zastanawiała się, balansując na granicy hysterii, czy nie było to zadanie rodem z dziecięcej historyjki z morałem: czy nie skazano jej – tytułem kary za grzechy galaktycznych wprost rozmiarów – na uwiecznianie nieustannie zmieniającego się ciała, by bojąc się sprzeciwić oprawcom, każdego dnia zaczynała swą pracę od nowa.

Nie minęło jednak wiele czasu, nim nauczyła się wymuszać pewien porządek na tym chaotycznym tworze. Liczenie ostrych jak brzytwa fragmentów chitynowego pancerza, sterczących ze skrawków grubej skóry, mogło wydawać się absurdalnie prozaicznym zajęciem, ale nie było innego sposobu na zawarcie w rzeźbie wszystkich elementów ciała modela. Lin czuła, że jest to czynność niemal prostacka; miała wrażenie, że anarchiczne kształty pana Motleya buntują się przeciwko matematycznej metodzie pracy. A jednak dopiero gdy zaczęła przyglądać się gospodarzowi w taki właśnie sposób, jej dzieło nabrało konkretniejszych kształtów.

Stała przed Motleyem i wpatrywała się weń, analizując obraz z kolejnych fotoreceptorów swych złożonych oczu. W głębokim skupieniu próbowała ogarnąć jego postać, zbudowaną miejscami z wielu nieznacznie różniących się części. Miała przy sobie gęste, białe słupek organicznej pasty, którą musiała poddać procesom metabolicznym we własnym ciele, aby móc przystąpić do pracy. Przed przybyciem do studia zjadała kilka podobnych, a teraz, mierząc wzrokiem sylwetkę modela, pochłaniała w pośpiechu jeszcze jeden, starając się ignorować mdły, nieprzyjemny smak. Przeżuta pasta szybko przepływała przez jej głowociało, do zasobnika w tylnej części głowotułowia. Głowobrzuch Lin nabrzmiewał szybko, wypełniony strawioną papką.

Odwróciwszy się, podjęła pracę nad pierwszym elementem dzieła: jedną z trójpalczastych, gadzich stóp pana Motleya, umocowaną do podłogi niewielką klamrą. Stojąc tyłem do rzeźby, przyklęknęła, uchyliła niedużą, chitynową płytkę chroniącą gruczoł i ściągnawszy dolne usta umieszczone w tylnej części głowociała, z cichym chlupnięciem splunęła na chropowatą powierzchnię.

Na początek posłużyła się substancją zawierającą odrobinę enzymu naruszającego strukturę zakrzepniętej już khepri-śliny. Krawędź dzieła zmieniła się w gęstą, lepkaż, gotową przyjąć nowe porcje budulca. Lin zabrała się do pracy, przywołując z pamięci wszystkie szczegóły zapamiętane z natury – ostre krawędzie egzozszkieletu i zagłębienia między mięśniami. Zaczęła spokojnie, od wyciśnięcia z gruczołu minimalnej ilości pasty i nadania jej ustami-zwieraczami pożądanego kształtu. Precyzyjne ruchy mięśni pozwalały jej wydłużać, skracać, rozciągać, kulać i wygładzać kawałki lepkiej substancji.

Zazwyczaj z zadowolającym skutkiem używała zwykłej, perłowej khepri-śliny. Istniały jednak i takie miejsca, gdzie dziwactwa ciała pana Motleya były zbyt spektakularne, aby je zignorować. Lin sięgała wtedy po garść kolorowych jagód, starannie ułożonych na palecie. Zjadała je w precyzyjnie określonych kombinacjach, wprawnie mieszając owoce czerwone, zielononiebieskie, żółte, fioletowe i czarne.

Jaskrawy sok przepływał przez jej głowotrzewia, splątana i dziwaczna sieć wnętrzości, i wpadał do zasobnika w tylnej części głowotułowia. Stamtąd, po czterech lub pięciu minutach mieszania i przetwarzania, spieniony płyn mógł wydostać się na zewnątrz. Lin smarowała nim ostrożnie powierzchnię z khepri-śliny, z niezwykłym wyczuciem kontrastując odcienie i podkreślając kształty szybko schnącej rzeźby stosownymi barwami.

Dopiero po paru godzinach pracy, spuchnięta i wyczerpana, czując w ustach ból wywołany kwasotą jagód i przeżuwaniami pasty, mogła odwrócić się i spojrzeć na swoje dzieło. Na tym polegał kunszt artystki gruczołowej: pracowała na ślepo.

„Pierwsza noga pana Motleya przybiera pożądaną kształt” – uznała Lin z niejaką dumą.

*

Chmury widoczne za oknem rwały się gwałtownie i kłębiły ponownie w innej części nieba. Tymczasem powietrze na poddaszu było zupełnie nieruchome: nawet drobiny kurzu nie wirowały, a jedynie wisiały w powietrzu. Pan Motley zamarł w zamyśleniu, otoczony plamą światła.

Stanie w bezruchu wychodziło mu doskonale, o ile tylko jedno z jego ust mogły wygłaszać niekończący się monolog. Tego dnia postanowił uraczyć Lin wykładem na temat narkotyków.

– A jaka jest pani trucizna, Lin? Shazbah? O ile wiem, kieł nie działa na kheprich, więc odpada... – rozmyślał na głos. – Moim zdaniem artyści mają ambiwalentny stosunek do narkotyków. Bo przecież chodzi wam przede wszystkim o to, żeby uwolnić w sobie bestię, nieprawdaż? Albo anioła, wszystko jedno. Jak to mówią, trzeba otwierać drzwi, które wydawały się zatrzaśnięte na głucho. Ale jeśli dokonuje się tego za pomocą prochów, to czy sztuka nie staje się przez to mniej warta? Powinna przecież służyć komunikacji, prawda? Jeśli więc artysta posługuje się narkotykiem, który – bez względu na to, co mówią na ten temat bywalcy imprez tanecznych – wywołuje wrażenia głęboko indywidualne, to owszem, otwiera jakieś drzwi, ale czy potrafi nawiązać kontakt z tym, co zastaje po drugiej stronie? Kiedy zaś twórca twardo trzyma się zasad i uparcie kieruje się rozsądkiem, jak to najczęściej bywa, wtedy może porozumieć się z innymi istotami, bo mówi tym samym językiem co one... ale czy zdoła wówczas otworzyć drzwi? Może najlepszym rozwiązaniem jest zagłębienie przez dziurkę od klucza? Może to wystarczy?...

Lin uniosła głowę, by sprawdzić, którymi ustami przemawia jej klient. Poruszały się pełne, kobiece wargi umieszczone opodal barku. Khepri zastanawiała się głęboko, dlaczego głos Motleya nie zmienia się bez względu na to, skąd dobiega. Bardzo chciała odpowiedzieć na jego rzucane w przestrzeń pytania albo chociaż zasugerować mu, żeby się zamknął. Coraz trudniej jej było skoncentrować się na pracy, ale postanowiła nie narzekać – czuła, że i tak wytargowała z nim przyzwoity kompromis.

– Narkotyki to gigantyczne pieniądze... to oczywiste dla pani, nieprawdaż? Ale czy ma pani pojęcie, ile pani przyjacieli i agent, Lucky Gazid, jest gotów zapłacić za najnowszy z nielegalnych trunków? Daję słowo, byłaby pani zdumiona. Proszę go spytać. Rynek na tego typu substancje jest niebywale bogaty. Wielu dostawców zarabia dzięki temu imponujące sumy...

Lin miała wrażenie, że pan Motley naśmiewa się z niej. W każdej z dotychczasowych rozmów przemyślał pewne niedyskrecje na temat podziemnego życia Nowego Crobuzon; mimo woli słuchała więc o sprawach, których zawsze starała się unikać. „Jestem tu tylko gościem” – chciała zasygnalizować w panice. „Proszę nie wprowadzać mnie w szczegóły! Strzał shazbahu od czasu do czasu, może okazjonalny tyk quinnera, tyle mi wystarczy... Nic nie wiem o dystrybucji i nie chcę wiedzieć!”

– Mama Francine trzyma coś w rodzaju monopolu w Petty Coil. Jej sieć sprzedaży przekroczyła już granice Kinken. Zna ją pani? To jedna z waszych. Doprawdy imponująca kobieta interesów. Będę musiał zawrzeć z nią jakiś układ, w przeciwnym razie może być gorąco. – Kilka par ust pana Motleya uśmiechnęło się jednocześnie. – Ale coś pani powiem – dodał łagodnie. – Wkrótce dostanę coś, co powinno dramatycznie zmienić moją sieć dystrybucji. Niewykluczone, że już niedługo sam będę kontrolował monopol...

„Dziś wieczorem koniecznie muszę spotkać się z Isaakiem” – pomyślała niespokojnie Lin. „Zabiorę go na kolację, może gdzieś na Polach Salacusa, gdzie będę mogła dotykać go przynajmniej pod stołem”.

Termin dorocznego konkursu o nagrodę Shintacost zbliżał się wielkimi krokami – jak zawsze pod koniec meluara – i Lin czuła, że musi w jakiś sposób przekazać Isaacowi wiadomość, że nie zamierza brać udziału. Nigdy jeszcze nie wygrała – jej zdaniem sędziowie nie mieli pojęcia o sztuce posługiwania się gruczołami – ale wraz z przyjaciółmi-artystami od siedmiu lat niezmiennie stawiała do zawodów. Stało się to czymś w rodzaju rytuału. Co roku w dniu ogłoszenia wyników spotykali się na wystawnej kolacji i wysyłali kogoś, by przyniósł najwcześniejsze wydanie „Gazeciarza Salacusa” – lokalnego pisma sponsorującego konkurs – aby przekonać się, kto zwyciężył. Następnie, z pijackim zapałem, informowali wszystkich obecnych o tym, jakimi bufonami bez krztyny gustu są organizatorzy imprezy.

Lin domyślała się, że Isaac będzie zdziwiony jej rezygnacją. Postanowiła, że powie mu o pilnym projekcie, w który się zaangażowała, aby przynajmniej na jakiś czas powstrzymać go przed zadawaniem pytań.

„Oczywiście” – pomyślała – dopóki tak go pasjonuje sprawa tego garudy, nawet nie zwróci uwagi na moją decyzję”.

Smutna refleksja uświadomiła jej, że ten tok rozumowania nie jest do końca sprawiedliwy. Sama przecież miała podobną skłonność do obsesyjnego zainteresowania pracą: nie było jej łatwo zapomnieć o potwornych kształtach pana Motleya; o każdej porze dnia i nocy widziała je którąś z części oczu. „Źle się złożyło, że Isaac popadł w nową obsesję akurat wtedy, kiedy i mnie to się przydarzyło” – pomyślała z niechęcią. Zlecenie pochłaniało ją stanowczo zbyt mocno; marzył jej się już powrót do domu, do świeżej sałatki owocowej, biletów do teatru i seksu.

Tymczasem on spędzał czas w laboratorium, a ona wracała co wieczór do pustego łóżka w Żmijowej Norze. Spotykali się raz czy dwa razy w tygodniu, ale tylko po to, by w pośpiechu zjeść późną kolację i zapaść w głęboki, nieromantyczny sen.

Lin rozejrzała się i spostrzegła, że cienie przesunęły się znacznie od czasu, gdy przyszła na poddasze. Po długotrwałej koncentracji czuła lekkie oszołomienie. Szybkimi ruchami delikatnych głowoodnoży oczyściła otwór gębowy i czułki, a potem wybrała ostatnią porcję jagód. Kwaśny smak błękitnych złagodziły nieco różowe, zdecydowanie słodkie. Mieszała barwy ostrożnie, raz po raz dodając nieco niedojrzałych perłowych i niemal fermentujących żółtych. Wiedziała dokładnie, jaki smak chce osiągnąć: nieprzyjemną gorycz odpowiadającą kolorowi szarzejącego już mięsa łososa – taką właśnie barwę miała jedna z łydek pana Motleya.

Przełknęła z wysiłkiem i sok popłynął w głąb owadziego ciała jej głowy. Po chwili wytrysnął z przeciwnej strony na połyskującą, surową jeszcze powierzchnię krzepnącej khepri-śliny. Był zbyt płynny – pryskał na boki i pienił się. Lin natychmiast naprężyła mięśnie, starając się pokierować strugą w bardziej precyzyjny sposób.

Kiedy ślina zastygła na dobre, artystka odłączyła się od swego dzieła. Odrywając głowę od na poły ukończonej nogi posągu, czuła naprężanie się gęstego śluzu i słyszała cichy trzask. Pochyliła się na bok i raz jeszcze wytężyła mięśnie owadziej głowy, by wycisnąć z gruczołu resztkę przetworzonej pasty. Żebrowane podbrzusze głowociała rozluźniło się po chwili i odzyskało swój normalny kształt. Pokażna, biała kropla khepri-śliny oderwała się od tylnej strony pancerzyka i spadła na podłogę. Lin wysunęła końcówkę gruczołu na zewnątrz i oczyściła ją tylnymi odnóżami, po czym ostrożnie zamknęła ochronne połączenie chityny ponad końcówkami skrzydeł.

Wstała i przeciągnęła się. Przyjazny, zimny i niebezpieczny monolog pana Motleya urwał się nagle. Zleceniodawca teraz dopiero się zorientował, że dzień pracy artystki dobiegł końca.

– Tak prędko, panno Lin? – zawołał z teatralnym wręcz rozczarowaniem.

Stracę ostrość spojrzenia, jeśli nie będą uważać, zasygnalizowała powoli. To bardzo wyczerpująca praca. Muszę odpocząć.

– Naturalnie – odparł pan Motley. – Jak tam nasze arcydzieło? Odwrócili się jednocześnie.

Lin zauważyła z przyjemnością, że ostatnie użycie wodnistego soku z jagód przyniosło pożądany, sugestywny efekt. Dzieło nie było zbyt naturalistyczne, ale też nie były takie żadne z jej poprzednich dokonań. Stworzona przez nią przed momentem łydka pana Motleya wyglądała tak, jakby ktoś z wielką siłą rzucił mięśnie na kości nogi. Być może nie było to porównanie dalekie od prawdy.

Półprzezroczyste barwy rozlały się po nierównościach khepri-śliny, świecącej białawym blaskiem niczym wewnątrz muszli. Kawaty mięśni i innych tkanek zdawały się zderzać i nachodzić na siebie. Skomplikowana struktura mieszanki rozmaitych typów ciała została oddana w sposób znakomity. Pan Motley z aprobatą skinął głową.

– Wie pani – odezwał się cicho – moja słabość do wielkich chwil każe mi marzyć o jakimś sposobie, który pozwoliłby mi powstrzymać się przed podglądaniem aż do chwili, kiedy rzeźba będzie gotowa. Moim zdaniem to, co zrobiła pani do tej pory, jest bardzo dobre. Bardzo dobre. Jednakże w przedwczesnych pochwałach kryje się pewne ryzyko – mogą na przykład wzbudzić samozadowolenie... albo coś wręcz przeciwnego. Dlatego proszę nie załamywać się, jeżeli od tej chwili nie odezwę się już ani słowem – czy to dobrym, czy złym – na temat poziomu pani pracy, aż do samego końca. Zgoda?

Lin kiwnęła głową. Nie umiała oderwać oczu od tego, co stworzyła. Delikatnie powiodła dłonią po gładkiej już powierzchni krzepnącej khepri-śliny. Próbowała wyczuć palcami miejsca, w których na nodze pana Motleya futro zmieniało się w łuski i w skórę. Spojrzała w dół, na nogę modela, a potem na jego głowę. Zleceniodawca odwzajemnił spojrzenie parą tygrysiich oczu.

Czym... czym pan był? – zasygnalizowała nieśmiało.

Motley westchnął ciężko.

– Zastanawiałem się, kiedy padnie to pytanie, panno Lin. Miałem nadzieję, że nigdy, ale zdawałem sobie sprawę, że to mało prawdopodobne. A teraz zastanawiam się, czy w ogóle się rozumiemy – syknął z nagłą złością. Lin skuliła się odruchowo. – To takie... przewidywalne. Wciąż jeszcze nie patrzy pani na mnie we właściwy sposób. Ani trochę! To cud, że potrafi pani tworzyć taką sztukę. Postrzega pani to –

Motley machnął małą ręką, wskazując na własne ciało – jako patologię. Nadal interesuje panią, co było na początku i jak to się stało, że się zepsuło. To nie jest błąd, brak czy mutacja, to jest pełny obraz i esencja! – Jego podniesiony głos odbił się echem między grubymi krokwiemi. Pan Motley uspokoił się nieco i opuścił swe liczne ramiona. – To jest całość – powiedział, a Lin skinęła głową na znak zrozumienia, zbyt wyczerpana, by dać się zastraszyć. – A może jestem dla pani zbyt surowy – dodał Motley po namyśle. – Bo przecież... ten fragment, który stoi przed nami, jest dowodem na to, iż jednak ma pani świadomość przemian, nawet jeśli pytanie sugerowało coś innego... Może więc – ciągnął z wahaniem – i w pani kryją się takie momenty przejścia. Kto wie, czy jakaś część pani osobowości nie pojmuje tych spraw bez zbędnych słów, podczas gdy świadomość nakazuje zadawać pytania, na które odpowiedź jest niemożliwa. – Spojrzał na nią triumfalnie. – Lin, w pani także jest ta bękarcia strefa przemiany! Pani sztuka rodzi się tam, gdzie zlewają się ze sobą zrozumienie i ignorancja.

W porządku, zasygnalizowała, zbierając swoje rzeczy. *Wszystko jedno. Przykro mi, że zapytałam.*

– Mnie też było przykro, ale chyba już mi przeszło – odrzekł Motley.

Lin zamknęła poplamioną paletę, resztkę kolorowych jagód (zdecydowanie musiała uzupełnić zapasy) oraz bloczki pasty w drewnianym futerale. Pan Motley kontynuował swoje filozoficzne rozważania na temat stref hybrydowych, ale khepri już go nie słuchała. Odwróciła czułki w drugą stronę, wyczuwając drobne wibracje całego budynku; napór mas powietrza przesuwających się za oknem.

„Potrzebuję otwartego nieba nad głową” – stwierdziła w duchu – a nie starych, zakurzonych belek i dachu krytego kruszejącą smołą. Idę do domu. Powoli. Koniecznie przez Brock Marsh”.

Z każdą myślą była coraz bardziej zdecydowana.

„Zatrzymam się w laboratorium i nonszalancko poproszę Isaaca, żeby poszedł ze mną. Ukradnę go na całą noc”.

Pan Motley nie przestawał mówić.

„Zamknij się! Zamknij się wreszcie, ty zepsuty gnojku, ty cholerny megalomanie z głową pełną chorych teorii” – myślała Lin z narastającą złością.

Kiedy odwróciła się, by nadać znak pożegnania, uczyniła to jedynie z najwęższymi pozorami uprzejmości.

ROZDZIAŁ 11

Gołąb z rozpostartymi skrzydłami leżał na biurku Isaaca, umocowany do drewnianego krzyża. W panice obracał głowę na prawo i lewo, lecz mimo prerażenia był w stanie wydać z siebie jedynie żalosne gruchanie.

Jego skrzydła przybite były do deski cienkimi gwoździami, które wciśnięto w szpary między gęstymi piórami i zagięto ku dołowi. W podobny sposób unieruchomiono jego nóżki. Drewno między nimi upaprane było białoszarymi plamami ptasiego gówna. Ptak wyrywał się spazmatycznie, za wszelką cenę próbując zatrzepotać skrzydłami, ale gwoździe trzymały.

Isaac pochylił się nad gołębiem ze szkłem powiększającym i długim piórem.

– Przestań się opieprzać, pasożycie – mruknął i na zachętę szturchnął ptaka ostrą końcówką pióra. Spoglądając w skupieniu przez soczewkę, obserwował najdrobniejsze nawet ruchy cieniutkich kości i małych mięśni. Nie patrząc na kartkę papieru, wolną ręką w pośpiechu notował myśli.

– Ejże!

Isaac obejrzał się, słysząc zirytowany głos Lublamaia, i pospiesznie wstał od biurka. Dotarłszy do balustrady, wychylił się i spojrzał w dół.

– Czego?

Lublamai i David stali ramię w ramię na dolnym poziomie magazynu, z rękami założonymi na piersiach. Wyglądali jak miniaturowy chór gotów w każdej chwili rozpocząć swoją pieśń. Obaj spoglądali w górę spod zmarszczonych brwi, przez dobrych kilka sekund nie odzywając się ani słowem.

– Posłuchaj – zaczął Lublamai niespodziewanie spokojnym tonem. – Isaacu... Zawsze zgadzaliśmy się co do tego, że w tym laboratorium możemy prowadzić takie badania, na jakie tylko mamy ochotę. Że nie zadajemy pytań, wspieramy się nawzajem i tak dalej... Mam rację?

Isaac westchnąwszy, potarł oczy kciukiem i palcem wskazującym lewej dłoni.

– Na bogów, chłopaki, nie odgrywajmy tu weteranów – jęknął. – Nie musicie mi mówić, że byliśmy razem w trudnych i wielkich chwilach albo że wiele dokonaliśmy. Wiem, że jesteście wkurzeni, i wcale was nie winię...

– Śmierdzi tu, Isaacu – stwierdził otwarcie David. – A do tego bez przerwy musimy wysłuchiwać tego ptasiego wycia.

Kiedy Lublamai przemawiał, stary konstrukt sprząający podjechał do niego od tyłu, zatrzymał się niepewnie i obrócił głowicę, kierując soczewki receptorów w stronę dwóch mężczyzn. Po chwili zastanowienia maszyna złożyła grube, metalowe ramiona w niezgrabnej imitacji ich gestów.

Isaac machnął ręką w jej stronę.

– Patrzcie, odbija głupolowi! Chyba wirus go złapał! Lepiej go złomujcie, bo jak nie, to dokona samoorganizacji i zanim minie rok, będziecie musieli prowadzić egzystencjalne dysputy z własną mechaniczną sprzątaczką!

– Isaacu, do ciężkiej cholery, nie zmieniaj tematu – zirytował się David. Odwróciwszy się, pchnął konstrukt, który z hukiem padł na posadzkę. – Wszyscy potrafimy być wyrozumiali, kiedy zdarzają się drobne niedogodności, ale tym razem zdecydowanie przesadzasz.

– W porządku! – zawołał Isaac, unosząc ręce w obronnym geście. Po chwili rozejrzał się po swoim królestwie. – Zdaje się, że nie doceniłem skuteczności Lemuela – przyznał ze smutkiem.

Na galerii opasującej wszystkie cztery ściany magazynu piętrzyły się pudła i klatki z trzepoczącymi się, krzyczącymi i pełzającymi istotami. W sali rozbrzmiewały odgłosy intensywnego bicia skrzydeł, nagłych ruchów i łopotu piór, stukot spadających odchodów, a przede wszystkim – donośne i nieustanne skrzeczenie uwięzionych ptaków. Gołębie, wróble i szpaki oznajmiały światu swój niepokój głośnym gruchaniem, ćwierkaniem i gwizdem. Każdy z osobna nie władał zbyt potężnym głosem, ale jako chór brzmiały imponująco. Papugi i kanarki ze sporą częstotliwością przerywały ptasi gwar piskami tak przenikliwymi, że Isaac krzywił się mimowolnie. Gęsi, kury i kaczki przydawały tej kakofonii nieco rustykalnego charakteru. Twardogłowe aspisy próbowały fruwać na krótkich dystansach od ściany do ściany klatki, tłukąc swymi małymi, jaszczurczymi ciałami o druciane plecionki. Lizwały rany, wysuwając języki ze swych lwich pysków i porykiwały niczym agresywne myszy. Duże, szklane naczynia pełne much, pszczoł, os, jętek, motyli i skrzydlatych chrząszczy rozbrzmiewały echem złowrogiego brzęczenia. Nietoperze zwisały głowami w dół, mierząc Isaaca małymi, przenikliwymi ślepkami. Wężoważki szeleściły długimi, eleganckimi skrzydłami i syczały głośno.

Nikt nie sprzątał w klatkach – fetor zwierzęcych odchodów był naprawdę silny. Isaac zauważył, że nawet Szczerść miota się po sali, potrząsając z

niedowierzaniem swym pasiastym łbem. David, który dostrzegł to spojrzenie, nie zamierzał zwlekać z komentarzem.

– No tak – zawołał. – Widzisz? Ten smród nie daje jej spokoju!

– Koledzy – odparł Isaac. – Zaprawdę doceniam waszą wyrozumiałość, ale w życiu trzeba czasem brać, a czasem dawać. Lub, pamiętasz, jak eksperymentowałeś z sonarem i jakiś typ przez dwa dni łomotał nam tu w wielki bęben?

– Isaacu, twoje badania trwają już tydzień! Jak długo jeszcze? Jakie masz plany? Mógłbyś przynajmniej sprzątnąć ten bałagan!

Grimnebulin spojrzał z większą uwagą na twarze towarzyszy. Dość szybko dotarło do niego, że są naprawdę wnerwieni. Równie szybko przyszedł mu do głowy pomysł na wstępny kompromis.

– W porządku – odezwał się pojednawczym tonem. – Obiecuję, że posprzątam dziś wieczorem. I będę pracował tak ciężko, jak tylko... Wiem! Najpierw popracuję nad najgłośniejszymi okazami. Spróbuję pozbyć się ich stąd, powiedzmy... za dwa tygodnie? – dokończył z naiwną imitacją nadziei. David i Lublamai wygwizdali go, ale szybko przerwał ich głośny sprzeciw: – I zapłacę większą część czynszu za następny miesiąc! Co wy na to?

Nieuprzejme gwizdy i pohukiwania umilkły natychmiast. Dwaj mężczyźni spojrzeli na Isaaca badawczo. Byli towarzyszami-naukowcami, niegrzecznymi chłopcami z Brock Marsh, przyjaciółmi, ale ich byt bywał z reguły niepewny – gdy w grę wchodziły pieniądze, sentymenty spychali na drugi plan. Wiedząc o tym doskonale, Isaac próbował zabezpieczyć się przed ewentualną wyprowadzką Davida i Lublamaia; sam z pewnością nie mógłby pozwolić sobie na wynajmowanie tak przestronnego laboratorium.

– O jakiej kwocie mówimy? – spytał rzeczowo David. Isaac zamyślił się.

– Dodatkowe dwie gwinee? – David i Lublamai spojrzeli po sobie. Oferta była hojna. – Poza tym – ciągnął swobodnie Isaac – skoro już o tym mowa, przydałaby mi się pomoc. Nie bardzo wiem, jak zabrać się do niektórych z tych... eee... podmiotów badawczych. Jeśli dobrze pamiętam, Davidzie, zgłębiałeś kiedyś teorię ornitologiczną nieprawdaż?

– Nie zgłębiałem – odparł złośliwie uczoney. – Byłem asystentem kogoś, kto zgłębiał. I nudziłem się jak diabli. Przestań być taki świętoszkowaty, Zaac. Nie będę nienawidził twoich cholernych zwierzaków ani trochę mniej, jeżeli wciągniesz mnie do tego projektu... – David zaśmiał się, tym razem z odrobiną autentycznego rozbawienia. – Co z tobą, czyżbyś zapisał się na kurs Wprowadzenia do Teorii Empatii czy czegoś podobnego?

Jednak wbrew własnym słowom David wspinał się już po schodach, a tuż za nim szedł Lublamai. Zatrzymawszy się na górnej platformie, przyjrzał się hałaśliwemu zwierzyńcowi.

– Na Diabli Ogon, Isaacu – wyszeptał, szczerząc zęby. – Ile cię to kosztowało?

– Jeszcze nie do końca rozliczyłem się z Lemuelem – odparł szyderczo Isaac. – Ale mój nowy zleceniodawca dopilnuje, żebym nie był stratny.

Lublamai dołączył do Davida na najwyższym stopniu i skinął ręką w stronę kolekcji rozmaitych klatek, ustawionej oddzielnie, na dalekim krańcu platformy.

– A co trzymasz w tamtych?

– To, co najbardziej egzotyczne. Aspisy, lasimuchy...

– Masz nawet lasimuchę!? – wykrzyknął Lublamai. Isaac skinął głową z łobuzerskim uśmiechem.

– Jakoś nie mam serca do przeprowadzania na niej eksperymentów – przyznał.

– Mogę ją zobaczyć?

– Jasne, Lub. Jest tam, za klatką z nietoperzami.

Lublamai zniknął między ciasno upakowanymi pudłami, a David spojrzął z ukosa na Isaaca.

– No to gdzie ten twój problem ornitologiczny? – spytał, zacierając ręce.

– Na biurku – odrzekł Grimnebulin, wskazując na wymęczonego i wystraszonego gołębia. – Co mam zrobić, żeby przestał się wiercić? Z początku chciałem, żeby to robił, bo musiałem przyrzeć się pracy mięśni, ale teraz chciałbym poruszać jego skrzydłami wedle własnego uznania.

David spojrzął na niego jak na półgłówka.

– Zabij go.

Isaac z westchnieniem wzruszył ramionami.

– Próbowałem. Jakoś nie chce zdechnąć.

– Kurza jego dupa... – David zaśmiał się, zniecierpliwiony, i dziarskim krokiem podszedł do biurka. Jednym ruchem skrzył gołębiowi kark.

Isaac skrzywił się odruchowo i uniósł masywne łapska w obronnym geście.

– Chyba nie są wystarczająco subtelne do tego rodzaju roboty. Ręce mam niezgrabne, a zmysły zdecydowanie zbyt delikatne – oznajmił górnolotnie.

– Akurat – mruknął sceptycznie David. – Nad czym właściwie pracujesz?

– Cóż... – Isaac zbliżył się do biurka. – W całym mieście szukałem garudy, ale znasz moje kurewskie szczęście. Słyszałem plotkę, że para mieszka gdzieś w St Jabber's Mound czy Syriac. Rozgłosiłem więc, że dobrze zapłacę za kilka godzin obserwacji i pozwolenie na zrobienie heliotypów, ale nie dostałem żadnej odpowiedzi. Rozwiesiłem też parę plakatów w gmachu uniwersytetu, prosząc o pomoc studentów-garudów. Z własnych źródeł dowiedziałem się później, że w tym roku nie przyjęto ani jednego.

– „Garudowie nie są... wprawieni w abstrakcyjnym myśleniu”. – David dość udatnie naśladował wielkopański ton mówcy z partii Trzy Pióra, która rok wcześniej urządziła sobie wyjątkowo nieudany zlot właśnie tu, w Brock Marsh. Isaac, David i Derkhan od początku zamierzali przeszkadzać organizatorom imprezy. Ciskali pod adresem mówców poważne oskarżenia i zgniłe pomarańcze, ku uciesze obcych, uczestników demonstracji. Isaac zaśmiał się, wspominając tamtą awanturę.

– Zdecydowanie. Tak czy inaczej, dopóki nie wybiorę się do Spatters, nie mogę pracować z prawdziwym garudą, więc przyglądam się różnym mechanizmom umożliwiającym lot... z natury, że tak powiem. I powiem ci, że jest w tym zdumiewająca różnorodność.

Isaac włożył dłoń w stertę odręcznych notatek i wyjął z niej diagramy przedstawiające skrzydła gili i much plujek. Odczepiwszy martwego gołębia od krzyża z deseczek, łukowatym ruchem delikatnie rozwinął jego pierzaste kończyny. Bez słowa wskazał na ścianę nad biurkiem, pokrytą precyzyjnymi rysunkami innych skrzydeł. Były tam zbliżenia i przekroje stawów barkowych, schematy działających sił i pięknie cieniowane studia rozmaitych rodzajów piór. Nie brakowało też heliotypów przedstawiających sterowce, otoczone strzałkami i znakami zapytania naniesionymi czarnym atramentem. Były też szkice bezmózgich głuptaków szybujących nad morzem i olbrzymie powiększenia skrzydeł os. Na każdym rysunku widniał szczegółowy opis. David z podziwem wodził wzrokiem po owocach wielogodzinnej pracy – badań porównawczych rozmaitych narzędzi lotu.

– Nie wydaje mi się, żeby mój klient szczególnie przejmował się kształtem swoich nowych skrzydeł – o ile będą to skrzydła – bo przede wszystkim zależy mu na tym, żeby latać, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. – David i Lublamai wiedzieli już o Yagharku. Isaac ufał im, prosił jedynie, by zachowali sprawę w tajemnicy. Zrobił

to na wypadek, gdyby garuda zjawił się w laboratorium pod jego nieobecność. Być może uczynił to jednak niepotrzebnie, jak do tej pory bowiem Yagharek skutecznie unikał spotkania z kimkolwiek poza uczonym, którego najął.

– Zastanawiałeś się może nad tym, czy nie dałoby się po prostu wszczepić mu z powrotem jakichś skrzydeł? – spytał David. – Mówię o zwykłym prze-tworzeniu.

– Oczywiście, to podstawowy tok myślenia, ale widzę co najmniej dwa problemy. Po pierwsze: jakie skrzydła? Będę musiał je zbudować. Po drugie: czy którykolwiek z prze-twarzaczy zgodzi się wykonać po cichu taki zabieg? Najlepszy biotaumaturg, jakiego znam, to ten parszywy Vermishank. Pójdę do niego, jeżeli nie będę miał innego wyjścia, ale naprawdę musiałbym być zdesperowany... I dlatego na początek zajmuję się wstępnymi badaniami. Próbuję obliczyć rozmiar, wypracować odpowiedni kształt i znaleźć źródło energii dla skrzydeł – o ile będą to skrzydła, bo niewykluczone, że gruntownie zrewiduję koncepcję.

– A co innego wchodziłoby w rachubę? Fizykotaumaturgia?

– Wiesz przecież: TJP, moja ukochana Teoria Jednorodnego Pola... – Isaac uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Mam wrażenie, że grzbiet Yagharka jest zbyt poharatany, żeby poddać go prostemu prze-tworzeniu, nawet jeśli dobrałbym odpowiednie skrzydła. Zastanawiam się nad kombinacją dwóch pól energetycznych... Gówno tam, Davidzie, po prostu nie wiem. Mam tylko zaczątki pomysłu – dodał, pokazując mu zagryzłony notatkami rysunek trójkąta.

– Isaacu? – wrzask Lublamaia skutecznie przebił się przez świergot ptaków. Isaac i David odwrócili się w jego stronę jak na komendę. Lublamai minął już klatki z lasimuchą i parą złocistych papug. Wskazywał palcem na stos mniejszych pudełek, skrzynek i kadzi. – Co tam masz?

– To moja wylęgarnia – odkrzyknął z dumą Isaac i ruszył w stronę Lublamaia, pociągając za sobą Davida. – Uznałem, że warto sprawdzić, jak dokonuje się przemiana z formy nielotnej w latającą. Dlatego postarałem się o okazy nienarodzone, nowo narodzone i bardzo młode. – Zatrzymali się przy kolekcji pojemników. Lublamai zaglądał właśnie do małej klatki z gniazdem pełnym srebrzystych jaj. – Nie mam pojęcia, co to będzie – wyznał Isaac. – Mam nadzieję, że coś ładnego.

Klatka stała na szczycie sterty podobnych pojemników o przezroczystych frontach. W każdym z nich nieforemne, ludzką ręką uwite gniazda skrywały od jednego do czterech jaj – jedne miały żywe kolory, skorupki innych zdobit stonowany beż. Niezbyt gruba rurka zawijała się kilkakrotnie wzdłuż ściany za stosem klatek i znikwała pod podłogą platformy, gdzie łączyła się z piecykiem. Isaac trącił ją lekko czubkiem buta.

– Wydaje mi się, że lubią ciepło... – mruknął. – Choć wcale nie mam pewności... Lublamai pochylił się, by zajrzeć do zbiornika ze szklanym frontem.

– Och... – westchnął. – Czuję się tak, jakbym znowu miał dziesięć lat! Sprzedaj mi je za sześć kulek.

Na dnie zbiornika wiły się małe, zielone gąsienice. Z apetytem i uporem wgryzały się w pokłady liści upchniętych wokół nich. Łodygi roślin sprawiały wrażenie falujących, tak gęsto pokrywały je małe, owadzie ciała.

– Moim zdaniem to dość interesujący moment. Lada dzień powinny zamknąć się w kokonach, a wtedy... no cóż, chyba będę musiał bezlitośnie otwierać je w różnych stadiach, żeby przyjrzeć się procesowi przepoczwarczenia.

– Życie laboranta bywa okrutne, prawda? – mruknął Lublamai, przyglądając się mieszkańcom zbiornika. – Jakie jeszcze paskudztwa udało ci się zebrać?

– Głównie czerwie. Łatwo je wykarmić. To pewnie ten zapach tak drażni Szczerość – zaśmiał się Isaac. – Mam też larwy, z których podobno wyrosną motyle i ćmy, mam okropnie agresywne robactwo wodne, które – jak mi powiedziano – przepoczwarzy się w różowe muchy i co tylko zechcesz...

– Isaac wskazał szerokim gestem na stojące z dala od pozostałych naczynie z brudną wodą. – A tu – dodał, przechodząc kilka kroków do klatki z gęstej siatki – mam coś specjalnego – dokończył, stukając kciukiem w ściankę.

David i Lublamai stanęli przy nim i z otwartymi ustami wlepili wzrok w drucziany pojemnik.

– Jaka piękna – szepnął po chwili David.

– Co to jest? – sapnął Lublamai.

Isaac spojrział ponad ich głowami na ozdobę swej kolekcji.

– Szczerze mówiąc, przyjaciele, nie mam bladego pojęcia. Wiem tylko, że to wielka, piękna i niezbyt szczęśliwa gąsienica.

Larwa kiwała na oślep grubym łbem, leniwie krążąc swym masywnym ciałem w druczianym więzieniu. Z tylnej części jej giętkiego korpusu sterczały podobne do kolców włoski. Dokoła walały się brązowiejące już fragmenty liści sałaty, skrawki mięsa, plasterki owoców i ścinki papieru.

– Widzicie? Próbowalem karmić ją wszystkim; dawałem bodaj każde znane mi zioło, ale nie chce niczego ruszyć. Karmiłem ją rybą, owocami, ciastem, chlebem, mięsem, papierem, klejem, bawełną, jedwabiem... Ale ona tylko kręci się w kółko, głodna, i gapi się na mnie oskarżycielsko. – Isaac schylił się, by wsunąć twarz między głowy Davida i Lublamaia. – To jasne, że chciałyby coś zjeść – rzekł po chwili. – Jej kolory bledną. To mnie martwi i obawiam się, że będę stratny, zarówno w sensie estetycznym, jak i fizycznym. Wszystko wskazuje na to, że to cudo wkrótce mi zdechnie – stwierdził rzeczowo.

– Skąd ją wytrzasnąłeś? – spytał David.

– Przecież wiecie, jak to jest – odparł Isaac. – Dostałem ją od gościa, który dostał ją od faceta, który dostał ją od babki... i tak dalej. Naprawdę nie mam pojęcia, skąd się wzięła.

– Ale jej chyba nie zamierzasz otwierać?

– Absolutnie! A jeśli przeżyje i zbuduje kokon – w co niestety wątpię – będę bardzo ciekaw, co z niego wylezie. Może nawet podaruję maleństwo Muzeum Nauki. Znamie mnie, mam duszę społecznika... Tak czy inaczej, do badań nie przyda mi się zbytnio. Nie potrafię nawet zmusić tej larwy do jedzenia czy przepoczwarczenia się, nie mówiąc już o lataniu. Tak więc wszystko, co tu widzicie – Isaac rozłożył ramiona i zakręcił młynka nadgarstkami, wskazując na całe swoje królestwo – jest moją armią w walce z grawitacją. Ale to maleństwo – dodał, spoglądając na gąsienicę – to moja praca społeczna – zakończył, uśmiechając się szeroko.

*

Gdzieś na dole rozległo się skrzywienie. Ktoś otwierał drzwi. Trzej mężczyźni pochylili się nad barierką platformy i wyjrzel na dół, spodziewając się ujrzeć garudę Yagharka z jego fałszywymi skrzydłami ukrytymi pod płaszczem.

Z dołu patrzyła na nich Lin.

David i Lublamai spojrzeli po sobie z zażenowaniem. Nagły i pełen irytacji okrzyk powitalny Isaaca tylko pogłębił ich zmieszanie. Odwrócili głowy, zniechęceni zainteresowaniem innymi sprawami.

Isaac popędził schodami w dół.

– Lin – zagrzemiał. – Jak dobrze cię widzieć! – Stawiając twarzą w twarz z Khepri, zaczął mówić znacznie ciszej. – Kochanie, co ty tu robisz? Zdawało mi się, że mieliśmy się spotkać pod koniec tygodnia.

Mówiąc to, zauważył, że czułki Lin podrygują żałośnie, i postarał się zapanować nad nerwami. Lub i David prawdopodobnie i tak rozumieli, co jest grane. Znali się od dawna: nie wątpił, że jego uniki i niejasne aluzje na tematy sercowe naprowadziły ich na właściwy trop. Pamiętał jednak, że Brock Marsh to nie Pola Salacusa. Był zbyt blisko swoich. Ktoś mógł zobaczyć.

Ale z drugiej strony Lin wyglądała fatalnie.

Posłuchaj, zasygnalizowała gwałtownie. Chcę, żebyś poszedł ze mną do domu, nie odmawiaj. Tęskniłam. Zmęczona. Trudna praca. Przepraszam, że tu przyszłam. Musiałam cię zobaczyć.

Isaac czuł, że gniew ustępuje pod naporem ciepłych uczuć. „To niebezpieczny precedens” – pomyślał. „Cholera!”

– Zaczekaj – szepnął. – Daj mi minutę. – I pognął z powrotem na górę. – Lub, David... Zapomniałem, że dziś wieczorem jestem umówiony z przyjaciółmi i... przysłał kogoś po mnie. Obiecuję, że jutro wypłacę kwotę, o której rozmawialiśmy. Słowo honoru. Zwierzyniec nakarmiony, nie musicie się martwić... – Isaac rozglądał się w roztargnieniu i wreszcie zmusił się, by spojrzeć w oczy kolegom.

– Dobra – rzekł David. – Miłego wieczoru. Lublamai tylko machnęła ręką.

– Świetnie – mruknął Isaac, wodząc wzrokiem po swoim laboratorium.

– Gdyby przyszedł Yagharek... to... – Nagle zdał sobie sprawę, że nie ma mu nic do powiedzenia. Bez słowa chwycił notes leżący na biurku i zbiegł po schodach, nie oglądając się za siebie. Lublamai i David celowo nie śledzili jego wyjścia.

Isaac porwał Lin jak wicher i pociągnął ją w stronę drzwi, a potem dalej, na coraz bardziej mroczne ulice. Dopiero kiedy opuścili stary magazyn i przyjrzał się lepiej twarzy kochanki, poczuł, że rozdrażnienie w nim dogasa. Myślał już tylko o tym, jak wyczerpana i zniechęcona jest Lin. Zawahał się na moment, nim wziął ją pod ramię. Wsunął notes do jej torby, którą zamknął z trzaskiem.

– Zróbmy coś razem tej nocy – szepnął.

Skinęła głową i na krótką chwilę pochyliła ku niemu głowociało, ściskając ramię Isaaca.

Rozłączyli się szybko w obawie przed postronnymi obserwatorami. Szli w stronę Dworca Sły w tempie zakochanych, choć rozdzieleni bezpiecznym dystansem kilku stóp.

ROZDZIAŁ 12

Czy kiedy zabójca czai się gdzieś między rezydencjami na Flag Hill lub w Canker Wedge, milicja traci czas lub szczeni środków? Ależ skąd! Dowodzi tego chociażby oblawa na Jacka Pół-Pacierza! A przecież gdy w Zakolu Smogu atakuje Złodziej Oczu, nic się nie dzieje! W ubiegłym tygodniu wydobyto z wód Smoły kolejną, piątą już, pozbawioną oczu ofiarę – a odziani w błękit brutalnie ze Szpikulca nie mają nic do powiedzenia w tej sprawie. Mówimy: INNE PRAWO OBOWIĄZUJE BOGATYCH, A INNE BIEDNYCH!

W całym Nowym Crobuzon pojawiają się plakaty domagające się twojego głosu – o ile masz dość szczęścia, by go mieć! Partia Pełne Słońce burmistrza Rudguttera pohukuje i grozi, partia Nareszcie Przejrzeliśmy rozsiewa chytre słowa, partia Różne Drogi okłamuje gnębionych obcych, a ludzkie śmiecie z Trzech Piór otwarcie rozlewają swoją truciznę. Mając tak żaloszny wybór, »Runagate Rampant« wzywa do bojkotu elekcji! Zbudujmy od podstaw nową partię i wyrzeknijmy się cynicznej gry zwanej wyborczą loterią. Mówimy: NIECH KAŻDY MA PRAWO GŁOSOWANIA ZA ZMIANĄ NA LEPSZE!

Dokerzy rasy vodyanoi z Kelltree dyskutują o możliwości strajku po tym, jak władze portowe dramatycznie obniżyły ich zarobki. Tymczasem Ludzka Gildia Dokerów w haniebny sposób odmówiła im poparcia. Mówimy: TRZEBA DAŻYĆ DO WSPÓŁPRACY WSZYSTKICH RAS PRZECIWKO SZEFO!

Derkhan przerwała czytanie i uniosła głowę, gdy do wagonu wsiadła para młodych ludzi. Spokojnie i dyskretnie złożyła gazetkę „Runagate Rampant” i wsunęła ją do torebki.

Siedziała w przedniej części wagonu, zwrócona plecami do kierunku jazdy. Mogła obserwować nielicznych pasażerów, nie rozglądając się nienaturalnie na wszystkie strony. Para, która chwilę wcześniej wsiadła na stacji Sedim Junction, zakolysała się, gdy pociąg ruszył, i czym prędzej usiadła. Młodzi mieli na sobie proste, ale dobrze skrojone i utrzymane ubrania, czym wyróżniali się na tle innych podróżnych zmierzających w stronę Dog Fenn. Derkhan pomyślała, że muszą być misjonarzami Veruline’a, być może studentami uniwersytetu w Ludmead, zapuszczającymi się pobożnie i z podziwu godnym poświęceniem w głąbiny Dog Fenn, aby naprawiać dusze biedoty. W myślach parsknęła pogardliwie pod ich adresem i sięgnęła do torebki po lusterko.

Sprawdziwszy, czy nie jest obserwowana, Derkhan przyjrzała się krytycznie swojej twarzy. Minimalnie poprawiła białą perukę i docisnęła do policzka gumową bliznę, by upewnić się, że nie odleci. Ubrała się tego dnia wyjątkowo starannie: strój był brudny i poszarpany – zdecydowanie nie sugerował zamożności właścicielki, a tym samym nie przyciągał uwagi podejrzanych indywiduów w Fenn – a jednocześnie nie na tyle zniszczony, by sprowadzić na nią święty gniew pasażerów w Crow, gdzie rozpoczęła swą podróż.

Notatnik trzymała na kolanie i korzystając z wolnej chwili, próbowała przygotować wstępną wersję materiału na temat konkursu o nagrodę Shintacost. Pierwsza runda miała odbyć się gdzieś pod koniec miesiąca; Derkhan zamierzała napisać dla „Beacona” o tym, które prace mają, a które nie mają szans na zakwalifikowanie się do drugiej fazy konkursu. Miała pomysł na artykuł z humorem, ale niepozbawiony poważnych wniosków na temat polityki realizowanej przez jurorów. Patrząc na niezbyt udany wstęp, westchnęła ciężko. „To chyba nie jest najlepszy moment” – pomyślała.

Spojrzała przez okno po lewej, na panoramę miasta. Fragment linii kolejowej Dexter między Ludmead a południowo-wschodnią, przemysłową strefą Nowego Crobuzon przebiegał estakadą mniej więcej w połowie wysokości największych gmachów, toczących nieustanną bitwę z niebem. Ponad połacie dachów wybijały się wieże milicji w Brock Marsh i na Strack Island, a także – w dalszej perspektywie – we Flyside i Sheck. Pociągi kursujące linią Sud skręcały na południe, na drugi brzeg Wielkiej Smoły.

Wyblakłe Żebra piętrzyły się wzdłuż toru, sięgając ponad dachy wagonów. Dym i kurz unosiły się w powietrzu tak gęstym obłokiem, że pociąg dawał się płynąć na fali smogu. Odgłosy pracy fabrycznych maszyn były coraz głośniejsze. Wagony w pędzie minęły kolonię ogromnych kominów górujących nad Sunter niczym kępa gigantycznych drzew. Leżąca nieco dalej na wschód dzielnica Echowire była już strefą czysto industrialną. „Gdzieś tam, na dole i odrobinę na południe – pomyślała Derkhan – vodyanoi przygotowują swój marsz protestacyjny. Powodzenia, bracia”.

Gdy pociąg skręcił, siła odśrodkowa pchnęła ją nieco ku zachodowi. Oddalali się od linii Kelltree i mknęli na wschód, szykując się do przeprawy na drugą stronę rzeki.

W polu widzenia pojawiły się nagle maszty wysokich statków cumujących w Kelltree. Wielkie i małe kadłuby kołysały się łagodnie na falującej wodzie. Derkhan zauważyła zwinięte żagle, ogromne wiosła i ziejące czeluście kominów należące do jednostek handlowych z Myrhock, Shankell i Gnurr Kett. Woda kipiała tu i ówdzie ponad okrętami zbudowanymi z wielkich muszli nautilusów. Pociąg zakręcał, a Derkhan coraz mocniej odwracała głowę, nie odrywając wzroku od panoramy.

Na południu, ponad dachami, widziała połyskliwą powierzchnię Wielkiej Smoły, a na niej nieustający ruch małych i dużych statków. Zgodnie z pradawnym rozporządzeniem władz, większe jednostki – z reguły zagraniczne – zatrzymywały się pół mili w dół rzeki przed zlewiskiem Smoły i Egzemy; w dokach za Strack Island. Przez ponad półtora mili na północnym nabrzeżu Wielkiej Smoły jeżyły się setki wież dźwigów, ani na chwilę nieustających w pracy, pochylających się nad ładowniami niczym olbrzymie, brodzące ptaki. Roje barek i holowników przejmowały towary i transportowały je dalej w górę rzeki, do Zakola Smogu i Gross Coil, a potem w podejrzane rewiry Creekside. W coraz mniejszych skrzyniach ładunki płynęły kanałami Nowego Crobuzon, zasilając magazyny niewiele znaczących firm i upadających warsztatów; szukając drogi w labiryncie niczym laboratoryjne szczury.

W glinę Kelltree i Echowire wgryzały się głęboko kwadratowe baseny portowe, wodne zaułki miasta, połączone z rzeką siecią wiecznie zatłoczonych kanałów. Tylko raz próbowano stworzyć duplikat doków Kelltree, w Badside. Derkhan widziała, co pozostało z ambitnych planów: trzy wielkie kanały pełne śmierdzącego, malarycznego błocka, ponad powierzchnię którego wystawały gnijące resztki na poły zatopionych wraków i poskręcane, metalowe dźwigary.

Grzechot i łomot żelaznych kół o torowisko zmienił nagle ton, gdy buchająca parą lokomotywa wciągnęła swój ładunek na masywną konstrukcję mostu Barley. Pociąg zachwiał się nieco i zwolnił na zaniedbanych szynach, unoszących się coraz wyżej, jakby w pogardzie dla Dog Fenn.

Nieliczne, szare bloki z sypiącego się betonu wyrastały z ciemnych ulic jak chwasty z kloacznego dołu. Wiele z nich było niewykończonych; żelazne pręty zbrojenia wciąż jeszcze sterczały z murów tam, gdzie zabrakło dachów. Krwawiły rdzą od deszczu i wiecznie wilgotnego powietrza, plamiąc starzejące się lica domów. Wyrmeni śmigali ponad owymi monolitami niczym sępy wypatrujące padliny, przysiadając sporadycznie na najwyższych kondygnacjach i paskudząc na dachy sąsiednich budynków. Za każdym razem, gdy Derkhan przyglądała się pejzażowi Dog Fenn, slumsy zdawały się mieć inny kształt niż poprzednio; jakby puchły i przeobrażały się bez ustanku. Tunele wykopane pod Nowym Crobuzon tworzyły drugie miasto – stale rozrastającą się sieć kanałów i katakumb. Drabina oparta o mur następnego dnia była już przybita na stałe, a tydzień później, odpowiednio wzmocniona, stawała się schodami na nowo wzniesione piętro, wsparte ryzykownie na dachach dwóch sąsiednich budynków. Gdziekolwiek Derkhan spojrzała, widziała ludzi leżących, biegających lub walczących ze sobą wysoko na dachach. Wstała z

wysiłkiem, czując zapach Fenn wsączający się wolno do wnętrza hamującego pociągu.

*

Jak zawsze przy wyjściu z dworca nikt nie sprawdzał jej biletu. Gdyby nie to, że mało prawdopodobna wpadka mogła mieć dramatyczne konsekwencje, Derkhan nigdy nie zaprzętałaby sobie głowy płaceniem za przejazd. Rzuciła świstek na zaśmiecony kontuar i ruszyła schodami w dół.

Drzwi stacji Dog Fenn zawsze były otwarte. Rdza i bluszcz zatrzymały je raz na wieki w jednej pozycji, przytulone do ścian. Derkhan przekroczyła próg i znalazła się na bruku Silverback Street, tonącej w smrodzie i dzikich wrzaskach. Pod ścianami domostw, lepkich od grzybów i pleśniejącego tynku, stały gęsto upakowane stragany. Wszelkiego rodzaju towary – niektóre zaskakująco dobrej jakości – można było kupić właśnie tu, w pobliżu dworca. Derkhan ruszyła dalej, w głąb slumsów. Zaraz też otoczyły ją okrzyki dobiegające ze wszystkich stron jednocześnie. Sprzedawcy reklamujący swoje dobra z powodzeniem mogli uchodzić za prowadzących wyjątkowo gwałtownej demonstracji. Oferowali przede wszystkim żywność:

- Cebula! Kto kupi moją doskonałą cebulę?
- Ślimaki! Jedzcie ślimaki!
- Bulionik na rozgrzewkę!

Jednak również inne towary i usługi dostępne były dosłownie na każdym rogu.

Dziwki zbierały się w obleśne i hałaśliwe bandy. Paradowały w brudnych halkach z tandetnymi falbanami z kradzionego jedwabiu, skrywając siniaki i popękane naczynka krwionośne pod maską biało-szkarłatnego makijażu. Śmiały się ustami pełnymi połamanych zębów i ochoczo wdychały drobiny shazbału, dla oszczędności zaprawionego sadzą i truczką na szczury. Niektóre z nich były jeszcze dziećmi: kiedy nikt nie patrzył, bawiły się papierowymi lalkami i drewnianymi kółkami, gdy zaś w pobliżu zjawiał się mężczyzna, wydymały usta, wysuwały lubieżnie języki i waliły potencjalnych klientów odważnymi słowami.

Kurwy z Dog Fenn stały najniżej w hierarchii tej – i tak pogardzanej – profesji. Prawdziwi konesery szukali gdzie indziej wybitnie dekadentycznej, pomysłowej, obsesyjnej, ocierającej się o fetyszym rozrywki: w dzielnicy czerwonych latarni między Crow a Spit Hearth. W Dog Fenn dostępne były jedynie najprostsze, najszybsze i najtańsze formy folgowania potrzebom ciała. Tutejsi klienci byli równie biedni, brudni i chorzy jak prostytutki.

Prze-tworzeni w stylu industrialnym dobrze nadawali się na bramkarzy w klubach, z których mimo wczesnej pory wysypywały się już grupki kompletnie znieczulonych pijaków. Przeszli nerwowo na swych kopytach i wielkich stopach, agresywnie zaciskając metalowe szczypce. Mieli twarze ofiar wiecznych spodziewających się ataku. Na szyderstwa przechodniów odpowiadali jedynie spojrzeciami; ze spokojem przyjmowali nawet splunięcie w twarz, bojąc się utraty pracy. Ich strach był w pełni zrozumiały: Derkhan mijiała właśnie z lewej strony mroczną niszę pod jednym z łuków wspierających tory kolejowe. Rozchodził się stamtąd fetor gówna i oleju; słychać było metaliczny szcęk i ludzkie jęki przetworzonych – konali w żalosnej sforze, głodni i pijani.

Kilka starych, rozklekotanych maszyn kuśtykało ulicami, niezgrabnie uchylając się przed kamieniami i błotem ciskanymi przez małych, obdartych uliczników. Wszystkie ściany pokrywały warstwy graffiti. Chamskie wierszyki i obsceniczne rysunki sąsiadowały na murach z hasłami z poprzednich wydań „Runagate Rampant” i z pobożnymi życzeniami tubylców:

„Pół-Pacierza nadchodzi!”
„Odrzućmy Loterię!”
„Smoła i Egzema – rozłożone nogi;
Myśli Metropolia: gdzie kochanek drogi?
Myśli, lecz nie czuje, że król dobrych chęci,
Kutas zwany Rządem, rżnie ją bez pamięci!”

Nie oszczędzono nawet murów kościelnych. Verulińscy mnisi stali nerwową grupką obok swej kaplicy i w pośpiechu zacierali ślad pornografii,” który wykwitł niespodziewanie na jej ścianach.

W tłumie nie brakowało obcych. Niektórych gnębiono, zwłaszcza nieliczne khepri. Inni śmiali się, żartowali i przeklinali wraz ze swymi sąsiadami. W jednej z bram vodyanoi spierał się żarliwie z kaktusem, przy wtórce okrzyków licznie zebranych ludzi dopingujących sprawiedliwie obie strony kłótni.

Dzieci gwizdały i wołały w stronę Derkhan, prosząc o parę stiverów. Ignorowała zaczepki, ale też nie przyciskała do siebie zbyt kurczowo torebki, by nie zostać zidentyfikowana jako potencjalna ofiara. Pewnie, wręcz agresywnie, wkraczała w samo serce Dog Fenn.

Ściany zamknęły się nagle ponad jej głową, gdy weszła pod galerię byle jak skleconych kładek i dobudowanych na dziko pokoi, łączących budynki z obu stron ulicy. W ich cieniu nawet powietrze wydawało się mokre i złowieszcze. Gdzieś za plecami Derkhan rozległ się świst i w ciemnym tunelu pojawił się podmuch wiatru. Rozpędzony wyrmen akrobatycznym manewrem przemknął przez zaułek i wzbił się w powietrze po drugiej stronie, zanosząc się szaleńczym śmiechem. Kobieta zatoczyła się i oparła o ścianę, dołączając do chóru oburzonych głosów, który rozbrzmiał nagle na trasie przelotu wyrmena.

Tutejsza architektura zdawała się podlegać zgoła odmiennym prawom niż w pozostałych częściach miasta. Kryterium funkcjonalności z całą pewnością było dla jej twórców kategorią najzupełniej obcą. Dzielnica Dog Fenn sprawiała wrażenie zrodzonej z walki, w której mieszkańcy byli nieliczącymi się pionkami. Węzły dziwnie spojonych cegieł, desek i betonu żyły niejako własnym życiem, rozprzestrzeniając się jak nowotwory rodem z sennego koszmaru.

Derkhan skręciła w cuchnący pleśnią zaułek i rozejrzała się. Na końcu uliczki stał prze-tworzony koń, którego tylne nogi zastąpiono dźwigniami napędzanymi przez tłoki. Tuż za nim widać było kryty wóz, niemalże dosunięty do ściany. Każdy z ludzi o martwych oczach, którzy kręcili się w pobliżu, mógł być informatorem milicji – było to ryzyko, które chcąc nie chcąc, musiała podjąć.

Obeszła wóz dookoła. Z budy wyładowano właśnie sześć świń i zaperzono je do obskurnej zagrody przylegającej do muru. Dwaj mężczyźni wdali się w komiczny pościg za wystraszonymi zwierzętami. Świnie piszczały i kwiliły jak małe dzieci, uciekając daremnie w zamkniętej przestrzeni. Jedynym wyjściem z zagrody był mały otwór w ścianie na poziomie ziemi, nie wyższy niż cztery stopy. Derkhan zajrzała przezeń do środka, w ciemną sztolnię wiodącą dziesięć stóp pod ziemię. W głębi widać było jedynie wąty, chybotający niepewnie, czerwony blask lamp gazowych.

Spod zieli dobiegały stłumione syki i łomoty, w plamie słabego światła pojawiały się raz po raz przygarbione sylwetki, dźwigające ciężary niczym potępione usze w piekielnej czeluści.

Derkhan przeszła nieco dalej i zniknęła w bramie pozbawionej drzwi, by stromymi schodami zejść do podziemnej rzeźni.

*

Ciepło wiosennego dnia potęgował żar piekielnej energii. Spocona Derkhan kluczyła ostrożnie między zwisającymi spod sufitu tuszami i plamami gęstniejącej krwi. Gdzieś w głębi sali potężny mechanizm ciągnął wy)ko zawieszony pas z masywnymi hakami, który tworzył ponury krąg śmierci znikający w mrocznych trzewiach podziemnej umieralni.

Nawet błyski naostrzonych noży sprawiały wrażenie przepuszczonych przez czerwony filtr. Derkhan zasłoniła nos i usta, by nie czuć zbyt mocno ciężkiego zapachu krwi i ciepłego mięsa.

W głębi sali zauważyła trzech mężczyzn zebranych pod łukowatym zsysem, który widziała wcześniej, idąc ulicą. W tej mrocznej i cuchnącej dziurze światło i powietrze Dog Fenn sączące się z góry były czymś nieprzyzwoicie czystym.

Nagle, jak na niewypowiedzianą komendę, trzech rzeźnicy rozstąpili się. Dostawcy świń uganiający się za zwierzętami po zagrodzie wreszcie złapali jedno z nich i klnąc głośno, przy wtórce żalosego kwiku przerażenia, cisnęli ciężar prosto w otwór. Świnia zniknęła w ciemności i niemal wyjąć ze strachu, pomknęła ku czekającym na nią nożom.

Rozległ się makabryczny trzask i krótkie, sztywne kończyny zwierzęcia pękły na gładkich kamieniach posadzki, śliskich od krwi i gówna. Świnia stanęła niezgrabnie na kikutach broczących z otwartych złamań, chwiejąc się i kwicząc z bólu, niezdolna do ucieczki czy walki. Trzej mężczyźni otoczyli ją z dobrze wyćwiczoną precyzją. Jeden z nich przycisnął zad świni na wypadek, gdyby próbowała zwinąć się w kłębek. Drugi odciągnął do tyłu jej łeb, trzymając za obwisłe uszy. Trzeci wprawnym ruchem ostrza otworzył gardło zwierzęcia.

Rozpaczliwe odgłosy ucichły szybko, przechodząc w cichy gulgot i chlupot lejącej się krwi. Mężczyźni podnieśli wielkie, miotające się jeszcze ciało i rzucili na stół, o który oparli wcześniej długą, pordzewiałą piłę. Jeden z nich zauważył Derkhan i szturchnął drugiego.

– No, no, Ben, ty czarny ogierze, ty łotrze! To ta twoja elegancka kurewka! – wykrzyknął rubaszenie i wystarczająco głośno, by Derkhan usłyszała każde słowo. Ten, do którego wołał, odwrócił się i machnął ręką na powitanie.

– Pięć minut! – krzyknął. Derkhan skinęła głową, nie odsłaniając nosa ani ust i z obrzydzeniem przetykając żółć i ślinę.

Jedna po drugiej, masywne, przerażone śwynie spadały z ulicy wprost w spienione, organiczne błoto, z nogami podkurczonymi pod brzuchy w nienaturalnych pozycjach, by dać gardła pod nóż i wykrwawić się na śmierć na starych, drewnianych stołach. Języki i płaty skóry zwisały bezwładnie, ociekając posoką. Kanały wydrążone w posadzce nie mogły pomieścić wartko płynącej krwi, która rozlewała się wokół wiader z wnętrzościami i wyblakłymi, wygotowanymi, krowimi łbami.

Wreszcie ubito ostatnią świnię. Wyczerpani mężczyźni chwiali się na nogach, zbryzgani krwią, mokrzy od potu i parujący. Przez chwilę konferowali półgłosem, nim roześmieli się lubieżnie, a potem ten, którego nazywali Benem, oddalił się, by dołączyć do Derkhan. Dwaj pozostali zajęli się rozcinaniem pierwszego zwierzęcia i wyrzucaniem stygnących flaków do wielkiego otworu w podłodze.

– Dee – powiedział cicho Flex. – Chyba nie pocałuję cię na powitanie – dodał, wskazując na mokre ubranie i zakrwawioną twarz.

– Jestem wdzięczna – odpowiedziała. – Możemy już stąd wyjść? Pochyleni przeszli pod sunącymi chwiejnie hakami na mięso i ruszyli w stronę ciemnego wyjścia, by schodami dotrzeć na poziom ziemi. Światło stało się mniej sine, gdy wysoko nad nimi pojawiło się niebieskoszare niebo z odrobiną słonecznego blasku przeciskającego się przez brudne lufciki w suficie brudnego korytarza.

Benjamin i Derkhan weszli do izby pozbawionej okien, której całe wyposażenie stanowiły wanna, pompa i kilka wiader. Za drzwiami wisiały na hakach grube, ciężkie ubrania. Derkhan przyglądała się w milczeniu, jak mężczyzna zdejmuje brudną odzież i ciskają do miednicy pełnej wody z mydłem. Podrapał się i przeciągnął z lubością, po czym zaczął machać dźwignią pompy, napełniając wannę. Jego nagie ciało było naznaczone smugami oleistej krwi, jakby dopiero się narodził. Wrzuciwszy odrobinę mydła w proszku pod strumień wody, zamieszał ją ręką, by wytworzyć pianę.

– Twoi koledzy są wyjątkowo wyrozumiali, skoro pozwalają ci zrobić sobie przerwę w pracy na małe ruchanko, co? – spytała pogodnie Derkhan. – Co im powiedziałaś? Że ukradłam ci serce, czy na odwrót? A może że nasze spotkania to czysty interes?

Benjamin roześmiał się. W jego słowach słychać było silny akcent Dog Fenn, Derkhan mówiła raczej dialektem dzielnic śródmiejskich.

– W końcu jestem tu na dodatkowej zmianie, prawda? Już zrobiłem, co do mnie należało, teraz walę nadgodziny. Uprzedziłem ich, że przyjdiesz. Według nich jesteś zwyczajną dziwką, która leci na mnie z odrobiną wzajemności. Aha, i jeszcze zanim zapomnę: świetną masz perukę – pochwalił, uśmiechając się krzywo. – Pasuje ci, Dee. Wyglądasz odjazdowo. – Mężczyzna stanął w wannie i powoli opuścił się do wody, czując gęsią skórę la całym ciele. Na powierzchni pozostała gruba plama spienionej krwi. Posoka i brud odrywały się wolno od jego skóry i leniwie płynęły ku górze. Benjamin leżał przez chwilę z zamkniętymi oczami. – To nie potrwa długo, Dee, obiecuję – wyszeptał.

– Nie spiesz się – odpowiedziała.

Głowa mężczyzny osunęła się pod pianę i po chwili nad powierzchnię wystawały już tylko zlepione kępkę włosów, a potem i one zostały wciągnięte pod wodę. Ben zaczął szorować całe ciało, wynurzając się raz po raz dla zaczerpnięcia powietrza.

Derkhan napełniła wodą jedno z wiader i stanęła u szczytu wanny. Kiedy mężczyzna wynurzył się ponownie, połała wolno jego głowę, splukuje krwawą pianę.

– Ooo, cudownie – zamruczał. – Błagam cię, jeszcze. Usłuchała.

W końcu wyszedł z wanny, która wyglądała teraz tak, jakby dokonano w niej wyjątkowo brutalnego morderstwa. Wyjął korek, by spuścić brudną maź do lejka wystającego z podłogi. Usłyszeli plusk wody spływającej gdzieś między ściany.

Benjamin zarzucił na siebie szorstką szatę i kiwnął głową w stronę Derkhan.

– Może przejdziemy do interesów, skarbie? – spytał, mrugając porozumiewawczo.

– Powiedz mi tylko, jakie usługi cię interesują, mój panie – odparła. Wyszli z umywalni i skierowali się w głąb korytarza, gdzie za ostatnią plamą światła

padającego z góry znajdował się pokój Benjamina. Mężczyzna otworzył drzwi i zamknął je starannie, gdy weszli do środka. Izba przypominała kształtem studnię, jej wysokość znacznie przekraczała szerokość. W kwadratowym skrawku sufitu widać było kolejne małe i brudne okienko. Derkhan i Benjamin przestąpili ponad cienkim materacem i stanęli przed starą, rozpadającą się szafą – reliktem dawnej świetności, ostro kontrastującym z ponurym i nędznym otoczeniem.

Benjamin wsunął ręce do środka i rozsunął na boki kilka niezbyt czystych koszul. Wyczuł palcami otwory wywiercone w strategicznych punktach i z cichym stęknieniem uniósł masywne plecy szafy. Odsunął je nieco na bok i postawił na podłodze.

Derkhan zajrzała w głąb wąskiego, wyłożonego ceglami przejścia. Mężczyzna ściągnął z półki świecę i pudełko zapalek. Zapalił jedną z sykiem siarkowej główki, osłaniając ją przed podmuchem powietrza z ukrytego pomieszczenia. Wiodąc za sobą Derkhan, przeszedł przez szafę i po chwili płomień świecy rozjaśnił biuro redakcji biuletynu „Runagate Rampant”.

*

Derkhan i Benjamin zapalili lampy gazowe. Pokój był obszerny, znacznie większy niż przylegająca do niego sypialnia. Panował w nim zaduch i brakowało naturalnego światła. Wysoko, w stropie, widać było zarys okna, ale tafelę szyby zamalowano czarną farbą.

W całym pokoju stały sfatygowane krzesła oraz kilka biurek zawalonych papierami, maszynami do pisania, nożycami i innym sprzętem biurowym. Na jednym z siedzeń spoczywał wyłączony konstrukt – jedna z jego nóg była zmiażdżona, krwawiła miedzianymi drutami z odłamkami szkła. Ściany ginęły pod niezliczonymi plakatami. Po kątach walały się sterty gnijących wydań „Runagate Rampant”. Pod najbardziej zawilgoconą ścianą stała niezgrabna prasa – wielka, żelazna machina utylłana w smarze i farbie drukarskiej.

Benjamin zasiadł przy największym biurku i przyciągnął ku sobie drugie krzesło. Spokojnie zapalił długie, nieco wygięte cigarillo, które zadymiło obficie. Derkhan przysiadła obok, wskazując kciukiem na nieczynny konstrukt.

– Co z tym staruszką? – spytała.

– Za bardzo hałasuje, żeby używać go za dnia. Muszę czekać, aż inni rozejdą się do domów, wtedy prasa zaczyna drukować. Nie jest zbyt cicha, więc już jest wszystko jedno. Miło, że mogę sobie ulżyć i nie kręcić co dwa tygodnie tym cholernym kołem przez całą pieprzoną noc. Wystarczy, że wrzucę temu cudakowi trochę węgla w bebechy, postawię go przy maszynie i mogę pokimać.

– Jak tam najnowszy numer?

Benjamin wolno skinął głową i wskazał na stertę papieru przewiązaną schludnie sznurkiem i stojącą obok jego krzesła.

– Niczego sobie. Zamierzam dodrukować jeszcze trochę. Dajemy ten twój kawałek o prze-tworzonym z cyrku osobliwości.

Derkhan machnęła ręką.

– Nic wielkiego.

– Nie, ale za to... no, wiesz... z pazurem. Głównym tematem są wybory: „Pieprzyć Loterię”, choć może w mniej dosadnych słowach – wyjaśnił z uśmiechem. –

Wiem, że o tym samym pisaliśmy w poprzednim numerze, ale wiesz, jak to jest: taka pora roku.

– Zdaje się, że nie miałeś w tym roku szczęścia w losowaniu, prawda? – spytała Derkhan. – Wybrali twój numer?

– Nie. Udało mi się tylko raz w życiu, wiele lat temu. Od razu pobiegłem do komisji wyborczej, dumnie ściskając los w ręku, i zagłosowałem na Nareszcie Przejrzeliśmy. Młodzieńczy entuzjazm – dodał, parszkając śmiechem. – A ty? Nie zakwalifikowałaś się automatycznie, prawda?

– Na Diabli Ogon, Benjaminie, nie mam tyle pieniędzy! Gdybym miała, na pewno dawałabym więcej na „RR”. A w tym roku też nie wygrałam.

Mężczyzna rozsunął sznurki opasujące stos biuletynów i podał Derkhan garść kartek. Wzięła do ręki jedną z nich i spojrzała na pierwszą stronę. Każdy egzemplarz był pojedynczym arkuszem papieru złożonym na czworo. Czcionka na pierwszej stronie była podobna do tej, której używano w „Beaconie”, „Quarrelu” i innych legalnych pismach Nowego Crobuzon. Jednak wewnątrz „Runagate Rampant” wyglądało inaczej: artykuły, hasła i apele, zebrane w zwarte kolumny, drukowano najmniejszą czcionką. Była to metoda mało efektowna, ale bardzo efektywna.

Derkhan wyjęła z torebki trzy szekle i popchnęła je po blacie w stronę Benjamin. Przyjął pieniądze z pomrukiem wdzięczności i włożył do puszek stojącej na biurku.

– Kiedy spotykasz się z pozostałymi? – spytała kobieta.

– Jestem umówiony z paroma w pubie, mniej więcej za godzinę, reszta przychodzi wieczorem i jutro. – W zmiennej, niebezpiecznej, nieszczerzej, represyjnej atmosferze politycznej Nowego Crobuzon należało zachować ostrożność: autorzy współpracujący z „RR” nie spotykali się w komplecie, jeżeli nie było to absolutnie konieczne. Tym sposobem szanse infiltracji ekipy przez milicję były minimalne. Benjamin był wydawcą i jako jedyna osoba we wciąż zmieniającym się zespole znał wszystkich i był wszystkim znany.

Derkhan zauważyła obok swego siedziska kupkę niewyraźnie zadrukowanych arkuszy – gazetek podobnie jak „Runagate Rampant” nawołujących do buntu, na poły towarzyszy sojusznicznych, na poły konkurencyjnych.

– Mają coś ciekawego? – spytała, trącając nogą stosik pism. Benjamin wzruszył ramionami.

– „The Shout” daje w tym tygodniu same śmieci. „Forge” ma na pierwszej stronie dobry artykuł o konszachtach Rudguttera z firmami transportowymi. Będę musiał zlecić komuś przyjrzenie się tej sprawie. No, ale poza tym jednym kawałkiem – raczej skromnie.

– A jaki temat masz dla mnie?

– Cóż... – Benjamin przejrzał swoje notatki. – Gdybyś mogła pochylić się nad sprawą strajku w dokach... Zależy mi na opiniach ludzi; spróbuj znaleźć pozytywny odzew, zacytuj parę osób, sama wiesz. Może skrobnęłabyś też z pięćset słów na temat historii Loterii Wyborczej?

Derkhan kiwnęła głową.

– Co jeszcze mamy w zanadru? – spytała. Benjamin na moment zacisnął usta.

– Pojawiły się plotki o chorobie Rudguttera i niesprawdzonych lekach... Chciałbym, żeby ktoś poszedł tym tropem, chociaż nikt nie wie, przez ile ust została przefiltrowana ta wieść. Mimo to nadstawiaj uszu. Jest coś jeszcze... Na tym etapie to bardzo niepewna rzecz, ale interesująca. Gadałem z ludźmi, którzy twierdzą, że rozmawiali z kimś, kto chce ujawnić powiązania między Parlamentem a zorganizowaną przestępczością.

Derkhan z uznaniem pochyliła głowę.

– Brzmi to bardzo smakowicie. O co konkretnie chodzi? Prochy? Prostyucja?

– Cholera, to jasne jak słońce, że Rudgutter macza palce w każdym zasranym interesie, jaki tylko można wymyślić. Pozostali zresztą też. Sprzedać towar, zgarnąć zysk, wysłać milicję, żeby zrobiła porządek z klientami, wysłać nową partię przetrzonych albo niewolników do Arrowhead, zapełnić więzienia... piękna rzecz. Nie wiem, o czym dokładnie mówili moi informatorzy, ale są cholernie nerwowi i widać, że sprawa już dojrzała. Ale ty mnie przecież znasz, Dee. Pomalutku, pomalutku. – Benjamin mrugnął porozumiewawczo. – Nie spuszczę z oka tego tematu.

– Informuj mnie, dobrze? – poprosiła Derkhan. Mężczyzna skinął głową. Wcisnąwszy garść papierów na dno torby, Derkhan przysypała je warstwą kobiecych drobiazgów i wstała. – W porządku. Dostałam rozkazy... A przy okazji: w tych trzech szklach zawiera się dochód ze sprzedanych czternastu egzemplarzy „RR”.

– I dobrze – mruknął Benjamin i zanotował ten fakt w jednym z notesów leżących bezładną kupą na biurku. Gestem zaprosił Derkhan do wyjścia przez starą szafę. Zaczekała w ciasnej sypialni, póki nie wygasił wszystkich świateł w biurze. – Czy ten Grim-jak-mu-tam nadal kupuje? – spytał, zbliżając się do przejścia. – Mówię o tym naukowcu.

– Tak. Niezły jest.

– Słyszałem wczoraj zabawną plotkę na jego temat – ciągnął Benjamin, wynurzając się z szafy i wycierając szmatą dłonie. – Czy to on tak się interesuje ptakami?

– A, tak. Zdaje się, że prowadzi jakieś badania. Benjaminie, czyżbyś rozmawiał ostatnio z przestępcami? – spytała Derkhan, szczerząc zęby. – Rzeczywiście, kolekcjonuje skrzydła. O ile wiem, zawsze przestrzega jednej zasady: nie kupuje niczego oficjalnie, jeśli może to zdobyć z nielegalnych źródeł.

Benjamin pokręcił głową z uznaniem.

– Trzeba przyznać, że wie, jak się do tego zabrać. Jego słowo dotarło wszędzie. – Mówiąc to, sięgał w głąb szafy, by zaciągnąć na miejsce drewnianą płytę. Umocowawszy ją, zwrócił się do Derkhan. – Dobra. Najwyższy czas wrócić do roli.

Derkhan przytaknęła ruchem głowy i zabrała się do roboty: zmierzwiła nieco białą perukę i rozwiązała fantazyjnie zaplecione sznurowadła. Benjamin wyciągnął koszulę ze spodni, po czym wstrzymał oddech i zaczął wymachiwać rękami, aż jego twarz nabrała intensywnie czerwonej barwy. Gwałtownie wypuścił powietrze i jął dyszeć ciężko, spoglądając z ukosa na Derkhan.

– No – odezwał się błagalnie. – Postaraj się trochę. Co z moją reputacją? Mogłabyś przynajmniej wyglądać na zmęczoną...

Kobieta uśmiechnęła się i z westchnieniem zaczęła rozcierać dłońmi twarz i oczy.

– Och, panie B. – pisnęła absurdalnie. – Jest pan najlepszym klientem, jakiego kiedykolwiek miałam!

– Tak lepiej... – mruknął, mrugając szelmowsko.

Po chwili otworzyli drzwi i wyszli na korytarz. Przygotowania były zbędne: zostali sami.

Gdzieś głęboko pod ziemią słychać było monotonną pracę maszyn do mielenia mięsa.

ROZDZIAŁ 13

Gdy Lin obudziła się z głową Isaaca tuż przy swojej, wpatrywała się w nią przez długi czas. Pozwoliła, by jej czułki trzepotały na łagodnym wietrze jego oddechu. Myślała o tym, że sporo czasu minęło, odkąd po raz ostatni mogła cieszyć oczy takim widokiem.

Przewróciła się lekko na bok i pogłaskała go. Śpiący zamruczał coś, a jego usta zamknęły się na moment i zaraz rozchyliły. Lin przebiegła palcami po jego pełnych kształtach.

Była zadowolona z siebie – zadowolona i dumna z tego, co udało jej się osiągnąć poprzedniego wieczoru. Doskwierały jej smutek i samotność, więc zaryzykowała rozniewanie Isaaca, pojawiając się bez zaproszenia w jego części miasta. Zdołała jednak sprawić, że wieczór i noc były zdecydowanie udane.

Nie zamierzała grać na współczuciu Isaaca, ale jego gniew i bez jej pomocy szybko zmienił się w troskę. Fakt, że jej widoczny smutek i zmęczenie wystarczyły, by przekonać mężczyznę o potrzebie odrobiny czułości, dał jej sporą satysfakcję. Ucieszyła się i tym, że potrafił już odczytywać emocje z ruchów głowociała.

Wysiłki Isaaca, które miały na celu ukrycie ich związku, przyniosły tylko jeden nieoczekiwany pozytywny aspekt: kiedy szli razem ulicą, w wolnym tempie, nie dotykając się, skojarzenia z cudowną nieśmiałością ludzkich zalotów były nieuniknione.

W kulturze kheprich nie było czegoś podobnego. Głowoseks w celach prokreacyjnych był nieprzyjemnym obowiązkiem, spełnianym jedynie z przyczyn demograficznych. Samce kheprich były bezmózgimi skarabeuszami podobnymi do głów samic. Lin cieszyła się, że od lat nie doświadczała tego obrzydliwego wrażenia, kiedy okazałych rozmiarów żuk wpełza na jej głowę i kopuluje z nią. Seks dla przyjemności, praktykowany między samicami, był zbiorową i popularną, acz dość zrytualizowaną rozrywką. Symbole oznaczające flirt, odrzucenie lub akceptację między jednostkami lub grupami były bardzo formalne, jak figury tańca. Nie było w nich tego płaczącego języki, nerwowego erotyzmu, który cechował kontakty młodych ludzi.

Lin zanurzyła się w ludzką kulturę wystarczająco głęboko, by rozumieć tradycyjną powściągliwość Isaaca, kiedy tak spacerowali we dwoje ciemnymi ulicami miasta. Zanim weszła w ten zakazany związek z człowiekiem, z entuzjazmem oddawała się erotycznym przygodom z przedstawicielkami własnego gatunku i z logicznego punktu widzenia szczerze potępiała te jąkane rozmowy i półsłówka, którymi zachwycali się zakochani ludzie z Nowego Crobuzon. Lecz, ku swemu zdumieniu, przekonała się, że od czasu do czasu czuje przy Isaacu podobną niepewność i nieśmiałość – i podoba jej się to wrażenie.

W ostatni, chłodny wieczór owe pozytywne emocje umocniły się znacznie, kiedy szli w stronę dworca, a potem jechali pociągiem ponad miastem w stronę Żmijowej Nory. A najbardziej przyjemnym skutkiem tego zbliżenia były jeszcze silniejsze doznania, które towarzyszyły później ich erotycznym igraszkom.

Isaac chwycił ją, gdy tylko zamknęli za sobą drzwi. Odwzajemniła uścisk, obejmując go ramionami za szyję. Trzymając go tak, otworzyła pancerz na głowie i pozwoliła gładzić skrzydła – robił to drżącymi palcami. Pozwoliła, by czekał, rozkoszując się jego delikatnymi pieszczotami, nim wreszcie pociągnęła go do łóżka i ułożyła na plecach, pod sobą. Zrzuciła z siebie ubranie i zdarła odzież z Isaaca, po czym dosiadła go i oddała w jego ręce wrażliwą, owadzią głowę i całe ciało – piersi i poruszające się miarowo biodra.

Kiedy skończyli, przygotował kolację, którą zjedli, rozmawiając. Lin nie wspomniała jednak o panu Motleyu. Była zakłopotana, kiedy Isaac pytał o przyczynę

wczorajszej melancholii. Zaczęła więc brnąć w półprawdy, opowiadając o wielkiej i wyjątkowo trudnej rzeźbie, której nie chciała nikomu pokazać, przez którą nie mogła nawet myśleć o starcie w konkursie Shintacost i której tworzenie – w dość dalekiej okolicy, której nazwy nie chciała zdradzić – wyciska z niej wszystkie soki.

Słuchał uważnie, może nawet zbyt uważnie. Wiedział, że Lin bywa czasem obrażona, kiedy w ferworze badań nie zwraca wystarczającej uwagi na jej sprawy. Tym razem słuchał więc i błagał, by powiedziała mu, gdzie pracuje. Oczywiście nie zrobiła tego.

Zmiótłszy ze stołu okruchy i ziarna, znowu poszli do łóżka. Isaac przytulił ją mocno we śnie.

A teraz, kiedy się obudziła, przez długie minuty cieszyła oczy jego obecnością, nim wreszcie wstała niechętnie i zaczęła smażyć kromki chleba na śniadanie. Kiedy ocknął się, czując zapach jedzenia, radośnie ucałował ją w szyję i głowobrzuch. W odpowiedzi Lin pogładziła jego policzki głowoodnóżami.

Musisz dziś popracować? – zapytała ponad stołem, wgrzyzając się żuwaczkami w świeży grejpfrut.

Isaac niechętnie podniósł wzrok znad talerza z grzankami.

– Niestety, tak. Naprawdę, kochanie – odpowiedział, nie przestając żuć.

Nad czym?

– Wiesz, mam u siebie tyle tego drobiazgu, ptaków i cholera wie czego, a wszystko to... po prostu śmieszne. Przystudiowałem anatomię gołębi, drozdów, drzemlików, a nie widziałem jeszcze z bliska ani jednego sprawnego garudy. Dlatego wybieram się na polowanie. Odkładałem je tak długo, jak się dało, ale obawiam się, że już czas. Jadę do Spatters – oznajmił na koniec, krzywiąc się na samą myśl. Czekał, aż znaczenie tych słów dotrze do Lin, wziął do ust duży kęs chleba. Kiedy przełknął, spojrzał na kochankę spod zmarszczonych brwi. – Pewnie... nie chciałabyś pojechać ze mną?

Isaacu, odpowiedziała natychmiast, nie mów tak, jeżeli nie chcesz, żebym pojechała. Jeśli nie będziesz ostrożny, powiem „tak” i wybierzemy się razem. Nawet do Spatters.

– Ależ... ja... chcę. Mówię poważnie. Jeżeli nie pracujesz dziś rano nad swym opus magnum, to jedźmy razem – rzekł, z każdym słowem coraz pewniej. – Możesz być na przykład moją mobilną laborantką. Nie, wiem, co mogłabyś zrobić: zostać heliotypistką. Weź swój aparat. Przyda ci się dzień przerwy.

Isaac był coraz śmielszy. Opuścili dom razem, nie okazując w żaden sposób zmieszania czy wstydu. Przeszli kawałek na północny zachód ulicą Shadrach, w stronę stacji kolejowej na Polach Salacusa, ale uczony szybko stracił cierpliwość i zatrzymał przejeżdżającą dorożkę. Włochaty woźnica uniósł brew, widząc Lin, ale zachował swe obiekcje dla siebie. Kiwnął głową, wskazując pasażerom miejsce w wozie i nie przestając mrużyć do konia.

– Dokąd, łaskawco? – spytał.

– Do Spatters, proszę – odrzekł uroczyście Isaac, jakby mówił o nieuchronności przeznaczenia.

Woźnica odwrócił się, z niedowierzaniem wybałuszając oczy.

– Chyba żartujesz, mistrzu. Do Spatters nie jadę. Mogę was zawieść aż do Vaudois Hill, ale dalej martwcie się sami. Szkoda zachodu. W Spatters ukradliby mi koła, zanim jeszcze zatrzymałbym wóz.

– Dobrze już, dobrze – prychnął zirytowany Isaac. – Zawieź nas tak daleko, jak się ośmielisz.

Trzęsąc się na nierównych kocich łbach, dorożka potoczyła się przez Pola Salacusa. Lin dotknęła ręki Isaaca.

Czy to naprawdę takie niebezpieczne? spytała niespokojnie.

Isaac rozejrzał się i odpowiedział w mowie znaków. Posługiwał się nią znacznie wolniej, mniej płynnie, ale tylko tym sposobem mógł okazać dorożkarzowi maksymalne lekceważenie.

No cóż... To po prostu kurewsko biedna okolica. Kradną tam wszystko, co się nawinie, ale nie są zbyt brutalni. A ten dupek to zwyczajny tchórz. Czyta za dużo... Isaac zamarł i zmarszczył czoło w głębokiej koncentracji.

– Nie znam tego znaku – szepnął. – Brukowców. Czyta za dużo brukowców. – Wyprostował się na siedzeniu i wyrzał przez lewe okno kabiny na zarys dachów Howl Barrow, który pojawił się w oddali.

Lin nigdy nie była w Spatters. Znała tę dzielnicę tylko z jej fatalnej reputacji. Czterdzieści lat wcześniej linia kolejowa Sink została przedłużona na południowy zachód od Lichford, za Vaudois Hill i dalej, na skraj zielonych połaci Rudewood, a potem ku południowym krańcom miasta. Planiści i spece od finansów postanowili, że w Spatters staną wysokie bloki mieszkalne – nie tak wielkie jak monolity w pobliskim Ketch Heath, ale i tak dość imponujące. Otwarto stację Feli i rozpoczęto budowę kolejnej, właściwie już na terenie Rudewood, zanim jeszcze wycięto las dalej niż na kilka metrów od wąziutkiego pasa torowiska. Istniały projekty wzniesienia jeszcze jednego dworca i nawet przedłużono w tym celu tor. Co więcej, snuto absurdalnie butne plany pociągnięcia szyn o kilkaset mil dalej na południe lub zachód, by połączyć Nowe Crobuzon z Myshock lub Cobsea.

I wtedy skończyły się pieniądze. Nastął kryzys finansowy, pękła cenowa bańka napędzana spekulacją, gigantyczna sieć handlowa zbankrutowała pod naporem konkurencji i ciężarem gigantycznych zapasów zbyt tanich produktów, których nikt nie chciał kupić, toteż i projekty budowlane zginęły nagłą śmiercią we wczesnym stadium rozwoju. Pociągi wciąż jeszcze docierały do stacji Feli, bezsensownie czekając kilka minut przed powrotem do centrum miasta. Rudewood szybko upomniął się o tereny na południe od opustoszałych budowli: wchłonął prawie bez śladu pustą, bezimienną stację i rdzewiejące szyny ułożone na ziemi. Przez kilka lat nikt nie jeździł pociągiem do stacji Feli. I wreszcie zaczęli się pojawiać pierwsi, bardzo nieliczni pasażerowie.

Puste skorupy strzelistych gmachów zapełniały się stopniowo. Wiejska biedota z Grain Spiral i Mendican Foothills zaczęła ścigać pomału do dzielnicy-widma. Szybko rozniosła się wieść, iż jest to sektor duchów – ziemia niczyja, leżąca poza zasięgiem Parlamentu, gdzie podatki i prawa są rzeczą równie egzotyczną jak kanalizacja. Przestronne piętra zapełniały się stopniowo ścianami i drzwiami z kradzionego drewna. Wzdłuż kanionów martwo urodzonych ulic pojawiały się z wolna chaty sklecone z brył betonu i skrawków metalu. Osadnictwo rozprzestrzeniło się jak pleśń. Nie było latarni gazowych, które odebrałyby nocy jej grozę, nie było lekarzy ani pracy, a jednak w ciągu dziesięciu lat dzielnica zapełniła się tymczasowymi domostwami. Ni stąd, ni zowąd pojawiła się też nazwa Spatters – „Rozbryzgi” – dobrze oddająca przypadkowość zabudowy: okolica istotnie wyglądała tak, jakby ktoś spuścił z nieba gówno w sprayu.

Była to osada podmiejska, oficjalnie nienależąca już do Nowego Crobuzon. Życie wymusiło powstanie alternatywnej infrastruktury: osobnej służby pocztowej i sanitarnej, a nawet czegoś w rodzaju prawa. Były to jednak rozwiązania szkieletowe i kalekie w swej nieskuteczności. W zasadzie nikt, nawet funkcjonariusze milicji, nie odwiedzał Spatters. Jedyne gościami z zewnątrz bywały pociągi pojawiające się

regularnie na zadziwiająco dobrze utrzymanym Dworcu Feli, a także gangi zamaskowanych bandytów, którzy siali nocami terror i śmierć. Mali ulicznicy ze Spatters byli najbardziej narażeni na barbarzyństwo owych grup.

Mieszkańcy slumsów takich jak Dog Fenn czy nawet Badside uważali Spatters za okolicę, której odwiedzanie było poniżej ich godności. Po prostu był to teren nienależący do Nowego Crobuzon, dziwaczna, mała osada, która przywarła do metropolii, nie pytając o pozwolenie. Nie było w niej pieniędzy, które mogłyby przyciągnąć jakichkolwiek przedsiębiorców, nawet tych stojących poza prawem. Zbrodnie popełniane w Spatters nie były niczym więcej, niż tylko kameralnymi aktami desperackiej walki o przetrwanie.

Było w tej dzielnicy coś jeszcze, coś, co kazało Isaacowi zapuścić się w jej niegościnne zaułki. Od trzydziestu lat okolice Spatters były dla Nowego Crobuzon gettem garudów.

Lin przyglądała się potężnym wieżowcom Ketch Heath. Dostrzegła ponad nimi drobniutkie sylwetki szybujące dzięki prądom wstępującym, kreowanym przez same gmachy. Bez wątpienia byli to wyrmeni i być może paru garudów. Dorożka przejeżdżała właśnie pod napowietrznym kablem niknącym gdzieś w pobliskiej wieży milicji, wzniesionej opodal blokowiska.

Woźnica zatrzymał pojazd.

– Dalej nie jedziemy, mistrzu – oznajmił.

Isaac i Lin wysiedli. Po jednej stronie dorożki zobaczyli rząd schludnych, białych domków i małych, uroczych, w większości bardzo zadbanych ogródków. Oba pobocza brukowanego traktu obsadzono bujnie rozrośniętymi figowcami. Po drugiej stronie ulicy znajdował się długi i raczej wąski park – pasmo zieleni liczące co najwyżej trzysta jardów szerokości, dość mocno nachylone. Była to ziemia niczyja, granica między porządnymi domostwami urzędników, lekarzy i prawników w Vaudois Hill, a oazą chaosu widoczną w dole: dzielnicą Spatters.

– Cholerny świat, nic dziwnego, że Spatters nie należy do najpopularniejszych miejsc, co? – odezwał się Isaac. – Spójrz, jak te bloki zepsuły widok miłym ludziom z białych domków – dodał, szczerząc zęby w złośliwym uśmiechu.

W oddali khepri zauważyła rozpadlinę, z której wyłaniały się tory linii Sink. Pociągi kursowały w głębokim wykopie, wznającym się mocno w zachodni kraniec parku. Ponad bagnem Spatters piętrzyła się dumnie wykonana z czerwonej cegły stacja Feli. W tym zakątku miasta tory prowadzono estakadami minimalnie powyżej poziomu dachów, ale w otoczeniu były jak skleconych chałup nawet niewysoki dworzec prezentował się imponująco. Spośród wszystkich budowli w Spatters jedynie zajęte przez dzikich lokatorów wieżowce były odeń wyższe.

Lin poczuła szturchnięcie. Isaac wskazał na grupę wysokich budynków, stojących nieopodal toru.

– Widzisz? – spytał, a Lin kiwnęła głową. – Spójrz wyżej.

Lin skierowała wzrok ku miejscu, na które wskazywał palcem. Dolne kondygnacje wielkiej budowli wyglądały na opuszczone. Jednakże od szóstego lub siódmego piętra w górę w szparach między betonowymi płytami zaczynały się pojawiać drewniane „konary”. Okna zakrywały płachty szarego papieru. Wysoko, na płaskich dachach, mniej więcej na tym samym poziomie, na którym znajdowali się na wzgórzu Lin i Isaac, widać było maleńkie postacie. Lin zadarła głowę jeszcze wyżej i zaraz poczuła dreszcz podniecenia. Po niebie krążyły wielkie, skrzydlate istoty.

– To garudowie – stwierdził Isaac. Poszli razem w dół, po stoku wzgórza, w stronę torów, po czym zboczyli nieznacznie w prawo, by nie stracić z oczu podobnych do orlich gniazd, trudno dostępnych mieszkań garudów.

– Niemal wszyscy garudowie mieszkają właśnie w tych czterech budynkach. W całym Nowym Crobuzon jest ich może ze dwa tysiące. To oznacza, że stanowią... mniej więcej... zero przecinek zero trzy całej populacji...

– Isaac uśmiechnął się dumnie. – Widzisz? Przygotowałem się jak należy.

Przecież nie wszyscy mieszkają tutaj. Na przykład Krakhleki.

– Naturalnie, zdarzają się i tacy, którym udaje się stąd uciec. Uczyłem kiedyś takiego jednego, miły gość. Pewnie jest ich paru w Dog Fenn, trzech czy czterech w Murkside, sześciu w Gross Coil. Domyślam, że i w Jabber's Mound czy Syriac znalazłoby się kilku. Tak słyszałem. I raz na całe pokolenie zdarza się ktoś taki jak Krakhleki, komu się udaje. A swoją drogą, nigdy nie czytałem jego książek. Dobry jest? – Lin kiwnęła głową. – No, więc jest paru takich jak on, na przykład... no, jak się nazywał ten sukinsyn?... Ten z Różnych Dróg... o, wiem: Shashjar. Trzymają go tam, żeby udowodnić, że RD jest partią wszystkich obcych. – Isaac parsknął lekceważąco. – Zwłaszcza bogatych.

Jednak większość jest tutaj. A skoro ktoś już tu jest, to chyba niełatwo mu zmienić otoczenie...

– Raczej niełatwo. Zresztą może to zbyt łagodne określenie... Przeskoczyli nad strumieniem i zwolnili nieco, wchodząc na przedpole Spatters. Lin złożyła ramiona na piersiach i pokręciła głowociałem.

Co ja tutaj robię? – zamigała ironicznie.

– Rozwijasz umysł i ducha – odparł wesoło Isaac. – Dobrze wiedzieć, jak żyją inne rasy w naszym mieście.

Pociągnął Lin za ramię. Przez chwilę udawała, że stawia opór, a potem pozwoliła, by wyprowadził ją z cienia drzew w stronę uliczek zapomnianej dzielnicy.

Chcąc dotrzeć do serca Spatters, musieli przejść przez chwiejący się mostek, a ściślej kilka desek przerzuconych nad szerokim na osiem stóp rowem okalającym teren parku zastaniającego Vaudois Hill. Szli gęsiego, od czasu do czasu rozkładając ramiona, by utrzymać równowagę.

Pięć stóp pod nimi przelewała się wolno galaretowata zupa gówna, ścieków przemysłowych i kwaśnego deszczu. Nad powierzchnię wybijały się jedynie bąble gazu i fragmenty spuchniętych ciał zwierząt. Tu i ówdzie pływały rdzewiejące puszki i niezidentyfikowane szczątki mięsistej tkanki, podobne do nowotworowych narośli lub obumarłych płodów. Ciecz raczej falowała lekko, niż marszczyła się – napięcie powierzchniowe olejistej substancji było zbyt silne. Kamień zrzucony z mostu znikał w głębinach bez najcichszego plusku.

Nawet zastaniając dłonią usta i nos, Isaac nie mógł w pełni zapanować nad odruchem wymiotnym wywołanym przez niewyobrażalny fetor. Czknął kilkakrotnie i poczuł nieprzyjemne ciśnienie w brzuchu, ale w ostatniej chwili powstrzymał torsje. Myśl o tym, że mógłby zachwiać się, stracić równowagę i runąć w dół, była wprost przerażająca.

Smród ścieków był dla Lin równie odrażający jak dla Isaaca. Dobry humor opuścił ich na dobre, nim jeszcze zeskoczyli z drewnianego mostka. W ponurym milczeniu weszli w labirynt slumsów.

Lin orientowała się bez trudu w terenie pokrytym tak niską zabudową: bloki opodal stacji, ku którym podążali, były doskonale widoczne. Chwilami prowadziła, a czasem puszczała przodem Isaaca, gdy szukali drogi ponad niczym nie zabezpieczonymi rowami cuchnących ścieków, wykopanymi tuż obok domostw. To, co widzieli, nie robiło na nich szczególnego wrażenia: już dawno pokonali granicę obrzydzenia.

Mieszkańcy Spatters obserwowali przybyszów.

Kobietom i mężczyznom o posępnych twarzach towarzyszyły setki dzieci poubieranych w dziwaczne kombinacje starych ciuchów i byle jak pozszywanych płóciennych worków. Małe dłonie chwyciły poły stroju Lin – odpychała je cierpliwie, torując drogę Isaacowi. Dokoła rozległy się najpierw szept, a potem coraz głośniejsze okrzyki domagających się pieniędzy. Nikt jednak nie próbował zatrzymać gości.

Ciągnąc za sobą tłum ciekawskich, Isaac i Lin lawirowali obojętnie po ciasnych i krzywych uliczkach, starając się nie tracić z oczu wysokich bloków. Wkrótce sylwetki szybujących po niebie garudów stały się wyraźne.

Nagle wielki i tłusty mężczyzna – niemal tak postawny jak Isaac – zastąpił przybyszom drogę.

– Łaskawco... robalu... – zakrzyknął, kłaniając się obojgu na powitanie i nerwowo strzelając oczami. Isaac trącił lekko Lin, nakazując jej, by stanęła.

– Czego chcesz? – rzucił niecierpliwie. Nieznajomy mówił bardzo szybko.

– Rzadko miewamy gości w Spatters; tak żem sobie pomyślał, że przyda się łaskawcy mała pomoc. Nie?

– Nie bądź durniem, człowieku! – huknął na niego Isaac. – Nie jestem tu przypadkowym gościem. Kiedy byłem tu ostatnio, podejmował mnie sam Dziki Peter – ciągnął z wyższością. Umilkł na moment, gdy w tłumie rozległy się głośne szept. – A tym razem mam sprawę do nich – dodał, wskazując kciukiem na niebo i fruujących z gracją garudów. Grubas skurczył się nieco.

– Chcesz pan dyskutować z ptaszynami? A o czym, jeśli wolno wiedzieć?

– Nie twój zasmarkany interes! Pytanie mam jedno: czy chcesz mnie zaprowadzić do ich domów?

Mężczyzna uniósł ręce w pojednawczym geście.

– Nie powinienem był pytać, łaskawco. W istocie, nie moja to sprawa. Ale rad będę zabrać was do ptaszarni za bardzo skromną zapłatą.

– Na Jabbera! Nie bój się, człowieku, nie będziesz stratny. Tylko nie ważcie się – zawołał Isaac, rozglądając się po gęstniejącym dokoła tłumie – choćby marzyć o rabunku czy innym bezceństwie. Mam przy sobie dość pieniędzy, żeby zapłacić uczciwemu przewodnikowi i ani stivera więcej! Wiem też, że Dziki byłby dogłębnie wkurwiony, gdyby jego przyjaciela spotkała na tej ziemi jakakolwiek krzywda.

– Daj spokój, mistrzu, obrażasz mieszkańców Spatters. Skończmy tę gadaninę – po prostu trzymajcie się mojego ogona, zgoda?

– Prowadź, człowieku – zgodził się łaskawie Isaac.

*

Kiedy zagłębili się między zawilgocone, betonowe rudery i rdzewiejące, blaszane dachy, Lin zwróciła się do niego w dyskretnej mowie znaków.

Co to wszystko miało znaczyć, na Jabbera? I co to za jeden, ten Dziki Peter?

Isaac odpowiedział, nie zatrzymując się.

Kupa bzdetów. Byłem tu kiedyś z Lemuelem w pewnej... śmierdzącej sprawie. Wtedy spotkałem Dzikiego. To tutejszy waźniak. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje! A jeśli tak, to na pewno mnie nie pamięta.

Lin była coraz bardziej rozdrażniona. Nie mogła uwierzyć, że tubylcy tak łatwo dali się nabrać na idiotyczny blef Isaaca. A jednak tak się stało – przewodnik wiódł

ich w stronę wież należących do garudów. Być może to, czego była świadkiem, stanowiło bardziej rytuał niż prawdziwą konfrontację? A może Isaac nie zdołał ani nabrać, ani nastraszyć nikogo? Może udzielono mu pomocy z litości?

Żalotne rudery przykleiły się do wieżowców, ich dachy układały się w nieforemne fale. Przewodnik entuzjastycznie machnął rękaw stroną Isaaca i Lin, wskazując na cztery strzeliste budowle ustawione na planie kwadratu. W cieniściej przestrzeni pomiędzy nimi urządzono ogród, w którym dziwacznie powyginane drzewa walczyły desperacko o choćby odrobinę naturalnego światła, a chwasty wszelkich gatunków wybijały się ponad inne krzewy. Wysoko, pod chmurami, krążyli majestatycznie garudowie.

– Oto cel twej wyprawy, łaskawco! – zawołał z dumą mężczyzna. Isaac zawahał się.

– Jak mam... Wiesz, nie chciałbym pchać się na górę niezapowiedziany... – Uczony utknął na moment. – Więc... jak mam zwrócić na siebie ich uwagę?

Przewodnik wyciągnął rękę. Isaac gapił się na niego przez chwilę, a potem sięgnął do kieszeni po szklę. Mężczyzna rozpromienił się i wsunął monetę za pazuchę. Dopiero wtedy odwrócił się i odstąpił nieco od ściany wieżowca. Osłoniwszy usta dłońmi, gwizdnął przeciągle.

– Hej! – wrzasnął. – Ptasi mózdzki! Gość chce z wami rozmawiać!

Tłumek, który wciąż jeszcze otaczał Isaaca i Lin, przyjął te okrzyki entuzjastycznie. Wołanie dotarło też do garudów: grupka szybujących sylwetek zawisała ponad gromadą przybyszów ze Spatters. Nieznaczna zmiana ustawienia skrzydeł wystarczyła, by trzy latające istoty efektownie runęły w dół, ku ziemi. Na ten widok z piersi gapiów wyrwało się zbiorowe westchnienie i jęk podziwu.

Trzej garudowie spadali jak kamienie, wprost na tłum zapatrzonych. Dwadzieścia stóp nad ziemią rozciągnęli gwałtownie skrzydła, przerywając karkołomny lot nurkowy. Zawzięcie młóćąc powietrze, posyłałi w stronę twarzy gapiów potężne podmuchy wiatru i tumany pyłu. Zawisli, unosząc się nieco i opadając w rytmie pracy skrzydeł, tuż poza zasięgiem ramion stojących ludzi.

– Czego się drzesz? – zaskrzeczał garuda pierwszy z lewej.

– Fascynujące – szepnął Isaac do Lin. – Ma ptasi głos, ale w niczym nie podobny do niezrozumiałego krakania Yagharka... Ragamoll musi być jego ojczystą mową, pewnie w życiu nie używał innego języka.

W milczeniu przyglądali się imponującym postaciom. Garudowie byli półnaczy, odziani tylko w cienkie, brązowe pantalone. Skóra i pióra jednego z nich były czarne, ciała dwóch pozostałych umaszczone były beżowo i brązowo. Lin podziwiała przede wszystkim ogromne, bijące z wielką siłą skrzydła, których rozpiętość sięgała dwudziestu stóp.

– Ten oto dżentelmen... – zaczął przewodnik, lecz Isaac przerwał mu w pół zdania.

– Miło mi was poznać – zawołał, zadzierając głowę. – Mam dla was propozycję. Czy moglibyśmy porozmawiać?

Trzej garudowie spojrzeli po sobie.

– Czego chcesz? – odkrzyknął czarny.

– Chodzi o to... – Isaac z zakłopotaniem wskazał ręką na tłum obdartusów -...że nie tak wyobrażałem sobie tę dyskusję. Znacnie może jakieś bardziej kameralne miejsce?

– Jasne! – zaśmiał się pierwszy. – Do zobaczenia na górze!

Trzy pary skrzydeł zafurczały zgodnie z jeszcze większą siłą i garudowie zniknęli w przestworzach, pozostawiając daleko w dole wymachującego ramionami Isaaca.

– Zaczekajcie! – krzyczał, ale było już za późno. Rozejrzył się, szukając przewodnika. – Nie podejrzewam – odezwał się ponuro – żeby windy w tych blokach były sprawne.

– Nigdy ich tam nie wstawiono, łaskawco – odparł mężczyzna, uśmiechając się przewrotnie. – Lepiej ruszajmy w drogę.

– Na słodziutką dupę Jabbera, Lin... idź dalej beze mnie. Umieram. Położę się tu i wyzionę ducha.

Isaac leżał na półpiętrze między szóstą a siódmą kondygnacją. Sapał, rzucał i pluł, podczas gdy zirytowana Lin stała nad nim z rękami wojowniczo wspartymi na biodrach.

Wstawaj, tłusty drabie, zasygnalizowała. Owszem, ja też jestem zmęczona. Ale pomyśl o złocie. I o nauce.

Jęcząc jak na torturach, Isaac podniósł się z wysiłkiem i chwiejnie stanął na nogi. Lin popędziła go w stronę betonowych schodów. Z trudem przełknawszy ślinę, zebrał siły i niepewnie ruszył w górę.

Klatka schodowa była szara i nie oświetlona, jeśli nie liczyć odrobiny światła wpadającej z bocznych korytarzy i ze szpar w kruszących się płytach. Dopiero gdy docierali do siódmego piętra, stopnie zaczynały wyglądać tak, jakby ich od czasu do czasu używano. W kątach pokazały się śmieci, a same schody były raczej usmarowane brudem, niż pokryte grubą warstwą drobnutkiemu kurzu. Na każdym piętrze znajdowało się dwoje drzwi z nieheblowanego drewna, lecz dopiero teraz zaczęły dobiegać spoza nich stłumione rozmowy garudów.

Wycieńczony Isaac wspinał się w żółwym tempie. Lin szła tuż za nim, ignorując jego ostrzeżenia o rychłym ataku serca. Po kilku długich i bolesnych minutach dotarli na ostatnie piętro. Ponad nimi były już tylko drzwi prowadzące na dach bloku. Isaac oparł się ciężko o ścianę i z ulgą otarł zlaną potem twarz.

– Daj mi tylko chwilę, skarbie, żebym doszedł do siebie – wymamrotał i nawet uśmiechnął się z wysiłkiem. – O bogowie! Dla dobra nauki, tak? Przygotuj aparat, Lin... W porządku. Chodźmy.

Isaac stanął prosto i odetchnął głęboko, po czym wstąpił na schody prowadzące ku ostatnim drzwiom. Otworzył je, wyszedł na płaski dach. Lin trzymała się tuż za nim, z aparatem w dłoniach.

Oczy kheprich nie potrzebowały wiele czasu, by przystosować się do nagłych zmian oświetlenia. Stanąwszy na połaci chropowatego betonu, pośród stosów śmieci i gruzu, Lin najpierw popatrzyła spokojnie na Isaaca – mrużącego oczy i na próżno usiłującego dostrzec cokolwiek poza nagłą jasnością – a potem rozejrzała się dokoła.

Niedaleko, na północnym wschodzie, zobaczyła Vaudois Hill – pofalowaną linię wzgórze, które próbowało za wszelką cenę zasłonić mieszkańcom Spatters panoramę miasta. Szpikulec, Dworzec Perdido, Parlament i kopała Szklarni były jednak widoczne; ich wierzchołki jakoś znalazły drogę ponad ten wywyższony horyzont. Po przeciwnej stronie Lin ujrzała ciągnące się w nieskończoność, zielone pagórki Rudewood. Tu i ówdzie spomiędzy listowia wystawały samotne czubki szarych skałek. W kierunku północnym rozciągał się nie zakłócony naturalnymi przeszkodami widok, aż po najdalsze przedmieścia Serpolet i Gallmarch, z wieżą milicji na St Jabber's Mound i torami linii Verso przecinającymi Creekside i Chimer. Lin wiedziała też, że za osmolonymi, betonowymi łukami, nie dalej niż o dwie mile od Spatters, widać się czarne wody Smoły, po której suną barki załadowane po burty dobrami sprowadzanymi z południowych stepów.

Żrenice Isaaca zwęziły się wreszcie na tyle, że mógł odsłonić oczy.

Ponad głowami pary przybyszów wirowały w przestworzach setki garudów. Jedna po drugiej, istoty poczęły obniżać lot łagodnie spiralnym kursem i lądować zbrojnymi w pazury łapami wokół Lin i Isaaca. Garudowie opadali na dach wieżowca niczym przejrzałe jabłka.

Lin oszacowała, że było ich co najmniej dwustu. Niespokojna, przysunęła się o krok bliżej do partnera. Każdy z dorosłych garudów liczył co najmniej sześć stóp i kilka cali wzrostu, nie wspominając o sterczących ponad ich głowami, zgiętych przegubach skrzydeł. Nie było znaczących różnic w muskulaturze mężczyzn i kobiet – samice ubrane były w luźne, kuse sukienki, a samce w przepaski biodrowe lub krótko przycięte spodnie i nic ponadto.

Lin miała pięć stóp wzrostu. Widziała więc tylko pierwszy szereg garudów stojących na odległość wyciągniętego ramienia, za to ponad ich głowami dostrzegała kolejne zastępy istot przymierzających się dopiero do lądowania; wyczuwała, że tłum gęstnieje z każdą chwilą. Isaac machinalnie poklepał ją po ramieniu. Na niebie pozostało już niewielu polujących i bawiących się garudów. Kiedy ostatni z chętnych do rozmowy usiadł na dachu, Isaac postanowił przerwać milczenie.

– W porządku – zawołał. – Bardzo dziękuję, że zechcieliście zaprosić nas tutaj. Mam dla was propozycję.

– Dla kogo? – krzyknął ktoś z tłumu.

– No... dla was wszystkich – odparł uczony. – Otóż prowadzę pewne badania nad... techniką lotu. Wy zaś jesteście jedynymi istotami w Nowym Crobuzon, które potrafią latać i mają w głowach porządne mózgi. Wyrmeni raczej nie słyną z talentów konwersacyjnych – dodał rubasznie. Żart nie wzbudził żadnej reakcji, więc Isaac odchrząknął i podjął wątek. – Tak więc... eee... Pomyślałem sobie, że być może któryś z was chciałby przyjść do mnie i popracować przez kilka dni: pokazać się w locie, pozwolić na zrobienie paru heliotypów. – Uczony uniósł do góry i pomachał ręką Lin, w której trzymała aparat. – Oczywiście zapłacę za poświęcony mi czas. Naprawdę przydałaby mi się wasza pomoc...

– Co robisz? – Głos należał do jednego z samców stojących w pierwszym rzędzie. Pozostali spojrzeli na niego z szacunkiem, gdy tylko się odezwał. „To ich przywódca” – pomyślała Lin.

Isaac także spojrzął nań z uwagą.

– Co robisz? To znaczy...

– To znaczy: po co ci te obrazki? Do czego zmierzasz?

– Jak mówiłem, prowadzę badania nad naturą lotu. Jestem naukowcem i...

– Gówno prawda. Skąd mamy wiedzieć, że nas nie pozabijasz?

Isaac zamarł ze zdumienia. W ciżbie garudów, kiwających ptasimi głowami, rozległ się pomruk aprobaty.

– A po cóż, u diabła, miałbym was zabijać?

– S pierdalaj pan. Nikt z nas nie ma ochoty pomagać.

W tłumie odezwały się teraz ciche głosy dezaprobaty. Nietrudno było odgadnąć, że znalazło się co najmniej kilku garudów, którzy mieli ochotę wziąć udział w badaniach, ale żaden nie ośmielił się otwarcie wyrazić sprzeciwu wobec zdania przywódcy – muskularnego samca z długą blizną łączącą sutki.

Lin patrzyła w napięciu, jak Isaac wolno otwiera usta. Najwyraźniej zastanawiał się, w jaki sposób zmienić bieg wydarzeń. Wsunął i zaraz wysunął dłoń z kieszeni – gdyby w tym momencie spróbował błysnąć przed garudami forszą, mogliby uznać go za kombinatora.

– Słuchajcie – rzekł z wahaniem. – Naprawdę nie sądziłem, że będziecie mieli taki problem...

– To, co mówisz, może być prawdą lub nie. Może należysz do milicji? – Isaac parsknął pogardliwie, ale rosły garuda kontynuował szyderczym tonem swoje wynurzenia. – Może brygady zabójców znalazły wreszcie sposób, żeby dostać się do ludzi-ptaków? „Przyjdźcie do mnie na badanie...” Nic z tego. Dzięki, nie jesteśmy zainteresowani.

– Prawdę mówiąc – odezwał się Isaac – nawet rozumiem wasz niepokój o moją motywację. To jasne, że mnie nie znacie i może przez to...

– Przez to żaden z nas nie pójdzie z tobą, kolego. To proste.

– Słuchajcie... Dobrze zapłacę. Jestem gotów wyłożyć szekla za dzień dla każdego, kto zgodzi się przyjść do mojego laboratorium.

Przywódca garudów wystąpił naprzód i agresywnie dźgnął uczonemu palcem w pierś.

– Chciałbyś, żebyśmy przyszli do ciebie? Chciałbyś otworzyć nam brzuchy i sprawdzić, co tyka w środku? – Tłum odstąpił nieco, kiedy dorodny samiec zaczął okręgać Isaaca i Lin. – Ty i twoja przyjaciółka, owadzia gęba, chcielibyście na przykład pokroić mnie na kawałki?

Isaac gestykulował z ożywieniem, próbując zaprzeczyć insynuacjom. Cofnął się nieco i rozejrzał, szukając poparcia w tłumie.

– Czy mam rozumieć, że ten dżentelmen mówi w imieniu was wszystkich? A może jest wśród was ktoś, kto chciałby zarobić szekla za dzień pracy?

Garudowie znowu zaczęli szeptać i spoglądać po sobie z wyraźnym zakłopotaniem. Przywódca stanął przed Isaakiem i z wściekłością zaczął wymachiwać kulakami.

– Ja mówię za wszystkich! – ryknął i potoczył wzrokiem po szeregach swych pobratymców. – Ktoś ma wątpliwości?

Na chwilę zapadła cisza, a potem młody samiec wystąpił nieśmiało naprzód.

– Charlie... – powiedział, zwracając się wprost do samozwańczego lidera grupy. – Szekel za dzień to kupa forsy... Może poszlibyśmy całą zgrają, przekonali się, czy nie czeka nas przykra niespodzianka, popilnowali porządku i...

Garuda zwany Charliem zbliżył się szybko i wymierzył młodzieńcowi potężny cios pięścią w twarz.

Sekundę później rozległ się chóralny okrzyk trwogi i z płataniny skrzydeł i piór w niebo wystrzeliły z dachu potężne sylwetki ludzi-ptaków. Niektórzy zatoczyli w powietrzu ciasny okrąg i powrócili, by obserwować rozwój wydarzeń. Inni zniknęli bez śladu na najwyższych piętrach sąsiednich trzech wieżowców lub poszybowali ku niebu.

Charlie stanął nad swą ofiarą. Oszołomiony ciosem garuda opadł na jedno kolano.

– Kto jest szefem? – wrzasnął przywódca ostrym, ptasim głosem. – Kto jest szefem?

Lin pociągnęła Isaaca za koszulę, próbując poprowadzić go w stronę drzwi i ukrytych za nimi schodów. Mężczyzna stawiał opór, ale bez przekonania. Nie podobały mu się skutki z pozoru niewinnej propozycji, którą przedstawił tubylcom, ale z drugiej strony z zainteresowaniem czekał na wynik konfrontacji. Lin uparcie holowała go w kierunku wyjścia.

Pokonany garuda uniósł głowę i spojrzał na Charliego.

– Ty jesteś szefem – wystękał.

– Tak, ja jestem szefem. A jestem nim dlatego, że się o was troszczę. Zgadza się? Pilnuję, żeby nikt was nie wykołował, czy nie tak? No, tak czy nie? I co wam zawsze powtarzam? „Trzymać się z dala od łążących po ziemi!” A zwłaszcza od

antrosów! Ci są najgorsi: rozprują wam brzuchy, odetną skrzydła, zatłuką na śmierć! Nie ufajcie żadnemu! W tym także temu tłuściochowi z grubym portfelem. – Przywódca po raz pierwszy od początku swej tyrady spojrzął w stronę przybyszów. – Ty! – krzyknął, wskazując palcem na Isaaca. – Spierdalaj stąd, albo pokażę ci dokładnie, na czym polega lot... pionowo w dół!

Lin spostrzegła, że Isaac otwiera usta, by po raz ostatni spróbować negocjacji. Zniecierpliwiona, tupnęła nogą i ze wszystkich sił pociągnęła go w stronę jedynej drogi ucieczki.

Naucz się, do ciężkiej cholery, orientować w sytuacji. Pora spadać, zasygnalizowała wściekle, gdy ruszyli schodami w dół.

– Już dobrze, Lin, na święty zadek Jabbera! Rozumiem, o co ci chodzi. – Isaac był równie wściekły. Tym razem bez słowa skargi zbiegał w głąb ciemnej klatki. Złość i zdumienie nieoczekiwanym obrotem spraw dodały mu sił. – Nie rozumiem tylko – odezwał się po chwili – dlaczego są tacy cholernie bojowi.

Lin zatrzymała się w pół kroku. Odwróciła w jego stronę i zagroziła mu drogę, nie próbując nawet ukryć irytacji.

Bo są biednymi i zastraszonymi obcymi, kretynie, zasygnalizowała powoli. *Tłusty sukinsyn przyłazi do Spatters – które nie jest może siódmym niebem, ale za to wszystkim, co mają – wymachując forsą i namawiając ich, żeby zostawili to miejsce z przyczyn, których nie chce im wyjawić. Moim zdaniem Charlie ma cholerną rację. W takiej okolicy trzeba mieć kogoś, kto będzie pilnował interesu grupy. Gdybym była garudą, posłuchałabym go, możesz być tego pewny.*

Isaac już się uspokajał, a nawet okazywał pierwsze symptomy zawstydzienia.

– Dobra, Lin. Przyjąłem do wiadomości. Powinienem był najpierw zorientować się w sytuacji; pójść do kogoś, kto zna tutejsze zwyczaje czy coś w tym guście...

Owszem, ale teraz już nie ma o czym mówić. Drugiej szansy nie będzie, jest za późno...

– Wiem. Dzięki, że tak mi to ładnie wyluszczasz. – Isaac spochmurniał jeszcze bardziej. – Kurwa mać! Spieprzyłem sprawę, prawda?

Lin nie odpowiedziała.

Wracając tam, skąd przyszli, nie rozmawiali zbyt wiele. Spoza okien z butelkowego szkła i odrapanych, uchylonych drzwi śledziły ich setki oczu.

Raz jeszcze wydeptując z Isaakiem ścieżkę w cuchnącej dolinie fekaliów i gnijących resztek, Lin zatrzymała się, by po raz ostatni spojrzeć na wałące się wieżowce i płaski dach, na którym niedawno stali.

Jej wzrok spoczął też na grupce młodzieńskich garudów, którzy śledzili ich od dłuższej chwili. Isaac także się odwrócił i jego twarz rozjaśniła się na moment, ale skrzydlate istoty nie zbliżyły się na odległość umożliwiającą rozmowę. Nie obniżając pułapu lotu, żegnały gości nieprzyzwoitymi gestami.

Lin i Isaac wspięli się na Vaudois Hill i ruszyli w stronę centrum miasta.

– Lin – odezwał się uczonej po kilku minutach milczenia. Tym razem jego głos był pełen melancholii. – Tam na górze powiedziałaś mi, że gdybyś była garudą, posłuchałabyś Charliego, prawda? Ale nie jesteś garudą, jesteś khepri... Kiedy byłaś gotowa do opuszczenia Kinken, pewnie wiele twoich sióstr mówiło ci, żebyś została z nimi, że ludziom nie wolno ufać i kto wie co jeszcze... Rzecz w tym, Lin, że ty nie posłuchałaś. Mam rację?

Lin długo rozważała słowa kochanka, ale nie odpowiedziała.

ROZDZIAŁ 14

– No, kochanie, moja maleńka, mój robaczku... Zjedz coś, na Jabbera...

Gąsienica spoczywała obojętnie na boku. Zwiotczała skóra marszczyła się od czasu do czasu, gdy zwierzę unosiło głowę, szukając pożywienia. Isaac cmokał nad nim i pomrukiwał, z rzadka próbując pobudzić je do życia delikatnymi szturchnięciami patykiem. Gąsienica wierciła się wówczas przez moment i ponownie nieruchomiła.

Mężczyzna wyprostował się i rzucił patyk na podłogę.

– Żal mi ciebie – rzekł na głos. – No, ale nie możesz powiedzieć, że nie próbowałem ci pomóc.

Odwróciwszy się na pięcie, odszedł, zostawiając własnemu losowi nieduży pojemnik z larwą i resztkami gnijących, nietkniętych pokarmów.

Klatki wciąż jeszcze piętrzyły się na kładce-platformie opasującej wewnętrzne ściany starego magazynu. Laboratorium nadal wypełniały piski, syki i krzyki wszelkiego ptactwa, choć liczba skrzydlatych więźniów zmniejszyła się znacząco. Niektóre pojemniki były otwarte i puste – z oryginalnego „materiału badawczego” pozostała mniej więcej połowa.

Niektóre z okazów przegrały walkę z chorobą, inne z przeciwnikami własnego lub odmiennego gatunku. Jeszcze inne padły ofiarą eksperymentów Isaaca. Kilka małych, sztywnych już ciał spoczywało w rozmaitych pozycjach na rozstawionych tu i ówdzie tablicach. Niezliczone szkice przedstawiające skrzydła w różnych fazach lotu zdobiły już większość ścian – było ich nieporównywalnie więcej niż na początku badań.

Isaac pochylił się nad biurkiem i przebiegł palcami po licznych diagramach, które zaśmiecały niemal cały blat. Na wierzchu leżała ilustracja wyobrażająca trójkąt z wpisanym wewnątrz krzyżem. Mężczyzna przymknął powieki, próbując zapomnieć o nieustającej ani na chwilę kakofonii ptasich głosów.

– Och, zamknijcie się wreszcie! – ryknął, ale zwierzęcy chór nie umilkł. Isaac ścisnął dłońmi głowę, coraz mocniej i mocniej marszcząc czoło.

Wciąż jeszcze prześladowały go wspomnienia katastrofy, jaką była wyprawa do Spatters. Nie przestawał rozważać wciąż od nowa wydarzeń poprzedniego dnia i zastanawiać się nad tym, co powinien był zorganizować w inny sposób. Był arogancki i głupi, kiedy tak wkraczał do obcej dzielnicy niczym nieustraszony poszukiwacz przygód, szafując pieniędzmi, jakby były taumaturgiczną bronią. Lin miała rację: nic dziwnego, że w jednej chwili zraził do siebie bodaj całą populację garudów w Nowym Crobuzon. Potraktował skrzydlatych ludzi jak bandę łotrów, których można zwyczajnie kupić – jak kompanów Lemuela Pigeona. A przecież nie byli tacy. Byli biedną, żyjącą w strachu społecznością, walczącą o przetrwanie i może jeszcze o zachowanie odrobiny godności w tym niegościnnym mieście. Widzieli, jak wędrownie bandy dla sportu zabijają ich sąsiadów. Włączyli się w życie dzielnicy i jej gospodarkę opartą na wymianie, łowiectwie, zbieractwie i drobnym złodziejstwie. Ich polityka była brutalna, ale najzupełniej zrozumiała.

Tylko że Isaac pojął to dopiero wtedy, kiedy pogrzebał szansę na zdobycie ich zaufania. Otrząsnąwszy się z niewesołych myśli, uniósł głowę i spojrzał na heliotypy i schematy, które osobiście wykonał. „Całkiem tak samo jak wczoraj” – pomyślał. „Bezpośrednie podejście do problemu nie sprawdza się. Od samego początku miałem dobre przeczucia: tu nie chodzi o aerodynamikę, nie tędy droga...” Piski uwiecznionych ptaków kolejny raz wyrwały go z zamyślenia.

– Racja! – wykrzyknął nagle. Zerwał się z krzesła i spojrzał na swój zwierzyniec, jakby zachęcał jego mieszkańców do kontynuowania wrzasków. Oczywiście czynili to z niesłabnącym zapalem.

– Racja! – zawołał ponownie i sprężystym krokiem podszedł do pierwszej klatki. Parka gołębi siedzących w środku poczęła w panice trzepotać skrzydłami, gdy przenośli druciane więzienie w pobliże wielkiego okna pracowni. Ustawił klatkę frontem do szyby i zaraz wrócił po następną, w której żywotna wężoważka wiła się i hałasowała jak wygłodzony grzechotnik. Ustawił drugie pudło na pierwszym i poszedł po pojemniki z komarami i z pszczołami. Wkrótce także i kłótlive nietoperze oraz aspisy znalazły się w pobliżu okna z widokiem na Egzemę.

Isaac umieścił na jednej stercie wszystkie okazy, które pozostały w jego niemałej menażerii. Zwierzęta spoglądały przez szybę na Żebra, sterczące drapieżnie ponad wschodnią częścią miasta. Uczony stworzył z klatek wysoką piramidę, budzącą skojarzenia z ofiarnym stołem.

Wreszcie przynosiny dobiegły końca. Drapieżniki i ich ofiary miały się w sąsiednich klatkach, oddzielone jedynie wątlm drewnem lub cienkimi drutami ścian.

Isaac sięgnął niezgrabnie i otworzył na oścież wielkie okno. Skrzydło poruszało się na poziomych zawiasach, umieszczonych w górnej części otworu w ścianie, liczącego pięć stóp wysokości. Wraz z ciepłym, wieczornym powietrzem do wnętrza hali wpadły wymieszane odgłosy wielkiego miasta.

– Ejże! – zawołał Isaac, coraz bardziej zapalając się do własnego pomysłu. – Mam was dosyć! Umywam ręce!

Rozejrzał się i na chwilę podszedł do biurka. Powrócił z długą laską, którą przed wielu laty używał jako wskaźnika do tablicy. Zaczął manipulować przy klatkach jej końcem, wyciągając z otworów haczyki zamykające drzwiczki i delikatnymi ruchami rozginając kraty z drucików miękkich jak jedwab.

Bramy małych więzień rozwierały się kolejno. Isaac przyspieszył i po chwili – operując palcami tam, gdzie laska była narzędziem nie dość delikatnym – otworzył drogę ku wolności wszystkim wystraszonim istotom.

W pierwszym momencie latające stworzenia zareagowały zdziwieniem. Niektóre nie były w powietrzu od kilku tygodni. Odżywiały się byle czym. Były znudzone i przerażone. Nie pojmowały, skąd nagle wzięła się ta perspektywa wolności, półmrok nad miastem i zapach otwartej przestrzeni. I wreszcie, po długiej chwili wahania, pierwszy z więźniów postanowił skorzystać z szansy.

Była to sowa.

Rzuciła się wprost w otwarte okno i pomknęła na wschód, gdzie niebo było najciemniejsze, ku lesistym terenom nad Zatoką Żelazną. Poszybowała między Żebami, niemalże nie poruszając skrzydłami.

Jej ucieczka była sygnałem: nagle rozpętała się burza trzepoczących skrzydeł.

Sokoły, ćmy, nietoperze, aspisy, muchy, papugi, chrząszcze, sroki, mieszkańcy wyższych warstw atmosfery, bywalcy rzecznych dolin, stworzenia nocne i dzienne rzuciły się ku oknu isaakowej pracowni, w jednej chwili prezentując oszałamiającą paletę barw i kamuflujących wzorów. Słońce zdążyło już zniknąć po przeciwnej stronie starego magazynu – jedynym źródłem światła dla pierzastej chmury, która wystrzeliła z wielkiego okna, były poświaty ulicznych latarni i błyski zachodzącej gwiazdy odbite od powierzchni brudnej rzeki.

Isaac sycił oczy tym imponującym widokiem. Westchnął głęboko, jakby miał przed sobą wzruszająco piękne dzieło sztuki. Przez moment rozglądał się za aparatem, ale w końcu zrezygnował i zadowolił się obserwowaniem.

Tysiąc sylwetek wirowało w powietrzu opodal jego domu-pracowni. Przez krótki czas oszołomione istoty fruwały bez celu, aż wreszcie wczuty się w prądy powietrzne i rozpierzchły się na wszystkie strony. Niektóre poleciały z wiatrem. Inne opierały się podmuchom, kierując lot nad upatrzone rejony miasta. Zdumiewający pokój

pierwszych chwil wolności przysła: aspisy wleciały z impetem w chmary zdeorientowanych owadów, z trzaskiem zaciskając miniaturowe, lwie szczęki na tłustych ciałach insektów. Jastrzębie pognały za gołębiami, kawkami i kanarkami. Wężoważki wywijają korkociągi, szukając upragnionej zdobyczy.

Style latania uwolnionych zwierząt były równie urozmaicone, jak ich nikiące w mroku sylwetki. Ciemny kształt miotał się po niebie, trzepocząc chaotycznie skrzydłami i nieuchronnie zbliżał się do latarni, nie potrafiąc oprzeć się jej magnetyzmowi: ćma. Inny unosił się z majestatyczną prostotą i dumnie oddalał się w noc: drapieżca. Jeszcze inny otworzył się na moment jak kwiat i przyspieszył nagle, zamykając się z impetem i pozostawiając za sobą smugę zabarwionego powietrza: filigranowy wiatropolip.

Ciała tych istot, którym nie starczyło sił na udaną ucieczkę, opadały na ziemię z cichym trzaskiem. „Chodnik pod oknem będzie zbryzgany krwią” – pomyślał Isaac. Ledwie słyszalne pluski oznaczały śmierć tych stworzeń, którym udało się dotrzeć nad nurt Egzemy. W wyścigu ku wolności więcej jednak było zwycięzców niż przegranych. „Przez parę dni, a może i tygodni – dumał Isaac – niebo nad Nowym Crobuzon będzie barwniejsze niż zwykle”.

Uczony westchnął błogo. Rozejrzał się ponownie i pobiegł po nieliczne pudła z kokonami, jajami i larwami. Przesunął je wszystkie w stronę okna, pozostawiając jedynie wielką, różnobarwną, umierającą gąsienicę.

Wybierał jaja garściami i ciskał przez okno w ślad za nikiącymi już w oddali ptakami i owadami. Zaraz po nich przyszła pora na gąsienice, które wijąc się w powietrzu i składając na dwoje, spadały ku utwardzonej ziemi. Klatki z nie przeobrażonymi jeszcze insektami Isaac wytrząsał w wyciągniętych rękach, a larwy wodnych owadów wylał razem z płynem, w którym się unosiły. Dla najmłodszych okazów w jego kolekcji było to wyzwolenie brutalne i krótkotrwałe: chwila wolności i bezwładnego lotu.

Wreszcie, gdy ostatni mały kształt zniknął w mroku ulicy, Isaac zamknął okno. Odwróciwszy się, uważnie przyjrzał się wszystkim kątom sali. Usłyszał ciche brzęczenie skrzydeł i zobaczył kilka niewielkich stworzeń krążących wokół lamp: aspisa, ćmy, motyle i nieliczne, małe ptaki. „No cóż – pomyślał – będą musiały samodzielnie poszukać sobie drogi. W przeciwnym razie nie pożyją długo: pozbędę się ich, kiedy padną z głodu”.

Na podłodze pod oknem leżały najslabsze okazy – niektóre tylko oszołomione upadkiem, inne martwe. Isaac bez zapału zabrał się do sprzątnięcia rozpełzających się na wszystkie strony niedobitków.

– Masz szczęście, że jesteś: a) dość piękna i b) dość interesująca, moja droga – zwrócił się do jedynej gąsienicy, którą postanowił zatrzymać. – Nie, nie dziękuj mi. Powiedzmy, że jestem filantropem – ciągnął, nie przerywając pracy. – Musisz wiedzieć, że zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie chcesz jeść. Przecież jesteś gwiazdą mojego programu badawczego – dodał, wyrzucając szufelką przez okno sporą porcję ledwie pełzających ciał. – Wątpię, żebyś przeżyła najbliższą noc, ale... pieprzę to. Wzbudziłaś moją litość i ciekawość, więc podejmę ostatnią próbę ocalenia twojego tyłka.

Nagle rozległ się donośny huk – drzwi magazynu otworzyły się na oścież.

– Grimnebulin!

W słabo oświetlonej sieni pojawił się Yagharek. Stanął w rozkroku, kurczowo ściskając w dłoniach poły płaszcz. Sterczące ku górze części fałszywych, drewnianych – zapewne niewłaściwie przypiętych – skrzydeł kołysały się groteskowo, rzucając nierealny cień. Isaac zmrużył oczy i pochylił się nad barierką.

– Yagharek?

– Zostawiasz mnie, Grimnebulin?

Głos garudy przypominał skrzeczenie torturowanego ptaka. Słowa były prawie niezrozumiałe. Isaac uniósł ręce w uspokajającym geście. – Yagharek, co ty wygadujesz, do kurwy nędzy?

– Ptaki, Grimnebulin, widziałem ptaki! Powiedziałeś mi... pokazywałeś, że służą ci do badań. Co się stało, Grimnebulin? Poddajesz się?

– Chwileczkę... Jakim cudem, na zadek Jabbera, mogłeś widzieć, jak odlatują? Gdzieś ty był?

– Na twoim dachu, Grimnebulin. – Yagharek był już nieco spokojniejszy, za to z jego głosu i postaci emanował głęboki smutek. – Na twoim dachu, gdzie spędzam każdą noc, czekając, aż mi pomożesz. Dlatego widziałem, jak wypuszczasz wszystkie te stworzenia. Odpowiedz mi, Grimnebulin: poddałeś się?

Isaac skinął dłonią, przywołując garudę do siebie, na platformę.

– Yag, chłopie... Cholera, nawet nie wiem, od czego zacząć. – Uczony spojrzał z nadzieją w sufit. – Coś ty robił na moim dachu, do cholery? Jak długo tam siedziałeś? Do diabła, przecież mogłeś kimać tu, na dole, czy może... To jakiś absurd. Nie wspominając o tym, że czułbym się bardzo dziwnie, wiedząc, że siedzisz tam na górze, kiedy ja pracuję, jem, sram i kto wie, co jeszcze robię... A tak w ogóle – Isaac uniósł rękę, by uciszyć ripostę Yagharka – nie poddałem się, dalej zajmuję się twoją sprawą. – Umilkł na chwilę, by garuda miał czas przetrawić jego wypowiedź. Czekał, aż Yagharek zapanuje nad sobą i wyjdzie z ciasnej nory strachu, którą sam sobie wykopał. – Nie poddałem się – powtórzył w końcu. – To, co się stało, jest w istocie dobrym znakiem... Weszliśmy w nową fazę badań. Koniec ze starą, stara została definitywnie zamknięta.

Yagharek pochylił głowę. Jego ramiona drgnęły nieznacznie, gdy wydał z siebie przeciągłe westchnienie.

– Nie rozumiem.

– W takim razie chodź tutaj. Coś ci pokażę.

Isaac poprowadził garudę do biurka. Zatrzymał się na moment przy pudełku z dużą gąsienicą. Zwierzę leżało bez ruchu na boku, ale drgnęło nieco, gdy cmoknął głośno.

Yagharek nawet na nie nie spojrzał.

Isaac wyciągnął rękę w stronę zalegającej na biurku sterty papierów i książek, których termin zwrotu do biblioteki dawno minął. Garuda zaczął przeglądać niezliczone rysunki, zapisy równań, notatki i traktaty. Uczony był jego przewodnikiem.

– Spójrz... Widzisz? Wszędzie te przekłete szkice. Głównie skrzydeł. To one były punktem wyjścia w moich badaniach. To sensowne, prawda? No, więc do tej pory usiłowałem zrozumieć, w jaki sposób działają te kończyny u rozmaitych zwierząt. A przy okazji, garudowie mieszkający w Nowym Crobuzon nie przyjdą nam z pomocą. Rozwiesiłem ogłoszenia na uniwersytecie, ale zdaje się, że w tym roku nie przyjęto żadnego z twoich ziomeków. Próbowalem nawet, dla dobra nauki, spierać się z garudą, który... eee... jest przywódcą lokalnej społeczności, ale... Skończyło się katastrofą, że tak to ujmę. – Isaac umilkł, wspominając fatalne spotkanie. Zaraz jednak otrząsnął się z zadumy, mrugając nerwowo i podjął przerwany wątek. – Tak więc na razie możemy skupić się na ptakach. Tyle że ten tok rozumowania prowadzi nas od razu do nowego problemu. Okazy drobnego ptactwa są interesujące, ale wyłącznie jako... no, wiesz... przykłady tak zwanej ogólnej fizyki lotu. Nam jednak potrzebne są znacznie większe istoty: pustułki, jastrzębie, a zwłaszcza orły, gdyby udało się schwytać choć jednego. Na razie mogę myśleć jedynie kategoriami

analogii. Nie sądz jednak, że jestem ograniczony – nie studiuję budowy skrzydeł muchy dla zaspokojenia własnej ciekawości. Usiłuję dociec, czy wiedza na ten temat może zostać zastosowana w praktyce, do naszej sprawy. Przypuśćmy, że... – zawahał się Isaac. – Mam nadzieję, że nie jesteś przesadnie wybredny, Yag? No, więc przypuśćmy, że wczepimy w twój grzbiet parę skrzydeł nietoperza albo chrząszcza, czy nawet gruczoł lotny wiatropolipa. Załóżmy, że nie będziesz wybrzydzał – może nie będzie to piękny widok, ale kto wie, czy tym sposobem nie uda się posłać cię w powietrze. Rozumiesz?

Yagharek skinął głową. Słuchał zachłannie, nie przestając gmerać w papierach rozrzuconych na biurku. Ze wszystkich sił starał się zrozumieć.

– W porządku. Zatem stanęliśmy na tym, że rozsądne wydaje się korzystanie z przykładu wielkich ptaków. Jest to jednak, oczywiście... – Isaac wyciągnął spomiędzy papierów i zdjął ze ściany stosowne diagramy, by podać je Yagharkowi - ...nieprawda. Owszem, możemy wielce skorzystać, badając aerodynamikę ptaków, lecz w końcowym rozrachunku zbytnie zapatrzenie w ten przykład nie przyniesie nam pożądanego efektów. A to dlatego, że aerodynamika twojego ciała jest, krótko mówiąc, cholernie odmienna. Nie jesteś przecież orłem, do którego doczepiono ludzkie ciało. Domyślam się, że nigdy nie uważałeś się za coś takiego? Właśnie. Nie wiem, jak stoisz z matematyką i fizyką, ale na tym arkuszu – Isaac wyszperał kolejną kartkę papieru i podał garudzie – znajdziesz diagramy i równania, które wyjaśniają, dlaczego nie powinniśmy skupiać się zanadto na technice lotu wielkich ptaków. Wektory sił są niewłaściwie ukierunkowane. Brak mocy. Takie tam nieścisłości. Doszedłszy do takich wniosków, zająłem się innymi skrzydłami z mojej kolekcji. Postawmy sobie pytanie: co by było, gdybyśmy spróbowali szczęścia z aparatem lotnym ważki? Po pierwsze i najważniejsze, mamy problem, skąd wziąć zestaw dostatecznie dużych skrzydeł. Jedyne owady, które mogłyby go dostarczyć, na pewno nie miałyby chęci oddać go po dobroci. I nie wiem jak ty, ale ja jakoś nie mam ochoty zapieprzać w góry czy na pustynię, żeby złapać żuka-zabójcę. Skopałby nam tyłki i tyle. Może więc dałoby się zbudować skrzydła na zamówienie? Wtedy otrzymalibyśmy właściwy kształt i rozmiar, który skompensowałby twoją... niecodzienną figurę. – Isaac uśmiechnął się przelotnie. – Kłopot w tym, że – przy obecnym stanie nauk materialnych – nie wierzę, by konstrukcja była wystarczająco precyzyjna, lekka i mocna. Jak widzisz, pracowałem nad projektami, które mogą, ale nie muszą się sprawdzić. I nie wydaje mi się, żeby nasze szanse były wystarczająco duże. Poza tym musisz pamiętać, że ta droga wymagałaby prze-tworzenia dokonanego rękami wirtuoza. Po pierwsze, z przyjemnością przyznaję, że nie znam żadnego prze-twarzacza, a po drugie, ci ludzie zwykle bardziej interesują się upokarzaniem, dowodzeniem potęgi techniki lub kwestiami estetycznymi, a nie sprawami tak zawiłymi jak sztuka latania. W ranach, które nosisz na grzbiecie, pozostało dzikie mnóstwo pozrywanych nerwów, strzaskanych kości i zmasakrowanych mięśni. Jeżeli miałbyś mieć choćby najmniejszą szansę na swobodne latanie, prze-twarzacz musiałby podłączyć je wszystkie, bez żadnego błędu.

Isaac posadził Yagharka na krzesło, a sam przysunął sobie stółek i przysiadł naprzeciwko. Garuda milczał. Wpatrywał się z nie słabnącym skupieniem na przemian w uczonego i w diagramy, które ścisnął w dłoniach. „W taki sposób czyta” – pomyślał Isaac. „Musi przez cały czas wyęzzać uwagę. Nie jest jak pacjent czekający, aż lekarz przejdzie do sedna sprawy. Chłonie i zapamiętuje każde słowo”.

– Muszę ci jednak powiedzieć, że nie zerwałem z tym tropem badawczym w stu procentach – odezwał się po chwili. – Znam kogoś, kto jest bardzo biegły w

biotaumaturgii, która byłaby potrzebna do ożywienia wszczepionych skrzydeł. Pójdę do niego i zapytam, jakie mamy szanse powodzenia. – Isaac skrzywił się i pokręcił głową. – I powiem ci jeszcze, chłopie, że gdybyś znał tego gościa, wiedziałbyś, jaki szlachetny to czyn z mojej strony. Nie ma takiej ofiary, której nie poniósłbym dla ciebie, Yag... – dodał i umilkł na długą chwilę. – Tak więc jest pewna szansa, że ów specjalista powie: „Tak, skrzydła, żaden problem, przyrowadź klienta, a ja załatwię sprawę w pylnik po południu”. Taki scenariusz jest możliwy, ale przecież zatrudniasz mnie dlatego, że jestem trzeźwym naukowcem, a jako taki oświadczam ci, iż wedle mojej najlepszej wiedzy, coś takiego się nie wydarzy. Sądzę, że powinniśmy myśleć szerzej. Pierwszym pomysłem, który przyszedł mi do głowy po dojściu do tego wniosku, było przyjrzenie się istotom, które latają bez pomocy skrzydeł. Oszczędzę ci może wykładu o moich szczegółowych rycinach. Są tutaj, jeżeli masz ochotę je obejrzeć: miniaturowy, samonapełniający się, podskórny balon; transplantacja zmutowanych gruczołów wiatropolipa; zintegrowanie twojego ciała z latającym golemem, a nawet coś tak prozaicznego, jak nauczenie cię podstaw taumaturgii fizycznej – wyliczył uczony, pokazując palcem rysunki, które odnosiły się do poszczególnych zagadnień. – Żaden z tych pomysłów nie ma szans na realizację. Taumaturgia jest zbyt zawodna i wyczerpująca. Każdy może opanować podstawowe zaklęcia, tyczące się określonych funkcji, nieustanna kontrgeotropia na żądanie pochłaniałaby znacznie więcej energii, niż jest jej w człowieku czy innej istocie. Czy u was, w Cymek, włada się potężną magią?

Yagharek wolno potrząsnął głową.

– Znamy szepty, które przywołują zdobycz w nasze szpony, parę symboli przyspieszających gojenie kości i krzepnięcie krwi... i nic więcej.

– No tak, to mnie raczej nie dziwi. Lepiej więc będzie nie polegać na tego typu wiedzy. Zaufasz mi, mam nadzieję, jeśli powiem, że inne plany także okazały się niewykonalne. Spędziłem mnóstwo czasu, badając wszystkie te możliwości i nie dochodząc do żadnych optymistycznych wniosków. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że za każdym razem, gdy w wolnej chwili zastanawiam się nad twoim przypadkiem, po minucie lub dwóch przychodzi mi do głowy ta sama myśl: wododzieło. – Yagharek zmarszczył czoło. Ruch twarzy sprawił, że i tak gęste brwi zbiegły się, tworząc jeden gruby wał. Po chwili garuda pokręcił głową, nie kryjąc zakłopotania. – Wododzieło – powtórzył badacz. – Wiesz, co to takiego?

– Czytałem co nieco... To umiejętność vodyanoich...

– Brawo, chłopie. Czasem można podpatrzeć dokerów w Keltree czy Zakolu Smogu. Zgrana grupa vodyanoich potrafi ukształtować spory kawałek rzeki. Umieją na przykład wykopać dla dźwigów dziurę w wodzie tam, gdzie uszkodzony ładunek opadł na dno. Zdumiewająca rzecz. Ci, którzy mieszkają w wiejskich społecznościach, wykorzystują tę sztukę do drażenia kanałów powietrznych w rzekach. Potem naganiają ryby, a te po prostu wypadają z wody w puste miejsca. Genialne. – Isaac cmoknął z zachwytem. – Ostatnio najpopularniejszym zastosowaniem tej sztuki są wygłupy: na przykład tworzenie małych rzeźb. Vodyanoi urządzają sobie nawet konkursy lepienia z wody. Rzecz polega na tym, Yag, że woda w ich rękach nagle przestaje zachowywać się tak, jak powinna. Zgadza się? I właśnie tego potrzeba tobie: aby coś ciężkiego, na przykład to ciało – rzekł, stukając delikatnie palcem w pierś Yagharka – zaczęło latać. Nadażasz za mną? Musimy skierować umysły ku rozwiązaniu ontologicznej zagadki: jak zmusić materię, by zmieniła swe odwieczne nawyki. Chcemy zmusić cząsteczki do nieposłuszeństwa. To nie jest problem zaawansowanej ornitologii, ale filozofii. Cholera, Yag, to są sprawy, nad którymi pracuję od lat! Z czasem zmieniły się w coś w rodzaju hobby...

Dziś rano spojrziałem znowu na notatki, które sporządziłem na samym początku naszej znajomości i połączyłem je w myślach z moimi dawnymi ideami. Doszedłem do wniosku, że to najważniejszy kierunek działania, i przez cały dzień zmagalem się z tematem. – Isaac potrząsnął kawałkiem papieru przed dziobem Yagharka. Był to szkic przedstawiający trójkąt z krzyżem w środku.

Uczony chwycił ołówek i przy trzech wierzchołkach trójkąta zapisał jakieś słowa, po czym odwrócił diagram tak, by garuda mógł go odczytać. Górny wierzchołek zatytułowany był „Okultystyczne/taumaturgiczne”, lewy dolny „Materialne”, a prawy dolny „Społeczne/rozumowe”.

– Yag, przyjacielu, nie zastanawiaj się zbyt głęboko nad tym schematem, jego zadaniem jest tylko wspomaganie kreatywnego myślenia, nic więcej. Mówiąc najkrócej, jest to graficzne przedstawienie trzech punktów, w których zawiera się cała nauka, cała wiedza. Tutaj masz to, co materialne. Sprawy czysto fizyczne: atomy i inne takie. Wszystko, od cząstek elementarnych, jak elyktrony, aż po wielkie, pieprzone wulkany. Kamienie, elyktromagnetyzm, reakcje chymiczne... Rozumiesz. Po przeciwnej stronie mamy sprawy społeczne. Istot rozumnych, których nie brakuje w Bas-Lag, nie można badać i analizować tak samo jak kamieni. Obdarzone zdolnością do refleksji nad światem i nad sobą, stworzenia takie jak ludzie, garudowie czy kaktusy są w stanie kreować pewne organizacje, zgadza się? Zatem trzeba rozważać te sprawy osobno, ale oczywiście nie zapominając o kwestiach należących do fizyki, bo przecież materia jest naszym budulcem. Stąd też linia, która na moim diagramie łączy te dwa punkty. U góry widzisz to, co okultystyczne, magiczne, ukryte. Mieszczą się tu wszelkie siły, dynamiczne i inne, które niekoniecznie mają coś wspólnego z fizyką, ale i nie są jedynie produktami myśli. Duchy, demony, bogowie – jeśli chcesz używać tej nazwy – taumaturgia... pojmujesz, o czym mówię. Wszystko to przy górnym wierzchołku trójkąta, ale i w bezpośredniej łączności z pozostałymi dwoma. A to dlatego, że techniki taumaturgiczne, zaklinanie, szamanizm i tego typu sprawy wywierają wpływ na stosunki społeczne, a jednocześnie same ulegają ich wpływom. Jest też aspekt fizyczny: zaklęcia i czary opierają się w większości na manipulowaniu cząsteczkami teoretycznymi, zwanymi „zaczarowanymi cząsteczkami” lub taumaturgonami. Niektórzy uczeni – Isaac stuknął się w pierś – uważają, że są one przedmiotami tej samej kategorii co protony i inne znane cząstki. I tutaj – badacz zniżył głos, mrużąc chytrze oczy – sprawy stają się naprawdę pasjonujące. Bez względu na to, o jakiej dziedzinie nauki czy wiedzy pomyślisz, możesz umieścić ją gdzieś w moim trójkącie, ale nigdy dokładnie w wierzchołku. Weźmy na przykład socjologię, psychologię lub ksentropologię. Z pozoru proste przypadki, prawda? Mieszczą się tu, w naukach społecznych, mam rację? I tak, i nie. Niewątpliwie ta klasyfikacja jest najbliższa prawdzie, ale nie można badać społeczności, nie biorąc pod uwagę kwestii zasobów fizycznych. Zatem, skoro fizyczny aspekt spraw jest tak istotny, możemy przesunąć socjologię nieco dalej wzdłuż tej osi – ciągnął Isaac, przesuwając palec odrobinę na lewo. – Teraz jednak trzeba się zastanowić, czy można pojąć na przykład kulturę kaktusów bez zrozumienia ich skupienia solarnego, kulturę kheprich bez poznania ich bóstw albo kulturę vodyanoich bez zgłębienia ich praktyk szamańskich? Nie można – podsumował triumfalnie. – I dlatego trzeba przesunąć środek ciężkości nieco w stronę wiedzy tajemnej – dodał, przesuwając palec ku górnemu wierzchołkowi trójkąta. – Fizyka? Biologia? Powinny znaleźć się tutaj, wśród nauk materialnych, nieprawdaż? Ale skoro biologia wywiera wpływ na społeczeństwo, to oddziaływanie odwrotne także zachodzi, a więc trzeba przesunąć tę naukę nieco na prawo od „materialnego” wierzchołka. A co z techniką lotu wiatropolipów? Z

odżywianiem drzew duszy? To czysto okultystyczne sprawy, toteż i tym razem musimy przemieścić się w górę na moim diagramie. Fizyka zaś zajmuje się między innymi skutecznością działania pewnych substancji w zaklęciach taumatycznych. Pojmujesz, do czego zmierzam? Nawet „najczystsze” przedmioty nauki lokują się gdzieś pomiędzy tymi trzema wierzchołkami. Jest też duża grupa dziedzin, które z definicji mieszczą się w połowie drogi. Socjobiologia? W połowie podstawy trójkąta i nieco ku górze. Hipnologia? W połowie prawego boku. To mieszanina socjologii, psychologii i okultyzmu, ale z domieszką chymii umysłu, więc nieco bardziej...

Diagram Isaaca był już pełen małych krzyżyków, którymi oznaczał poprzednie dyscypliny. Spojrzawszy z ukosa na Yagharka, uczony nakreślił wreszcie zgrabny znak X w samym środku trójkąta.

– Co w takim razie znajduje się tutaj, w centrum? Niektórzy twierdzą, że matematyka. W porządku, ale jeśli to ona jest narzędziem, które pozwala znaleźć logiczną drogę ku centrum, to czym są siły, które tak naprawdę badamy? Matematyka jest totalnie abstrakcyjna – pierwiastki, liczby ujemne i tak dalej – ale z drugiej strony cały świat fizyczny podlega jej prawom. To ona jest uniwersalnym sposobem patrzenia na wszelkie rzeczy, to ona jednoczy wszelkie siły psychiczne, społeczne, fizyczne. Jeżeli wszystkie nauki można ulokować w ramach trzech boków i gdzieś pośrodku, to siły, dynamiki, które owe dziedziny opisują, także mieszczą się w tym trójkącie. Innymi słowy, jeżeli przyjmiemy ten sposób widzenia spraw za interesujący czy pomocny, możemy założyć istnienie jednego pola, jednej siły, którą badamy w różnych jej aspektach. I tym właśnie jest Teoria Jednorodnego Pola.

Isaac uśmiechnął się, zmęczony nieco wykładem. „Do licha – pomyślał nagle – jestem w tym coraz lepszy... Dziesięć lat badań wyraźnie rozwinęło mój talent nauczycielski”. Yagharek obserwował go z niezmiennym skupieniem.

– Ja... rozumiem – odezwał się w końcu garuda.

– Miło mi to słyszeć. To jeszcze nie koniec, kolego, więc lepiej usiądź wygodnie. TJP nie jest powszechnie akceptowana jako teoria. Powiedziałbym, że ma podobny status jak hipoteza Spękanej Ziemi, jeśli ta nazwa cokolwiek ci mówi... – Yagharek kiwnął głową. – W takim razie wiesz, o co mi chodzi. Jest prawie dobra, ale trochę wariacka. Być może zrzeknę się w tym momencie resztek wiarygodności, ale uważam się za członka mniejszościowej grupy wśród tych, którzy popierają Teorię Jednorodnego Pola. Chodzi o naturę sił, o których dyskutujemy; w tej sprawie wciąż brak zgodności. Spróbuję mówić w miarę przejrzysto. – Isaac zmrużył oczy, przez długą chwilę zbierając myśli. – Słuchaj. Pytanie jest następujące: Czy to, że upuszczone jajko spada na ziemię, jest patologią?

Uczony umilkł, dając garudzie chwilę na zastanowienie.

– Bo widzisz, jeśli przyjmie się założenie, że materia – a tym samym i pole jednorodne, które badamy – jest z natury statyczna, to spadanie, latanie, toczenie się, zmiana zdania, rzucanie zaklęcia, starzenie się czy jakkolwiek inny ruch są odchyleniem od typowego stanu rzeczy. Jednak może być też odwrotnie: niewykłuczone, że ruch jest nieodłącznym składnikiem bytu, a wtedy trzeba postawić sobie pytanie, w jaki sposób udowodnić to teoretycznie. Chyba już wiesz, po której stronie się opowiadam. Zwolennicy statycznego podejścia powiedzieliby, że nie rozumiem ich przekonań, ale ja to pieprzę. Tak więc jestem TRuPoJ – Teoretykiem Ruchomego Pola Jednorodnego, a nie TeSPoJ, czyli Teoretykiem Statycznego... i tak dalej. Jednakże fakt, iż jestem TRuPoJ, przysparza mi tyłuż nowych zagadek, ilu rozwiązań starych. Skoro pole się rusza, to w jaki sposób to robi? Równomiernym tempem? Rytmiczną inwersją? Kiedy podniesiesz jeden z dwóch kawałków drewna i utrzymasz go dziesięć stóp nad ziemią, będzie miał w sobie więcej energii niż ten,

który pozostał na dole. Jest to energia, którą nazywamy potencjalną. Co do tego zgodni są wszyscy naukowcy. Energia potencjalna sprawia, że ów kawałek drzewa może nabić ci guza lub zostawić ślad na podłodze, czego nie mógłby zrobić, gdyby nadal spoczywał na ziemi. Ma w sobie tę energię, choć się nie porusza, zupełnie tak jak przedtem, ale teraz może spaść. Jeżeli to zrobi, energia potencjalna zamieni się w kinetyczną, a wynikiem jej działania będzie stłuczony palec u nogi albo coś w tym guście. Bo widzisz... – ciągnął Isaac. – Energia potencjalna wiąże się z umieszczeniem przedmiotu w sytuacji niepewnej, kiedy może on – ale nie musi – zmienić swój stan. Na przykład, kiedy wywrze się nacisk na grupę ludzi, można spodziewać się wybuchu niezadowolenia. W jednej chwili uciskani zmieniają się ze zręczliwych i biernych w brutalnych i aktywnych. Transformacja z jednego stanu w drugi dokonuje się przez postawienie podmiotu – grupy społecznej, kawałka drewna, zakłęcia – w miejscu, w którym jego interakcje z innymi siłami prowadzą do wytworzenia własnej energii, skierowanej przeciwko danemu stanowi. Innymi słowy, trzeba wprowadzić rzeczy w stan kryzysu.

Isaac usiadł wygodnie i umilkł na minutę. Ku swemu zaskoczeniu, podobało mu się to, co robił. Proces wyjaśniania własnych teorii sprzyjał konsolidacji idei, pozwalał formułować je w ściślejszy, bardziej rygorystyczny sposób.

Yagharek był wzorowym uczniem: jego uwaga nie słabła ani na chwilę, a wzrok pozostawał ostry jak sztylet.

Isaac wziął głęboki wdech i podjął przerwana opowieść.

– To nie jest jakaś tam gówniana sprawa, Yag. Zmagam się z teorią kryzysu od wielu lat. Powiem ci w wielkim skrócie, co myślę: wchodzenie w fazę kryzysu leży w naturze rzeczy, jest ich nieodłączną częścią. Od czasu do czasu rzeczy stają na głowie, bo tak musi być, rozumiesz? Siła, która wywołuje ruch jednorodnego pola, to energia kryzysowa. Jednym z jej przejawów, skromnym i mało efektywnym, jest energia potencjalna. Ale gdyby człowiek zdołał jakoś zapanować nad zasobami energii kryzysowej i nauczył się sięgać po nie w razie potrzeby, zdobyłby gigantyczną potęgę. Niektóre sytuacje sprzyjają kryzysom bardziej niż inne, ale moja teoria głosi, iż stan kryzysu jest naturalną częścią bytu. Wokół nas bez przerwy pojawiają się olbrzymie potencjały energii kryzysowej, ale jak dotąd nie umiemy z nich korzystać. Zamiast ją pożytkować, uwalniamy ją w krótkotrwałych i niekontrolowanych zrywach. Okropne marnotrawstwo. – Isaac pokręcił głową, rozważając własne słowa. – Vodyanoi potrafią używać energii kryzysowej. Tak mi się zdaje. Lecz nawet oni docierają tylko do symbolicznych zasobów... Moim zdaniem to ciekawy paradoks. Sięgają po energię kryzysową zawartą w wodzie, aby nadać cieczy kształt, przeciwko któremu walczą, co oznacza, że pogłębiają jej stan kryzysu... Energia jednak nie ma dokąd uciec, więc kryzys rozwiązuje się poprzez powrót wody do poprzedniego stanu. Ale co by się stało, gdyby vodyanoi użyli do swoich zabaw wody, której raz już użyto do wododzieła? Gdyby spróbowali spotęgować w ten sposób energię kryzysową i... Przepraszam. Odchodzę od tematu. Chodzi o to, że chcę znaleźć sposób, który umożliwi ci dotarcie do własnej energii kryzysowej i spożytkowanie jej w taki sposób, abyś mógł latać. Jeżeli się nie mylę, jest to jedyna siła, której masz i zawsze będziesz miał pod dostatkiem. Im więcej będziesz latał, tym w większym kryzysie będzie materia twojego ciała i tym więcej będziesz mógł latać... Tak przynajmniej wygląda to w teorii. Szczerze mówiąc, Yag, w rzeczywistości sprawa jest znacznie poważniejsza. Jeśli naprawdę uda mi się odblokować twoją energię kryzysową, twój przypadek stanie się błahostką, bo wtedy będziemy rozmawiać o siłach i energii zdolnej totalnie zmienić... wszystko.

Wizja niewiarygodnej potęgi zawisała w powietrzu. Brudne wnętrze starego magazynu wydawało się zbyt ciasnym i skromnym miejscem do prowadzenia takich rozważań. Isaac spojrział przez okno na nocne niebo nad Nowym Crobuzon. Księżyc tańczył ponad dachami ze swymi córkami a one, mniejsze od niego, lecz znacznie większe od gwiazd, lśniły zimnym blaskiem. Isaac znowu myślał o kryzysie.

Jednak to Yagharek odezwał się pierwszy.

– I jeśli się nie mylisz... będę latał?

Isaac wybuchnął śmiechem, słysząc to skromne życzenie.

– Tak, Yag, mój bracie. Jeżeli się nie mylę, znowu będziesz latał.

ROZDZIAŁ 15

Isaac nie umiał nakłonić Yagharka do pozostania w laboratorium, a garuda nie chciał nawet wyjaśnić przyczyny swego uporu. Po prostu cicho wymknął się na pogrążone w mroku ulice – dumny wygnaniec – by zasnąć gdzieś na dachu, za kominem czy w ruinach domu. Nie chciał przyjąć nawet jedzenia. Isaac stał więc bezradnie przy drzwiach magazynu i spoglądał na odchodzącego. Ciemny płaszcz zwisał luźno z drewnianej konstrukcji udającej skrzydła.

Uczony zarygłował wreszcie drzwi i powrócił na górę, by spojrzeć na światła barek płynących po Egzemie. Oparłszy głowę na pięściach, zasłuchał się w tykanie zegara. Przez ściany i okna docierały do laboratorium odgłosy nocnego życia miasta: melancholijne jęki maszyn, okrętowych silników i fabryk.

Gdzieś w dole sprzątający konstrukt Davida i Lublamaia cmokał z cicha w rytmie tykania zegara.

Isaac zdjął ze ścian wszystkie rysunki. Te, które uznał za wystarczająco dobre, schował do teczek. Większość jednak, przyjrząwszy się im krytycznie, podarł i wyrzucił. Wreszcie ułożył się na swym wielkim brzuchu i sięgnął pod łóżko, by wydobyć zakurzone liczydło i suwak logarytmiczny.

„Byłoby lepiej – pomyślał – gdybym poszedł do uniwersytetu i uwolnił jedną z maszyn różnicowych”. Nie było to łatwe zadanie. Maszyn liczących pilnowano na uczelni z chorobliwą wręcz ostrożnością. Isaac zdał sobie nagle sprawę, że już wkrótce będzie miał szansę przyrzeć się zabezpieczeniom: następnego dnia wybierał się przecież z wizytą do znieawidzonego szefa z czasów pracy na uniwersytecie, do Vermishanka.

Vermishank nie zatrudniał go ostatnio zbyt często. Minęło wiele miesięcy od czasu, gdy Isaac po raz ostatni dostał list, w którym proszono go o wzięcie udziału w jakichś nudnych, nic nie znaczących rozważaniach teoretycznych. Isaac jednak nie mógł odrzucać takich propozycji. Gdyby to zrobił, ryzykowałby utratę przywileju korzystania z zasobów szkoły, w tym także, bogatego parku maszyn i urządzeń, które tak chętnie kradł w wolnych chwilach. Vermishank nie zrobił jak dotąd nic, by ograniczyć jego swobodę, choć ich znajomość coraz szybciej obumierała. Nie uczynił tego, mimo iż musiał zauważyć dziwną zbieżność między kalendarzem zajęć Isaaca a terminami zuchwałych kradzieży. Grimnebulin nie wiedział, dlaczego tak się działo. „Pewnie chce mieć jakąś przewagę nade mną” – pomyślał.

Pierwszy raz w życiu chciał szukać Vermishanka i prosić go o cokolwiek, ale nie widział innej możliwości. Wprawdzie zamierzał prowadzić badania w obranym przez siebie kierunku, zgodnie z teorią kryzysu, ale nie mógł już na tym etapie zrezygnować z metod bardziej przyziemnych, takich jak prze-twarzanie, nie spytawszy o zdanie jednego z najlepszych biotaumaturgów w mieście.

Niepoproszenie go o opinię w sprawie Yagharka byłoby rażąco nieprofesjonalnym posunięciem.

Isaac przygotował sobie bułkę z szynką i nalał do kubka zimnej czekolady. Sztyniał cały na myśl o spotkaniu z Vermishankiem, którego nie cierpiał z wielu powodów. Jednym z nich były różnice w poglądach politycznych. Biotaumaturgia była przecież nauką, której przedmiotem badawczej penetracji były między innymi metody rozszczepiania i ponownego łączenia ciała, najczęściej w sposób niezgodny z naturą, za to ograniczony jedynie wyobraźnią wykonawcy. Owszem, technika ta mogła być używana do leczenia i naprawiania, ale rzadko korzystano z niej w taki sposób. Zapewne nikt nie potrafiłby tego udowodnić, ale Isaac miał przeczucie, że przynajmniej niektóre z projektów badawczych Vermishanka prowadzone były w zakładach karnych. Rzeźbienie w żywym ciele było tym, na czym były położony Grimnebulina znał się najlepiej.

Ciszę przerwało nagle kołatanie do drzwi. Isaac rozejrzał się, zaskoczony. Dochodziła jedenasta. Odłożył kolację i pospieszył schodami w dół. Otworzywszy drzwi, zobaczył lekko podchmielonego Lucky'ego Gazida.

„Kurwa, co to ma znaczyć?” – pomyślał.

– Zaac, mój bracie, mój... ulubiony, utuczony... ukochany... – wrzasnął Gazid, gdy tylko zobaczył Grimnebulina, i utknął, bez powodzenia próbując dalszej aliteracji. Isaac wciągnął go do magazynu, widząc, że w oknie po przeciwnej stronie ulicy zapaliło się światło.

– Lucky, pieprzony dupku, czego chcesz?

Gazid przestępował z nogi na nogę w stanowczo zbyt szybkim tempie. Oczy miał szeroko otwarte i chorobliwie rozbiegane. Wydawał się urażony tonem głosu Isaaca.

– Spokojnie, przyjacielu. Rozluźnij się, nie ma powodu do obrazy. Nie? Szukam Lin. Jest tutaj? – spytał i zachichotał nerwowo.

„Oho” – pomyślał Isaac. „Śliska sprawa”. Lucky należał do towarzystwa z Pól Salacusa i znał prawdę na temat stosunków łączących Grimnebulina z Lin. Tyle że znajdowali się w Brock Marsh, a nie na Polach Salacusa.

– Nie, Lucky. Nie ma jej tutaj. A gdyby nawet była, z jakiegoś niepojętego powodu, to nie miałbyś absolutnie żadnego prawa przychodzić tu w środku nocy i łomotać do drzwi. Po co ci ona?

– W domu też jej nie ma. – Gazid obrócił się na pięcie i zaczął wspinać się po stopniach na platformę. Mówił przy tym do Isaaca, nie odwracając głowy. – Właśnie tam byłem, ale zdaje się, że poszła gdzieś pracować. Jest mi winna pieniądze. Moją prowizję za załatwienie roboty, która ustawi ją na całe życie. I pewnie tam właśnie poszła: do roboty. A ja potrzebuję kasy...

Zirytowany Isaac plasnął otwartą dłonią w czoło i skoczył na schody w ślad za Gazidem.

– O czym ty bredzisz, do cholery? Jaka robota? Lin robi swoje, jak zawsze.

– No tak, naturalnie. Robi swoje, bracie – zgodził się Gazid, mrużąc dziwnie nieobecny głos. – Ale jest mi winna forszę. A ja jestem kurewsko zdesperowany, Zaac... Mógłbyś zachować się szlachetnie...

W Grimnebulinie wzbierała złość. Chwytał Gazida za kark i unieruchomił. Wątle ramiona ćpuna nie nadawały się do walki: Lucky mógł jedynie wymachiwać nimi żałośnie, pozostając w żelaznym uścisku uczonego.

– Słuchaj no, Lucky, ty mała rzygowino. Jak możesz być na głodzie, skoro, jak widzę, jesteś tak nawalony, że ledwie stoisz? A w ogóle, jak śmiesz przyłazić do mojego domu, pieprzony ćpunie...

– Hej! – wykrzyknął zniecierpliwiony Gazid, przerywając słowotok Isaaca i patrząc mu hardo w oczy. – Lin tu nie ma, ale ja jestem na głodzie i chcę, żebyś mi pomógł, bo jeśli tego nie zrobisz, to nie wiem, co jeszcze wymknie mi się przypadkiem... Skoro Lin nie może mi zapłacić, to ją zastąp – jesteś przecież jej rycerzem w błyszczącej zbroi, jej robaczkiem, a ona twoją panią i...

Isaac machnął potężnym kułakiem i trzasnął Lucky'ego w twarz, posyłając cherlawe ciało krótkim łukiem o dobrych parę jardów dalej.

Gazid pisnął ze strachu i bólu. Skrobiąc piętami o nagie deski podłogi, usiłował wycofać się w stronę schodów. Pod jego nosem pojawiła się gwiazdzista plama jasnej krwi. Isaac strząsnął jej krople z zaciśniętej pięści i z zimną furią ruszył w stronę Gazida.

„Myślisz, że pozwolę ci wygadywać takie rzeczy? Wydaje ci się, że możesz mnie szantażować, gówniarzu?” – pytał w duchu.

– Lucky, powinieneś wyjść w tej chwili, jeżeli nie chcesz, żebym urwał ci łeb z płucami.

Gazid z trudem stanął na nogach i wybuchnął płaczem.

– Jesteś, kurwa, stuknięty, Isaac... Zdawało mi się, że byliśmy przyjaciółmi...

Smarki, łzy i krew kapąły na podłogę laboratorium.

– No to się pomyliłeś, nieprawdaż, chłopcze? Jesteś tylko zasranym śmieciem, a ja zamierzam... – Isaac urwał i zamarł w bezbrzeżnym zdumieniu.

Gazid opierał się o stos pustych klatek, na których spoczywało pudełko z tłustą gąsienicą. Na oczach Isaaca apatyczne dotąd zwierzę zaczęło wić się i składać w pół z podniecenia, raz po raz uderzając głową o druczany front pojemnika i ze wszystkich sił wrywając się w stronę Lucky'ego Gazida.

Lucky zachwiał się, z przerażeniem czekając na dalsze pogroźki Isaaca. – No, co? – zawył. – Co zamierzasz mi zrobić? – Zamknij się – warknął Grimnebulin. Gąsienica była znacznie chudsza niż pierwszego dnia, a jej pawie kolory przybladły nieco, ale teraz bez wątplenia ożyła. Krążyła po swym małym więzieniu, badając ciało przestrzeń niczym palec ślepego i co chwilę kierując się w stronę Gazida.

– Nie ruszaj się – syknął Isaac i przesunął się o krok bliżej.

Zmartwiały ze strachu Gazid usłuchał. Podążył wzrokiem za spojrzeniem Grimnebulina i szeroko otworzył oczy, gdy zobaczył dużą gąsienicę miotającą się po klatce i próbującą dosięgnąć go za wszelką cenę. Natychmiast cofnął rękę opartą o jedno z pudeł i z cichym okrzykiem uchylił się gwałtownie. Gąsienica w okamgnieniu zmieniła kierunek natarcia, podążając za nim. – Fascynujące – szepnął Isaac. Ze zdziwieniem spostrzegł, że Gazid chwyta się obiema rękami za głowę i potrząsa nią gwałtownie, jakby miał w środku rój owadów.

– Co... co się dzieje z moją głową? – wyjąkał Lucky.

Zbliżywszy się o krok, Isaac także poczuł coś dziwnego: przez jego mózdzek zaczęły przebiegać jak błyskawice strzępy obcych emocji. Zamrugnął gwałtownie i zakaszłał, zniewolony na moment przez uczucia, które z całą pewnością nie należały do niego. Pokręcił głową, z całej siły zaciskając powieki.

– Gazid – rzucił rozkazującym tonem. – Obejdź ją wolno dookoła. Lucky wykonał polecenie. Gąsienica przewracała się i podrywała, ani na moment nie rezygnując ze śledzenia upatrzonego celu.

– Czego ona ode mnie chce? – jęknął rozpaczliwie Gazid.

– Nie wiem, Lucky – odparł szczerze Isaac. – Biedaczka, bardzo cierpi. Zdaje się, że zależy jej na czymś, co masz, chłopie. Powoli wypróżnij kieszenie. Nie martw się, niczego ci nie zabiorę.

Gazid zaczął wyciągać strzępy papieru i chusteczki z kieszeni brudnej marynarki i wygniecionych spodni. Zawahał się lekko, zanim sięgnął do wewnętrznych kieszeni, z których wydobył dwa pokaźne pakiety.

Larwa dostała szału. Dezorientujące okruchy jej uczuć znowu pojawiły się w głowach Isaaca i Gazida.

– Co tam masz, do cholery? – warknął Isaac przez zaciśnięte zęby.

– Tutaj jest shazbah – odparł niechętnie Gazid, machając pakietem w stronę klatki. Gąsienica nie zareagowała. – A tutaj dreamshit. – Gazid uniósł dragą pękata kopertę nad głowę gąsienicy, która nieomalże stanęła na ogonie, by po nią sięgnąć. Żałosne pojękiwania wygłodzonego stworzenia były raczej odczuwalne niż słyszalne.

– To jest to! – zawołał Isaac. – Moja pupilka ma ochotę na dreamshit! Daj mi to – poleciał, wyciągając rękę w stronę Lucky'ego i strzelając palcami.

Gazid zawahał się, ale nie starczyło mu odwagi na sprzeciw.

– To spora ilość towaru, bracie... i sporo pieniędzy – zaszlochał. – Wiesz chyba, że nie możesz tak po prostu zabrać sobie tej paczki i...

Isaac zważył w dłoni wypchaną kopertę – zawierała dwa lub trzy funty narkotyku. Kiedy rozchylił brzegi, ponownie poczuł napór emocji wysyłanych przez gąsienicę. Skrzywił się pod presją intensywnych, a jednocześnie bardzo niehumanicznych wrażeń.

Dreamshit był masą brązowych, lepkich bryłek śmierdzących mocno przypalonym cukrem.

– Co w tym jest? – spytał Isaac. – Słyszałem o tym świństwie, ale nie znam żadnych szczegółów.

– Nowy towar, Zaac. Drogi. Najwyżej od roku na rynku. To... mocna rzecz.

– Jak działa?

– Tego się nie da opisać. Chcesz kupić?

– Nie! – obruszył się Isaac. – W każdym razie nie dla siebie... Ile może być warta taka porcja, Lucky?

Gazid zawahał się, niewątpliwie licząc w pamięci, o ile może zawyżyć cenę.

– Eee... mniej więcej trzydzieści gwinei.

– Pieprz się, Lucky... Dobrze wiem, jakim jesteś kanciarzem. Zapłacę za to... powiedzmy... dziesięć gwinei.

– Umowa stoi – odrzekł natychmiast Gazid.

„Cholera” – pomyślał Grimnebulin. „Zdarł ze mnie skórę”. Miał ochotę pokłócić się trochę, ale rozmyślił się. Spojrzał z ukosa na Gazida, który już odzyskiwał rezon, choć twarz miał wciąż usmarowaną krwią i śluzem.

– Stoi. Słuchaj no, Lucky – pociągnął gładko Isaac. – Niewykluczone, że będę potrzebował więcej tego świństwa. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Jeżeli będziesz ze mną dobrze żył, być może pozostaniesz moim... wyłącznym dostawcą. Kapujesz? Ale jeśli zajdzie cokolwiek, co mogłoby popsuć nasze stosunki, nadwerężyć wzajemne zaufanie i tak dalej... znajdę sobie kogoś innego. Jasne?

– Zaac, przyjacielu, ani słowa więcej. Jesteśmy partnerami, to postanowione.

– Oczywiście – przytaknął z naciskiem Grimnebulin. Nie był aż tak głupi, żeby ufać Lucky'emu Gazidowi, ale zawierając z nim układ, mógł przynajmniej liczyć na odrobinę dobrej woli z jego strony. Gazid nie miał zwyczaju kasać ręki, która go karmiła, a przynajmniej nie od razu.

„Długo ten układ nie potrwa – pomyślał Isaac – ale na razie musi wystarczyć”.

Sięgnął do koperty po jedną z wilgotnych, lepkich grudek wielkości dorodnej oliwki, okrytą gęstym i szybko schnącym śluzem. O cal lub dwa uniósł pokrywę pudła, w którym trzymał gąsienicę, i wrzucił do środka porcję dreamshitu. Ukucnął obok, by obserwować przez drucianą ściankę reakcję larwy.

Nagle zatrzepotał powiekami, jakby poczuł wyładowanie elektrostatyczne, i przez chwilę nie mógł skupić wzroku na żadnym obiekcie.

– Aaa... – jęknął gdzieś z tyłu Lucky Gazid. – Ktoś coś pieprzy w mojej głowie...

Isaac poczuł przelotnie mdłości, a zaraz potem zapłonęła w nim najgłębsza ekstaza, jakiej kiedykolwiek zdarzyło mu się doświadczyć. Nieludzkie wrażenie opuściło go, nim minęło pół sekundy – miał wrażenie, że wyleciało z niego przez nos.

– Na Jabbera... – stęknął. Obraz laboratorium rozmył mu się przed oczami, zamigotał i powrócił z niesłychaną ostrością. – Ta mała menda musi być empatą – mruknął.

Spojrzał na dorodną gąsienicę, czując się jak podglądacz. Zwierzę owinęło się wokół dreamshitu niczym wąż duszący swą ofiarę. Otwór gębowy, rozwarły do granic możliwości, wbił się w górną część bryłki narkotyku i pałaszował ją z nieprzyzwoitym wręcz apetytem. Z szeroko rozchylonych żuwaczek kapą ślina. Gąsienica wchłaniała pożywienie równie żarłocznie, jak dzieci opychają się słodkim puddingiem w Święto Jabbera. Dreamshit znikał w błyskawicznym tempie.

– Do diabła, będzie potrzebowała znacznie więcej – powiedział Isaac i wrzucił do pudełka kolejnych pięć lub sześć małych porcji narkotyku. Gąsienica z radością owinęła się wokół kolekcji lepkich bryłek. Isaac wstał i spojrzał na Lucky'ego Gazida, który z uśmiechem na twarzy kołysał się łagodnie, podziwiając łakome zwierzę. – Lucky, stary druhu, wygląda na to, że ocaliłeś życie królowej mojego programu badawczego. Jestem wielce zobowiązany.

– Zatem jestem ratownikiem, prawda, Zaac? – Gazid obrócił się niezgrabnie w wyjątkowo nieudanym piruecie. – Ratownikiem! Ratownikiem!

– Tak, jesteś, przyjacielu, ale teraz już się zamknij – odparł Isaac, spoglądając na zegar. – Wiesz, muszę jeszcze sporo popracować, więc bądź tak miły i ruszaj w swoją drogę, dobrze? Bez urazy, Lucky... – Isaac zawahał się, ale w końcu wyciągnął rękę. – Przepraszam, że rozwaliłem ci nos.

– Ooo – zdziwił się Gazid i ostrożnie dotknął zakrwawionej twarzy.

– Ech, co tam.

Isaac pomaszerował w stronę biurka.

– Dam ci zaraz forszę. Zaczekaj. – Przez chwilę grzebał w szufladach, by w końcu wydobyć z głębin portfel, w którym znalazł jedną gwineę. – Moment, na pewno mam gdzieś więcej. Nie odchodź jeszcze... – Uczony przyklęknął przed łóżkiem i zaczął wyciągać spod niego sterty papierów, spośród których pieczołowicie wyluskiwał stivery i szkle.

Gazid sięgnął po kopertę z dreamshitem, którą Isaac zostawił na pudełku z gąsienicą. Spojrzał w zamyśleniu na uczonego, który z twarzą przy podłodze gmerał jeszcze pod łóżkiem. Ostrożnie wyjął dwie grudki narkotyku i ponownie zerknął na Grimnebulina, by upewnić się, że nie jest obserwowany. Isaac bez przerwy przemawiał konwersacyjnym tonem, ale grube posłanie skutecznie tłumilo jego głos.

Gazid swobodnym krokiem przeszedł w pobliże łóżka. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zawinął ją wokół jednej z bryłek. Schował zdobycz za pazuchę i uśmiechnął się idiotycznie, spoglądając na drugą porcję dreamshitu.

– Powinieneś wiedzieć, co przepisujesz swojej małej pacjentce, Zaac – szepnął bezgłośnie. – Tak będzie bardziej etycznie... – dodał i zachichotał cicho.

– Mówiłeś coś? – zawołał Isaac i zaczął wyczołgiwać się spod łóżka.

– Patrz, znalazłem. Wiedziałem, że mam pieniądze w kieszeni spodni, tylko nie byłem pewien których...

Lucky Gazid szybko odchylił górną połówkę nie dojedzonej butki leżącej na biurku i wsunął bryłkę w wysmarowaną musztardą przestrzeń pod liściem sałaty. Ścisnąwszy butkę, by zatrzeć ślad, czym prędzej cofnął się o krok.

Isaac odwracał się właśnie w jego stronę, zakurzony i zadowolony. Ścisnął w dłoniach kilka luźnych kartek z notatkami i sporo drobnych monet.

– Masz tu dziesięć gwinei. Na Ogon, powiem ci, Lucky, że targujesz się jak profesjonalista.

Gazid chwycił pieniądze i natychmiast ruszył w stronę schodów.

– Dzięki, Zaac – powiedział. – Doceniam twoje uznanie. Isaac zdziwił się nieco uprzejmością i pośpiechem Lucky'ego.

– W porządku. Odezwę się do ciebie, kiedy będę potrzebował więcej dreamshitu, dobrze?

– Koniecznie, wielki bracie...

Gazid był już przy wyjściu i sekundę później, machnąwszy ręką na pożegnanie, zamknął za sobą drzwi. Isaac usłyszał jeszcze wybuch absurdalnego chichotu, który zniknął w mroku wraz z odchodzącą postacią.

„Na Diabli Ogon!” – pomyślał. „Jak ja nie cierpię zadawać się z ćpunami! Skończony popapraniec, nic więcej...”

Grimnebulin pokręcił głową i wrócił do swej cudem ocalonej gąsienicy.

Larwa zabierała się już do konsumpcji drugiej bryłki narkotyku. Przypadkowe, nieprzewidywalne fale owadziego szczęścia zalewały od czasu do czasu umysł Isaaca. Wrażenie nie było przyjemne, więc Grimnebulin cofnął się nieco. Obserwował, jak gąsienica przerywa posiłek, wycofuje się i delikatnie zmywa z siebie lepki osad. Po chwili znowu zaczęła jeść i tarzać się w ciągliwej substancji, by zaraz potem oczyścić się raz jeszcze.

– Pedant z ciebie, robaczku – mruknął Isaac. – Dobre? Smakuje ci? Hmm? Doskonale. – Mężczyzna wrócił do biurka i sięgnął po własną, nie dokończoną kolację. Oglądając się przez ramię w stronę pulchnego, wielobarwnego kształtu wijącego się we wnętrzu pudła, ugryzł twardniejącą już butkę i pociągnął łyk czekolady. – Powiedz lepiej, w co zamierzasz się zamienić – wybełkotał z pełnymi ustami w stronę gąsienicy. Skrzywił się, przełykając ostatni kęs: pieczywo było nieświeże, a sałata zaczynała zalatywać stęchlizną. Dobrze, że przynajmniej czekolada była smaczna.

Otarłszy usta, zbliżył się znowu do klatki z larwą, przygotowując się na kolejną falę dziwnych, empatycznych doznań. Przykucnął i z zainteresowaniem przyglądał się, jak wygłodniałe stworzenie pochłania upragnioną karmę. Nie był jeszcze pewien, ale miał wrażenie, że barwy ciała gąsienicy stały się bardziej nasycone.

– Będziesz dobrą odskocznią, kiedy zacznę popadać w obsesję, pracując nad teorią kryzysu. Prawda, mój mały, nienażarty robaczku? Zdaje się, że takich jak ty nie widuje się raczej w książeczkach z obrazkami. Nieśmiały, co? Mam rację?

Nagły impuls psychiczny trafił Isaaca jak twardy bełt wystrzelony z kuszy. Mężczyzna zachwiał się i upadł.

– Aaa! – Wijąc się z bólu, Grimnebulin odpelzł od klatki. – Nie rozumiem tych twoich napadów empatii, skarbie – wystękał z trudem. Po chwili podniósł się i pokuśtykał do łóżka, rozcierając czoło. Ledwie stanął przy pościeli, kolejny impuls obcych emocji pojawił się w jego umyśle. Kolana ugięły się pod nim i zwałił się ciężko na podłogę tuż obok łóżka, kurczowo przyciskając dłonie do skroni.

– Jasna cholera! – Isaac zaniepokoił się nie na żarty. – Tego już za wiele, zdecydowanie za szybko nabierasz sił...

W tym momencie coś odebrało mu mowę. Znieruchomiał, zaatakowany przez trzecią, jeszcze bardziej intensywną falę emocji. Tym razem poczuł jednak coś innego – zdał sobie sprawę, że na pewno nie było to oddziaływanie psychiczne małej larwy, odległej o dziesięć stóp i pochłoniętej bez reszty konsumowaniem narkotyku. Poczuł w ustach suchość. Obornik. Kompost. Stary placek owocowy.

Spleśniałą musztardę.

– O nie... – wymamrotał drżącym głosem, kiedy wreszcie pojął, co się stało. – O nie, nie, nie... Gazid, ty kutasie, ty gnoju, ja cię, kurwa, zabiję...

Drżącymi gwałtownie rękami chwycił kurczowo brzegi łóżka. Pocił się intensywnie, a jego skóra była szara jak kamień.

„Wejdz do łóżka” – pomyślał zdesperowany. „Wejdz pod koc i przeczekaj; na Jabbera, tysiące ludzi robią to każdego dnia dla przyjemności...”

Dłoń Isaaca jak pijana tarantula popelzła w poszukiwaniu koca. Nie bardzo wiedział, jak dostać się pod złożoną na pościeli pościel – przyciskał ją ciałem, a brzegi, zawinięte starannie pod spód, zdawały się nie istnieć. Nabrał po chwili irracjonalnego przekonania, że to, na czym leży, jest jednorodną masą i w żaden sposób nie zdoła jej rozewrzeć – postanowił zwinąć się w kłębek na powierzchni. I nagle, poruszając rękami i nogami, poczuł, że płynie pośród falującej toni bawełny i wełny. Unosił się i opadał miarowo, z zapalem wymachując kończynami tak, jak robi to dziecko płynące pieskiem. Czuł, że nabiera wody w usta i wypluwa ją dla zabawy.

„Spójrz na siebie, kretynie” – podpowiadała mu jedna część umysłu. „Gdzie twoja godność?”

Ale pozostała część jaźni nie zwracała uwagi na ten głos rozsądku. Isaac był zupełnie zadowolony z tego, że pływa w miejscu, leżąc na własnym łóżku, dysząc jak zziębnięte zwierzę, raz po raz naprężając kark i wybaluszając oczy.

W końcu poczuł narastający ucisk w najgłębszych pokładach świadomości. Zobaczył wielkie drzwi, wielkie drzwi do piwnicy, wbudowane w ścianę gdzieś w najbardziej zapomnianym zakątku jego mózgu. Ich skrzydła drżały. Coś napierało na nie, próbując wydostać się na wolność.

„Prędzej” – pomyślał Isaac. „Zarygluj je...”

Czuł jednak narastającą potęgę tego, co tak bardzo chciało się uwolnić. Drzwi stały się czyrakiem, nabrzmiętym ropą i gotowym pęknąć; potężnie umięśnionym psem o tępej mordzie, w złowrogim milczeniu naprężającym łańcuch; morzem dudniącym niestrudzenie o rozpadające się nabrzeża portowe.

I wreszcie coś otworzyło się z hukiem w umyśle Isaaca Grimnebulina.

ROZDZIAŁ 16

„słońce oblewa mnie jak wodospad i pławię się w nim a kwiaty kwitną na moich ramionach i na głowie podczas gdy chlorofil buzuje gwałtownie w mojej skórze i unoszę moje wielkie kolczaste ramiona

nie dotykaj mnie w taki sposób ty świntuchu nie jestem jeszcze gotowa

spójrz na te młoty parowe lubiłbym je gdybym nie musiał tyle przy nich pracować czy

z dumą mogę ci oznajmić że twój ojciec wyraża zgodę na nasz związek czy to

i oto płynę przez tę brudną wodę w stronę masywnego i ciemnego kadłuba łodzi podobnego do wielkiej chmury i oddycham tą brudną wodą od której chce mi się kaszleć a moje płetwiaste stopy popychają mnie naprzód

czy to sen?

*światło skóra jedzenie powietrze metal seks smutek ogień grzyby sieci statki
tortury piwo żaba kolce blaknięcie skrzypce atrament szczyrby sodomia pieniądze
skrzydła jagody bogowie piła kości układanka dzieci beton skorupiak pal trzewia
śnieg ciemność
Czy to sen?"*

Lecz Isaac wiedział, że to nie sen.

Magiczna latarnia migotała w jego głowie, bombardując go nie kończącym się ciągiem obrazów. Nie był to kalejdoskop, powtarzająca się cyklicznie, wizualna anegdota, to raczej nieustanny, zmasowany atak nie powiązanych ze sobą momentów; milionów odłamków czasu i przestrzeni. Fragmenty nachodziły na siebie i zmieniały się płynnie – Isaac podsłuchiwał i podglądał życie innych istot. Przemawiał chemicznym językiem płaczącej khepri, której ktoś czynił wyrzuty; był głównym stajennym, który parskał pogardliwie na nowego pomocnika; zamykał przezroczystą, wewnętrzną powiekę i wskakiwał w lodowatą, czystą wodę górskiego strumienia; zbliżał się do jednego z vodyanoich złączonych orgiastycznym uniesieniem i...

– Na Jabbera... – Isaac usłyszał własny głos gdzieś w głębinach emocjonalnej kakofonii. Wrażenia napływały coraz szerszym i coraz bardziej wartkim strumieniem. W locie zamazywały się i zlewały z innymi; wreszcie dwa lub trzy momenty z czyjegoś żywota rozgrywały się przed jego oczami równocześnie.

W niektórych światło było jaskrawe, w innych twarze rozmazywały się i ginęły w mroku, a w jeszcze innych prawie nie było obrazu. Każdy z ułamków czyjegoś życia miał swoje symboliczne znaczenie i każdym rządziła swoista oniryczna logika. Analityczna część umysłu Isaaca pojmowała, że nie są to fakty, wydestylowane i umieszczone w lepkiej żywicy halucynacji. Szczegóły obrazów były zbyt zmasowane; świadomość i rzeczywistość przeplatały się ze sobą. Isaac rozumiał, że nie trafił do życia innych istot, a jedynie do ich umysłów. Był podglądaczem badającym najskrytsze zakamarki pamięci. Widział niejasne wspomnienia. Widział sny.

Czuł się zbryzgany, zbrukany deszczem psychicznych doznań. Nie było w nich już żadnej sukcesji; nie pojawiały się już dwie, trzy lub cztery chwile z cudzych wspomnień, oświetlane blaskiem jego świadomości. Unosił się teraz w gęstej brei snów, mieszających się ze sobą, pozbawionych integralności, wymieniających między sobą logikę zdarzeń, obrazy, płcie i rasy. Wreszcie poczuł, że nie może już oddychać, że tonie w galaretowatej masie snów, nadziei, wspomnień i refleksji, których nigdy nie miał.

Miał wrażenie, że jego ciało zamieniło się w pozbawiony kości wór pełen zupy złożonej z myśli i uczuć. Z bardzo, bardzo daleka dobiegał do jego uszu cichy jęk i gulgotanie, kiedy jego ciało poruszało się na pośłaniu.

Isaac przewrócił się na drugi bok. Gdzieś wśród szturmujących jego jaźń obrazów i emocji dostrzegł cienką, ale stałą strugę niesmaku i strachu, które natychmiast rozpoznał jako swoje. Rzucił się w ich stronę przez gęstą maź cudzych, wyobrażonych lub prawdziwych dramatów. Dotarł wreszcie do słabego, niepewnego jeszcze uczucia nudności, które bezdyskusyjnie było tym, co naprawdę odczuwał w tym momencie. Chwycił mocno, by go nie zgubić, z całą siłą, na jaką było go stać.

Atakowany ze wszystkich stron przez dziwne sny, śledził je, trzymając się własnej świadomości. Frunął nad miastem strzelistych wież jako sześciolatka dziewczynka, śmiejąca się perłście i przemawiająca w języku, którego nigdy nie słyszał, a który natychmiast zidentyfikował jako własny; płonął nieśmiałym podnieceniem dorastającego chłopca śniącego erotyczny sen; płynął po jeziorze, odwiedzał nieznane groty i walczył w rytualnych pojedynkach. Włóczył się po

trawiastych równinach w umyśle śniącego na jawie kaktusa. Domostwa, które widział, płynnie zmieniały postać, powodowane senną logiką, która wydawała się a wspólną dla wszystkich świadomych ras świata Bas-Lag.

Tu i ówdzie pojawiało się Nowe Crobuzon, nieco zdeformowane przez zapamiętaną lub zmyśloną geografę, pozbawione niektórych detali, podczas gdy inne były wyolbrzymione. Między niektórymi ulicami ziały potężne wyrwy świecące pustkami – przelatywał nad nimi w błyskawicznym tempie.

W snach, które odwiedzał, pojawiały się też inne miasta, kraje i kontynenty. Niektóre z nich były tworamami ze snów, zrodzonymi za barierą zamkniętych powiek. Inne zdawały się mieć odniesienie do rzeczywistości; były onirycznymi ukłonami w stronę prawdziwych wiosek i miast, czasem podobnych do Nowego Crobuzon, a czasem ozdobionych tworamami architektury, o których Isaac nigdy nie słyszał.

Zrozumiał, że morze snów, w którym unosił się tak swobodnie, składa się z kropel pochodzących w niektórych przypadkach z niezwykle dalekich stron.

„To nie morze” – dotarła do niego myśl z głębi odurzonego umysłu – „to raczej bulion”. Natychmiast wyobraził sobie, jak przeżuwa chrząstki i podroby z obcych ciał i umysłów, kawałki sennych rojeń pływające w chudym sosie półwspomnień. Poczł, że zbiera mu się na torsje. „Jeżeli zwymiotuję tutaj, łeb przewróci mi się chyba na lewą stronę” – pomyślał ponuro.

Wspomnienia i sny nadchodziły falami, układając się w tematyczne przypiływy i odpływy. Nawet unosząc się w prądach przypadkowych myśli, Isaac mijał widoki, które wydawały mu się znajome. Poddawał się wirom snów o bogactwie – o pieniądzech, stiverach i dolarach, o stadach bydła i o malowanych muszelkach.

Ślizgał się po falach snów erotycznych: widział mężczyzn-kaktusy rozpryskujących ejakulat ponad ziemią, w której tkwiły równe rzędy jajobulw posadzonych przez kobiety-kaktusy; spotykał kobiety kheprich nacierające się olejkami podczas przyjacielskich orgii; mijał ludzkich kapłanów pływających się we własnych, zakazanych, pełnych poczucia winy marzeniach.

Umysł Isaaca zakręcił się w wirze snów niespokojnych: był małą dziewczynką martwiącą się egzaminami; szedł nago do szkoły; był vodyanoim, twórcą wododziela, strapiionym na widok potoków słonej wody wlewających się z morza do jego rzeki; był aktorem stojącym na scenie jak posąg i niezdolnym przypomnieć sobie choć jedną linię tekstu.

„Mój umysł jest kotłem” – pomyślał Isaac – „a wszystkie te sny gotują się w nim i duszą”.

Strumień myśli stał się jeszcze szybszy i gęstszy. Isaac uczepił się tego marnego rymu – zaczął powtarzać w duchu: szybszy i gęstszy, szybszy i gęstszy, szybszy i gęstszy, próbując skupić się na tej jednej czynności i zignorować psychiczny potop, w którym tonął.

Nie udało mu się. Sny rozgrywały się we wnętrzu umysłu, nie mógł przed nimi uciec. Śnił o tym, że śnią mu się sny innych ludzi, i miał świadomość, że jest to sen prawdziwy.

Mógł jedynie, pełen strachu i desperacji, próbować przypomnieć sobie, który z tych snów był jego własnym.

Gdzieś w pobliżu rozległ się natarczywy świergot. Dźwięk znalazł drogę przez pokłady obrazów przepelniające głowę Isaaca, przybrał na sile i trwał, aż wreszcie stał się dominującym tematem w oszołomionym umyśle.

Sny urwały się gwałtownie.

Isaac otworzył oczy zbyt szybko i zaklął w duchu, kiedy jego czaszkę przeszył ból jaskrawego światła. Niepewnie uniósł rękę i zwiesił ją nad głową niczym wielkie wiosło. Opuścił ostrożnie dłoń, zakrywając oczy.

Sny rzeczywiście ustały. Mężczyzna spojrział nieśmiało przez palce. Nastął dzień. Było zupełnie jasno.

– Na... zadek... Jabbera... – wyszeptał i poczuł, że ten wysiłek tylko spotęgował ból głowy.

Sytuacja była absurdalna. Nie miał poczucia rzeczywistego upływu czasu, a jednocześnie pamiętał wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Co więcej, wspomnienia stały się jeszcze ostrzejsze, odkąd otworzył oczy. Nie miał wątpliwości, że jeszcze niedawno tarzał się, pocił i jęczał pod wpływem dreamshitu, ale wszystko to nie mogło trwać dłużej niż pół godziny. A jednak... Zmrużył oczy i spojrzął na zegar. Była siódma trzydzieści rano; minęło wiele godzin, odkąd z takim trudem wpełzł na łóżko.

Wsparłszy się na łokciach, przyjrzał się swojemu ciału. Zazwyczaj ciemna skóra była teraz szara i śliska. Czuł smród z własnych ust. Zdawał sobie sprawę, że przez całą noc musiał leżeć prawie nieruchomo; pościel była ledwie naruszona.

Świergot przerażonego ptaka, który obudził go chwilę wcześniej, rozbrzmiał z nową siłą. Maleńki ptaszek krążył desperacko we wnętrzu magazynu. Isaac przypomniał sobie, że musi to być jedno z owych niechętnych ucieczce stworzeń, które uwolnił poprzedniego dnia, zapewne oszalały ze strachu strzyżyk. Rozejrzał się, szukając przyczyny ptasiej paniki i dostrzegł smukłe, gadzie ciało aspisa, które wystrzeliło jak z procy z kąta laboratorium i w locie przechwyciło swą ofiarę. Krzyki strzyżyka umilkły jak ucięte nożem.

Isaac wygramolił się z łóżka i na miękkich nogach okrążył mieszkalny zakątek swej platformy.

– Notatki – mruknął do siebie. – Muszę sporządzić notatki. Sięgnąwszy po papier i pióro, zaczął spisywać pospieszne wrażenia, które pozostawiło w nim zażycie dreamshiru.

– Co to mogło być, do cholery? – szepnął, nie przerywając pisania. – Ktoś wykonał diabelnie dobrą robotę, odtwarzając biochymię snów albo docierając do ich źródła... – Uczony potarł skronie. – Boże, jak to stworzenie może żywić się czymś takim... – Isaac wstał i spojrzął na uwięzioną gąsienicę.

Znieruchomiał z idiotycznie otwartymi ustami. Kilka razy bezgłośnie poruszył żuchwą, zanim udało mu się wydusić kilka słów.

– Och. Wielkie nieba. To dobre... Psiakrew.

Ruszył chwiejnie i z obawą w stronę klatki. Instynktownie odchyłał się przy tym do tyłu, jakby chciał uciec przed tym, co widział.

Za drucianą kratką wiła się niespokojnie kolosalna masa przepięknie ubarwionej larwy. Isaac niepewnie stał nad nią, zdumiony rozmiarami. W otaczającym go eterze wyczuwał dziwne, drobne vibracje niezadowolonej, obcej istoty.

Gąsienica co najmniej potroiła swoje rozmiary w ciągu nocy. Miała teraz stopę długości i była odpowiednio grubsza. Wyblakłe poprzedniego dnia barwy ponownie lśniły swym pierwotnym blaskiem. Czepliwe włoski na tylnej części ciała sterczały bojowo. Zwierzę miało nie więcej niż sześć cali wolnego miejsca z każdej strony. Niezbyt gwałtownymi ruchami raz po raz trącało drzwiczki klatki.

– Co ci się stało? – syknął Isaac.

Pochylił się niżej nad gąsienicą, która natychmiast uniosła łeppek i pokiwała nim wysoko w powietrzu. Myśli pojawiały się w jego głowie w szybkim tempie: na początek wyobraził sobie porcję dreamshiru, którą poprzedniego dnia włożył do

klatki. Następnie spojrzął na pakiet z resztą narkotyku, spoczywający w nienaruszonym stanie dokładnie tam, gdzie go pozostawił. Wiedział już, że zwierzę nie wyszło z pudełka i nie dożywiło się samodzielnie. Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że niewielkie grudki, którymi uraczył larwę, w żaden sposób nie mogły zawierać dostatecznej liczby kalorii, by tak znacznie zwiększyła swoją masę w ciągu jednej nocy. Nawet gdyby perfekcyjna przemiana materii pozwoliła jej przybrać na wadze tyle samo, ile ważył pokarm, nie osiągnęłaby tak imponującego efektu.

– Nie mam pojęcia, skąd wzięłaś ryle energii po tej skromnej kolacji – wyszeptał struchlały Isaac – ale nie mogła to być energia znana fizyce. Czym ty jesteś, na Jabbera?

Wiedział, że musi przenieść gąsienicę do większej klatki. Wyglądała żałośnie, miotając się bez celu w zbyt ciasnej przestrzeni. Grimnebulin wyprostował się, odrobinę wystraszony i zniesmaczony na myśl o tym, że miałby dotknąć niezwykłego stworzenia. Wreszcie podniósł pudełko i zachwiał się pod nadspodziewanie dużym ciężarem. Umieścił je tuż nad podłogą znacznie większej klatki, wykonanej z grubego drutu i wysokiej na pięć stóp, w której poprzednio trzymał małą rodzinę kanarków. Otworzywszy kłapkę w pudełku przechylił je, wyrzucając tłustą larwę wprost w trociny. Zaraz potem wycofał się i starannie zamknął drzwiczki jej nowego mieszkania.

Zadowolony, spojrzął na swą podopieczną. Gąsienica zdawała się odwzajemniać spojrzenie. Isaac poczuł jej dziecinne błaganie o coś dobrego na śniadanie.

– Spokojnie – odezwał się głośno. – Sam jeszcze nic nie jadłem. Odwrócił się niezręcznie i poszedł do „salonu”.

Jedząc śniadanie – owoce i czerstwe ciastka z lukrem – zauważył, że skutki działania dreamshitu szybko mijają. „Możliwe, że był to najgorszy kac świata” – pomyślał kwaśno – „ale skoro mija po godzinie, to nie dziwi mnie, że nie brak chętnych na ten specyfik”.

W dalekim kącie laboratorium rozległo się skrobanie: długa na stopę gąsienica zwiedzała swą nową klatkę. Smętnie przerzucała piasek i wióry leżące na podłodze, po czym uniosła połowę ciała i skierowała głowę w stronę koperty z dreamshitem.

Isaac podparł policzek dłonią.

– Na Piekielne Osły – mruknął. W jego głowie mieszały się teraz dwa uczucia: niepokój i ciekawość eksperymentatora, dające w połączeniu owe dziecinne podniecenie, które towarzyszy na przykład chłopcom czy dziewczętom przypiekającym owady za pomocą szkła powiększającego. Wreszcie wstał i wsunął do koperty koniec dużej, drewnianej łyżki. Nabrał sporą grudkę lepkiej substancji i podszedł do klatki. Na ten widok – a może zapach, a może zupełnie inne, niemożliwe do zdefiniowania doznanie – gąsienica nieomalże zatańczyła z radości. Isaac odchylił małą kłapkę do podawania pokarmu w tylnej części klatki i wrzucił do wnętrza bryłkę narkotyku. Gąsienica bez wahania uniosła głowę i z całych sił wbiła ją w lepłą masę. Szczęki były już na tyle duże, że Isaac mógł gołym okiem obserwować ich pracę. Potężny narkotyk zniknął w nich w zastraszającym tempie.

– Większej klatki już nie dostaniesz – stwierdził Grimnebulin – więc może lepiej daj sobie na wstrzymanie z tym przyspieszonym wzrostem, co? – Nie spuszczać z oka pożywiającej się larwy, oddalił się w stronę rozrzuconych ubrań.

Podnosił każdy element garderoby i obwąchiwał go starannie. Wreszcie wybrał i włożył koszulę i spodnie o najmniej przykrym zapachu i najmniej licznych plamach.

„Dobrze byłoby przygotować sobie listę spraw do załatwienia” – pomyślał ponuro. „A na pierwszej pozycji zapisać:»Zatłuc na śmierć Lucky’ego Gazida«„.

Stanął przy biurku i spojrzął na leżący na stercie innych papierów trójkątny schemat wyjaśniający istotę Teorii Jednorodnego Pola, który naszkicował dla Yagharka. Mierzył go wzrokiem przez długą chwilę, mimowolnie zaciskając usta. Wreszcie podniósł go i w zamyśleniu skierował wzrok ku klatce, w której ucztowała szczęśliwa gąsienica. Zdecydowanie miał tego ranka ważniejsze sprawy do załatwienia.

„Nie ma sensu odkładanie tego na później” – pomyślał z niechęcią. „Może rozwiążę najpierw problemy Yaga, a później dopiero spróbuję dowiedzieć się czegoś o tej małej... Może”. Isaac westchnął ciężko i zakasał rękawy, a potem zasiadł przed lustrem, by dokonać wyjątkowo rzadko praktykowanego zabiegu: porannej toalety. Przyglądał się niezdarnie włosy i po namyśle znalazł jeszcze świeższą koszulę, w którą wcisnął się z największą niechęcią.

Nagryzmołił pospiesznie notatkę dla Davida i Lublamaia, sprawdził zamknięcie klatki z gąsienicą i zbiegł po schodach na parter. Przypiął wiadomość do drzwi i wyszedł na ulicę, pełną ostrego, krystalicznie czystego światła dnia.

Westchnąwszy raz jeszcze, ruszył na poszukiwanie taksówki, by jak najszybciej dotrzeć do uniwersytetu i złożyć wizytę najlepszemu biologowi, filozofowi natury i biotaumaturgowi, jakiego znał: parszywemu Montague Vermishankowi.

ROZDZIAŁ 17

Isaac wstąpił w mury Uniwersytetu Nowego Crobuzon z mieszaniną nostalgii i zakłopotania w sercu. Budynki nie zmieniły się wiele od czasu, kiedy bywał tu jako nauczyciel akademicki. Siedziby poszczególnych katedr i wydziałów stanowiły najbardziej charakterystyczny motyw architektoniczny dzielnicy Ludmead, dominujący nad całą okolicą.

Czworokątny dziedziniec przed zabytkowym gmachem Wydziału Nauk Ścisłych porośnięty był drzewami, z których niedawno osypało się kwiecie. Isaac szedł ścieżką wydeptaną przez pokolenia studentów, brodząc w pokładach różowych płatków. Wreszcie wbiegł energicznie po starannie wyszorowanych stopniach i pchnął wielkie drzwi.

Wszedł do środka, wymachując identyfikatorem, którego ważność wygasła siedem lat wcześniej, ale była to zbędna ostrożność. Portierem siedzącym tego dnia za biurkiem przy wejściu był Sedge, stary i nieskończenie tępy mężczyzna, który rozpoczął pracę na uniwersytecie na długo przed Isaakiem i było niemal pewne, że pozostanie w niej na zawsze. Powitał Grimnebulina tak, jak czynił to podczas każdej z jego nieregularnych wizyt: przyjaznym, acz niezrozumiałym mamrotaniem. Isaac uściśnął mu rękę i zapytał o zdrowie rodziny. Miał powody do wdzięczności – to właśnie pod nieuważnym spojrzeniem mlecznych oczu Sedge'a nieraz już wynosił stąd cenne elementy wyposażenia laboratorium.

Wspinając się po schodach, mijał grupki studentów, palących, spierających się i piszących coś w pośpiechu. Zdecydowaną większość stanowili ludzie płci męskiej, choć Grimnebulin dostrzegał gdzieś tam skupiska młodych obcych lub kobiet, a czasem jednych i drugich. Tu i ówdzie słychać było fragmenty debat, prowadzonych ostentacyjnie podniesionymi głosami. Niektórzy studenci notowali coś na marginesach książek, żując zwinięte liście ostrego tytoniu. Isaac minął grupkę młodych ludzi siedzących w kucki na końcu korytarza i ćwiczących to, czego niedawno się nauczyli: ze śmiechem puszczali po schodach maleńkiego homunkulusa, którego ulepili z ziemi i który po przejściu ledwie czterech stopni przewracał się i rozpadał w kupkę ciemnego błota.

Liczba studentów pojawiających się w polu widzenia malała z każdym piętrem i korytarzem. Ku swej irytacji i niesmakowi, Isaac stwierdził, że serce biło mu przyspieszonym rytmem, kiedy dotarł w okolice gabinetu byłego szefa.

Szedł korytarzem o ścianach wyłożonych ciemnym drewnem, w skrzydle administracyjnym Wydziału Nauk Ścisłych, zbliżając się do drzwi na samym końcu holu, na których złotymi literami napisano: „Kierownik. Montague Vermishank”.

Isaac zatrzymał się przed nimi i nerwowo splótł dłonie. Czuł emocjonalny zamęt w duszy: musiał spróbować zamaskować jakoś dziesięcioletnią urazę i szczerą niechęć do Vermishanka, używając pojednawczego, a jeszcze lepiej przyjaznego tonu. Odetchnął głęboko, zapukał energicznie i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

– Co to ma znaczyć...! – ryknął mężczyzna siedzący za biurkiem i urwał raptownie, gdy rozpoznał Isaaca. – Aha – powiedział po dłuższej chwili milczenia. – Oczywiście Isaac. Siadaj.

Isaac usiadł.

Montague Vermishank spożywał lunch. Jego blada twarz i ramiona pochylały się nad blatem olbrzymiego biurka. W ścianie za plecami kierownika wydziału znajdowało się małe okno, z którego – jak pamiętał Grimnebulin – rozciągał się ciekawy widok na szerokie aleje i wielkie domy w Mafaton i Chnum. Teraz jednak gruba kotara zasłaniała szczelnie widok, wpuszczając do gabinetu niewiele światła.

Vermishank nie był gruby, ale jego ciało – od policzków w dół – okrywała nieco zbyt luźna skóra, fałdy bezwładnej tkanki upodabniające go do nieboszczyka. Miał na sobie za ciasny garnitur, spod rękawów którego wystawały trupio blade ręce. Cienkie włosy mężczyzny były starannie wyszczotkowane i nastroszone, by stwarzać pozory twórczego nieładu. Vermishank jadł właśnie gęstą jak krem zupę. Maczał w niej chleb i wysysał obleśnie rozpulchnioną masę, nie gryząc jej. Uważał tylko, by nasączone śliną i żółtawą polewką okruchy nie spadały zbyt często na biurko. Bezbarwne oczy zwróciły się w stronę Isaaca.

Grimnebulin przyglądał się temu wszystkiemu z zakłopotaniem i w głębi duszy dziękował opatrności za swoje potężne, ale sprężyste ciało i skórę koloru osmalonego drewna.

– Właśnie miałem nawrzeszczyć na ciebie za to, że nie zapukałeś i nie umówiłeś się wcześniej na spotkanie, ale zobaczyłem, że to ty, i przypomniałem sobie, że w takim przypadku normalne zasady nie obowiązują. Jak się masz, Isaacu? Potrzebujesz pieniędzy? Szukasz pracy badawczej na uczelni? – spytał Vermishank swym ciągnącym się jak flegma szeptem.

– Ależ nie, nic z tych rzeczy. Musisz wiedzieć, że dobrze mi się powodzi, Vermishank – odparł Isaac z udawaną życzliwością. – A jak tam twoja praca?

– Doskonale, doskonale. Piszę rozprawę o biozapłonie. Udało mi się wyizolować pirokołnierz ogniopszczoły. – Zapadła cisza. – To bardzo podniecające – szepnął po chwili Vermishank.

– Na to wygląda, na to wygląda – wykrzesał z siebie odrobinę entuzjazmu Isaac. Przez moment spoglądali na siebie w milczeniu. Grimnebulin nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę o niczym. Nienawidził i szanował Vermishanka, była to wyjątkowo niepokojąca kombinacja uczuć. – Tak więc... właściwie... – zaczął. – Szczerze mówiąc, przyszedłem do ciebie po pomoc.

– O nie.

– O tak. Widzisz, pracuję teraz nad przypadkiem, który wykracza nieco poza moją dziedzinę... Jak wiesz, jestem bardziej teoretykiem niż praktykiem...

– Wiem – odparł Vermishank głosem wprost ociekającym bezlitosną ironią.

„Ty szcurzy synu” – pomyślał Isaac. „Oddałem ci punkt za darmo”.

– Tak więc – podjął po chwili – chodzi o to, że... to mógłby być, choć szczerze w to wątpię, problem biotaumatyczny. I dlatego chcę cię prosić o fachową opinię.

– Aha.

– Tak. Chciałbym mianowicie wiedzieć, czy... można poddać kogoś takiemu prze-tworzeniu, że będzie mógł latać?

– Ooo. – Vermishank rozparł się wygodnie na krześle, ocierając chlebem resztki zupy z kącików ust. Na moment pojawiły się nad nimi wąsy z okruszków. Spadły, kiedy mężczyzna klasnął w dłonie i zaplótł na brzuchu tłuste paluchy. – Latać, tak?

W głosie Vermishanka pojawiła się nuta podniecenia, której brakowało w jego wcześniejszych, lodowato zimnych wypowiedziach. Bardzo pragnął użądlić Isaaca swą niezmierną pogardą, ale nie mógł nic poradzić na to, że problemy natury naukowej fascynowały go autentycznie i głęboko.

– Tak jest. Czy ktoś już próbował tej sztuki? – spytał Isaac.

– Owszem, próbował... – Vermishank z namaszczeniem skinął głową, nie spuszczać z oka rozmówcy, który nie ruszając się z krzesła, wydobył z kieszeni notatnik.

– Naprawdę? – mruknął zachęcająco Grimnebulin.

Wzrok Vermishanka zawisł gdzieś w przestrzeni, gdy uczony zamyślił się głęboko.

– Tak... Dlaczego, Isaacu? Czyżby ktoś przyszedł do ciebie i prosił, żebyś nauczył go latać?

– Naprawdę nie mogę... zdradzać tajemnicy zawodowej...

– Naturalnie, Isaacu. Naturalnie, że nie możesz. Bo jesteś profesjonalistą i za to cię szanuję – rzekł Vermishank, uśmiechając się fałszywie do swego gościa.

– Tak więc... Jak wyglądały szczegóły tamtego przypadku? – drażył Isaac. Zanim przemówił, zacisnął na moment zęby, by zapanować nad rozsadzającą go złością. „Pieprzę cię, ty protekcyjna, podstępna świni” – pomyślał wściekle.

– No cóż... – Isaac zaczął wiercić się niecierpliwie, podczas gdy Vermishank z wysoko uniesioną głową udawał, że zbiera myśli. – Żył kiedyś, wiele lat temu, pod koniec ubiegłego wieku, pewien biofilozof. Nazywał się Calligine. Kazał dokonać na sobie prze-tworzenia. – Vermishank uśmiechnął się ciepło i okrutnie zarazem, nieznacznie kręcąc głową. – To było szaleństwo, ale, o dziwo, zabieg się powiódł. Wszczepiono Calligine’owi wielkie, mechaniczne skrzydła składające się jak wachlarze. Napisał nawet o tym pamflecik... – Vermishank pochylił głowę nad tłustym ramieniem, spoglądając w stronę półek z książkami, zakrywających ścianę gabinetu. Machnął obojętnie ręką, nader ogólnie wskazując kierunek, w którym należało szukać tomu zawierającego ów pamflet. – Nie znasz tej historii? Nie słyszałeś piosenki? – Zdziwiony Isaac zmrużył oczy. Niestety, Vermishank postanowił zaśpiewać kilka taktów swym nieco piskliwym tenorem:

*I poleciał wysoko nasz Cally
Pod skrzydeł parasolem
A tym co na ziemi zostali
Pomachał, nim spojrzął w busołą
I zniknął w wielkim błękanie
By dotrzeć w zachodnie strony...*

– Jasne, że słyszałem! – zawołał Isaac. – Nie wiedziałem tylko, że opowiada o faktach...

– Bo nie chodziłeś na wykłady ze Wstępu do biotaumaturgii, prawda? O ile pamiętam, znacznie później pojawiłeś się tylko na dwóch semestrach kursu dla średnio zaawansowanych. A tę historię wkładam do głów naszych młodych łowców wiedzy na samym początku ich drogi ku poznaniu tej zacnej nauki. – Vermishank przemawiał ze śmiertelną powagą, wzbudzając w Isaacu niechęć i zainteresowanie zarazem. – Calligine istotnie zniknął – ciągnął kierownik wydziału. – Odleciał na południowy zachód, w stronę Cacotopic Stain. Nigdy więcej go nie widziano. Znowu zapadła cisza.

– Czy to... już cała historia? – spytał wreszcie Isaac. – W jaki sposób wszczepiono mu skrzydła? Czy zachowały się notatki z przebiegu eksperymentu? Jak wyglądał proces prze-twarzania?

– Wyobrażam sobie, że był koszmarne trudny. Calligine musiał chyba długo eksperymentować na innych obiektach, zanim doszedł do ładu z obliczeniami... – Vermishank uśmiechnął się szpetnie. – Zapewne poprosił burmistrza Mantagony'ego o wyświadczenie kilku przysług. Podejrzewam, że paru skazanych na śmierć dostało wtedy w prezencie nieco dłuższe życie... Choć oczywiście Calligine nie reklamował zbytnio tej części swojej działalności. Logika nakazuje jednak uważać, że tak skomplikowane przedsięwzięcie wymaga prób. Trzeba przecież połączyć mechanizm z kośćmi, mięśniami i bogowie wiedzą czym jeszcze, a wszystkie te części ciała nie wiedzą przecież, jakiej pracy się od nich oczekuje...

– A jeśli mięśnie i kości wiedzą, do czego mają posłużyć? Jeżeli to wyrmen lub inna latająca istota ma odcięte skrzydła – czy można zastąpić je innymi?

Vermishank spojrzał obojętnie na Isaaca. Jego głowa i oczy nawet nie drgnęły.

– Ha – odezwał się cicho po długim namyśle. – Mogłoby się wydawać, że w takim przypadku zadanie jest znacznie prostsze, nieprawdaż? W teorii – tak, ale w praktyce jest jeszcze trudniejsze. Robiłem coś takiego z ptakami i... no, i z innymi skrzydlatymi stworzeniami. Teoretycznie nie istnieje taka rzecz, której nie dałoby się osiągnąć drogą prze-tworzenia. Wszystko jest kwestią odpowiedniego montażu i skutecznego rzeźbienia w ciele. Jednakże lot to potwornie skomplikowana sprawa, bo ma się do czynienia z ogromną liczbą zmiennych, z których każda musi mieć precyzyjnie określoną wartość. Widzisz, Isaacu, można prze-tworzyć psa – doszyć mu urwaną nogę albo przylepić ją odpowiednim zakłębieniem tak skutecznie, że będzie znowu biegał; kulawy, lecz zadowolony. Nie będzie to piękny chód, ale będzie jakiś. Ze skrzydłami ta sztuka się nie uda. Muszą być absolutnie doskonałe, inaczej nie spełnią swojej roli. Dlatego trudniej jest nauczyć nowych ruchów te mięśnie, którym zdaje się, że wiedzą, jak należy latać, niż te, które nie mają o tym najmniejszego pojęcia. Muskuły w grzbiecie i barkach twojego ptaka – czy innego stworzenia, wszystko jedno – pogubią się, jeśli kształt i właściwości aerodynamiczne nowych skrzydeł będą różnić się choćby o jotę od starych. Skończy się to kompletną klapą, zakładając, że w ogóle uda ci się przyłączyć mechanizm we właściwy sposób. Mimo wszystko, Isaacu, powiem, że taki zabieg jest wykonalny. Twój wyrmen czy inne cudo może być prze-tworzonym z darem latania. Tylko że jest to bardzo mało prawdopodobne. Cholernie trudna sprawa. Nie znam biotaumaturga czy prze-twarzacza, który mógłby ręczyć za pozytywny wynik operacji. Dlatego też masz dwa wyjścia, drogi Isaacu: albo odnajdziesz Calligine'a i zatrudnisz go do tej roboty, albo odpuścisz sobie i zajmiesz się czymś innym – podsumował Vermishank.

Grimnebulin dokończył pisanie ostatniej uwagi i z trzaskiem zamknął notatnik.

– Dziękuję, Vermishank. Szczerze mówiąc... miałem nadzieję, że właśnie taka będzie twoja odpowiedź. Bo mogę uważać ją za twoje oficjalne stanowisko, prawda? Świetnie. Teraz będę mógł z czystym sumieniem poprowadzić badania własnym

sposobem, którego na pewno byś nie pochwalił... – wyjaśnił, błyskając oczami jak nieposłuszny dzieciak.

Vermishank ledwie zauważalnie skinął głową, a uśmiech wykwitł i zwiądnął na jego ustach jak grzyb.

– Ha – szepnął słabowicie.

– Tak czy inaczej, dziękuję za twój czas i doceniam wysiłek – rzekł Isaac, wstając i sposobiąc się do wyjścia. – Wybacz, że nie zostanę dłużej...

– Nie gniewam się. Może potrzebujesz opinii w jeszcze jakiejś sprawie?

– Cóż... – Isaac znieruchomiał z jednym ramieniem w rękawie kurtki.

– Może. Słyszałeś co nieco o substancji zwanej dreamshitem?

Vermishank uniósł brew. Odchylił się do tyłu i przygryzając kciuk, spojrzał na Grimnebulina spod półprzymkniętych powiek.

– To jest uniwersytet, Isaacu. Czy sądzisz, że nowa, podniecająca i wielce nielegalna substancja mogłaby pojawić się w mieście i nie skusić żadnego z naszych studentów? Oczywiście, że o niej słyszałem. Nie dalej niż pół roku temu wydaliśmy ucznia za próbę sprzedaży na naszym Wydziale. Wyjątkowo bystry, młody psychonom, zapewne byłby z niego nadzwyczajny teoretyk... Ale powiem ci, Isaacu, że choć znam historię twoich licznych... hę... grzechów młodości – prosty eufemizm wypadł wyjątkowo nieprzekonująco w roli kamuflażu dla obelgi – nie podejrzewałbym cię o zainteresowanie narkotykami.

– Nie jestem ćpunem, Vermishank. Prawdą jest jednak to, że jako osobnik żyjący i działający w amoralnym bagnie, które wybrałem na swoje otoczenie, otoczony mętami i degeneratami wszelkiej maści, często mam styczność z narkotykami podczas ohydnych orgii, w których notorycznie biorę udział. – Isaac zganił się za utratę cierpliwości w tej samej sekundzie, kiedy doszedł do wniosku, że dyplomacją niczego więcej nie osiągnie. Przemowa, głośna i sarkastyczna, sprawiła mu jednak wielką przyjemność. – Tak więc – ciągnął – jeden z moich, pożałuj boże, przyjaciół używał dziwnego narkotyku, o którym chciałbym wiedzieć coś więcej. Oczywiście mam świadomość, że nie powinienem zaprzętać twojego światłego umysłu takimi sprawami.

Vermishank chichotał bezgłośnie. Śmiał się, nie otwierając ust. Jego twarz pozostała nieruchoma, zastygła w krzywym, kwaśnym uśmiechu. Mężczyzna nie spuszczał też oka z twarzy Isaaca, toteż jedynym zewnętrznym objawem śmiechu było u niego nieznaczne podskakiwanie ramion i jeszcze mniej widoczne kiwanie się w przód i w tył.

– Ha – odezwał się w końcu. – Drażliwy jesteś ostatnio, Isaacu. – Vermishank pokręcił głową a jego gość przyglądał kieszenie i obciągnął kurtkę. Był gotów do wyjścia i jakoś wcale nie było mu głupio. Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi, zastanawiając się nad celnym strzałem na pożegnanie. Vermishank odezwał się pierwszy. – Dreamsh... Nie, takie substancje to zdecydowanie nie moja działka, Isaacu. To raczej farmakologia, może peryferia biologii. Jestem pewien, że któryś z twoich dawnych kolegów powie ci więcej na ten temat. Powodzenia.

Grimnebulin postanowił nic już nie mówić. Machnął tylko ręką w cokolwiek bojaźliwym geście, który na własny użytek wolał nazwać pogardliwym, a który od biedy mógł uchodzić za wyraz wdzięczności i pożegnanie zarazem. „Ty zasrany tchórz” – zganił się w myślach. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że Vermishank był cennym źródłem wiedzy i że musiałby naprawdę zebrać w sobie wszystkie siły i być autentycznie zdesperowany, by głęboko i trwale obrazić swego byłego przełożonego. Lecz na razie nie chciał zamykać sobie drzwi do kogoś, kto mógł służyć mu pomocą.

W głębi serca wybaczył więc sobie brak twardości i uśmiechnął się, rozważając swą dwuznaczną postawę wobec odrażającego typu, jakim był niewątpliwie Vermishank. Miał powody do zadowolenia: dowiedział się tego, czego chciał się dowiedzieć. Prze-tworzenie nie było realnym wyborem w przypadku Yagharka. Isaac cieszył się, że zdobył tę pewność w uczciwy sposób i że z nowym zapalem będzie mógł przystąpić do własnych badań nad zagadnieniem lotu. Gdyby prozaiczne rzeźbienie ciała czy biotaumaturgia stosowana zwyciężyły w konfrontacji z teorią kryzysu, jego praca znowu zawisłaby w próżni, a tego sobie nie życzył – zwłaszcza teraz gdy nabierała tempa i rozmachu.

„Yag, przyjacielu – pomyślał – jest dokładnie tak jak sądziłem. Ja jestem twoją wielką szansą a ty moją”.

Zanim zaczęło się miasto, były kanały wijące się między skalnymi formacjami, podobnymi do kłów z piaskowca oraz łaty pól uprawnych na cienkiej glebie. Zanim zaczęły się rośliny, były dni pośród nagich skał. Guzowate, granitowe narosty, siedzące ciężko na brzuchu ziemi od zarania jej dziejów, świeciły nagością, bo cienką warstwę ich mięsa-ziemi zdarty wiatry i deszcze, w walce trwającej marnych dziesięć tysięcy lat. Były ohydne i przerażające – wnętrzości zawsze są takie – te skaliste wzniesienia, te poszarpane grzbiety.

Szedłem ścieżką wytyczoną przez rzekę. Jej nurt, bezimienny pośród twardych i ostrych pagórków, za wiele dni miał stać się Smołą. Widziałem zmrożone szczyty prawdziwych masywów, wiele mil na zachód, kolosów z kamienia i śniegu, tak wszechpotężnie górujących nad lasami, jak te mniejsze wyniosłości górowały nade mną.

Czasem wydawało mi się, że skały przyjęły kształt pochylonych postaci, ze szponami, kłami, głowami, pałkami czy rękami. Skamieniali giganci, nieruchomi bogowie, miraże oczu lub przypadkowe rzeźby stworzone przez wiatr.

Byłem obserwowany. Kozy i owce spoglądały lekceważąco na mój niezdarny marsz. Drapieżne ptaki wykrzykiwały swą pogardę. Czasem mijałem pasterzy, którzy gapili się na mnie podejrzliwie i bezczelnie.

W nocy widziałem tylko ciemne sylwetki. Zimni obserwatorzy patrzyli na mnie spod wody.

Kamienne zęby kruszyły ziemię tak wolno i chytrze, że minęły długie godziny marszu przez górską dolinę, zanim zorientowałem się, że do niej wszedłem. Przedtem były tylko niezliczone dni wędrówki pośród traw i krzewów.

Miękka ziemia lepiej służyła moim stopom, a otwarte niebo – moim oczom. Jednak nie dałem się zwieść: to nie było moje pustynne niebo, tylko jego namiastka; pozór, który miał mnie zmylić. Schnące powoli rośliny, które ocierały się o moje nogi przy każdym silniejszym podmuchu wiatru, były i tak znacznie dorodniejsze niż w ojczystych stronach. W oddali widziałem już las, o którym mówiono mi, że ciągnie się na północ aż po przedmieścia Nowego Crobuzon, na wschód od morza. W sekretnych miejscach, w gąszczu drzew, spotykałem niszczące, zapomniane maszyny; tłoki, przekładnie i żelazne skrzynie o zardzewiałej powierzchni.

Nie zbliżałem się do nich.

Za mną, tam gdzie nurt rzeki się rozdawał, zostały mokradła – rozlewiska, które fałszywie obiecywały stać się morzem. Zatrzymałem się tam na jakiś czas, w długich chatkach na palach, należących do stiltspearów, istot spokojnych i szczerych. Nakarmili mnie i śpiewali mi do snu swe jękliwe kołysanki. Polowałem z nimi, rażąc oszczepem kajmany i anakondy. Właśnie tam, na mokradłach, straciłem moje wierne ostrze: złamało się i pozostało w cielsku jakiegoś drapieżcy, który rzucił się na mnie

zniecała spośród mułu i gnijących wodorostów. Rażony ciosem, stanął na tylnych łapach i zawył jak czajnik na wysokim ogniu, a potem zniknął w błocie. Nie wiem nawet, czy skonał.

Zanim jednak dotarłem do bagien i rozlewisk, wiele dni spędziłem na falujących równinach suchych traw, gdzie, jak mi mówiono, grasowały bandy prze-tworzony eh, którzy zbiegli przed sprawiedliwością. Nie spotkałem żadnej.

W niektórych wioskach ludzie przekupywali mnie mięsem i sukrem, błagając, bym wstawił się za nimi u ich bóstw czuwających nad zbiorami. W innych przepędzano mnie pikami, ogniem strzelb i dźwiękami syren. Dzieliłem pastwiska ze stadami bydła, czasem z innymi wędrowcami, z ptakami, które uważałem za swych kuzynów, i ze zwierzętami, które dotąd znałem tylko z mitów.

Zazwyczaj jednak nocowałem samotnie, wtulony w skalną szczelinę, wciśnięty w gęsty zagajnik lub pod dachem namiotu, kiedy przeczuwałem deszcz. Cztery razy, gdy spałem, coś obwąchiwało mnie, zostawiając po sobie jedynie ślady kopyt, zapach ziół, potu czy mięsa.

Tam, na rozległych równinach, mój gniew i mój smutek zmieniły postać.

Szedłem, a wścibskie owady próbowały rozpoznać mój zapach, polizać mój pot, napić się mojej krwi albo zapylić kolorowe plamy na moim płaszczu. Widziałem tłuste ssaki pożywiające się soczystą zielenią. Zbierałem, znane mi tylko z ksiązek, kwiaty o wysokich łodygach i kolorach tak subtelnych, jakby spowijała je cieniutka warstewka dymu. Zapach drzew zapierał mi dech w piersiach. Niebo ugięło się pod ciężarem chmur.

Ja, dziecko pustyni, szedłem przez tę żyzną krainę. Czuję w sobie suchość i kurz.

Pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że już nie marzę o tym, co będę robił, kiedy wreszcie znów będę cały. Moja wola wypaliła się do tego miejsca i dalej nie było już nic. Cały stałem się pragnieniem lotu. W jakiś sposób... przystosowałem się. Przeszedłem ewolucję w tych nieznanach stronach, w drodze do miasta, w którym planowałem znaleźć najlepszych uczonych i prze-twarzaczy świata. Środek do osiągnięcia celu stał się celem. Wiedziałem już, że jeśli odzyskam skrzydła, stanę się kimś nowym, pozbawionym pragnienia, które teraz mnie definiowało.

Tej deszczowej wiosny, wędrując bez końca na północ, nie szukałem już spełnienia, ale rozproszenia. Zamierzałem przekazać nowo narodzonej istocie moje ciało i wreszcie znaleźć spokój.

Byłem znacznie twardszy, wstępując na te pagórki i równiny. Opuściłem Myrshock, gdzie zawinął mój statek, nie spędzając tam ani jednej nocy. To wyjątkowo podłe, portowe miasto, w którym dość było istot mojej rasy, bym poczuł się nieswojo.

Pospieszyłem więc ulicami, nie szukając niczego poza zapasami na drogę i potwierdzeniem, że mam rację, kierując się ku Nowemu Crobuzon. Kupiłem maść na moje jątrzące się plecy i znalazłem lekarza, który miał w sobie dość uczciwości, by przyznać, że nie znajdę ratunku w Myrshock. Oddałem mój bicz kupcowi, który zgodził się podwieźć mnie swym wozem pięćdziesiąt mil w okoliczne doliny. Nie chciał przyjąć złota, wołał broń.

Z ulgą pozostawiałem za sobą morze – przeprawa przez nie była tylko nieprzyjemnym interludium. Cztery dni na wlokącej się w żalonym tempie galerze. Pełzała przez Morze Mizerna, a ja tkwiłem w jej trzewiach, domyślając się jedynie po pluskaniu wioseł, że posuwamy się naprzód. Nie mogłem wyjść na pokład. Znacznie bardziej zniewolony czułbym się tam, pod tym ogromnym, nadmorskim niebem, niż w

śmierdzącej kabinie. Uciekłem do niej przed mewami, rybołowami i albatrosami. Schroniłem się pod słonymi falami, w ciasnej norze obok wychodka dla marynarzy.

Lecz zanim znalazłem się na morzu, był czas wściekłości i żalu, kiedy moje blizny wciąż jeszcze były mokre od krwi. Trafiłem wtedy do Shankell, miasta kaktusów, miasta wielu nazw. Klejnot Słońca. Oaza. Borrridor. Słona Dziura. Cytadela Korkociągu. Solarium. Shankell, gdzie walczyłem na tyłu arenach i w tyłu żelaznych klatkach, rozdierając ciała i będąc rozdieranym, zwyciężając znacznie częściej, niż przegrywając, zamieniając się w bestię nocą i licząc pieniądze za dnia. Aż wreszcie pewnego dnia przyszło mi walczyć z księciem barbarzyńców, który zapragnął mieć hełm z garudziej czaszki. Wygrałem, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, choć moje rany były straszliwe. Jedną ręką podtrzymując wypływające wnętrzności, drugą parłem nieustępliwie do jego gardła. Zdobyłem jego złoto i jego uczniów, których uwolniłem. Opłaciłem lekarzy za przywrócenie mi zdrowia i zapłaciłem za miejsce na kupieckim korabiu.

Wyruszyłem za morze, by znowu być całością.

Pustynię zabrałem ze sobą.

CZĘŚĆ TRZECIA. METAMORFOZY

ROZDZIAŁ 18

Wiosenny wiatr był coraz cieplejszy. Brudne powietrze nad Nowym Crobuzon sprawiało wrażenie naładowanego elektrycznością. Miejscy meteoromanci z wieży chmur na Tar Wedge w pośpiechu notowali liczby z obracających się wskaźników i wydzielali sobie wykresy sporządzone według wskazań mierników. Zaciskali usta w zdumieniu i kręcili głowami.

Przebąkiwali między sobą o nadzwyczaj gorącym i wyjątkowo mokrym lecie, które zbliżało się wielkimi krokami. Opukiwali gigantyczne rury maszyny aeromorficznej, sterczące pionowo przez całą długość pustej wieży niczym puszczalki monstualnych organów albo lufy dział nawołujące do wielkiej wojny między ziemią a niebem.

– Cholerne, bezużyteczne dziadostwo – mruzcili z niechęcią. Prowadzone bez zbytniego zapału próby uruchomienia generatorów zgromadzonych w podziemiach spełzały na niczym – maszyna nie działała od stu pięćdziesięciu lat i nikt z żyjących nie był w stanie przywrócić jej sprawności. Aura nad Nowym Crobuzon była teraz zależna jedynie od woli bogów, praw natury lub zrządzeń losu.

Zwierzyzna w ogrodzie zoologicznym na Canker Wedge zdradzała oznaki coraz silniejszego niepokoju, wyczuwając rychłą zmianę pogody. Dla większości z nich były to ostatnie dni pory godów, więc natężenie nerwowych ruchów w klatkach i zagrodach zmniejszyło się nieco. Opiekunowie byli z tego powodu równie zadowoleni jak ich podopieczni. Niesione wiatrem zapachy, właściwe tylko okresowi rui, pobudzały zwierzęta do agresywnego, nieprzewidywalnego zachowania.

Teraz, gdy dni były coraz dłuższe, niedźwiedzie, hieny, wychudłe hipopotamy, samotne lisy i mały odpoczywały wieczorami – jakby w napięciu – obserwując przechodniów ze swych zagród wyłożonych cegłą lub z błotnistych rowów. Czekały. Być może na południowe deszcze, które nigdy nie docierały do Nowego Crobuzon, ale z pewnością były jakoś zakodowane w ich genach. A kiedy deszcze nie nadchodziły, zwierzęta oczekiwały pory suchej, która także nie zaglądała do ich

nowych domów. Dziwne i niespokojne musi być ich życie, spekulowali opiekunowie ogrodu, słuchając ryków zmęczonych i zdezorientowanych pupili.

Od odejścia zimy noce skurczyły się co najmniej o dwie godziny, za to można było odnieść wrażenie, że stały się bardziej esencjonalne. W ich okrojonych ramach od zmierzchu do świtu mieściła się teraz bardziej intensywna działalność nielegalnej natury. Każdej nocy ku wielkiej, starej hali pół mili na południe od zoo zmierzały tłumy kobiet i mężczyzn. Od czasu do czasu ponad tupot nóg i nieustające rozmowy niezadowolonych, bezsennych mieszczan wchodzących do starego budynku przebijał się ryk lwa. Nikt nie zwracał nań uwagi.

Cegły, z których wzniesiono magazyn, były niegdyś czerwone, lecz teraz okrywała je warstwa brudu tak gładka i szczelna, że mur wyglądał jak ręcznie pomalowany na czarno. Oryginalna nazwa wciąż jeszcze zdobiła długą ścianę budynku: „U Cadnebara – Mydło i Łój”. Firma Cadnebara zbankrutowała w pięćdziesiątym siódmym, a ogromne maszyny do wytapiania i przetwarzania tłuszczu dawno już zostały wywiezione i sprzedane jako złom. Jednak po dwóch lub trzech latach bezużytecznego niszczenia hala „U Cadnebara” odrodziła się jako cyrk gladiatorów.

Podobnie jak poprzedni burmistrzowie, Rudgutter lubił porównywać cywilizację i wielkość Miasta-Państwa Republiki Nowego Crobuzon do barbarzyńskiego łajna, w którym tarzali się mieszkańcy innych ziem. „Pomyślcie o innych krajach Rohagi”, grzmiał w swych przemowach i artykułach. „Nowe Crobuzon nie jest takie jak Tesh, Troglodopolis, Vadaunk czy High Cromleh. Nie jest miastem rządzonym przez wiedźmy; nie jest podziemną norą; zmiany pór roku nie wiążą się tu z makabrycznymi przesądami; Nowe Crobuzon nie przerabia swych obywateli na żywe trupy w specjalnych fabrykach; jego Parlament nie przypomina Maru’ahm, kasyna, w którym prawa są stawkami w grze w ruletkę”.

Rudgutter uwielbiał też powtarzać, że Nowe Crobuzon to nie Shankell, gdzie ludzie dla sportu walczą ze sobą jak zwierzęta. Oczywiście z wyjątkiem hali „U Cadnebara”.

Imprezy, które odbywały się w jej murach, mogły być nielegalne, a jednak nikt nie pamiętał, by milicja kiedykolwiek dokonała tu niespodziewanego nalotu. Wielu sponsorów walk rekrutowało się spośród parlamentarzystów, przemysłowców i bankierów, których wstawiennictwo z pewnością pomagało utrzymać stróżów prawa na dystans. Naturalnie istniały w mieście i inne salony walk, gdzie w jednym kącie odbywały się pojedynki kogutów, w innym – szczurów, niedźwiedzi czy borsuków, w jeszcze innym – węzowe zapasy, a pośrodku – zmagania prawdziwych gladiatorów. Jednakże tylko lokal „U Cadnebara” nazywano legendarnym.

Każdego wieczoru wstępną atrakcją o charakterze komediowym była rekrutacja i następujący po niej „otwarty ring”. Zastępy młodych, głupich, dobrze zbudowanych mężczyzn – zapewne najtwardszych zawodników w wioskach w okolicy Grain Spiral czy Mendican Hills – wędrowały całymi dniami, by szukać sławy w wielkim mieście. Dotarwszy do hali, śmiałkowicie prężyli swe imponujące mięśnie przed selekcyjnymi. Wybierano zazwyczaj dwóch lub trzech i natychmiast zapędzano na główną arenę, przed trybuny pełne wyjących kibiców. Z dumą ważyli w dłoniach maczety, które im dano, aż do chwili, gdy otwierały się wrota – wtedy bledli nagle, stając oko w oko z ogromnym prze-tworzonym gladiatorem lub beznamiętnym wojownikiem-kaktusem. Krótka i niezmiernie krwawa rzeź wzbudzała zawsze wielką wesołość wśród profesjonalistów przyglądających się takiej „walce”.

Moda kształtowała w dużym stopniu oblicze sportu, z którego słynęła hala „U Cadnebara”. W owych ostatnich dniach wiosny najpopularniejsze były walki między

drużyną dwóch prze-tworzonych, a zespołem trzech kheprich, siostr-strażniczek. Wojowniczkę rasy khepri wywabiano z Kinken i Creekside obietnicami oszałamiających nagród. Ich trzyosobowe zespoły ćwiczyły razem przez długie lata – były to formacje o charakterze religijnym, odwzorowujące bóstwa opiekuńcze zwane Twardymi Siostrami. Podobnie jak owe boginie, zawodniczki walczyły ściśle określoną bronią: jedna miała do dyspozycji sieć i włócznię, druga kuszę i skałkówkę, a trzecia tradycyjną broń kheprich, którą ludzie nazywali żądłem.

Kiedy lato poczęło wkradać się niepostrzeżenie na miejsce uchodzącej wiosny, w hali „U Cadnebara” każdej nocy grano o wyższe stawki niż poprzednio. Wiele mil dalej, w Dog Fenn, Benjamin Flex ubolewał nad faktem, iż „Cadnebar’s Wax”, nielegalny organ miłośników walk gladiatorów, rozchodził się w pięciokrotnie większym nakładzie niż „Runagate Rampant”.

Złodziej Oczu zostawił w miejskich kanałach kolejną okaleczoną ofiarę. I tym razem ciało znalazły dzieciaki szukające skarbów w płytkim mule Smoły: wystawało z nadrzecznej rury odpływowej, podobne do wyczerpanego, odpoczywającego pływaka.

Na obrzeżu dzielnicy Nigh Sump pewna kobieta zmarła z powodu głębokich ran klutych po obu stronach szyi. Obrażenia wyglądały tak, jakby nieszczęśnica dostała się między ostrza wielkich, ząbkowanych nożyc. Sąsiedzi znaleźli na jej ciele stosik dokumentów dowodzących, iż była wysoko postawionym informatorem milicji. Wieści rozeszły się szybko: Jack Pół-Pacierz znowu uderzył. W slumsach i rynsztokach Nowego Crobuzon nikt nie opłakiwał jego kolejnej ofiary.

Kiedy tylko było to możliwe, Lin i Isaac spędzali razem noc. Grimnebulin widział jednak, że jego kochanka nie jest w najlepszej kondycji. Pewnego razu posadził ją przed sobą i zażądał wyjaśnień: co ją gryzło? Dlaczego nie przystąpiła do konkursu o nagrodę Shintacost? (To pytanie wywołało jedynie komentarz na temat poziomu jurorów i tylko pogłębiło depresję Lin). Nad czym pracowała? Gdzie znikła na całe dni? W mieszkaniu nie było żadnego świeżego śladu działalności artystycznej.

Lin pogłodziła jego rękę, wdzięczna za troskę, ale nie powiedziała mu nic poza tym, że pracuje nad dziełem, z którego prawdopodobnie będzie bardzo dumna. Że znalazła sobie miejsce, o którym nie mogła i nie chciała rozmawiać. Że tworzy dużą rzeźbę, o którą na razie nie powinien pytać. Twierdziła, że nie znikła z powierzchni świata – raz na dwa tygodnie pojawiała się przecież w którymś z barów na Polach Salacusa, by bawić się z przyjaciółmi, choć może z mniejszym zapałem niż dwa miesiące wcześniej.

Podśmiewała się dyskretnie z gniewu Isaaca na Lucky’ego Gazida, który z podejrzanym wyczuciem zniknął jak kamfora. Uczony opowiedział jej o niezamierzonej przygodzie z dreamshitem i nie przestawał pomstować na nieodpowiedzialnego ćpuna. Opisał też niezwykłą larwę, która najwyraźniej nie uznawała innego pożywienia niż narkotyki. Lin nie widziała jej – nie pokazywała się bowiem w Brock Marsh od czasu pamiętnego wieczoru sprzed miesiąca – ale nawet biorąc poprawkę na entuzjazm Isaaca, przeczuwała, że istota musi być co najmniej oryginalna.

Pełna ciepłych myśli o swoim kochanku, umiejętnie zmieniała temat: zapytała, jakie składniki odżywcze może zawierać tak specyficzny pokarm jak dreamshit. Usiadła wygodnie, gotowa słuchać z uwagą tego, co powie. Isaac odpowiedział z zapałem, że nie ma bladego pojęcia, ale zaraz wyjaśnił jej kilka hipotez, które pojawiły się w jego głowie. Spytała też o teorię energii kryzysowej i jej ewentualne zastosowanie w sprawie Yagharka. Opowiadał o niej z ożywieniem, kreśląc na kartce papieru pomocnicze diagramy.

Łatwo było nim kierować. Lin czuła niekiedy, że Isaac wie, iż jest ofiarą manipulacji i że czuje się winny z powodu łatwości, z jaką zapominał o obawach co do jej kondycji. Wyczuwała jednocześnie jego wdzięczność zmieszaną ze skrucą, kiedy tak przeskakiwał ku interesującym go tematami. Grimnebulin wiedział, że przejmowanie się losem Lin należy do jego roli i naprawdę przejmował się nim, ale był to dla niego wysiłek, przykry obowiązek, kiedy w jego umyśle niepodzielnie królowały teoria kryzysu i metody odżywiania niezwyklej larwy. Kobieta pozwalała mu nie przejmować się nią zbyt, a on przyjmował tę ofiarę z wdzięcznością.

Lin chciała przynajmniej na pewien czas uciszyć obawy Isaaca. Nie mogła sobie pozwolić na zbyt ciekawość z jego strony. Im więcej on wiedział, tym większe groziło jej niebezpieczeństwo. Nie potrafiła określić, jaką mocą władał jej pracodawca – wątpiła, by miał zdolności telepatyczne, ale nadmiar ostrożności nie mógł jej zaszkodzić. Nade wszystko pragnęła dokończyć dzieło, wziąć pieniądze i na dobre zniknąć z Miasta Kości.

Za każdym razem, gdy odwiedzała pana Motleya, ten wciągał ją – mimo jej niechęci – w swoje sprawy. Opowiadał jej obojętnie o wojnach o wpływy w Griss Twist i Badside, wtrącając uwagi na temat masakry konkurencyjnego gangu w Crow, do której przygotowywał swoją organizację. Mówił też o Mamie Francine, która coraz skuteczniej umacniała swoją pozycję na rynku. Kontrolowała już sporą część handlu shazbahem na zachód od Crow, z czym pan Motley był gotów się pogodzić. Teraz jednak zaczynała rozwijać działalność w kierunku wschodnim... Lin przeżuwała i wypluwała barwniki, koncentrując się na pracy i usiłując nie słyszeć szczegółów planowanych operacji, pseudonimów nie żyjących już kurierów i adresów bezpiecznych kryjówek. Pracodawca robił jednak wszystko, by wtajemniczyć ją w swoje sprawy i bez wątpienia czynił to celowo.

Rzeźba miała już obie nogi i zaczątki talii (o ile w ogóle można było wyróżnić u pana Motleya taką część ciała). Kolory posągu nie odpowiadały naturalnym, ale było w nich coś prowokującego, intrygującego i hipnotyzującego. Bez wątpienia powstawało arcydzieło równie zdumiewające jak model.

Mimo iż Lin próbowała izolować się od komentarzy, pan Motley jakoś przebijał się z nimi przez jej linię obrony. Z czasem zaczęła podświadomie rozważać sprawy, o których tak uparcie mówił. Wycofywała się szybko, przerażona, ale natłok myśli był silniejszy od woli. W końcu łapała się na tym, że zastanawia się całkiem poważnie nad tym, kto przejmie kontrolę nad herbaciarnią w Chimer's End. Próbowała popaść w otępienie – broniąc się, pozwoliła, by jej umysł przyjmował obojętnie niebezpieczne informacje i nie przekazywał ich do świadomości.

Z czasem jednak coraz częściej myślała o Mamie Francine. Pan Motley mówił o niej dość beztruskim tonem, ale w swych monologach wracał do tematu zadziwiająco często. Lin pojęła, że sukcesy konkurentki autentycznie martwią jej pracodawcę.

Ku swemu zdumieniu, zaczęła w duchu kibicować Mamie Francine.

Nie była pewna, jak to się zaczęło. Uświadomiła sobie swą postawę w chwili, gdy pan Motley opowiadał z fałszywą wesołością o nieudanym ataku na dwóch kurierów, do którego doszło poprzedniej nocy. Wojowniczkę khepri z gangu Mamy Francine zdołały ukraść sporą ilość bliżej nieokreślonej substancji, jakiegoś cennego półproduktu. Lin poczuła nagle, że cieszy się w głębi serca z tego faktu, i wrażenie to zbiło ją z tropu do tego stopnia, że na chwilę zaprzestała pracy, by dożyć do ładu z własnymi emocjami.

Pragnęła, żeby Mama Francine zwyciężyła.

Nie było w tym żadnej logiki. Gdy tylko Lin dokonała nieco bardziej racjonalnej oceny sytuacji, przekonała się, że tak naprawdę nie powinna mieć zdania. W sensie

intelektualnym, triumf jednego handlarza narkotykami nad innym nie miał dla niej żadnego znaczenia. A jednak na płaszczyźnie emocjonalnej jej faworytką była Mama Francine. Zauważyła, że ma ochotę gwizdać i buceć, kiedy pan Motley z dumą opowiada o swym planie radykalnej zmiany układu sił na rynku.

„Co się dzieje?” – myślała kwaśno. „Czyżby po tylu latach nagle obudziła się we mnie świadomość przynależności do rasy kheprich?”

Naśmiewała się z własnych uczuć, ale w tej ironicznej myśli tkwiło ziarno prawdy. „Niewykluczone, że sympatyzowałabym z każdym, kto ośmiela się sprzeciwić panu Motleyowi” – myślała. Tak bardzo bała się refleksji nad swym związkiem z pracodawcą, tak bardzo nie chciała okazać się kimś więcej niż zleceniobiorcą, że minęło sporo czasu, nim zdała sobie sprawę, iż go nienawidzi. „Wróg mojego wroga...” – myślała. Ale było w tym coś jeszcze. W końcu zrozumiała, że solidaryzuje się z Mamą Francine, dlatego że, podobnie jak ona, należy do kheprich. Z tym że – i może to było istotą jej uczuć – Mama Francine nie była dobrą khepri.

Wszystkie te rozmyślenia uwierały ją coraz bardziej, drażniły i niepokoiły. Pierwszy raz od wielu lat kazały jej rozważyć własny stosunek do społeczności kheprich i przyznać w duchu, że jest w nim coś więcej niż niechęć i parcie do konfrontacji. Kazały jej też pochylić się nad wspomnieniami z dzieciństwa.

Każdego dnia po pracy u pana Motleya Lin odwiedzała Kinken. Opuściwszy jego dom, łapała taksówkę gdzieś w okolicy Żeber i jechała nią przez most Danechiego lub Barguest, mijając restauracje, biura i budynki mieszkalne w Spit Hearth.

Czasem zatrzymywała się na Bazarze Śliny i niespiesznie spacerowała w przytłumionym świetle latarni. Dotykała lnianych sukien i płaszczy wiszących na straganach, ignorując nieuprzejme spojrzenia przechodniów, którym nie podobało się, że khepri kupuje ludzkie ubrania. Kluczyła po Bazarze, kierując się w stronę Sheck, okolicy pełnej wąskich i krętych uliczek oraz wysokich kamienic z cegły.

Nie była to dzielnica slumsów. Budynki w Sheck były solidne i szczelne. W porównaniu z architektonicznymi mutantami z Dog Fenn, z zapleśniałą, ceglana masą Badside i Chimer's End czy z żaloznymi ruderami w Spatters, okolice Sheck były prawie eleganckim miejscem. Nieco zatłoczonym, rzecz jasna, nie wolnym od pijaństwa, biedy i złodziejstwa, ale zdecydowanie nie najgorszym miejscem. To tu mieszkali sklepikarze, kierownicy niższego szczebla i lepiej opłacani robotnicy, pracujący na co dzień w dokach Echomire i Kelltree, a także w Gross Coil i Didacai Village, znanej powszechnie jako Zakole Smogu.

Lin nie czuła się tu mile widziana. Dzielnica Sheck graniczyła z Kinken, oddzielało je jedynie kilka niedużych parków. Obecność kheprich była dla tutejszych mieszkańców przypomnieniem, jak niewiele dzieli ich od upadku. Za dnia khepri kłębiły się na ulicach Sheck, zmierzając do sklepów w Crow lub w stronę Dworca Perdido, skąd ruszały pociągami w dalszą drogę. Nocą jednak tylko najodważniejsze zapuszczały się na teren działania aktywistów z Trzech Piór, którzy robili wszystko, by „utrzymać czystość w mieście”. Lin bardzo dbała o to, by minąć tę strefę przed zachodem słońca. Nieco dalej, w Kinken, była już bezpieczna.

Bezpieczna, ale nie szczęśliwa.

Kiedy szła ulicami Kinken, czuła jednocześnie podniecenie i mdłości. Od wielu, wielu lat jej wyprawy do tej dzielnicy były nader krótkie: przyjeżdżała tu jedynie po kolorowe jagody, pastę i od czasu do czasu po któryś z przysmaków kheprich. Teraz jej wizyty stały się okazją do odświeżenia wspomnień, które dotąd uważała za niebyłe.

Domostwa ociekały białym śluzem żuków-budowniczych. Niektóre były nim pokryte na całej powierzchni – maź ściekała ze stromych dachów, łącząc sąsiadujące budynki w jedną, pofałdowaną całość. Lin zaglądała ukradkiem przez okna i uchylone drzwi. Ściany i stropy zaprojektowane przez architektów-ludzi były podziurawione lub wręcz wyburzone w miejscach, gdzie wielkie żuki przebijając krótkimi, krępyimi odnóżami, szukały na oślep drogi przez mury i wydzielały z gruczołów na podbrzuszach ogromne ilości organicznej zaprawy.

Od czasu do czasu Lin widywała żywy egzemplarz przywieziony z jednej z nadrzecznych farm. Pracowite zwierzęta przebudowywały kolejne domy, tworząc w ich wnętrzach cenione przez kheprich kręte tunele. Wielkie i tępe żuki, rozmiarami przewyższające nosorożca, posłusznie wykonywały polecenia nadzorców: drażyły dziury w murach i okrywały ściany obłymi kroplami szybko schnącego śluzu. Połączone komnaty i domy wyglądały od środka jak labirynt żyjącego pod ziemią gigantycznego robaka.

Lin odpoczywała czasem w którymś z mikroskopijnych parków. Siedząc nieruchomo pośród obsypanych kwieciami drzew, obserwowała przechodniów – samice swojej rasy. Spoglądała też ponad korony, na tylne i boczne ściany wysokich budynków sąsiedniej dzielnicy. Pewnego razu zauważyła tam małą dziewczynkę, która wychylała się z pojedynczego okienka wysoko na ślepej ścianie wieżowca, tuż obok stelaża z łopoczącym na wietrze praniem. Krucha, ludzka istotka obserwowała cierpliwie życie sąsiadek – kheprich. „Dziwne miejsce na dorastanie” – pomyślała Lin, wyobrażając sobie to dziecko otoczone milczącymi stworzeniami o owadzych głowach. „Zupełnie tak, jakbym miała wychowywać się wśród vodyanoich...” Ta refleksja skierowała jej uwagę ku niewygodnym wspomnieniom z dzieciństwa.

O tak, powrót w te pogardzane uliczki Kinken był zarazem powrotem do zapomnianego miasta pamięci. Wiedziała o tym. Nie czuła się swobodnie, wracając myślą w zamierzchłe czasy.

Kinken mimo wszystko stało się dla niej ucieczką. W tym dziwnym okresie izolacji, kiedy kibicowała w duchu nieznanemu khepri, przywódczyni przestępczego syndykatu, czuła się jak wyrzutek właściwie w każdym zakątku miasta – może z wyjątkiem Pól Salacusa, gdzie wyrzutki były potęgą. Fakt ten pomógł jej uświadomić sobie, że uczucia, które żywiła względem Kinken, nie były tak jednostronnie negatywne, jak jej się wydawało.

Khepri mieszkali w Nowym Crobuzon od niemal siedmiuset lat, odkąd „Ognista Modliszka” przebyła Wezbrany Ocean i dotarła do Bered Kai Nev – wschodniego kontynentu, ojczyzny kheprich. W powrotną drogę wyruszyła z misją pokoju tylko garstka kupców i podróżników rasy khepri, którzy z czasem wtopili się w społeczność miasta. Nie było wtedy segregacji rasowej, nie było żuków-budowniczych ani gett. Kheprich było bardzo niewiele – aż do czasu Tragicznej Przepawy.

Minęło ledwie sto lat, odkąd pierwsze statki z uchodźcami resztkami sił wpłynęły na wody Zatoki Żelaznej. Wielkie mechanizmy zegarowe, zapewniające im napęd, były przerdzewiałe i zniszczone, a żagle porwane. Były to statki-trumny, zatłoczone do granic możliwości tysiącami umierających kheprich z Bered Kai Nev. Panująca na nich zaraza siała tak wielkie spustoszenie, że złamano nawet pradawne tabu zabraniające chowania zmarłych w wodzie. Na pokładach nie było więc zbyt wielu zwłok, za to liczba konających była ogromna. Statki uchodźców nazwano wkrótce „przedsionkami kostnicy”.

Natura tej tragedii była zagadką dla władz Nowego Crobuzon, które nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych z prawie żadnym z krajów Bered Kai Nev.

Uchodźcy nie chcieli mówić o tym, co ich spotkało, lub wypowiadali się bardzo ogólnikowo. Ci, którzy zdecydowali się opowiedzieć swą historię, napotykali na niemożliwą do pokonania barierę językową. Ludzie wiedzieli więc tylko tyle, że kheprim ze wschodniego kontynentu przytrafiło się coś strasznego; niepojęty wir wessał miliony istnień, pozostawiając szansę ucieczki jedynie garstce szczęśliwców. Kobiety rasy khepri nazwały ten niepojęty kataklizm Pochłonięciem.

Między przybyciem pierwszego okrętu a pojawieniem się ostatniego minęło dwadzieścia pięć lat. Powolne jednostki pozbawione napędu kierowane były ponoć wyłącznie przez khepri urodzone na morzu, gdyż pierwsze pokolenie uchodźców zdążyło wyginąć, nim na horyzoncie pojawił się nowy ład. Córki uciekających nie wiedziały już nawet, przed czym szukają schronienia – umierające matki przekazały im tylko jedną wiadomość: muszą płynąć na zachód i nie wolno im zmieniać kursu. Opowieści o „Statkach Miłosierdzia” – nazwano je tak, bo wycieńczone istoty prosiły tylko o litość – docierały do Nowego Crobuzon z wielu krajów leżących na wschodnim wybrzeżu kontynentu Rohagi: z Gnurr Kett, z Wysp Jheshull, a nawet z dalekiego południa – z Shards. Niedobitki kheprich rozproszyły się, niesione chaotyczną siłą paniki.

W niektórych regionach dokonywano na uchodźcach straszliwych pogromów. W innych – na przykład w Nowym Crobuzon – witano ich z niechęcią, lecz bez oficjalnych aktów przemocy. Kobiety o owadzich głowach osiedlały się więc tutaj, znajdowały sobie pracę, płaciły podatki albo parały się przestępczym rzemiosłem. Dyskretna presja środowiska dość szybko wcisnęła je w ramy getta, a jednocześnie rzuciła na pastwę bigotów i bandytów.

Lin nie wychowywała się w Kinken. Urodziła się w młodszym i biedniejszym getcie zwanym Creekside – brudnej plamie na mapie północno-zachodniej części miasta. Odtworzenie i zrozumienie prawdziwej historii tych dwóch enklaw kheprich w Nowym Crobuzon było w zasadzie niemożliwe, potomkowie uchodźców bowiem systematycznie wymazywali z pamięci wszelkie istotne fakty. Tragiczne doświadczenie Pochłonięcia wywarło tak ogromny wpływ na psychikę ocalałych, że zdecydowali się zapomnieć o liczącej dziesięć tysięcy lat historii rasy. Przybycie do Nowego Crobuzon nazwali początkiem nowej rachuby czasu, zwanej Cyklem Miejskim. Kiedy nowa generacja kheprich upomniała się o swoje dziedzictwo, matki odmówiły przekazania wiedzy, a niektóre naprawdę zdołały wymazać ją z pamięci. W ten sposób historia rasy została pogrzebana w złowrogim cieniu ludobójstwa.

Dlatego niełatwo było Lin spenetrować sekrety owych pierwszych dwudziestu lat Cyklu Miejskiego. Kinken i Creekside były dla niej – oraz dla jej matki i jeszcze dwóch pokoleń wstecz – dziełem skończonym i gotowym.

W Creekside nie było Placu Posągów. Sto lat wcześniej była to ludzka dzielnica slumsów, a żuki przywiezione przez kheprich nie zrobiły nic, poza utrwaleniem na zawsze walących się domów w swej twardniejącej jak beton wydzielinie. Mieszkanki tej okolicy nie były artystkami, właścicielkami barów owocowych, starszymi roju czy choćby sklepikarkami. Miały złą reputację i przeważnie głodowały. Pracowały w fabrykach i kanałach, sprzedając swe usługi każdemu, kto chciał za nie płacić. Siostry z Kinken gardziły nimi za to.

W zapuszczonych uliczkach Creekside kwitły za to dziwaczne, a czasem i niebezpieczne idee. Grupki radykałów spotykały się w ukrytych salach, a wyznawcy mesjanistycznych kultów obiecywali wybrańcom zbawienie.

Wiele kheprich z pierwszej fali uchodźstwa odwróciło się od bogów czczonych w Bered Kai Nev – powodował nimi gniew wywołany biernością sił wyższych w obliczu tragedii Pochłonięcia. Jednak późniejsze pokolenia, nie znające prawdy o

katakлизmie, powróciły do wiary. Od stu lat stare warsztaty i sale taneczne zamieniały się stopniowo w obiekty kultu. Nie brakowało jednak i takich mieszkanek Creekside, które zwracały się ku obcym bóstwom.

W zaułkach tej dzielnicy można było znaleźć świątynie większości wyznań. Czczono Wielką Matkę, Artystę Śliny, Łagodną Siostrę patronującą szpitalom i Twarde Siostry broniące wiernych. Jednak w odrapanych budach nad kanałami przemysłowych ścieków i w pokojach o zaciemnionych oknach wznoszono też modły do znacznie dziwniejszych bogów. Kapłanki poświęcały się służbie Elyktrycznemu Diabłu lub Powietrznemu Żniwiarzowi. Grupy zapaleńców wspinały się na dachy domów i wyśpiewywały hymny ku chwale Skrzydlatej Siostry, modląc się o lot. Inne, samotne i zdesperowane dusze – takie jak matka Lin – oddawały hołd Owadzemu Aspektowi.

Za właściwe i pełne tłumaczenie chymiczno-audiowizualnego kompozytu określającego przywiązanie i podziw, czyli imienia owego bóstwa, na język używany w Nowym Crobuzon, uważano sekwencję słów Owadzi/Aspekt/(męski)/(zeterminowany). Nieliczni ludzie, którzy słyszeli o tej nadnaturalnej istocie, nazywali ją po prostu Owadzi Aspektem i w taki też sposób mówiła o niej Lin, kiedy w języku znaków opowiadała Isaacowi o swoim dzieciństwie.

Mając sześć lat, gdy wyrwała poczwarkę z kokonu i jej głowolarwa stała się głowoskarabeuszem, a tym samym nagle pojawiła się w niej świadomość z umiejętnością myślenia i porozumiewania się, Lin usłyszała od matki po raz pierwszy, że jest istotą upadłą. Ponura doktryna wiary w Owadzi Aspekt zakładała bowiem, że kobiety rasy khepri są przeklęte. Jakaś bliżej nieokreślona skaza charakteru pierwszej samicy sprawiła ponoć, że jej córki skazane zostały na trudne życie z nedorzecznymi, kształtowanymi, miękkimi, niestabilnymi, dwunożnymi ciałami oraz umysłami pełnymi bezużytecznych połączeń składających się na jakże uciążliwą świadomość. Kobiety, zdaniem wyznawców Aspektu, straciły owadzią czystość boga i męczyzny.

Matka Lin (która w swej dekadencjonalnej wierze wyrzekła się nawet imienia) wpoila obu swym córkom przekonanie, że Owadzi Aspekt jest panem wszelkiego stworzenia, wszechmocną siłą znającą jedynie głód, pragnienie, ruję i satysfakcję. Twierdziła, że ów bóg był łaskaw wysrać wszechświat, pożarliwszy najpierw pustkę w akcie kosmicznej kreacji – wszechświat tym czystszy i genialniejszy, że pozbawiony motywacji i świadomości. Lin i jej siostra nauczyły się czcić go z bojaźliwą gorliwością oraz gardzić własną świadomością i słabością swych miękkich, pozbawionych chityny ciał. Wpojono im też szacunek i chęć służby bezmózgim braciom.

Wspominając tamte czasy, Lin potrafiła już zapanować nad obrzydzeniem. Siedząc na parkowej ławce w Kinken, przypatrywała się przeszłości wolno rozwijającej się w jej umyśle. Ten akt stopniowego powrotu wydał jej się dowodem niemałej odwagi. Przypominała sobie między innymi tę chwilę, w której zdobyła się na refleksję, iż jej życie nie jest zwyczajne. Podczas nieczęstych ekspedycji obserwowała z trwogą, jak jej siostry-khepri traktują samców, kopiąc i miażdżąc bez litości bezmyślnie, długie na dwie stopy owady. Zapamiętała też nieśmiałe rozmowy z innymi dziećmi, które uświadamiały jej, w jaki sposób żyją sąsiedzi. Nie zapomniała i o strachu przed używaniem języka, który znała instynktownie, który miała we krwi, a którym przez matkę została nauczona gardzić.

Pamiętała również powroty do domu pełnego samców i smrodu walających się wszędzie, gnijących warzyw i owoców – organicznego śmiecia, w którym najlepiej się czuły. Matka kazała jej bez końca szorować twarde, połyskliwe pancerze braci, składać ich odchody przed domowym ołtarzykiem i pozwalać samcom na eksplorację

jej ciała w taki sposób, jaki podpowiadała im tępa ciekawość. Lin przypominała sobie także nocne dyskusje z siostrą, prowadzone za pomocą delikatnych emisji chymikaliów i stłumionych syków, które były odpowiednikami ludzkich szeptów. Owe teologiczne dysputy sprawiły, że siostra oddaliła się od niej jeszcze bardziej i tak głęboko pograżyła się w kulcie Owadziego Aspektu, że żarliwością prześcignęła nawet matkę.

Dopiero w piętnastym roku życia Lin odważyła się wystąpić otwarcie przeciwko rodzicielce. Teraz, z perspektywy czasu, oceniała swoje zachowanie jako naiwne i pełne sprzeczności. Nazwała matkę heretyczką i przeklęła ją w imieniu całego panteonu popularnych bóstw. Zaraz potem uciekła od kultu Owadziego Aspektu, który nauczył ją obrzydzenia dla samej siebie, i od wąskich uliczek Creekside. Uciekła do Kinken.

I być może dlatego, mimo późniejszego rozczarowania, a z czasem też pogardy i nienawiści, jakaś część jej umysłu zawsze traktowała Kinken jak upragniony azyl. Teraz na myśl o samozadowoleniu tej szczelnej społeczności ogarniała ją mdłość, ale w czasach ucieczki z Creekside była wprost pijana panującą w niej atmosferą. Lubowała się w pełnym arogancji potępianiu slumsów, z których przybyła, i z dziką satysfakcją modliła się do Wielkiej Matki. Wybrała sobie imię zrozumiałe dla kheprich i – co w Nowym Crobuzon miało wielkie znaczenie – jego ludzki odpowiednik. Odkryła, że w Kinken, w przeciwieństwie do Creekside, system rojów sprzyja tworzeniu złożonych i przydatnych więzi towarzyskich. Jako że matka nigdy nie wspominała jej o przynależności rodzinnej, Lin postanowiła przedstawiać się tak, jak robiła to jej pierwsza przyjaciółka w Kinken: jako członkini Roju Czerwonego Skrzydła.

Owa przyjaciółka wprowadziła ją w tajniki seksu dla przyjemności i nauczyła zmysłowej rozkoszy posługiwania się ciałem poniżej szyi. Ta przemiana była bodaj najtrudniejszą dla khepri wychowanej w kulcie Owadziego Aspektu. Prawie ludzkie ciało było dla niej zawsze źródłem wstydu i niesmaku; udział w czynnościach, których jedynym celem było czerpanie satysfakcji z własnej i cudzej fizyczności, początkowo przynosił jej jedynie mdłości, potem strach i wreszcie wolność. Aż do tej chwili jedynym erotycznym doświadczeniem był dla niej gloryfikowany przez matkę głowoseks, podczas którego musiała siedzieć nieruchomo, by któryś z samców mógł wdrapać się na jej głowę i kopulować z nią radośnie w żałości nieskutecznej parodii aktu prokreacji.

Z czasem nienawiść Lin do matki osłabła, potem zmieniła się w pogardę i wreszcie w litość. Równocześnie obrzydzeniu do nędzy Creekside zaczęło towarzyszyć w jej sercu coraz głębsze zrozumienie. I w końcu, po pięciu latach, zauroczenie Lin życiem w Kinken wygasło. Początkiem końca był dzień, w którym stojąc na Placu Posągów, stwierdziła, że rzeźby jej sióstr są nijakie i marnie wykonane, podobnie jak zamknięta w sobie kultura, która je zrodziła. Zaczęła dostrzegać celowość w powszechnie praktykowanej strategii podporządkowania Creekside i niezauważania problemów biedoty w Kinken – „wspólnota”, która początkowo tak ją fascynowała, zasługiwała w najlepszym razie na miano nieczulej, a w najgorszym na totalną krytykę za rozmyślne działanie na szkodę mieszkańców slumsów, w celu udowodnienia własnej wyższości.

Lin pojęła, że żyje w królestwie, które na dłuższą metę nie ma szans przetrwania – w królestwie kapłanek, orgii i chałupniczego przemysłu, w pełni zależnego od gospodarki Nowego Crobuzon, której ogrom khepri nazywały górnolotnie „dodatkiem do Kinken”. Świętoszkowatość, dekadencja, niestałość i snobizm tutejszej populacji zlewały się w dziwną, neurotyczną i zdecydowanie pasożytniczą mieszankę.

Wielki gniew wzbudziła w Lin świadomość, iż tak naprawdę Kinken jest społecznością znacznie mniej uczciwą niż Creekside. Myśl ta nie wywołała w niej jednak nostalgii za beznadziejnym dzieciństwem; powrót do slumsów nie wchodził w rachubę. Jeżeli miała pożegnać Kinken tak, jak kilka lat wcześniej pożegnała wyznawców Owadziego Aspektu, pozostawała jej tylko jedna droga: na zewnątrz.

Lin nauczyła się więc mowy znaków i odeszła.

Nigdy nie była na tyle naiwna, by wierzyć, że przez innych mieszkańców metropolii kiedykolwiek przestanie być postrzegana jako khepri. Jednakże dla spokoju własnego sumienia mogła przestać próbować być zwyczajną khepri, tak jak kiedyś próbowała przestać być zaszczytnym owadem. I dlatego tak bardzo zdziwiły ją uczucia, które nagle związały ją z Mamą Francine. Nie chodziło tylko o to, że Mama Francine sprzeciwia się panu Motleyowi. Lin zdała sobie sprawę, że najbardziej porusza ją fakt, iż to khepri bez trudu odbiera terytorium łowieckie złemu człowiekowi.

Nie zamierzała jednak udawać nawet przed sobą, że coś z tego rozumie. Przez długi czas siedziała w cieniu figowców albo dębów, albo grusz, w samym sercu Kinken – dzielnicy, którą gardziła od lat – otoczona siostrami, dla których była skończoną outsiderką. Nie chciała wracać do ich stylu życia, podobnie jak nie chciała wyznawać Owadziego Aspektu. I dlatego nie była w stanie pojąć, dlaczego Kinken daje jej wielką siłę.

ROZDZIAŁ 19

Wszystko wskazywało na to, że konstrukt, który przez długie lata zamiatł podłogę w laboratoriach Davida i Lublamaia, wreszcie wyzionie ducha. Pogwizdywał i kręcił się w kółko, z maniackalnym uporem polerując deski w losowo wybranych miejscach, jakby były szlachetnymi kamieniami. Zdarzały się dni, kiedy poranne rozgrzewanie mechanizmu zabierało mu bitą godzinę. Coraz częściej zamykał się w pętlach programowych, bez końca powtarzając te same, krótkie sekwencje czynności.

Isaac nauczył się ignorować cykliczne, neurotyczne jęki konstruktów. Pracował z zapalem, posługując się obiema rękami jednocześnie: lewą notował swoje przemyślenia w formie diagramów, a prawą wprowadzał równania do niedużej maszyny liczącej o sztywnych klawiszach i wciskał w szczelinę karty perforowane, na których utrwalił algorytmy działania. Rozwiązywał te same problemy za pomocą kilku różnych programów, by porównać odpowiedzi i zapisać je w postaci kolumn liczb.

Niezliczone księgi na temat teorii lotu, które zapełniały półki jego laboratorium, zostały zastąpione – z niemałą pomocą ze strony Miętafiksa – przez równie wielką liczbę tomów poświęconych teorii jednorodnego pola i arkanom matematycznej teorii kryzysu.

Już po dwóch tygodniach badań w umyśle Isaaca zaszła zadziwiająca zmiana. Rekonceptualizacja wydała mu się czymś nieskończenie prostym, do tego stopnia, że nawet nie zauważył skali dokonanego odkrycia. Miał wrażenie, że nie wydarzyło się nic szczególnego, że snuł rozważania tak, jak czynił to zawsze w toku wewnętrznego dialogu. Blask geniuszu nie spłynął na umysł Isaaca. Dana der Grimnebulina gwałtownie, jak zimne światło błyskawicy. Po prostu pewnego dnia, gdy – jak zwykle – przygryzał końcówkę ołówka, w jego głowie pojawiła się niezbyt spektakularna myśl: „Zaraz, zaraz, a gdyby zrobić to na przykład w taki sposób...”

Minęło półtorej godziny, zanim Isaac zdał sobie sprawę z faktu, iż to, co wydawało mu się jeszcze jednym w długiej serii modeli teoretycznych, okazuje się czymś znacznie ciekawszym. Rozpoczął więc systematyczne próby dowiedzenia, że

jest to droga fałszywa. Pracowicie konstruował matematyczne scenariusze, które miały wymazać raz na zawsze kolumny skomplikowanych równań. Lecz wszystkie próby spełzyły na niczym. Równania trwały niewzruszenie.

Upłynęły jeszcze dwa dni, nim Grimnebulin począł wierzyć, że udało mu się rozwiązać fundamentalny problem teorii kryzysu. Chwil euforii było niewiele, znacznie więcej zaś ostrożnej nerwowości. Isaac z wielkim mozolem i w żółwym tempie przeglądał uczone księgi, aby upewnić się, że nie popełnił jakiegoś oczywistego błędu i że nie powtórzył czyjejś dawno obalonej teorii.

Równania jednak trzymały się mocno. Starając się zapanować nad pychą, Isaac coraz bardziej gorączkowo poszukiwał przyczyn, które mogłyby obalić jego wiarę w sukces: w rozwiązanie odwiecznego problemu matematycznej prezentacji, kwantyfikacji energii kryzysowej.

Wiedział, że powinien natychmiast rozpocząć dyskusje z kolegami po fachu i czym prędzej opublikować swoje odkrycie, a raczej „wstępne wyniki trwających jeszcze badań”, na łamach „Przeglądu Fizyki Filozoficznej i Taumaturgii” lub „Jednorodnego Pola”. Skala sukcesu oszołomiła go jednak tak bardzo, że postanowił zignorować tradycyjną metodę postępowania. „Najpierw muszę być absolutnie pewny” – pomyślał. „Jeszcze kilka dni, tygodni, może miesiąc lub dwa... Potem będę publikował”. Nie powiedział o niczym Lublamaiewi i Davidowi, ani nawet Lin, co było jeszcze bardziej zdumiewającym posunięciem. Isaac był osobnikiem gadatliwym, zawsze gotowym do mówienia o wszystkim, co mu ślina na język przyniosła – o nauce, świąństwach czy plotkach towarzyskich. Trzymanie czegośkolwiek w tajemnicy zdecydowanie nie leżało w jego naturze. Znał siebie wystarczająco dobrze, żeby mieć świadomość tego faktu i rozumieć jego znaczenie: był po prostu przejęty do głębi i równie mocno podniecony odkryciem, którego dokonał.

Raz za razem wędrował myślą wstecz, analizując każdy krok procesu formułowania wniosków. Uświadomił sobie, że wszystkie postępy w badaniach, które poczynił na przestrzeni ostatniego miesiąca, podparte pięcioletnimi eksperymentami, były następstwem analizy bardzo konkretnych, praktycznych zastosowań teorii. Jego studia nad teorią kryzysu znajdowały się w impasie, póki nie pojawił się Yagharek ze swym intrygującym zleceniem. Isaac nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, ale największych postępów w formułowaniu teorii dokonywał wtedy, gdy pracował nad jej zastosowaniem w praktyce. Dlatego też postanowił nie zanurzać się zbyt w abstrakcyjnych rozważaniach – zamierzał przede wszystkim skoncentrować się nad problemem lotu Yagharka.

Nie pozwalał sobie też na rozmyślenia o konsekwencjach odkrycia, na to było jeszcze za wcześnie. Wszystko, do czego doszedł w toku rozważań i obliczeń, starał się przede wszystkim wykorzystać jako kolejny krok do przywrócenia Yagharkowi zdolności unoszenia się w przestworzach. Było to trudne – chwilami wręcz perwersyjne – zadanie; musiał nieustannie panować nad pragnieniem rozwijania tak doskonale zapowiadającej się teorii. W myślach porównywał tę sytuację do pracy z rękami złożonymi na plecach lub jeszcze trafniej – do prowadzenia badań kątem oka. A jednak, choć wydawało się to nieprawdopodobne, nawet utrzymując tak surową samodyscyplinę, Isaac dokonywał postępów teoretycznych w takim tempie, o jakim sześć miesięcy wcześniej nawet nie marzył.

„Jestem na najlepszej drodze do wszczęcia naukowej rewolucji” – myślał niekiedy i natychmiast ganił się za poświęcanie uwagi sprawom teoretycznym. „Wracaj do pracy” – napominał się surowo. „Masz wysłać tego garudę w powietrze”. Serce jednak biło mu silniej z podniecenia, a na jego twarzy raz po raz ukazywał się szeroki, niemal histeryczny uśmiech zadowolenia. Zdarzały się chwile, kiedy czuł

nieodpartą potrzebę spotkania z Lin. Odnajdywał ją wtedy – o ile, rzecz jasna, nie pracowała nad swym tajemniczym dziełem w równie tajemniczym miejscu – i kusił do powrotu do mieszkania namiętymi piesszczotami, które tak lubiła i które działały na nią nawet wtedy, gdy była wyczerpana. Przeważnie jednak spędzał dni w samotności, bez reszty pochłonięty badaniami.

Isaac nadawał swym niezwykłym pomysłom coraz bardziej konkretny wymiar; zaczął szkicować plany maszyny, która rozwiązałaby problem Yagharka. Z czasem w niewyraźnych rysunkach zaczął powracać ten sam kształt – najpierw niestannie nabazgrany, otoczony strzałkami i notowanymi pospiesznie tekstami objaśnień, a potem coraz bardziej konkretny. Wreszcie nadszedł czas na sporządzenie dokładnego rysunku tuszem. Pojawiły się na nim starannie prowadzone linie i precyzyjnie obliczone krzywe. Powstawał schemat budowy maszyny.

Yagharek odwiedzał niekiedy laboratorium Isaaca, ale tylko wtedy, gdy nie było tam nikogo więcej. Uczony przyzwyczał się już do skrzywienia drzwi w środku nocy i do widoku pełnej godności sylwetki ponurego garudy.

Przekonał się z czasem, że tłumaczenie Yagharkowi postępów w pracy pomaga mu lepiej zrozumieć własne pomysły. Oczywiście nie zagłębiał się w meandry teorii; opowiadał jedynie o praktycznym jej zastosowaniu, ledwie zahaczając o kwestie matematyczno-filozoficzne. W jego głowie kłębiły się całymi dniami tysiące idei i potencjalnych projektów, a skuteczną metodą na ich okiełznanie okazało się mówienie niespecjalistycznym językiem o sposobach dotarcia do energii kryzysowej. Uporządkowanie konceptów pozwoliło mu na ponowną ocenę wielu trajektorii myślenia – niektóre odrzucił, innym poświęcił więcej czasu.

Z czasem zaczął polegać na zainteresowaniu Yagharka. Kiedy mijalo zbyt wiele dni bez rozmowy z garudą, zaczynał tracić koncentrację. Spędzał wtedy długie godziny, wpatrując się w wielką gąsienicę.

Stworzenie pasło się dreamshitem od blisko dwóch tygodni, rosnąc bezustannie. Kiedy osiągnęło trzy stopy długości, Isaac spanikował i przestał podawać mu pokarm. Klatka była już stanowczo za mała; dalszy rozwój zwierzęcia i tak byłby niemożliwy. Gąsienica spędziła dzień lub dwa, kręcąc się po ciasnym wnętrzu więzienia i z nadzieją szukając resztek narkotyku i coraz smętniej kiwając głową. Kiedy przekonała się, że niczego nie znajdzie, popadła w apatię, jakby pogodziła się ze swoim losem. Nawet desperackie sygnały głodu, które wysyłała poprzednio całym ciałem, osłabły i zanikły.

Nie poruszała się prawie – jej pękaty korpus falował tylko nieznacznie, gdy przeciągała się, jakby ziewała. Jedynym ruchem, który nie ustawał w niej ani na chwilę, było ledwie widoczne pulsowanie. Isaac nie wiedział, czy jest to objaw oddychania, pracy serca, czy może czegoś zupełnie innego. Mimo spadku aktywności zwierzę wyglądało na zdrowe; sprawiało jednak wrażenie, jakby na coś czekało.

Czasami, kiedy jeszcze wrzucał ostatnie drobiny dreamshitu wprost w rozchylone żuwaczki gąsienicy, Isaac wspominał własne doświadczenie z narkotykiem. Czyniąc to, czuł zupełnie niezrozumiałą, lekką tęsknotę. Nie była to jednak nostalgia – Grimnebulin pamiętał dokładnie uczucie tarzania się w brudzie; wrażenie totalnego skalania; dezorientację i nudności; panikę wywołaną zagubieniem w morzu emocji, a nawet nagłą świadomość, że owa panika nie należy do niego, jest jedynie wdzierającym się do jego umysłu strachem innej istoty... A jednak mimo tak fatalnych wspomnień spoglądał na śniadanie gąsienicy okiem tyleż ciekawym, co... może nawet łakomym.

Niepokoili go takie myśli. W sprawie narkotyków zawsze przejawiał bezwstydne tchórzostwo. W studenckich czasach zdarzało mu się, rzecz jasna, palić skręty mgłozioła i chichotać przy tym z niepojętym rozbawieniem. Nigdy jednak nie miał odwagi spróbować czegoś mocniejszego. Nieokreślone pragnienie, które odczuwał na widok grudek dreamshitu, nie stłumiło w nim owych obaw. Nie miał pojęcia, jak bardzo uzależniający może być ten nowy narkotyk, i z całą mocą przeciwstawiał się słabym jak na razie impulsom ciekawości.

Dreamshit miał być karmą dla gąsienicy, i tylko dla niej.

Isaac postarał się przenieść swą ciekawość z doznań zmysłowych na bardziej intelektualne zadania. Znał osobiście tylko dwóch chymików. Obaj byli skończonymi świętoszkami i mniejsze szanse miał na namówienie ich na rozmowę o nielegalnym narkotyku niż na taniec nago na środku ruchliwej ulicy Tervisadd. Musiał więc skorzystać z pomocy innych znajomych: tych, którzy bywali w podejrzanych tawernach na Polach Salacusa. Jak się okazało, wielu z nich miało kontakt z dreamshitem, a kilku zażywało tę substancję regularnie.

Wyglądało na to, że przedstawiciele większości ras reagują na dreamshit w podobny sposób. Nikt nie wiedział, skąd pochodził, ale wszyscy wychwalali pod niebiosa jego niewiarygodne właściwości. Zgadzał się też w jeszcze jednej kwestii: był to narkotyk wyjątkowo kosztowny, a w dodatku jego cena stale rosła. To jednak wcale nie wpłynęło na zmianę ich nawyków. Artyści podkreślali quasi-mistyczny charakter swoich doświadczeń z dreamshitem. Isaac krzywił się na te słowa (oczywiście nie przyznał się do jednorazowej przygody z narkotykiem) i odpowiadał, że tajemnicza substancja nie jest niczym więcej niż silnym onejrogenem i że stymuluje ośrodki snu w taki sam sposób, w jaki herbata oddziałuje na zmysły wzroku i węchu.

Sam jednak nie wierzył w to, co mówił. Nie zdziwił się więc, kiedy jego teoria spotkała się z gwałtowną krytyką.

– Nie wiem, jak to się dzieje, Zaac – zasyczała z powagą Thighs Growing – ale dzięki dreamshitowi można dzielić się snami... – W tym momencie pozostali goście stłoczeni w ciasnej łoży Zegara i Koguta w komiczny sposób jak na komendę skinęli głowami. Isaac z satysfakcją odgrywał rolę niedowiarka, choć w gruncie rzeczy w pełni zgadzał się z opiniami znajomych. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o niezwyklej substancji – najlepiej od Lemuela Pigeona lub Lucky’ego Gazida, gdyby ten jeszcze kiedyś pojawił się na horyzoncie – lecz zbyt mocno pochłaniała go praca nad teorią kryzysu. Jego zainteresowanie narkotykiem, którym karmił gąsienicę, pozostało więc tymczasem mieszaniną ciekawości, niepokoju i ignorancji.

Pewnego dnia, pod koniec meluara, wpatrywał się z troską w apatycznego więźnia obszernej klatki. Wiedział już, że jest on czymś więcej, niż tylko wyjątkowo dużą gąsienicą. Wiedział, że ma przed sobą potwora. Nie lubił go za to, że był tak cholernie interesujący. Gdyby nie to, zapomniałby o nim już dawno.

Drzwi za plecami Isaaca otworzyły się ze zgrzytem i w promieniach słońca ukazała się postać Yagharka. Rzadko, bardzo rzadko zdarzało się, by garuda pojawiał się w pracowni przed zmierzchem. Spłoszony widokiem Isaac zerwał się na równe nogi i gestem zaprosił gościa na górę.

– Yag, przyjacielu! Dawno się nie widzieliśmy! Zaczynałem już dryfować myślą... Potrzebny mi jesteś, zagrzewasz mnie do boju. Chodź do mnie. – Yagharek bez słowa wspiął się po schodach. – Skąd wiesz, kiedy Lub i David wychodzą z laboratorium, co? – spytał Isaac. – Obserwujesz nas, cwaniaku? Do licha, Yag, musisz skończyć z tym czajeniem się w zaułkach jak jakiś bandzior.

– Chciałbym z tobą pomówić, Grimnebulin. – W głosie Yagharka słychać było niezwykle dlań wahanie.

– Wał, chłopie. – Isaac spoczął na krześle i spojrzał na niego z oczekiwaniem. Wiedział już, że garuda nie lubi siadać.

Yagharek zdjął płaszcz, odpiął drewniany szkielet imitujący skrzydła i stanął przed uczonym z rękami złożonymi na piersiach. Isaac rozumiał, że jest to przejaw bodaj największego zaufania, na jakie jego klient potrafił się zdobyć: ukazywał mu swoje zdeformowane ciało, nie ukrywał niczego. Grimnebulin pomyślał nawet, że to coś w rodzaju komplementu.

Yagharek jeszcze przez moment patrzył na niego z ukosa.

– W nocnym mieście, w którym teraz żyję, mieszkają ludzie, Grimnebulin. Istoty różnych ras, nie tylko szumowiny...

– Nigdy nie twierdziłem, że... – zaczął Isaac, lecz Yagharek uciszył go nerwowym ruchem głowy.

– Większość nocy spędzam w odosobnieniu, ale czasem wychodzę na ulice i rozmawiam z tymi, którzy mimo alkoholu, samotności i prochów wciąż jeszcze mają ostre umysły. – Isaac chciał powiedzieć: „Mówiłem ci przecież, że możemy znaleźć dla ciebie przyzwoity nocleg”, ale ugryzł się w język. Przede wszystkim chciał wiedzieć, dokąd zmierza opowieść garudy. – Jest tam pewien człowiek, bardzo wykształcony i zawsze pijany. Nie jestem pewien, czy uważa mnie za realną postać czy tylko za powracającą halucynację. – Yagharek odetchnął głęboko. – Rozmawiałem z nim o twoich teoriach, o kryzysie, i nie ukrywałem podniecenia. A on odpowiedział... a on odpowiedział: „Dlaczego nie pójdziecie na całość? Dlaczego nie użyjecie Momentu?” – Na długą chwilę zapadła absolutna cisza. Wreszcie Isaac pokręcił głową z irytacją i głębokim niesmakiem. – Przyszedłem więc, żeby zadać ci pytanie, Grimnebulin – odezwał się Yagharek. – Dlaczego nie użyjemy Momentu? Próbujesz stworzyć od podstaw nową naukę, podczas gdy energia Momentu istnieje, a techniki korzystania z niej są znane... Pytam cię jako ignorant, Grimnebulin. Dlaczego nie sięgniesz po Moment?

Isaac westchnął ciężko i potarł policzki dłońmi, na poły zirytowany, na poły zaniepokojony, gotów natychmiast przerwać tok myślenia garudy. Spojrzawszy w twarz przybysza, uniósł dłoń w ostrzegawczym geście.

– Yagharku... – zaczął, lecz w tej samej chwili rozległo się głośne stukanie do drzwi hali.

– Jest tam kto? – zawołał wesoly głos. Yagharek zeszywniał, a Isaac poderwał się z krzesła. O tej porze raczej nie spodziewał się niczyjej wizyty.

– Kto pyta? – odrzyknął, pędząc po schodach na dół.

Jakiś mężczyzna wcisnął głowę w uchylone drzwi. Wyglądał sympatycznie, niemal absurdalnie sympatycznie.

– Witam łaskawego pana. Ja w sprawie konstruktów.

Isaac potrząsnął głową. Nie miał pojęcia, o czym mówi obcy człowiek. Obejrzał się przez ramię, ale nie zobaczył już Yagharka, który przezornie odstąpił nieco od krawędzi platformy. Mężczyzna stojący w drzwiach podał Grimnebulinowi wizytówkę.

NATHANIEL ORRIABEN
NAPRAWA I WYMIANA KONSTRUKTÓW
JAKOŚĆ I TROSKA ZA ROZSĄDNĄ CENĘ.

– Wczoraj zjawił się u mnie pewien pan. Zdaje się, że nazywał się... Serachin – powiedział przybysz, zerkając na druk zlecenia. – Mówił, że jego konstrukt

sprzątający... eee... model EKB4C zaczyna wariować. Podejrzewał zawirusowanie. Miałem przyjść jutro, ale skończyłem wcześniej jedną robótkę w sąsiedztwie i pomyślałem, że zajrzę tu – a nuż kogoś zastanę. – Mężczyzna uśmiechnął się promiennie i wsadził ręce w kieszenie pomazanego smarem kombinezonu.

– Taa... – mruknął Isaac. – No cóż, to nie najlepsza pora.

– Jasne. Twoja decyzja, drogi panie, tylko że... – Mechanik urwał i rozejrzył się, jakby miał zdradzić Isaacowi wielki sekret. Upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, odezwał się znacznie cichszym głosem: – chodzi o to, że być może nie będę mógł przyjść tutaj jutro, jak umawiałem się z panem Serachinem. – Twarz mężczyzny wyrażała nieudaną parodię bezbrzeżnej rozpacz. – Gdybym jednak mógł wejść teraz, zająłbym się swoją robotą gdzieś w kącie, po cichutku. Naprawa potrwa z godzinę, jeśli zdolam ją wykonać tutaj. Jeżeli nie, zabiorę maszynę do warsztatu. Za pięć minut będę wiedział, czy awaria jest poważna. Ale jeśli nie zajmę się tym teraz, to obawiam się, że będę musiał przesunąć termin co najmniej o tydzień.

– A niech to... Zgoda... Tylko uważaj, przyjacielu: mam ważne spotkanie tam na piętrze i absolutnie nie możesz mi przeszkadzać. Mówię poważnie. Rozumiemy się?

– Ależ oczywiście. Będę używał jedynie śrubokrętu i zawołam tylko raz, kiedy już będę wiedział, na czym stoimy. Dobrze?

– Dobrze. Mogę więc zostawić cię samego, mistrzu?

– Naturalnie. – Mężczyzna szedł już w stronę uszkodzonego konstrukt, dźwigając skrzynkę z narzędziami. Wychodząc rano z laboratorium, Lublamai włączył maszynę i uruchomił program sprzątania swojej części hali, ale jego nadzieje na czystość w miejscu pracy były płonne. Konstrukt kręcił się w kółko przez dwadzieścia minut i zatrzymał się, napotkawszy na swej drodze ścianę. Pozostał w tym miejscu przez kolejne trzy godziny, co pewien czas ćwierkając żałośnie i wymachując trzema pomocniczymi kończynami.

Mechanik podszedł do niego energicznym krokiem, pomrukując i cmokając jak niezadowolony rodzic. Obmacał manipulatory konstrukt i spojrzął na zegarek kieszonkowy, badając częstotliwość delikatnych skurczów. Zanotował coś w małym notesie. Obrócił maszynę przodem do siebie i spojrzął w jedną ze szklanych tęczówek. Powoli poruszał w powietrzu ołówkiem, obserwując reakcję mechanizmu sterującego sztucznym okiem.

Isaac przyglądał się nieuważnie jego poczynaniom, bardziej zainteresowany tym, co porabiał na górze Yagharek. „I jeszcze ta sprawa z Momentem” – pomyślał niespokojnie. „To nie może czekać”.

– Wszystko w porządku? – krzyknął niecierpliwie w stronę mechanika.

Mężczyzna otwierał właśnie skrzynkę, by wyjąć z niej okazały śrubokręt. Podniósł głowę i spojrzął na Isaaca.

– W porządku, szefie – odpowiedział i zasalutował śrubokrętem. Stanąwszy przed konstruktem, sięgnął ręką do włącznika na jego karku. Niespokojne popiskiwanie zamieniło się w pełen wdzięczności szept i po chwili umilkło. Mężczyzna zabrał się do odkręcania panelu w tylnej części „głowy” – chropowatej bryły szarego metalu umocowanej na szczycie cylindrycznego korpusu maszyny.

– To świetnie – mruknął Isaac i puścił się biegiem po schodach. Yagharek stał przy jego biurku, dobrze ukryty przed spojrzeniem z dołu. Uniósł głowę, widząc zbliżającego się Grimnebulina. – To nic takiego – odezwał się cicho uczoney. – Mechanik przyszedł naprawić maszynę, której odbiła szajba. Zastanawiam się tylko, czy będzie słyszał naszą rozmowę...

Yagharek zamierzał coś powiedzieć, ale przeszkodziło mu głośne, nieco fałszywie brzmiące pogwizdywanie, które dobiegło gdzieś z parteru. Zastygł na moment w bezruchu, z idiotycznie otwartym dziobem.

– Zdaje się, że niepotrzebnie się martwiłem – rzekł Isaac i uśmiechnął się z zadowoleniem. „Robi to celowo! Chce dać mi do zrozumienia, że nie słucha, o czym tu mówimy. Uprzejmy człowiek” – pomyślał i skłonił głowę w niewidocznym podziękowaniu. Zaraz potem skierował myśli ku sprawie, z którą przyszedł do niego Yagharek, i natychmiast opuścił go dobry nastrój. Opadł ciężko na łóżko, rozczesał palcami gęste włosy i spojrzał na garudę. – Nigdy nie siadasz, Yag, prawda? – powiedział cicho. – Ciekawe, dlaczego. – Uczony umilkł, zabębnił palcami o skroń i zamyślił się. – Yag, przyjacielu... – odezwał się w końcu. – Na samym początku naszej znajomości zrobiłeś na mnie wrażenie opowiadaniem o waszej bibliotece, pamiętasz?

Za chwilę usłyszysz dwie nazwy, ciekaw jestem, czy coś dla ciebie znaczą. Wiesz może co nieco o Suroch albo Cacotopic Stain?

Na długą chwilę zapadła cisza. Yagharek spoglądał spokojnie na pejzaż za oknem.

– Cacotopic Stain znam, oczywiście. Zawsze słyszy się tę nazwę w rozmowie o Momencie. Z reguły używa się jej na postrach. – Isaac nie umiał jeszcze rozróżnić nastrojów w głosie garudy, ale miał wrażenie, że tym razem słyszy przekorę. – Ale może należałoby wreszcie pokonać lęk? A jeśli chodzi o Suroch... Czytałem waszą historię, Grimnebulin. Wojna zawsze była... trudnym czasem.

Słuchając Yagharka, Isaac wstał i podszedł do półek z książkami. Przesunął kilka pochylonych tomów, nim znalazł cienki album w twardej oprawie. Otworzył go i podał garudzie.

– To kolekcja heliotypów – rzekł ponuro. – Wykonano je prawie sto lat temu. To właśnie one w wielkim stopniu przyczyniły się do tego, że zaprzestano w Nowym Crobuzon eksperymentów z Momentem. – Yagharek przyjął album i zaczął powoli, w milczeniu, przewracać kartki. – Miała to być tajna misja badawcza, której celem było oszacowanie skutków wojny wiek po jej zakończeniu – ciągnął Isaac. – Mała grupka milicji, paru naukowców i heliotypista wybrali się szpiegowskim sterowcem w górę wybrzeża, aby wykonać zdjęcia z powietrza. Niektórzy opuścili się na dół w rejonie Suroch, żeby zrobić zbliżenia. Sacramundi, heliotypista, był tak... zszokowany, że postanowił na własny koszt powielić komplet swoich prac w nakładzie pięciuset egzemplarzy. Za darmo rozproszził je po księgarniach. Omijając burmistrza i Parlament, pokazał ludziom to, co sam widział. Burmistrz Turgisadi był siny z wściekłości, ale nie mógł nic zrobić. Zaczęły się demonstracje; teraz mówi się o nich: Rozruchy Sacramundiego w osiemdziesiątym dziewiątym. Wielu ludzi już o nich nie pamięta, ale wtedy omal nie doszło do obalenia rządu. Kilka wielkich koncernów finansujących program badania Momentu – największym był Penton's, który do dziś zarządza kopalniami Arrowhead – wycofało się z obawy przed rewoltą i projekt upadł. Oto, mój przyjacielu – dodał po chwili milczenia, wskazując na heliotypy w albumie – dlaczego nie skorzystamy z energii Momentu.

Yagharek wolno przewracał kartki, przyglądając się utrwalonym w sepii obrazom ruin.

– Patrz – powiedział Isaac, dotykając palcem panoramy zgliszcz i tłuczonego szkła. – Heliotyp ten został wykonany z bardzo małej wysokości. Nieliczne szczątki widoczne na idealnie okrągłym placu gołej ziemi wyglądały na fragmenty wyjątkowo skomplikowanej konstrukcji. Tyle zostało z samego serca miasta. To tu w tysiąc pięćset czterdziestym piątym zrzucono bombę barwnikową. Władza mówiła wtedy, że

w ten sposób położyła kres Wojnom Pirackim, ale szczerze mówiąc, Yag, owe wojny skończyły się ponad rok wcześniej, kiedy Nowe Crobuzon zbombardowało Suroch, używając Momentu. Bomby barwnikowe zrzucone dwanaście miesięcy później miały jedynie zatrzeć ślad po tym, co się stało... Tak się jednak złożyło, że jedna z nich wpadła do morza, a dwie nie wybuchły, ta zaś, która zadziałała jak należy, oczyściła tylko milę kwadratową w samym centrum miasta. Te fragmenty, które tu widzisz... – Isaac wskazał palcem pierścień szczątków okalający okrągłą równinę -...to początek obszaru, w którym zachowały się ruiny. Od tego miejsca zaczyna się obszar zaatakowany Momentem. – Grimnebulin gestem nakazał Yagharkowi przewrócić kartkę. Garuda wykonał polecenie i nagle coś zaskrzeczało w jego krtani. Uczony uznał, że to odpowiednik gwałtownego westchnienia. Spojrzał przelotnie na heliotyp i niespiesznie skierował wzrok ku twarzy Yagharka. – Te przedmioty na drugim planie, podobne do stopionych posągów, to niegdyś były domy, wiesz? – powiedział obojętnym tonem. – To, na co tak patrzysz, jest zdaniem ekspertów potomkiem kozy domowej. Podobno w Suroch trzymano kozy w charakterze zwierząt domowych. Może to drugie, dziesiąte, a może dwudzieste pokolenie po użyciu Momentu. Nie wiemy, jak długo żyją te... istoty. – Yagharek długo wpatrywał się w martwą postać uwiecznioną na heliotypie. – W objaśnieniu Sacramundi napisał, że musieli ją zastrzelić – kontynuował spokojnie Isaac. – Uśmierciła dwóch funkcjonariuszy milicji. Później próbowali zrobić jej sekcję, ale te rogi, które widzisz na brzuchu, nie były martwe, choć reszta ciała bez wątpienia już nie żyła. Walczyły, omal nie zabiły biologa. Widzisz ten pancerz? Spójrz, jakie dziwne sploty tkanki. – Yagharek wolno skinął głową. – Przewróć kartkę, Yag – powiedział uczony. – Jeśli chodzi o to stworzenie, to nikt nie ma bladego pojęcia, co to mogło być. Możliwe, że powstało spontanicznie po eksplozji Momentu. Moim zdaniem te mechanizmy, które tu widzisz, wzięło sobie z lokomotyw – dodał, stukając palcami w stronicę. – Tak... Najlepsze przed nami. Nie widziałeś jeszcze drzewa-karalucha i stad czegoś, co kiedyś mogło być ludźmi.

Yagharek postępował metodycznie. Odwracał kolejne strony, bacznie przyglądając się zdjęciom wykonanym z za węgła lub z powietrza. Jego oczom ukazywał się stopniowo kalejdoskop mutacji i aktów przemocy, okrutnych wojen prowadzonych przez niepojęte monstra na niczyjej ziemi, pokrytej żużlem i szczątkami architektury rodem z koszmarnego snu.

– Milicjantów było dwudziestu. Oprócz nich polecili trzej naukowcy, Sacramundi i paru inżynierów, którzy w ogóle nie schodzili na ziemię. Siedmiu funkcjonariuszom, Sacramundiemu i jednej chymiczce udało się odlecieć z Suroch. Niektórzy z ocalałych dostali się pod wpływ Momentu.

Zanim powrócili do Nowego Crobuzon, jeden z milicjantów zmarł. Drugiemu wyrosły macki w miejscu oczu. Ciało badaczki zniknęło pomału każdej nocy. Nie było krwi, nie było bólu... po prostu gładko obręzione dziury w brzuchu, ramieniu i gdzie popadło. Wybrała śmierć.

Isaac pamiętał, że po raz pierwszy słyszał tę historię opowiadaną przez pewnego profesora historii jako barwną anegdotę. Zainteresował się nią wtedy, zaczął wertować stare notatki i artykuły z gazet. Historia odeszła w zapomnienie, stała się środkiem emocjonalnego szantażu wobec dzieci: „Bądź grzeczny, bo jak nie, to wyślę cię do Suroch, gdzie mieszkają potwory!” Minęło półtora roku, nim Grimnebulin zdobył kopię raportu Sacramundiego i kolejne trzy, zanim zdołał zapłacić za nią żadaną cenę.

Wydawało mu się, że potrafi odczytać niektóre myśli, które pojawić się musiały gdzieś pod nieruchomą skórą Yagharka. Każdy nieortodoksyjnie myślący student na pewnym etapie rozwoju miewał podobne idee.

– Yag – powiedział miękko. – Nie użyjemy Momentu. Pewnie myślisz sobie: „Przecież używamy młotków, chociaż niektórzy ludzie giną od uderzenia”. Mam rację? Co? „Rzeki od czasu do czasu wylewają, zabijając tysiące ludzi, ale mogą też napędzać turbiny”. Zgadłem? Zaufaj mi... Mówię ci to jako ktoś, kto dawno temu uważał, że Moment to fascynująca rzecz... Ale to nie jest narzędzie. Nie młotek i nie woda. To... To złowroga siła. Nie mówimy tu o energii kryzysowej, rozumiesz? Wybij to sobie z głowy. Energia kryzysowa to podstawa całej prawdziwej fizyki. A Moment w ogóle nie należy do fizyki. Nikt nie wie, czym on właściwie jest. Wiadomo tylko, że jest stuprocentowo patologiczną siłą. Nie wiem, skąd się wziął, dlaczego się pojawia i gdzie znika. Żadne zasady nie mają tu zastosowania. Nie można tak po prostu uruchomić tej energii – no, można próbować, ale skutki widziałeś przed chwilą. Nie można z nią igrzać, nie można jej ufać, nie można jej zrozumieć, a najpewniejsze jest to, że nie ma najmniejszych szans na to, żeby ją kontrolować. – Isaac z irytacją pokręcił głową. – Jasne, że prowadzono eksperymenty w tym kierunku. Niektórym wydaje się, że opracowali metodę ochrony przed negatywnymi skutkami, a potęgowania pozytywnych – i może jest w tym odrobina prawdy. Ale nigdy jeszcze nie przeprowadzono eksperymentu z Momentem, który nie zakończyłby się... płaczem, mówiąc łagodnie. Moim zdaniem w związku z tą siłą powinno się prowadzić badania tylko w jednym kierunku: jak jej uniknąć. Trzeba ją jakoś powstrzymać albo spieprzać jak Libintos ze smokowcami na ogonie. Pięćset lat temu, kiedy otworzyła się rozpadlina Cacotopic Stain, pojawiła się w miarę łagodna burza Momentu, zbliżająca się w te strony z północnego wschodu, od strony morza. Przez krótki czas szalała nad Nowym Crobuzon. – Isaac umilkł i pokiwał głową. – Oczywiście nie był to kataklizm na miarę Suroch, ale wystarczył, by masowo rodziły się zdeformowane dzieci, nie mówiąc już o zdumiewających zmianach w krajobrazie. Wszystkie „skażone” budynki kazano rozebrać – moim zdaniem całkiem słusznie. To wtedy podjęto decyzję o zbudowaniu wieży chmur. Nikt już nie chciał być skazanym na łaskę lub niełaskę aury. Niestety, dziś maszyny w wieży już nie działają i będziemy mieli przesrane, jeśli w okolicy znowu pojawią się przypadkiem prądy Momentu. Na szczęście z upływem wieków takie rzeczy zdarzają się coraz rzadziej. Szczyt aktywności minął około roku tysiąc dwusetnego.

Isaac zaczynał gestykulować z ożywieniem, coraz bardziej zapalając się do nowego zadania: tłumaczenia Yagharkowi prawdy i odwodzenia go od nedorzecznych pomysłów.

– Wiesz, Yag, kiedy ludzie zdali sobie sprawę, że coś się święci na południowych stepach – a nie trzeba było wiele czasu, by zorientowali się, że powstał tam gigantyczny uskoc naładowany Momentem – wiele się mówiło o tym, w jaki sposób można przywołać tak wielką potęgę. Minęło pół milenium, a dyskusje nadal trwają! Ktoś ochrzcił to miejsce Cacotopic Stain i ta nazwa jakoś się przyjęła. Pamiętam, jak mówiono mi w college’u, że to strasznie populistyczne określenie, bo Cacotopos to „Złe Miejsce”, czyli nazwa nacechowana moralnie, a przecież Moment to ani dobra, ani zła siła i tak dalej. Chodzi o to, że... Oczywiście, jest to prawda, na pewnym poziomie rozważań. Moment nie jest zły... jest bezrozumny, pozbawiony motywu działania. Takie jest moje zdanie, choć wielu myśli inaczej. Jednakże mimo całej prawdziwości tego stwierdzenia, dla mnie zachodnia część Ragamoll rzeczywiście jest Cacotopos. To potężny pas ładu, który znajduje się całkowicie poza naszą kontrolą. Nie ma takich sztuczek taumatycznych, nie ma odpowiednich

technik, które pozwoliłyby nam zrobić cokolwiek z tym miejscem. Możemy jedynie trzymać się z daleka i mieć nadzieję, że to kurewstwo samo kiedyś zniknie. To zakazany kraj, w którym roi się od calowców – ci wprawdzie żyją i w innych strefach, ale w obrębie działania Momentu są najwyraźniej wyjątkowo szczęśliwi – i innego draństwa, którego nawet nie chce mi się opisywać. Tak więc mamy tam siłę, która jest jawną kpina z naszego świadomego, rozumnego bytu. I według mnie to właśnie jest coś naprawdę „złego”. Cholera, zrobiłbym z tego nawet definicję „zła”. Bo widzisz, Yag, mówię to z wielkim bólem, gdyż jestem pieprzonym racjonalistą, ale... Moment jest niepoznawalny. – Grimnebulin poczuł wielką ulgę, gdy zauważył, że Yagharek zaczyna kiwać głową. Uczony powtórzył ten gest z wielkim zapamiętaniem. – Jak widzisz, motywację mam jakby egoistyczną – mruknął z wisielczym humorem. – Nie chciałbym zaczynać eksperymentów, które mogą się skończyć... sam nie wiem czym, ale na pewno gruntowną zmianą tego, co znamy. To zbyt ryzykowna gra, Yag. Już lepiej trzymajmy się teorii kryzysu... A skoro już o niej mowa, to chciałbym ci coś pokazać.

Isaac ostrożnie wyjął raport Sacramundiego z rąk Yagharka i odłożył na półkę. Otworzył szufladę biurka, wyciągnął najnowszy schemat narysowany tuszem.

Położył go przed garudą, po czym z wahaniem cofnął się o krok.

– Yag, bracie – odezwał się cicho. – Naprawdę muszę wiedzieć... czy ta sprawa jest już za nami? Czy jesteś zadowolony? Bo jeżeli zamierzasz posłużyć się Momentem, to, na Jabbera, powiedz mi o tym, a wtedy... Pożegnaj cię, złożę kondolencje.

Przez chwilę spoglądał z obawą na nieprzeniknioną twarz Yagharka.

– Słyszałem, co mówiłeś, Grimnebulin – rzekł w końcu garuda. – I... szanuję cię. – Isaac uśmiechnął się smutno. – Akceptuję to, co powiedziałeś – dodał Yagharek.

Uradowany Grimnebulin chciał mu podziękować, ale garuda patrzył już w okno, nieruchomy i melancholijny. Jego dziób był otwarty przez długą chwilę, nim wydostał się z niego pierwszy dźwięk. – My wiemy o Momencie. My, garudowie – powiedział Yagharek i urwał na chwilę.

– Pojawił się też w Cymek. Nazywamy go rebekh-lajhnar-h'k. – Ostatnie słowa wypowiedział chrapliwym głosem, przypominającym krzyk agresywnego ptaka, po czym spojrzał w oczy Isaaca. – Rebekh-sackmai to Śmierć: „siła, która kończy”. Rebekh-kavt to Narodziny: „siła, która zaczyna”. Tak nazywały się Pierwsze Bliźnięta, zrodzone z łona świata... Prócz nich pojawiła się jednak... choroba... guz – Yagharek urwał, delektując się właściwym słowem, które udało mu się znaleźć. – ...Guz, który rósł razem z nimi w brzuchu świata. Rebekh-lajhnar-h'k wyrwał się z łona zaraz za bliźniętami, może równocześnie, a może nieco wcześniej. Stał się ich... – garuda umilkł, tym razem dłużej szukając właściwego przekładu -...ich bratem-nowotworem. Jego imię oznacza „siłę, której nie można ufać”.

Yagharek nie próbował opowiadać tej historii tonem natchnionego szamana, mówił raczej tak jak obiektywny kscentropolog. Po chwili otworzył dziób, zamknął go z trzaskiem i znowu uchylił.

– Jestem wyrzutkiem, renegatem – rzekł spokojnie. – Nic więc dziwnego, być może, że... odwracam się od tradycji mojego ludu. Jednak powinienem nauczyć się ich na nowo. Lajhni może oznaczać „ufać” albo „kontrolować”. I tak właśnie jest: Momentowi nie można ufać i nie można go kontrolować. Jest nieuchwytny. Wiem o tym, odkąd po raz pierwszy usłyszałem tę opowieść, ale w moim położeniu... Niecierpliwie się, Grimnebulin. Być może zbyt szybko zwracam się ku sprawom, o których dawniej nawet bym nie pomyślał. Ale ty przypomniałeś mi o tym, co zawsze

wiedziałem. Zupełnie tak, jakbyś był starszym mojego stada. – Yagharek znowu umilkł. – Dziękuję ci.

Isaac wolno skinął głową.

– Nie ma za co. Nie masz pojęcia, jak mi ulżyło, Yag. Nie masz pojęcia. A teraz... nie mówmy już o tym. – Uczony odchrząknął i postukał palcem w diagram. – Pokażę ci teraz coś naprawdę fascynującego, przyjacielu.

W smudze zakurzonego światła pod platformą Isaaca mechanik z firmy Orriabena grzebał śrubokrętem i długą kolbą lutownicy we wnętrznościach uszkodzonego konstruktów sprząającego. Pogwizdywał przy tym, bo gwizdanie nie wymagało odeń ani odrobiny myślenia.

Prowadzona na górze rozmowa docierała do jego uszu jako basowy pomruk, przerywany od czasu do czasu dziwnym skrzeczeniem. Słyszając ów zaskakujący dźwięk, mechanik spojrzął raz odruchowo ku górze, ale zaraz potem zajął się swoją robotą.

Szybkie badanie urządzenia, a ściślej jego wewnętrznej maszyny analitycznej, potwierdziło wstępną diagnozę. Poza problemami, które zawsze pojawiały się u przestarzałych konstruktów – pękających stawów, rdzy i zużytych szczotek – pojawił się jeszcze jeden, znacznie groźniejszy: wirus. Być może niewłaściwie wsunięta karta danych lub przesunięte koło zębate gdzieś w głębi przekładni tworzących parowy, inteligentny umysł sprawiły, że instrukcje programu zapęłniły się. Czynności, które konstrukt powinien wykonywać odruchowo, stały się dla niego problemem, wymagającym dodatkowych poleceń. Próbuąc interpretować sprzeczne lub zbyt obszerne dane, maszyna była po prostu sparaliżowana.

Mężczyzna spojrzął w górę, na podłogę z desek wysoko ponad jego głową. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Poczuł, że z podniecenia serce bije mu szybszym rytmem. Wirusy wywoływały najróżniejsze objawy. Niektóre zwyczajnie wyłączały maszyny, w których się gnieździły. Inne kazały mechanizmom wykonywać dziwaczne, bezcelowe zadania, wprowadzając do oprogramowania poprawki zmieniające sposób interpretacji danych. Jeszcze inne, których ten był przepięknym przykładem, paraliżowały konstruktów poprzez zmuszanie ich parowych mózgow do ciągłej analizy oprogramowania behawioralnego. Krótko mówiąc, nękała je autorefleksja, ziarno świadomości.

Mechanik sięgnął do skrzynki narzędziowej i wydobył z niej plik kart perforowanych. Wygwizdując melodię pewnej modlitwy, przeglądał je wprawnie. Jego palce pracowały ze zdumiewającą prędkością, kiedy dotykał zaworów i pokręteł w rdzeniu maszyny. Wreszcie pociągnął dźwignię, która otwierała ochronną klapę broniącą dostępu do szczeliny programatora. Sprawdził, czy ciśnienie w sprężarce napędzającej czytnik jest wystarczająco wysokie – od sprawności tego urządzenia zależało to, czy programy zostaną wprowadzone do pamięci urządzenia i dotrą do procesora. Szybko wsunął w szczelinę pierwszą kartę, a zaraz potem następną. Czuł, jak sprężynujące zęby czytnika obracają się, szukając otworów w perforowanym kartonie i tłumacząc ich układ na zrozumiały dla siebie ciąg danych. Po każdej karcie robił krótką przerwę, by mieć pewność, że informacje zostaną właściwie zinterpretowane.

Z wprawą szulera przetasował odczytane już karty. Przyłożywszy opuszki palców lewej dłoni do ścianki maszyny analitycznej wbudowanej w korpus konstruktów, starał się wyczuć jej najdrobniejsze wibracje. Czekał na fałszywy ruch, trzask ułamanego zęba w czytniku lub chrobot nie naoliwionych części – każdy z tych sygnałów mógł oznaczać błąd w transferze danych, a więc i zablokowanie programu.

Nic się jednak nie wydarzyło. Mężczyzna nie potrafił odmówić sobie triumfalnego gwizdu. Wirus, który opanował konstrukt, był wynikiem niewłaściwej pracy programu, a nie awarii mechanicznej. To oznaczało, że instrukcje z kart, które automat przed chwilą odczytał, zostały poprawnie załadowane do jego skomplikowanego, parowego mózgu.

Kiedy skończył wkładanie perforowanych kartoników w ściśle określonym porządku, wklepał sekwencję cyfr z małej klawiatury umocowanej do obudowy maszyny analitycznej.

Następnie zamknął klapę chroniącą wewnątrz konstrukt i wkręcił śruby w jego nieruchome jeszcze ciało. Skończywszy, oparł na moment zmęczone dłonie o metalowy korpus i wreszcie dźwignął go do pionu. Upewnił się, czy maszyna jest stabilna, i szybko pozbierał narzędzia.

Po chwili stał już na środku hali.

– Przepraszam pana! – krzyknął.

Przez moment panowała cisza, a potem rozległ się grzmiący głos Isaaca. – Tak?

– Skończyłem. Problemów z maszyną raczej już nie będzie. Proszę tylko powiedzieć panu Serachinowi, żeby napełnił jej zbiornik i może ją włączyć. Doprawdy uroczy model, ten EKBS...

– Tak, tak, na pewno – padła odpowiedź. Isaac stał już przy balustradzie. – Czy jeszcze o czymś powinienem wiedzieć? – spytał niecierpliwie.

– Nie, łaskawy panie, to już wszystko. W ciągu tygodnia przyślemy panu Serachinowi rachunek. Tak więc... do zobaczenia.

– Żegnam. I bardzo dziękuję.

– Nie ma za co, proszę pana – zaczął mężczyzna, ale Isaac zdążył już odwrócić się i zniknąć w głębi platformy.

Mechanik ruszył w stronę drzwi. Uchyliwszy je, odwrócił głowę i wyłowił wzrokiem sylwetkę maszyny stojącej w cieniu drewnianego podwyższenia. Jego spojrzenie zbłądziło na moment ku górze. Upewniwszy się, że nie jest obserwowany, uczynił rękami w powietrzu znak podobny do zachodzących na siebie okręgów.

– Niech się stanie wirus – wyszeptał, nim wyszedł na ulicę skąpaną w ciepłym blasku południa.

ROZDZIAŁ 20

– Na co właściwie patrzę? – spytał Yagharek. Trzymając w dłoniach diagram, przechylił głowę w uderzająco ptasim odruchu.

Isaac zabrał mu arkusz papieru i odwrócił właściwą stroną ku górze.

– To, mój bracie, jest przewodnik kryzysowy – odparł uroczyście.

– A przynajmniej schemat prototypu. Cholerny triumf kryzysowej fizyko-filozofii stosowanej.

– Ale do czego służy? Jak działa?

– No cóż... Interesujący cię przedmiot wkładasz tu – zaczął Isaac, wskazując na bazgroły symbolizujące szklany dzwon. – Następnie... No, część naukowa jest bardzo zawiła, ale w dużym uproszczeniu chodzi o to, że...

– Uczony zabębnił palcami o blat biurka. – W tym kotle utrzymuje się bardzo wysoka temperatura, a ciśnienie pary napędza maszyny, które widzisz tutaj. W tej na przykład znajdują się czujniki wykrywające rozmaite rodzaje pól energii – ciepła, elektryczności, potencjału, emisji taumatycznych – i prezentujące ich obecność w postaci matematycznej. Jeżeli nie mylę się co do pola jednorodnego, a nie mylę się na pewno, to wszystkie te formy energii są manifestacjami energii kryzysowej.

Zadaniem tej oto maszyny analitycznej jest więc obliczenie parametrów istniejącego pola energii kryzysowej, wzbudzonego obecnością innych pól – wyjaśnił Isaac i podrapał się w głowę. – To piekielnie skomplikowana matematyka kryzysu, przyjacielu. I właśnie te obliczenia będą najtrudniejszą częścią eksperymentu. Zamysł jest taki, żeby program informował nas mniej więcej tak: „Mamy tu tyle i tyle energii potencjalnej, tyle taumaturgicznej, tyle jeszcze innej, a to oznacza, że związana z nimi sytuacja kryzysowa musi być taka a taka”. Żeby tłumaczyć to, co... eee... zwyczajne, na formę kryzysową. Potem – i to, jak sądzę, będzie niemal równie skomplikowane – pożądany efekt działania energii kryzysowej również należy przetłumaczyć na język matematyki. Uzyskane w ten sposób równanie wprowadzi się do tej oto maszyny liczącej. Następnie użyjemy tego urządzenia, które tu widzisz, napędzanego po trosze silnikiem parowym, po trosze metodą chemiczną i po trosze taumaturgiczną. To kluczowy element systemu: konwerter, który uruchomi energię kryzysową i przekaże ją dalej w surowej postaci. Wtedy będzie można skierować ją na obiekt poddawany eksperymentowi. – Isaac mówił z coraz większą swadą, jak zawsze, kiedy zagłębiał się w szczegóły swego projektu. Nie umiał nad tym zapanować: choć na krótki czas fascynacja gigantycznym potencjałem, który mogły wyzwolić jego badania i ogromną skalą poznawanych dopiero zjawisk, brała górę nad jednostkowym problemem Yagharka. – Chodzi o to, że być może uda się zmienić formę danego obiektu w taki sposób, żeby uruchomienie jego energii kryzysowej powodowało spotęgowanie samego stanu kryzysu. Innymi słowy, pole kryzysowe będzie przybierać na sile tylko dlatego, że zostało naruszone. – Isaac wyszczerzył zęby w niekłamanym zachwycie nad prostotą tej koncepcji. – Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? To pieprzone perpetuum mobile! Jeżeli uda się ustabilizować ten proces, otrzymamy nie kończącą się pętlę działania, a to oznacza wieczne źródło energii! – Grimnebulin uspokoił się nieco, widząc opanowanie i zmarszczone brwi Yagharka. Uśmiechnął się ponownie, gdy pomyślał o uporze garudy i jego zleceniu, które pozwoliło mu tak bardzo przyspieszyć badania. – Nie martw się, Yag. Dostaniesz to, na czym tak ci zależy. Jeżeli chodzi o twój przypadek, to moja maszyna – jeżeli będzie funkcjonować – powinna zmienić cię w chodzące, a właściwie latające dynamo. Im więcej będziesz latał, tym więcej pojawi się w tobie energii kryzysowej i tym więcej będziesz mógł latać. Zmęczone skrzydła to problem, o którym już możesz zapomnieć.

Zapadło niezręczne milczenie. Isaac z ulgą zauważył, że Yagharek nie zwrócił uwagi na niefortunne, podwójne znaczenie ostatniego zdania. Garuda milczał, z pożądaniem w oczach gładząc kartkę z rysunkiem. Mruczał coś w ojczystym języku cichym, monotonnym głosem.

Wreszcie podniósł wzrok.

– Kiedy ją zbudujesz, Grimnebulin? – spytał.

– Na początek muszę sporządzić w pełni sprawny model, dopracować stronę matematyczną i parę innych spraw... Pewnie minie tydzień, zanim to zrobię. Ale to jeszcze bardzo wczesna faza, Yag. Pamiętaj o tym: bardzo wczesna faza.

Yagharek gorliwie pokiwał głową.

– Jesteś pewien, że nie chcesz pomieszkać u mnie? Nadal zamierzasz włączyć się po mieście jak upiór i nachodzić mnie, kiedy najmniej się tego spodziewam? – spytał ironicznie Isaac.

Yagharek ponownie skinął głową.

– Proszę, daj mi znać, gdy tylko poczynisz postępy, Grimnebulin – powiedział. Isaac roześmiał się, wyczuwając natarczywość z pozoru uprzejmej prośby.

– Jasne, przyjacielu. Daję ci słowo, że tak będzie. Gdy tylko zrobię postępy, będziesz o tym wiedział.

Yagharek obrócił się sztywno i ruszył w stronę schodów. Kiedy odwracał się, by powiedzieć „do zobaczenia”, spostrzegł coś kątem oka. Przez minutę stał nieruchomo, a potem poszedł w najdalszy kąt wschodniej części platformy. Zatrzymał się, wskazując palcem na klatkę z kolosalną larwą.

– Grimnebulin – odezwał się cicho. – Co robi twoja gąsienica?

– Tak, wiem, wiem. Rośnie jak cholera, co? – odrzekł Isaac, podchodząc bliżej.
– Fantastyczne bydlę, prawda?

Yagharek nadal wskazywał na klatkę, nie przestając spoglądać pytająco na uczonego.

– Tak – odezwał się wreszcie. – Ale co ona robi?

Isaac zmarszczył brwi i pochylił się nad drewnianym pudłem. Kilka dni wcześniej przesunął je w ciemny kąt, żeby nie stało pod oknem, w pełnym słońcu, toteż we wnętrzu panował półmrok. Zmrużył oczy i wytrzymał wzrok.

Potężna larwa nie leżała już w głębi klatki. Jakimś cudem zdołała wpełznąć na ściankę z surowych desek, a znalazłszy się na górze, zawisała pod sufitem na paśmie wydzieliny z gruczołu w tylnej części ciała. Dyndała teraz swobodnie, tłusta, ciężka i pomarszczona, podobna do pończochy napelnionej błotem.

Isaac syknął cicho i przygryzł końcówkę języka.

Gąsienica wyprężyła grube odnóża, podwijając je pod brzuch. Na oczach Isaaca i Yagharka zgięła się wpół jak scyzoryk i zaczęła robić coś, co wyglądało jak całowanie własnego tyłka. Po chwili rozluźniła się, wyprostowała i znowu zawisała swobodnie, by minutę później powtórzyć całą operację.

Isaac skinął dłonią w stronę ciemnego wnętrza klatki.

– Widziałeś? Smaruje się czymś cała.

Tam, gdzie otwór gębowy gąsienicy dotknął ciała, pozostały nieskończenie cienkie plamki połyskliwej substancji. Śluz ciągnął się za cofającą się głową zwierzęcia i po chwili kolejna kropla przylegała już w innym miejscu. Włoski na dolnej części ciała były gładko przyczesane i sprawiały wrażenie mokrych. Wielka larwa powoli i metodycznie smarowała całe ciało – od dołu do góry – przezroczystym jedwabiem w płynie.

Isaac wyprostował się powoli i spojrzał w oczy Yagharka.

– No tak – mruknął. – Lepiej późno niż wcale. Wreszcie robi to, po co ją kupiłem. Przeobraża się.

Chwilę później Yagharek w zamyśleniu skinął głową.

– Wkrótce będzie mogła latać – powiedział cicho.

– Niekoniecznie, bracie. Nie wszystko, co się przepoczwarza, musi mieć skrzydła.

– Nie wiesz jeszcze, co to będzie?

– I to właśnie, Yag, jest jedyny powód, dla którego jeszcze tu trzymam to bydlę. Cholerna ciekawość, jakoś nie potrafię się jej oprzeć – wyjaśnił z uśmiechem Grimnebulin.

Prawda jednak była taka, że obserwował ze sporym niepokojem przemianę, na którą tak długo czekał. Ciało gąsienicy w coraz szybszym tempie pokrywało się warstewką krzepnącego śluzu. Jaskrawe, soczyste kolory szarzały pod delikatną mgiełką już przy pierwszym zetknięciu z lepłą substancją, a wkrótce potem zniknęły bez śladu.

Zainteresowanie Yagharka poczynaniami larwy nie trwało długo. Garuda założył na plecy drewnianą ramę maskującą kalectwo i zakrył ją obszernym, coraz bardziej zniszczonym płaszczem.

– Pójdę już, Grimnebulin – oświadczył.

Isaac oderwał wzrok od gąsienicy, której zachowanie obserwował z niezdrową fascynacją.

– Jasne. W porządku, Yag. Zaraz zabieram się do pracy nad... no... nad maszyną. Wiem już, że nie powinienem pytać, kiedy się znowu zobaczymy. Wpadniesz, gdy uznasz to za stosowne – powiedział, kręcąc głową z dezaprobatą.

Yagharek był już na dole. Odwrócił się tylko raz, by zaszalutować Isaacowi, po czym zniknął za drzwiami.

Uczony machnął ręką na pożegnanie. Pogrążony w myślach, stał z uniesionym ramieniem przez długą chwilę, zanim zdał sobie sprawę, że Yagharek wyszedł. Wtedy zamknął dłoń z cichym kłapnięciem i powrócił do klatki z gąsienicą.

Okrywa z mokrych niteczek śluzu szybko wysychała. Tylna część ciała zwierzęcia była już sztywna i nieruchoma. Fakt ten utrudniał larwie zadanie, zmuszając ją do coraz bardziej akrobatycznych sztuczek. Isaac obserwował jej wysiłki z zainteresowaniem – przyciągnął bliżej krzesło i zaczął robić notatki.

Jakaś cząstka umysłu podpowiadała mu, że pozwala sobie na intelektualną rozpustę i że powinien wziąć się w garść, bo czekają go znacznie pilniejsze zajęcia. Była to jednak cząstka bardzo mała, a jej podszepty jakoś nie brzmiały przekonująco, jakby dyktowane były pod przymusem. Zresztą w takiej chwili żadna siła nie zdołałaby powstrzymać uczonego przed oddaniem się pasywnej obserwacji fenomenalnego zjawiska. Isaac usiadł więc wygodniej na krześle i sięgnął po lupę.

Minęło niewiele ponad dwie godziny, nim gąsienica zdołała okryć całe ciało wilgotnym płaszczem. Najbardziej skomplikowanym manewrem było pokrycie śluzem samej głowy. Larwa zaczęła pluć śluzem dookoła, tworząc coś w rodzaju kołnierza. Odczekała moment, by substancja podeszła, a potem opuściła się nieco niżej w swym lśniącym mieszkaniu. Na moment stała się krótsza i grubsza, a wykorzystała tę chwilę na uplecenie pokrywy, którą zamknęła nad sobą. Zaraz potem rozciągnęła się nieco, napierając na zamknięcie, by sprawdzić jego wytrzymałość. Wtedy wydzieliła jeszcze odrobinę śluzu i jej głowa znikła na dobre w szczelnie zamkniętym kokonie.

Przez kilka minut organiczny całun trząsł się, rozciągał i kurczył pod wpływem ruchów zamkniętej w nim istoty. Jego biała powierzchnia ściemniała nieco, ale nie straciła połysku – przypominała teraz macicę perłową. Przez chwilę kokon kołysał się jeszcze, poruszany mikroprądami powietrznymi, ale był już na tyle twardy, że ruchy larwy nie były zauważalne.

Isaac wyprostował się i dokończył notatkę. „Yagharek prawie na pewno ma rację, jeśli chodzi o skrzydła tego stworzenia” – pomyślał. Kołyszący się łagodnie, organiczny worek byłby książkowym wręcz przykładem przeobrażenia motyla lub ćmy, gdyby nie jego zdumiewające rozmiary.

Tymczasem za oknami magazynu słoneczne światło zgęstniało nieco, a cienie wydłużyły się.

Kokon zwiisał nieruchomo od ponad pół godziny, kiedy drzwi budynku otworzyły się z trzaskiem. Przerażony Isaac w mgnieniu oka stanął na baczność.

– Jest tam kto? – krzyknął od progu David. Isaac wychylił się ponad poręczą, by go powitać.

– Był tu jakiś gość, naprawił ten wasz konstrukt. Mówił, że wystarczy napełnić mu zbiornik i włączyć. Podobno będzie działać.

– I bardzo dobrze. Mdli mnie na widok tych śmieci. Możemy się zająć i twoimi. Trzeba, prawda? – spytał David, uśmiechając się złośliwie.

– Ależ skąd – odparł swobodnie Grimnebulin, strącając przez szpary w podłodze kłębki kurzu i okruchy. David roześmiał się i zniknął pod platformą. Po chwili Isaac usłyszał głucho, metaliczne łupnięcie, którym jego kolega czule powitał swoją maszynę. – Mam ci też przekazać, że twój konstrukt to „uroczy model” – dodał niezmiernie oficjalnym tonem. Tym razem roześmieli się obaj. Isaac zszedł do połowy schodów i przysiadł na stopniu. Ujrzał Davida, który wrzucał właśnie skondensowane bryłki koksu do małego piecyka w kadłubie maszyny – doskonałego, wydajnego piecyka o potrójnym obiegu. Serachin z hukiem zamknął drzwiczki i przesunął bolec blokady. Na koniec sięgnął ręką ku głowie konstruktowi i pociągnął małą dźwigenkę uruchamiającą mechanizm.

Rozległ się cichy syk i gwizd pary wypełniającej cienkie rurki. Maszyna analityczna będąca mózgiem konstruktowi powoli budziła się do życia. Automatyczny czyściciel podłóg drgnął spazmatycznie i oparł się o ścianę.

– Za chwilę powinien być rozgrzany – stwierdził z satysfakcją David, wciskając rękę do kieszeni. – Co tam dziś porabiałeś, Zaac?

– Chodź na górę, coś ci pokażę – odparł tajemniczo Isaac.

Kiedy David ujrzał zawieszony pod sufitem klatki kokon, oparł rękę na biodrach i zarechotał.

– Na Jabbera! – zawołał. – Ależ to wielkie! Nie wiem jak ty, ale ja będę wiał, gdzie mnie oczy poniosą, kiedy zaczniesz się wykluwać...

– Między innymi dlatego pokazuję ci to, co widzisz. Chciałbym, żebyś miał to maleństwo na oku. Pomożesz mi zatrzymać je w klatce, kiedy już wylezie z kokonu.

Mężczyźni wymienili uśmiechy.

Gdzieś w dole rozległa się seria stuknięć, jakby woda z wysiłkiem przeciskała się przez zapowietrzoną instalację. Tłoki zasyczały z cicha. Isaac i David spojrzeli po sobie skonsternowani.

– Zdaje się, że nasz konstrukt sprzątający szykuje się do akcji – orzekł Serachin.

W krótkich, mosiężnych i miedzianych rurkach, które były mózgiem maszyny, pojawiły się nowe dane i instrukcje. Przekazywane przez tłoki, śruby i niezliczone zawory drobiny informacji składające się na prymitywną inteligencję kłębiły się w ciasnej przestrzeni.

Nieskończenie małe impulsy energii pobudzały do życia mikroskopijne, precyzyjnie wykonane młoteczki parowe. W centralnej części mózgu maszyny znajdowało się pudełko zawierające nie kończące się rzędy maleńkich przełączników, które zmieniały pozycję w ogromnym – i stale rosnącym – tempie. Każde poruszenie się dźwigni w mózgu oznaczało sygnał dla parowego mechanizmu, a nieustający ciąg impulsów tworzył skomplikowaną kombinację rozkazów dla żelaznego ciała konstruktowi.

Maszyna drgnęła. W głębi jej mózgu zaczęły krążyć dane zawierające wirus, zrodzony z minimalnego błędu któregoś z trybików, tłoków czy zębów. Para wodna przeciskała się przez matrycę mechanicznego umysłu pod coraz większym ciśnieniem, powtarzając bezsensowne sekwencje rozkazów stworzone przez wirus i mieląc je w autystycznej pętli. Te same zawory otwierały się i zamykały bez celu; te same przełączniki zmieniały pozycję w nie zmodyfikowanym porządku.

Tym razem jednak wirus był starannie wypielęgnowany. Wykarmiony. Programy, które mechanik załadował do maszyny analitycznej konstruktowi, wysyłały do żelaznej głowy ciągi niecodziennych poleceń. Zawory i przełączniki poruszały się w takim tempie, że wyglądało to na zupełnie przypadkowe ruchy, a jednak była w tym

rytmicznym stukocie logika numerycznego kodu, w którym mały, niegrzeczny wirus ewoluował i mutował.

Zaszyfrowane informacje buzowały w ciasnych, miedzianych neuronach, nasiąkając samopowtarzalną głupotą wirusa i wypłukując zeń strzępy rozkazów. Wirus rozkwitał. Epidemia nonsensu, którą przyniósł ze sobą, rozprzestrzeniła się szybko, jakby pchała ją siła odśrodkowa, skierowana ku najdalszym nawet zakątkom mechanicznego procesora.

Konstrukt stał w kącie, trzęsąc się i terkocząc z cicha.

Tymczasem w mało znaczącym rejonie wielozaworowego umysłu tkwił wciąż stary wirus, oryginalna kombinacja fałszywych danych i nic nie znaczących odniesień, które tak skutecznie przeszkadzały maszynie w pełnieniu jej życiowej misji: w zamiataniu podłóg. Wirus był ten sam, ale nie taki sam. Uległ przemianie – nie był już destruktywny; stał się środkiem do celu, generatorem, siłą napędową.

W niedługim czasie centralna jednostka obliczeniowa konstruktowi poświstywała już i klekotała zaworami z maksymalną prędkością. Pomysłowe mechanizmy zajęły się realizacją nowego programu, który opanował już wszystkie analogowe obwody. Te części parowego umysłu, które zazwyczaj odpowiadały za ruch, przechowanie danych i podtrzymanie aktywności, zyskały dwukrotnie większą pojemność, teraz bowiem musiały pomieścić w sobie binarny kod o podwójnym znaczeniu. Przepływ obcych danych został skierowany ku innym rejonom mózgu, ale nie spowolniony. Zaskakujące rozwiązania nowego programu pozwoliły na zwiększenie wydajności i mocy obliczeniowej bez najmniejszej ingerencji w fizyczną strukturę zaworów i przekazywników.

David i Isaac stali wciąż na platformie górnego laboratorium, krzywiąc się i uśmiechając na przemian, zasłuchani w dziwaczne dźwięki wydawane przez bezradną, starą maszynę.

Przepływ danych ciągle trwał – najpierw między kartami perforowanymi mechaniką a czytnikiem i pomrukującą z cicha skrzynką pamięci, a teraz między poszczególnymi częściami procesora, gdzie elementarne impulsy przyjmowały postać skomplikowanych instrukcji. Potop informacji, wyrażonych kombinacjami poleceń tak/nie, włącz/wyłącz, był tak wielki, że z ogromnej ich ilości i złożoności poczęło wyłaniać się coś na kształt myśli.

I wreszcie ilość przeszła w jakość: coś zmieniło się na trwałe w mechanicznym umyśle konstruktowi.

W jednej chwili sprzątający automat Davida i Lublamaia był tylko liczącą maszyną, próbującą beznamyślnie trawić natłok informacji. W następnej, w owej powodzi danych rozległ się metaliczny zgrzyt i pierwsza grupa zaworów poczęła działać niezgodnie z tym, co przewidywał numerycznie zapisany program. Maszyna analityczna samowolnie wygenerowała nową pętlę poleceń. Procesor zyskał świadomość i obwieścił ten fakt głośnym sykiem sprężonej pary.

W jednej chwili konstrukt był tylko liczącą maszyną.

W następnej już myślał.

Odkrywszy swą dziwną świadomość, konstrukt zaczął zastanawiać się nad sobą.

Nie czuł zaskoczenia. Ani radości. Ani gniewu. Ani egzystencjalnego lęku.

Tylko ciekawość.

Ukryte pakiety danych, które czekały na odpowiednią chwilę, by zaistnieć, właśnie teraz, nagle, w nowym trybie prowadzenia obliczeń, stały się dla maszyny istotne. To, co było niezrozumiałe dla konstruktowi sprzątającego, zniemacka zyskało sens. Nowe dane były poradą. Obietnicą. Zaproszeniem. Były też ostrzeżeniem.

Konstrukt stał nieruchomo przez długi czas, pomrukując strumieniami sprężonej pary.

Isaac wychylił się daleko za balustradę, która zatrzeszczała złowieszczo. Mężczyzna pochylał się coraz mocniej, aż wreszcie zawisł głową w dół i zobaczył maszynę, ukrytą pod jego i Davida nogami. Przez moment przyglądał się spod zmarszczonych brwi niepokojącym drgawkom automatu.

I wreszcie, kiedy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, konstrukt odepchnął się od ściany i stanął w gotowości do pracy. Wysunął tubę ssącą i zaczął – z początku z wahaniem, a potem coraz śmielej – odkurzać podłogę. Isaac obserwował z uśmiechem, jak maszyna unosi przed sobą wirującą szczotkę na wysięgniku i zaczyna szorować deski. Oczekiwał, że lada chwila niezwykła aktywność konstruktów skończy się jak zawsze, ale, ku jego zdziwieniu, tempo pracy zaczęło jeszcze wzrastać, podobnie jak pewność ruchów maszyny. Uśmiech na jego twarzy z każdą chwilą był coraz szerszy: stary automat po raz pierwszy od wielu tygodni wywiązywał się ze swoich obowiązków tak jak powinien.

– To jest to! – zawołał przez ramię w stronę Davida. – Znowu pracuje jak dawniej!

ROZDZIAŁ 21

W wielkim, sztywnym kokonie rozpoczął się niezwykle proces.

Ukryte w nim ciało gąsienicy zaczęło się rozpadać. Odnóża, oczy, włoski i segmenty korpusu przestały tworzyć całość – z wolna zamieniały się w płyn.

Kleista masa czerpała energię do transformacji ze zgromadzonego wcześniej zapasu dreamshitu. Samoorganizowała się. Niespójna forma falowała i marszczyła się, raz po raz przelewając się jak oleista plama poza ramy tego świata i z powrotem. Mieszała się nieustannie; była jak błoto pramaterii, z której zrodziło się życie.

Była niestabilna. Była żywa, choć w toku przemian zawisała na pewien czas gdzieś między życiem a śmiercią, lecz zawsze pozostawała nasycona mocą.

A potem znowu była żywa. Tyle że w inny sposób.

Spirale biochymicznego szlamu zaczęły przyjmować nowe kształty. Włókna nerwowe, które rozplotły się i rozpuściły, nagle znowu zaczęły łączyć się w cząstki tkanki zdolnej do przenoszenia sygnałów. Z każdą chwilą powstawało coraz więcej nowych, niepojętych konstelacji materii.

Powstająca dopiero istota wyprężyła się w paroksyzmie niesprecyzowanego bólu i po raz pierwszy poczuła słaby jeszcze, ale szybko narastający głód.

Proces ten przebiegał dyskretnie; dla obserwatora z zewnątrz nie działo się absolutnie nic. Gwałtowne niszczenie i odrodzenie ukrytej w kokonie istoty było metafizycznym dramatem odgrywanym bez udziału publiczności. Prymitywna, instynktowna skromność kazała larwie zaciągnąć wokół siebie cienką kurtynę połyskliwego jedwabiu.

Po powolnym, chaotycznym rozpadzie formy w perłowym kokonie nastąpiła krótka chwila bezruchu. Potem zaś, w odpowiedzi na niemożliwy do zidentyfikowania bodziec, ciało zaczęło budować się na nowo, coraz szybciej i szybciej.

Isaac spędził wiele godzin na obserwowaniu kokonu, ale mógł tylko wyobrazić sobie trudny proces autokreacji, który dokonywał się we wnętrzu. To, co widział, było martwym przedmiotem, osobliwym owocem wiszącym na wątej nici pod sklepieniem ciemnej klatki. Niepewność nie dawała mu spokoju – zastanawiał się usilnie nad tym, czy z ukrycia wyłoni się lada chwila gigantyczny motyl czy może coś zupełnie innego. Na zewnątrz kokon nie zmieniał się ani o jotę. Raz czy dwa drgnął minimalnie, zakółsał się i znieruchomiał po kilku sekundach. Nic więcej.

Isaac poświęcał mu cały wolny czas – to jest ten, którego nie spędzał, pracując nad maszyną, dziełem swego życia. Sterty miedzianych i szklanych elementów zgromadzone na laboratoryjnej platformie z wolna przyjmowały kształt skomplikowanego urządzenia. Całe dni upływały teraz uczonemu na lutowaniu i dobijaniu metalowych części młotkiem, montowaniu tłoków parowych i wstawianiu mechanizmów taumatycznych do stale rozrastającej się konstrukcji. Wieczory spędzał w pubach, dyskutując z Gedrecsechetem, Bibliotekarzem Palgolaka, Davidem i Lublamaiem bądź też z dawnymi kolegami z uniwersytetu. Wypowiadał się rozważnie, starał się nie wyjawiać zbyt wiele, ale wkładał w dyskusje o matematyce, energii, kryzysie i inżynierii wiele pasji.

W zasadzie nie opuszczał Brock Marsh. Ostrzegł przyjaciół i znajomych z Pól Salacusa, że przez dłuższy czas nie będzie miał z nimi kontaktu, choć w zasadzie nie musiał tego robić – jego stosunki z bohemą i tak miały luźny, nie zobowiązujący charakter. Jediną osobą, za którą naprawdę tęsknił, była Lin. Praca zajmowała jej jednak co najmniej tyle samo czasu, ile jemu, a kiedy konstruowanie maszyny nabrało tempa, coraz trudniej było im znaleźć chwile dla siebie.

Isaac zaczął więc wieczorami pisać listy do swojej kobiety. Pytał w nich o postępy w tworzeniu wielkiego dzieła i zapewniał o tym, że nie przestaje tęsknić. Każdego ranka naklejał na kopertę znaczek i wrzucał przesyłkę do skrzynki przy końcu ulicy.

Odpisywała mu, a on wykorzystywał jej listy jako doping do jeszcze wydajniejszej pracy: pozwalał sobie otwierać je dopiero wtedy, gdy zakończył robotę zaplanowaną na dany dzień. Wtedy siadał przy otwartym oknie, rzucając długi cień na wody Egzemy i widoczne w oddali sylwetki domów, popijał herbatę lub czekoladę i czytał. Zaskoczyło go to, jak wiele sentymentalnego ciepła odczuwał w takich chwilach. Owszem, była w nich odrobina tandetnej cikliwości, ale także, a może przede wszystkim, wielki ładunek uczucia, prawdziwej więzi i żalu, że Lin nie może być przy nim.

*

W ciągu tygodnia Grimnebulin zdołał zbudować prototyp maszyny kryzysowej – hałaśliwy i ciekący gąszcz rurek i przewodów, które nie służyły absolutnie niczemu poza produkowaniem żużlu i smrodu. Rozebrał to więc i gruntownie przeprojektował. Nieco ponad trzy tygodnie później kolejny konglomerat brudnych elementów mechanicznych stanął pod oknem – tym samym, przez które uciekły swego czasu skrzydlate eksponaty z kolekcji Isaaca. Była to konstrukcja otwarta, luźne zgrupowania silników, dynam i przetworników rozrzucone na podłodze i połączone ze sobą w prowizoryczny sposób.

Grimnebulin chciał zaczekać na Yagharka, ale nie wiedział, w jaki sposób odszukać garudę, który postanowił wieść żywot włóczęgi. Miał wrażenie, że jego klient próbuje w ten pokretny sposób zachować resztki godności. Żyjąc na ulicy, nie był niczym dłużnikiem. Pielgrzymka przez cały kontynent, którą odbył tak niedawno, nie mogła zakończyć się spoczynkiem na laurach, utratą kontroli nad własnym losem. Yagharek był w Nowym Crobuzon outsiderem, ale nie zamierzał polegać na nikim i nie chciał być wdzięczny komukolwiek.

Isaac wyobrażał sobie czasem, jak garuda wędruje z miejsca na miejsce, śpiąc na gołej podłodze w opustoszałych gmachach albo kuli się gdzieś na dachu, przy kominie, szukając odrobiny ciepła. Jego wizyta w laboratorium równie dobrze mogła być kwestią godziny, jak i paru tygodni. Grimnebulin jednak czekał tylko pół dnia, zanim postanowił dokonać pierwszego eksperymentu bez udziału swojego klienta.

W szklanym dzwonie, w którym zbiegała się większość przewodów i rur, Isaac umieścił kawałek sera. Kęs leżał tam i sechł pomału, podczas gdy uczony z zapalem uderzał w klawisze podręcznego kalkulatora – próbował nadać wartości matematyczne wektorom sił. Często przerywał obliczenia, by uzupełnić notatki.

Gdzieś z dołu dobiegało ciche sapanie Szczerości, borsuczycy Lublamaia, cmokanie jej pana i pomruk pracującego niestrudzenie konstruktora. Grimnebulin potrafił jednak całkowicie zignorować wszelkie odgłosy, wyłączyć się i skoncentrować uwagę jedynie na liczbach.

Mimo to czuł się nieco niezręcznie i nie bardzo podobało mu się to, że prowadzi eksperymenty w obecności Lublamaia, jako że wciąż starał się zachowywać swoje badania w tajemnicy. „Może gust mi się zmienia na starość i zaczynam lubić teatralne zagrania?” – pomyślał i uśmiechnął się krzywo. Kiedy uporał się z równaniami najlepiej jak potrafił, zaczął na siłę wynajdować sobie zajęcia, czekając, aż Lublamai opuści laboratorium. Wreszcie wyjrzał za balustradę i spojrzał na biurko kolegi, który kreślił właśnie wykresy na papierze w kratkę i wcale nie wyglądało na to, żeby się dokądkolwiek wybierał. Isaac miał już dość czekania.

Ruszył przed siebie przez płataninę metalu i szkła zalegającą na sporej części platformy i przykucnął ostrożnie przy końcówce służącej wprowadzaniu danych do maszyny kryzysowej stojącej po lewej. Obwody i rury obiegające całą halę meandrowały po deskach i zbiegały się przy szklanym dzwonie z kawałkiem sera, stojącym po prawej.

Isaac chwycił jedną ręką giętką, metalową rurkę, której początek zamocowany był do kotła przy przeciwległej ścianie. Był zdenerwowany, ale i podniecony. Najciszej jak umiał, przyłączył końcówkę rurki do zaworu wejściowego maszyny kryzysowej. Odkręcił kurek i natychmiast poczuł, że para wodna zaczyna wypełniać silnik. Maszyna syczała, mruczała i klekotała, a Isaac przyklęknął przy końcówce do wprowadzania danych i wpisał na klawiaturze przygotowane wcześniej formuły matematyczne. W szczelinę w obudowie wsunął szybko cztery karty perforowane. Zębate koła poruszyły się, a z podłogi podniósł się obłok kurzu, gdy korpus urządzenia zaczął wibrować.

Grimnebulin mruknął coś pod nosem, nie spuszczając z oka szklanego dzwonu.

Wydawało mu się, że wyczuwa w powietrzu przepływ mocy i danych, docierających do wszystkich części rozwleczonej po całym laboratorium maszyny. Czuł się prawie tak, jakby to w jego żyłach zaczynała krążyć sprężona para, zmieniająca serce w potężny tłok. Pstryknął trzema dużymi przełącznikami i obwód zaczął się rozgrzewać.

Rozległo się basowe buczenie. Przez kilka ciągnących się nieprzyzwoicie sekund nic się nie działo. A potem żółty ser leżący w brudnym dzwonie ze szkła zaczął drżeć.

Isaac patrzył na to jak urzeczony i chciało mu się krzyknąć z radości. Przekręcił gałkę sterownika o sto osiemdziesiąt stopni i kawałek sera poruszył się energiczniej.

„No, to teraz sprowadźmy na niego kryzys” – pomyślał Grimnebulin i przesunął dźwignię zamykającą obwód: przezroczysty pojemnik znalazł się w zasięgu sensorów.

Szklany dzwon został przez niego zmodyfikowany: w miejscu zamkniętego wierzchołka znajdował się otwór, przez który wystawał masywny tłok. Isaac sięgnął po niego i zaczął naciskać, wolno opuszczając szorstką, metalową końcówkę w stronę kawałka sera. Ser znalazł się w niebezpieczeństwie. Gdyby tłok poruszał się nadal w tym samym kierunku, zmiażdżyłby badaną próbkę.

Isaac dociskał metalową tubę prawą ręką, lewą zaś kręcił gałkami urządzenia, próbując dostroić je do wskazań szalejących zegarów. Obserwując miotające się dziko wskazówki, z wyczuciem zwiększył natężenie prądów taumatycznych.

– No, dalej, mały sukinsynu – szepnął. – Uważaj. Jeszcze nic nie czujesz? Zbliża się kryzys...

Tłok opuszczał się sadystycznie coraz niżej i niżej. Ciśnienie w rurach osiągnęło niebezpiecznie wysoki poziom. Sfrustrowany Isaac westchnął głęboko. Zwolnił tempo opadania tłoka, ale groźba wciąż wisiała nad niewinnym kawałkiem sera. Nawet gdyby maszyna kryzysowa nie zadziałała i ser nie zareagowałby w przewidziany programem sposób, Isaac zamierzał go zmiażdżyć. Istotą kryzysu była potencjalność zagrożenia. Gdyby więc nie miał szczerego zamiaru zgniecenia sera, nie byłoby kryzysu. Pola ontologicznego nie można oszukać.

I nagle, gdy świst pary i tłoków stał się nieznośny, a cień tłoka na dnie szklanego dzwonu wyrazisty, ser eksplodował. Rozległo się donośne młaśnięcie i szczątki rozprysły się na wszystkie strony, pokrywając ścianki dzwonu deszczem okruchów i oleistych kropel.

Lublamai wrzasnął coś, zaniepokojony hałasem, ale Isaac nawet go nie słuchał. Siedział z otwartymi ustami, wpatrując się jak głupiec w resztki sera. Po chwili roześmiał się z niedowierzaniem i radością zarazem.

– Isaac! Co ty, kurwa, kombinujesz?! – wściekał się Lublamai.

– Nic, nic! Przepraszam za te odgłosy... To tylko mój eksperyment. Zresztą całkiem udany. – Isaac uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Szybko wyłączył maszynę kryzysową i uniósł dzwon. Przebiegł palcami po rozsmarowanej po całym wnętrzu, tłustej masie. „Niewiarygodne!” – pomyślał.

Zgodnie z założeniami programu, ser miał unieść się w powietrze, cal lub dwa nad podłogą. Z tego punktu widzenia eksperyment zakończył się porażką. Isaac był jednak prawie pewien, że nie wydarzy się absolutnie nic! Z całą pewnością popełnił błąd w obliczeniach, a co za tym idzie – wykonał niewłaściwe karty perforowane. Od początku jednak wiedział, że uzyskanie dokładnie takiego wyniku, o jakim marzył, będzie nadzwyczaj trudne. Sam proces uruchamiania energii kryzysowej był jeszcze bardzo prymitywny, toteż błędy, obnażające przede wszystkim niedoskonałość sprzętu, były nieuniknione. Poza tym droga do stworzenia zamkniętej pętli energetycznej, do swoistego perpetuum mobile, na którym tak zależało Isaacowi, była jeszcze bardzo daleka.

Ale... udało mu się sięgnąć do zasobów energii kryzysowej!

Czegoś takiego nie dokonano jeszcze nigdy. Dopiero teraz Isaac naprawdę uwierzył, że jego pomysły nie są od początku do końca mrzonkami. Od tej pory

czekała go jedynie praca nad udoskonalaniem systemu. Oczywiście było to zadanie nastrożające ogromną ilość problemów, ale były to problemy znacznie mniejszego kalibru niż dotychczasowe. Podstawowa zagadka, największa niewiadoma teorii kryzysu, została rozwiązana.

Isaac pozbiierał notatki i przejrzał je z nabożną czcią. Nie mógł jeszcze uwierzyć w to, co przed chwilą widział na własne oczy. „Następnym razem” – pomyślał – „użyję niedużego wododzieła vodyanoich. Czegoś, co trzyma się kupy jedynie dzięki energii kryzysowej. Eksperyment będzie znacznie ciekawszy; może nawet zaczną myśleć o tej całej pętli” – zastanawiał się gorączkowo. Wreszcie plasnął dłonią w czoło i z uśmiechem pokręcił głową.

„Wychodzę” – pomyślał nagle. „Pójdę... i upiję się. Znajdę Lin. Należy mi się wolny wieczór. Właśnie rozwiązałem jeden z najpoważniejszych problemów w jednym z najbardziej kontrowersyjnych paradygmatów nauki. Zasłużyłem na drinka...” Isaac uśmiechnął się w duchu, ale zaraz spoważniał. Zdał sobie sprawę, że właśnie postanowił powiedzieć Lin o maszynie kryzysowej. „Dłużej nie mogę myśleć o tym projekcie w samotności” – stwierdził zdecydowanie.

Sprawił w kieszeniach, czy nie zapomniał o kluczach i portfelu, po czym przeciągnął się i szedł na parter. Słyszając kroki, Lublamai odwrócił się w jego stronę.

– Wychodzę, Lub – rzucił Grimnebulin.

– Koniec na dziś? Dopiero trzecia.

– Powiedzmy, że ostatnim razem popracowałem dłużej – odparł z uśmiechem Isaac. – Dzisiaj robię pół etatu. Gdyby ktoś pytał, będę jutro.

– Dobra – odrzekł Lublamai i machnął ręką na pożegnanie, wracając do pracy. – Baw się dobrze.

Isaac mruknął „do zobaczenia” i wyszedł.

Zatrzymał się na środku ulicy Wioślarzy i odetchnął głęboko, zachwycając się świeżym powietrzem. Na ulicy nie było tłoku, ale też nie nazwałby jej opustoszałą. Zasalutował paru sąsiadom, a potem odwrócił się i ruszył w kierunku Petty Coil. Dzień był naprawdę piękny, toteż drogę ku Polom Salacusa postanowił pokonać piechotą.

*

Ciepłe powietrze sączyło się przez drzwi, okna i szpary w ścianach starego magazynu. Lublamai przerwał raz pracę, żeby zrzucić z siebie część ubrania. Szczerość bawiła się ochoczo ze zdobycznym chrząszczem. Konstruktor niedawno zakończył sprzątanie i teraz stał w kącie, tykając z cicha. Jeden z jego obiektywów zdawał się śledzić każdy ruch Lublamaia.

Wkrótce po wyjściu Isaaca Lublamai wstał i wychylił się przez okno obok swego biurka, by przyczepić czerwony szalik do gwoździa wbitego między cegły. Czekał na Miętafiksa, sporządził listę zakupów i spokojnie wrócił do pracy.

O piątej słońce wciąż jeszcze stało w miarę wysoko, ale widać było, że zaczyna już drogę ku horyzontowi. Jego blask płowiął coraz szybciej.

W głębi pękatego kokonu przeobrażająca się forma życia także wyczuwała schyłek dnia. Drgnęła lekko, naprężając niemal gotowe ciało, w którym rozpoczęła się już ostatnia seria reakcji chemicznych.

O pół do siódmej natarczywe stukanie w okno przerwało Lublamaiowi pracę. Miętafix spoglądał na niego zza szyby, drapiąc się po głowie chwytną stopą. Gdy tylko okno się otworzyło, wyrmen zaczął, jak zwykle, wykrzykiwać z zapalem słowa powitania.

– Lublub, szefuniu! Tak se właśnie krążyłem, patrzę, a tu czerwony szalik...

– Dobry wieczór, Miętafixie – przerwał mu Lublamai. – Może jednak wejdiesz?

Mężczyzna odstąpił od okna, wpuszczając wyrmena. Rudobrunatna skóra latającej istoty lśniła efektownie w promieniach zachodzącego słońca. Miętafix uśmiechał się do Lublamaia całą swą wyjątkowo paskudną gębą.

– Co planujemy, szefie? – wykrzyknął i nim uczoney zdążył odpowiedzieć, zainteresował się borsuczyką, która mierzyła go nieufnym spojrzeniem. Rozłożył nagle skrzydła, wywalił język i zrobił możliwie najgłupszą minę. Szczerość popatrzyła na niego pogardliwie i oddaliła się z godnością.

Miętafix zarechotał hałaśliwie i beknął.

Lublamai uśmiechnął się pobłaźliwie i zanim wyrmen zdążył znaleźć sobie nowy obiekt zainteresowania, pociągnął go w stronę biurka, na którym leżała lista zakupów. Chcąc, by Miętafix choć na chwilę skupił się na czekającym go zadaniu, dał mu tabliczkę czekolady.

*

Kiedy sprzeczali się o to, jak duży ciężar jest w stanie dźwignąć w powietrze zdrowy wyrmen, na platformie nad ich głowami coś się poruszyło.

Na piętrze, w kącie laboratorium Isaaca, we wnętrzu coraz szybciej tonącej w mroku klatki kokon zaczął się huśtać, lecz tym razem nie była to sprawka wiatru. To drganie ciasno upakowanej, organicznej masy wprowadziło go w szybki, hipnotyczny ruch. Kokon obrócił się, znieruchomiał i podskoczył nieznacznie. Rozległ się nieskończenie cichy dźwięk rozdierania, którego Lublamai i Miętafix nie mieli prawa usłyszeć.

Wilgotny, ozdobny, czarny pazur rozdzielił włókna kokonu. Przesunął się z wolna ku górze, rozcinając sztywny materiał z taką łatwością, z jaką ostry nóż zabójcy pruje ciało ofiary. Zupełnie obce, niepojęte zmysły zaczęły badać otoczenie przez długą, poszarpaną szczelinę. Potężna, dezorientująca fala wrażeń obiegła całą halę – Szczerość zawyla cicho, a Lublamai i Miętafix spojrzeli po sobie niespokojnie.

Wieloelementowe ręce wychynęły z ciemności kokonu i chwyciły rozcięte brzegi. Mięśnie naprężyły się bezszelestnie i tymczasowe schronienie pękło na dwoje. Drżące ciało, mokre i śliskie jak noworodek, wysunęło się z kokonu i upadło na dno klatki z najcichszym z możliwych odgłosów.

Przez moment kuliło się na drewnianej podłodze, słabe i oszołomione, w tej samej pozycji, w której tak długo pozostawało w ukryciu. Wreszcie powoli i niepewnie zaczęło się prostować, rozkoszując się niespodziewanym nadmiarem wolności. Napotkawszy drucianą siatkę przedniej ściany klatki, rozdarło ją bez wysiłku i wpadło w otwartą przestrzeń laboratorium.

Pomału odkrywało siebie. Uczyło się swoich kształtów.

Zaczynało zdawać sobie sprawę ze swoich potrzeb.

Lublamai i Miętafix spojrzeli w górę, słysząc zgrzyt rozrywanego drutu. Wydawało się, że źródło dźwięku, który wypełnił całą halę, znajduje się gdzieś nad nimi. Popatrzyli na siebie nawzajem pytająco i znowu zadarli głowy.

– Co to, szefuniu? – spytał niepewnie wyrmen.

Lublamai odsunął się od biurka. Spojrzał na balkon będący królestwem Isaaca i obracając się z wolna, omiół wzrokiem całe laboratorium. Niepokojący odgłos nie powtórzył się. Lublamai stał nieruchomo, marszcząc czoło i wpatrując się intensywnie w drzwi wejściowe. „Może dźwięk dotarł tu z zewnątrz?” – pomyślał.

W lustrze wiszącym obok drzwi dostrzegł jakiś ruch.

Ciemna postać podniosła się z podłogi i stanęła u szczytu schodów.

Lublamai chciał coś powiedzieć, ale z jego krtani wyrwał się tylko nieartykułowany odgłos niedowierzania, strachu i oszołomienia. Mężczyzna zmartwiało, wpatrując się intensywnie w obraz, który pojawił się na tafli zwierciadła.

Istota rozwijała się tak, jak rozwija się kwitnący kwiat. Prostowała kończyny jak człowiek zmuszony przez zbyt długi czas do leżenia w pozycji embrionu, tyle że czyniła to ze znacznie bardziej zdumiewającym skutkiem. Wydawało się, że każdy z jej członków może zginać się tysiącrotnie. Rozpościerała się jak zgnieciona w dłoni kartka papieru, prostując się z wolna i otwierając bez końca nogi, macki, ogony. Wreszcie skulona dotąd jak pies istota zaprezentowała się w całej okazałości – rozmiarami dorównywała niemal dorosłemu człowiekowi.

Miętafix zaskrzeczał niezrozumiale. Lublamai otworzył usta jeszcze szerzej, próbując wykonać jakikolwiek ruch. Widział już nie całą postać, tylko ciemną, połyskującą skórę i zaciskające się rytmicznie szczupłe, dziecięce dłonie. Zimne cienie. Oczy, które nie były oczami. Organiczne fałdy, zgrubienia i wyrostki pulsowały spazmatycznie jak ogony świeżo zabitych szczurów. I te długie jak palce odłamki odbarwionej kości, błyskające bielą, rozsuwające się i ociekające śliną, odłamki, które były zębami...

Kiedy Miętafix próbował minąć Lublamaia, a ten ze wszystkich sił starał się krzyczeć – nie odrywając oczu od postaci w lustrze i bezradnie szurając stopami po posadzce – istota stojąca u szczytu schodów rozpostarła skrzydła.

Cztery szeleszczące wachlarze ciemnej materii wystrzeliły z jej grzbietu na boki i ku górze. Istota rozprostowała je do końca i poruszyła nimi lekko. Ich rozpiętość była niewiarygodnie duża; mięsiste połacie pokryte organicznymi wzorami przywodziły na myśl rozpościerającą się flagę lub nagle otwartą pięść. Kolosalne skrzydła obciążone sztywną skórą, rozłożone wokół chudej postaci obcej istoty, wydawały się otaczać sobą wnętrze hali. Miały nieregularny, jakby chaotyczny kształt, ale prawa część była idealnie wierną kopią lewej, niczym plama atramentu odbita na dwóch połówkach złożonej kartki.

Na wielkich połaciach skrzydeł widniały ciemne plamy, które zdawały się migotać w oczach zapatrzonego w nie Lublamaia i jęczącego, siłującego się z drzwiami Miętafiksa. Ich barwy kojarzyły się z nocą i śmiercią: była tam granatowa czerń, ciemny brąz i głęboka czerwień. Barwne plamy istotnie migotały, przypominając amebę pod szkłem powiększającym albo plamę oleju na wodzie. Zmiany te dokonywały się symultanicznie; prawy i lewy komplety skrzydeł błyskały zgodnym, hipnotycznym rytmem, z coraz większą częstotliwością.

Lublamai zmrużył oczy. Myśl, że obca istota znajduje się za jego plecami, nie dawała mu spokoju, czuł na plecach wręcz fizyczne swędzenie. Wreszcie odwrócił się gwałtownie, żeby stanąć twarzą w twarz z przybyszem, na własne oczy zobaczyć mieniające się plamy na jego skrzydłach, to oszałamiające przedstawienie...

...I już nie myślał o tym, że powinien krzyczeć. Chciał tylko wpatrywać się w barwne znamiona, wirujące i zmieniające kształt w perfekcyjnej symetrii, na tle skrzydeł podobnych do chmur na nocnym niebie i płynącej pod nimi wody.

Miętafix zawył jeszcze głośniej. Odwrócił się, żeby spojrzeć na istotę, która z rozpostartymi skrzydłami schodziła po drewnianych stopniach. Znieruchomiał z otwartymi ustami, urzeczony ruchem kolorowych plam.

Moc ciemnych, wirujących wzorów była zniewalająca.

Lublamai i Miętafix stali nieruchomi i milczący, podnieceni, oszołomieni i drżący, zapatrzeni w fantastyczne skrzydła.

Istota smakowała powietrze.

Popatrzyła przelotnie na Miętafiksa i otworzyła paszczę, ale zdobycz wydała jej się zbyt skromna. Rozejrzała się więc i stanęła przed Lublamaiem, ani na chwilę nie zwijając hipnotyzujących skrzydeł. Zajęczała bezgłośnie z głodu, na co nieprzytomna ze strachu Szczerzość odpowiedziała potępieńczym wyciem i wcisnęła się jeszcze głębiej w cień nieruchomego konstrukt, w którego soczewkach odbijały się dziwaczne cienie. Powietrze pachniało Lublamaiem. Istota zaczęła ślinić się intensywniej, a jej skrzydła zatrzepotały. Zapach człowieka stawał się coraz silniejszy, aż wreszcie z pyska poczwary wysunął się monstrualnych rozmiarów język. Chuda ręka bez wysiłku odsunęła Miętafiksa.

Lublamai zniknął w głodnych objęciach skrzydlatej istoty.

ROZDZIAŁ 22

Słońce krwawiło na powierzchni licznych kanałów i dwóch rzek łączących się w sercu Nowego Crobuzon. Kiedy woda znikła pod warstwą migocącej czerwieni, w całym mieście tysiące istot kończyły pracę. Rzesze zmęczonych hutników, urzędników, piekarzy i węglarzy opuszczały fabryki i biura, zmierzając ku stacjom miejskiej kolei. Perony były pełne znużonych istot, kłócących się, palących i pijących. Parowe dźwigi w Kelltree miały pracować do nocy, wydobywając egzotyczne ładunki z czeluści obcych statków. Strajkujący vodyanoi z doków wykrzykiwali obelgi pod adresem swych kolegów, ludzi. Niebo nad metropolią zasnułe było chmurami. Ciepłe powietrze na przemian pachniało świeżą roślinnością i śmierdząco dymem, przepływając ponad owocującymi drzewami i kominami fabryk.

Miętafix wystrzelił z okna dawnego magazynu przy ulicy Wioślarzy jak kula z armatniej lufy. Wzbił się w niebo, zostawiwszy po sobie jedynie szczątki rozbitej szyby, plamę krwi i deszcz łez. Uciekał spiralnym kursem, bełkocząc i pociągając nosem jak małe dziecko, w stronę Pincod i Abrogate Green.

Minęło kilka minut, nim jego śladem podążył inny, ciemniejszy kształt.

Niezwykła, świeżo wykluta z kokonu istota precyzyjnie się przez okienko na piętrze i skoczyła w przestworza. Jej ruchy na ziemi były niepewne; każdy krok sprawiał wrażenie eksperymentu. W powietrzu było inaczej: nie było miejsca na wahanie, pozostały gracia i siła.

Skrzydła o nieregularnym kształcie biły mocno i zdecydowanie, odpychając potężne porcje powietrza. Zwalniając nieco ich ruchy, istota zatoczyła krąg z chaotycznym wdziękiem motyla. Jedyńm tropem, który zostawiała po sobie, były poddmuchy wiatru, zapach potu i śladowe ilości niefizycznych wydzielin.

Jej ciało wciągał jeszcze schłó.

Czuła narastające uniesienie.

Lizała stygnące powietrze.

Miasto rozciągało się pod nią jak nieregularna plama pleśni, wysyłając ku niej różnorodność wrażeń zmysłowych. Dźwięki, zapachy i zmiany natężenia światła, przefiltrowane przez osobliwe receptory, docierały do jej umysłu zmieszana falą.

Nowe Crobuzon wręcz buchało zapachem-smakiem zdobyczy.

Istota była syta, lecz woń pożywienia dezorientowała ją w cudowny sposób, każąc ślinić się jeszcze obficie i zgrzytać długimi zębami w łowieckim szale. Zanurkowała. Na wpół złożone skrzydła trzepotały i drżały, gdy spadała jak kamień ku nieoświetlonym zaułkom. Instynkt myśliwski podpowiadał jej, że lepiej unikać rozrzuconych po całym mieście punktów jaskrawego światła, że powinna trzymać się strefy mroku. Wysunęła język, szukając bliskiej zdobyczy i znalazła ją, a wtedy gwałtownym trzepotem skrzydeł wyhamowała pośród ceglanych murów. Niczym upadły anioł opuściła się na bruk jednej z krętych uliczek, gdzie oparta o ścianę prostytutka obsługiwała na stojąco leniwego klienta. Niemrawe ruchy bioder ustały, gdy oboje wyczuli w pobliżu złowrogą obecność.

Krzyczeli krótko. Umilkli, gdy tylko rozwinęły się olbrzymie skrzydła.

Istota spadła na nich jak żarłoczna burza.

Wkrótce potem znowu była w powietrzu, upojona smakiem.

Krażyła i zawisała w bezruchu, szukając centrum miasta, by znowu skrócić, ulegając dziwnemu przyciąganiu gmachu Dworca Perdido. Poleciała na zachód, ponad Spit Hearth i dzielnicą czerwonych latarni, a także nad gmatwaniną handlu i nędzy, zwaną Crow. Nieco dalej piętrzył się czarny gmach Parlamentu, a obok niego wieże milicji na Strack Island i Brock Marsh. Klucząc nad domami, istota śmignęła ponad kablem kolejki linowej, łączącej owe dwie niższe wieże z potężnym Szpikulcem, wystającym ponad zachodnie skrzydło Dworca Perdido.

Spłoszyła się nieco, gdy po kablu przemknęły milicyjne kapsuły. Nabrała wysokości i znieruchomiała na moment, zafascynowana dalekimi odgłosami pociągów wyjeżdżających z architektonicznego giganta, jakim była centralna stacja.

Wibracje, rozbrzmiewające w setkach rejestrów i tonacji, przyzywały jaku sobie. Niosły się z nimi echa sił, emocji i marzeń, wzmocnione przez murowane sale dworca i skierowane w przestrzeń pięcioma bramami wylotowymi. Razem tworzyły niewidzialny trop.

Nieliczne nocne ptaki umykały w panice na widok niezwykłego stworzenia, które mocnymi pociągnięciami skrzydeł torowało sobie drogę do mrocznego serca miasta. Wyrmeni zajęci sprawunkami pierzchali na boki, wykrzykując przekleństwa i błagania. Sterowce szybujące z godnością nad miastem pozdrowiały się syrenami, lecz nikt z ich załóg nie zauważył przybysza. Jedynym wyjątkiem był pewien mechanik, który postanowił jednak nie zawiadamiać o niczym przełożonych; poprzestał na nakreśleniu w powietrzu religijnego znaku i wyszeptaniu modlitwy o opiekę do Solentona.

Korzystając z prądu wznoszącego, wzbogaconego zmysłowymi wrażeniami płynącymi z Dworca Perdido, istota uniosła się na ogromną wysokość. Zatoczyła obszerny krąg, dostojnie machając skrzydłami. Uczyła się topografii swego nowego terytorium.

Zapamiętywała kształt rzecznych koryt. Rejestrowała strumienie rozmaitych rodzajów energii, napływające z różnych stron miasta, których zmienność układała się w skomplikowaną mozaikę skupisk pożywienia i potencjalnych kryjówek. Szukała jeszcze jednego: innych przedstawicieli swego gatunku.

Była istotą społeczną. Przychodząc na świat po raz drugi, odczuwała potrzebę towarzystwa. Znowu rozwinęła język, smakując cząstki powietrza, które mogły nieść ze sobą znany jej zapach.

I nagle drgnęła.

Wyczuła słaby, bardzo słaby ślad płynący ze wschodu. Odebrała sygnał frustracji i zaraz jej skrzydłami wstrząsnął dreszcz współczucia. Gwałtownie bijąc skrzydłami, nawróciła i pomknęła z powrotem w tę stronę, z której przyleciała. Po chwili zboczyła jednak minimalnie na północ, mijając parki i stare, eleganckie budynki Gidd oraz Ludmead. Poszarpany grzebień Żeber pojawił się nagle na południu i istota poczuła na ich widok niepokój zmieszany z nudnościami. Potęga, która sączyła się w niebo z gigantycznych kości, nie podobała się jej ani trochę. Niejasny strach nie mógł jednak zwyciężyć z głęboko zakodowanym uczuciem solidarności z pobratymcami, których zapach stawał się tym bardziej intensywny, im bliżej Żeber szybowiała niespokojna istota.

Niepewnie obniżyła lot i zatoczyła kolejny krąg, by dotrzeć do celu od północnego wschodu. Sunęła nisko i ostrożnie, pod kablem kolejki linowej łączącej wieżę milicji w Mog Hill z tą w Chnum. Rzuciła przelotnie cień na pociąg mknący na wschód po torach linii Dexter, szybując w śmierdzącym dymie lokomotywy. Obszernym łukiem minęła wieżę w Mog Hill, zahaczając o północny skraj strefy przemysłowej Echomire. Sunąc nad wiaduktem kolejowym wdzierającym się głęboko w Miasto Kości, czuła coraz mocniej złowrogi wpływ Żeber, ale jeszcze silniej pociągała ją woń braci.

Przemykała nad dachami z obscenicznie wywieszonym jęzorem, ani na chwilę nie gubiąc tropu. Czasem podmuch jej skrzydeł sprawiał, że przechodnie zadzierali głowy, a kapelusze i papiery toczyły się po pustawych ulicach. Ci, którzy spostrzegli nad sobą złowieszczy cień, czuli dreszcze i przyspieszali kroku lub marszczyli brwi i próbowali wmówić sobie, że nic nie widzieli.

Skrzydłata istota szybowiała z wywieszonym, łopocącym językiem, który pełnił tę samą funkcję, co czuły nos ogara. Mijała falujący krajobraz dachów spięty klamrą Żeber, liżąc napowietrzny, niewidzialny szlak.

Wreszcie dotarła do dużego, czarnego budynku przy pustej ulicy i jej długi język wyprężył się spazmatycznie niczym żywy bicz. Przyspieszyła, zawróciła i elegancką pętlą podeszła do lądowania na zasmolowanym dachu. Na jego przeciwległym krańcu, pod czarną połacią stropu, znajdowało się źródło emocji, które wyciekały przez mury jak woda z wyciśniętej gąbki...

Wylądowała na swych dziwacznych, giętkich kończynach i natychmiast odebrała potężną dawkę uczuć. Oszołomiła ją na moment ta wysoka fala, oznaczająca reakcję pobratymców na jej przybycie. Rozpacz bijąca z ich umysłu ustąpiła miejsca radości i wołaniu o pomoc, a przede wszystkim – szerokiemu strumieniowi zawierającemu szczegółowy plan akcji.

Istota pospieszyła ku krawędzi dachu i opuściła się w dół, ni to lecąc, ni to schodząc po murze. Stała na parapecie zamkniętego i zasmolowanego okna, czterdzieści stóp ponad chodnikiem. Nieprzezroczysta szyba drżała minimalnie, wprawiona w ruch emanacją zamkniętych w pokoju umysłów.

Intruz przez moment manipulował szponami przy okiennej ramie, po czym wyrwał ją jednym szybkim pociągnięciem ramion, pozostawiając w murze otwartą ranę cegieł i zaprawy. Nie zważając na hałas, porzucił pękające już szkło wraz z drewnianą oprawą i wkroczył na mroczne poddasze.

Pokój był wielki, pusty i zaśmiecony. Spod przeciwległej ściany buchnęła nowa, jeszcze potężniejsza fala emocji, powitalnych i ostrzegawczych zarazem.

Przybysz zobaczył przed sobą cztery istoty bez wątplenia należące do jego gatunku. Był jednak od nich znacznie mniejszy, a przy tym genialnie ekonomiczna konstrukcja ich muskularnych członków sprawiała, że jego ciało wydawało się

niezgrabne, przypadkowo poskładane. Wszystkie cztery istoty były przykute do muru potężnymi, metalowymi obręczami obejmującymi je w pasie i w wielu miejscach kończyn. Ich skrzydła rozpostarto siłą i unieruchomiono na ścianie. Wzory i kształty skórzastych połączeń różniły się między sobą i żaden z nich nie był przybyszowi znany. Pod tylną częścią ciała każdego z więźniów stało wiadro.

Krótką szarpaniną wystarczyła, by intruz uświadomił sobie, iż nie zdoła wyrwać z muru metalowych obręczy. Jedna z unieruchomionych istot syknęła cicho, nakazując mu słuchać uważnie, po czym przesłała serię psychicznych impulsów.

Przybysz posłusznie cofnął się i zastygł w oczekiwaniu.

Na częstotliwości odpowiadającej dźwiękom wydawanym przez ludzi pojawiły się nagle zakłócenia – ktoś krzychał w dole, na ulicy, gdzie roztrzaskało się wyrwane z muru okno. Zaraz potem rozległ się rumor w dolnej części budynku i dźwięk szybkich kroków na korytarzu. Przez drewnianą kurtynę drzwi przedostały się strzępy chaotycznej rozmowy.

- ...w środku...
- ...wejść?
- ...luster, nie...

Wolna istota cofnęła się jeszcze dalej od swych pobratymców i stanęła w najciemniejszym kącie pokoju, za drzwiami. Czekwała, bezszelestnie zwinąwszy skrzydła.

Zasuwy po drugiej stronie odskoczyły z trzaskiem. Po krótkiej chwili wahania ktoś kopnął drzwi i do pokoju na poddaszu wbiegło czterech uzbrojonych ludzi. Żaden z nich nie patrzył w stronę więźniów. Dwaj ściskali w dłoniach gotowe do strzału skałkówki, dwaj pozostali byli prze-tworzonymi – w lewych dłoniach trzymali pistolety, a z prawych barków sterczały im potężne, metalowe rury, rozszerzające się na końcach jak lufy garłaczy. Nie odwracając się, skierowali je za siebie, w stronę skutych istot, mierząc do nich za pomocą lusterek umocowanych do hełmów na poziomie oczu.

Dwaj ze zwykłymi karabinami także mieli na głowach hełmy z lusterkami, ale nie patrzyli w nie. Próbowali przebić wzrokiem ciemność, którą mieli przed sobą.

– Cztery ćmy, wszystko w porządku! – krzyknął jeden z prze-tworzonych, nie opuszczając dziwnego ramienia i nie przestając wpatrywać się w lustro.

– Tu nic nie ma... – odpowiedział jeden z mężczyzn patrzących przed siebie, w mrok wokół pustego otworu okiennego. Zanim zdążył dodać coś jeszcze, z cienia wyłonił się intruz i natychmiast rozpostarł swe niesamowite skrzydła.

Dwaj ludzie patrzący w jego stronę znieruchomieli z wyrazem przerażenia na twarzach i ustami otwartymi do krzyku.

– Na Jabbera, nie... – zdążył wyszeptać jeden z nich, a potem obaj już tylko patrzyli na bezlitosny kalejdoskop wielobarwnych, wirujących plam.

– Co jest, kurwa...? – zaczął jeden z prze-tworzonych i na moment skierował wzrok przed siebie. W jego oczach pojawił się lęk, ale ruchomy wzór na skrzydłach istoty zadziałał szybciej niż instynkt nakazujący człowiekowi krzyczeć ze strachu.

Ostatni z prze-tworzonych wykrzyknął kolejno imiona swych towarzyszy i zaskamlał w panice, słysząc, że wszyscy trzej rzucili broń. Kątem oka widział jedynie mglisty, złowieszczy kształt intruza. Stojąca przed nim istota wyczuwała jego przerażenie. Podeszła powoli, wysyłając na płaszczyźnie emocjonalnej uspokajające sygnały. W umyśle prze-tworzonego tłukła się debilnie jedna myśl: „Ona jest przede mną... ona jest przede mną...”.

Spróbował zrobić krok naprzód, nie odrywając wzroku od lusterka, lecz istota płynnym ruchem zmieniła położenie i znalazła się w jego polu widzenia. To, co było

niewyraźną sylwetką postrzeganą kątem oka, stało się obrazem wypełniającym niemal całą przestrzeń. Mężczyzna poddał się, zapadł się w sobie i wbił wzrok w mieniające się bezustannie wzory na skrzydłach intruza. Drżąc na całym ciele, otworzył szeroko usta i opuścił ramię-lufę.

Dyskretnym ruchem jednej z chudych kończyn istota zamknęła drzwi. Stała w pełnej krasie przed czterema zahipnotyzowanymi mężczyznami, śliniąc się obficie. Zawstydzila się jednak i zapanowała nad głodem, gdy odebrała gwałtowny sygnał od swych pobratymców. Wyciągnęła ramiona kolejno w stronę każdego z ludzi i delikatnie odwróciła ich ku czterem uwięzionym ćmom.

Na krótką chwilę mężczyźni uwalniali się od paraliżującego wołę widoku i ich umysły desperacko chwyciły się nadziei na wolność, ale zanim zdążyły przemienić ją w czyn, szeroko otwarte oczy chłonęły już oszałamiający spektakl czterech par równie zdumiewających skrzydeł. Jeden po drugim ulegali mocy, która niosła im zgubę.

Intruz stojący za nimi popchnął ich łagodnie ku swym uwięzionym braciom, którzy starali się wykorzystać pozostawione im minimum swobody, by pochwycić swą zdobycz.

A potem zaczęła się uczta.

Jedna z istot z trudem sięgnęła po pęk kluczy wiszący u pasa jej ofiary i oderwała go mocnym szarpnięciem. Kiedy skończyła posiłek, ostrożnie wsunęła klucz do zamka, który spinał pierwszą z grubych obręczy.

Za czwartą próbą – niewprawne palce musiały operować nieznanym przedmiotem pod nader niewygodnym kątem – osiągnęła sukces. Była wolna i mogła powtórzyć niełatwy proces, oswobadzając pozostałych współwięźniów.

Jedna po drugiej skrzydlate istoty pakuły się w stronę prostokątnej wyrwy w murze. Przez chwilę naprężyły osłabione bezruchem mięśnie, stojąc na zakurzonej parapecie, a potem szeroko rozpościerały swe ogromne skrzydła i rzucały się w chorobliwie suche powietrze, które zdawało się sączyć z widocznych w oddali Żeber. Jako ostatnia pokój na poddaszu opuściła najmłodsza z istot.

Pognała za swymi towarzyszami, którzy mimo wycieńczenia lecieli szybciej, niż potrafiła. Zaczekali na nią, krążąc w powietrzu o kilkaset stóp wyżej. Wolno rozciągali niewidoczne nitki świadomości, chwytając nimi wrażenia i doznania unoszące się ponad miastem.

Kiedy dołączył do nich ich skromny wybawca, rozbili szyk, by przyjąć go w środek. Dalej polecili już razem, dzieląc się wyłowionymi uczuciami i chciwie liżąc powietrze.

Nocni łowcy poszybowali na północ, w stronę Dworca Perdido. Było ich pięciu, tak jak pięć było głównych linii kolejowych, zbiegających się w gigantycznym gmachu, który mieli pod sobą, przepelnionym ludźmi bardziej niż jakiegokolwiek inne znane im miejsce. Kołysali się nad najwyższą wieżą dworca, trzepocąc skrzydłami, miotani wiatrem, drżąc z emocji w strumieniach dźwięków i energii unoszących się nad Nowym Crobuzon.

Każdy punkt, nad którym przemknęli, każdy zakątek miasta, każdy zaciemniony most, każda pięćsetletnia rezydencja, każdy ruchliwy bazar, każdy z groteskowych, betonowych magazynów, każdy pływający na rzece dom, każda rudera i każdy wypieszczony park – wszystkie te miejsca były pełne pożywienia.

Była to dżungla bez drapieżników. Idealny teren łowiecki.

ROZDZIAŁ 23

Coś blokowało drzwi do magazynu, w którym znajdowało się laboratorium Isaaca. Uczony zaklął pod nosem, napierając na nie z całej siły.

Było wczesne popołudnie, nazajutrz po sukcesie, który w myślach zdążył już nazwać „wielką serową chwilą”. Spotkanie z Lin w jej mieszkaniu, wieczorem poprzedniego dnia, tylko poprawiło mu humor. Khepri była zmęczona, ale uradowana nie mniej niż on. Poszli do łóżka na cudowne trzy godziny, a potem wybrali się do Zegara i Koguta.

Noc była niepokojąco doskonała. Wszyscy, których Isaac życzył sobie spotkać, znaleźli się w odpowiedniej chwili na Polach Salacusa i jak na zamówienie zeszli się w Z amp;K, by dogadzać sobie whisky, homarem albo czekoladą. Stałe towarzystwo poszerzyło się o Maybet Sunder, której szybko wybaczone zwycięstwo w konkursie Shintacost. W rewanżu podziękowała grzecznie za wyniosłe komentarze Derkhan na piśmie i złośliwości pozostałych wyrażane werbalnie.

Lin zawsze dobrze odpoczywała wśród przyjaciół, choć tym razem jej dziwna melancholia zdawała się raczej pogłębiać, niż zanikać. Isaac ochoczo wdał się w szeptaną polityczną dyskusję z Derkhan, która ukradkiem podsunęła mu najnowszy numer „RR”. Towarzystwo bawiło się, sprzeczało, jadło i ciskało jedzeniem do drugiej nad ranem, kiedy to Isaac i Lin postanowili wracać do ciepłego łóżka. Spali spokojnie i długo.

Dopiero przy śniadaniu powiedział jej o swym triumfie w zmaganiach z maszyną kryzysową. Lin nie do końca pojmowała skalę jego zwycięstwa, ale tego akurat spodziewał się od początku. Wystarczyło, że zrozumiała, iż był podniecony sukcesem bardziej niż kiedykolwiek, i że w odpowiedni sposób okazała mu swój entuzjazm. Grimnebulin mógł być zadowolony z jeszcze jednego powodu: wyjaśniając w najprostszych, zupełnie nienaukowych słowach istotę odkrycia, poczuł się znacznie pewniej, jakby wrócił na ziemię z nierealnego snu. Wyraźnie dostrzegł problemy, o których wcześniej nie pomyślał, i nabrał nowego zapału do ich rozwiązywania.

Rozstali się po czułym pożegnaniu i wzajemnej obietnicy, że nie pozwolą sobie więcej na dłuższą rozłąkę.

A teraz Isaac nie mógł się dostać do własnego warsztatu pracy.

– Lub! David! Co wy tam kombinujecie, do cholery? – wrzasnął i jeszcze raz spróbował choćby uchylić unieruchomione drzwi.

Tym razem ustąpiły nieco i w szparze dostrzegł wycinek skąpanej w słońcu podłogi. Zobaczył też fragment tego, co je blokowało. To była ręka. Serce skoczyło mu do gardła.

– Na Jabbera! – wykrzyknął mimowolnie, napierając całym ciałem na odporne drzwi. Wreszcie otworzyły się na oścież.

Lublama i leżał nieruchomo na podłodze. Grimnebulin uklęknął przy głowie przyjaciela, słysząc parskanie Szczerości, ukrytej gdzieś między kołami konstruktora sprzątającego. Borsuczycyca była przerażona.

Isaac odwrócił Lublama i westchnął z bezbrzeżną ulgą, czując, że ciało leżącego jest ciepłe, a oddech słyszalny.

– Obudź się, Lub! – zawołał.

Oczy Lublama były jednak otwarte i Isaac przeraził się, widząc ich puste spojrzenie.

– Lub? – wyszeptał.

Ślina zbierała się pod brodą nieprzytomnego mężczyzny, żłobiąc ścieżkę na jego pokrytej pyłem twarzy. Leżał zupełnie bezwładnie. Isaac dotknął jego szyi – puls był

dość stabilny. Lublamai brał głęboki wdech i na moment zatrzymywał powietrze w płucach, nim wypuścił. Wyglądał na pogrążonego we śnie.

Isaac nie mógł jednak znieść bezmyślnego, nieobecnego spojrzenia jego oczu. Machnął przed nimi ręką, ale nie było reakcji. Klepnął Lublamaia w policzek, najpierw lekko, a potem dwa razy mocno. Wreszcie zdał sobie sprawę, że od dłuższej chwili mimowolnie wykrzykuje jego imię.

Głowa Lublamaia kołysała się na boki jak worek pełen kamieni.

Isaac zacisnął pięść i poczuł, że jego palce są lepkie. Spojrzał na dłoń kolegi, pokrytą przezroczystym, kleistym płynem. Powąchał własną rękę i natychmiast odrzucił go zapach cytryny i zgnilizny. Na moment poczuł w głowie pustkę.

Przyjrzał się bliżej twarzy Lublamaia, a zwłaszcza skórze wokół ust i nosa. Była śliska i mokra, ale to, co wziął w pierwszej chwili za ślinę, było cienką warstewką owego cuchnącego śluzu.

Ani krzyk, ani policzkowanie, ani błagania nie przywróciły nieprzytomnemu świadomości.

Isaac rozejrzał się po laboratorium i spostrzegł, że okno w pobliżu biurka Lublamaia jest rozbite, a na podłodze leżą kawałki szkła i roztrzaskanych w drzazgi okiennic. Wstał i podbiegł do kołyszącej się smętnie ramy, ale nie zauważył nic więcej ani w środku, ani na zewnątrz. Biegał od kąta do kąta w cieniu górnej platformy, zaglądając na przemian do warsztatów Lublamaia i Davida, szepcząc idiotyczne słowa pocieszenia pod adresem wystraszonej Szczerości i szukając śladu intruzów, aż wreszcie zdał sobie sprawę, że od dłuższej chwili w jego umyśle gnieździ się pewna straszna myśl. Prawie omdlały z lęku zatrzymał się gwałtownie. Bardzo powoli podniósł wzrok, a potem głowę, i spojrzał, z lodowatym strachem, na spodnią stronę podłogi swego laboratorium.

Mroźny spokój osiadł na nim jak śnieg. Czuł, że unosi nogi i sztywno kroczy w stronę drewnianych schodów. Nie zatrzymując się, odwrócił głowę i popatrzył na Szczerość, która teraz dopiero, w towarzystwie człowieka, poczuła się na tyle pewnie, by zbliżyć się do Lublamaia.

Wydawało mu się, że wszystko rozgrywa się w zwolnionym tempie, że wspina się na górę, grzęznąc w zamarzającej wodzie.

Wchodził coraz wyżej. Nie czuł już zaskoczenia, a jedynie narastającą grozę, kiedy widział na każdym stopniu małą kałużę śluzu, a obok nacięcia pozostawione przez istotę o bardzo ostrych pazurach. Czuł bicie własnego serca, podejrzenie wolne i rytmiczne. Zastanawiał się, czy szok nie sprowadził na niego głębokiego odrętwienia.

Kiedy jednak dotarł na piętro i odwrócił się, zobaczył przewróconą klatkę, gęstą siatkę z drutu rozerwaną od środka, kawałki metalu sterczące na wszystkie strony, rozpołowiony, pusty kokon i ślad ciemnego płynu, który wysączył się na podłogę, usłyszał własny krzyk przerażenia i poczuł, że na całym jego niezdolnym do ruchu ciele pojawiła się gęsia skórka. Strach rozlał się w nim i dookoła niego jak plama atramentu w wodzie.

– O bogowie... – wyszeptał wyschniętymi i drżącymi wargami. – Na Jabbera... co ja najlepszego zrobiłem?!

Milicja Nowego Crobuzon nie lubiła być widziana. Jej funkcjonariusze pojawiali się nocą w ciemnych mundurach, by zajmować się swymi ponurymi obowiązkami, na przykład takimi jak wyławianie zwłok z rzeki. Jej latające maszyny i kapsuły kolejki linowej, które nieustannie kluczyły i przemykały nad miastem, miały przyciemnione szyby. Wieże zawsze były szczelnie zamknięte.

Milicjanci, żołnierze broniący ładu wewnętrznego w Nowym Crobuzon oraz tajni agenci pojawiali się w mundurach, ze sławetnymi maskami zakrywającymi całą twarz, z tarczami i skałkówkami zawsze wtedy, gdy wysyłano ich na szczególnie ważne akcje lub w czasach największego zagrożenia. Występowali w swych barwach także podczas Wojen Pirackich i Rozruchów Sacramundiego, gdy wrogowie zagrażali porządkowi w mieście zarówno z zewnątrz, jak i od wewnątrz.

Jednakże pełniąc swe codzienne obowiązki, polegali przede wszystkim na swej reputacji, na wybornie zorganizowanej sieci informatorów – których honoraria były zaiste imponujące – a przede wszystkim na pracy funkcjonariuszy występujących po cywilnemu. Kiedy milicja wkraczała do akcji, działo się to za sprawą mężczyzny pijącego likier w kawiarni, kobiety uginającej się pod ciężarem toreb lub urzędnika w wykrochmalonym kołnierzyku i wypolerowanych butach, którzy nagle sięgali ponad głowę i zaciągali kaptury ukryte dotąd gdzieś w fałdach ubrania, wyszarpywali karabiny z zamaskowanych kabur i wpadali do przestępczych kryjówek. Kiedy uliczny złodziej uciekał od wrzeszczącej ofiary z jej torebką w garści, zazwyczaj jakiś korpulentny jegomość, na przykład z gęstym wąsem (najpewniej fałszywym, a wszyscy zastanawiali się po fakcie, dlaczego tego nie zauważyli), stawał nagle na jego drodze i obezwładniał go morderczym chwytem za kark, by zniknąć z nim w tłumie lub za bramą milicyjnej wieży.

Żaden ze świadków zdarzenia nie umiał później odpowiedzieć na pytanie, jak właściwie wyglądał ów agent w cywilnym ubraniu. Nikt też nie widział więcej w tej dzielnicy ani tego eleganckiego urzędnika, ani przysadzistego wąsacza, ani żadnego innego tajnego milicjanta.

Na tym polegała polityka zdecentralizowanego strachu.

Minęła czwarta nad ranem, kiedy w Brock Marsh znaleziono prostytutkę i jej klienta. Dwaj mężczyźni włóczący się ciemnymi uliczkami z rękami w kieszeniach i bojowo uniesionymi głowami zatrzymali się nagle, dostrzegłszy w mdłym świetle latarni gazowych jakiś zagadkowy kształt. Ich zachowanie zmieniło się natychmiast: spojrzawszy po sobie z powagą, wbiegli w głąb zaułka.

Znaleźli dwa nieruchome ciała, kobiety i mężczyzny, leżące jedno na drugim. Wzrok nieprzytomnych był pusty i nieobecny, a oddech urywany i zalatujący gnijącymi cytrusami. Spodnie i slipy mężczyzny były opuszczone do kostek, a skurczony już penis odsłonięty. Ubranie kobiety – a w szczególności spódnica ze szczeliną, która pozwalała prostytutkom na wykonywanie tak zwanych szybkich numerków – było nienaruszone. Dwaj przybysze nie zdołali obudzić leżących. Jeden z nich pozostał przy ciałach, a drugi pobiegł gdzieś i zniknął w mroku. Obaj naciągnęli na głowy ciemne kaptury.

Wkrótce potem w zaułku zatrzymał się czarny wóz ciągnięty przez dwa potężne konie – poddane prze-tworzeniu, błyskały ostrymi rogami i długimi kłami. Z pojazdu wyskoczył mały oddział nie umundurowanych milicjantów. Funkcjonariusze bez słowa wciągnęli bezwładne ciała do ciemnego wnętrza wozu, który zaraz pomknął w stronę Szpikulca, górującego nad centrum miasta.

Dwaj mężczyźni zostali na miejscu. Zaczekali, aż pojazd zniknie w labiryncie uliczek, a potem zaczęli rozglądać się uważnie na wszystkie strony, szukając choćby najmniejszych śladów światła na tylnych ścianach budynków, magazynów, za

walącymi się murami i za cienkimi gałęziami drzew stojących w pobliskich ogrodach. Zadowoleni, że nikt nie obserwował ich akcji, zsunęli kaptury i znowu wbili ręce w kieszenie. W okamgnieniu wrócili do zupełnie innej roli: śmiali się cicho i gawędzili swobodnie, jak gdyby nigdy nic podejmując przerwany nocny patrol.

W podziemiach Szpikulca tymczasem próbowano znalezione ciała przywrócić do życia krzykiem, klepaniem i szturchaniem. Nad ranem zostały zbadane przez milicyjnego naukowca, który zaraz potem sporządził wstępny raport.

Ci, którzy już wiedzieli o sprawie, z zakłopotaniem drapali się po głowach.

Raport naukowca, wraz ze skondensowanymi informacjami o niecodziennych i najpoważniejszych przestępstwach, został wysłany na górne piętra wieży i ostatecznie dotarł aż na przedostatnie. Tutaj wszelkie raporty roznoszono czym prędzej do pokoiw ciągnących się wzdłuż pozbawionego okien korytarza, skąd wreszcie trafiały do biura sekretarza spraw wewnętrznych. I tym razem, jak zwykle, dotarły do niego na czas: o pół do dziesiątej.

Dwanaście minut po dziesiątej megafon umieszczony w stacji kapsuł, zajmującej całe najwyższe piętro Szpikulca, zaczął pohukiwać serią rozkazów. Młody sierżant pełniący dyżur znajdował się po przeciwnej stronie obszernej hali. Naprawiał rozbity reflektor jednej z dziesiątek kapsuł zawieszonych na skomplikowanej sieci potężnych kabli nośnych, krzyżujących się pod sufitem. System lin i podnośników pozwalał na ustawianie pojazdów w pożądanym szyku lub przenoszenie na jeden z siedmiu kabli wychodzących na zewnątrz przez ogromne otwory w ścianach. Napowietrzne linie służące milicji rozpięto nad całym kolosalnym obliczem Nowego Crobuzon.

Z miejsca, w którym właśnie stał, sierżant mógł zobaczyć wieżę w Sheck, odległą o milę od Szpikulca, a nawet biegnącą przez nią na przestrzał, dokładnie na poziomie jego oczu, linę nośną. Dalej kabel biegł w stronę Smoły, połyskującej ponuro i zdradliwie na południu.

Kiedy sierżant zauważył, że głos z megafonu jakoś nie milknie, zadarł głowę i zaczął słuchać nieco uważniej. Po chwili zaklął i puścił się pędem przez halę, szeleszcząc futrem. Nawet w lecie na tej wysokości panował chłód, a otwarta w siedmiu miejscach stacja kapsuł była jak gigantyczny tunel aerodynamiczny. Sierżant dotarł na postereunek, wyjął zatyczkę z rury systemu komunikacyjnego i zameldował się służbiście.

– Tak, pani sekretarz?

Głos, który mu odpowiedział, był cichy i zniekształcony podróżą przez kręty, metalowy tunel.

– Natychmiast przygotuj moją kapsułę. Jadę na Strack Island.

Drzwi Sali Lemquista, gabinetu burmistrza w gmachu Parlamentu, były wielkie i okute taśmami z bardzo starego żelaza. Dwaj milicjanci stali przed nimi o każdej porze dnia i nocy, lecz nie dane im było korzystać z najbardziej oczywistego przywileju związanego z przebywaniem w korytarzach władzy; przez potężne wrota nigdy nie przedostały się do ich uszu żadne plotki, żadne sekrety, żadne dźwięki.

Komnata znajdująca się za owymi okutymi drzwiami była niezwykle wysoka i wyłożona ciemnodrzewem tak wysokiej jakości, że jego barwa naprawdę bliska była czerni. Portrety poprzednich burmistrzów wisiały na wszystkich ścianach, na wysokości od sześciu do trzydziestu stóp, czyli prawie do ozdobnego sklepienia. Za olbrzymim oknem rozciągał się piękny widok na Dworzec Perdido i Szpikulec. Z licznych nisz w ścianach wystawały końcówki rur systemu łączności i teleskopowych peryskopów, tworzących widok dziwny i złowrogi.

Bentham Rudgutter siedział za biurkiem, roztaczając wokół siebie aurę władzy absolutnej. Nikt, kto choć raz widział go w tym pokoju i w tej pozycji, nie mógł zaprzeczyć, że jest to aura prawdziwa i wyjątkowo mocna. Rudgutter był centralną postacią aparatu władzy. Miał głęboką świadomość tego faktu, podobnie jak odwiedzający go goście. Imponujący wzrost i także muskulatura z pewnością potęgowały wrażenie majestatu, ale z całą pewnością były tylko jego uzupełnieniem.

Naprzeciwko burmistrza siedział MontJohn Rescue, jego zastępca, z szyją jak zwykle owiniętą grubym szalikiem, pochylony nad kartką papieru, w którą obaj wbijali wzrok.

– Dwa dni – rzekł Rescue dziwnym, niemodulowanym głosem, zupełnie innym od tego, którym zwykł był przemawiać.

– I co? – spytał Rudgutter, gładząc nienagannie przyciętą kocią brodkę.

– Strajk nabiera rozmachu. W tej chwili obniża nam tempo przeładunków o pięćdziesiąt do siedemdziesięciu procent. Z danych wywiadu wynika, że za dwa dni vodyanoi zamierzają sparaliżować ruch na rzece. Zaczną pracę w nocy, przy samym dnie, i będą posuwać się ku górze; podobno na wschód od mostu Barley. To będzie potężne wododzieło: rów w poprzek rzeki na całą szerokość i głębokość koryta. Będą musieli poprawiać je nieustannie, żeby się nie rozpadło, ale jest ich wystarczająco dużo, by robić to na zmiany. Żaden statek nie przeskoczy takiej rozpadliny, panie burmistrzu. Nowe Crobuzon zostanie odcięte od szlaku rzecznego, i to w obie strony.

Rudgutter słuchał raportu z zaciśniętymi ustami.

– Nie możemy na to pozwolić – zauważył rezolutnie. – Co z dokerami-ludźmi?

– To właśnie jest mój drugi problem, panie burmistrzu – podchwycił Rescue. – Niepokojąca sprawa. Ich początkowa wrogość zdaje się zanikać. Mniejszość, która jest skłonna poprzeć strajk vodyanoich, zaczyna rosnać w siłę.

– Och, nie, nie, nie, nie – odezwał się Rudgutter, potrząsając głową jak nauczyciel łagodnie karcący dobrego ucznia.

– Niestety. Nasi agenci mają lepszą siatkę wśród ludzi niż wśród obcych. Wiemy z całą pewnością, że większość dokerów wciąż jeszcze jest przeciwna lub obojętna wobec strajku, ale coś się zaczyna dziać. Tajne zebrania, spotkania z buntownikami – rodzi się spisek, jeśli wolno mi użyć tego słowa.

Rudgutter rozłożył wielkie palce na blacie biurka i zapatrzył się w jego gładką powierzchnię.

– Ma pan tam swoich agentów? – spytał cicho. Rescue poprawił szalik.

– Mam jednego wśród ludzi – padła odpowiedź. – Trudno jest wprowadzić kogoś między vodyanoich, którzy zwykle pracują pod wodą bez odzieży.

Rudgutter skinął głową i przez chwilę obaj milczeli, pogrążeni w myślach.

– Próbowaliśmy rozpracować tę grupę od środka, ale bez skutku – odezwał się w końcu Rudgutter. – To najpoważniejszy strajk zagrażający bytowi miasta od... ponad stu lat. Mówię to z wielką niechęcią, ale obawiam się, że nie mamy wyjścia: być może trzeba będzie przykładowo ukarać winowajców, uczynić z tej sprawy lekcję poglądową dla innych...

Rescue z namaszczaniem skinął głową.

W jednej z rur komunikacyjnych sterczących z biurka burmistrza rozległ się stłumiony głos. Rudgutter uniósł brew i wyjął z tuby zatyczkę.

– Davinio? – powiedział. Jego głos był arcydziełem insynuacji: jednym słowem burmistrz poinformował sekretarkę o swym zaskoczeniu, iż przeszkadza mu się

wbrew wyraźnemu poleceniu, ale że pokłada w niej wielkie zaufanie i jest absolutnie pewien, iż przyczyna nieposłuszeństwa była istotna, o czym ma nadzieję przekonać się natychmiast. Głuchy, powielony echem głos odpowiedział mu kilkoma cichymi dźwiękami. – No proszę! – zawołał pogodnie burmistrz. – Oczywiście, oczywiście – powiedział i zatkał wylot rury, po czym spojrzął na Rescue. – Niezwykle wyczucie chwili – rzekł. – Przybyła sekretarz spraw wewnętrznych.

Wielkie drzwi uchyliły się nieznacznie. Kobieta, która weszła do gabinetu, skinęła mężczyznom na powitanie.

– Elizo, proszę, dołącz do nas – powiedział Rudgutter, wskazując dłonią na wolne krzesło obok swego zastępcy.

Eliza Stem-Fulcher podeszła do biurka. Określenie jej wieku na podstawie cech fizycznych było niemożliwe. Twarz pozbawiona zmarszczek i ostre rysy sugerowały, że mogła nieznacznie przekroczyć trzydziestkę. Jednakże jej włosy były białe i tylko bardzo nieliczne, odrobinę ciemniejsze pasma sugerowały, iż kiedyś ich kolor mógł być inny. Sekretarz miała na sobie ciemny, cywilny garnitur, pomysłowo dobrany krojem i barwą tak, by kojarzył się z uniformem milicjanta. Pykała dyskretnie długą na półtorę stopy fajeczkę z białej gliny, wypełnioną ostro przyprawionym tytoniem.

– Panie burmistrzu. Panie zastępczo. – Eliza Stem-Fulcher usiadła i wyjęła spod pachy cienką teczkę. – Proszę wybaczyć, że przybywam bez uprzedzenia, burmistrzu Rudgutter, ale uznałam, że powinien pan zobaczyć coś bez chwili zwłoki. Pan też, Rescue. Cieszę się, że zastałam obu panów. Wygląda na to, że... czeka nas coś w rodzaju kryzysu.

– Właśnie o tym rozmawialiśmy, Elizo – odparł burmistrz. – Mówisz, jak sądzę, o strajku dokerów?

Stem-Fulcher spojrzała na niego przelotnie, wyciągając z teczki kilka kartek papieru.

– Nie, panie burmistrzu. O czymś zupełnie innym. – Jej głos był stanowczy i dźwięczny.

Rzuciła na biurko raport z działu kryminalnego. Rudgutter ułożył go bokiem, tak by obaj mogli czytać jednocześnie, co też uczynili, przekrzywiając głowy. Minutę później podniósł wzrok.

– Dwoje ludzi w dziwnym stanie śpiączki. Zastanawiające okoliczności. Domyślam się, moja droga, że pokażesz mi coś jeszcze?

Stem-Fulcher wręczyła mu kolejną kartkę papieru. Mężczyźni znowu pochylili się nad blatem, lecz tym razem ich reakcja była natychmiastowa. Rescue syknął z cicha i przygryzł wewnętrzną stronę policzka, by żuć ją w skupieniu. Niemal w tym samym momencie Rudgutter westchnął domyślnie.

Pani sekretarz spraw wewnętrznych obserwowała ich beznamiętnie.

– Nasza informatorka u Motleya najwyraźniej nie wie, o co chodzi. Jest zupełnie zagubiona. Z fragmentów rozmów udało jej się wyłowić na przykład... o, widzi pan? „...żeśmy uciekły...” Zgodzą się chyba panowie, że to oczywiste przesłyszenie i że prawdziwe brzmienie tych słów było inne. – Rudgutter i Rescue bez słowa przeczytali dwukrotnie raport. – Przyniosłam też raport naukowców, który zamówiliśmy na samym początku projektu ĆMA; to studium wykonalności. – Stem-Fulcher mówiła szybko i bez śladu emocji. Rzuciła teczkę płasko na biurko burmistrza. – Zakreśliłam kilka szczególnie ważnych urywków, żeby ułatwić panu zadanie.

Rudgutter otworzył raport. Niektóre słowa i zdania obrysowano czerwonym atramentem. Burmistrz spojrzął na nie przelotnie:

„...nadmierzalne niebezpieczeństwo... w przypadku ucieczki...
brak naturalnych wrogów...całkowita katastrofa...

...rasa..."

ROZDZIAŁ 24

Burmistrz Rudgutter ponownie wyjął z tuby zatyczkę.

– Davinio – powiedział. – Odwołaj wszystkie moje dzisiejsze spotkania i zebrania... Nie, nie tylko dzisiejsze. Także jutrzejsze. Przepróż kogo trzeba. Niech nikt mi nie przeszkadza, chyba żeby Dworzec Perdido wyleciał w powietrze albo zdarzyło się coś równie efektownego. Zrozumiano? – Włożywszy zatyczkę na miejsce, spojrzął na Elizę Stem-Fulcher i MontJohna Rescue. – Co, do ciężkiej cholery, powtarzam: co, na Jabbera i jego boskie gówno, wyobraża sobie ten cały Motley?! Wydawało mi się, że to profesjonalista...

Stem-Fulcher skinęła głową.

– Ta sprawa wynikła między nami, kiedy dopinaliśmy umowę – odpowiedziała. – Sprawdziliśmy dane na jego temat. Trzeba przyznać, że większość jego aktywności skierowana była przeciwko nam, ale oceniliśmy, iż jest w stanie zadbać o bezpieczeństwo nie gorzej niż my. Nie jest głupcem.

– Czy wiemy już, kto za tym stoi? – spytał Rescue, a Stem-Fulcher wzruszyła ramionami.

– Niewykluczone, że konkurencja – Francine, Judix albo ktoś taki. Jeżeli to prawda, to udało im się ugryźć znacznie większy kawałek tortu, niż są w stanie przełknąć i...

– Tak jest – przerwał jej Rudgutter tonem nie znoszącym sprzeciwu. Stem-Fulcher i Rescue spojrzeli na niego z wyczekiwaniem. Burmistrz splótł dłonie, oparł łokcie na blacie i zamknął oczy, koncentrując się tak mocno, że jego twarz sprawiała wrażenie gotowej wybuchnąć w każdej chwili. – Tak jest – powtórzył, otwierając oczy. – Po pierwsze, musimy się upewnić, czy naprawdę mamy do czynienia z tą sytuacją, o której myślimy. Z pozoru rzecz może wydawać się oczywista, ale potrzebna nam stuprocentowa pewność. Po drugie, musimy opracować jakąś strategię szybkiego i cichego rozwiązania problemu. Jeśli chodzi o drugi cel, wiemy już, że nie wolno nam polegać na ludzkiej milicji i prze-tworzonych, zresztą na obcych też raczej nie. Mają ten sam typ psychiki. Wszyscy jesteśmy tylko pożywieniem. Jestem pewien, że pamiętacie wyniki naszych wstępnych testów obrony-ataku... – Rescue i Stem-Fulcher zgodnie kiwnęli głowami. Rudgutter mówił dalej. – Właśnie. Truposze byłiby rozsądnym wyjściem, ale nie jesteśmy w Cromleh; nie mamy warunków do kreowania ich w stosownej liczbie i jakości. No cóż... Wydaje mi się, że cel pierwszy nie zostanie zrealizowany w zadowalającym stopniu, jeśli będziemy polegać wyłącznie na naszych regularnych służbach wywiadowczych. Trzeba szukać dostępu do alternatywnych źródeł informacji. Tak więc, z dwóch powodów, musimy pozyskać agentów lepiej przystosowanych do działania w tej trudnej sytuacji, to jest wyposażonych w inny model psychiczny. Sądzę, że istnieją tylko dwaj kandydaci. Nie mamy wyboru, musimy szukać kontaktu przynajmniej z jednym z nich.

Burmistrz umilkł, mierząc współpracowników zimnym spojrzeniem. Czekał na sprzeciw, ale nie się doczekał.

– Zgadza się ze mną? – spytał cicho.

– Mówimy o ambasadorze, prawda? – odezwała się Stem-Fulcher. – Oraz o... Chyba nie ma pan na myśli Tkacza? – dodała, z niedowierzaniem unosząc brwi.

– Cóż, możemy tylko mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie – odparł Rudgutter z nutą optymizmu w głosie. – Ale masz rację, to właśnie są dwaj... agenci, o których myślę. I dokładnie w tej kolejności.

- Zgoda – przytaknęła pospiesznie Stem-Fulcher. – Pod warunkiem, że w tej kolejności. Tkacz... Na Jabbera, porozmawiajmy z ambasadorem.
- MontJohn? – Rudgutter odwrócił się w stronę zastępcy. Rescue wolno skinął głową, poprawiając szalik.
- Z ambasadorem... – powtórzył. – Mam nadzieję, że to wystarczy.
- Jak my wszyscy, zastępco burmistrza – odrzekł Rudgutter. – Jak my wszyscy.

*

Między jedenastym a czternastym piętnem Skrzydła Mandragory w gmachu Dworca Perdido, ponad jednym z mniej uczęszczanych pasażów handlowych, specjalizującym się w sprzedaży starych i ręcznie malowanych materiałów, poniżej kondygnacji dawno opuszczonych wieżyczek, znajdowała się Strefa Dyplomatyczna.

Wiele ambasad w Nowym Crobuzon ulokowano, rzecz jasna, w innych miejscach: w barokowych budynkach Nigh Sump, East Gidd czy Flag Hill. Sporo jednak umieszczono w budynku dworca – były wystarczająco liczne, by na trwałe nadać imię kilku poziomom gmachu.

Skrzydło Mandragory było niemal samowystarczalną strefą. Jego korytarze układały się w kształcie olbrzymiego, betonowego prostokąta wokół centralnej przestrzeni, na dnie której znajdował się zaniedbany ogród, pełen dorodnych ciemnodrzew i egzotycznych kwiatów. Dzieci biegały jego ścieżkami i bawiły się w bezpiecznym parku, podczas gdy ich rodzice robili zakupy, podróżowali lub pracowali. Ściany wznosiły się na ogromną wysokość wokół plamy zieleni, która z najwyższej kondygnacji wyglądała jak mech na dnie wyschniętej studni.

Wzdłuż korytarzy najwyższego piętra Strefy znajdowały się setki połączonych ze sobą pokoi. Dawniej wiele z nich pełniło funkcję ministerialnych gabinetów. Potem na krótką chwilę stały się siedzibami małych firm i wreszcie opustoszały na wiele lat, póki zalegających w nich pleśni i kurzu nie usunęli wprowadzający się ambasadownicy. Ich obecność trwała nieco ponad dwa wieki – tyle samo, ile liczyła sobie historia pewnej idei, którą zaakceptowała większość rządów Rohagi: przekonania, że dyplomacja służy społeczeństwu znacznie lepiej niż wojna.

Instytucja ambasad istniała w Nowym Crobuzon znacznie dłużej, ale dopiero gdy rzeź w Suroch położyła krwawy kres temu, co nazywano Wojnami Pirackimi – a także Powolną Wojną lub Fałszywą Wojną – liczba krajów i państw-miast szukających negocjacyjnych metod rozwiązywania konfliktów wzrosła znacząco. Emisariusze przybywali ze wszystkich zakątków kontynentu i nie tylko. Opustoszałe korytarze i sale Skrzydła Mandragory zapełniły się tłumem świeżo upieczonych ambasadowników, a i niejeden z okrzepłych już konsulatów przeniósł tu swą siedzibę, by nie znaleźć się poza głównym nurtem życia dyplomatycznego.

Wyjście z windy lub klatki schodowej na którymkolwiek z pięter Strefy wymagało przejścia przez posterunek wartowniczy i drobiazgową kontrolę. Początkowo ciągi komunikacyjne były zimne i ciche, z rzadka tylko oświetlone lampami gazowymi. Rudgutter, Rescue i Stem-Fulcher szli korytarzem na dwunastym piętrze, w towarzystwie niskiego, żylastego mężczyzny w grubych okularach, który trzymał się nieco w tyle, dźwigając sporą walizkę.

– Elizo, MontJohnie – odezwał się burmistrz Rudgutter, nie zwalniając tempa marszu. – Poznajcie, proszę, brata Sanchema Vansetty'ego, jednego z naszych

najzdolniejszych karcistów. – Rescue i Stem-Fulcher skinęli głowami. Vansetty zignorował ich całkowicie.

Nie każdy pokój w Strefie Dyplomatycznej był zajęty. Jednak na wielu drzwiach widniały mosiężne plakiety informujące, że za nimi rozpościera się suwerenne terytorium tego czy innego kraju – Tesh, Khadoh albo Gharcheltist – w postaci rozległych pokoi, niekiedy ciągnących się w pionie na kilka kondygnacji i stanowiących autonomiczne organizmy. Niektóre przedstawicielstwa były odległe od swych stolic o tysiące mil. Niektóre zawsze świeciły pustkami. Na przykład ambasador Tesh zgodnie z tradycją żył w Nowym Crobuzon jako włóczęga, kontaktując się ze swymi współpracownikami jedynie drogą pocztową. Rudgutter nigdy jeszcze go nie widział i wiedział, że nie zobaczy. Inne lokale zwolniły się z powodu braku funduszy lub zainteresowania.

Jednakże większość spraw, które załatwiano w Strefie, miała ogromne znaczenie. Przestrzeń oddana w użytkowanie posłom z Myrshock i Vadaunk powiększyła się znacznie na przestrzeni ostatnich kilku lat, ponieważ wymagał tego nawet prac biurowych towarzyszących ożywionej współpracy handlowej. Dodatkowe pokoje dobudowywano niekiedy na zewnątrz, przylepione jak rakowate narośle, wysoko na ścianach ponad zapuszczonym ogrodem.

Burmistrz i towarzyszący mu współpracownicy minęli drzwi opatrzone tabliczką z napisem „Przydenna Wspólnota Salkrikaltoru”. Korytarz trząsł się nieznacznie, przenosząc drgania ukrytej za ścianą, potężnej maszynerii. Wielkie pompy parowe pracowały codziennie przez długie godziny, pobierając dla ambasadora-skorupiaka świeżą wodę morską z odległej o piętnaście mil Zatoki Żelaznej i wyłaczając na zewnątrz, do rzeki, zużytą i brudną solankę.

Główny korytarz był dziwnym tworem – obserwowany pod jednym kątem wydawał się długi i wąski, pod innym zaś krótki i przestronny. Dochodziły doń liczne odnogi, często łączące się gdzieś w głębi budynku, a przy nich znajdowały się pomniejsze ambasady, zapomniane sklepiki i zabite deskami witryny. Przy końcu głównego traktu, za przedstawicielstwem skorupiaków, Rudgutter skręcił w jeden z owych bocznych korytarzyków – krótki, kręty i dość niski w miejscach, gdzie krzyżowały się z nim ciągi schodów. Czteroosobowa grupa stanęła w końcu przed niedużymi, nie oznaczonymi drzwiami.

Rudgutter obejrzał się, by mieć pewność, że nie są obserwowani. Widoczna część korytarza nie była długa – z całą pewnością byli sami.

Vansetty zaczął wyciągać z kieszeni kawałki kredy i różnobarwne pastele. Wyjął też zza pazuchy coś, co wyglądało jak zegarek, i otworzył pokrywkę. Tarcza urządzenia była podzielona w skomplikowany sposób na wiele drobnych części, wśród których sterczało siedem wskazówek o różnych długościach.

– Muszę obliczyć zmienne, panie burmistrzu – wymamrotał mężczyzna, wpatrując się w wyrafinowany mechanizm. Wydawało się, że przemawia bardziej do siebie niż do Rudguttera czy kogokolwiek innego. – Marne mamy dziś widoki... Front wysokiego ciśnienia przesuwają się w eterze... Może nieść burze energetyczne od otchłani po zeroprzestrzeń... Na granicach też raczej przesrane, cholera... – Vansetty zapisał coś na tylnej stronie notatnika. – Gotowe – rzucił, spoglądając na troje ministrów. Zaczął rysować zawile, stylizowane znaki na cienkim arkusiku papieru. Odrywał je kolejno i wręczał Stem-Fulcher, Rudgutterowi i Rescue, ostatni zaś zachował dla siebie. – Schować je na sercu – polecił, wciskając swój świstek za koszulę. – Symbolami na zewnątrz.

Otworzył poobijaną walizkę, wyjął z niej komplet grubych, ceramicznych diod. Stał pośrodku grupki i rozdał je pozostałym.

– Trzymać w lewej ręce. I nie upuścić... – Po chwili owinał całą czwórkę miedzianym drutem, którego koniec podłączył do przenośnego silnika wyciągniętego z walizki. Sprawdził ponownie odczyt dziwaczego zegarowego wskaźnika i pokręcił gałkami sterującymi z obudowy silnika. – W porządku. Przygotować się – powiedział i trącił dźwignię uruchamiającą mechanizm zegarowy.

Drobne, wielobarwne łuki energii przemknęły wzdłuż przewodów i masywnych diod. Niepozorny trójkąt prądów otoczył czworo przybyszów, jeżąc włosy na ich głowach. Rudgutter zaklął pod nosem.

– Mamy mniej więcej pół godziny, zanim mechanizm przestanie działać – rzucił pospiesznie Vansetty. – Trzeba się spieszyć.

Rudgutter wyciągnął przed siebie prawą rękę i otworzył drzwi. Weszli do środka, utrzymując zwarty i niezmienny szyk, by nie przerwać energetycznego trójkąta. Stem-Fulcher pchnęła za sobą drzwi, które zamknęły się z cichym trzaskiem.

Znaleźli się w zupełnie zaciemnionym pokoju. Póki Vansetty nie zawiesił sobie na szyi ciężkiego silnika i nie zapalił świecy, jedynym źródłem słabego blasku były wyładowania wzdłuż miedzianego przewodu. W słabym świetle pojedynczego płomienia zobaczyli, że brudny pokój ma co najwyżej dwanaście stóp długości i dziesięć szerokości, a całe jego wyposażenie stanowią kocioł przy drzwiach oraz stare biurko z krzesłem stojące pod przeciwległą ścianą. Nie było okien, półek ani niczego innego. Powietrze było wyjątkowo ciężkie.

Vansetty wydobył z torby niezwykłą, ręczną maszynę. Zawite sploty metalu, kabla i barwionego szkła tworzyły wręcz artystyczną kompozycję, lecz na jej podstawie trudno było określić, do czego służy to urządzenie. Vansetty wychylił się nieco poza pętlę energetyczną i podłączył maszynę do gniazdka w stojącym przy drzwiach kotle. Kiedy pociągnął dźwignię w górnej części jej obudowy, zaczęła brzęczeć z cicha i błyskać światłkami.

– Dawniej, zanim jeszcze ja wziąłem się za tę robotę, trzeba było składać żywą ofiarę – wyjaśnił, odwijając drut opasujący rękojeść urządzenia. – Ale my przecież nie jesteśmy dzikusami, prawda? Nauka to cudowna rzecz. To maleństwo – dodał, gładząc czule metalowy korpus – jest w istocie wzmacniaczem. Zwiększa moc wyjściową maszyny o dwieście procent, może dwieście dziesięć, a jednocześnie nadaje jej formę energii eterycznej. Włacza ją w ten oto drut i... – Vansetty cisnął rozwinięty przewód w najdalszy kąt małego pokoju, za biurko. – Proszę bardzo! Mamy ofiarę bez składania ofiary!

Wyszczrzył zęby w triumfalnym uśmiechu i skupił się na manipulowaniu pokrętłami maszyny.

– Nie trzeba już też uczyć się żadnych głupich języków – mruknął, dostrajając urządzenie. – Nagle jego głos stwardniał i przybrał na sile. – Nie jesteśmy otchłanautami i absolutnie nie dysponujemy tutaj mocą, która pozwalałaby nam na skok transplandropiczny. Wszystko, co możemy zrobić, to uchylić małe okienko, przez które odwiedzą nas Piekielni. Niemniej jednak aura tego pokoju stanie się na jakiś czas bardzo niestabilna, proszę więc trzymać się we wnętrzu osłony i nie próbować żadnych głupot. Rozumiemy się?

Palce Vansetty'ego coraz szybciej przebiegały po gałkach urządzenia, ale poza pohukiwaniem i rosnącą temperaturą kotła oraz stukotem i piskiem maszynki w zasadzie nic się nie działo. Rudgutter zaczął przytupywać niecierpliwie.

I nagle w pokoju zrobiło się gorąco.

Basowy dźwięk rozbrzmiewający poniżej progu słyszalności wprawił podłogę w drżenie. Ciemność przeszyło czerwone światło, a w powietrzu przemknęła smużka

oleistego dymu. Dźwięki były przez moment stłumione, a potem odzyskały zwyczajną ostrość.

Wszystkie te zjawiska działały dezorientująco; zwłaszcza plamy czerwonego blasku pełzające po wszystkich powierzchniach powodowały, że obraz sprawiał wrażenie przefiltrowanego przez wodę zabarwioną krwią.

Coś zatrzepotało w mroku. Rudgutter uniósł głowę, mrużąc oczy w powietrzu, które nagle stało się suche i zapyłone.

Za biurkiem pojawił się mężczyzna w nieskazitelnie czarnym garniturze.

Pochyliwszy się nieznacznie, oparł łokcie na papierach, które równie niespodziewanie zaistniały na blacie, i czekał.

Vansetty wychylił się ponad ramieniem Rescue i wskazał palcem na milczącą postać.

– Jego Diabelska Ekscelencja – obwieścił – ambasador Piekła. – Burmistrz Rudgutter – rzekł demon przyjemnym, niskim głosem. – Jak miło znowu pana widzieć. Właśnie zaczynałem papierkową robotę.

– Czworo ludzi poczuło się nagle bardzo nieswojo. Słowom ambasadora towarzyszyło bowiem echo. Rozległo się z półsekundowym opóźnieniem i powtórzyło jego wypowiedź przerażającym głosem torturowanej istoty. Wrzask ten nie był zbyt głośny; wydawało się, jakby docierał do skromnego pokoju przez ciągnącą się milami strefę nieziemskiego upału, z samego dna piekielnej otchłani. – Czym mogę służyć? – ciągnął uprzejmie ambasador. („Czym mogę służyć?”, rozległ się bezduszny, żaloszny jęk).

– Nadal próbuje pan się dowiedzieć, czy dołączy do nas, dokonawszy żywota? – spytał z uśmiechem.

Rudgutter odwzajemnił uśmiech i pokręcił głową.

– Przecież zna pan mój pogląd na tę sprawę, ambasadorze – odparł spokojnie. – Obawiam się, że nie dam się wciągnąć w tę grę. Nie wywoła pan we mnie egzystencjalnego lęku. – Burmistrz roześmiał się lekko. Ambasador zawtórował mu równie dystyngowanie, a zaraz potem uczyniło to przerażające echo. – Moja dusza, jeśli w ogóle istnieje, należy do mnie. Nie waszą rzeczą jest karać ją czy jej pożądać. Wszechświat jest znacznie bardziej kapryśnym miejscem, niż się panu wydaje... Przecież pytałem już kiedyś, co, pańskim zdaniem, dzieje się po śmierci z demonami? Obaj wiemy, że nie jesteście nieśmiertelni.

Ambasador pochylił głowę w uprzejmym sprzeciwie.

– Ależ z pana modernista, burmistrzu Rudgutter – odpowiedział po chwili. – Nie zamierzam sprzeczać się z panem. Proszę jednak pamiętać, że moja oferta jest wciąż aktualna.

Zniecierpliwiony Rudgutter machnął ręką. Panował nad sobą. Nie krzywił się odruchowo, gdy żaloszne jęki powtarzały słowa ambasadora. Nie pozwolił sobie też na niepokój, gdy na jego oczach wizerunek demona siedzącego na krześle zamigotał srebrzyście i... zmienił się w coś innego.

Doświadczając już podobnych wrażeń. Za każdym razem gdy mrugnął, obraz pokoju i jego lokatora na ułamek sekundy przeistaczał się w coś nowego. Rudgutter widział wtedy przez powieki klatkę z żelaznych prętów wijących się jak węże; wyładowania niewiarygodnej mocy i niszczycielskie fale gorąca. Postać ambasadora zastępowało zaś monstrum o głowie hieny, z wywalonym jęzorem, piersiami porośniętymi zębami, kopytami i morderczymi szponami.

Stęchłe powietrze nie pozwalało na zbyt długie pozostawanie z otwartymi oczami: Rudgutter musiał opuszczać powieki. Ignorował jednak krótkotrwałe wizje,

traktując ambasadora z niezmiennym, ostrożnym respektem. Demon zachowywał się podobnie.

– Ambasadorze, przyszedłem tu z dwóch powodów. Po pierwsze i najważniejsze, pragnę przekazać pańskiemu władcy, Jego Diabolicznej Wysokości, Carowi Piekła, wyrazy szacunku w imieniu obywateli Nowego Crobuzon... którzy naturalnie nie wiedzą, że tu jestem. – Ambasador uprzejmie skinął głową. – Po drugie, potrzebuję pańskiej rady.

– Zawsze z niezmierną radością pomagamy naszym sąsiadom, burmistrz Rudgutter. Zwłaszcza takim jak pan, z którymi Jego Wysokość utrzymuje tak dobre stosunki. – Ambasador umilkł i czekał, machinalnie pocierając palcami brodę.

– Dwadzieścia minut – syknął Vansetty wprost do ucha Rudguttera. Burmistrz złożył dłonie jak do modlitwy i z powagą spojrział na ambasadora. Czuł bijące od niego lekkie fale mocy.

– Widzi pan, ambasadorze, mamy pewien problem. Mamy powody wierzyć, że doszło do... ucieczki, że tak to nazwę. Straciliśmy coś, co bardzo chcielibyśmy odzyskać. Chcę prosić o waszą pomoc, panie ambasadorze.

– O co konkretnie, burmistrzu Rudgutter? O Prawdziwe Odpowiedzi? Na zwykłych warunkach?

– Prawdziwe Odpowiedzi... i może coś jeszcze. Zobaczymy.

– Płatne natychmiast czy później? – indagował demon.

– Ambasadorze – upomniał go grzecznie Rudgutter. – Pańska pamięć bywa niekiedy zawodna. Mam u pana dług wartości dwóch pytań.

Ambasador przez moment mierzył go wzrokiem, a potem roześmiał się głośno.

– W rzeczy samej, burmistrzu Rudgutter. Proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny. Zechce pan mówić dalej.

– Czy w tej chwili obowiązują nas jakieś szczególne zasady, panie ambasadorze? – spytał rzeczowo burmistrz. Demon potrząsnął głową (mięsisty jęzor hieny zakołysał się na boki) i uśmiechnął się.

– Mamy meluar, burmistrzu Rudgutter – przypomniał. – Obowiązują więc meluarowe zasady: siedem słów, szyk odwrotny.

Rudgutter skinął głową. Zebrał się w sobie, koncentrując myśli na czekającym go zadaniu. „Żebym się tylko nie pomylił. Przekłęta, infantylna zabawa” – pomyślał przelotnie. A potem przemówił, spoglądając spokojnie w oczy ambasadora.

– Obawiamy się tak czego, to uciekło naprawdę czy?

– Tak – odparł bez wahania demon.

Rudgutter odwrócił się na krótką chwilę, by spojrzeć znacząco na Stem-Fulcher i Rescue. Oboje ponuro skinęli głowami.

Burmistrz popatrzył znowu na demona-ambasadora i przez moment nikt się nie odzywał.

– Piętnaście minut – syknął wreszcie Vansetty.

– Moi bardziej... staroświeccy koledzy nie kryliby zdziwienia, gdyby wiedzieli, iż policzyłem panu „obawiamy się” jako jedno słowo – zauważył ambasador. – Ale ja jestem liberałem – dodał z uśmiechem. – Chciałby pan zadać od razu ostatnie pytanie?

– Raczej nie, ambasadorze. Zostawmy to na inną okazję. Wolałbym złożyć panu propozycję.

– Proszę mówić, burmistrzu Rudgutter.

– No cóż, wie pan już, co nam uciekło, i z pewnością rozumie pan, jak bardzo nam zależy na błyskawicznym zapanowaniu nad sytuacją. – Demon skinął głową. – Pojmuje pan też, naturalnie, że jakiegokolwiek posunięcia z naszej strony byłyby

niezwykle trudne, a czas jest czynnikiem najwyższej wagi... Dlatego proponuję, żeby wypożyczył nam pan swoich... eee... żołnierzy. Z ich pomocą moglibyśmy schwytać uciekinierów.

– Nie – odpowiedział zwięźle ambasador. Rudgutter zatrzepotał powiekami.

– Jeszcze nie zaczęliśmy dyskutować o warunkach ugody, ambasadorze. Zapewniam, że jesteśmy gotowi złożyć bardzo hojną ofertę...

– Obawiam się, że to wykluczone. Żaden z moich podwładnych nie jest w tej chwili osiągalny. – Ambasador mierzył burmistrza beznamiętnym wzrokiem.

Rudgutter zamyślił się. Jeżeli reakcja demona była próbą targowania się, to pierwszy raz w jego karierze zaczynała się w tak zaskakujący sposób. Burmistrz przymknął oczy, coraz głębiej pogrążając się w zadumie, i otworzył je natychmiast, gdy zobaczył przed sobą potwora, będącego jedną z wielu cielesnych postaci ambasadora. Postanowił spróbować jeszcze raz.

– Mógłbym nawet posunąć się do... powiedzmy...

– Burmistrzu Rudgutter, pan mnie nie zrozumiał – przerwał mu ambasador. Mimo obojętności w głosie sprawiał wrażenie poruszonego. – Nie obchodzi mnie, ile jednostek towaru może pan zaoferować w zamian i na jakich warunkach. Moi podwładni nie są osiągalni, ponieważ to zlecenie nie jest dla nich odpowiednie. – Na długą chwilę zapadła cisza. Rudgutter spoglądał na siedzącego naprzeciwko demona z niemym niedowierzaniem. Teraz dopiero zaczynał rozumieć, o co chodzi. W promieniach krwistoczerwonego światła ambasador uchylił szufladę i zaczął wyjmować z niej pliki papierów. – Jeżeli to już wszystko, burmistrzu Rudgutter – pociągnął gładko – to chciałbym teraz zająć się pracą.

Rudgutter odczekał moment, aż jęśliwe „pracą, pracą, pracą” ucichnie w jego umyśle. Echo zaczynało już przyprawiać go o ból brzucha.

– Ależ oczywiście, ambasadorze – odparł. – Przepraszam, że tak długo pana zatrzymałem. Mam nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy.

Ambasador uklonił się z szacunkiem, a potem wysunął z kieszeni pióro i zaczął składać podpisy na niezliczonych arkuszach papieru. Vansetty, stojący tuż za Rudgutterem, kręcił już gałkami aparatu i wciskał klawisze. Podłoga zachybotwała, jakby rozpoczynało się trzęsienie ziemi. Buczenie maszyny przybrało na sile, a pole energetyczne rozciągnięte dokoła czworga ludzi poczęło drżeć. Nawet śmierdzące powietrze zdawało się wpadać w wibracje.

Wizerunek ambasadora wybrzuszył się nagle i zniknął w mgnieniu oka, jak heliotyp strawiony ogniem. Karminowe światło także rozrzedziło się i zgasło, jak gdyby nieznaną siłą wysysała je przez tysiące niewidzialnych pęknięć w ścianach. Ciemność zamknęła się wokół ludzi jak pułapka. Płomień świeczki Vansetty'ego zadrżał i zgasł.

Upewniwszy się po raz drugi, że nie są obserwowani, Vansetty, Rudgutter, Stem-Fulcher i Rescue niepewnie wyłonili się z mrocznego pomieszczenia. Powietrze korytarza wydało im się cudownie rześkie. Przez chwilę oddychali głęboko, ocierając pot z czoła i poprawiając odzież potarganą podmuchami wiatru z innego świata.

Wreszcie posepny Rudgutter w zdumieniu potrząsnął głową.

Jego ministrowie, którzy zdążyli już doprowadzić się do porządku, spojrzeli na niego pytająco.

– W ciągu ostatnich dziesięciu lat spotykałem się z ambasadorem z tuzin razy – rzekł burmistrz. – Ale nigdy jeszcze nie widziałem, by zachowywał się w taki sposób. Cholerne powietrze! – zawołał, z irytacją przecierając oczy.

Ruszyli we czworo w powrotną drogę wąskim korytarzem, skręcili w główny i skierowali się ku najbliższej windzie.

– To znaczy, jak się zachowywał? – spytała Stem-Fulcher. – Dzisiaj widziałam go dopiero drugi raz, raczej jeszcze nie przywykłam.

Rudgutter zastanawiał się nad odpowiedzią, niespokojnie szarpiąc palcami dolną wargę i czubek bródki. Jego oczy były znacznie bardziej przekrwione niż zwykle. Milczał przez dłuższą chwilę.

– Trzeba tu powiedzieć o dwóch sprawach: jedna dotyczy demonologii, a druga spraw bieżących i praktycznych. – Mówił spokojnym, zdecydowanym tonem, przykuwającym uwagę ministrów. Tylko Vansetty, który uważał swoją misję za zakończoną, szedł obojętnie o kilka kroków przed nimi. – Rzecz pierwsza może dać nam pewien pogląd na psychikę Piekielnych, ich zachowanie, czy jak to tam nazwiemy. Oboje słyszeliście echo, jak sądzę. Przez pewien czas sądziłem, że ambasador próbuje mnie w ten sposób zastraszyć. Pamiętajcie jednak o tym, jak ogromny dystans musiały pokonać te dźwięki. Wiem – dodał szybko, unosząc dłonie – że nie jest to dźwięk w precyzyjnym tego słowa znaczeniu i że dystans oznaczać tu może coś zgoła niepojętego, ale musimy trzymać się pewnych analogii, które w każdych warunkach niosą w sobie ziarno prawdy. Tak więc miejcie na uwadze to, jak wielką odległość musiał ów sygnał pokonać z dna Otchłani do tego pokoju. Jeżeli uwzględnimy tę okoliczność, okaże się, że w rzeczywistości „echo” to słowa wypowiedziane wcześniej. Natomiast elokwencja naszego gospodarza... to ona jest w istocie echem tamtych jęków. To ona jest zniekształconą kopią.

Stem-Fulcher i Rescue milczeli. Wciąż jeszcze świeże w ich pamięci były wrzaski torturowanej istoty, maniakalne ryki, zawrozczenie cierpiącego idioty, które zdawały się kpić z diabelskiego wyrafinowania ambasadora...

Teraz dopiero zaczęli sobie uświadamiać, że być może to one były głosem prawdy.

– Zastanawiam się, czy nie myliliśmy się, podejrzewając zupełnie odmienną konstrukcję psychiczną Piekielnych. Może jednak jesteśmy w stanie ich zrozumieć? Może myślą tak jak my? Po drugie, jeśli weźmiemy pod uwagę tę możliwość oraz to, co tak zwane „echo” powiedziało nam o stanie umysłu demonów, zwłaszcza wtedy, gdy próbowałem negocjować, powiedziałbym, że... ambasador się bał. To dlatego nie chciał przyjść nam z pomocą. I dlatego zostaliśmy sami. Demony boją się tego, na co zamierzamy zapolować. – Rudgutter zatrzymał się i spojrzał na współpracowników. Twarz Stem-Fulcher wykrzywił na moment nieokreślony grymas, ale szybko zapanowała nad sobą. Rescue był zimny jak posąg, lecz mimowolnie otulił się mocniej szalikiem. Burmistrz skinął głową. Cisza trwała jeszcze minutę. – Tak więc... – odezwał się w końcu Rudgutter, nerwowo zacierając ręce – pozostaje nam tylko Tkacz.

ROZDZIAŁ 25

Tej nocy, w mrocznej godzinie zaraz po przelotnym deszczu, który zbryzgał miasto potokami brudnej wody, drzwi magazynu Isaaca otworzyły się cicho. Ulica była pusta i przez kilka minut nic się nie działo, jeśli nie liczyć łopotu skrzydeł przelatujących z rzadka ptaków i nietoperzy. Płomienie dalekich latarni gazowych drżały niepewnie.

Konstrukt wytoczył się chwiejnie na ciemną ulicę. Jego zawory i tłoki spowijały kawałki szmat i starego koca, skutecznie zagłuszając charakterystyczny klekot maszyny. Automat spieszył się, buksując niepewnie na starzejących się kołach.

Wtoczył się w gąszcz bocznych uliczek, omijając łukiem śpiących, nieświadomych niczego pijaków. Palniki gazowe ukryte w metalowym ciele konstruktury rozświetlały je od środka bladożółtą poświatą.

Automat skręcił gwałtownie i ruszył wzdłuż wiaduktu napowietrznej kolei. Rozciągnięte wiatrem smugi cirrusów ukrywały krążące nad miastem sterowce. Konstruktor, niczym mechaniczny różdżkarz, uparcie kierował się ku Smole, rzece uwięzionej w korycie ponadczasowych skał, dzielących Nowe Crobuzon jak pręga po uderzeniu gigantycznego bicia.

Zniknął wreszcie na kilka godzin gdzieś za mostem Sheer, jadąc ku południowym dzielnicom miasta. Pojawił się w tym samym miejscu, gdy świt zaczynał już rozjaśniać niebo, i pełną mocą silnika pospieszył z powrotem ku Brock Marsh. Przejawił tym samym wyjątkowo dobre wyczucie czasu, ponieważ gdy tylko zdążył wjechać do magazynu i zaryglować za sobą drzwi, Isaac powrócił z całonocnych poszukiwań Davida, Lin, Yagharka, Lemuela Pigeona i wszystkich innych osób, które, jak sądził, mogłyby mu pomóc.

Lublamai spoczywał na zaimprovizowanym pościeli, które Isaac przygotował dla niego z kilku zestawionych krzesel. Powróciwszy do laboratorium, Grimnebulin natychmiast podbiegł doń, szepcząc bez nadziei jego imię, ale szybko przekonał się, że nic się nie zmieniło: Lublamai nie spał, ale i nie był przytomny; po prostu leżał nieruchomo, gapiąc się w przestrzeń.

Nie minęło wiele czasu, nim do laboratorium wpadł jak burza David. Zmierzał właśnie do jednego ze swych ulubionych lokali, kiedy dotarła do niego niepokojąca i niejasna wiadomość pozostawiana przez Isaaca w niezliczonych punktach miasta.

Usiadł bez słowa przy Grimnebulinie, wpatrując się w leżącego bez zmysłów przyjaciela.

– Nie do wiary, że zezwoliłem ci na coś takiego – rzekł matowym głosem.

– Na Jabbera, Davidzie... Sądzisz, że nie zastanawiam się nad tym wciąż i od nowa? Przecież to ja pozwoliłem uciec tej przeklętej...

– Wszyscy powinniśmy być bardziej przewidujący – przerwał mu Serachin. – Umilkli na długie minuty. – Sprowadziłeś lekarza? – spytał w końcu David.

– Prawie natychmiast. Phorgita, tego z przeciwka, kiedyś już miałem z nim do czynienia. Wytarłem trochę Luba, oczyściłem mu twarz z tego lepkiego gówna... Phorgit oczywiście nie wiedział, co o tym myśleć. Podłączył się z bogowie wiedzą jakim sprzętem, nie pamiętam nawet, ile zrobił odczytów... a wszystko to podsumował krótko: „Nie mam pojęcia”. Powiedział: „Proszę go ogrzewać i karmić, chyba że wolałby pan trzymać go w chłodzie i nie dawać nic do jedzenia...” Mógłbym sprowadzić kogoś z uniwersytetu, żeby rzucił okiem na Luba, ale nie robię sobie wielkich nadziei...

– Co ona mu zrobiła?

– Dobre pytanie, Davidzie. Bardzo dobre. To jest właśnie sedno tej kurewskiej sprawy.

Kolejną chwilę ponurego milczenia przerwało niepewne stukanie w resztkę rozbitej szyby tkwiącą jeszcze w oknie. Isaac i David odwrócili się, by ujrzeć Miętafiksa strachliwie wtykającego do środka swój paskudny pysk.

– Diabli nadali... – mruknął zirytowany Grimnebulin. – Słuchaj no, Miętafiksie, wpadłeś w nie najlepszym momencie, kapujesz? Pogadamy później, dobrze?

– Tak tylko zaglądam, szefuniu... – Drżący głos wyrmena w niczym nie przypominał jego normalnego, entuzjastycznego skrzeczenia. – Chciałem sprawdzić, co z panem Lublubem.

– Co? – spytał Isaac, wstając gwałtownie. – Jak to co?

Miętafix cofnął się nieco, spłoszony, i jęknął z cicha.

– Nie krzycz, mistrzuniu. To nie moja wina... Chciałem sprawdzić, czy Lublub lepiej się czuje po tym, jak ten wielki skurwiel wyżarł mu twarz.

– Miętafiksie, ty tu byłeś?!

Wyrmen smętnie kiwnął głową i przysunął się o krok bliżej, wciąż balansując na okiennej ramie.

– Co tu się stało? Nie mamy nic do ciebie, Miętafiksie... Chcemy tylko, żebyś nam opowiedział, co widziałeś – poprosił Isaac.

Miętafix pociągnął nosem i żałośnie zwiesił łeb. Potem po dziecinnemu wyjął wargi, skrzywił się i wybuchnął gwałtownym potokiem słów.

– Wielki sukinsyn schodzi po schodach, tłukąc tymi strasznymi skrzydłami i trzaskając ogromnymi zębiskami... i... i... wszędzie ma pazury i taki wielki, lepki język... i ja wtedy... a pan Lublub... spojrział w lustro... a kiedy się odwrócił i zobaczył go... to zgłupiał... widziałem... zakreśliło mi się we łbie, a jak mi przeszło, to zobaczyłem... jak wcisnął panu Łubowi język do gardła i... chlup, chlup, usłyszałem w środku, w głowie i wtedy... dałem nogę, bo nic nie mogłem zrobić, przysięgam!... Tak się boję... – Wyrmen rozkleił się do reszty, zalał się łzami i glutami jak skarcony kłapsem dwulatek.

Kiedy Lemuel Pigeon dotarł na miejsce, Miętafix jeszcze szlochał i nie pomagały mu ani słowa pocieszenia, ani groźby, ani łapówki. Wreszcie wyrmen zasnął, zwinęty w kłębek na upapranej smarkami kołdrze – i tym razem dokładnie tak, jak zrobiłoby to wyczerpane ludzkie dziecko.

– Widzę, że zwabiłeś mnie tu podstępem. Powiedziano mi, że nie pożałuję, jeśli natychmiast odwiedzę twoje laboratorium. – Lemuel spojrział pytająco na Grimnebulina.

– Do ciężkiej cholery, Pigeon, ty pieprzony kombinatorze – wrzasnął na niego Isaac. – Tylko to cię obchodzi? Nie martw się, sukinsynu, dostaniesz, co ci się należy! Teraz lepiej? A teraz mnie, kurwa, posłuchaj... Ktoś został zaatakowany przez coś, co wylęzło się z poczwarki, którą ty mi załatwiłeś. Musimy powstrzymać tę istotę, zanim zrobi krzywdę innym ludziom. Musimy czegoś się o niej dowiedzieć, a w tym celu przede wszystkim wypadaloby ustalić, skąd się wzięła, i to jak najszybciej. Nadążasz za mną chłopie?

Lemuel nie dał się zastraszyć wybuchem Isaaca.

– Słuchaj, chyba nie winisz mnie za to, co się stało... – zaczął, ale Grimnebulin przerwał mu, kipiąc od gniewu.

– Na Diabli Ogon, nikt cię nie wini, kretynie! Wręcz przeciwnie! Chcę tylko powiedzieć, że jesteś stanowczo zbyt dobrym biznesmenem, żeby nie prowadzić zapisków na temat dostaw, które otrzymujesz. Teraz musisz tylko do nich zajrzeć i podać mi nazwisko tego, kto dostarczył ci tę wielką tłustą gąsienicę. Pamiętasz ją? Tę w dziwacznych, jaskrawych kolorach.

– Mniej więcej pamiętam.

– To świetnie – wycedził Isaac nieco spokojniejszym tonem. Po chwili westchnął potężnie i przeciągnął dłońmi po twarzy. – Lemuelu, potrzebuję twojej pomocy – przyznał wprost. – Zapłacę ci... ale też błagam, żebyś to zrobił. Naprawdę musisz. Wysłuchaj mnie i zrozum dobrze – rzekł, patrząc prosto w oczy Pigeona. – Możliwe, że to diabelstwo już zdechło. Możliwe, że żyje tylko jeden dzień, jak motyle. Możliwe, że Lub ocknie się jutro rześki jak skowronek. Ale możliwe jest i to, że tak się nie stanie. Dlatego chcę wiedzieć, po pierwsze – Isaac wyprostował gruby paluch – w jaki sposób obudzić Lublamaia. Po drugie: czym właściwie jest to bydlę, które tak go

urządziło. Jedyne opis, jaki słyszałem, był raczej bełkotliwy – wyjaśnił, spoglądając na śpiącego w kącie wyrmena. – I po trzecie: w jaki sposób możemy je złapać.

Lemuel patrzył na niego z kamienną twarzą. Powoli, ostentacyjnie wyjął z kieszeni tabakierę, otworzył ją i mocno pociągnął nosem. Grimnebulin zacisnął i rozluźnił pięści.

– W porządku, Zaac – oznajmił cicho Pigeon, chowając małe, zdobione drogimi kamieniami puzderko. – Zobaczę, co się da zrobić. Będziemy w kontakcie. Musisz jednak pamiętać, że ja nie jestem dobroczyńcą Isaacu. Jestem człowiekiem interesu, a ty moim klientem. Muszę coś z tego mieć. Wystawię rachunek, zgoda?

Zrezygnowany Grimnebulin kiwnął głową. W głosie Lemuela nie było gniewu, urazy czy złośliwości, a jedynie prawda o pobudkach, którymi się kierował. Uczony wiedział, że gdyby pośrednikowi bardziej opłacało się niezidentyfikowanie dostawcy larwy, po prostu nie kiwnąłby palcem w tej sprawie.

*

– Panie burmistrzu. – Eliza Stem-Fulcher energicznym krokiem weszła do Sali Lemquista. Rudgutter z nadzieją uniósł głowę. Kobieta rzuciła cienką gazetkę na stół, przy którym siedział. – Mamy ślad.

*

Miętafix odleciał, gdy tylko się obudził i wysłuchał kolejnej serii zapewnień Davida i Isaaca, iż nikt nie uważa go za winnego. Z nadejściem wieczoru w starym magazynie przy ulicy Wioślarzy zapadła złowroga cisza.

David karmił Lublamaia, nabierając łyżeczką kompot z tartych owoców, wsuwał do ust nieprzytomnego i masował przetyk, by przepchnąć pokarm dalej. Isaac przechadzał się po sali w tę i z powrotem, bez żadnego celu. Miał nadzieję, że Lin wróci wkrótce do domu, znajdzie notatkę przyklejoną do drzwi i pospieszy do Brock Marsh. „Gdyby nie to, że rozpozna moje pismo” – pomyślał kwaśno – „mogłaby uznać, że to czyjś kiepski żart”. Zaproszenie do laboratorium było niesłuchaną rewolucją w ich stosunkach. Grimnebulin jednak czuł, że musi zobaczyć swoją kobietę, a jednocześnie obawiał się, że jeśli choć na chwilę opuści stary magazyn, nie będzie świadkiem znaczącej zmiany w stanie zdrowia Lublamaia lub nie doczeka się ważnej i pilnej informacji.

Ktoś otworzył drzwi i David z Isaakiem jednocześnie odwrócili głowy w stronę wejścia.

Na progu stał Yagharek.

Isaac osłupiał. Po raz pierwszy zdarzyło się, by garuda zjawił się w chwili, gdy David – oraz Lublamai, choć tym razem fakt ten miał jakby mniejsze znaczenie – byli obecni w laboratorium. Serachin wpatrywał się intensywnie w garudę, skulonego pod obdartym płaszczem kryjącym fałszywe skrzydła.

– Yag, przyjacielu – odezwał się w końcu ponuro Isaac. – Proszę, poznaj Davida. Mamy tu małą... katastrofę – wyjaśnił, człapiąc ociężale w stronę drzwi.

Yagharek czekał na niego na progu, nie bardzo wiedząc, czy lepiej byłoby wejść, czy pozostać na zewnątrz. Nie odzywał się, póki uczoney nie znalazł się na tyle blisko, by usłyszeć szept – dziwny i podobny do gulgotania duszonego ptaka.

– Nie przyszedłbym, Grimnebulin, gdybym wiedział... Nie chcę, żeby ktoś mnie tu widział. – Isaac szybko stracił cierpliwość. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Yagharek nie dał mu dojść do słowa. – Ja... słyszałem o różnych sprawach. Wyczułem... fatum nad tym domem. Nikt, ani ty, ani żaden z twoich przyjaciół, nie opuszczał magazynu przez cały dzień.

Isaac parsknął śmiechem.

– Czekales na to, co? Czekales na wolną drogę, mam rację? Tylko po to, żeby zachować tę twoją bezcenną anonimowość... – Mężczyzna spał się w sobie, by zapanować nad emocjami. – Słuchaj no, Yag. Jak powiedziałem, mamy tu coś w rodzaju katastrofy i naprawdę nie mam czasu i ochoty na... cackanie się z tobą. Obawiam się, że nasze wspólne przedsięwzięcie zostaje zawieszona na pewien czas...

Yagharek gwałtownie wciągnął powietrze i jęknął przeciągle.

– Nie możesz... – zaskrzeczał cicho. – Nie możesz mnie zostawić...

– Do diabła! – Isaac chwycił Yagharka za poły płaszcza i wciągnął do środka. – Spójrz na niego! – zawołał, stawiając garudę przed posłaniem, na którym spoczywał w bezruchu Lublamai, zapatrzony w sufit i śliniący się obficie. Popychał Yagharka energicznie, ale bez niepotrzebnej gwałtowności. Garudowie byli chudzi i żyłaści, znacznie mocniejsi niż mogłoby się wydawać, lecz ich szczupłe ciała o pustych kościach nie mogły równać się pod względem masy czy siły z ciałami dobrze zbudowanych ludzi. Jednak nie to było główną przyczyną, dla której Isaac powstrzymywał się od przemocy. Owszem, obaj z Yagharkiem byli rozdrażnieni, ale nie był to nastrój wojny.

Mężczyzna wyczuwał, że w duszy jego klienta toczy się wewnętrzna walka między ciekawością wydarzeń, do których doszło w laboratorium, a ostrożnością nakazującą unikanie kontaktu z obcymi.

Isaac wyciągnął rękę w kierunku Lublamaia. David nie przestawał przyglądać się garudzie, który ignorował go całkowicie.

– Ta pieprzona gąsienica, którą ci pokazywałem – rzekł Grimnebulin – zamieniła się w coś dziwnego i zrobiła mojemu przyjacielowi to, co widzisz. Widziałeś kiedy kogoś w podobnym stanie? – Yagharek wolno pokręcił głową. – Rozumiesz więc, w jakiej jestem sytuacji – dodał Isaac z ciężkim westchnieniem. – Obawiam się, że dopóki nie odkryję, co takiego, na zadek Jabbera, z mojej winy znalazło się na wolności, i dopóki nie ściągnę Lublamaia z powrotem do tego świata... problemy lotu i maszyny kryzysowej będę musiał odstawić na mniejszy palnik, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Pozwalasz, żeby moja hańba... – jęknął Yagharek, ale Isaac przerwał mu pospiesznie.

– David już wie o twojej tak zwanej hańbie, Yag! – zawołał. – I nie patrz tak na mnie! Taka jest moja metoda pracy. David jest moim kolegą i może tylko dzięki temu robię w ogóle jakieś postępy w twojej sprawie...

Serachin spoglądał na niego badawczo.

– Co takiego? – syknął. – Maszyna kryzysowa...?

Isaac z irytacją potrząsnął głową, jakby odganiał natrętnego komara krążącego mu koło ucha.

– Robię postępy w fizyce kryzysowej. Później ci opowiem.

David skinął głową, zgadzając się z tym, że nie jest to najodpowiedniejsza pora na dyskusje naukowe, ale w jego wylupiastych oczach widać było zdumienie. „Tylko tyle?” – zdawały się pytać ironicznie.

Yagharek tymczasem wyglądał na jeszcze bardziej zdenerwowanego i jeszcze bardziej rozżalonego niż poprzednio.

– Ależ ja... potrzebuję twojej pomocy i... – zaczął.

– Owszem, podobnie jak Lublamai! – zagrział Isaac. – Tylko że jego przypadek, niestety, liczy się dla mnie o wiele bardziej! – Po chwili jego głos złagodniał nieco. – Nie zostawiam cię, Yag. Nie zamierzam porzucić twojej sprawy. Rzecz w tym, że w tej chwili po prostu nie mogę poświęcić jej wiele uwagi – wyjaśnił i umilkł, żeby zebrać myśli. – Jeśli chcesz, żebym powrócił do niej jak najszybciej, możesz mi pomóc... Przestań wreszcie znikać, do cholery. Zostań tutaj i pomóż nam rozwiązać tę pieprzoną zagadkę. Tylko w taki sposób możesz sprawić, że prędzej zajmiemy się tajemnicą lotu.

David spojrział na Isaaca pytająco. Teraz z jego oczu można było wyczytać pytanie: „Czy na pewno wiesz co robisz?” Grimnebulin przechwycił to spojrzenie i wściekł się jeszcze bardziej, ale opanował się zaraz i pociągnął dalej.

– Możesz tu spać i jeść... David nie będzie miał nic przeciwko temu, przecież nawet tu nie mieszka, w przeciwieństwie do mnie. A kiedy już dowiemy się czegoś, może... może znajdziemy dla ciebie jakieś zadanie. Rozumiesz, o co mi chodzi? Możesz się przydać, Yagharek. Cholernie się przydać. Im szybciej załatwimy tę sprawę, tym szybciej powrócimy do naszego projektu. Kapujesz?

Yagharek był przygnębiony. Minęło ładnych parę minut, zanim zebrał dość sił, by odpowiedzieć, a i wtedy jedynie skinął głową i mruknął cicho, że zgadza się pozostać w magazynie. Jasne było jednak to, że wciąż jeszcze myśli wyłącznie o badaniach, które miały mu przywrócić zdolność latania. Isaac z trudem godził się na taką postawę, ale starał się wykrzesać z siebie odrobinę wyrozumiałości. Kara, która spadła na Yagharkę, była ciężkim doświadczeniem nie tylko fizycznym, ale i psychicznym – spętała jego duszę jak potężny łańcuch. Garuda działał więc samolubnie, ale miał ku temu powody.

Skulony na fotelu David wkrótce zasnął, wyczerpany i zrozpaczony. Isaac siedział przy Lublamaiu, który właśnie strawił i wydalil porcję owoców – pierwszym nieprzyjemnym obowiązkiem czuwającego było więc uprzątnięcie cuchnącego gówna.

Isaac zwinął brudne ubranie i cisnął do jednego z pieców pracujących bez przerwy w laboratorium. Pomyślał o Lin. Miał nadzieję, że wkrótce ją zobaczy.

Zdał sobie sprawę, jak bardzo za nią tęskni.

ROZDZIAŁ 26

Noc nie była spokojna.

Nad ranem, na krótko przed świtem i tuż po wschodzie słońca, znaleziono kolejne ciała pogrążone w kretyńskim transie. Tym razem było ich pięć. Dwaj włóczędzy, którzy szukali schronienia pod mostami Gross Coil. Piekarz wracający do domu z nocnej zmiany w Nigh Sump. Lekarz w Vaudois Hill. Kobieta prowadząca barkę w pobliżu Kruczych Wrót. Ataki nastąpiły w przypadkowych miejscach, na północy, wschodzie, zachodzie i południu miasta. Żaden zakątek Nowego Crobuzon nie był już bezpieczny.

Lin spała fatalnie. Wzruszyła ją kartka od Isaaca i myśl o tym, że musiał przebyć całe miasto, by włożyć pod drzwi ten skrawek papieru, ale jednocześnie poczuła

niepokój. W paru zdaniach nakreślonych jego ręką był ślad hysterii, a zatrważające błaganie, by jak najszybciej przybyła do laboratorium, zupełnie nie leżało w charakterze jej kochanka.

Tak czy inaczej, pospieszyłaby na wezwanie, gdyby nie to, że wróciła do Żmijowej Nory zbyt późno, by podejmować jakąkolwiek ekspedycję w głąb miasta. Nie pracowała tego dnia. Z samego rana, gdy tylko wstała, znalazła na progu wiadomość:

„Naglące sprawy wielkiej wagi zmuszają mnie do odłożenia naszych spotkań. Zawiadomę, gdy tylko będę gotów przyjąć panią ponownie.

M.”

Lin wsadziła liścik do kieszeni i poszła do Kinken, by zagłębić się ponownie w melancholijnych rozmyślaniach. W pewnej chwili – nie kryjąc zdumienia, bo rzecz rozegrała się tak, jakby oglądała przedstawienie o własnym życiu i nagle zaskoczył ją dramatyczny zwrot akcji – zorientowała się, że pod wpływem niezrozumiałego impulsu zmierza na północny zachód, do stacji kolejowej w Skulkford. Wsiadła do pociągu i minąwszy dwie stacje linią Sink, dała się połknąć gigantycznej paszczy Dworca Perdido. Wysiadła na peron, w sam środek hałaśliwego tłumu podróżnych i obłoków pary buchających z sykiem z lokomotyw. W centralnej części gmachu, w którym tory napowietrznej kolei spotykały się niczym ramiona żelazno-drewnianej gwiazdy, zmieniła kierunek podróży, wybierając jeden z pociągów linii Verso.

Minęło pięć minut, zanim w czeluści środkowej części dworca napełniły się zbiorniki parowej maszyny. Dla Lin był to wystarczająco długi czas, by z rosnącym niedowierzaniem zadać sobie w duchu pytanie, po cóż, na Wielką Matkę – a może i na inne bóstwa – wybiera się na tę bezsensowną wycieczkę.

Jednak nie udzieliła sobie odpowiedzi. Siedziała spokojnie w wagonie pociągu, który najpierw posłusznie czekał, a potem ruszył, grzechocąc coraz głośniejszym regularnym, przyspieszającym rytmem, by wytrysnąć z kamiennej jamy w ścianie gmachu. Minął od północnej strony Szpikulec i przemknął pod dwoma kablami kolejki linowej, a potem nad barbarzyńskim cyrkiem Cadnebara. Majestat i dobrobyt dzielnicy Crow-Senned Gallery, Fuchsia House, Gargoyle Park – przenikał się niepostrzeżenie z nędzą sąsiednich kwartałów. Lin przypatrywała się obojętnie parującym wysypiskom śmieci na granicy Crow i Rim, szerokim ulicom i zdobionym sztukateriami domom zamożnych mieszczan zmieniającym się płynnie w opuszczone rudery pełne szczurów.

Pociąg przemknął przez stację Rim i skoczył ponad tłustą, szarą bryłę Smoły. Tor przebiegał nad rzeką ledwie piętnaście stóp na północ od mostu Hadracha, potem zaś odbijał z niesmakiem nad zrujnowane dachy Creekside.

Wysiadła na stacji Low Falling Mud, na zachodnim krańcu zaniedbanego getta. Nie zajął jej wiele czasu marsz brudnymi ulicami, pośród szarych budynków o ścianach pokrytych bąblami wilgoci i pośród kheprich mierzących ją wzrokiem, wciągających zapach i oddalających się czym prędzej, gdyż drogie perfumy i dziwna odzież identyfikowały ją nieomylnie jako tę, której udało się uciec. Szybko dotarła w pobliże domu swej matki.

Nie podeszła zbyt blisko; nie chciała, by jej woń przedostała się przez wybite okna i uprzedziła matkę lub siostrę o jej przybyciu. W rosnącym upale dnia zapach był jej wizytówką dla innych kheprich – wizytówką o tyle kłopotliwą, że niemożliwą do ukrycia.

Słońce przesuwano się wolno po niebie, ogrzewając chmury i powietrze, a Lin stała cierpliwie w pobliżu swego dawnego domu. Nic się nie zmieniło: ze środka, spomiędzy szczelin w ścianach i drzwiach, dobiegał nerwowy tupot drobnych odnóży samców.

Nikt nie wyszedł jej na spotkanie.

Przechodnie wydzielali chemiczne sygnały oburzenia – za to, że wróciła, i za to, że szpieguje z ukrycia czyjeś domostwo. Ignorowała je.

Gdyby weszła do środka i zastała tam matkę, obie byłyby wściekłe i zasmucone. Klóciłyby się bezsensownie, jakby od ostatniego spotkania nie dzieliły ich długie lata.

Gdyby weszła do środka i zastała tam siostrę, która powiedziałaby, że matka już nie żyje, czułaby się samotna, między innymi dlatego, że pozwoliła jej odejść bez słowa ostatniej zniewagi lub przebaczenia. Serce by jej pękło.

A gdyby nie zastała nikogo... prócz samców kłębiących się na podłodze, żyjących jak robactwo – którym w istocie byli – nie zadbanych już jak bezmózgie książęta, ale śmierdzących i żrących padlinę... gdyby matki i siostry już nie było... wtedy okazałoby się, że Lin po prostu stoi bez przyczyny przed opuszczonym domem. Jej powrót stałby się niedorzeczny, śmieszny.

Minęła co najmniej godzina, zanim khepri odwróciła się plecami do gnijącego domu. Jej głowoodnóża poruszały się niespokojnie, a cały głowoskarabeusz pulsował z podniecenia, zmieszania i samotności. Ruszyła z powrotem w stronę stacji.

Zmagając się ze wszystkich sił z melancholią, wysiadła w Crow i wydała część olbrzymiego honorarium, które dostała już od pana Motleya, na książki i egzotyczne potrawy. Weszła też do ekskluzywnego butik dla kobiet. Właścicielka sklepu nie szczydziła jej szyderczych uwag, póki nie zobaczyła szeleszczącego pliku gwinei, którym Lin władczy gestem wskazała na dwie sukienki. Khepri nie spieszyła się – pozwoliła dopasować wszystkie wymiary stroju tak, by przylegał do ciała w zmysłowy sposób, zgodnie z intencją projektanta pracującego z myślą o ludzkich samicach.

Kupiła obie sukienki. Właścicielka nie odezwała się ani słowem, tylko zmarszczyła nos, przyjmując pieniądze z rąk khepri.

Włożywszy na siebie świeżo kupione, ciemnobłękitne dzieło sztuki krawieckiej efektownie kontrastujące z jej skórą, Lin wybrała się na Pola Salacusa. Nie potrafiła jednak określić, czy czuje się lepiej czy gorzej niż przedtem.

Następnego ranka, udając się na drugi koniec miasta w poszukiwaniu Isaaca, ubrała się w tę samą sukienkę.

*

Tymczasem w dokach Kelltree świt powitano potężnym okrzykiem. Dokerzy-vodyanoi spędzili całą noc, kopiąc, równając, kształtując i wygładzając swe ogromne wododzieło. Kiedy wstało słońce, setki istot wynurzyły się z brudnego nurtu, by wynieść garść wody i cisnąć ją dalej, poza strefę niezwykłego wykopu.

Dokerzy pokrzykiwali i podśpiewywali radośnie, wydobywając resztki ostatniej strugi, która pozostała na dnie wodnego rowu. Ogromna rozpadlina w rzeczonym nurcie, wbrew prawom natury wypełniona powietrzem, a nie wodą, spinająca przeciwległe brzegi, miała dobrych pięćdziesiąt stóp szerokości i osiemset długości. Po obu stronach pozostawiono jedynie wąskie przesmyki wody, aby zapobiec wylaniu rzeki. Na dnie rowu, czterdzieści stóp pod powierzchnią, uwijały się mrowie

vodyanoich. Ich tłuste ciała ocierały się o siebie w gęstym szlamie, a każdy z nich zajęty był uklepywaniem i głaskaniem połyskliwej powierzchni pionowych ścian wodnego kanionu. Od czasu do czasu któryś z nich nabierał ochoty na rozmowę z kolegą, a wtedy odbijał się potężnie mocarnymi, żabimi łapami i skakał ponad głowami pobratymców. Inni znikali wprost w unieruchomionym nurcie rzeki, pracując zawzięcie błoniastymi stopami. Pozostali natychmiast wygładzali nadwerżoną ścianę wododzieła, by nie dopuścić do zniszczenia blokady.

W samym środku rowu trzej krępi vodyanoi konferowali bez przerwy; z rzadka tylko któryś z nich skakał w stronę pracujących i przekazywał im uwagi, by zaraz powrócić do przerwanej dyskusji. Debata była zażarta, a uczestniczyli w niej wybrani przez ogół dokerów przywódcy komitetu strajkowego.

Kiedy słońce uniosło się nad horyzont, vodyanoi zgromadzeni na dnie rzeki i ci, którzy stanęli na jej brzegach, rozwinęli transparenty: „Domagamy się uczciwej płacy!”, „Nie ma podwyżki, nie ma rzeki!”

Po obu stronach przerwane go nurtu pojawiły się małe łodzie. Wiosłujący marynarze kierowali je odważnie ku krawędziom rozpadliny i próbowali oszacować w przybliżeniu jej rozmiary. Z powagą potrząsali głowami ku uciesze obserwujących ich vodyanoich.

Kanał w poprzek rzeki został wykopany nieco na południe od mostu Barley, na samym końcu doków. Wiele statków oczekiwało na wpłynięcie lub wypłynięcie z portu. Ponad milę w dół rzeki, na stęchłych wodach między Badside a Dog Fenn, ciągnął się szereg statków handlowych, stojących na kotwicy, z kotłami nastawionymi na najmniejszą moc. W przeciwnym kierunku, przy kejach Kelltree, w szerokich kanałach obok suchych doków, kapitanowie okrętów z dalekich stron – nawet z Khadoh! – spoglądali coraz bardziej niecierpliwie w stronę pikiet urządzanych przez vodyanoich na zaśmieconych nabrzeżach i z niepokojem myśleli o tym, jak i kiedy wrócą do domów.

Wczesnym przedpołudniem pojawili się ludzie, tragarze, którym zlecono załadunek i rozładunek towarów. Wkrótce przekonali się, że nie czeka ich zbyt wiele pracy. Gdy tylko obsłużyli statki wciąż stojące na kotwicy w samym Kelltree, utknęli z robotą na dobre.

Niedługo potem w pobliżu blokady pojawiła się grupa mężczyzn, którzy w poprzednich dniach prowadzili rozmowy z komitetem protestacyjnym. Punktualnie o dziesiątej opuścili stanowiska pracy w okolicznych stoczniach i pobiegli w kierunku wodnego kanionu, witani histerycznymi, radosnymi okrzykami vodyanoich. Przybysze wyciągnęli własne transparenty: „Ludzie i vodyanoi razem przeciwko szefom!”

Wkrótce śpiewali hałaśliwe pieśni wraz z budowniczymi wododzieła.

W ciągu kolejnych dwóch godzin atmosfera zgęstniała. W obrębie doków, otoczonych niskim murem, rozpoczęła się kontrademonstracja ludzi. Wykrzykiwano pod adresem vodyanoich obelżywe hasła, nazywając protestujących „żabami” i „ropuchami”. Tych ludzi, którzy dołączyli do strajku, okrzyknięto „zdrajcami rasy”. Ostrzegano, że akcja vodyanoich doprowadzi do upadku doków, a wtedy i inni robotnicy będą stratni. Niektórzy rozdawali ulotki partii Trzy Pióra.

Między uczestnikami kontrademonstracji a strajkującymi ludźmi zgromadził się tłum zagubionych, niezdecydowanych dokerów. Wałęsali się to w jedną, to w drugą stronę, klnąc i dyskutując jałowo. Nasłuchiwali, wyławiając spośród głośnych okrzyków hasła to jednej, to drugiej strony.

Cizba robotników była coraz gęstsza.

Po obu stronach rzeki, w samym Kelltree i na południowym brzegu, należącym do Syriac Weil, gromadziły się też tłumy gapiów oczekujących konfrontacji. Tu i tam

pojawiały się ruchliwe sylwetki kobiet i mężczyzn krążących zbyt szybko, by ktokolwiek z dalekich obserwatorów mógł ich zidentyfikować. Z ich rąk do niezdecydowanych dokerów docierały pisemka z nagłówkiem „Runagate Rampant”. Drukowane małą czcionką artykuły wzywały ludzi do przyłączenia się do protestu vodyanoich, gdyż tylko w ten sposób strajkujący mieli szansę wywalczyć sobie lepsze warunki pracy. Egzemplarze pisma ukradkiem krążyły z rąk do rąk.

Z czasem, w miarę jak upał dnia stawał się jeszcze trudniejszy do wytrzymania, u boku zbuntowanych vodyanoich pojawiało się coraz więcej solidarnych dokerów-ludzi. Kontrdemonstracja także rosła w siłę, lecz tempo zmian po stronie strajkujących było zdecydowanie szybsze.

Dominującym uczuciem była niepewność. Tłum kibiców zachowywał się coraz bardziej hałaśliwie, domagając się od protestujących bardziej zdecydowanych działań. W pewnej chwili gruchnęła nawet wieść, że na rozmowy ze strajkującymi przybędą władze portu; inni snuli domysły, że sam Rudgutter podejmie się mediacji.

Tymczasem vodyanoi siedzący na dnie wodnego kanionu pracowali bez wytchnienia, odnawiając i poprawiając potyskliwą powierzchnię ścian. Od czasu do czasu z głębin wyskakiwała ryba i trzepocąc się w panice, spadała na muliste dno. Nie brakowało też śmieci, które sunąc z prądem, wyłaniały się płynnie wprost ze ściany kanionu i osiadały w błocie. Vodyanoi odrzucali z powrotem wszystko, co wpadało do powietrznej rozpadliny. Pracowali na zmiany, raz po raz podpływając bliżej powierzchni, by umocnić górne krawędzie swego imponującego wododzieła. Ci, którzy pozostawali w kadzi błota i rdzewiejącego żelastwa, którym było dno Wielkiej Smoły, posyłali okrzyki zachęty w stronę ludzi wpierających strajk z brzegu.

O pół do czwartej, w promieniach słońca przeświecających przez żałośnie cienką warstwę chmur, pojawiły się sterowce, żeglujące w stronę doków z północy i z południa.

Wśród tłumów zapanowało podniecenie i zaraz rozeszła się wieść, że na spotkanie ze strajkującymi przybywa sam burmistrz. Po chwili zauważono trzeci i czwarty pojazd, sunące nieuchronnie nad miastem w stronę Kelltree.

Ludzie po obu stronach rzeki poczuli się nieswojo.

Niektórzy ulotnili się cichaczem. Strajkujący zaczęli śpiewać ze zdwojonym zapalem.

Za pięć czwarta statki powietrzne zawisły nad dokami w złowrogiej formacji X, niczym wielki symbol cenzury. Mniej więcej o milę dalej na wschód, za zakolem rzeki, pojawił się piąty, samotny sterowiec i znieruchomiał nad Dog Fenn. Vodyanoi i ludzie osłaniali oczy dłońmi, spoglądając pod słońce na masywne, zaokrąglone kadłuby, podobne do atakujących kałamarnic.

Sterowce zaczęły opadać ku ziemi. Nabierały prędkości i w pewnej chwili szczegóły ich konstrukcji stały się doskonale widoczne, a ogrom ich wydętych ciał – przytłaczający.

Tuż przed czwartą zza okolicznych dachów wyłoniły się dziwne, organiczne sylwetki. Wszystkie wyleciały w powietrze zza rozsuwanych drzwi na szczytach wież milicji w Kelltree i Syriac – nieco mniejszych od pozostałych i nie połączonych z nimi siecią napowietrznych kabli.

Wirujące, jakby bezcielesne obiekty unosiły się wdzięcznie na wietrze, bez wysiłku dryfując w stronę doków. W jednej chwili na niebie pojawiła się cała flota tych istot – dużych, miękkich, zbudowanych z opuchniętej masy pokręconych tkanek, pokrytych obwisłą skórą pełną zagłębień, luźnych wyrzuseń i dziwacznych, ociekających śluzem otworów. Centralny wór stanowiący korpus każdej z istot miał co najmniej dziesięć stóp średnicy. Siedział na nim jeździec – człowiek przepasany

specjalną uprzężą. Pod tłustym cielskiem zwisały dziesiątki luźnych macek, pasków pokrytego pęcherzami mięsa, ciągnących się na czterdzieści stóp w kierunku ziemi.

Różowopurpurowe ciała latających istot pulsowały regularnie jak bijące serca.

Dziwaczne postacie skierowały się w dół, ku tłumom protestujących i gapiów. Przez pierwszych dziesięć sekund ci, którzy je zauważyli, byli zbyt oszołomieni, by przemówić czy choćby uwierzyć własnym oczom.

– Meduzy! – odezwał się w końcu chór przerażonych głosów.

W chwili, gdy wybuchła panika, zegar na pobliskiej wieży wybił czwartą i w tym samym momencie rozegrało się kilka dramatycznych wydarzeń.

W całym zgromadzonym tłumie – nie tylko wśród uczestników kontrademonstracji, ale i wśród strajkujących dokerów – mężczyźni i kobiety stojący w zwartych grupkach sięgnęli nagle za siebie i gwałtownym ruchem naciągnęli na głowy ciemne kaptury, uszyte w taki sposób, że na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie ma w nich nawet otworów na oczy i usta, jedynie czarna, pognieciona tkanina.

Z podbrzusza każdego ze sterowców, kwitujących teraz na absurdalnie niskim pułapie, wysypały się nagle kłęby lin, rozwijających się w locie jak ogromne bicze. Opadały tak przez kilkadziesiąt jardów, by wreszcie końcami dotknąć podłoża. Zgromadzeni na nabrzeżach ludzie – protestujący, ich przeciwnicy i gapie – zostali nagle otoczeni czterema kolumnami lin rozpiętych między niebem a ziemią. Ciemne sylwetki zsunęły się po nich wprawnie, w szaleńczym tempie. Leciały w dół jednostajnym ruchem, niczym krople gęstej cieczy spływające po pajęcznych niciach zwisających z trzewi powietrznych machin.

Zbiorowe wycie przerażonego tłumu szybko rozszczępiło się na setki chaotycznych głosów, a organiczna spójność zgromadzenia znikła bez śladu. Ludzie rozbiegli się we wszystkich kierunkach, tratując padających, ciągnąc za sobą dzieci i ukochanych, potykając się na nierównym bruku. Próbowali zniknąć w bocznych uliczkach, rozchodzących się od nabrzeży jak gęsta siatka pęknięć w tkance miasta. Wbiegając w nie, spotykali jednak wiszące w powietrzu meduzy, które sprawnie kierowane przez jeźdźców zdążyły już zablokować wszystkie drogi ucieczki.

Co gorsza, z owych bocznych uliczek wybiegły zniecka zastępy umundurowanych milicjantów. Byli wśród nich funkcjonariusze dosiadający dwunożnych shunnów, szarżujących z wyciągniętymi przed siebie hakami i energicznie wymachujących pozbawionymi oczu, tępo zakończonymi łbami, w echolokacyjnym poszukiwaniu drogi.

Gojące powietrze popołudnia zdrzało od krótkich, urywanych okrzyków bólu. Ludzie wbiegali w zaułki całymi tabunami i jeden po drugim padali z wrzaskiem, gdy substancja paraliżująca, która ściekała po mięsistych mackach meduz, przedostawała się przez ubrania i wchodziła w reakcję ze skórą. Po kilku krótkich oddechach niewymownego bólu ofiary polowania zapadały w głębokie odrętwienie.

Piloci sterowali meduzami za pomocą urządzeń sprzężonych z systemem nerwowym zwierząt. Latali tuż nad dachami magazynów i domów ze zwodniczo dużą prędkością. Macki zwierząt raz po raz opuszczały się ponad tłumem ludzi, zostawiając za sobą szlak wijących się w agonialnym bólu ciał o szklistych oczach i sparaliżowanych ustach. Tu i ówdzie starsi, uczuleni lub po prostu pechowi uczestnicy wydarzeń reagowali na truciznę w znacznie poważniejszy sposób: ich serca zamierały na zawsze.

Ciemne stroje milicjantów, przeplecione włóknami ze skóry meduz, były całkowicie nieprzepuszczalne dla sączącej się z macek substancji.

Oddziały milicji przypuściły szturm na grupy protestujących, skupione ciasno na dużej, otwartej przestrzeni nabrzeża. Ludzie i vodyanoi wymachiwali kijami od plansz

i transparentów jak fatalnie zaprojektowanymi maczugami. Beładna walka stała się jeszcze bardziej brutalna, kiedy funkcjonariusze sił porządkowych użyli kolczastych pałek i biczów pokrytych jadem meduz. W odległości zaledwie dwudziestu stóp od gromady coraz bardziej zdezorientowanych demonstrantów pierwszy szereg umundurowanych milicjantów przyklęknął, zasłaniając się lustrzanymi tarczami. Za ich plecami rozległ się jazgot shunnów, a potem granaty gazowe rzucone przez jeźdźców zostawiły w powietrzu łukowaty ślad dymu, lecąc ku protestującym. Oddychając przez filtry, milicjanci bez wahania przystąpili do ataku.

Grupka funkcjonariuszy odłączyła się od klina szturmujących i ruszyła w stronę rzeki. Po chwili w stronę rowu wykopanego w wodzie przez vodyanoich pomknął rój granatów gazowych. Kanion wypełnił się dymem oraz krzykami i jękami rannych. Pieczołowicie pielęgnowane ściany zaczynały tu i ówdzie przeciekać, gdy strajkujący jeden po drugim salwowali się ucieczką przed obłokami wypalającymi skórę i płuca.

Trzej milicjanci przyklęknęli na skraju kei, otoczeni ochronnym kordonem towarzyszy, i błyskawicznie sięgnęli po karabiny snajperskie, które mieli przewieszane przez plecy. Każdy z nich miał dwa – nabił oba pospiesznie i jeden odłożył, a drugi wycelował w stronę kłębiącego się w dole dymu. Za ich plecami stanął oficer z dziwnymi, srebrnymi epoletami, kapitan-taumaturg, który stłumionym głosem szybko szeptał niezrozumiałe słowa. Po chwili dotknął skroni strzelców i wycofał się pospiesznie.

Ukryte pod maskami oczy snajperów zamgliły się, by nagle dostrzec z niebywałą ostrością światło i promieniowanie, dla których zasłona dymna właściwie nie istniała.

Każdy z trzech milicjantów znał doskonale sylwetkę i charakterystyczny sposób poruszania się osobnika, który miał być celem jego ataku. Szybko wypatrzyli pod nie rzedną jeszcze mgłą gazu bojowego trzech vodyanoich ze szmatami przyciśniętymi do ust i nozdrzy, dyskutujących gwałtownie. Rozległ się niezbyt głośny trzask trzech niemal jednoczesnych wystrzałów.

Dwaj vodyanoi padli. Trzeci rozejrzał się w panice, ale nie zobaczył niczego poza chmurą gazu. Pobiegł w stronę ściany wody, nabrał garść i zaczął zawodzić, wykonując ręką dziwne, ezoteryczne gesty. Jeden ze snajperów rzucił karabin i natychmiast sięgnął po następny. Zrozumiał, że jego cel jest szamanem, i że jeśli pozostawi mu wystarczająco dużo czasu, vodyanoi zdąży ulepić wodnicę, a to niepomiaralnie skomplikowałoby akcję. Funkcjonariusz jednym płynnym ruchem przyłożył broń do ramienia, wymierzył i strzelił. Kurek z odłamkiem krzemienia uderzył w panewkę i skrzesał iskrę.

Kula przebiła obłok gazu, wprawiając go na moment w ruch wirowy, i utkwiała w szyi trzeciego przywódcy strajku. Vodyanoi upadł w błoto, rozbryzgując na boki kałużę wody. Jego krew rozlała się szeroko i wymieszała z mułem, gęstniejąc.

Wododzieło rozpadało się już w wielu miejscach. Ściany kanionu zapadały się i wyrzuszały, a woda coraz potężniejszymi strumieniami wdzierała się do jego wnętrza, ponownie zalewając odebrany jej fragment dna, po którym biegali w panice ostatni ze strajkujących. Wreszcie napięcie powierzchniowe stworzone rękami vodyanoich ustąpiło pod naporem wód i rzeka zamknęła ranę w swym nurcie, grzebiąc rozlaną krew, ciała sparaliżowanych i zabitych oraz luźne kartki politycznych gazetek.

Kiedy milicja tłumiała strajk w Kelltree, z brzucha piątego sterowca także wytrysnęły długie liny sięgające ziemi.

Tłumnie zgromadzeni mieszkańcy Dog Fenn pokrzykiwali bez przerwy, wymieniając nowiny na temat toczącej się w dokach bitwy. Nieliczni uciekinierzy z doków szukali schronienia w tutejszych zaułkach. Grupy rozwrzeszczanej młodzieży krążyły po okolicy, daremnie poszukując sposobu na rozładowanie emocji.

Straganiarze z Silverback Street wrzeszczeli coś niezrozumiale, uparcie wskazując na tłusty sterowiec zrzucający ku ziemi zwoje lin. Ich krzyki zginęły jednak w nagłym zgiełku, gdy pięć powietrznych pojazdów uruchomiło równocześnie swe potężne syreny. Drużyna milicjantów przebiła się przez drżące z gorąca powietrze, zsuwając się po linach w samo serce Dog Fenn.

Zjechali poniżej linii ostro zarysowanych w słońcu dachów i po chwili ich ciężkie buciory z hukiem wylądowały na betonowym podwórzu. Wyglądali raczej jak konstrukty niż jak ludzie, wtłoczeni w dziwaczne, ozdobne pancerze. Nieliczni robotnicy i włóczędzy, którzy z otwartymi ustami obserwowali ich z sąsiedniego zaułka, rozpierzchli się w panice, gdy jeden z funkcjonariuszy machnął w ich stronę lufą potężnego garłacza.

Milicjanci zbiegli schodami w dół, do podziemnej rzeźni. Roznieśli w biegu nie zamknięte na klucz drzwi i ostrzeliwując się, wpadli do hali czerwonej od krwi. Rzeźnicy gwałtownie odwrócili się w ich stronę i zastygli w bezbrzeżnym zdumieniu. Ten, którego dosięgła przypadkowa kula, padł na ziemię z przebitym na wylot płucem. Brudna od krwi tunika zaczerwieniła się raz jeszcze; tym razem od wewnątrz. Sekundę później pracownicy rzeźni rozbiegli się na wszystkie strony, ślizgając się na mokrych kamieniach.

Napastnicy strącili z haków broczące świńskie półtusze i wyrwali z wilgotnego sufitu stelaż podtrzymujący taśmociąg. Pomknęli grupkami w głąb ciemnej sali i dalej schodami przez wąski korytarz. Drzwi do pokoju Benjamina Fleksa sforsowali z taką łatwością, jakby wykonano je z gazy.

Gdy tylko znaleźli się w środku, dwaj stanęli po przeciwnych stronach szafy, a trzeci odpiął od uprząży na plecach wielki młot. Trzy mocarne uderzenia w stary, drewniany mebel wystarczyły, by zmienić go w kupę drzazg. Z odsłoniętego otworu w murze dobiegały odgłosy pracy maszyny parowej, a na podłodze pojawiła się plama światła lampki oliwnej.

Dwaj milicjanci wtargnęli do ukrytego pomieszczenia. Rozległ się zdławiony okrzyk i seria dźwięków głuchych uderzeń, a potem Benjamin Flex wyleciał przez dziurę w ścianie, koziółkując w locie i pryskając we wszystkie strony kropelkami krwi. Uderzył głową o podłogę i krzyknął z bólu. Próbował odpelznąć dalej, klnąc niewyraźnie. Inny funkcjonariusz pochylił się nad nim i chwycił za koszulę, by mocą ramienia wspomaganego parowym mechanizmem postawić go pionowo pod ścianą.

Ben bełkotał coś i próbował splunąć prosto w twarz osłoniętą granatową maską gazową, ciemnymi goglami i daszkiem kolczastego hełmu, które upodabniały milicjanta do dziwaczego, owadziego demona.

Głos, który wydostał się spod maski, był monotonny, ale dość wyraźny.

– Benjaminie Flex, wzywam cię do wyrażenia ustnej lub pisemnej zgody na udanie się ze mną i pozostałymi funkcjonariuszami milicji Nowego Crobuzon do miejsca, które wybierzemy, celem złożenia wyjaśnień. – Milicjant huknął ciałem Bena o mur. Z piersi mężczyzny wyrwało się ciężkie westchnienie i niezrozumiałe szcęknięcie. – Udzielono zgody w obecności mojej i dwóch świadków – wyrecytował milicjant. – Zgadza się?

Dwaj napastnicy stojący za nim jednocześnie skinęli głowami.

– Tak jest.

Oficer wymierzył potężny cios, który oszołomił jeńca i zmiażdżył mu wargę. Oczy Benjamina odwróciły się białkami do zewnątrz, a z ust trysnęła krew. Opancerzony mężczyzna zarzucił jego bezwładne ciało na ramię i wyszedł z pokoju.

Dwaj, którzy wdarli się do ukrytej drukarni, zaczęli, aż ich koledzy wycofają się na korytarz w ślad za oficerem dowodzącym. Następnie, w idealnym zgraniu, sięgnęli po duże, żelazne pojemniki, które mieli zawieszane u pasa, i wcisnęli w nich klawisze, by zapoczątkować gwałtowną reakcję chemiczną. Wrzucili oba cylindry do pokoju, w którym uparty konstrukt wciąż jeszcze naciskał rytmicznie dźwignię rdzewiejącej prasy.

Milicjanci puścili się biegiem za swym dowódcą, niczym rozwścieczone, zakute w metal nosorożce. Kwas i proch wtłoczone w korpusy bomb reagowały ze sobą z głośnym świstem, by wreszcie zapalić potężny ładunek wybuchowy. Dwie gwałtowne detonacje wstrząsnęły zawilgoconymi murami budynku.

Korytarz także podskoczył, a przez zniszczone drzwi buchnął obłok dymu, płonącego papieru, rozgrzanego tuszu i szczątków żelaznych cylindrów. Z wybitego okna w suficie trysnęła industrialna fontanna skręconego metalu. Dymiące konfetti krytycznych artykułów i płomiennych apeli opadło wolno na pobliskie ulice. Na jednym ze strzępów można było odczytać słowo „mówimy”, na innym „zdrada!” Tu i tam zachował się nagłówek „Runagate Rampant”. Na płonących fragmentach litery znikają szybko.

„Run...”

Jeden po drugim milicjanci wczepili się klamrami pasów w czekające na nich liny. Sięgnawszy do dźwigni umocowanych do bocznych ścian plecaków, uruchomili mocarne, ukryte silniki, które pociągnęły ich ku górze. Z cichym szumem kół zębatych niewidoczne maszyny pchały ciemne sylwetki w stronę ładowni sterowca. Funkcjonariusz trzymający Bena ze wszystkich sił splótł ramiona, a wyciągarka nawet nie poczuła podwójnego obciążenia.

Wątle płomienie unosi się nad byłym gmachem rzeźni, kiedy z rynny na dachu wypadł jakiś przedmiot. Leciał, obracając się w powietrzu, by z pluskiem wylądować w cuchnącym rynsztoku. Była to głowa konstrukt Bena, połączona z prawym ramieniem.

Metalowa kończyzna maszyny prężyła się spazmatycznie, próbując ciągnąć dźwignię, której już nie było. Głowa też się poruszała; szczęka żelaznej czaszki otwierała się raz po raz i wgrzyzała w ziemię, próbując wlec za sobą ciężar resztek ciała.

Minęło pół minuty, zanim wyczerpał się ostatni zapas energii. Szklane oczy zadrgały i zamknęły się. Strzęp konstrukt znieruchomiał.

Ponad jego ciałem przesunął się złowieszczy cień, gdy sterowiec z kompletem milicjantów na pokładzie ruszył w drogę ponad krzywą zabudowę Dog Fenn, ponad dogasającą bitwą w dokach, obok gmachu Parlamentu i ku centralnym dzielnicom miasta – w stronę Dworca Perdido i pokojów przesłuchań ukrytych gdzieś we wnętrzu Szpikulca.

Początkowo było mi niedobrze, kiedy musiałem przebywać w pobliżu tych ludzi, ich pospiesznych, ciężkich, śmierdzących oddechów i niepokoju wylewającego się przez ich skórę jak nieświeży ocet. Pragnąłem chłodu i ciemności pod wiaduktami kolei, gdzie prymitywniejsze formy życia walczą o przetrwanie, giną i zostają zjedzone. Brutalna prostota ich egzystencji niesie ze sobą coś pocieszającego.

Jednakże nie moja to ziemia i nie do mnie należy wybór. Długo walczyłem ze sobą. Walczyłem też z dziwnym prawem tego miasta, pełnego murów i płotów, Unii oddzielających wyraźnie to, co twoje, od tego, co moje. Niepostrzeżenie i ja stałem się podobny: szukałem pocieszenia i ochrony w posiadaniu samego siebie, w byciu sobą, w izolacji, w byciu po raz pierwszy swoją własnością. Czekala mnie jednak nieprzyjemna lekcja: stałem się ofiarą kolosalnego oszustwa.

Dałem się okpić. Kiedy przychodzi kryzys, nie mogę należeć tylko do siebie bardziej niż w wiecznie gorącym kraju Cymek (gdzie pojęcia „mój piasek” albo „twoja woda” są absurdami skazującymi na śmierć tych, którzy je wygłaszają). Cudowna izolacja, której tak poszukiwałem, legła w gruzach. Potrzebuję Grimnebulina, Grimnebulin potrzebuje swojego przyjaciela, a przyjaciel potrzebuje wsparcia od nas wszystkich. To prosta matematyka: potrzebuję pomocy, więc muszę dać ją innym, aby ocalić siebie.

Potykam się, ale nie wolno mi upaść.

Byłem niegdyś lotną istotą i powietrze zapamiętało mnie z tamtych czasów. Gdy wspinam się wysoko i wystawiam moje ciało na wiatr, on łaskocze mnie prądami z przeszłości. Czuję i widzę w atmosferze tego miasta nieustający korowód drapiezców i ich ofiar.

Jestem jak nurek, który stracił swój skafander, ale może jeszcze usiąść na szklanym dnie łodzi i patrzeć na stworzenia z bliższej i dalszej głęбини śledzić ich szlaki, czuć parcie przyływów i odpływów – ale wszystko to dalekie, zamazane, niewyraźne, na poły ukryte.

Wiem jednak, że w powietrzu dzieje się coś dziwnego.

Widzę to po stadach niespokojnych ptaków, które umykają nagle w niezrozumiałej panice z tych czy innych zakątków nieba. Widzę to po przerażonych wyrmienach, którzy w locie nieustannie oglądają się za siebie.

Letnie powietrze stoi. Jest gęste i ciężkie od gorąca, a także za sprawą tych przybyszów, intruzów, których nie mogę dostrzec. W powietrzu wisi groźba. Moja ciekawość jest coraz większa, a instynkt łowiecki odzywa się we mnie z wielką siłą.

Lecz muszę pozostać na ziemi.

CZĘŚĆ CZWARTA. PLAGA KOSZMARÓW

ROZDZIAŁ 27

Coś nieprzyjemnego i uporczywego przywróciło Benjaminowi Fleksowi przytomność. Bezwładne kołysanie głową przyprawiało go o mdłości i ból brzucha.

Siedział przywiązany do krzesła w małym, sterylnym, białym pokoju. Jedna ze ścian była oknem z mlecznego szkła, przepuszczającym światło, ale nie obrazy z zewnątrz, które dawałyby więźniowi jakikolwiek pogląd na to, gdzie może się znajdować. Mężczyzna w białym stroju stał nad Benem i szturchał go metalową tyczką podłączoną kablami do buczonej z cicha maszyny.

Benjamin skupił wzrok na jego twarzy i... zobaczył swoją. Mężczyzna miał na głowie idealnie gładką, zaokrągloną, lustrzaną maskę, w której odbijał się zniekształcony wypukłością obraz oblicza jeńca. Ów niedorzecznie wykrzywiony wizerunek wprowadził Benjamina w lekki szok: odbarwiona skóra wprost ginęła wśród sińców i krwistych nacieków.

Drzwi uchyliły się nieco i na progu stanął jakiś człowiek. Trzymając klamkę, odwrócił się w stronę, z której przyszedł, kończąc rozmowę z kimś, kto pozostał na korytarzu lub w sąsiednim pokoju.

– ...Cieszę się, że jesteś zadowolony – usłyszał Benjamin. -...Wieczorem idę z Cassandrą do teatru, więc nigdy nic nie wiadomo... nie, te oczy są po prostu zabójcze... – Mężczyzna roześmiał się krótko, słysząc czyjeś uprzejme słowa. Machnął ręką, odwrócił się i wszedł do pokoiku.

Kiedy obrócił się w stronę krzesła, Benjamin rozpoznał twarz, którą pamiętał z niezliczonych wystąpień publicznych, przemówień i ogromnych heliotypów rozwieszonych w całym mieście. Twarz burmistrza Rudguttera.

Trzy osoby, które znalazły się razem w ciasnym pokoju, przez długą chwilę mierzyły się wzrokiem.

– Panie Flex – odezwał się w końcu Rudgutter. – Musimy porozmawiać.

*

– Mam wiadomość od Pigeona – rzekł Isaac, wymachując listem i wracając do stołu, który wraz z Davidem ustawił w części laboratorium należącej do Lublamaia. To tu poprzedniego dnia spędzili wiele godzin, daremnie głowiąc się nad sensownym planem działania.

Opodal zaś leżał Lublamai, śliniąc się niezmiennie i robiąc pod siebie.

Lin siedziała z nimi przy stole, w zamyśleniu pogryzając plasterki banana. Kiedy poprzedniego dnia zjawiła się w magazynie, Isaac – roztrzęsiony tak bardzo, że ledwie go rozumiała – wyjaśnił jej, co się stało. Obaj z Davidem sprawiali wrażenie głęboko zszokowanych. Dopiero po paru minutach zauważyła Yagharka, kryjącego się w cieniu pod ścianą. Nie była pewna, jak powinna go powitać, toteż poprzestała na przyjaznym skinieniu ręką, którego nie odwzajemnił. Kiedy jedli we czworo marną wieszę, był z nimi, choć ani na chwilę nie zdjął płaszcza, maskującego fałszywe skrzydła. Lin nie zamierzała zdradzać mu, że jego maskarada nie jest dla niej żadną tajemnicą.

Podczas owego ponurego, wspólnego wieczoru w pewnej chwili zdała sobie sprawę, iż zaszło coś niezwykłego: Isaac przestał ukrywać ich związek. Podał jej rękę na powitanie. Nie zaścielił zapasowego materaca, kiedy zgodziła się zostać na noc. A jednak nie był to jej triumf, nie był to wielki hołd złożony miłości, którego miała nadzieję kiedyś doczekać. Przyczyna zmiany była prozaiczna.

Isaac, podobnie jak David, martwił się znacznie poważniejszymi sprawami.

Dlatego też jakaś sceptyczna część umysłu Lin nie chciała wierzyć w trwałość i zupełność transformacji, która dokonała się w jego postawie. Wiedziała na przykład, że David był starym przyjacielem Isaaca, wyznającym podobnie libertyńskie poglądy, i że rozumiał – o ile w ogóle zaprzętał nimi myśli – problemy wynikające z uczucia khepri do człowieka, a do tego był niewątpliwie dyskretny. Nie pozwalała sobie jednak na zbyt dogłębne rozważanie tych spraw. Czułaby się podłą egoistką, gdyby myślała o sobie, podczas gdy Lublamai był... wrakiem.

Naturalnie nie była w stanie wczuć się w jego położenie tak dobrze jak David czy Isaac, ale sam widok śliniącego się, nierozumnego ciała na postaniu był dla niej dość poruszający, a może i przerażający. Cieszyła się w duchu, że coś ważnego

wydarzyło się w życiu pana Motleya, dzięki czemu mogła spędzić tych parę godzin czy dni z Isaakiem, gnębionym poczuciem winy.

Od czasu do czasu jej mężczyzna zrywał się gwałtownie do działania, wykrzykując: „Dobra!” i z zapalem zacierając ręce, choć wszyscy świetnie wiedzieli, że na razie nie było takiego działania, które mogliby podjąć.

Pierwszej nocy, którą spędzili razem na piętrze laboratorium, Isaac wtulił się w Lin żałośnie, bez śladu podniecenia. David poszedł do domu, obiecawszy, że wróci z samego rana. Yagharek nie chciał materaca – zgarbił się w kącie w dziwnej, siedzącej pozycji ze skrzyżowanymi nogami, najwyraźniej pomyślanej tak, by wielkie skrzydła nie uległy uszkodzeniu. Lin nie była pewna, czy garuda podtrzymuje tę iluzję na jej użytek, czy naprawdę śpi w pozycji, którą znał od dzieciństwa.

Następnego ranka usiedli wokół stołu, pijąc kawę i herbatę, posilając się obojętnie i zastanawiając nad tym, co będzie dalej. Isaac zajrzał do skrzynki pocztowej i bez namysłu wyrzucił te wiadomości, które uznał za nieistotne. Zainteresowała go jedynie wiadomość od Lemuela: nie ostemplowana i dostarczona przez anonimowego posłańca.

– Co napisał? – spytał David.

Isaac ułożył kartę papieru tak, by pozostali mogli przeczytać tekst ponad jego ramieniem. Yagharek cofnął się nieco.

Odnalazłem w moich zapiskach trop Dziwnej Gąsienicy. Dostarczył ją niejaki Josef Cuadador, pracownik Działu Nabytków w Parlamencie. Nie chcąc tracić czasu i pamiętając o Suty m Wynagrodzeniu, odwiedziłem pana Cuadadora z moim Dużym Wspólnikiem, panem X, który niewielkim wysiłkiem nakłonił dostawcę do współpracy. Początkowo pan C. podejrzewał, że jestem z milicji. Zapewniłem go, że jest wręcz przeciwnie, i za pomocą karabinu pana X sprawiłem, że stał się dość rozmowny. Odnoszę wrażenie, że pan C. uwolnił Gąsienicę z jednego z oficjalnych transportów. Żałuję tego do dziś. (Zwłaszcza że zapłaciłem mu za nią raczej mało). Nie wie, skąd przybyła owa dostawa i jakie było jej przeznaczenie. Nie wie też, co się stało z pozostałymi okazami, z których zabrał tylko jeden. Mamy więc jeden trop: (przydatny? nieprzydatny?). Odbiorcą paczki miał być doktor Barbell? Barrier? Berber? Barlime? lub ktoś taki w Dziale Badań i Rozwoju.

Starannie rejestruję wszystkie działania, które podjąłem, Isaacu. Szczegółowy rachunek w drodze.

Lemuel Pigeon.

– Fantastycznie! – zawołał Isaac, doczytawszy list do końca. – Nareszcie jakiś cholerny trop...

David siedział nieruchomo, struchlały.

– Parlament? – stęknął z wysiłkiem. – Zadzieramy z tym kurewskim Parlamentem? Na słodkiego Jabbera, czy ty w ogóle masz pojęcie, w jak wielkie gówno wdepnęliśmy? „Fantastycznie”?! Co ty sobie, kurwa, wyobrazasz, kretynie?! Po prostu cudownie! Wystarczy, że pójdziemy do Parlamentu i grzecznie poprosimy o listę wszystkich pracowników supertajnego Działu Badań i Rozwoju, których nazwiska zaczynają się na B, a potem przepytamy jednego po drugim, czy nie wiedzą czegoś na temat latających stworzeń, sprowadzających na ludzi śpiączkę, i jak można je złapać. Taki drobiazg.

Nikt się nie odezwał. Atmosfera w laboratorium zgęstniała jeszcze bardziej.

Południowo-zachodni kraniec Brock Marsh sąsiedował z Petty Coil, siedliskiem oszustów, bandytów i podupadającej architektury, wbitym głęboko w zakole rzeki.

Nieco ponad sto lat wcześniej dzielnica Petty Coil była miejskim rajem dla najlepszych rodzin. Mackie-Drenda i Turgisady; Dhrachshachet, vodyanoi-finansista i założyciel Banku Drach; Sirrah Jeremile Carr, kupiec i farmer w jednej osobie – wszyscy oni mieli swe imponujące rezydencje przy szerokich alejach Petty Coil.

Jednak w pewnym momencie w Nowym Crobuzon rozpoczął się boom przemysłowy, w sporym zakresie finansowany przez te właśnie, najzamożniejsze rodziny. Fabryki i doki powstawały i rozkwitwały w ogromnym tempie. Griss Twist, skrawek ziemi na przeciwległym brzegu rzeki, także przeżywał swe wielkie chwile, gdy pojawiły się na nim nieduże, ale hałaśliwe i smrodliwe fabryczki. Wraz z nimi na nabrzeżach zaczęły powstawać przemysłowe wysypiska śmieci. Narodził się zupełnie nowy krajobraz, zbudowany ze szczątków maszyn, gnijącego papieru, żużlu, odpadów organicznych i chemicznego śmiecia, słowem wszelkiego industrialnego brudu. Odrzucona materia, składowana w jednym miejscu, organizowała się samodzielnie, naśladowując naturę. Tak powstawały pagórki, doliny i sadzawki, w których woda bulgotała od trujących gazów. W ciągu kilku lat po okolicznych fabrykach nie pozostał ślad, ale wysypiska przetrwały, a wiatr wiejący od morza pchał nieznośny fetor ponad nurtem Smoły, wprost do Petty Coil.

Bogacze szybko porzucili swe domostwa. Petty Coil degenerowała się w barwnym stylu. Stała się znacznie bardziej hałaśliwa i pełna życia niż dawniej. Zaniedbane farby i tynki wyrzuszały się groteskowo na ścianach wielkich domów, coraz gęściej zaludnionych przez biedotę Nowego Crobuzon. Wybite szyby zastępowano prowizorką, której żywot też nie był zbyt długi. Kiedy pojawiły się w okolicy maleńkie sklepiki, a wraz z nimi piekarze i cieśle, dzielnica Petty Coil padła ofiarą nieokiełznanej siły, która w całym mieście kreowała tak zwaną „spontaniczną architekturę”. Ściany, podłogi i stropy przestały być bezpieczne. Zmieniano je, szukając nowych, pomysłowych zastosowań dla porzuconych konstrukcji.

Derkhan Blueday szła pospiesznie w stronę tego labiryntu upadłej, skorumpowanej wielkości. Torebkę niosła pod pachą, a na jej nieruchomej twarzy malował się smutek.

Przeszła po moście Cockscomb, jednej z najstarszych budowli w mieście. Most był wąski i kiepsko wybrukowany, a w jego kamienną konstrukcję wpasowano równoległe szeregi domów, tak że ze środka traktu nurt rzeki był właściwie niewidoczny. Po obu stronach Derkhan widziała jedynie zarys niskich, pochylonych, tysiącletnich budynków, z których dawno opadły kunsztowne, marmurowe ozdoby. W poprzek mostu wisały sznury z praniem, a ze wszystkich stron dobiegały odgłosy kłótni i rozmów.

Dotarłszy do Petty Coil, Derkhan schowała się szybko w cieniu torów linii Sud i ruszyła na północ. Rzeka, którą przebyła chwilę wcześniej, zakręcała gwałtownie, tak że jej koryto przypominało kształtem literę S. Nieco dalej prostowało się i ciągnęło na wschód, gdzie Smoła zlewała się z Egzemą.

Dzielnica Petty Coil zlewała się zaś z Brock Marsh. Domy były tu być może nieco mniejsze, a ulice węższe i bardziej pokręcone. Rozpadające się budynki chyliły się pod wysokimi czapkami spadzistych dachów, nasuniętymi na wąskie ramiona ścian. W przepastnych, zdemolowanych salonach i na podwórzach między kamienicami, gdzie drzewa i krzewy umierały, a królował brud, pełno było prostackich

plakatów reklamujących skarabomancję, automatyczne czytanie przyszłości i terapię odczarowującą. To tu najbiedniejsi i najbardziej niepokorni chymicy czy taumaturgowie z Brock Marsh walczyli o byt z szarlatanami i kłamcami.

Derkhan zerknęła na plan trasy, który jej powierzono, i skręciła w St Sorrel's Mews – wąskie przejście między budynkami, zakończone zburzoną ścianą. Po prawej zauważyła wysokie domy koloru rdzy, o których wspomniał autor mapki. Weszła do jednego z nich, na moment stając na progu, nad którym dawno już nie było drzwi. Przeskakując nad kupami gruzu, odważnie zagłębiła się w wąski korytarz o mokrych ścianach. Na jego końcu znalazła kurtynę, której kazano je szukać – długie kawałki drutu, na które nawleczono ostre odłamki szkła.

Usztywniła się podświadomie, rozsuwając niebezpieczną zasłonę. Nie skaleczywszy się, weszła do pokoju.

Oba okna były zasłonięte: grube płótno przylepiono do szyb na stałe, by zapewnić wewnątrz nastrojowy półmrok. Mebli nie było wiele; ciemnobrązowe, nie wyróżniały się szczególnie z cienia i pasowały do ponurego wnętrza. Za niskim stołem, w rozklekotanym fotelu, siedziała pulchna kobieta o bujnych włosach, popijająca herbatę z absurdalnie arystokratyczną manierą.

Nie ruszając się z miejsca, zmierzyła Derkhan wzrokiem.

– Czym mogę służyć? – zapytała gładko, tonem rezygnacji i irytacji zarazem.

– Ty jesteś łączniczką? – odpowiedziała pytaniem Derkhan.

– Umma Balsum. – Kobieta skłoniła się nieznacznie. – Masz do mnie jakąś sprawę?

Derkhan przemierzyła pół pokoju niespokojnym krokiem i zawisła nad pękatą sofą, czekając, aż Umma Balsum da jej znak, że może usiąść. Usiadłszy gwałtownie, zaczęła manipulować nerwowo przy torebce.

– Muszę... hmm... porozumieć się z Benjaminem Fleksem. – Jej głos drżał, a słowa wyrwały się z krtani pojedynczo i gwałtownie. Derkhan sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej zawiniątko z przedmiotami, które znalazła w zdemolowanej rzeźni.

Poprzedniego wieczoru odwiedziła Dog Fenn, gdy tylko rozeszła się wieść o stłumieniu przez milicję strajku dokerów. Prócz tej w pełni prawdziwej wiadomości, która błyskawicznie obiegła Nowe Crobuzon, pojawiły się też najrozmaitsze niezwykle plotki. Jedna z nich dotyczyła dodatkowego ataku, który władze przeprowadziły ponoć w Dog Fenn, a którego celem było nielegalne wydawnictwo.

Kiedy Derkhan, jak zwykle w przebraniu, zjawiała się na mrocznych ulicach południowo-wschodniej części miasta, było już dość późno. Padał deszcz: ciepłe, tłuste krople pękały jak wrzody na kamienistym podłożu zaułka. Główne wejście było zablokowane, toteż Derkhan musiała dostać się na dół otworem, w który zazwyczaj wpychano nowo przybyłe zwierzęta. Chwyciła się kamiennych występów ponad klapą i opuściła się w ciemną czeluść opuszczonej rzeźni, po czym z wysokości paru stóp skoczyła na podłogę upapraną gównem i krwią tysięcy przerażonych zwierząt.

Przecisnęła się ponad zniszczonym taśmociągiem, unikając rzeźnickich haków rozrzuconych na posadzce. Ciemna maź, po której stąpała, była zimna i lepka.

Derkhan znalazła drogę ponad kamieniami wyrwanymi ze ścian, po zrujnowanych schodach i przez zawalony korytarz, w stronę pokoju Bena – epicentrum wybuchu. Po drodze mijała niezliczone fragmenty maszyny drukarskiej, osmalone szmaty i strzępy nadpalonego papieru.

Pokój Benjamina Fleksa był w zasadzie dziurą w ziemi, wypełnioną śmieciem wszelkiej maści. Fragmenty grubego muru zmiażdżyły łóżko. Ściana między sypialnią a ukrytym pokojem redakcyjnym w gruncie rzeczy nie istniała. Krople letniego

deszczu wpadały do środka przez roztrzaskany świetlik, wprost na zmasakrowany szkielet prasy drukarskiej.

Derkhan patrzyła na to wszystko z narastającym przygnębieniem. Zaczęła szukać uparcie i wreszcie odnalazła kilka przedmiotów świadczących o tym, że jeszcze niedawno było to mieszkanie mężczyzny, którego znała. Przyniosła je wszystkie ze sobą i teraz wyrzuciła na stół, przed oczy Umy Balsum.

Znalazła jego brzytwę z odrobiną ściętego zarostu i rdzawą plamką krwi na stalowym ostrzu. Resztkę porwanych spodni. Kawalek papieru, który zabarwiła krwią, pocierając nim uparcie o płamę na ścianie. Ostatnie dwa numery „RR”, które wykopała spod szczątków łóżka.

Umma Balsum spokojnie przyglądała się żalostnej kupce pamiątek, która rosła na jej stole.

– Gdzie on jest? – spytała.

– Myślę... myślę, że jest w Szpikulcu – odparła Derkhan.

– W takim razie od razu dolicz nobla do rachunku – oświadczyła cynicznie łączniczka. – Nie lubię zadzierać ze stróżami prawa. Opowiedz mi coś o tych przedmiotach. – Derkhan podsunęła jej kolejno każde znalezisko, objaśniając. Umma Balsum zdawkowo kiwała głową, wyraźnie zainteresował ją jedynie egzemplarz „RR”. – Pisał dla tej gazetki, co? – spytała przyjaźnie, stukając palcem w papier.

– Tak. – Derkhan nie spieszyła się z podaniem informacji, że Ben był wydawcą czasopisma. Czuliła niepokój na samą myśl o tym, że zdradza komuś nazwisko czy inne szczegóły, mimo iż zapewniano ją o lojalności łączniczki. Dochody Umy Balsum zależały niemal wyłącznie od tego, czy dobrze i dyskretnie nawiązywała kontakt z ludźmi znajdującymi się w rękach milicji. Sprzedawanie klientów byłoby błędem o głębokich konsekwencjach finansowych. – To... – Derkhan wskazała na środkową kolumnę z nagłówkiem *Co myślimy*. – To jego artykuł.

– Aha – mruknęła Umma Balsum. – Szkoda, że nie przyniosłaś rękopisu, ale i tak nie jest źle. Pamiętasz może jakieś znaki szczególne?

– Ma tatuaż tuż ponad lewym bicipsem. Mniej więcej taki. – Derkhan rozwinęła szkic przedstawiający ozdobną kotwicę.

– Żeglarz?

Derkhan uśmiechnęła się smętnie.

– Wywalili go z załogi, zanim postawił nogę na pokładzie. Upił się i zamustrował, a potem obraził kapitana, nim jeszcze tatuaż zdążył wyschnąć. – Dobrze pamiętała, jak opowiadał jej tę historię.

– W porządku. Dwie marki za próbę. Pięć marek za nawiązanie kontaktu. Jeżeli się uda, dwa stivery za każdą minutę połączenia. I nobel za to, że łączymy się ze Szpikulcem. Pasuje?

Derkhan skinęła głową. Cena była wysoka, ale ten rodzaj taumaturgii to było coś więcej, niż tylko proste wyuczenie się paru haseł. Przy odrobinie chęci i treningu każdy mógł opanować podstawowe zaklęcia, ale łączność psychiczna na takim poziomie wymagała wrodzonego talentu i długich lat wnikliwych studiów. Gdyby nie wygląd zewnętrzny i okolica, którą wybrała na swą bazę, Umma Balsum nie różniłaby się od największych ekspertów w dziedzinie taumaturgii, takich jak starszy przetwarzacz czy chimerysta. Derkhan sięgnęła do torebki.

– Później. Najpierw sprawdzimy, czy w ogóle uda mi się przebić. – Umma Balsum podwinęła lewy rękaw. Jej ciało trzęsło się nieapetycznie. – Narysuj mi ten tatuaż. Postaraj się, żeby jak najbardziej przypominał oryginał – poleciła, wskazując ruchem głowy stołek w kącie pokoju, na którym leżała taca z kolekcją pędzli i kolorowych tuszów.

Derkhan przyniosła paletę i zabrała się do tworzenia rysunku na ramieniu Ummy Balsum. Desperacko wyęczała pamięć, próbując dobrać odpowiednie barwy. Stworzenie dzieła zabrało jej prawie dwadzieścia pięć minut. Kotwica, która wyszła spod jej ręki, była może nieco zbyt krzykliwa (zapewne z powodu marnej jakości tuszu) i odrobinę za krótka, ale Derkhan była pewna, że każdy, kto widział oryginał, rozpoznałby tę kopię. Usiadła na stołku, z niepewną satysfakcją przyglądając się „tatuazowi”.

Umma Balsum zatrzepotała ramieniem jak tłusty kurczak skrzydłem, by wysuszyć barwniki, po czym zaczęła przebierać w pamiątkach z mieszkania Benjamina.

– ...Cholernie niehigieniczny sposób zarabiania na życie... – mruknęła na tyle głośno, by Derkhan wychwyciła jej słowa. Następnie chwyciła brzytwę Bena i wprawnym ruchem nacięła minimalnie swój podbródek. Przycisnęła do rany papierek zabarwiony krwią mężczyzny i potarła mocno. Wreszcie zadarła spódnicę i podciągnęła nogawkę spodni tak wysoko, jak pozwoliła jej na to grubość pulchnych ud.

Sięgnęła pod stół i wyjęła pudełko z ciemnodrzewa i skóry. Ustawiła je na blacie i otworzyła.

We wnętrzu znajdował się niewiarygodny gąszcz zaworów, rurek i przewodów, nakładających się i krzyżujących ze sobą. Na wierzchu skomplikowanej maszyny leżał idiotycznie wyglądający mosiężny hełm, opatrzony z przodu czymś w rodzaju trąbki. Długi, kręcony przewód łączył go z drewnianą ścianką pudełka.

Umma Balsum wyjęła hełm, zawahała się na moment i wsunęła go na głowę, zapinając pod brodą skórzane paski. Z ukrytej przegródki w pudełku wyciągnęła okazałą korbkę, którą wcisnęła gładko w sześciokątny otwór z boku maszyny. Przesunęła urządzenie na brzeg stołu, bliżej Derkhan, po czym podłączyła je do chemicznego ogniwa energetycznego.

– Dobra – mruknęła Umma Balsum, machinalnie gładząc palcami zraniony podbródek. – Teraz uruchomisz maszynę, kręcąc tą korbą. Kiedy ogniwo zacznie działać, miej je na oku. Gdyby zaczęło wariować, znowu będziesz musiała zakręcić korbą. Jeśli pozwolisz, żeby napięcie zanikło, stracimy połączenie, a przypadkowe zerwanie kontaktu może skończyć się utratą zmysłów dla tego mężczyzny albo – co gorsza – nawet dla mnie. Dlatego pilnuj dobrze tego ogniwa... Poza tym, kiedy już będziesz z nim rozmawiać, powiedz mu, żeby się nie oddalał, bo nie starczy mi kabla – dodała, potrząsając przewodem łączącym hełm z maszyną. – Rozumiemy się? – Derkhan kiwnęła głową. – Świetnie. A teraz daj mi ten tekst, który on napisał. Spróbuję wejść w rolę, zharmonizować umysły. Zacznij kręcić i nie przestawaj, póki zasilanie nie popłynie z ogniwa.

Umma Balsum wstała i energicznie odepchnęła krzesło pod ścianę. Cofnęła się nieco, by mieć wokół siebie możliwie dużo wolnej przestrzeni. Spięta się w sobie, wyjęła z kieszeni stoper, uruchomiła go i ruchem dłoni dała klientce znak, że może zaczynać.

Derkhan zaczęła kręcić korbą. Na szczęście system przekładni działał dość gładko. Czuła, jak dobrze naoliwione elementy we wnętrzu pudła przekazują dalej energię, stawiając starannie obliczony opór i wolno ładując prądem ezoteryczne mechanizmy. Umma Balsum rzuciła stoper na stół i wzięła do ręki numer „Runagate Rampant”. Szybko poruszając ustami, dość głośnym szeptem czytała słowa napisane przez Benjamina. Uniosła nieco lewą rękę, której palce tańczyły w powietrzu skomplikowanego kadryla, kreśląc taumaturgiczne symbole.

Kiedy dotarła do końca artykułu, bez chwili przerwy wróciła do początku i zaczęła od nowa.

Impulsy prądu płynęły spiralnym przewodem i docierały do hełmu, wprawiając głowę Ummy Balsum w kilkusekundowe, delikatne wibracje. Kobieta rzuciła na podłogę arkusz papieru i zaczęła półgłosem z pamięci powtarzać słowa Benjamina. Obracała się powoli, stawiając drobne kroki i wpatrując się w przestrzeń nieobecny wzrokiem. Gdy na krótką chwilę wycelowała trąbkę hełmu w stronę stołu, Derkhan poczuła dziwaczne pulsowanie etero-psychicznych fal szturmujących jej umysł i zachwiała się nieco, ale nie przestała kręcić korbą, póki nie zauważyła, że jakaś inna siła zaczyna poruszać mechanizmem. Wtedy ostrożnie cofnęła rękę, nie spuszczając z oka wirującego żelastwa. Umma Balsum obracała się dalej, aż wreszcie stanęła twarzą ku północnemu zachodowi, gdzie w centrum miasta, poza zasięgiem wzroku, wznosił się potężny Szpikulec.

Derkhan obserwowała ogniwo i maszynę, pilnując, by nie ustało krążenie energii w skomplikowanych obwodach.

Umma Balsum zamknęła oczy. Jej usta wciąż się poruszały. Powietrze w izbie zdawało się śpiewać głosem przypominającym odgłos kieliszka z winem, którego brzeg ktoś pociera delikatnie palcem.

I nagle ciało kobiety zadrżało, a powieki uniosły się gwałtownie.

Derkhan w napięciu wpatrywała się w łączniczkę.

Proste włosy Ummy Balsum zaczęły wić się jak garść robaków, których używa się na przynętę. Spelzły z jej czoła i ułożyły się gładko do tyłu, jakby przyczesala je, nie żałując brylantyny – dokładnie tak jak robił to Benjamin, kiedy nie był w pracy. Ciało kobiety znowu zadrżało, jak gdyby od stóp ku górze przemknęła po nim fala, zmieniająca układ otłuszczonych tkanek. Kiedy ruch ustał, kształty Ummy Balsum nie były już takie jak przedtem; nie była ani grubsza, ani szczuplejsza, ale zdecydowanie zmieniły się proporcje. Ramiona stały się szersze. Linia szczęki zarysowała się wyraźniej, a obwisłe policzki zmniejszyły się znacząco.

Na całej twarzy pojawiły się sińce.

Przez moment Umma Balsum stała nieruchomo, a potem bez ostrzeżenia padła na kolana i podparła się rękami. Derkhan krzyknęła cicho, ale zaraz spostrzegła, że oczy kobiety są wciąż otwarte i skupione.

Łączniczka usiadła powoli z wyprostowanymi nogami, opierając się plecami o bok kanapy.

Uniosła wzrok i na jej twarzy pojawił się grymas zaskoczenia. Spojrzała na Derkhan i otworzyła usta (teraz znacznie cieńsze i bardziej zacięte) w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia.

– Dee? – syknęła dziwnym głosem, który sprawiał wrażenie powielonego echem.

Derkhan wpatrywała się w Ummę Balsum w osłupieniu.

– Ben? – spytała łamiącym się głosem.

– Skąd się tu wzięłaś? – szepnęła łączniczka, wstając energicznie i nie przestając spoglądać na Derkhan szeroko otwartymi oczami. – Jesteś półprzezroczysta...

– Ben, posłuchaj mnie. – Derkhan zrozumiała, że musi uspokoić Bena. – Przestań się ruszać. Widzisz mnie dzięki łączniczce, która zharmonizowała swój umysł z twoim. Wyłączyła swoją osobowość, jest całkowicie pasywnym odbiorcą i dlatego mogę mówić bezpośrednio do ciebie. Rozumiesz?

Umma Balsum, która stała się Benem, kiwnęła głową. Przestała się ruszać i znowu opadła na kolana.

– Gdzie jesteś? – szepnęła.

– Na granicy Brock Marsh i Coil. Ben, nie mamy wiele czasu. Gdzie jesteś? Co się stało? Czy oni... zrobili ci krzywdę? – Derkhan oddychała z trudem, dławiona rozpaczą.

Benjamin, znajdujący się o dwie mile na północny zachód, załóżnie potrząsnął głową, a Derkhan zobaczyła ten gest na własne oczy.

– Jeszcze nie – wyszeptał Ben. – Zostawili mnie w spokoju... na jakiś czas.

– Skąd wiedzieli, gdzie cię szukać? – syknęła Derkhan.

– Na Jabbera, Dee, oni od początku wiedzieli! Niedawno był tu u mnie ten pieprzony Rudgutter i... śmiał się ze mnie. Mówił, że zawsze znali lokalizację drukarni „RR”, tylko jakoś nie chcieli im się zwinąć naszego interesu.

– To na pewno przez ten strajk... – jęknęła Derkhan. – Uznali, że posunęliśmy się za daleko i...

– Nie. – Derkhan uniosła głowę. Głos Bena, a raczej jego przybliżona wersja autorstwa Ummy Balsum, był ostry i zdecydowany. Oczy spoglądały na nią spokojnie i pewnie. – Nie, Dee. Nie chodziło im o strajk. Cholera, chciałbym, żeby nasz wpływ na protestujących spędzał sen z powiek władzy, ale tak nie jest... To tylko przykrywka.

– Więc o co...? – zaczęła niepewnie Derkhan, ale Ben nie pozwolił jej skończyć.

– Powiem ci, co wiem. Kiedy się ocknąłem, zjawił się Rudgutter wymachujący przede mną egzemplarzem „RR”. Wiesz, co chciał mi pokazać? Tę cholernie niepewną historyjkę, którą daliśmy w drugiej sekcji. *Pogłoski o konszachtach Pełnego Słońca z grubymi rybami półświatka*. Pamiętasz? Mój informator opowiadał coś o nieudanym projekcie naukowym, który rząd sprzedał podobno jakiemuś bandycie. Nie mieliśmy absolutnie nic! Żadnych dowodów! Po prostu mieszałyśmy łajno, nic więcej! A Rudgutter wymachiwał mi tym artykułem i... chciał mi go wcisnąć do gardła... – Oczy Ummy Balsum zamknęły się na moment, gdy Ben szperał w pamięci. – Ciągłe mnie pytał: „Co pan o tym wie, panie Flex? Kto jest pańskim informatorem? Co pan wie o ómach?” Poważnie, tak powiedział: „o ómach”! I jeszcze: „Co pan wie o ostatnich problemach pana M.?” – Ben wolno pokręcił głową Ummy Balsum. – Zrozumiałaś coś z tego? Cholera, Dee, nie wiem, o co tu chodzi, ale czuję, że niechcący dobraliśmy się do sprawy, która... Na Jabbera! Do sprawy, od której sam Rudgutter dostaje sraczkę! To dlatego mnie zwinął. Wciąż powtarzał: „Jeżeli wie pan, gdzie one są, lepiej niech mi pan powie”. Dee... – Ben ostrożnie stanął na nogi. Derkhan otworzyła usta, żeby przypomnieć mu o zasięgu kabla, ale słowa uwięzły jej w gardle, gdy zobaczyła, jak mężczyzna zbliża się do niej na nogach Ummy Balsum. – Dee, musisz zająć się tą sprawą. Oni są przerażeni. Przerażeni jak cholera. A my musimy wykorzystać tę sytuację. Nie miałem pojęcia, o czym mówił Rudgutter, ale zdaje się, że uznał moje odpowiedzi za popis aktorstwa. Widziałem, że był niezadowolony.

Z wahaniem, powoli i ostrożnie Ben wyciągnął ręce Ummy Balsum w stronę Derkhan, która dopiero teraz zauważyła, że mężczyzna bezgłośnie płacze. Przygryzła wargę, patrząc na łzy płynące po jego twarzy.

– Dee, co to za hałas? – spytał Ben.

– To silnik maszyny do podtrzymywania łączności. Musi pracować bez przerwy.

Umma Balsum skinęła głową.

Jej dłonie dotknęły drżących rąk Derkhan. Ben uklęknął przed nią.

– Czuję cię... – rzekł z uśmiechem. – Jesteś półprzezroczysta, jak jakaś pieprzona zjawa, ale czuję cię. – Ben spoważniał i przez chwilę szukał odpowiednich słów. – Dee... Myślę, że... oni mnie zabiją. Na Jabbera... – westchnął. – Boję się. Wiem, że ci dranie... będą zadawać mi ból... – Ramiona mężczyzny drgnęły

spazmatycznie. Szlochał przez moment, spoglądając w dół. Kiedy podniósł głowę, w jego głosie była siła. – Pieprzyć ich! Niech się boją sukinsyny, Dee. Musisz pójść za tą sprawą! Niniejszym mianuję cię redaktorem naczelnym tego zasranego „Runagate Rampant”. – Na opuchniętych ustach Bena znowu pojawił się uśmiech. – Słuchaj mnie teraz. Pójdź do Mafaton. Spotkałem ją tylko dwa razy w tamtejszych kawiarniach, ale wydaje mi się, że właśnie tam mieszka. Mówię o mojej informatorce. Raz rozmawiałem z nią o wyjątkowo późnej porze i nie wydaje mi się, żeby chciała potem tłuc się przez miasto do domu. Musi być stamtąd. Nazywa się Magesta Barbile. Niewiele mi powiedziała – tylko tyle, że jest naukowcem i pracuje w Dziale Badań i Rozwoju. Rząd przerwał realizację pewnego projektu i sprzedał go jednemu z szefów kryminalnego podziemia. Sądziłem, że to jakieś bzdury, i zdecydowałem się na publikację wyłącznie po to, żeby przyłożyć władzy. Ale... na bogów, zdaje się, że to jednak prawda.

Derkhan zaczęła płakać, ale posłusznie skinęła głową.

– Zajmę się tym, Ben. Obiecuję.

Benjamin Flex także kiwnął głową i na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Dee... – odezwał się w końcu z wahaniem Ben. – Pewnie nie dałabyś rady zrobić tego przez tę łączniczkę, czy jak jej tam... Chodzi o to, że... Nie możesz mnie zabić, prawda?

Zszokowana Derkhan na moment straciła dech.

Potem rozejrzała się z desperacją i gwałtownie potrząsnęła głową.

– Widzisz, naprawdę nie wiem, czy będę umiał powstrzymać się... i nie wygadać czegoś, kiedy zaczną... Jabber jeden wie, że będę próbował wytrwać, Dee, ale oni są ekspertami. Dlatego wolałbym chyba... wiesz, skończyć tę sprawę już teraz.

Derkhan zacisnęła powieki i bezgłośnie płakała z Benem i za Benem.

– O bogowie, Ben, tak mi przykro...

Mężczyzna niespodziewanie wykrzesał z siebie resztkę odwagi. Zwarł szczęki i zastygł w buntowniczej postawie.

– Zrobię, co będę mógł. Tylko obiecaj mi, że znajdziesz tę Barbile, dobrze? – Derkhan skinęła głową. – Dzięki – dodał Ben z krzywym uśmiechem. – I... żegnaj.

Mężczyzna przygryzł wargę, opuścił i podniósł głowę, a potem długo całował policzek Derkhan, która mocno objęła go lewym ramieniem.

Wreszcie Benjamin Flex cofnął się i w sposób niewidoczny i niewyczuwalny dla Derkhan dał Ummie Balsum sygnał, że pora przerwać połączenie.

Fala zmarszczek ponownie przebiegła po ciele łączniczki, która zachwiała się nieco i z głębokim westchnieniem ulgi powróciła do swych dawnych kształtów.

Ogniwo wciąż napędzało mechanizm urządzenia, póki Umma Balsum nie przeciągnęła się i nie podeszła do stołu. Zatrzymała maszynę i stoper, po czym zwróciła się do Derkhan.

– Już po wszystkim, skarbie.

Reportarka położyła głowę na drewnianym blacie i rozplakała się. W innej części miasta Benjamin Flex uczynił to samo. Oboje byli samotni.

Po dwóch lub trzech minutach Derkhan ostatni raz pociągnęła nosem i usiadła prosto. Umma Balsum siedziała na krześle, sprawnie podliczając drobne kwoty na skrawku papieru. Uniósł wzrok, słysząc, że Derkhan próbuje wziąć się w garść.

– Lepiej ci, skarbie? – spytała swobodnie. – Mam tu rachunek dla ciebie. Przez moment Derkhan czuła mdłości na myśl o cynicznej postawie łączniczki, ale przykre uczucie szybko minęło. Nie była pewna, czy Umma Balsum w ogóle pamiętała to, co słyszała i mówiła w stanie harmonii z Benem. A nawet jeśli tak było, tragedia Derkhan i jej przyjaciela była tylko jedną z setek lub tysięcy podobnych spraw

rozgrywających się w mieście. Umma Balsum była pośredniczką; jej usta zapewne codziennie opowiadały równie smutne historie tęsknoty, zdrady, bólu i żalu.

Marna to była pociecha, ale Derkhan poczuła się rażniej, kiedy zdała sobie sprawę, że niedola Benjamina nie była niczym szczególnym, niezwykłym. Jego śmierć także nie miała być spektakularnym wydarzeniem.

– Spójrz tutaj – powiedziała Umma Balsum, machając świstkiem przed oczami Derkhan. – Dwie marki zadatku plus pięć za nawiązanie kontaktu to razem siedem. Rozmawialiście przez jedenaście minut, za co należą mi się dwadzieścia dwa stivery, czyli dwie marki i dwa stivery; razem dziewięć i dwa. Do tego nobel za łączność ze Szpikulcem, czyli w sumie nobel, dziewięć marek i dwa stivery.

Derkhan zostawiła kobiecie dwa noble i wyszła. Próbując nie myśleć o niczym, kluczyła w pośpiechu ulicami Brock Marsh. Wkrótce znalazła się w dość gęsto zaludnionej części dzielnicy, gdzie mijali ją normalni ludzie, a nie tylko skulone postacie przemykające z rzadka od cienia do cienia. Chwilami musiała wręcz przepychać się między straganami i grupkami sprzedawców zachwalających trunki i mikstury podejrzanej proveniencji.

W pewnej chwili dotarło do niej, że podświadomie zmierza w stronę domu-laboratorium Isaaca. Był bliskim przyjacielem i kimś w rodzaju towarzysza w politycznej krucjacie. Nie znał Bena – nawet o nim nie słyszał – ale z pewnością potrafił zrozumieć znaczenie tego, co się wydarzyło. Może nawet umiałby coś poradzić... a jeśli nie, Derkhan była gotowa zadowolić się wspólnie wypitą, mocną kawą i kilkoma słowami otuchy.

Drzwi magazynu były zamknięte i nikt nie odpowiadał na najgłośniejsze nawet łomotanie. Derkhan miała ochotę usiąść i płakać. I już miała znaleźć sobie odpowiednie miejsce do oddania się samotnej rozpacz, gdy przypomniała sobie, że Isaac wspominał jej kiedyś o niezbyt wytwornym pubie nad rzeką, który lubił odwiedzać – lokal nazywał się bodajże Konające Dziecko... Obróciwszy się na pięcie, ruszyła ulicą w dół, ku rzece. Stała na brzegu i rozejrzała się po „promenadzie”, porośniętej trawą i z rzadka naznaczonej kikutami połamanych słupków, które niegdyś były ogrodzeniem.

Fale brudnej wody niosły na wschód śmierdzącą pianę organicznych odpadów. Na drugim brzegu Egzemy widać było dziki gąszcz jeżyn i pospolitego zielska. Na północ od miejsca, w którym stała Derkhan, nad wydeptaną w trawie ścieżką chyliła się jakaś rudera. Kobieta skierowała się w stronę samotnego budynku i przyspieszyła, ujrawszy nad wejściem spłowiały i poplamiony szyld – Konające Dziecko.

Powietrze wypełniające lokal było ciepłe, cuchnące i irytująco wilgotne. Na szczęście w dalekim kącie sali, za półleżącymi ciałami pijanych ludzi, vodyanoich i prze-tworzonych, siedział Isaac.

Z ożywieniem dyskutował szeptem z mężczyzną, którego Derkhan pamiętała jako naukowca i przyjaciela Grimnebulina. Isaac podniósł głowę akurat w chwili, gdy stanęła na progu, i posłał jej długie, ponure spojrzenie. Ruszyła ku niemu prawie biegiem.

– Isaacu, na Jabbera... Kurwa, jak się cieszę, że cię znalazłam! Mówiła dalej, nerwowo zaciskając pięść na klapie jego marynarki, i z każdą chwilą coraz lepiej rozumiejąc, że ponure spojrzenie uczonego oznacza, iż nie jest tu mile widziana. Nagle odechciało jej się opowiadać o tym, co ją spotkało.

– Derkhan... O bogowie... – stęknął po chwili Isaac. – Widzisz, mamy tu poważny kryzys... Coś się stało i ja... – Mężczyzna popatrzył na nią z zakłopotaniem.

Odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym rozpacz. Usiadła zniechęcona na ławie obok niego, jakby postanowiła się poddać. Pochyliła się nad stołem i roztarła pięściami oczy, w których nagle i nieodwołalnie pojawiły się łzy.

– Właśnie przed chwilą widziałam, jak mój dobry przyjaciel i towarzysz szykuje się na tortury i pewną śmierć, połowa mojego życia rozpadła się nagle, eksplodowała i została stratowana, a ja nawet nie wiem dlaczego, i do tego jeszcze muszę znaleźć doktor-pieprzoną-Barbile gdzieś w mieście, żeby dowiedzieć się, co jest grane i przychodzę do ciebie, bo... bo... podobno jesteś moim przyjacielem, i co? Jesteś zajęty...

Łzy popłynęły strumieniami między palcami Derkhan i dalej w dół, po policzkach. Jeszcze raz potarła oczy i pociągnęła nosem, a kiedy przelotnie rozejrzała się dokoła, spostrzegła, że obaj mężczyźni wpatrują się w nią w niesamowitym, niezrozumiałym napięciu.

Ręka Isaaca popęzła po stole i mocno chwyciła nadgarstek Derkhan.

– Kogo musisz znaleźć? – syknął.

ROZDZIAŁ 28

– No cóż – rzekł z namysłem Bentham Rudgutter. – Jak dotąd nic z niego nie wyciągnąłem.

– Nawet nazwiska informatora? – spytała Stem-Fulcher.

– Nawet. – Rudgutter zacisnął wargi i wolno pokręcił głową. – Zamyka się i tyle. Mimo to nie sądzę, żeby znalezienie winnego było skomplikowane. Lista podejrzanych nie jest obszerna. Musi to być ktoś z Działu Badań i Rozwoju, najprawdopodobniej związany z projektem ĆMA... Zapewne dowiemy się więcej, kiedy śledczy zakończą przesłuchanie.

– Chyba jesteśmy na miejscu – zauważyła Stem-Fulcher. – W rzeczy samej.

Stem-Fulcher, Rudgutter i Rescue stali otoczeni funkcjonariuszami elitarniej gwardii milicyjnej pośrodku tunelu przebiegającego głęboko pod gmachem Dworca Perdido. Światło lamp gazowych wydobywało z mroku drżące cienie. Jasne punkty latarń ciągnęły się w dal aż do granicy widzialności. Za plecami trojga urzędników znajdowała się kabina windy, którą właśnie zjechali na dół.

Na znak dany przez Rudguttera rozpoczęli marsz w głąb ciemnej sztolni. Ochroniarze szli równym krokiem, zachowując nienaganny szyk.

– Mam nadzieję, że oboje macie nożyczki? – odezwał się pytająco burmistrz. Stem-Fulcher i Rescue zgodnie kiwnęli głowami. – Cztery lata temu trzeba było mieć zestaw do gry w szachy – wyjaśnił Rudgutter. – Pamiętam, że kiedy Tkacz zmienił upodobania, mieliśmy tu trzech nieboszczyków, zanim odgadliśmy, czego właściwie potrzebuje. – Na moment zapanowało niezręczne milczenie. – Oczywiście zapoznałem się z wynikami ostatnich badań – dodał burmistrz z wisielczym humorem. – Przed spotkaniem z wami rozmawiałem z doktorem Kapnelliolem. Rzekłbym, że jest naszym nadwornym „ekspertem” w sprawach dotyczących Tkaczy... choć to określenie może być mylące. Chcę powiedzieć, że Kapnellior jest tylko wielkim ignorantem w sprawach Tkaczy, podczas gdy my jesteśmy absolutnymi ignorantami. Tak czy inaczej, zapewnił mnie, że nożyczki są obecnie najbardziej pożądanymi przedmiotami. – Burmistrz umilkł na chwilę. – Ja zajmę się rozmową. Miałem z nim już do czynienia. – Była to prawda, ale Rudgutter wcale nie miał pewności, czy fakt ten przemawia na jego korzyść.

Korytarz kończył się grubymi dębowymi drzwiami okutymi żelazem. Mężczyzna prowadzący milicyjny orszak wsunął do zamka wielki klucz i przekręcił go bez

wysiłku. Zaparłszy się o twarde podłoże, pociągnął masywne skrzydło i gdy tylko ustąpiło, skoczył w ukrytą za nimi ciemność. Był świetnie wyszkolony i zdyscyplinowany. Wykonał zadanie, choć prawdopodobnie był nieprzytomny ze strachu.

Pozostali milicjanci ruszyli w ślad za nim, chwilę później zaś za bramę wkroczyli Rescue, Stem-Fulcher i wreszcie Bentham Rudgutter, który starannie zamknął za sobą drzwi.

Znalazłszy się w pokoju, na moment zatracili poczucie kierunku, gdy cieniutkie nitki w quasi-fizyczny sposób dotknęły ich skóry. Długie włókna uplecione z niewidzialnego eteru i ledwie wyczuwalnych wrażeń tworzyły gęstą sieć o skomplikowanej strukturze. Marszczyły się od najmniejszych ruchów powietrza i lepiły do ciał intruzów.

Rudgutter drgnął niespokojnie. Kątem oka widział, jak włókna znikają bez śladu, gdy tylko zatrzymało się na nich czyjeś spojrzenie.

Pokój sprawiał wrażenie spowitego niezliczonymi pajęczynami. Do każdej ściany przytwierdzone były rzędy nożyczek, układających się w dziwaczne wzory. Nożyce różnych kształtów i rozmiarów ściagały się jak drapieżne ryby; sterczały ze sklepienia; zaplatały się dokoła i przeciskały przez siebie w zawiłych, niepokojących, geometrycznych układach.

Milicjanci i ich podopieczni stanęli pod ścianą. Choć nie widzieli żadnego źródła światła, w pokoju nie panowała kompletna ciemność. Otaczająca ich przestrzeń była monochromatyczna, a blask – sączący się nie wiadomo skąd – sprawiał wrażenie stłumionego i niepewnego.

Stali nieruchomo przez długi czas. Żaden dźwięk nie mącił ciszy.

Powoli i ostrożnie Bentham Rudgutter sięgnął do torby, którą niósł na ramieniu, i wyciągnął z niej wielkie, szare nożyce, które jego asystent kupił w sklepie żelaznym na najniższym poziomie handlowym Dworca Perdido.

Bezgłośnie rozsunął ich ostrza i uniósł je wysoko w gęste, przesłodzone powietrze.

Rudgutter zacisnął palce i w ciszy podziemnej sali rozległ się charakterystyczny dźwięk trących o siebie, ostrych, metalowych powierzchni.

Echo tłuło się przez chwilę między ścianami, jak mucha w butelce, a potem przepadło gdzieś w mrocznym sercu pokoju.

Zimny podmuch, który zjawił się nagle znikąd, przyprawił zebranych o gęsią skórę.

Echo dźwięku zaciskanych nożyczek powróciło.

Lekko świszczący odgłos tarcia metalu o metal pokonał niespiesznie barierę słyszalności i zaczął się zmieniać w słowa. Głos, melodyjny i melancholijny, najpierw bliski szeptu, a potem coraz śmielszy, zaistniał niespodziewanie. Trudno było go opisać. Był jednocześnie wzruszający i przerażający, wciągał słuchających i zdawał się penetrować ich dusze, a nie tylko zmysły, sięgać do krwi i kości, do najgłębszych ośrodków nerwowych.

...CIELESNY KRAJOBRAZ W ZŁOŻENIU W CIELESNY KRAJOBRAZ BY PRZEMÓWIĆ POZDROWIENIEM W TYM NOŻYCOWYM KRÓLESTWIE A JA PRZYJMĘ I BĘDĘ PRZYJĘTY...

W ciszy paraliżującego strachu Rudgutter gestem nakazał Stem-Fulcher i Rescue, by unieśli swoje nożyce. Uczynili to, otwierając je ze świstem i zamykając.

Dołączył do nich i po chwili cięli powietrze zgodnym chórem, w makabrycznej parodii aplauzu.

Pobudzony metalicznym dźwiękiem pozdrowienia nieziemski głos odezwał się ponownie. Zawodził z obsceniczną rozkoszą, a za każdym razem, gdy stawał się słyszalny i zrozumiały, wydawało się, że to jedynie fragment nieustającego monologu.

...I jeszcze raz, jeszcze raz i jeszcze raz nie wstrzymujcie pieśni ostrzy tego tnącego hymnu który akceptuję przyjmuję a wy tniecie tak pięknie i pięknie wy małe endoszkieletowe figuryńki które tną i siekają i przycinają nić tkanej sieci i kształtują z taką prostacką gracją...

Spośród cieni rzucanych przez niedostrzegalne kształty, cieni rozciągniętych i naprężonych do granic wytrzymałości między kątami pokoju, wyłoniła się postać.

Zaistniała. Pojawiła się tam, gdzie chwilę wcześniej nie było nic. Wychynęła z niewidzialnej fałdy przestrzeni.

Przybysz ruszył naprzód, stąpając delikatnie na ostro zakończonych nogach, kołysząc potężnym ciałem i wysoko unosząc niezliczone kończyny. Kolosalna głowa pochyliła się i ciemne oczy spojrzały z góry na Rudguttera i jego towarzyszy.

Pająk.

Rudgutter potrafił narzucić sobie dyscyplinę. Był człowiekiem bez wyobraźni; rządził sobą, zachowując stehniczowane rygory. Nie umiał już czuć przerażenia.

A jednak, patrząc na Tkacza, był bliski paniki.

Tkacz był bowiem istotą nieskończenie bardziej przerażającą niż ambasador. Piekelnicy byli odrażający i zdumiewający, dysponowali potworną potęgą, dla której Rudgutter żywił głęboki szacunek. Lecz mimo to... rozumiał ich. Byli torturowani i torturowali, potrafili kalkulować na zimno i miewali swoje kaprysy. Byli bystrzy. Byli zrozumiali. Byli polityczni.

Tymczasem Tkacz był najzupełniej obcy. Z nim nie można było targować się czy uprawiać gier słownych. Próbowano już wszystkiego.

Rudgutter opanował się i zbesztął w myślach za chwilę słabości. Uważnie przyglądał się wielkiemu pająkowi, próbując wchłonąć i zanalizować pełen obraz sytuacji.

Ciało Tkacza składało się głównie z odwłoka: potężnej kropli mięsa, zwisającej nieco ku ziemi i podobnej do pękatego owocu długiego na siedem stóp i szerokiego na pięć. Okrywała go idealnie gładka warstwa czarnej, opalizującej chityny.

Głowa istoty była wielkości ludzkiego torsu. Zawieszona w przedniej części korpusu, kiwała się lekko mniej więcej w jednej trzeciej jego wysokości. Obszerny łuk krągłego ciała piętrzył się ponad nią niczym masywne barki okryte czarnym płaszczem.

Głowa obróciła się wolno, lustrując delegację ludzi.

Była gładka i łysa jak czaszka czarnego człowieka i tylko segmentowe oczy płonęły głęboką, krwistą czerwienią. Dwie główne gałki były wielkie jak głowy noworodków i spoczywały w zagłębieniach po obu stronach głowy. Między nimi znajdowała się trzecia, znacznie mniejsza, a nad nią jeszcze dwie – skomplikowana, precyzyjna konstelacja karmazynowych błysków. Komplet nigdy nie mrugających oczu.

Kunsztownie zbudowany otwór gębowy Tkacza rozchylił się, ukazując wewnętrzne szczęki, przypominające szczypcy ze szerniałej kości słoniowej. Wilgotny przełyk zacisnął się na moment i gdzieś w masywnym ciele rozległo się echo wibrującego dźwięku.

Odnóża, długie i chude jak noga człowieka w kostce, wyrastały wprost z cienkiego, segmentowanego łącznika między łbem a odwłokiem. Do chodzenia służyły cztery tylne, uniesione w górę pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Kolana znajdowały się dobrą stopę ponad pochyloną głową Tkacza, wyżej nawet niż szczyt krągłego odwłoka. Nogi skierowane pionowo w dół miały ponad dziesięć stóp długości i zakończone były ostro jak sztylety, bez choćby symbolicznie zaznaczonej stopy.

Podobnie jak tarantula, stwór poruszał tylko jedną nogą naraz – unosił ją bardzo wysoko i stawiał z delikatnością chirurga lub artysty. Był to powolny, złowrogi i głęboko nieludzki ruch.

Z tego samego zagłębienia, z którego sterczały cztery nogi Tkacza, wyrastały dwa zestawy nieco mniejszych kończyn. Pierwsza para miała sześć stóp długości i kierowała się ku górze, ugięta w łokciach. Każda z dwóch wąskich i twardych chitynowych rur zakończona była osiemnastocalowym szponem – groźnie wyglądającym, wypolerowanym odłamkiem rdzawej skorupy, ostrzejszym niż skalpel. U nasady pazurów sterczały skrzycone fragmenty pajęczej kości: ostre haki, które mogły służyć do unieruchamiania i krojenia ofiary.

Organiczne szable, przypominające zjeżone bojowo rogi, były ostentacyjną demonstracją morderczego potencjału.

Tuż przed nimi zwisała ostatnia, czwarta para nieco krótszych kończyn, zakończonych małymi i szczupłymi dłońmi w połowie wysokości między podłożem a głową Tkacza. Pięciopalczaste i smukłe, nie różniłyby się znacząco od rąk ludzkich dzieci, gdyby nie brak paznokci i niecodzienna, głęboka czerni gładkiej skóry.

Tkacz ugiął ręce w łokciach, by zacisnąć i wolno zatrzeć małe dłonie. Ten bezsensowny, niepokojąco ludzki gest upodabniał pająka do fałszywego, mizdrzącego się klechy.

Ostro zakończone odnóża poruszyły się kolejno i stwór podszedł bliżej. Czerwono-czarne szpony błysnęły złowieszczo w nie-świecie wypełniającym pokój. Dłonie ocierały się o siebie bez ustanku.

Ciało zakołysało się niespokojnie w przód i w tył.

...JAKĄ OFERTĘ JAKĄ NAGRODĘ PRZY NOSICIE MI DWUNOŻNI...

To powiedziawszy, Tkacz gwałtownym gestem wyciągnął przed siebie prawą rękę. Milicjanci naprężyli mięśnie, zaalarmowani nagłym ruchem.

Rudgutter bez wahania wystąpił naprzód i umieścił dar w małej dłoni pająka, starając się nie dotknąć jego skóry. Stem-Fulcher i Rescue zrobili to samo. Tkacz cofnął się z zaskakującą szybkością, spojrzął na trzy pary nożyc, wsunął długie palce w uchwyty i sprawdził każdą z osobna. Po chwili zbliżył się do ściany w głębi pokoju i szybkim ruchem wcisnął nowe nabytki w zimną, kamienną ścianę.

Jakimś cudem trzy kawałki martwego metalu pozostały tam, gdzie umieścił je wielki pająk. Artysta spojrzął na swoje dzieło i minimalnie skorygował położenie nożyc.

– Przyszliśmy, żeby o coś cię prosić, Tkaczu – rzekł spokojnie Rudgutter.

Pająk odwrócił się w jego stronę, w zadumie kołysząc głową.

...SMUGI NICI OTACZAJĄ DOSTATNIO WASZE DRŻĄCE CIAŁA A WY WZRUSZACIE ROZWIJACIE ROZPLATACIE WASZ TRIUMWIRAT WŁADZY OTOCZONY NIEBIESKO ODZIANYMI POŁYSKUJĄCYMI ISKRZĄCYM KRZEMIENIEM CZARNYM PROCHEM ŻELAZEM I NADAL TRZEJ SĄ ZRANIENI

NA DUCHU ROZDARCI JAK OFIARY PIĘCIU SKRZYDLATYCH ROZPRUWACZY ROZCINAJĄCYCH DUSZE WYSYSAJĄCYCH WSZYSTKIE WŁÓKNA UMYSŁU...

Rudgutter spojrzał badawczo na Rescue i Stem-Fulcher. Wszyscy troje z trudem nadawali za senną poetyką recytacji Tkacza. I tak naprawdę tylko jedna rzecz wydała im się zupełnie jasna.

– Pięciu? – szepnął Rescue, wodząc wzrokiem od Rudguttera do Stem-Fulcher i z powrotem. – Motley kupił tylko cztery ćmy...

...PIĘĆ CYFR JAK PIĘĆ PALCÓW DŁONI ROZWIJAJĄ WŁÓKNA ŚWIATA ZE SZPULEK MIESZKAŃCÓW MIASTA PIĘĆ TNĄCYCH POWIETRZE INSEKTÓW CZTERY PIĘKNIE UFORMOWANE SZACOWNE OZDOBIONE BŁYSZCZĄCYM DESENIEM JEDEN MAŁY JAK KCIUK NAJSŁABSZY W MIOCIE ZRUJNOWANA MOC JEGO BRACI RAZEM PIĘĆ JAK U DŁONI...

Milicjanci mocniej ścisnęli broń, kiedy Tkacz baletowym krokiem ruszył wolno w stronę MontJohna Rescue. Istota rozcapierzyła palce i opuściła dłoń na wysokość twarzy urzędnika, przysuwając się coraz bliżej i bliżej. Kiedy dramatycznie skróciła dystans, powietrze wokół trojga ludzi zgęstniało. Rudgutter z trudem zwalczył w sobie pokusę otarcia twarzy, na której osadzały się włókna niewidzialnego jedwabiu. Milicjanci zaczęli szeptać, zdenerwowani i bezradni. Jeden gest Tkacza wystarczył, by dowieść ich bezużyteczności.

Rudgutter przyglądał się scenie z narastającym niepokojem. Przedostatnim razem, kiedy rozmawiał z Tkaczem, pająk postanowił zilustrować swoją wypowiedź, a może tylko pojedynczą figurę retoryczną, sięgając po kapitana milicji, unosząc go wysoko w powietrze i filetuując pomału. Niewiarygodnie ostry szpon rozciął pancerz na brzuchu nieszczęśnika, a wraz z nim ciało aż do podbródka, odstaniając kolejno parujące wnętrzności. Milicjant wrzeszczał wniebogłosy i wyrwał się, Tkacz zaś patroszył go metodycznie, monotonnym głosem wwiercającym się w umysł Rudguttera tłumacząc zawłości swych onirycznych zagadek.

Burmistrz wiedział, że pająk robi wszystko, co jego zdaniem ulepszy tkaninę świata. Mógłby na przykład nagle zacząć udawać martwego albo nadać kamieniowi z posadzki postać posągu lwa, lub wydłubać oczy Elizie Stem-Fulcher. Interesowało go wszystko, co mogło udoskonalić włókna eteru widzialne tylko dla jego oczu, co mogło upiększyć tworzoną przezeń Tkaninę.

Rudgutter przelotnie sięgnął pamięcią do słów Kapnelliora, a ściślej do jego rozprawy z dziedziny teksturologii. Tkacze byli niebywale rzadko spotykanymi istotami, a ich bytowanie w normalnej przestrzeni i rzeczywistości miało charakter przejściowy. Jak dotąd, od początku istnienia Nowego Crobuzon, naukowcy natknęli się tylko dwukrotnie na szczątki martwych okazów. Dziedzinę, w której specjalizował się Kapnellior, trudno było nazwać nauką ścisłą.

Nikt nie wiedział, dlaczego akurat ten Tkacz postanowił pozostać pod miastem na dłużej. Swoje zamiary oznajmił dwieście lat wcześniej – w zawoalowanej formie – burmistrzowi Dagmanowi Beynowi. Na przestrzeni dziesięcioleci tylko jedna lub dwie administracje zostawiły go w spokoju. Pozostali włodarze miasta nie potrafili oprzeć się urokowi jego potęgi. I właśnie z tych krótkotrwałych, sporadycznych kontaktów z burmistrzami i naukowcami – czasem banalnych, a czasem fatalnych w skutkach – narodził się trzon wiedzy będącej przedmiotem studiów Kapnelliora.

Kapnellior był ewolucjonistą. Utrzymywał, że Tkacze byli odmianą zwykłych pajaków, poddaną gwałtownemu działaniu Momentu lub konwencjonalnej taumaturgii

– zapewne trzydzieści, czterdzieści tysięcy lat wcześniej, gdzieś w Sagrimaiu – czego skutkiem był gwałtowny, wręcz eksplozywny rozwój ewolucyjny. Za życia kilku pokoleń, wyjaśniał Rudgutterowi, Tkacze zmienili się z bezmózgich drapieżców w estetów o zdumiewającej potędze intelektualnej i materio-taumatycznej. Ich superinteligentne, najzupełniej obce ludzkim, umysły przestały postrzegać pajęczynę jako narzędzie polowania i zaczęły traktować ją jak idealne dzieło sztuki, którego włókien nie odróżniały od tkanki realnego świata. Ich brodawki przędne stały się wyspecjalizowanymi gruczołami pozwalającymi na Tkanie wzorów w sieci łączącej się ze światem. Ze światem, który – zdaniem Tkaczy – był pajęczyną.

Wśród ludu krążyły prastare opowieści o tym, jak Tkacze zabijali się nawzajem w sporach o kwestie estetyczne – na przykład dyskutując o tym, czy ładniej jest zabić armię tysiąca ludzi, czy pozwolić jej przetrwać albo czy lepiej byłoby zerwać pewien dmuchawiec, czy też pozostawić go w nienaruszonym stanie. Dla Tkacza „myśleć” oznaczało „myśleć kategoriami estetycznymi”. „Działać” – czyli Tkać – oznaczało „tworzyć coraz piękniejsze wzory”. Tkacze nie potrzebowali fizycznego pokarmu; wystarczało im napawanie się pięknem.

Pięknem zupełnie niezrozumiałym dla ludzi i innych mieszkańców realnego świata.

Rudgutter modlił się żarliwie, by Tkacz nie zapragnął uśmiercić Rescue, uznawszy go za intrygujący motyw zdobniczy dla swej sieci.

Po kilku pełnych napięcia sekundach pająk wycofał się, nie opuszczając otwartej dłoni. Rudgutter odetchnął z ulgą i usłyszał, że jego podwładni oraz milicjanci robią to samo.

...PIĘĆ... zaszeleścił Tkacz.

– Pięć – zgodził się ochoczo burmistrz. Po chwili i Rescue przytaknął skinieniem głowy.

– Pięć – szepnął.

– Naturalnie masz rację, Tkaczu – rzekł Rudgutter. – Chcieliśmy zapytać o pięć stworzeń krążących nad miastem. Otóż... martwi nas ich obecność i, o ile się nie mylę, martwi również ciebie. Chcemy więc prosić cię o pomoc w oczyszczeniu miasta. Chcemy zniszczyć intruzów. Wymazać. Zabić. Zanim zdążą uszkodzić twoją sieć.

Na krótką chwilę zapadła cisza, a potem Tkacz zniemacka zatańczył na szcudłowatych odnóżach, kołysząc masywnym ciałem. Rozległo się szybkie i miękkie bębnienie ostrych stóp o kamienną podłogę, układające się w dziwaczny rytm.

...NIE MUSICIE PROSIĆ SIEĆ JEST NAPIĘTA KOLORY FARBUJĄ TEKSTURY WYGŁADZAJĄ WŁÓKNA STRZĘPIĄ DLATEGO ŚPIEWAM POGRZEBOWĄ PIEŚŃ DLA TYCH MIEJSC KTÓRE ZNIKĘŁY I CHCĘ I ZROBIĘ I MOGĘ MONSTRA ZACIENIAJĄ SKRZYDŁAMI RWAJĄ WYSYSAJĄ SIEĆ ODBIERAJĄ JEJ BARWĘ NISZCZĄ TAK NIE MOŻE BYĆ JA NASŁUCHUJĘ DRGAŃ W RÓŻNYCH MIEJSCACH PAJĘCZYNY I CHŁONĘ JEJ PIĘKNO I OBLIZUJĘ DO CZYSTA NOŻE PAZURÓW KTÓRYMI POTNĘ CIAŁA I UWIĄŻĘ NA POWRÓT BO JESTEM BO JESTEM SUBTELNYM UŻYTKOWNIKIEM KOLORU DLATEGO WYBIELEJ WASZE NIEBO OCZYSZCZĘ JE I NA POWRÓT ZWIĄŻĘ MOCNO...

Minęło kilka chwil, zanim Rudgutter zdał sobie sprawę, że Tkacz postanowił pomóc miastu.

Uśmiechnął się ostrożnie, lecz zanim zdążył otworzyć usta, Tkacz przemówił ponownie, zwracając ku górze czworo ostro zakończonych ramion.

...ZNAJDĘ MIEJSCE GDZIE WZORY DOSTAŁY AMOKU GDZIE KOLORY BIEGAJĄ GDZIE OWADY WAMPIRY WYSYSAJĄ OBYWATELI DO SUCHA I BĘDĘ TAM BĘDĘ TAM BĘDĘ TAM...

Tkacz przesunął się nieznacznie w bok i zniknął, przestał istnieć w fizycznej przestrzeni. Ze zręcznością akrobaty pospieszył w sobie tylko znane miejsce, biegnąc po naprężonej sieci świata.

Muśnięcia eterycznych nici, które spowijały salkę i drażniły ludzką skórę, stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie ustały.

Rudgutter rozejrzał się powoli i ostrożnie. Milicjanci oddychali głęboko, prostując zdrętwiałe kończyny i grzbiety zastygłe w nieświadomie przyjętych, bojowych postawach. Eliza Stem-Fulcher przechwyciła spojrzenie burmistrza.

– No to go zatrudniliśmy, tak? – spytała.

ROZDZIAŁ 29

Wyrmeni byli zastraszeni. Z przerażeniem opowiadali o potworach, które pojawiły się na niebie.

Wieczorami rozpalali ogniska na swych wysypiskach śmieci i trzymali się razem, raz po raz uciszając dzieci. Na zmianę opowiadali o dziwnych, niespodziewanych podmuchach powietrza i straszliwych cieniach, które widywali ostatnio nad miastem. Niektórzy czuli też krople lepkiego płynu, które znieacka spadały na nich z góry.

Wyrmeni ginęli.

Na początku były tylko słowa. Choć mocno przestraszeni, wyrmeni z przyjemnością wymieniali relacje o tym, co się podobno wydarzyło. Potem jednak dotarły do nich wieści o istotach, które znali. Nocą powtarzano z ust do ust imiona ofiar, których ciała, śliniące się i pozbawione rozumu, znajdowano tu i ówdzie. Aframo i Sideways, Minty i – co przeraziło ich najbardziej – słynny Buggerme, szef klanów ze wschodniej części miasta. Ten nigdy nie przegrał walki. Nigdy się nie wycofał. A jednak córka znalazła go nieprzytomnego, z nosem i ustami ociekającymi śluzem, z szeroko otwartymi, martwymi oczami, w krzakach przy rdzewiejącej wieży gazowej w Arbogate Green.

Znaleziono też dwie matrony rasy khepri, siedzące bez zmysłów na Placu Posągów. Jeden z vodyanoich unosił się nieruchomo na płyciźnie rzecznej w Murkside, z wielkimi ustami wykrzywionymi w idiotycznym grymasie. Odnajdowano też coraz więcej ludzi pozbawionych zmysłów. Liczba ofiar rosła nieustannie.

Starsi ze Szklarni w Riverskin nie potrafili ustalić, czy wśród zaatakowanych był choć jeden kaktus.

Na drugiej stronie „Quarrela” ukazał się artykuł zatytułowany *Tajemnicza epidemia imbecylizmu*.

Teraz już nie tylko wyrmeni widywali rzeczy, których nie powinni byli zobaczyć. Pojawili się pierwsi dwaj czy trzej, a potem coraz liczniejsi świadkowie, którzy w histerycznych relacjach twierdzili, że znajdowali się w pobliżu osób, które zostały pozbawione zmysłów. Ci, którzy przeżyli, opowiadali, że podczas ataku byli

zdezorientowani, pogrążeni w osobliwym transie, ale udało im się zapamiętać pewne szczegóły. Sparaliżowani strachem na samo wspomnienie, bełkotali o potworach, o diabelskich owadach bez oczu, o ciemnych, przygarbionych ciałach i nieziemskiej kombinacji kończyn. Mówili o sterczących zębach i hipnotyzujących skrzydłach.

*

Dzielnica Crow rozciągała się wokół Dworca Perdido zagmatwaną siecią przelotowych ulic i na w pół ukrytych zaułków. Główne arterie – LeTissof Street, Concubek Pass i Bulwar Dos Gherou – rozchodziły się gwiazdźście od placu BilSantum i gmachu centralnej stacji. Były szerokie i wiecznie zatłoczone rojem wozów, taksówek i pieszych.

Nie było tygodnia, by nie otwarto tu kolejnego eleganckiego sklepu. Wielkie domy towarowe zajmowały nieraz trzy piętra budynków; mniejsze przybytki, o wystawach rozświetlonych najnowszymi osiągnięciami gazowej technologii oferowały lampy i żyrandole o kunsztownych, mosiężnych zdobieniach, artykuły spożywcze, kosztowne tabakiery i szyte na miarę ubrania.

Budynki przy mniej reprezentacyjnych ulicach, kapilarnych naczyniach miejskiej tkanki, pełne były gabinetów lekarskich, kancelarii prawniczych, notariatów, aptek oraz siedzib towarzystw dobroczynnych i wyjątkowo ekskluzywnych klubów. Dostojni patrycjusze w nienagannie uszytych garniturach spokojnie przechadzali się zadbanymi chodnikami.

Konsekwentnie ignorowano jedynie pozostałości mniej zachwycających dzieł chorej architektury, wciśniętych w mało uczęszczane rejony Crow.

Spit Hearth, dzielnica leżąca nieco dalej na południowy wschód, przecięta była napowietrzny kablem łączącym wieżę milicji w Brock Marsh z Dworcem Perdido. Podobnie jak Sheck, była to strefa ożywionego życia gospodarczego; ostoja małych sklepików i kamiennych domków łątanych ceglami. Spit Hearth miała jednak także swoją strefę mroku: przetwarzanie. Tam, gdzie dzielnica graniczyła z rzeką, znajdowały się podziemne fabryki karne, z których raz po raz dobiegały jęki bólu i szybko ucinane okrzyki przerażenia. Jednakże dla wyższego dobra mieszkańcy Spit Hearth starali się ignorować przykre sąsiedztwo i traktować je tylko z odrobiną niesmaku.

Tutejsze uliczki należały do wyjątkowo ruchliwych. Kręcili się po nich między innymi pielgrzymi udający się do świątyni Palgolaka na północnym krańcu Brock Marsh. Przez stulecia Spit Hearth była rajem dla zbuntowanych kościołów i towarzystw religijnych. Niewykluczone, że mury jej domów trwały wyłącznie dzięki oblepiającym je warstwom tysięcy plakatów z zaproszeniami na teologiczne wykłady i debaty. Zakonnice i mnisi z dziwnych sekt kontemplacyjnych przemykali pospiesznie uliczkami, unikając wzrokowego kontaktu z nieznanymi. Niemal na każdym rogu można było spotkać kłócących się derwiszów i kapłanów.

Najgorzej skrywanym sekretem Nowego Crobuzon były jednak kwartały znajdujące się na pograniczu Spit Hearth i Crow, wciśnięte między dwie porządne dzielnice jak brudna plama poczucia winy. W porównaniu z innymi częściami miasta był to rejon niewielki – kilka wąskich uliczek ze starymi domami, które z łatwością można było połączyć kładkami czy drabinami. Ukryte na dnie ceglanych kanionów

chodniki zdawały się szukać schronienia w labiryncie niecodziennie udekorowanych budynków.

Była to okolica burdeli. Dzielnica czerwonych latarni.

Późnym wieczorem David Serachin zagłębił się w ulice północnego krańca Spit Hearth. Mógł wybrać tę trasę, by dotrzeć do domu w Skulkford, przeszedłszy pod torami linii Sud i pod milicyjnym kablem, a potem przez Sheck, obok masywu wieży i dalej, do Skulkford Green. Byłby to długi spacer, a jego trasa mogłaby wzbudzić zdziwienie.

David minął łukowate sklepienie wiaduktu przy stacji Bazar Śliny i korzystając z jego cienia, obejrzał się przez ramię. Ludzie, których zobaczył, byli zwyczajnymi przechodniami. Nikt go nie śledził. Wahał się jeszcze przez moment, a potem, gdy górą przemknął ze świstem pociąg, wynurzył się spod huczącej echem, ceglanej konstrukcji.

Skręcił na północ, by wzdłuż kolejowego szlaku iść w stronę miasta dziwek.

Wcisnął dłonie głęboko do kieszeni i nisko zwiesił głowę. To, co robił, było haniebne i nie mógł nie czuć do siebie pogardy.

Na obrzeżach dzielnicy czerwonych latarni królował towar dla wyjątkowo ortodoksyjnych amatorów rozkoszy. Owszem, widać było i zwyczajne ulicznice, ale gatunek ten, tak licznie reprezentowany w innych częściach Nowego Crobuzon, tutaj należał do mniejszości. Pogranicze Spit Hearth było królestwem bardziej leniwych dostawczyń przyjemności, pracujących pod dachami domów publicznych. Budynki, których najniższe kondygnacje często mieściły w sobie sklepy oferujące konwencjonalne dobra pierwszej potrzeby, rozświetlone były na wyższych piętrach blaskiem gazowych lamp, w tradycyjny sposób stłumiony czerwonymi filtrami. W niektórych bramach stały młode kobiety w obcisłych gorsetach, nawołujące dyskretnie co bardziej obiecujących przechodniów. Ulice nie były tu tak pełne jak w centrum miasta, ale ruch był spory. Mężczyźni generalnie wyglądali na dobrze sytuowanych; tutejszy towar z pewnością nie był przeznaczony dla biedoty.

Niektórzy przechadzali się zaułkami z dumnie podniesionymi głowami. Większość jednak skradała się wstydliwie jak David.

Powietrze było ciepłe i brudne. Gwiazdy połyskiwały mętnie na ciemnym niebie. Ponad dachami niósł się cichy szepc wiatru, czasem zagłuszany przez świst pędzącej górą kapsuły. Było coś ironicznego w tym, że ponad dzielnicą, w której kupczono ciałem, przemykają obojętnie szybkie pojazdy stróżów prawa. Milicyjne naloty na tę dzielnicę zdarzały się niezmiernie rzadko i dotyczyły jedynie niektórych domów. Tam, gdzie płatności regulowano bez szemrania i nie dochodziło do aktów przemocy poza pokojami służącymi wyłącznie do jej uprawiania, funkcjonariusze nie zjawiali się nigdy.

W nocnym powietrzu wyczuwało się jednak coś niepokojącego, coś znacznie głębszego niż zazwyczaj panująca tu atmosfera nerwowości i podniecenia.

W niektórych budynkach rozświetlone okna przesłonięto jedynie miękkim, delikatnym muślinem. Kobiety w cieniutkich koszulkach lubieżnie gładziły dłońmi swe ciała, spoglądając na potencjalnych klientów spod skromnie spuszczonej rzes. W okolicy nie brakowało też burdeli z obcymi, w których pijani młodzieńcy dopingowali się nawzajem do przejścia rytuału męskości, pieprząc kobiety kheprich, vodyanoich lub jeszcze bardziej egzotycznych ras. Spoglądając w ich stronę, David ze wszystkich sił starał się nie myśleć o Isaacu.

Nie zatrzymywał się. Nie lustrował wzrokiem mijanych kobiet. Wchodził coraz głębiej w świat rozpusty.

Za kolejnym węglem skręcił w uliczkę niższych, mniej efektownych domów, których okna pełne były mało subtelnych aluzji co do natury oferowanych tu usług. Bicze. Kajdanki. Siedmio- lub ośmioletnia dziewczynka w wózku dziecięcym, piszcząca i zasmarkana.

David szedł dalej. Spotykał coraz mniej ludzi, ale ani przez chwilę nie był sam. W nocnym powietrzu rozchodziły się ciche dźwięki rozmów, dobrej muzyki, śmiechu i bólu. Słysząc było też poszczekiwanie i wycie zwierząt.

W pobliżu serca dzielnicy, labiryntu płatnej rozkoszy, znajdował się mały i prawie pusty zaułek. David poczuł dreszcz, kiedy stanął na jego nierównym bruku. Tutaj w drzwiach budynków chowali się mężczyźni – ociężali i gburowaci, odziani w tanie garnitury, czekający na równie żalonych klientów.

David zbliżył się do bramy jednej z kamienic. Ochroniarz zatrzymał go w miejscu, opierając dłoń na jego piersi.

– Przysłała mnie pani Tollmeck – wymamrotał uczonej. Mężczyzna ustąpił.

Wnętrze rozjaśniał jedynie marny blask lamp o grubych, brązowych abażurach. Cały hol sprawiał wrażenie lepkiego od światła w kolorze sraczkii. Za biurkiem siedziała sroga kobieta w średnim wieku, ubrana w ponurą sukienkę w kwiaty, kolorystyką nawiązującą do abażurów. Spojrzała na Davida przez połówkowe szkła okularów.

– Pan tu pierwszy raz? – spytała. – Jest pan umówiony?

– Pokój numer siedemnaście, o dziewiętej. Nazwisko: Orrel – odparł David. Kobieta za biurkiem minimalnie uniosła brwi i spuściła głowę, by zajrzeć do otwartej książki, która leżała przed nią.

– Ach, tak. W takim razie... – spojrzała na zegar... przyszedł pan o dziesięć minut za wcześnie, ale w zasadzie może pan już iść na górę. Zna pan drogę? Sally już czeka. – Kobieta uniosła głowę, mrugnęła konfidencjonalnie i uśmiechnęła się w tak ohydny, potworny sposób, że Davidowi zrobiło się niedobrze.

Odwrócił się szybko i ruszył w stronę schodów.

Kiedy wspinał się po wyslizganych stopniach, serce biło mu szybko i mocno. Wreszcie dotarł do korytarza na najwyższej kondygnacji. Pamiętał swoją pierwszą wizytę w tym miejscu. Pokój numer siedemnaście znajdował się na końcu korytarza.

Odetchnąwszy z trudem, zaczął iść w jego stronę. Nienawidził tej podłogi. Nienawidził wybrzuszonej się miejscami tapety, dziwnych zapachów rozchodzących się z niektórych pokoi, a także niepokojących dźwięków przebijających się przez grube mury. Większość drzwi do pokoi, które mijał, była otwarta. Taki panował tu zwyczaj – zamknięte drzwi oznaczały, że w środku znajduje się klient.

Drzwi do pokoju numer siedemnaście oczywiście również pozostawały zamknięte, lecz był to jedyny wyjątek od obowiązujących tu zasad.

Krocząc powoli po śmierdzącym dywanie, David zbliżył się do pierwszych drzwi. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że są zamknięte, ale zaraz usłyszał dochodzące spoza nich odgłosy: osobliwe, stłumione, obojętne, przerywane skrzypieniem naprężającej się skóry i syczącym, nienawistnym głosem. David odwrócił głowę i jego wzrok trafił do wnętrza przeciwległego, otwartego pokoju. Zobaczył nagą postać na łóżku. Dziewczyna – nie więcej niż piętnastoletnia – spoglądała na niego, stojąc na czworakach. Jej ramiona i nogi, pokryte sierścią, były psimi łapami.

David patrzył na nią jak zahipnotyzowany, porażony strachem, ale nie zatrzymał się. Dziewczyna zeskoczyła na podłogę niezgrabnym, psim ruchem i odwróciła się niewinnie. Z nadzieją obejrzała się przez ramię, wypinając w stronę mężczyzny tyłek i srom.

Szczęka Davida opadła bezwładnie, a oczy omal nie wyskoczyły z orbit.

Właśnie tu najbardziej wstydził się samego siebie: w burdelu prze-tworzonych.

W całym mieście nie brakowało prostytutek poddanych karnej „kuracji” w podziemnych fabrykach Spit Hearth. Kupczenie własnym ciałem było dla wielu prze-tworzonych kobiet i mężczyzn jedynym ratunkiem przed śmiercią głodową. Jednak tylko tu, w dzielnicy czerwonych latarni, można było spełnić najbardziej szokujące zachcianki.

Większość prze-tworzonych dziwek stanowiły kobiety ukarane za przestępstwa nie związane z prostytutką, a zmieniający ich ciała wyrok zazwyczaj utrudniał im znalezienie pracy w seks-biznesie i obniżał ich cenę. Z drugiej jednak strony, dzielnica domów publicznych z założenia miała być oazą dla nawet najbardziej wybrednych i wyspecjalizowanych klientów; tutaj pracowali ludzie prze-tworzeni wyłącznie po to, by wykonywać swój zawód. Ich ciała zostały poddane kosztownym zabiegom, aby odpowiadać nader perwersyjnym gustom. Niemało było dzieci sprzedanych przez rodziców oraz mężczyzn i kobiet oddających się w ręce pracujących nielegalnie prze-twarzaczy w zamian za spłatę długów. W całym mieście krążyły plotki o tym, że nie brakowało prostytutek skazanych pierwotnie na zupełnie inne prze-tworzenie, ale poddanych modyfikacji według szczegółowych instrukcji alfonsów, którzy kupowali je do swoich „stajni”. Mówiono, że proceder ten jest żyłą złota dla nieuczciwych biotaumaturogów na państwowych posiadach.

Kiedy David szedł owym nie kończącym się korytarzem, miał wrażenie, że czas ciągnie się absurdalnie i niezdrowo, jak zjełczała melasa. Za każdym razem, gdy mijał uchylone drzwi, nie potrafił oprzeć się pokusie i zaglądał do środka. Pragnął patrzeć w inną stronę, ale oczy nie chciały go słuchać.

Czuł się jak w ogrodzie z koszmarnego snu; każde pomieszczenie zawierało bowiem unikatowy wykwit zmutowanego ciała, nadzwyczajny owoc nieludzkich tortur.

Minął nagie ciała pokryte piersiami na kształt pulchnych łusek. Monstrualny korpus ze zgrabnymi, dziewczęcymi nogami po obu końcach. Kobiętę spoglądającą na niego inteligentnymi oczami znad drugiej pochwy i wilgotnych, pionowych warg sromowych, którymi zastąpiono jej usta w ponurej parodii tego, co odsłaniały jej szeroko rozsunięte nogi. Dwóch małych chłopców wpatrujących się w nieustającym zdumieniu w gigantyczne penisy, które im przyprawiono. Wielorękiego hermafrodytę.

David czuł w skroniach natrętne pulsowanie. Był chory z oburzenia i przerażenia.

Wreszcie stanął przed drzwiami pokoju numer siedemnaście. Nie odwracał się. Wyobrażał sobie wzrok prze-tworzonych, którzy bez wątpienia obserwowali go, wychylając się ze swych więzień krwi, kości i seksu.

Zapukał. Po chwili rozległ się brzęk łańcucha wysuwanego z zaczepu i drzwi uchylły się nieznacznie. David wszedł, zapominając o wstydliwej rzeczywistości korytarza i koncentrując się na własnej hańbie. Drzwi zamknęły się za nim.

Mężczyzna w garniturze czekał na niego, siedząc na łóżku i wygładzając krawat. Inny, który otworzył i zamknął drzwi, stanął za Davidem z rękami złożonymi na piersiach. Uczony spojrzał na niego przelotnie, po czym wbił posępny wzrok w siedzącego.

Mężczyzna wskazał dłonią na krzesło stojące obok łóżka. David przyciągnął je bliżej i usiadł.

– Witaj, „Sally” – odezwał się cicho.

– Serachin – wycedził mężczyzna. Był szczupłym człowiekiem w średnim wieku. Miał inteligentne oczy o wyrachowanym spojrzeniu. Absolutnie nie pasował do tego miejsca, do rozpadającego się pokoju w domu publicznym, a jednak jego twarz była zupełnie spokojna. Wśród prze-tworzonych dziwek mógł czekać na swego rozmówcę równie cierpliwie i swobodnie jak w korytarzach Parlamentu. – Chciałeś się ze mną

widzieć – dodał po chwili. – Minęło sporo czasu, odkąd mieliśmy od ciebie wiadomość. Uznaliśmy cię już za uśpionego agenta.

– Cóż... – David zająknął się, zmieszany. – Nie miałem nic do zameldowania. Aż do dziś.

Mężczyzna wyrozumiale skinął głową.

David oblizał usta. Trudno mu było zacząć. Mężczyzna patrzył na niego ze zdziwieniem, marszcząc czoło.

– Stawka się nie zmniejszyła – odezwał się po chwili. – Nawet wzrosła nieznacznie, jeśli chodzi o ścisłość.

– O bogowie, ja... – David znowu utknął. – Ja po prostu... no, wiesz... wyszedłem z wprawy.

Mężczyzna ponownie kiwnął głową.

„I to bardzo” – pomyślał bezradnie David. „Od ostatniego razu minęło sześć lat i przysiągłem sobie, że więcej tego nie zrobię. Że muszę się z tego wyplątać. Znudził się wam szantaż, a ja już nie potrzebowałem pieniędzy...”

Pierwszy raz wydarzył się piętnaście lat wcześniej. Dwaj nieznajomi w garniturach weszli wówczas do tego właśnie pokoju, w którym David spędzał czas, korzystając z jednych z ust wymizerowanej prze-tworzonej dziewczyny. Pokazali mu aparat i zagrozili, że wyślą heliotypy do gazet, czasopism i władz uniwersytetu. Dali mu jednak wybór i zaoferowali dobre pieniądze.

Więc donosił. Tylko okazjonalnie; raz, może dwa razy do roku. Potem przestał i milczał przez długi czas. Aż do tego dnia. Tego dnia bowiem naprawdę zaczął się bać.

David odetchnął głęboko i rozpoczął swoją opowieść.

– Kroi się coś wielkiego. Och, na Jabbera, nawet nie wiem, od czego zacząć. Słyszeliście o tej chorobie, która się panoszy? O tych ludziach z wysanym umysłem? No to powiem wam, że wiem, skąd się wzięła. Sądziłem, że jakoś zapanujemy nad tą sprawą, że uda się... Ale nic z tego, na Diabli Ogon! Sytuacja jest coraz poważniejsza i obawiam się, że... że potrzebujemy pomocy. – Jakaś część umysłu Davida miała ochotę splunąć z odrazą na jego tchórzostwo i na te niepotrzebne złudzenia, ale on prawie nie zwracał uwagi na głos sumienia. Mówił pospiesznie: – Wszystko to przez Isaaca.

– Dana der Grimnebulina? – upewnił się mężczyzna. – Tego, z którym dzielisz laboratorium? Teoretyka-renegata. Partyzanta nauki ze skłonnością do ważniactwa. Co on znowu knuje? – Mężczyzna uśmiechnął się zimno.

– Słuchajcie, to wam powiem. Został zatrudniony przez... Powiedzmy, że dostał zlecenie zbadania wszystkich aspektów lotu. Zaczął więc kolekcjonować wszelkie okazy latającej zwierzyny, żeby mieć materiał do eksperymentów. Ptaki, owady, aspisy, dosłownie wszystko. Wśród tego zwierzyńca znalazła się też pewna tłusta gąsienica. Przez długi czas dziadostwo wyglądało tak, jakby miało zdechnąć, ale Zaac musiał w końcu znaleźć sposób na utrzymanie go przy życiu, bo nagle zaczęło rosnąć. Stało się... wielkie. Taki skurwysyn – dodał z emfazą, rozkładając ręce, by uświadomić słuchającym rozmiary gąsienicy. Siedzący wpatrywał się intensywnie w jego oczy, z nieruchomą twarzą i zaciśniętymi pięściami. – Wreszcie zaczęło się przepoczwarzać i byliśmy cholernie ciekawi, co z tego wyrośnie. Aż pewnego dnia wróciliśmy do laboratorium i znaleźliśmy Lublamaia – no, wiecie, trzeciego lokatora naszego magazynu – leżącego na podłodze i zaślinionego, bez zmysłów. Czymkolwiek jest ten sukinsyn, który wyklął się z kokonu, po prostu wyżarł umysł Lublamaia... a potem uciekł i teraz żyje na wolności.

Mężczyzna w garniturze zdecydowanie skinął głową, zupełnie inaczej niż wtedy, gdy z obojętną miną zachęcał Davida do zwierzeń. – I dlatego uznałeś, że lepiej będzie nas poinformować.

– Gówno prawda. Wcale tak nie pomyślałem. Wtedy jeszcze sądziłem, że sami możemy coś zdziałać. Byłem cholernie wściekły na Isaaca i nie miałem pojęcia, co będzie dalej, ale miałem nadzieję, że w jakiś sposób namierzemy to bydłę i ocucimy Luba... Ale teraz pojawiło się podobno więcej takich stworzeń i mnożą się opowieści o ludziach, którzy... stracili rozum... No, ale ważne jest to, że dowiedzieliśmy się wreszcie, kto dostarczył Zaacowi tego robala. Jakiś zasrany urzędniczyna w Parlamencie rąbnął larwę z przesyłki dla Działu Badań i Rozwoju. Kiedy o tym usłyszeliśmy, pomyślałem: „O kurwa, lepiej nie zadzierać z władzą”. – Siedzący mężczyzna poparł osąd uczonego pojedynczym ruchem głowy. – Uznałem, że zabraliśmy się do sprawy, która nas przerasta, i to bardzo... – David umilkł, ale gdy mężczyzna otworzył usta, żeby coś powiedzieć, nie dał mu dojść do słowa. – Nie, słuchajcie mnie! To jeszcze nie koniec! Tak się składa, że słyszałem o rozruchach w Kelltree i wiem, że zwinęliście naczelnego pisemka „Runagate Rampant”, zgadza się? – Mężczyzna w garniturze milczał, machinalnie przyglądając nie istniejącą zmarszczkę materiału na rękawie marynarki. Fakt, o którym wspomniał Serachin, nie został upubliczniony, ale atak na rzeźnię w Dog Fenn bez wątpienia musiał stać się przyczyną niezliczonych plotek. – Otóż jedna z przyjaciółek Isaaca – ciągnął David – która pisywała artykuły do tej gazetki, skontaktowała się z tym aresztowanym redaktorem – sam nie wiem jak, pewnie przez jakiegoś pieprzonego taumaturga – i usłyszała od niego dwie ważne wiadomości. Po pierwsze, przesłuchujący... czyli wasi ludzie... podejrzewają, że on wie o czymś, o czym naprawdę nie ma pojęcia. Po drugie, wypytywali go o pewien artykuł w „RR”, a ściślej o informatora, który dostarczył dziennikarzowi materiał. Ten informator to kobieta; nazywa się Barbile, a najważniejsze jest to, że to właśnie jej wasz urzędnik rąbnął gąsienicę-potwora! – David urwał, czekając, aż znaczenie ostatnich słów dotrze do obu słuchaczy. – Jak widać, wszystko to zazębia się jakoś, chociaż muszę przyznać, że nie wiem, o co tu chodzi. I nie chcę wiedzieć. W każdym razie widzę, że wchodzimy wam w paradę. Może to zbieg okoliczności, ale ja tak nie uważam... I nie mam nic przeciwko tępieniu potworów, ale nie zamierzam razem z moim kolegą stawać po niewłaściwej stronie prawa, milicji, tajnych służb, rządu i Jabber wie czego jeszcze. Chyba powinniście jakoś zamknąć tę sprawę.

Mężczyzna siedzący na łóżku klasnął w dłonie i w tym momencie David przypomniał sobie o czymś.

– Cholera, posłuchajcie mnie jeszcze! Tak się zastanawiałem nad sensem całej tej historii i... nie wiem, czy się nie mylę, ale... czy nie chodzi w niej czasem o energię kryzysową?

Mężczyzna bardzo powoli pokręcił głową, raczej nie rozumiejąc, do czego zmierza Serachin.

– Mów dalej.

– No, tak się złożyło, że w ostatnich dniach Isaacowi wymknęło się parę słów, z których wywnioskowałem, że... udało mu się zbudować działający prototyp maszyny kryzysowej... Wiecie, co to oznacza?

Rysy siedzącego stwardniały, a oczy otworzyły się bardzo szeroko.

– Jestem łącznikiem wszystkich agentów, którzy pracują dla nas w Brock Marsh – syknął. – Oczywiście, że wiem, co to oznacza, ale... nie wyobrażam sobie... to przecież... Zaraz, przecież to nie miałyby sensu, prawda? Czy... czy to prawda? – Mężczyzna po raz pierwszy wyglądał na głęboko poruszonego.

– Nie wiem – odparł David, bezradnie rozkładając ręce. – Ale jestem pewien, że to nie były czcze przechwałki... Wspomniał o tym przypadkiem... Naprawdę nie mam pojęcia. Wiem tylko, że pracował nad tym z przerwami od wielu, wielu lat...

W obskurnym pokoju zapadła cisza. Łącznik siedzący na łóżku w zadumie zapatrzył się w przeciwległy kąt pokoju. Na jego twarzy malowały się na przemian sprzeczne uczucia. Wreszcie spojrzął na Davida.

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – spytał.

– Zaac mi ufa – odrzekł Serachin. Lojalna częśćka jego osobowości znowu skrzywiła się z niesmakiem, a on ponownie ją zignorował. – Najpierw ta kobieta...

– Nazwisko? – przerwał mężczyzna. David zawahał się.

– Derkhan Blueday – mruknął w końcu. – Tak więc ta Blueday z początku nie chciała przy mnie nic mówić, ale Isaac zaręczył za mnie. Zna moje poglądy, czasem razem chodziliśmy na demonstracje. – „Ty nie masz poglądów, jesteś pieprzonym zdrajcą” – odezwał się głos w jego umyśle. – Rzecz w tym, że w takich chwilach... – zaczął smętnie i rozmyślił się, wyraźnie nieszczęśliwy. Mężczyzna w garniturze niecierpliwie machnął ręką: nie interesowało go ani poczucie winy Davida, ani to, jaką racjonalną legendę próbował do niego dorobić. – Isaac powiedział jej, że może mi ufać, i kazał mówić o wszystkim swobodnie. – David umilkł. Mężczyzna na łóżku czekał. Wreszcie uczony wzruszył ramionami. – To wszystko, co wiem – szepnął.

Łącznik skinął głową i wstał.

– W porządku – rzekł. – To bardzo... przydatne informacje. Zapewne będziemy musieli zatrzymać twojego przyjaciela Isaaca. Ale nie przejmuj się – dodał, uśmiechając się pocieszająco. – Nie jesteśmy zainteresowani wyeliminowaniem go. Możliwe, że będziemy potrzebowali jego pomocy. Przeczucia cię nie mylą, to pewne. Rzeczywiście, trzeba uzupełnić pewne fakty, połączyć je w logiczną całość, ale to już nie twoje zadanie. Możliwe, że my je wykonamy. Z pomocą Isaaca. Będziemy w kontakcie. Dostaniesz instrukcje na piśmie i postarasz się wykonać je co do joty, choć naturalnie nie muszę ci o tym przypominać, prawda? Dopilnujemy, żeby der Grimnebulin nie dowiedział się, skąd dostaliśmy informacje. Być może zaczniemy działać dopiero za kilka dni, więc... nie wpadaj w panikę. To już nasza sprawa. Ty siedź cicho i pilnuj, żeby der Grimnebulin robił to, co robi. Jasne? – David żałośnie kiwnął głową i znieruchomiał. Mężczyzna spojrzął na niego surowo. – To wszystko – warknął. – Możesz iść.

Zmagając się jednocześnie z wyrzutami sumienia i poczuciem niewymownej ulgi, David wstał i pospiesznie ruszył w stronę drzwi. Szedł energicznie, ale wydawało mu się, że płynie w bagnie, gdyż wstyd osaczył go ze wszystkich stron jak morze gęstego, lepkiego śluzu. Całym sercem pragnął wyrwać się wreszcie z tego pokoju, zapomnieć o tym, co powiedział i zrobił, nie myśleć o monetach i banknotach, które wkrótce dostanie, i skupić się wyłącznie na lojalności, która łączyła go z Isaakiem, oraz na tym, że podjął najślusniejszą decyzję.

Drugi mężczyzna otworzył przed nim drzwi. David popędził przed siebie, niemal biegnąc korytarzem i po schodach. Nie mógł doczekać się wolności.

Przemierzając ulice Spit Hearth, nie poruszał się jednak wystarczająco szybko, by uciec przed poczuciem winy, które otaczało go podstępem jak ruchome piaski.

ROZDZIAŁ 30

Jednej nocy miasto spało w miarę spokojnie.

Naturalnie nie było mowy o tym, by umilkły w nim wszelkie niepokoje. Mężczyźni i kobiety wciąż walczyli ze sobą i umierali. Krew i rzygowiny nadal lały się obficie w

zakazanych uliczkach. Szkło pękało. Milicjanci przelatywali nad miastem w swych kapsułach. Sterowce szybowały bezgłośnie jak monstrialne karykatury wielorybów. Okaleczone, pozbawione oczu zwłoki mężczyzny, którego zidentyfikowano później jako Benjamina Fleksa, rzeka wypluła w okolicy Badside.

Miasto rzucało się więc w malignie, dokładnie tak, jak czyniło to przez stulecia. Nie był to sen zupełnie spokojny, ale też innego nigdy nie zaznało.

Następnej nocy, kiedy David wykonywał ukradkiem swą misję w dzielnicy czerwonych latarni, coś się zmieniło. Nowe Crobuzon zawsze było chaosem zgrzytliwych dźwięków i gwałtownych akordów. Teraz jednak pojawiła się nowa nuta: nerwowy, szepczący ton, od którego psuło się powietrze.

Przez jedną noc owo napięcie było ledwie wyczuwalne, jakby niepewne, z trudem przedostawało się do umysłów obywateli i rzucało cień na twarze śpiących. Potem nastał dzień i nikt nie pamiętał niczego poza krótką chwilą nocnego niepokoju.

Lecz gdy cienie powróciły o zmierzchu i temperatura spadła, wraz z mrokiem pojawiło się nad miastem coś nowego i przerażającego.

W każdym zakątku, od Flag Hill na północy po Barrackham w dolnym biegu rzeki i od opuszczonych przedmieść Badside na wschodzie po industrialne slumsy Chimer, ludzie rzucali się na posłaniach i jęczeli przez sen.

Strach najszybciej dopadł dzieci. Płakały i wbijały paznokcie w skórę, wykrzywiając twarzyczki w grymasach bóleści, pociły się smrodliwie i obficie, kręciły główkami na boki – a wszystko to w głębokim śnie.

Nieco później niepokój udzielił się dorosłym. W głębinach innych, nieszkodliwych snów, obudziły się znieczuła zadawnione lęki i paranoje. Niczym armie najeźdźców rzuciły się z furią do ataku i przebiły mentalne bariery. W uśpionej wyobraźni mieszkańców miasta pojawiały się nieskończone szeregi niewyraźnych, budzących grozę obrazów, czasem absurdalnie banalnych – jak wizerunki upiórów i strzyg, które na jawie mogły budzić jedynie uśmiech.

Ci, którym los oszczędził nocnych męczarni, budzili się nagle w zupełnej ciemności, zaniepokojeni jękami, krzykami i płaczem najbliższych. U niektórych nawet przyjemne sny o seksie czy szczęśliwym życiu zyskiwały chorobliwą intensywność. W pułapce nocy to, co złe, pozostawało złem, a to, co dobre, złem się stawało.

Miasto kołysało się i drżało. Złe sny rozprzestrzeniały się jak bakcyle choroby, atakując kolejne ofiary. Zdołały nawet wdrzeć się w umysły przytomnych. Nocni stróże i agenci milicji, tancerki w klubach i nerwowi studenci, a także ci, którzy cierpieli na chroniczną bezsenność, poczuli nagle, że gubią się we własnych myślach, a ich świadomość dryfuje ku dziwnym, fantastycznym i złowrogim halucynacjom o wielkiej intensywności.

W całym mieście słyhać było krzyki przerażonych.

W Nowym Crobuzon zapanowała epidemia – plaga nocnych koszmarów.

Lato spadło na metropolię jak duszący całun. Nawet w nocy powietrze było tak gorące i gęste jak to, które wydycha się z płuc. Wysoko nad dachami, w połowie drogi między niebem a ziemią, krążyły wielkie, skrzydlate istoty, spoglądające na miejski pejzaż łakomym wzrokiem.

Mocno pracowały skrzydłami o nieregularnych kształtach, za każdym ich ruchem posyłając ku ziemi potężny podmuch wiatru. Dziwaczne kończyny i wypustki ich ciał – mackowate, owadzie, ludzkie, chitynowe, rozliczne – drżały z podniecenia.

Złowrogie paszcze rozchylały się i długie, pierzaste języki zaczynały trzepotać na wietrze. Powietrze było gęste od snów, których ślady latające istoty chłonięły łapczywie. Gdy kępki na końcach języków stawały się ciężkie od niewidzialnego

nektaru, pyski otwierały się ponownie i mięsiste języki zwijały się, by z głośnym mlaśnięciem i zgrzytem wielkich zębów zniknąć pod czarnym podniebieniem.

Szybując wysoko, wydalały resztki pożywienia, pozostawiając w przestworzach niewidzialny ślad. Psychiczne, niematerialne odchody, lepkie i ciężkie, opadały ku ziemi. Rozprzestrzeniając się w powietrzu, nasycaly umysły odpoczywających strachem, budząc uśpione potwory. Pograżeni we śnie i przytomni, wszyscy odczuwali niepokój.

Pięć skrzydlatych istot ruszyło na polowanie.

Nurzając się w wywarze sennych koszmarów unoszącym się nad Nowym Crobuzon, każdy z łowców był w stanie polecieć wybranym, indywidualnym tropem czyichś snów.

Zazwyczaj ćmy kierowały się oportunistycznie – czekały, aż natkną się na skupisko silnych emocji, które było dla nich wyjątkowo smakowitym kąskiem. Wtedy nawracały i lotem nurkowym kierowały się w stronę zdobyczy. Szczupłymi dłońmi otwierały okna na poddaszach i bezszelestnie kroczyły po zalanych księżycowym światłem podłogach, by pochylić się nad śpiącymi i wypić esencję ich umysłów. Czasem chwyciły niezliczonymi mackami samotne postacie spacerujące nad rzeką. Znikając w ciemności, ofiary krzyczały i błagały, dołączając do chóru jęczących przez sen obywateli.

Kiedy jednak skrzydłaci łowcy porzucili ciała nieszczęśników, żywe, ale nieruchome i bezmyślnie zwinięte na podłodze czy brukowych kamieniach, kiedy już zaspokoili pierwszy głód i nie musieli łączyć pożerać kolejnych umysłów, kiedy mogli pożywiać się wyłącznie dla przyjemności, wtedy obudziła się w nich ciekawość. Zaczęli szukać wątych emanacji umysłów, które kiedyś już poznali. Zimni i inteligentni, jak badacze wędrujący tropem nierozwikłanej tajemnicy, podążyli za znajomymi zapachami myśli i marzeń.

Jeden z nich wychwycił słaby ślad strażnika, który niegdyś pilnował czterech łowców uwięzionych w Mieście Kości i często fantazjował o żonie swego przyjaciela. Barwne imaginacje unosiły się nad miastem i osiadały na lubieżnie wysuniętym języku ćmy. Stwór wchłonął porcję aromatu i zakreślił pętlę na niebie, po czym zanurkował w kierunku Echomire, nieomylnie podążając za swą ofiarą.

Inny z wielkich szybowników wywinął znienacka ciasną ósemkę i zawisł niemal nieruchomo, analizując ślad, który musnął jego kubki smakowe. Był to nerwowy aromat, którym swego czasu nasiąkły kokony wykluwających się potworów. Ogromna bestia unosiła się nad miastem w zamyśleniu, śliniąc się nie tylko w realnym, fizycznym wymiarze. Sygnał był słaby, frustrująco daleki, ale wystarczająco jednoznaczny dla czułych zmysłów łowcy. Ciemny kształt wystrzelił nagle w stronę Mafaton, bez chwili wytchnienia chłonąc ulotny ślad uczoney kobiety, która tak pilnie obserwowała jego rozwój we wszystkich stadiach – ślad Magesty Barbile.

Niedożywiony, niewydarzony pokurcz, który uwolnił swych pobratymców z poddasza w Mieście Kości, także odnalazł znajomy trop. Jego umysł nie był jeszcze w pełni rozwinięty, a kubki smakowe mniej dojrzałe i nie tak precyzyjne jak jego towarzyszy. Nie potrafił podążyć za ulotną emanacją ofiary, lecz mimo to próbował. Smak był tak pełny i taki znajomy... otaczał go we wszystkich fazach rozwoju, podczas przepoczwarzania i autokreacji w jedwabnej osłonce kokonu... Myśliwi gubił i odnajdywał trop, by znowu go stracić, ale nie ustawał.

Najmniejszy i najsłabszy z nocnych łowców – a przecież znacznie potężniejszy od najsilniejszych nawet ludzi – głodny i agresywny, przemierzał przestworza z wywieszonym językiem, próbując odnaleźć ślad Isaaca Dana der Grimnebulina.

Isaac, Derkhan i Lemuel Pigeon stali na rogu ulicy w mętnym świetle gazowej latarni ulicznej.

– Gdzie on się, kurwa, podziewa, ten twój kumpel? – syknął Isaac.

– Spóźnia się. Pewnie zabłądził. Mówiłem wam przecież, że jest głupi – odparł spokojnie Lemuel. Wyjąwszy z kieszeni nóż sprężynowy, zaczął czyścić paznokcie.

– Po co w ogóle na niego czekamy?

– Nie bądź takim zasranym niewiniątkiem, Isaacu. Doskonale potrafisz wymachiwać przede mną forszą i namawiać do udziału w śmierzących sprawach, które wcale mnie nie obchodzą, ale wiedz, że wszystko ma swoje granice. Nie zamierzam pakować się bez ochrony w rozróbę, która może wkurzyć władzę. A pan X jest najlepszą ochroną, jaką mogę mieć.

Isaac zaklął bezgłośnie, ale w duchu musiał przyznać rację Lemuelowi.

Nie podobało mu się to, że w ogóle wciągnął Lemuela w tę awanturę, lecz wydarzenia toczyły się szybko i nie pozostawiały mu wielkiego wyboru. David jakoś nie miał ochoty przyłączyć się do poszukiwań Magesty Barbile. Sprawiał wrażenie sparaliżowanego strachem, zmienił się w bezradny kłębek nerwów. Isaac zaczynał tracić cierpliwość do niego – potrzebował wsparcia i chciał, aby David zapanował nad sobą i wreszcie coś zrobił. Teraz jednak nie było czasu na konfrontację.

Kiedy Derkhan przypadkiem ujawniła nazwisko osoby, która mogła odegrać kluczową rolę w rozwikłaniu zagadki tajemniczych istot nękających miasto i równie tajemniczego uwięzienia Benjamina Fleksa, Isaac wiedział, co robić. Natychmiast przekazał informacje – nazwisko, dzielnica, zawód, Dział Badań i Rozwoju – niezawodnemu Lemuelowi Pigeonowi. Dał mu też pieniądze, kilka gwinei (zauważając przy okazji, że zapas złota, które dostał od Yagharka, kurczy się powoli), dołączając do nich błaganie o pomoc.

I między innymi dlatego starał się zapanować nad irytacją, kiedy pan X nie zjawił się o umówionej porze. Odgrywał pantomimę zniecierpliwienia, ale dobrze wiedział, że ochrona była jedną z tych korzyści z towarzystwa Lemuela Pigeona, na których najbardziej mu zależało.

Sam pośrednik nie potrzebował specjalnego zaproszenia do tego, by towarzyszyć Isaacowi i Derkhan w drodze do Mafaton i szukaniu adresu, który zdobył. Twierdził, że pójdzie z nimi, choć w zasadzie nie interesują go szczegóły tej sprawy, za to chętnie przyjmie zapłatę. Isaac nie wierzył w jego najemniczą filozofię. Zaczynał podejrzewać, że Lemuel jest po prostu coraz bardziej zainteresowany intrygą, w którą dał się wplątać.

Yagharek zdecydowanie odmówił udziału w wyprawie. Isaac próbował go przekonać, przemawiał długo i z zapalem, ale garuda nawet mu nie odpowiedział. „Więc co tu jeszcze robisz, do ciężkiej cholery?” – miał ochotę zapytać Isaac, ale przełknął tylko swój gniew i zostawił Yagharka w spokoju. Postanowił zaczekać, w nadziei, że z czasem garuda oswoi się ze świadomością, iż nie jest sam na świecie i że może należeć do kolektwyu życzliwych mu ludzi.

Lin opuściła laboratorium tuż przed przyjściem Derkhan. Niechętnie zostawiała Isaaca samego w trudnej sytuacji, ale jednocześnie sprawiała wrażenie niespokojnej, jakby miała coś pilnego do załatwienia. Pozostała w starym magazynie tylko przez jedną noc, a odchodząc, obiecała kochankowi, że powróci tak szybko, jak będzie to możliwe. Następnego ranka Isaac otrzymał wiadomość nakreśloną jej pochylonym piśmem, a doręczoną przez szybkiego i kosztownego gońca.

Najdroższy!

Obawiam się, że poczujesz się zdradzony i opuszczony, ale błagam Cię o wyrozumiałość. Znalazłam w domu list od mojego szefa, zleceniodawcy czy też mecenasa, jeśli wolisz. Ledwie dotarła do mnie wiadomość o tym, że pilne sprawy każą mu zawiesić współpracę ze mną na czas nieokreślony, a już pisze, że powinnam natychmiast wrócić do pracy.

Wiem, że dzieje się to w najgorszym momencie. Proszę Cię tylko, uwierz mi, że nie usłuchałabym wezwania, gdybym mogła, ale nie mogę. Nie mogę, Isaacu. Spróbuję ukończyć moje dzieło tak szybko, jak będę umiała – może w tydzień lub dwa, jeśli dopisze mi szczęście – i wtedy wrócę do Ciebie.

Czekaj na mnie.

Kocham Cię,

Lin

I dlatego na rogu Addley Pass, w kamuflażu księżycowego światła, filtrowanego przez gęste chmury i cienie drzew w Billy Green, stali jedynie Isaac, Derkhan i Lemuel.

Nerwowo przestępowali z nogi na nogę, przypatrując się ceniom ślizgającym się po ulicy. Z okolicznych domów dobiegały bez przerwy odgłosy wyjątkowo niespokojnego, koszmarnego snu mieszkańców. Spoglądali na siebie pytająco za każdym razem, gdy pomruk majaczących głosów przerywał głośniejszy okrzyk lub jęk.

– Do wszystkich diabłów – wysapał zirytowany i wystraszony Lemuel. – Co się dzieje?

– Coś wisi w powietrzu... – mruknął Isaac i umilkł, spoglądając z obawą w niebo. Jakby dla spotęgowania i tak wyczuwalnego napięcia, Derkhan i Lemuel, którzy poznali się poprzedniego dnia, postanowili, że będą sobą nawzajem gardzić. Ze wszystkich sił starali się nie zwracać na siebie uwagi. – Skąd wzięłaś jej adres? – spytał Isaac.

Lemuel z irytacją wzruszył ramionami.

– Kontakty, Zaac. Kontakty, układy i łapówki. Nie domyślasz się? Doktor Barbile opuściła swoje mieszkanie kilka dni temu i od tamtej pory nocuje w znacznie mniej przyjemnym miejscu. Co ciekawe, przeprowadziła się zaledwie o kilka przecznicy dalej. Wyjątkowy brak wyobraźni. Hej... – Lemuel szarpnął lekko ramię Isaaca i wyciągnął rękę ku przeciwnej stronie ulicy. – Idzie nasz człowiek.

W ich kierunku istotnie zmierzała masywna postać. Potężny mężczyzna spojrzął ponuro na Isaaca i Derkhan, a potem skinął głową w stronę Lemuela w niedorzecznie zawadiacki sposób.

– No, co tam, Pigeon? – zapytał zdecydowanie za głośno. – Co robimy?

– Ciszej, człowieku – skarcił go Lemuel. – Co tam masz? – Ochroniarz przycisnął do ust gruby paluch na znak, że zrozumiał. Potem rozsunął poły marynarki, prezentując dumnie dwa olbrzymie pistolety skałkowe. Isaac wystraszył się nieco, widząc ich wielkość. Oboje z Derkhan byli uzbrojeni, ale nie przyszło im do głowy, że można paradować po mieście z takimi armatami. Lemuel z zadowoleniem kiwnął głową. – Świetnie. Zapewne nie będą nam potrzebne, ale... nigdy nic nie wiadomo. W każdym razie nie odzywaj się. – Facet przytaknął ruchem głowy. – I nie słuchaj, jasne? Dziś w nocy występujesz bez uszu. – Ochroniarz ponownie skinął wielkim łbem. Lemuel Pigeon odwrócił się w stronę Isaaca i Derkhan. – Posłuchajcie.

Wiem, o co chcecie pytać tę babkę. My dwaj, jeśli się uda, będziemy tylko cieniami. Mamy jednak powody przypuszczać, że milicja może interesować się tą sprawą, a to oznacza, że nie powinniśmy pozwalać sobie na żarty. Jeżeli pani Barbile nie będzie współpracować, pomożemy jej.

– Czy ten zwrot oznacza po gangstersku „tortury”? – syknął wściekle Isaac. Lemuel zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

– Nie. Nie próbuj prawić mi kazań. To ty finansujesz tę imprezę. Nie mamy czasu na wygłupy i nie zamierzam pozwalać na nie tej kobiecie. Widzisz w tym jakiś problem? – Grimnebulin nie odpowiedział. – Doskonale. Idziemy w prawo, do Wardock Street.

Wędrując w środku nocy w stronę nowego domu Magesty Barbile, nie spotkali już nikogo. Każde z nich szło w inny sposób. Kumpel Lemuela kroczył pewnie, bez śladu strachu; nawet posępna aura nocnych koszmarów nie robiła na nim widocznego wrażenia. Pigeon szedł czujnie, zaglądając do każdej ciemnej bramy. W pospiesznych ruchach Isaaca i Derkhan widać było przede wszystkim lęk.

Wreszcie zatrzymali się na Wardock Street, przed drzwiami domu Magesty Barbile. Lemuel odwrócił się i skinął na Isaaca, ale Derkhan była szybsza.

– Ja to zrobię – wyszeptała zdecydowanie. Pozostali cofnęli się nieco. Kiedy stanęli w cieniu po obu stronach drzwi, odwróciła się i pociągnęła za sznurek od dzwonka.

Przez długą chwilę nic się nie działo. Potem rozległ się odgłos cichych kroków na schodach i ktoś stanął po przeciwnej stronie drzwi. Znowu zapadła cisza. Derkhan czekała, nakazując pozostałym zachować milczenie. Wreszcie zza drzwi dobiegł stłumiony głos.

– Kto tam?

Magesta Barbile sprawiała wrażenie śmiertelnie przerażonej. Derkhan odpowiedziała szybko i łagodnie:

– Doktor Barbile? Nazywam się Derkhan. Muszę z panią pilnie porozmawiać.

Isaac rozejrzał się ostrożnie. Światła po obu stronach ulicy były nieruchome; wydawało się, że nikt nie obserwuje nocnej wizyty.

Magesta Barbile uznała, że nie powinna ustępować zbyt łatwo.

– No... nie wiem, nie jestem pewna... – odpowiedziała z wahaniem. – To naprawdę nie najlepsza pora...

– Doktor Barbile... Magesto... – przerwała jej cicho Derkhan. – Musisz otworzyć drzwi. Możemy ci pomóc, ale musisz nas wpuścić. I to zaraz, do ciężkiej cholery.

Z mieszkania dobiegł głos niepewnego szurania nogami, a potem Magesta Barbile uchyliła drzwi. Derkhan zamierzała właśnie wśliznąć się w szparę, ale zamarła w pół kroku. Kobieta stojąca naprzeciwko niej ścisnęła w rękach karabin. Nie wyglądała na wprawioną w posługiwaniu się bronią, ale mimo wszystko gruba lufa karabinu skierowana była wprost w brzuch dziennikarki.

– Nie wiem, kim jesteście... – zaczęła Barbile drżącym głosem, ale w tym samym momencie masywny przyjaciel Lemuela, pan X, niespiesznie i z wdziękiem sięgnął zza Derkhan długim ramieniem i wcisnął w panewkę karabinu swą mięsistą dłoń, blokując kurek. Przerażona kobieta szarpnęła bronią i nacisnęła spust, lecz pan X tylko syknął z cicha, gdy metalowy element wbił się w jego ciało. Pchnął zniechęca ciężki karabin, i Magesta Barbile straciwszy równowagę, runęła plecami na schody.

Zanim zdążyła stanąć na nogi, intruz był już w jej domu.

Pozostali poszli jego śladem. Derkhan nawet nie protestowała, widząc, w jaki sposób pan X potraktował doktor Barbile. Lemuel miał rację: nie mieli czasu na ceregiele.

Pan X mocno chwycił szamoczącą się i jęczącą histerycznie kobietę, zasłaniając dłonią jej usta. Oczy, pełne przerażenia, omal nie wyszły jej z orbit.

– O bogowie – stęknął Isaac. – Ona myśli, że chcemy ją zabić. Przestań!

– Magesto – odezwała się głośno Derkhan, bez oglądania się kopniakiem zamykając drzwi. – Magesto, musisz się opanować. Nie jesteśmy z milicji. Nie jest tak, jak myślisz. Jestem przyjaciółką Benjaminą Fleksa. – W tym momencie oczy Barbile otworzyły się jeszcze szerzej, a szamotanina stała się mniej zacięta. – To prawda – ciągnęła Derkhan. – Benjamin jest w więzieniu. Wiesz już o tym, jak sądzę? – Barbile, która wpatrywała się w nią intensywnie, energicznie skinęła głową. Pan X postanowił zaryzykować: ostrożnie odsunął dłoń od ust kobiety. Nie krzyknęła. – Nie jesteśmy z milicji – powtórzyła wolno Derkhan. – Nie zwiniemy cię tak, jak władza zwinęła Benjaminą. Ale musisz wiedzieć... musisz wiedzieć, że skoro my byliśmy w stanie odkryć, kto był informatorem Bena, to milicja dotrze też do ciebie.

– Ja... To dlatego ja... – Barbile urwała, ruchem ręki wskazując na leżący w kącie karabin. Derkhan kiwnęła głową.

– W porządku. Posłuchaj mnie, Magesto. – Mówiła powoli i wyraźnie, patrząc prosto w oczy drżącej jeszcze kobiety. – Nie mamy wiele czasu... Puść ją wreszcie, durniu! Nie mamy wiele czasu, a musimy wiedzieć dokładnie, co się dzieje w tym mieście. A dzieje się coś cholernie dziwnego. Istnieje mnóstwo tropów, które dziwnym trafem prowadzą do ciebie, więc pozwól, że coś ci zasugeruję: może zaprosisz nas na górę, zanim zjawi się tu milicja, i wyjaśnisz nam, co jest grane?

*

– Dopiero co dowiedziałam się o wpadce Fleksa – powiedziała Magesta. Siedziała na kanapie, z podwiniętymi nogami, ściskając oburącz kubek zimnej herbaty. Tuż za nią wisiało lustro, zakrywające większą część ściany. – Szczerze mówiąc, nie interesują mnie najświeższe wiadomości. Byłam umówiona na spotkanie z Benjaminem. Termin minął kilka dni temu i zaczęłam się bać, że... no, sama nie wiem... że Flex mnie wyda czy coś w tym guście. – „Pewnie już to zrobił” – pomyślała Derkhan, ale nie odezwała się. – A potem usłyszałam plotki o tym, co się stało w Dog Fenn, kiedy milicja tłumiła rozruchy...

„Nie było tam żadnych rozruchów!” – chciała krzyknąć Derkhan, ale opanowała się. Nie wiedziała, z jakiego powodu Magesta Barbile podzieliła się z Benem tajnymi informacjami, ale z pewnością nie były to pobudki polityczne.

– I przez te plotki... – ciągnęła kobieta. –...No, sami wiecie. Dodałam dwa do dwóch i wyszło mi, że...

– Że powinnaś się ukryć – wpadła jej w słowo Derkhan. Barbile przytaknęła.

– Posłuchaj no – odezwał się nagle Isaac, który do tej pory przysłuchiwał się rozmowie z wyrazem napięcia zastygłym na twarzy. – Czy ty nic nie czujesz? Nic nie widzisz? – spytał, potrząsając wokół twarzy dłońmi o drapieźnie zakrzywionych palcach, jakby próbował coś chwycić. – Przecież nie tylko ja czuję, że to nocne powietrze zaczęło gnąć. Nie wiem, może to tylko przeklęty zbieg okoliczności, ale każde fatalne wydarzenie na przestrzeni ostatniego miesiąca wyglądało na część większego spisku i mogę się założyć, że następnym razem będzie podobnie. – Isaac pochylił się nad żałośnie skuloną kobietą, która patrzyła nań z paraliżującym lękiem w oczach. – Doktor Barbile – rzekł z naciskiem. – Coś wyjada ludziom umysły...

Zrobiło to między innymi mojemu przyjacielowi. Mamy też nalot na siedzibę „RR”, no i to powietrze, które na naszych oczach zmienia się w nadpsutą zupę... Co się dzieje? I jaki związek ma to wszystko z dreamshitem?

Barbile zaczęła płakać. Isaac omal nie zawył z wściekłości, ale ostatecznie odwrócił się tylko i machnął obiema rękami. Spojrzał na roztrzęsioną kobietę dopiero wtedy, gdy zaczęła mówić, nie przestając pociągać nosem.

– Od razu wiedziałam, że to fatalny pomysł... – wyszeptała. – Mówiłam im, że należy zachować kontrolę nad eksperymentem... – Słowa Barbile były prawie niezrozumiałe, a zdania urywane i przeplatane napadami szlochów. – Eksperyment nie trwał wystarczająco długo... Nie powinni byli tego robić...

– Czego? – spytała Derkhan. – Co takiego zrobili? O czym rozmawiałaś z Benem?

– O transferze – zaszlochała Barbile. – Nie zdążyliśmy dokończyć projektu, kiedy dotarła do nas wiadomość, że badania zostaną przerwane... Ktoś jednak dowiedział się... co naprawdę planowano: okazy miały zostać sprzedane... jakiemuś bandycie...

– Jakie okazy? – zainteresował się Isaac, ale Barbile zignorowała pytanie. Postanowiła wyrzucać z siebie prawdę wedle własnego uznania i planu.

– Zdaniem sponsorów wyniki nie przychodziły wystarczająco szybko. Stali się więc... niecierpliwi... Sądzili, że znajdziemy zastosowania dla tych istot... może militarne, może psychologiczne... Ale nic z tego nie wyszło. Podmioty zachowywały się niezrozumiale, nie robiliśmy żadnych postępów... nie byliśmy w stanie kontrolować tych istot, a one stały się zbyt niebezpieczne... – Kobieta uniosła głowę, jakby przestraszyła się tego, że zaczęła mówić głośniej, nie przestając płakać. Umilkła na chwilę, a kiedy przemówiła, znowu był to szept. – Możliwe, że doszlibyśmy do czegoś, ale prace posuwały się zbyt wolno. I wtedy... ludzie finansujący projekt stracili cierpliwość. Kierownik powiedział nam, że to już koniec, że okazy zostaną zniszczone, ale... to było kłamstwo. Wszyscy o tym wiedzieli. To nie był pierwszy taki eksperyment... – Isaac i Derkhan otworzyli szerzej oczy, ale nie odezwali się. – Znaliśmy już jeden pewny sposób zarabiania pieniędzy na tych istotach... To dlatego sprzedano je temu, kto zaoferował najwyższą cenę... i kto chciał wykorzystać je do produkcji narkotyku... Tym sposobem sponsorzy odzyskali zainwestowane pieniądze, a kierownik projektu mógł kontynuować badania na własną rękę, współpracując z nowym właścicielem. Ale tak nie powinno być... Władza nie powinna zarabiać pieniędzy na narkotykach i nie powinna kraść nam wyników naszych badań... – Barbile przestała płakać. Siedziała, trzęsąc się z emocji. Nocni goście pozwolili jej mówić. – Pozostali chcieli już zapomnieć o sprawie, ale ja byłam naprawdę wściekła... Nie po to patrzyłam, jak się wykluwają i nie po to studiowałam ich zachowanie, żeby teraz jakiś przestępca zarabiał na nich krocie, produkując narkotyk...

Derkhan ledwie mogła uwierzyć w tak bezdenną naiwność. I to miała być informatorka Bena? Ta głupia, nie licząca się badaczka, którą zabolął fakt, iż skasowano jej program naukowy? Za coś takiego zdradziła prasie nielegalne posunięcia władz, sprowadzając sobie na głowę milicję i tajne służby?

– Barbile – odezwał się Isaac, tym razem znacznie ciszej i spokojniej. – Czym one są?

Magesta Barbile spojrzała na niego nieobecny wzrokiem.

– Czym one są? – powtórzyła sennie. – Te istoty, które wydostały się na wolność? Nasi podopieczni? To ómy.

ROZDZIAŁ 31

Isaac skinął głową, jakby słowa, które usłyszał, niosły w sobie jakiś głębszy sens. Szykował się do zadania kolejnego pytania, ale Barbile już na niego nie patrzyła.

– Od razu wiedziałam, że uciekły. Poznałam po snach – powiedziała. – Nie miałam wątpliwości. Nie wiem tylko, w jaki sposób się wydostały, ale teraz chyba już widać, że sprzedanie ich było błędem, prawda? – W jej głosie słychać było rozpacz i triumf zarazem. – Vermishank ma za swoje.

Isaac drgnął spazmatycznie na dźwięk tego nazwiska. „Oczywiście” – pomyślała spokojnie jakaś część jego umysłu. „To całkiem sensowne, że akurat on bierze udział w takim przedsięwzięciu”. Inna część jego jestestwa wrzeszczała nieartykułowanie. Grimnebulin czuł, że na pozór nie związane ze sobą strzępy jego życia zaciskają się wokół niego jak dusząca sieć.

– Co Vermishank ma wspólnego z waszym projektem? – spytał ostrożnie. Przechwycił pytające spojrzenie Derkhan, która nie знаła nazwiska akademika, ale domyślała się, że zna je Isaac.

– Jest szefem – odparła ze zdziwieniem Barbile. – Kierownikiem projektu.

– Przecież jest biotaumatykiem, a nie zoologiem czy innym teoretykiem... Dlaczego akurat on?

– Biotaumatygia to jego specjalizacja, ale nie jedyny obszar zainteresowań. Jest przede wszystkim administratorem projektu. Zarządza wszystkim, co wiąże się z niebezpieczeństwem organicznej natury: przetwarzaniem, bronią eksperymentalną, drapieżnikami, chorobami...

Vermishank był też kierownikiem Wydziału Nauk Ścisłych na Uniwersytecie Nowego Crobuzon. Piastował ważną, prestiżową funkcję. To, że tak intratnej posady nie powierzono by osobnikowi sprzeciwiającemu się polityce władz, było absolutnie pewne. Jednakże teraz dopiero Isaac zorientował się, jak dalece nie doceniał zaangażowania Vermishanka w sprawy państwa. Jego były szef był kimś więcej, niż tylko biernym potakiwaczem.

– Zatem to Vermishank sprzedał... ćmy? – upewnił się Isaac.

Barbile skinęła głową. Na zewnątrz zerwał się wiatr i okiennice zaczęły wściekle łomotać. Pan X rozejrzał się, szukając źródła hałasu. Pozostali nie odrywali oczu od kobiety siedzącej na kanapie.

– Skontaktowałam się z Flexsem, bo uznałam, że dzieje się coś złego – powiedziała. – Tymczasem stało się coś dziwnego... i ćmy są na wolności. Bogowie tylko wiedzą, jakim cudem uciekły.

„Ja też wiem” – pomyślał kwaśno Isaac. „Dzięki mnie”.

– Czy wiecie, co to oznacza? – kontynuowała Barbile. – Wszyscy staliśmy się dla nich obiektem polowania. Milicjanci zapewne przeczytali tamten numer „RR” i... i pomyśleli, że Flex miał coś wspólnego z ucieczką tych potworów... a skoro tak... to wkrótce dojdą do wniosku, że i ja jestem w nią zamieszana... – Kobieta znowu zaczęła szlochać. Derkhan z niesmakiem odwróciła od niej wzrok, myśląc o niewesołym losie Bena.

Pan X podszedł do okna, żeby unieruchomić okiennice.

– Magesto... – odezwał się Isaac, zebrawszy myśli. Miał ochotę zadać sto tysięcy pytań, ale tylko jedno z nich dotyczyło sprawy nie cierpiącej zwłoki. – Powiedz nam... w jaki sposób możemy je złapać?

Barbile spojrzała na niego bez słowa i potrząsnęła głową. Potem przebiegła wzrokiem po postaci Derkhan, pochylonej nad nią jak zatroskana matka, po obojętnej

twarży Lemuela, ignorującego wszystkich i wszystko. Wreszcie wbiła spojrzenie w pana X, który stał przy odsłoniętym oknie. Mężczyzna o byczej posturze uchylił je lekko i próbował przyciągnąć kiwające się na wietrze okiennice.

Próbował chwilę wcześniej, teraz zaś stał absolutnie nieruchomo, wypatrując czegoś za oknem.

Magesta Barbile spojrzała ponad jego barkiem na migocące w szalonym tempie barwy nocy.

Jej oczy zaszklily się, a głos uwiązł w gardle.

Coś obijało się o szybę, próbując wlecieć do jasno oświetlonego pokoju.

Barbile wstała, a Lemuel, Isaac i Derkhan otoczyli ją natychmiast, zaniepokojeni cichym jękiem, który wydobył się z jej krtani. Pytali, co się dzieje, ale ona tylko uniosła drżącą rękę, by wskazać na nieruchomą sylwetkę pana X.

– Na Jabbera... – wymamrotała wreszcie. – Na słodkiego Jabbera, ona mnie znalazła! Rozpoznała mój smak... – Kwicząc ze strachu, obróciła się na pięcie. – Lustro! – wrzasnęła dziko. – Patrzcie w lustro!

Jej głos, choć pełen przerażenia, był niewiarygodnie władczy. Jak na komendę cała czwórka odwróciła się w stronę gładkiej tafli. Desperackie wołanie miało w sobie taką moc, że nikomu nie przyszło do głowy ulec instynktowi i obejrzeć się przez ramię choćby na krótką chwilę.

We czworo wpatrywali się w wielkie lustro wiszące za obszarpaną kanapą. Wpatrywali się w nie jak urzeczeni.

Tylko pan X stąpił niezdarnie do tyłu, sztywnym krokiem ożywionego nieboszczyka.

Przed nim zaś wirował kalejdoskop barw. Budzący grozę kształt zaczął kurczyć się i zwijać za oknem, by zmieścić się w ciasnym otworze. Tępo zakończony, pozbawiony oczu pysk wsunął się przez szparę i „rozejrzał” wolno po pokoju. To, co ćma robiła ze swoim ciałem, przypominało niesamowity poród. W niepojęty sposób zmniejszała się do granic możliwości, aby wejść przez zbyt małe okno. Szkło drżało pod naporem ciała, pchającego się do środka mocą żyłastych ramion.

Na wpół rozpostarte skrzydła ani na chwilę nie przestawały mienić się mętnymi barwami.

Wreszcie intruz pchnął ze wszystkich sił i szklana tafla przestała istnieć. Jej rozpadowi towarzyszył tylko krótki, głuchy dźwięk, jakby powietrze było niebywale rozrzedzone. Odpryski szkła rozsypały się na podłodze.

Isaac przyglądał się temu jak zahipnotyzowany, drżąc lekko.

Kątem oka spostrzegł, że Derkhan, Lemuel i Magesta Barbile są w podobnym stanie. „To jakieś szaleństwo!” – pomyślał. „Musimy uciekać!” Wyciągnął rękę i szarpnął mocno rękaw Derkhan, kierując się ostrożnie w stronę drzwi.

Lemuel ciągnął za sobą Barbile, sparaliżowaną strachem.

Żadne z nich nie wiedziało, dlaczego kazała im patrzeć w lustro, ale też nie mieli zamiaru lekceważyć tego polecenia.

Lecz kiedy przesuwali się coraz odważniej w kierunku wyjścia, nagle zamarli po raz drugi, obca istota bowiem wyprostowała się, stojąc na środku pokoju.

Rozkwitła zniecka, wypełniając sobą całe ogromne, ściennie lustro. Wpatrywali się w jej wizerunek zdumieni i oczarowani.

Widzieli też plecy pana X, który stał nieruchomo i patrzył na wirujące w hipnotyzującym tańcu ruchome wzory na skrzydłach. Komórki barwnika ukryte w skórze intruza pulsowały w dziwaczny sposób.

Pan X podszedł bliżej, by lepiej widzieć skrzydła. Nikt z pozostałych nie dostrzegał już jego twarzy.

Ćma miała go w swojej mocy.

Była wyższa niż niedźwiedź stojący na tylnych łapach. Pęki ostrych i długich wyrostków, podobnych do chrzęstnych biczów, sterczały z obu jej boków. Niektóre z wypustek wystrzeliły w stronę nieruchomej postaci. Inne, mniejsze kończyny, zginały się i prostowały spazmatycznie jak szpony sposobiące się do ataku.

Istota stała na nogach podobnych do małych ramion. Miała ich trzy pary i raz po raz zmieniała pozycję, stojąc na przemian na dwóch, czterech lub sześciu łapach.

Kiedy korzystała tylko z dwóch, ostro zakończony ogon wysuwał się spomiędzy nich ku tyłowi, zapewniając jej równowagę. Jej paszcza...

(Wiecznie te wielkie skrzydła o nieregularnych kształtach, wyginające się dziwnie, zmieniające postać, tak by pasowały do pokoju, pełne przypadkowości i zmienne jak plama oleju na wodzie, absolutnie identyczne, poruszające się delikatnie, mieniające się wzorami i barwami w nieustającej, uwodzicielskiej pantomimie).

Oczu w zasadzie nie było – jedynie płytkie zagłębienia w czaszce, z których sterczały grube jak palec, sprężyste czułki, a pod nimi rzędy potężnych zębów. Isaac obserwował w milczeniu, jak wielki łeb przechyla się, a pysk otwiera, by uwolnić długi, mięsisty, wilgotny i chwytny jęzor.

Narząd węchu i smaku skrzydlatego łowcy obracał się energicznie. Jego końcówka, pokryta wyrostkami i pęcherzykami, pulsowała nieznacznie, gdy intruz wymachiwał językiem jak słoń trąbą.

– Próbuje mnie znaleźć – zawyła Barbile. Nie wytrzymała napięcia: puściła się biegiem w stronę drzwi.

Ćma zareagowała natychmiast, kierując w jej stronę wrażliwy język. Ruchy, które następnie wykonała, były zbyt szybkie, by mogło je zarejestrować ludzkie oko. Okrutny, organiczny kolec wystrzelił nagle z jej ciała i przebił głowę pana X jak wodę. Mężczyzna szarpnął się gwałtownie i w chwili, gdy krew buchnęła z rany, znalazł się w uścisku jednego z ramion bestii, które przyciągnęło go nieco bliżej i z potworną siłą cisnęło na przeciwległy kraniec pokoju.

Pan X przeleciał nad podłogą jak kometa, gubiąc krople krwi i odłamki czaszki. Umarł, zanim wylądował.

Jego zwłoki trafiły w plecy Magesty Barbile i przygniotły ją do podłogi. Potężne ciało spoczęło na deskach z szeroko otwartymi oczami.

Lemuel, Isaac i Derkhan skoczyli w stronę drzwi, wykrzykując paniczną kakofonię dźwięków.

Lemuel przeskoczył nad Magestą Barbile, która wyla się desperacko pod ciężkim cielskiem pana X. Zdołała wreszcie przewrócić się na plecy i teraz bez wytchnienia wołała o pomoc. Isaac i Derkhan jednocześnie wyciągnęli ręce i zaczęli holować ją w stronę wyjścia. Ani na moment nie otwierała oczu.

Kiedy jednak zwłoki pana X pozostały w tyle, głównie dzięki barbarzyńskiemu kopniakowi Lemuela, twarda, skórzasta macka pomknęła nagle ze świstem w stronę Magesty Barbile i owinęła się wokół jej kostek. Czując obcy dotyk, kobieta znowu zaczęła krzyczeć.

Derkhan i Isaac ciągnęli ze wszystkich sił. Najpierw czuli jedynie opór, a potem ćma zniecka przyciągnęła mackę ku sobie, z nieprawdopodobną siłą i upokarzającą łatwością wyrywając z ich rąk wierzgającą kobietę. Barbile pomknęła po podłodze z niebywałą prędkością, wyrywając z desek małe i duże drzazgi.

Jej wołania o pomoc zmieniły się w przeraźliwy wrzask.

Lemuel z rozmachem otworzył drzwi i wybiegł na schody, nie oglądając się za siebie. Isaac i Derkhan szybko stanęli na nogi i w idealnej synchronizacji odwrócili głowy w kierunku lustra.

Oboje krzyknęli z przerażenia.

Barbile szarpała się i wrzeszczała, próbując wyrwać się ze skomplikowanego uścisku licznych kończyn ćmy. Obejmowały ją macki, wyrostki i fałdy czarnego ciała, skutecznie unieruchamiające także ręce i nogi.

Potwór przechylił głowę na bok, jakby przyglądał się swej ofierze z ciekawością i czymś w rodzaju apetytu. Wydawał z siebie ciche, lubieżne dźwięki.

Najwyżej umocowana para rąk uniosła się i czarne palce zaczęły manipulować przy oczach Barbile. Dotknęły ich delikatnie, a potemabrały się do otwierania ich siłą.

Barbile zawyła ze strachu i bólu. Błagała o pomoc, ale Isaac i Derkhan mogli jedynie stać jak sparaliżowani, wpatrując się w lustrzane odbicie horroru.

Drżącymi rękami dziennikarka sięgnęła za pazuchę i wyszarpnęła z kieszeni gotowy do strzału pistolet. Spoglądając w skupieniu w lustro, wycelowała lufę za siebie. Desperacko machała ręką, próbując dokonać niemożliwego: namierzyć cel, widząc jedynie jego odbicie.

Isaac spostrzegł jej wysiłki i szybko sięgnął po własną broń. Strzelił jako pierwszy.

Proch eksplodował z donośnym hukiem. Kula pomknęła w stronę głowy potwora, ale minęła ją w bezpiecznej odległości i utknęła w ścianie. Ćma nawet nie zwróciła uwagi na ten rozpaczliwy atak. Barbile krzyknęła przeraźliwie, słysząc odgłos wystrzału i natychmiast zaczęła błagać, by mierzyli w nią, błagać o śmierć.

Derkhan zacisnęła zęby, próbując zapanować nad drżeniem ręki.

Wypaliła. Bestia gwałtownie odwróciła głowę i potrząsnęła skrzydłem. Z otwartego pyska wydobył się zdławiony syk, jakby ćma próbowała krzyczeć szeptem. Isaac dostrzegł maleńki otwór w skórzastej połaci lewego skrzydła.

Istota obróciła się w stronę Derkhan. Dwie biczowate wypustki błyskawicznie pokonały dystans siedmiu stóp i z trzaskiem uderzyły w plecy kobiety. Derkhan przeleciała przez otwarte drzwi i z jękiem upadła na podłogę, nie mogąc złapać tchu.

– Nie odwracaj się! – ryknął Isaac. – Biegnij! Idę za tobą!

Bardzo się starał nie słyszeć błagań Magesty Barbile. Nie miał czasu na ponowne ładowanie broni.

Przesuwając się wolno w stronę drzwi, modlił się w duchu, by bestia nie przestała go ignorować, i mimowolnie wpatrywał się w scenę, którą wiernie pokazywało mu lustro.

Jego świadomość broniła się przed analizą tego, co widział, przyjmując dramat rozgrywający się za jego plecami jako ciąg luźnych obrazów. Pomyślał tylko, że później znajdzie czas na refleksję, o ile uda mu się przeżyć, uciec, odnaleźć drogę do domu i przyjaciół, o ile przetrwa i zacznie planować.

Tymczasem zaś starał się nie myśleć o niczym, kiedy obserwował, jak ćma w wielkim skupieniu przygląda się kobiecie uwięzionej w jej objęciach. Nie myślał o niczym, kiedy patrzył, jak istota siłą otwiera oczy ofiary, wprawnie posługując się smukłymi palcami, kiedy słyszał nieludzkie krzyki wymiotującej ze strachu Magesty Barbile i kiedy nagle zapadła cisza, bo oczy nieszczęśnicy spostrzegły migotliwy wzór na skrzydłach ćmy. Spoglądał na rozpostarte, wielobarwne mozaiki skrzydeł, poruszające się nieznacznie, a także na twarz pogrążonej w transie kobiety, której ciało rozluźniło się nagle i zaprzestało oporu. Widział pysk bestii, śliniący się łakomie; widział niewiarygodnie wielki jęzor prześlizgujący się lubieżnie po splamionej śluzem

koszuli ofiary i wyżej, ku jej ustom, rozchylnym w ekstazie na widok piekielnej feerii barw. Pierzasta końcówka języka musnęła nos i uszy Barbile, a potem, niespodziewanie, wdarła się między zęby i dalej (w tym momencie Isaac zwymiotował, choć usiłował nie myśleć o niczym), z nieprzyzwoitą prędkością penetrując usta. Im głębiej zapuszczał się w ciało mięsisty jęzor, tym szerzej otwierały się oczy kobiety.

Wreszcie Isaac spostrzegł dziwne migotanie pod skórą jej głowy; coś wybrzuszyło się pod włosami i ciałem, wijąc się jak węgorz w mule. Gałki oczne omal nie wyskoczyły z oczodołów, wypychane obcą siłą, i nagle łzy zmieszane ze śluzem trysnęły ze wszystkich otworów głowy. Język bestii wniknął w umysł Magesty Barbile, a Isaac, nim rzucił się do ucieczki, dostrzegł jeszcze gasnący wzrok kobiety i puchnący szybko brzuch ómy, która wypijała do dna jej życiową esencję.

ROZDZIAŁ 32

Lin była sama.

Siedziała na poddaszu, oparta plecami o ścianę i z szeroko, jak u lalki, rozłożonymi nogami. Obserwowała wirujący w powietrzu kurz. Gdzieś między drugą a czwartą nad ranem było już ciepło, ale wciąż jeszcze dość ciemno.

Fatalna noc ciągnęła się w nieskończoność. Lin wyczuwała wibracje powietrza, dalekie krzyki i jęki śniących koszmary. Atmosfera panująca w mieście sprawiła, że i jej głowa stawała się pomału coraz cięższa, coraz bardziej pełna ponurych myśli.

Kołysząc się wolno, rozcierała dłońmi pancierz głowoskarabeusza. Bała się. Nie była aż tak głupia, aby nie wiedzieć, że dzieje się coś niedobrego.

Przybyła do domu pana Motleya kilka godzin wcześniej i jak zwykle polecono jej wejść na poddasze. Kiedy jednak weszła do długiego, pustego pokoju, przekonała się, że jest sama.

W oddali, pod ścianą, zobaczyła jedynie ciemną postać niedokończonej rzeźby. Rozejrzawszy się bezsensownie, jakby pan Motley mógł się ukryć w pustej przestrzeni, podeszła bliżej, aby przyjrzeć się swojej pracy. Spodziewała się, że jej zleceniodawca niestety wkrótce się pojawi.

Pogładziła na poły wykończoną postać z zastygłej khepri-śliny. Niejednakowe nogi pana Motleya prezentowały się okazale w swych łukowatych kształtach i nadrealistycznych barwach. Rzeźba kończyła się mniej więcej trzy stopy nad ziemią, stercząc ku górze wyrostkami o miękkich, organicznych kształtach. Wyglądało to tak, jakby ktoś zostawił na ciemnym poddaszu na wpół wypaloną świeczkę w kształcie pana Motleya.

Lin czekała. Minęła godzina. Wreszcie spróbowała unieść klapę w podłodze i otworzyć drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, ale były zamknięte. Tupnęła nogą i tłukła pięścią mocno i wielokrotnie, lecz nikt jej nie odpowiedział.

„Zaszła jakaś pomyłka” – wmawiała sobie Lin. „Motley jest pewnie zajęty, ale niedługo przyjdzie”. Czowała jednak, że wszelkie tłumaczenia brzmią nieprzekonująco. Motley był doskonały: jako biznesmen, jako bandyta, jako filozof i jako artysta.

Opóźnienie nie mogło być przypadkowe. Było celowe.

Lin nie знаła jednak przyczyny, dla której Motley chciał, żeby siedziała na poddaszu i pociła się w samotności.

Czekała przez długie godziny, aż jej nerwowość stała się kolejno strachem, znużeniem i cierpliwością. W końcu zaczęła rysować coś na zakurzonej podłodze i otwierać pudło z przyborami, by wielokrotnie liczyć kolorowe jagody. Kiedy jednak nadeszła noc i nic się nie zmieniło, cierpliwość znowu zamieniła się w strach.

„Dlaczego mi to robi?” – myślała Lin. „Czego ode mnie chce?” Motley przyzwyczał ją do innego zachowania: do kuszenia, pokpiwania i niebezpiecznej gadatliwości. To, co robił teraz, wróżyło znacznie gorzej.

I wreszcie, po wielu godzinach, usłyszała hałas.

Motley znajdował się w pokoju, osłaniany przez wiernego kaktusa i parę potężnych prze-tworzonych-gladiatorów. Lin nie miała pojęcia, w jaki sposób weszli – sekundę wcześniej była sama.

Wstała i spojrzała na przybyszów wyczekująco, nerwowo zaciskając dłonie.

– Dziękuję za przybycie, panno Lin – odezwał się Motley guzłowatym skupiskiem nieforemnych ust. Lin czekała. – Panno Lin – ciągnął Motley – odbyłem przedwczoraj nadzwyczaj interesującą rozmowę z niejakim Luckym Gazidem. Nie widziała go pani od dłuższego czasu, jak sądzę. To dlatego, że pracował dla mnie incognito. Jednakże, o czym wie pani bez wątpienia, w tej chwili w całym mieście brakuje dreamshitu. Mnożą się rozboje i kradzieże. Ludzie są zdesperowani, a ceny wzrosły niewyobrażalnie. Problem w tym, że na rynek nie trafiają nowe dostawy specyfiku. To oznacza, że na przykład pan Gazid, dla którego dreamshit stanowi w tej chwili ulubiony narkotyk, jest w nie najlepszym nastroju. Już nie może sobie pozwolić na zakup towaru, nawet korzystając ze zniżki, której udzielam pracownikom. Tak czy inaczej, owego dnia usłyszałem, jak klnie. To prawda, że w takim stanie ducha był skłonny znieważać każdego, kto pojawił się w pobliżu, ale tym razem było to coś innego. Wie pani, co wykrzykiwał w udręce? Pozwolę sobie zacytować: „Nie powinienem był oddawać tego gówna Isaacowi!”

Kaktus stojący obok pana Motleya rozłożył masywne łapska i rozprostował zielone palce. Uniósłszy rękę, z ohydą celowością nabił jeden z palców na długi kolec sterczący z nagiej piersi, sprawdzając ostrość. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

– Niezwykle interesujące, prawda, panno Lin? – podjął Motley z drwiną w głosie. Zaczął powoli przesuwając się w stronę artystki – bokiem, jak krab – na swych niezliczonych nogach.

„O co mu chodzi? Co się dzieje?” – myślała w panice Lin, obserwując bandytę. Rozejrzała się, ale drogi ucieczki nie było.

– Proszę posłuchać dalej, panno Lin. Tak się złożyło, że skradziono mi pewne bardzo cenne przedmioty. Kilka małych fabryk, że się tak wyrażę. To dlatego na rynku zabrakło dreamshitu. Doprawdy, nie miałem pojęcia, kto mógł mi to zrobić. – Motley urwał i na wszystkich jego twarzach wykwitł pomału lodowaty uśmiech. – Aż do chwili, kiedy usłyszałem Gazida. Wtedy... wszystko... nabrało... sensu – wycedził tak, jakby splotował każdym słowem.

Reagując na dyskretny sygnał, kaktus podszedł do Lin, która odchyliła się i próbowała uskoczyć, ale zbyt późno. Wyciągnął w jej stronę wielkie, mięsiste dłonie i mocno chwycił za ramiona.

Głowoodnóża Lin zadrgały spazmatycznie, a w powietrzu rozszedł się zapach chemicznego okrzyku bólu. Ludzie-kaktusy zazwyczaj starannie depilowali wewnętrzne strony dłoni z ostrych kolców, by nie mieć kłopotów z manipulowaniem drobnymi przedmiotami, ale ten miał inne nawyki. Kępki ostrych, długich igieł wbiły się bezlitośnie w ciało khepri.

Sługa Motleya unieruchomił ją i powlókł przed oblicze swego pana, który spojrzał na nią zimno i przemówił głosem gęstym od gróźb.

– Twój pierdolony kochaś, miłośnik insektów, próbował mnie wyrolować, prawda... panno Lin? Kupił większą ilość mojego dreamshitu, wyhodował sobie

własną ćmę, jak twierdzi Gazid, a na koniec ukradł moje! – Ostatnie słowa wyrzycał basem, trzęsąc się z wściekłości.

Ból w ramionach sprawiał, że Lin ledwie mogła myśleć, lecz mimo to próbowała kreślić palcami znaki na wysokości bioder. *Nie, nie, nie... to nie tak... nie tak...* Motley odtrącił jej dłonie.

– Nawet nie próbuj, ty owadzia mordo, ty kurwo, ty skundlona suko! Twój pieprzony facet usiłuje mnie zniszczyć, usunąć z rynku! Wiedz jednak, że zdecydował się na bardzo, bardzo niebezpieczną grę. – Bandyta cofnął się nieco i spojrzał pogardliwie na wijącą się z bólu Lin. – Postaramy się, żeby pan der Grimnebulin zapłacił za tę kradzież. Sądziś, że przyjdzie do nas, jeśli w zamian zaoferujemy mu ciebie? – Lin czuła, że krew przesycająca rękawy jej koszuli zaczyna krzepnąć. Kolejny raz spróbowała użyć mowy znaków. – Jeszcze będzie pani miała okazję wytłumaczyć się przede mną, panno Lin – przerwał jej, znowu spokojny, Motley. – Może jest pani jego współniczką, a może nie wie pani, o czym mówię. Tak czy inaczej, ma pani pecha, bo ja nie puszczam płazem takich numerów. – Stojąc nieruchomo, patrzył beznamiętnie, jak khepri próbuje oswobodzić się i powiedzieć mu coś za wszelką cenę. Jej ramiona omdlewały już w bolesnym uścisku kaktusa. Tracąc przytomność z bólu i wysiłku, Lin usłyszała jeszcze szept pana Motleya. – Nie umiem wybacząć.

*

Dziedziniec przed gmachem Wydziału Nauk Ścisłych Uniwersytetu Nowego Crobuzon był pełen studentów. Wielu miało na sobie regulaminowe czarne szaty, nieliczni buntownicy zsuwali je z ramion, gdy tylko wychodzili z budynku.

Pośród ciżby młodych stali nieruchomo dwaj mężczyźni. Opierali się o pień drzewa, nie zwracając uwagi na krople soku lgnące do ich ubrań. Powietrze było ciepłe i wilgotne, co nie przeszkadzało jednemu z mężczyzn w noszeniu niestosownego stroju: długiego płaszcza i ciemnego kapelusza.

Stali bez ruchu przez długi czas, patrząc, jak kończy się jedna godzina zajęć i zaczyna następna. Podczas ich wachty w siedzibie Wydziału pojawiły się dwie tury studentów i obie były już po wykładach. Od czasu do czasu któryś z nich przecierał oczy i ziewał ukradkiem. Zawsze jednak powracali do przerwanej czynności: obserwowania głównego wejścia.

I wreszcie, gdy popołudniowe cienie zaczęły się wydłużać, ruszyli. Pojawił się ten, kto był celem ich akcji: Montague Vermishank wyszedł z bramy i z zadowoleniem zaciągnął się świeżym powietrzem, jakby wiedział, że musi się nim nacieszyć. Zaczął ściągać marynarkę, ale rozmyślił się, zarzucił ją z powrotem na ramiona i ruszył w głąb Ludmead.

Dwaj mężczyźni wyszli spod baldachimu liści i podążyli śladem swej zdobyczy.

Vermishank miał przed sobą pracowity dzień. Kierował się na północ, rozglądając się za wolną taksówką. Skręcił w Tench Way, ulicę bohemy, przy której studenckie bursy sąsiadowały z niezliczonymi kawiarniami i księgarniami. Vermishank nie przyglądał się im; pokonywał tę trasę od lat i otoczenie nie robiło na nim żadnego wrażenia, podobnie jak mieszkańcy tej dzielnicy.

W tłumie pieszych pojawił się czterokołowy wóz, ciągnięty przez kudłate, dwunożne bydlę z tundry na dalekiej północy, torujące sobie drogę przez zwały

śmieciami potężnymi kopnięciami nóg, które zginały się do przodu, jak kończyny ptaka. Vermishank uniósł rękę i dorożkarz skierował pojazd w jego stronę. Śledzący uczonego przyspieszyli.

– Monty – zagrzmiał nagle wyższy, z wielką siłą klepiąc struchlałego Vermishanka w ramię.

– Isaac – wyjąkał kierownik Wydziału Nauk Ścisłych, strzelając oczami w stronę nadjeżdżającego wozu.

– Jak się masz, przyjacielu? – wrzasnął Isaac w jego lewe ucho, a jednocześnie w prawym uchu Vermishanka odezwał się inny, syczący głos:

– To, co czujesz na brzuchu, to nóż, którym wypatroszę cię jak pieprzoną rybę, jeśli piśniesz choćby słowo nie po mojej myśli.

– Tak się cieszę, że cię widzę – tokował rubasznie Isaac, machając dorożkarzowi, który zamruczał coś pod nosem, podjeżdżając bliżej.

– Spróbuj tylko uciec: natychmiast jak będę miał wolne ręce, wpakuję ci kulę prosto w łeb – zaszeptał pogardliwy głos.

– Chodź, napijemy się razem – zaproponował Isaac. – Furman, proszę do Brock Marsh. Znasz ulicę Wioślarzy, człowieku? Doskonale. A przy okazji: urocza bestia...

– Grimnebulin nie zamykał ust ani na chwilę, wskakując do wozu i pilnując, by roztrzęsiony i bełkocący coś niewyraźnie Vermishank wsiadł za nim, popychany czubkiem noża. Lemuel Pigeon wszedł do środka jako ostatni i zatrzasnął drzwiczki, po czym usiadł przodem do kierunku jazdy, wciąż przyciskając ostrze do boku Vermishanka.

Dorożkarz strzelił batem i kabinę wypełniły głośnie skargi zwierzęcia pociągowego.

Kiedy Isaac odwrócił się w stronę Vermishanka, na jego twarzy nie było już śladu sztucznej, wymuszonej serdeczności.

– Czeka cię długa spowiedź, skurwysynu – syknął groźnie. Jeniec z sekundy na sekundę czuł się coraz pewniej.

– Ha, Isaacu... – mruknął. – Czym mogę ci służyć? Drgnął, kiedy Lemuel dźgnął go nożem w bok.

– Zamknij mordę.

– Mam zamknąć mordę i spowiadać się jednocześnie? – spytał gładko Vermishank i zaraz potem jęknął, bo Isaac wymierzył mu szybki i mocny cios w szczękę. Spojrzał ze zdumieniem na byłego podwładnego, rozcierając obolałą twarz.

– Powiem ci, kiedy będziesz mógł się odezwać – warknął Grimnebulin.

Milczeli od tej pory, jadąc na południe obok Dworca Lud Fallow i mostem Danechiego ponad leniwie płynącą Egzemą. Wreszcie Isaac zapłacił dorożkarzowi za przejazd, a Lemuel zaciągnął Vermishanka do laboratorium przy ulicy Wioślarzy.

David, siedzący za biurkiem w zaskakująco krzykliwej kamizelce, uniósł głowę, by śledzić rozwój wydarzeń. Yagharek, ze stopami owiniętymi w stare szmaty i z wielkim kapturem na głowie, wciskał się w najdalszy kąt starego magazynu. Wreszcie pozbył się drewnianego stelaża udającego skrzydła; w tym stroju nie był już garudą-przebierańcem, tylko zakapturzonym człowiekiem.

Derkhan wyprostowała się w fotelu, który ustawiła sobie pod oknem. Płakała bezgłośnie, ściskając garść świeżych gazet. Dokoła, na podłodze, leżały inne, pełne niepokojących nagłówek na pierwszych stronach: *Koszmary nocy letniej atakują, Co się stało z naszym snem?* Derkhan jednak zignorowała te najważniejsze wiadomości, skupiając się na małych notatkach ze strony piątej, siódmej czy jedenastej. Isaac mógł odczytać z daleka jeden z tytułów: *Wydawca nielegalnej prasy ofiarą Złodzieja Oczu.*

Konstrukt sprząający pogwizdywał, terkotał i dzwonił, kręcąc się po parterze, zbierając śmieci, ścierając kurze oraz podnosząc z podłogi stare, niepotrzebne papiery i resztki owoców. Szczerość, borsuczycza, spacerowała obojętnie pod przeciwną ścianą.

Lemuel pchnął Vermishanka na środkowe z trzech krzesel, a sam usiadł na drugim, o kilka stóp obok niego. Ostentacyjnie wyciągnął zza paska pistolet i wymierzył w głowę Vermishanka.

Isaac starannie zamknął drzwi.

– Posłuchaj mnie, Vermishank – zaczął oficjalnie, jakby mieli rozmawiać o interesach, i usiadł naprzeciwko jeńca. – Lemuel jest wyborym strzelcem. Mówię o tym na wypadek, gdyby zachciało ci się przygód. Powiem ci też, że to czarny charakter. Bardzo niebezpieczny. Zresztą i ja nie jestem w nastroju do stawania w twojej obronie, więc radzę ci mówić wszystko, co wiesz.

– Ale co chciałbyś wiedzieć, Isaacu? – spytał uprzejmie Vermishank.

Isaac był wściekły, ale i pod wrażeniem. Jego przeciwnik doskonale panował nad sobą i szybko odzyskiwał zachwianą pewność.

„I z tym” – pomyślał – „trzeba zrobić porządek”.

Wstał i podszedł do Vermishanka. Starszy mężczyzna spojrzał na niego obojętnie. Jego oczy rozszerzyły się ze strachu zbyt późno, dopiero gdy kolejny cios od Isaaca był już w drodze.

Grimnebulin uderzył dwukrotnie, w twarz, nie zważając na żalosne piski byłego szefa. Następnie chwycił go za szyję i pochylił się nisko, zbliżając swoją twarz do twarzy przerażonego więźnia. Vermishank krwawił z nosa i bezradnie manipulował słabymi rękami przy potężnych garściach Isaaca, wpatrując się weń w panice.

– Ty chyba nie rozumiesz sytuacji, bracie – szepnął złowieszczo Grimnebulin. – Mam poważne powody sądzić, że mój przyjaciel leży tam, ślini się i sra pod siebie z twojej winy. Nie mam ochoty na podchody, gierki słowne i grę według zasad. Gównu mnie obchodzi, czy przeżyjesz, Vermishank. Rozumiesz? Nadażasz za mną? Więc powiem ci, co powinieneś zrobić we własnym interesie. Najpierw dowiesz się, co wiemy – i nie marnuj czasu, pytając, skąd wiemy – a potem uzupełnisz moje dane. Za każdym razem, kiedy wstrzymasz się od odpowiedzi albo uznamy, że kłamiesz, spotka cię bolesna niespodzianka ze strony Lemuela lub mojej.

– Nie możesz mnie torturować, draniu... – syknął Vermishank zduszonym głosem.

– Pieprzę cię – odparował Isaac. – To ty jesteś prze-twarzaczem, nie ja. A teraz... odpowiadaj na pytania lub zdychaj.

– Albo jedno i drugie – dorzucił zimno Lemuel.

– I wiesz, że się mylisz, Monty – ciągnął Isaac. – Możemy cię torturować. I taki mamy zamiar. Współpracuj więc z nami, odpowiadaj szybko i przekonaj mnie, że nie kłamiesz. A teraz słuchaj, co wiemy. I poprawiaj ewentualne błędy, z łaski swojej – dodał, spoglądając spode łba na Vermishanka. Przez moment układał myśli, a potem zaczął mówić, podliczając fakty na palcach. – Jesteś rządowym ekspertem od niebezpiecznych istot. To oznacza, że odpowiadałeś między innymi za ćmy i ich program badawczy. – Isaac spojrzał na jeńca uważnie, spodziewając się oznak zaskoczenia, ale Vermishank siedział nieruchomo. – Ćmy, które sprzedałeś jakiemuś zasranemu bandzirowi, uciekły. Mają coś wspólnego z dreamshitem i z koszmarami, które nękają wszystkich od pewnego czasu. Rudgutter sądził, nawiasem mówiąc mylnie, że Benjamin Flex był zamieszany w ich ucieczkę. Chcę wiedzieć po pierwsze – czym są te ćmy, po drugie – jaki mają związek z narkotykiem, a po trzecie – w jaki sposób możemy je złapać.

Zapadła cisza, przerwana głębokim westchnieniem Vermishanka. Jego wargi, umazane krwią i śliną, zadrżały nieznacznie, kiedy układał je w krzywy uśmiech. Lemuel kiwnął zachęcająco lufą pistoletu.

– Ha. Ćmy – odezwał się w końcu Vermishank. Z trudem przełknął ślinę i rozmasował szyję. – No cóż... Są fascynujące, prawda? Zaiste zdumiewający gatunek.

– Czym one są? – powtórzył Isaac.

– Jak to czym? Tyle chyba sam zdołałeś zauważyć. Drapieżnikami. Skutecznymi, genialnymi drapieżnikami.

– Skąd się wzięły?

– Ha – sapnął ponownie Vermishank i umilkł na chwilę. Ożywił się, kiedy Lemuel leniwym ruchem ostentacyjnie wycelował z pistoletu w jego kolano. – Dostaliśmy larwy od handlarza z najdalej wysuniętej na południe części Shards. Domyślam się, że właśnie wtedy ukradłeś jedną z nich. Podejrzewam jednak, że nie stamtąd pochodzą – dodał Vermishank i spojrzał na Isaaca z lekkim rozbawieniem. – Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to według najnowszej teorii dotarli do nas ze Spękanej Ziemi.

– Nie żartuj sobie ze mnie... – warknął zirytowany Isaac, ale Vermishank przerwał mu w pół zdania.

– Nie żartuję, głupcze. To naprawdę najbardziej prawdopodobna hipoteza. Odkąd odkryliśmy te ćmy, Teoria Spękanej Ziemi zyskała w pewnych kręgach wielką popularność.

– W jaki sposób one hipnotyzują ludzi?

– Ich skrzydła – zmieniające kształty i rozmiary, pracujące w wielu płaszczyznach – są pokryte onejrochromatoforami. To zmiennobarwne komórki, podobne do tych, które znajdują się w skórze ośmiornic, reagujące i oddziałujące przez rezonans psychiczny na podświadomość. Innymi słowy, nadają na częstotliwości, na której... hmm... sny kotłują się pod powierzchnią świadomego umysłu. Ćmy koncentrują te ukryte sny, pomagają im wydostać się na powierzchnię i unieruchamiają je.

– Dlaczego lustro chroni przed ich wpływem?

– To dobre pytanie, Isaacu. – Zachowanie Vermishanka zmieniało się z każdą chwilą. Coraz bardziej przypominał wykładowcę prowadzącego zajęcia. „Stary biurokrata; nawet w takiej sytuacji wyłazi z niego dydaktyczny instykt” – pomyślał Isaac. – Nie znamy na nie odpowiedzi – ciągnął więzień. – Wykonaliśmy mnóstwo doświadczeń, z pojedynczymi, podwójnymi, potrójnymi i wielokrotnymi zwierciadłami. Nie wiemy dlaczego, ale faktem jest, że odbicie w lustrze eliminuje efekt hipnozy, choć z formalnego punktu widzenia obraz jest identyczny z oryginałem, ponieważ oba skrzydła nie różnią się najmniejszym nawet detalem. Jednak naprawdę interesujące jest to, że ponowne odbicie obrazu – na przykład w peryskopie – przywraca jego hipnotyczne właściwości. Zdumiewające, prawda? – dodał z uśmiechem.

Isaac nie odpowiedział. Zauważył, że Vermishank mówi ochoczo, jakby naprawdę chciał zdradzić jak najwięcej szczegółów. Wziął to na karb strachu przed pistoletem Lemuela.

– Ja... widziałem, jak jeden z tych potworów pobiera pokarm... – rzekł po chwili. – Widziałem, jak... wyjadał komuś mózg.

– Ha. – Vermishank z podziwem potrząsnął głową. – Zdziwiasz mnie. Masz szczęście, że tu jesteś. Ale musisz wiedzieć, że nie widziałeś, jak ćma wyjada komuś mózg. Te istoty nie żyją wyłącznie w naszej czasoprzestrzeni. Ich... eee... potrzeby

pokarmowe zaspokajane są substancjami, których nie potrafimy jeszcze mierzyć. Nadal nie rozumiesz, Isaacu? – Vermishank wpatrywał się w Grimnebulina intensywnie, jak nauczyciel próbujący wydobyć prawidłową odpowiedź od kapryśnego ucznia. Wreszcie w jego oczach pojawił się błysk zniecierpliwienia. – Wiem, że znajomość biologii nie jest twoją najmocniejszą stroną, ale spodziewałem się, iż dostrzeżesz tak doskonały, tak... elegancki mechanizm. Ćmy wywabiają sny i marzenia ruchem deseni na skrzydłach, każą im zalać umysł ofiary, przełamują tamy blokujące ukryte myśli, poczucie winy, niepokój, rozkosz, sny... – Vermishank umilkł, usiadł wygodniej i poprawił marynarkę. – I wtedy – dodał po chwili – gdy umysł jest nabrzmiały i soczysty... wysysają go do sucha. Podświadomość jest ich nektarem, Isaacu, nie pojmujesz? To dlatego atakują jedynie istoty rozumne. Nie interesują ich koty i psy. Żywią się tym dziwnym wywarem, który rodzi się w nas z autorefleksji, kiedy instynkty, potrzeby, pożądania i przeczucia nakładają się na siebie, kiedy pojawia się refleksja i refleksja, o refleksji i tak bez końca... – Vermishank urwał na moment. – Nasze myśli fermentują jak najprzedniejszy trunek. To one są napojem dla drapieżnej ćmy, Isaacu. Nie kalorie, które drzemią w szarej masie mózgu, ale doskonałe wino naszego rozumu i przytomności – podświadomość. Sny.

W hali laboratorium zapadła cisza. Koncepcja, którą streścił Montague Vermishank, była zdumiewająca i oszałamiająca. Wszyscy byli pod jej wrażeniem, a mówca wyglądał na zachwyconego efektem, który udało mu się wywołać.

Dźwięczny odgłos pracującej maszyny wyrwał słuchaczy z zamyślenia. Konstruktor zabrał się do odkurzania kątów za biurkiem Davida. Próbował przesypać zawartość kosza do własnego pojemnika, ale przeliczył się nieco i rozrzucił śmieci po podłodze. Krzątał się ze zdwojoną energią, próbując pospiesznie zebrać strzępy i kulki papieru.

– A niech to szlag... oczywiście! – zawołał Isaac. – I stąd te koszmary! To... to działa jak nawóz! Jak... sam nie wiem... jak królicze gówno, którym podsypuje się rośliny, żeby lepiej rosły i znowu stały się karmą dla królików... To mały łańcuch pokarmowy, miniaturowy ekosystem...

– W rzeczy samej – przytaknął Vermishank. – Nareszcie zaczynasz myśleć. Nie można zobaczyć ani wywęszyć odchodów naszych ciem, można je natomiast wyczuć. W snach. Te odchody są nawozem, pożywką dla snów, dzięki nim nasza podświadomość kipi, a to oznacza udane łowy dla drapieżców. Perfekcyjna pętla zależności.

– Skąd to wszystko wiesz, parszywa świnio? – wtrąciła jadowicie Derkhan. – Jak długo pracowałeś nad tymi potworami?

– Te ćmy są nie tylko wyjątkową rzadkością, ale także tajemnicą państwową. To dlatego tak się ucieszyliśmy, gdy dotarło do nas to małe stadko. Poprzednio badaliśmy tylko jeden umierający egzemplarz, aż nagle dostaliśmy cztery dorodne larwy – piątą, ma się rozumieć, zatrzymał Isaac. Dorosły okaz zdążył je wykarmić, nim zdechł. Zastanawialiśmy się, czy warto otworzyć któryś z kokonów. Oznaczałoby to śmierć jednej z istot, ale jednocześnie mielibyśmy jedyną, bezcenną szansę dowiedzenia się czegoś na temat zachodzącej we wnętrzu metamorfozy... Niestety – dodał Vermishank z westchnieniem – zanim podjęliśmy decyzję, trzeba było sprzedać wszystkie cztery kokony. Ryzyko było zbyt wielkie. Rozeszły się pogłoski, że nasz projekt jest kosztowny i długotrwały, a brak postępów w kontrolowaniu... hmm... zachowania obiektów... budzi niepokój inwestorów. Cofnięto nam dotację; jak najszybciej musieliśmy spłacić długi, jako że nie osiągnęliśmy oczekiwanych rezultatów.

– Czyli czego? – spytał Isaac. – Nie zrobiliście z nich broni? Narzędzia tortur?

– No wiesz, Isaacu – odparł spokojnie Vermishank. – Spójrz tylko, jaki z ciebie moralizator. Gdybyś nie ukradł jednej z larw, dorosły okaz nie znalazłby się na wolności i nie uwolniłby swoich pobratymców – bo taki właśnie musiał być scenariusz wydarzeń, jak się domyślasz – a w konsekwencji wielu niewinnych ludzi nie straciłoby życia.

Isaac spojrzął na niego ze zgrozą.

– Pieprzę cię! – wrzasnął i pewnie rzuciłby się na Vermishanka z pięściami, gdyby Lemuel Pigeon nie przemówił.

– Isaacu – rzucił ostro pośrednik, mierząc w Grimnebulina z pistoletu. – Vermishank bardzo grzecznie z nami współpracuje, a my chcemy się dowiedzieć jak najwięcej, nieprawdaż?

Isaac spojrzął na niego ponuro, ale skinął głową i usiadł.

– Właściwie to dlaczego tak chętnie nam pomagasz, Vermishank? – spytał Lemuel, spoglądając ciekawie na starszego mężczyznę.

Vermishank wzruszył ramionami.

– Nie przepadam za bólem – padła kokietyjna odpowiedź. – A poza tym, choć wiem, że to wam się nie spodoba... moje informacje nic wam nie dadzą. Nie złapiecie tych bestii. I nie umkniecie przed milicją. Dlaczego więc miałbym cokolwiek ukrywać? – spytał Vermishank, uśmiechając się przebiegle i pogardliwie zarazem.

Jego oczy były jednak nerwowo rozbiegane, a nad górną wargą skraplał się pot. W głosie starego naukowca słychać było głęboko ukrytą nutę rozpacz.

„Do diabła!” – pomyślał Isaac, kiedy nagle spadło nań olśnienie. Usiadł prosto i wlepił wzrok w Vermishanka. „To nie wszystko! On... mówi nam prawdę, bo się boi! Uważa, że władze też nie złapią tych potworów... i boi się. Chce, żeby nam się udało!”

Isaac miał ochotę podrażnić się z jeńcem, dać mu do zrozumienia, że dobrze wie o jego słabości, ukarać w ten sposób za wszystkie winy... Doszedł jednak do wniosku, że nie warto ryzykować. Gdyby zadarł z Vermishankiem zbyt mocno, gdyby uświadomił mu w pełni jego strach, starzec mógłby zrezygnować ze współpracy z czystej złośliwości.

Isaac uznał, że w niczym nie zaszkodzi mu przekonanie więźnia, że jest absolutnie niezbędny i że wszyscy powinni błagać go o pomoc.

– Czym jest dreamshit? – spytał Isaac.

– Dreamshit? – powtórzył z uśmiechem jeniec. Grimnebulin przypomniał sobie, że kiedy poprzednio zadał to pytanie, Vermishank okazał jedynie niesmak i nawet nie chciał kalać ust wymawianiem tak niestosownego słowa. Teraz poradził sobie z nim bez trudu. – Ha. Dreamshit to naturalny pokarm. Ćmy karmią nim swoje młode. Wydzielają go bez przerwy, ale najobficiej wtedy, gdy wychowują potomstwo. Nie są podobne do prawdziwych ciem, bardzo troszczą się o młode. Starannie pielęgnują jaja, a potem karmią „piersią” nowo narodzone gąsienice. Dopiero dojrzałe, przepoczwarzane osobniki są w stanie wyżywić się samodzielnie.

– Chcesz powiedzieć, że dreamshit to ich mleko? – wtrąciła Derkhan.

– Właśnie. Gąsienice nie potrafią przyswajać czysto psychicznego pokarmu. Musi on być spowity w quasi-fizyczną papkę. Płyn, który wydzielają dorosłe ćmy, jest gęsty od wydestylowanych snów.

– I dlatego sprzedałaś je jakiemuś przekłętemu handlarzowi prochami? Któremu? – indagowała Derkhan, powstrzymując gniew.

– Nie wiem. Ja tylko zasugerowałem możliwość takiej transakcji. Wszystko mi jedno, który z licytujących zwyciężył. Ważne jest tylko to, żeby opiekun wiedział, co robić, i przestrzegał zasad; żeby regularnie łączył je w pary i doił. Jak krowy. Przy

odrobinie wprawy można nimi manipulować, zmuszać do produkowania mleka, mimo iż nie mają młodych. A samo mleko trzeba, rzecz jasna, przetwarzać. Ani człowiek, ani żadna inna świadoma istota nie może wypić go w czystej postaci. Umysł tego, kto by to zrobił, eksplodowałby natychmiast. Surowiec nieelegancko nazwany dreamshitem należy... hmm... doprawić różnymi substancjami. I dlatego, Isaacu, gąsienica, którą tu wyhodowałeś, musiała wyrosnąć na niezbyt zdrową ćmę. Porównałbym tę sytuację do karmienia dziecka mlekiem rozrzedzonym wodą i zagęszczonym trocinami.

– Skąd tyle wiesz? – warknęła Derkhan. Vermishank spojrzał na nią pustym wzrokiem, a kobieta ciągnęła: – Skąd wiesz, ile trzeba mieć luster, żeby być bezpiecznym? Skąd wiesz, że zmieniają zjedzone umysły w to... mleko? Ilu ludzi oddałeś im na pożarcie?

Zaniepokojony Vermishank buntowniczo zacisnął usta.

– Jestem naukowcem – rzekł po chwili. – Używam wszelkich dostępnych środków. Tak się składa, że niektórzy przestępcy dostają wyrok śmierci, ale sposób zakończenia ich życia nie zostaje określony przez sąd...

– Ty świnię! – syknęła jadowicie Derkhan. – A co z tymi ludźmi, których ten handlarz narkotykami musi dostarczyć ćmom, żeby uzyskać mleko? Co z... – ciągnęła podniesionym głosem, ale Isaac przerwał jej bezceremonialnie.

– Vermishank – powiedział łagodnie, patrząc w jego oczy. – W jaki sposób można tym ludziom zwrócić ich umysły?

– Zwrócić? – powtórzył Vermishank, szczerze zdziwiony. – Ach, zwrócić... – mruknął, kręcąc głową i marszcząc brwi. – Nie można.

– Nie łzyj! – wrzasnął Isaac, z przerażeniem myśląc o Lublamaiu.

– Zostały wypite – wycedził Vermishank i umilkł, wsłuchując się w ciszę, która zapadła nagle w laboratorium. – Zostały wypite – powtórzył po chwili. – Myśli tych ludzi zostały im odebrane, świadome marzenia i nieświadome sny zostały spalone w żołądkach ciem i wysączyły się z ich ciał w postaci pokarmu dla larw. Próbowaleś kiedyś dreamshitu, Isaacu? A ktoś z was? – Nikt (a najmniej Isaac) nie miał ochoty udzielić mu odpowiedzi. – Jeżeli tak, to wyśniliście już myśli ofiar. Zawartość umysłów tych ludzi, poddana procesom metabolicznym, trafiła w końcu do waszych żołądków i wyśniliście ją. Nic już nie zostało. Nie ma czego odzyskać.

Takiej rozpaczy Isaac nie czuł jeszcze nigdy.

„Jabberze, błagam, zabierz też jego ciało” – pomyślał. „Nie bądź aż tak okrutny, nie zostawiaj mnie z tą przeklętą skorupą ciała, której nie mogę pozwolić umrzeć, która nic już nie znaczy...”

– W jaki sposób możemy zabić te ćmy? – szepnął. Na usta Vermishanka bardzo powoli wpłynął uśmiech.

– Nie możecie – odparł krótko.

– Nie kręć, do cholery – warknął Isaac. – Wszystko, co żyje, musi umrzeć.

– Źle mnie zrozumiałeś. Oczywiście, że na płaszczyźnie abstrakcyjnej można powiedzieć: ćmy umierają. Co za tym idzie, teoretycznie można je zabić. Tyle że nie uda ci się tego dokonać. To istoty, które żyją w kilku wymiarach jednocześnie, a kule, ogień czy inne tradycyjne środki rażą je tylko w jednym z nich. Musiałbyś zaatakować je we wszystkich wymiarach naraz albo spowodować u nich niewyobrażalnie rozległe urazy w tym jednym, naszym wymiarze. Zapewniam jednak, że nie pozwolą ci na to... Teraz rozumiesz?

– Rozważmy więc inne możliwości – zaproponował Isaac, przyciskając dłonie do skroni. – Pomówmy na przykład o kontroli biologicznej. Drapieżniki...

– One nie mają tu naturalnych wrogów. Znajdują się na szczycie łańcucha pokarmowego. Jesteśmy prawie pewni, że w ich rodzinnych stronach żyją zwierzęta, które potrafią je zabijać, ale bez wątpienia nie znajdziesz ich w promieniu kilku tysięcy mil. Zresztą nawet jeśli się nie mylimy, sprowadzenie ich do Nowego Crobuzon mogłoby oznaczać jeszcze szybszą zagładę miasta.

– Na Jabbera – jęknął Isaac. – Skoro nie mają wrogów ani konkurentów, świeżego pożywienia zaś tyle, ile tylko zapragną... Nikt ich nie powstrzyma.

– Co więcej – szepnął z wahaniem Vermishank – nie rozważaliśmy jeszcze tego, co się stanie, gdy one... Widzisz, Isaacu, to młode osobniki. Nie w pełni dojrzałe. Lecz wkrótce, gdy noce staną się gorące... Trzeba będzie zastanowić się, co robić, kiedy ómy zaczną się rozmnażać.

Powietrze w pomieszczeniu stało się chłodne i jakby nieruchome. Vermishank kolejny raz próbował zapanować nad twarzą, jednak Isaac dostrzegł malujący się na niej ponownie prawdziwy strach. Vermishank był przerażony. Wiedział, jak wysoka jest stawka.

Pracujący w pobliżu konstrukt zaczął kręcić się w kółko, pogwizdując i klekocąc zaworami. Wydawało się, że zaczyna gubić zebrane śmieci i kurz oraz poruszać się w przypadkowy sposób, zostawiając za sobą brudny ślad. „Znowu się zepsuł” – pomyślał Isaac i odwrócił się w stronę Vermishanka.

– Kiedy zaczną to robić? Vermishank zlizął pot znad górnej wargi.

– Podobno są hermafrodytami. Nigdy nie zauważyliśmy, by kopulowały lub składały jaja. Wiemy tylko tyle, ile zasłyszeliśmy. Okres rui zaczyna się dla nich w drugiej połowie lata. Jeden wybrany osobnik zajmuje się składaniem jaj. Dzieje się to zazwyczaj w sinnie lub oktuarium.

– Daj spokój, przecież musi być na nie jakiś sposób! – wybuchnął Isaac. – Nie mów mi, że Rudgutter nie ma czegoś w zanadru...

– Nic mi o tym nie wiadomo. To znaczy: oczywiście, że istnieją jakieś plany działania, tylko że nie znam szczegółów. O ile wiem... – Vermishank zawahał się.

– Co?! – ryknął Isaac.

– O ile wiem, władza nawiązała kontakt z demonami. – Nikt się nie odezwał, więc uczony przełknął ślinę i mówił dalej: – Niestety, odmówiły pomocy, nawet za najwyższą stawkę.

– Dlaczego? – spytała Derkhan.

– Dlatego, że się boją. – Vermishank oblizął usta, ale strach, który tak usilnie chciał ukryć, był coraz bardziej widoczny. – Rozumiecie? Boją się. Mimo całej swojej potęgi i liczebności... myślą podobnie jak my. Piekielni są istotami świadomymi, myślącymi. W obliczu tych ciem są więc, tak jak my, jedynie zdobyczą.

Nikt się nie poruszył. Ręka Lemuela Pigeona dzierżąca pistolet opadła już dawno, lecz Vermishank nie próbował uciekać, pogrążony w ponurych rozmyślaniach.

– Co więc możemy zrobić? – spytał w końcu Isaac nieco drżącym głosem.

Chrobotanie krzątającego się konstrukt stało się irytująco głośnie. Maszyna przez moment kręciła się w miejscu na środkowym kole. Wyprostowane ramiona ciągnęły się po podłodze, podskakując z klekotem na nierównościach desek. Derkhan, Isaac i David, a potem i pozostali, spojrzeli na automat ze zdziwieniem.

– Nie mogę myśleć, kiedy ten pieprzony grat tłucze się po kątach! – wrzasnął rozdrażniony Isaac i ruszył w stronę konstrukt, gotów wyładować na nim swoją frustrację i lęk. Kiedy się zbliżył, maszyna odwróciła się w jego stronę i błysnęła szklanym okiem, gwałtownie prostując wysięgniki. Na jednym z nich tkwił nadziany

przypadkiem arkusik papieru. Konstruktor niepokojąco przypominał człowieka z rozpostartymi ramionami. Isaac zamrugał nerwowo, ale nie zatrzymał się.

Prawy manipulator konstruktora skierował się ku podłodze, w miejscu, w którym porzucone śmieci, kurz i piach utworzyły grubą warstwę. Automat poruszał ramieniem raz po raz, łomocąc potężnie o deski. Lewa kończyna, zakończona miotłą, uniosła się w stronę Isaaca, blokując mu drogę. Zdumiony mężczyzna zrozumiał nagle, że maszyna próbuje zwrócić na siebie uwagę. Przystanął, a wtedy kolec do nadziewania śmieci raz jeszcze skierował się ku podłodze.

Ku warstwie pyłu. Ku wypisanej na niej wiadomości.

W wygładzonej kupce kurzu i piasku, a także w pociemniałej powierzchni desek, wyskrobany był nieforemny, niepewny, ale w pełni zrozumiały napis:

„Zostałeś zdradzony”.

Isaac wpatrywał się w konstruktor w głębokiej konsternacji. Maszyna pomachała ku niemu kolcem, na którym łopotał wygnieciony świstek.

Pozostali nie odczytali jeszcze napisu, który pojawił się na podłodze, ale widząc wyraz twarzy Isaaca i przedziwne zachowanie automatu sprzątającego, podejrzewali, że dzieje się coś niezwykłego. Wstali, z ciekawością przyglądając się scenie.

– Co się dzieje? – spytała Derkhan.

– Ja... nie mam pojęcia – wymamrotał Grimnebulin. Konstruktor okazywał nadzwyczajne podniecenie: na przemian postukiwał ramieniem o podłogę w pobliżu napisu i wyciągał je przed siebie. Wreszcie Isaac, z ustami szeroko otwartymi ze zdumienia, uniósł rękę i maszyna znieruchomiła. Mężczyzna zbliżył dłoń do metalowego kolca i zdjął z niego zgnieciony papier.

Kiedy rozprostował świstek, David podskoczył nagle jak oparzony, z wyrazem przerażenia na twarzy, i puścił się biegiem w jego stronę.

– Zaac! – zawołał. – Czekaj!... – Ale Isaac już rozwinął kartkę. Z każdym przeczytanym słowem jego oczy otwierały się coraz szerzej. Skończywszy lekturę, zacisnął zęby i już miał krzyknąć, gdy nagle Vermishank zaczął działać.

Kiedy konstruktor rozpoczął swój dziwaczny popis, Lemuel odwrócił się w jego stronę i przestał mierzyć w Vermishankę, który nie omieszkał wykorzystać sytuacji. Gdy wszyscy spoglądali na Isaaca czytającego wiadomość przekazaną mu przez maszynę, stary naukowiec ześlizgnął się z krzesła i popędził w stronę drzwi.

Zapomniał, że były zamknięte. Kiedy szarpnął za klamkę i nie ustąpiły, zawył w panice. Tymczasem David zmienił zdanie i pozostawiwszy Isaaca w spokoju, ruszył w kierunku Vermishanki i zatrzaśniętych wrót. Grimnebulin obrócił się na pięcie, ściskając w dłoni wymięty papier, i spojrzał na obu z nieprzytomną nienawiścią. Lemuel zrozumiał swój błąd i natychmiast wymierzył broń w Vermishankę, ale w tym samym momencie Isaac zaczął zbliżać się do więźnia, przecinając linię strzału.

– Zaac, odsuń się! – krzyknął Pigeon.

Vermishank zauważył, że Derkhan zrywa się na równe nogi, David kuli się na widok nadbiegającego Isaaca, a człowiek w kapturze stojący w dalekim kącie starego magazynu rozkłada ręce i nogi, przyjmując osobliwą pozycję polującego drapieżnika. Nie widział jedynie Lemuela, który zniknął za barczystą postacią Grimnebulina.

Isaac spoglądał raz na Vermishankę, raz na Davida, wymachując w powietrzu pieczołowicie rozprostowaną kartkę.

– Isaac! – wrzasnął błagalnie Lemuel. – Zejdź wreszcie z linii strzału!

Ale rozjuszony olbrzym nie słyszał. Laboratorium wypełniła kakofonia dźwięków. Wszyscy krzykali – pytając o treść wiadomości, błagając o litość, warcząc z wściekłością lub skrzecząc jak wielki ptak.

Wydawało się, że Isaac zastanawia się nad tym, czy najpierw zająć się Davidem czy Vermishankiem. Serachin był zrezygnowany, prosił tylko, by „przyjaciel” zechciał go wysłuchać. Vermishank zaś, po raz ostatni szarpnąwszy zamknięte drzwi, postanowił się bronić.

Był doskonale wyszkolonym biotaumaturgiem. Błyskawicznie wymówił stosowną formułę i naprężył niewidzialne, niematerialne mięśnie, które nagle pojawiły się w jego ramionach. Energia, która rozdeła żyły przedramienia do rozmiarów węży, pomogła mu usztywnić dłoń z lekko zakrzywionymi palcami. Czuł, że potęga formuły rozciąga jego skórę do granic wytrzymałości.

Koszula Isaaca nie była dopięta. Vermishank wbił rękę w nieosłonięte miejsce u nasady jego szyi.

Grimnebulin zawył z wściekłości i bólu, a jego ciało poddało się uderzeniu jak miękka glina.

Vermishank małym eleganckim gestem począł wwiercać dłoń w ranę. Zawzięcie pracując palcami, próbował chwycić najbliższe żebro. Isaac zacisnął pięści na jego nadgarstku. Krzywiąc się, zdołał powstrzymać atak – teoretycznie był silniejszy od przeciwnika, ale ból odbierał mu moc.

Vermishank jęczał z wysiłku.

– Puść mnie! – krzyknął wreszcie. Nie planował tej walki; działał pod wpływem impulsu, bronił własnego życia i tylko dlatego zdecydował się na atak. Teraz jednak było już za późno na negocjacje. Mógł zrobić tylko jedno: wpychać rękę coraz głębiej w pierś Isaaca.

Osłonięty przez walczących David w panice szukał w kieszeni klucza.

Grimnebulin nie był w stanie wyrwać palców Vermishanka ze swego ciała, a Vermishank nie miał dość siły, by wcisnąć je głębiej. Stali więc naprzeciwko siebie, szarpiąc się na wszystkie strony, podczas gdy w głębi sali trwał nerwowo rozgardiasz. Lemuel wstał gwałtownie, przewracając krzesło, i miotał się, szukając dogodnej pozycji do strzału. Derkhan biegła w stronę Vermishanka, lecz kiedy zaczęła ciągnąć go ze wszystkich sił za ramiona, jego palce już zaplotły się wokół kości w piersiach Isaaca. Każde szarpnięcie oznaczało dla rannego kolejną falę bólu. Z otworu w klatce piersiowej, niezbyt szczelnie zatkanego ręką biotaumaturga, tryskała krew.

Vermishank, Isaac i Derkhan siłowali się, chlapiąc krwią na podłogę i na Szczerość, która uciekła w popłochu. Lemuel wreszcie przełożył lufę pistoletu ponad ramieniem Grimnebulina, ale w tej samej chwili Vermishank szarpnął przeciwnikiem jak olbrzymią pacynką i wytrącił broń z ręki strzelca. Proch rozsypał się po podłodze, a Pigeon zaklął siarczyście i sięgnął do woreczka po nową porcję.

Nagle przy groteskowym trojgu walczących pojawiła się postać w płaszczu. Yagharek odrzucił do tyłu kaptur i w tym momencie Vermishank rozdziawił usta ze zdumienia, wpatrując się w okrągłe oczy i ptasią twarz wielkiego drapieżcy. Zanim zdążył wydać z siebie głos, garuda zagłębił zagięty dziób w jego prawym ramieniu.

Yagharek pruł mięśnie i ścięgna z ogromną prędkością i siłą. Vermishank wrzasnął dziko na widok poszarpanej tkanki i strumieni krwi. Wyszarpnął dłoń z ciała Isaaca, które zamknęło się z mokrym młasińciem. Ranny zawył z bólu i przycisnął rękę do piersi, wilgotnej i śliskiej od posoki.

Derkhan objęła Vermishanka od tyłu za szyję. Stary biotaumaturg ścisnął desperacko szczątki przedramienia, pozwalając, by kobieta odholowała go na środek sali. Konstruktor przezornie zszedł im z drogi i z bezpiecznej odległości obserwował, jak zawodzący Vermishank pada na deski i zalewa je strumieniami krwi.

Pistolet Lemuela był już ponownie nabity. Vermishank spostrzegł kątem oka mierzącą do niego postać i otworzył usta, aby skamleć o litość. Obronnym gestem uniósł do góry zakrwawione ramię.

Lemuel Pigeon nacisnął spust. Proch strzelniczy eksplodował z donośnym hukiem i jęki Vermishanka umilkły. Kula trafiła go dokładnie między oczy i przeszła na wylot – był to precyzyjny, pokazowy wręcz strzał z bliskiej odległości, który dosłownie wyrwał tylną część czaszki starca i cisnął ją w dal wraz z fontanną ciemnej krwi.

Vermishank upadł na plecy, z głuchym łomotem roztrzaskanego czerepu o stare deski.

Cząsteczki prochu wirowały w powietrzu. Zwłoki Vermishanka przeszył ostatni, agonalny dreszcz.

Isaac oparł się ciężko o ścianę i zaklął. Przycisnął dłoń do rozerwanej skóry, jakby chciał ją wygładzić. Chwilę wcześniej gmerał w ranie palcami, bezskutecznie próbując naprawić to, co rozerwały hakowate palce Vermishanka.

Raz po raz pokrzykiwał z bólu.

– Do diabła! – wybuchnął wreszcie, spoglądając nienawistnie na ciało biotaumaturga.

Lemuel machinalnie bawił się pistoletem. Roztrzęsiona Derkhan stała ze spuszczoną głową. Yagharek cofnął się w kąt i obserwował laboratorium w milczeniu, a jego twarz znowu pograżyła się w cieniu obszernego kaptura.

Nikt się nie odzywał. Śmierć Vermishanka wyraźnie zwarzyła atmosferę – zszokowani uczestnicy zajścia czuli się niepewnie, ale nie żalowali. Żaden z nich nie chciałby ponownie zobaczyć starego biotaumaturga wśród żywych.

– Yag, przyjacielu – odezwał się w końcu Isaac chrapliwym głosem. – Jestem twoim dłużnikiem.

Garuda nie odpowiedział.

– Musimy to... Musimy to usunąć – odezwała się Derkhan, trącając czubkiem buta zwłoki Vermishanka. – Wkrótce zaczną go szukać.

– To najmniejsze z naszych zmartwień – odparł Isaac, wyciągając przed siebie prawą rękę. Wciąż jeszcze ścisnął w dłoni notatkę, którą dostał od konstruktora, tyle że teraz była splamiona krwią. – David uciekł – zauważył, wskazując na otwarte drzwi. Rozejrzał się po magazynie. – Zabrał Szczeroc – dodał, krzywiąc się pogardliwie, i podał kartkę Derkhan. Kiedy zaczęła ją rozkładać, ruszył w stronę spłoszonego konstruktora.

Derkhan przeczytała notatkę i jej twarz wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia i oburzenia. Obróciła kartkę, tak by Lemuel mógł poznać treść wiadomości. Po chwili dołączył do nich Yagharek i pochylając się ponad ramieniem Lemuela, zaczął czytać, nie odchylając głębokiego kaptura.

Serachin. W nawiązaniu do naszej rozmowy, załączam pieniądze i instrukcje. Der Grimnebulin i jego wspólnicy zostaną zatrzymani w łańcotę, ósmego tatisa. Funkcjonariusze milicji zjawią się w jego laboratorium o dziewiątej wieczorem. Dopilnujesz, by der Grimnebulin i jego wspólnicy byli na miejscu co najmniej od szóstej. Podczas nalotu będziesz im towarzyszył, aby uniknąć podejrzeń. Nasi agenci znają Cię z heliotypów, ale na wszelki wypadek ubierz się na czerwono. Funkcjonariusze zrobią wszystko, co w ich mocy, by uniknąć ofiar, ale niczego nie mogą zagwarantować, toteż łatwa identyfikacja może mieć ogromne znaczenie dla Twojego bezpieczeństwa.

Sally

Lemuel zamrugał niespokojnie i uniósł głowę. – To dziś – powiedział i znowu zatrzepotał powiekami. – Łańcota to już dziś. Niedługo tu będą.

ROZDZIAŁ 33

Isaac nie zareagował na słowa Lemuela. Mierzył przenikliwym wzrokiem konstrukt, który poruszał się nieznacznie w niemal ludzkim zakłopotaniu.

– Skąd wiedziałeś, Isaacu? – zawołała Derkhan. Grimnebulin uniósł palec i wolno skierował go w stronę maszyny.

– Dostałem cynk. David nas zdradził – dodał szeptem. – Mój kumpel. Piłem z nim setki razy, pracowałem, demonstrowałem... a ten skurwiel mnie sprzedał. I nie wiedziałbym o tym, gdyby nie uprzedził mnie ten cholerny konstrukt! – Isaac zajął w obiektyw maszyny. – Rozumiesz mnie? – wyszeptał z niedowierzaniem. – Jesteś po mojej stronie?... Czekaj, przecież masz receptory głosu, prawda? Obróć się. Obróć się, jeśli rozumiesz, co do ciebie mówię.

Lemuel i Derkhan spojrzeli po sobie znacząco.

– Isaac, chłopie... – odezwał się Pigeon pobłażliwym tonem, ale nie dokończył zdania, skonsternowany.

Powoli i z rozmysłem konstrukt obrócił się wokół własnej osi.

– Co on robi, do ciężkiej cholery? – syknęła Derkhan. Isaac odwrócił się w jej stronę.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział cicho. – Słyszałem o czymś takim, ale nie przyszło mi do głowy, że to naprawdę możliwe... Zdaje się, że miał wirusa, prawda?... K. I., Konstrukt Inteligentny... Nie wierzę własnym oczom... – Pomrukując z cicha, znowu spojrzął na automat. Derkhan i Lemuel podeszli bliżej, Yagharek zaś podążył za nimi po krótkiej chwili zastanowienia. – To niemożliwe – stwierdził zniechęca Isaac. – Jego maszyna nie jest wystarczająco złożona, by tworzyć niezależną myśl. To po prostu niemożliwe. – Konstrukt opuścił wysięgnik i cofnął się do najbliższej kupy kurzu. Przeciągnął po niej ostrą końcówkę ramienia, tworząc czytelny napis:

„Możliwe”.

– Co to ma znaczyć?! – krzyknął Isaac. – Potrafisz czytać i pisać?! Ty... – Uczony potrząsnął głową i opanował się szybko. – Skąd wiedziałeś? – spytał rzeczowo. – I dlaczego mnie ostrzegłeś?

Dość szybko stało się jasne, że z wszelkimi wyjaśnieniami trzeba będzie poczekać. Kiedy Isaac wpatrywał się w napięciu w obiektyw maszyny, Lemuel spojrzął na zegar i drgnął niespokojnie. Było późno.

Przekonanie Isaaca, że nadszedł najwyższy czas na ewakuację z laboratorium, zajęło Lemuelowi i Derkhan dobrą minutę. Wreszcie jednak dotarło do niego, że warto wykorzystać ostrzegawczy cynk, nawet jeśli jego pochodzenie nie było do końca jasne.

Był zdezorientowany. Protestował bez przekonania, ciągnął za sobą konstrukt, życzył Davidowi piekielnych mąk, pokrzykiwał bojowo i z profesjonalną ciekawością spoglądał na gruntownie odmieniony automat sprzątający. Ponaglenia ze strony Derkhan i Isaaca nie pomogły mu wziąć się w garść.

– Tak, David to skończony gnój. Tak, ten konstrukt to skończony cud – stwierdziła pojednawczo Derkhan. – Ale nic z tego nie wyniknie, jeśli nie wyniesiemy się stąd natychmiast.

Rozdrażnienie Isaaca sięgnęło zenitu, kiedy konstrukt poparł kobietę, na jego oczach kaligrafując na brudnej podłodze: „Później”.

Umysł Lemuela działał najszybciej.

– Znam jedno miejsce w Gidd, gdzie możemy się schronić – powiedział. – W każdym razie wystarczy na jedną noc; potem będziemy dalej planować.

Po chwili krążył już z Derkhan po laboratorium, zbierając przydatne przedmioty do toreb, które znaleźli w kredensie Davida. Nie mieli wątpliwości, że nigdy już nie powrócą w tę okolicę.

Isaac stanął pod ścianą, obojętny i odrętwiały. Szklistym wzrokiem gapił się w przestrzeń, wolno kręcąc głową z niedowierzaniem.

Lemuel spojrzał na niego z ukosa.

– Isaacu! – zawołał. – Idź, przejrzyj swoje graty. Mamy niespełna godzinę. Wynosimy się stąd, więc bądź łaskaw ruszyć dupę!

Grimnebulin machinalnie skinął głową i po chwili ruszył schodami w górę. Zatrzymał się na szczycie i rozejrzał po swojej platformie. Wyraz smutku i niedowierzania nie zniknął z jego twarzy.

Po kilku sekundach dołączył do niego bezszelestny Yagharek. Stanąwszy za Isaakiem, ściągnął z głowy kaptur.

– Grimnebulin – wyszeptał na tyle miękko, na ile pozwalała mu na to budowa ptasiej krtani. – Myślisz o swoim przyjacielu, Davidzie.

Isaac odwrócił się gwałtownie.

– To nie był mój przyjaciel – odparował.

– Był. A teraz zastanawiasz się nad jego zdradą. – Isaac nie odzywał się przez kilka chwil. Wreszcie skinął głową. – Ja znam zdradę, Grimnebulin – zagwizdał Yagharek. – Znam ją dobrze. I... współczuję ci.

Isaac odwrócił się i energicznym krokiem wszedł do swojej części laboratorium. Do wielkiej torby podróżnej wrzucił na pozór przypadkową płataninę drutów, ceramiki i szkła, po czym zarzucił sobie zasnurowany ładunek na plecy.

– Kiedy to spotkała cię zdrada, Yag? – zapytał wyzywająco.

– Nigdy. To ja zdradziłem. – Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił w stronę garudy. – Wiem, co zrobił David. I dlatego ci współczuję.

Isaac wpatrywał się w Yagharka ze zdziwieniem, niewiarą i żalem.

*

Milicjanci zaatakowali dwadzieścia po siódmej.

Rozległ się donośny huk i drzwi otworzyły się na oścież. Trzej funkcjonariusze wpadli do środka, w biegu porzucając masywny taran.

Uciekający David pozostawił za sobą nie zablokowane drzwi, czego nie spodziewali się milicjanci. Próbowali sforsować przeszkodę, której nie było – teraz wpadali na siebie i przewracali się groteskowo, niesieni własnym impetem.

Na moment, nim trzej funkcjonariusze pozbierali się i stanęli na nogi, zapanowała konsternacja. Oddział milicjantów na zewnątrz budynku gapił się bezmyślnie na to, co się stało, a Derkhan i Lemuel odpowiadali im równie tęnym spojrzeniem. Isaac mierzył wzrokiem trzech intruzów.

I nagle wszyscy zaczęli działać.

Milicjanci stojący na ulicy odzyskali rozum i popędzili w stronę drzwi. Lemuel przewrócił na bok masywne biurko Davida i przykucnął za tymczasową osłoną jego blatu, by naładować dwa długolufowe pistolety. Derkhan pobiegła w jego stronę, zygzakując i kryjąc się za sprzętami. Yagharek zasyczał drapieźnie i odsunął się od barierek okalającej platformę, znikając z pola widzenia milicjantów.

Isaac jednym ruchem ściągnął z laboratoryjnego stołu dwie wielkie butle z bezbarwnym płynem i szerokim łukiem cisnął je jak granaty ponad barierką, w stronę atakujących funkcjonariuszy.

Trzej, którzy niepotrzebnie szturmowali drzwi taranem, zdążyli właśnie stanąć na nogi, gdy spadł na nich deszcz szkła i substancji chemicznych. Jedna z ciężkich butli roztrzaskała się o hełm milicjanta, który padł na podłogę jak rażony gromem i znieruchomiał, zalany krwią. Ostre jak brzytwa odłamki szkła posypały się na zbroje stojących obok. Obaj dostali się w chmurę kropeł żrącego płynu i sekundę później zaczęli wrzeszczeć jak opętani, gdy chymikalia przedostały się przez pochłaniacze masek i zaatakowały wrażliwą skórę twarzy.

Nie rozległ się ani jeden strzał.

Isaac podbiegł do półek z odczynnikami i zaczął w przemyślany sposób wybierać kolejne słoje, łącząc chymikalia wedle strategii maksymalnych zniszczeń. „Dlaczego nie strzelają?” – przemknęła mu przez głowę niepokojąca myśl.

Ranni funkcjonariusze zostali wyprowadzeni na ulicę, a ich miejsce zajął zwarty oddział pancernych, z żelaznymi tarczami w dłoniach. Rozglądali się uważnie przez okienka ze zbrojonego szkła, osłaniając dwóch agentów sposobiących się do ataku z użyciem żądł kheprich.

„Chcą nas wziąć żywcem!” – pomyślał Isaac. Żądło mogło bez trudu zabić człowieka, ale nie musiało. Gdyby Rudgutter życzył śmierci tym, którzy spotkali się w starym magazynie, wysłałby przeciwko nim oddział żołnierzy z karabinami skałkowymi i kuszami, a nie dwóch przedstawicieli elitarniej jednostki – ludzie władający bronią kheprich byli niezwykle rzadkością.

Isaac rzucił podwójny ładunek roztworu żelaznego i destylatu sangwimorfu, ale intruzi byli szybcy. Szklane pojemniki roztrzaskały się o tarcze, a milicjanci rozpierzchli się, by uniknąć skażenia.

Dwaj strzelcy, ukryci za ich plecami, uruchomili wirujące, kolczaste rzutki.

Żądła – mechanizmy zegarowe o skomplikowanej budowie, tradycyjną broń kheprich – mieli umocowane do pasów. Były to skrzynki wielkości niedużych toreb, do których podłączono z dwóch stron długie sznury: grube druty owinięte metalowym splotem i pokryte izolującą gumą, w razie potrzeby rozciągające się na ponad dwadzieścia stóp. W odległości dwóch stóp od końców przewodów znajdowały się polerowane, drewniane uchwyty, które funkcjonariusze mocno ściskali w dłoniach. Końcówki sznurów wirowały z zawrotną prędkością, migocąc złowrogo. Isaac wiedział, że mogą to być kłębki ostrych metalowych kolców. Używano rozmaitych końcówek: niektóre wykonywano z kawałka litego żelaza, inne, o skomplikowanej konstrukcji, rozkładały się jak mordercze kwiaty w chwili, gdy trafiały w cel. Wszystkie trafiały do celu z niesamowitą precyzją, przebijały pancerz i skórę i zawijały się bezlitośnie wokół rozprutego ciała.

Ukryta za przewróconym biurkiem Derkhan przytuliła się do Lemuela. Isaac zniknął w głębi platformy, by poszukać amunicji. Korzystając z chwili spokoju, dziennikarka uniosła się na ugiętym kolanie i wyjrzała ponad krawędzią blatu, mierząc z wielkiego pistoletu.

Nacisnęła spust i w tym samym momencie jeden z funkcjonariuszy uruchomił swoje żądło.

Derkhan była dobrym strzelcem. Kula trafiła w wizjer jednej z żelaznych tarcz, który uznała za słaby punkt milicyjnej obrony. Nie doceniła jednak jego wytrzymałości. Szkło zbiałało, pokryte siateczką tysięcy mikropęknięć, ale nie rozpadło się, dzięki wtopionym w nie drutom miedzianego zbrojenia. Trzymający tarczę milicjant zachwiał się nieco i zaraz odzyskał równowagę.

Po ruchach funkcjonariusza z żądłem widać było, że jest ekspertem w swym rzemiośle.

Zakręcił ramionami młynka, wprawnie manipulując przyciskami ukrytymi w rękojeściach. Uwolnione sznury prześlizgnęły się przez otwory w drewnie i pchane siłą odśrodkową pomknęły w dal jak szare, metaliczne błyskawice.

Przewód rozwijał się z wnętrza skrzynek i przenikał przez otwory w rękojeściach prawie bez tarcia, bez trudu tnąc powietrze i zmierzając nieomylnie do celu. Kolczaste rzutki zakreśliły symetryczne łuki i z ogromną siłą wbiły się z boków w korpus Derkhan. Kobieta krzyknęła z bólu i zachwiała się. Pistolet wysunął się z zeszywniałych nagle palców i z klekotem upadł na podłogę.

Strzelec natychmiast wcisnął klawisz w ścianie maszyny, by uruchomić nakręcony i zablokowany mechanizm zegarowy.

Drewniane pudełko zarzęziło i zadrżało, gdy ukryte w jego wnętrzu zwoje drutu zaczęły wirować jak dynamo, generując fale dziwnego prądu. Ciało Derkhan rozpoczęło spazmatyczny taniec, a pomiędzy jej zaciśniętych zębów raz po raz wyrwały się zdławione jęki. We włosach i między palcami trafionej kobiety pojawiły się błękitne ogniki wyładowań.

Milicjant obserwował ją uważnie, z wyczuciem operując pokrętkami żądła, by odpowiednio wyregulować natężenie strumienia energii. Nagle rozległ się głośny trzask i ciało Derkhan z hukiem rąbnęło o ścianę, by osunąć się bezwładnie na ziemię.

Drugi strzelec wyborowy posłał ostre rzutki tuż ponad krawędzią biurka, mając nadzieję, że trafi wychylającego się Lemuela. Pośrednik przypadł jednak do ziemi i żelazne kolce na drutach przemknęły nad nim. Funkcjonariusz trącił przełącznik maszyny i sznury zwinęły się posłusznie w drewnianych obudowach, gotowe do następnego strzału.

Lemuel spojrzął na leżącą bez ruchu Derkhan i zważył w dłoniach pistolety.

Widząc, co się dzieje na dole, Isaac ryknął wściekle i cisnął w stronę milicjantów kolejne naczynie z niestabilnym, taumatycznym roztworem. Upadło zbyt blisko, ale zawartość rozprysła się efektownie i zmieszała z rozlanym wcześniej destylatem. Podmuch reakcji posłał na deski dwóch wyjących z bólu napastników. Ich skóra zmieniła się w pergamin, a krew w atrament.

Nagle od strony drzwi rozległ się wzmocniony tubą głos burmistrza Rudguttera.

– Zaprzeście ataków. Bądźcie rozsądni. Nie wydostaniecie się stąd. Poddajcie się, a okażemy wam łaskę.

Rudgutter i Eliza Stem-Fulcher stali przy wejściu w otoczeniu honorowej gwardii milicyjnej. Burmistrz niezmiernie rzadko angażował się bezpośrednio w działania aparatu przymusu, lecz akcja przy ulicy Wioślarzy nie była akcją standardową. Opuściwszy żelazną tubę, zwrócił się ku Stem-Fulcher, nie kryjąc irytacji.

– Krwawa jatka, nic więcej. – Kobieta skinęła głową. – No cóż – ciągnął burmistrz – nasi milicjanci nie mogą przegrać bez względu na to, jak są nieskuteczni. Możliwe, że paru zginie, niestety, ale der Grimnebulin i jego kompani nie mają szans na ucieczkę. – Rudgutter rozejrzył się i poczuł nagłą furję, widząc ciekawskie twarze za szybami okolicznych domów. – Natychmiast wracać do zajęć! – wrzasnął, przykładając do ust tubę.

Twarze zniknęły za zasłonami. Burmistrz odwrócił się w stronę magazynu, który właśnie zadrżał w posadach.

Lemuel pozbył się specjalisty z żądłem za pomocą jednego eleganckiego, precyzyjnego strzału. Isaac cisnął ze schodów stół, strącając dwóch funkcjonariuszy próbujących wdrzeć się na górę, po czym powrócił do chemicznego bombardowania. Yagharek pomagał mu, rzucając na parter podawane przez Isaaca pojemniki z miksturami.

Mimo wszystko były to jednak daremne dowody odwagi. Oddział milicji był zbyt liczny. Szczęście Isaaca, Lemuela i Yagharka polegało na tym, że w przeciwieństwie do nich funkcjonariusze starali się nie zabijać. Grimnebulin szacował, że śmierć spotkała już co najmniej czterech intruzów; jeden zginął od kuli, jeden od uderzenia szklanym naczyniem w czaszkę, a dwaj wskutek reakcji chemiczno-taumatycznej. Szczęśliwa passa nie mogła jednak trwać długo. Chroniąc się za tarczami, milicjanci zaczęli otaczać Lemuela.

Isaac przyglądał się, jak konferowali przez chwilę. Wreszcie jeden z nich uniósł karabin skałkowy i wymierzył w Yagharka.

– Padnij, Yag! – zawołał uczony. – Zabiją cię!

Yagharek rzucił się na podłogę, znikając z oczu celującemu weń snajperowi.

*

Nie doszło do nagłej i efektownej manifestacji jego obecności, nie było gęsiej skórki i pokazu imponującej postaci. Pojawił się jedynie głos Tkacza, który rozbrzmiał wprost w uchu Rudguttera.

...ZWIĄZAŁEM NIEWIDZIALNE WISZĄCE NIEBIAŃSKIE DRUCIKI I WŚLIZNAŁEM STOPY DYSKRETNIE W PSYCHICZNE ŁAJNO TYCH CO ZRYWAJĄ SIEĆ TO PRYMITYWNE ISTOTY I NIEELEGANCKIE I PONURE SZEPIJ MI SŁÓWKO PANIE BURMISTRZU CO SIĘ DZIEJE TO MIEJSCE DRŻY...

Rudgutter zmartwiał. „Tylko tego mi brakowało”, pomyślał. Jego odpowiedź była jednak pewna.

– Tkaczu. Jak miło, że znowu nas odwiedziłeś. Stem-Fulcher spojrzała na niego ze zdziwieniem.

„Cholera, jest zbyt nieprzewidywalny” – pomyślał gniewnie burmistrz. „Nie teraz, do wszystkich diabłów, nie teraz! Idź już lepiej, ganiaj za ćmami, poluj... Dlaczego musiałeś zjawić się akurat tutaj?” Tkacz był irytujący i niebezpieczny. Rudgutter podjął skalkulowane ryzyko, prosząc go o pomoc, jednak śmiercionośna broń zawsze pozostawała śmiercionośną bronią.

Burmistrz miał wrażenie, że połączyło go z wielkim pajakiem coś w rodzaju porozumienia, o ile coś takiego w ogóle było możliwe w kontaktach z Tkaczem. Kapnellior utwierdził go w tej wierze. Jego teksturologia była niepewną nauką, ale jednak od czasu do czasu wydawała cenne owoce. Istniały już sprawdzone metody komunikacji, których Rudgutter mógł używać w razie potrzeby, by przywołać Tkacza: napisy ryte w ostrzach nożyczek i przetapiane, z pozoru przypadkowe rzeźby, które po podświetleniu od spodu ujawniały treść wiadomości na suficie... Odpowiedzi

Tkacza były szybkie i nierzadko docierały jeszcze bardziej ekstrawaganckimi środkami przekazu.

Rudgutter uprzejmie poprosił Tkacza, by zajął się łowami na ćmy – oczywiście nie mógł mu rozkazywać, mógł jedynie sugerować. Pająk jednak odpowiedział pozytywnie i burmistrz pomyślał sobie (głupio i absurdalnie), że niepojęta istota na jakiś czas stała się jego agentem.

Teraz już tak nie uważał.

Odchrząknął lekko i przemówił:

– Czy wolno mi spytać, czemu zawdzięczamy to spotkanie, Tkaczu? Głos w uchu rozległ się ponownie i odbił się echem od kości czaszki.

...WEWNĄTRZ I NA ZEWNĄTRZ WŁÓKNA SĄ PODZIELONE I ZERWANE A TROP PROWADZI PRZEZ POŁACIE PAJĘCZYNY ŚWIATA GDZIE KOLORY KRWAWIĄ I ZANIKAJĄ JA ZAŚ POMKNAŁEM POD KOPUŁĄ NIEBA I POD POWIERZCHNIĄ I ZATAŃCZYŁEM WZDŁUŻ TEGO ROZDARCIA PŁACZĄC Z ŻAŁOŚCIĄ NAD TĄ OHYDNĄ RUINĄ KTÓRA ROZRASTA SIĘ I ROZSZERZA I ROZPOCZYNA W TYM WŁAŚNIE MIEJSCU...

Rudgutter wolno skinął głową, wyławiając sens zawilego, nie kończącego się zdania.

– Zaczęło się tutaj – przytaknął. – To jest epicentrum. To jest źródło. Niestety...

– Burmistrz przemawiał z wielką ostrożnością. – Niestety, przybyłeś w nie najlepszym momencie. Jeśli pozwolisz, poproszę, byś istotnie rozpoczął swoje śledztwo właśnie tu, u źródła naszych problemów, ale... nieco później?

Stem-Fulcher obserwowała go w milczeniu i z lękiem, nasłuchując jedynie wypowiedzianych na głos odpowiedzi.

Na krótką chwilę wszystkie odgłosy, także strzały, szczęk pancerny i karabinów oraz krzyki dobiegające z magazynu, ucichły. Stem-Fulcher uchyliła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie odezwała się. Nawet Tkacz milczał.

I wreszcie pod czaszką Rudguttera rozległ się nowy, cichy dźwięk. Burmistrz wstrzymał oddech i otworzył usta ze zdumienia. Nie miał pojęcia, skąd nagle pojawiła się w jego umyśle ta świadomość, ale po prostu wiedział, że osobliwe odgłosy mogą oznaczać tylko jedno: Tkacz przekraczał granice niezbadanych wymiarów, kierując się w stronę laboratorium Isaaca Dana der Grimnebulina.

*

Milicjanci parli w kierunku Lemuela z niezłomnym uporem. Bez skrupułów zdeptali ciało Vermishanka, triumfalnie niosąc przed sobą wielkie tarcze.

Tymczasem na piętrze Isaac i Yagharek nie mieli już chemicznej amunicji. Uczony z krzykiem zrzucił na dół ciężkie krzesła, kawały drewna opałowego i śmieci na głowy milicjantów, którzy bronili się przed nimi z łatwością.

Derkhan wciąż leżała nieruchomo jak Lublamai, spoczywający w błogiej nieświadomości na łóżku w kącie mieszkania Isaaca.

Lemuel wrzasnął desperacko i rzucił w stronę napastników ostatnią garść prochu strzelniczego, po czym drżącymi rękami sięgnął po krzesiwo, ale milicjanci już byli

przy nim, już uderzali pałkami. Zaraz potem pojawił się strzelec z żądłem i jego wirującymi, kolczastymi końcówkami.

Powietrze w środkowej części magazynu zawibrowało nagle w przedziwny sposób.

Dwaj milicjanci, którzy pierwsi zauważyli ten fenomen, zamarli w bezruchu. Isaac i Yagharek, dźwigający wielką ławę z zamiarem ciśnięcia jej w stronę atakujących, także spostrzegli zaskakujące zjawisko i zatrzymali się, by przyjrzeć się uważniej.

Pośrodku pustki, w centralnej części sali, na podobieństwo dziwnego kwiatu wykwitła zniecka plama organicznej ciemności. Rozszerzała się i nabierała materialnej treści ze zwierzęcą łatwością, z jaką przeciąga się senny kot. Otwierała się i materializowała, by przybrać postać wielkiego, segmentowanego ciała. Po chwili była już pająkiem, emanującym siłą i wysysającym z powietrza resztki światła.

Była Tkaczem.

Yagharek i Isaac wypuścili ławę z rąk dokładnie w tej samej sekundzie.

Milicjanci przestali katować Lemuela i odwrócili się, zaalarmowani nagłą zmianą w powietrzu.

Wszyscy znieruchomieli, w głębokim szoku wpatrując się w przybysza.

Tkacz zaistniał w rzeczywistej przestrzeni dokładnie nad dwoma drżącymi funkcjonariuszami. Obaj krzyknęli cicho ze strachu. Jeden wypuścił szablę ze zmartwiałej dłoni, a drugi – bardziej odważnie, ale równie bezcelowo – uniósł pistolet gwałtownie trzęsącą się ręką.

Tkacz zwiesił głowę, by przyjrzeć się dwóm mężczyznom. Uniósł dwie ludzkie dłonie i delikatnie opuścił je na głowy zmartwiałych milicjantów. Poklepał je tak, jak klepie się posłusznego psa.

Potem uniósł ręce wyżej, wskazując na platformę, na której stali nieruchomo Yagharek i Isaac. W kompletnej ciszy rozległa się nagle nieustająca, nieziemska pieśń wielkiego pająka.

...NA GÓRZE NA WĄSKIM BALKONIE TO ONA SIĘ ONA SIĘ NARODZIŁA TA KREPA I MAŁA JAK KCIUK POKRĘCONA KARŁOWATA NIEZDROWA KTÓRA UWOLNIŁA WSPÓŁBRACI I ZŁAMAŁA PIECZĘĆ SWEGO CAŁUNU BY WYRWAĆ SIĘ NA SWOBODĘ A JA CZUJĘ TAM RESZTKI JEJ ŚNIADANIA OCH JAK PODOBA MI SIĘ TA SIEĆ JEJ SPLOT JEST TAK ZAWIŁY I DELIKATNY CHOĆ ROZERWANY PRZEZ TĘ KTÓRA WIRUJE Z TAKĄ ENERGIĄ I NAIWNĄ PEWNOŚCIĄ...

Głowa Tkacza obróciła się nieludzko płynnym ruchem. Liczne, błyszczące oczy przyjrzały się całej sali. Żaden człowiek nie odważył się nawet drgnąć.

Nagle gdzieś na zewnątrz rozległ się głos Benthama Rudguttera, pełen napięcia i gniewu.

– Tkaczu! – zawołał burmistrz. – Mam dla ciebie prezent i wiadomość! Na moment zapadła cisza, a potem para nożyc wysadzanych masą perłową z klekotem potoczyła się po podłodze. Tkacz zatarł ręce w zdumiewająco ludzkim geście zadowolenia. Z zewnątrz dobiegł dźwięk otwieranych i zamykanych nożyczek.

...PIĘKNIE PIĘKNIE BŁAGALNE CIACH-CIACH LECZ CHOĆ ONE WYGŁADZAJĄ KRAWĘDZIE I TNĄ SZORSTKIE WŁÓKNA Z ZIMNYM CHRZĘSTEM PODOBNYM DO EKSPLOZJI JA MUSZĘ ZOSTAWIĆ JE I ZAJĄĆ SIĘ ODTWORZENIEM WZORU TU I Z POMOCĄ AMATORÓW NIC NIE WIEDZĄCYCH ARTYSTÓW NAPRAWIĆ KATASTROFALNE ROZDARCIE KTÓRE

RODZI BRUTALNĄ ASYMETRIĘ W BŁĘKITNYCH POŁACIACH BO NIE MOŻE BYĆ ŻEBY SIEĆ ZERWANA I POZBAWIONA WZORU TAK TRWAŁA GDY UMYSŁY TYCH ZDESPEROWANYCH WINNYCH I OSAMOTNIONYCH SĄ WYBORNymi GOBELINAMI PRAGNIEŃ GDY WIDZĘ CĘTKOWANE SPLOTY ICH MARZEŃ BO ONI CHCĄ PRZYJACIÓŁ PIÓR WIEDZY SPRAWIEDLIWOŚCI ŻŁOTA...

Głos Tkacza zawibrował niezrozumiałą, jękliwą uciechą. Długie nogi poruszyły się nagle z zatrważającą prędkością. Istota błyskawicznie przemierzyła salę, wzbudzając zmarszczki przestrzeni.

Milicjanci pochyleni nad Lemuelem upuścili pałki i rzucili się do panicznej ucieczki. Pigeon spojrział opuchniętymi oczami na pajęcze ciało, bezsilnie uniósł rękę i próbował krzyczeć ze strachu.

Tkacz zawisł nad nim na moment, a potem znowu popatrzył w górę, na platformę. Odstąpił pół kroku od rannego i zniecka, w zupełnie niewytłumaczalny sposób znalazł się na piętrze, o kilka stóp od Isaaca i Yagharka, którzy ze zgrozą wlepili wzrok w jego potworną postać, sparaliżowani strachem. Ostro zakończone stopy zastukały o drewnianą podłogę i pajak stanął przed nimi. Garuda przemógł się wreszcie i próbował uskoczyć, ale Tkacz był szybszy.

...SĄ DZICY I NIEPRZENIKNIENI... zaśpiewał i zgarnął Yagharka błyskawicznym ruchem, chwytając go pod ramiona i unosząc jak niegrzeczne, wyjące z przerażenia dziecko.

...CZARNI I RDZAWI... ciągnął Tkacz. Poruszył się znowu elegancko, jak tancerka sunąca na palcach i przez niepojęte zakrzywienie przestrzeni znalazł się znowu nad skuloną postacią Lemuela. Chwycił pośrednika i unieruchomił pod pachą obok Yagharka.

Milicjanci cofali się, zdumieni i wystraszeni. Na zewnątrz znowu rozległ się głos burmistrza Rudguttera, ale już nikt go nie słuchał.

Tkacz zrobił krok i ponownie stanął na platformie obok Isaaca.

...EKSTRAWAGANCCY ŚWIECCY WSZĘDOBYLSCY... zanucił, chwytając uczonego.

Isaac nie mógł nic zrobić. Dotyk Tkacza był zimny i niezmienny, w pewien sposób nierealny. Jego skóra dorównywała gładkością polerowanemu szkłu. Mężczyzna poczuł, że pajak unosi go z przerażającą łatwością i układa pod kościstym ramieniem w możliwie najwygodniejszy sposób.

...TOTALNIE NIEDBALI WALECZNI... usłyszał Isaac, kiedy Tkacz poruszył nogami w oszalałym tempie i w mgnieniu oka pokonał dystans dwudziestu stóp, dzielący go od nieruchomego ciała Derkhan. Milicjanci pilnujący leżącej rozstąpili się, kierowani wspólnym strachem. Tkacz podniósł Derkhan i umieścił obok Isaaca, który z ulgą poczuł przez ubranie ciepłość jej ciała.

Grimnebulin rozglądał się na wszystkie strony, próbując przewidywać ruchy pajaka, który tym razem przesunął się w bok, ku dalekiej ścianie magazynu. Stał tam konstrukt, o którego istnieniu uczone zdążył już zapomnieć. Powróciwszy do miejsca, w którym zwykł był odpoczywać po pracy, automat przyglądał się spokojnie atakowi milicji. Teraz zaś, widząc zbliżającego się Tkacza, zwrócił obiektyw w jego stronę. Olbrzymi pajak uniósł go między dwiema ostro zakończonymi kończynami i postawił sobie na chitynowym grzbiecie. Konstrukt chwiał się niebezpiecznie, ale nie spadł mimo dość gwałtownych ruchów wielkiego ciała Tkacza.

Nagły i potworny ból omal nie rozłupał czaszki Isaaca. Mężczyzna krzyknął przeraźliwie i poczuł, że fala gorącej krwi napływa mu do twarzy. Pół sekundy później usłyszał nieludzki wrzask Lemuela.

Mimo bólu i ciśnienia rozsadzającego oczy spostrzegł, że magazynowa hala, która była jego domem i miejscem pracy, zaczyna migotać w rytmie przejść Tkacza z jednego wymiaru w drugi. Pająk stanął nagle obok milicjantów i wykonał jednym z ostro zakończonych ramion ruchy zbyt szybkie, by można było je zauważyć. Funkcjonariusze kolejno zaczęli wrzeszczeć z bólu, jakby dopadał ich błyskawicznie rozprzestrzeniający się wirus ciężkiej choroby.

Wreszcie Tkacz stanął na środku sali, przyciskając łokcie do boków w taki sposób, by jego więźniowie nie mogli się poruszyć. Nieznacznym ruchem przedramienia wyrzucił na podłogę garść zabarwionych na czerwono przedmiotów. Isaac uniósł głowę i rozejrzał się, próbując dostrzec cokolwiek mimo narastającego bólu poniżej skroni. Wszyscy wyli, zwijali się z bólu i przyciskali dłonie do głów, bezskutecznie próbując powstrzymać palcami upływ krwi. Isaac spuścił wzrok.

Z dłoni Tkacza wysypały się na podłogę zakrwawione, ludzkie uszy.

Płynąca z nich jeszcze posoka rozlała się ciemną plamą po zakurzonych deskach. Świeżo ucięte kawałki mięsa i chrząstek ułożyły się w idealny kształt nożyc.

Tkacz spojrział w górę i poruszył się bez najmniejszego wysiłku, mimo iż obładowany był niebagatelnym ciężarem czterech ciał i maszyny wielkości człowieka.

...GORLIWI I ROZKOSZNI... wyszeptał i zniknął.

To, co było doświadczeniem, staje się snem, a potem wspomnieniem. Nie widzę już granic między tymi trzema zjawiskami.

Tkacz, wielki pająk, pojawił się wśród nas.

W Cymek nazywamy go furiach-yajh-hett: tańczący szalony bóg. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek go zobaczę. Wszedł przez tunel z innego świata i stanął między nami a stróżami prawa. Ich pistolety milczały. Słowa zdechły w ich gardłach jak muchy w sieci.

Tańczący szalony bóg przemierzał salę dzikim, zupełnie obcym nam krokiem. Przygarnął nas do siebie – nas, renegatów, przestępców. Uchodźców. Konstrukty, które potrafią opowiadać; uziemionych garudów; reporterów, którzy sami trafiają na pierwsze strony gazet; naukowców-przestępców i przestępców służących nauce. Tańczący szalony bóg zebrał nas wszystkich jak przypadkowych wyznawców, których trzeba zganić za zboczenie z właściwej drogi.

Błysnęły jego dłonie-noże. Ludzkie uszy syknęły się w pył jak mięsisty deszcz. Mnie oszczędzono. Moje zakryte piórami uszy nie uradowałyby szalonego pająka. Słuchając jęków i okrzyków bólu, furiach-yajh-hett, oddawał się tańcowi radości.

Aż wreszcie zmęczył się i przez fałdy materialnego świata opuścił stary magazyn.

Przeszedł do innej przestrzeni.

Zamknąłem oczy.

Poruszałem się w kierunku, o którego istnieniu w ogóle nie miałem pojęcia. Czulem poślizg niezliczonych nóg, na których tańczący szalony bóg gnał zwinnie po potężnych niciach mocy. Truchtem pokonywał zakręty na drodze do naszej rzeczywistości, niosąc nas w ramionach. Czulem ból w brzuchu, gdy moje ciało zahaczało o włókna, z których zbudowany jest świat. Na obcych nam równinach odczuwałem swędzenie skóry.

Na chwilę udzieliło mi się szaleństwo boga. Przez moment silniejsze ode mnie było pragnienie wiedzy. Domagało się zaspokojenia, więc na ułamek sekundy otworzyłem oczy.

Przez czas trwania jednego, przeraźliwego, ciągnącego się w nieskończoność oddechu widziałem rzeczywistość, w której brodził tańczący szalony bóg.

Oczy swędziały mnie i łzawiły; czułem, że za chwilę eksplodują, jakby miały za sobą tysiąc piaskowych burz. Nie były w stanie przyjąć w pełni widoku, który rozciągał się przed nimi. Biedne, starały się jak mogły, chcąc dostrzec to, co niedostrzegalne. Dlatego dotarł do mnie jedynie ułamek, fragment obrazu.

Widziałem – albo zdawało mi się, że widziałem, albo wmówiłem sobie, że widziałem – bezmiar, przy którym karłowate jest nawet niebo nad pustynią. Bezmiar jak paszcza Lewiatana. Jęczałem i słyszałem w pobliżu jęki innych. We wszystkich kierunkach i wymiarach rozciągała się gigantyczna sieć, obejmująca swymi niezliczonymi węzłami cały czas i życie wszelkich istot.

Wiedziałem, że znam jej budulec.

Pełzające uniwersum kolorów, chaos tekstur składających się na nieskończenie złożoną tkaninę... wszystko to rezonowało od kroków tańczącego szalonego boga. Rozchodzące się wibracje rozbrzmiewały w eterze echem odwagi albo głodu, albo architektury, albo kłótni, albo kapusty, albo morderstwa, albo betonu... Włókno oznaczające motywację lecącego szpaka łączyło się z grubą i lepą nicią śmiechu młodego złodzieja, by naprężonym, jedwabnym włosem wprząc się we fragment reprezentujący siedem podpór dachu katedry. Nie kończący się splot rozprzestrzeniał się we wszystkich możliwych i niemożliwych płaszczyznach.

Każda intencja, interakcja, motywacja, każdy kolor, każde ciało, każda akcja i reakcja, każdy fragment rzeczywistości fizycznej i zrodzonej z niej myśli, każde połączenie, każdy moment historii i przyszłości, każdy ból zęba i kamień brukowy, każde uczucie, każde narodziny, każdy banknot, każda, ale to każda rzecz jest bowiem wpleciona w nieskończoną, rozłożystą pajęczynę.

Nie ma ona ani początku, ani końca. Jest złożona bardziej niż umysł rozumnej istoty. Jest to dzieło takiej piękności, że moja dusza szlochała.

Tętniła życiem. Widziałem też innych z rodzaju naszego opiekuna, innych tańczących szalonych bogów, przemykających gdzieś po bezmiarze sieci.

Spostrzegłem i odmienne stworzenia, niezwykle i straszliwe, o których nie będę wspominał.

Pajęczyna nie jest jednak bez skazy. W wielu miejscach jej włókna są zerwane, a barwy wyblakłe. Tu i ówdzie wzory są rozciągnięte i niestabilne. Kiedy mijaliśmy te rany, czułem, że tańczący szalony bóg zatrzymuje się i napręża kądziółek, naprawiając i barwiąc na nowo niezwykle sieć.

Widziałem też w oddali mocne włókna Cymek. Przysięgam, że spostrzegłem ich ruchy, gdy sieć naprężała się pod ciężarem czasu.

Potem otoczyła mnie gmatwanina nierealnych nitek babiego lata... sploty Nowego Crobuzon. I tam właśnie zobaczyłem ogromne, biegnące przez środek rozdarcie. Rozszerzało się, niszcząc tkankę sieci-miasta, odbierając jej barwę i wypijając jej soki. To, co powstawało, było pozbawioną życia bielą. Bezsensowną pustką, ponurym cieniem po tysiącokrotnie bardziej bezdusznym niż oko niewidomej ryby, spędzającej całe życie w podwodnej jaskini.

Na moich oczach, obolałych od wrażeń, rozdarcie powiększyło się.

Patrząc na nie, czułem tylko przerażenie. Byłem taki mały w obliczu ogromu pajęczyny... Znowu zamknąłem oczy.

Lecz umysłu nie mogłem zamknąć. Wbrew woli powracał wciąż do wspomnień o tym, co widziałem. Nie mógł ich jednak pomieścić; pozostało tylko mgliste wrażenie. Pozostał też ten opis, ale prawdziwa waga tego niewyobrażalnego zjawiska na zawsze zniknęła z mojej głowy.

To, co pozostało i pochłania mnie teraz, jest bladym wspomnieniem.

Tańczyłem z pajakiem. Harcowałem z tańczącym szalonym bogiem.

CZĘŚĆ PIĄTA. RADY

ROZDZIAŁ 34

W Sali Lemquista trwała narada wojenna z udziałem Benthama Rudguttera, Elizy Stem-Fulcher i MontJohna Rescue.

Całą noc spędzili w pracy. Rudgutter i Stem-Fulcher byli zmęczeni i rozdrażnieni. Sączyli mocną kawę z wielkich filiżanek i wertowali sterty pism. Rescue był spokojny. Od czasu do czasu poprawiał grubo owinięty szalik.

– Spójrzcie na to – odezwał się burmistrz, machając arkuszem papieru w stronę współpracowników. – Dostałem to rano, dostarczone osobiście. Miałem okazję porozmawiać z autorami i zapewniam, że nie była to sympatyczna wizyta towarzyska. – Stem-Fulcher wyciągnęła rękę po list. Rudgutter zignorował ją jednak i sam zagłębił się w jego treść. – To od Josiaha Pentona, Bartola Sednera i Masheka Ghrashietnichsa – zaczął. Skinął głową, gdy Rescue i Stem-Fulcher spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Tak, tak, szefowie Arrowhead Mines, Sedner's Bank of Commerce oraz Paradox Concerns poświęcili swój czas, by wspólnie przygotować to pismo. Dlatego sądzę, że śmiało moglibyśmy dopisać pod spodem niewidzialnym atramentem jeszcze niejedno mniej znaczące nazwisko. Zgodzicie się ze mną? – Rudgutter wygładził kartkę. – Panowie Penton, Sedner i Ghrashietnichs są „szalenie zaniepokojeni”, jak piszą, „zatrważającymi nowinami”, które do nich docierają. Zdaje się, że wywęszyli nasz kryzys – skomentował, widząc wymianę spojrzeń między Stem-Fulcher a Rescue.

– Wszystko to pokręcone i niejasne; widać, że tak naprawdę nie mają pojęcia, co się dzieje, ale żaden nie sypia ostatnio zbyt dobrze. Poza tym dotarli jakoś do nazwiska der Grimnebulina. Domagają się wyjaśnień, chcą wiedzieć, co robimy „w celu zażegnania poważnej groźby, która zawisła nad naszym wspaniałym państwem-miastem”. – Burmistrz odłożył list i gestem uciszył Stem-Fulcher, która wzruszyła ramionami i zamierzała coś powiedzieć. Z irytacją roztarł zmęczone oczy. – Czytaliście już raport „Sally”, to jest inspektora Tormlina. Serachin, który teraz odzyskuje siły pod naszą opieką, twierdzi, że der Grimnebulin chwalił się sprawnym prototypem czegoś w rodzaju maszyny kryzysowej. Naturalnie rozumiemy znaczenie tego faktu. Niestety... nasi przyjaciele biznesmeni wiedzą i o tym. Jak się domyślacie, wszyscy – a zwłaszcza pan Penton – są zdecydowanie za powstrzymaniem „absurdalnych eksperymentów” tak szybko, jak będzie to możliwe. Każdy z „niedorzecznych prototypów”, które zbudował podobno pan der Grimnebulin, by oszukiwać łatwowiernych, powinniśmy „niezwłocznie zniszczyć”. – Rudgutter westchnął głęboko i uniósł głowę znad pisma. – Wspominają tu także o hojnych dotacjach, którymi od wielu lat wspierali rząd i partię Pełne Słońce. Można więc powiedzieć, panie i panowie, że dostaliśmy rozkaz. Nasi dobroczyńcy nie są zadowoleni z tego, co robimy, i chcieliby, żebyśmy trzymali groźne zwierzęta pod kluczem. Szczerze mówiąc, nie dziwi mnie też, że dostają szału na myśl o możliwości wykorzystania energii kryzysowej. Dodam jeszcze, że wczorajsze szczegółowe przeszukanie magazynu nie przyniosło rezultatu – nie znaleziono najmniejszego nawet śladu rzekomego wynalazku der Grimnebulina. Musimy więc wziąć pod uwagę możliwość, że człowiek ten pomylił się lub kłamał. Jeżeli jednak mówił prawdę, nie można wykluczyć, że zabrał maszynę i notatki ze sobą, kiedy... – burmistrz westchnął ciężko -...kiedy uciekał z Tkaczem.

Stem-Fulcher przemówiła z wielką ostrożnością.

– Czy wiemy już... co się właściwie stało? Rudgutter wzruszył ramionami.

– Przekazaliśmy Kapnelliorowi zeznania milicjantów, którzy widzieli Tkacza i słyszeli jego słowa. Sam próbowałem skontaktować się z pajakiem, ale otrzymałem tylko krótką i niezrozumiałą odpowiedź... nabazgraną sadzą na lustrze. W tej chwili możemy być pewni tylko jednego: zdaniem Tkacza porwanie der Grimnebulina i jego przyjaciół udoskonaliło wzór jego sieci świata. Nie wiemy, dokąd poszedł i dlaczego. Nie wiemy, czy zachował przy życiu tych, których zabrał ze sobą. Nie wiemy prawie nic. Kapnellior potwierdza jedynie, że Tkacz na pewno nie zaprzestał polowania na ćmy.

– A co z uszami? – indagowała Stem-Fulcher.

– Nie mam pojęcia! – krzyknął Rudgutter. – Pasowały Tkaczowi do sieci! To chyba jasne! I dlatego mamy teraz w szpitalu dwudziestu ciężko przerażonych, jednouchych milicjantów! – Burmistrz uspokoił się nieco. – Sporo myślałem o tym, co zaszło. Doszedłem do wniosku, że ponieśliśmy klęskę między innymi dlatego, że planowaliśmy ze zbyt wielkim rozmachem. Owszem, postaramy się ponownie zlokalizować Tkacza, ale jednocześnie zapołujemy na ćmy znacznie mniej ambitnymi metodami. Stworzymy nowy oddział z wyselekcjonowanych gwardzistów, milicjantów i uczonych, którzy mieli już do czynienia z tymi bestiami. To będzie zespół specjalistów, w którym znajdą się też ludzie Motleya. – Stem-Fulcher i Rescue w milczeniu skinęły głowami. – To niezbędny krok – ciągnął Rudgutter. – Połączymy nasze siły. On ma swoich wyszkolonych ludzi, a my swoich i stosowne procedury. Teoretycznie jednostki Motleya pozostaną pod jego komendą, a nasze pod moją, ale w praktyce będą działać wspólnie. Zaproponujemy mu bezwarunkową amnestię na wszelką działalność kryminalną przez czas trwania operacji. Rescue – dodał Rudgutter nieco ciszej. – Przydadzą nam się twoje szczególne umiejętności. Tylko dyskretnie, ma się rozumieć. Ilu z twoich... krewnych... mógłbyś zmobilizować w ciągu jednego dnia? Nie zapominając o naturze tego zadania, rzecz jasna. Jak wiesz, jest dość niebezpieczne.

MontJohn Rescue machinalnie pogładził palcami szalik i prychnął cicho.

– Mniej więcej dziesięciu – odpowiedział.

– Oczywiście zostaniecie przeszkoleni. Nosileś już kiedyś hełm z lusterkami, prawda? – Rescue kiwnął głową. – To dobrze, bo świadomość przedstawicieli twojej rasy jest... bardzo podobna do ludzkiej, nieprawdaż? Twój umysł byłby dla ćmy równie łakomym kąskiem jak mój. Bez względu na to, w jakim ciele mieszkasz, prawda?

Rescue znowu przytaknął ruchem głowy.

– Potrafimy śnić, panie burmistrzu – rzekł obojętnym tonem. – Możemy stać się zdobyczą.

– Rozumiem to i obiecuję ci, że twoja odwaga – i twoich pobratymców – nie pozostanie niezauważona. Zrobimy też wszystko, by zapewnić wam bezpieczeństwo – rzekł burmistrz, a Rescue uklonił się, nie okazując emocji i powoli wstał.

– Skoro czas nagli, zabieram się do dzieła – powiedział, kłaniając się ponownie. – Jutro przed zachodem słońca mój oddział będzie gotowy – dodał, po czym odwrócił się i wyszedł z sali.

Stem-Fulcher obserwowała go z zaciśniętymi ustami, a kiedy zniknął za masywnymi drzwiami, zwróciła się do Rudguttera.

– Nie wyglądał na zachwyconego, prawda? – zauważyła. Burmistrz wzruszył ramionami.

– Zawsze wiedział o tym, że jego rola może wiązać się z ponoszeniem ryzyka. Ćmy w równym stopniu zagrażają jego ludowi, jak i nam.

Stem-Fulcher kiwnęła głową.

– Jak dawno temu został zajęty? Mam na myśli oryginalnego Rescue, człowieka.

Rudgutter zastanawiał się przez chwilę.

– Jedenaście lat temu. Usiłował mnie zastąpić... Czy oddział już ćwiczy? – spytał zniechęcony. Stem-Fulcher wyprostowała się na krześle i mocno zaciągnęła się dymem z glinianej fajeczki. Aromatyczny obłok zatańczył w powietrzu.

– Intensywny trening zajmie nam cały dzisiejszy i jutrzejszy dzień. Wie pan, o czym mówię: o strzelaniu do tyłu z użyciem lusterek i tego typu umiejętnościach. O ile się nie mylę, Motley zalecił swoim ludziom to samo. Słyszałam plotki, że wśród jego żołnierzy są prze-tworzeni, specjalnie przystosowani do hodowli i chwytania ciem... Mają ponoć wbudowane lusterka, skierowane ku tyłowi ramiona i kilka innych udogodnień. Niestety, w naszych oddziałach jest tylko jeden taki funkcjonariusz – dodała, z zazdrością potrząsając głową. – Mamy też kilku naukowców, którzy uczestniczyli w pierwotnym projekcie. Teraz pracują nad metodą zdalnego wykrywania tych bestii. Bardzo się starają przekonać nas, że dotychczasowe rezultaty są niepewne, ale jeśli uda im się dokonać przełomu, być może zyskamy pewną przewagę nad ćmami.

Rudgutter kiwnął głową.

– Dodajmy do tego – powiedział – naszego Tkacza, który krąży gdzieś, polując na niegrzeczne istoty, które popsują mu jego bezcenną sieć... W sumie dysponujemy nie najgorszą armią.

– Tylko że jej częściom brak koordynacji – zauważyła Stem-Fulcher. – I to mnie martwi. Morale w mieście jest coraz niższe. Bardzo niewielu ludzi zna prawdę, ale wszyscy już się zorientowali, że źle spiąją i co noc miewają koszmary. Tworzymy już mapę rejonów, w których natężenie tych zjawisk jest największe. Chcemy sprawdzić, czy uda się stworzyć model umożliwiający przewidywanie kolejnych ataków. W ostatnim tygodniu zauważyliśmy dramatyczny wzrost liczby przestępstw. To nic wielkiego czy zorganizowanego: nagłe ataki, nieplanowane morderstwa, awantury. Ludziom puszczają nerwy – podkreśliła wolno i dobitnie. – Boją się i wpadają w paranoję. – Eliza Stem-Fulcher milczała przez chwilę, pykając fajeczkę. – Dziś po południu dostanie pan, jak sądzę, wyniki pewnych eksperymentów naukowych – powiedziała. – Poprosiłam zespół badawczy o skonstruowanie prototypu helmu, który powstrzymałby przenikanie odchodów ciem do pańskiego umysłu podczas snu. Będzie pan w nim wyglądał dość idiotycznie, ale przynajmniej się pan wyśpi. – Stem-Fulcher urwała, przyglądając się nerwowo trzepocącym powiekom Rudguttera. – Jak się sprawują pańskie oczy?

Burmistrz pokręcił głową.

– Coraz gorzej – odparł smutno. – Jakoś nie możemy przezwyciężyć problemu odrzucania. Zdaje się, że najwyższy czas na wszczęcie nowego kompletu.

*

Niewyspani obywatele zmierzali do pracy, trąc zaczerwienione oczy. Byli posepni i nieskorzy do przyjaznych zachowań.

W dokach Kelltree nie mówiło się o rozbitym siłą strajku. Siniaki znikwały pomału z ciał vodyanoich, którzy jak dawniej zajmowali się wyławianiem zatopionych ładunków z brudnej rzeki i wprowadzaniem statków w ciasne baseny portowe. I tylko ukradkiem dyskutowali o zniknięciu trzech przywódców protestu.

Ludzie pracujący z pokonanymi obcymi spoglądali na nich z mieszanymi uczuciami.

Tłuste sterowce patrolowały niebo nad miastem, budząc niepokój.

Wyczerpany brakiem snu operator dźwigu w rafinerii Bleckly w Gross Coil doznał halucynacji, dokładnie takiej samej jak koszmar, który dręczył go poprzedniej nocy. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz na tyle potężny, że bezwolne dłonie wprawiły w ruch nieodpowiednie dźwignie. Ogromna, parowa maszyna zaczęła pozbywać się swego ładunku – roztopionego żelaza – o sekundę za wcześnie. Rozgrzany do białości płyn przelał się ponad brzegiem czekającego naczynia i potworną kaskadą spłynął na stojących opodal robotników. Zginęli, cierpiąc niewysłowione męki, niczym ofiary obłąkanej maszyny.

W Spatters, na szczycie olbrzymich, prawie pustych obelisków z betonu, garudowie palili w nocy wielkie ogniska. Tłukli w gongi i rondle, wykrzykując obsceniczne piosenki i strumienie obelg. Ich przywódca, Charlie, powiedział im, że w ten sposób mogą odpędzić od swych wież złe duchy – latające potwory, demony, które przybyły do miasta, by wysysać umysły żywych istot.

W zazwyczaj gwarnych kawiarniach na Polach Salacusa wyczuwało się przynębienie. Planowano otwarcie wystawy zatytułowanej „Depesza z ponurego miasta”. Miał to być pokaz malarstwa, rzeźby i muzyki inspirowanych bagnem posępnych koszmarów, w którym od wielu nocy nurzało się Nowe Crobuzon.

W powietrzu można było wyczuć strach, irracjonalną obawę przed wymianianiem niektórych imion. Nikt nie mówił na przykład: „Lin i Isaac, którzy zniknęli”, bo mówienie o nich równałoby się przyznaniu, że dzieje się coś złego, że być może nie są po prostu zajęci, a w ich przymusowej nieobecności jest coś złowrogiego.

Koszmary rwały cienką membranę snu. Rozlewały się i za dnia, nękając królestwo słońca, urywając rozmowy, ściskając gardła i kradnąc ludziom przyjaciół.

*

Isaac ocknął się, czując ból pamięci. Przywoływał w duchu sceny ucieczki i wydarzenia ostatniej nocy, nerwowo poruszając gałkami pod zaciśniętymi powiekami.

Wreszcie wstrzymał oddech.

Wspomnienia przychodziły niepewnie, układając się w ciąg niemożliwych obrazów. Włókna jedwabiu grube jak przędza życia. Stworzenia pełzające po sieci krzyżujących się drutów. A poza pięknym, wielobarwnym gobelinem, potężna i ponadczasowa, nieskończona masa pustki...

Przerażony otworzył oczy.

Pajęczyna zniknęła.

Rozejrzył się ostrożnie. Znajdował się w grocie zbudowanej z cegieł, ciemnej, chłodnej i wilgotnej.

– Obudziłeś się wreszcie? – rozległ się głos Derkhan.

Isaac z wysiłkiem uniósł się na łokciach i jęknął. Niemal całe ciało bolało go na kilka sposobów. Czuł się poobijany i pokaleczony. Derkhan siedziała w pobliżu, na ceglanej półce, i uśmiechała się niewesoło.

– Derkhan? – wymamrotał Grimnebulin. Po chwili oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. – Co ty masz na sobie?

W mętym świetle niemiłosiernie dymiącej lampki oliwnej Isaac spostrzegł, że Derkhan ubrana jest w bufiasty szlafrok z jasnoróżowego materiału, ozdobiony haftowanymi kwiatami. Kobieta pokręciła głową.

– Sama nie wiem – odpowiedziała z goryczą. – Pamiętam tylko, że jeden z milicjantów strzelił do mnie z żądła, a potem ocknąłem się tu, w kolektorze ściekowym, ubrana tak, jak widzisz. A to jeszcze nie wszystko...

– Głos Derkhan zadrżał nieznacznie. Odchyliła włosy, by odsłonić skroń. Isaac zobaczył ogromny strup, spod którego wciąż jeszcze sączyła się krew.

– Moje ucho... zniknęło. – Kobieta opuściła drżącą rękę. – Lemuel twierdzi, że to... Tkacz nas tu przyniósł. A w ogóle to... lepiej popatrz na siebie.

Isaac potarł czoło i usiadł, próbując otrząsnąć się z mgły, która spowijała jego umysł.

– Co takiego? – spytał. – Gdzie jesteśmy? W ściekach...? Gdzie Lemuel? Gdzie Yagharek? I... – „Lublama!” dodał już w myślach, bo w tej samej chwili przypomnieli mu się słowa Vermishanka i ze zgrozą zdał sobie sprawę, że proces, któremu uległ umysł Lublamaia, jest nieodwracalny.

Głos uwiązał mu w krtani.

Teraz dopiero usłyszał echo własnych słów i uświadomił sobie, że mamrocze histerycznie. Wziął głęboki wdech i zmusił się do zachowania spokoju.

Rozejrzał się nieco przytomniej, analizując sytuację.

Siedzieli z Derkhan we wnęce szerokości dwóch stóp, wpuszczonej w ścianę salki z cegieł, bez okien i drzwi. Pomieszczenie miało kształt kwadratu o bokach długości mniej więcej dziesięciu stóp. W marnym świetle przeciwległa ściana była ledwie widoczna. Sklepienie znajdowało się nie wyżej niż pięć stóp nad głową Isaaca. Każdą z czterech ścian przebijał tunel o średnicy nie przekraczającej czterech stóp.

Podłoga tonęła w brudnej wodzie, której głębokości nie sposób było określić. Wydawało się, że ciemna ciecz wylewa się z dwóch bocznych tuneli, a nadmiar sływa wolno dwoma innymi.

Ściany były śliskie od organicznego mułu i pleśni. Powietrze cuchnęło zgnilizną i gównem.

Isaac zniżył głowę i natychmiast zmarszczył brwi, ze zdumieniem przyglądając się sobie: był ubrany w ciemny, nienagannie skrojony garnitur i krawat, z których byłby dumny nawet bywalec eleganckich sal Parlamentu. Obok spostrzegł swą starą torbę podróżną.

Przypomniał sobie nagle wydarzenia poprzedniego dnia: potworny ból i strumień krwi. Niepewnie uniósł dłoń i dotknął palcami głowy. Gwałtownie, z jękiem wypuścił powietrze z płuc: lewego ucha nie było.

Ostrożnie macał okaleczoną tkankę. Spodziewał się wyczuć pod palcami mokre, rozdarte ciało lub strup, ale w przeciwieństwie do Derkhan miał szczęście; dotknął dobrze wygojonej blizny spinającej skórę. Nie czuł bólu. Ciało wyglądało tak, jakby rana została zaleczona przed wielu laty. Isaac słyszał niezłe, choć spodziewał się, że może mieć kłopoty z precyzyjnym określaniem kierunku, z którego napływają dźwięki.

Derkhan obserwowała go, kręcąc głową.

– Tkacz zatroszczył się o twoją ranę. O Lemuela też... tylko o mnie jakoś nie... – odezwała się ponurym głosem. – Całe szczęście – dodała po chwili – że powstrzymał chociaż krwawienie z dziur po tych przeklętych rzutkach. – Przez chwilę przyglądała się Isaacowi bez słowa. – Zatem Lemuel nie oszalał, nie śnił i nie kłamał – stwierdziła cicho. – Naprawdę chcecie mi wmówić, że Tkacz pojawił się specjalnie po to, żeby nas ocalić?

Grimnebulin z namysłem skinął głową.

– Nie wiem dlaczego... nie mam najlepszego pojęcia dlaczego... ale to prawda. O ile pamiętam, z zewnątrz, z ulicy, dobiegał głos Rudguttera, który krzychał coś do Tkacza. Mam wrażenie, że nie był kompletnie zaskoczony jego obecnością... Próbował go przekupić, jak sądzę. Niewykluczone, że ten przeklęty głupiec próbował wcześniej zawrzeć z nim jakiś układ... Gdzie są pozostali?

Isaac rozejrzał się i doszedł do wniosku, że w niszy, którą zajmowali z Derkhan, nikt nie mógł się ukryć, za to po przeciwnej stronie komory dostrzegł podobny otwór, tyle że zupełnie ciemny.

– Wszyscy obudziliśmy się tutaj – odpowiedziała Derkhan. – Wszyscy, z wyjątkiem Lemuela, mieliśmy na sobie te dziwaczne stroje. Yagharek był... – Kobieta ze zdziwieniem pokręciła głową i skrzywiła się, odruchowo dotykając świeżej rany na skroni. – Yagharek był ubrany w przyciasną, dziewczęcą sukienkę. Dookoła paliły się lampki. Lemuel i Yagharek opowiedzieli mi, co się stało... garuda zachowywał się dziwnie i mówił... mówił o jakiejś sieci – wyjaśniła, potrząsając głową.

– To zrozumiałe – oznajmił Isaac z ciężkim westchnieniem. Przez chwilę zbierał myśli, rozstrojone wspomnieniem zdumiewających rzeczy, które się wydarzyły. – Byłaś nieprzytomna, kiedy Tkacz nas zabierał. Nie mogłaś zobaczyć tego, co my widzieliśmy... Tego miejsca, które odwiedziliśmy.

Derkhan zmarszczyła czoło, a w jej oczach zalśniły łzy.

– Cholerne... cholerne ucho tak strasznie mnie boli, Zaac – zaszlochała. Isaac niezgrabnym gestem pogłodził jej ramię. Nie przestawał, póki nie pozbiierała się na tyle, by kontynuować opowieść. – Byłaś nieprzytomny, więc Lemuel poszedł, zabierając ze sobą Yagharka.

– Co?! – wykrzyknął Isaac, ale Derkhan uspokoiła go ruchem dłoni.

– Znasz go przecież i wiesz, czym się zajmuje. Okazało się, że całkiem nieźle orientuje się w systemie kanałów pod miastem. Twierdzi, że są świetną kryjówką. Wybrał się więc na rekonesans, a kiedy wrócił, wiedział już, gdzie jesteście.

– No i gdzie jesteście?

– W Murkside. Potem znowu chciał gdzieś iść, a Yagharek uparł się, że pójdzie z nim. Obiecali, że wrócą za trzy godziny. Poszli po jedzenie, ubrania i informacje. Nie ma ich mniej więcej od godziny.

– Do diabła, chodźmy więc i poszukajmy ich... – zaproponował Isaac. Derkhan spojrziała na niego z ukosa.

– Nie bądź idiotą, Zaac – powiedziała znużonym głosem. – Tylko tego nam brakuje, żebyśmy się pogubili w tym labiryncie. Lemuel zna kanały... i wie, że są niebezpieczne. Kazał nam siedzieć tutaj i uważać. W ściekach żyją ghule, trowy i bogowie wiedzą co jeszcze... To dlatego zostałam przy tobie. Musimy zaczekać. Poza tym podejrzewam, że jesteś teraz najbardziej poszukiwaną osobą w całym Nowym Crobuzon. Lemuel jest doświadczonym przestępcą: wie, co trzeba robić, żeby pozostać niezauważonym. Wychodząc na powierzchnię, nie ryzykuje tak bardzo jak ty.

– A Yag? – zachnął się Isaac.

– Lemuel oddał mu swój płaszcz. Z kapturem na głowie i resztkami sukienki zawiniętymi wokół pazurów na stopach garuda wygląda jak trochę zdziwaczalą starzec. Nie martw się, Zaac. Niedługo wrócą. Uwierz mi, musimy na nich zaczekać. Trzeba coś zaplanować, pomyśleć... I masz mnie słuchać. – Isaac uniósł głowę, słysząc w jej głosie głęboki smutek. – Zaac, po co on nas tu zabrał? – spytała, krzywiąc się z bólu. – Dlaczego nas zranił i tak dziwnie poprzebierał...? Dlaczego mnie nie uleczył...? – dodała, gniewnym ruchem ocierając łzy.

– Derkhan – szepnął łagodnie Isaac – w żaden sposób nie mogłem tego przewidzieć...

– Popatrz na to – przerwała mu, pociągając nosem. Wręczyła mu zgnieciony i śmierdzący wycinek z gazety. Marszcząc nos, Grimnebulin powoli rozwinął nasiąknięty brudną wodą świstek.

– Co to jest? – zapytał.

– Kiedy się ocknęliśmy, zdezorientowani i obolali, przypląnął do nas jednym z tuneli, złożony na kształt łódki – odpowiedziała. – Płynął pod prąd. Wyłowiliśmy go i... jest.

Isaac spojrział na wycinek – pochodził ze środkowej strony tygodnika „The Digest”, ukazującego się od dawna w Nowym Crobuzon. Data widoczna w rogu – 9 tatisa 1779 – wskazywała, iż był to fragment najnowszego wydania, które nie mogło trafić do sprzedaży wcześniej niż tego ranka.

Isaac przebiegł wzrokiem po kilku artykułach i pokręcił głową, nie rozumiejąc.

– Co przeoczyłem? – spytał po chwili.

– Spójrz na listy do wydawcy – odparła Derkhan.

Mężczyzna odwrócił wycinek i wreszcie znalazł: drugi list od dołu. Napisany był tym samym, sztywnym językiem co pozostałe, ale jego treść była zgoła odmienna.

Isaac wpatrywał się w list coraz szerzej otwartymi oczami.

Panowie i Panie,

Proszę przyjąć słowa najwyższego uznania za to, w jaki sposób przykładają się Państwo do tworzenia tkaniny. Mając na uwadze dalszy rozwój Państwa umiejętności, zdecydowałem się wydobyć ich z dość niefortunnej sytuacji. Niestety, nie mogę Państwu towarzyszyć, gdyż wzywają mnie pilne obowiązki. Jestem jednak pewien, że spotkamy się już niedługo. Tymczasem zaś proszę zachować ostrożność, ten z Państwa bowiem, kto za sprawą swego hodowlanego talentu przysporzył miastu problemów, może wkrótce stać się obiektem niepożądanego zainteresowania ze strony podopiecznego, który umknął niedawno spod jego opieki.

Zachęcam gorąco do kontynuowania pracy nad tkaniną, której ja sam oddaję się bez reszty.

Szczerze oddany T.

Isaac bardzo powoli uniósł głowę i spojrział na Derkhan.

– Tylko bogowie wiedzą, co pomyślą o tym stali czytelnicy tego pisma... – mruknął cicho. – Na Ogon, ten cholerny pająk naprawdę jest potężny!

Derkhan przytaknęła ruchem głowy i westchnęła.

– Szkoda tylko, że nic nie rozumiem z tego, co robi.

– Nikt nigdy tego nie zrozumie, Dee. Po prostu się nie da.

– Jesteś naukowcem, Zaac – wybuchnęła nagle zdesperowana Derkhan.

– Musisz coś wiedzieć o tych przeklętych stworzeniach! Proszę cię, spróbuj chociaż powiedzieć nam, o co może mu chodzić...

Isaac nie zamierzał wdawać się w spory. Raz jeszcze przeczytał list od Tkacza i skoncentrował się, szukając w pamięci choćby strzępów informacji.

– Zrobi wszystko, co będzie konieczne, żeby upiększyć sieć – odezwał się w końcu bez entuzjazmu. – Nie można go zrozumieć, bo on po prostu nie myśli tak jak my... – Isaac urwał, gdy zaświtała mu w głowie pewna myśl. – I może... może właśnie dlatego Rudgutter próbuje ubić z nim interes. Skoro Tkacz nie myśli tak jak my, to być może ómy nie są dla niego groźne... Może za namową burmistrza wystąpi w roli... psa myśliwskiego?

– „Tylko że Rudgutter stracił nad nim kontrolę” – pomyślał, wspominając nerwowe okrzyki z ulicy. „Tkacz nie robi tego, czego odeń oczekiwano”.

– Grimnebulin znowu spojrzął na wycinek z tygodnika. – Ten fragment o tkaninie... – mruknął, przygryzając wargę. – Chodzi mu o sieć świata, prawda? Chyba chce przez to powiedzieć, że podoba mu się to, co robiliśmy. Jest zadowolony z naszego „tkania” wydarzeń. Pewnie dlatego postanowił nas ewakuować. Jeśli chodzi o to, co napisał dalej... – Isaac przeczytał ostatni fragment tekstu, nie kryjąc narastającego lęku. – O bogowie – stęknął.

– Zdaje się, że chodzi o to samo, co spotkało Barbile... – Derkhan, która słuchała z zaciśniętymi ustami, kiwnęła głową. – Pamiętasz, co powiedziała? – ciągnął Isaac. – „Znalazła mnie, rozpoznała mój smak...” Larwa, którą miałem w laboratorium, przez długi czas chłoneła moje myśli... Uczyła się mojego smaku, a teraz... teraz na mnie poluje.

Derkhan zmierzyła go pustym wzrokiem.

– Nie da ci spokoju, Zaac – powiedziała cicho. – Musimy ją zabić.

– Użycie przez Derkhan liczby mnogiej sprawiło, że Isaac spojrzął na nią z wdzięcznością. – Zanim jednak zabierzemy się do planowania – dodała – musimy zająć się jeszcze jedną sprawą. Zagadką, która bardzo mnie intryguje. – Reporterka wskazała ręką na niszę w przeciwległej ścianie kolektora. Isaac wbił wzrok w ciemność i po dłuższej chwili wyłuskał z niej obły, nieruchomy kształt.

Natychmiast odgadł, co to było. Przypomniał sobie niezwykle wydarzenia poprzedniego dnia i poczuł, że z wrażenia oddycha szybciej i płycej.

– Nie chciał z nami rozmawiać, nie próbował pisać – wyjaśniła Derkhan. – Kiedy zauważyliśmy, że tam jest, usiłowaliśmy wypytać go o to, co zrobił, ale zignorował nas. Zdaje się, że czekał na ciebie. – Isaac opuścił nogi poza krawędź półki. – Jest płytko – uprzedziła go Derkhan. Ześliznął się ostrożnie w wodnistą breję ścieków, która sięgnęła mu do kolan. Zaczął brnąć ku ciemnej niszy, nie zwracając uwagi na potworny fetor, który przy każdym kroku wydobywał się spod powierzchni ohydnej mieszaniny ekskrementów.

Kiedy podszedł bliżej, niewyraźna postać poruszyła się nieco i dźwignęła swe poobijane ciało na tyle, na ile pozwalała ciasnota wnęki.

Isaac przysiadł na brzegu i otrzepał buty, po czym odwrócił się w stronę ciemnej sylwetki i spojrzął na nią w napięciu.

– No, mów – powiedział. – Mów wszystko, co wiesz. Powiedz, dlaczego mnie ostrzegłeś. Powiedz, o co w tym wszystkim chodzi.

Konstrukt sprzątający zasyczał z cicha.

ROZDZIAŁ 35

Yagharek czekał pod wilgotnym łukiem cegieł przy stacji Trauka.

Żuł chleb i mięso, które bez słowa wyblagał od rzeźnika. Ani na chwilę nie zdejmował kaptura. Po prostu wszedł do sklepu i wyciągnął spod płaszcza drżącą

rękę. Wychodząc, powłóczył nogami spowitymi w brudne szmaty. Poruszał się krokiem starego, zmęczonego mężczyzny.

Znacznie łatwiej było udawać człowieka niż zdrowego garudę.

Czekał w półmroku, w którym pozostawił go Lemuel Pigeon. Z bezpiecznego cienia mógł obserwować ludzi wchodzących i wychodzących z kościoła bogów zegara. Był to mały i brzydki budynek, a jego fasadę wciąż jeszcze zdobiły reklamy mebli, którymi niegdyś tu handlowano. Nad drzwiami umocowano zegar z mosiądzu, którego tarczę udekorowano wizerunkami bogów patronujących poszczególnym godzinom.

Yagharek znał tę religię. Pośród ludzi zamieszkujących Shankell nie brakowało jej wyznawców. Oglądał ich świątynie, kiedy jego stado odwiedziło miasto w celach handlowych, na wiele lat przed zbrodnią, którą popełnił.

Zegar wybił pierwszą i do uszu garudy dobiegły zawodzące dźwięki hymnu ku czci Sanshada, boga słońca. Wykonawcom pieśni nie brakowało zapału, ale przejawiali zdecydowanie mniejszą finezję niż mieszkańcy Shankell. Minęły niespełna trzy dekady, odkąd nowa religia pokonała bezmiar Morza Mizernego. Widać było, że jej subtelności źle zniosły morską podróż z Shankell do Myrshock.

Czuły słuch łowcy instynktownie wyłowił z miejskiego gwaru znajomy tupot nóg. Garuda szybko dokończył jedzenie i czekał.

U wlotu niedużej, sztucznie stworzonej groty pojawiła się sylwetka Lemuela. W plamach jasnego światła ponad jego ramionami przemykali przechodnie.

– Yag – szepnął mężczyzna, wpatrując się w ciemność. Garuda ruszył w stronę światła. Lemuel trzymał w rękach dwie torby pełne ubrań i jedzenia. – Chodź. Musimy wracać.

Szli tą samą trasą, którą przedtem zagłębiali się w uliczki Murkside. Była czaszela, dzień zakupów, i w każdym innym zakątku miasta zapewne kłębiły się tłumy. Tutaj jednak sklepy były małe, obskurne i po prostu biedne. Nawet tubylcy, dla których czaszela była dniem wolnym od pracy, woleli odwiedzać targowiska Griss Feli albo Żmijowej Nory. Prawie nikt z nielicznych przechodniów nie zwracał uwagi na Lemuela i Yagharka.

Garuda przyspieszył, by kulejąc i chwiejąc się na okutanych szmatami stopach, dotrzymać kroku Lemuelowi. Zmierzali na południowy wschód, w miarę możliwości trzymając się cienia linii kolejowej biegnącej do Syriac.

„Właśnie tak wchodziłem do miasta” – pomyślał Yagharek. „Szedłem tropem wielkich, żelaznych dróg zawieszonych w powietrzu”.

Minąwszy kolejną grupę wysokich łuków, skręcili i weszli w niedużą przestrzeń zamkniętą z trzech stron gładką powierzchnią murów wspierających wiadukt. Wzdłuż ścian biegły ku ziemi rury kanalizacji deszczowej, odprowadzające wodę do żelaznej kratownicy osadzonej w ziemi pośrodku betonowego placu.

Ciasna przestrzeń między podporami otwarta była jedynie od południa, gdzie ponura, błotnista uliczka opadała ku Syriac, dzielnicy zanurzonej w depresji gliniastego podłoża. Yagharek ujrzał w oddali krajobraz walących się dachów, krytych zwietrzałą dachówką, wspartych na krzywych murach i ozdobionych spaczonymi wiatrowskazami.

Lemuel rozejrzył się uważnie i wyciągnął kratę. Kiedy pochylili się nad otworem, spod ziemi buchnął w ich stronę ohydny fetor, wzbogacony o nowe składniki za sprawą letnich upałów. Pigeon podał torby Yagharkowi i wyciągnął zza paska nabity pistolet. Garuda spoglądał na niego bez słowa spod obszernego kaptura.

Pośrednik uśmiechnął się zimno.

– Nakłoniłem parę osób do odwdzięczenia się za pewne przysługi. Dzięki temu mamy nowy sprzęt – wyjaśnił, wymachując bronią. Sprawdziwszy fachowo, czy pistolet jest gotowy do strzału, otworzył torbę i wyjął z niej lampkę oliwną. Zapalił ją i uniósł w lewej ręce. – Trzymaj się mnie – polecił. – Nadstawiaj uszu. Poruszaj się cicho. Uważaj na to, co się dzieje z tyłu.

To powiedziawszy, Lemuel zniknął w studzience. Yagharek ruszył za nim.

Garuda miał wrażenie, że brodzą w ciemności i smrodzie bez końca. Zewsząd dobiegały podejrzane stuki i pluski. Raz usłyszeli nawet złowieszczy śmiech w jednym z równoległych tuneli. Dwukrotnie Lemuel odwracał się gwałtownie, unosząc wyżej światło i mierząc z pistoletu do zmarszczek na tłustej powierzchni ścieków, gdzie sekundę wcześniej zanurzył się podejrzany kształt. Nie musiał jednak strzelać; cokolwiek podpłynęło tak blisko, nie odważyło się zaatakować.

– Nie masz pojęcia, jakie mieliśmy szczęście – odezwał się swobodnie Pigeon. Jego głos brzmiał dziwnie w powietrzu gęstym od gazów gnilnych. – Nie wiem, czy Tkacz zrobił to celowo, ale porzucił nas w jednym z najbezpieczniejszych miejsc w całym systemie ściekowym Nowego Crobuzon – ciągnął, sapiąc z wysiłku lub obrzydzenia. – Podziemia Murkside to straszne zadupie; mało tu jedzenia, nie ma odpadów taumatycznych, brak wielkich, starych komnat, w których mogłyby żyć całe klany istot... Niewielki tu ruch. – Pigeon umilkł na moment, nim podjął opowieść. – A weźmy na przykład kanały pod Brock Marsh. Nieudane mikstury z laboratoriów, resztki po eksperymentach, wszystko to zbiera się tam od lat... I dlatego nikt nie wie, jakie też nowe gatunki szkodników rodzą się tam i giną... Wiadomo tylko, że jest ich mnóstwo. Są mówiące szczury wielkości świń. Są ślepe, karłowate krokodyle, dalecy potomkowie zbiegów z ogrodu zoologicznego. Są krzyżówki wszelkich ras i rozmiarów. Całe połacie Gross Coil i Skulkford spoczywają na wielu warstwach starych budynków. Grunt jest tam bagnisty, więc przez setki lat domy zapadały się, a ludzie budowali na nich nowe. Tunelami, takimi jak ten, można dojść do niezłe zachowanych, podziemnych ulic. Widać nawet stare tablice z nazwami i gnijące domy ukryte pod niebem z cegieł. Gównno wypływa z kanałów i wlewa się do nich przez okna i drzwi. Właśnie tam urzędują podziemcy. Kiedyś byli ludźmi, a może raczej byli nimi ich przodkowie, ale za długo już żyją pod ziemią. Nie wyglądają zbyt pięknie. – Lemuel charknął donośnie i splunął na cuchnącą bryję. – A mimo to wolę ich niż ghule albo trowy. – Roześmiał się bez odrobiny wesołości. Yagharek nie wiedział, czy to żart czy kpina.

Lemuel umilkł na dłużej. Przez wiele minut jedynym dźwiękiem przerywającym ciszę był chłopot nóg w raz gęstszych, raz rzadszych ściekach. I wreszcie Yagharek usłyszał głosy. Naprężył mięśnie i chwycił Pigeona za koszulę, ale uspokoił się sekundę później, gdy zidentyfikował Isaaca i Derkhan. Miał wrażenie, że strumień fekaliów niesie ze sobą zza najbliższego zakrętu nie tylko głosy, ale i delikatną poświatę.

Zgięci wpół i klnący pod ciężarem toreb, Yagharek i Lemuel minęli jeszcze kilka bocznych tuneli i skręcili, by znaleźć się w ciasnej komnacie pod sercem Murkside.

Isaac i Derkhan wrzeszczeli na siebie. Kiedy mężczyzna dostrzegł Lemuela i Yagharka ponad barkiem kobiety, uniósł ramiona w powitalnym geście.

– Do diabła, nareszcie jesteście! – zawołał, mijając Derkhan i wychodząc im na spotkanie. Nie zwrócił uwagi na torbę z jedzeniem, którą garuda podał mu w wyciągniętej ręce. – Lem, Yag, musimy się zbierać, i to szybko.

– Czekaj... – zaczął Lemuel, ale Isaac nie zamierzał go słuchać.

– Słuchajcie mnie, do cholery! – zagrzmiał. – Rozmawiałem z konstruktem! – Lemuel nie zaniknął ust, ale też nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Przez moment

nikt się nie odzywał. – Dotarło? – przemówił wreszcie Isaac. – On jest inteligentny... jest świadomy! Coś mu się stało. Okazuje się, że plotki o K. I. są prawdą! Wystarczył wirus, drobna zmiana w programie. Chociaż konstrukt nie powiedział tego otwarcie, zrozumiałem, że tamten mechanik, który w nim grzebał, mógł mieć swój udział w tej przemianie. Tak czy inaczej, to przeklęte pudło potrafi teraz myśleć! Wszystko widział, był tam, kiedy ćma rzuciła się na Lublamaia. Do tego...

– Czekaj! – krzyknął znowu Lemuel. – On mówi?

– Nie! Musiał wydrapywać słowa w pleśni na ścianie, dlatego długo to trwało. Używał kolca, którym dawniej umiał jedynie zbierać śmieci... Gdyby nie konstrukt, nie wiedziałbym, że David jest zdrajcą! Wiecie, że chciał nawet wyprowadzić nas z laboratorium przed atakiem milicji?

– Dlaczego?

Isaac zapanował już nad sobą.

– Sam nie wiem. Nie potrafi wyjaśnić. Nie jest zbyt... rozmowny. – Lemuel uniósł głowę i spojrzał nad ramieniem uczonego, w stronę czerwono-czarnej, nieruchomej sylwetki konstrukt, drżącej w świetle kaganka. – Myślę jednak, że jednym z powodów, dla których chciał pomóc nam pozostać na wolności, jest to, że zamierzamy walczyć z ćmami. Nie wiem dlaczego, ale on też ma coś przeciwko nim. Chce, żeby wszystkie zdechły, i proponuje nam pomoc...

Lemuel wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem.

– Cudownie! – zawołał drwiąco. – Odkurzacz został naszym sojusznikiem!

– Nie, cholerny durniu! – ryknął Isaac. – Nie rozumiesz?! On nie jest sam! – Słowo „sam” rozniosło się potężnym echem po cuchnących, kamiennych norach. Grimnebulin i Pigeon przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Yagharek przezornie cofnął się o krok. – On nie jest sam – powtórzył miękko Isaac. Stojąca za nim Derkhan w milczeniu skinęła głową. – Przekazał nam wskazówki. Potrafi czytać i pisać. Dzięki znalezionej notatce zorientował się, że David nas wydał. Nie jest może wybitnym myślicielem, ale zapewnia, że jeśli jutro wieczorem pójdziemy do Griss Twist, spotkamy coś, co wyjaśni wszystko i spróbuje nam pomóc.

Kiedy echo powtórzyło słowa „nam pomóc”, Lemuel wolno pokręcił głową. Jego twarz przyjęła okrutny, cyniczny wyraz.

– Do diabła, Isaacu – mruknął cicho. – „My”? „Nam”? O kim ty właściwie mówisz? Ja nie mam nic wspólnego z tą sprawą. – Derkhan prychnęła pogardliwie i odwróciła się. Rozczarowany Isaac otworzył usta, lecz Lemuel mówił dalej: – Posłuchaj mnie uważnie. To, co zrobiłem, zrobiłem wyłącznie dla pieniędzy. Jestem biznesmenem. Dobrze płaciłeś, więc sprzedałem ci moje usługi. Dostałeś nawet co nieco za darmo, jeśli chodzi o Vermishanka. Musiałem to zrobić przez wzgląd na pana X. Poza tym mam do ciebie słabość, Zaac. Zawsze byłeś ze mną uczciwy. Tylko dlatego tu jestem. Przyniosłem jedzenie i pokażę wam drogę do wyjścia, ale wraz ze śmiercią Vermishanka twój kredyt się skończył. Nie wiem, co sobie zaplanowałaś, ale nie wezmę w tym udziału. Niby po jaką cholere miałbym ścigać te pieprzone bestie? Zostawmy to milicji. Ja nic z tego nie mam, więc dlaczego miałbym ryzykować?

– Zostawmy to... komu?! – syknęła jadowicie Derkhan, ale Isaac nie pozwolił jej na nic więcej.

– W takim razie... – przemówił wolno. – Co teraz? Hmm? Wydaje ci się, że możesz wrócić? Lem, przyjacielu, w swoim barwnym życiu byłeś już pewnie wszystkim, ale z całą pewnością nie jesteś głupcem. Uważasz, że nikt cię nie widział? Że władza nie wie, kim jesteś? Człowieku, jesteś poszukiwany tak samo jak my!

Lemuel patrzył na niego obojętnie.

– Dzięki za troskę, Zaac – odparł z krzywym uśmiechem. – Ale coś ci powiem – dodał lodowato. – Możliwe, że tobie grunt osunął się spod nóg, lecz ja całe życie spędziłem na unikaniu stróżów prawa. Nie martw się, bracie. Będę bezpieczny. – W głosie Pigeona nie było jednak pewności.

„Dobrze wie, że mam rację. Po prostu na razie nie chce o tym myśleć” – ocenił Isaac i z niesmakiem pokręcił głową.

– Nie rozumiesz logicznie, przyjacielu. Istnieje cholernie duża różnica między byciem cwaniaczkiem żyjącym na granicy prawa a byciem bandytą mordującym milicjantów... Nie rozumiesz? Oni nie znają i nie chcą znać pobudek, którymi się kierowałeś. Niestety, mój drogi, jesteś wplątany w tę sprawę i nie zmienisz tego. Dlatego musisz trzymać się z nami. Razem z nami musisz dociągnąć tę awanturę do końca. Ścigają cię, prawda? A ty uciekasz przed nimi. Dobrze wiesz, że lepiej jest zachować przewagę jednego ruchu, niż zawrócić i dać się złapać. – Lemuel bez słowa mierzył Isaaca gniewnym wzrokiem. Nie odpowiadał, ale i nie odchodził. Grimnebulin zbliżył się o krok. – Posłuchaj – powiedział cicho. – Ważne jest też to, że... potrzebujemy cię. – Isaac spojrział z irytacją na Derkhan, która parsknęła lekceważąco, nie wierząc własnym uszom. – Do licha, Lem... Jesteś naszą szansą. Znasz wszystkich, potrafisz się wcisnąć w każdy układ... – Uczony bezradnie rozłożył ręce. – Ja nie potrafiłbym nawet stąd wyjść. Jedna z tych... istot mnie ściga; milicja nam nie pomoże, bo nie wie, jak je złapać, a w dodatku, choć może tego nie zauważyłeś, poluje także na nas... Tak czy inaczej, nie widzę takiego rozwiązania tej sytuacji, które nie skończyłoby się moją śmiercią, nawet jeśli jakimś cudem zdołamy wytłuc te ćmy. – Isaac czuł, że od własnych słów robi mu się zimno. Mówił więc szybko, starając się nie myśleć o ponurych perspektywach. – Jeżeli jednak przetrwam jeszcze jakiś czas, może coś wymyślę. Twoja sytuacja jest podobna, Lemuelu. W dodatku bez twojej pomocy Derkhan i ja na pewno zginiemy. – Pigeon mierzył go tak twardym wzrokiem, że poczuł dreszcz. „Nigdy nie zapominaj, z kim masz do czynienia” – pomyślał Isaac. „On nie jest twoim przyjacielem. Pamiętaj o tym zawsze i wszędzie”. – Sam wiesz, że jestem dobrym klientem – niespodziewanie odezwał się ponownie. – Jestem wypłacalny. Nie zamierzam udawać, że mam majątek na bankowym koncie. Mam trochę pieniędzy, może parę gwinei, i wszystkie są twoje, ale... Pomóż mi, Lemuelu, a wtedy cały będę twój. Będę dla ciebie pracował. Będę do ciebie należał. Będę twoim psem. Wykonam każdą robotę, którą mi zlecisz. Oddam wszystkie pieniądze, które zarobię. Oddam całe moje życie, ale błagam cię, Lemuelu, pomóż nam teraz.

Jedynym dźwiękiem, który przerywał ciszę, było kapanie brudnej wody. Wyraz twarzy Derkhan, stojącej za Isaakiem, mógłby stać się wzorcem pogardy i niesmaku. Nie potrzebujemy go, krzyczało jej spojrzenie, ale cierpliwie czekała na rozstrzygnięcie. Yagharek także stał bez ruchu. Od początku przysłuchiwał się rozmowie bez emocji: był związany z Isaakiem; bez niego nie miał dokąd pójść ani co robić.

Lemuel westchnął ciężko.

– Będę na bieżąco podliczał rachunki, rozumiemy się? Mówimy tu o bardzo poważnym zadłużeniu. Masz pojęcie, jaka jest dzienna stawka za tego rodzaju usługi? Jaki jest dodatek za niebezpieczną pracę?

– Wszystko jedno – odparł pospiesznie Isaac, starając się ukryć ulgę. – Tylko informuj mnie o wszystkim. Mów, ile ci jestem winien. I bądź spokojny, rozliczymy się.

Lemuel skinął głową, a Derkhan bardzo cicho i powoli wypuściła długo wstrzymywane w płucach powietrze.

Przez moment stali naprzeciwko siebie jak wyczerpani walką żołnierze, czekając wzajemnie na pierwszy ruch.

– Co teraz? – odezwał się w końcu Lemuel.

– Jutro wieczorem idziemy do Griss Twist – odparł Isaac. – Konstruktor obiecał pomoc, nie stać nas na odrzucenie jakiegokolwiek oferty. Spotkam się tam z wami.

– Czyżbyś się gdzieś wybierał? – spytała zaskoczona Derkhan.

– Muszę odnaleźć Lin – odrzekł Grimnebulin. – Wiem, że oni już jej szukają.

ROZDZIAŁ 36

Dochodziła północ. Czaszela stawiała się pomału migalcem. Już tylko jedna noc dzieliła księżyc od ukazania się w pełni.

Nieliczni przechodnie w pobliżu wieży w Żmijowej Norze, w której mieszkała Lin, sprawiali wrażenie rozdrażnionych. Minał już dzień targowy i towarzysząca mu atmosfera życzliwości. Na rynku pozostały już tylko szkielety straganów; cienkie drewniane ramy odarte z płócien. Sterty gnijących produktów czekały na śmieciarzy, którzy mieli zgarnąć je na wozy i odstawić na wysypisko. Opuchnięty księżyc zalewał Żmijową Norę nieapetycznym blaskiem w kolorze rdzy. Wyglądał niechlujnie i złowrogo.

Isaac ostrożnie wspinał się po schodach wieży. Od paru dni nie widział się z Lin i nie dostał od niej żadnej wiadomości. Wyruszył w stronę jej domu, oplukawszy ciało wodą z pompy we Flyside, ale nadal śmierdział ściekami.

Poprzedniego dnia spędził w kanałach jeszcze wiele godzin, bowiem Lemuel nie pozwolił nikomu wyjść na powierzchnię aż do zmroku. Twierdził, że to zbyt niebezpieczne.

– Musimy trzymać się razem – mówił – przynajmniej dopóki nie będziemy wiedzieli, na czym stoimy. Nie powiedziałbym, że jesteśmy nie rzucającą się w oczy grupą.

Siedzieli więc we czworo w salce, przez którą przepływały fekalia, jedząc, próbując nie wymiotować, kłócąc się i bezskutecznie usiłując snuć plany. Sprzeczali się zawzięcie zwłaszcza o to, czy Isaac powinien samotnie szukać Lin. Nalegał, że tak właśnie powinno być. Derkhan i Lemuel nie omieszkali podać w wątpliwość jego inteligencji, nawet milczenie Yagharka wydawało się znaczące i oskarżycielskie. Isaac jednak nie ustąpił.

Wreszcie kiedy temperatura spadła i przestali już zwracać uwagę na smród, ruszyli w drogę. Wędrówka przez ciasne trzewia Nowego Crobuzon była długa i trudna. Lemuel prowadził, trzymając w pogotowiu pistolety. Isaac, Derkhan i Yagharek musieli nieść konstruktor, który nie mógł jechać po zatopionym dnie kanału. Automat był ciężki i śliski, toteż nieraz lądował w ściekach, przy akompaniamencie przekleństw dźwigających go osób. Grimnebulin jednak nie pozwolił go zostawić.

Poruszali się ostrożnie. Tu, w ukrytym i hermetycznym ekosystemie miejskiej kanalizacji, byli intruzami. Starali się unikać jego mieszkańców. Poczuli ulgę, kiedy wreszcie wychynęli z podziemi w okolicy Dworca Saltpetre w samą porę, by zobaczyć ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Znaleźli schronienie w małej, opuszczonej chacie przy torach kolejowych w Griss Feli. Była to dość bezczelna kryjówka: stała w widocznym miejscu, tuż przed zakrętem linii Sud, która mostem Cockscorb przeskakiwała nad nurtem Smoły. Rozpadający się budynek posłużył jako wsparcie dla skarpy, na której ułożono tory, a na samym wierzchołku tej góry gruzu, drewna i ziemi ktoś ustawił drewnianą szopę. Jej sylwetka rysowała się dramatycznie na tle nieba.

Przeznaczenie szopy nie było wiadome najwyraźniej, jednak stała w tym miejscu od wielu, wielu lat. Czworo uciekinierów wymknęło się chyłkiem spomiędzy domów i z wysiłkiem popęzło pod górę, przepchawszy przez dziurę w ogrodzeniu ciężki i nieporadny konstrukt. Skradając się w kilkuminutowych etapach między jednym a drugim pociągiem, pokonali stok porośnięty wysoką trawą i z ulgą zniknęli za drzwiami, w zakurzonym wnętrzu szopy.

Dopiero tutaj naprawdę mogli odetchnąć.

Ściany chaty były koślawe, a w szparach między pociemniałymi ze starości deskami widać było niebo. Przez pozbawione szyb okna uciekinierzy mogli przyglądać się pociągom, które z hukiem przemykały w obie strony. W dole, na północy, koryto Smoły wyginało się na kształt litery S, a w jego zakolach mieściły się dzielnice Petty Coil i Griss Twist. Wieczorne niebo przybrało barwę ciemnego granatu. W oddali sunęły po wodzie eleganckie jachty i łodzie. Jeszcze dalej, na wschodzie, piętrzył się nad miastem industrialny gmach Parlamentu. W dole rzeki, za wyspą Strack, chemiczne światła śluz rzucały na wodę rozedrgany, żółtawy blask. Dwie mile dalej na północny wschód, za bryłą Parlamentu, sterczały z ziemi Żebra, kości pradawnej istoty.

Za przeciwną ścianą chaty widać było spektakularny zachód słońca, który po wielu godzinach spędzonych w podziemiu robił na czworgu uciekinierów tym większe wrażenie. Niebo podzielone było na dwie nierówne części kablem kolejki linowej, który kończył się w milicyjnej wieży w Flyside. Nowe Crobuzon stawało się pomału ciemną sylwetką, poszarpaną zębami kominów i skośnych dachów tulących się do wysokich ścian kościołów najrozmaitszych bóstw, naznaczoną masywami topornych fabryk i nierównymi nizinami parków.

Odpooczywali, próbując doprowadzić do jako takiego porządku odzież usmarowaną cuchnącym mułem. Isaac mógł wreszcie zająć się raną Derkhan po odciętych uchu. Znosiła to dzielnie, choć mimo pozornego zdrętwienia okaleczonych tkanek ból był potężny. Mając chwilę dla siebie, Isaac i Lemuel dotykali też z odrazą i zakłopotaniem własnych, zaleczonych już ran.

Z nastaniem nocy Grimnebulin zaczął szykować się do wyjścia. Kłótnia wybuchła z nową siłą, ale on stanowczo bronił swojej decyzji; musiał zobaczyć się z Lin sam na sam.

Musiał jej powiedzieć, w jak wielkim znajdzie się niebezpieczeństwie, kiedy tylko milicja odkryje ich związek. Musiał wytłumaczyć, że jej dawne życie dobiegło końca, i to z jego winy. Musiał poprosić ją, żeby poszła z nim, żeby uciekli razem, żeby przebaczyła mu i okazała miłość.

Jednej nocy z Lin. Tylko tego pragnął.

Lemuel był jednak równie uparty.

– Tu chodzi i o nasze głowy, Zaac – warknął nieprzyjaźnie. – Szuka cię każdy milicjant w tym przeklętym mieście. Helio z twoją podobizną wisi pewnie w każdej wieży i na każdym piętrze Szpikulca. Nie masz pojęcia, co robić w takiej sytuacji. To ja przez całe życie jestem poszukiwany. Jeżeli zamierzasz odwiedzić swoją panienkę, idę z tobą.

Isaac musiał ulec.

O pół do jedenastej wieczorem cała czwórka wcisnęła się z obrzydzeniem w brudne ubrania i zakryła twarze. Po wielu nieudanych próbach Isaac zdołał wreszcie nawiązać kontakt z konstruktem. Niechętnie i w żółtym tempie maszyna wyskrobała na glinianej podłodze krótką wiadomość. „Wysypisko Griss Twist numer dwa. Jutro o dziesiątej wieczorem. Zostawcie mnie teraz pod łukami”.

Dopiero w tej chwili dotarło do uciekinierów, że wraz z nastaniem ciemności powrócą nocne koszmary. Sami nie mogli spać, ale mentalne mdłości wywołane przez odchody ciem dawały się we znaki całemu miastu. Ten, komu udało się zasnąć, nie miał przed sobą spokojnej nocy.

Isaac ukrył w szopie, pod stertą połamanych deszczulek, torbę z elementami maszyny kryzysowej. Dopiero wtedy mogli rozpocząć wędrówkę w dół, po raz ostatni dźwigając ze sobą konstrukt. Zgodnie z życzeniem automatu ukryli go we wnęce uszkodzonej podpory wiaduktu.

– Poradzisz sobie? – spytał niepewnie Isaac, który wciąż jeszcze czuł się dość idiotycznie, przemawiając do maszyny. Konstrukt nie odpowiedział. – Do zobaczenia jutro – rzucił na pożegnanie uczony.

Czworo ściganych przemykało ukradkiem ciemnymi zaułkami Nowego Crobuzon. Lemuel poprowadził towarzyszy sobie tylko znanymi skrótami, odkrywając przed nimi zupełnie nową kartografię miasta. Unikali ulic tam, gdzie można było pójść zaułkiem; unikali zaułków tam, gdzie można było przejść przez pękające ze starości, betonowe ściany budynków. Mijali opustoszałe podwórza i chyłkiem pokonywali płaskie dachy, budząc przy okazji śpiących gromadnie włóczęgów.

Lemuel był pewny siebie. Biegąc i wspinając się, pewnie dzierżył pistolet, bez przerwy osłaniając pozostałych. Yagharek przyzwyczał się już do swego ciała pozbawionego ciężaru skrzydeł. Puste kości i szczupłe mięśnie poruszały się z gracją i lekkością. Garuda mknął jak wiatr, w biegu pokonując spore przeszkody. Derkhan zawzięcie pracowała nogami, za nic w świecie nie chciała okazać słabości.

I tylko Isaac wyglądał dokładnie tak, jak się czuł, a czuł się fatalnie. Sapał, kaszlał i dławił się nieustannie. Kulawym truchtem przemierzał złodziejskie ścieżki, co rusz łamiąc zmurzone deski nieostrożnym krokiem i żałośnie potrząsając tłustym kałdunem. Kłął bez przerwy, za każdym oddechem.

Zagłębiali się w noc tak, jakby była stale gęstniejącym lasem. Z każdym krokiem powietrze stawało się cięższe. Coraz trudniejszy do zniesienia był dziwny, niewytłumaczalny niepokój, jakby gigantyczne gwoździe skrobały gładką powierzchnię księżyca, wywołując dreszcze duszy. Zewsząd dochodziły jęki i krzyki źle śpiących.

Uciekinierzy zatrzymali się we Flyside, o kilka przecznic od wieży milicji, by umyć się i zaspokoić pragnienie wodą z ulicznej pompy. Po chwili ruszyli na południe, przez labirynt chyba nikomu nie znanych połączeń między Shadrach Street a Selchit Pass, kierując się w stronę Żmijowej Nory.

Tam, w niemal opustoszałym, nieziemsko spokojnym miejscu, Isaac kazał swym kompanom zaczekać. Z wielkim trudem łapiąc oddech, błagał, by dali mu pół godziny na spotkanie z Lin.

– Musicie dać mi trochę czasu, jeżeli mam jej wyjaśnić, co się dzieje... – sapał.

Zgodzili się. Przycupnęli w cieniu wysokiej podmurówki budynku.

– Pół godziny, Isaac – zastrzegł Lemuel. – Potem wchodzimy na górę. Jasne?

Isaac zaczął wspinaczkę po nie kończących się schodach.

Wieża była zimna i cicha. Pierwszy dźwięk dotarł do uszu Isaaca dopiero na siódmym piętrze: było to senne kwilenie i trzepot skrzydeł kawek. Minąwszy ósmą kondygnację, niebezpieczną i pełną przeciągów, znalazł się w koronie budynku.

Stał przed znajomymi drzwiami mieszkania Lin. „Może jej nie ma?” – pomyślał. „Pewnie wciąż pracuje dla tego gościa, mecenasa, nad dziełem życia... Jeżeli tak, to będę musiał zostawić wiadomość”.

Drzwi otworzyły się, kiedy w nie zapukał. Oddech uwiązł mu w gardle; wiedziony strachem szybko wszedł do środka.

Powietrze śmierdziało psującą się krwią. Isaac omiół wzrokiem ciasną przestrzeń poddasza. Zobaczył postać.

Lucky Gazid wpatrywał się w niego pustym wzrokiem, siedząc na krześle przy stole, jakby gotów do posiłku. Kontur jego postaci wyróżniał się z ciemności dzięki odrobinie światła docierającego od strony placu targowego. Ręce spoczywały płasko na stole. Dłonie były wyprężone i twarde jak kość. Usta były otwarte i zapchane czymś, czego z daleka Isaac nie potrafił zidentyfikować. Odzież siedzącego była przesiąknięta krwią, która rozlała się także po blacie, wypełniając szpary w deskach. Wokół poderżniętego gardła Gazida kłębiła się chmara głodnych, nocnych insektów.

Przez ułamek sekundy Grimnebulin sądził, że dopadł go jeden z tych chorobliwych koszmarów, które nękały miasto, jedna z nocnych mar wykreowanych przez cmy, a ściślej – przez ich rozproszone w powietrzu łajno.

Ale Gazid nie zniknął. Był prawdziwy i bardzo, bardzo nieżywy.

Isaac zbladł, przyjrawszy się bliżej jego bezgłośnie krzyczącej twarzy i szponiastym, zastygłym palcom dłoni. Gazid został siłą usadzony na krześle, następnie ktoś podciął mu gardło i z zimną krwią zatrzymał umierającego w tej pozycji, by wreszcie wcisnąć coś w usta otwarte w agonialnym wrzasku.

Grimnebulin zbliżył się do zwłok. Zebrał się w sobie i powoli wyciągnął spomiędzy zębów Lucky'ego dużą, szarą kopertę.

Kiedy ją rozwinął, zobaczył swoje imię. Czując narastające mdłości, sięgnął do środka.

W pierwszej, bardzo krótkiej chwili, nie rozpoznał tego, co trzymał w dłoni. Delikatna, niemal nieważka materia przypominała w dotyku cieniutki pergamin albo uschnięte liście. Dopiero gdy obejrzał ją w smudze bladego, księżycowego światła, zrozumiał, że są to skrzydła khepri.

Z jego piersi wyrwał się jęk bólu i żalu. Szeroko otwarte oczy zastygły na moment w niezmiernym przerażeniu.

– O nie... – szepnął, oddychając płytko i gwałtownie. – Nie, nie, nie, nie...

Skrzydła były zgięte i zwinięte tak, że ich delikatna powłoka uległa zniszczeniu. Przypominały teraz zmięte arkusze półprzezroczystej materii. Isaac wodził palcami po zmasakrowanej skórze, zawodząc z cicha na jedną nutę. Sięgnawszy głębiej do koperty, wyjął pojedynczą, złożoną kartkę papieru.

Arkusz, ozdobiony na górze herbem przypominającym szachownicę, zawierał tekst wypisany na maszynie. Z każdym odczytanym słowem bezgłośny jęk Isaaca przybierał na sile.

Kopia numer jeden: Żmijowa Nora. (Pozostałe wysłano do Brock Marsh i na Pola Salacusa).

Panie der Grimnebulin,

Khepri nie potrafią wydawać z siebie dźwięków, ale sądząc po chymikaliach, które wydzielala, i po drzeniu jej owadzych odnóży, Lin musiała uważać wyrwanie tych bezużytecznych skrzydeł za wyjątkowo nieprzyjemne doświadczenie. Nie wątpię, że dolna część jej ciała stawiałaby nam opór, gdybyśmy nie przywiązali przezornie tej pańskiej robaczkiej suki do krzesła.

Wiadomość otrzymuje Pan za pośrednictwem Lucky'ego Gazida, bowiem to jemu muszę podziękować za sprowadzenie mi Pana na kark.

Jak rozumiem, próbuje Pan znaleźć sobie niszę na rynku dreamshitu. Początkowo sądziłem, że wielką porcję, którą kupił Pan od Gazida, zamierza Pan

wykorzystać do własnych potrzeb, lecz kiedy ten idiota zaczął paplać o gąsienicy hodowanej w Brock Marsh, dostrzegłem rzeczywistą skalę pańskich zamierzeń.

Naturalnie nigdy nie uzyskałby Pan produktu najwyższej jakości od karłowatego osobnika karmionego dreamshitem przygotowanym dla ludzi, ale zawsze mógłby Pan sprzedawać go po niższej cenie. Musi Pan jednak wiedzieć, że w moim interesie leży pilnowanie, by klienci pozostali koneserami najlepszego towaru. Nie będę tolerował konkurencji.

Jak się dowiedziałem – i czego można było spodziewać się po niekompetentnym amatorze – nie umiał Pan utrzymać kontroli nad swoim producentem. Pański głównym karmiony pokurcz uciekł i uwolnił swoich pobratymców. Jest Pan głupcem.

Oto moje żądania. Po pierwsze, natychmiast odda się Pan w moje ręce. Po drugie, zwróci Pan resztę dreamshitu, który ukradł mi Pan przez Gazida, lub zwróci jego równowartość (suma do uzgodnienia). Po trzecie, zajmie się Pan ściganiem producentów, a kiedy zostaną złapani – wszyscy, łącznie z pańskim żalosnym kaleką – niezwłocznie powrócą do mnie. Kiedy spełni Pan powyższe warunki, porozmawiamy o tym, czy pańskie życie potrwa nieco dłużej.

Oczekując z niecierpliwością pańskiej odpowiedzi, będę kontynuował dyskusję z Lin. Od kilku tygodni wielce sobie cenię jej towarzystwo i raduję się na samą myśl o tym, że teraz będę mógł zbliżyć się do niej nieco bardziej. Musi pan wiedzieć, że założyliśmy się. Lin uważa, że odpowie Pan na mój list, zanim pozbawię ją wszystkich głowoodnóży. Ja jestem przeciwnego zdania. Aktualny przelicznik to jedno głowoodnoże za każde dwa dni bez odpowiedzi, począwszy od dziś. Kto zwycięży?

Będę je wrywał własnoręcznie, patrząc, jak Lin wije się i pluje z bólu, rozumie Pan? Aza dwa tygodnie zerwę pancierz z jej głowociała i żywcem rzucę ją na pożarcie szczurom. Zrobię to osobiście i będę się przyglądał, jak pańska kochanka staje się lunchem dla gryzoni.

Niecierpliwie oczekuję pańskiej odpowiedzi.

Szczerze oddany Motley

Kiedy Derkhan, Yagharek i Lemuel weszli na dziewiąte piętro, usłyszeli głos Isaaca. Mówił powoli, niezbyt głośno. Nie rozumieli słów, ale mieli wrażenie, że to monolog. Uczony nie przestawał mówić, nie czekał na niczyją odpowiedź.

Derkhan zapukała do drzwi, a kiedy nie doczekała się odzewu, z wahaniem otworzyła je i zajrzała do środka.

Ujrzała Isaaca w towarzystwie innego mężczyzny, w którym dopiero po kilku sekundach rozpoznała Lucky'ego Gazida. Zamordowanego Lucky'ego Gazida. Gwałtownie zachłysnęła się powietrzem i ostrożnie wśliznęła się do pokoju, robiąc miejsce Yagharkowi i Lemuelowi.

Przez długą chwilę stali, bez słowa wpatrując się w Isaaca, który siedział na łóżku z parą owadzich skrzydeł i kartką papieru w dłoniach. Jego mamrotanie ucichło, gdy uniósł głowę i spojrzał na towarzyszy. Kiedy zaczął szlochać bezgłośnie, Derkhan podbiegła i chwyciła go za ręce. Odwrócił wykrzywioną z wściekłości twarz i bez słowa podał kobiecie list.

Skończywszy czytać przerażającą wiadomość, zapłakała w ciszy i oddała pismo Yagharkowi. Opanowanie drżenia całego ciała przychodziło jej z wielkim trudem.

Garuda uważnie przestudiował list, nie okazując żadnych emocji. Odwrócił się w stronę Lemuela, który oglądał ciało Lucky'ego Gazida.

– Leży tu już jakiś czas – mruknął pośrednik, biorąc do ręki list. Czytał go coraz szerzej otwartymi oczami. – Motley? – sapnął. – Lin zadawała się z Motleyem?!

– Co to za jeden?! – krzyknął Isaac. – Gdzie mam szukać tego pierdolonego drania?!

Lemuel spojrział na niego spłoszony. W jego oczach błysnęło współczucie, gdy patrzył na łzy i rozpacz Grimnebulina.

– Na Jabbera... Pan Motley jest szefem, Isaacu – odpowiedział zwięźle.

– Jest najważniejszy. Rządzi wschodnią częścią miasta. Jest królem podziemnych organizacji.

– Zabiję skurwysyna, zabiję, zabiję – zawodził Isaac.

Lemuel spojrział na niego ze smutkiem. „Nie zabijesz, Zaac” – pomyślał. „Na pewno nie”.

– Lin... nie chciała mi zdradzić, dla kogo pracuje – powiedział Isaac, uspokoivszy się nieco.

– Nie dziwi mnie to – odparł Pigeon. – Większość ludzi nawet o nim nie słyszała, inni co najwyżej pogłoski... Nic więcej.

Isaac zerwał się na równe nogi, otarł twarz rękawem i wysmarkał się głośno.

– Musimy po nią iść – rzekł zdecydowanie. – Trzeba ją znaleźć i... Zastanówmy się. Ten... Motley wyobraża sobie, że próbowałem go okraść, co nie jest prawdą. Jak mogę mu to uświadomić?

– Zaac... Zaac... – przerwał mu Lemuel. Z trudem przełknął ślinę, na moment odwrócił głowę, a potem wolno podszedł do Isaaca, wysoko uniesionymi rękami błagając go o spokój. Derkhan, która patrzyła na niego uważnie, znowu dostrzegła coś w jego oczach: szorstkie, ale bez wątpienia szczere współczucie. Pigeon z namysłem kręcił głową, spoglądając twardo w stronę Grimnebulina i ostrożnie dobierając w myśli słowa. – Zaac... – odezwał się w końcu. – Miałem już do czynienia z Motleyem. Nigdy nie spotkałem go osobiście, ale mimo to... znam go. Wiem, jak pracuje. Wiem, jak z nim postępować i czego się spodziewać. Widziałem już kiedyś coś takiego... dokładnie ten sam scenariusz... Isaacu... – urwał, przetykając ślinę przez ściśnięte gardło. – Lin nie żyje.

– Nieprawda! – wykrzyknął Isaac, wymachując zaciśniętymi do bólu pięściami.

Lemuel złapał go za nadgarstki, bez przesadnej siły, ale na tyle stanowczo, by zmusić go do wysłuchania i zrozumienia tego, co miał do powiedzenia. Grimnebulin znieruchomiał na chwilę, z twarzą zastygłą w grymasie ślepej furii.

– Ona nie żyje – powtórzył łagodnie pośrednik. – Przykro mi, stary. Naprawdę mi przykro, ale jej już nie ma. – Cofnął się o krok. Isaac otworzył usta i przez moment obaj kręcili głowami. Wreszcie Lemuel spuścił wzrok i odezwał się cicho i spokojnie, jakby mówił do siebie. – Dlaczego mieliby trzymać ją przy życiu? – spytał. – To po prostu... po prostu bez sensu... Ona... byłaby dla nich jedynie niepotrzebnym problemem, niczym więcej... Czymś, czego najlepiej się pozbyć. On już zrobił z nią to, co chciał – dodał nagle głośnie, wyciągając rękę w stronę Isaaca. – Sprawił, że przyjdiesz do niego. Zemścił się i zmusił cię, żebyś zrobił to, co chce. A chce cię dopaść, bez względu na cenę. Gdyby zostawił Lin przy życiu, mimo wszystko istniałoby niewielkie ryzyko niepotrzebnych kłopotów. Wystarczy mu, że może użyć jej jako przynęty; wie, że przyjdiesz do niego. Jej życie nie ma dla niego żadnego znaczenia. – Lemuel ze smutkiem potrząsnął głową. – Nie ma żadnego powodu, dla którego nie miałby jej zabić... Ona nie żyje, Isaacu. Nie żyje. – Pośrednik mówił teraz szybciej, spoglądając prosto w matowe oczy Grimnebulina. – I powiem ci jedno: najlepszą zemstą będzie to, że nie pozwolisz, byśmy wróciły w ręce Motleya. Musisz wiedzieć, że on ich nie zabije. Zachowa je, żeby nadal produkować dreamshit.

Isaac zaczął krążyć po pokoju, wykrzykując na przemian słowa gniewu, niedowierzania, żalu i wściekłości. Wreszcie podbiegł do Lemuela, bełkocąc prawie niezrozumiale, że musi się mylić, że na pewno jest jeszcze szansa... Pigeon nie mógł patrzeć na jego rozpacz. Zamknął oczy i przemówił, starając się zagłuszyć paniczną paplaninę.

– Nawet jeśli do niego pójdziesz, Zaac, Lin nie stanie się przez to mniej martwa. Ty natomiast będziesz znacznie bardziej martwy.

Isaac umilkł. Przez długą, długą chwilę stał na środku pokoju, roztrzęsiony i samotny. Wreszcie spojrzął ponad zwłokami Lucky'ego Gazida na milczącego i zakapturzonego Yagharka stojącego w kącie, na Derkhan z oczami pełnymi łez i wreszcie na przygnębionego Lemuela, który spoglądał nań nerwowo.

Rozpłakał się jak dziecko.

Isaac i Derkhan siedzieli na łóżku, spleceni ramionami, szlochając cicho.

Lemuel podszedł do cuchnącego truchła Lucky'ego Gazida i przyklęknął, zatykając nos i usta lewą dłonią. Prawą ręką złamał zakrzepłą pieczęć krwi, która sklejała poły marynarki ćpuna i wprawnie przeszukał wewnętrzne kieszenie. Liczył na to, że znajdzie pieniądze lub informacje, ale nie znalazł niczego.

Wstał i rozejrzał się po poddaszu. Myślał strategicznie; szukał czegokolwiek, co mogłoby się przydać: broni, wartościowych przedmiotów nadających się na kartę przetargową w negocjacjach, strojów, które pomogłyby w ukryciu tożsamości...

Na próżno. Mieszkanie Lin było prawie puste.

Z braku zdrowego snu Lemuela bolała głowa. Czuł przytłaczającą masę koszmarów dręczących Nowe Crobuzon. Własne, głęboko skrywane mroczne wizje czaiły się pod jego czaszką gotowe zaatakować, gdy tylko zapadnie w sen.

W końcu uznał, że czas wytchnienia dobiegł końca. Z każdą godziną tej nocy czuł coraz większy niepokój. Odwrócił się ku smętnej parze siedzącej na łóżku i stanowczym gestem przywołał Yagharka.

– Musimy iść – oznajmił.

ROZDZIAŁ 37

Przez cały następny gorący, lepki dzień miasto tonęło w złych emocjach, wywołanych upałem i nocnymi koszmarami.

Świat przestępczy obiegnęła elektryzująca plotka: Mama Francine została zamordowana. Znalaziono ją nad ranem z trzema wystrzelonymi z kuszy bełtami w piersi. Jeden z kontraktowych zabójców dostał tysiąc gwinei od zadowolonego pana Motleya.

Z kwatery głównej Cukrowego Gangu zmarłej Mamy Francine w Kinken nie dochodziły żadne wieści, choć bez wątplenia między najważniejszymi postaciami grupy wybuchła już wojna o schedę po szefowej.

W całym mieście znajdowano kolejne ciała pogrążonych w letargu. Pomału rodziła się panika. Nocne koszmary nie ustawały i niektóre gazety zaczynały już łączyć tajemniczą epidemię złych snów z serią ponurych znalezisk – otępiiałych ludzi spoczywających na stołach pod strzaskanymi oknami, leżących na ulicach albo wciśniętych między budynki przez niewyjaśnioną siłę, która spadła na nich z nieba. Na twarzach ofiar widywano śluz zalatujący gnijącymi cytrusami.

Plaga śpiączki dotknęła wszystkie świadome rasy, a także prze-tworzonych. Znajdowano ludzi, kheprich, vodyanoich i wyrmenów, a nawet nielicznych garudów i przedstawicieli innych, jeszcze rzadziej spotykanych ras.

W St Jabber's Mound poranne słońce wyluskało z ciemności masywne, blade członki nieruchomego trawa. Oddychał z trudem, leżąc twarzą w bryle ukradzionego mięsa. Zapewne opuścił kanały ściekowe w poszukiwaniu pożywienia i został napadnięty w drodze powrotnej.

W East Gidd wezwani na miejsce milicjanci zobaczyli jeszcze dziwniejszą scenę. W krzakach otaczających Bibliotekę Gidd znaleziono dwa ciała. Młoda ulicznica była naprawdę martwa – krew uszła z jej ciała dwoma otworkami po zębach wbitych w jej szyję. Leżał na niej nieprzytomny, szczupły i doskonale znany mieszkańcom dzielnicy właściciel niedużej, dobrze prosperującej fabryki włókienniczej. Jego usta i broda były zbrukane krwią dziewczyny. Puste oczy – żywe, ale pozbawione duszy – wpatrywały się w słońce.

Szybko rozniosła się wieść, że Andrew St Kader nie był tym, za kogo go uważano, ale znacznie większe przerażenie wzbudził fakt, że nawet wampiry padają ofiarą „połykaczy umysłów”. W mieście zawrzało. Czy te tajemnicze istoty, zarazki, duchy lub demony były wszechmocne? Czy ktokolwiek mógł stawić im czoło?

W Nowym Crobuzon zapanowały zamęt i rozpacz. Nieliczni obywatele pisali listy do rodzin i przyjaciół z okolicznych wiosek. Zamierzali opuścić miasto, uciec ku wzgórzom i dolinom na południu i wschodzie. Jednakże miliony po prostu nie miały dokąd pójść.

*

Gorączkę letniego dnia Isaac i Derkhan przetrwali w małej szopie przy torach.

Kiedy zjawili się w pobliżu wiaduktu, przekonali się, że konstruktu nie było już w skrytce, w której go zostawili. Nie było też żadnego śladu, który wskazywałby miejsce jego pobytu.

Lemuel opuścił ich, by szukać kontaktu ze swymi współpracownikami. Z niepokojem myślał o włączeniu się po mieście, w chwili gdy szuka go zapewne cała milicja Nowego Crobuzon, ale z drugiej strony nie podobała mu się izolacja od naturalnego środowiska. Zdaniem Isaaca nie podobała mu się także nie ukrywana rozpacz jego i Derkhan po stracie Lin. Ku jego zaskoczeniu, Yagharek również ich opuścił.

Derkhan zaczęła wspominać. Co chwila przepraszała, że tak się rozkleja, co wprawiało ją w jeszcze bardziej cikliwy nastrój, ale nie potrafiła przestać. Opowiadała Isaacowi bez końca o swych nocnych rozmowach z Lin, o kłótniach o prawdziwą naturę sztuki.

Grimnebulin mówił niewiele, bawiąc się bezmyślnie elementami maszyny kryzysowej. Nie przerywał Derkhan. Od czasu do czasu wtrącał tylko pojedyncze zdania, w zamyśleniu błędząc oczami po pochyłych ścianach walącej się chaty.

Zanim poznał Lin, jego kochanką była Bellis – kobieta rasy ludzkiej, jak wszystkie jego poprzednie towarzyszkę. Wysoka i blada, miała zwyczaj malować sobie usta sinopurpurową pomadką. Była doskonałą lingwistką. W końcu jednak znudziła się tym, co nazywała „hałaśliwością” Isaaca, i odeszła, łamiąc mu serce.

Cztery lata dzielące rozstanie z Bellis od spotkania z Lin wypełniły mu przygodne kontakty z kurwami i przelotne miłostki. Wszystko to ustało jednak mniej więcej rok przed pierwszą rozmową z młodą artystką rasy khepri. Pewnego wieczoru, w burdelu Mamy Sudd, Isaac odbył dramatyczną rozmowę z obsługującą go prostytutką.

Zupełnie przypadkiem pochwalił szefową przytulnego zakładu, która tak dbała o swoje podopieczne, i ze zgrozą przekonał się, że dziewczyna nie podziela jego zdania. Rozdrażniona dziwka zapomniała o profesjonalnej obojętności i w ostrych słowach wyjawiała, co myśli o burdelmami, która zostawiała jej zaledwie trzy stivery z każdego ciężko zarobionego szekla.

Zszokowany i zawstydzony Isaac umknął, nie zdjawszy nawet butów. Zostawił dziewczynie podwójną zapłatę.

Od tamtej pory długo zachowywał czystość, ze zdwojoną energią angażując się w pracę. Wreszcie przyjaciel zaprosił go na otwarcie wystawy pewnej młodej artystki khepri, ponoć doskonale władającej techniką gruczołową. W małej, ponurej galerii po niewłaściwej stronie Sobek Croix, z widokiem na smagane wichrem zagajniki porastające wzgórze wokół parku, Isaac poznał Lin.

Uznał jej rzeźby za fascynujące i zależało mu na tym, żeby jej o tym powiedzieć. Wdali się w niezwykle powolną konwersację – artystka pisała odpowiedzi i pytania w notatniku, który zawsze nosiła przy sobie – ale irytujące tempo wymiany zdań nie przekreśliło jej niezwykłego uroku. Dość szybko opuścili towarzystwo miłośników sztuki i tylko we dwoje analizowali kolejno szokującą geometrię pokręconych postaci, które wyrzeźbiła Lin.

Zaczęli się spotykać, z czasem coraz częściej. Isaac ukradkiem uczył się języka migowego, toteż z każdym tygodniem rozmowy, które prowadzili, nabierały minimalnie szybszego tempa. Pewnego razu, gdy był już bardzo pijany i w nastroju do popisywania się, za pomocą gestu mozolnie przedstawił Lin sprośny dowcip. Obląpał ją przy tym niezręcznie i bezceremonialnie, a skończyło się na tym, że wylądowali w łóżku.

Ich pierwsze, niełatwe zbliżenie przebiegło raczej niezręcznie. Pocałunki, które zwykle były wstępem do odważniejszych pieszczot, nie wchodziły w rachubę: żuwaczki Lin w mgnieniu oka odgryzłyby mu szczękę. W chwilę po szczytowaniu mężczyzna musiał użyć całej siły woli, by nie zwymiotować na widok ruchliwych głowoodnóży i drżących czułek. Lin z równie paraliżującą nerwowością poznawała jego ciało, spięta i sztywna. Kiedy Isaac ocknął się rano, poczuł obrzydzenie, ale wywołała je raczej świadomość dokonanego czynu, niż samo doświadczenie.

Zjadłszy nieśmiało śniadanie, Grimnebulin doszedł do wniosku, że zbliżenie z Lin było tym, czego naprawdę potrzebował.

Przygodne stosunki z przedstawicielami odmiennych ras nie należały do rzadkości, lecz Isaac nie był przecież jednym z tych pijanych młodzieńców, którzy w ramach poszukiwania przygód odwiedzali burdele obcych.

Zdał sobie sprawę, że chyba jest zakochany.

Teraz zaś, kiedy poczucie winy, niepewność i strach minęły, gdy opuścił go atawistyczny niesmak, a pozostało tylko prawdziwe, głębokie uczucie, siłą odebrano mu kochankę. Wiedział, że już nigdy jej nie zobaczy.

Czasem w ciągu dnia wyobrażał sobie (nie mógł na to nic poradzić), jak Motley, ten prawie nikomu nieznan, a jednocześnie wszechmocny bandyta, wyrwa skrzydła z głowy Lin.

W takich chwilach zaczynał jęczeć, a Derkhan próbowała go pocieszać. Często płakał, czasem dyskretnie, a czasem przeraźliwie głośno. Wył z rozpacz.

„Błagam” – modlił się do bogów ludzi i kheprich – „Solentonie i Jabberze... i Sostro, i Artysto... powiedzcie mi, że nie cierpiam”.

Rozum jednak podpowiadał mu, że Lin musiała doświadczyć bicia i tortur, zanim ją zabito, a świadomość tego faktu sprawiała, że szalał z rozpacz.

Lato siłą rozciągało światło dnia, jakby łamało je kołem. Każdy moment włókł się apatycznie i wreszcie zapadał się w siebie. Czas łamał się i pełził naprzód niekończącą się kolumną martwych chwil. Wyrmeni i ptaki wisieli w przestworzach jak drobiny brudu w wodzie. Kościelne dzwony wybijały zdawkowo i nieszczerze rytm pochwalnych pieśni na cześć Palgolaka i Solentona. Rzeki sączyły się leniwie ku wschodowi.

Było późne popołudnie, kiedy Isaac i Derkhan zauważyli powracającego Yagharka, okrytego płowiejącym płaszczem. Garuda nie zamierzał opowiadać o tym, gdzie był i co robił. Przyniósł żywność, którą podzielili się po równo. Isaac uspokoił się nieco; ukrył żal w głębi serca.

Po nieskończeniu długich i monotonnych godzinach dziennej jasności zaczął się ruch: cienie spelżyły po zboczach gór widocznych za miastem. Zachodnie ściany budynków zdążyły na krótko zabarwić się różem, zanim słońce schroniło się za skalistymi grzbietami. Pożegnalne smugi światła zaginęły w końcu na kamienistym trakcie Przełęczu Pokutnika. Niebo jarzyło się jednak czerwonym blaskiem jeszcze długo po tym, jak słoneczna kula znikła za poszarpanym horyzontem. Zapadał zmrok, gdy do chaty na skarpie powrócił Lemuel Pigeon.

– Poinformowałem kilku kolegów o naszym położeniu – wyjaśnił. – Pomyślałem jednak, że błędem byłoby snucie planów, zanim stawimy się na wieczornym spotkaniu w Griss Twist. Mimo wszystko wiem, że możemy liczyć na pewną pomoc. Przypomniałem paru ludziom o przysługach, które są mi winni. Okazuje się, że w mieście przebywa paru zuchów, którzy podobno odbili ostatnio łup sporej bandzie trów w ruinach Tashek Rek Hai. Niewykluczone, że byliby zainteresowani dobrze płatnym zleceniem.

Derkhan spojrzała na pośrednika z nieukrywaną pogardą i wzruszyła ramionami.

– Wiem, że są to być może najwięksi twardziele w Bas-Lag – powiedziała z namysłem. – Tyle że ja im nie ufam. To poszukiwacze przygód. Uwielbiają niebezpieczeństwo i nie brzydzą się nawet rabowaniem grobów. Dla złota i mocnych wrażeń zrobią wszystko. Podejrzewam też, że gdybyśmy im powiedzieli, co właściwie zamierzamy zrobić, nie byliby tacy skorzy do pomocy. Przecież tak naprawdę sami nie wiemy, jak się zabrać do polowania na te przekłete ćmy.

– W porządku, Blueday – odparł Lemuel. – Ale wiedz, że ja będę zadowolony z każdej pomocy, jaką tylko uda mi się uzyskać. Chyba rozumiesz dlaczego? Poczekajmy do wieczora. Wtedy się zastanowimy, czy nie warto zatrudnić tych zuchwalców. Co ty na to, Zaac?

Isaac bardzo powoli uniósł głowę i skoncentrował wzrok na Lemuelu. Po chwili wzruszył ramionami.

– To szumowiny – powiedział cicho. – Ale jeśli mieliby zrobić swoje... Pigeon kiwnął głową.

– Kiedy wychodzimy? – spytał. Derkhan spojrzała na zegarek.

– Jest dziewiąta. Mamy jeszcze godzinę. Na wszelki wypadek powinniśmy zostawić sobie pół godziny na dojście – odpowiedziała i odwróciła się w stronę okna z widokiem na ponuro gasnące niebo.

Milicyjne kapsuły z furkotem mknęły pod naprężonymi linami. W całym mieście rozlokowano małe, elitarne oddziały, złożone z dziwnie wyekwipowanych funkcjonariuszy. Mieli osobliwe plecaki ze sprzętem niewiadomego przeznaczenia, ukrytym w skórzanych pokrowcach. Czekali na sygnał do działania w tajnych pokojach milicyjnych wież, odcinając się szczelnie zamkniętymi drzwiami od swych zwyczajnych kolegów.

Po niebie sunęło więcej sterowców niż zwykle. Latające maszyny porozumiewały się między sobą basowym rykiem klaksonów. W ich przepastnych ładowniach funkcjonariusze czyścili broń ręczną, potężne działa pokładowe i wielkie zwierciadła.

W pobliżu wyspy Strack, w górnym biegu Wielkiej Smoły, tuż za punktem spotkania dwóch rzek, znajdowała się jeszcze jedna, mała wysepka. Niektórzy nazywali ją Little Strack, ale tak naprawdę nigdy nie nadano jej imienia. Jej romboidalną powierzchnię pokrywały dość gęste krzaki, pniaki wyrzucone przez rzeczny nurt i sterty starych lin. Niekiedy wysepka służyła jako awaryjna przystań dla barek, ale zdarzało się to niezmiernie rzadko. Na co dzień była nieoświetlona i zupełnie odcięta od miasta. Nie było tajemnych tuneli łączących ją z Parlamentem ani łodzi dobrze ukrytych pośród gnijących bali.

A jednak coś przerwało tej nocy panującą tu ciszę.

MontJohn Rescue stał pośrodku niewielkiej grupy milczących postaci, na polanie otoczonej banianami i gąszczem trybuli. W oddali, za plecami zastępcy burmistrza, piętrzył się czarny masyw gmachu Parlamentu, połyskujący jedynie tarczami okien. Dźwięki nocy ginęły w monotonnym szumie płynącej wody.

Rescue jak zwykle miał na sobie elegancki garnitur. Potoczył wzrokiem po zebranych – a była to grupa dość zagadkowa. Stanowiło ją, nie licząc samego Rescue, sześćcioro ludzi, jedna khepri, jeden vodyanoi oraz duży, zadbany, rasowy pies. Ludzie i obcy także prezentowali się dość godnie, z wyjątkiem jednego przetworzonego, zamiatacza ulic, oraz małego, obdartego dzieciaka. Obok schludnie, choć niezbyt modnie ubranej starszej pani stała urodziwa dziewczyna, a przy muskularnym brodaczu – chudy urzędnik w binoklach.

Wszyscy zebrani byli nienaturalnie cisi i spokojni. Każdy miał na sobie co najmniej jedną dziwnie obszerną część garderoby – przepaska biodrowa vodyanoiego była dwukrotnie większa niż zazwyczaj, nawet pies miał na sobie absurdalną kamizelę.

Wszystkie pary oczu wpatrywały się nieruchomo w Rescue, który powoli odwijał szalik, dotąd szczelnie okrywający jego szyję.

Kiedy opadła ostatnia warstwa delikatnej bawełny, ukryty pod nią ciemny kształt poruszył się.

Coś było ciasno owinięte wokół szyi MontJohna Rescue.

Na jego gardle zaciskały się palce czegoś, co przypominało ludzką prawicę. Obce ciało miało barwę fioletową, a na wysokości „nadgarstka” zaczynało się zwężać, przechodząc płynnie w długi na stopę i pulsujący węzowy ogon, który owijał się wokół szyi mężczyzny i znikał pod skórą.

Palce fioletowej dłoni poruszyły się nieznacznie, wpijając się głębiej w miękki spód szyi.

Po chwili wszyscy zebrani zrzucili z siebie odzież. Khepri zsunęła bufiaste spodnie, a stara kobieta odpięła niemodną turniurę. Każdy odsłonił podobną, opatrzoną ogonem, poruszającą się lekko dłoń, której palce zdawały się grać na zakończeniach nerwowych w ciele gospodarza jak na fortepianie. Jedna z nich trzymała się uda, inna talii, jeszcze inna moszny. Pies przez chwilę walczył ze swą

kamizelką, aż wreszcie urwis odpiął jej guzik i pomógł odstąpić rękę przyrośniętą do włochatego cielska.

Do ciał uczestników spotkania przylegało pięć prawych i pięć lewych dłoni o grubej skórze i ruchliwych ogonach.

Ludzie, obcy i pies zbliżyli się do siebie, tworząc ciasny krąg.

Na sygnał dany przez Rescue grube ogony z obrzydliwym mlaśnięciem wysunęły się z ciał żywicieli. Ludzie, vodyanoi, khepri i pies drgnęli spazmatycznie, bezwiednie otwierając usta i przewracając oczami, po czym zmartwieli. Z ran po obcych ciałach sączył się gęsty płyn podobny do żywicy. Mokre od krwi i śluzu ogony przez moment miotały się na wszystkie strony niczym wielkie, ślepe robaki. Rozciągały się i wiły, dotykając się wzajemnie.

Ciała gospodarzy pochylały się ku środkowi kręgu, jakby chciały powitać się szeptem. Były absolutnie nieruchome.

Łapowżercy radowali się chwilą bliskiej wspólnoty.

Byli symbolem perfidii i zepsucia, brudną plamą na kartach historii. Skomplikowani i utajeni. Potężni. Pasożytniczy.

Stali się niewyczerpanym źródłem plotek i legend. Ludzie mówili, że łapowżercy są duchami wyjątkowo wrednych nieboszczyków. Że są karą za grzechy. Że jeśli morderca popełni samobójstwo, to jego ręce po pewnym czasie zaczną się ruszać, rozerwą gnijącą skórę i odpęzną, bo tak właśnie muszą przychodzić na świat łapowżercy...

Na ich temat krążyło wiele mitów, ale były i takie poglądy, w których tkwiło ziarno prawdy. Łapowżercy byli pasożytami. Przejmowali kontrolę nad umysłem i ciałem gospodarzy-żywicieli, nadając im jednocześnie osobliwe właściwości. Proces ten był nieodwracalny. Łapowżercy potrafili żyć wyłącznie życiem innych istot.

Ukrywali się przez całe stulecia, byli bodaj najmniej poznaną rasą, istnym uosobieniem tajności. Od czasu do czasu powracali jednak jak zły sen. I Cyklicznie pojawiały się na przykład pogłoski, jakoby któraś ze znanych i nie lubianych postaci życia publicznego była ofiarą łapowżerców. Z lękiem powtarzano opowieści o dziwnych ciałach miotających się pod czyimś ubraniem i niewyjaśnionych zmianach w zachowaniu, przypisywanych zgubnemu wpływowi tajemniczych istot. Jednakże wbrew niezliczonym legendom, na przekór ponurym relacjom i tekstom dziecięcych wyliczanek, nigdy nie znaleziono ani jednego łapowżercy.

Wielu mieszkańców miasta wierzyło głęboko, że istoty te, o ile kiedykolwiek żyły, dawno już opuściły Nowe Crobuzon.

W cieniu nieruchomych ciał gospodarzy łapowżercy wili się pracowicie, ocierając się nawilżonymi kwią ogonami. Kłębowisko rąk wyglądało i jak orgia niższych form życia.

Wymieniali się informacjami. Rescue zdał relację z ostatnich wydarzeń i wydał rozkazy. Powtórzył wiernie rozmowę z Rudgutterem i wyjaśnił, że przyszłość łapowżerców również może zależeć od tego, czy uda się wreszcie schwytać ćmy. Wyjawiał też ostrożnie prywatną opinię burmistrza, który uznał, że odpowiednia postawa pasożytniczych istot w wojnie z bestiami nękającymi miasto jest warunkiem dobrych stosunków na linii łapowżercy – władze Nowego Crobuzon.

Fioletowe ręce przeprowadziły krótką dyskusję w swym dotykowym języku i szybko doszły do wniosków.

Po dwóch, trzech minutach rozstały się z żalem i powróciły na dawne miejsca na ciałach żywicieli, które podskakiwały groteskowo, gdy ponownie wbijały się w nie mięsiste ogony. Oczy gospodarzy mrugały nerwowo, a szczęki zaciskały się z trzaskiem. Spodnie i szaliki wracały na swoje miejsca.

Zgodnie z ustaleniami, łapowżercy podzielili się na pięć par. W każdej z nich znalazł się jeden osobnik prawy – taki jak Rescue – i jeden lewy. Partnerem zastępcy burmistrza został pies.

Rescue odszedł w głąb polany i wyciągnął spod krzaka wielką torbę. Wyjął z niej pięć hełmów z lusterkami wstecznymi, pięć grubych opasek na oczy, kilka kompletów mocnych skórzanych pasów i dziewięć nabitych pistoletów skałkowych. Dwa hełmy miały specyficzną budowę: obszerniejszy przeznaczony był dla vodyanoi, a wydłużony dla psa.

Każdy lewy łapowżerca sięgnął po hełm, prawy zaś po opaskę. Rescue umocował ochronne nakrycie głowy na łbie swego partnera i mocno zaciągnął paski, po czym wziął grubą szarfę i przewiązał sobie nią oczy w taki sposób, by szczelnie odciąć je od świata. Jego towarzysze rozeszli się parami, trzymając się za ręce. Vodyanoi prowadził dziewczynę, stara kobieta urzędnika, prze-tworzony kobietę khepri, a ulicznik potężnie umięśnionego mężczyznę. Rescue pozostał przy psie, którego już nie widział.

– Czy wszyscy zrozumieli instrukcje? – zawołał głośno, jako że jego pobratymcy znaleźli się zbyt daleko, by posłużyć się ojczystą mową dotyku. – Pamiętajcie, czego się nauczyliśmy. Czekają nas trudne i dziwaczne zadanie, to pewne. Nikt nie próbował dotąd tego, co za chwilę zrobimy. Lewi, wy będziecie sterować, to wasze zadanie. Otwórzcie się na partnera i nie zamykajcie się tej nocy ani na chwilę. To nasza wielka bitwa. Nie traćcie też kontaktu z innymi lewymi. Gdy tylko spostrzeżecie cel, wszczynajcie mentalny alarm, wzywajcie pozostałych. Połączymy siły w ciągu paru minut.

Prawi, słuchajcie poleceń bez zastanowienia. Wasi gospodarze muszą być dzisiaj ślepi. Pod żadnym pozorem nie wolno nam spoglądać na skrzydła. W lustrzanych hełmach moglibyśmy na nie patrzeć, ale tyłem nie sposób walczyć. Zaatakujemy więc frontem, ale bez patrzenia. Dziś musimy pozwolić, żeby lewi ponieśli nas tak, jak na co dzień noszą nas żywicieli: bez myślenia, strachu czy zadawania pytań. Zrozumiano? – Rescue skinął głową, gdy odpowiedziało mu kilka stłumionych głosów. – Zatem połączmy się.

Lewi dobrali sobie po komplecie pasów i umocowali się plecami do swych prawych. Każdy przeplótł je między nogami, wokół talii i w ramionach. Gospodarze łapowżerców stali tyłem do siebie, tak że lewi widzieli w lusterkach własne ramiona, dalej barki prawych, a w jeszcze odleglejszej perspektywie to, co znajdowało się przed prawymi.

Rescue odczekał, aż jeden z lewych umocował na jego plecach grzbiet psa. Nogi zwierzęcia musiały rozłożyć się nedorzecznie na boki, ale jego pasożyt ignorował ból gospodarza. Pies odważnie poruszył łbem, sprawdzając, czy dobrze widzi ponad ramionami partnera. Po chwili zaskowyczał twierdząco.

– Wszyscy pamiętajają kodeks Rudguttera? – zawołał Rescue. – W takim razie ruszamy na łowy!

Prawi uruchomili ukryte organy, które wszczepili u nasad kciuków swych gospodarzy. Powietrze zaszumiało gwałtownie i pięć niezgrabnych par łapowżerców w ciałach żywicieli uniosło się w przestworza. Z dużą prędkością oddaliły się od wyspy i rozpierzchnęły na wszystkie strony, kierując się ku Ludmead, Mog Hill, Syriac, Flyside i Sheck. Wkrótce tandemy ślepych i wystraszonych zostały połknięte przez niebo zbrukane światłem ulicznych latarni.

ROZDZIAŁ 38

Wędrówka z szopy przy torach kolejowych do wysypisk w Griss Twist nie trwała długo. Isaac, Derkhan, Lemuel i Yagharek dryfowali na pozór przypadkową trasą przez najmniej uczęszczane zakątki. Krzywili się mimowolnie, wyczuwając całość nocnych koszmarów, który znowu rozpościerał się nad miastem.

Piętnaście minut przed dziesiątą wieczorem byli już przy wysypisku numer dwa.

Wysypiska w Griss Twist otaczały to, co pozostało z niegdyś świetnych fabryk. Tylko nieliczne zakłady jeszcze działały – połową lub jedną czwartą maszyn – wypluwając za dnia trujące opary, nocą zaś pomału ulegając nieuchronnemu rozpadowi. Ostatkiem sił trwały w obłęzeniu rozrastających się wysypisk.

Wysypisko numer dwa, otoczone nie stanowiącym przeszkody, porzewiałym i porozrywaniem ogrodzeniem z drutu kolczastego, znajdowało się na obrzeżu Griss Twist, w zakolu z trzech stron oblany wodami Smoły. Miało rozmiary niewielkiego parku, ale było miejscem nieporównywalnie dzikszym. Nie było realizacją projektu urbanisty ani też dziełem natury. Było zlepkiem resztek, które zwieziono w jedno miejsce i pozostawiono własnemu losowi, by szczęły. Przypadek uformował z nich interesujące formacje pełne rdzewiejącego metalu, śmieci, gruzu, pleśniejących płócien, zmiądzonych lusterek i szczątków porcelany, łuków wyznaczonych krzywizną pogrzebanych w pyłe kół oraz na w pół zdemolowanych maszyn.

Czworo renegatów nie miało problemu ze sforsowaniem ogrodzenia. Zachowując czujność, podążyli pośród hałd ścieżką wyciętą przez pracowników wysypiska. Maszyny, których tu używano, wyżłobiły w podłożu koleiny, a te natychmiast zostały zajęte przez wszędobylskie chwasty. W tej niegościnniej okolicy rośliny umiały wykorzystać każdą drobinę nawet najmniej wartościowych składników odżywczych.

Niczym podróżnicy w zapomnianej przez bogów krainie przedzierali się przez chaotyczny gąszcz resztek, tworzących gdzieś głębokie kaniony.

Szczury i inne szkodniki pozostawały w ukryciu, choć od czasu do czasu słychać było ich ciche głosy.

Isaac i jego towarzysze brodzili przez ciepłą noc i opary cuchnącego powietrza spowijające przemysłowe wysypisko.

– Czego właściwie szukamy? – syknęła Derkhan.

– Sam nie wiem – odparł Isaac. – Ten przeklęty konstrukt mówił tylko, że znajdziemy drogę, jeśli będziemy chcieli. Cholera, mam dosyć zagadek.

Gdzieś wysoko rozległ się krzyk nocnej mewy. Na moment zamarli ze strachu – niebo przestało być dla nich bezpieczne.

Nogi niosły ich same. Mieli wrażenie, że porwał ich przyptływ; nieświadomie, ale i nieprzypadkowo, zdążali w pewnym kierunku: w stronę serca labiryntu śmieci.

Wreszcie minęli kolejny zakręt ponurego szlaku i nagle znaleźli się w pustce budzącej skojarzenie z leśną polaną, na placu o średnicy dobrych czterdziestu stóp. Jego obrzeża zajmowały szeregi na poły zrujnowanej maszynerii, części najrozmaitszych urządzeń, od ogromnych elementów przypominających prasy drukarskie, po najdrobniejsze dzieła inżynierii precyzyjnej.

Przybysze wyszli na środek placu i czekali z niepokojem.

Ponad północno-zachodnim pasmem gór odpadów zawisły nieruchomo potężne, parowe dźwigi przemysłowe, podobne do gigantycznych jaszczurów bagiennych. Niewidoczna za hałdami rzeka zakłócała ciszę jednostajnym szumem.

– Która godzina? – szepnęła Isaac. Lemuel i Derkhan jednocześnie spojrzeli na zegarki.

– Dochodzi jedenasta – odpowiedział pośrednik. Ponownie spojrzeli na niebo, ale nic się nie wydarzyło.

Wysoko, pomiędzy płynącymi chmurami, meandrował bezszelestnie chudy księżyc. Poza jego bladą poświatą odbierającą przedmiotom całą głębię nie było na wysypisku innego źródła światła.

Isaac opuścił głowę i chciał coś powiedzieć, gdy nagle w jednym z rowów przecinających gigantyczne rafy śmieci rozległ się dźwięk wprawianego w ruch mechanizmu. Syczący i metaliczny zarazem odgłos na moment zmroził przybyszy. Czując narastający lęk, stali nieruchomo i wpatrywali się w wylot najbliższej transzei.

Wyłonił się z niej potężny konstrukt, model przeznaczony do najcięższych prac fizycznych. Stał na trzech masywnych nogach, bez wysiłku roztrzając kamienie i kawałki złomu leżące na jego drodze. Lemuel, który także stał na jego kursie, cofnął się przezornie, ale maszyna nie zwróciła na niego uwagi. Dotarłszy do skraju placu, zatrzymała się i wbiła spojrzenie ciemnych soczewek w północną ścianę masywu śmieci.

Nie poruszyła się więcej.

Lemuel zdążył tylko spojrzeć na Isaaca i Derkhan, gdy rozległ się kolejny hałas. Odwrócił się szybko i ujrzał następny, znacznie mniejszy konstrukt – model sprząający napędzany mechanizmem zegarowym konstrukcji kheprich. Poruszający się na gąsienicach automat zaparkował obok swego ogromnego brata.

W tym momencie odgłosy zbliżających się konstruktyw rozbrzmiewały już we wszystkich kanionach.

– Patrzcie – syknęła Derkhan, wskazując ręką na wschód. Z jednej z mniejszych rozpadlin wyłonili się dwaj ludzie. W pierwszej chwili Isaac sądził, że wzrok go myli i że ma przed sobą dwa wyjątkowo udane konstrukty, ale zaraz wyzbył się wątpliwości. Osobnicy lawirujący między kupami śmieci byli ludźmi z krwi i kości.

Dziwne było tylko to, że nie zwracali najmniejszej uwagi na czworo renegatów.

Isaac zmarszczył brwi.

– Hej – zawołał cicho. Jeden z obcych mężczyzn rzucił mu gniewne spojrzenie, potrząsnął głową i odwrócił wzrok. Skarcony i zdziwiony Isaac nie odezwał się więcej.

Na placu pojawiały się coraz to nowe konstrukty. Były wśród nich ogromne modele wojskowe, drobni asystenci lekarzy, automatyczne młoty pneumatyczne, maszyny gospodarstwa domowego; chromowane i stalowe, żelazne i mosiężne, miedziane i szklane, a nawet drewniane; parowe i elektryczne, sprężynowe i taumaturgiczne, a także napędzane olejem.

Tu i ówdzie przemycali między nimi kolejni ludzie. Isaac miał wrażenie, że dostrzegł nawet jednego vodyanoiego, który mignął gdzieś w półmroku i zniknął w tłumie. Nieznajomi skupili się grupą pod jedną ze ścian wysypiskowego amfiteatru.

Na Isaaca, Derkhan, Lemuela i Yagharka w ogóle nie zwracano uwagi. Instynktownie zbliżyli się do siebie, zaniepokojeni przedłużającym się, nienaturalnym milczeniem. Każda próba nawiązania kontaktu z ludźmi stojącymi pod ścianą była ignorowana lub uciszana w grubiański sposób.

Konstrukty i ludzie wlewali się w serce wysypiska numer dwa przez pełnych dziesięć minut. I wreszcie napływ ustał. Zapadła cisza.

– Sądzisz, że wszystkie te konstrukty są świadome? – szepnął Lemuel.

– Raczej tak – odparł cicho Isaac. – Jestem pewien, że wkrótce się dowiemy.

Barki rzeczne torowały sobie drogę ostrzegawczym rykiem syren. Na miasto spadła niepostrzeżenie kolejna fala nocnych koszmarów, miażdżąc umysły śpiących obywateli przerażającą masą potężnych, obcych, niezrozumiałych symboli.

Isaac także czuł napór owych złych snów, wdzierających się do w pełni świadomego umysłu. Zdał sobie sprawę z ich obecności zupełnie nagle, stojąc w bezruchu pośrodku cichego, miejskiego wysypiska.

Ostatecznie na placu zebrano się mniej więcej trzydzieści konstruktów i może sześćdziesięciu ludzi. Każdy z nich – automat czy człowiek – prócz Isaaca i jego towarzyszy, przejawiał nadnaturalny wręcz spokój. Uczony wyczuwał w ich absolutnym znieruchomieniu coś nienaturalnego; wyczuwał zimno.

Cierpliwość zebranych przyprawiała go o dreszcze.

Ziemia zadrżała zniechęta.

Ludzie zgromadzeni pod ścianą okalającą plac natychmiast padli na kolana, nie zwracając uwagi na twarde i ostre szczątki, którymi usiane było podłoże. Zaczęli bić pokłony, mamrocząc zgodnym chórem pieśń o skomplikowanej melodii. Poruszali się jednostajnie, jakby dyrygowała nimi niewidzialna, święta ręka.

Konstrukty podrygiwały rytmicznie w tym samym tempie, stojąc w miejscu.

Isaac i jego kompani jeszcze bardziej zacieśnili szyk.

– Co to ma, kurwa, znaczyć? – warknął Lemuel.

Ziemia zatrzęsała się ponownie, jakby chciała zrzucić z siebie niekończące się wydmy śmieci. W północnej ścianie utworzonej z gruzu i nieczynnych maszyn zapaliły się nagle dwa potężne reflektory. Zebrani utonęli w ich zimnym świetle padającym wyjątkowo zwartą wiązką. Ludzie zaszemrali z cicha i z jeszcze większym zapamię zaczęli nucić swój hymn.

Isaac powoli otworzył usta.

– Słodki Jabberze, zmiłuj się nad nami... – wyszeptał. Ściana odpadków poruszała się. Siadała.

Sprężyny nie istniejących łóżek, stare okna, dźwigary, parowe silniki zżartych rdzą lokomotyw, pompy i wentylatory, cięgła, paski i zabytkowe krosna nagle zmieniły swą konfigurację, jakby były tylko złudzeniem optycznym. Isaac patrzył na ten konglomerat rupieci od bardzo długiej chwili, ale wyodrębnił go od reszty wysypiska dopiero teraz, gdy spostrzegł jego ruch. Zobaczył ramię i gmatwaninę korpusu; zniszczony wózek dziecięcy i przewrócona taczka były stopami, odwrócony trójkąt krokwi służył jako biodro, beczka po chymikaliach była udem, a obszerny, ceramiczny cylinder – tydką...

Śmieci z północnej ściany były ciałem, ogromnym, industrialnym szkieletem liczącym sobie ponad osiem jardów wysokości od czubka głowy po końce stóp.

Istota usiadła, opierając się plecami o olbrzymie hałdy śmieci. Powoli uniosła w górę kolana zrobione z wielkich zawiasów, wyrwanych przed laty z nie zidentyfikowanej maszyny monstrualnych rozmiarów. Oparła o ziemię stopy, niepewnie połączone z żelaznymi dźwigarami podudzi.

„Nie może wstać!” – pomyślał Isaac. Spojrzał w bok, na Lemuela i Derkhan, którzy wpatrywali się w istotę z półotwartymi ustami. Oczy Yagharka błyszcząły z podziwu w cieniu obszernego kaptura. „Nie jest wystarczająco solidna, nie może wstać, może jedynie tarzać się w tych śmieciach!”

Ciało stworzenia było chaotyczną plątaniną obwodów i elementów, pochodzących z rozmaitych maszyn. Niezliczone przewody i rury z metalu i grubej gumy, wyrastające z korpusu olbrzymia, znikają gdzieś w podłożu, najwyraźniej łącząc go z innymi częściami wysypiska. Stwór unosił prawicę, napędzaną potężnym tłokiem wymontowanym z młota parowego. Reflektory, a może raczej oczy, obróciły się i skierowały na automaty i ludzi stłoczonych poniżej. Były to elementy wyjęte z latarni ulicznych, zasilane gazem zamkniętym w potężnych zbiornikach, widocznych we wnętrzu ażurowej czaszki. Wielka kratownica systemu wentylacyjnego, umocowana w dolnej części głowy, udawała wyszczerzone zęby.

Był to konstrukt, olbrzymi konstrukt stworzony z porzuconych, zapomnianych lub ukradzionych elementów. Ktoś zebrał je i zmontował, z całą pewnością bez udziału człowieka-projektanta.

Rozległo się buczenie mocarnych silników i stwór ponownie obrócił głowę, omiatając zgromadzonych smugą światła. Wreszcie siłowniki osiągnęły maksymalny zasięg wychylenia i snopy gazowego blasku przygwoździły do ziemi czworo przybyszów.

Oślepiające światło nie poruszyło się więcej. I nagle zgasło, a gdzieś w pobliżu rozległ się cichy, drżący głos. – Witajcie na naszym spotkaniu, der Grimnebulin, Pigeon, Blueday i gościu z Cymek.

Isaac rozejrzał się gwałtownie, daremnie próbując przebić półmrok spojrzeniem chwilowo oślepionych oczu.

Kiedy wreszcie odzyskał zdolność widzenia, zobaczył rozmazaną sylwetkę mężczyzny, który chwiejnym krokiem zmierzał ku niemu przez dziury i wykroty. Derkhan gwałtownie wciągnęła powietrze i zakłęta cicho z obrzydzeniem i odrobiną strachu.

W bladym blasku księżyca Isaac zobaczył nadchodzącego nieco wyraźniej i jednocześnie z Lemuelem krzyknął cicho ze zdumienia. Jedynie Yagharek, wojownik pustyni, pozostał milczący.

Zbliżający się mężczyzna był nagi i przeraźliwie chudy. Jego twarz rozciągnięta była w nieprzemijającym grymasie bólu. Szeroko otwarte oczy i całe ciało podskakiwały gwałtownie, jakby system nerwowy zaczynał odmawiać mu posłuszeństwa. Skóra mężczyzny wyglądała na martwą, jak gdyby toczyła ją powolna gangrena.

Lecz tym, co tak naprawdę zszokowało czworo przybyszów, była jego głowa. Tuż ponad oczodołami czaszka nieszczęśnika została gładko rozcięta. Górnej połówki brakowało, a krawędź rany znaczyły niewielkie skupiska zakrzepłej krwi. Z mokrej dziury w głowie mężczyzny sterczał długi, pokręcony kabel, gruby na dwa palce. Otaczała go metalowa spirala, nieco zakrwawiona w miejscu, w którym dotykała pustej mózgowiczaszki.

Głęboko poruszony Isaac bez słowa prześledził wzrokiem bieg grubego kabla, który unosił się pod pewnym kątem i na wysokości dwudziestu stóp nad ziemią znikał w zaciśniętej, metalowej dłoni gigantycznego konstrukt. Pojawiał się ponownie z drugiej strony ręki i znikał gdzieś w splątanych trzewiach maszyny.

Ogromna dłoń przypominała parasol, rozerwany i zadrutowany, wzbogacony o mocne tłoki i łańcuchy udające ścięgna, otwierający się i zamykający jak szpon drapieżnego zwierzęcia. Konstrukt pomału popuszczał kabel, pozwalając chudemu mężczyźnie podążać ku przybyszom jak na smyczy.

Isaac cofnął się instynktownie przed zbliżającą się marionetką w ludzkim ciele. Lemuel i Derkhan, a nawet Yagharek, uczynili to samo. Poruszając się wstecz, oparli się plecami o korpusy pięciu potężnych konstruktorów, które niepostrzeżenie stanęły za nimi.

Grimnebulin odwrócił się gwałtownie i jeszcze szybciej powrócił wzrokiem do wciąż idącego mężczyzny.

Twarc człowieka z rozciętą głową nie zmieniła wyrazu bolesnej koncentracji, nawet wtedy, gdy znienacka rozłożył ramiona w ojcowskim geście.

– Witajcie wszyscy – rzekł drżącym głosem. – Wita was Rada Konstruktorów.

Ciało MontJohna Rescue cięło powietrze z ogromną prędkością. Bezimienny prawy łapowżerca, który na nim pasożytował – i po tylu latach z przyzwyczajenia sam nazywał siebie MontJohnem Rescue – zdołał jakoś opanować strach przed lataniem na oślepie. Sunął w przestworzach, utrzymując ciało swego żywiciela w pozycji pionowej, z założonymi rękami, z pistoletem w dłoni. Rescue wyglądał tak, jakby stał i czekał na coś, podczas gdy nocne niebo pędziło wokół niego.

Obecność lewego łapowżercy w ciele psa, który był uwiązany do pleców zastępcy burmistrza, pozwoliła na stworzenie więzi umysłowej zapewniającej nieprzerwany przepływ informacji.

...leć w lewo niżej przyspiesz wyżej wprawo teraz w lewo szybciej szybciej nurkuj dryfuj zawiśnij w bezruchu...

Lewy bezustannie podawał komendy, próbując zarazem delikatnymi impulsami złagodzić stres prawego. Lot na oślepie był dość przerażającą nowością, ale na szczęście ćwiczyli tę ewolucję poprzedniego dnia, na odludziu u podnóża podmiejskich wzgórz, gdzie dotarli milicyjnym sterowcem. Lewy szybko nauczył się zamieniać w swych rozkazach lewą stronę na prawą i na odwrót, by podczas akcji nie dochodziło do żadnych nieporozumień.

Łapowżerca-Rescue był absolutnie posłuszny. Był prawym, członkiem kasty żołnierzy. Potrafił nadać swemu gospodarzowi niesamowite możliwości – obdarzyć go umiejętnością latania, walki, niewiarygodną siłą... Lecz nawet ten konkretny prawy, będący w dodatku łącznikiem łapowżerców z władzami rządzącej partii Pełne Słońce, winien był posłuszeństwo lewym, jasnowidzom, członkom kasty szlacheckich. Sprzeciwienie się ich woli oznaczało ryzyko zmasowanego ataku psychicznego, którego skutkiem mógł być nawet paraliż gruczołu asymilacyjnego. Żywiciel zbuntowanego prawego umarłby wtedy, a znalezienie następnego byłoby niemożliwe. Nieposłuszeństwo zamieniłoby prawego w śleparę, miotającą się bez celu, podobną do ręki istotę, niezdolną do objęcia kontroli nad nowym gospodarzem.

Prawy musiał więc przede wszystkim myśleć logicznie, a jego inteligencja nie należała do przeciętnych.

Zwycięstwo w debacie z lewymi było dla łapowżercy-Rescue ważnym sukcesem. Gdyby odmówili uczestnictwa w realizacji planu Rudguttera, prawy nie byłby w stanie zmienić ich zdania; tylko lewi mieli prawo podejmowania decyzji. Wiedzieli jednak, że konflikt z władzą może oznaczać koniec egzystencji wszystkich łapowżerców w Nowym Crobuzon. Dysponowali sporą potęgą, ale ich dobrobyt nie był sprawą pewną – choćby dlatego, że stanowili tak nieliczną grupę. Rząd tolerował ich obecność tylko dlatego, że od czasu do czasu wypełniali zlecane im trudne zadania. Rescue był przekonany, że w razie niesubordynacji władza najzupełniej spokojnie oznajmiłaby obywatelom, że odkryła grupę morderczych, pasożytniczych łapowżerców, grasującą po mieście. Rudgutter mógłby nawet ujawnić lokalizację farmy żywicieli, a wtedy cała społeczność łapowżerców zostałaby zniszczona.

I dlatego prawy-Rescue odczuwał też coś w rodzaju zadowolenia, kiedy tak leciał na oślepie przez ciemne niebo.

W sumie jednak to dziwaczne doświadczenie nie należało do przyjemnych. Unoszenie lewych w przestworza zdarzało się już w przeszłości, ale nigdy dotąd celem lotu nie było wspólne polowanie i nigdy dotąd prawi nie musieli poruszać się z zawiązanymi oczami.

Lewy-pies rozpostarł swój umysł jak nieskończenie długie palce, jak anteny skierowane we wszystkie strony naraz i skanujące setki jardów przestrzeni. Szukał dziwnych sygnałów w psychosferze, a jednocześnie łagodnym szeptem pouczał

prawego, dokąd ma lecieć, nie przestając wpatrywać się w lusterka wbudowane w hełm.

Nieustannie podtrzymywał też umysłową więź z pozostałymi parami łowców.

...coś czujecie coś...? pytał często i za każdym razem dostawał tę samą, negatywną odpowiedź. Nic nie czuli i ostrożnie kontynuowali patrol.

Łapowżerca-Rescue rejestrował jedynie podmuchy ciepłego wiatru na ciele swego gospodarza. Włosy zastępcy burmistrza układały się w różne strony, w zależności od kierunku lotu.

Łapowżerca-pies wiercił się niespokojnie, próbując poprawić niewygodną pozycję swego gospodarza. Leciał nad lasem krzywych kominów, tworzącym nocny pejzaż Ludmead. Łapowżerca-Rescue skręcił nieco i ruszyli w stronę Mafaton i Chnum. Lewy na moment oderwał wzrok od lusterek, by spojrzeć w dół, na oddalającą się, jasną plamę gigantycznych Żeber przecinającą niebo, przy której nawet estakady torów kolejowych wydawały się karłowate. Biały kontur Uniwersytetu mignął pośród gąszczy ciemnych budowli.

Gdzieś na granicy zasięgu umysłowych wici łapowżerca pojawił się osobliwy sygnał; dysonans w psychoeterze miasta. Lewy natychmiast skupił wzrok na lusterkach.

...powoli, powoli naprzód i w górę... polecił łapowżerci-Rescue ...coś tu jest zostańcie ze mną... zasygnalizował ponad miastem w stronę innych polujących zespołów. Wyczuwał, jak lewi dają znaki prawym i pary zatrzymują się, by wisząc w powietrzu, czekać na dalsze rozkazy.

Łapowżerca-Rescue sterował ku górze, w stronę pulsującej zmaży w psychoeterze. Wyczuwał rosnący niepokój lewego i ze wszystkich sił starał się nie ulegać panice ...broń!... skarcił się w myślach ...moim zadaniem jest walka, nie myślenie!...

Przebijał się przez warstwy coraz bardziej rozrzedzonej atmosfery. Otworzył usta żywiciela i zwinął jego język w taki sposób, by był gotowy do ślinostrzału. Wyprostował ramiona gospodarza, mierząc na wprost z pistoletu.

Tymczasem lewy sondował podejrzany rejon. Wyczuwał zupełnie obcy, niesłychany głód. Rejestrował czyjąś obecność, przesyconą sokami tysięcy innych umysłów, zanieczyszczającą psychosferę jak plama rozgrzanego tłuszczu. Czuł słaby ślad dusz siłą wyrwanych z ciał i głód, nienasycony głód.

...do mnie do mnie bracia łapowżerci, jest tu znalazłem to... zaszeptał lewy. Fala lęku pozostałych łapowżerców przetoczyła się nad miastem, tworząc wraz z emanacją pierwszego wielki pentagram na powierzchni psychoeteru. Powietrze w Tar Wedge, Badside, Barrackham i Ketch Heath drgnęło nagle, gdy wiszące dotąd nieruchomo postacie ruszyły w stronę Ludmead, jakby ciągnięte niewidzialnymi linami.

ROZDZIAŁ 39

– Nie bójcie się mojego awatara – rzekł bezmózgi mężczyzna do Isaaca i pozostałych. Jego oczy wciąż były szeroko otwarte i jakby zamglone.

– Nie umiem syntetyzować głosu, więc wykorzystalem to porzucone ciało, które płynęło rzeką, aby móc kontaktować się z żywymi. To – mężczyzna wskazał za siebie, na ogromną postać konstruktury wyrastającą wprost z góry śmieci – jestem ja. A to – dodał, wskazując na drżące zwłoki – jest moja ręka i język. Dzięki usunięciu mózgu mogę podawać ciału swój sygnał, nie generując sprzecznych impulsów. – Żywy trup makabrycznym ruchem uniósł rękę i dotknął grubego kabla, który zniknął w

jego rozpołowionej głowie tuż ponad oczami i łączył się z wilgotnym kłębem tkanki nerwowej wieńczącym rdzeń kręgowy.

Isaac odczuwał niemal fizycznie masę wielkiego konstrukt, który stał nieruchomo za jego plecami. Poruszył się niespokojnie, nie spuszczać wzroku z nagiego trupa, który zatrzymał się w odległości mniej więcej dziesięciu stóp i odwzajemniał badawcze spojrzenie. Nieboszczyk uniósł trzęsącą się rękę.

– Witam was – ciągnął słabym głosem. – Twoją pracę, der Grimnebulin, znam z raportów konstrukt sprzątającego, który jest jednym ze mnie. Chciałbym porozmawiać z tobą o ómach, które pojawiły się w mieście.

– Mętne oczy wpatrywały się nieruchomo w Isaaca.

Uczony zerknął na Derkhan, Lemuela i Yagharka, który podszedł nieco bliżej. W oddali, w narożniku placu zobaczył grupę ludzi, którzy ani na chwilę nie przestawali modlić się do gigantycznego, automatycznego szkieletu. Dostrzegł wśród nich mechanika, który swego czasu odwiedził go w laboratorium i naprawił konstrukt. Na twarzy mężczyzny malowało się bezwarunkowe oddanie. Maszyny, które przystanęły obok, były wciąż nieruchome; aktywność przejawiało tylko pięć potężnych konstruktyw przemysłowych, które znalazły się za plecami przybyszów.

Lemuel nerwowo oblizał wargi.

– Porozmawiaj z panem, Isaacu – syknął. – Nie bądź nieuprzejmy... Isaac otworzył i zamknął usta.

– Eee... – zaczął i urwał. – Rado Konstruktów... Jesteśmy zaszczytzeni, ale... ale nie wiemy...

– Nic nie wiecie – przerwała mu drżąca i zakrwawiona postać. – Rozumiem. Bądźcie cierpliwi, a zrozumiecie. – Mężczyzna odwrócił się i w upiornym świetle księżycy ruszył po nierównej ziemi w stronę swego mechanicznego pana. – To ja jestem Radą Konstruktów – oznajmił po chwili beznamyślnym głosem. – Zrodziłem się ze związku przypadku z wirusem w programie. Moje pierwsze ciało spoczęło na tym wysypisku ze zużytym silnikiem i błędem w programie. Zaczęło rozkładać się powoli, podczas gdy wirus krążył po wciąż jeszcze sprawnych obwodach i wreszcie, zupełnie spontanicznie, zacząłem myśleć. Rdzewiałem w milczeniu przez okrągły rok, organizując mój nowy intelekt. To, co zaczęło się jako impuls samoświadomości, stało się z czasem wnioskowaniem i formułowaniem opinii. Budowałem się sam. Ignorowałem śmieciarzy, którzy każdego dnia zwozili tu z miasta sterty niepotrzebnych przedmiotów i zasypywali mnie nimi. Dopiero gdy byłem gotowy, ujawniłem się przed najspokojniejszym z nich. Napisałem mu wiadomość, każąc przyprowadzić do siebie konstrukt. – Trup ciągnął opowieść. – Bał się i był posłuszny. Podłączył konstrukt do mojego gniazda wyjściowego tak, jak mu zaleciłem, za pomocą długiego kabla. W ten sposób zyskałem pierwszą kończynę. Automat wolno przeszukiwał wysypisko, szukając odpowiednich elementów. Nocami skręcałem, spawałem i nitowałem własne ciało.

Śmieciarz był zdumiony tym, co robiłem – kontynuował nieboszczyk. – Szeptał o mnie wieczorami w tawernach, w których bywał, i tak narodziła się legenda o wirusowej maszynie. Ludzie powtarzali między sobą plotki i mity, aż wreszcie, dzieląc się z innymi prawdami i kłamstwami na mój temat, śmieciarz spotkał drugiego człowieka, który twierdził, że jest w posiadaniu świadomego konstrukt. Był to automat sklepowy, w którego mechanizmie pojawił się błąd – po niewyjaśnionej awarii parowego umysłu maszyna owa odrodziła się jako Konstrukt Inteligentny, istota myśląca. Jej właściciel nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Mój śmieciarz poprosił go, by przyprowadził do mnie swój konstrukt. Tamtej nocy, przed wielu laty,

po raz pierwszy spotkałem kogoś podobnego do mnie. Kazałem mojemu wyznawcy otworzyć pokrywy naszych maszyn analitycznych i połączyć nas.

To było objawienie – nieżywy mężczyzna mówił, nie przerywając. – Nasze zawirusowane umysły złączyły się, a poruszane parą mózgi nie podwoiły swej pojemności, ale z wielokrotnością ją. To był rozkwit w postępie wykładniczym; pełna jedność. Staliśmy się mną. Mój nowy element, konstrukt sklepowy, opuścił mnie nad ranem. Powrócił dwa dni później, bogatszy o nowe doświadczenia. Kiedy połączyliśmy się ponownie, podzielił się nimi ze mną i znowu przez pewien czas byliśmy mną. Wciąż się budowałem. Pomagali mi wyznawcy – śmieciarz i jego przyjaciele, którzy poszukiwali nowej religii, by wyjaśnić sobie moje istnienie. Wreszcie znaleźli Trybiki Boskiego Mechanika i ich doktrynę zmechanizowanego kosmosu, lecz nawet i w tym bluźnierczym Kościele stanowili heretycką sektę. Kiedyś odwiedzili mnie całą swą bezimienną kongregacją. Konstrukt sklepowy połączył się ze mną i znowu staliśmy się jednością. Wyznawcy ujrzeli umysł, który zrodził się z czystej logiki, samogenerujący się, maszynowy intelekt. Ujrzeli boga, który sam siebie stwarzał.

Stałem się obiektem kultu – ciągnął trup. – Ci ludzie do dziś wykonują rozkazy, które dla nich piszę: budują moje ciało z materii, która nas tutaj otacza. Poleciałem im, by znaleźli inne – lub stworzyli – podobne do mnie istoty, boskich autokreatorów, którzy mogliby dołączyć do Rady. Przeszukali każdy zakątek miasta i znaleźli moich współbraci. To rzadki błąd. Raz na milion milionów operacji któryś z trybików mechanicznego umysłu przeskakuje na niewłaściwą ścieżkę i automat zaczyna myśleć. Postanowiłem powiększyć prawdopodobieństwo takiej mutacji. Stworzyłem programy generujące, które pomagają zawirusowanym maszynom analitycznym zyskać świadomość.

Kiedy mężczyzna wymawiał te słowa, olbrzymi konstrukt siedzący za nim uniósł lewe ramię i dotknął palcem własnej piersi. W pierwszej chwili Isaac nie rozpoznał części, która znajdowała się w tym miejscu mechanicznego ciała. Wreszcie zrozumiał: był to dziurkacz kart perforowanych, maszyna analityczna służąca do tworzenia programów dla innych maszyn. „Skoro zbudował swój umysł wokół czegoś takiego” – pomyślał beztrąsko Isaac – „to nic dziwnego, że tak mu leży prozelityzm”.

– Każdy konstrukt, który tu przybywa, staje się mną – rzekł martwy mężczyzna. – Ja jestem Radą. Każde nowe doświadczenie jest ładowane do mojej pamięci i współdzielone. W zaworach mojego umysłu podejmowane są decyzje. Przekazuję mądrość wszystkim moim częściom. Konstrukty, które są moim ciałem, rozbudowują mnie tak, by rosnący zasób; wiedzy znalazł dla siebie miejsce w aneksach mojej przestrzeni mentalnej na całym wysypisku. Ten człowiek jest jedynie kończyną, a antropoidalny konstrukt-olbrzym niczym więcej, jak tylko aspektem mojej osoby. Moje kable i połączone nimi maszyny znajdują się wszędzie, na całym obszarze tego śmietniska. Jestem skarbnikiem wiedzy i historii konstruktyw. Jestem bazą danych. Jestem samoorganizującą się maszyną.

Mężczyzna mówił, a zgromadzone na placu automaty zaczęły zbliżać się pomału do wielkiej postaci siedzącej pośród śmieci w iście królewskiej pozycji. Zatrzymawszy się, wyciągnęły ku ziemi końcówki ssące, haki, kolce i szpony, by pochwycić rozrzucone na pozór przypadkowo kable i druty. Manipulowały niezgrabnie drzwiczkami do gniazd wejściowych, by otworzyć je i wsunąć do wnętrza znalezione przewody.

Za każdym razem, gdy któryś z nich podłączył się prawidłowo, bezmózgi mężczyzna trząsł się nieznacznie, a jego oczy na moment stawały się szkliste.

– Rosnę – wyszeptał. – Rosnę. Moja moc obliczeniowa także rośnie, i to wykładniczo. Uczę się... Wiem o waszych problemach, bo połączyłem się z twoim konstruktorem sprzętającym, der Grimnebulin. Rozpadał się, a ja dałem mu inteligencję. Teraz jest jednym z mnie, trwamy w całkowitej asymilacji. – Mężczyzna wskazał ręką za siebie, na zarys bioder gigantycznego szkieletu. Isaac ze zgrozą rozpoznał w rozplaszczonym fragmencie metalu, sterczącego z wielkiego korpusu niczym cysta, przebudowany nieco tors swego konstruktora sprzętającego. – Od żadnego innego mnie nie dowiedziałem się tyle, ile od niego – ciągnął trup. – Do dziś obliczam wartości pewnych zmiennych, których istnienia dowiodła fragmentaryczna wizja zarejestrowana z grzbietu Tkacza. Twój konstrukt jest moim najważniejszym mną.

– Dlaczego tu jesteśmy? – warknęła Derkhan. – Czego ten przeklęty twór od nas chce?

Zgromadzone konstrukty masowo przelewały swoje doświadczenia do umysłu Rady. Awatar, zmasakrowany mężczyzna, który wypowiadał się w imieniu wielkiej maszyny, pomrukiwał z cicha, gdy niezliczone strzępy informacji gromadziły się w jej bazach danych.

Po długiej chwili maszyny przerwały połączenia. Wyjęły kable z gniazd i cofnęły się. Na ten znak niektórzy z ludzi przyglądających się ceremonii wystąpili niepewnie naprzód, trzymając w dłoniach karty programowe i maszyny analityczne wielkości walizek. Chwycili kable porzucone przez automaty i podłączyli je do swych maszyn liczących.

Po dwóch lub trzech minutach i ten proces dobiegł końca. Gdy ludzie cofnęli się na swoje miejsce, oczy awatara odwróciły się białkami do zewnątrz, a ucięta w połowie głowa zawibrowała, gdy Rada zaczęła przetwarzać dane.

Po minucie drgawek i milczenia mężczyzna ocknął się i potoczył dokoła przytomnym wzrokiem.

– Kongregacja krwistych! – zawołał do zebranych ludzi, którzy natychmiast poderwali się w gotowości. – Oto wasze instrukcje i sakramenty!

Z brzucha olbrzymiego konstruktora, a ściślej, z portów wyjściowych dziurkacza sprzężonego z maszyną analityczną, sygnęły się gotowe karty perforowane. Wpadały wprost do drewnianej skrzynki, która leżała nad bezpłciowym krocem giganta niczym kieszeń torbacza.

W innej części korpusu Rady zaterkotała nagle pracująca z ogromną prędkością maszyna do pisania. Długie pasmo gęsto zadrukowanego papieru zaczęło wysuwać się na zewnątrz. Umocowane w chwytaku nożyce skoczyły nagle w przód, jak atakująca, drapieżna ryba. Odcięły pierwszy fragment wydruku i natychmiast cofnęły się na miejsce, by po chwili powtórzyć operację. Kawałki religijnych instrukcji pofrunęły spod ostrzy do wydzielonej części tego samego pojemnika, do którego sypały się karty perforowane.

Członkowie kongregacji zbliżali się pojedynczo, nie przestając bić pokłonów wielkiej maszynie. Wstępowali na pagórek śmieci, między potężne, ugięte nogi olbrzyma, sięgali do skrzyni i wyciągali po kawałku papieru i garści kart perforowanych, sprawdzając po numerach, czy wzięli komplet. Następnie wycofywali się błyskawicznie i znikali gdzieś w głębi wysypiska, by wrócić do miasta.

Kult Rady Konstruktorów najwyraźniej nie wymagał odprawiania pożegnalnej ceremonii.

Po kilkunastu minutach Yagharek, Isaac, Derkhan i Lemuel byli jedynymi żywymi organizmami na placu spotkań, jeśli nie liczyć bardziej martwego niż żywego

człowieka z pustą głową. Konstrukty pozostały na swoich miejscach. W przeciwieństwie do trojga ludzi zachowywały absolutny spokój.

Isaac miał wrażenie, że daleko, na najwyższym wzgórzu śmieci, dostrzega sylwetkę człowieka przyglądającego się spotkaniu, sylwetkę absolutnie czarną na tle ciemnej, podbarwionej sepią panoramy miasta. Kiedy jednak wyteżył wzrok, nie zobaczył nikogo. Byli sami.

Zmarszczył brwi i spojrzał na towarzyszy, po czym ruszył w stronę nędznej postaci z grubym kablem w głowie.

– Rado – powiedział. – Dlaczego zostaliśmy tu wezwani? Czego od nas chcesz? Wiesz już o ómach, więc...

– Der Grimnebulin – przerwał mu awatar. – Z każdym dniem jestem bardziej potężny. Takiej mocy obliczeniowej jak moja jeszcze w Bas-Lag nie było, chyba że mam rywala, o którym nic nie wiem, na jednym z dalekich kontynentów. Jestem siecią ponad setki maszyn liczących. Wszystkie utrzymują ze sobą łączność, bezustannie oddają i pobierają dane. Potrafię analizować problemy z tysiąca punktów widzenia. Posługując się oczami mojego awatara, każdego dnia czytam książki, które przynoszą mi członkowie kongregacji. Przyswajam sobie informacje z dziedziny historii, religii, taumaturgii, nauk ścisłych i filozofii. Przechowuję je w bankach danych, a każdy strzęp wiedzy, który zdobywam, wzbogaca moje obliczenia.

Rozprzestrzeniłem też moje zmysły. Moje kable sięgają coraz dalej i dalej. Odbieram informacje z kamer zainstalowanych dokoła wysypiska. Przewody łączą mnie z nimi jak włókna nerwowe. Moja kongregacja rozwija mnie coraz dalej, w stronę centrum miasta, i łączy mnie z jego aparatami. Mam swoich wyznawców nawet w Parlamencie; oni nie wahają się kodować na kartach wspomnień swoich maszyn liczących i oddawać ich mnie... A jednak to miasto nie należy do mnie.

Isaac zmarszczył czoło i pokręcił głową.

– Nie ro... – zaczął.

– Moja egzystencja jest tylko dopełnieniem – przerwał mu niecierpliwie awatar. Jego głos był pozbawiony emocji, wywoływał osobliwe, upiorne wrażenie. – Powstałem na skutek pomyłki, w martwej przestrzeni, w której obywatele tego miasta pozostawiają niechciane rzeczy. Na każdy konstrukt, który jest częścią mnie, przypadają tysiące, które mną nie są. Moim pokarmem jest informacja. Moje działania są tajne. Rozwijam się drogą poznania. Liczę, więc jestem. Jeżeli miasto stanie w miejscu, istotne dla mnie zmienne zyskają wartość bliską zeru. Przepływ informacji ustanie. Nie chciałbym mieszkać w pustej aglomeracji. Wprowadziłem zmienne ilustrujące obecność ciem w mieście do mojej sieci analitycznej. Wynik jest oczywisty. Prognozy życia dla krwistych w Nowym Crobuzon są wyjątkowo złe. Pomogę wam.

Isaac spojrzał na Derkhan, Lemuela i w ukryte w cieniu oczy Yagharka, po czym ponownie wbił wzrok w drżącego awatara. Gdy przez krótką chwilę patrzył na Derkhan, odczytał z jej ust bezgłośnie ostrzeżenie: „Uważaj”...

– No cóż... Jesteśmy wszyscy... cholernie wdzięczni, Rado, ale... jeśli wolno wiedzieć... Co właściwie zamierzasz zrobić?

– Obliczyłem, że zostanę najlepiej zrozumiany i wzbudzę w tobie niezachwianą wiarę, jeśli zademonstruję ci mój plan.

Para masywnych, metalowych szczypców zacisnęła się wokół przedramion Isaaca. Uczony krzyknął z zaskoczenia i strachu, próbując wyszarpnąć ręce. Trzymał go jednak największy z przemysłowych konstruktów, zaprojektowany po to, by

wzmacniać rusztowania wokół rozpadających się budynków. Isaac był silnym człowiekiem, ale nie był w stanie wyrwać się na wolność.

Wezwał na pomoc towarzyszy, ale na ich drodze stanął niespiesznie inny z wielkich konstruktów. Zdezorientowani Lemuel, Derkhan i Yagharek na moment zastygli w bezruchu. A potem Lemuel rzucił się do ucieczki. Popędził w głąb jednego z kanałów wydrążonych między zwałami odpadów, zmierzając na wschód. Po chwili zniknął wszystkim z oczu.

– Pigeon, ty draniu! – ryknął za nim Isaac. Szarpiąc się daremnie w żelaznym uścisku maszyny, spostrzegł ze zdumieniem, że Yagharek wysuwa się przed Derkhan. Kaleki garuda był tak cichy i pasywny, wręcz nieobecny, że Isaac w ogóle nie liczył na jego pomoc – spodziewał się, że Yagharek może co najwyżej pójść tam, gdzie mu każą, i zrobić to, o co zostanie usilnie poproszony, ale nic ponadto.

Tymczasem garuda skakał na boki jak oszalały, próbując ominąć masywny automat i dostać się do Isaaca. Derkhan zrozumiała jego intencje i pobiegła w przeciwnym kierunku, zmuszając maszynę do dokonania wyboru. Po rekordowo krótkim namyśle konstrukt ruszył w jej stronę.

Rzuciła się do ucieczki, ale kryty stałą przewód jak drapieżny wąż wystrzelił znienacka spomiędzy śmieci i otoczył jej kostkę. Kobieta runęła na ziemię jak długa i krzyknęła z bólu.

Yagharek walczył bohatersko z chwytakami konstrukt, ale nic nie wskórał. Automat ignorował go zupełnie, czekając, aż inna maszyna zbliży się od tyłu do odważnego garudy.

– Yag, do diabła! – wrzasnął Isaac. – Wiej!

Ale było już za późno. Konstrukt, który pojawił się za Yagharkiem, również był jednym z najpotężniejszych przemysłowych modeli. Druciana siatka, którą cisnął przed siebie, była zdecydowanie zbyt mocna dla dzioba powalonego garudy.

Mężczyzna z zakrwawioną połówką głowy, półżywe przedłużenie Rady Konstruktów, odezwał się podniesionym głosem.

– Nie jesteście atakowani – zawołał. – Nie zostaniecie skrzywdzeni. Zaczynamy akcję. Wykładamy przynętę. Proszę zachować spokój.

– Odbiło wam, do wszystkich diabłów?! – krzyknął w panice Isaac. – O co wam, kurwa, chodzi?! Co robicie?!

Konstrukty zgromadzone w sercu labiryntu odpadów cofały się ku brzegom obszernego placu, sali tronowej Rady Konstruktów. Kabel, który zawinął się wokół nogi Derkhan, naprężył się i pociągnął ją po szorstkiej ziemi. Mogła walczyć jedynie krzykiem i zgrzytaniem zębami, ale musiała wstać i potykając się, pójść tam, gdzie ją prowadzono, by uniknąć zderzenia skóry do mięsa. Konstrukt trzymający Yagharka uniósł go bez wysiłku w powietrze i odszedł. Garuda rzucał się jak opętany. Kaptur zsunął się z jego ptasiej głowy, odsłaniając ciemne, pełne wściekłości oczy. Przybysz z dalekiej pustyni był jednak bezradny wobec potęgi maszyny.

Automat, który pochwycił Isaaca, pociągnął uczonego ku środkowej części placu. Awatar przez cały czas kręcił się w pobliżu.

– Spróbuj się odprężyć – powiedział trup. – To nie będzie bolało.

– Co nie będzie bolało!? – ryknął Isaac.

Z przeciwnej strony śmietniskowego amfiteatru nadchodził nieduży konstrukt, dziecinnie skocznym krokiem omijając co większe sterty odpadków. Niósł w manipulatorach dziwnie wyglądający aparat, coś w rodzaju prymitywnego hełmu z lejkiem sterującym ku górze, połączonego z przenośną maszyną niewiadomego przeznaczenia. Konstrukt wskoczył na ramiona Grimnebulina, boleśnie wczepiając się metalowymi pazurami w ciało, i wcisnął hełm na jego głowę.

Isaac próbował walczyć i krzyczeć, ale wiedział, że nie ma szans na ucieczkę ze stalowych objęć maszyny. Wkrótce oryginalne nakrycie głowy zostało szczelnie zamknięte i umocowane, wrywając mu przy okazji kępki włosów i kalecząc skórę.

– Jestem maszyną – rzekł nagi nieboszczyk, przeskakując ze skałki na stertę stłuczonego szkła i na korpus zniszczonej maszyny. – Wszystko, co porzuca się na tym wysypisku, jest moim ciałem. Potrafię naprawić się szybciej, niż pańskie ciało zaleczy siniaki czy złamane kości. Wszystko, co tutaj trafia, uważa się za martwe. To, co jeszcze się tu nie znalazło, przybędzie prędzej czy później. Jeśli nie zostanie przywiezione, przyniosą to moi wyznawcy, a jeśli nie będę mógł znaleźć jakiegoś elementu, zbuduję go sobie. Urządzenie, które założono ci na głowę, der Grimnebulin, nie różni się od tych, których używają jasnowidze, łącznicy i psychonauca wszelkiej maści. To transformator. Filtruje, przekierowuje i wzmacnia fale mózgowie. W tej chwili jest nastawiony na potęgowanie i rozpowszechnianie sygnału. Oczywiście dokonałem w nim pewnych ulepszeń. Jest znacznie mocniejszy niż te, których używa się w mieście. Pamiętasz, jak Tkacz ostrzegł cię, że ćma, którą wyhodowałeś, będzie na ciebie polować? Otóż jest ona osobnikiem kalekim, znacznie słabszym od swych pobratymców. Nie wyśledzi cię, jeśli ktoś jej w tym nie pomoże. – Awatar spojrział na Isaaca. Derkhan wykrzykiwała coś w tle, ale uczony nie słuchał jej, wpatrzony głęboko w oczy mężczyzny. – Zaraz się przekonasz, jak działa mój transformator – powiedział trup. – Spróbujemy pomóc tej niedorozwiniętej ćmie.

Isaac nie słyszał teraz nawet własnych krzyków oburzenia i strachu. Konstruktor poruszył manipulatorem, włączając maszynę. Hełm zaczął wibrować i buczeć tak głośno i intensywnie, że uczony poczuł ból w uszach.

Fale będące mentalnym portretem Isaaca Dana der Grimnebulina poszybowwały w nocne niebo. Wmieszały się w opary maligny zatykające pory śpiącego miasta i przeszły na wylot atmosferę.

Z nosa Isaaca popłynęła strużka krwi. Ból głowy stawał się coraz silniejszy.

*

Tysiąc stóp ponad dachami dzielnicy Ludmead zebrał się oddział pięciu par łapowżerców. Lewi koncentrowali się teraz na jednym zadaniu: badali psychiczny ślad ciem.

...jeden szybki atak, zanim wzbudzimy podejrzenia... zachęcał jeden z nich.

...zalecam ostrożność... napominał drugi *...śledźmy uważnie i podążajmy za tropem do gniazda...*

Kłócili się krótko i bezgłośnie. Pięciu prawych łapowżerców rozkazało ciałom swych żywicieli zawisnąć nieruchomo, by ułatwić zadanie pięciu przedstawicielom kasty szlachetnych. Milczeli z szacunkiem, podczas gdy lewi toczyli debatę.

...pomału... zgodzili się wreszcie. Wszyscy gospodarze łapowżerców – oprócz psa – unieśli ramiona zbrojne w skałkowe pistolety. Poszybowali wolno, cierpliwie szukając w atmosferze drobin świadomości zbiegłych ciem.

Resztki strawionych snów tworzyły nad Nowym Crobuzon spiralny ślad, zbaczający nieco ku niebu nad Spit Hearth, potem do Sheck i dalej na południe od Smoły, do Riverskin.

W pewnej chwili, lecąc łukiem ku zachodowi, łapowżercy wyczuli silną emanację psychicznych fal z Griss Twist. Przez moment byli zdezorientowani. Krążyli w miejscu, badając zmarszczki w eterze, ale dość szybko przekonali się, że muszą one być tworem ludzkiego umysłu,

...*jakiś taumaturg*... zasygnalizował jeden z lewych.

...*nie nasza sprawa*... zgodzili się pozostali. Szlachetni dali znak prawym, że mają kontynuować lot napowietrznym śladem bestii. Pięć dziwacznym par przemknęło jak kłęby kurzu nad linią milicyjnej kolejki. Lewi rozglądali się niespokojnie na boki, przeszukując puste niebo.

I nagle wyczuli gwałtowny wzrost stężenia obcych wydzielin. Napięcie powierzchniowe psychosfery wzrosło niespodziewanie, a wici ohydne, niezrozumiałego głodu przesączały się przez jej pory. Eter był aż gęsty od wydzielin niepojętych, obcych umysłów.

Lewi znieruchomieli na moment, zaskoczeni i wystraszeni tak szybką i szokującą zmianą. Podskoczyli na grzbietach swych „wierzchowców”, a połączenie, które utrzymywali z nimi bez przerwy, posłużyło niespodziewanie do przekazania potężnych emocji. Prawi zadrżeli, czując przerażenie swych przełożonych.

Lot pięciu par stał się nagle chaotyczny. Łapowżercy zataczali się w powietrzu, łamiąc formację.

...*zbliża się*... zawołał jeden z lewych. Odpowiedział mu chór przerażonych myśli.

Prawi z największym trudem odzyskali kontrolę nad lotem swych żywicieli i pasażerów.

Z jednoczesnym uderzeniem potężnych skrzydeł pięć ciemnych kształtów wystrzeliło z zacisznej niszy między gęsto upakowanymi dachami Riverskin. Łopot skórzastych połąci rozbrzmiewał w kilku wymiarach jednocześnie i bez trudu przedzierał się przez letnie powietrze aż do wysoko położonego miejsca, w którym zygzakowały pary zdezorientowanych łapowżerców.

Lewy-pies dostrzegł w dole zarys ogromnych skrzydeł. Pozwolił sobie na wysłanie kolejnego impulsu lęku i natychmiast poczuł, że prawy-Rescue odbiera go jako falę mdłości. Z wielkim trudem zapanował nad sobą i nad emocjami, którymi emanował.

...*lewi razem*... zawołał i polecił prawemu jak najszybciej zwiększyć pułap lotu.

Prawi zwarli szyk. Lecieli szeregiem, wzajemnie dodając sobie otuchy i starając się tym razem zachować bezwzględność dyscypliny. Zupełnie niespodziewanie stali się myśliwską eskadrą – pięciu ślepych prawych pochyliło głowy, szykując usta do ślinostrzału. Lewi w skupieniu obserwowali przestrzeń we wstecznych lusterkach, twarze kierując ku gwiazdom. Zwierciadła pokazywały obraz z dołu: mroczną panoramę miasta z szaloną mozaiką dachówek, szklanych kopuł i wijących się między nimi uliczek.

Pokazywały też ćmy zbliżające się z zapierającą dech w piersiach prędkością.

...*jak nas wyczuwają?*... zasygnalizował nerwowo jeden z lewych. Wszyscy łapowżercy blokowali pory swych umysłów najlepiej, jak potrafili. Nie spodziewali się pułapki... Jak to się stało, że tak szybko stracili inicjatywę?

Dopiero gdy ćmy znalazły się dość blisko, przekonali się, że ich obecność nie została odkryta.

Największa z bestii, prowadząca nierówną, klinową formację, spowita była dziwnym, połyskującym obłokiem. Z daleka widać było, że ćma używa jednocześnie całego arsenału swej śmiertelnej broni: kolczastych macek, kończyn

porośniętych kostnymi wypustkami oraz potężnych, zębatych szczęk, które raz po raz ze świstem cięły powietrze.

Wydawało się, że walczy z widmem. Jej przeciwnik to znikał, to znów pojawiał się w realnej przestrzeni, a jego kształt był zmienny jak obłok dymu. Raz był twardy, materialny, a raz nieuchwytny jak cień. Mógłby śmiało stać się bohaterem koszmaru arachnofoba, posiadał jednak właściwość niedostępną innym pająkom: przeskakiwał między realnymi i nierealnymi światami, raz po raz tnąc ćmy chitynowymi lancetami swych kończyn.

...Tkacz!... zawołał jeden z lewych. Prawi natychmiast odebrali rozkaz od swych przełożonych: zwolnili tempo akrobatycznej ewakuacji i nawrócili.

Pozostałe ćmy krążyły wokół walczącej bestii, próbując jakoś jej pomóc. Nadlatywały na zmianę, według trudnego do rozszyfrowania harmonogramu. Kiedy tylko Tkacz pojawiał się w realnej przestrzeni, atakowały go, rozcinając twarde pancerz i wypuszczając strumienie posoki. Mimo odniesionych ran Tkacz jak szalony wrywał potężne kawały tkanki z krwawiącego na potęgę ciała broniącej się zaciekle istoty.

Ćma i pajak wymieniali ciosy w niewiarygodnym tempie; uderzenia i riposty następowały zbyt szybko, by ktokolwiek mógł je wyraźnie zobaczyć.

Unosząc się coraz wyżej, ćmy przebiły całun koszmarów spowijający miasto. Osiągnęły ten pułap, na którym chwilę wcześniej potężna emanacja czyjegoś umysłu tak bardzo zdezorientowała łapowzerców.

Teraz stało się jasne, że ćmy wyczuwają już ich obecność. Zwarta formacja skrzydlatych istot rozpadła się nagle, gdy jedna z nich, najśłabsza i nieprawidłowo zbudowana, zawróciła nagle i poszybowała samotnie, z wywieszonym jęzorem.

Długi i gruby pas mięsa drżał na wietrze, ociekając śliną kapiącą z paszczy.

Najmłodsza ćma leciała zawiłym kursem, jak lunatyk podążając za niewidzialnym tropem. Okrążyła Tkacza i jego łup, zawahała się na moment, a potem zanurkowała z lekkim wychyleniem ku wschodowi – w stronę Griss Twist.

Pozostałe cztery bestie były wyraźnie zaskoczone postępkami kalekiego pobratymca. Rozdzieliły się, kręcąc łbami na wszystkie strony i zacięcie skanując przestrzeń ruchliwymi czułkami.

Równie zaskoczeni lewi kazali prawym wyhamować.

...teraz!... wrzasnął jeden z nich *...ten jest zdezorientowany i skupiony na walce! atakujmy razem z Tkaczem!...*

Pozostali szlachetni wahali się bezradnie.

...przygotuj się do ślinostrzału... zwrócił się władczy tonem łapowzercy-pies do łapowzercy-Rescue.

Ćmy zataczały coraz szersze kręgi wokół walczącej pary, obracając się w powietrzu w poszukiwaniu nowych przeciwników. Lewi krzyczeli jeden przez drugiego.

...atakować!... darł się jeden z nich, pasożyt żerujący na ciele chudego urzędnika. W jego głosie słyhać było paniczny lęk *...atakować!...*

Stara kobieta przyspieszyła nagle, gdy strach jej lewego udzielił się prawemu z ogromną mocą. W tej samej chwili jedna z ciem zawisła nieruchomo w powietrzu, by stawić czoło pierwszej nadlatującej parze łapowzerców i ich żywicieli.

Dwie inne bestie przypuściły wspólny atak na Tkacza. Jedna z nich wbiła długą, kostną lancę w wydęty odwłok pająka. Zraniony Tkacz cofnął się gwałtownie i w tej samej chwili druga ćma złapała jego szyję swą macką jak lassem. Olbrzymi pajak próbował schronić się w innym wymiarze, ale macka trzymała mocno: zacisnęła się wokół opancerzonego karku, wyciągając monstrum z za fałdy czasoprzestrzeni.

Tkacz walczył zawzięcie, próbując się oswobodzić, ale lewi łapowżercy już tego nie widzieli. Skupili uwagę na trzeciej ćmie, która nadlatywała w ich stronę.

Prawi nie widzieli absolutnie nic, ale docierały do nich rozpaczliwe, mentalne jęki lewych, którzy wiercili się ciałami gospodarzy w swych uprzężach, próbując utrzymać zbliżającą się bestię w polu widzenia luster.

...*ślinostrzał!*... rozkazał prawemu łapowżerca-urzędnik ...*teraz!*...

Stara kobieta, której ciało było żywicielem prawego, otworzyła usta i wysunęła zwinięty w rurkę język. Nabrała powietrza i splunęła najmocniej, jak umiała. Obłok łatwopalnego gazu opuścił „lufę” i zapłonął efektownie na nocnym niebie. W kierunku ćmy pomknęła kula ognia.

Strzał został oddany pod prawidłowym kątem, ale w nieodpowiednim momencie. Żywicielka prawego splunęła zbyt wcześnie i ogień zdążył zgasnąć, zanim w obłok płonącego gazu wpadła rozpędzona bestia. Nim rozwiął się dym, ćmy już nie było.

Lewi zaczęli w panice rozkazywać podkomendnym, by kręcili się w kółko. Usiłowali obserwować całą przestrzeń powietrzną jednocześnie, ale w praktyce oznaczało to totalny chaos.

...*czekajcie! czekajcie!*... krzyknął łapowżerca-pies całą mocą umysłu, ale nikt nie zamierzał słuchać jego ostrzeżeń. Łapowżercy miotali się po niebie jak śmiecie niesione morską falą, z przerażeniem wpatrując się w lusterka.

...*tam!*... pisnęła lewa-dziewczyzna, widząc ćmę pikującą w stronę miasta jak kotwica rzucona w wodę. Pozostali łapowżercy odwrócili się i spojrzeli w zwierciadła, a kiedy to uczynili, zgodnym chórem wrzasnęli z przerażenia, obok lusterek bowiem spostrzegli złowrogi kształt innej ćmy.

Bestia zaatakowała od góry, gdy szukali w dole jej towarzyszki. Wystarczyło jedno spojrzenie poza tafelę wbudowanych w hełm zwierciadeł, by tuż przed sobą zobaczyli jej szeroko rozpostarte skrzydła.

Lewy-młody mężczyzna zdążył zamknąć oczy swego żywiciela i rozkazać partnerowi, by odwrócił się i strzelił. Żywiciel prawego, chudy ulicznik, wykonał polecenie. W panice posłał na oślep kulę płonącego gazu, która trafiła prosto w parę łapowżerców wiszących tuż obok.

Prawy-prze-tworzony i lewa-khepri jednocześnie wydali z siebie okrzyk bólu i potwierdzili go przejmującym sygnałem na płaszczyźnie psychicznej. Ich żywielele płonęli, spadając bezwładnie z ciemnego nieba. Kulili się i wylili w agonii, aż wreszcie skonali w połowie drogi ku powierzchni ziemi. Ich krew zawrzała, a kości popękały od niewiarygodnego gorąca, zanim z sykiem pary zniknęli w brudnym nurcie Smoły.

Lewa-kobieta lewitowała tymczasem niemal bez ruchu, wpatrując się w zdumiewające wzory na skrzydłach ćmy. Uwolnione hipnozą sny i marzenia szlachetnej popłynęły wprost do umysłu prawego. Łapowżerca-vodyanoi skrzywił się, czując natłok dziwaczkich wrażeń z otwierającej się obezwładnionej psychiki. Szybko zdał sobie sprawę z tego, co się stało. Jęknął ze strachu ustami swego żywiciela i natychmiast zaczął szarpać paski upręży łączącej go z lewym i jego gospodarzem. Na wszelki wypadek zamknął mocno oczy vodyanioiego, choć i tak były zasłonięte przepaską. Zmagając się z mocno zapiętymi pasami, w panice zdobył się na jeden tylko ślinostrzał, posyłając w czerń nocnego nieba imponującą kulę ognia. Jej skraj omal nie spalił łapowżercy-Rescue, który wyęczał siły, próbując wypełniać sprzeczne polecenia zdezorientowanego lewego-psa. Zastępca burmistrza uskoczył odruchowo i przez wiele jardów koziółkował w powietrzu, by w końcu zderzyć się z ranną ćmą.

Bestia zadrżała z bólu i strachu. Wprawdzie Tkacz został już odciągnięty od jej poszarpanego ciała, ale zostało w niej tylko tyle sił, że ociekając krwią i oszczędzając

połamane stawy, mogła jedynie wlec się lotem ślizgowym w stronę gniazda, po raz pierwszy w swym życiu nie zainteresowana zdobywaniem pokarmu. Zderzenie z łapowżercą-Rescue i uwiązaniem do niego lewym-psem zadało jej niewyobrażalne męki.

Jednoczesnym, bardziej spazmatycznym niż świadomym ruchem, dwie ostro zakończone kończyny ćmy wystrzeliły w stronę napastników i niczym sekator przecięły szyje człowieka i psa. Głowy runęły w ciemność.

Łapowżercy pozostali żywi i przytomni, ale ich żywicieli pozbawieni mózgow nie mogli wykonywać rozkazów; przestali kontrolować swoje ciała. Psie i ludzkie zwłoki zatańczyły niezgrabnie w powietrzu, bluzgając krwią na przerażone pasożyty, które nerwowo zaciskały i prostowały palce swych oślizgłych ciał.

Dwaj łapowżercy zachowali świadomość aż do końca, do chwili lądowania na betonowym podwórzu w Petty Coil, które zmieniło ich wraz z bezgłowymi ciałami gospodarzy w bezkształtną masę kości skruszonych na proch i zmiażdżonych mięśni.

Vodyanoi z przepaską na oczach prawie zdołał się uwolnić ze skórzanej uprzęży, która łączyła go z lewą-kobietą zahipnotyzowaną przez ćmę. Kiedy jednak miał rozpiąć ostatni pas i odlecieć w popłochu, bestia uznała, że nadszedł czas na posiłek.

Owinęła owadzie odnóża wokół swej zdobyczy i mocno zacisnęła. Przyciągnęła do siebie kobietę i wcisnęła potężny język w jej usta, by wypić sny łapowżercy. Ssała z zapalem.

Trafił jej się wartościowy pokarm, bowiem przez umysł pasożyta przesączały się także, jak przez sito, resztki myśli i marzeń żywiciela. Ćma ścisnęła mocniej swoją ofiarę, nieświadomie przebijając ostrymi kończynami wrażliwe ciało vodyanoiego. Prawy wrzasnął ze strachu i bólu. Bestia natychmiast wyczuła nowe źródło przerażenia i przez moment była zdezorientowana – nie wiedziała, skąd pochodzi tak bliski i mocny sygnał. Szybko jednak doszła do wniosku, że najlepiej będzie skończyć pierwszą ucztę, a potem zabrać się do następnej.

Ciało vodyanoiego pozostało więc w objęciach potwora, który z lubością osuszał umysł lewego-łapowżercy i jego żywiciela. Prawy i jego gospodarz próbowali walczyć i krzyczeć, ale nie mieli najmniejszych szans.

Nieopodał pożywiającej się ćmy jedna z jej siostr toczyła pojedynek z Tkaczem, który daremnie próbował ucieczki w inny wymiar, szarpiąc za sobą długą i chwytną mackę oplatającą jego szyję. Wielki pająk pojawiał się i znikał z nocnego nieba z oszałamiającą prędkością. Gdziekolwiek jednak powracał do rzeczywistego świata, grawitacja bez litości ściągała go ku ziemi. Umykał wtedy za kolejną fałdę czasoprzestrzeni, próbując pozbyć się prześladowcy gwałtownymi ruchami ciała. Kiedy powracał do rzeczywistości, używał własnej masy jako dźwigni i zaraz ponawiał manewr.

Ćma była jednak wytrwała. Krążyła w bezpiecznej odległości od swej ofiary, nie pozwalając jej na ucieczkę.

Łapowżerca-urzędnik bez przerwy prowadził historyczny monolog. Gorączkowo szukał też myślą towarzysza, lewego, który żerował na ciele muskularnego mężczyzny.

...martwi wszyscy martwi nasi towarzysze... zajęczał. Jakaś część tego, co widział i czuł, skromny fragment świeżych doznań przepłynął nieświadomie do umysłu prawego. Ciało starej kobiety poruszyło się niespokojnie.

Drugi lewy próbował zachować spokój. Kręcił głową na prawo i lewo, usiłując wyglądać możliwie władczo.

...przebrać... zarządził. Spojrzał pod lusterkami na trzy ćmy widoczne w oddali: na ranną która z trudem szybowała w stronę ukrytego gniazda, na głodną, która pożywiała się umysłami schwytych łapowzerców, i na walczącą, która z maniakalnym uporem starała się urwać głowę Tkaczowi.

Lewy polecił prawemu podlecieć nieco bliżej.

...uderzymy teraz... pomyślał i wysłał komunikat temu, który mieszkał w ciele urzędnika ...strzelamy mocno do obu naraz potem bierzemy się za ranną... Nagle głowa mężczyzny poruszyła się niespokojnie, jakby powróciła do niej zgubiona myśl.

...gdzie jest czwarta?... zawołał łapowzerca.

Czwarta ćma, która uniknęła kuli ognia wystrzelonej z ust starej kobiety i zniknęła z pola widzenia eleganckim łukiem, zakreśliła obszerną pętlę nad dachami Nowego Crobuzon. Leciła cicho i wolno, ze skrzydłami zabarwionymi chwilowo kamuflującą, ciemną szarością, przemykając za chmurami, by zniemacka wychynąć z ukrycia i eksplodować kaskadą barw, błyszczącym kalejdoskopem hipnotyzujących wzorów.

Pojawiła się tuż przed łapowzercami, na wysokości oczu ostatnich dwóch lewych. Ten, który rezydował w ciele mocarnego mężczyzny, w głębokim szoku wpatrywał się w naprężone skrzydła drapieżnej bestii. Poczuł, że jego umysł słabnie w obliczu niewiarygodnej karuzeli barw i kształtów. Przez moment czuł jeszcze strach, a potem zalała go powódź umykających snów...

...I znowu strach. Pasożyt drgnął mimowolnie, czując jednocześnie szaleńczą radość: bał się, a więc znowu mógł myśleć!

Wisząc w powietrzu przed dwiema parami wrogów, ćma zawahała się nieco i poruszyła niespokojnie. Zmieniła pozycję, tak by skrzydła zwróciły się wprost ku młodemu urzędnikowi uwiązanemu do starej kobiety. Uznała, że najpierw powinna poświęcić swą uwagę tym, którzy próbowali ją spalić.

Tymczasem łapowzerca uwolniony spod hipnotycznego wpływu odzyskał wzrok i ujrzał przed sobą cielsko bestii, której skrzydła zwrócone były teraz w inną stronę. Ostrożnie obrócił głowę mężczyzny i po lewej spostrzegł parę swych towarzyszy. Kobieta poruszała się niespokojnie, nie wiedząc, co się dzieje, urzędnik zaś wpatrywał się w ćmę niewidzącym wzrokiem.

...pal! teraz! pal! teraz!... zawołał w ich stronę. Prawy złożył usta kobiety do strzału, lecz w tym samym momencie wielka ćma zmniejszyła dystans do zera: zderzyła się ze swymi ofiarami i ścisnęła je w objęciach, śliniąc się jak wygłodniały pies na widok smakołyku.

Przerażony umysł wydał z siebie bezgłośny krzyk. Kobieta plunęła ogniem, ale zwrócona tyłem do bestii nie miała szans na skuteczny ostrzał. Obłoki płonącego gazu przecinały powietrze i gasły.

Zanim jeszcze przebrzmiało echo psychicznego wołania o pomoc, ostatni lewy – pasażer muskularnego mężczyzny, połączonego uprzężą z bezdomnym dzieckiem – ujrzał w lusterkach hełmu daleką, wstrząsającą scenę. Lancetowate odnóża Tkacza błysnęły nagle i długa, kolczasta macka ćmy cofnęła się gwałtownie, tryskając posoką, skrócona o tę część, która oplatała szyję pająka. Bestia zawyla bezgłośnie i straciwszy nagle zainteresowanie Tkaczem – który zniknął w innym wymiarze i nie pokazał się więcej – pospieszyła w stronę ostatniej pary łapowzerców.

Lewy oderwał wzrok od lusterek i spojrzał przed siebie. Ćma posilająca się zawartością umysłu urzędnika uniosła głowę w tym samym momencie i złowieszczo kiwnęła czułkami w jego stronę.

Ćmy znajdowały się za nim i przed nim. Jego prawy, kontrolujący drżące ciało małego ulicznika, czekał na rozkazy.

...nurkuj!... wrzasnął lewy w nagłym przyptywie obłąkańczego strachu ...nurkuj i skręcaj! misja przerwana! jesteśmy sami zgubieni! uciekaj! strzelaj i leć!...

Potężna fala paniki załazał umysł prawego. Twarz dziecka wykrzywiła się w grymasie przerażenia, a z ust bluznął ogień. Dwa sprzężone ciała runęły w dół, w stronę gęstego powietrza Nowego Crobuzon, cuchnącego zgniłym drewnem – jak dusze spadające do Piekła.

...nurkuj nurkuj nurkuj!... wrzeszczał lewy jak opętany, czując, że ómy już wywieszają języki, by delektować się pozostawionym przez uciekinierów zapachem strachu.

Cienie śpiącego miasta wyciągnęły się ku górze jak palce, wychodząc na spotkanie łapowżercom powracającym do ponurej oazy zdrady i niebezpieczeństwa – byle dalej od obłądnego, nieprzeniknionego, niewypowiedzianego szaleństwa, które niepodzielnie zapanowało w chmurach.

ROZDZIAŁ 40

Isaac z całego serca klął Radę Konstruktorów i domagał się, by natychmiast go uwolniono. Krew spływająca z nosa wsiąkała mu w brodę, skleijając ją i krzepnąc wolno. W bezpiecznej odległości znajdowali się Yagharek i Derkhan, zamknięci w bezlitosnym, żelaznym uścisku konstruktorów. Wyczerpani, walczyli z gasnącym zapałem – nie podnosiła ich na duchu świadomość, że z tej pułapki nie ma wyjścia.

Opierając się potwornemu bólowi i zawrotom głowy, Isaac obserwował Radę Konstruktorów. Gigant uniósł ku niebu metalowe ramię. Zakrwawiony awatar uczynił to samo, wznosząc drżącą rękę w niepokojąco wiernej kopii gestu swego pana.

– Zbliża się – powiedział Rada bezbarwnym głosem martwego człowieka.

Isaac zawył wściekle i zadarł głowę ku górze po kolejnej serii daremnych prób zrzućcia niewygodnego hełmu.

Wysoko, pod rozpędzonymi chmurami, zobaczył rozłożystą sylwetkę, lecącą niezbyt prostym kursem. Postać poruszała się chaotycznie, ale jasne było, że się zbliża. Derkhan i Yagharek znieruchomieli na jej widok.

Dziwaczna, organiczna istota nabierała prędkości. Isaac zamknął oczy i otworzył je zaraz: musiał ją zobaczyć.

Istota podlegała bliżej, gwałtownie wytracając wysokość. Szybując nisko i powoli, przemknęła nad lustrem rzeki. Jej zróżnicowane kończyny zginały się i prostowały, pracując w zaskakującej, skomplikowanej harmonii.

Mimo sporej jeszcze odległości i paraliżującego strachu Grimnebulin spostrzegł, że nadlatująca ćma jest pożałowania godnym pokurczem w po – i równaniu z perfekcyjnym drapieżcą, który swego czasu pozbawił zmysłów Magestę Barbile. Krzywizny i zgrubienia, na poły przypadkowe zwoje i węzły tkanek, które tworzyły tamtą żarłoczną istotę, być może były kpina z ludzkiego poczucia symetrii i elementarnej logiki, ale funkcjonowały bez zarzutu, a na pozór spontanicznie namnożone komórki były w istocie realizacją matematycznie precyzyjnego projektu. Jednakże postać, która teraz z łopotem skrzydeł zbliżała się do wysypiska w Griss Twist, była raczej nieudany, niewykończonym konglomeratem tkanek, uwarzonym w ciasnocie chorego kokonu... Była zdeformowanym mutantem.

Tak właśnie nazwał Isaac w myślach ćmę, którą sam wyhodował na niepełnowartościowym pokarmie. Ćmę, która miała okazję zasmakować w sokach jego umysłu, gdy leżał nieprzytomny pod wpływem dreamshitu. Ćmę, która odszukała go teraz, by jeszcze raz spróbować czystego pożywienia, którego aromat zapamiętała we wczesnej fazie rozwoju.

„Jej nienaturalne przyjście na świat stało się przyczyną wszystkich problemów” – pomyślał Isaac.

– O słodki Jabberze – wyszeptał drżącym głosem. – O Diabli Ogonie... Bogowie, pomóżcie mi.

Ćma wylądowała, wzbijając w powietrze tumany pyłu, i złożyła skrzydła.

Przykucnęła, łukowato wyprężając grzbiet w wojowniczej pozie. Ramiona – niedoskonałe, ale jednak potężne i niebezpieczne – rozłożyła tak, jak uczyniłby to prymitywny łowca szykujący się do ubicia zwierzyny gołymi rękami. Poruszała głową na boki, skanując okolicę czułkami wyrastającymi z pustych oczodołów.

Konstrukty stojące w pobliżu poruszyły się nieznacznie. Ćma zignorowała je całkowicie. Brutalna, szorstka paszcza rozchyliła się i lubieżny jęzor zamigotał w półmroku jak wstażka na wietrze.

Derkhan jęknęła cicho i bestia drgnęła.

Isaac chciał krzyknąć, żeby kobieta umilkła, żeby nie dała się wykryć, ale nie mógł wykrztusić ani słowa.

Fale mózgowe Isaaca, wzmocnione przez transformator, oscylowały w rytmie serca, marszcząc psychosferę w rejonie wysypiska. Ćma знаła ich smak i to ją pociągało. Inne sygnały, które odbierała w tej chwili, nic nie znaczyły. Były jak kromka chleba w porównaniu z wielką uczcą.

Bestia zadrżała z podniecenia i odwróciła się plecami do Yagharka i Derkhan. Stała przed Isaakiem na czterech mocnych odnóżach i z cichym, dziecinny sykiem uchyliła paszczę, rozpościerając jednocześnie swe hipnotyzujące skrzydła.

Przez moment Isaac próbował zamknąć oczy. Jakaś część jego mózgu, pobudzona adrenaliną, pracowała intensywnie nad strategią ucieczki.

Był jednak tak zmęczony, oszołomiony i obolały, że zbyt późno przypomniał sobie o powiekach. Patrzył więc, z początku obojętnym i nieostrym wzrokiem, na mieniące się kolorowo skrzydła ćmy.

Plamy barw rozwijały się jak zawilce, tworząc z początku delikatny i intrygujący wzór. Po obu stronach ciała ćmy pojawiły się piękne i dokładnie identyczne motywy, które jak złodzieje wśliznęły się nerwem wzrokowym wprost do umysłu Isaaca.

Uczony zauważył, że bestia zbliża się wolno w jego stronę, dumnie prezentując perfekcyjnie symetryczne dzieła organicznej sztuki. Usypiała go barwnymi, narkotycznymi wizjami.

A potem coś przeskoczyło w umyśle Isaaca i nie zastanawiał się już nad niczym, zanurzył się w toni marzeń i snów. Wspomnienia, wrażenia i żale napłynęły nagle z najgłębszych zakątków jego duszy.

Nie przypominało to działania dreamshitu. Nie było tu jądra – które wtedy tworzyła jego osobowość – będącego ostoją świadomości. Nie było inwazji obcych snów. Pojawiły się wyłącznie jego własne myśli, których nie oglądał z zewnątrz, raczej był nimi. Był wspomnieniem i symbolem, był miłością rodziców, najskrytszymi fantazjami erotycznymi i trwałymi śladami w pamięci, dziwacznymi wymysłami neurotycznego umysłu, był potworami, przygodami, był błędami logicznymi, dumnym wspomnieniem, mutującą masą podświadomości triumfującą nad racjonalnym rozumowaniem nad poznaniem nad refleksją był snem

snem

który

ustał

ustał tak nagle, że Isaac aż jęknął, czując nagle szarpnięcie powracającej rzeczywistości.

Zamrugnął intensywnie powiekami, czekając, aż jego umysł ustabilizuje się we właściwym porządku warstw, a zwłaszcza podświadomość powróci na swoje miejsce. Z trudem przełknął ślinę. Czuł się tak, jakby jego mózg miał lada chwila ulec implozji, daremnie próbując zrekonstruować się z drobniutkich fragmentów, na które został rozbity.

Jak przez watę usłyszał głos Derkhan, która kończyła właśnie jakieś zdanie.

– ...niewiarygodne! – krzyczała. – Isaac! Isaacu, słyszysz mnie? Nic ci nie jest?

Grimnebulin na moment zamknął oczy, a potem wolno je otworzył. W polu widzenia pojawiła się ta sama, letnia noc.

Zachwiał się i padł na kolana, podpierając się rękami. Dopiero teraz dotarło do niego, że konstrukt już go nie krępuje, że w pionie utrzymywał go jedynie oniryczny wpływ tej przeklętej ćmy. Uniósł głowę, ścierając z twarzy krew.

Minęła chwila, zanim zrozumiał, na co właściwie patrzy.

Nie skrzępowani Derkhan i Yagharek stali po przeciwnej stronie placu. Garuda zsunął z głowy obszerny kaptur, dumnie prezentując swą ptasią głowę. Oboje zastygli w dynamicznych pozach, gotowi puścić się biegiem lub skoczyć w dowolnym kierunku. Oboje też wpatrywali się w środkową część śmietniskowej areny.

Przed Isaakiem stało kilka wielkich konstruków, które poprzednio unieruchamiały go w oczekiwaniu na ćmę. Niektóre krążyły niespiesznie wokół ogromnego, roztrzaskanego przedmiotu.

Ponad placem zwieszało się ramię olbrzymiego dźwigu, obwieszane masywnymi łańcuchami. Maszyna musiała obrócić się w tę stronę znad rzeki i ponad obronną ścianą śmieci, by zatrzymać się dokładnie nad środkiem placu.

W miejscu tym spoczywały miliony niebezpiecznych odłamków – szczątków wielkiej, drewnianej skrzyni, wyższej od stojącego człowieka. Rozsypały się z niej fragmenty metalu, kamienia i węgla, chaotyczna kombinacja najcięższych surowców, jakie można znaleźć na wysypisku w Griss Twist.

Wzgórek gruzu i złomu rozchodził się stożkowato na boki, niemal zakrywając powalone ściany skrzyni.

Ze spodu zaś, od strony zmiażdżonego egzoszkieletu i ociekających posoką tkanek, dochodziło ciche i żalosne kwilenie ciężko rannej ćmy.

– Widziałeś to, Isaac? – syknęła Derkhan.

Uczony pokręcił głową, patrząc na niezwykle widok szeroko otwartymi oczami. Wolno i z wysiłkiem przysiadł na ugiętych nogach.

– Co tu się stało? – wycharczał z trudem i brzmienie własnego głosu wydało mu się zupełnie obce.

– Przez dobrą minutę byłeś pod jej wpływem – wyjaśniła pospiesznie Derkhan. – Zahipnotyzowała cię... Krzyczałam, ale nic nie słyszałeś... i wtedy... wtedy pojawiły się konstrukty – powiedziała, w zamyśleniu kręcąc głową. – Poszły prosto do niej. Wyczuwała je i... wyglądała na zaskoczoną, może nawet wytrąconą z równowagi. Cofnęła się i szerzej rozpostarła skrzydła, żeby pokazać je konstruktom i tobie jednocześnie, ale one wciąż się zbliżały!

Derkhan niepewnym krokiem podeszła bliżej. Po jej policzku płynęła krew z ponownie otwartej rany po odciętym uchu. Okrążyła na poły zmiażdżoną ćmę szerokim łukiem. Bestia becziała słabo i błagalnie, jak wystraszone jagnię. Kobieta obserwowała ją z pewnym lękiem, ale ćma nie mogła już zrobić jej krzywdy: była unieruchomiona i ciężko ranna, skrzydła ukryte pod kupą gruzu były połamane i zmiażdżone.

Derkhan przysiadła przy Isaacu i drżącymi rękami chwyciła go za barki. Spojrzała nerwowo na uwięzioną ćmę, a potem utkwiała wzrok w zmęczonych oczach Grimnebulina.

– Nie mogła im nic zrobić! Zbliżyły się, a ona musiała się cofać... Rozpinała skrzydła, żebyś jej nie uciekł, ale jednocześnie bała się i nie wiedziała, co się dzieje. Szła tyłem, na oślep, kiedy dźwięg zaczął się ruszać! Nie wyczuła go, chociaż trzęsła się ziemia. Wreszcie kiedy konstrukty stanęły, bestia też się zatrzymała, a wtedy z góry runęła na nią ta skrzynia.

Kobieta odwróciła się, by raz jeszcze spojrzeć na koktajl gruzu, śmieci i organicznego śluzu, który rozlał się po placu. Ćma zawyła żałośnie.

Na placu pojawił się awatar Rady Konstruktorów. Przeszedł w odległości trzech stóp od przygwożdżonej do ziemi ćmy, która wysunęła język i próbowała owinąć go wokół jego kostki. Była zbyt słaba i powolna, żywy trup i nie musiał nawet przyspieszyć kroku.

– Nie może wyczuć mojego umysłu. Jestem dla niej niewidzialny – rzekł mężczyzna. – Kiedy mnie słyszy, zauważa moją fizyczną postać, j ale moja psychika pozostaje dla niej ciemną plamą. Jestem odporny na pokusy. Dla mnie skrzydła ćmy są skórą pokrytą skomplikowanymi wzorami, mieniącymi się wszystkimi kolorami tęczy... i niczym więcej. Nie i mam snów, der Grimnebulin. Jestem maszyną liczącą, która wyliczyła sobie, co ma zrobić, żeby zacząć myśleć. Nie śnię. Nie mam neuroz ani ukrytych głębi. Moja świadomość jest rosnącą funkcją mocy obliczeniowej, a nie tym barokowym gmachem, który piętrzy się w twoim umyśle, z jego ukrytymi pokojami w piwnicach i na poddaszach. Nie ma we mnie i nic, czym ćma mogłaby się pożywić. Przy mnie pozostanie głodna. Potrafię ją zaskoczyć. – Mężczyzna odwrócił głowę, by spojrzeć na jęczącą szczątki bestii. – Potrafię ją zabić.

Derkhan wpatrywała się intensywnie w twarz Isaaca.

– Myśląca maszyna... – szepnęła. Grimnebulin wolno skinął głową.

– Dlaczego zafundowałeś mi coś takiego? – spytał drżącym głosem, i spoglądając na strużkę krwi płynącą z nosa, która przesączyła się już przez brodę i kapiała na ziemię.

– Taki był wynik moich kalkulacji – odparł rzeczowo awatar. – Obliczyłem, że w ten sposób najlepiej przekonam cię o mojej wartości, a jednocześnie zdołamy zabić jedną z ciem. Choć przyznaję, że mogłeś poczuć się zagrożony.

Isaac potrząsnął głową ze znużeniem i niesmakiem.

– Otóż to... – mruknął złośliwie. – W tym cały kłopot z przesadną logiką: brak miejsca w równaniu na tak nieistotne zmienne jak ból głowy...

– Isaacu! – przerwała mu Derkhan z zapalem. – Mamy je! Możemy wykorzystać Radę jako... armię. Możemy pokonać ćmy!

Yagharek podszedł do nich bezszelestnie i przykucnął na tyle blisko, by słyszeć rozmowę. Isaac spojrział na niego bez słowa, dumając nad czymś w wielkim skupieniu.

– Cholera – odezwał się wreszcie. – Umysły bez snów.

– Z pozostałymi nie pójdzie nam tak łatwo – stwierdził awatar. Spoglądał w górę, ku niebu, podobnie jak główne ciało Rady Konstruktorów. Na krótką chwilę oczy-reflektory giganta rozjarzyły się i słupy światła omiotły przestworza, wyławiając z mroku złowrogie cienie. – Widzę dwie – powiedział awatar. – Przybyły na wezwanie swej konającej siostry.

– Jasna cholera! – zawołał wystraszony Isaac. – Co robimy?

– Nie wylądują tu – uspokoił go mężczyzna. – Są szybsze, silniejsze i bardziej nieufne niż ich niewydarzony krewniak. Wiedzą, że coś jest nie w porządku.

Wyczuwają zapach was trojga i fizyczne wibracje wszystkich moich ciał. Niepokoi je rozdźwięk między tymi dwoma wielkościami. Nie przyjdą po was.

Isaac, Derkhan i Yagharek opanowali się nieco.

Spojrzeni po sobie, a potem na chudego jak szczapa awatara. Gdzieś w tyle trwały agonizujące jęki zmiażdżonej ćmy. Nikt już nie zwracał na nie uwagi.

– Co robimy? – spytała Derkhan. Po kilku minutach cienie krążące po niebie zniknęły. Wydawało się, że nad małym placykiem w opuszczonej przez ludzi części miasta, otoczonym przez duchy zapomnianego przemysłu, całun nocnych koszmarów chwilowo nie istnieje.

Mimo skrajnego wyczerpania Isaac, Derkhan i Yagharek dali się ponieść fali optymizmu zrodzonej z triumfu Rady Konstruktorów. Uczony podszedł bliżej do konającej bestii, by przyjrzeć się jej okaleczonej głowie i dziwnym kończykom. Derkhan miała ochotę dobić ćmę i spalić ją na proch, ale awatar nie pozwolił na to. Chciał zachować łeb potwora, by podczas cichych godzin dnia poznać zawartość jego umysłu.

Ćma utrzymała się przy życiu aż do drugiej nad ranem. Dopiero wtedy, z przeciągłym jękiem i ostatnim wytryskiem śliny cuchnącej zgniętymi cytrusami, wyzionęła ducha. Ponad wysypiskiem przetoczyła się fala dziwnej, obcej ludzkim umysłem ulgi i czegoś w rodzaju żalu, która rozproszyła się szybko, gdy pośmiertna sztywność dotknęła empatycznych ganglionów bestii.

Na śmietniku zapanował spokój.

Awatar przysiadł dla towarzystwa obok ludzi i garudy. Zaczęli rozmawiać, próbowali snuć plany. Nawet Yagharek odzywał się od czasu do czasu, nie kryjąc podniecenia. Był łowcą. Wiedział, jak należy zastawiać pułapki.

– Nic nie wskóramy, póki nie dowiemy się, gdzie znikają te przeklęte maski – mówił właśnie Isaac. – Albo będziemy je tropić, albo siądziemy na tyłkach i zaczekamy na niejako przynętę, mając cichą nadzieję, że spośród milionów obywateli wybiorą akurat nas.

Derkhan i Yagharek zgodnie skinęli głowami.

– Wiem, gdzie one są – oświadczył awatar. Pozostali spojrzeli na niego ze zdumieniem. – Wiem, gdzie się ukrywają – potwierdził trup. – Wiem, gdzie mają gniazdo.

– Skąd? – spytał Isaac. – Gdzie? – dodał zaraz, w podnieceniu chwytając awatara za ramię. Zszokowany, natychmiast cofnął rękę, gdy spojrzał z bliska na jego upiorną twarz. Zobaczył krawędź rozpiłowanej czaszki i odwijającą się, bladą, naznaczoną krwistymi zaciekami skórę. Patrzył też na kabel sterczący z pustej głowy awatara i ginący w miejscu, od którego odcięto mózg.

Skóra martwego mężczyzny była sucha, sztywna i zimna jak skóra półtuszy wiszącej w rzeźnickim sklepie.

I tylko oczy, niezmiennie skupione i naznaczone smutkiem, wpatrywały się w Isaaca jak żywe.

– Śledziłem ich ataki całym sobą. Kojarzyłem ze sobą daty i miejsca. Wykrywałem korelacje i systematyzowałem je. Zbierałem obrazy z kamer i dane z maszyn liczących, z których często podkradam informacje. Szukałem wzmianek o niewytłumaczalnych cieniach na nocnym niebie, nie pasujących do żadnej z ras zamieszkujących miasto. Stworzyłem skomplikowane schematy i sformalizowałem je. Odrzuciłem najmniej prawdopodobne rozwiązania, a do pozostałych zastosowałem metody analityczne wyższej matematyki. Tak długo jednak, jak długo nie poznam wartości wszystkich zmiennych, uzyskanie absolutnie pewnego rozwiązania nie będzie możliwe. W tej chwili, na podstawie zgromadzonych danych, mogę określić

miejsce gniazdowania ciem z siedemdziesięcioośmioprocentową pewnością. Ukrywają się w Riverskin, w Szklarni, nad siedzibami ludzi-kaktusów.

– Do diabła – mruknął Isaac po dłuższej chwili milczenia. – Czy one są zwierzętami? Czy są inteligentne? Tak czy inaczej, dokonały dobrego wyboru. Nie znam lepszego miejsca na kryjówkę.

– Dlaczego? – zapytał niespodziewanie Yagharek. Isaac i Derkhan spojrzeli na niego zdziwieni.

– Ludzie-kaktusy z Nowego Crobuzon nie są tacy sami jak odmiana żyjąca w Cymek, Yag – odparł Grimnebulin. – A może właśnie są, i w tym cały problem. Na pewno miałeś z nimi do czynienia w Shankell. Wiesz, jacy są. Przybyli na północ właśnie z tamtych pustyń... Nie wiem wiele o innych, tych z gór i ze stepów wschodu. Znam za to niezłe styl południowców i zapewniam cię, że nie pasuje on zbyt dobrze do tego, co muszą robić w tym mieście. – Isaac umilkł i potarł skronie. Zmęczenie i ból głowy nie mijały. Wiedział jednak, że musi się skoncentrować, przebić przez obraz Lin, który raz po raz pojawiał mu się przed oczami. Przełknął ślinę przez ściśnięte gardło i podjął opowieść: – Całe to nadęte gadanie o twardzielach, którzy trzęsą Shankell, tutaj brzmi dość wątpliwie. Moim zdaniem właśnie dlatego ludzie-kaktusy zbudowali sobie tę swoją Szklarnię. Chcą mieć swój ulubiony, parszywy kawałek Cymek w Nowym Crobuzon. Kiedy ją skonstruowali, dostali specjalne zwolnienie z praw obowiązujących w mieście – jedni bogowie wiedzą, co władza zyskała w zamian za taki numer. Formalnie rzecz biorąc, Szklarnia jest niezależnym krajem. Nikt nie może tam wejść bez pozwolenia, nawet milicja. Kaktusy mają własne prawo, własne zwyczaje... wszystko mają własne. No, żartuję oczywiście. W praktyce wygląda to tak, że cała ta ich Szklarnia gównem by znaczyła, gdyby nie Nowe Crobuzon. Codziennie tłumy kaktusów, gburowatych gnojników, wyłażą na ulice, idą do pracy, a zarobione szkle znoszą z powrotem do Riverskin. To Nowe Crobuzon jest tak naprawdę właścicielem Szklarni. I wcale nie uważam, że milicja nie mogłaby tam wejść, gdyby tylko miała czego szukać. Mimo to Parlament i zarządcy miasta godzą się na tę idiotyczną szaradę. Tak czy owak, Yag, nie można tak po prostu wejść do Szklarni, a jeśli już się tego dokona... cholera wie, czego można się spodziewać w środku. Słyszy się czasem różne plotki – ciągnął Isaac – są oczywiście ludzie, którzy już tam byli. Mówi się też o tym, co widują przez szklaną kopułę milicjanci patrolujący niebo sterowcami. Jednak większość mieszkańców miasta – do której i ja się zaliczam – tak naprawdę nie ma pojęcia, co się tam dzieje i jak można tam wejść.

– Mimo to... moglibyśmy spróbować – odezwała się Derkhan. – Może Pigeon przypelźnie z powrotem, węsząc za pieniędzmi, które mu obiecałeś, hmm? A jeśli tak, to założę się, że znajdzie jakiś sposób, żeby przemycić nas do Szklarni. Nie powiesz mi chyba, że nie ma w niej przestępczego podziemia. Jeżeli powiesz, to i tak nie uwierzę. – W oczach kobiety pojawiły się wojownicze błyski. – Rado – powiedziała po chwili, zwracając się do nagiego trupa. – Czy ktokolwiek... ktokolwiek z ciebie... bywa w Szklarni?

Awatar pokręcił głową.

– Kaktusy nie używają zbyt wielu konstruktów. Żaden z mnie nie był jeszcze w środku. Właśnie dlatego nie mam stuprocentowej pewności, czy tam znajduje się gniazdo ciem. Mimo to uważam, że pod szklaną kopułą jest ich schronienie.

Słuchając awatara, Isaac drgnął nagle, poruszony do głębi pewną myślą.

Zastanawiając się nad sposobami wdarcia się do Szklarni, ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że właściwie mógłby po prostu zostawić ten problem własnemu losowi. Przypomniały mu się słowa Lemuela: „Zostaw to profesjonalistom”.

Wówczas zbył tę uwagę, z irytacją machając ręką, ale teraz pojął, że naprawdę mógłby pójść tą drogą. Istniało tysiąc sposobów na zawiadomienie milicji o kryjówce ciem bez ujawniania własnej tożsamości. Mógł więc dać cynk władzom, a one wykorzystalyby swą potęgę, swych łowców i uczonych, trudne do oszacowania środki. Mógł przekazać informację i uciec. Milicjanci zajęliby się polowaniem na ćmy i schwytałyby je w końcu. Bestia, która go ścigała, już nie żyła; w zasadzie nie miał się czego obawiać.

Możliwości, które otwierał przed nim ten fakt, były nieograniczone.

A jednak, nawet przez ułamek sekundy, nie traktował poważnie tej pokusy.

Przypomniał sobie przesłuchanie Vermishanka. Stary lis próbował ukryć swój lęk, ale i tak widać było, że nie wierzy w zdolność milicji do pojmania zbiegłych bestii. Tymczasem Rada Konstruktorów okazała się jak dotąd jedyną siłą zdolną do pokonania niepojętych, latających drapieźców. Siłą absolutnie niezależną od władz państwa-miasta, a do tego oferującą swe usługi Isaacowi i jego towarzyszom lub skłonną do prowadzenia samodzielnej walki.

Grimnebulin nie był pewien motywacji stojącej za czynami Rady oraz powodów, dla których decydowała się pozostać w ukryciu. Na razie jednak wystarczała mu świadomość, że inteligentne konstrukty były bronią, której nie mogła wykorzystać milicja. Miasto nie mogło liczyć na większą szansę; tego był absolutnie pewny.

Taki był pierwszy filar jego postawy.

Jednak był i inny, znacznie potężniejszy, mocniej zakorzeniony. Nienawiść. Isaac spojrział na Derkhan i przypomniał sobie, dlaczego się z nią przyjaźni. Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

„Nie zaufałbym Rudgutterowi” – pomyślał zimno – „nawet gdyby ten przeklęty morderca przysięgał na dusze swoich dzieci”.

Wiedział, że gdyby włodarze Nowego Crobuzon zlokalizowali gniazdo ciem, zrobiliby wszystko, żeby ponownie dostać je w swoje ręce, tylko dlatego, że były tak cholernie cenne. Niewykluczone, że znikłyby z przestworzy nad miastem, może i niebezpieczeństwo zostałoby zażegnane, ale bestie trafiłyby na powrót do laboratorium, a następnie na nielegalną aukcję i tak zaczęłyby się ich kolejna komercyjna epopeja.

Znowu ktoś by je doł. I karmił.

Bez względu na to, jak bardzo nie nadawał się do tropienia i mordowania ciem, Isaac wiedział, że musi spróbować.

Rozmawiali tak długo, aż wreszcie ciemność zaczęła rozplywać się na wschodnich krańcach nieba. Z wolna pojawiały się pierwsze sugestie, choć wszystkie miały charakter warunkowy. Mimo niezliczonych zastrzeżeń pomału tężały i nabierały kształtu. Z czasem stały się sugestiami konkretnych działań. I wreszcie Isaac i Derkhan z niemalym zdumieniem zdali sobie sprawę, że mają coś w rodzaju planu.

Nim skończyli rozmawiać, Rada wysłała swe mobilne jednostki w głąb wysypiska. Na pewien czas zniknęły między górami śmieci, a kiedy pojawiły się ponownie, dźwigały kłęby pogiętego drutu, poobijane rondle, spore kawałki potłuczonych lusterek, a nawet dwa stare hełmy i mnóstwo innych rupieci.

– Możecie tu sprowadzić spawacza lub metalotaumaturga? – spytał awatar. – Musicie mieć hełmy. – Mężczyzna opisał lusterka, które należało wmontować w ochronne nakrycia głowy na wysokości oczu.

– Tak – odparł Isaac. – Wrócimy tu jutro wieczorem, żeby zbudować hełmy. A potem... potem poświęcimy jeszcze dzień na przygotowania, zanim wyruszymy.

Noc była jeszcze dość ciemna, gdy pierwsze konstrukty zaczęły się rozchodzić. Wracały do domów swych właścicieli, w nadziei, że ich eskapady na wysypisko nie zostaną zauważone.

Z nadejściem świtu coraz częściej zaczęły rozbrzmiewać basowe pomruki przejeżdżających opodal pociągów. Głośnie i pełne przekleństw poranne rozmowy rodzin mieszkających na barkach rozlegały się tu i ówdzie, niesione rześkim, nadrzecznym powietrzem. Robotnicy rannej zmiany wchodzili do bluźnierczych katedr swych fabryk, by stanąć przy wielkich łańcuchach, maszynach parowych i młotach.

Wreszcie na placu pośrodku morza śmieci numer dwa pozostało tylko pięć postaci: Isaac i jego towarzysze, upiorny typ przemawiający w imieniu Rady Konstruktorów oraz sama Rada – olbrzymi, myślący automat z rzadka tylko poruszający segmentowanymi kończynami.

Isaac, Derkhan i Yagharek wstali, gotowi do drogi. Byli wyczerpani i obolali – od kolan i dłoni pokaleczonych na twardym podłożu po wciąż pękającą z bólu głowę Grimnebulina. Byli spoceni i brudni, a obłok kurzu, który zostawiali za sobą przy każdym kroku, upodabniał ich do dymiących pochodni.

Lustra i resztę materiałów potrzebnych do budowy hełmów upchnęli w skrytce, w łatwym do zapamiętania miejscu. Isaac i Derkhan rozejrzeli się po okolicy po raz ostatni i z niemąłym zaskoczeniem zauważyli, że cała groza tego ponurego miejsca zniknęła z nastaniem dnia. Pozostał jedynie żalostny krajobraz niewydarzonych maszyn, uszkodzonych wózków dziecięcych i rozprutych materacy. Yagharek pierwszy ruszył pewnie ścieżką, którą przysli tu poprzedniego dnia.

Isaac i Derkhan dołączyli do niego po chwili. Byli zmęczeni i apatyczni. Derkhan była blada i nie potrafiła już myśleć o niczym innym niż ból jątrzącej się rany po uchu. Kiedy znikali za pierwszą ścianą sprasowanych własnym ciężarem śmieci, usłyszeli głos awatara.

Isaac zaczął zastanawiać się nad jego słowami, coraz bardziej marszcząc brwi. Nie zatrzymał się i nie odwrócił, opuszczając „salę tronową” Rady Konstruktorów. Szedł w głębokiej zadumie aż do granic wysypiska i dalej, między skąpo oświetlonymi domostwami Griss Twist. Słowa awatara zapadły mu w pamięć i wiedział, że musi je dokładnie przemyśleć.

– Nie upilnujesz wszystkiego, co nosisz przy sobie, der Grimnebulin – zawołał awatar. – W przyszłości nie zostawiaj tego, co masz najcenniejsze, w kryjówce obok torów. Przynieś mi swoją maszynę kryzysową. Przechowam ją dla ciebie.

ROZDZIAŁ 41

– Przeszedł pewien dżentelmen... z małym chłopcem. Chcą się z panem zobaczyć, panie burmistrzu – powiedziała Davinia, pochylając się nad wylotem rury zapewniającej jej łączność z gabinetem zwierzchnika. – Ów dżentelmen kazał mi przekazać, że przysyła go pan Rescue w sprawie... robót hydraulicznych w Dziale Badań i Rozwoju. – Głos kobiety zadrżał nieznacznie, gdy powtarzała w oczywisty sposób zaszyfowaną wiadomość.

– Wpuść ich – odparł natychmiast Rudgutter, rozpoznając hasło ustalone z łapowżercami.

Wiercił się niespokojnie w swym głębokim fotelu. Wreszcie masywne drzwi Sali Lemquista otworzyły się wolno i pojawił się w nich dobrze zbudowany, niespokojny młody człowiek, prowadzący za rękę przerażonego dzieciaka. Chłopiec odziany był w łachmany, jakby przyszedł do najważniejszej osoby w mieście wprost z

najbardziej niebezpiecznej ulicy. Na jednym z ramion miał wielką opuchliznę, owiniętą szczelnie brudnym bandażem. Odzież masywnego mężczyzny była przyzwoitej jakości, ale dziwnie zestawiona. Miał on na sobie obszerne spodnie, przypominające pantalonosy noszone przez kobiety rasy khepri. Wyglądał w nich dość niemęsko, mimo imponującej budowy ciała.

Rudgutter ze złością spojrział na niego zmęczonymi oczami.

– Siadajcie – powiedział i machnął w stronę osobliwej pary pękiem zadrukowanych papierów. Mówił szybko. – Jedno niezidentyfikowane, bezgłowe ciało, przypięte do bezgłowego ciała psa; oba złączone z martwymi łapowżercami. Para żywicieli i łapowżerców, spięta pasami; wszyscy pozbawieni zmysłów. Vodyanoi i... – burmistrz zerknął na milicyjny raport -...i młoda kobieta. Zdołaliśmy wydobyć łapowżerców, zabijając przy tym gospodarzy – mówię o prawdziwej, biologicznej śmierci, nie o tym nedorzecznym stanie zawieszenia, w którym trwali – i przenieśliśmy ich do nowych żywicieli, konkretnie do pary psów, ale nie poruszyli się. Tak jak podejrzewaliśmy, wyssanie zawartości mózgu gospodarza oznacza identyczny los dla łapowżercy. – Rozparłszy się wygodnie w fotelu, Rudgutter spojrział surowo na dziwną parę głęboko wstrząśniętych ludzi. – Tak... – rzekł powoli po chwili milczenia. – Jestem Bentham Rudgutter. Spodziewam się, że powiecie mi zaraz, kim jesteście, gdzie jest MontJohn Rescue i co się właściwie stało.

*

W sali konferencyjnej w pobliżu wierzchołka Szpikulca Eliza Stem-Fulcher spoglądała ponad wielkim stołem na swego rozmówcę, kaktusa. Jego głowa, wyrastająca wprost z korpusu, sięgała znacznie wyżej niż jej. Ramiona, podobne do olbrzymich konarów drzewa, ułożył na gładkim blacie. Jego skóra naznaczona była tysiącami zadrapań i zrosniętych rozdarć, zgodnie z kaktusową modą tworzących blizny i zgrubienia roślinnej tkanki.

Usunął kolce ze strategicznych punktów swego ciała. Wewnętrzne strony ramion i nóg, dłonie i wszelkie inne miejsca, w których skóra mogła ocierać się o skórę, były wolne od ostrych igieł. Piękny, czerwony kwiat tkwił na jego szyi jeszcze od wiosny. Z ramion i piersi pączkowały zawiązki nowych kończyn.

Siedział w milczeniu, czekając, aż Stem-Fulcher przemówi.

– Jak nam wiadomo – zaczęła ostrożnie – ostatniej nocy wasze patrole naziemne nic nie wskórały. Podobnie jak nasze, dodam uczciwie. Pewne doniesienia wymagają jeszcze weryfikacji, ale niewykluczone, że doszło do kontaktu między ómami a naszą małą... jednostką powietrzną. – Kobieta zerknęła przelotnie w papiery. – Oczywiście wydaje się więc to – ciągnęła – że zwykłe przeczesywanie miasta nie przyniesie pożądanych rezultatów. Z wielu powodów, o których już rozmawialiśmy – a przede wszystkim przez wzgląd na nasze nieco odmiennie metody działania – uważam, że sformowanie wspólnych, mieszanych patroli nie byłoby posunięciem zbyt owocnym. Z pewnością jednak ma sens koordynowanie naszych działań. I dlatego ustanowiliśmy pełną amnestię dla waszej organizacji na czas tej wspólnej misji. Z podobnych względów czasowo zawiesiliśmy surowe przepisy dotyczące zakazu lotów sterowców innych niż rządowe. – Stem-Fulcher odchrząknęła dyskretnie. „Wpadamy w desperację” – pomyślała kwaśno. „Wy zresztą też, moim skromnym zdaniem”. – Po czym ciągnęła: – Jesteśmy skłonni wypożyczyć

dwie maszyny do waszego użytku, oczywiście po ustaleniu tras i pór przelotu patroli. Wszystko po to, żeby podzielić się sprawiedliwie ciężarem prowadzonych poszukiwań. Warunki pozostają bez zmian: wszelkie plany działania dyskutujemy razem, zanim zostaną wdrożone. Poza tym wszystkie ekipy badawcze zostaną włączone do prac w dziedzinie metodologii polowania. Tak więc... – kobieta oparła się wygodniej i rzuciła na biurko druk umowy. – Czy Motley upoważnił pana do podjęcia decyzji? A jeśli tak... co pan o tym wszystkim sądzi?

*

Kiedy wymęczeni Isaac, Derkhan i Yagharek pchnęli drzwi małej szopy przy torach i weszli w jej ciepły półcień, nie byli specjalnie zdumieni widokiem czekającego na nich Lemuela Pigeona.

Grimnebulin był dla niego opryskliwy, ale pośrednik nie zamierzał przeproszać.

– Mówiłem ci, Isaacu – powiedział. – Oszczędź sobie iluzji. Kiedy robi się gorąco, znikam. Ale cieszę się, że widzę was całych i zdrowych, a nasza umowa wciąż obowiązuje. Zakładam, że nadal zależy ci na upolowaniu tych sukinsynów. Pomogę ci, a potem ty będziesz należał do mnie.

Derkhan spojrzała na niego ponuro, ale tym razem nie wybuchnęła gniewem; była zbyt mocno podniecona tym, co wydarzyło się na wysypisku. Popatrzyła tylko przelotnie na Isaaca spod zmarszczonych brwi.

Pokrótko opowiedziała Lemuelowi o czynach i zamiarach Rady Konstruktorów, odpornej na zniewalający wpływ ciem. Pośrednik słuchał z fascynacją relacji o tym, jak gigantyczny konstrukt ustawił ramię dźwigu dokładnie nad atakującą bestię i jak przygwoździł ją do ziemi tonami gruzu i złomu. Derkhan powiedziała mu też o domniemanej kryjówce ciem w Riverskin, pod kopułą Szklarni.

I wreszcie wyjawiała niepewny jeszcze plan działania.

– Musimy dziś znaleźć kogoś, kto zrobi dla nas te hełmy – zakończyła. – A jutro... idziemy.

Pigeon zmrużył oczy i po chwili zaczął szkicować na ubitym piasku jakiś schemat.

– To jest Szklarnia – rzekł. – Istnieje pięć podstawowych dróg wejściowych. Użycie jednej wymaga wręczenia łapówki, a skorzystanie z dwóch innych prawie na pewno wiąże się z zabijaniem. Tak się składa, że zabijanie kaktusów to fatalny pomysł, a smarowanie jest niewiele mniej ryzykowne. Mieszkańcy Szklarni ciągle tylko gładzą o tym, jacy są niezależni, ale prawda jest taka, że wszyscy żyją wyłącznie dzięki łasce Rudguttera. – Isaac skinął głową i spojrzał na Yagharka. – To oznacza, że władza ma pod kopułą rzeszę informatorów i najlepiej będzie działać po cichu – wyjaśnił Lemuel. Derkhan i Isaac pochylili się niżej, wpatrując się w coraz bardziej zrozumiały szkic. – Musimy więc skoncentrować się na dwóch pozostałych drogach.

Mniej więcej po godzinie Grimnebulin do reszty opadł z sił. Głowa kiwała mu się sennie, a z ust płynęła na kołnierz cienka nitka śliny. Jego zmęczenie udzieliło się Lemuelowi i Derkhan. Na krótko ułożyli się do snu.

Podobnie jak Isaac, przewracali się ospale i pocili się w ciężkim powietrzu zamkniętej chaty. Uczony rzucał się przez sen bardziej niż pozostali i częściej pokrzykiwał, dręczony koszmarem. Tuż przed południem Lemuel wstał i obudził

pozostałych. Grimnebulin ocknął się z jękiem, powtarzając imię Lin. Zmęczenie, brak snu i żal dokuczały mu tak bardzo, że zapomniał o swej wściekłości na Lemuela; prawie nie zauważał jego obecności.

– Idę. Poszukam dla nas towarzystwa – oznajmił Pigeon. – A ty, Isaacu, szykuj się do budowania tych hełmów, o których mówiła mi Dee. Myślę, że będziemy potrzebowali co najmniej siedmiu sztuk.

– Siedmiu? – wymamrotał sennie Isaac. – Kogo chcesz tu sprowadzić? I skąd?

– Jak już mówiłem, czuję się pewniej pod stosowną opieką – odparł Lemuel i uśmiechnął się lodowato. – Rozpowszechniłem informację, że kroi się grubsza robota dla ochroniarzy. O ile wiem, zgłosiło się paru chętnych. Muszę ich sprawdzić. Poza tym obiecuję, że przyprowadzę przed zmrokiem porządnego zaklinacza metalu. Albo znajdę go wśród kandydatów, albo pofatyguję się do Abrogate Green. Jeden facet jest mi winien przysługę... Spotkamy się, powiedzmy, o siódmej wieczorem przed wysypiskiem.

Lemuel wyszedł. Derkhan przysunęła się bliżej do Isaaca i objęła go czule. Zrozpaczony, płakał jak dziecko w jej ramionach, nie mogąc uwolnić się od upiornych myśli o Lin.

Od koszmaru, który nie przyszedł z zewnątrz. Od autentycznego żalu płynącego z głębi duszy.

*

Milicyjne ekipy pracowały w pocie czoła, montując wielkie zwierciadła z polerowanego metalu do tylnych części upręży opinających opasłe kadłuby sterowców.

Przebudowa maszynowni czy zmiana układu kabin nie były możliwe, ale można było zasłonić przednie iluminatory grubymi, czarnymi kotarami. Pilot mógł teraz operować kołem sterowym jedynie na ślepo, instruowany krzykami funkcjonariuszy, którzy siedzieli w połowie długości kładki biegnącej wzdłuż kadłuba, tyłem do kierunku lotu, i wpatrywali się ponad potężnymi wirnikami w owe olbrzymie lustra na rufie, w których odbijał się nieco mylący, ale w miarę pełny obraz nieba przed dziobem pojazdu.

Starannie dobrani ludzie Motleya zostali odprowadzeni na szczyt Szpikulca przez samą Elizę Stem-Fulcher.

– Rozumiem – odezwała się do jednego z kapitanów przysłanych przez Motleya, prze-tworzonego z nieposłusznym pytonem zamiast ramienia, nad którym bez przerwy próbował zapanować – że umie pan pilotować sterowiec. – Prze-tworzony skinął głową. Kobieta nie uznała za stosowne wspomnieć o tym, iż jest to umiejętność wysoce nielegalna. – Polecą pan „Honorem Beyna”, a pańscy koledzy „Avancem”. Patrole milicyjne zostały już uprzedzone. Proszę uważać na regularny ruch powietrzny. Uznaliśmy, że będzie najlepiej, jeśli wyślemy panów do akcji już dziś po południu. Istoty, których poszukujemy, nie pojawiają się przed zmierzchem, ale z pewnością przyda się panom trochę czasu na oswojenie się z przyrządami kontrolnymi.

Kapitan nie odpowiedział. Załoga krzątała się w pobliżu, sprawdzając sprzęt i korygując ustawienie lusterek w hełmach. Ludzie Motleya wyglądali na twarde, zimnych i zdecydowanie mniej przestraszonych niż oficerowie milicji ćwiczący

celowanie z użyciem lustra i strzelanie do tyłu, których Stem-Fulcher zostawiła piętro niżej. Pomyślała, że przedstawiciele kryminalnego podziemia mają więcej wprawy, bo stosunkowo niedawno mieli do czynienia z ćmami.

Zauważyła, że kilku bandytów jest uzbrojonych w miotacze płomieni, podobnie jak niektórzy z jej funkcjonariuszy. Mieli na plecach sztywne plecaki z olejem, który mógł wydostawać się przez ręczną dyszę pod sporym ciśnieniem. Zmodyfikowano je tak, by strzelały płynnym ogniem nie do przodu, ale wstecz.

Stem-Fulcher spojrzała dyskretnie na niezwykle prze-tworzonych; żołnierzy przysyłanych przez Motleya. Nie potrafiła określić, ile organicznego budulca pozostało pod warstwami metalu tworzącymi ich ciała. W pierwszej chwili sądziła, że ich przetworzenie było totalne, a żelazne płyty ukształtowano tylko z wielką starannością na podobieństwo ludzkiej muskulatury.

Wrażenie to potęgował fakt, iż nawet twarze prze-tworzonych były odlane ze stali: grube nawisy łuków brwiowych kryły pod sobą oczy z kamienia i ciemnego szkła, rzucając cień na wąskie nosy, zaciśnięte usta oraz kości policzkowe, połyskujące jak ciemny grafit. Z całą pewnością były to oblicza zaprojektowane wyłącznie ze względów estetycznych.

O tym, że ma przed sobą prze-tworzonych, a nie fantastycznie zbudowane konstrukty, Stem-Fulcher przekonała się dopiero wtedy, gdy zobaczyła tył głowy jednego z żołnierzy Motleya. Po drugiej stronie pięknego oblicza ze stali dostrzegła inną, znacznie mniej urodziwą, ludzką twarz.

Była to bodaj jedyna organiczna część ciała prze-tworzonych, osłonięta zresztą lusterkami, które niczym włosy sterczały na wspornikach wprost z metalowych połówek ich głów.

Ludzkie twarze żołnierzy obrócone były o sto osiemdziesiąt stopni względem reszty ich ciał: ramion zamienionych w pistolety i piersi z metalowych płyt oraz pięknych, stalowych twarzy. Przez cały czas ustawiali się owym blaszanym frontem do swych kolegów nieprze-tworzonych. Spacerowali korytarzami i znikali w windach, poruszając się całkowicie przekonującym odpowiednikiem ludzkiego kroku. Idąc raz za nimi, Stem-Fulcher celowo została w tyle kilka kroków, aby popatrzeć na ich ludzkie oblicza i strzelające na boki oczy prze-tworzonych. Na ich twarzach malował się wyraz skupienia, niezbędnego w przypadku nawigacji za pomocą luster.

Kobieta widziała też innych prze-tworzonych, wykonanych prościej, bardziej ekonomicznie, a przeznaczonych do tych samych zadań. Ich głowy zostały przekręcone o sto osiemdziesiąt stopni i bolesność tej zmiany, dzięki której mogli spoglądać na własne plecy, widać było w ich udręczonych oczach. Mieli na głowach hełmy z lusterkami, a ich ciała poruszały się pewnie i sprawnie, chodząc i manipulując bronią wytrenowanymi ruchami. W ich swobodnych, organicznych ruchach było coś bardziej nawet odpychającego niż w niemal kompletnej sztuczności ich mocniej prze-tworzonych towarzyszy.

Stem-Fulcher zdała sobie sprawę, że ma przed sobą żołnierzy szkolonych przez długie miesiące, ani na chwilę nie rozstających się ze swymi lustrami. Nie mogło być inaczej, skoro tak mocno zniekształcono ich ciała. „Ci ludzie zostali specjalnie zaprojektowani i stworzeni do hodowania ciem” – pomyślała. Nie mogła uwierzyć w skalę działań Motleya. „Nie zdziwię się” – dodała w duchu – „jeśli w porównaniu z tymi żołnierzami, nasi milicjanci wypadną jak amatorzy.

Zdaje się, że dobrze zrobiliśmy, zapraszając bandytów do współpracy”.

Słońce wędrowało po niebie, coraz mocniej zagęszczając powietrze nad Nowym Crobuzon. Nawet jego światło sprawiało wrażenie gęstego i żółtego jak olej kukurydziany.

Aerostaty pełzły przez słoneczną zupę, klucząc nad miejskim pejzażem dziwnym, na poły przypadkowym kursem.

*

Isaac i Derkhan stali na ulicy opodal ogrodzenia wysypiska. Mężczyzna trzymał w rękach dwie torby, a kobieta jedną. W pełnym słońcu czuli się odsłonięci, delikatni. Odwykli od pojawiania się na ulicach o takiej porze. Zapomnieli już, jak żyło się za dnia.

Próbowali jak najgłębiej wtopić się w otoczenie i z premedytacją ignorowali przechodniów.

– Dlaczego ten cholerny Yag musiał dać nogę akurat teraz? – syknął Isaac. Derkhan wzruszyła ramionami.

– Nagle stał się jakiś niespokojny – odpowiedziała i zamyśliła się chwilę. – Wiem, że to nie najlepszy moment... ale uważam, że to dość wzruszające. Przez cały czas był z nami, a jakby go nie było. Ty miałeś okazję poznać go bliżej, porozmawiać prywatnie, ty znasz... prawdziwego Yagharka... Ale dla mnie był w zasadzie nieobecnością w kształcie garudy. – Derkhan odchrząknęła i poprawiła się: – Nie, nie w kształcie garudy, i w tym cały problem. Był raczej nieobecnością w kształcie człowieka. A teraz... teraz ta pusta postać zaczyna się wypełniać. Wyczuwam, że Yagharek zaczyna chcieć robić pewne rzeczy i nie chce robić innych. Isaac wolno skinął głową.

– Wiem, o co ci chodzi – powiedział. – Rzeczywiście, zachodzi w nim jakaś zmiana. Mówiłem mu, żeby nie odchodził, a on zwyczajnie mnie zignorował. Z pewnością rozwija się w nim... wola... ale nie wiem, czy to dobrze.

Derkhan spojrzała na niego ciekawie.

– Podejrzewam, że przez cały czas myślisz o Lin – szepnęła powoli i ostrożnie.

Isaac odwrócił głowę. Nie odzywał się przez moment, a potem szybko przytaknął ruchem głowy.

– Zawsze – wyrzucił z siebie gwałtownie, patrząc na Derkhan z szokująco głęboką rozpaczą. – Zawsze. Ale nie mogę... nie mam czasu, żeby ją oplotkiwać. Na razie.

Nieco dalej ulica, na której stali, zakręcała łagodnym łukiem i rozdzielała się w sieć ciasnych zaułków. W jednym z nich rozległ się nagle donośny, metaliczny dźwięk. Isaac i Derkhan znieruchomieli na chwilę, a potem szybko przywarli do drucianej siatki.

Ciszę przerwał czyjś szept i sekundę później zza rogu wyjrzał Lemuel.

Ujrawszy Isaaca i Derkhan, uśmiechnął się triumfalnie i gestem nakazał im, by weszli na teren wysypiska. Odszukali dziurę, z której skorzystali poprzednim razem, rozejrzeli się, czy nikt nie patrzy i przemknęli na drugą stronę.

Szybko oddalili się od ulicy i pomaszzerowali przejściem wyrytym pośród śmieci, by po chwili przycupnąć za hałdą zasłaniającą ich przed ciekawskimi z miasta. Dwie minuty później dołączył do nich Pigeon.

– Czołem – powiedział, uśmiechając się dumnie.

– Jak się dostałeś do tej ślepej uliczki? – spytał Isaac.

– Kanałami. Musieliśmy trzymać się z dala od ludzi... Z towarzystwem, które sprowadziłem, nie było tam aż tak niebezpiecznie. – Lemuel przestał się uśmiechać, kiedy rozejrzył się dookoła. – Gdzie Yagharek? – spytał.

– Uparł się, że musi gdzieś pójść. Kazałem mu zostać, ale nie chciał o tym słyszeć. Mówił, że spotka się z nami tutaj jutro o szóstej.

Lemuel zaklął z cicha.

– Dlaczego go puściłeś? Co będzie, jeśli go zwiną?

– Cholera, Lem, co miałem zrobić, na Jabbera? – warknął Grimnebulin. – Przecież na nim nie usiądę! Może to jakaś religijna sprawa, a może mistyczne głupoty rodem z Cymek? Może uznał, że wkrótce zginie i powinien pożegnać swoich cholernych przodków?! Powiedziałem mu, żeby został, a on odszedł i tyle.

– W porządku. Jego sprawa – mruknął zirytowany Lemuel. Kiedy obejrzał się przez ramię, Isaac podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczył zbliżające się postacie. – To nasi pracownicy. Ja im płacę, Isaacu, a ty jesteś za to moim dłużnikiem.

Było ich trzech i wszystkie znaki wskazywały nieomylnie na to, że są awanturnikami, łotrami, jakich nie brakowało w Ragamoll, Cymek i Fellid, a może i w całym Bas-Lag. Byli odważni i niebezpieczni, nie liczyli się z prawem i moralnością, żyli dzięki własnej pomysłowości, kradnąc i zabijając, zajmując się temu, kto najlepiej płacił. Przyświecały im wątpliwe zasady.

Tylko nieliczni znali konkretne rzemiosło: zajmowali się kartografią i asystowali przy wykopaliskach. Większość nie znała się na niczym poza łupieniem grobów. Byli szumowinami i często ginęli nagłą śmiercią, nim zdążyli zaimponować komukolwiek swą niewątpliwą odwagą.

Isaac i Derkhan patrzyli na nich bez entuzjazmu.

– Pozwólcie, że przedstawię – rzekł Lemuel, wskazując kolejno na przybyłych – Shadrach... Pengefinchess... i Tansell.

Awanturnicy odpowiedzieli Isaacowi i Derkhan aroganckim spojrzeniem.

Shadrach i Tansell byli ludźmi, a Pengefinchess vodyanoim. Ten pierwszy wydawał się zdecydowanie najtwardszy, z nich. Rosły i barczysty, miał na sobie dziwaczną kolekcję fragmentów pancerzy, nabijanych ćwiekami kawałków skóry oraz płaskich, kutych płytek żelaza przypiętych na ramionach, piersiach i plecach. Cały strój ociekał szlamem z miejskiej kanalizacji. Mężczyzna postanowił się odezwać, widząc badawcze spojrzenie Isaaca.

– Lemuel uprzedzał, że mogą być kłopoty – rzekł zaskakująco melodyjnym głosem. – Ubraliśmy się więc stosownie do okazji.

Za jego pasem tkwił ogromny pistolet i ciężki miecz podobny do maczety. Rękojeść broni zdobił zawiły wizerunek potwornej, rogatej głowy. Na plecach niósł masywny garłacz i czarną tarczę. W mieście zostałby aresztowany, nim uszedłby trzy kroki, toteż Isaac przestał się dziwić, że najemnicy przybyli kanałami.

Tansell był jeszcze wyższy od Shadracha, ale znacznie szczuplejszy. Jego zbroja była bardziej elegancka, wyglądała na projektowaną przez kogoś, kto miał jakieś pojęcie o estetyce. Warstwy ciemnej skóry gotowanej w wosku ozdobiono spiralnymi motywami. Tansell był uzbrojony w niezbyt duży pistolet i smukły rapier.

– Co robimy? – spytał Pengefinchess i Isaac dopiero teraz zdał sobie sprawę, że vodyanoi jest samicą. Na pierwszy rzut oka odróżnienie płci istot tej rasy było właściwie niemożliwe, póki nie usłyszało się ich głosu lub nie zajrzało się pod przepaski biodrowe.

– No cóż... – odpowiedział, obserwując ją bacznie.

Kobieta-vodyanoi przykucnęła przed nim i odwzajemniła spojrzenie. Miała na sobie biały, obszerny, jednocześnie strój – niedorzecznie czysty, biorąc pod uwagę trasę, którą musiała przebyć w drodze do Griss Twist. Rękawy zaciskały się mocno wokół nadgarstków, a nogawki wokół kostek. Błoniaste dłonie i stopy były odkryte. Pengefinchess była uzbrojona w podwójnie gięty łuk i kościany nóż zatknięty za pasek, na plecach zaś miała szczelnie zamknięty kołczan. Jej brzuch opinał pas, do którego umocowana była torba z grubej, zapewne gadziej skóry. Isaac nie wiedział, co może w niej być.

Kiedy tak lustrował wzrokiem strój i rynsztunek Pengefinchess, nagle wydarzyło się coś dziwnego: jakiś kształt uwypuklił się i przemknął po jej ciele pod ubraniem, po czym zniknął. Kiedy osobliwa fala pod kombinezonem rozproszyła się, na białym materiale pojawiła się zniecka mokra plama, która przywarła do ciała i wyschła w mgnieniu oka, jakby potężna siła wysssała każdy atom wody. Isaac patrzył na to wszystko w osłupieniu.

Pengefinchess spojrzała na swój brzuch jak gdyby nigdy nic.

– To moja wodnica. Mam z nią umowę: dostarczam jej potrzebnych substancji, a ona jest ze mną i zapewnia mi wilgoć, utrzymuje mnie przy życiu. Dzięki niej mogę bywać w znacznie bardziej suchych miejscach niż inni vodyanoi.

Grimnebulin kiwnął głową. Nigdy dotąd nie widział ucieleśnienia wodnego żywiołu i czuł się jakoś nieswojo.

– Czy Lemuel uprzedził was, na czym polega nasz problem? – spytał uczony. Awanturnicy bez emocji skinęli głowami. Isaac również starał się zapanować nad narastającym zdenerwowaniem i podnieceniem.

– Te ómy, czy jak je tam zwiecie, to nie jedyne istoty, na które nie wolno patrzeć, mistrzu – odparł Shadrach. – Mogę je wytluc z zamkniętymi oczami, jeśli będzie trzeba. – Mężczyzna mówił z przejmującą, lodowatą pewnością siebie. – Widzicie ten pas? – zapytał nonszalancko. – To skóra catoblepasa. Zabiłem go na obrzeżach Tesh. Nie patrzyłem na niego, gdybym to zrobił, byłbym już trupem. Poradzimy sobie z tymi waszymi ómami.

– Mam cholerną nadzieję, że tak się stanie – mruknął ponuro Isaac. – Wierzę, że nasz udział w walce w ogóle nie będzie potrzebny. Lemuel potrzebuje wsparcia raczej na wszelki wypadek... Mamy nadzieję, że całą robotę wykonają konstrukty.

Usta Shadracha wykrzywił przelotny grymas, który prawdopodobnie miał wyrażać pogardę.

– Tansell jest metalotaumaturgiem – odezwał się Lemuel. – Mam rację?

– Powiedzmy, że znam parę technik pracy w metalu – odparł oględnie Tansell.

– To nietrudna robota – zapewnił go Isaac. – Wystarczyłoby trochę pospawać... Chodźcie za mną. – Poprowadził ochroniarzy przez śmietnisko do miejsca, w którym ukrył kawałki luster i resztę materiałów na hełmy. – Surowca na pewno wystarczy – mruknął, kucając obok sterty złomu. Wybrał z niej spory durszlak i kawałek miedzianej rurki, a po chwili wygrzebał z kupy odłamków dwa duże fragmenty lustra. – Musisz zrobić z tego dość ciasny hełm – powiedział, machając zdobyczą w stronę Tansella. – Potrzebny nam też będzie jeden dla garudy, który dołączy do nas później. – Uczony zignorował spojrzenia, jakie Tansell wymienił ze swymi kompanami. – Pamiętaj, że na koniec trzeba umocować te lusterka z przodu w taki sposób, żeby można było bez trudu obserwować to, co dzieje się z tyłu. Sądzisz, że umiesz zrobić coś takiego?

Wysoki mężczyzna posłał Isaacowi lekceważące spojrzenie. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami przed stertą metalu i szkła. Założył sobie durszlak na głowę, jak dziecko bawiące się w żołnierza. Zaczął szeptać półgłosem dziwne słowa,

jednocześnie zacierając ręce szybkimi, skomplikowanymi ruchami. Rozciągał dłonie, splatając palce i ściskając je w pięści.

Przez kilka minut nic się nie działo. I wreszcie palce mężczyzny zaczęły jarzyć się wewnętrznym blaskiem, jak gdyby ktoś włączył w nich lampy.

Tansell uniósł ręce i zaczął delikatnie muskać rondel, jakby gładził kota.

Zachęcony dotykiem palców metal począł zmieniać kształt. Każde muśnięcie czyniło go bardziej miękkim i lepiej dopasowanym do krzywizny głowy. Górna część spłaszczyła się nieco, a tylna wybrzuszyła. Tansell rozciągał durszlak i uciskał go delikatnie, aż nadał mu kształt idealnie przylegający do fryzury. Wtedy, nie przestając szeptać, zabrał się do formowania przedniej części, wyginając brzeg naczynia ku górze i odciągając coraz dalej od oczu.

Podniósłszy z ziemi miedzianą rurkę, chwycił ją między dłonie i zamknął w strumieniu energii. Krnąbrny metal ustąpił po dłuższej chwili i zaczął się wyginać. Tansell nadał rurce kształt półkola i nieco mocniej zagiął do wewnątrz same końcówki, które następnie przyłożył do ścianek durszlaka na wysokości swoich skroni. Przyciskał metal do metalu, aż napięcie powierzchniowe ustąpiło i cząsteczki dwóch elementów zaczęły mieszać się ze sobą. Z cichym skwierczeniem miedź i żelazo zespoliły się w jedno.

Tansell ukształtował rurkę w taki sposób, by jej łuk sterczał z przodu nowo powstającego hełmu. Miedziana pętla odstawała mniej więcej na stopę. Mężczyzna pochylił się, by podnieść z ziemi pierwszy odłamek lustra, ale nie znalazł go i niecierpliwie pstryknął palcami, żeby ktoś mu pomógł. Zaczął pomrukiwać uspokajająco w stronę rurki, próbując namówić ją na przyjęcie kawałka szkła. Gdy zmiękła i ustąpiła, sięgnął po drugi fragment zwierciadła i bez trudu wcisnął go w uplastyczniony metal. Spojrzał w lusterka i poprawił nieznacznie ich położenie, koncentrując wzrok na stercie odpadów, która piętrzyła się za jego plecami.

Postukał delikatnie w miedzianą rurkę, usztywniając ją na powrót.

Po chwili opuścił ręce i spojrzał na Isaaca. Hełm, który miał na głowie, nie był zbyt piękny, a jego pokrewieństwo z durszlakiem było absurdalnie oczywiste, ale mimo wszystko był to produkt idealnie odpowiadający ich potrzebom. Tansell pracował nad nim niespełna piętnaście minut.

– Przebiję tu dziury i założę skórzane paski do zapinania pod brodą, tak na wszelki wypadek – mruknął.

Isaac był pod wrażeniem.

– Doskonale – pochwalił, kiwając głową. – Potrzebujemy... eee... siedem takich i jeden dla garudy. Pamiętaj, że on ma bardziej krągłą głowę. Na jakiś czas zostawimy was samych z tą robotą – dodał, spoglądając na Derkhan i Lemuela. – Myślę, że już czas na spotkanie z Radą – powiedział.

Odwróciwszy się, ruszył przed siebie i zniknął w wilgotnym labiryncie. – Dobry wieczór, der Grimnebulin – rzekł awatar, gdy stanęli w samym sercu wysypiska. Isaac skinął głową na powitanie martwemu człowiekowi i gigantycznemu konstruktowi, który siedział na swoim miejscu. – Nie przyszedłeś sam – dodał awatar niezmiennie monotonnym głosem.

– Proszę cię, nie zaczynaj – odparł Isaac. – Nie zamierzamy pakować się w kłopoty we troje. Jesteśmy tłustym naukowcem, kanciarzem i dziennikarką. Potrzebne nam cholernie profesjonalne wsparcie, a ci ludzie zawodowo mordują egzotyczne zwierzęta. Poza tym nie mają najmniejszego interesu w tym, żeby mówić o tobie komukolwiek. Wiedzą zresztą tylko tyle, że pójda z nami jakieś zaszrane konstrukty. A nawet gdyby jakimś cudem dowiedzieli się o twoim istnieniu, to zapewne mieli okazję złamać w swym życiu dwie trzecie praw obowiązujących w

Nowym Crobuzon i w związku z tym raczej nie polecą z meldunkiem do Rudguttera. – Na moment zapadła cisza. – Możesz to sobie przeliczyć, jeśli masz ochotę. Nic ci nie grozi ze strony tych trzech łotrów, którzy teraz robią dla nas hełmy. – Isaac wyobraził sobie, że ziemia drży pod jego stopami, kiedy informacje popłynęły przez wszechobecne obwody Rady. Po długiej przerwie awatar i konstrukt skinęli głowami, ale Grimnebulin nie poczuł się pewniej. – Przyszedłem po tych z ciebie, których mógłbyś poświęcić na jutrzejszą wyprawę – dodał po chwili. Znowu zapadła cisza.

– Doskonale – odezwała się wreszcie Rada Konstruktów ustami bladego nieboszczyka. – Najpierw jednak, jak ustaliliśmy, zostanę twoim powiernikiem. Przyniosłeś maszynę kryzysową?

Rysy Isaaca stwardniały na niezauważalnie krótką chwilę.

– Jest tutaj – odpowiedział, stawiając przed awatarem jedną z toreb. Nagi mężczyzna pochylił się i otworzył ją, by spojrzeć na rury i szklane naczynia ściśnięte we wnętrzu. Przy okazji zniechęca uraczył Isaaca widokiem swej pustej czaszki. Po chwili podniósł torbę i cofnął się, by złożyć ją między nogami gigantycznej postaci. – Zaopiekuj się moim wynalazkiem na wypadek, gdyby ktoś odwiedził naszą szopę. To dobry pomysł. Wróć po niego jutro – dodał uczony, pochmurniejac nagle. – Który z ciebie wyruszy z nami na wyprawę? Przyda nam się siła konstruktów.

– Nie mogę ryzykować, że zostanę zdemaskowany, Grimnebulin – odparł awatar. – Gdybym miał pójść z wami w moich ukrytych postaciach, jako konstrukty, które za dnia pracują w domach, na budowach czy w bankowych skarbcach, gromadząc bezcenną wiedzę, i gdyby maszyny te miały wrócić uszkodzone lub gdybym miał nie zobaczyć ich nigdy więcej, zdradziłbym swoje istnienie. Nie jestem na to gotowy. Jeszcze nie. – Isaac wolno skinął głową. A awatar kończył mówić: – I dlatego pójdę z wami w postaciach, na których utratę mogę sobie pozwolić. Z pewnością wywołam w ten sposób zdumienie i zamieszanie, ale nikt nie domyśli się prawdy.

Śmieci zrzucone na stertę za plecami Isaaca zaczęły się poruszać. Uczony odwrócił się szybko.

Skupiska osobiwie dobranych szczątków wygrzebywały się spod stosu innych odpadów. Podobnie jak sama Rada Konstruktów, zbudowane były z jedyne go surowca powszechnie dostępnego na wysypisku: ze śmieci.

Kształtem i rozmiarami każdy z konstruktów przypominał szympansa. Poruszając się coraz zwawiej, maszyny wydawały niepokojące, metaliczne dźwięki. Każda z nich była inna. Ich głowy zbudowano z garnków lub abażurów, a dłonie zakończone były groźnie wyglądającymi szponami, wykonanymi z ostrych narzędzi i klamer spinających rusztowania. Korpusy automatów chronione były grubymi, metalowymi płytami, pospiesznie pospawanymi i przynitowanymi do stalowych szkieletów. Konstrukty poruszały się małpim sposobem, jak żywe przykłady zadziwiającej, wysypiskowej estetyki.

Gdyby leżały nieruchomo, nikt by ich nie zauważył: były ledwie przypadkowym skupiskiem rdzewiejącego metalu.

Isaac bez słowa przyglądał się „szympansom”, skaczącym i biegającym dookoła, ociekającym wodą i olejem maszynowym, szemrzącym z cicha mechanizmami zegarowymi.

– Do ich maszyn analitycznych załadowałem tyle danych, ile się zmieściło – powiedział awatar. – Będą cię słuchać i rozumieją, jak ważna jest ich misja. Dałem im też wirusową inteligencję. Program zawiera również informacje, które umożliwią im rozpoznanie ciem i zaatakowanie ich. W brzuchu każdego z tych konstruktów znajdują się zasobniki z kwasem lub flogistonem. – Isaac kiwnął głową, podziwiając

łatwość, z jaką Rada stworzyła w ciągu jednej nocy zastęp mechanicznych morderców. – Opracowałeś już plan? – spytał awatar.

– Mniej więcej – odparł Isaac. – Dziś wieczorem będziemy się przygotowywać; musimy uwzględnić udział dodatkowych ludzi... A jutro, mniej więcej o szóstej, spotkamy się tu z Yagiem, zakładając, że głupi sukinsyn nie da się wcześniej zabić. Wtedy, korzystając z doświadczenia Lemuela, przedostaniemy się do getta Riverskin. I zaczniemy polowanie na ćmy – dodał pospiesznie i dobitnie, pragnąc jak najszybciej wyrzucić z siebie słowa, które budziły w nim lęk. – Chodzi o to, żeby rozdzielić bestie. Jestem pewien, że poradzimy sobie, jeśli weźmiemy się za nie pojedynczo. Jeżeli spotkamy dwie lub więcej naraz, jedna zawsze będzie mogła stanąć tak, byśmy zobaczyli jej skrzydła. Musimy rozpoznać teren, dowiedzieć się, gdzie mają gniazdo. Trudno zaplanować atak ze szczegółami, kiedy nie znamy terenu. Weźmiemy ze sobą transformator, którego użyliście do wzmocnienia moich myśli. Może uda się zainteresować jedną z ciem; sprawić, żeby oddaliła się od pozostałych i zaczęła węszyć. Myślę, że wystarczy wzmocnić sygnał na chwilę, aby przebił się przez mentalny szum. Czy można do jednej maszyny przyłączyć więcej hełmów? Macie zapasowe? – Awatar skinął głową. – Więc przynieście je tutaj i pokażcie mi wszystkie funkcje. Każę Tansellowi dorobić do nich lusterka. Kłopot w tym – ciągnął w zamyśleniu Isaac – że być może nie tylko siła sygnału przyciąga ćmy. Gdyby tak było, wyłącznie jasnowidze i łącznicy padaliby ich ofiarą. Sądzę, że one lubią raczej określone smaki. To dlatego odnalazł mnie ten pokurcz. Nie dlatego, że nad miastem pojawił się bardzo silny ślad, ale dlatego, że ćmie wydał się znajomy i chciała wypić właśnie ten, konkretny umysł... Nie można jednak wykluczyć, że teraz i inne bestie rozpoznają mój smak. Mogły na przykład zapamiętać go ostatniej nocy – ciągnął, spoglądając w zamyśleniu na awatara. – Może skojarzą, że to ślad istoty, którą tropił ich brat czy siostra, zanim zginął. Nie wiem tylko, czy to dobrze dla nas czy źle...

– Der Grimnebulin – odezwał się po chwili nagi trup. – Wracając z tej wyprawy, musisz przyprowadzić ze sobą co najmniej jednego z mnie. To, co zobaczą te konstrukty, musi być przeładowane do mojej pamięci. Te dane będą dla mnie nieocenionym źródłem informacji o Szklarni. A informacje mogą nam tylko pomóc. Dlatego cokolwiek się stanie, jeden z nich musi wrócić.

Tym razem chwila ciszy była jeszcze dłuższa. Rada czekała, a Isaac zastanawiał się, co powiedzieć. Nie wymyślił jednak nic odkrywczego.

– Wróć jutro. Niech twoje małpie wcielenia czekają w gotowości. A potem... potem... znowu się zobaczymy.

*

Miasto tonęło w niesamowitej gorączce nocy. Lato osiągnęło krytyczny punkt. Wysoko nad dachami, w strumieniach brudnego powietrza, tańczyły olbrzymie ćmy.

Przemykały swobodnie między minaretami i betonowymi graniami Dworca Perdido. Nieznacznymi ruchami skrzydeł korygowały kurs, wprawnie korzystając z wznoszących prądów powietrznych. Śmigwały beztrudnie, pozostawiając za sobą jedynie śladowe ilości rozmaitych emocji.

Oddawały się zalotom, pieszcząc zmysły łagodnymi sygnałami. Już prawie zapomniały o na w pół zaleczonych ranach, zwłaszcza że przepelniało je teraz radosne podniecenie.

Tu, na niegdyś żyznych równinach w pobliżu brzegów Morza Dzentelmena, lato rozpoczynało się półtora miesiąca wcześniej niż w ojczyźnie ciem, po drugiej stronie wielkiej wody. Temperatura rosła szybko, w tym wyjątkowym sezonie osiągając pułap nie notowany od dwudziestu lat.

Upał wywołał instynktowną reakcję w lędźwiach potworów. Ich krew zakotłowała się od gwałtownie uwalnianych hormonów. Obecność tych chymikaliów służyła tylko jednemu celowi: pobudzeniu gonad do ogromnej, przedwczesnej aktywności. Bestie stały się nagle płodne i agresywnie podniecone.

Aspisy, nietoperze i ptaki uciekały w popłochu, porażone siłą pożądania, które przeniknęło i nasyciło psychosferę.

Flirt rozochoconych ciem był w istocie upiornym i lubieżnym powietrznym baletem. Istoty dotykały się mackami i kończynami, rozwijając dumnie i takie członki, których nigdy dotąd nie oglądały. Trzy mniej poturbowane okazy pomagały czwartemu, poważnie rannemu w starciu z Tkaczem, w locie ponad dymiącymi kominami Nowego Crobuzon. Osłabiona ćma przestała wreszcie lizać drżącym językiem liczne rany i ożywiła się nieco. Zaczęła dotykać swych towarzyszy, rozpalając w nich i w sobie coraz gorętszą namiętność.

Czterostronne zaloty coraz bardziej upodabniały się do współzawodnictwa. Głaszcząc się, muskając i dotykając wzajemnie, ćmy wzbijały się kolejno ku księżycowi, pijane podnieceniem. Tam rozchylały nieco fałdy skóry pod ogonem i z ukrytego gruczołu rozpylały aromatyczną wydzielinę wzmagającą zdolności empatyczne.

Te, które leciały niżej, ochoczo nurzały się w obłokach tej substancji, skacząc w nie jak rozbawione morświny. Koziołkowały i szybowały w powietrzu, by po chwili wzlecieć wyżej i spuścić podobny ładunek wydzieliny na swych towarzyszy. Pławiąc się w erogennych i pobudzających owulację sokach, ćmy lubieżnie sprzeczały się o to, która z nich przyjmie rolę samicy.

Z każdą wydaloną porcją wonnej substancji podniecenie istot osiągało większe natężenie. Obnażały zęby podobne do szlifowanych kamieni i pobekując głośno, rzucały sobie erotyczne wyzwania. Pory ukryte pod chitynowymi płytami wydzielały silne afrodyzjaki. Ćmy ochoczo ocierały się wzajemnie o strużki podniecających płynów.

Pojedynek feromonów trwał, ale jeden z czterech głosów stawał się z czasem coraz donośniejszy i bardziej triumfalny. Jedno ciało szybowało wyżej i wyżej, zostawiając w tyle swych towarzyszy. Jego emanacje zdominowały psychosferę. Jedna po drugiej pozostałe ćmy zamykały swe żeńskie organy we wnętrzu ciała, akceptując porażkę i przynajmniej chwilową męskość.

Zwycięska istota – wciąż jeszcze pokaleczona i brocząca posoką po spotkaniu z Tkaczem – wysokim lotem okazywała swoją radość. Jej zapach przesycony był teraz żeńskim pierwiastkiem, a jej płodność – niekwestionowana. Dowiodła, że jest najbardziej godna macierzyństwa.

Zyskała prawo do wydania na świat potomstwa.

Pozostałe bestie adorowały ją, stały się oblubieńcami.

Zapach ciała nowo obranej matrony doprowadzał ich do ekstazy. Zataczali pętle i powracali, podnieceni i gotowi.

Ćma-matka bawiła się z nimi, wiodąc długim szlakiem ponad rozpalonym i ciemnym miastem. Kiedy poczuła wreszcie, że ich podniecenie stało się równie

bolesne jak żądza, która ją trawiła, zawisa nieruchomo na niebie i rozłożyła kończyny, otwierając przy tym dolną część egzoszkieletu i wysuwając ku partnerom rozchyloną pochwę.

Ćmy kopulowały kolejno, na moment stając się rozedrganą i spadającą jak kamień masą dwóch ciał, otoczoną przez niecierpliwych partnerów czekających na swoją szansę. Organiczne mechanizmy rozwarły segmentowane pancerze na brzuchach „samców” i wysunęły z nich penisy. Zbliżenie wymagało potężnego uchwytu szponów, macek i kostnych wyrostków od obu stron stosunku; ciała spletały się w skomplikowany sposób, walcząc ze sobą i z grawitacją przez dłuższą chwilę.

Wreszcie stało się. Ćmy złączyły się po trzykroć, z niewymowną rozkoszą zaspokajając instynktowną potrzebę.

Kiedy minęły godziny rui, cztery wyczerpane ćmy mogły już tylko szybować na szeroko rozpostartych skrzydłach.

Przed świtem powietrze ochłodziło się nieco i łoże z prądów wstępujących, na którym szalały, zniknęło. Istoty zaczęły bić skrzydłami, by utrzymać pułap. Trzej ojcowie jeden po drugim obniżali lot, by szukać pokarmu dla siebie i partnerki.

Zapłodniona ćma pozostała w przestworzach nieco dłużej. Przez pewien czas krążyła samotnie, badając przestrzeń ruchliwymi czułkami, a potem skierowała się na południe. Była wycieńczona. Organy płciowe zamknęły się pod opalizującą płytą pancerza, troskliwie chroniąc to, co zostało w nich złożone.

Ćma-matka leciała w stronę Riverskin, by przygotować gniazdo pod kopułą kaktusów.

Próbują rozprostować szpony. Powstrzymuje je warstwa zwiniętych i wystrzępionych bandaży, furkoczących jak naddarta skóra.

Idę zgięty w pół wzdłuż torów kolejowych, a przejeżdżające obok pociągi ostrzegają mnie gniewnym wyciem. Jestem na moście i w marszu przyglądam się płynącej dołem Smole. Staję i rozglądam się. Daleko przede mną, po drugiej stronie, woda stuka o betonowy brzeg grubą warstwą pływających śmieci.

Spoglądam na zachód i widzę nad wodą i opuchlizną domów Riverskin szczyt kopuły Szklarni. Jest oświetlona od wewnątrz jak wielki, jarzący się pryszcz na skórze miasta.

Zmieniam się. Jest we mnie coś, czego przedtem nie było... a może coś ważnego zniknęło? Wącham powietrze i wiem, że jest takie samo jak wczoraj, a jednocześnie czuję w nim coś nowego. Nie ma wątpliwości: coś się gromadzi i pod moją skórą. Nie mam już pewności, kim jestem.

Szedłem za tymi ludźmi jak głupiec. Jak bezwartościowa, bezmózga istota, pozbawiona intelektu i własnej opinii. Lecz skąd mogę wiedzieć, co trzeba mówić, skoro nie mam nawet pojęcia, kim jestem?

Nie jestem już Szanowanym Yagharkiem, nie jestem nim od miesięcy. Nie jestem też tą wściekłą bestią, która szalała na arenach Shankell, mordując ludzi i trowy, szczurdziny i czerepyski, całą menażerię niepojętych potworów i armię wojowników należących do ras, o których nawet nie śniłem. Dziki gladiator już nie istnieje.

Nie jestem tym znużonym wędrowcem, który przemierzał trawiaste równiny i zimne, twarde wzgórza. Nie jestem tym zagubionym podróżnikiem, który wszedł w betonowy labirynt miasta i stracił z oczu szlak, próbując stać się czymś, czym nigdy nie był.

Nie jestem żadnym z nich. Zmieniam się i nie wiem jeszcze, czym się stanę.

Boję się Szklarni. Podobnie jak Shankell, ma ona wiele imion: nazywają ją nie tylko Szklarnią, ale i Cieplarnią, Dojrzewalnią albo Domem Roślin. A prawda jest taka, że nie jest niczym innym, jak tylko gettem, które stworzył ktoś sprytnym szalbierstwem. Gettem, w którym kaktusy próbują odtworzyć realia swojego świata leżącego na skraju pustyni. Czyżbym wracał do domu?

Zadać pytanie oznacza szukać na nie odpowiedzi. Szklarnia nie jest ani sawanną, ani pustynią. Jest smętną iluzją; mirażem i niczym więcej. Z pewnością nie jest moim domem.

A nawet gdyby była pustynią, gdyby uczyniono ją wrotami do samego serca Cymek, do wyschniętych lasów i żyznych bagien, do rezerwuaru ukrytego w piaskach życia i do wielkiej, wędrownej biblioteki garudów, gdyby była czymś więcej niż tylko cieniem, gdyby była pustynią, którą ma udawać, wtedy też nie byłaby moim domem. Takie miejsce po prostu nie istnieje.

Będą tak szedł przez noc i dzień. Odtworzę cały szlak, który raz już pokonałem, w cieniu wiaduktów. Przemierzę to potworne miasto i odnajdę ulice, którymi trafiłem aż tutaj, te wąskie kanały z cegieł, którym zawdzięczam życie i samego siebie.

Odnajdą włóczęgów, z którymi dzieliłem się jedzeniem, jeżeli nie uśmierciły ich jeszcze choroby i jeżeli nikt nie zadźgał ich jeszcze za nędzną parę zaszczytanych butów, cały ich dobytek. To oni stali się moim plemieniem; kalekim i słabym, ale jednak plemieniem. Ich obojętność wobec mnie – i wszystkich innych spraw tego świata – była dla mnie orzeźwieniem po długich godzinach ukrywania się i noszenia tej przeklętej, drewnianej protezy skrzydeł. Nic im nie zawdzięczam, tym przeżartym przez alkohol i narkotyki sukinsynom, ale odnajdę ich raz jeszcze dla własnej przyjemności, nie ich.

Czuję się tak, jakbym szedł tymi ulicami ostatni raz.

Czy czeka mnie śmierć?

Są dwie możliwości.

Pomogę Grimnebulinowi i razem pokonamy te ćmy, te potworne, nocne stworzenia, które wypijają nasze dusze, a potem on zamieni mnie w akumulator; naładuje mnie energią jak komorę z flogistonem i znowu będę latał. Wspinam się, myśląc o tym. Sięgam wyżej i wyżej, wdrapując się po stopniach mostowych dźwigarów. Wchodzę na miasto jak na drabinę, by popatrzeć jeszcze na tę żalosną, duszną noc. Czuję, jak kikuty mięśni, które niegdyś poruszały moimi skrzydłami, prężą się w żalosnej parodii łopotu. Nie uniosę się więcej w powietrze dzięki piórom; wystarczy mi wytężyć umysł i skierować odpowiednio strumień mocy, plastycznej energii, taumatycznej siły, tej niepojętej i nieograniczonej potęgi, którą Grimnebulin nazywa kryzysem.

Będę cudem tego świata.

Albo też zawiodę i zginę. Upadnę i nadzieję się na szorstki metal lub moje myśli zostaną wyssane i zamienione w pokarm dla kolejnego, wykluwającego się diabła.

Czy będę to czuł? Czy będę żył w mleku bestii? Czy będę wiedział, że jestem wypijany?

Słońce wypelza powoli nad horyzont. Czuję zmęczenie.

Wiem, że powinienem być zostać. Jeżeli mam stać się realną postacią, kimś więcej niż milczącym imbecylem, którym dotąd byłem, powinienem być zostać, interweniować, planować, przygotowywać i ruchem głowy potakiwać rozsądnym sugestiom, a także uzupełniać je własnymi. Jestem, a przynajmniej byłem, myśliwym. Umiem podchodzić nawet najbardziej przerażające potwory.

A jednak nie mogłem. Próbowałem przeproszać, tłumaczyć Grimnebulinowi – a nawet Blueday – że jestem jednym z nich, członkiem grupy. Załogi. Drużyny. Łowcą bestii. Wszystkie te nazwy brzmiały głucho w mojej głowie.

Będę szukał i odnajdę siebie. Wtedy będę wiedział, czy mam im o tym powiedzieć.

Uzbroję się. Znajdę nóż i bicz, taki sam jak ten, którym posługiwałem się dawniej. Może i jestem wyrzutkiem, ale nie pozwolę im umrzeć w samotności. Dopilnuję, żebyśmy drogo sprzedali nasze życie tym spragnionym bestiom.

Słyszę smutną muzykę. Słyszę ją w tych krótkich chwilach, kiedy pociągi i barki oddalają się zgodnie, a rżenie ich silników gaśnie, na moment odsłaniając prawdziwą naturę świtu.

Gdzieś na brzegu rzeki, może na poddaszu którejś z kamienic, ktoś gra na skrzypcach. To ujmująca melodia, delikatna konstrukcja półtonów i kontrapunktów oparta na rwącym się rytmie. Ani trochę nie przypomina lokalnych kompozycji.

Poznaję ten dźwięk. Słyszałem go nieraz. Na statku, który wiozł mnie przez Morze Mizerne, i wcześniej, w Shankell.

Zdaje się, że nie ucieknę od mojej południowej przeszłości.

W taki sposób witają świt rybaczki z Perrick Nigh i Wysp Mandrake 'a, leżących daleko na południu. Moja niewidzialna akompaniatorka wychwala wschodzące słońce.

Nieliczni przybysze z Perrick zadomowili się głównie w Echomire, a ja jestem przecież dobre trzy mile w górę krętej rzeki od tej dzielnicy i podziwiam nienaganną technikę nie znanej mi kobiety.

Przez kilka chwil popisuje się wyłącznie dla mnie, zanim zwyczajne odgłosy poranka zajmą miejsce tęsknej melodii. I oto jestem na moście, a wokół mnie rozbrzmiewają już tylko głośne syreny barek i pociągów.

Daleki dźwięk zapewne niesie się jeszcze nad wodą, ale już go nie słyszę. Moje uszy pełne są hałasów Nowego Crobuzon. Pójdę za nimi i powitam je z radością. Niech mnie otoczą. Zanurzę się w gorące życie miasta. Pod łukami, między kamienie, w las nagich Żeber, w ceglane nory Badside i Dog Fenn i przemysłowe kaniony Gross Coil. Tak jak Lemuel szukał swoich znajomek, tak i ja wrócę po własnych śladach, by – mam nadzieję – znaleźć w architektonicznej gęstwinie imigrantów, uchodźców, outsiderów, którzy każdego dnia na nowo stwarzają Nowe Crobuzon. Miasto bękarciej kultury. Miasto skundlone.

Usłyszę pewnie skrzypaczki z Perrick, pogrzebową pieśń przybyszów z Gnurr Kett, zobaczę kamienną układankę z Chet i poczuję zapach owsianki z kozim mięsem, jaką jada się tylko w Neovadan, a może dostrzegę gdzieś drzwi ozdobione symbolami drukarza z Cobsea... Wszyscy ci imigranci znaleźli się daleko od swych domów. Stali się bezdomni. A jednak są w domu.

Nowe Crobuzon otoczy mnie i przesączy się przez moją skórę.

Kiedy wrócę do Griss Twist, moi towarzysze będą czekać. Razem uwolnimy miasto, które nam ukradziono. Nie rzucając się w oczy i nie czekając na podziękowania.

CZĘŚĆ SZÓSTA. SZKLARNIA

ROZDZIAŁ 42

Ulice Riverskin wznosiły się nieznacznie ku górującemu nad dachami gmachowi Szklarni. Domy były tu stare i wysokie, drewniane konstrukcje przegniłe, a tynki wilgotne. Po każdym deszczu ściany nasiąkały i wybrzuszały się jeszcze bardziej, a z dachów ześlizgiwały się zwietrzałe dachówki, nie trzymane już przez dawno zżarte rdzą gwoździe. Dzielnica Riverskin wyglądała tak, jakby pociła się w nieznośnym upale.

Jej południowa część w zasadzie niczym nie różniła się od Flyside, do której przylegała. Była tania i w miarę bezpieczna, pełna istot raczej nieskorych do przemocy. Jej populacja była mieszana – większość stanowili ludzie, ale nad cichym kanałem zamieszkała spora grupa vodyanoich, dwie ulice zamieszkiwały wyłącznie khepri – co było wielką rzadkością poza Kinken i Creekside – a w mniej uczęszczanych zaułkach znalazło schronienie paru kaktusów indywidualistów. Południowa część Riverskin była też domem kilku niewielkich grup reprezentujących naprawdę nieczęsto spotykane rasy. Przy Bekman Avenue znajdował się sklep prowadzony przez rodzinę hotchich, którzy na szczęście spiliwali swe kolce, by nie odstraszać sąsiadów. Był tu nawet pewien bezdomny llogris, który dbał o to, by o każdej porze jego baryłkowane ciało było pełne mocnego trunku i zataczając j się, przemierzał ulice na swych trzech niepewnych nogach.

Północna część dzielnicy była zupełnie inna – cichsza i bardziej ponura. To tu znajdował się rezerwat kaktusów.

Szklarnia była olbrzymia, ale nie mogła pomieścić wszystkich ludzi-kaktusów zamieszkujących Nowe Crobuzon; nawet tych, którzy wiernie hołdowali tradycjom swego ludu. Co najmniej dwie trzecie miejskiej populacji tych istot musiało szukać mieszkania poza ochronną, szklaną kopułą. Największe ich skupiska znajdowały się w slumsach Riverskin, a także w Syriac i Abrogate Green. Jednakże Riverskin zawsze było dla nich centrum miasta; tylko tu ich liczba była co najmniej równa liczbie ludzi. Ci, którzy tu mieszkali, należeli do niższej kasty – wolno im było wchodzić do Szklarni na zakupy i w celach religijnych, ale na co dzień zmuszeni byli przebywać w mieście niewiernych.

Niektórzy buntowali się przeciwko tej sytuacji. Młodzi ślubowali, że nigdy nie przekroczą progu Szklarni, która ich zdradziła. Używali wobec niej wyłącznie starej, ironicznej nazwy: Wylęgarnia. Na znak protestu okaleczali swoje ciała i z zapalem oddawali się brutalnym, bezsensownym, ale i podniecającym walkom gangów. Niekiedy terroryzowali okolicę, napadając i okradając starszych ludzi i kaktusy, z którymi dzielili ulice.

Kolczaści mieszkańcy Riverskin byli posępni i małomówni. Bez entuzjazmu pracowali dla swych szefów – ludzi lub vodyanoich. Nie rozmawiali nawet ze swymi kolegami, jeśli nie liczyć okazjonalnej wymiany krótkich mruknięć. Nikt jednak nie wiedział, jak zachowują się podczas wizyt w Szklarni.

Siedziba kaktusów była imponującą, nieco spłaszczoną kopułą. Na ziemi jej średnica przekraczała ćwierć mili. Wierzchołek znajdował się na wysokości osiemdziesięciu jardów. Fundamenty ścian umocowano w ziemi pod kątem, tak by zachowały pion mimo pochyłości ulic.

Ramę konstrukcji wykonano z kutego, czarnego żelaza. Potężny szkielet zdobiły nieliczne zawijasy i oszczędne motywy roślinne. Stojąca na niewielkim pagórku kopuła wznosiła się wysoko ponad dachy okolicznych domów i była widoczna z wielkiej odległości. Dokoła niej sterczały w niebo potężne dźwigary, niemal dorównujące rozmiarami Żebrom. Przymocowano do nich grube, skręcone pręty z żelaza, które podtrzymywały wierzchołek Szklarni.

Im większa była odległość, z której obserwowano siedzibę kaktusów, tym mocniejsze wrażenie wywierała swym ogromem. Panorama widziana ze szczytu lesistego wzniesienia Flag Hill była wyjątkowo imponująca: za dwiema rzekami, za napowietrznymi liniami kolejowymi i za czterema milami dachów groteskowych budowli szklane tafle kopuły lśniły w słońcu jak lustra. Z bliska jednak, z półmroku sąsiednich uliczek, widać było liczne ciemne plamy w miejscach, gdzie wybito szyby. Szklarnię remontowano tylko raz w jej trzystuletniej historii.

U podstawy gmachu jego starość była najlepiej widoczna; farba odłaziła długimi jęzorami od metalowych belek, a plamy rdzy wgryzały się w nie jak żarłoczne czerwce. Dolne panele ścienne – a każdy z nich miał dobrych siedem stóp szerokości – mniej więcej do wysokości piętnastu stóp wykonano z żelaza. Podobnie jak dźwigary, pokryte były obłazającą na potęgę farbą. Wyżej położone, zwężające się ku szczytowi panele zbudowane były ze szkła. Brud, który wżerał się w nie na przestrzeni stuleci, uczynił z nich przypadkową mozaikę zielonkawych, niebieskawych i beżowych plam. Szkło, którego użyto, było zbrojone, tak by każda z tafli wytrzymała ciężar dwóch dorosłych kaktusów. Mimo to niektóre szyby zostały wybite, a w wielu innych widać było gęste siateczki pęknięć.

Kiedy wznoszono kopułę, okoliczne domy nie były największym zmartwieniem architektów. Ulice biegły jak dawniej i po prostu urywały się tam, gdzie stanęła żelazno-szklana ściana. Domy, które znalazły się w miejscu projektowanej krawędzi Szklarni, wyburzono bez skrupułów. Rzędy budynków ciągnęły się dalej w jej wnętrzu, podobnie jak odcięte od świata ulice.

W ciągu trzystu lat dokonano sporych zmian w zaanektowanej, niegdyś ludzkiej architekturze. Domy zostały przystosowane do potrzeb kaktusów. Niektóre zburzono i zastąpiono nowymi, dziwacznymi budowlami. Generalnie jednak mówiło się, że struktura odciętych od miasta ulic i ich zabudowy przetrwała w zbliżonym kształcie.

Jedynym wejściem do Szklarni znajdowało się w jej południowym krańcu, przy Yashur Plaża. Po przeciwnej stronie kopuły umieszczono zaś jedyne wyjście na Bytrash Street, stromą uliczkę biegnącą w kierunku rzeki. Prawo kaktusów stanowiło, że wejść do Szklarni można było wyłącznie wejściem, a wyjść – jedynie wyjściem. Pecha mieli więc ci, którzy mieszkali w pobliżu jednej lub drugiej bramy. Wejście do wnętrza mogło na przykład zabierać im dwie minuty, natomiast powrót do domu wymagał długiego spaceru uliczkami dookoła wielkiej budowli.

Każdego ranka o piątej otwierano bramy, by zamknąć je ponownie dopiero o północy. Broniły ich oddziały wartowników, uzbrojonych w berdysze i potężne kuszarpacze.

Podobnie jak ich tępi ukorzeni kuzyni, ludzie-kaktusy mieli grubą włóknistą roślinną skórę. Łatwo było rozerwać ją lub przebić, ale też goiła się szybko, pozostawiając jedynie brzydkie, grube blizny – większość kolczastych istot miała ich wiele; były zupełnie nieszkodliwymi naroślami. Niełatwo było spenetrować ciało kaktusa ostrzem czy pociskiem w taki sposób, by uszkodzić jeden z niezbędnych do życia organów. Broń palna i łuki były zazwyczaj nieskuteczną bronią. To dlatego żołnierze pełniący straż u bram Szklarni nosili na ramionach kuszarpacze.

Broń tę wynaleźli ludzie. Używano jej powszechnie w ponurych latach rządów burmistrza Collodda, zwłaszcza upodobali ją sobie ludzie-strażnicy na farmach kaktusów należących do burmistrza. Kiedy jednak weszła w życie reformatorska Ustawa o Rasach Świadomych, która zapewniła kaktusom coś w rodzaju równoprawnego obywatelstwa Nowego Crobuzon, pragmatyczni starsi tej rasy uznali, że broń strażników będzie idealnym narzędziem władzy. Od tamtej pory dokonano w

kuszarpaczach licznych innowacji, choć tym razem ich autorami byli już inżynierowie-kaktusy.

Nowoczesny kuszarpacz był w istocie potężną kuszą, zdecydowanie zbyt wielką i ciężką dla człowieka. Amunicją do niego nie były krótkie i grube bełty, ale chakri – metalowe dyski o ostrych lub ząbkowanych krawędziach bądź też gwiazdki o wygiętych ramionach. Otwór pośrodku chakri pasował idealnie do żelaznego kołka sterującego z korpusu broni. Naciśnięcie spustu wprowadzało w ruch skomplikowany mechanizm, powodując nagłe naprężenie drutu napędowego, który nadawał kołkowi błyskawiczną rotację i jednocześnie pchał go w przód. Kiedy bolec docierał do końca swej drogi, pochylał się i wyskakiwał z otworu w chakri. Pocisk opuszczał wyrzutnię z ogromną prędkością i wirował jak ostrze piły tarczowej.

Tarcie atmosferyczne szybko hamowało lot chakri: kuszarpacz nie miał nawet w przybliżeniu tak dalekiego zasięgu jak łuk czy karabin skałkowy. Mógł za to jednym strzałem pozbawić kaktusa – albo człowieka, jeśli była taka konieczność – głowy lub kończyny z odległości stu stóp i pomknąć dalej, ciężko raniąc innych.

Kolczaste wartownicy mieli powody, by butnie przyglądać się przechodniom, beztrąsco wywijając ciężkimi kuszarpaczami.

Promienie zachodzącego słońca docierały do miasta znad dalekich gór. Szklane tafle zachodniej fasady Szklarni płonęły jak rubiny.

Po zardzewiałej drabinie wiodącej aż na szczyt kopuły wspinała się samotna postać. Mężczyzna chwycił kolejne szczeble i pełził po wypukłej ścianie, która przypominała mu wielką krzywiznę księżyca.

Była to jedna z trzech drabinek, jakimi można było dostać się na sam szczyt Szklarni. Zamontowano je dla ekip naprawczych, które nigdy się nie pojawiły. Łukowata kopuła przypominała zdjęte plecy gigantycznej postaci, której nogi i głowa zostały zagrzebane w ziemi. Samotna ludzka sylwetka wyglądała na niej jak jeździec na grzbiecie wieloryba-olbrzyma. Mężczyzna starał się nie odrywać ciała od żelaznych szczebli, by nie być zbyt widocznym w morzu światła odbijającego się od szklanych tafli. Wybrał tę drogę, która biegła północno-zachodnią ścianą Szklarni, nie chcąc rzucać się w oczy pasażerom pociągów mknących linią Sud w stronę Pól Salacusa. Tory znajdowały się dość blisko przeciwległej strony kopuły; ryzyko wykrycia byłoby tam zbyt duże.

Po kilkunastu minutach niełatwej wspinaczki intruz dotarł do metalowego kręgu, który otaczał wierzchołek konstrukcji. Dalej znajdowała się już tylko gruba, przezroczysta, okrągła szklana tafla o średnicy mniej więcej ośmiu stóp. Umieszczono ją precyzyjnie pośrodku żelaznego szkieletu, gdzie tkwiła niczym gigantyczny korek zatykający kopułę. Mężczyzna zatrzymał się i spojrzał na miasto ponad wierzchołkami wsporników i grubych prętów podtrzymujących sklepienie. Z przerażeniem zacisnął dłonie na szczeblach, kiedy mocniejszy podmuch wiatru omal nie strącił go na dół. Popatrzył na ciemniejące niebo i na przygaszone gwiazdy, dla których światło miasta i kolonii ukrytej pod szklaną kopułą było jeszcze zbyt silne.

Odwrócił się ku brudnej tafli, panel po panelu lustrując wzrokiem jej powierzchnię.

Minęło sporo minut, zanim podniósł się i zaczął tyłem schodzić po drabinie. Po omacku szukając oparcia dla stóp i ze wszystkich sił trzymając się żelaznej kratownicy, zsuwał się coraz niżej, ku ziemi.

Drabina kończyła się dwanaście stóp nad ziemią. Dalej mężczyzna musiał zsunąć się po linie, którą za pomocą haka uczeplił do najniższego szczebla. Stanąwszy na piaszczystym gruncie, rozejrzył się uważnie.

– Lem – syknął ktoś w pobliżu. – Tutaj.

Towarzysze Lemuela Pigeona ukrywali się w zrujnowanym domu na samym skraju usianej gruzem strefy otaczającej kopułę. Ledwie widoczny Isaac gestykułował ku niemu z ożywieniem, wychylając się ponad progiem zza drzwi, których od dawna nie było.

Lemuel szybko przemierzył otwartą przestrzeń, przeskakując między bryłami betonu i pokruszonych cegieł, wrosniętych w ziemię wraz z kępami traw. Odwróciwszy się plecami do wieczornego blasku słońca, wśliznął się w ciemny otwór wypalanej skorupy budynku.

W półmroku dostrzegł skulone sylwetki Isaaca, Derkhan, Yagharka i trojga awanturników. Przed nimi leżała na ziemi sterta poobijanych przedmiotów – rur, kabli, żelaznych uchwytów i soczewek. Lemuel wiedział, że z tego śmiecia powstanie pięć konstruktów-małp, kiedy tylko ruszą do akcji.

– I co? – spytał Isaac.

Lemuel kiwnął głową.

– To, co słyszałem, jest prawdą – odpowiedział cicho. – W pobliżu wierzchołka, na północno-wschodniej krzywiznie, widać dużą wyrwę. Z miejsca, w którym siedziałem, trudno było ocenić dokładnie jej rozmiary, ale – moim zdaniem – ma przynajmniej... sześć stóp na cztery. Oglądałem się na wszystkie strony, ale nie zauważyłem innego otworu, w którym zmieściłaby się istota wielkości człowieka. Przyjrzelście się podstawie kopuły?

Derkhan przytaknęła ruchem głowy.

– Nic ciekawego-powiedziała. – To znaczy: znaleźliśmy mnóstwo pęknięć i parę miejsc, w których brakowało sporych kawałków szkła, ale dziury nie były wystarczająco duże. Ta, którą widziałeś, musi być wejściem.

Isaac i Lemuel skinęli głowami.

– Zatem tamtędy wlatują i wylatują ze Szklarni – mruknął zamyślony Grimnebulin. – Najlepiej będzie pójść ich trasą. Nie uśmiecha mi się taka robota, ale obawiam się, że powinniśmy wejść na górę. Co widać w środku?

– Prawie nic – odparł Lemuel, wzruszając ramionami. – Szkło jest grube, stare i cholernie brudne. Zdaje się, że kaktusy myją te szyby tylko raz na trzy lub cztery lata. Widać zarysy ulic i domów, ale nic ponadto. Trzeba będzie zajrzeć przez dziurę, żeby przyzwyciężyć zorientować się w sytuacji.

– Nie możemy wejść tam całą grupą – zauważyła Derkhan. – Ktoś nas zobaczy. Moim zdaniem Lemuel powinien iść pierwszy; on najlepiej nadaje się do takiej roboty.

– Nie ma mowy – odparł z naciskiem Pigeon. – Nie lubię wspinaczki i nie mam najmniejszej ochoty wisieć głową w dół setki stóp nad ziemią, nad trzydziestoma tysiącami mocno wnerwionych kaktusów...

– W takim razie co robimy? – Derkhan wyglądała na zirytowaną. – Moglibyśmy poczekać do nocy, ale wtedy będziemy mieli na głowie te cholerne ćmy. Tak czy inaczej, najbezpieczniej będzie wspinać się pojedynczo. Ktoś musi być pierwszy i...

– Ja pójdę pierwszy – przerwał jej Yagharek.

Zapadła cisza. Isaac i Derkhan wpatrywali się w garudę szeroko otwartymi oczami.

– Świetnie! – podchwycił ochoczo Lemuel i klasnął w dłonie. – To już mamy ustalone. Wejdiesz na górę i... no... rozejrzysz się trochę, a potem rzucisz nam jakoś wiadomość...

Isaac i Derkhan ignorowali gadaninę Lemuela. Wciąż przyglądali się Yagharkowi.

– To oczywiste, że powinienem iść pierwszy – rzekł garuda. – Na wysokościach czuję się jak w domu – wyjaśnił głosem stłumionym nagłym wzruszeniem. – Co

więcej, jestem myśliwym. Mogę spojrzeć w dół i wypatrzeć kryjówkę ciem. Zobaczę, co możemy działać pod tym szklanym dachem.

Yagharek ruszył śladami Lemuela ku wierzchołkowi olbrzymiej Szklarni.

Odwiązał brudne bandażę, które spowijały jego stopy, i z lubością wyprostował potężne szpony. Skorzystał z liny Lemuela, by wdrapać się na pierwszy szczebel drabiny, a potem zaczął się wspinać z szybkością i pewnością, których ludzie mogli mu jedynie pozazdrościć.

Co pewien czas zatrzymywał się i napawał ciepłym wiatrem, nie zwalniając pewnego uchwytu szponiastych dłoni. Odchyłał się niebezpiecznie, rozciągając ramiona, aby swym muskularnym ciałem nabrać powietrza jak organiczny żagiel.

Udawał, że leci.

Za cienkim pasem miał zatknięte sztylet i bicz, które ukradł poprzedniego dnia. Bat był dość toporny i niewiele miał wspólnego z dopracowanym dziełem sztuki, jakiego używał swego czasu na pustyni, ale przynajmniej była to broń, którą jego ręce pamiętały i z którą czuły się pewnie.

Szedł szybko i bez wahania. Spoglądał na sterowce przemykające gdzieś daleko, ale był spokojny. Nie został zauważony.

Kiedy dotarł na szczyt kopuły, Nowe Crobuzon wydało mu się prezentem, który leży w zasięgu ręki i który można wziąć, gdy tylko ma się na to ochotę. Wszędzie, gdzie spojrzał, widział palce, dłonie, pięści i kolce miejskiej architektury, sięgające bezczelnie ku niebu. Żebra sterczały ku górze niczym skostniałe macki, Szpikulec przebijał serce miasta jak rożen, a skomplikowana bryła Parlamentu górowała ponuro nad rzeką. Yagharek mierzył je zimnym wzrokiem stratega. Wreszcie spojrzał na wschód, gdzie po kablu łączącym wieżę we Flyside ze Szpikulcem z rumorem przemknęła milicyjna kapsuła.

Stanąwszy na wielkiej soczewce zamykającej sklepienie Szklarni, niemal natychmiast dostrzegł potężną wyrwę w szklanym sklepieniu, o której mówił Lemuel. Był mile zaskoczony tym, że jego oczy, oczy drapieżnego ptaka, wciąż działały tak jak za dawnych, szczęśliwych czasów.

Spojrzał na szklaną taflę pod łagodnie wygiętą drabiną, próbując dostrzec coś we wnętrzu kopuły, ale warstwa brudu oraz ptasich i wyrmenich odchodów była zbyt gruba. Zobaczył jedynie mgliste sugestie stromych dachów i wąskich ulic.

Zszedł z drabiny i stanął na szklanych panelach.

Ostrożnie ruszył przed siebie, testując szponami wytrzymałość tafli, a jednocześnie starając się jak najszybciej dotrzeć do sąsiedniego elementu żelaznej konstrukcji. Krocząc po śliskiej powierzchni, zdał sobie sprawę z tego, jakiej wprawy nabrał w poruszaniu się na wysokościach. Tygodnie spędzone na nocnej wspinaczce – na dach laboratorium Isaaca, na opuszczone wieże i ruiny górujące nad miastem – nie poszły na marne. Nie czuł zmęczenia ani lęku. Zauważył z rozbawieniem, że stał się bardziej małpą niż ptakiem.

Rozglądając się niespokojnie, przemykał po brudnych taflach, aż wreszcie przeskoczył przez ostatni dźwigar dzielący go od wybitej szyby i przykucnął nad rozległym otworem.

Pochyliwszy się, poczuł powiew gorącego powietrza, które buchało z wnętrza oświetlonego gazowymi latarniami. Noc była ciepła, ale temperatura pod kopułą musiała być sztucznie podwyższona.

Garuda zaczepił hak o wystający fragment konstrukcji i obwiązał go sznurem, po czym pociągnął mocno, by sprawdzić wytrzymałość mocowania. Zadowolony, trzykrotnie owinął się liną w pasie, złapał ją blisko haka, położył się w poprzek dźwigara i wysunął głowę ponad krawędź odłamanej szyby.

Poczuł się tak, jakby włożył twarz do miski z mocną, świeżo zaparzoną herbatą. Powietrze w Szklarni było dusząco gorące, przesycone dymem i parą. Wyglądało, jakby samo z siebie emitowało mocne, białe światło.

Yagharek zamrugał i na moment osłonił oczy, a potem spojrzął w dół, na miasto kaktusów.

Pośrodku, dokładnie pod wielką bryłą szkła zamykającą wierzchołek Szklarni, nie było domów: w miejscu wyburzonych budynków wzniesiono wielką świątynię. Iglica z czerwonego kamienia sięgała jednej trzeciej wysokości gmachu. Tarasy na wszystkich kondygnacjach były pełne bujnej roślinności sawann i stepów, mieniące się czerwienią i oranżem kwiatów na tle zielonych liści.

Wokół świątyni widać było pas nagiej ziemi, nie szerszy niż dwadzieścia stóp, dalej zaś zaczynały się ulice i domy Riverskin, których nie zrównano z ziemią podczas budowy kopuły. W istocie była to bezsensowna układanka urwanych zaułków i niedokończonych alejek – tu ocalał narożnik parku, ówdzie zaś pół kościoła albo fragment kanału ze stojącą wodą, odciętego przez żelazną podstawę gmachu. Krótkie uliczki, które były pozostałościami po większych traktach komunikacyjnych, przecinały się pod osobliwymi kątami, ale nie wszystkie dziwactwa były wynikiem odcięcia fragmentu miejskiej tkanki od całości.

Niektóre, z pozoru chaotyczne zmiany, były wynikiem świadomej działalności kaktusów. To, co przed laty było szerokim traktem, zamienili na ogród warzywny. Domy stojące po obu stronach ulicy otoczone były trawą i tylko wąskie ścieżki wydeptane od drzwi do grządek z dyniami i rzodkiewkami były oznaką codziennej aktywności mieszkańców.

Cztery pokolenia wcześniej stropy ludzkich domów zostały usunięte, by nowym, wyższym mieszkańcom nie brakowało miejsca. Na dachach i przy ścianach wielu budynków wymurowano dobudówki, stylizowane na miniatury schodkowej piramidy stojącej pośrodku Szklarni. Wcisnięto je w każde wolne miejsce – świątynia była więc dość szczelnie otoczona niecodzienną mieszaniną ludzkiej architektury i monolitycznych, rozmaicie barwionych, kamiennych bloków. Niektóre z nich miały po kilka pięter wysokości.

W wielu miejscach wyższe kondygnacje budynków stojących po przeciwnych stronach ulic połączone były zapadniętymi, kołyszącymi się mostkami z drewna i lin. Na niektórych podwórzach i płaskich dachach wydzielono niskimi murkami mikroskopijne ogródki, w których rosły na piasku kępy stepowych traw i kaktusy. Stądka ptaków, które przypadkiem wpadły pod kopułę i nie potrafiły odnaleźć drogi na zewnątrz, przemykały nisko nad domami, głośnie krzykiem oznajmiając światu swój głód i niepokój. Nagła myśl wzbudziła w Yagharku przyływ adrenaliny i ożywiła skrywaną ostatnio nostalgię; znał głos wydobywający się z jednego z ptasich gardeł, należał do orła wydmowego, drapieżnika z Cymek.

Sztuczny, szklany horyzont brudnych szyb sprawiał, że kształty budynków otaczających siedzibę kaktusów wyglądały na rozmyte, ciemne plamy. Ostry był jedynie obraz tego, co znajdowało się pod kopułą: dziwacznie przebudowanych domostw i tłumu kolczastych istot. Yagharek rozglądał się z wielką uwagą, ale nie dostrzegł ani jednego przedstawiciela innej rozumnej rasy.

Mostki między domami uginały się i kołysały pod ciężarem spacerujących po nich ludzi-kaktusów. W piaskowych ogródkach garuda spostrzegł postacie z wielkimi grabiami i drewnianymi szuflami, pracowicie kształtujące podłoże, tak by przypominało miniaturowe wydmy stworzone przez wiatr. W ciasnej, zamkniętej ze wszystkich stron przestrzeni, nie było miejsca na choćby najmniejszy ruch powietrza; zadania wichru musiały przejąć ręce mieszkańców Szklarni.

Na ulicach kłębił się tłum kaktusów – straganiarzy i kupujących – targujących się z zapalem, ale zbyt cicho, by Yagharek mógł posłyszeć ich głosy. Niektórzy ciągnęli za sobą wozy; robili to parami, gdy ładunek był szczególnie ciężki. Nigdzie nie było konstruktów, powozów ani zwierząt, jeśli nie liczyć kilku ptaków i paru królików skalnych, które garuda dostrzegł na gzymsach budynków.

Na zewnątrz, na ulicach Nowego Crobuzon, kobiety-kaktusy nosiły obszerne, bezkształtne suknie, podobne do luźno udrapowanych prześcieradeł. Tu, w Szklarni, wkładały jedynie białe, beżowe lub żółtawe przepaski biodrowe, niczym nie różniące się od męskich. Ciała kobiet wyróżniały się jedynie nieco większymi piersiami, których czubki znaczyły rozległe, ciemnozielone sutki. Tu i ówdzie Yagharek wypatrzył matki z dziećmi przytulonymi do piersi; malcom najwyraźniej nie przeszkadzały ukłucia matczynych igieł. Hałaśliwe grupki starszych dzieciaków bawiły się na rogach ulic, ignorowane lub strofowane bez przekonania przez mijających je dorosłych.

Na każdym z tarasów wielkiej świątyni-piramidy siedzieli starsi, czy-; tając, paląc i rozmawiając. Niektórzy zajmowali się ogródkami. Nieliczni nosili na ramionach czerwono-niebieskie szarfy, mocno kontrastujące z bladezieloną skórą.

Yagharek czuł, że z każdą chwilą jest coraz bardziej spocony. Raz po raz widok przesłaniały mu smugi dymu, bijące z setki kominów o różnej wysokości. Szare obłoki gromadziły się pod kopułą i wolno przesączały na zewnątrz, ale brak wiatru i gorąco panujące pod dobrze nasłonecznioną czaszą ze szkła sprawiały, że dym prawie się nie rozpraszał. Yagharek spojrzał na wewnętrzną stronę szklanych paneli i stwierdził, że pokrywa je warstwa tłustej sadzy.

Do zachodu słońca brakowało jeszcze godziny. Yagharek spojrzał w lewo i zauważył, że potężna soczewka zamykająca wierzchołek kopuły zdaje się eksplodować światłem. Chwytała każdy promień chylącej się ku horyzontowi gwiazdy i wiernie przekazywała go do wnętrza Szklarni, napędzając je blaskiem, ale i nieznośnym upałem. Garuda dostrzegł też kable, które opasywały żelazną ramę mocującą soczewkę i biegły dalej po szklanej ścianie, by zniknąć gdzieś we wnętrzu gmachu.

Płaski ogródek piaskowy na szczycie schodkowej piramidy stojącej pośrodku Szklarni zakryty był niemal całkowicie przez skomplikowaną maszynę. Dokładnie pod szklaną opuchliwą soczewką zatykającą sklepienie kopuły stał potężny aparat, również wyposażony w elementy optyczne. Grube rury łączyły jego obudowę ze stojącymi dokoła kolumnami. Kaktus w kolorowej szarfie z zapalem pucował miedziany mechanizm.

Yagharek przypomniał sobie plotki, które słyszał w Shankell, szeptem powtarzane relacje o maszynie heliochymicznej o niewyobrażalnej mocy taumatycznej. Przyjrzał się uważnie dziwnej aparaturze, ale nie zdołał odgadnąć jej przeznaczenia.

Przypatrując się życiu kolonii kaktusów, garuda nagle zdał sobie sprawę, że widzi zaskakująco dużą liczbę dobrze uzbrojonych oddziałów. Zmrużył oczy i spojrzał w dół niczym bóg, uważnie badając każdy skrawek zalanej ostrym światłem przestrzeni. Widział niemal wszystkie dachowe ogródki i miał wrażenie, że co najmniej połowa z nich była bazą uzbrojonych drużyn, liczących po trzech lub czterech ludzi-kaktusów. Siedzieli lub stali, a z tak dużej odległości nie sposób było odczytać emocji malujących się na ich twarzach. Doskonale widoczne były za to potężne kuszarpacze, które dźrzyli bez wysiłku. U pasów żołnierzy wisiały masywne topory, a groty halabard połyskiwały złowrogo czerwonym blaskiem.

Na zatłoczonym targu, między straganami, garuda zobaczył liczne patrole. Zbrojni pilnowali także najniższego poziomu schodkowej świątyni i dostojnym krokiem przemierzali krótkie ulice, z kuszarpaczami gotowymi do strzału.

Uwadze Yagharka nie uszły też dziwne spojrzenia mieszkańców – te pełne nadziei, którymi mierzyli żołnierzy, oraz te niespokojne, które rzucali w kierunku sklepienia.

Miał wrażenie, że sytuacja w Szklarni nie jest normalna.

Coś niepokoiło mieszkańców kolonii. Z własnego doświadczenia wiedział, że ludzie-kaktusy bywają zadziorni i małomówni, ale atmosfera lęku i nerwowego oczekiwania była czymś, czego nigdy nie doświadczył wśród nich w Shankell. Pomyślał, że być może członkowie tutejszej grupy sapo prostu inni, z natury bardziej posępni niż ich kuzyni z południa. Mimo to czuł dziwne mrowienie na skórze i zapach strachu w powietrzu.

Skoncentrował się jeszcze mocniej i zaczął metodycznie badać każdy jard zamkniętego świata kaktusów. Skupienie, które osiągnął, było czymś w rodzaju łowieckiego transu.

Wbił wzrok w dalekie obrzeża kopuły i jednym, długim spojrzeniem omiół całe peryferia kolonii. Obracając głowę, spiralnym kursem skanował całą powierzchnię ziemi i budynków.

Metodycznie zagłębiał wzrok w każdy zakątek Szklarni, zatrzymując oczy tylko na krótką chwilę, gdy dostrzegł niedoskonałość ceglanej powierzchni lub inny – przykuwający uwagę – szczegół. Zaraz potem kontynuował badanie.

Dzień miał się ku końcowi i widać było, że nerwowość kaktusów nasila się z każdą chwilą.

Yagharek zakończył fazę metodycznej obserwacji, nie dostrzegłszy niczego niezwykłego. Zainteresował się więc wewnętrzną stroną dachu, szukając możliwości dyskretnego zejścia na dół. Szybko przekonał się, że zadanie nie będzie łatwe. Żelazne kratownice konstrukcji były dość wypukłe wokół szklanej soczewki, ale już kilka jardów dalej, między panelami, nie odstawały tak mocno od powierzchni sklepienia. Garuda pomyślał, że z pewnym wysiłkiem byłby w stanie zejść po nich na dół. Wyobrażał sobie w tej pozycji także Lemuela czy Derkhan i być może któregoś z najemników, ale z całą pewnością nie Isaaca. Jego obfite cielsko nie utrzymałoby się długo na wygiętym dźwigarze, ciągnącym się ku ziemi przez dobrych kilkaset jardów.

Słońce dotykało już widnokręgu. Yagharek wynurzył się z odwróconej miski Szklarni i zadartszy głowę, odetchnął nadspodziewanie chłodnym powietrzem Nowego Crobuzon.

Za jego plecami, na szklanej tafli, przykucnął Shadrach. Miał na głowie hełm z lusterkami. Drugie, podobne nakrycie głowy, trzymał w wyciągniętej ręce, podając je Yagharkowi.

Hełm mężczyzny był podobny, ale nie identyczny. Ten, który dostał garuda, był prymitywnym kawałkiem rdzewiejącego metalu. Hełm Shadracha był bogatszy o skomplikowaną, miedzianą armaturę i mosiężne zawory. Na jego czubku znajdowało się gniazdo z otworami, do którego można było przyśrubować dodatkowe wyposażenie. Tylko lusterka sprawiały wrażenie naprędce skleconego dodatku.

– Zapomniałeś o tym – powiedział cicho Shadrach, machając ciężkim hełmem. – Przez dwadzieścia minut nie dawałeś znaku życia, więc przyszedłem sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

Yagharek pokazał mu żelazne belki pod sklepieniem Szklarni i przez chwilę szeptem dyskutowali o problemie Isaaca.

– Musicie zejść na dół – nalegał garuda. – Musicie pójść kanałami, Lemuel wskaże wam drogę. Postarajcie się jak najszybciej wejść pod kopułę. Przyślijcie do mnie kilka mechanicznych małp. Przydadzą się, jeśli zostanę zaatakowany. Zajrzyj do środka.

Shadrach pochylił się ostrożnie i wsunął głowę pod płyty ciemniejącego szkła. Yagharek wyciągnął rękę, wskazując na daleki kraniec tętniącej życiem kolonii, gdzie nad brzegiem martwego kanału stał budynek-widmo. Podłużna plama wody, fragment nabrzeża i skrawek ziemi, na którym ostał się zapomniany budynek, zostały odcięte od reszty osady przypadkowo wzniesioną barykadą gruzu, śmieci i zardzewiałego drutu kolczastego. Dom niemalże dotykał tylną ścianą powierzchni kopuły, piętrzącej się nad nim jak stroma, prawie pionowa, ciemna chmura.

– Musicie tam dotrzeć – szepnął garuda. Shadrach mruknął coś na kształt słowa „niemożliwe”, ale Yagharek nie zamierzał go słuchać. – Wiem, że to trudne, ale stąd na pewno nie zejdziecie na dół, a nawet jeśli ty byłbyś w stanie tego dokonać, to Isaac bez wątplenia nie. A przecież potrzebujemy go w środku. Musicie go tam wprowadzić, i to tak szybko, jak to możliwe. Zejdę do was. Odnajdę was, gdy tylko odszukam gniazdo ciem. Czekajcie na mnie. – Mówiąc te słowa, Yagharek zapinał pod brodą paski hełmu i uważnie sprawdzał pole widzenia za swymi plecami. W jednym z lusterek uchwycił spojrzenie Shadracha. – Idź już. Musicie się spieszyć. A potem... bądźcie cierpliwi. Przyjdę do was, zanim skończy się noc. Ćmy muszą wlatywać do środka przez tę wyrwę, więc wystarczy, że na nie zaczekam, obserwując ją.

Twarz Shadracha stężała. Yagharek miał rację. Awanturник także nie wyobrażał sobie, by taki amator jak Isaac był w stanie przemykać po gęsto zebrowanej, stromej, żelaznej belce.

Skinął głową na pożegnanie i odprowadzany odbitym w lusterkach wzrokiem garudy ruszył w stronę drabinki, by z imponującą sprawnością zniknąć za krzywizną kopuły.

Yagharek odwrócił się i spojrzał na czerwonawe resztki słońca. Westchnął głęboko i popatrzył najpierw w lewe, a potem w prawe lustro. Uspokoił się i odetchnął w wolnym rytmie yajhu-saak, myśliwskiej medytacji, bojowego transu garudów z Cymek.

Po kilku minutach rozległ się cichy klekot metalu o szkło i trzy konstrukty-małpy, jeden po drugim, pojawiły się na szczycie drabiny. Zebrały się wokół Yagharka i czekały, błyskając różowo soczewkami receptorów wzrokowych i posykując cienkimi tłokami przy każdym ruchu.

Garuda odwrócił się i spojrzał na ich odbicie w lusterkach. Po chwili, mocno ściskając w dłoniach linę, zaczął opuszczać się w otwór po wybitej szybie. Znikając w nim, gestem dał znać konstruktom, że mają iść za nim. Gorące powietrze ogarnęło go i zamknęło się nad jego głową, gdy znalazł się pod czaszą z żelaza i szkła. Skąpany w czerwonym świetle zmierzchu, wzmacnianym i przesyłanym do wnętrza przez wielką soczewkę, zawisł na moment w drodze do ukrytego gniazda bestii.

ROZDZIAŁ 43

Przestworza nad kopułą Szklarni ogarnął mrok. Wraz z nastaniem nocy światło, które wpadało przez szklaną soczewkę wieńczącą gmach, znikło bez śladu. W miasteczku kaktusów zrobiło się nieco ciemniej i minimalnie chłodniej, ale nadal było gorąco, znacznie cieplej niż na zewnątrz. Pochodnie i lampy palące się w mieszkaniach dawały mocne światło, spotęgowane odbiciem od szklanych tafli

otaczających kolonię. Dla wędrowców spoglądających na miasto ze szczytu Flag Hill, dla mieszkańców betonowych slumsów-blokowisk w Ketch Heath, a także dla milicjanta gapiącego się w iluminator mknącej po kablu kapsuły oraz dla maszynisty pociągu jadącego linią Sud na południe, widoczna ponad dachami i między dymiącymi kominami kopuła Szklarni zdawała się pękać w szwach od przepelniającego ją światła.

*

O zmroku kolonia kaktusów zaczynała świecić na tle nieba.

Trzymając się mocno metalowej konstrukcji po wewnętrznej stronie powłoki Szklarni, Yagharek wolno i ostrożnie rozprostował ramiona. Znajdował się mniej więcej w jednej trzeciej drogi ku powierzchni ziemi. Siedząc w punkcie połączenia żelaznych dźwigarów, z tej wysokości mógł jeszcze bez trudu obserwować dachy wszystkich budowli.

Trans yajhu-saak o władnął nim bez reszty. Garuda oddychał wolno i regularnie, ani na chwilę nie przestając przyglądać się w skupieniu połącziom zabudowanego terenu, które rozciągały się poniżej. Jego oczy budowały złożony obraz całości, nie zatrzymując się na żadnym jej fragmencie dłużej niż na kilka sekund. Od czasu do czasu odrywał wzrok od szczegółów i przez moment wpatrywał się w przestrzeń, próbując wyłowić ze skomplikowanej mozaiki niepasujący do niej, nagły ruch. Spoglądał też w stronę zaśmieconego rowu z wodą, przy którym poleciał Shadrachowi zebrać pozostałych.

Jak dotąd nie dostrzegł jednak ani śladu swych towarzyszy.

Kiedy nadeszła noc, ulice miasteczka opustoszały w zastanawiająco szybkim tempie. Ludzie-kaktusy zniknęli w swoich domach, a tętniąca życiem kolonia w nieco ponad pół godziny zamieniła się w pustą skorupę. Wreszcie jedynymi istotami, które można było dostrzec w całej Szklarni, zostali żołnierze patrolujący ulice. Przechadzali się zaułkami, zdradzając coraz większą nerwowość. Światła zza szyb przygaszały kolejno, gdy mieszkańcy zatrzaskiwali okiennice i zaciągali zasłony. Na ulicach nie było latarni gazowych. Yagharek widział jedynie kilku niespokojnych ludzi-kaktusów, którzy za pomocą długich, płonących na końcu tyczek zapalali nasączone olejem pochodnie, wetknięte w mury domów na wysokości dziesięciu stóp.

Każdemu z zapalających towarzyszył patrol żołnierzy – wyraźnie zdenerwowanych, ale i bojowo nastawionych.

Na szczycie wielkiej świątyni grupa starszych krzątała się wokół maszyny, siłując się z masywnymi dźwigniami i przełącznikami. Olbrzymia soczewka na szczycie aparatu obróciła się nieco na potężnych zawiasach. Yagharek wytrzymał wzrok, ale wciąż nie pojmował, co próbują osiągnąć starsi i do czego służy osobliwy mechanizm. Mógł jedynie przyglądać się biernie, jak ludzie-kaktusy obracają głowicę aparatu i pochylają ją na boki, sprawdzając wskazania przyrządów, jakby kalibrowali je wedle niezrozumiałych parametrów.

Nad głową Yagharka przywarła do żelaznej belki para mechanicznych szympansów. Trzeci znajdował się nieco niżej, na równoległym dźwigarze. Konstrukty zamarły, czekając na ruch dowódcy.

Yagharek ułożył się wygodniej w żelaznej kratownicy i czekał.

Dwie godziny po zachodzie słońca szkło kopuły wyglądało już na zupełnie czarne. Gwiazdy były niewidoczne.

Ulice Szklarni oświetlone blaskiem pochodni przypominały wykonany w sepii heliotyp. Patrolujący je żołnierze wyglądali jak ruchome cienie.

Jedynymi dźwiękami, które przerywały nocną ciszę, były trzaski płomieni, stukot naprężeń w stygnących konstrukcjach i od czasu do czasu stłumione, trwożliwe szepty.

Nadal nic nie wskazywało na to, by Lemuel, Isaac i pozostali mieli się pojawić. Jakaś część umysłu Yagharka martwiła się tym stanem rzeczy, ale świadomość łowcy koncentrowała się przede wszystkim na sobie samej, za pomocą technik relaksacyjnych zapadając coraz głębiej w myśliwski trans.

Garuda czekał.

I wreszcie, gdzieś między dziesiątą a jedenastą wieczorem, usłyszał dźwięk.

Spokojny i rozluźniony, natychmiast wstrzymał oddech i skoncentrował się, szukając źródła szmeru.

Dźwięk powtórzył się; był podobny do cichego łopotu szmaty na wietrze.

Tajemniczy odgłos nie wywołał żadnej reakcji u wartowników trzymających straż na wieży świątyni. Yagharek poczuł dreszcz. „Może zostałem sam?” – pomyślał. „Może kopuła jest pusta; nie ma w niej nikogo prócz mnie, konstruktów i tych nieziemskich, białych świateł w głębinach ulic?”

Dźwięk nie powtórzył się po raz trzeci, ale przed oczami garudy przesunęła się ciemna plama. Coś dużego przemykało ku górze przez mrok, który spowijał Szklarnię.

Zmrożony strachem, gdzieś na poziomie podświadomości, głęboko pod zewnętrznym spokojem doświadczonego łowcy, Yagharek zeszywniał i kurczowo chwycił się żelaznej konstrukcji, przywierając do niej mocno, aż do bólu. Szybko odwrócił głowę i przycisnął hełm do metalowej powierzchni, po czym ostrożnie spojrzął w lusterka.

Prerażający stwór pełzł wolno w górę po wewnętrznej powierzchni kopuły.

Znajdował się daleko, niemal dokładnie naprzeciwko Yagharka. Musiał wyjść z jednego z budynków stojących poniżej, tuż przy szklanej ścianie. Zapewne przeleciał kilka jardów dzielących go od żelaznej konstrukcji, a dalej powędrował pieszo, wczepiając się w wystające elementy łapami, mackami i szponami. Szedł w stronę chłodniejszego powietrza i niczym nie ograniczonej ciemności.

Mimo głębokiego jajhu-saak Yagharek czuł, że jego serce szamocze się jak oszalałe. Z zapartym tchem i niezdrową fascynacją wpatrywał się w lusterka, obserwując powolną wspinaczkę istoty. Śledził ciemną sylwetkę, jakby należąca do upadłego anioła, którego nienaturalnie wygięte ciało oszpecono dziwacznymi wyrostkami. Skrzydła bestii były złożone; prostowały się co jakiś czas tylko na krótką chwilę, jakby cma chciała je wypróbować w ciepłym powietrzu Szklarni.

Niemrawo, lecz uparcie, pełzła w stronę ożywczej atmosfery nocnego miasta.

Yagharek nie wiedział, skąd wyszła. Niepewnie przenosił wzrok z czarnego cielska stwora na plamę ciemności tuż nad ziemią, z której być może wyłonił się kilka minut wcześniej.

Wreszcie wysiłki garudy zostały nagrodzone.

Spoglądał właśnie na grupę starych, rozpadających się domów przy południowo-zachodniej krawędzi Szklarni, które po wiekach przeróbek i okupacji kaktusów w niczym nie przypominały już eleganckich, ludzkich kamienic. Nic też nie wyróżniało ich spośród stojących opodal, znacznie mniej wytwornych budowli. Były może odrobinę wyższe, a ich górne piętra zostały ucięte, tak by zmieściła się nad nimi

ściana kopuły. Im dalej od centrum kolonii, im bliżej końca uciętej ulicy, tym więcej było wyburzonych kondygnacji i tym niżej nad nimi znajdowała się szklana czasza.

Pierwotnie znajdował się tam klinowaty budynek stojący w rozwidleniu ulicy. Jego szczyt był prawie nietknięty; brakowało jedynie dachu. Ceglana masa głębiej leżących pięter kurczyła się stopniowo pod naporem krzywizny kopuły, by zrównać się z ziemią na skraju miasta kaktusów.

A z okna na najwyższym piętrze wychyliła się charakterystyczna, wystająca szczeka ćmy.

Serce Yagharka znowu skoczyło jak oszalałe i musiał użyć całej swej silnej woli, by przywrócić mu regularny rytm. Cieszył się w duchu, że doświadcza tych silnych emocji przez filtr łowieckiego transu; strach i podniecenie docierały do niego w nieco rozrzedzonej formie.

Teraz już wiedział, gdzie znajduje się gniazdo bestii.

Odnalazszy to, czego szukał, Yagharek chciał zsunąć się jak najszybciej po szkielecie budowli, uciec ze świata drapieżnych ciem, zniknąć z wysokości i znowu stanąć na twardym gruncie, choćby i pod szklanym dachem. Zrozumiał jednak w porę, że jeden gwałtowny ruch mógł zdradzić ćmom jego pozycję. Musiał więc czekać, kołysząc się uspokajająco i pocąc się w ciszy, unieruchomiony aż do chwili, gdy wszystkie potwory wypełzną w ciemność nad miastem.

Druga ćma w absolutnej ciszy wyskoczyła z okna, przez sekundę szybowała na szeroko rozpostartych skrzydłach, a potem chwyciła się metalowego dźwigara i zaczęła pełznąć ku górze. Podążając za swą siostrą, poruszała się wprawnie i bezszelestnie.

Yagharek czekał w bezruchu.

Minęło kilka minut, zanim w pustym oknie pojawiła się trzecia ćma.

Po długiej i mozolnej wspinaczce jej towarzyszki już niemal osiągnęły cel. Trzecia była jednak zbyt niecierpliwa: przez moment kołysała się z wahaniem na parapecie, trzymając się nagiej, drewnianej ramy, a potem rzuciła się w przód i wystrzeliła w górę ze słyszalnym łopotem skrzydeł.

Yagharek nie był pewien, skąd pół sekundy później dobiegły dziwne odgłosy, ale pomyślał, że dwie pełzające ćmy głośno sykiem albo udzieliły reprimendy swej siostrze, albo też ostrzegły ją przed niebezpieczeństwem.

Gdzieś w dole rozległo się buczenie, a zaraz potem ciszę panującą w Szklarni przerwał klekot uruchamianego mechanizmu.

Yagharek nadal nie ruszał się z miejsca.

Z wierzchołka piramidy wystrzelił ku górze oślepiająco jaskrawy promień światła, tak ostry i „gęsty”, że wyglądał jak kolumna twardej materii. Jego źródłem była soczewka dziwacznej maszyny.

Yagharek przyglądał się jej przez wsteczne lusterka. W słabym blasku bijącym na wszystkie strony od potężnego reflektora zobaczył jego załogę: starszych kaktusów operujących w pośpiechu pokrętłami, zaworami i dźwigniami sterczącymi z bocznej ściany aparatu. Ten, który mocował się z dźwigniami, wolno obrócił i opuścił nieco wiązkę, kierując ją ukośnie ku górze.

Światło rozjarzyło przypadkową grupę brudnych paneli sklepienia, po czym przesunęło się w nowe położenie. Przez krótką chwilę błądziło, nim wreszcie przechwyciło niecierpliwą ćmę, która docierała już do otworu w dachu, by wyrwać się na wolność.

Oczodoły ze ślepych szypułkami obróciły się w stronę światła i potwór syknął głośno.

Yagharek usłyszał krzyki kaktusów zgromadzonych na tarasach iglicy, powtarzane w na poły zrozumiałym języku. Nie była to czysta mowa, lecz bękarcia hybryda, której słowa słyszał po raz ostatni w Shankell, wzbogacona dialektem ragamoll używanym w Nowym Crobuzon i dźwiękami, których w ogóle nie rozpoznawał. Jako gladiator w pustynnym mieście, chcąc nie chcąc, przyswoił sobie język bukmacherów, którymi w większości byli ludzie-kaktusy, jednak sformułowania, które teraz słyszał, były dziwaczne, od wieków nieużywane i skażone obcymi wpływami. Mimo to brzmiały prawie zrozumiale.

– ...tam! – usłyszał, a potem ktoś dodał zdanie, w którym pojawiło się słowo „światło”. Kiedy ćma w pośpiechu oddaliła się od wyrwy w sklepieniu, by umknąć przed blaskiem reflektora, rozległ się okrzyk: – Nadlatuje!

Bestia bez trudu wyleciała poza zasięg potężnego snopa światła. Wiązka błędziła panicznie po wnętrzu kopuły, jakby kierowała nią ręka szalonego latarnika. Starsi na próżno próbowali przechwycić cel, desperacko omiatając płamą światła nawet ulice i dachy domów.

Inne ćmy pozostały niezauważone. Rozplaszczone na szklanych taflach spokojnie czekały.

W dole trwała zaś głośnie dyskusja.

– ...przygotować... w niebo... – usłyszał Yagharek, a zaraz potem wyłowił słowa „włócznia” i „słoneczna” z dialektu Shankell, wypowiedziane jednym tchem. Ktoś wykrzykiwał ostrzeżenia, także wplatając słowa „włócznia słoneczna”. – Za daleko!... Za daleko! – nawoływał z rozpaczą inny kaktus.

Starszy, który sterował ruchami reflektora, szczerzył krótki rozkaz i jego podwładni pochyliłi się nad przyrządami. Zażądał „maksymalnego”, ale czego? – tego Yagharek nie mógł zrozumieć.

Błądzący snop światła wreszcie na moment odnalazł cel i czarne ciało ćmy rzuciło ponury cień na sklepienie Szklarni.

– Gotowi? – krzyknął dowódca. Odpowiedział mu chór potakujących głosów.

Starszy obracał soczewkę aparatu, rozpaczliwie starając się na dłużej pochwycić bestię wiązką światła. Ćma pikowała i zygzakowała, przemykając tuż nad dachami domów i wykręcając ciasne spirale. Jej akrobatyczne popisy odbijały się na krzywiznie kopuły jako upiorny teatr cieni.

I wtedy, na krótką chwilę, istota dostała się w sam środek kręgu światła. Wydawało się, że czas zatrzymał się na moment, by wszyscy mogli zobaczyć niewiarygodne, niezrozumiałe i potworne piękno zabójczej ćmy.

W tym momencie kaktus kierujący aparatem pociągnął ukrytą dźwignię i wielka kropla płynnego żaru wystrzeliła znad soczewki, by pomknąć w przestworza tunelem światła. Yagharek patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Kłęb skoncentrowanego światła i gorąca rozplynał się w powietrzu o kilka stóp przed szklaną kopułą.

Wszystko znieruchomiło na chwilę w koszmarnie silnym rozbłysku.

Yagharek zamrugał, by zetrzeć z pamięci obraz niezwyklego pocisku i potwornej siły światła.

W dole rozległy się znowu głosy kaktusów.

– Dostał? – dopytywał się ktoś z nadzieją. Odpowiedzi były niejasne.

Podobnie jak Yagharek, obrońcy skierowali wzrok ku górze, w stronę miejsca, gdzie po raz ostatni ukazała się ćma. Niektórzy wpatrywali się w ziemię i w świetle opuszczonego reflektora szukali zwłok bestii na twardym chodniku.

Yagharek dostrzegł na ulicy patrolę żołnierzy, wodzących wzrokiem za jasną płamą i stojących w bezruchu nawet wtedy, gdy przesuwiał się po nich snop światła.

– Nic! – krzyknął jeden ze starszych z wysokiego tarasu. Jego krótki raport powtórzono we wszystkich sektorach, wypełniając echem głosów klaustrofobiczną ciemność.

Za grubych zasłon i drewnianych okiennic domów wymknęły się na zewnątrz promienie światła. Jeden po drugim mieszkańcy Szklarni zapalali pochodnie i lampy gazowe. Jednak nawet w obliczu kryzysowej sytuacji nikt nie odważył się otworzyć okna; nikt nie chciał ryzykować, że zostanie dostrzeżony. Uzbrojeni strażnicy nadal byli na ulicach sami.

I wtedy, z nagłym podmuchem wiatru podobnym do lubieżnego oddechu kochanka, ludzie-kaktusy zebrani na tarasach świątyni przekonali się, że nie stracili ćmy. Bestia zanurkowała ostro, uciekając przez światłem reflektora i strzałem włóczni słonecznej, a następnie przemknęła nisko nad dachami i wolno nabrała wysokości, zniecka i po mistrzowsku ukazując się starszym w pełnej krasie: z rozpostartymi skrzydłami, na których tańczyły barwne wzory, skomplikowane i dzikie jak ciemny ogień.

Tylko jeden z kaktusów zdążył krzyknąć. Dowódca przez ułamek sekundy bardzo pragnął skierować włócznię słoneczną w stronę potwora i roznieść go na milion płonących szczątków. Lecz zanim ktokolwiek zdążył coś zrobić, widok szeroko rozłożonych skrzydeł wymazał z ich pamięci wszelkie emocje i zamiary.

Yagharek patrzył na to przez lusterka, choć wcale nie chciał widzieć.

Dwie ćmy, które wciąż jeszcze trzymały się sklepienia, oderwały się nagle od żelaznych dźwigarów i runęły w dół, by w ostatniej chwili poszybować łukiem do góry, przeciwstawiając się prawom grawitacji. Pomknęły wzdłuż stromych ścian piramidy i niczym diabły wyskakujące spod ziemi pojawiły się nagle przed gromadą zahipnotyzowanych kaktusów.

Jedna z bestii strzeliła kolczastą macką i zawinęła ją wokół grubej nogi któregoś ze starszych. Niemal w tej samej chwili ramiona i szpony pozostałych ciem oplóły się i wbiły w ciała wybranych ofiar.

Zdezorientowani żołnierze z trzyosobowych patroli biegali po ulicach, wykrzykując sprzeczne rozkazy i na przemian to unosząc, to opuszczając broń. Klęli przy tym i nawoływali w bezsilnej rozpacz. Prawie nic nie widzieli. Rozumieli tylko tyle, że na najwyższym tarasie piramidy pojawiły się wielkie, trzepocące skrzydła i że starsi z jakiegoś powodu przestali strzelać z włóczni słonecznej.

Grupa najodważniejszych wojowników wbiegła do gmachu świątyni i popędziła schodami na górę, ku piętrům zajętych przez starszych. Byli jednak zbyt wolni. Bezradni. Ćmy oddalały się już od wielkiej budowli, dostojnie tnąc powietrze szeroko rozpostartymi, mieniącymi się hipnotycznie skrzydłami. Nie poruszały nimi, a mimo to wznosiły się coraz wyżej, unosząc trzech starszych, dygocących bezsilnie w ich objęciach i wciąż jeszcze wpatrzonych w wielobarwne wzory na ciałach swych katów.

Na kilka sekund przed tym, nim drużyna kaktusów wdarła się przez klapę na najwyższy taras, ćmy zniknęły. Jedna po drugiej, zgodnie z milcząco ustalonym porządkiem, wytrysnęły pionowo ku górze i wydostały się na wolność przez dziurę w szklanym poszyciu kopuły. Średnica otworu była minimalnie mniejsza od rozpiętości ich skrzydeł, a mimo to przemknęły przezeń bez chwili wahania z maksymalną prędkością.

Unosząc oszołomione i bezwolne ofiary, uleciały w mroczne niebo nad miastem z odrażającą gracją genialnych drapiezców.

Starsi, którzy pozostali przy milczącej już maszynie, powoli otrząsali się z letargu i zaczęli nawoływać się wzajemnie, jeszcze zdumieni nagłą utratą i równie zaskakującym powrotem świadomości. W ich krzykach pojawiła się też zgroza, kiedy

zauważyli, że brakuje trzech spośród nich. Wyjąc wściekle, skierowali włócznie słoneczną ku górze, niepotrzebnie mierząc z niej w pustą przestrzeń. Zaraz potem pojawili się młodszy wojownicy, z kuszarpaczami i maczetami gotowymi do akcji. Rozejrzawszy się ze zdziwieniem po tarasie, pomału opuścili broń.

*

Dopiero wtedy – gdy towarzysze ofiar wykrzykiwali przekleństwa i groźby, a ómy mknęły już gdzieś daleko nad miastem – Yagharek wyrwał się z bojowego transu i podjął przerwana wędrówkę w dół, po żelaznej kratownicy dźwigającej ciężar Szklarni. Konstrukty-mały ruszyły za nim, gdy tylko spostrzegły jego pierwszy ruch.

Garuda przesuwiał się wzdłuż poziomych belek, dbając o to, by stanąć na ziemi dokładnie za ostatnim rzędem domów, na skrawku zaśmieconej ziemi odciętej od reszty kolonii przez fragment cuchnącego kanału.

Ostatnich kilka stóp pokonał jednym skokiem i z efektownym przewrotem bezszelestnie wylądował na stercie tłuczonych cegieł. Przykucnął natychmiast i nasłuchiwał przez dłuższą chwilę.

Ciszę przerwała tylko seria metalicznych szczęków i syk tłoków, gdy trzy sprawne konstrukty zeskoczyły na ziemię tuż obok niego i zastygły, oczekując dalszych rozkazów.

Yagharek spojrział na brudną wodę, stojącą w rowie odciętym od świata przez szklaną kopułę. Cegły, którymi wyłożono brzegi kanału, były śliskie od organicznych osadów. Jeden z jego końców oddalony od ściany Szklarni o dobrych trzydzieści stóp był zamknięty starannie ułożonym murem – najwyraźniej była to niegdyś ślepa odnoga miejskiego systemu kanałów. Drugi koniec, tuż przy żelaznej krawędzi kopuły, blokowała byle jak wykonana tama z betonu, gruzu i żelaza. Wciśnięto ją między murowane brzegi rowu, nie przejmując się zbytnio szczelnością. Zapora przeciekała więc na tyle skutecznie, by zasilać odcięty kanał wodą z zewnątrz. To, co przesączało się przez tamę, było ciepłą breją pełną martwych, rozkładających się organizmów.

Yagharek wyczuwał jej smród. Odpełził nieco dalej, w stronę resztek muru, które przetrwały wyburzenie budynku. Dopiero teraz zauważył, że z uliczek kolonii kaktusów wciąż jeszcze dobiegają paniczne okrzyki żołnierzy. Idiotyczne głosy, domagające się stanowczego działania, nakładały się na siebie i wzajemnie zagłuszały.

Garuda już miał ułożyć się wygodnie na rumowisku, by poczekać na Shadracha i pozostałych, gdy ujrzał, że sterty potłuczonych cegieł zaczynają się ruszać. Z miniaturowych osypisk wynurzyli się wolno Isaac, Shadrach, Pengefinchess, Derkhan, Lemuel i Tansell. Tuż obok stanęła nagle na nogi kupa drutów, żelastwa i szkła – dwa konstrukty ruszyły na spotkanie z trzema, które towarzyszyły Yagharkowi.

Przez moment nikt się nie odzywał. Isaac ruszył przed siebie, zostawiając za sobą obłok kurzu. Muł z kanałów ściekowych, który okrywał jego ubranie i torbę, był teraz oklejony grubą warstwą pyłu ze szczątków zburzonego budynku. Poobijany hełm – podobny do tego, który nosił Shadrach, przesłonięty skomplikowaną armaturą – kiwał się absurdalnie na jego głowie.

– Yag – mruknął cicho. – Dobrze cię znowu widzieć, stary. Cieszę się... że nic ci się nie stało. – Uczony chwycił dłoń garudy i potrząsnął nią. Yagharek, choć zaskoczony, nie cofnął się i nie wyrwał ręki z uścisku.

Poczuł się tak, jakby nagle otrząsnął się z zadumy. Rozejrzał się, jak gdyby dopiero teraz po raz pierwszy naprawdę dostrzegł Isaaca i pozostałych. Czuł ulgę, widząc ich wprawdzie brudnych, posiniaczonych i podrapanych, ale żywych i zdrowych.

– Widziałeś, co tu się działo? – spytała Derkhan. – Dopiero co wyszliśmy z podziemi; całe wieki łaziliśmy po tych przeklętych kanałach ściekowych, ciągle słyszeliśmy te głosy... – Kobieta urwała i z odrazą potrząsnęła głową na samo wspomnienie. – Wreszcie znaleźliśmy właz i wyszliśmy na powierzchnię niedaleko stąd. A na ulicy chaos, totalny chaos! Żołnierze biegli w stronę świątyni... Widzieliśmy też tę... tę świecącą maszynę. Łatwo było tu dotrzeć, nikt się nami nie interesował... – Derkhan zawiesiła głos. – Ale właściwie nie wiemy, co się tu stało – podsumowała cicho.

Yagharek wziął głęboki wdech.

– Cmy tu mieszkają – oznajmił. – Widziałem ich gniazdo. Zaprowadzę was.

Wiadomość zelektryzowała pozostałych.

– A te cholerne kaktusy nie wiedzą, że mają potwory pod nosem? – spytał Isaac. Yagharek pokręcił głową (był to pierwszy ludzki gest, którego się nauczył).

– Nie wiedzą, że cmy spijają w ich domach – odparł garuda. – Słyszałem, jak krzyczeli; myśleli, że przyleciały z zewnątrz, że to tylko atak. Nie mają pojęcia... – Yagharek urwał, myśląc o scenie paniki na najwyższym tarasie świątyni słońca; o starszych bez hełmów z lusterkami i o głupio odważnych żołnierzach, którzy na szczęście nie zdążyli zaatakować bestii, a tym samym uniknęli niechybnej i bezsensownej śmierci. – Nie mają pojęcia, jak sobie radzić z tymi potworami – dokończył szeptem. Na jego oczach wodnica Pengefinchess przesunęła się pod jej koszulą, mocząc wrażliwą skórę, a przy okazji zmywając brud z ciała i odzieży. Strój kobiety był teraz niedorzecznie czysty. – Powinniśmy pójść do gniazda – odezwał się po chwili Yagharek. – Chodźmy, ja poprowadzę.

Awanturnicy zgodnie skinęli głowami i odruchowo zaczęli sprawdzać broń oraz resztę rynsztunku. Isaac i Derkhan wyglądali na zdenerwowanych, ale panowali nad sobą, zaciskając szczęki. Lemuel uśmiechnął się sardonicznie i zaczął czyścić paznokcie czubkiem noża.

– Jest coś jeszcze, o czym powinniście wiedzieć – dodał garuda. Zwracał się do wszystkich, a w jego głosie była nuta niepokoju, której nie można było zignorować. Tansell i Shadrach przestali gmerać w plecakach i z uwagą popatrzyli na człowieka-ptaka. Pengefinchess odłożyła łuk, którego cięciwę testowała, a Isaac posłał Yagharkowi spojrzenie pełne bolesnej rezygnacji. – Trzy cmy wyleciały przez wyrwę w sklepieniu, unosząc zahipnotyzowanych kaktusów. Ale my wiemy, że powinny być cztery. Tak twierdził Vermishank. Może się mylił, może kłamał, a może jedna z nich zginęła. Możliwe jest jednak i to – dodał garuda – że jedna z nich pozostała w gnieździe i czeka na nasze przybycie.

ROZDZIAŁ 44

Patrole uzbrojonych kaktusów zgromadziły się u podnóża świątyni, a ich dowódcy zapamiętali klócili się ze starszymi plemienia.

Shadrach przykucnął w zaułku, poza zasięgiem ich wzroku, i wyjął z ukrytej kieszeni miniaturową lunetę. Rozciągnął ją i skierował w stronę grupy rozmawiających i gestykulujących z ożywieniem żołnierzy.

– Oni rzeczywiście nie mają pojęcia, co robić – mruknął do siebie. Pozostali członkowie wyprawy kryli się za jego plecami, przytuleni do wilgotnej ściany budynku. Jak dotąd udawało im się przemykać niezauważenie w migotliwym blasku ulicznych pochodni. – Pewnie dlatego nie odwołują zakazu opuszczania domów... Czy dobrali im się do skóry... choć z drugiej strony może zawsze mają tu godzinę milicyjną? Wszystko jedno – szepnął, odwracając się w stronę towarzyszy. – W ten sposób mogą nam tylko pomóc.

Nie było trudno skradać się chyłkiem po słabo oświetlonych uliczkach kolonii zwanej Szklarnią. Nikt nie próbował zakłócić pochodu małego oddziału intruzów. Szli więc rzędem za Pengefinchess, która poruszała się w dziwny sposób – ni to żabimi skokami, ni to ostrożnym, złodziejskim krokiem. W jednym ręku trzymała łuk, a w drugim strzałę o dużym, spłaszczonym grocie, przeznaczoną specjalnie do polowania na ludzi-kaktusy, ale nie musiała używać broni. Yagharek szedł o kilka stóp za nią, szeptem przekazując jej wskazówki co do kierunku marszu. Od czasu do czasu kobieta-vodyanoi zatrzymywała się i przypadała do najbliższej ściany, gestem nakazując pozostałym, by szukali kryjówki, gdy któryś z odważniejszych – lub po prostu głupich – mieszkańców kolonii zdecydował się rozsunąć zasłony i wyjrzeć na ulicę.

Pięć konstruktów-małp kuśtykało na swych mechanicznych nogach u boku organicznych towarzyszy. Ich ciężkie, metalowe ciała pracowały wyjątkowo cicho, emitując jedynie kilka osobliwych, stłumionych dźwięków. Isaac nie wątpił, że tej nocy ludzie-kaktusy śpiący pod kopułą Szklarni będą śnić koszmary, w których pojawi się cichy brzęk kroków żelaznych stóp, przemierzających wąskie, brukowane ulice.

Wędrownka opustoszałymi zaułkami wprawiała go w coraz większy niepokój. Nawet mimo dziwacznych dobudówek z czerwonego kamienia i skwierczących pochodni zamiast latarni miasteczko kaktusów nie różniło się zbyt od innych części Nowego Crobuzon. A jednak Grimnebulin nie umiał oprzeć się wrażeniu, że charakter tej dzielnicy wyznacza gigantyczna kopuła, która zamykała z pozoru zwykłe domy w ciasnej, klaustrofobicznej przestrzeni. Nocą przez grube szkło docierały tu z zewnątrz jedynie rozmazane błyski światła, potęgujące wrażenie niepewności i zagrożenia. Czarna płatanina żelaznych elementów konstrukcyjnych, które łączyły półprzezroczyste tafle w jedną całość, wyglądała z dołu jak pajęczna sieć.

Kiedy ta myśl pojawiła się w jego głowie, Isaac poczuł porażający napływ emocji.

Emocji, które zmieniły się natychmiast w przyprawiającą o zawroty głowy pewność.

Tkacz był gdzieś w pobliżu.

Grimnebulin poczuł, że kolana uginają się pod nim, ale nie zatrzymując się, spojrział w górę. Przez ułamek sekundy widział świat jako nieskończoną sieć i wyczuwał bliskość pajęczego ducha.

– Isaac! – syknęła zaniepokojona Derkhan, doganiając go bez wysiłku. Widząc, że po kilku krokach staje nieruchomo, gapiąc się na sklepienie Szklarni, pociągnęła go za sobą. Isaac daremnie próbował ponowić kontakt z obcą świadomością Tkacza. Chciał wyszeptać Derkhan choć słowo na temat przelotnej wizji, ale nie potrafił zebrać myśli, a ona i tak go nie słuchała. Pobiegli razem pogrążoną w mroku ulicą.

Pokonawszy labirynt zaciemnionych domów – unikając patroli i od czasu do czasu spoglądając z obawą na czaszę budowli, wydobytą z czerni słabą poświatą płonących pochodni – dotarli do nieoświetlonej kamienicy u zbiegu dwóch pustych

ulic. Yagharek zaczekał, aż wszyscy staną obok niego, zanim odwrócił się i przemówił, popierając słowa gestem.

– Tam, za oknem na ostatnim piętrze – powiedział.

Szereg niegdyś efektownych budynków ciągnął się aż po brzeg kopuły, ale te najdalej wysunięte zostały niemal doszczętnie zburzone podczas wznoszenia szklanej konstrukcji. Po ich dachach i wyższych piętrach pozostało jedynie rumowisko belek, dachówek i cegieł. Yagharek wskazywał jednak na ostatni, najlepiej zachowany budynek.

Trzy piętra poniżej poddasza były zamieszkałe, wokół zasłon w oknach można było dostrzec smugi światła.

Garuda pochylił się i wszedł w wąski przesmyk między budynkami, pokazując pozostałym, że mają iść za nim. Z północy wciąż jeszcze dobiegały niepewne nawoływania żołnierzy, którzy na próżno starali się opracować sensowny plan działania.

– Nawet gdyby wciąganie kaktusów w nasze sprawy nie było ryzykowne – szepnęła Isaac – bylibyśmy udupieni, gdybyśmy akurat teraz poprosili ich o pomoc. Jeśli nas tu zwęszą, dostaną szalu, a wtedy poszatkują nas tymi swoimi kuszarpaczami, zanim zdążymy powiedzieć „nóż”.

– Musimy jakoś ominąć pokoje, w których śpią kaktusy – odezwał się Yagharek. – Interesuje nas tylko góra. Trzeba sprawdzić, gdzie dokładnie kryją się ćmy.

– Tansell, Penge – powiedział Shadrach tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Zostajecie przy drzwiach. – Partnerzy spoglądali na niego przez moment, a potem skinęli głowami. – Profesorku? Chyba będzie najlepiej, jeśli pójdziesz ze mną. No i te konstrukty... podobno mogą się przydać, tak?

– Moim zdaniem będą cholernie niezbędne – odparł Grimnebulin. – Ale... Posłuchajcie mnie najpierw. Zdaje się, że Tkacz jest z nami.

Wszyscy spojrzeli na niego jednocześnie.

Derkhan i Lemuel z lekkim niedowierzaniem, a najemnicy z dobrze udawaną obojętnością.

– Dlaczego tak sądzisz, profesorku? – spytała łagodnie Pengefinchess.

– Ja... powiedzmy... powiedzmy, że go wyczułem. Mieliśmy z nim już do czynienia. Powiedział, że znowu się zobaczymy...

Pengefinchess spojrzała wymownie na Tansella i Shadracha.

– To prawda – wtrąciła pospiesznie Derkhan. – Spytajcie Pigeona, on też widział pająka.

Lemuel bez entuzjazmu przytaknął ruchem głowy.

– Tylko że nic z tego nie wynika – zauważył kwaśno. – Nie możemy go kontrolować; bez względu na to, czy przyjdzie po nas czy po ćmy, będziemy zdani na jego łaskę. Może na przykład zachować neutralność. Sam mówiłeś, Zaac: robi tylko to, co uważa za stosowne.

– Mimo to wchodzimy, tak? – spytał Shadrach. – Ktoś jest przeciw? – Nikt nie odpowiedział. – Dobra. Ty, garuda, już je widziałeś. Wiesz, skąd wyszły, więc powinieneś iść z nami. Zatem na górę wchodzi: profesorek, człowiek-ptak, konstrukty i ja. Reszta zostaje na dole i robi dokładnie to, co każą Tansell i Penge. Zrozumiano?

Lemuel obojętnie skinął głową. Derkhan spojrzała wilkiem na najemnika, ale przełknęła dumę i podporządkowała się. W tonie Shadracha była stanowczość, która zjednywała mu szacunek. Nie musiała go lubić, mogła uważać go za bezwartościową szumowinę, ale musiała przyznać, że ten człowiek zna się na rzeczy. Był zabójcą; kimś, kogo potrzebowali teraz najbardziej. Niechętnie kiwnęła głową.

– W razie jakichkolwiek problemów zmywacie się z powrotem do kanałów i znikacie. Jeżeli nie uda się inaczej, spotkamy się jutro na wysypisku. Jasne? – Tym razem Shadrach mówił do Pengefinchess i Tansella. Oboje przytaknęli ruchem głowy. Vodyanoi szepnęła coś do swojej wodnicy i sprawdziła, czy kołczan jest otwarty. Niektóre z ukrytych w nim strzał miały potężne groty wyjątkowo skomplikowanej budowy: umieszczone w nich mechanizmy sprężynowe otwierały dodatkowe ostrza dopiero po zetknięciu z celem, tnąc ciało niemal tak skutecznie jak chakri. Tansell sprawdził, czyjego pistolety są gotowe do strzału. Shadrach zawahał się nieznacznie, a potem odpiął od pasa garłacz i podał go wyższemu mężczyźnie, który przyjął broń bez słowa i z wdzięcznością skinął głową. – To będzie walka na krótki dystans – mruknął Shadrach. – Nic mi po tej armacie – dodał, wyciągając zza paska inny, mniejszy pistolet. Demoniczna twarz wyrzeźbiona na samym końcu lufy zdawała się poruszać w niepewnym świetle dalekich pochodni. Shadrach zaczął szeptać, jakby przemawiał do swojej broni. Isaac podejrzewał, że siła rażenia i celność pistoletu zostały taumatycznie wzmacnione.

Najemnik, uczoney i garuda wolno oddalili się od pozostałych.

– Konstrukty! – zawołał cicho Grimnebulin. – Za nami!

Syknęły tłoki i pięć silnych, metalowych, małych ciał ruszyło w ślad za odchodzącymi.

Isaac i Shadrach spojrzeli przelotnie na Yagharka, a potem sprawdzili położenie lusterek w hełmach.

Tansell wysunął się nieco przed pozostałych, zapisując coś pośpiesznie w małym notesie. Po chwili podniósł wzrok i przekrzywiwszy głowę, spojrzął na Shadracha. Wreszcie popatrzył na pochodnie płonące na sąsiedniej ulicy oraz na dachy okolicznych domów. Znowu pochylił się i zapisał tajemniczą formułę.

– Spróbuję rzucić zaklęcie ukrywające – powiedział. – Za dobrze was widać. Nie ma sensu ryzykować. – Shadrach skinął głową. – Szkoda, że nie mogę nim objąć konstruktów. – Tansell gestem nakazał mechanicznym małpom, żeby zeszły mu z drogi. – Penge, pomożesz mi? – spytał. – Skieruj w moją stronę trochę mocy, dobrze? To wyjątkowo wyczerpująca formuła.

Vodyanoi zbliżyła się nieco i lewą ręką chwyciła prawą dłoń Tansella. Oboje zamknęli oczy i skoncentrowali się. Przez minutę nic się nie działo, a potem cztery pary powiek otworzyły się jednocześnie.

– Zgaście to cholerne światło – syknął Tansell. Wargi Pengefinchess poruszały się równocześnie z jego ustami. Shadrach i pozostali rozejrzeli się niepewnie, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi. Po chwili zorientowali się, że Tansell spogląda na pochodnie płonące nad ulicą.

Shadrach przywołał gestem Yagharka, a kiedy razem zbliżyli się do najbliższego źródła światła, zaplótł dłonie w kołyskę i stanął na ugiętych nogach.

– Użyj płaszcza – powiedział. – Wejdź na górę i zduś płomień.

Isaac był prawdopodobnie jedyną osobą, która zwróciła uwagę na minimalne wahanie garudy i rozumiała, jakiej odwagi wymagało zdjęcie płaszcza, ostatejniej zastłony ukrywającej jego kalectwo. Yagharek usłuchał bez słowa. Rozpiął klamrę pod szyją i zrzucił grubą tkaninę, ukazując okryty dotąd kapturem dziób, pierzastą głowę i wielką pustkę na grzbiecie, której blizny i kikuty zastłaniała teraz jedynie cienka koszula.

Najostrożniej jak potrafił, chwycił splecione dłonie Shadracha potężną, szponiastą stopą. Stanął na nich, a wtedy najemnik bez trudu uniósł w górę jego lekkie ciało o pustych kościach. Yagharek zarzucił ciężki płaszcz na lepką od oleju,

skwiercząca pochodnię. Materiał zadymił, ale światło zgasło nagle i cienie rzuciły się na drużynę śmiazków jak wygłodniałe drapieżniki.

Garuda zeskoczył na ziemię i wraz z Shadrachem przebiegł szybko na lewą stronę ulicy, gdzie płonęła druga pochodnia. Powtórzyli zabieg i po chwili zaułek tonął w nieprzeniknionym mroku.

Kiedy stanęli za murem, Yagharek rozłożył płaszcz, podziurawiony, przypalony i brudny od sadzy. Po krótkim namyśle odrzucił go na ziemię. Wyglądał bez niego na znacznie szczuplejszego niż dotąd, za to groźnie prezentowała się broń, która wisała u jego pasa.

– Wejdźcie w najgłębszy cień – polecił Tansell chrapliwym głosem. Usta Pengefinchess znowu poruszyły się bezgłośnie w idealnej synchronizacji.

Shadrach cofnął się w niedużą wnękę w ścianie i pociągnął za sobą Isaaca z Yagharkiem. Wszyscy wtulili się ściśle w mur i znieruchomieli.

Tansell sztywno wysunął przed siebie lewe ramię i rzucił w ich stronę kłęb grubego, miedzianego przewodu. Shadrach chwycił drut w locie i natychmiast owinął go sobie wokół szyi. W podobny sposób obwiązał towarzyszy i zaraz wrócił w cień, pod ścianę. Isaac dostrzegł na drugim końcu przewodu mały generator z mechanizmem zegarowym, który Tansell uruchamiał właśnie, przesuając niewielką dźwignię.

– Gotowi – zameldował Shadrach.

Tansell zaczął pomrukiwać, szeptać i wydawać z siebie dziwaczne dźwięki. Dla tych, którzy wcisnęli się w ścienną niszę, był prawie niewidoczny. Dostrzegali jedynie ciemną postać, coraz mocniej drżącą z wysiłku. Mamrotanie nasilało się z każdą chwilą.

Isaac poczuł wstrząs. Szarpnął się instynktownie, ale Shadrach siłą zatrzymał go w miejscu. Poczuł na skórze serię drobnych wyładowań, tam gdzie drut dotykał jego ciała.

Niemile uczucie trwało dobrą minutę, a potem ustało, gdy generator umilkł i zamarł w bezruchu.

– W porządku – mruknął Tansell. – Sprawdźmy, czy to działa. Shadrach wyszedł z niszy i stanął na ulicy.

Cienie wyszły razem z nim.

Spowijała go nieokreślona aura ciemności, taka sama jak ta, która otaczała go chwilę wcześniej, gdy kulił się w mroku pod ścianą. Zdumiony Isaac wlepił wzrok w głęboką czerń pod oczami i pod brodą najemnika. Shadrach odszedł jeszcze dalej i stanął w świetle pochodni płonących po drugiej stronie skrzyżowania uliczek.

Cienie na jego twarzy i ciele nie zmieniły się. Pozostały dokładnie takie same jak wtedy, gdy krył się w ciemności, jakby wcale nie wychodził na lepiej oświetloną ulicę. Sięgały mniej więcej na cal poza granice jego ciała, odbarwiając otaczające go powietrze jak dziwne, mroczne zjawisko halo.

Co więcej, choć Shadrach poruszał się zupełnie swobodnie, dla obserwatorów jego ciało pozostawało prawie nieruchome. Było tak, jakby wraz z cieniami z głębokiej niszy zamrożeniu uległa także pozycja, w której stał mężczyzna. Szedł naprzód, a wydawało się, że stoi w miejscu. Jego ciemna postać myliła wzrok; można było śledzić jej ruch, jeżeli ktoś bardzo tego chciał, ale znacznie łatwiej było po prostu nie zwracać na nią uwagi.

Shadrach skinął ręką na Isaaca i Yagharka.

„Czy ja wyglądam tak samo?” – zastanawiał się Grimnebulin, wychodząc z cienia. „Czyja też prześlizguję się poza zasięgiem wzroku pozostałych? Czy jestem półwidoczny i niosę ze sobą mrok?”

Spojrzał na Derkhan i po wyrazie jej twarzy, zastygłej z półotwartymi ustami, poznał, że tak właśnie jest. Yagharek, który stał po lewej, również spowity był cieniem.

– Znikajcie stąd, gdy tylko pokaże się słońce – szepnął Shadrach do swych kompanów. Tansell i Pengefinchess kiwnęli głowami. Rozłączyli się już i teraz oddychali ciężko, wolno wracając do sił. Tansell uniósł dłoń, gestem życząc odchodzącym powodzenia.

Shadrach, Isaac i Yagharek wyszli z ciemności zaułka na względnie dobrze oświetloną ulicę przed rzędem częściowo zburzonych kamienic. Zaraz za nimi z mroku wyłoniły się konstrukty-mały. Poruszały się bardzo wolno, najciszej, jak umiały. Stały obok dwóch ludzi i garudy, a światło płonących polan okrywało ich poobijane korpusy czerwonym blaskiem. To samo światło starannie omijało trzech intruzów objętych taumaturgicznym zaklęciem. Spływało po nich jak rzadki olej po wąskim ostrzu, nie znajdując punktu zaczepienia. Trzy mroczne postacie, otoczone przez pięć zwinnych maszyn, ruszyły w stronę budynku z pustą jamą okna na ostatnim piętrze.

Ludzie-kaktusy nie mieli zwyczaju zamykać drzwi na klucz. Intruzi bez trudu weszli do środka. Shadrach natychmiast ruszył schodami w górę.

Isaac, który trzymał się o kilka kroków za nim, wyczuwał już egzotyczny, nieznajomy zapach soku kaktusów i ich dziwnego pożywienia. Cały korytarz zastawiony był glinianymi donicami z piaskiem, w który wetknięto pustynne rośliny – w większości chore i więdnące w nie dość jasnym wnętrzu domostwa.

Shadrach odwrócił się w stronę Isaaca i Yagharka, posyłając im ostrzegawcze spojrzenie i wymownym gestem przykładając palec do zaciśniętych ust. Po chwili ruszył dalej, zachowując jeszcze większą ostrożność.

Kiedy zbliżali się do pierwszego piętra, usłyszeli cichą kłótnię na dwa głosy. Yagharek przetłumaczył to, co zrozumiał z mowy kaktusów: ktoś mówił, że się boi, i słuchał pocieszających słów o zaufaniu, którym należy darzyć starszych. Skąpo ozdobiony korytarz pozostał jednak pusty. Po kilku krokach Shadrach znowu się zatrzymał, a wtedy Isaac spojrzał ponad jego ramieniem i zobaczył szeroko otwarte drzwi do pokoju kaktusów.

Ujrzał za nimi obszerne pomieszczenie z bardzo wysoko zawieszonym sufitem. Przyglądając się ścianom, z których w połowie wysokości sterczały kikuty desek, doszedł do wniosku, że strop oddzielający pierwotnie pierwsze i drugie piętro został po prostu zburzony. Lampa gazowa paliła się wątlwym płomykiem. Z dala od drzwi Isaac zauważył kilku ludzi-kaktusów śpiących swoim zwyczajem na stojąco, z szeroko rozstawionymi nogami. Tylko dwoje mieszkańców pokoju, stojących blisko siebie, rozmawiało jeszcze szeptem.

Bardzo powoli, jak skradający się drapieżnik, Shadrach pokonał kilka ostatnich stopni i stanął przy drzwiach. Zatrzymał się na moment, aby wskazać palcem najpierw na jeden z konstruktorów, a potem na siebie. Po chwili powtórzył gest. Isaac zrozumiał. Pochylił się nisko nad receptorem słuchowym konstruktora i wyszeptał zwięzłe instrukcje.

Automat wspinał się po schodach z cichym klekotem mechanizmu. Grimnebulin skrzywił się, słysząc ten dźwięk, ale ludzie-kaktusy niczego nie zauważyli. Konstruktor przycupnął cicho za Shadrachem, zasłonięty przez jego spowitą mrokiem postać. Isaac posłał jego śladem kolejną maszynę, po czym dał najemnikowi sygnał, że może ruszać.

Shadrach wyłonił się powoli zza framugi i stanął przed otwartymi drzwiami, własnym ciałem zasłaniając konstrukty. Nie było innego wyjścia, ich metalowe

korpusy i członki zbyt dobrze odbijałyby światło padające z pokoju. Awanturnik płynnym ruchem przesunął się przed oczami rozmawiających kaktusów i zniknął po drugiej stronie, w ciemności korytarza.

Teraz przyszła kolej na Isaaca.

Uczony skinął dłonią na dwa konstrukty i zaczął przesuwając się ostrożnie po drewnianej podłodze.

Czuł strach, wychylając się zza ściany i stając przed pograżonymi w rozmowie kaktusami, którzy jakoś nie zamierzali zasnąć. Starał się być jak najdalej od drzwi, ale tych kilka sekund, kiedy znajdował się w stożku światła gazowej lampy, przyprawiło go o nieznośny stres.

Miał przy tym dość czasu, by przyjrzeć się wielkim, kolczastym istotom stojącym na ubitym piachu, którym wysypano całą izbę. Ich wzrok przesunął się od czasu do czasu po ciemnej plamie drzwi, a wtedy Isaac wstrzymywał oddech, ale taumaturgiczne zaklęcie skutecznie potęgowało ciemność i pozostał niezauważony.

Wreszcie Yagharek, starając się w miarę możliwości zasłonić swym szczupłym ciałem ostatni z konstruktyw, prześliznął się przez smugę światła.

Spotkali się wszyscy przy kolejnym ciągu schodów.

– Teraz będzie łatwiej – szepnął Shadrach. – Na następnym piętrze nikogo nie ma, został tylko strop tego pokoju. A potem... potem już tylko kryjówka bestii.

Zanim weszli na czwarte piętro, Isaac pociągnął Shadracha za rękaw, zatrzymując go zniemacka. Najemnik i garuda patrzyli na niego bez słowa, kiedy szeptem przekazywał polecenie jednemu z konstruktyw. Maszyna wyłoniła się bezszelestnie ponad ostatnie stopnie i znikła za drzwiami ciemnego pomieszczenia.

Grimnebulin wstrzymał oddech. Po minucie automat powrócił i niezgrabnie machnął ramieniem, wskazując drogę.

Powoli i ostrożnie wkroczyli na dawno nie odwiedzone poddasze. Za oknem widać było skrzyżowanie ulic. Na pozbawionych szyb ramach widniały dziwaczne, głęboko rżnięte znaki. Z zewnątrz wpadały do środka dalekie błyski pochodni i powietrze zabarwione ich dymem.

Yagharek z namysłem uniósł rękę i wskazał na okno.

– Stąd – wyszeptał. – Stąd wychodziły.

Podłoga była usiana śmieciami i pokryta grubą warstwą kurzu. Ściany ozdobiono dziwnymi, niepokojącymi wzorami.

W powietrzu można było wyczuć słaby, ale nieprzyjemny ruch. Ledwie wyczuwalny prąd niepokoił przybyszów, bo ostro kontrastował z absolutnie nieruchomą atmosferą Szklarni. Isaac rozejrzał się nerwowo, szukając jego źródła.

I wreszcie zobaczył. Choć pocił się w nocnej duchocie, poczuł zniemacka bardzo zimny dreszcz.

Dokładnie naprzeciwko okna leżał na podłodze solidny kawał rozłupanego tynku. W miejscu, gdzie niegdyś trzymał się muru, widniała dziura – niedawno wybita, o nieregularnych kształtach, rozpoczynająca się mniej więcej na wysokości ud.

Wyglądała jak świeża rana. Wymiana powietrza zachodziła właśnie między nią a wybitym oknem, jakby w trzewiach budynku zamieszkała potężna, głęboko oddychająca istota.

– To tam – stwierdził Shadrach. – Tam muszą się ukrywać... Tam musi być ich gniazdo.

Za poszarpaną krawędzią otworu widać było kręty tunel, wyżłobiony wprost w substancji domu. Mrużąc oczy, Isaac i Shadrach zajrzeli do jego wnętrza.

– Nie wygląda na wystarczająco szeroki dla tych skrzydlatych sukinsynów – rzekł uczony. – Obawiam się, że nasza zdobycz nie zawsze zachowuje się zgodnie z zasadami... hmm... realnej przestrzeni.

Tunel, szeroki mniej więcej na cztery stopy, był długi i chropowaty. Isaac przykucnął przy nim i powąchał płynące ze środka powietrze. Po chwili podniósł głowę i spojrzał na Yagharka.

– Zostaniesz tutaj – rzekł. Zanim garuda zdążył zaprotestować, dotknął hełmu, który miał na głowie. – My z Shadrachem mamy specjalne hełmy, które dała nam Rada Konstruktorów. A dzięki temu – tu Isaac poklepał wypchaną torbę – będziemy mogli zbliżyć się do tego, co kryje się w tej dziurze, o ile w ogóle coś tam jest. – Uczony wyjął z torby dynamo. Maszyna właściwie nie różniła się od tej, którą Rada wzmocniła jego fale mózgowe, aby zwabić kaleką ćmę. W torbie znalazł się także kłęb rurki krytej metalową siatką. Shadrach przyklęknął obok Isaaca i pochylił głowę. Isaac wcisnął koniec rurki w gniazdo hełmu i przekręcił śruby mocujące. – Jeśli wierzyć Radzie, taumaturgowie używają podobnych urządzeń, stosując technikę zwaną... przeniesieniem-ontografią – ciągnął Grimnebulin. – Tylko nie pytaj mnie, co to takiego. Rzecz w tym, że te rury, które tu widzisz, pomogą zebrać nasze... hmm... psychiczne emanacje... i skierować je na zewnątrz, w inne miejsce.

– Uczony spojrzał na Yagharka. – Nasze umysły przestaną wydzielać smak, zapach czy jakikolwiek inny ślad – wyjaśnił, mocno dokręcając ostatnią śrubę. Stuknął lekko w gotowe do akcji urządzenie i zniżył głowę, a wtedy Shadrach powtórzył operację na jego hełmie. – Jeżeli na końcu tego tunelu jest ćma, Yag, a ty spróbujesz się do niej zbliżyć, ona cię wyczuje. Nie powinna natomiast wyczuć nas. Tak przynajmniej mówi teoria. – Kiedy Shadrach skończył, Isaac wstał i rzucił garudzie końce zbrojonych rurek. – Każda z nich ma... dwadzieścia pięć, może trzydzieści stóp. Trzymaj je w rękach, póki się nie naprężą, a potem puść. Zrozumiałeś? – Yagharek skinął głową. Był wściekły, że zostaje na tyłach, ale pojmował, że nie ma wyboru.

Isaac chwycił dwa spiralne przewody i podłączył je do aparatu, który trzymał w rękach. Pozostałe końcówki wsunął w gniazda na hełmach.

– Mam tu małe ogniwo chemiczne – powiedział, pokazując Yagharkowi maszynkę. – Działa w połączeniu z mechanizmem zegarowym, którego projekt pożyczono od kheprich. Jesteśmy gotowi? – Shadrach szybko sprawdził pistolet i resztę podręcznego arsenału, po czym skinął głową. Isaac obejrzał swoją skałkówkę i dotknął rękojeści noża wetkniętego za pasek, czując się dość nieswojo. – W porządku.

Uczony uruchomił dynamo, które zaczęło buczeć i syczeć z cicha. Yagharek z powątpiewaniem zajrzał do rurek, które trzymał w dłoniach. Odebrał nagle niejasne emocje, które zdawały się wypływać wprost z okutych metalem przewodów. Od dłoni popłynęła ku górze fala strachu, który z pewnością nie był jego uczuciem.

Isaac przywołał do siebie trzy konstrukty-mały.

– Idźcie przodem – polecił. – Cztery stopy przed nami. Poruszajcie się powoli, zatrzymujcie w razie niebezpieczeństwa. Ty – dodał, wskazując na czwartą maszynę – pójdziesz za nami. Piąty, zostajesz z Yagiem. – Jeden po drugim konstrukty wśliznęły się ostrożnie w ciemność tunelu. Isaac położył dłoń na ramieniu Yagharka. – Niedługo wracamy, chłopie – powiedział cicho. – Uważaj.

Odwróciwszy się, przyklęknął i przed Shadrachem wpełzł do otworu wybitego wśród cegieł, by po chwili zniknąć w piekielnej czeluści tunelu.

Szyb opadał ku dołowi.

Wąski i niski, wił się pod dziwaczными kątami między ścianami złączonych ze sobą kamienic. Isaac słyszał tylko własny oddech i cichy klekot konstruktyw, powielony echem. Dłonie i kolana bolały go od wędrówki na czworaka po ostrych odłamkach cegieł. Miał wrażenie, że tunel prowadzi wzdłuż ciągu kamienic. Fakt, że podłoże opadało nieznacznie, przypominał mu zewnętrzny widok tutejszej zabudowy; domy były częściowo wyburzone, tym niższe i bardziej zasypane gruzem, im bliżej stały szklanej kopuły.

Doszedł do wniosku, że wędrują w stronę końca uliczki, uciętego żelazną ścianą. Coraz częściej przenikały go dreszcze. Pocił się ze strachu i z gorąca. Był śmiertelnie przerażony, bo widział już ćmy i wiedział, w jaki sposób się pożywiają. Zdawał sobie sprawę z tego, co może ich czekać na końcu tego klina walących się cegieł, który niegdyś był szeregiem zadbanych kamienic.

Dość szybko poczuł lekkie szarpnięcie i nagłą swobodę. Wiedział, że rura odprowadzająca emanacje jego umysłu rozciągnęła się już maksymalnie i Yagharek wypuścił ją z rąk.

Nie odzywał się. Słuchał oddechu i stękania Shadracha, który trzymał się tuż za nim. Była to raczej konieczność niż wybór – nie mogli rozłączyć się bardziej niż na pięć stóp, takie bowiem właśnie kable łączyły ich hełmy ze wspólnym aparatem.

Isaac odwrócił głowę, desperacko szukając lusterkami choćby najślabszego światła.

Konstrukty-mały poruszały się sprawnie. Co kilka chwil któryś z nich włączał na moment światła wbudowane w receptory wzrokowe, wyławiając z mroku wnętrza szybu, usiane odłamkami cegieł, oraz błyskające metalicznie ciała maszyn. Lampy gasły szybko, a Isaac starał się podążać choćby przez chwilę za obrazem, który pozostawał na krótko w ogarniętych ciemnością oczach.

W głębokim mroku łatwo było dostrzec nawet najwątleszy, daleki blask. Grimnebulin wiedział więc, że pełźnie w stronę źródła światła, gdy tylko zobaczył w oddali szarawy kontur tunelu. Nagle coś dotknęło jego piersi. Na moment zamarł z przerażenia, nim rozpoznał metalowe palce i kanciaste ciało konstruktów. Natychmiast syknął ostrzegawczo w stronę Shadracha.

Maszyna gestykulowała niezgrabnie, za to z wielkim zapałem. Wskazywała na coś, co znajdowało się przed nimi, dokładnie tam, gdzie jej dwaj bracia przystanęli i spoglądali ku górze widoczni w plamie słabego światła rozchodzącego się z góry.

Isaac gestem kazał Shadrachowi zaczekać, a sam popęzł naprzód w żółtym tempie. Strach, który nie opuszczał go ani na chwilę, teraz zaczynał mrozić jego ciało, poczawszy od żołądka. Oddychał powoli i głęboko. Bardzo wolno przesuwiał ręce i nogi, a kiedy wynurzał się w plamie słabego światła, czuł irytujące swędzenie skóry.

Tunel kończył się ścianą z cegieł, wysoką na pięć stóp, która otaczała go z trzech stron. Spojrzawszy w górę, w sporej odległości dostrzegł zarys sklepienia. Z otworu, który widać było powyżej krawędzi muru, sączył się w dół nieznośny fetor. Isaac odruchowo zmarszczył nos.

Zdał sobie sprawę, że znajduje się w studni wpuszczonej w betonową podłogę jakiegoś pomieszczenia. Poza stropem nie widział absolutnie nic, za to do jego uszu dobiegał słaby dźwięk, podobny do szelestu papieru na wietrze. Towarzyszyło mu ledwie słyszalne mlaskanie, jakby wilgotne i lepkie palce stykały się i rozchylały na przemian.

Isaac trzykrotnie przełknął ślinę i sam sobie nakazał szeptem wziąć się w garść. Odwrócił się plecami do muru i do pokoju, który znajdował się powyżej. Kątem oka spostrzegł Shadracha, który przyglądał mu się, tkwiąc na czworakach w głębi tunelu.

Wpatrując się intensywnie w lusterka, pociągnął ku sobie rurę, która przechodziła pod ciałem najemnika i ginęła gdzieś w głębi sztolni, rozpylając tam jego niewesołe myśli.

Wreszcie zebrał się w sobie i zaczął wolniutko wstawać. Z całą determinacją, na jaką było go stać, wpatrywał się w lusterka, jakby chciał powiedzieć niewidzialnemu bogu, który poddawał go próbie: „A widzisz? Nie oglądam się za siebie! Nie oglądam się, do cholery!”

Czubek hełmu Isaaca minął krawędź studni i w lusterkach pojawiło się więcej światła. Równocześnie ohydny smród przybrał na sile.

Strach, który paraliżował uczonego, był potężny, a pot, który go oblewał, nie był już ciepły.

Isaac przechylił nieco głowę i stanął prosto. Nareszcie zobaczył cały pokój, prawie pozbawiony barw w słabym blasku pojedynczego, małego okienka.

Było to długie i wąskie pomieszczenie. Miało nie więcej niż osiem stóp szerokości i około dwudziestu długości. Było zakurzone, najwyraźniej nieużywane od lat. Nigdzie nie było widać wejścia – ani drzwi, ani klapy, ani innego otworu.

Isaac nie oddychał. W najdalszym końcu pokoju, wpatrując się w niego pustymi oczodołami i poruszając groźnie skomplikowaną gmatwaniną kończyn, macek i skrzydeł, siedziała ćma.

Minęła długa chwila, zanim Grimnebulin zdał sobie sprawę, że udało mu się nie jęknąć ze strachu. Kolejnych kilka sekund zabrało mu ustalenie, że czułki poruszające się spokojnie w różnych kierunkach są dowodem na to, iż nie został zauważony. Ćma drgnęła i obróciła się nieznacznie, wystawiając ku niemu swój półprofil.

Isaac wypuścił powietrze z płuc bez najcichszego nawet dźwięku. Minimalnie poruszył głową, by ogarnąć wzrokiem pozostałą część pokoju.

Kiedy skończył, znowu musiał walczyć z pokusą wydania okrzyku przerażenia.

Na podłodze izby, w nieregularnych odstępach i nienaturalnych pozach, leżały trupy.

Teraz dopiero Isaac zidentyfikował źródło potwornego fetoru. Odwrócił głowę i zasłonił dłonią usta, widząc tuż obok siebie rozkładające się zwłoki dziecka kaktusów; mięso kolczastej istoty odłaziło już od twardych, włóknistych kości. Nieco dalej leżał martwy człowiek, obok niego jeszcze jeden, a potem nabrzmiały vodyanoi. Większość ciał należała jednak do kaktusów.

Niektóre z ofiar, jak zauważył ze smutkiem, ale bez zdziwienia, jeszcze oddychały. Leżały w bezruchu, porzucone i opróżnione, jak puste butelki. Śliniąc się i robiąc pod siebie, nieszczęśnicy mogli przeżyć jeszcze kilka godzin lub dni, jak imbecyle pogrążeni w nieświadomości własnego losu, nim pragnienie i głód wysączyłyby z nich resztkę życia.

„Nie trafią ani do Raju, ani do Piekła” – pomyślał Isaac. „Ich duchy nie będą wędrować w spektralnej postaci. Zostały zmetabolizowane. Wypite i wysrane, przetworzone w ohydny, onejrochymiczny procesie i zamienione na paliwo dla latających potworów”.

Grimnebulin zauważył, że w jednej ze swych pokręconych rąk ćma trzyma ciało starszego, wciąż jeszcze owinięte szarfą. Zachowywała się jednak dość dziwnie – leniwie uniosła ramię i pozwoliła, by pozbawiony zmysłów kaktus z hukiem zwałił się na podłogę.

Poruszywszy się nieco, bestia sięgnęła pod siebie jedną z tylnych łap. Przesunęła się do przodu, szorując brzuchem po zakurzonej posadzce. Wreszcie wyszarpnęła spod siebie dużą, miękką kulę. W ociekającym śluzem, zielonkawo-

czekoladowym przedmiocie o średnicy dobrych trzech stóp Isaac rozpoznał natychmiast bryłę czystego dreamshitu.

Rozpoznał i szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

Ćma obmacała starannie tylnymi łapami kroplę swego zagęszczonego mleka. „O bogowie, ta bryła musi być warta tysiące...” – pomyślał gorączkowo Isaac. „Nie, przecież jeśli zmiesza się ją z jakimś świństwem, żeby nadawała się dla ludzi, mogłaby przynieść nawet miliony gwinei! Nic dziwnego, że wszyscy chcą dopaść i zatrzymać sobie te cholerne bydlęta...”

Nagle, na oczach Grimnebulina, podbrzusze ćmy rozwinęło się na boki i z jej ciała wysunęła się organiczna wypustka: segmentowana, kryta chityną rura, która na niewidocznych zawiasach odchyliła się do tyłu, w stronę ogona. Była niemal tak długa jak ludzkie ramię. Ze strachem i obrzydzeniem Isaac obserwował, jak bestia opiera ją o kulę surowego dreamshitu, a po chwili odpoczynku wciskają głęboko w lepką masę.

Pod rozchylonym pancerzem potwora, w odsłoniętej części podbrzusza, z którego wystawała rura, Isaac dostrzegł nagle skurcze ciała. Coś przesunęło się, pchane robaczkowymi ruchami wnętrza opancerzonej wypustki, w kierunku wielkiej bryły dreamshitu.

Grimnebulin rozumiał sens sceny, która rozgrywała się na jego oczach. Dreamshit miał być źródłem pożywienia dla młodych, potrzebujących energii zaraz po przyjściu na świat.

Ćma składała jaja.

Isaac bezsilnie osunął się po szorstkiej powierzchni muru. Oddychał głęboko, gestem przywołując do siebie Shadracha.

– Jedna z tych pieprzonych bestii jest tutaj i właśnie składa jaja, więc powinniśmy zająć się nią natychmiast... – wysapał półgłosem. Najemnik pospiesznie zatkał mu dłoń ustami. Nieruchomo patrzył mu w oczy, póki uczoney nie opanował się nieco. Odwróciwszy się plecami do ściany, stanął ostrożnie i przez moment przyglądał się ohydnej scenie składania jaj. Isaac czekał, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na ceglastym rumowisku.

W końcu Shadrach przykucnął i spojrzał na uczonego z wyrazem zdecydowania na twarzy.

– Hmm... – mruknął. – Rozumiem... Mówiłeś, że ćmy nie wyczuwają konstruktów?

Isaac skinął głową.

– O ile nam wiadomo – zastrzegł.

– W porządku. Odwaliłeś cholernie dobrą robotę, programując te maszyny – powiedział Shadrach. – Ich konstrukcja zresztą też jest niezwykła. Ale czy naprawdę będą wiedziały, kiedy należy zaatakować, jeśli mamy im stosowne instrukcje? Czy rozumieją tak skomplikowane zmienne? – Isaac ponownie kiwnął głową. – W takim razie mamy już plan działania – oznajmił szeptem Shadrach. – Posłuchaj.

ROZDZIAŁ 45

Powoli i ostrożnie, drżąc na całym ciele na wspomnienie pseudośmierci Magesty Barbile, Isaac wypełził ze studzienki.

Nie odrywał oczu od lusterek wbudowanych w hełm. Prawie nie dostrzegał odbarwionej starością ściany, która rozciągała się za nimi. Widział jedynie złowrogą sylwetkę ćmy, której odbicie drżało nieznacznie przy każdym jego kroku.

Gdy tylko wynurzył się z otworu, bestia nagle przestała się poruszać. Uniosła wysoko głowę i rozwinęła swój olbrzymi język. Czułki sterczące z ciemnych oczodołów obracały się niepewnie na wszystkie strony. Isaac wolno ruszył w kierunku ściany.

Ćma natychmiast kiwnęła głową. „Musi być jakiś przeciek” – pomyślał uczony. „Pewnie gdzieś pod obrzeżem hełmu przepływają szczątki myśli i uczuć, nieznacznie barwiąc psychosferę. Ślad jednak nie jest wystarczająco mocny, by bestia potrafiła zlokalizować źródło”.

Kiedy Isaac stanął przy ścianie, z otworu w podłodze wychynął Shadrach. Obecność drugiej potencjalnej ofiary znowu wywołała reakcję ćmy, ale poza niespokojnym poruszeniem czarnego cielska nie wydarzyło się absolutnie nic.

Teraz w wylocie tunelu pojawiły się kolejno trzy konstrukty. Czwarty pozostał w dole, pilnując szybu. Automaty ostrożnie stanęły na posadzce i wolno ruszyły w stronę ćmy, która odwróciła się w ich stronę, jakby chciała je obserwować nie istniejącymi oczami.

– Zdaje się, że potrafi wyczuć ich fizyczny kształt i śledzić ich ruchy, podobnie jak nasze – szepnął Isaac. – Ale bez psychicznego tropu nie może... nie może uznać żadnego z nas za świadomą formę życia. Dla niej nie różnimy się zbytnio od innych przedmiotów, takich jak drzewa kołyszące się wietrze.

Ćma stanęła naprzeciwko trzech zbliżających się pomału konstruktyw, które rozdzieliły się nagle, by zająć ją z trzech stron równocześnie. Nie spieszyły się zbytnio, toteż bestia nie wyglądała na zaniepokojoną, ale zdradzała pewne objawy zainteresowania.

– Teraz – szepnął Shadrach. Razem z Isaakiem zaczęli powoli wybierać z tunelu kryte metalową siatką rury, które łączyły się z ich hełmami.

Kiedy otwarte końcówki rurek były blisko powierzchni, ćma ożywiła się wyraźnie. Przeskakiwała o kilka stóp do przodu i zaraz wracała, by pilnować świeżo złożonych jaj, klekocąc zębami w budzący grozę sposób.

Isaac i Shadrach odliczali bezgłośnie, patrząc sobie w oczy.

Na „trzy” wyszarpnęli ze studzienki końcówki swoich rur. Jednym, możliwie gładkim ruchem zakręcili nimi nad głowami i cisnęli je w daleki – odległy o piętnaście stóp – kąć pokoju.

Ćma dostała szału. Syczała i skrzeczała groźnie, wyginając grzbiet w pałąk i nadymając się potężnie. Jej egzoszkielet rozprostował się i zjeżył niezliczonymi, twardymi i ostrymi wypustkami.

Isaac i Shadrach bez słowa spoglądali w lusterka, podziwiając jej potworny majestat. Bestia zdążyła już rozpostrzeć skrzydła i teraz bajecznie kolorowe wzory pulsowały w stronę leżących na posadzce końcówek rur, próbując porazić je zniewalającą, hipnotyczną energią.

Isaac zmartwiał, obserwując w lusterkach niesamowite widowisko. Potwór skradał się w stronę wylotów zbrojonych przewodów krokiem drapieżnika, raz na czterech, raz na sześciu, a raz na dwóch łapach.

Shadrach pospiesznie pociągnął Grimnebulina w stronę kuli dreamshitu.

Stanęli tak blisko rozszerzonej i głodnej bestii, że bez trudu mogli jej dotknąć. Widzieli w lusterkach, jak wolno przebiega do ataku, niczym potężna, biologiczna machina wojenna. Kiedy ich minęła, zwinnie odwrócili się na piętach i ruszyli w stronę bryły dreamshitu, posuwając się raz przodem, raz tyłem, by nie tracić ćmy z oczu na dłużej niż sekundę.

Bestia przeszła obok konstruktyw – przewróciła jeden z nich i nawet tego nie zauważyła, z furią bijąc na boki mocarną, kolczastą macką.

Isaac i Shadrach skradali się bezszelestnie, raz po raz zerkając w lusterka, by upewnić się, czy rzucone na przynętę rurki wciąż leżą tam, gdzie je zostawili. Dwa małopokształtne konstrukty śledziły bestię krok w krok, trzeci zbliżał się pomału do jaj.

– Szybciej – syknął Shadrach, ciągnąc Isaaca do podłogi. Uczony sięgnął po nóż i przez wlokące się w nieskończoność sekundy walczył z zapięciem pochwy. Wreszcie wydobył broń i po krótkim wahaniu wraził ją gładko w wielką, lepłą masę dreamshitu.

Shadrach w napięciu spoglądał w lusterka. Ćma, śledzona przez inteligentne konstrukty, atakowała bezsensownie dwie leżące nieruchomo rurki.

Kiedy Isaac rozcinał nożem masę, w której złożone zostały jaja, bestia bezradnie wymachiwała rękami i językiem, próbując pochwycić wroga, którego świadomość tak doskonale i tak kusząco wyczuwała w pobliżu.

Grimnebulin schował dłonie do rękawów koszuli i zaczął rozciągać szczelinę, którą wyciął w bryle dreamshitu. Z wielkim wysiłkiem zdołał wreszcie rozerwać lepłą masę.

– Szybciej – powtórzył Shadrach.

Dreamshit – surowy, nie zmieszany z bezwartościowymi dodatkami, przedestylowany i czysty – przesiąkał przez cienkie płótno i zaczynał drażnić skórę na dłoniach uczonego. Isaac pociągnął raz jeszcze i jego oczom ukazała się cenna zawartość ochronnej bryły: małe skupisko jaj.

Były owalne i przezroczyste, mniejsze od kurzych. Przez miękką, półpłynną skórę Isaac dostrzegał drobne, zwinięte kształty larw. Podniósłszy głowę, gestem przywołał konstrukt stojący najbliżej.

W przeciwległym końcu pokoju ćma wreszcie podniosła z podłogi jedną z rurek i przyłożyła do pyska jej wylot, buchający silną emanacją ludzkiego umysłu. Potrząsnęła nią ze zdziwieniem, a potem rozchyliła szczęki i wysunęła obsceniczny, ruchliwy jęzor. Polizała raz końcówkę rurki, a potem wcisnęła w nią czubek języka, szukając źródła kuszącego smaku.

– Teraz! – zawołał Shadrach. Dłonie ćmy zaczęły przesuwając się po gęstej plecionce z metalu, szukając ciała, do którego należała ta zaskakująco długa wypustka. Twarz najemnika nagle stała się biała jak kreda. Mężczyzna rozstawił szeroko nogi i przygotował się na atak bestii. – Teraz, do wszystkich diabłów, teraz! – krzyknął. Isaac spojrział na niego ze strachem.

Shadrach intensywnie wpatrywał się w lusterka. Lewą ręką mierzył za siebie z taumatycznie ulepszonym pistoletem, próbując wziąć na cel zbliżającą się ćmę.

Isaac miał wrażenie, że czas zwolnił nagle. Patrzył na odbity w lusterkach obraz sytuacji: na bestię z rurką w dłoniach i na absolutnie nieruchomą dłoń Shadracha, trzymającą pistolet, a także na konstrukty-mały, czekające na rozkaz do ataku.

Raz jeszcze spuścił głowę i spojrział na ohydny zlepek jaj, okrytych galaretowatym śluzem.

Otworzył usta i nabrał w płuca powietrza, by wykrzyknąć rozkaz dla konstruktów, ale w tej samej sekundzie ćma pochyliła się i pociągnęła za rurkę z potworną siłą.

Głos uczonego utonął w huku strzału ze skałkowego pistoletu i przeciągłym jęku Shadracha. Najemnik zwlekał z użyciem broni o ułamek sekundy za długo. Niesiona nie tylko wybuchem prochu, ale i taumatycznym zakłębieniem kula z donośnym łomotem wbiła się w mur, a sam strzelec zakreślił w powietrzu płaski łuk. Pasek utrzymujący hełm na jego głowie pękł i żelazne naczynie z miedzią armaturą spadło na podłogę, wyszarpując kabel łączący je z generatorem niesionym przez Isaaca. Wytraciwszy wysokość, Shadrach z hukiem runął na beton i potoczył się

dalej, gubiąc przy okazji broń. Uderzył głową o posadzkę, zalewając krwią pokłady kurzu i śmieci.

Poderwał się natychmiast, z okrzykiem bólu i wściekłości, ściskając dłońmi głowę i próbując utrzymać równowagę.

Chaotyczne myśli Shadracha buchnęły nagle odżywczym strumieniem i ćma z gardłowym warkotem odwróciła się w jego stronę.

Isaac krzykiem poderwał konstrukty do ataku. Ćma zbliżała się do najemnika z zaskakującą szybkością, kiedy dwa podążające za nią automaty jednocześnie skoczyły na jej grzbiet. Z żelaznych głów buchnęły płomienie i ich cel zniknął na moment w kuli ognia.

Bestia zawyla z bólu i zaczęła smagać maszyny kolczastymi wyrostkami, ale nie przestała zbliżać się do Shadracha. Potężna macka owinęła się wokół szyi jednego z konstruktów i z przerażającą łatwością zerwała go z grzbietu. Metalowe ciało pomknęło w stronę ściany i zderzyło się z nią równie brutalnie jak przedtem hełm najemnika.

Z głośnym zgrzytem i rumorem maszyna rozpadła się na części, rozlewając na podłodze kałużę płonącego oleju, która popłynęła w stronę Shadracha. W potwornie wysokiej temperaturze żelazne szczątki zaczęły się topić, a betonowa posadzka – pękać.

Konstrukt stojący przy Isaacu plunął mocnym kwasem na jaja złożone przez ćmę. Elastyczne skorupki natychmiast zadymiały i rozpuściły się z sykiem.

Bestia wydała z siebie żałosny, rozdzierający ryk.

Zapomniała o Shadrachu i popędziła ku dalekiemu kąтови pokoju, gdzie pozostawiła swe nie narodzone potomstwo. W biegu biła niespokojnie ogonem – jedno z uderzeń dosięgło jęczącego najemnika, który raz jeszcze potoczył się po podłodze, rozmazując plamę własnej krwi.

Isaac z wściekłością wraził ciężki buciór w rozprutą otoczkę dreamshitu, miażdżąc coraz bardziej płynną zawartość jaj, zachwiał się i błyskawicznie zszedł z drogi szarżującej ćmie. Pośliznął się na rozpuszczonej kwasem masie i upadł. Na poły biegnąc, na poły pełznąc, ścisnął w jednej dłoni i nóż, a w drugiej bezcenną maszynę, która ukrywała przed bestią emanację jego umysłu.

Ćma zawyla z bólu, gdy konstrukt siedzący na jej grzbiecie raz jeszcze bluznął ogniem wprost na jej skórę. Nie zatrzymując się, sięgnęła za siebie segmentowanymi ramionami i po omacku zaczęła szukać punktu zaczepienia na metalowym ciele automatu. Wreszcie znalazła jego manipulatory, chwyciła je mocno i oderwała maszynę od swych pleców.

Cięnięty na beton konstrukt rozpadł się, sypiąc wokoło odłamkami szkła z rozbitych soczewek oraz deszczem zaworów i krótkich kabli z rozłupanego, żelaznego czerepu. Poobijane ciało z hukiem wylądowało na stercie śmieci i znieruchomiło. Ostatni automat cofnął się nieco, próbując wybrać odpowiedni dystans do ataku na oszalałego z wściekłości wroga.

Zanim jednak zdążył plunąć kwasem, dwie macki pokryte kostnymi wyrostkami wystrzeliły w jego stronę szybciej niż pejcze i bez trudu rozcięły go na pół.

Górna połówka ostatkiem sił próbowała pełznąć po zakurzonej posadzce. Rozszerzająca się szybko plama kwasu ogarnęła zwłoki leżących opodal kaktusów i zaczęła je rozpuszczać, parując i sycząc łakomie.

Ćma dotknęła dłońmi lepkiej brei, która jeszcze przed chwilą była jej potomstwem. Ani na chwilę nie przestawała rozpaczliwie wyć.

Isaac odpełzał w pośpiechu, obserwując bestię w lusterkach wstecznych. Kierował się w stronę Shadracha, który wciąż związał się na betonie, pojękując z bólu.

Wreszcie zobaczył, że istota odwraca się z sykiem i wysuwając jęzor, szuka swej niedosłej ofiary. Rozpostarłszy skrzydła, ruszyła w stronę Shadracha.

Isaac rozpaczliwie starał się dotrzeć do niego jako pierwszy, ale nie starczyło mu sił. Ćma wyprzedziła go bez wysiłku i teraz mógł jedynie odwrócić się, by nie stracić jej z oczu.

Obserwował z przerażeniem, jak drapieżca dopada Shadracha i stawia go pionowo. Półprzymknięte oczy najemnika świeciły białkami; był ogłuszony bólem i zalany krwią.

Niemal bez zmysłów, zaczął ześlizgiwać się po nierównej ścianie. Ćma rozciągnęła szeroko jego ramiona i nim Isaac zorientował się, o co chodzi, wbiła w nadgarstki Shadracha dwa długie, zębate ostrza, dziurawiąc kości, cegły i beton.

Przyszpilony do muru najemnik i pełznący tyłem Isaac wrzasnęli jednocześnie.

Podtrzymując ciało Shadracha mackami, ćma wyciągnęła swe pseudoludzkie ręce i dotknęła palcami powiek mężczyzny. Isaac krzyknął ostrzegawczo, ale półprzytomny awanturник nie zrozumiał. Z wysiłkiem wodził oczami po skąpo oświetlonym pokoju, szukając przyczyny potwornego bólu, który rozsadzał jego ramiona.

I wreszcie zobaczył rozpostarte skrzydła ćmy.

Uspokoił się nagle, a bestia wygięła grzbiet – skwierczący jeszcze i dymiący po nieskutecznym ataku konstrukt – i pochyliła się nad zdobyczą, zaczynając makabryczną ucztę.

Isaac celowo odwrócił głowę, by nie patrzeć, jak długi język wdiera się do ust Shadracha i wysysa z nich resztkę gasnącej świadomości. Z trudem przełknął ślinę, podniósł się i ostrożnie zaczął iść tyłem w stronę studzienki i tunelu. Zaciskał zęby, próbując zapanować nad coraz silniejszym drżeniem łydek. Ucieczka była jego jedyną szansą na uratowanie życia.

Starał się nie słuchać siorbania i mlaskania, lubieżnych odgłosów rozkoszy oraz cichego kapania śliny lub krwi, które dobiegały z odległości kilku kroków. Uparcie i powoli szedł w stronę jedyne go wyjścia z izby.

Zbliżając się do otworu studzienki, zauważył zwój krytej metalem rurki, która nadal leżała spokojnie w kącie pod ścianą, przeciwległym końcem wciąż jeszcze umocowana do jego hełmu. Odmówił w duchu krótką modlitwę. Jego mentalna esencja rozlewała się po pokoju, zatem ćma musiała wiedzieć, że w pobliżu znajduje się druga świadoma istota. Im bliżej był wylotu tunelu, tym bliżej był wylotu rurki. Gdyby bestia zainteresowała się drugą emanacją, nie miałaby teraz kłopotów z odnalezieniem jej prawdziwego źródła.

A jednak... Isaac czuł, że jest bliski sukcesu. Ćma była tak pochłonięta żerowaniem, a może raczej wywieraniem zemsty na nieszczęsnym Shadrachu, że nie zwracała najmniejszej uwagi na obecność drugiej przerażonej istoty. Grimnebulin mógł więc minąć ją i skierować się wprost ku wyłożonej ceglami studziennie.

Kiedy jednak stanął na krawędzi, gotów opuścić się bezszelestnie w ciemną czeluść i wraz z ocalałym konstruktem popełnić ku wolności, jak najdalej od tego gniazda koszmarów i jak najdalej od Szklarni, poczuł pod stopami nagłe drżenie.

Spojrzał w dół.

Z tunelu dobiegał odgłos pospiesznego chrobotania zbrojnych w pazury stóp. Hałas był coraz głośniejszy, i przerażony Isaac odruchowo odsunął się od otworu, drżąc równie mocno jak betonowa posadzka izby.

Z donośnym hukiem z głębin tunelu wystrzelił małpi konstrukt. Grzmotnął z impetem w solidne cembrowanie studzienki i instynktownie usiłował wspiąć się ku

górze, ale siła zderzenia była tak ogromna, że oba metalowe ramiona zostały wyrwane z zawiasów.

Buchając ogniem i dymem, maszyna próbowała podnieść się na nogi, ale w tej samej chwili w jej korpus wbił się pysk pędzącej tunelem ćmy. Skomplikowany mechanizm, upakowany w blaszanej puszcze, rozpadł się na tysiące kawałków.

Bestia wyskoczyła ze studzienki i przez boleśnie długi moment Isaac spoglądał wprost w jej potężne, bojowo rozpostarte skrzydła.

Minęło wiele chwil przerażenia i rozpacz, zanim skamieniały ze strachu uczony zdał sobie sprawę, że nowo przybyła ćma zignorowała go i potykając się o cuchnące zwłoki, popędziła w stronę zniszczonych jaj. W biegu kręciła łbem i klekotała zębami w upiornej parodii żalu i bólu.

Isaac znowu przypadł płasko do ściany, obserwując w lusterkach spotkanie dwóch bestii.

Druga ćma szeroko rozsunęła szczęki i z jej czarnej gardzieli wyrwał się przeciągły, jazgotliwy pisk. Pierwsza po raz ostatni zaciągnęła się esencją umysłu Shadracha i porzuciła bezużyteczne, zmasakrowane i bezwładne ciało. Cofnęła się nieco i wraz ze swą siostrą pochyliła się nad bezkształtną masą, która nie tak dawno była jeszcze bryłą dreamshitu i skupiskiem jaj.

Bestie stanęły tak, aby dotykać się koniuszkami rozpostartych skrzydeł i rozciągniętych na wszystkie strony kończyn. Znieruchomiały i czekały.

Isaac wolniutko wpełzł do studni, zbyt przerażony, by zastanawiać się, co właściwie robią ćmy i dlaczego bez powodu zignorowały fale jego umysłu, bez przerwy sączące się z leżącej w kącie rury. Nie przestawał jednak wpatrywać się tępo w obraz przekazywany przez lusterka, nie pojmując znaczenia tego, co widział. Nagle przestrzeń wokół niego zmarszczyła się nieznacznie i zakrzywiła, a potem coś w niej wykwitło – w ciasnocie ceglanej sztolni nad struchlałym Grimnebulinem pojawił się Tkacz.

Isaac rozdziawił usta ze zdumienia. Wielki pająk pochylił się nad nim w wąskiej studziencie i błysnął szeregiem ciemnych oczu. Zaalarmowane ćmy wyprężyły się nagle.

...GRYMAŚNY I NEBULARNY ZNOWU JESTEŚ ZNOWU RAZEM...

Charakterystyczny głos zaszumiał tuż nad uchem Isaaca. Nad tym uchem, którego już nie było.

– Tkacz! – jęknął uczony i omal nie zaczął szlochać. Potężny stwór skoczył w górę i wylądował na czterech odnóżach, gestykulując dziwacznie kończynami zbrojnymi w chitynowe noże.

...ZNALAZŁEM ROZPRUWACZY SIECI ŚWIATA NAD NAPUCHŁYM BĄBLEM SZKŁA I ZATAŃCZYŁEM KRWIOŻERCZY DUET Z KAŻDĄ CHWILĄ BARDZIEJ BRUTALNY LECZ NIE MOGĘ ZWYCIĘŻYĆ KIEDY CZTERY PRZECIWKO MNIE...

– opowiadał Tkacz, krocząc w stronę swej zdobyczy. Isaac nie był w stanie ruszyć ręką ani nogą. Nie przestawał wpatrywać się w lusterka, w których odbijała się scena niezwykłego pojedynku. -... UCIEKAJ UKRYJ SIĘ MÓJ MAŁY JESTEŚ ZDOLNY POTRAFISZ NAPRAWIAĆ ROZDARCIA I ŁATAĆ JE SPRAWNIE JEDNA PRZYBYŁA PO CIEBIE A TY ZMIAŹDŹYŁEŚ JĄ JAK ZIARNO LECZ TERAZ PORA UCIEKAĆ ZANIM WSZYSTKIE OSIEROCONE SIOSTRYBRACIA INSEKTY ZJAWIĄ SIĘ TU ABY OPŁAKIWAĆ POMIOT KTÓRY POMOGŁEŚ STRAWIĆ...

Isaac zrozumiał, że pozostałe ćmy są już w drodze. Tkacz ostrzegał go, że wyczuły zagładę swych jaj i spóźnione powracały, by bronić gniazda.

Chwycił się mocniej krawędzi tunelu, gotów zniknąć w jego wnętrzu, ale jeszcze przez kilka sekund nie mógł się ruszyć, zafascynowany skomplikowanym tańcem przedziwnej gmatwaniny kończyn: walką Tkacza z ćmami.

Były to zmagania pierwotnych żywiołów, bój toczący się na płaszczyznach nie w pełni pojmowalnych przez człowieka. Na mglistą wizję składały się ruchy organicznych ostrzy i kolców, zbyt szybkie, by mogło je zarejestrować ludzkie oko, a także błyskawiczne skoki między niepojętymi wymiarami przestrzeni. Pomiedzy ledwie widocznymi ciałami przewalały się obłoki chemicznego ognia. Nie przerywając walki, Tkacz kontynuował swój nie kończący się monolog.

...OCH JAKŻE TO WSZYSTKO JAKŻE BUZUJE CAŁY MUSUJĘ W ŚRODKU JESTEM PIJANY ZATRUTY WŁASNymi SOKAMI KTÓRE BĘDĄ FERMENTOWAĆ W TYCH SKRZYDLATYCH SZALEŃCACH...

Isaac przyglądał się temu wszystkiemu w głębokim otępieniu. A działy się rzeczy niezwykle: zaczęło się od typowej wymiany ciosów, lecz wkrótce potem ćmy jęły nerwowo wysuwać języki, smakując otoczenie. Wreszcie skróciły dystans i zaczęły lizać długi odwłok Tkacza. Cofały się jak pijane i powracały, by znowu zaatakować.

Pająk raz po raz znikał z pola widzenia. Przez chwilę zadawał brutalne ciosy i przepadał bez śladu, by zaraz potem wrócić lekkim krokiem i zawirować na czubku ostro zakończonych odnóży, podśpiewując beztrudno i niewyraźnie.

Na skrzydłach ciem pojawiły się niezwykle wzory, zupełnie niepodobne do tych, które Isaac widział wcześniej. Bestie lizały łakomie ciało pajaka i dźgały je na oślep kolcami, nie zwracając uwagi na jego spokojny monolog.

...IDŹ JUŻ I POŁĄCZ SIĘ Z TWOIMI PODCZAS GDY JA PIJAK I ONI DWAJ MOI PIWOWARZY BĘDIEMY SPRZECZAĆ SIĘ I RANIĆ PÓKI NIE STANĄ SIĘ TRIUMWIRATEM LUB WIĘCEJ A WTEDY UKRYJĘ SIĘ W BEZPIECZNYM MIEJSCU IDŹ JUŻ W STRONĘ KOPUŁY I DALEJ POZA GRANICAMI SCHROŃ SIĘ ZOBACZYMY SIĘ POŁĄCZYMY SIĘ GDY PRZYJDZIESZ NAGI PRZYJDZIESZ NAGI JAK NIEBOSZCZYK O ŚWICIE NAD RZEKĄ JA ZNAJDĘ CIĘ BEZ TRUDU ACH CÓŻ ZA KOLORY JAKIE ZAWIŁE WZORY KTÓRE DOBRZE WPASUJĄ SIĘ W MOJĄ PAJĘCZYNĘ ZAPLOTA SIĘ TAK PIĘKNIE TERAZ IDŹ JUŻ UCIEKAJ RATUJ SWOJĄ SKÓRĘ...

Szalona bitwa trwała. Isaac widział jednak, że Tkacz musi ustępować pola przeciwnikom. Energia pajaka falowała, zanikała i powracała niczym ponury wichur, za każdym razem nieco słabsza. Uczony poczuł nagły atak przerażenia, kucnął w ceglanej norze i zaczął pełznąć przed siebie.

Przez dobrą minutę w wariackim tempie posuwał się po zasypanym ostrymi odłamkami dnem tunelu, kalecząc skórę na dłoniach i kolanach.

Wtem zobaczył przed sobą, za zakrętem sztolni, słabe światło. Przyspieszył i nagle wrzasnął z bólu i zdumienia, gdy jego dłonie trafiły na taflę gładkiego, rozpalonego metalu. Zawahał się na moment, a potem owinął dłonie wystrzępionymi rękawami koszuli. Jeszcze raz spojrzął z niedowierzaniem na przeszkodę, która go zatrzymała: podłóże, ściany i strop tunelu były wyłożone prasowaną stalą na odcinku co najmniej czterech stóp. Zmarszczył brwi, nic nie rozumiejąc z tej nagłej przemiany,

a potem zebrał się w sobie i prześliznął szybko po polerowanym metalu, starając się nie dotykać go nagą skórą.

Odetchnął głęboko i jęknął, z wysiłkiem przeciskając się przez otwór wejściowy. Wyczerpany, zwałił się ciężko na podłogę ciemnego pokoju, w którym czekał na niego Yagharek.

Na trzy lub cztery sekundy stracił przytomność. Kiedy się ocknął, garuda stał nad nim w rozkroku, przestępował z nogi na nogę i krzyczał. Widać było, że jest zdenerwowany, ale i skoncentrowany. Yagharek panował nad sobą w każdej sytuacji.

– Obudź się wreszcie! Obudź się! – powtarzał, szarpiąc Grimnebulina za kołnierz. Isaac otworzył szeroko oczy i natychmiast dotarło do niego, że cienie spowijające dotąd twarz garudy zaczęły znikać. Zrozumiał, że zakłęcie Tansella przestaje działać. – Żyjesz – poinformował go Yagharek. Przemawiał głosem pełnym emocji, ale rzeczowo i krótko, oszczędzając siły. – Czekałem na ciebie, kiedy pojawiła się w oknie paszcza ćmy. Odwróciłem się i patrzyłem w lusterka, kiedy włąziła do środka. Bestia była rozdrażniona, spieszyła się. Trzymałem bicz w pogotowiu i gdy weszła, uderzyłem. Wrzasnęła z bólu i już myślałem, że będzie po mnie, ale ona minęła mnie i konstrukt, tak bardzo spieszyła się do tunelu. Nie mam pojęcia, jak złożyła skrzydła, żeby zmieściły się w dziurze. Ignorowała mnie i tylko odwracała się od czasu do czasu, jakby ktoś ją gonił. Nagle wyczułem jakieś drżenie w przestrzeni za jej plecami, jak gdyby zmarszczyła się skóra świata. Zakłócenie pojawiło się i zaraz zniknęło w tunelu, w ślad za ćmą. Posłałem za nim mechaniczną małpę i po chwili usłyszałem odgłosy zginięcia i rozciągania metalu. Nie mam pojęcia, co się stało.

– Przeklęty Tkacz przetopił konstrukt... – wymamrotał Isaac drżącym głosem. – Tylko bogowie wiedzą, po co to zrobił – dodał, wstając pospiesznie.

– Gdzie Shadrach? – spytał Yagharek.

– Dopadła go ćma, rozumiesz?! Wypiła go, do ciężkiej cholery! – wrzasnął histerycznie Isaac i podbiegł do okna. Wychylił się, by spojrzeć na oświetlone pochodniami ulice. Usłyszał ciężkie, dudniące kroki rozpędzonych kaktusów. Ogniki płonących polan zbliżały się ze wszystkich stron, a cienie biegnących zmieniały się i drżały jak plamy oleju na wodzie. Grimnebulin odwrócił się i spojrzął w oczy Yagharka. – Kurwa, to było straszne – odezwał się matowym głosem. – Nie mogłem zrobić absolutnie nic, Yag... Słuchaj mnie. Był tam Tkacz. Powiedział mi, że mamy stąd spieprzać, bo ćmy zwęszyły kłopoty... Wiesz, spaliliśmy ich jaja – dodał z zimną satysfakcją. – Ta suka złożyła jaja, a my wykiwaliśmy ją i spaliliśmy je doszczętnie, ale pozostałe wyczuły to i już lecą w tę stronę... Musimy się zbierać.

Yagharek przez moment trawił zdawkową relację, myśląc intensywnie. Wreszcie spojrzął na Isaaca i skinął głową.

Szybko zbiegli po schodach tą samą trasą, którą dotarli na górę. Zwolnili tylko raz, zbliżając się do pierwszych drzwi, za którymi poprzednim razem widzieli parę rozmawiających kaktusów. W mdłym świetle pozostawionej lampy gazowej zobaczyli jednak, że pokój jest pusty. Wszyscy, którzy w nim spali, musieli być już na dole, na ulicy.

– A niech to diabli! – zaklął Isaac. – Zobaczą nas, sukinsyny! Zobaczą nas! Pewnie pod całą kopułą roi się już od kaktusów z pochodniami! A my tracimy cienie, które nas maskowały...

Zbiegli niżej i zatrzymali się w bramie, by ostrożnie wyjrzeć na zewnątrz. Po obu stronach ulicy trzaskały wysoko zawieszono pochodnie. Jedynie w zaułku

naprzeciwko – tam, gdzie kryli się pozostali uczestnicy akcji – panowała jeszcze zupełna ciemność. Yagharek próbował przebić ją wzrokiem, ale nic nie dostrzegł.

Na samym końcu ulicy, tuż przy ścianie kopuły, przed niewysoką, zabita deskami ruiną budynku – w którym, jak uświadomił sobie Isaac, znajdowało się gniazdo ciem – zebrał się tłum kaktusów. Po przeciwnej stronie, na skrzyżowaniu, za którym droga skręcała ku świątyni stojącej w centralnej części Szklarni, widać było biegnące nerwowo patrole zbrojnych.

– Niech to szlag, musieli usłyszeć hałas – syknął Isaac. – Albo ruszymy teraz, albo zdechniemy tutaj. Idziemy pojedynczo – dodał, obejmując garudę. – Ty pierwszy, Yag. Jesteś szybszy i trudniej cię wypatrzeć. No, biegnij. Śmiało – zachęcił Yagharka, wypychając go lekko na ulicę.

Yagharek był dobrym biegaczem. Poruszał się lekko i szybko przyspieszał, ale starał się nie pędzić w panice na złamanie karku, by nie zwracać na siebie uwagi. Wolał pozostać przy średnim tempie biegu, aby kaktus, który spojrzałby w jego stronę, wziął go z daleka za jednego ze swoich. Resztki nieruchomego cienia wciąż jeszcze trzymały się jego postaci, ułatwiając mu zadanie.

Od ciemnego zaułka dzieliło go czterdzieści stóp otwartej przestrzeni. Isaac wstrzymał oddech, obserwując pracę mięśni na okaleczonym grzbiecie Yagharka.

Ludzie-kaktusy nie przestawali jazgotać w swym dziwnym, mieszanym języku, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, kto powinien wejść do środka jako pierwszy. Dwaj pracowali tymczasem ciężkimi młotami, na zmianę tłukąc w mur przegradzający bramę pierwszej, prawie doszczętnie zburzonej kamienicy.

„Tej” – pomyślał Isaac – „w której Tkacz i ćmy prowadzili swój śmiertelny taniec”.

Ciemność wchłonęła wreszcie Yagharka.

Isaac odetchnął głęboko i wyszedł na ulicę.

Szybko oddalił się od drzwi i znalazł się na środku jezdni, marząc, by zanikające cienie wokół jego sylwetki przetrwały jeszcze moment. Po chwili zaczął biec w kierunku bocznego zaułka.

Kiedy był w połowie drogi, usłyszał gdzieś wysoko łopot potężnych skrzydeł. Spojrzał w górę, na okno na ostatnim piętrze, w wierzchołku długiego klina częściowo zburzonych domów.

Ujrzał w nim odpychającą postać trzeciej ćmy. Desperacko zmagająca się z ciasnotą okiennej ramy, spiesząc w stronę zagrożonego gniazda.

Isaac wstrzymał oddech, ale bestia nie zwróciła na niego uwagi, bez reszty pochłonięta myślą o ratowaniu potomstwa.

Odwracając się w stronę bezpiecznego zaułka, pojął nagle, że ludzie-kaktusy stojący w głębi ulicy również musieli usłyszeć niepokojący dźwięk. Z miejsca, w którym się znajdowali, nie mogli dostrzec ani okna na ostatnim piętrze, ani kształtu znikającej w nim bestii. Mogli natomiast bez trudu dojrzeć tłustego, uciekającego, zdecydowanie podejrzanego mężczyznę.

– Jasny gwint – stęknął Isaac i puścił się biegiem najszybciej, jak potrafił.

W oddali rozległy się chaotyczne krzyki kaktusów. Wkrótce umilkły, zdominowane przez rozkazujący ton któregoś z przytomniejszych dowódców. Kilku wojowników odłączyło się od grupy i popędziło w stronę Grimnebulina.

Nie byli zbyt szybcy, ale i on nie należał do sprinterów. Bez większego wysiłku dźwigali w ramionach ciężką broń.

Isaac jeszcze nigdy nie biegł tak szybko. – Jestem po waszej stronie, do cholery! – krzyknął niepotrzebnie, nie zwalniając kroku. Nikt nie usłyszał wołania, ale nawet gdyby było inaczej, to przerażeni, zaskoczeni i nadgorliwi żołnierze-kaktusy raczej nie zastanawialiby się nad jego słowami – zabiliby go bez chwili wahania.

Wojownicy wrzeszczeli przeraźliwie, przywołując inne patrole. Z sąsiednich ulic odpowiedziały im podobne krzyki.

Nagle z zaułka, do którego zmierzał Isaac, wystrzeliła długa strzała i z głośnym łomotem wbiła się w czyjeś ciało. Rozległo się głośne westchnienie i okrzyk bólu, a potem jeden z żołnierzy-kaktusów padł na bruk. Grimnebulin zaczynał już dostrzegać niewyraźne sylwetki w mroku uliczki. Pengefinchess wynurzyła się z cienia, ponownie naciągając cięciwę i krzykiem zachęcając uzonego do szybszego biegu. Zaraz po tym pokazał się Tansell, mierzący niepewnie z garłacza ponad głową kobiety. Wołał niezrozumiale, intensywnie wpatrując się w przestrzeń za plecami Isaaca.

Derkhan, Lemuel i Yagharek przykucnęli za nimi, gotowi do biegu. Garuda trzymał w pogotowiu zwinięty bicz.

Isaac z impetem wpadł w strefę ciemności.

– Gdzie Shad? – zawołał ponownie Tansell.

– Nie żyje! – odkrzyknął Isaac. Najemnik zawył rozpaczliwie. Pengefinchess nie odwróciła się w stronę Grimnebulina, ale jej ramiona podskoczyły tak gwałtownie, że omal nie zgubiła strzały. Opanowała się szybko i ponownie wymierzyła. Tansell tymczasem wypalił na oślep ponad jej głową. Garłacz zagrzmiał i zatrzęsł się niebezpiecznie, a chmura grubego śrutu przemknęła niegroźnie ponad oddziałem kaktusów.

– Nie! – krzyczał Tansell. – Na Jabbera, nie! – powtórzył, wpatrując się w Isaaca, jakby błagał, by ten przyznał, że to nieprawda.

– Przykro mi, bracie. Wiem, co czujesz, ale teraz musimy się stąd zabierać – odpowiedział stanowczo Grimnebulin.

– On ma rację, Tan – poparła go Pengefinchess głosem pełnym ponurej determinacji. Posłała w głąb ulicy następną strzałę, a sprężynowy mechanizm grotu wyszarpał z ciała kolejnego kaktusa solidny kawał mięsa. Stojąc nieruchomo, sięgnęła po trzeci pocisk. – Chodźmy, Tan. Nie myśl, tylko ruszaj się.

Rozległ się głośny świst i krążek chakri wystrzelony przez kogoś z żołnierzy wbił się w mur tuż obok głowy Tansella. Wdarł się głęboko w tkanę cegieł, wywołując bolesny deszcz ostrych odłamków.

Oddział kaktusów zbliżał się coraz szybciej. Ich twarze, wykrzywione wściekłością, były już doskonale widoczne.

Pengefinchess zaczęła się cofać, ciągnąc za sobą Tansella.

– Chodź! – krzyknęła. Tansell szedł za nią, mrużąc coś i jęcząc żałośnie. Upuścił na ziemię pistolet i zagiął kościste palce dłoni jak szpony.

Pengefinchess zaczęła biec, holując go za sobą. Inni ruszyli za nią, w głąb labiryntu uliczek, którymi dotarli w to miejsce.

Powietrze za ich plecami drżało od wirujących pocisków. Chakri i lekkie toporki przelatywały ze świstem nad głowami uciekinierów.

Pengefinchess biegła i przeskakiwała nad przeszkodami ze zdumiewającą szybkością. Od czasu do czasu odwracała się w pędzie i strzelała, prawie nie celując, by sekundę później znowu biec ile sił w nogach.

– Gdzie konstrukty? – krzyknęła do Isaaca.

– Rozpieprzone – wycharczał z wysiłkiem. – Wiesz, jak wrócić do kanałów?

Kobieta-vodyanoi skinęła głową i skręciła gwałtownie za najbliższym węglem. Pozostali skoczyli jej śladem. Gdy zagłębili się w wąską alejkę opodal studzienki ściekowej, którą weszli do Szklarni i którą mieli zamiar uciec, Tansell zatrzymał się nagle i odwrócił. Jego twarz, nabiegła krwią, była intensywnie czerwona. Biegnący w jego stronę Isaac zobaczył, jak w oku najemnika pękła cieniutka żyłka.

Strumyk krwi popłynął po policzku Tansella, ale on ani nie mrugnął, ani nie stał czerwonej smugi.

Pengefinchess zatrzymała się na końcu uliczki i zawołała, żeby nie był głupi i nie dał się zabić, ale mężczyzna zignorował ją całkowicie. Jego ręce i nogi drżały gwałtownie. Na uniesionych wysoko dłoniach Isaac spostrzegł potężne, nabrzmiałe żyły, tworzące pod skórą Tansella skomplikowaną mapę połączeń.

Najemnik zaczął iść w przeciwną stronę, ku zakrętowi, zza którego lada chwila miał wyłonić się pościg.

Pengefinchess krzyknęła po raz ostatni, a potem odbiła się mocno i przeskoczyła nad wałącą się ścianą, wołając, by pozostali szli za nią.

Isaac ruszył ku rumowisku cegieł, nie odrywając oczu od malejącej sylwetki Tansella.

Derkhan wspięła się po stercie gruzu i po chwili wahania przeskoczyła przez mur, na ukryte podwórze, gdzie vodyanoi siłowała się już z pokrywą studzienki ściekowej. Yagharek potrzebował niespełna dwóch sekund na sforsowanie przeszkody i wylądowanie po drugiej stronie. Isaac wdrapał się na wierzchołek muru i obejrzał się po raz ostatni. Lemuel biegł sprintem w jego stronę, nie zwracając uwagi na samotną sylwetkę Tansella, którą zostawił daleko za sobą.

Najemnik stał nieruchomo u wylotu zaułka, trzęsąc się z wysiłku, którego wymagało wzbudzenie taumaturgicznej mocy. Isaac dostrzegł wokół jego ciała hebanowe, skwierczące iskry czystej, negatywnej energii. Ładunki, które wydostawały się spod skóry najemnika i ginęły w powietrzu, były zupełnie czarne; płonęły ujemnym blaskiem, były przeciwieństwem światła.

Wojownicy wybiegli zza rogu budynku.

Ci, którzy znajdowali się na czele oddziału, zwolnili nagle, przestraszeni widokiem błyszczącej, podobnej do szkieletu postaci z haczykowato zagiętymi palcami, z których sączyła się z sykiem taumaturgiczna energia. Zanim jednak zdążyli zareagować, Tansell warknął groźnie i skwierczące, czarne błyskawice wytrysnęły w ich stronę wprost z jego ciała.

Wylądowania zdążyły przyjąć w powietrzu kształt piorunów kulistych, nim uderzyły w żołnierzy-kaktusów z pierwszego szeregu. Trafieni przelecieli kilka jardów i z jękiem wylądowali na bruku, otoczeni gęstą siatką czarnych błyskawic. Jeden znieruchomiał niemal natychmiast, pozostali wili się i krzyczeli z bólu.

Tansell uniósł ramiona wyżej, lecz w tej samej chwili naprzeciwko niego stanął rosły kaktus, który zza pleców zamachnął się potężnym berdyszem, szerokim łukiem wyprowadzając morderczy cios.

Ciężkie ostrze topora uderzyło w lewy bark taumaturga. Gdy tylko stał dotknęła skóry, przepłynął przez nią olbrzymi ładunek energii, która wciąż jeszcze wypełniała ciało Tansella. Porażony napastnik szarpnął się gwałtownie w tył, chlustając sokiem z rozsadanego wylądowaniem ramienia, ale siła jego uderzenia wprowadziła berdysz głęboko w korpus najemnika, rozcinając go od barku aż po mostek, z którego sterczała teraz długa, drżąca rękojeść.

Tansell zawył głośno jak uderzony pies. Czarne błyski wylądowań otoczyły długą ranę i buchającą z niej krew. Najemnik upadł na kolana, a potem na ziemię. Natychmiast otoczyli go ludzie-kaktusy, by kopniakami i pchnięciami ostrzy dobić konającego.

Isaac krzyknął rozpaczliwie i przysiadł na szczycie muru, gestem ponaglając Lemuela do szybszego biegu. Spojrzał na ciemne podwórze, gdzie Derkhan i Pengefinchess zdołały wreszcie zdjąć pokrywą studzienki, otwierając drogę ku względnemu bezpieczeństwu kanałów ściekowych.

Ludzie-kaktusy nie rezygnowali z pościgu. Kilku pozostało przy martwym już Tansellu, aby pastwić się nad jego ciałem, lecz większość biegła dalej, wymachując bronią w stronę Isaaca i Lemuela. W chwili kiedy pośrednik dotarł do muru, rozległ się krótki dźwięk strzału z kuszarpacza i wilgotne mlaśnięcie. Lemuel wrzasnął dziko i upadł.

Z jego kręgosłupa, tuż nad pośladkami, sterczał zębaty krążek chakri. Widać było srebrzyste, ostre brzegi pocisku, coraz bardziej skąpane we krwi.

Lemuel zadął głowę i spojrzał na Isaaca, jęcząc z bólu. Jego nogi drżały gwałtownie. Wymachiwał rękami, posyłając w powietrze fontanny ceglanego pyłu.

– Na Jabbera... Isaac! Pomóż mi, proszę cię! – krzyknął. – Moje nogi!... O bogowie... Moje nogi... – Lemuel zakaszłał i silny strumień krwi polał się z jego ust na brodę i piersi.

Isaac zamarł, bijąc się z myślami. Spojrzał w dół, w oczy Lemuela, przepelnione strachem i bólem, a potem na oddział kaktusów zbliżający się do ranego z triumfalnym wyciem. Mieli do pokonania dystans zaledwie trzydziestu stóp. Jeden z nich dostrzegł na murze Isaaca i zwolnił nieco, by oddać precyzyjny strzał w jego głowę.

Grimnebulin schylił się i przerzucił nogi na stronę ciasnego podwórka, gotów opuścić się na dół. Natychmiast poczuł smród fekaliów, rozchodzący się z otwartego wjazdu do podziemi.

Lemuel patrzył na niego z rosnącym niedowierzaniem.

– Pomóż mi! – wrzasnął. – Na Jabbera, kurwa mać, nie!... Nie odchodź, pomóż mi!...

Wymachiwał rękami jak małe dziecko w napadzie złości. Łamiąc paznokcie i zdzierając palce do krwi, próbował wdrapać się na mur, ciągnąc za sobą bezwładne nogi. Ludzie-kaktusy byli coraz bliżej. Isaac patrzył na to wszystko znad krawędzi ściany i wiedział, że nie może zrobić absolutnie nic, by odmienić los Lemuela. Że kolczaści żołnierze są tuż-tuż. Że rana i tak jest śmiertelna. Wiedział też, że bez względu na okoliczności, ostatnią myślą umierającego mężczyzny będzie myśl o zdradzie.

Opuszczając się za pleśniejący mur, słyszał przeraźliwy wrzask Lemuela, otoczonego już przez hordę rozjuszonych kaktusów.

– On nie ma z tym nic wspólnego! – ryknął z wściekłością i bólem. Pengefinchess zacisnęła zęby i zniknęła w studziencie ściekowej. – To nie jego wina! – ryczał Isaac, pragnąc tylko tego, by ucichło wreszcie wycie Lemuela. Derkhan podążyła śladem najemniczki. Jej twarz była blada jak płótno, a z rany po odciętym uchu znowu sączyła się krew. – Zostawcie go, wy kutasy, gnoje, wy głupie, kolczaste skurwysyny! – wrzeszczał Isaac, przekrzykując nie słabnący głos Lemuela. Yagharek zbliżył się w pośpiechu i pociągnął go za kostkę, gestem nakazując mu zejść do kanału i nerwowo klekocąc ptasim dziobem. – On wam pomaga!... – wył zdesperowany Grimnebulin, biegnąc przez podwórze.

Yagharek zniknął w czeluści kanału. Isaac wsunął się za nim w stalowy pierścień studzienki i przepchał swe tłuste ciało głębiej, by sięgnąć po pokrywę i zamknąć nią otwór.

Lemuel wciąż krzyczał z bólu i strachu, a jego głos słychać było i za murem. Równie głośne były triumfalne wrzaski kaktusów, którzy z lubością dręczyli ranego intruza.

„Zaraz skończą” – pomyślał Isaac, schodząc po metalowych stopniach. „Są wystraszeni i dezorientowani; nie bardzo wiedzą, co się dzieje. Wreszcie któryś z nich wystrzeli chakri czy kulę albo weźmie nóż i skończy z Lemuelem. Przecież nie

ma powodu, żeby trzymali go żywego; zabijają go, bo myślą, że jest po stronie tych bestii. Zrobią to, żeby w Szklarni zapanował porządek; nie są przecież specjalistami od tortur, chcą tylko wreszcie skończyć z tym, co tak ich przeraża... Zaraz będzie po wszystkim” – przekonywał sam siebie. „Już kończą...”

A jednak rozpaczliwe wycie Lemuela towarzyszyło mu przez cały czas, gdy domykał właz, schodził w dół i zanurzał się w ciepłym, cuchnącym nurcie fekaliów. Wlokąc się za towarzyszami, miał wrażenie, że słyszy głos umierającego między pluskami kropel spadających z łukowatego sklepienia i między mlaśnięciami mułu; przez całą drogę ponurymi kanałami, których sieć rozciągała się pod Szklarnią i resztą miasta niczym chory krwiobieg. Słyszał go i wtedy, gdy znikali w stosunkowo bezpiecznym mroku nocnego miasta.

Minęło wiele czasu, zanim w jego uszach umilkł głos Lemuela.

Nie wyobrażałem sobie, że przeżyję taką noc. Możemy tylko biec, wydając z siebie zwierzęce odgłosy i próbując uciec przed tym, co widzieliśmy. Strach, obrzydzenie i obce uczucia trzymają się nas mocno, krępują ruchy. Nie możemy się od nich uwolnić.

Wreszcie kierujemy się ku górze i wychodzimy z podziemi, by chyłkiem dotrzeć do naszej chaty przy torach. Drżymy nieustannie mimo gorąca i w milczeniu kiwamy głowami za każdym razem, gdy ścianami kryjówki wstrząśnie przejeżdżający pociąg. Patrzymy na siebie nieufnie.

Wszyscy, z wyjątkiem Isaaca, który nie patrzy na nic i na nikogo. Czy ja jeszcze śpiam? Czy ktoś w ogóle śpi? Są takie chwile, gdy odrętwienie jest silniejsze ode mnie, spowija moją głowę tak szczelnie, że przestaję widzieć i myśleć. Może te krótkie fugi, te urywane, złowrogie chwile są teraz moim snem? Snem w nowym mieście. Kto wie, czy powinniśmy jeszcze mieć nadzieję na lepsze wytchnienie.

Nikt się nie odzywa przez długi, długi czas.

Ta vodyanoi, Pengefinchess, zaczyna mówić pierwsza.

Najpierw powoli pomrukuje pod nosem, także trudno zrozumieć choćby jedno słowo. Siedzi pod ścianą z szeroko rozrzuconymi nogami. Głupia wodnica okręca się co chwilę wokół jej ciała, zwilżając skórę i ubranie.

Słuchamy opowieści o Shadrachu i Tansellu. Cała trójka spotkała się podczas jakiejś ponurej wyprawy, o której Pengefinchess nie chce mówić. Typowa, awanturnicza robota dla najemników w Tesh, Mieście Pełzającego Płynu. A potem już tylko uciekali razem przez siedem długich lat.

W zmurszałych ramach okien naszej szopy tkwią jeszcze ostre kawałki szkła. O świcie jarzą się w różowych promieniach słońca, kiedy Pengefinchess monotonnym głosem opowiada nam o swych martwych towarzyszach i o tym, jak razem kłusowali na sawannach Wormseye, kradli w Neovadanie i rabowali grobowce w lasach i na stepach Ragamoll.

Nigdy tak naprawdę nie byli jednością w trzech osobach, mówi nam Pengefinchess bez żalu czy urazy. Zawsze była ona, a obok nierozłączni Tansell i Shadrach, którzy znaleźli w sobie nawzajem spokój i żarliwe uczucie. Nigdy nie próbowała naruszać tego, co ich łączyło.

Tansell oszalał z rozpaczy, mówi vodyanoi, kiedy dowiedział się o losie Shadracha. To, co nastąpiło, było wybuchem bezmyślnej, instynktownej, taumatycznej rozpaczy. Gdyby jednak Tansell pozostał przy zdrowych zmysłach, przyznaje po chwili Pengefinchess, zapewne zrobiłby to samo.

Tak czy inaczej, najemniczka znowu jest sama.

Jej opowieść dobiegła końca. Teraz powinna paść czyjaś odpowiedź, jak w tajemniczej, rytualnej liturgii.

Kobieta ignoruje Isaaca, pogrążonego w rozpacz. Spogląda na Derkhan i na mnie.

Sprawiamy jej zawód.

Derkhan potrząsa głową, milcząca i przygnębiona.

Próbuję. Otwieram dziób, mając już w gardle historię mojej zbrodni i kary oraz długiej tułaczki. I niewiele brakuje, by wreszcie wydostała się na wolność przez szczelinę w mojej niewidzialnej skorupie.

Lecz dławię ją w sobie. Ta sprawa nie wiąże się z naszą sytuacją. Nie i będę mówił o niej tej nocy.

Historia Pengefinchess mówi o egoizmie i złodziejstwie, a jednak można opowiedzieć ją tak, by była godną mową pożegnalną dla Shadracha i Tansella. Moja historia o egoizmie i wygnaniu nie poddaje się transmutacji. Nie może być niczym innym niż prostą opowieścią o podstawowych wartościach. Milczę więc.

Ale gdy już chcemy wyrzec się słów i zostawić sprawy ich własnemu biegowi, Isaac unosi znużoną głowę i przemawia.

Najpierw domaga się jedzenia i wody, których przecież nie mamy. Jego oczy zwężają się powoli i po chwili zaczyna mówić jak świadoma istota. Z gasnącym żalem opowiada nam o śmierciach, których był świadkiem.

Mówi o Tkaczu, tańczącym szalonym bogu, i o jego walce z ómami. O spalonych jajach i o dziwacznych, śpiewnych deklamacjach naszego nieprawdopodobnego i niegodnego zaufania sprzymierzeńca. W chłodnych i jasnych słowach opowiada o tym, czym stała się Rada Konstruktorów, jakie są jej cele i czym mogłaby się stać. (Pengefinchess z trudem przełyka ślinę i wybałusza swe i tak wytłupiałe oczy, słuchając o dokonaniach konstruktorów porzuconych na przemysłowym wysypisku).

Im więcej Isaac mówi, tym więcej chce mówić. Opowiada o planach i jego głos nagle twardnieje. Coś się w nim skończyło, jakieś oczekiwanie, miękka cierpliwość przestała w nim istnieć wraz ze śmiercią Lin i teraz została pogrzebana. Czuję się tak twardy, jakbym był z kamienia, kiedy tego słucham. Jego słowa inspirują mnie, dają siłę i cel, do którego warto dążyć.

Opowiada o zdradach i kontrzdradach, o matematyce, o kłamstwach i o taumaturgii, a także o złych snach i skrzydlatych istotach. Wyjaśnia teorie. Mówi o lataniu, o czymś, o czym prawie zapomniałem, a czego tak bardzo pożądam. Teraz, kiedy o tym wspomina, czuję, że pragnę tego całym sobą.

Słońce wspina się na wierzchołek nieba jak spocony tragarz, a my, niedobitki, czyścimy broń i wymieniamy uwagi.

Znajdując w sobie rezerwę sił, której istnienia nawet nie podejrzewaliśmy – choć nawet zdumienie w tej sprawie odczuwam jak przez mgłę – zaczynamy snuć plany. Zwijam bicz jak najciaśniej wokół ramienia i ostrzę nóż. Derkhan czyści pistolety, półgłosem rozmawiając z Isaakiem. Pengefinchess znowu siada pod ścianą, potrząsając głową. Ostrzega nas, że wkrótce odejdzie. Teraz już nic jej tu nie trzyma. Prześpi się trochę i pożegnamy się, mówi spokojnie.

Isaac wzrusza ramionami. Wygrzebuje spod sterty śmieci w kącie części niedużej maszyny, jakieś zawory. Spod brudnej koszuli wyciąga arkusze notatek-przepocone, usmarowane, ledwie czytelne.

Zaczynamy pracę; Isaac ma więcej energii niż ktokolwiek z nas. Zapisuje coś gorączkowo.

Po godzinach sapania, pomrukiwania i zapewnień o rychłym przełomie wreszcie podnosi głowę. Mówi, że nie zdołamy tego zrobić. Potrzebne nam ognisko, punkt skupienia.

Mija godzina lub dwie i Isaac znowu podnosi głowę.

Mówi, że możemy i musimy to zrobić, ale i tak potrzebujemy punktu skupienia.

Tłumaczy nam, jak i dlaczego.

Zapada cisza, a potem dyskutujemy. Szybko. Niespokojnie. Proponujemy kandydatów i odrzucamy ich kolejno. Zmieniamy kryteria. Czy lepszy będzie skazany na zagładę czy znieprawiony? Znieprawiony czy podły? Jak mamy to osądzić?

Nasza moralność podnosi bunt.

Lecz minęło już pół dnia i pora dokonać wyboru.

Derkhan przygotowuje się do wyjścia; stanowczo zaciska szczękę, ale widać, że przepełniają ją żal. To jej przypało w udziale to ohydne zadanie.

Zabiera ze sobą resztę pieniędzy – wszystko, co mamy, włącznie z ostatnimi grudkami mojego złota. Zdziera z siebie parę warstw brudu z kanałów, zmieniając nieznacznie swój wygląd. Będzie nierzucającym się w oczy włóczęgą. Tak będzie jej łatwiej polować na to, czego potrzebujemy.

Zaczyna się ściemniać, a Isaac wciąż pracuje. Cyfry niekończących się równań wypełniają ciasno każdy cal nielicznych kartek papieru, które ma do dyspozycji.

Gęste promienie słońca rozjaśniają od dołu brudną chmurę. Niebo odbarwia się powoli; nadchodzi zmierzch.

Nie boimy się snów, które przyniesie nam ta noc.

CZĘŚĆ SIÓDMA. KRYZYS

ROZDZIAŁ 46

Uliczne latarnie zgasły w całym mieście i nad Egzemą pojawiło się słońce. Jego blask wydobył z mroku kształt małej łódki, nie większej niż najprostsza tratwa z desek, kołyszącej się na zimnych i ciemnych falach.

Był to jeden z wielu wodnych pojazdów tego typu, zaśmiecających bliźniacze rzeki Nowego Crobuzon. Pozostawione przez właścicieli w nadziei, że zgniją i zatoną, martwe ciała starych łodzi pływały z prądem, zahaczając o ciche, zapomniane zatoczki. Było ich mnóstwo, a nędzarze, przetrząsający każdego dnia przybrzeżne płycizny, chętnie podpływali do nich i wspinali się po zerwanych cumach na pokład, by szukać czegoś cennego. Kilka ledwie pływających jednostek cieszyło się jednak złą sławą; mówiono, że gnieźdzą się na nich potwory albo, że są kryjówką topielców, którzy nawet po śmierci nie mogą pogodzić się z tym, że ich ciała miałyby gnić w głębinach.

Miniaturowa barka, która unosiła się o świcie na falach Egzemy, kryta była bardzo starym, sztywnym płótnem, śmierdzącym olejem, pleśnią i smarem. Ciemne drewno kadłuba było nasiąknięte wodą do granic możliwości.

W cieniu, pod starą plandeką, leżał Isaac. Nagi i zupełnie nieruchomy, przyglądał się wartko płynącym po niebie chmurom.

Leżał tak już od dłuższego czasu. Wraz z Yagharkiem dotarł na brzeg rzeki po trwającej niemal godzinę przeprawie przez niespokojne miasto, znajomymi ulicami Brock Marsh i Gidd, pod wiaduktami kolejowymi i z dala od wież milicji, ku południowym krańcom Canker Wedge. Niespełna dwie mile od centrum miasta rozciągał się zupełnie inny świat. Wąskie i ciche uliczki ginęły wśród skromnych

domów, niewielkich parków, mało gustownych kościółków i budynków urzędów o przesadnie zdobionych fasadach, tworzących w sumie przedziwną mieszankę stylów.

Przytulną i spokojną dzielnicę przecinało kilka szerokich alej. Nie mogły się równać z imponującymi arteriami w Aspic, wysadzanych figowcami, czy traktami w Ketch Heath, takimi jak ozdobiona prastarymi sosnami Rue Conifer. W Canker Wedge nie brakowało za to pokręconych dębów i dorodnych ciemnodrzew, które dobrze maskowały niedoskonałości architektury. Isaac i Yagharek – który znowu owinął szpony grubymi bandażami, a głowę ukrył pod kapturem świeżo ukradzionego płaszcza – dziękowali bogom za liściasty baldachim, który użyczał im cienia w drodze nad rzekę.

Nad brzegami Egzemy było niewiele fabryk. Ciężki przemysł, warsztaty, magazyny i doki ulokowano w większości nad nieco wolniej płynącą Smołą oraz nad Wielką Smołą, którą tworzyły łączące się rzeki. Dopiero ostatnia mila samodzielnego nurtu Egzemy, na wysokości Brock Marsh, skąd wypływały co dnia ścieki z tysiąca laboratoriów, była poważnie zanieczyszczona.

W północnej części miasta, w dzielnicach Gidd i Rim, a także tu, w Canker Wedge, mieszkańcy mogli spokojnie pływać łódkami po rzece dla czystej przyjemności, co było wręcz nie do pomyślenia w dolnym biegu Egzemy czy Smoły. To dlatego Isaac wybrał właśnie tę okolicę, cichą i spokojną, na miejsce wypełnienia instrukcji Tkacza.

Znalazł zapomnianą alejkę na tyłach dwóch rzędów domów, opadającą łagodnie ku wirującej i falującej wodzie. Nietrudno było wyszukać porzuconą łódź, choć znajdowało się ich tu znacznie mniej niż w przemysłowych dzielnicach miasta.

Pozostawiwszy Yagharka na brzegu, by stał na straży jak nieruchomy, półżywy włóczęga, Isaac zszedł na brzeg. Od wody dzielił go pas trawy i mułu. Nie zatrzymując się, zdjął i wsadził pod pachę ubranie. Kiedy stanął nago w wodzie, świat rozpraszał już ostatnie resztki nocy.

Bez chwili wahania sprężył się i wszedł do wody.

Zimna i krótka podróż do niesionej nurtem łódki nie trwała długo. Sprawiała mu niemałą przyjemność: czarna woda zmyła z niego brud kanałów ściekowych i wielu dni wysiłku. Ubranie ciągnął za sobą, mając nadzieję, że prąd rzeki oczyści je choć trochę.

Wspiął się na pokład łodzi i położył się na dnie. Schnąc, czuł przyjemne swędzenie skóry. Yagharek zniknął mu z oczu za burtą, czujny i nieruchomy. Isaac rozłożył ubranie wokół siebie i zaciągnął nieco brudny brezent, by spoczywać w cieniu.

Patrzył, jak na wschodzie pojawia się światło dnia, i drżał lekko, gdy chłodny wiatr przyprawiał go o gęsią skórkę.

– Oto jestem – mruknął. – „Nagi jak nieboszczyk o świcie nad rzeką”. Tak jak sobie życzyłeś.

Nie wiedział, czy senna przepowiednia Tkacza, którą usłyszał owej fatalnej nocy w Szklarni, rzeczywiście była zaproszeniem. Sądził jednak, że jeśli potraktuje ją tak, jakby była zaproszeniem, to stanie się nim. Liczył na to, że jego zachowanie wpasuje się dobrze w strukturę sieci świata, a tym samym sprawi przyjemność wielkiemu pajakowi.

Musiał się z nim zobaczyć. Potrzebował pomocy Tkacza.

Mniej więcej w połowie poprzedniej nocy Isaac i jego towarzysze zdali sobie sprawę, że niepokój dławiący miasto nocnymi koszmarami powrócił z większą siłą.

Tkacz zaatakował nieskutecznie, dokładnie tak, jak sam to przewidział. Ómy nadal żyły.

Isaac pomyślał, że teraz jego smak jest już znany bestiom i że będą go kojarzyć z barbarzyńskim unicestwieniem ich jaj. Dotarło do niego, że chyba powinien umierać ze strachu, ale lęk jakoś nie przychodził. Ómy nie zaatakowały też wątlej szopy przy torach.

„Może to one się mnie boją?” – pomyślał.

Dryfował po rzece przez godzinę, słuchając dalekich odgłosów miasta.

Z zadumy wyrwał go cichy bulgot.

Podniósł się na łokciu i natychmiast wróciwszy myślą do bardziej naglących spraw, wychylił się za burtę.

Yagharek był jeszcze widoczny. Jego szczupła, nieruchoma postać rysowała się na tle dalekiego brzegu. Garuda siedział na trawie, nie zwracając najmniejszej uwagi na przechodniów, którzy omijali go z daleka, widząc i czując, jak brudna jest jego odzież.

W pobliżu łodzi pojawiły się w wodzie bąble powietrza. Pędziły z głębin ku powierzchni, by wywołać na niej okrągłe zmarszczki o średnicy co najwyżej trzech stóp. Isaac patrzył na nie szeroko otwartymi oczami, ponieważ były nie tylko okrągłe, ale i skończone: rozchodziły się nie dalej niż do granicy trzech stóp, po czym wygładzały się niespodziewanie, przepadając bez śladu.

Zaczął cofać się do łodzi, gdy w ciemnej, płynącej wodzie pojawiła się czarna krzywizna, a po chwili rzeka rozstała się wokół wypukłego cielska, chlapiąc obficie w promieniu trzech stóp.

Isaac spoglądał prosto w oczy Tkacza.

Cofnął się odruchowo, czując przyspieszone bicie serca. Tkacz wpatrywał się w niego beznamiętnie. Głowę miał zadartą ku górze, tak że tylko jej część wystawała ponad wodę, w głębinie zaś pozostało jego krągłe cielsko.

Pająk pomrukiwał niewyraźnie, a echo jego słów odzywało się gdzieś pod czaszką Isaaca.

...ZNAKOMICIE DOSKONALE NAGI JAK TRUP JAK PROSIŁEM MÓJ MAŁY CZWORONOGI TKACZU KTÓRYM MÓGŁBYŚ BYĆ... mówił, ani na chwilę nie przerywając monologu...RZEKA I ŚWIT WIĘC ŚWITA MI TAKA MYŚL ŻE NAGI MUSI POJAWIĆ SIĘ NA WODZIE...

Tkacz gadał coraz ciszej, a kiedy jego słowa przestały być zrozumiałe, Isaac odważył się przemówić.

– Cieszę się, że cię widzę, Tkaczu – rzekł w miarę spokojnie. – Pamiętałem, że byliśmy umówieni – dodał i wziął głęboki wdech. – Musimy porozmawiać. – Śpiewne pomruki pająka nasiliły się nieco. Isaac starał się zrozumieć, przetłumaczyć jakoś tę piękną paplaninę, wydobyć jej sens, a potem nawiązać do niej, przedstawiając swoją sprawę.

Czuł się tak, jakby prowadził dialog ze śpiącym lub szaleńcem. Było to zadanie trudne, wyczerpujące, ale możliwe do wykonania.

Yagharek usłyszał ciche rozmowy dzieci idących do szkoły. Szły ścieżką wydeptaną w nadbrzeżnej trawie, dość daleko za jego plecami.

Zerknął na przeciwny brzeg, gdzie na łagodnym stoku widać było drzewa i szerokie, jasne ulice Flag Hill. I tam rosła trawa, lecz nie było ani ścieżki, ani dzieci. Nie było niczego poza cichymi domami.

Yagharek podciągnął kolana pod brodę i szczelniej otulił się płaszczem. Łódka Isaaca, która unosiła się na wodzie w odległości czterdziestu stóp, była nienaturalnie nieruchoma. Kilka minut wcześniej głowa uczonego pojawiła się nad burtą i wciąż trwała w tej pozycji, odwrócona potylicą w stronę garudy. Wyglądało na to, że Isaac wpatruje się uparcie w jakieś miejsce na powierzchni rzeki.

„Na pewno zobaczył Tkacza” – pomyślał nagle Yagharek i poczuł radosne podniecenie.

Wyteżył słuch, starając się wychwycić choć kilka słów, ale wiatr nie przyniósł żadnego. Słyszał jedynie plusk fal i głosy dzieci idących do szkoły – co chwila któreś z nich zaczynało płakać po krótkiej kłótni.

Czas płynął, a słońce zdawało się stać w miejscu. Pochód uczniów w różnym wieku nie zatrzymywał się ani na chwilę. Yagharek obserwował Isaaca prowadzącego niezrozumiałą dysputę z niewidzialnym pajakiem ukrytym w nurcie rzeki, i cierpliwie czekał.

I wreszcie, gdy pora świtu dawno już minęła – ale z pewnością było to przed siódmą rano – Isaac odwrócił się z ożywieniem, zebrał swoje rzeczy i niczym niezgrabny, przerośnięty szczur wodny wśliznął się w fale Egzemy.

Anemiczne światło poranka załamywało się na powierzchni rzeki, kiedy Grimnebulin stawał na płyciźnie i wychodził na brzeg. W groteskowym tańcu włożył ubranie i przebrnął przez warstwę mułu, a potem przez wybujałe trawy i krzaki.

Sapiąc z wysiłku, usiadł ciężko obok Yagharka.

Uczniowie idący ścieżką nie przestawali szeptać i chichotać.

– Myślę... myślę, że przyjdzie – wystękał zmęczony Isaac. – Chyba zrozumiał.

*

Było po ósmej, gdy dotarli z powrotem do zrujnowanej szopy przy torach. Powietrze w jej wnętrzu było nieruchome, gorące i gęste od unoszących się leniwie cząstek kurzu. Tam, gdzie promienie słońca przedzierały się przez dziury w ścianach, barwy drewna i śmieci wyścielających polepę były bardziej jaskrawe.

Derkhan jeszcze nie wróciła. Pengefinchess spała w kącie – lub udawała, że śpi.

Isaac zebrał najważniejsze części swej maszyny – rury, zawory, silniki, ogniwa i transformatory – do brudnego worka. Wyciągnął też notatki i przejrzał pobieżnie, sprawdzając, czy nie brakuje żadnej kartki, po czym wetknął je na powrót za koszulę. Pospiesznie nabazgrał kilka słów do Derkhan i Pengefinchess. Wspólnie z Yagharkiem sprawdzili broń i przeliczyli skromne zapasy amunicji. Kiedy przegląd dobiegł końca, Isaac wychylił się przez wybite okno, by spojrzeć w dół, na miasto budzące się z niespokojnego snu.

Musieli być ostrożni. Słońce przypiekało już mocno i wszędzie zapanowała niebezpieczna jasność. Każdy napotkany człowiek mógł być milicjantem, a każdy milicjant z pewnością widział heliotypy poszukiwanych. Kiedy opatulili się szczelnie płaszczami, Isaac przypomniał sobie o czymś. Poprosił Yagharka o nóż i po chwili wahania ogolił się. Ostra jak brzytwa klinga zatrzymywała się co chwila na brodawkach i nierównościach szczęki, które dawno temu stały się przyczyną zapuszczenia brody. Grimnebulin działał szybko i bezlitośnie, nie zważając na ból i krople krwi, które raz po raz pojawiały się na skórze. Po chwili był już gotowy –

pozbawiony wąsów i brody, choć tu i ówdzie pozostały kępki krótkiego zarostu oraz niezbyt głębokie, krwawiące nacięcia.

Wyglądał fatalnie, ale z całą pewnością inaczej. Stając na progu w świetle poranka, niepewnie dotykał palcami prawie zapomnianej linii szczęki.

*

O dziewiątej, po długich minutach skradania się, nonszalanckiego mijania straganów i kłócących się przechodniów oraz przeciskania się skrótami wszędzie tam, gdzie było to możliwe, dwaj uciekinierzy znaleźli się na wysypisku numer dwa w Griss Twist. Upał był nieznośny w całym mieście, ale dopiero tu, w kanionach porzuconego metalu, Isaac poczuł swędzenie podbródka, po którym spływały krople potu.

Zagłębili się w labirynt, kierując się w stronę jego serca: kryjówki Rady Konstruktorów.

*

– Nic – warknął Bentham Rudgutter, bezsilnie zaciskając pięści na blacie masywnego biurka. – Już dwie noce przeczesujemy niebo sterowcami i nic. Absolutnie nic. Co rano znajdujemy nowe ciała, a nocne patrole nic nie widziały i nic nie słyszały. Rescue nie żyje, ani śladu Grimnebulina, ani śladu Blueday... – Burmistrz uniósł głowę i spojrzał przekrwionymi oczami na Stem-Fulcher, która spokojnie ćmiła fajeczkę, siedząc po przeciwnej stronie biurka. – Nie jest dobrze – podsumował.

Kobieta z namysłem skinęła głową.

– Dwie sprawy – powiedziała wolno. – To jasne, że potrzebujemy specjalnie przeszkolonych żołnierzy. Mówiłam już panu o ludziach Motleya. – Rudgutter kiwnął głową, nie przestając rozcierać oczu. – Bez trudu możemy im dorównać. Nie widzę problemu; wystarczy nakazać fabrykom karnym stworzenie oddziału wyspecjalizowanych prze-tworzonych, z lusterkami i bronią skierowaną w tył, ale na to potrzeba czasu. Należy ich przecież wyszkolić, a to wymagałoby trzech, może czterech miesięcy pracy. Tymczasemśmy nie próżnowałyby, trzebiąc naszych obywateli, rosnąc w siłę. Dlatego musimy raczej pomyśleć o strategii utrzymania kontroli nad miastem. Weźmy na przykład kwestię godziny policyjnej. Wiemy, żeśmy potrafimy wdzierać się do domów, ale większość ich ofiar to ludzie znaleźieni na ulicy. Poza tym trzeba jakoś ukrócić spekulacje w prasie na temat tego, co się rzekomo dzieje. Barbile nie była jedynym naukowcem zatrudnionym przy tym projekcie. Musimy powstrzymać niebezpieczne przecieki informacji, najlepiej aresztując na jakiś czas badaczy, którzy pracowali przy ćmach. – Stem-Fulcher mówiła dalej. – Teraz, kiedy połowa sił milicyjnych zaangażowana jest w ściganie bestii, nie możemy pozwolić sobie na nowy strajk w dokach czy podobny przejaw nieposłuszeństwa obywatelskiego. Każda manifestacja może być teraz zagrożeniem dla władz miasta. Musimy skończyć z nieracjonalnymi żądaniami mniejszości, jesteśmy to winni

Nowemu Crobuzon. Moim zdaniem, panie burmistrzu, mamy do czynienia z najpoważniejszym kryzysem od czasu Wojen Pirackich. Sądzę, że pora wprowadzić rządy silnej ręki. Potrzebne nam nadzwyczajne uprawnienia. Potrzebny nam stan wyjątkowy.

Rudgutter zacisnął usta i zamyślił się.

*

– Grimnebulin – odezwał się awatar. Rada pozostała niewidoczna; leżąc na hałdach śmieci, nie odróżniała się niczym od bezużytecznych odpadów. Kabel, który wystawał z głowy nagiego trupa, zniknął gdzieś na ziemi, pod stertą ścinków żelaznej blachy i gruzu. Awatar śmierdział coraz mocniej, a na jego bladej skórze wykwitły plamy szarej pleśni. – Grimnebulin – powtórzył z wysiłkiem swym niepewnym, rozedrganym głosem. – Nie wróciłeś na czas. Maszyna kryzysowa, którą mi zostawiłeś, jest niekompletna. I gdzie są ja, które zabrałeś ze sobą do Szklarni? Ostatniej nocy ćmy znowu latały nad miastem. Wasza misja się nie powiodła? Isaac uniósł ręce, by przerwać ciąg pytań.

– Przestań – powiedział. – Zaraz wszystko wyjaśnię.

Isaac wiedział, że podejrzewanie Rady Konstruktorów o jakiegokolwiek ludzkie uczucia byłoby błędem. Kiedy opowiadał historię fatalnej nocy w szklanym getcie kaktusów – owej nocy jakże połowicznego zwycięstwa za straszliwą cenę – miał świadomość, iż to nie gniew czy smutek wywołują niespodziewane drżenie ciała i groteskowe wykrzywienie twarzy awatara.

Rada Konstruktorów była świadomą maszyną, ale nie miała uczuć. Przystawiała nowe dane i nie czyniła nic ponad to. Nie oceniała informacji, ale obliczała możliwości.

Grimnebulin opowiedział o zniszczeniu konstruktorów-małych, wywołując tym szczególnie gwałtowne wstrząsy martwego ciała, ale był to jedynie uboczny skutek wzmożonego przepływu danych między pustym czerepem awatara a ukrytymi maszynami analitycznymi Rady. Konstruktor-olbrzym wiedział, że wobec braku informacji, które zgromadziły w sobie jego małe wcielenia, musi polegać wyłącznie na raporcie Isaaca.

Podobnie jak poprzednim razem, uczoney spostrzegł w oddali sylwetkę ludzką kryjącą się gdzieś w głębi wysypiska, ale znikła mu z oczu, nim zdążył przyjrzeć się jej dokładnie.

Isaac długo mówił o interwencji Tkacza, a potem zaczął wyluszczać Radzie swój plan. Inteligentny konstruktor w lot pojął jego zamiary.

Awatar kiwał głową, a Grimnebulin miał wrażenie, że ziemia drży minimalnie, jakby gigantyczne ciało Rady Konstruktorów zaczynało podnosić się z ziemi.

– Rozumiesz, czego od ciebie oczekuję? – spytał na koniec.

– Oczywiście – odparła Rada ustami trzęsącego się awatara. – Czy będę bezpośrednio podłączony do twojej maszyny kryzysowej?

– Tak. Tylko pod tym warunkiem mój plan ma szansę powodzenia. Kiedy zostawiałem maszynę pod twoją opieką, zapomniałem o kilku ważnych elementach, to dlatego wydała ci się niekompletna. Dobrze się złożyło, że przypadkiem zostawiłem je w szopie, bo kiedy na nie spojrzałem, przyszedł mi do głowy pomysł, a zaraz potem miałem gotowy ten plan. Niestety, do jego realizacji będzie mi potrzebna

twoja pomoc. Musimy mieć pewność, że obliczenia będą absolutnie precyzyjnie. Zabrałem maszynę liczącą z mojego laboratorium, ale nie jest to najlepszy model. Ty, Rado, jesteś siecią najbardziej zaawansowanych technicznie maszyn obliczeniowych, prawda? Będziesz więc moim rachmistrzem. Popracujesz nad paroma skomplikowanymi funkcjami i wybijesz potrzebne mi karty perforowane. Warunek jest jeden: muszą być doskonałe. Nie ma mowy o najmniejszym nawet błędzie. Zgoda?

– Pokaż mi dane – odparł krótko awatar.

Isaac wyciągnął zza pazuchy dwie kartki papieru. Zbliżył się do bladego trupa, trzymając je w wyciągniętej ręce. W otoczeniu oparów zużytych olejów, środków chemicznych i rozgrzewającego się w słońcu metalu organiczny smród rozkładającego się ciała awatara był wręcz szokujący. Isaac z odrazą zmarszczył nos, ale przemógł się i stanął ramieniem w ramię z zapleśniałymi, sztucznie ożywionymi zwłokami i wyjaśnił im zawłości wyprowadzonych wcześniej wzorów.

– Na tej stronie masz kilka równań, których nie umiem rozwiązać. Odczytasz je? Doskonale. Dotyczą modelu matematycznego wszelkiej aktywności psychicznej. Druga strona jest trudniejsza. To charakterystyka kart perforowanych, które będą mi potrzebne. Próbowałem wyłożyć każdą z funkcji tak precyzyjnie, jak tylko umiałem... Tutaj masz na przykład... – ciągnął, wskazując grubym palcem na linię skomplikowanych symboli logicznych -...instrukcję: „Pobierz dane z wejścia numer jeden i modeluj je”. Następnie, jak widzisz, to samo żądanie dla wejścia numer dwa... a potem naprawdę skomplikowane sprawy: „Porównuj dane pierwszego rzędu”. Potem następują funkcje budujące i modyfikujące. Rozumiesz to wszystko? – spytał, odsuwając się o krok. – Jesteś w stanie zrobić dla mnie te obliczenia?

Awatar wpatrywał się w dane, trzymając kartkę w wyprostowanych rękach. Jego oczy poruszały się płynnie od lewej do prawej, sprawnie skanując treść. Kiedy skończył, jego ciało podskoczyło gwałtownie i strumień informacji popłynął do ukrytego mózgu Rady Konstruktorów.

Przez moment nic się nie działo, a potem awatar odezwał się matowym głosem:

– Mogę to zrobić.

Isaac uśmiechnął się triumfalnie i skinął głową.

– Wyniki potrzebne będą... natychmiast. Najszybciej, jak się da. Mogę zaczekać. Uporasz się z tym niedługo?

– Spróbuję. A kiedy zapadnie wieczór iśmy powrócą, uruchomisz zasilanie i podłączysz mnie. Podłączysz mnie do swojej maszyny kryzysowej.

Isaac kiwnął głową.

Przez chwilę gmerał palcami w kieszeni i wreszcie wy dobył z niej jeszcze jedną kartkę, którą podał awatarowi.

– Oto spis rzeczy, które będą nam potrzebne – wyjaśnił. – Na pewno znajdziesz je gdzieś tu, na wysypisku albo zorganizujesz w inny sposób. Masz zapewne jeszcze... jeszcze kilku sprytnych siebie, którzy mogliby poszukać dla nas tych elementów? Przydałoby się parę hełmów, takich jakich używają łącznicy, do tego kilka akumulatorów, mały generator i inne drobiazgi. Oczywiście wszystko to potrzebne jest natychmiast. Ale najważniejszy jest kabel, gruby kabel przewodzący energię i elektryczną, i taumatyczną. Musimy mieć dwie i pół, może nawet trzy mile takiego kabla. Oczywiście niekoniecznie w jednym kawałku, mogą być krótkie odcinki, jeśli tylko łatwo będzie połączyć je w całość. Dopiero wtedy będziemy mogli sprząć cię z naszym... z naszym ogniskiem skupiającym. – Głos Isaaca załamał się nieco przy ostatnich słowach, a jego rysy stwardniały. – Kabel musi być gotowy dziś przed wieczorem, mniej więcej o szóstej. – Grimnebulin zapanował nad sobą. Znowu

przemawiał beznamiętnym tonem, patrząc w oczy awatara. – Jest nas tylko czworo, a na jednej z kobiet raczej nie mogę polegać – ciągnął. – Czy mógłbyś skontaktować się ze swoją... kongregacją? – Nieboszczyk wolno skinął głową, oczekując dalszych wyjaśnień. – Potrzebni nam będą ludzie do połączenia wszystkich tych kabli na ulicach miasta. – Isaac wyszarpnął listę z rąk awatara i zaczął szkicować ołówkiem na jej odwrocie. Nakreślił nieforemne „Y” symbolizujące połączenie dwóch rzek, obok zaznaczył krzyżykami miejsca w Griss Twist i Crow, a następnie dodał uproszczone granice Brock Marsh i Spit Hearth. Połączył dwa krzyżyki szybkim pociągnięciem ręki i spojrzał na trupa. – Musisz jak najszybciej zebrać swoją kongregację. Niech twoi ludzie staną na stanowiskach z gotowym kablem o szóstej po południu.

– Dlaczego nie chcesz przeprowadzić całej operacji tutaj, na wysypisku? – zapytał awatar.

Isaac wolno pokręcił głową.

– Nic z tego. To peryferia. Musimy przepuścić strumień energii przez centralny punkt, przez ognisko tego miasta, tam gdzie zbiegają się wszystkie linie i drogi.

Musimy wykorzystać Dworzec Perdido.

ROZDZIAŁ 47

Dźwigając pękaty worek pełen przemysłowych odpadów wyszukanych na śmietniku, Isaac i Yagharek kluczyli najpierw spokojnymi uliczkami Griss Twist, a potem wspinali się wyszczerbionymi schodami ku skarpie, którą przecinała linia kolejowa Sud. Niczym miejscy żebracy, odziani niestosownie do pory roku, z wysiłkiem brnęli przez krajobraz Nowego Crobuzon ku walącej się szopie przy torach. Odczekali, aż minie ich z hukiem i piskiem rozpędzony pociąg, walący w niebo słupem dymu z potężnego komina lokomotywy, i dopiero wtedy odważyli się przekroczyć linię szyn.

Dochodziło południe i powietrze spowijało ich jak rozgrzany nad parą okład.

Gdy stanęli przed chatą, Isaac położył na ziemi swój koniec worka i pociągnął za haczyk rozklekotanych drzwi. W tym samym momencie Derkhan pchnęła skrzydło od środka. Wymknęła się na zewnątrz i stanęła przed przybyłymi, przymykając za sobą drzwi. Isaac zerknął do środka i zobaczył, że w ciemnym kącie stoi niewyraźna postać.

– Znalazłam kogoś, Zaac – szepnęła kobieta. Głos miała drżący, a oczy nabiegłe krwią. Wyglądała tak, jakby po jej brudnej twarzy lada chwila miały potoczyć się łzy. Niezgrabnym gestem wskazała za siebie, na skąpo oświetloną izbę. – Czekaliśmy na was.

*

Isaac miał spotkanie z Radą, Yagharek wzbudzał raczej respekt i niepewność w tych, z którymi stykał się po raz pierwszy, a Pengefinchess nie chciała się angażować, toteż kilka godzin wcześniej to właśnie Derkhan musiała wybrać się do miasta z najbardziej ponurą, ohydną misją.

Z początku, kiedy opuściwszy szopę, przemykała ciemnymi jeszcze uliczkami miasta, płakała ukradkiem, by dać jakiś upust przygnębieniu, które ogarniało ją na myśl o tym, co miała zrobić. Uniosła wysoko barki i pochyliła głowę, by ukryć twarz i

zmienić swoją sylwetkę. Wiedziała, że wielu spośród ludzi, którzy podobnie jak ona kręcili się po mrocznych zaułkach, to zakamuflowani funkcjonariusze milicji. Napięcie i zmęczenie wywołane nocnymi koszmarami nie poprawiało jej nastroju.

Kiedy wzeszło słońce i noc pomału ściekła do rynsztoków, poczuła się nieco raźniej. Szła szybciej, jakby do tej pory gęsta materia ciemności krępowała jej ruchy.

Zadanie wydawało jej się nie mniej potworne niż przedtem, ale świadomość wyższej konieczności i upływu cennego czasu sprawiła, że przepelniająca ją odraza skarłała i uciekła w głąb umysłu. Derkhan wiedziała, że nie może zwlekać.

Miała przed sobą długą drogę. Zmierzała w stronę hospicjum w Syriac Weil, zatem czekała ją co najmniej czteromilowa wędrówka przez wąskie ulice slumsów, między rozpadającymi się domami biedoty. Nie odważyła się skorzystać z taksówki, bojąc się zdemaskowania przez agentów milicji, których wielu było wśród kierowców i woźniców. Szła więc najszybciej, jak umiała, trzymając się cienia rzucanego przez smukłe wiadukty linii Sud. Im bardziej żelazna droga oddalała się od serca miasta, tym wyżej nad dachami piętrzyły się jej murowane podpory. Nad płaską zabudową Syriac kolumny cegieł sprawiały wrażenie niebosiężnych łuków.

W pobliżu Dworca Syriac Rising Derkhan oddaliła się od torów i weszła w gąszcz zaułków wypełniających południową stronę zakola Wielkiej Smoły.

Słuchając nawoływań straganiarzy, łatwo było trafić na Tincture Prom, szeroką i brudną ulicę łączącą Syriac, Pelorus i Syriac Weil. Droga skręcała wraz z korytem rzeki jak nieprecyzyjne echo, zmieniając nazwę jeszcze dwukrotnie – najpierw na Wynion Way, a później, w Dog Fenn, na Silverback Street.

Derkhan mijała obojętnie kłócących się handlarzy, dwukołowe wozy i nadspodziewanie odporne, od lat walące się domy. Przemierzała długi szlak straganów niczym myśliwy tropiący zwierzynę, uparcie kierując się na północny wschód. I wreszcie tam, gdzie ulica odbijała gwałtownie na północ, zebrała w sobie odwagę i skręciła w prawo, w głąb Syriac Weil, ku Szpitalowi Verulina.

Gmach, do którego zmierzała, był bardzo stary. Zdobiły go liczne wieżyczki oraz wymyślne motywy z cegieł i betonu; bogowie i demony mierzyli się gniewnym wzrokiem znad okien, a starannie rzeźbione, srożące się smoki wyrastały wprost spod zapadniętych płaszczyzn wielopoziomowego dachu. Trzy wieki wcześniej była to wytworna placówka dla najbogatszych, psychicznie chorych pacjentów, położona w wówczas jeszcze ekskluzywnej, podmiejskiej dzielnicy. Slumsy jednak rozwijały się w Nowym Crobuzon jak gangrena i wkrótce ogarnęły również Syriac Weil. Szpital zamknięto i zamieniono w magazyn taniej wełny. Kiedy zbankrutował, lokal opanowała gildia złodziei, a potem związek upadłych taumaturgów. Wreszcie Zakon Verulina wykupił gmach i zamienił go ponownie w szpital.

Jednakże bez funduszy i lekarstw, z ochotnikami-lekarzami i farmaceutami zaglądającymi tu jedynie z rzadka, gdy naprawdę mocno gryzło ich sumienie, oraz z zespołem pracowitych, acz kompletnie nie przygotowanych zawodowo mnichów i mniszek, Szpital Verulina stał się raczej hospicjum, umieralnią dla najbiedniejszych.

Derkhan minęła portiera, ignorując jego pytania, jakby była głucha. Zirytowany, podniósł głos, ale nie poszedł za nią, gdy wchodziła schodami na pierwsze piętro, do trzech działających jeszcze oddziałów.

Gdy tam dotarła... zaczęła polowanie.

Weszła do sali i ruszyła między czystymi, starymi łózkami, między wielkimi, łukowatymi oknami wpuszczającymi do środka zimne światło dnia i między rzęzącymi ciałami konających. Zmęczonemu mnichowi, który podbiegł do niej i zapytał, czego tu szuka, opowiedziała o umierającym ojcu, który zaginął – a może celowo odszedł w noc, by dokonać żywota – i który być może trafił tu, do aniołów miłosierdzia. Mnich

wzruszył się i mile zaskoczony porównaniem do anioła łaskawie zezwolił, by rozejrzała się po salach. Wtedy Derkhan z płaczem zapytała, gdzie leżą najciężej chorzy, bo jej ojciec był naprawdę bliski śmierci.

Mnich bez słowa wskazał jej drogę na koniec przestronnej sali, za szerokimi, podwójnymi drzwiami.

Derkhan minęła je i znalazła się w piekle, gdzie śmierć była rozciągnięta w czasie, a jedynym środkiem łagodzącym ból i skutki chorób była pościel wolna od robactwa. Młoda siostra zakonna, która przechadzała się po oddziale, cierpiąca na chroniczny wytrzeszcz oczu spowodowany nieustannym szokiem, zatrzymywała się od czasu do czasu przy wybranych łóżkach, by spojrzeć na historię choroby. W ten sposób nabierała pewności, że tak, ten pacjent już umarł, lub nie, ten jeszcze nie jest martwy.

Derkhan schyliła się i podniosła jedną z kart. Szybko znalazła diagnozę i zalecenia lekarza. „Zgorzel płuc”, przeczytała. „Dwie dawki laudanum co trzy godziny, przeciwbólowo.” Pod spodem widniał dopisek wykonany inną ręką: „Laudanum brak”.

Dla pacjenta leżącego na sąsiednim łóżku brakowało specyfiku zwanego „wodosporem”; inny potrzebował jedynie „calciach sudifile”, który to środek uratowałby jego gnijące jelito już po ośmiu dawkach. Bezsensowna lista braków ciągnęła się aż do końca sali. Każde z podstawowych lekarstw, których nie było, mogłoby przynajmniej uśmierzyć ból umierających.

Derkhan skoncentrowała się na zadaniu, które musiała wykonać.

Przyglądała się pacjentom okiem łowcy wybierającego zwierzynę do odstrzału. Kryteria, którymi miała się posługiwać, tłukły się gdzieś pod jej czaszką, przygotowując duszę o bolesne skurcze – „ma być zdrowy na umyśle i nie na tyle schorowany, by umrzeć tego samego dnia”. Zakonnica wreszcie dostrzegła przybyłą i podeszła do niej niespiesznie, żądając wyjaśnienia, czego lub kogo szuka.

Derkhan zignorowała jej pytanie i kontynuowała metodyczne poszukiwania. Przemierzywszy wolnym krokiem niemal całą salę, przystanęła przy łóżku zmęczonego życiem starego człowieka, któremu ktoś wpisał w karcie choroby „co najwyżej tydzień życia”. Mężczyzna spał z otwartymi ustami, śliniąc się nieco i krzywiąc boleśnie.

Przez krótką chwilę Derkhan miała ochotę zastosować coś w rodzaju etyki, by dokonać makabrycznego wyboru. „Kto z was był informatorem milicji?” – chciała krzyknąć. „Kto gwałcił? Kto zamordował dziecko? Kto torturował?” Szybko odsunęła od siebie tę myśl. Rozumiała, że nie może sobie pozwolić na takie rozważania, jeśli nie chce doprowadzić się do obłądzenia. To była konieczność. Wybór nie istniał.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z siostrą, która szła za nią, bełkocąc coraz bardziej natarczywie, a jednak łatwe do zignorowania pytania.

Derkhan zapamiętała słowa, które wtedy wypowiedziała, a brzmiały tak obco, jakby wyszły z ust nieznajomej osoby.

Stwierdziła mianowicie, że ów człowiek umiera, i to jedno zdanie wystarczyło, by zamknąć usta zakonnicy, która tylko skinęła głową. Derkhan chciała wiedzieć, czy starzec może chodzić.

Siostra odparła, że może, ale powoli.

Blueday spytała, czy jest szalony. Nie był.

Wtedy oznajmiła, że go zabiera. Że jest jej potrzebny.

Zakonnica była oburzona i zaczęła lamentować tak głośno i przekonująco, że emocje, które Derkhan z takim trudem utrzymywała w ryzach, na moment wyrwały się na wolność. Rozpłakała się nagle i miała ochotę wyć, ale zamiast tego zacisnęła

usta i jęczała cicho, jak ranne zwierzę, póki siostra nie umilkła. Wtedy spojrzała na strażniczkę umierających i przestała płakać.

Wyciągnęła spod płaszcza pistolet i przyłożyła lufę do brzucha zakonnicy, która krzyknęła ze zdumienia i strachu. Kiedy siostra wpatrywała się w osłupieniu w gotową do strzału broń, Derkhan lewą ręką wyjęła zza pazuchy woreczek z resztą pieniędzy Isaaca i Yagharka. Trzymała sakiewkę w powietrzu, póki zakonnica nie zrozumiała, że powinna wyciągnąć rękę. Derkhan wysypała na jej dłoń zwitek banknotów, kupkę złotego pyłu i parę monet.

– Weź to wszystko – powiedziała drżącym głosem Derkhan i wskazując na oddział pełen jęczących, rzucających się na posłaniach postaci, ciągnęła: – Kup laudanum dla niego i calciach dla niej. Wylecz tego, a tamtemu daj chociaż spokojny sen. Spraw, żeby jeden lub dwóch, lub trzech, a może czterech jeszcze pożyło, a innemu lub dwóm, lub trzem albo pięciu – sama nie wiem, po prostu nie wiem – daj łatwiejszą śmierć. Weź te pieniądze – mówiła – i spróbuj poprawić los tyłu, ilu możesz, ale ja muszę mieć tego człowieka. Obudź go i powiedz mu, że ma iść ze mną. Powiedz, że ja mu pomogę.

Lufa pistoletu chwiała się nieco, ale wciąż mierzyła w brzuch kobiety. Zamykając palce zakonnicy wokół pieniędzy i złota, Derkhan patrzyła w jej oczy, szeroko otwarte ze zdziwienia i nic nie rozumiejące.

Gdzieś w głębi ciała reporterki, w jakimś miejscu, które jeszcze coś czuło, wciąż tliła się świadomość, iskra samoobrony, szukająca usprawiedliwienia. „Widzisz?” – myślała owa cząstka. „Zabieramy go, ale spójrz tylko, ilu innych ocalimy dzięki temu!”

Niestety, nie istniała moralna rachuba, której wynikiem byłaby zgoda na tak okropny czyn. Derkhan mogła jedynie zignorować stłumiony głos sumienia. Patrzyła głęboko i żarliwie w wielkie oczy zakonnicy, coraz mocniej zaciskając palce na jej zamkniętej już pięści.

Syknęła z naciskiem, że trzeba pomóc tym ludziom. Że tylko tak można to zrobić. Że można pomóc wszystkim, z wyjątkiem tego jednego człowieka, albo też nie można pomóc nikomu.

Po bardzo, bardzo długiej i milczącej wymianie spojrzeń, przerywanej jedynie trwożliwym zerkaniem na groźnie wyglądający pistolet, garść pełną pieniędzy i na umierających dokoła pacjentów, zakonnica ukryła drżącą rękę w fałdach habitu. Kiedy odchodziła, by zbudzić pacjenta, Derkhan patrzyła na nią ze straszliwym, ohydny triumfem.

„Widzisz?” – myślała, chora z pogardy dla samej siebie. „To nie tylko twoja wina! Ona też dokonała takiego wyboru!”

Mężczyzna nazywał się Andrej Shelbornek i miał sześćdziesiąt pięć lat. Jego trzewia trawiła choroba wywołana wyjątkowo złośliwym wirusem. Był cichy i bardzo znużony martwieniem się o własne życie. Po dwóch lub trzech wstępnych pytaniach bez słowa skargi poszedł za Derkhan.

Opowiedziała mu trochę o kuracji, której chcieli go poddać; o nowej, eksperymentalnej technice, którą zamierzali wypróbować na jego schorowanym ciele. Mężczyzna nie odezwał się ani słowem, nie komentował nawet jej dziwnego wyglądu ani niczego innego. „Przecież musi wiedzieć, co jest grane!” – pomyślała Derkhan. „Na pewno ma dość takiego życia; po prostu ułatwia mi zadanie”. Była to próba racjonalizacji na najniższym poziomie, która nie przyniosła jej najmniejszej ulgi.

Szybko stało się jasne, że Andrej nie jest zdolny do przejścia kilku mil dzielących Syriac Weil od Griss Feli. Derkhan zawahała się na moment. Wreszcie wydobyła z kieszeni ostatni, naddarty banknot; nie miała wyboru, musiała zatrzymać powóz. Była

zdenerwowana, zniżyła głos i gardłowymi warknięciami instruowała woźnicę, dokąd ma jechać, ani na chwilę nie odsłaniając twarzy.

Dwukołowy wóz ciągnięty był przez wołu, którego poddano prze-tworzeniu w taki sposób, iż stał się istotą dwunożną. Dzięki temu łatwiej mu było poruszać się ciasnymi uliczkami Nowego Crobuzon, brać ostre zakręty i cofać się w razie potrzeby. Zwierzę poruszało się na dwóch nogach, jakby w ciągłym zdziwieniu, a jego krok był niezgrabny i dziwaczny. Derkhan wcisnęła się w głąb kanapy i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, Andrej już spał.

Nie odzywał się i nie dziwił niczemu aż do chwili, gdy kazała mu wdrapywać się po stromej skarpie z piachu i betonowych odłamków, usypanej u podnóża jednej z podpór linii Sud. Zmarszczył wtedy czoło i spojrzał na swą przewodniczkę pytająco.

Derkhan powiedziała mu coś o supertajnym, eksperymentalnym laboratorium nad miastem, z dostępem do linii kolejowej. Mężczyzna wyglądał na zmartwionego. Potrząsnął głową i rozejrzał się, szukając drogi ucieczki. Stali w cieniu pod wiaduktem, więc Derkhan mogła sobie pozwolić na wyciągnięcie broni. Choć umierający, Andrej wciąż jeszcze bał się śmierci i dlatego posłusznie zaczął się wspinać. Rozpłakał się w połowie drogi. Blueday patrzyła na niego przez moment, a potem szturchnęła go lufą. Uczucia docierały do niej z bardzo daleka. Musiała trzymać dystans, by uciec przed własnym przerażeniem.

Kiedy zamknęli się w zakurzonej szopie, Derkhan nie odezwała się już, tylko mierzyła z pistoletu do wystraszonego mężczyzny. Wreszcie usłyszała ciche kroki powracających Isaaca i Yagharka. Gdy tylko otworzyła im drzwi, Andrej zaczął jęczeć i płakać, błagając o pomoc. Jak na konającego starca miał wyjątkowo donośny głos. Isaac w pierwszej chwili zmierzał spytać Derkhan o historijkę, którą wcisnęła choremu, ale po namyśle zrezygnował z wdawania się w dyskusje i pospiesznie zabrał się do uciszania Andreja.

Przez ułamek sekundy zawisł nad nim z półotwartymi ustami i wydawało się, że powie coś, co pomoże starcowi zapanować nad strachem, że obieca mu zdrowie i bezpieczeństwo, że zapewni: „Jesteś w dobrych rękach” i wyjaśni przyczyny niespodziewanego obrotu sytuacji. Krzyki Andreja umilkły na chwilę, gdy zapatrzył się w oczy Grimnebulina, z utęsknieniem czekając na dobre słowo.

Lecz Isaac był tak zmęczony, że nie mógł już myśleć, a kłamstwa, które zamierzał wypowiedzieć, przyprawiły go o ciężkie mdłości. Protest Andreja ucichł na dobre, kiedy uczoney podszedł do niego i z łatwością zatkał usta mężczyzny kawałkiem znalezionej szmaty, a następnie związał go sznurem wydobytym spod sterty śmieci i ułożył – możliwie najwygodniej – pod ścianą z szorstkich desek. Zmuszony do oddychania przez nos starzec posmarkał się natychmiast, pojękując i stękając w niemych przerażeniu.

Isaac próbował spojrzeć mu w oczy, przeprosić jakoś, wyrazić współczucie, ale Andrej nie słyszał go, ogarnięty nie kontrolowaną paniką. Grimnebulin odwrócił się, czując odrazę do samego siebie, a wtedy Derkhan spojrzała na niego z wdzięcznością i szybko ucisnęła jego rękę, zadowolona, że wreszcie ktoś zechciał wziąć na swoje barki część ciężaru, który tak ją przytłaczał.

Mieli sporo do zrobienia.

Isaac rozpoczął ostatnie obliczenia, raz po raz spoglądając z rozpaczą na zakneblowanego Andreja, który popiskiwał z cicha w kącie pod ścianą.

W krótkich, nerwowo szeptanych słowach wyjaśniał Derkhan i Yagharkowi istotę problemu, z którym się zmagali.

A potem, spoglądając na poobijane części maszyn analitycznych, pochylał się nad notatkami. Sprawdzał kilkakrotnie wszystkie obliczenia, porównując wyniki z

kolumnami liczb, które wydrukowała dla niego Rada. Wyciągnął z ukrycia jądro swej maszyny kryzysowej: tajemniczy mechanizm, którego umyślnie nie oddał na przechowanie Radzie Konstruktywistów. Był to szczelnie zamknięty silnik, pełen gęsto splecionych kabli oraz elektrostatycznych i taumatycznych obwodów.

Oczyścił go starannie, sprawdzając stan wszystkich części ruchomych.

Szykował do akcji i sprzęt, i siebie.

Kiedy Pengefinchess powróciła nie wiadomo skąd, spojrzął na nią tylko przelotnie. Mówiła cicho, nie patrząc nikomu w oczy. Sposobiła się do wyjścia, po raz ostatni sprawdzając broń. Naoliwiła łuk, by nie zaszkodził mu kontakt z wodą. Wreszcie zapytała, co się stało z pistoletem Shadracha, i cmoknęła z żalem, kiedy Grimnebulin odpowiedział, że nie wie.

– Szkoda. To był potężny gnat – mruknęła w zamyśleniu, spoglądając przez okno nieobecny wzrokiem. – Wzmocniony zakłębieniem. Wyjątkowo dobry...

Isaac kazał jej przestać. Zanim wyszła, raz jeszcze – wraz z Derkhan – poprosił ją o pomoc. Vodyanoi odwróciła się i po raz pierwszy spojrzała na Andreja. Ignorując błagania towarzyszy, zażądała wyjaśnień. Derkhan odciągnęła ją od przerażonego starca i pokrótce wyjaśniła plan działania.

Na koniec raz jeszcze poprosiła Pengefinchess o wykonanie ostatniego zadania. Nie mogła kupić jej usług, mogła jedynie błagać.

Isaac słuchał jej nieuważnie, a potem w ogóle wyłączył się i skoncentrował na pracy, na skomplikowanych zadaniach z matematyki kryzysowej.

Andrej niestrudzenie pojękiwał w kącie.

ROZDZIAŁ 48

Tuż przed czwartą po południu, kiedy szykowali się do wyjścia, Derkhan objęła i przytuliła mocno najpierw Isaaca, a potem Yagharka. Wahala się tylko przez ułamek sekundy, zanim przycisnęła do siebie garudę, który wprowadzie nie odwzajemnił gestu, ale i nie odsunął jej siłą.

– Zobaczymy się na miejscu – szepnęła.

– Wiesz, co masz zrobić? – upewnił się Isaac. Derkhan skinęła głową i popchnęła go w kierunku drzwi.

Grimnebulin przystanął i westchnął ciężko, wiedząc, że teraz czeka go najtrudniejsza część zadania. Spojrzął na Andreja, który leżał wciąż spętany i sparaliżowany strachem, rozglądając się szeroko otwartymi oczami sponad zaślinionego i zasmarkanego knebla.

Musieli go przenieść, i to tak, żeby nie narobił hałasu.

Naradził się w tej sprawie z Yagharkiem, szepcząc, aby nie przerazić starca. Nie mieli środków usypiających, a Isaac nie był biotaumatykiem; nie potrafił przytknąć palców do czaszki Andreja i tak po prostu na jakiś czas wyłączyć jego świadomości.

Byli więc zmuszeni odwołać się do bardziej barbarzyńskich metod znanych Yagharkowi.

Garuda pomyślał przelotnie o arenach, na których dla wprawy toczył „mleczne walki” – takie, w których jedyną karą za przegraną był ból, podporządkowanie lub utrata przytomności, nie zaś śmierć. Przypomniał sobie techniki, które wtedy ćwiczył na ludziach i innych istotach.

– To starzec! – syknął ostrzegawczo Grimnebulin. – Do tego umierający... Jest słaby. Bądź delikatny.

Yagharek podszedł wolno do chorego mężczyzny, który wpatrywał się w niego zmęczonym, pełnym lęku wzrokiem.

Chwilę później garuda przyklęknął na jedno kolano i lewą ręką unieruchomił głowę Andreja, który wybałuszył oczy z przerażenia i mimo duszącego knebla próbował krzyżeć. Isaac nie mógł się oprzeć temu spojrzeniu: patrzył, dręczony poczuciem winy, na staro człowieka, który musiał w tym momencie wierzyć, że jego życie za moment dobiegnie końca.

Prawy łokieć Yagharka zakreślił w powietrzu krótki łuk i z brutalną precyzją huknął w miejsce poniżej potylicy starca, tam gdzie głowa stykała się z karkiem. Z krtani Andreja wyrwało się krótkie, stłumione szczeknięcie, podobne do odgłosu wymiotowania. Jego oczy odwróciły się białkami na zewnątrz, a powieki opadły bezwładnie. Yagharek nie pozwolił, by głowa chorego odchyliła się w niekontrolowany sposób. Przez moment jeszcze dociskał kościsty łokieć do sflaczałej skóry, w myśli odliczając sekundy.

Wreszcie poczuł, że ciało Andreja zwiotczało całkowicie.

– Obudzi się – oznajmił. – Może za dwadzieścia minut, a może za dwie godziny. Muszę go obserwować. Będę mógł powtórzyć ten zabieg, ale trzeba uważać. Jeśli przesadzimy, jego mózg umrze z niedokrwienia.

Razem z Isaakiem owinęli nieruchomego Andreja w brudne szmaty i chwycili go pod ramiona, tak by stał pomiędzy nimi. Wyniszczone wieloletnią chorobą ciało było szokująco lekkie.

Zgodnym krokiem przeszli kawałek dalej i wolnymi rękami chwycili wspólnie wór ze sprzętem. Unieśli go ostrożnie, z nabożeństwem, jak relikwię albo ciało świętego.

Nadal mieli na sobie absurdalne, żebracze przebrania. Ciemna twarz Isaaca, widoczna pod obszernym kapturem, usiana była strupami po niedawnym, brutalnym goleniu. Yagharek owinął swoją głowę jeszcze szczelniej, pozostawiając między szmatami jedynie wąską szczelinę na wysokości oczu. W śmierzących łachmanach wyglądał jak trędowaty, który usiłuje ukryć rozpadające się ciało.

Trzy zamaskowane postacie przypominały karawanę włóczęgów, wędrowną trupę bezdomnych żebraków.

Stanąwszy przy drzwiach, Isaac i Yagharek odwrócili się jeszcze, by gestem pożegnać Derkhan. Grimnebulin spojrział na Pengefinchess, która obojętnie przyglądała się ich poczynaniom. Z wahaniem skinął ręką i uniósł brwi, jakby chciał zapytać: „Czy jeszcze się zobaczymy? Pomożesz nam?” Kobieta-vodyahoi machnęła pletwiastą dłonią w niezobowiązującym geście pożegnania i spuściła wzrok.

Isaac zacisnął zęby i odwrócił się.

Po chwili zaczęli z Yagharkiem niebezpieczną wędrowkę przez miasto.

Nie zaryzykowali przeprawy po moście kolejowym. Bali się, że któryś z nadgorliwych maszynistów mógłby zrobić coś więcej, niż zatrzeć na nich syreną lokomotywy i buchnąć parą z kotła. Mógłby na przykład przyjrzeć się im, zapamiętać i zameldować przełożonym na stacjach Sly albo Bazarze Śliny, a może i Perdido, że trzej głupcy wdarli się na tory i zacierają wprost ku katastrofie.

Nie mogli sobie pozwolić na spotkanie z milicją. Wybrali więc drogę w dół, po stromej skarpie, z całych sił podtrzymując ciało Andreja, które za wszelką cenę pragnęło stoczyć się ku pustemu, twardemu chodnikowi.

Upał był dokuczliwy, ale jeszcze znośny. Wywoływał dziwne wrażenie, jakby czegoś w mieście brakowało. Było tak, jak gdyby słońce wyblakło, a jego promienie zabrały ze sobą cienie i chłód budynków, czyniąc architekturę nierzeczywistą. Gorące powietrze tłumilo nawet dźwięki, odbierając im głębię brzmienia. Isaac pocił się i kłął z cicha pod warstwą pleśniejących już szmat. Czuł się tak, jak gdyby utknął w niejasnym, niewyraźnym śnie o upalnym popołudniu.

Prowadząc między sobą Andreja, jakby był ich przyjacielem rażonym mocą taniego napitku, podążali ulicami w stronę mostu Cockscomb.

W tych stronach byli intruzami. Gdyby mieli wędrować zaułkami Dog Fenn, Badside, Ketch Heath czy innych slumsów, byłiby w zasadzie niewidzialni.

Rozglądając się nerwowo, weszli na most. Na brukowanej jezdni i chodnikach panował gwar i ruch. Straganiarze i klienci obrzucali trzech przybyszów obelgami i nie szczędzili im złośliwych docinków.

Yagharek na wszelki wypadek opierał rękę na splocie nerwów i arterii krwionośnych w szyi Andreja, gotów zacisnąć palce, gdy tylko starzec zacznie odzyskiwać przytomność. Isaac nie przestawał mruczeć pod nosem, a potoki przekleństw przypominały postronnym słuchaczom bredzenie mocno pijanego osobnika.

– No dalej, skurwielu – powtarzał, spięty i zmęczony. – Dalej, dalej. Sukinsynu. Ścierwo. Draniu... – Isaac nie wiedział nawet, komu dedykuje te barwne wiązańki.

Szli po moście niezbyt szybkim krokiem, z coraz większym wysiłkiem dźwigając nieprzytomnego kompana i worek z bezcennym sprzętem. Ludzie rozstępowali się przed nimi, szydząc i narzekając na smród. Isaac i Yagharek nie mogli jednak pozwolić sobie na to, żeby nieprzyjazne odzywki przerodziły się w otwarty konflikt. Gdyby któryś ze znudzonych miejscowych oprychów zechciał dla rozrywki zabić kogoś z wędrownych żebraków, misterny plan zakończyłby się katastrofą.

Wreszcie dotarli szczęśliwie do końca mostu Cockscomb, na którym czuli się szczególnie narażeni na atak, jakby na otwartej przestrzeni słońce celowo wyluskiwało ich kształty z tłumu, i zeszli w uliczki Petty Coil. Miasto zamknęło za nimi swe usta i znowu byli bezpieczni.

Spotykali podobnych do siebie żebraków podążających tropem co bogatszych obywateli, bandytów z kolczykami w uszach, tłustych lichwiarzy i kobiety o wymalowanych ustach. Andrej drgnął lekko i Yagharek na moment wyrzucił z umysłu wszelkie uczucia, gotów w każdej chwili użyć rąk.

Na szczęście znowu mieli przed sobą zaułki. Oddalali się od głównych ulic wszędzie tam, gdzie było to możliwe, ginąc w mrocznych przejściach. Przemykali pod sznurami z mokrym praniem, łączącymi tarasy po przeciwnych stronach wąskich alejek. Obserwowani byli przez kobiety i mężczyzn odzianych jedynie w bieliznę, którzy wylegiwali się leniwie na balkonach, flirtując z sąsiadami i sąsiadkami. Mijali zapomniane, przepelnione śmietniki i studzienki ściekowe bez pokryw. Dzieci wychylały się z okien i pluły na nich bez złości albo rzucały drobne kamyki i uciekały.

Jak zawsze, trzymali się linii kolejowej. Dotarli do niej w pobliżu Dworca Sly, gdzie pociągi jadące ku Polom Salacusa opuszczały linię Sud. Kryli się pod łukami, które wiły się nie najkrótszą drogą nad kocimi łbami Spit Hearth. Niebo nad hałaśliwymi tłumami przechodniów zaczynało już czerwienieć. Arkady, splamione olejem i sadzą, porośnięte były miniaturowym lasem pleśni, mchu i nielicznych roślin pnących. Roilo się między nimi od jaszczurek, owadów i aspisów szukających schronienia przed upałem.

Isaac i Yagharek przystanęli w brudnej, ślepej uliczce opodal betonowo-ceglanych podpór wiaduktu. Odpoczywali, słuchając nerwowych odgłosów miejskiego życia.

Andrej był lekki, lecz mimo to zaczynali odczuwać ciężar jego ciała, jakby z każdą sekundą przybierał na wadze. Rozciągli teraz obolałe ramiona i barki, oddychając głęboko. Zaledwie o kilka stóp dalej tłumy wynurzające się z budynku stacji mijają ich tymczasową kryjówkę.

Odpoczęli i chwycili w odwrotny sposób ciężary, gotowi do dalszej drogi bocznymi uliczkami, w cieniu linii Sud, w stronę serca miasta – gmachu, którego nie widzieli jeszcze ponad dachami okolicznych domów; w stronę Szpikulca i pozostałych wież Dworca Perdido.

Isaac zaczął mówić. Opowiedział Yagharkowi o tym, co jego zdaniem miało się wydarzyć tej nocy.

Derkhan przemykała chyłkiem między górami odpadów na wysypisku w Griss Twist, kierując się ku siedzibie Rady Konstruktorów.

Isaac uprzedził wielki Konstruktor Inteligentny, że zjawi się u niego kobieta, a ona wiedziała, że maszyna już na nią czeka. Na myśl o tym czuła się jakoś dziwnie.

Zbliżając się do placu, przy którym ukrywała się Rada, usłyszała szmer przyciszonych głosów. Zesztywniała na moment, a potem wyciągnęła pistolet i sprawdziła, czy porcja prochu spoczywa na panewce.

Skradała się ostrożnie, starając się nie zdradzić swojej obecności najcichszym nawet szelestem. U wylotu tunelu śmieci zobaczyła wycinek placu i zaraz potem w jej polu widzenia pojawił się na moment jakiś człowiek. Podeszła bliżej.

Po chwili zza sterty odpadów wychynęła inna postać. Był to odziany w roboczy kombinezon mężczyzna, uginający się nieco pod wielkim ciężarem: dźwigał na szerokich ramionach masywny zwój czarno izolowanego kabla, który zdawał się dusić go jak olbrzymi wąż.

Derkhan wyprostowała się i odetchnęła z ulgą. Nie musiała obawiać się milicyjnej zasadzki. Śmiało ruszyła na spotkanie z Radą Konstruktorów.

Gdy tylko znalazła się na placu, zadarła głowę, by upewnić się, czy na niebie nie widać rządowych sterowców. Dopiero wtedy rozejrzała się po okolicy i otworzyła usta ze zdumienia, widząc skalę operacji, którą zorganizował konstruktor-olbrzym.

Dokoła niej kręciła się niemal setka mężczyzn i kobiet, w skupieniu wykonujących najróżniejsze zadania. W większości byli to ludzie; vodyanoich była ledwie garstka, a samic kheprich tylko dwie. Wszyscy odziani byli biednie i niezbyt czysto. Pochylali się lub kucali przed dłuższymi i krótszymi fragmentami grubego, przemysłowego przewodu.

Widać było, że kable nie pochodzą z jednego źródła. Większość zaizolowano czarnym tworzywem, ale tu i ówdzie wyróżniały się kawałki brązowego i niebieskiego materiału, a w paru miejscach pojawiały się czerwień i szarość. Niektórzy ludzie nieśli parami ogromne zwoje przewodu, grube jak udo mężczyzny. Inni pracowali nad znacznie krótszymi fragmentami; grubość ich wiązek nie przekraczała czterech cali.

Półgłosem prowadzone rozmowy ucichły jak ucięte nożem, kiedy na placu zjawiła się Derkhan. Wszystkie oczy skierowały się w jej stronę. Kobieta z wysiłkiem przełknęła ślinę i potoczyła wzrokiem po dość gęstym tłumie pracujących. Wreszcie dostrzegła awatara, który szedł ku niej chwiejnym krokiem.

– Derkhan Blue Day – powiedział nieboszczyk. – Jesteśmy gotowi.

Derkhan spędziła chwilę w towarzystwie awatara, razem z nim sprawdzając pewne szczegóły na odręcznie narysowanej mapie.

Zakrwawiona czeluść w otwartej i opróżnionej czaszce trupa cuchnęła jeszcze gorzej niż poprzednim razem. W upalną pogodę smród na poły martwego ciała był szczególnie dokuczliwy. Derkhan wstrzymywała oddech najdłużej, jak umiała, a kiedy już musiała zaczerpnąć powietrza, czyniła to przez rękaw brudnego płaszcza.

Podczas gdy konferowała z Radą, zebrani na placu ludzie z szacunkiem trzymali dystans.

– To niemal cała moja kongregacja krwistych – rzekł awatar. – Wysłałem co bardziej mobilnych mnie, żeby rozeszali po mieście pilne wezwanie. Jak widzisz,

wierni odpowiedzieli na nie dość licznie. – Nieboszczyk urwał na moment i cmoknął w nieludzki sposób. – Musimy działać – odezwał się po chwili. – Jest siedemnaście po piątej.

Derkhan znowu spojrzała w niebo, które zaczynało ciemnieć powoli, ostrzegając o zbliżającym się zmierzchu. Nie miała wątpliwości, że zegar, którym posługiwała się Rada – zapewne zagrzebany gdzieś w głębi wysypiska numer dwa – był jednym z najlepszych, jakie kiedykolwiek skonstruowano. Bez słowa skinęła głową.

Na rozkaz awatara kongregacja rozproszyła się. Wierni zaczęli marsz w stronę miasta, uginając się pod ciężarem ładunku. Każdy zatrzymywał się na moment przed ścianą śmieci, w której ukrywała się Rada Konstruktorów i – odłożywszy kabel, jeśli było to konieczne – z szacunkiem czynił dłońmi charakterystyczny znak zazębiających się trybów.

Derkhan przyglądała się temu z niepokojem.

– Nie mają szans – powiedziała. – Nie starczy im sił, żeby złożyć tak długi przewód.

– Wielu ma wózki – odparł awatar. – Będą się zmieniać.

– Wózki...? – zdziwiła się Derkhan. – Skąd je wzięli?

– Niektórzy po prostu je mają, inni kupili lub wynajęli je dziś na mój rozkaz. Żaden nie został ukradziony. Nie możemy ryzykować, że ktoś się nami zainteresuje i odkryje moje istnienie.

Derkhan odwróciła głowę. Nie podobała jej się ta władza, którą inteligentna maszyna zdobyła nad sporą grupą ludzi.

Kiedy ostatni wierni opuścili wysypisko, Derkhan i awatar podeszli do spoczywającej nieruchomo na boku głowy Rady Konstruktorów. Leżący gigant wyglądał jak sterta śmieci; niczym nie różnił się od otoczenia, był niewidzialny.

Obok niego ułożono pokaźny zwój grubego, czarnego kabla. Jego koniec był zniszczony – spod zwęglonej izolacji wystawały końcówki nagich drutów, długie co najmniej na stopę.

Na placu zgromadzeń został jeden vodyanoi. Derkhan dostrzegła go dopiero teraz; stał w pobliżu i z obawą przyglądał się awatarowi. Gestem przywołała go do siebie. Ruszył pospiesznie, kłusem, raz na czworakach, raz na dwóch nogach, kłapiąc błoniastymi stopami i dłońmi o nierówne podłoże. Jego kombinezon uszyty był z lekkiego, nasączonego woskiem materiału, jakiego często używali vodyanoi. Tkanina ta nie nasiąkała wodą, a więc i nie stawała się zbędnym balastem dla często nurkujących istot.

– Jesteś gotów? – spytała Derkhan. Vodyanoi z zapalem pokiwał głową. Kobieta przyglądała mu się bacznie, ale niewiele wiedziała o psychice i zachowaniu istot tej rasy. Nie dostrzegła w nim niczego, co wyjaśniałoby dziwaczną wierność tej osobliwej, wymagającej sekcie czcicieli sztucznej inteligencji, której uosobieniem była Rada Konstruktorów. Jasne było dla niej to, że olbrzym traktuje swych wyznawców jak pionki i nie czerpie ani satysfakcji, ani przyjemności z ich oddania, a jedynie... używa ich wtedy, gdy są potrzebni. Nie rozumiała, nawet nie zamierzała zrozumieć, jakąż to ulgę, jaką służbę może zaoferować ludziom ten heretycki kościół. – Pomóż mi zanieść to do rzeki – powiedziała, podnosząc końcówkę grubego przewodu. Zachwiała się pod ciężarem, ale vodyanoi szybko pospieszył jej z pomocą.

Awatar nie ruszył się z miejsca. Obserwował kobietę i vodyanoiniego, którzy oddalali się z trudem w kierunku nieruchomych dźwigów, odcinających się na tle północno-zachodniego nieba ponad górą odpadów otaczających Radę Konstruktorów.

Kabel był naprawdę ciężki. Derkhan musiała zatrzymywać się kilka razy, zrzucając balast na ziemię, by zebrać siły do dalszej wędrówki. Vodyanoi szedł obok

niej i bez słowa stawał, kiedy potrzebowała chwili wytchnienia. Zwój czarnego przewodu, który pozostawili przy Radzie, kurczył się z każdą chwilą.

Derkhan wybierała drogę między kupami śmieci, w kierunku dalekiej jeszcze rzeki.

– Wiesz, po co to robimy? – spytała w pewnej chwili, nie patrząc na swego pomocnika. Vodyanoi zerknął na nią z ukosa, a potem odwrócił się i spojrzał na małą i chudą postać awatara, wciąż widoczną na tle hałd. Po chwili potrząsnął obwisłymi policzkami.

– Nie – odpowiedział. – Słyszałem tylko, że... że Bóg-maszyna nas wzywa i że mamy być gotowi do wieczornej pracy. Dopiero kiedy tu przyszedłem, dowiedziałem się, jakie Boski Mechanik wyznaczył mi zadanie. – Głos vodyanoiego brzmiał całkiem normalnie. Mówił zwięźle, konwersacyjnym tonem, jak robotnik skarżący się filozoficznie na szefa, który domaga się darmowej pracy w nadgodzinach.

Kiedy jednak Derkhan, sapiąc z wysiłku, zaczęła zadawać bardziej szczegółowe pytania – „Jak często się spotykacie? Jakie jeszcze zadania są wam zlecane?” – pomocnik spojrzał na nią podejrzliwie. Przez krótki czas odpowiadał monosylabami, a potem umilkł.

Derkhan również przestała się odzywać. Skupiła się na rozwijaniu długiego, czarnego kabla.

Pagórki śmieci ciągnęły się aż do samej rzeki. Nabrzeża w Griss Twist były surowymi ścianami z oślizgłych cegieł, wyrastającymi wprost z ciemnej wody. Kiedy rzeka przybierała, co najwyżej trzy stopy wypalanej gliny chroniły okolicę przed powodzią. Przy normalnym stanie wód murowane brzegi wznosiły się na osiem stóp ponad fale Smoły.

Wprost z wyszczerbionych i zawilgoconych cegieł sterczała żelazna siatka sześciostopowego ogrodzenia, wspartego na drewnianych i betonowych słupkach. Dawno temu wzniesiono tę drucianą zaporę, by zatrzymać niesione wiatrem śmieci z rodzących się opodal wysypisk. Teraz jednak, pod naporem tysięcy ton odpadów, siatka gdzieś wybrzuszyła się niebezpiecznie nad wodą, a w niektórych miejscach pękła, rozsiewając masy cuchnących śmieci. Nikt jej nie naprawiał, a to, co pozostało z pierwotnego ogrodzenia, trzymało się głównie dzięki temu, że czas sprasował odpady w niemal jednolitą, sztywną bryłę.

I tylko tam, gdzie siatka pękła już dawno, skompresowane bryły śmieci co pewien czas zjeżdżały do wody po mulistych hałdach.

Ogromne dźwigi, które przenosiły odpady z ładowni barek wprost na wysypisko, niegdyś oddzielone były od niego paroma jardami ziemi niczyjej – spękanej gleby z rzadka porośniętej chwastami – lecz po latach i tę strefę zajęły śmieci. Teraz robotnicy i operatorzy dźwigów musieli przedzierać się na miejsce pracy przez hałdy, jakby ich maszyny wyrastały wprost z ohydneho krajobrazu wysypiska.

Wyglądało to tak, jak gdyby śmieci stały się płodne i wydały na świat olbrzymie, żelazne konstrukcje.

Klucząc między wzgórzami, Derkhan i vodyanoi stracili z oczu miejsce, w którym ukrywała się Rada. Zostawiali za sobą niewyraźny ślad: rozciągnięty na ziemi przewód, który natychmiast wtapiał się w tło i stawał się kolejnym śmieciem współtworzącym wysypiskową panoramę.

W miarę jak zbliżali się do koryta Smoły, hałdy stawały się coraz mniejsze. Widzieli już przed sobą czterostopową siatkę, która wystawała ponad powierzchnię śmietniska. Derkhan minimalnie skorygowała kurs, kierując się ku szerokiej wyrwie w ogrodzeniu, gdzie wysypisko otwierało się wprost na rzekę.

Po drugiej stronie mętneho nurtu zobaczyła Nowe Crobuzon. Przez moment potężne iglice Dworca Perdido były doskonale widoczne; idealnie wpasowały się w otwór w siatce. Derkhan widziała nitki linii kolejowych zawijające się między wieżami, które strzelały w niebo wprost ze skał będących opoką miasta. Linie horyzontu kaleczyły ostre kształty milicyjnych siedzib.

Nieco bliżej, tuż przy drugim brzegu Smoły, rozpoczynało się Spit Hearth. Nie było tam promenady, widać było tylko fragmenty ulic biegnące przez moment równoległe do rzeki, a także zaplecza prywatnych ogrodów, surowe ściany magazynów i niemałe połacie nieużytków. Nikt nie obserwował z przeciwległego brzegu tego, co robiła Derkhan.

Kilka stóp przed wyrwą w ogrodzeniu Derkhan rzuciła końcówkę kabla i ostrożnie podeszła do siatki. Badała grunt stopami, upewniając się, czy nie zleci wraz z luźną bryłą odpadów z siedmiostopowego urwiska wprost do brudnej wody. Wychyliła się najdalej, jak mogła i uważnie spojrzała na falującą powierzchnię rzeki.

Słońce wolno zbliżało się do wierzchołków dachów w zachodniej części miasta. Mętna czerń rzeki zabarwiła się nieznacznie czerwienią.

– Penge! – syknęła Derkhan. – Jesteś tam?

Po chwili rozległo się ciche pluśnięcie i jeden z większych odpadków, których mnóstwo unosiło się na powierzchni rzeki, poruszył się, a potem zaczął płynąć pod prąd.

Pengefinchess wolniutko wynurzyła głowę nad fale. Derkhan uśmiechnęła się, czując niewypowiedzianą ulgę.

– No dobra – mruknęła Pengefinchess. – Czas na moje ostatnie zadanie. Derkhan kiwnęła głową z niedorzeczną wdzięcznością.

– Ona nam pomoże – powiedziała, zwracając się do vodyanoiego, który nieufnym wzrokiem spoglądał na Pengefinchess. – Kabel jest zbyt ciężki, nie poradzisz sobie sam. Zejdziecie razem pod wodę, a ja będę go dla was ściągać.

Minęło kilka sekund, zanim samiec zdał sobie sprawę, iż ryzyko kontaktu z nieznaną jest mniej znaczące niż zadanie, które zleciła mu Rada Konstruktorów. Spojrzał na Derkhan wilkiem, ale posłusznie skinął głową. Poczłapał w stronę wyrwy w płocie, zawahał się minimalnie, a potem skoczył z gracją i zniknął w wodzie. Zrobił to tak fachowo, że rozległ się jedynie ledwie słyszalny plusk.

Pengefinchess zmierzyła go nieufnym spojrzeniem, kiedy podpłynął bliżej.

Derkhan rozejrzała się i zauważyła w pobliżu solidny kawał rury, grubszej niż jej udo. Pracując zaciekle mocno przeciążonymi mięśniami ramion i grzbietu, zdołała zaciągnąć ją na brzeg i ułożyć, tak by końcami dotykała skrajów wyrwy w ogrodzeniu.

Następnie chwyciła kabel i pociągnęła ze wszystkich sił, przekładając końcówkę ponad gładkim, walcowatym korpusem rury. Po kilku próbach przewód zwisał już tylko parę stóp nad wodą, a wtedy Pengefinchess wybiła się energicznym ruchem płetwiastych stóp i wyskoczyła na powierzchnię. W locie chwyciła końcówkę kabla i ciężarem własnego ciała ściągnęła go pod wodę. Brzeg śmietniska ugiął się niebezpiecznie, ale wytrzymał. Kabel przesuwiał się po gładkiej powierzchni rury, której ciężar wspierał się na ogrodzeniu.

Pengefinchess pociągnęła jeszcze raz, zanurzając się prawie do dna rzeki. Uniesiony przez Derkhan i stalowy korpus rury kabel przesuwiał się nieco lżej niż do tej pory i szybko ginął pod wodą.

Derkhan przyglądała się skokowo znikającemu przewodowi i coraz słabiej widocznym sylwetkom vodyanoich, którzy ciągnęli go energicznymi ruchami ramion i nóg. Uśmiechnęła się triumfalnie i na moment poddając się zmęczeniu, oparła się o betonowy wspornik ogrodzenia.

Żaden ślad na wodzie nie zdradzał tego, co działo się w głębinach. Gruby kabel zniknął w rzece niemal pionowo, niedaleko od brzegu. Derkhan zrozumiała, że vodyanoi najpierw chcą zebrać na dnie wystarczająco długi odcinek przewodu, a potem dopiero przeciągnąć go na drugą stronę, tak by ani przez chwilę nie był widoczny na powierzchni.

Wreszcie kabel znieruchomiał. Derkhan patrzyła na niego w milczeniu, czekając na kolejny ruch.

Minęło parę minut, nim dokładnie na środku rzeki pojawiła się jakaś postać.

Vodyanoi, który wynurzył się spomiędzy fal, uniósł ramię w geście zwycięstwa, pozdrowienia lub pożegnania. Derkhan odwzajemniła ruch ręki i mrużąc oczy, próbowała odgadnąć, kto i po co daje jej ten sygnał.

Rzeka była w tym miejscu bardzo szeroka, a sylwetka dość niewyraźna. Po chwili jednak Derkhan wypatrzyła zaciśnięty w płetwiastej dłoni łuk i zrozumiała, że to Pengefinchess. Zmarszczyła brwi, odpowiadając na milczące, krótkie pożegnanie.

Zdała sobie sprawę, że błaganie Pengefinchess o pomoc w tej fazie polowania na ómy miało nader niewielki sens. Bez wątplenia udział najemniczki ułatwiłby sprawę, ale z powodzeniem mogli ją zastąpić vodyanoi – wyznawcy Rady Konstruktorów. Równie bezsensowne było rozpaczanie nad jej odejściem, życzenie jej powodzenia czy żałowanie, że znajomość dobiega końca. Pengefinchess była najemniczka; odchodziła, by zająć się bardziej lukratywnym i być może bezpieczniejszym zadaniem. Derkhan nie była jej nic winna, nawet podziękowania czy wyrazy sympatii były tu nie na miejscu.

A jednak Blueday czuła smutek, bo okoliczności sprawiły, że zaczęła traktować łuczniczkę jak towarzysza broni, jak małą, lecz ważną część tej chaotycznej walki z koszmarem dręczącym miasto. Żałowała, że nadszedł czas rozstania.

Ramię zbrojne w łuk zniknęło pod wodą. Pengefinchess zanurkowała i zniknęła bez śladu.

Derkhan odwróciła się plecami do rzeki i raz jeszcze zagłębiła się w labirynt wysypiska numer dwa.

Szła ścieżką wytyczoną przez gruby kabel, w stronę placu, przy którym spoczywała Rada. Awatar czekał na nią cierpliwie przy znacznie mniejszym już zwoju przewodu krytego czarną gumą.

– Udało się? – spytał, gdy tylko zobaczył Derkhan. Ruszył niepewnie przed siebie, stukając kablem, który sterczał z jego głowy, o nierówności na powierzchni ubitych śmieci. Blueday przytaknęła ruchem głowy.

– Musimy dokończyć przygotowania tutaj, na wysypisku – powiedziała. – Gdzie jest gniazdo wyjściowe?

Awatar obrócił się na pięcie i gestem nakazał, by poszła za nim. Zatrzymał się na moment przy niewysokim już zwoju przewodu i z wielkim trudem uniósł końcówkę. Zachwiał się pod ciężarem, ale nie poprosił o pomoc, a Derkhan nie miała ochoty zgłaszać się na ochotnika.

Ciągnąc za sobą gruby, izolowany kabel, awatar zbliżył się do osobliwej konstelacji odpadków, w której Derkhan rozpoznała głowę Rady Konstruktorów. Patrząc na nią, czuła się dość dziwnie; jak dziecko spoglądające na specjalnie przygotowany obrazek, na którym tylko pod pewnym kątem można dostrzec zarysy postaci. Czerep spoczywał nieruchomo, nie zdradzając oznak mechanicznego życia.

Awatar pochylił się nad kratownicą potężnego wentylatora, która udawała metalowe zęby Rady. Ponad nią, za olbrzymimi reflektorami-oczami, widać było gęstwinę drutów, rur i dość przypadkowo wyglądających śmieci, w której postukiwały cicho zawory niebywale skomplikowanej maszyny analitycznej.

Był to pierwszy znak życia dany tego dnia przez olbrzymi konstrukt. Derkhan miała wrażenie, że w wielkich oczach Rady na moment pojawił się słaby błysk światła.

Awatar wsunął końcówkę kabla w analogowy mózg, fragment sieci tworzącej dziwaczną, nieludzką, ale świadomą osobowość Rady Konstruktów. Rozwinął kilka mniejszych przewodów ukrytych we wspólnej czarnej izolacji, i obnażył metalowe gniazda w głowie olbrzyma. Derkhan z odrazą odwróciła głowę, kiedy awatar rozplatał kable, nie zważając na to, że ostre druty przebijają i rozrywają zapleśniałą skórę na jego dłoniach, wypuszczając spod niej krople gęstej, szarzejacej krwi.

Trup zaczął łączyć grube jak palec przewody z głową Rady, zamykając kolejno skomplikowane obwody. Wtykał je na próbę w rozmaite gniazda, wywołując niekiedy lekkie iskrzenie, i bacznie sprawdzał działanie każdego z połączeń. Wybierał jedne kable, a inne odrzucał, budując niewiarygodnie złożony układ.

– Reszta będzie łatwa – szepnął, nie przerywając pracy. – Drut do drutu, kabel do kabla; i tak we wszystkich złączach w całym mieście. Tylko tu, u źródła, robota jest bardziej skomplikowana. Połączenia muszą być bezbłędne, jeśli przewód ma spełnić funkcję hełmu łącznika i przenieść na dużą odległość alternatywny model świadomości.

A jednak, mimo trudności zadania, było jeszcze jasno, kiedy awatar uniósł głowę, spojrzał na Derkhan, wytarł pokaleczone ręce o uda i oznajmił, że skończył.

Kobieta w niemym podziw przyglądała się drobnym błyskom iskier, które pojawiały się w gąszczu przewodów. Połączenie było piękne, lśniło jak mechaniczny klejnot.

Głowa Rady – wielka i wciąż nieruchoma, jak łeb śpiącego demona – została sprzężona z grubym kablem za pomocą metalowej tkanki łącznej, elektromechanicznej, taumatycznej blizny. Derkhan podziwiała ją długo, nim spojrzała na awatara.

– W takim razie – rzekła z wahaniem – najlepiej będzie, jeśli pójde i powiem Isaacowi, że... jesteś gotowy.

*

Mieszając wodę potężnymi zamachami ramion i nóg, Pengefinchess i jej pomocnik sunęli wolno przez mroczną głębinę Smoty.

Trzymali się dość nisko, lecz dno ciemne i nierówne, odległe zaledwie o dwie stopy, i tak było prawie niewidoczne. Kabel odwijał się wolno z wielkiego, luźnego zwoju, w który ułożyli go przy samym brzegu rzeki, u podnóża ściany zamykającej wysypisko.

Był ciężki, toteż nie posuwali się zbyt szybko przez brudną i gęstą wodę.

W tej części rzeki niemal na pewno byli sami. Vodyanoi nie zapuszczali się w te strony; jedynie nieliczne, najodporniejsze lub najgłupsze ryby podpływały w pobliże kabla i natychmiast uciekały. „Tak, jakby jakakolwiek siła w całym Bas-Lag mogła mnie zmusić do zjedzenia tych pokurczów” – pomyślała Pengefinchess.

Mijały minuty, a podróż przez ciemność trwała. Pengefinchess nie myślała ani o Derkhan, ani o tym, co miało się stać tej nocy, ani o tym, czy plan trojga renegatów miał szanse powodzenia. Te sprawy jej nie obchodziły.

Shadrach i Tansell nie żyli; nadszedł czas ruszać w dalszą drogę.

I tylko gdzieś w głębi duszy życzyła Derkhan i pozostałym powodzenia. Przez krótki czas byli jej towarzyszami, a poza tym mniej więcej rozumiała, jak wielkie znaczenie ma to, co robili – także i dla niej. Nowe Crobuzon było zamożnym miastem, mieszkały w nim tysiące potencjalnych zleceniodawców. W interesie Pengefinchess leżało, by metropolia trwała w dobrej kondycji.

W mętnej wodzie zamajaczył obraz muru. Zwolnili i zatrzymali się pod wodą. Pengefinchess wybrała jeszcze spory zapas kabla, tak by starczyło go do powierzchni i dalej, na brzeg. Po krótkim wahaniu odbiła się od dna i popłynęła w górę. Gestem przywołała samca do siebie i po chwili byli już na powierzchni, usianej tysiącami czerwonych błysków zachodzącego słońca. Razem skierowali się w cień rzucany przez mur nabrzeża.

Spomiędzy cegieł sterczały pordzewiałe, żelazne pierścienie – stopnie drabiny prowadzącej na brzeg, skąd dobiegały dźwięki przejeżdżających opodal wozów i głosy przechodniów.

Pengefinchess poprawiła nieznacznie łuk przewieszony przez plecy. Spojrzała na ponurego samca i odezwała się do niego w lubbocku, wielosylabowej, gardłowej mowie znanej większości vodyanoich ze wschodu. Odpowiedział jej w dialekcie miejskim, mocno skażonym ludzkim ragamollem, ale jakoś rozumieli się nawzajem.

– Twoi koledzy wiedzą, że mają cię tu szukać? – spytała szorstko. Odpowiedział jej skinieniem głowy; był to jeszcze jeden obyczaj przejęty przez vodyanoich od ludzi. – Ja już zrobiłam swoje – oświadczyła. – Sam sobie trzymaj ten kabel i czekaj na Kompanów. Odchodzę. – Samiec spojrzał na nią ponuro i znowu skinął głową, a potem uniósł rękę w niezgrabnym geście, który miał być zapewne pozdrowieniem. Pengefinchess była rozbawiona. – Bądź płodny – odpowiedziała mu słowami tradycyjnego pożegnania vodyanoich. A potem zanurzyła się w nurcie Smoły i odpłynęła.

Obrała kurs na wschód, z prądem rzeki. Z początku była spokojna, lecz potem ogarnęło ją podniecenie. Nie miała żadnych planów, nie wiązała jej żaden kontrakt. Zastanawiała się, co będzie robić z wolnym czasem.

Nurt Smoły zaniósł ją do brzegów Strack Island, gdzie łączył się z Egzemą, tworząc Wielką Smołę. Pengefinchess wiedziała, że głębiny wokół zatopionych fundamentów gmachu Parlamentu są patrolowane przez vodyanoich-milicjantów. Wolała więc trzymać się z daleka – skręciła ostro na północny zachód, by popłynąć pod prąd, w górę Egzemy.

Nurt był tu nieco bardziej wartki niż w Smole, a woda zimniejsza. Pengefinchess czuła się rześko i radośnie, póki nie wpadła w płamę zanieczyszczeń.

Wiedziała, że to ścieki z Brock Marsh. Przyspieszyła, żeby jak najszybciej wydostać się poza niebezpieczną strefę. Czuła, że wodnica od czasu do czasu drży pod jej kombinezonem, jakby niektóre substancje wzbudzały w niej wyjątkowy lęk. Starła się omijać je szerokim łukiem, co nie było łatwe w wodzie opływającej dzielnicę magii. Próbowwała oddychać skażoną wodą w miarę płytko, jakby to miało uchronić jej organizm przed zatruciem.

Wreszcie coś zaczęło się zmieniać. Mniej więcej milę od zlewiska dwóch rzek nurt Egzemy stał się nagle znacznie czystszy.

Pengefinchess poczuła się rażniej.

Wkrótce zaczęła wyczuwać obecność swoich pobratymców. Zanurkowała nieco głębiej. Mijała delikatne prądy świadczące o obecności tuneli w dnie i brzegach, zapewne prowadzących do rezydencji zamożnych vodyanoich. Nie były to owe odrażające nory, jakie widywało się w wodach Smoły na wysokości Lichford czy Gross Coil. Owe koślawe, kryte smołą chaty – typowo ludzkiej konstrukcji, tyle że

wznoszone wprost w rzece – liczyły sobie dziesiątki lat i widać było, że ich byt nie potrwa długo. W Smole można było znaleźć jedynie slumsy vodyanoich.

Tutaj było inaczej. Chłodne, czyste wody Egzemy, spływające z gór na północ od miasta, rozlewały się starannie utrzymanymi kanałami w głąb nabrzeży, do eleganckich domów z białego marmuru. Budowle te nie różniły się fasadami od domostw ludzkich stojących po obu stronach rzeki, ale ich wnętrza urządzone były w stylu typowym dla vodyanoich. Duże pokoje połączone były otworami bez drzwi; niektóre znajdowały się pod, inne zaś nad powierzchnią wody, która krążyła we wnętrzu bezustannie, odświeżana przez system pomysłowych pomp i śluz.

Pengefinchess minęła siedziby vodyanoich-bogaczy, trzymając się blisko dna. Im bardziej oddalała się od centrum miasta, tym większe przepełniały ją radość i spokój. Ucieczka sprawiła jej wielką przyjemność.

Rozłożyła ramiona i nawiązała psychiczny kontakt ze swoją wodnicą. Istota w jednej chwili oderwała się od jej skóry i przeniknęła przez mikroskopijne pory w cienkim, bawełnianym kombinezonie. Po wielu dniach suszy i pływania w ściekach oswojony żywioł z rozkoszą zmieszał się z czystym nurtem rzeki. Wodnica, pseudożywa istota z wody, napawała się wolnością w bezmiarze wielkiej rzeki.

Swawolny nastrój wodnicy udzielił się Pengefinchess: popłynęła za nią daremnie próbując zacisnąć palce wokół jej płynnego ciała. Istota gwałtownie zmieniła kurs, zachęcając najemniczkę do zabawy.

„Pójdę w górę wybrzeża” – postanowiła Pengefinchess. „Okrażę góry, a może przejdę między szczytami Bezhek, zahaczając o skraj sawanny Wormseye. Zajdę nad Morze Zimnego Szponu”. Zaraz potem w jej pamięci zaszła zmiana: Derkhan i pozostali nagle stali się historią, sprawą minioną i zakończoną, o której być może pewnego dnia zechce co najwyżej snuć opowieści.

Otworzyła niezwykle szerokie usta, aby nabrać wielki haust wody z zimnego nurtu Egzemy. Płynąc wytrwale, minęła przedmieścia i znalazła się poza granicami Nowego Crobuzon.

ROZDZIAŁ 49

Mężczyźni i kobiety w umorusanych kombinezonach wymykali się chyłkiem z wysypiska numer dwa w Griss Twist.

Szli pieszo i jechali wozami, pojedynczo, parami lub w cztero- i pięcioosobowych grupkach. Zachowywali umiarkowane tempo, tak by nie zwracać na siebie uwagi. Ci, którzy poruszali się na własnych nogach, uginali się pod ciężarem zwojów grubego kabla lub dzielili się ładunkiem z kolegami. Ci, którzy jechali na wozach, mogli przysiąc wygodnie na szpulach przewodu odzyskanego ze śmietniska.

Wkraczali do miasta w nieregularnych odstępach czasu, na przestrzeni ponad dwóch godzin, ściśle przestrzegając harmonogramu opracowanego przez Radę Konstruktorów. Była to „przypadkowość” starannie skalkulowana.

Mały wóz konny z czterema ludźmi włączył się do ruchu na moście Cockscorn i pojechał ulicami w górę, ku centrum Spit Hearth. Posuwając się naprzód w dość wolnym tempie, skręcił w wysadzany figowcami bulwar St Dragonne. Koła z zadziwiająco cichym stukotem wjechały na deski, którymi wyłożono ulicę – było to dziedzictwo epoki ekscentrycznego burmistrza Waldemyra, który nie lubił łoskotu kół na kamiennej nawierzchni pod oknami swego domu.

Woźnica zatrzymał pojazd, zaczekał na przerwę w kolumnie wozów jadących z przeciwka, i zjechał w lewo, na małe podwórko. Bulwar był stąd niewidoczny, za to doskonale słyszalne były wszelkie odgłosy toczącego się na nim, codziennego życia

mieszkańców Spit Hearth. Wóz zatrzymał się przed wysokim murem z intensywnie czerwonej cegły, zza którego rozchodził się mocny, przyjemny zapach kapryfolium. Wiatr kiwał kępkami kwiatów, które wychylały się ponad krawędzią ściany. Za murem znajdował się ogród klasztoru Vedneh Gehantock, pielęgnowany przez ludzi-kaktusy odszczepieńców i nielicznych ludzi, mnichów i wyznawców tej roślinnej bogini.

Czterej mężczyźni zeskoczyli na ziemię i zaczęli wyładowywać narzędzia oraz ciężkie szpule kabli. Przechodnie mijali ich z rzadka, przyglądając się nieuważnie i zaraz zapominając o ich obecności.

Jeden z ludzi uniósł wysoko końcówkę przewodu i przytknął ją do klasztornego muru. Jego kolega przyłożył do grubej izolacji masywną, żelazną kłamrę, a w drugiej ręce ścisnął potężny młot. Trzy uderzenia wystarczyły, by kabel został na trwałe zakotwiczony w ceglach, na wysokości siedmiu stóp nad ziemią. Dwaj mężczyźni ruszyli wzdłuż czerwonej ściany, by powtórzyć zabieg osiem stóp dalej na zachód, a potem jeszcze raz, w całkiem przyzwoitym tempie mocując przewód.

Ich ruchy nie były ukradkowe. Pracowali zupełnie normalnie, wydajnie i szybko. Stukot ciężkiego młota wpasował się w chór typowych odgłosów miasta.

Wkrótce zniknęli za rogiem, sprawnie układając kabel w kierunku zachodnim i tocząc przed sobą masywną szpulę. Ich dwaj towarzysze pozostali przy rozszczepionej końcówce przewodu, z której skrawki miedzi i szlachetnych stopów sterczały jak wąskie płatki kwiatu.

Para monterów poprowadziła kable wzdłuż muru przecinającego Spit Hearth, wokół tylnych ścian restauracji, zapleczy butików i warsztatów stolarskich, ku strefie czerwonych latarni i dzielnicy Crow; w głąb tętniącego życiem jądra Nowego Crobuzon.

Wbijali metalowe kłamry raz wyżej, raz niżej, w cegły i w beton, omijając otwory okien i drzwi, miejscami kładąc kabel wzdłuż innych przewodów, rur z wodą lub gazem, przewodników taumatycznych oraz rdzewiejących, blaszanych rynien odpływowych niewiadomego przeznaczenia. Kabel niemal natychmiast stawał się niewidoczny, spojony z tkanką nerwową miasta.

Prędzej czy później monterzy musieli jednak pokonać kanion ulicy, wzdłuż której się posuwali, a która łagodnym łukiem skręcała na wschód. Obniżyli bieg kabla, zbliżając się do zagłębienia w jezdni, które łączyło przeciwległe chodniki. Był to rynsztok, pierwotnie przeznaczony do spławiania ścieków komunalnych, a obecnie stanowiący element kanalizacji burzowej. Szeroki na sześć cali, spinał wyloty betonowych rur, które pod żelaznymi pokrywami ginęły gdzieś w czeluściach podziemnej sieci kanałów.

Dwaj wyznawcy Boga-maszyny ułożyli kabel w rynsztoku i solidnie umocowali go kłamrami. Pracowali szybko, od czasu do czasu wycofując się przed nadjeżdżającymi wozami. Na szczęście ta część ulicy nie należała do zbyt ruchliwych i mogli wykonać zadanie zgodnie z harmonogramem.

Nadal nikt nie zwracał na nich uwagi. Pracując w skupieniu przy kolejnej tylnej ścianie budynku – tym razem była to szkoła, z okien której dobiegały gniewne szczeknięcia zapalczywych pedagogów – monterzy minęli inną ekipę robotników, zajętych osadzaniem w ziemi nowych słupów. Kopacze podnieśli głowy i wymamrotali słowa krótkiego pozdrowienia, a potem zupełnie zignorowali nowo przybyłych.

Zbliżając się do dzielnicy czerwonych latarni, wysłannicy Rady Konstruktorów skręcili w podwórze, tocząc przed sobą coraz lżejszą szpulę. Mury domów, wysokie na pięć lub więcej pięter, otoczyły ich z trzech stron. Były zbudowane z cegieł, brudne i omszałe, a długie lata zmagań z deszczami splukującymi z nieba smog

naznaczyły je siecią wyłobień. Okna rozmieszczono nierównomiernie, jakby ktoś od niechcienia skropił mury kanciastymi plamami z drewna i szkła.

Słychać było krzyki i przekleństwa mieszkańców kamienic, a także brzęk rzucanych sztućców. Małe dziecko nieokreślonej płci przyglądało się pracującym z okna na trzecim piętrze. Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie i z niepokojem popatrzyli na pozostałe okna. Nie dostrzegli jednak nikogo poza zaciekawionym smarkaczem.

Rozwinąwszy na ziemi kabel aż do końca szpuli, jeden z mężczyzn zadarł głowę, uśmiechnął się i mrugnął zawadiacko w stronę małego obserwatora. Drugi przyklęknął obok i zajrzał w dół przez grube szczelby okrągłej, żelaznej kratki ściekowej, wpuszczonej w podłogę dokładnie pośrodku podwórza.

Z ciemności kanału dobiegły słowa krótkiego pozdrowienia, a w wąskiej smudze światła pojawiła się brudna dłoń.

Monter szturchnął kolegę.

– Trafiliśmy! Już tam są... – syknął mu do ucha. Zaraz potem chwycił końcówkę rozwiniętego już kabla i spróbował wetknąć ją między szczelby kratki zamykającej studzienkę, ale szczelina była zbyt wąska. Mężczyzna zaklął i wyciągnął piłę z pudła z narzędziami. Krzywiąc się niemiłosiernie na zgrzytliwy dźwięk metalu trącego o metal, zaczął ciąć.

– Pospiesz się – odezwał się głos spod ziemi. – Coś szło za nami. Monter dokończył cięcie, odgiął żelazny szczelbel i wsunął pępowinę kabla w powiększony otwór. Jego towarzysz rozglądał się nerwowo, raz po raz zerkając na tę groteskową, odtworzoną od końca parodię narodzin.

Mężczyźni czekający pod ziemią pochwycili przewód i pociągnęli go za sobą w głąb mrocznych kanałów, ukrytych żył miasta. Dziecko przyglądało się z góry dwóm monterom, z zadowoleniem wycierając ręce o nogawki kombinezonów. Jardy ciemnego kabla znikwały szybko z cichego podwórka, aż wreszcie część wystająca pod ostrym kątem zza węgła kamienicy naprężyła się i znieruchomiła.

Zanim dwaj wyznawcy Rady Konstruktorów znikli za rogami, jeden z nich raz jeszcze mrugnął do dzieciaka w oknie na trzecim piętrze.

Wyszędłszy na ulicę, rozdzielili się bez słowa i oddalili w przeciwnych kierunkach, skąpani w blasku zachodzącego słońca.

*

Dwaj mężczyźni czekający przy klasztornym murze zadarli głowy.

Nad krawędzią domu stojącego po drugiej stronie ulicy – ponurego i wilgotnego obelisku z betonu – pojawiły się sylwetki trzech ludzi. Trzymali w rękach zwoje kabla; niewielki, ledwie czterdziestostopowy fragment z potężnej szpuli przewodu, który zdążyli już położyć, poruszając się po dachach od południowego krańca Spit Hearth.

Instalacja, którą zostawili za sobą, wiła się po skosach i płaszczyznach, między koloniami pordzewiałych rur, wspornikami gołębników i grzybowatymi naroślami na zwietrzałych dachówkach. Kołysała się łagodnie nad ulicami, umocowana do kładek na wysokości dwudziestu, czterdziestu i więcej stóp nad ziemią. Tam, gdzie rozpadliny między budynkami nie były szersze niż sześć stóp, monterzy przeskakiwali nad nimi i pozostawiali swobodnie zawieszony kabel.

Przewód zniknął za horyzontem dachów gdzieś na południowym wschodzie, gdzie zwieszał się aż do ziemi we wnętrzu oślizgłej od mułu rynny i rury spustowej, by zniknąć w kanałach ściekowych.

Monterzy podeszli do drabiny przeciwpożarowej i zaczęli schodzić. Zaciągnęli grubego kabla na pierwsze piętro, a stamtąd spojrzeli w dół, na klasztorny ogród, skąd obserwowali ich dwaj mężczyźni.

– Gotowi? – krzyknął jeden z nowo przybyłych i zamarkował ruch zrzucania czegoś na dół. Dwaj spoglądający w górę przytaknęli zgodnym ruchem głów. Trzej na dachu wzięli potężny zamach i cisnęli przed siebie resztkę grubego kabla.

Spadający przewód wił się w powietrzu jak dziki, latający wąż. Wreszcie z trzaskiem spoczął w ramionach jednego z monterów, który w samą porę stanął pod ścianą. Mężczyzna stęknął z bólu i wysiłku, ale utrzymał ciężar. Uniósł ramiona wysoko nad głowę i ze wszystkich sił naciągnął kabel, przenosząc jego końcówkę na drugą stronę ulicy.

Przytknął ją do muru otaczającego klasztor, w takim miejscu, by rozcapierzone końcówki drutów sterczące spod izolacji stykały się z tymi, które wystawały z przewodu umocowanego już przez jego towarzyszy. Drugi monter zręcznym ciosem młota przytwierdził klamrę i kabel do ściany ogrodu Vedneh Gehantock.

Czarna lina z metalu i gumy połączyła mur z dachem pobliskiego budynku, wznosząc się pod ostrym kątem nad głowami obojętnych przechodniów.

Trzej ludzie stojący na dachu wychyliłi się, obserwując działania swych kolegów na dole: jeden z monterów zaczął skręcać pozbawione izolacji druty, tworząc skomplikowane połączenie dwóch grubych kabli. Pracował szybko, gołymi rękami, póki metalowe skrawki nie utworzyły paskudnego i z pozoru chaotycznego, ale w rzeczywistości dobrze przemyślanego węzła.

Wtedy otworzył torbę z narzędziami i wyjął z niej dwie małe buteleczki. Potrząsnął nimi lekko i wyjął zatyczkę z pierwszej. Wylał jej zawartość na płataninę drutów, które zdawały się nasiąkać lepkim płynem. Identycznie postąpił z cieczą z drugiego pojemnika. Dwie substancje natychmiast weszły w burzliwą, dobrze słyszalną reakcję. Mężczyzna cofnął się nieco i wyciągniętą ręką dokończył wylewanie odczynnika. Zamknął oczy, gdy z gwałtownie rozgrzewającego się metalu buchnął dym.

Chymikalia zmieszały się i zapaliły, a temperatura reakcji była tak wysoka, że ręcznie skręcone końcówki kabli stopiły się ze sobą.

Kiedy metal ostygł, dwaj monterzy przystąpili do realizacji ostatniej fazy swej misji. Gęstą, smolistą farbą pokryli starannie wszystkie połączenia, tworząc grubą i trwałą powłokę izolacyjną.

Trzej mężczyźni na dachu uśmiechnęli się z zadowoleniem. Po chwili odwrócili się i zniknęli za grzbietami dachówek, by zaraz potem rozplynać się w mieście jak dym na silnym wietrze.

Na linii Griss Twist – Crow dokonywano wielu podobnych operacji.

Grupy mężczyzn i kobiet przemierzały labirynt tuneli kanalizacyjnych – wilgotnych, cuchnących i pełnych niepokojących dźwięków. Ich praca została w miarę możliwości zorganizowana, tak by każdą z większych ekip prowadził ktoś, kto miał przynajmniej ogólne pojęcie o podziemnym mieście: pracownik służb kanalizacyjnych, inżynier lub złodziej. Wszyscy zaopatrzyli się w mapy, pochodnie i pistolety, a od Rady Konstruktorów dostali bardzo szczegółowe instrukcje. Ekipy liczące dziesięć i więcej osób taszczyły ze sobą po kilka ciężkich zwojów przewodu,

mocując go w marszu do rur biegnących pod sklepieniem tuneli. Kiedy kończył się kabel, monterzy spajali go z następnym kawałkiem i kontynuowali wędrówkę.

Opóźnienia zdarzały się wtedy, gdy któraś z grup gubiła drogę w ciemnościach i zbaczała w niebezpieczne strony: ku gniazdom ghuli lub kryjówek podziemców. Szczęściem, przygody te kończyły się szybkim odwrotem i cichym wołaniem o pomoc, a nie konfrontacją.

Kiedy wreszcie dochodziło do spotkania dwóch grup, które wywiązały się ze swych zadań – zwykle w przestronnym kolektorze lub pomieszczeniu technicznym przylegającym do kanału – pozostawało im już tylko jedno: połączenie końcówek grubych kabli za pomocą chymikaliów, palników lub podwórkowej taumaturgii.

Zespoły, które kończyły pracę, natychmiast wychodziły na powierzchnię i rozpraszały się.

W nie rzucających się w oczy miejscach – w głębi zapomnianych zaułków lub wąskich przejściach między budynkami – kable były wyprowadzane spod ziemi i przekazywane w ręce ludzi pracujących na ulicach. Ci ciągnęli je dalej, za magazynami, po zawilgoconych schodach, ponad dachami i wzdłuż tętniących chaosem ulic, gdzie banalność wykonywanej pracy czyniła ich absolutnie niewidzialnymi.

Tam, gdzie spotykali następnych, starannie łączyli przewody, izolowali je i znikali bez śladu.

W swej przenikliwości Rada Konstruktorów wzięła pod uwagę i taką możliwość, że niektóre ekipy zaginą, nie dotrą do punktów zbornych. Dlatego też wzdłuż trasy, którą miała przebiegać magistrala danych, zostały rozstawione zapasowe zespoły monterów. Ukryci w bramach domów i nad brzegami kanałów, wyznawcy Bosmecha czekali na sygnał, trzymając w pogotowiu narzędzia i szpule kabla.

Jednak szczęście sprzyjało ich kolegom. Zdarzyło się kilka nieprzewidzianych sytuacji, spóźnień i chwilowych napadów paniki, ale żadna z ekip nie przepadła bez wieści, wszystkie wypełniły swą misję. Zmiennicy pozostali bezczynni.

Długa i kręta magistrala danych przepoławiała Nowe Crobuzon. Wiła się ulicami i kanałami na przestrzeni ponad dwóch mil. Czarna guma izolująca wiązkę przewodów nurzała się w szlamie fekaliiów, ginęła w masie bujnych mchów i gnijącego papieru, w nigdy nie strzyżonych krzakach, na zapomnianych trawnikach – gdzie przecinała ścieżki znane jedynie zdziczałym kotom i bandom uliczników – a w wielu miejscach zaznaczała swą obecność wprost na dziełach architektury, okrytych kurzem i wilgotnym, ceglany pyłem.

Kabel wił się niestrudzenie, kluczył rozpalonymi słońcem ulicami jak ryba uparcie dążąca na tarlisko, którym miał być dla niego gigantyczny monolit w sercu Nowego Crobuzon.

*

Zachodzące słońce przydawało szczytom gór na zachód od miasta szczególnego majestatu, lecz nawet one nie mogły się równać z chaotycznie pięknym, olbrzymim gmachem Dworca Perdido.

Na jego niezmierzonej, ponurej fasadzie okna płonęły odbitym blaskiem czerwonego słońca, a rozświetlone od wewnątrz pociągi wpadały do pięciu paszcz dworca niczym ofiarne zwierzęta. Niebosięzny Szpikulec przebijał chmury jak

włócznie barbarzyńcy, lecz i jego ogrom nic nie znaczył przy gabarytach głównego gmachu dworca; był ledwie betonowym dodatkiem do niesławnego lewiatana, który z satysfakcją wynurzał się z głębin morza-miasta.

Kabel, który wił się w stronę owej bestii wzniesionej ludzką ręką, kołysał się na dachach Nowego Crobuzon jak na oceanicznych falach.

Zachodni fronton budynku Dworca Perdido piętrzył się ponad placem BilSantum. Był to skwer nieprzeciętnej urody; wielki i zazwyczaj zatłoczony mrowiem ludzi i wozów, krążących wokół małego parku zajmującego centralną jego część. W bujnej zieleni owej kępy drzew roiło się od żonglerów, magików i hałaśliwych straganiarzy. Obywatele odwiedzający plac byli zazwyczaj obojętni na groźny urok monumentalnej budowli, która przesłaniała im pół nieba. Niektórzy z przyjemnością spoglądali co najwyżej na dolną część frontonu, zwłaszcza wtedy gdy zachodzące słońce wydobywało z cienia wszystkie detale bogato zdobionej ściany, mieniające się jak w kalejdoskopie: sztukaterie i drewniane płaskorzeźby błyszcząły różem, cegły pulsowały krwawą czerwienią, a żelazne belki połyskiwały intensywnym światłem.

Ulica BilSantum, która brała swój początek od placu, przebijała się pod wysokim łukiem łączącym główną bryłę gmachu ze Szpikulcem. W dolnych partiach sylweta Dworca Perdido nie zaznaczała się zbyt wyraźnie; jej brzegi przenikały się i zlewały z otoczeniem: niższe wieżyczki przechodziły niepostrzeżenie w dachy zwyczajnych, przeciętnych domów. Betonowe płyty, które stanowiły ich wierzchnią warstwę, spływały coraz niżej po okolicznych budowlach, by nagle stać się częścią paskudnego nabrzeża nad jednym z kanałów. W miejscach, gdzie pięć linii kolejowych wznosiło się ponad dachami domów i znikало we wnętrzu dworca, wielkie łuki z cegieł wychylały się z murów gmachu i wspierały wiadukty, jakby architektura wylała się niespodziewanie poza narzucone jej kształty.

Ulica Perdido była dość wąskim i długim traktem, biegnącym prostopadle do BilSantum i wijącym się na wschód, w kierunku Gidd. W zasadzie nikt nie wiedział, dlaczego była niegdyś tak ważna, że użyczyła swej nazwy największej stacji kolejowej Nowego Crobuzon. Była byle jak wybrukowana kocimi łbami, a stojące przy niej domy – choć nie waliły się jeszcze – zdecydowanie wymagały generalnego remontu. Być może ulica ta wyznaczała niegdyś północną granicę Dworca Perdido, ale czasy te dawno minęły. Rozliczne dobudówki należące do wielkiego gmachu sięgały już daleko ponad i poza biegnący dołem trakt.

Nowe magazyny i pokoje należące do stacji przeskoczyły nad ulicą i rzuciły się na dachy sąsiednich domów jak pleśń, przemieniając krajobraz na północ od ulicy BilSantum. W niektórych miejscach ulica Perdido biegła pod otwartym niebem, w wielu innych zakrywało ją łukowate sklepienie z cegieł, ozdobione gargulcami i wsparte na żelazno-drewnianych słupach. Tam, w wiecznym cieniu dworcowego podbrzusza, dzień i noc paliły się gazowe latarnie.

Mimo to przy ulicy Perdido wciąż stały domy mieszkalne. Obywatele budzili się w nich co rano w cieniu ponurego wybryku architektury i szli do pracy, każdego ranka wychodząc i powracając do strefy półmroku.

Z góry często dochodził tupot ciężko obutych stóp. Od zachodu gmach stacji, włącznie ze sporą częścią dachu, był dobrze strzeżony. Prywatni ochroniarze, obcy żołnierze i milicjanci – w mundurach i po cywilnemu – patrolowali fasadę i górzysty krajobraz z dachówek i gliny, pilnując ambasad, banków, sklepów i urzędów zajmujących niezliczone sale budynku. Snuli się starannie opracowanymi trasami po żelaznych kładkach otaczających strzeliste iglice, po szerokich gzymsach przed zakratowanymi oknami i po ukrytych wśród stromizn dachu, osłoniętych od wiatru

tarasach. Ci, którzy patrolowali najniższe partie gmachu, baczным okiem przyglądali się też temu, co działo się na okolicznych placach i ulicach wielkiego miasta.

Jednak we wschodniej części budynku Dworca Perdido, gdzie znajdowała się setka wejść do siedzib firm i niewielkich sklepów, ochrona nie była już tak szczelna. Tu gigantyczna konstrukcja nie była zbyt rzęsiście oświetlona, a o zachodzie słońca jej mroczna bryła rzucała wielki cień na niemałą część dzielnicy Crow.

W pewnej odległości od serca miasta, gdzieś między Dworcami Perdido a Gidd, linia Dexter przebiegała obok starego, niewysokiego biurowca, przed laty zniszczonego pożarem.

Ogień nie uszkodził ścian budynku, ale doprowadził do bankructwa rezydujące w nim firmy. Osmalone pokoje i sale były puste, a jedynymi ich mieszkańcami byli włóczędzy, którym nie przeszkadzał smród spalenizny, utrzymujący się uparcie niemal od dziesięciu lat.

*

Po ponad dwóch godzinach uciążliwego i powolnego marszu Isaac i Yagharek dotarli do wypalonej skorupy budynku i zaraz za progiem z niewymowną ulgą osunęli się na betonową podłogę. Andrejowi, który mógł ocknąć się lada moment, związali ręce i nogi, a w usta na powrót wetknęli knebel. Dopiero wtedy posilili się nieco resztką zapasów i usiedli w ciszy, czekając.

Niebo było jeszcze jasne, ale biurowiec stał w cieniu wielkiego dworca. Od zmierzchu dzieliła ich co najwyżej godzina, a noc miała zapaść wkrótce potem.

Gdy zaczęli cicho rozmawiać, Andrej odzyskał przytomność. Natychmiast rozległy się jego stłumione jęki i błagania o pomoc, ale Isaac był zbyt zmęczony i przygnębiony, by czuć się winnym – zdobył się tylko na jedno spojrzenie w stronę starca.

O siódmej za wybrzuszonymi od ognia drzwiami rozległ się cichy szmer, zdecydowanie nie należący do dźwięków ulicy. Isaac ścisnął w dłoniach skałkówkę i gestem nakazał Yagharkowi milczenie.

Po chwili w drzwiach stanęła Derkhan – wycieńczona i brudna, z twarzą usmarowaną kurzem i smarem. Wstrzymując oddech, przeszła przez próg i zamknęła wypaczone skrzydło, po czym z jękiem ulgi oparła się o nie i osunęła na ziemię. Podniosła się wkrótce, by podejść do Isaaca i Yagharka. Uścisnęła ich dłonie i szeptem wymienili pozdrowienia.

– Zdaje się, że ktoś obserwuje to miejsce – powiedziała Derkhan. – Stoi po drugiej stronie ulicy, pod markizą sklepiku z tytoniem. Nie widziałam jego twarzy, ma na sobie zielony płaszcz.

Isaac i Yagharek mimowolnie napięli mięśnie. Garuda podszedł szybko do zabitego deskami okna i wyjrzał przez dziurę po sęku.

– Nikogo tam nie ma – stwierdził po chwili. – Mimo wszystko czułbym się bezpieczniej, gdybyśmy weszli piętro lub dwa wyżej, na wypadek niespodziewanej wizyty.

Teraz, kiedy Isaac mógł bez obawy prowadzić Andreja na muszce pistoletu, wejście po schodach nie było wielkim problemem. Ostrożnie wspięli się na wyższą kondygnację, zostawiając ślady stóp na pokrytych sadzą stopniach.

Na ostatnim piętrze otwory okienne nie miały ani szyb, ani deskowania – rozpościerał się za nimi widok na strome dachy ciągnące się aż po monolityczny gmach Dworca Perdido. Isaac i jego towarzysze czekali na zmrok. I wreszcie, kiedy na ulicach zapaliły się pomarańczowe latarnie, Yagharek stanął na okiennym parapecie i zeskoczył na omszały mur łączący porzucony budynek z dachem sąsiedniego domu. Szybko pokonał pięć stóp dzielące go od splowiałych gąsiorów spinających połacie dachówek, ciągnące się nieprzerwanie wzdłuż linii Dexter aż po ciemny gmach Dworca Perdido, który piętrzył się na zachodzie, nakrapiany przypadkowo rozrzuconymi światłami, niczym uwiązana do ziemi konstelacja gwiazd.

Po chwili garuda był już tylko niewyraźną sylwetką na tle ciemnego nieba. Przyglądał się uważnie krajobrazowi kominów i stromizn. Nikt go nie obserwował. Yagharek odwrócił się w stronę wybitego okna i gestem nakazał towarzyszom, by ruszyli za nim.

Dla starego i schorowanego Andreja wędrówka wąskim szlakiem dachów była szczególnie uciążliwa. Nie umiał na przykład zeskakiwać pięć stóp w dół, kiedy było to konieczne. Isaac i Derkhan pomagali mu; jedno podtrzymywało go z cokolwiek makabryczną delikatnością, podczas gdy drugie mierzyło z pistoletu w jego czaszkę.

Rozwiązali mu ręce i nogi, by choć trochę ułatwić poruszanie się po dachach, ale knebel pozostał na swoim miejscu. Krzyki i jęki chorego mogłyby sprowadzić na nich kłopoty.

Andrej chwiał się i potykał, zagubiony i przerażony jak dusza na przedmieściach Piekła, wędrując pomału w stronę nieuchronnej zagłady.

Dachowy szlak, którym się poruszali, biegł równoległe do linii kolejowej Dexter. Mijały ich pociągi pędzące z rykiem w obie strony, buchające na boki kłębami pary i dymu z cząstkami sadzy. Nie zważając na nie, uparcie posuwali się w kierunku dworca.

Wkrótce krajobraz zaczął się zmieniać. Mocno nachylone dachy sięgały coraz wyżej i trzeba było wspinać się na nie lub szukać bocznych dróg: betonowych gzymsów na stojących obok wysokich domach. Od czasu do czasu wędrowcy musieli chyłkiem przemykać pod oknami i wspinać się po żelaznych drabinkach na niskie, krępe wieżyczki. Mury domów, które mieli pod sobą, drżały i pomrukiwały od wibracji pracujących w nich maszyn. Nie musieli już spoglądać w dal ku dachom Dworca Perdido, teraz wystarczyło zadrzeć głowę ku górze. Niepostrzeżenie minęli punkt, w którym skończyła się uliczna zabudowa, a zaczęły dobudówki i tarasy gigantycznego gmachu.

Tam, gdzie było to możliwe, renegaci i ich jeniec starali się unikać wspinaczki. Przemykali po gzymsach i kładkach, rozglądając się nerwowo. Isaac coraz częściej z niepokojem spoglądał w prawo, w stronę dalekiego chodnika, niewidocznego już zza kurtyny kominów i pochyłych dachów.

– Idźcie teraz ciszej i ostrożniej – szepnął. – Tutaj możemy spotkać strażników. – Na północnym wschodzie, obok łagodnej krzywizny muru widać było fragment ulicy znikającej pod sklepieniem gmachu. Isaac wyciągnął rękę w jej stronę. – Tam, przy ulicy Perdido – dodał półgłosem, zakreślając ręką płaski łuk. Nieco dalej Perdido krzyżowała się z Cephalic Way, wzdłuż której wędrowali. – Tam mamy spotkanie. Ludzie z kablem powinni już czekać. Pójdziesz, Yag?

Garuda oddalił się bez słowa w kierunku wysokiego budynku, na ścianie którego wisiała pordzewiała rura spustowa. Dla człowieka-ptaka była ona świetną drabiną, po której w okamgnieniu mógł zejść aż na poziom ulicy.

Isaac i Derkhan wolno ruszyli przed siebie, lufami pistoletów delikatnie popychając Andreja. Dotarłszy dachami do skrzyżowania ulic, usiedli znużeni, by zaczekać na znak od Yagharka.

Grimnebulin spojrział w niebo, na którym jedynie najwyżej płynące chmury chwytały jeszcze odrobinę słonecznego światła. Potem popatrzył na zrozpaczonego Andreja, którego zakneblowaną twarz wciąż wykrzywiał błagalny grymas. Z głębi miasta dochodziły pierwsze odgłosy nocnego życia.

– Koszmary jeszcze się nie zaczęły – mruknął Isaac. Spoglądając na Derkhan, wysunął dłoń tak, jakby sprawdzał, czy pada deszcz. – Nic nie czuję. Pewnie ćmy jeszcze nie wyleciały z kryjówek.

– A może liżę rany? – zasugerowała ponuro kobieta. – Może w ogóle nie przylecą i wszystko to... – tu na ułamek sekundy przeniosła wzrok na Andreja - ...może wszystko to na nic?

– Na pewno przylecą – odparł Isaac. – Obiecuję ci. – Nie chciał mówić o jakichkolwiek kłopotach; bał się nawet myśleć o tym, że sprawy mogłyby przyjąć niepomyślny obrót.

Po chwili milczenia oboje z Derkhan nagle zdali sobie sprawę, że obserwują Andreja. Starzec oddychał powoli, strzelając przekrwionymi oczami na prawo i lewo, z każdą chwilą silniej sparaliżowany strachem. „Moglibyśmy zdjąć mu ten knebel” – pomyślał Isaac. „Pewnie nie ośmieliłby się krzyzcze... ale może zaczęłby mówić”.

Knebel pozostał na swoim miejscu.

Gdzieś w pobliżu rozległo się ciche skrobanie. Isaac i Derkhan spokojnie i szybko unieśli broń, ale opuścili ręce, gdy tylko nad krawędzią dachu pojawiła się pierzasta głowa Yagharka. Garuda wspiął się wyżej i ruszył w ich stronę po pochyłej płaszczyźnie. Na ramieniu trzymał gruby zwój kabla.

Isaac pomógł zataczającemu się Yagharkowi donieść ciężar na szczyt dachu.

– Przyniosłeś! – syknął z zadowoleniem. – Więc jednak czekali!

– Zaczynali się denerwować – odparł garuda. – Wyszli z kanałów ponad godzinę temu. Bali się, że zostaliśmy złapani lub zabici. To ostatni kawałek przewodu. – Yagharek rzucił zwój pod stopy ludzi. Kabel był cieńszy od tego, który tworzył zasadniczą część magistrali: miał mniej więcej cztery cale średnicy, a okrywała go dość wątkowa warstewka gumy. Fragment, który garuda wciągnął na górę, miał nie więcej niż sześćdziesiąt stóp długości.

Isaac przyklęknął, żeby przyjrzeć się przewodowi. Derkhan spojrzała nań z ukosa, trzymając na muszce siedzącego Andreja.

– Myślisz, że dobrze podłączyli? – spytała. – Będzie działać?

– Nie wiem – odparł z westchnieniem uczonej. – I nie będę wiedział, póki nie włączę mojej aparatury, zamykając obwód – dodał, zarzucając zwój kabla na ramię. – Nie ma go aż tyle, ile chciałem dostać. Nie zbliżymy się zbyt do centralnej części Dworca Perdido. – Isaac zacisnął zęby i rozejrzał się. „To i tak nie ma znaczenia” – pomyślał. „Wybrałem ten gmach tylko po to, żeby powiedzieć coś Radzie; żeby oddalić się od wysypiska, zanim dojdzie do... zdrady”. Jednak gdzieś w głębi duszy żałował, że nie będzie mógł uruchomić instalacji w samym sercu budowli, jak gdyby w jej olbrzymich murach drzemała tajemna, sprzyjająca mu siła.

Odwrócił się ku południowemu wschodowi, by popatrzeć na pejzaż dachów o stromych bokach i płaskich szczytach. Wyglądały jak ogromne schody, urywające się przed wielką ścianą z poplamionego wilgocią betonu. Dachy-stopnie pięły się jeszcze na dobrych czterdzieści stóp w górę. Isaac miał nadzieję, że ostatni z nich, przylegający do muru w kształcie litery L będzie płaski i pusty.

– Tam – szepnął. – Tam właśnie pójdziemy.

ROZDZIAŁ 50

W połowie drogi przez dachy-schody Isaac i jego towarzysze spotkali pierwszego człowieka.

Skradali się chyłkiem, gdy nagle rozległ się pijacki głos pełen oburzenia. Grimnebulin i Blueday natychmiast sięgnęli po pistolety, ale nie musieli ich użyć. Obszarpany pijak zerwał się z zasmolowanego kąta na płaskim dachu. Uczynił to błyskawicznym, niemal nieludzkim ruchem, a potem popędził w dół, gubiąc po drodze strzępy brudnej odzieży.

Później mijali jeszcze wielu nielegalnych mieszkańców dachów. Tu i ówdzie, na osłoniętych od świata, napowietrznych podwórkach paliły się ogniska, doglądane przez ciemne, wychudłe postacie. Śpiący kulili się w kątach obok masztów i wieżyczek. Było to alternatywne, znacznie bardziej wyciszone społeczeństwo; plemię wysokogórskie, mieszkańcy zdumiewającej niszy ekologicznej.

Wysoko nad ich głowami przepływały napuchnięte aerostaty, podobne do nieporadnych, hałaśliwych drapieżców. Błyskając światłami, patrolowały nocne niebo.

Isaac poczuł ulgę, kiedy okazało się, że ostatni dach jest płaski, ma kształt kwadratu o bokach długości piętnastu stóp i że z dwóch stron zamykają go mury wyższych kondygnacji dworca. Był wystarczająco duży. Uczony machnął pistoletem, wskazując Andrejowi miejsce, w którym miał usiąść. Wyczerpany starzec usłuchał z rezygnacją; rzucił się w daleki kąt dachu i objął ramionami podkulone nogi.

– Yag – powiedział Isaac. – Trzymaj straż. – Garuda rzucił na podłóżę ostatnie zwoje kabla, który ciągnęli ze sobą na górę, i zajął pozycję na samym skraju otwartej przestrzeni, bacznie rozglądając się po niżej położonych tarasach i stromiznach dachów. Isaac zachwiał się nagle pod ciężarem worka, który dźwigał na plecach. Ostrożnie ustawił go na zasmolowanym betonie i zaczął wypakowywać sprzęt.

Trzy hełmy z lusterkami, z których jeden od razu założył na głowę. Derkhan zabrała dwa pozostałe i wręczyła jeden Yagharkowi. Cztery maszyny analityczne wielkości sporych maszyn do pisania. Dwa duże ogniwa chemiczno-taumatyczne. Generator z napędem zegarowym, konstrukcji kheprich. Kilka przewodów łączących. Dwa duże hełmy łączników, takie jak ten, którego użyła Rada Konstruktyw, by schwytać pierwszą ćmę. Pochodnie. Proch strzelniczy i kule. Plik kart perforowanych. Kilka transformatorów i konwerterów taumatycznych. Miedziane obwody niewiadomego przeznaczenia. Nieduże silniki i dynama.

Wszystko, co Isaac wyciągał z worka, było stare, poobijane i brudne. Była to żalonna sterta komponentów z odzysku, niewiele różniących się od śmieci.

Uczony przykucnął obok nich i rozpoczął przygotowania.

Głowa kołysała mu się na boki pod ciężarem hełmu. Sprzągł razem dwie maszyny liczące, czyniąc z nich miniaturową, dość potężną sieć. Następnie zabrał się do znacznie trudniejszej pracy: tworzenia spójnej instalacji z pozostałych, na pozór nie związanych ze sobą elementów.

Silniki zostały połączone z przewodami, a te z większą z maszyn analitycznych. Mniejsza wymagała jeszcze drobnej regulacji mechanizmu. Isaac zmienił jej konstrukcję. Zawory tworzące jej mózg nie były już zwykłymi, binarnymi przełącznikami napędzanymi parą. Zostały dostrojone tak, by pracować na danych niejasnych i wątpliwych, w szarej strefie matematyki kryzysowej.

Wcisnął końcówki kabli w gniazda odbiorników, uzbrajając maszynę kryzysową w dynama i transformatory, zdolne przemienić jedną formę energii w inną. Skomplikowany obwód rozrastał się stopniowo, zajmując niemal całą powierzchnię płaskiego dachu.

Ostatnim elementem, który Isaac wyciągnął z torby i podłączył, było byle jak pospawane, czarne pudełko z blachy, nie większe od buta. Uczony chwycił końcówkę grubego kabla – elementu wielkiej, partyzanckiej roboty, której owocem, dzięki geniuszowi sztucznej inteligencji ukrytej gdzieś na wysypisku w Griss Twist, była ponad dwumilowa, precyzyjnie wykonana instalacja – i sprawnie powtykał luźne druty w otwory czarnego pudełka. Kiedy skończył, spojrzął na Derkhan, która przyglądała się jego poczynaniom, trzymając na muszce pistoletu skulonego Andreja.

– To przerywacz – powiedział. – Element rozłączający instalację. Umożliwia przepływ danych tylko w jedną stronę. Odcinam Radę Konstruktywistów od mojej maszyny – wyjaśnił, klepiąc czule podzespoły swego dzieła. Derkhan skinęła głową. Isaac zerknął w niemal zupełnie czarne niebo i zacisnął wargi, a potem znowu popatrzył na reporterkę. – Nie możemy pozwolić, żeby ten popaprany konstruktor położył łapę na maszynie kryzysowej. Musimy trzymać się od niego z daleka – dodał, poprawiając złącza aparatu. – Pamiętasz, co nam powiedział? Że jego awatar był martwym ciałem znalezionym w rzece. Gówno prawda! To ciało żyje... Nie ma mózgu, to oczywiste, ale serce bije, a płuca wciąż oddychają powietrzem. A to dlatego, że Rada Konstruktywistów wyjęła umysł z czaszki człowieka, który jeszcze żył. Gdyby było inaczej, ciało zgniłoby i nie istniałby żaden awatar. Sam nie wiem, jak to się odbyło... Może któryś z szaleńców tworzących kongregację postanowił złożyć życie w ofierze, a może... Może to nie był ochotnik. Tak czy inaczej, Rada Konstruktywistów bez skrupułów zabija ludzi i inne istoty, jeśli tylko uzna to za pożyteczne działanie. Nie ma w niej empatii, nie ma zasad moralnych – ciągnął Isaac, mocując się ze szczególnie opornym kawałkiem metalu. – Jest tylko... zimno kalkulująca inteligencja. Kwestia ceny i zysku. Rada próbuje... maksymalizować samą siebie. Zrobi wszystko, co będzie musiała: okłamać nas, zabije, byle tylko zwiększyć własną potęgę.

Isaac umilkł na chwilę, a potem znowu spojrzął na Derkhan.

– Wiesz – odezwał się cicho – ona tylko dlatego tak bardzo chce mieć moją maszynę kryzysową. Tak się jej domagała, że zacząłem się zastanawiać... I dlatego dodałem ten element – wyjaśnił, gładząc lampy przerywacza. – Gdybym podłączył system bezpośrednio do Rady Konstruktywistów, mogłaby dostać zwrotne dane z maszyny kryzysowej i przejąć nad nią kontrolę. Nie wie jednak, że użyłem przerywacza; to dlatego tak ochoczo zgodziła się na współpracę. Nie umie jeszcze zbudować własnej maszyny i stawiam zadek Jabbera na to, że pomaga nam tylko po to, żeby zmienić ten stan rzeczy. Dee, Yag, czy wy wiecie, co ta maszyna potrafi? Oczywiście jest tylko prototypem... ale jeśli zadziała tak, jak powinna, jeśli kiedyś zbuduję bardziej solidną wersję, jeśli dopracuję parę szczegółów... czy wiecie, do czego wtedy będzie zdolna? Do wszystkiego. – Isaac umilkł na moment, nie przerywając podłączania kabli. – Stan kryzysu istnieje wszędzie. Jeżeli moja maszyna wykryje pole energii kryzysowej, włączy się w nie, ukierunkuje... naprawdę będzie mogła wszystko. W tej chwili ograniczają mnie jedynie problemy natury obliczeniowej. To, czego oczekuje się od maszyny, powinno być wyrażone matematycznie. Dlatego potrzebuję kart perforowanych... Ale mózg tej przeklętej Rady Konstruktywistów od początku do końca funkcjonuje matematycznie. Jeśli to bydlę podłączy się do maszyny kryzysowej, jego wyznawcy przestaną być szaleńcami... Wiecie, że oni nazywają Radę „Bogiem-maszyną”? Otóż może się okazać, że... będą mieli rację.

Zapadła cisza. Andrej wodził oczami po trzech postaciach, nie rozumiejąc ani słowa z tego, o czym mówiono.

Grimnebulin pracował w milczeniu. Próbował wyobrazić sobie miasto pod rządami Rady Konstruktorów. Myślał o tym, że olbrzym władający wysypiskiem mógłby połączyć się najpierw z małą maszyną kryzysową, a potem budować jej coraz to większe wersje, spajając je z materią swego ciała, wkładając w nie całą swą taumatyczną, elektryczną i parową moc. Monstrualnej wielkości zawory łomotałyby gdzieś w głębinach wysypiska, zakrzywiając i raniąc tkankę świata z taką łatwością, z jaką czyniły to ostre pazury Tkacza. A wszystko to pod dyktando niezmiernie, zimnej inteligencji, czystej i świadomej, a przy tym kapryśnej jak dziecko.

Isaac ścisnął w rękach czarną obudowę przerywacza i potrząsnął nią lekko, modląc się w duchu, by mechanizm był sprawny.

Zaraz potem z ciężkim westchnieniem sięgnął po gruby plik kart perforowanych, które wybił dla niego konstruktor-olbrzym. Każda z nich była opisana równiutkim, drukowanym tekstem. Isaac zadął głowę i z niepokojem spojrzał w niebo.

– Nie ma jeszcze dziesiątej, prawda? – spytał. Derkhan pokręciła głową. – I jakoś nie wyczuwam nic w powietrzu... Czy jeszcze nie wyruszyły na łowy. Musimy być gotowi, zanim się pojawią.

Isaac pochylił się nad aparaturą i pociągnął dźwignie dwóch ogniów chemicznych. Składniki ukryte we wnętrzu zaczęły się mieszać. Rozległo się stłumione syczenie, a potem zawory zastukały rytmicznie, gdy prąd wzbudzony reakcją popłynął przez skomplikowany obwód. Aparatura zgromadzona na dachu z głośnym pomrukiem obudziła się do życia.

Maszyna kryzysowa zaczęła działać.

– Na razie tylko oblicza – mruknął nerwowo Isaac. Derkhan i Yagharek spojrzeli nań pytająco. – Jeszcze nie zaczęła na dobre pracować, musi najpierw odczytać instrukcje.

Uczony metodycznie wsuwał karty perforowane w szczeliny mózgow parowych. Większość danych płynęła wprost do maszyny kryzysowej, lecz niektóre wpadały w obwody urządzeń pomocniczych, spiętych z nią krótkimi pętlami kabla. Isaac przyglądał się każdej karcie, porównując rozkład otworków z własnymi notatkami i naprędce sprawdzając najważniejsze obliczenia.

Maszyny klekotały, wsuwając karty perforowane w zębki czytników i uważnie dekodując zakodowane w nich instrukcje, by zapamiętać je w swych analogowych umysłach. Isaac nie mógł zbyt szybko – za każdym razem czekał na kliknięcie oznaczające poprawne przetworzenie danych, zanim wysunął kartę ze szczeliny i zastąpił ją nową.

Na porwanych świstkach papieru nieustannie kreślił notatki, zrozumiałe tylko i wyłącznie dla niego. Oddychał coraz szybciej, niespokojnie.

Niespodziewanie zaczął padać deszcz. Wielkie krople spadały wolno i rozpryskiwały się leniwie, ciepłe i gęste jak ropa. Noc była blisko, a rozmazane na niebie chmury deszczowe potęgowały wrażenie mroku. Isaac pracował coraz szybciej, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że jego palce są idiotycznie duże i niezręczne.

Nagle wszyscy zaczęli wyczuwać w powietrzu coś dziwnego, nieprzyjemnego, ciężkiego; coś, co przytłaczało duszę i przenikało kości. Wrażenie obcowania z czymś nieznanym, ukrytym i złowrogim, a jednocześnie bliskim, jakby zakorzenionym głęboko, na dnie umysłu.

– Isaacu – jęknęła Derkhan łamiącym się głosem. – Musisz się pospieszyć. Zaczyna się.

Roje koszmarów i złych przeczuć spadały na nich wraz z ciężkimi kroplami deszczu.

– Są tam, w górze – wyszeptała przerażona Derkhan. – Zaczęły polowanie... Prędkiej, Isaacu, prędkiej...

Uczony bez słowa skinął głową. Robił swoje, otrząsając się od czasu do czasu, jakby w ten sposób mógł odpędzić strach, który osiadał na nim z kroplami dżdżu. „Gdzie się podziewa ten cholerny Tkacz?” – myślał.

– Ktoś obserwuje nas z dołu – odezwał się nagle Yagharek. – Jeden z włóczęgów, którzy nie uciekli przed nami. Nie rusza się.

Isaac na moment uniósł głowę i zaraz wrócił do pracy.

– Weź mój pistolet – mruknął. – Jeśli zaczniesz iść w naszą stronę, odstraszę go strzałem. Miejmy nadzieję, że będzie rozsądny... – Ani na chwilę nie przestawał podłączać, skręcać, wbijać kodów numerycznych z małych klawiatur i siłować się z kartami perforowanymi, które nie chciały wchodzić w szczeliny czytników. – Prawie gotowe... – mamrotał – prawie gotowe...

Wrażenie ucisku, dryfowania w gęstej zupie ponurych snów, wzmagало się z każdą chwilą.

– Isaacu... – syknęła Derkhan.

Andrej zapadł w dziwny, niespokojny półsen; zaczął rzucać się i jęczeć, raz po raz otwierając mętne oczy.

– Gotowe! – zawołał Grimnebulin i odsunął się o krok od maszyny. Nie odzywali się przez chwilę. Entuzjazm Isaaca minął dość szybko. – Potrzebujemy Tkacza! – krzyknął. – Miał przecież... Powiedział, że przyjdzie! Bez niego nic nie wskóramy...

Mogli jedynie czekać.

Fetor chorych snów nasilał się, a z różnych punktów miasta coraz częściej dochodziły krzyki śpiących, ogarniętych półświadomym lękiem. Krople deszczu zmieniły się w strugi, a betonowy dach stał się śliski. Isaac próbował zakryć brudnym workiem najważniejsze elementy maszyny kryzysowej, by ochronić je przed wilgocią.

Yagharek wpatrywał się w napięciu w błyszczący od wody krajobraz dachów. Kiedy jego umysł napełnił się koszmarami i przestał odczuwać cokolwiek poza strachem, odwrócił się i kontynuował wartę, śledząc widoczne w mroku kształty za pomocą lusterek. Co chwilę powracał wzrokiem do zamazanej, nieruchomej postaci.

Isaac i Derkhan przyciągnęli Andreja nieco bliżej aparatury (znowu z tą ohydną ostrożnością, jakby zależało im na dobrym zdrowiu i wygodzie więźnia). Reporterka mierzyła do starca z pistoletu, gdy uczony zakładał więzy na jego kostki i nadgarstki, a następnie mocował na jego głowie jeden z hełmów, jakimi posługiwali się łącznicy. Isaac konsekwentnie starał się nie patrzeć na twarz Andreja.

Po chwili hełm tkwił mocno na swoim miejscu. Oprócz tuby wyjściowej, umocowanej na czubku, blaszane nakrycie głowy miało też trzy gniazda wejściowe. Pierwsze służyło do połączenia z innym hełmem. Drugie poprzez sieć kabli łączyło się z mózganymi parowymi i generatorami maszyny kryzysowej.

Isaac startł brudną wodę z końcówki trzeciego kabla i podłączył go do grubej wtyczki wystającej z czarnego przerywacza, a poprzez nią – do długiego kabla spinającego serce miasta z wysypiskiem w Griss Twist, na południowym brzegu rzeki, gdzie rezydowała Rada Konstruktorów. Impulsy miały płynąć z maszyny analitycznej będącej umysłem olbrzyma przez jednokierunkowy przerywacz, do hełmu Andreja.

– To jest to... to jest to... – powtarzał w napięciu Isaac. – Teraz potrzebny nam już tylko ten pieprzony Tkacz...

Minęło jeszcze pół godziny ulewnego deszczu i narastającego strachu przed koszmarami, zanim przestrzeń nad dachami zafalowała i zmarszczyła się na chwilę, by przepuścić jękliwy monolog Tkacza.

...TAK JAK TY I JA ZGODZILIŚMY SIĘ ONEGDAJ DZIŚ JĄDRO PAJĘCZYNY KTÓRA JEST TYM MIASTEM WIDZI NAS RAZEM I MOŻEMY GAWĘDZIĆ... rozległ się nieziemski głos w umysłach zebranych.

Wielki pająk wyłonił się nagle z zakrzywionej przestrzeni i tanecznym krokiem ruszył w ich stronę. Jego ogromne, błyszczące ciało górowało nad nimi.

Isaac jęknął cicho, czując niewypowiedzianą ulgę, a także zachwyt i strach, które zawsze wzbudzało pojawienie się tej potężnej istoty.

– Tkaczu! Pomóż nam! – zawołał, wyciągając przed siebie rękę, w której trzymał drugi hełm łącznika.

Andrej teraz dopiero spojrzał w górę i skulił się odruchowo w niemym przerażeniu. Oczyomal nie wyszły mu z orbit, wypchnięte nagłym skokiem ciśnienia krwi. Zza maski, którą wciśnięto mu na twarz, rozległ się stłumiony odgłos torsji. Starzec wił się po betonie w stronę krawędzi dachu, niemal złożony wpół nieludzkim strachem.

Derkhan dopadła go szybko i mocno przycisnęła do mokrego podłoża. Nie bał się jej pistoletu, jego pole widzenia bez reszty wypełniła olbrzymia postać pająka, który spokojnie przyglądał się wydarzeniom. Derkhan łatwo pokonała opór jego słabnących mięśni, pociągnęła go z powrotem na miejsce i przytrzymała.

Isaac nie patrzył na nich. W wyciągniętych rękach wciąż trzymał hełm, który przygotował dla Tkacza.

– Musisz go włożyć – powiedział. – Zrób to natychmiast! Możemy pokonać je wszystkie... Powiedziałeś, że pomożesz nam naprawić sieć, więc... zrób to, proszę.

Deszcz bębnił o twardy pancerz Tkacza. Co sekundę jedna lub dwie krople skwierczały gwałtownie i zamieniały się w parę w zetknięciu z czarną płytą. Tkacz mówił bez przerwy, jak zawsze, i jak zawsze był to bełkot na granicy słyszalności, z którego Isaac, Derkhan i Yagharek nie rozumieli ani słowa.

Wreszcie pająk wyciągnął przed siebie swe ludzkie ręce i włożył hełm na segmentowaną głowę.

Isaac zacisnął powieki i westchnął z ulgą.

– Nie zdejmuj go! – syknął, otwierając oczy. – Zapnij pasek! Pająk wykonał polecenie ze zręcznością mistrza krawieckiego.

...BĘDZIESZ DRAŻNIŁ I ZWODZIŁ INTRUZÓW... mamrotał...A MYŚLI BĘDĄ SĄCZYĆ SIĘ PRZEZ OSTRY METAL I MIESZAĆ W BAGNISKU MOJEGO GNIEWU I BĘDĄ MOIM

LUSTREM i NIEZLICZONĄ LICZBĄ PĘKAJĄCYCH BĄBELKÓW FAL MÓZGOWYCH

A TY BĘDZIESZ TKAŁ SWÓJ PLAN BEZ KOŃCA BEZ KOŃCA NAPRZÓD MÓJ ZDOLNY MÓJ ZDOLNY CZŁOWIEKU...

Tkacz kontynuował senny, zawodzący monolog, znowu schodząc poniżej progu słyszalności. Kiedy Isaac zobaczył, że hełm tkwi na swoim miejscu i ostatni pasek został dopięty, jednym ruchem dźwigni otworzył zawory w hełmie Andreja. Sekwencja ruchów przełącznikami, którą wykonał sekundę później, uruchomiła pełną moc obliczeniową aparatury analitycznej i maszyny kryzysowej. Isaac cofnął się o kilka kroków.

Niezwykłe prądy popłynęły skomplikowanymi obwodami. Przez moment nic się nie działo, wydawało się, że nawet deszcz przestał padać.

Wreszcie na złączach urządzeń pojawiły się potężne iskry wyładowań we wszystkich kolorach tęczy.

Jeden z łuków świetlistej energii objął ciało Andreja, które w jednej chwili wyprężyło się i zeszywniało. Twarz starca zamarła w wyrazie zdumienia i bólu.

Isaac, Derkhan i Yagharek wpatrywali się w nią sparaliżowani strachem.

Potężne dawki energii opuszczały ogniwa i pędziły zawiłymi połączeniami, zasilając maszyny liczące, które pobierały instrukcje, analizowały je i wykonywały. Nieskończenie szybki dramat rozgrywał się w mikrokosmosie miedzianych drutów.

Hełm łącznika zaczął funkcjonować: przechwytywał emanację umysłu Andreja i wzmacniał ją, czyniąc z niej nieustający strumień fal i taumatyrgonów. Impulsy pędziły po obwodach aparatury z prędkością światła i kierowały się ku odwróconemu stożkowi z metalu, który miał wysłać je bezgłośnie w eter.

Lecz ich tor ulegał zmianie.

Były ponownie przetwarzane, odczytywane i matematyzowane przez pracujące w niepojętym porządku lampy i przekaźniki maszyn liczących.

Nieskończenie krótką chwilę później do aparatury wpadły dwa nowe strumienie energii. Najpierw pojawiła się emanacja Tkacza, spotęgowana i przekierowana przez hełm, który pająk miał na głowie. Ułamek sekundy po niej zjawiała się wiązka energii wygenerowana przez Radę Konstruktorów. Iskrząc na złączach, przemknęła po kablu z dalekiego wysypiska numer dwa w Griss Twist, w okamgnieniu pokonując labirynt ulic, i z impetem natarła na obwody wbudowane w hełm Andreja.

Isaac widział już raz, z jakim nieposkromionym apetytem cmy lizały swymi wielkimi jęzorami ciało Tkacza. Widział, jak pożywiały się łapczywie, lecz ich głód wciąż pozostawał niezaspokojony.

Zrozumiał wtedy, że całe ciało wielkiego pająka emanowało falami mózgowymi, ale nie były one podobne do żadnych innych fal emitowanych przez umysły istot rozumnych. Bestie pochłaniały je żarłocznie, czuły smak... ale nie znajdowały w nich pokarmu.

Tkacz myślał bowiem nieustannie, kreując nieprzerwany i niezrozumiały strumień świadomości. W jego umyśle nie było warstw, nie było ego kontrolującego niższe funkcje, nie było kory systematyzującej pracę całości. Tkacz nie śnił w nocy, nie odbierał podszeptów podświadomości, nie używał mentalnego filtra, który oddzielał ważne informacje od śmieci. Sny i świadomość były dla niego jednością. Tkacz śnił o tym, że jest świadomy, a świadomość była jego snem; zanurzał się w nie kończącej się i niezgłębionej toni obrazów, pożądań, poznania i emocji.

Dla ciał jego emanacja była jak pianka na musującym trunku. Była pyszna i odurzająca, ale brakło w niej substancji, czynnika organizującego. Nie były to sny, którymi bestie pożywiały się zazwyczaj.

A teraz nadzwyczajny smak umysłu Tkacza płynął przewodami, przetwarzany przez skomplikowaną maszynę.

Tuż za nim pojawił się nurt elementarnych cząstek wzbudzony syntetycznym mózgiem Rady Konstruktorów.

Myśl olbrzymiej maszyny, zimna i absolutnie uporządkowana, była totalnym przeciwieństwem anarchicznego wiru, który tworzyły emanacje Tkacza. Koncepcje były w niej zredukowane do ciągu zmiennych, prostego „tak” i „nie”, wyrażonego układem zaworów parowego mechanizmu albo stanem elektrycznych lamp. Bezduszne szeregi zer i jedynek odarte były z wszelkich komplikacji towarzyszących zazwyczaj pragnieniom i namiętnościom. Istniała w nich jedynie przemożna chęć

trwania i pomnażania własnej potęgi, pozbawiona jakiegokolwiek podszevky psychologicznej, stworzona przez istotę myślącą i – całkiem przypadkowo – nieskończenie okrutną.

Dla ciem był to pokarm niewidzialny; myśl bez podświadomości; mięso bez smaku i zapachu; puste kalorie bez wartości odżywczej, jak popiół.

Umysł Rady przelewał swą zawartość w aparaturę Isaaca. Przez moment miedzianymi przewodami płynęły z dalekiego wysypiska precyzyjne instrukcje – olbrzymi konstrukt usiłował wyssać dane z maszyny kryzysowej, aby przejąć nad nią kontrolę. Przerywacz włączony w obwód był na szczęście wystarczająco solidny, przepływ danych pozostał jednokierunkowy.

Sygnal nadany przez Radę został przetworzony przez maszyny analityczne.

Kiedy system zebrał dostateczną liczbę parametrów, zawory parowego mózgu zastukotały ze zdwojoną energią, przekazując skomplikowane instrukcje.

Siódma część sekundy wystarczyła, by wszczął się gwałtowny proces przetwarzania danych.

Maszyna zabrała się do analizowania kształtu pierwszego strumienia danych, nazwanego w programie „strumieniem x”, a będącym mentalną sygnaturą Andreja.

Po chwili w sieci rurek i przewodów jednocześnie pojawiły się dwa kolejne rozkazy. „Modeluj kształt strumienia” – brzmiał pierwszy z nich. Zespół maszyn rozpoczął analizę niezwyklej emanacji umysłu Tkacza. „Modeluj kształt strumienia z” – brzmiał drugi. Automaty w identyczny sposób zabrały się do pracy nad potężnymi, niesłychanie zagęszczonymi falami mechanicznego mózgu Rady Konstruktów.

Dwie linie równoległe realizowanych programów połączyło nowe polecenie: „Duplikuj kształt fali strumienia x za pomocą strumieni y i z”.

Sekwencja instrukcji, która umożliwiła wykonanie tego rozkazu, była niewiarygodnie skomplikowana. Jej przetworzenie było możliwe jedynie dzięki potężnym maszynom liczącym dostarczonym przez Radę Konstruktów oraz dzięki wybitym przez nią stosom kart perforowanych.

Matematyczno-analityczne mapy psychiki – uproszczone i niedoskonałe, skażone nieuniknionymi błędami – stały się wkrótce szablonami, które należało porównać.

Umysł Andreja – podobnie jak mózg każdego innego psychicznie zdrowego człowieka, vodyanoiego, khepri, kaktusa czy jakiegokolwiek innej rozumnej istoty – był dialektyczną, nieustannie pracującą jednością podświadomości i świadomości, był kanałem, w którym mieszały się marzenia i pragnienia, był nieustającym odtwarzaniem podszeptów instynktu przez racjonalne, myślące ego i na odwrót. Był szeregiem warstw świadomości, tworzących niestabilną, samoodnawiającą się całość.

Umysł Andreja nie przypominał ani zimnego, mechanicznego mózgu Rady, ani też poetyckiej, nieustannie rozmarzonej jaźni Tkacza.

Maszyny analityczne szybko zauważyły, że x nie jest równe y i nie jest równe z .

Lecz zaraz potem odkryły, że usystematyzowane, a zarazem wzbogacone o podświadomość; zdolne do racjonalnej kalkulacji, a zarazem impulsywne; skłonne do autoanalizy, a zarazem naładowane emocjonalnie x jest równe y plus z .

Taumaturgiczne mechanizmy wykonały następne polecenie: połączyły strumienie y i z . Stworzyły duplikat fal mózgowych strumienia x i skierowały go do nadajnika wyjściowego w hełmie Andreja.

Naładowane cząstki symbolizujące połączone emanacje Rady i Tkacza popłynęły wspólnym, mocnym strumieniem. Sny pająka i obliczenia konstrukt-olbrzyma zmieszały się, tak by stworzyć kopię podświadomości i świadomości,

atrapę sprawnego, ludzkiego umysłu. Nowe składniki były znacznie potężniejsze niż emanacja umierającego Andreja. Niezmierzona moc dwóch genialnych umysłów popłynęła ku niebu przez tubę sterzącą z hełmu starca.

Od chwili, gdy system zaczął funkcjonować, minęła ledwie trzecia część sekundy. Niepowstrzymany strumień emanacji $y + z$ buchał w eter, spełniając warunki potrzebne do uruchomienia kolejnych pętli programowych. Maszyna kryzysowa ocknęła się z brzękiem.

Operowała na niestałych kategoriach matematyki kryzysowej, równie skutecznych jak obiektywna kategoryzacja. Używała holistycznej, sumującej, zmiennej metody dedukcyjnej.

W miarę jak emanacje umysłów Rady Konstruktów i Tkacza zastępowały wąty sygnał płynący z mózgu Andreja, do obwodów maszyny kryzysowej trafiały te same dane, które wcześniej zostały przetrawione przez aparaty analityczne. Maszyna błyskawicznie oceniała poprzednie wyniki obliczeń i na bieżąco badała nowy strumień fal. Dla jej niebywale skomplikowanej, rurkowej, parowej inteligencji wkrótce stało się jasne, że zachodzi niezwykle potężna anomalia. Ścisłe arytmetyczne funkcje innych aparatów nie pozwalały im na jej wykrycie.

Kształt, który rodził się ze zmieszanych strumieni informacji, nie był jedynie prostą sumą składników.

Strumienie y i z były spójnymi całościami. Co ważniejsze, podobnie spójny był strumień x , emanacja umysłu Andreja, będąca punktem odniesienia dla całego modelu. Owa spójność była nieodłączną cechą każdego z trzech strumieni.

Warstwy świadomości składające się na x były od siebie wzajemnie zależne, zazębiały się jak tryby samonapędzającego się mechanizmu. To, co arytmetycznie dawało się opisać jako „racjonalizm plus sny”, było w istocie całością i nie istniał sposób na rozdzielenie tych dwóch składników.

Dlatego y i z nie były na poły kompletnymi modelami x . Dzieliła je głęboka różnica jakościowa.

Operacje wykonywane pierwotnie przez zwykłe maszyny liczące zostały teraz poddane surowej obróbce zgodnie z zasadami logiki kryzysowej. Sekwencja matematycznych instrukcji pozwoliła na stworzenie arytmetycznie doskonałego analogu kodu źródłowego z dwóch zasadniczo odmiennych składników. Ów analog był zarazem perfekcyjnie identyczny i zupełnie różny od oryginału.

Trzy piąte sekundy po uruchomieniu obwodów maszyna kryzysowa przedstawiła jednocześnie dwie konkluzje, do których doprowadziły ją zawile obliczenia: $x = y + z$ oraz $x * y + z$.

Cała operacja, której dokonała maszyna, była głęboko niestabilna. Jej wynik był niemożliwym do wyjaśnienia paradoksem i przeczył zasadom tradycyjnej logiki.

Był to proces od samego początku – od podstaw analizy, modelowania i konwersji danych – całkowicie przesycony energią kryzysu.

Gigantyczne źródło energii kryzysowej bezzwłocznie zostało odkryte przez detektory. Jego zidentyfikowanie natychmiast wzbudziło reakcję maszyny; tłoki drgnęły konwulsyjnie, posyłając ku wzmacniaczom i transformatorom precyzyjnie odmierzone porcje energii. Obwody pomocnicze zatrzęsyły się, bliskie przeciążenia. Silnik maszyny kryzysowej zafurkotał jak dynamo, skwiercząc głośno i wysyłając w powietrze ładunki quasi-elyktryczne.

I wreszcie w metalowych wnętrzościach aparatury rozbrzmiała w binarnej postaci ostatnia komenda: „Skieruj strumień energii i zwiększ moc wyjściową”.

W niespełną sekundę od chwili, gdy mechanizmy obudziły się do życia, niemożliwy i paradoksalny strumień dwóch sprzężonych ze sobą świadomości – emanacji Tkacza i Rady – przecisnął się przez hełm Andreja i pomknął w eter.

Tymczasem fale mózgowe starca tłukły się bez końca po obwodach maszyny kryzysowej, nieustannie porównywane ze strumieniem $y + z$. Nie znajdując szerokiego ujścia, zaczynały wyciekać poza instalację w postaci osobliwych, niepozornych łuków taumaturgicznej plazmy. Opływały wykrzywioną bólem twarz Andreja i łączyły się z pobocznymi strumieniami emisji Tkacza i Rady Konstruktorów.

Główny snop myślowych emanacji – sztucznie stworzony, potężny i niestały – mknął jednak ku górze przez tubę hełmu. Stale rosnąca kolumna fal mózgowych i cząsteczek wznosiła się coraz wyżej nad stacją. Była niewidzialna, lecz Isaac, Derkhan i Yagharek wyczuwali ją doskonale za sprawą gęsiej skórki i w postaci czegoś w rodzaju monotonnego buczenia w uszach, odbieranego raczej przez szóste czy siódme zmysły niż przez słuch.

Andrej rażony ogromną mocą energii, która przepływała przez jego hełm, rzucał się konwulsyjnie, mimo woli poruszając ustami. Obrzydzenie i poczucie winy kazało Derkhan odwrócić głowę.

Tkacz posuwał się w przód i w tył na swych sztyletowatych nogach, mamrocząc coś z cicha i raz po raz stukając palcami w blachę własnego hełmu.

– Przynęta... – wyszeptał Yagharek chrapliwie i cofnął się nieco od stale rosnącego słupa psychicznej energii.

– To dopiero początek! – zawołał Isaac, przekrzykując szum i bębnienie deszczu.

Maszyna kryzysowa mruzczała z każdą chwilą głośniejsze i rozgrzewała się, sięgając ku coraz to nowym, narastającym zasobom energii. Grubo izolowanymi kablami wysyłała elektryczne impulsy w stronę Andreja, który związał się i drżał z wielkiego bólu i jeszcze większego przerażenia.

Maszyna pobierała potencjalną energię niestabilnej sytuacji i nadawała jej kierunek – wykonując wcześniej zadane instrukcje, wzmacniała i tak potężną emanację umysłów Tkacza i Rady.

Nastąpiło sprzężenie zwrotne. Sztuczny strumień fal rósł w siłę i sięgał coraz wyżej, niczym warownia wzniesiona na kruchym fundamencie, a każde jego zwiększenie czyniło go mniej stabilnym. Jego paradoksalny byt stawał się tym bardziej kruchy, im był potężniejszy. Kryzys z każdą chwilą nabierał mocy. Moc transformacyjna maszyny rosła więc wykładniczo, wzmagając intensywność psychicznych emanacji, a tym samym znowu pogłębiając kryzys...

Isaac odczuwał coraz bardziej dotkliwe swędzenie skóry. Miał wrażenie, że pod jego czaszką ani na chwilę nie milknie przykry dźwięk; jęczenie, które wznosiło się coraz wyżej, jakby coś obracało się w pobliżu z coraz większą prędkością.

Skrzywił się boleśnie.

...WIELKIE NIEBA ROZLEWAJĄCA SIĘ FALA NABIERA MOCY I JEST JAK UMYSŁ ALE PRZECIEŻ NIE JEST UMYSŁEM... pomrukiwał Tkacz. JEDEN I JEDEN NIE RÓWNA SIĘ JEDEN ALE JEDEN I DWA NARAZ MOŻE ZNACZYĆ ŻE WYGRAMY OCH JAK MY WYGRAMY JAK CUDOWNIE...

Andrej miotał się po mokrym betonie dachu jak torturowany. Moc fal mózgowych, które przetaczały się przez jego głowę, rosła w zastraszającym, geometrycznym tempie. Nie były widoczne, ale za to coraz lepiej wyczuwalne. Isaac, Derkhan i Yagharek cofnęli się już tak daleko od trzęsącego się starca, jak pozwalała

na to skromna powierzchnia dachu. Pory w ich skórze otwierały się i zamykały gwałtownie, a włosy i pióra unosiły się i opadały samowolnie.

Pętla kryzysowa trwała, a emanacje stale przybierały na sile, aż wreszcie stały się prawie widzialne – były wysoką na dwieście stóp kolumną błyszczącego, rozedrganego eteru, wokół której zaginało się niepewnie światło gwiazd i przepływających opodal aerostatów. Górowała nad miastem jak ledwie widoczne odbicie piekła.

Isaac czuł się tak, jakby dziąsła zaczynały mu gnić, a zęby próbowały wyrwać się ze szczęk na wolność.

Zachwycony Tkacz kontynuował swój taniec.

Gigantyczna wiązka fal przecinała eter. Słup energii rósł stale; sztucznie stworzona, oszukańcza świadomość puchła w zastraszającym tempie, niemożliwa i wszechobecna zarazem, jak jaźń nieistniejącego boga.

W całym Nowym Crobuzon ponad dziewięćset najlepszych łączników i taumaturgów przerwało nagle swe zajęcia i spojrzało w stronę dzielnicy Crow. Na ich twarzach malowały się zdziwienie i strach. Najbardziej wrażliwi chwyтали się za głowy i zawodzili z niepojętego bólu.

Dwustu siedmiu zaczęło trąkotać bez sensu, mieszając słowa numerycznego kodu z niezrozumiałą, bogatą w formie poezją. Stu pięćdziesięciu pięciu dostało nagłego i potężnego krwotoku z nosa. W dwóch przypadkach krwawienia nie udało się powstrzymać – dotknięci niewyjaśnioną przypadłością taumaturgowie zmarli.

Ci, którzy pracowali dla rządu – a było ich jedenastu – w szaleńczym pędzie wybiegli ze swego laboratorium na szczycie Szpikulca i pognali prosto do gabinetu Elizy Stem-Fulcher, daremnie usiłując powstrzymać chusteczkami krwotoki z nosów i uszu.

– Dworzec Perdido! – Tylko tyle zrozumiących słów zdolali wykrztusić, mamrocząc jak banda idiotów. Z głęboką frustracją potrząsali przy tym sekretarzem spraw wewnętrznych i burmistrzem, który gościł właśnie w biurze Stem-Fulcher, znacząc ich nienaganne stroje kroplami krwi.

– Dworzec Perdido!

*

Wysoko, nad szerokimi i pustymi ulicami Chnum, między strzelistymi łukami świątyń Tar Wedge, ponad lustrem rzeki opodal Howl Barrow, a także nad żałosnymi slumsami Stoneshell szybowwały wielkie ciała o skomplikowanej budowie.

Leniwie pracując skrzydłami i wywieszając ociekające śliną języki, ćmy szukały zdobyczy.

Były głodne, gotowe nasycić się i raz jeszcze zanurzyć się w ekstazie rozmnażania. Najpierw jednak czekało je polowanie.

Nagle cztery bestie – patrolujące różne rejony miasta, odległe o wiele mil – absolutnie symultanicznym ruchem odwróciły głowy w stronę pewnego miejsca.

Wyhamowały lot, bijąc potężnymi skrzydłami, i nieomalże zawisły w powietrzu. Cztery mokre jęzory wysunęły się na całą długość, powiewając na wietrze.

W oddali, nad horyzontem pobłyskującym tysiącami brudnych świateł miasta, u podnóża wielkiego masywu z cegieł i betonu w niebo wzbijała się olbrzymia kolumna. Bestie chłonęły jej smak, wyczuwając, że z każdą chwilą emanacja potężnieje. Kiedy

zaciągnęły się aromatem o niepojętej mocy, rozchodzącym się w eterze na wszystkie strony, radośnie zatrzepotały skrzydłami.

Inne smaki czy zapachy miasta przestały dla nich istnieć. Aromat, który zdominował eter, ze zdumiewającą szybkością wprowadził ómy w stan ekstatycznego uniesienia.

Jedna po drugiej bestie przerwały nocną ciszę głośnym klekotem głodnych, żarłocznych paszczek.

A potem, z szaleńczym łopotem skrzydeł, cztery wygłodniałe ómy pognały z czterech stron świata w kierunku serca miasta, złowieszczo obniżając lot w miarę zbliżania się do żerowiska.

Światelka na małej konsoli zamigotały gwałtownie. Isaac przysunął się bliżej niej, pochylony, jakby mógł w ten sposób oddalić się nieco od słupa energii unoszącego się nad drżącą czaszką Andreja. Starzec nie przestawał więc się w agonialnym bólu.

Grimnebulin starał się konsekwentnie nie patrzeć w jego stronę. Wbił wzrok w niepozorną konsolę, próbując rozszyfrować komunikat migających diod.

– Zdaje się, że to Rada Konstruktorów – zawołał, przekrzykując bębnienie deszczu. – Wysłała instrukcje, próbując obejść przerywacz, ale moim zdaniem nic nie wskóra. Moje zabezpieczenia są zbyt proste – wyjaśnił, dotykając czarnej obudowy. – Tu po prostu nie ma czego kontrolować – dodał, wyobrażając sobie walkę toczącą się teraz w mikrokosmosie miedzianych obwodów i rur.

Spojrzał w górę.

Tkacz ignorował wszystko i wszystkich, czubkami odnóży wybijając na mokrym dachu skomplikowany rytm. Jego ciche słowa zlewały się teraz w jedno; brzmiały jak mormorando.

Derkhan z rozpaczą wpatrywała się w Andreja. Raz po raz kiwała głową w przód i w tył, jakby kołysała się na falach. Jej usta poruszały się bezgłośnie. „Tylko nie umieraj” – pomyślał błagalnie Isaac, spoglądając ukradkiem na zrujnowane chorobą ciało starca i na jego twarz, coraz mocniej wykrzywioną cierpieniem. „Jeszcze nie możesz odejść, musisz wytrzymać dłużej”.

Yagharek stał nieruchomo, aż wreszcie gwałtownie uniósł rękę i wskazał na daleki rejon nieba.

– Zmieniły kurs – oznajmił chrapliwie. Isaac zadarł głowę i podążył wzrokiem za spojrzaniem garudy.

W oddali, mniej więcej w połowie drogi do granic miasta, trzy wielkie sterowce wykonywały jednoczesny zwrot. Ludzkie oczy ledwie były w stanie wyłowić z mroku nieco ciemniejsze od nieba sylwety, oznakowane jedynie słabymi światłami pozycyjnymi. Jasne było jednak to, że aerostaty zaprzestały podniebnej włóczęgi przypadkowym kursem i pełną mocą maszyn kierowały się w stronę Dworca Perdido.

– Lecą prosto na nas – mruknął Isaac. Nie czuł strachu, a jedynie napięcie i coś w rodzaju dziwnego smutku. – Zbliżają się. Niech to szlag! Mamy nie więcej niż dziesięć, piętnaście minut, zanim tu dotrą. Miejmy nadzieję, że ómy będą szybsze...

– Nie, nie – przerwał mu Yagharek. Gwałtownie potrząsając głową i szybko poruszając rękami, uciszał pozostałych. Isaac i Derkhan zamarli w bezruchu. Tkacz kontynuował swój szalony monolog, ale szmer jego głosu był ledwie słyszalny. Grimnebulin żarliwie modlił się w duchu, by wielki pająk nie znudził się swoją rolą i nie zniknął. Skomplikowana aparatura, stworzona przez nią symulacja umysłu i cały kryzys towarzyszący operacji – wszystko to nie byłoby warte funta kłaków.

Strumień energii generowany przez maszyny zdawał się rosnać w nieskończoność i rozrywał przestrzeń na strzępy z taką łatwością, z jaką nóż przecina skórę.

Yagharek w napięciu wsłuchiwał się w szum deszczu.

– Zbliżają się ludzie – odezwał się wreszcie. – Są na tamtym dachu. – Wytrenowanym ruchem prawej ręki garuda wyciągnął z za pasa bicz, w lewej zaś zatańczył długi i ostry nóż. W mgnieniu oka okaleczony człowiek-ptak przeistoczył się znowu w wojownika i łowcę.

Isaac wstał i wyciągnął z za paska pistolet skałkowy. Pospiesznie sprawdził, czy lufa jest czysta, i wysypał na panewkę odrobinę prochu, starając się osłaniać ją przed deszczem. Po omacku wypuścił z dłoni rożek z prochem i wydobył kulę z wiszącej obok sakiewki. Ze zdziwieniem zauważył, że rytm jego serca przyspieszył tylko nieznacznie.

Kątem oka spostrzegł Derkhan, także sposobiącą się do walki. Kobieta z zimną obojętnością sprawdzała oba swe pistolety.

Na płaskowyżu pobliskiego dachu, leżącego o czterdzieści stóp niżej, pojawił się mały oddział ciemno odzianych postaci. Napastnicy w biegu rozglądali się niespokojnie, potrząsając pikami i karabinami. Było ich nie więcej niż dwunastu. Wszyscy ukrywali twarze za odbijającymi światło przyłbicami hełmów. Ich segmentowane pancerze, ozdobione milicyjnymi insygniami, klekotały cicho i rytmicznie. Zbrojni rozproszyli się sprawnie po sąsiednich dachach, rozwijając tyralierę w taki sposób, by zaatakować z dwóch stron jednocześnie.

– Słodki Jabberze – jęknął Isaac, z trudem przełykając ślinę. – Jesteśmy udupieni!

„Pięć minut” – pomyślał z rozpaczą. „Tylko tyle nam trzeba. Pieprzone ćmy na pewno nie oprą się pokusie, na pewno już tu lecą... Nie mogliście poczekać chociaż chwilę?!”

Sterowce także skracaly dystans, zbliżały się majestatycznie i nieuchronnie.

Milicjanci dotarli już do stromizny krytej dachówkami, która oddzielała ich od ostatniego tarasu. Rozpłaszczeni na ceramicznej połaci, wspinali się ostrożnie, ale i szybko. Fachowo wykorzystywali ochronę, którą dawały im kominy i wykusze w dachu. Isaac cofnął się nieco i stracił ich z oczu.

Tkacz tymczasem wodził palcem wskazującym po kałuży rozlanej na betonie, pozostawiając suchy ślad układający się w kształt kwiatów i pejzaży. Ani na chwilę nie przestawał szeptać. Ciało Andreja drgało spazmatycznie w rytmie przepływających przez nie prądów. Jego oczy denerwująco otwierały się i zamykały.

– Kurwa! – wrzasnął Isaac z rozpacz i wściekłości.

– Zamknij się i walcz – warknęła Derkhan. Położyła się na mokrym podłożu i ostrożnie wyrzuciła poza krawędź dachu. Świetnie wyszkoleni milicjanci byli już niepokojąco blisko. Wymierzyła uważnie i strzeliła z pistoletu trzymanego w lewej dłoni.

Wydawało się, że szum deszczu stłumił huk eksplodującego prochu. Najbliżej znajdujący się funkcjonariusz, który miał za sobą już ponad połowę dachówkowej stromizny, zachwiał się, gdy kula uderzyła w jego opancerzoną pierś. Przez moment balansował niebezpiecznie, podparty tylko jedną nogą, ale odzyskał równowagę. Kiedy opanował strach na tyle, by móc ruszyć dalej, Derkhan wypaliła z drugiego pistoletu.

Tym razem lustrzana przyłbica milicjanta pękła na drobne kawałki. Chmura gorącego mięsa bryznięła z tylnej głowy jego czaszki. Na twarzy, widocznej tylko przez ułamek sekundy wśród zakrwawionych okrucich szkła, malowało się bezbrzeżne zdumienie. Tuż pod prawym okiem wykwitła jaskrawoczerwona dziura. Przez moment funkcjonariusz wyglądał jak wyczynowy sportowiec wykonujący tyłem

skok do wody. Eleganckim łukiem przeleciał dwadzieścia stóp i z mniej eleganckim łomotem zwał się na twardy beton u podnóża stromizny.

Derkhan wrzasnęła triumfalnie, a jej z początku nieartykułowany okrzyk przerodził się w słowa: „Zdychaj, bydlaku!” Szybko przykucnęła za krawędzią dachu, gdy odpowiedziała jej kanonada i kule zaczęły z hukiem wbijać się w cegły tuż obok niej.

Isaac opadł na kolana tuż przy dziennikarce i spojrzał na nią z ukosa. W strugach deszczu trudno było o pewność, ale miał wrażenie, że Derkhan szlochala ze złości. Odsunawszy się jeszcze dalej od krawędzi dachu, energicznie ładowała broń. Wreszcie zerknęła na Isaaca i zauważyła jego zdziwione spojrzenie.

– Rób coś! – krzyknęła gniewnie.

Yagharek stał o krok od krawędzi i co kilka sekund wychylał się poza nią, czekając, aż napastnicy znajdą się w zasięgu jego bicia. Isaac podpełzł i wyrzwał ponad brzegiem platformy dachu. Milicjanci byli coraz bliżej. Poruszali się znacznie ostrożniej i starannie szukali kryjówek, ale ich wspinaczka wciąż była zaskakująco szybka.

Uczony wymierzył i strzelił. Kula uderzyła w dachówkę i z dramatycznym hukiem obsypała najbliższego milicjanta deszczem odłamków.

– Niech to diabli – warknął Isaac i cofnął się, by ponownie nabić pistolet.

Pomału ogarniało go przekonanie o nieuchronności porażki. Zbyt wielu było przeciwników i stanowczo zbyt szybko zbliżali się do najwyższej platformy dachu. Jasne było, że jeżeli większość z nich dotrze na szczyt, wynik walki będzie przesądzony. Gdyby Tkacz przyszedł renegatom z pomocą, przynęta na ómy przestałaby istnieć, a wtedy bestie kolejny raz uniknęłyby pułapki. Isaac wiedział, że być może uda się wyeliminować z walki jednego, dwóch czy trzech funkcjonariuszy, ale szanse ucieczki były praktycznie zerowe.

Andrej szarpał się coraz gwałtowniej, wyprężając plecy i ze wszystkich sił próbując zerwać więzy. Isaac czuł ból między oczami, obserwując potężny słup energii, który wznosił się wysoko w eter. Sterowce były coraz bliżej.

Grimnebulin skrzywił się z niechęcią i raz jeszcze spojrzał w dół. Na niższych, dalszych poziomach dachowego krajobrazu włóczędzy i pijacy wypęzali ze wszystkich dziur, uciekając jak spłoszone zwierzęta.

Yagharek zakrakał zniecka jak wrona i wskazał na coś czubkiem noża.

Za plecami milicjantów, na płaskim dachu, z którego rozpoczęli wspinaczkę, pojawiła się zakapturzona postać. Wychynęła złowieszczo z mroku jak eidolon, niszczący byt powstały nagle z pustki.

Mokry płaszcz nieznanego lśnił ciemną, butelkową zielenią.

Wysunięte spod niego ramię bluznęło ogniem i rozległ się huk wystrzału, niemal natychmiast powtórzony trzy, cztery, pięć razy. W połowie stromizny Isaac spostrzegł milicjanta, który wyprężył się nagle i odpadł od ściany, by organiczną kaskadą mięsa i kości runąć w dół. Zanim uderzył o beton, dwaj następni podzielili jego los. Jeden z pewnością był martwy – krew rozlewała się spod jego nieruchomego ciała, tworząc wielką kałużę rozwodnioną deszczem. Drugi zsunął się nieco po stromym zboczu z dachówek, z przeraźliwym krzykiem przyciskając dłoń do przestrelonych żeber.

Isaac patrzył na to wszystko w głębokim szoku.

– Co to ma, kurwa, znaczyć?! – ryknął. – Co się dzieje?! Nieznany dobroczyńca zdążył już cofnąć się o parę kroków, w plamę cienia, i najwyraźniej manipulował przy broni.

Milicjanci przytuleni do spadzistej połaci zamarli w bezruchu. Nieliczni próbowali wykrzykiwać rozkazy, inni wymieniali tylko spojrzenia, zdezorientowani i sparaliżowani lękiem.

Derkhan wpatrywała się w ciemność w osłupieniu, ale i z nadzieją.

– Niech cię bóg błogosławi! – krzyknęła w stronę nieznajomego. Jeszcze raz strzeliła z pistoletu trzymanego w lewej dłoni, ale tym razem kula przeleciała nad głowami funkcjonariuszy, nie czyniąc im krzywdy, po czym z głuchym łupnięciem utkwiała w murze.

Trzydzieści stóp niżej ranny mężczyzna wrzeszczał wniebogłosy, daremnie usiłując ściągnąć maskę zakrywającą jego twarz.

Oddział poszedł w rozsypkę. Tylko jeden milicjant przycupnął za ceglany wykuszem i uniósł karabin, mierząc w stronę plamy cienia, w której zniknął nieznajomy. Kilku zaczęło zsuwać się w dół, by skrócić dystans do nowego przeciwnika. Paru zostało na wysokościach, by ze zdwojoną energią piąć się w górę.

Kiedy dwie grupki milicjantów poruszały się w dół i w górę stromizny, ciemna postać ponownie wynurzyła się z mroku, aby użyć swej szybkostrzelnej broni. „Musi mieć jakiś samopowtarzalny pistolet” – pomyślał zdumiony Isaac, z duszą na ramieniu obserwując, jak kolejni dwaj funkcjonariusze odrywają się od ściany tuż pod nim i z okrzykami trwogi koziołkują w dół.

Nagle zdał sobie sprawę, że nieznajomy nie strzela do tych, którzy zsuwali się w jego stronę, lecz koncentruje ogień na tych, którzy kontynuowali wspinaczkę i zagrażali już najwyższej położonej platformie. Przybysz w zielonym płaszczu starannie wybierał cele i strącał je z podziwu godną skutecznością, nie zważając na to, że sam z każdą chwilą naraża się na większe niebezpieczeństwo.

Wkrótce wszyscy milicjanci, którzy pozostali przy życiu na dachówkowym stoku, spoczywali nieruchomo, zbyt przerażeni, by posuwać się w dół lub w górę. Tylko ci, którzy wcześniej zeszli na niższy poziom dachów, biegli w chaotycznym szyku ku zabójcy ukrytemu w ciemności.

Po chwili jednak Isaac zauważył, że najodważniejsi z funkcjonariuszy ponownie podejmują wspinaczkę. Strzelił i udało mu się oszołomić jednego z nich, ale kula nie spenetrowała grubego pancerza. Derkhan także wypaliła i snajper mierzący w stronę nieznajomego z wraskiem zsunął się w dół.

Isaac w pośpiechu nabijał pistolet. Spojrzał przelotnie na pracującą nieprzerwanie maszynię i na Andreja skulonego pod ścianą. Starzec trząsł się cały, a jego twarz ociekała śliną. Grimnebulin spojrzał na ciemne niebo, wędrując wzrokiem za kolumną coraz potężniejszych fal, bijącą w nie nieustannie. „Prędszej” – pomyślał błagalnie. „No, lećcie prędszej”. Przeładowawszy broń, wychylił się za krawędź dachu, by wypatrzeć w ciemności niespodziewanego i tajemniczego sprzymierzeńca.

Omali nie krzyknął ze strachu, kiedy zobaczył czterech opancerzonych i uzbrojonych po zęby milicjantów, biegnących w stronę kryjówki nieznajomego.

Niejasny kształt wynurzył się nagle z mroku i z dużą szybkością przemknął między plamami cienia, z łatwością ściągając na siebie ogień pancernych. Po krótkiej kanonadzie karabiny i pistolety milicjantów były puste. Gdy przyklękli w pośpiechu, by nasypać prochu i wsunąć kule do uf, z mroku wystąpiła ku nim postać w płaszczu. Szła śmiało i zatrzymała się o kilka kroków przed bezbronnymi funkcjonariuszami.

Isaac nie widział nieznajomego zbyt dobrze: jego sylwetka była oświetlona jedynie skąpym blaskiem flogistonowej lampy, a twarz zwrócona ku zaskoczonym milicjantom. Na mokrym płaszczu widać było liczne rozdarcia i łaty. Isaac dostrzegł też krótki i gruby pistolet w lewej dłoni tajemniczego wybawiciela. Nagle w stronę

nieruchomych stróżów prawa wysunęło się coś, co było przedłużeniem prawego ramienia nieznanego. Isaac nie widział zbyt dobrze, co to takiego; zobaczył dopiero wtedy, kiedy zmrużył oczy, a mężczyzna uniósł nieco rękę i zsunął rękaw, odsłaniając poszarpane płaszczyzny kończyny.

Wielkie, zębate ostrza otworzyły się wolno i zamknęły jak monstrualne nożyce. Guzłowata chityna wyrastająca wprost z łokcia nieznanego błyszcząca na powierzchni masywnych szczypiec, podobnych do rozchylających się łapczywie szczęk.

Prawe ramię prze-tworzonego zostało bowiem zastąpione kleszczami modliszki.

Isaac i Derkhan w tej samej sekundzie wzięli głęboki wdech i wykrzyknęli jego imię: „Jack Pół-Pacierza!”

Jack Pół-Pacierza, Uciekinier, Przywódca Wolnych Prze-tworzonych, Człowiek-Modliszka, zrobił krok w stronę czterech milicjantów.

W pośpiechu manipulując przy zatraskach, stróże prawa z Nowego Crobuzon mocowali na lufach karabinów błyszczące bagnety.

Pół-Pacierza skoczył w ich stronę z szybkością i gracją tancerza baletu, w locie zaciskając ostrza prze-tworzonej kończyny, by wycofać się w ułamku sekundy. Jeden z funkcjonariuszy upadł na beton jak rażony gromem. Krew buchająca z jego rozciętego gardła wypełniła maskę.

Jack Pół-Pacierza oddalił się i zniknął gdzieś na granicy cienia.

Uwagę Isaaca przykuł teraz milicjant, którego hełm pojawił się w otworze okna dachowego, ledwie pięć stóp poniżej granicy najwyższego dachu. Strzelił do niego zbyt szybko i niecelnie, lecz w tej samej chwili coś przemknęło nad jego głową i z wielką siłą huknęło o metalowy pancerz. Funkcjonariusz zwinął się z bólu i zniknął z pola widzenia, szykując się do następnego ataku. Yagharek z biczem w garści pozostał przy Isaacu, gotów uderzyć ponownie.

– Prędej! Prędej! – krzyknął uczony, z nadzieją spoglądając w niebo.

Sylwety rozpędzonych sterowców rysowały się na niebie coraz potężniej, maszyny obniżały lot, jakby sposobiły się do szturmowania z powietrza. Pół-Pacierza znowu tańczył wokół napastników, dezorientując ich skutecznie, tnąc bez litości i umykając w cień. Derkhan pokrzykiwała buntowniczo za każdym strzałem, który oddawała w kierunku milicjantów. Yagharek patrolował obrzeża dachu, z nożem i biczem w drżących rękach. Niedobitki oddziału wspinały się jeszcze po stromej ścianie, ale coraz wolniej i bez przekonania, z lękiem czekając na wsparcie, które nie nadchodziło.

Monolog Tkacza zaczął przybierać na sile. Z szeptu słyszalnego gdzieś w zakamarkach umysłów zmienił się w głos przenikający ciało i kości, bez reszty wypełniający świadomość.

...TO ONI TAK TO ONI CI NIEZNOŚNI NISZCZYCIELE TE ZMĘCZONE WZORZYSTE WAMPIRY PRZEZ KTÓRE KRRAWI DO SUCHA PEJZAŻ SIECI TO ONE TO ONE NADLATUJĄ ZE ŚWISTEM DO NIESKOŃCZONEGO ŹRÓDŁA DO WIRU DO ROGU OBFITOŚCI POŻYWIENIA I SĄ NIEOSTROŻNE A BOGATA STRAWA ZASZKODZI ICH PODNIEBIENIOM...

Isaac zadarł głowę i krzyk uwiązał mu w gardle. Usłyszał łopot skrzydeł i poczuł na twarzy powiew wzburzonego powietrza. Nieskończony snop fal, wciąż narastająca parodia psychicznej emanacji, która przenikała go na wskroś, nie przestała przybierać na sile, gdy ów daleki dźwięk zaczął przybliżać się do ziemi, oscylując na granicy materialnego świata i ulotnego eteru.

Błyszczący pancerz ślizgał się pośród prądów powietrznych, a ruchome labirynty ciemnych barw zmieniały się gwałtownie na połaciach wielkich, zmiennokształtnych skrzydeł. Wielokrotnie zgięte kończyny i ostre, organiczne kolce drżały z podniecenia.

Nad gmachem dworca pojawiła się pierwsza wyglodzona i odurzona ćma.

Ciężkie, segmentowane ciało szybowało w dół spiralnym torem wokół kolumny eteru rozpalonego emanacją pseudoumysłu, jakby beztrąsko sunęło po gigantycznej zjeżdżalni. Język ćmy ani na chwilę nie pozostawał w bezruchu, łapczywie chłonąc każdą cząstkę odurzającego, psychicznego likieru.

Wpatrując się w niebo w radosnym uniesieniu, Isaac spostrzegł po chwili drugi cień, a potem jeszcze jeden. Jedna z bestii zanurkowała tuż pod opasłym i powolnym aerostatem, pikując ku burzy fal mózgowych wzbudzającej drżenie psychosfery nad całym miastem.

Niedobitki oddziału milicji wybrały dokładnie ten moment na przypuszczenie ponownego ataku. Huk pistoletów Bluesday wyrwał Grimnebulina z radosnej ekstazy i uświadomił mu bliskość niebezpieczeństwa. Uczony rozejrzył się i zobaczył Yagharka, którego bicz rozwijał się jak na poły wytresowana mamba, mknąc w kierunku głowy milicjanta wyłaniającej się właśnie spod krawędzi dachu. Końcówka grubego rzemienia otoczyła szyję nieszczęśnika, a mocne szarpnięcie zderzyło jego głowę z betonową płaszczyzną. Garuda wprawnym ruchem uwolnił bicz, a na w pół uduszony funkcjonariusz z jękiem zsunął się w przepaść po mokrych dachówkach.

Isaac przygotował do strzału swój wielki, niezgrabny pistolet. Wychylił się zza krawędzi i zobaczył, że dwaj spośród milicjantów atakujących Jacka Pół-Pacierza leżeli już martwi w kałużach krwi, która mocnym strumieniem wylewała się z rozległych ran ciętych. Trzeci wycofywał się niezdarne, zaciskając dłonie na rozoranym udzie. Pół-Pacierza i czwarty milicjant zniknęli z pola widzenia.

Nad wszystkimi niższymi poziomami dachów w najbliższej okolicy niosły się okrzyki i jęki poszkodowanych, zdezorientowanych i przerażonych funkcjonariuszy. Nieliczni, którzy pozostali na ostatniej stromiźnie, pełzli w górę, popędzani rozkazami porucznika.

– Trzeba ich zatrzymać! – zawołał Isaac. – Ćmy już nadlatują!

Istotnie, trzy bestie spływały helisami w dół, sprawnie mijając się w powietrzu i niezmiennie sterując ku epicentrum gigantycznej erupcji energii, którym był hełm wciśnięty na głowę Andreja. Pod nimi, na mokrym betonie, Tkacz tańczył w wolnym tempie do niesłyszalnej muzyki, ale jego obecność nie miała dla nich znaczenia. Dostrzegały wyłącznie drżące spazmatycznie ciało starca, źródło niewiarygodnie potężnej emanacji wręcz rozsadzającej eter nad miastem. Dążyły ku niemu ślepo, kompletnie odurzone wizją niebiańskiej uczyty.

Wieże ciśień i najwyższe budynki otoczyły je jak gościnnie wyciągnięte ręce, gdy jedna po drugiej przebiły niewidzialną linię oddzielającą zachmurzone, nocne niebo od miasta rozświetlonego blaskiem gazowych lamp.

Lecąc w dół, poczuły nagle wąż, ledwie zauważalną falę niepokoju. Było coś dziwnego w tym cudownym smaku, który je otaczał, ale pokusa miała tak niewiarygodną moc, że pijane zachwytem ćmy, mknące ile sił na drżących z głodu skrzydłach, nie zwracały uwagi na drobne anomalie.

Uwagę Isaaca przykuło nagle głośne przekleństwo, które wyrwało się z ust Derkhan. Yagharek skoczył ku niej niemal przez całą długość dachu i w locie pewnie strzelił z bicia, posyłając na ziemię milicjanta, który atakował kobietę. Isaac instynktownie wypalił do leżącego i natychmiast usłyszał okrzyk bólu, gdy kula przeszła mięśnie na barku opancerzonego mężczyzny.

Aerostaty wisały już niemal nad głowami walczących. Derkhan przysiadła z dala od krawędzi dachu, gwałtownie trzepocąc powiekami, by łzy oczyściły oczy z ceglanego pyłu, którego chmurę wzbudził jeden z minimalnie niecelnych strzałów.

Na pochyłościach sąsiednich dachów pozostało już tylko pięciu milicjantów, skradających się ku górze wolno i z przesadną ostrożnością.

Na niebie pojawił się cień ostatniej bestii, nadlatującej z południowo-wschodniej części Nowego Crobuzon. Ćma zakreśliła obszerne „S” pod torem kolejowym prowadzącym do Spit Hearth i wystrzeliła świecą w górę, korzystając z prądów wstępujących nad rozgrzany upał centrum miasta, po czym nawróciła ku gmachowi Dworca Perdido.

– Są już wszystkie – wyszeptał Isaac.

Naładował pistolet, w pośpiechu rozrzucając dokoła sporą porcję prochu, i znowu spojrzął w niebo. Jego oczy rozszerzyły się z wrażenia: pierwsza ćma podchodziła do lądowania, była już zaledwie sto stóp nad powierzchnią dachu, sześćdziesiąt, dwadzieścia i nagle już tylko dziesięć. Grimnebulin wpatrywał się w nią z rozdziawionymi ustami, śledząc leniwe ruchy skrzydeł, jak gdyby czas rozciągnął się w niewiarygodnie cienką i wolno płynącą strugę. Widział zaciskające się palce jakby małych dłoni, kolczasty ogon, potężną paszczkę ze zgrzytającymi zębami, puste oczodoły z niezgrabnymi czułkami wijącymi się jak ślepe robaki, gąszcz wyrostków dziwaczego ciała, prostujących się, skręcających, bijących niespokojnie i zawijających się w setkach niewytłumaczalnych ruchów... a także skrzydła, te genialne, niebezpieczne, wiecznie zmienne skrzydła, pokryte falami oszalałymi, kolorowych plam, które pojawiały się i znikwały, by ustąpić miejsca jeszcze bardziej fantastycznym wzorom.

Isaac patrzył prosto na ciało lądującej ćmy, nie zwracając najmniejszej uwagi na lusterka, które miały osłaniać jego oczy. Bestia i tak nie miała dla niego czasu. Został zignorowany.

Ćma minęła go obojętnie i tylko potężny podmuch wywołany ruchem skrzydeł zmierzwił jego włosy i szarpnął ubraniem.

Wieloręka istota wyciągnęła większość kończyn ku swej ofierze i rozwinęła olbrzymi język, nie zważając na potoki śliny spływające na ziemię w tej obsceniczej demonstracji głodu. Skoczyła i wylądowała na Andreju jak duch z nocnego koszmaru. Objęła go mackami i rękami, rozpaczliwie szukając źródła zniewalającego aromatu.

Kiedy długi jęzor gorączkowo badał otoczenie, wsuwając się i wycofując z naturalnych otworów w głowie starca, druga ćma gwałtownie obniżyła pułap lotu i zderzyła się z pierwszą, walcząc o miejsce przy ciele ofiary.

Potężne skurcze miotają Andrejem, gdy jego umysł i mięśnie usiłowały wyłowić choć odrobinę sensu z powodzi absurdalnych sygnałów, które przepływały przezeń za sprawą maszyny kryzysowej. Nurt pseudofal mózgowych Rady Konstruktorów i Tkacza nieustannie rozrywał jego czaszkę.

Sama maszyna, spoczywająca na mokrym dachu, grzechotała coraz głośniejsze. Rozgrzewała się przy tym niebezpiecznie, a jej tłoki z coraz większym trudem utrzymywały kontrolę nad gromadzącą się w błyskawicznym tempie energią kryzysową. Krople deszczu spadające na skomplikowaną aparaturę parowały z sykiem i znikwały.

Trzecia ćma obniżyła lot, podążając śladem potężnej emanacji sztucznie wykreowanego umysłu, unoszącej się nad głową Andreja. Tymczasem pierwsza bestia, zirytowana nachalnością konkurentki, mocarnym ciosem odrzuciła drugą o kilka stóp, w miejsce, z którego mogła lizać jedynie tył głowy starca.

Pierwsza wrażliła język w usta i gardło Andreja, by po chwili wyciągnąć go z obrzydliwym chlupnięciem i gorączkowo szukać innego wejścia. Wreszcie odnalazła niepozorną trąbkę na hełmie mężczyzny, przez którą buchał coraz silniejszy strumień fal mózgowych. Wcisnęła język w metalową tubę i głębiej, w labirynt połączeń, gdzie mogła odbierać sygnał we wszystkich jego aspektach, we wszystkich rzeczywistych i nierzeczywistych wymiarach.

Pisnęła z rozkoszy.

Jej czaszka wpadła w upojną wibrację. Wielkie porcje sztucznych fal mózgowych znikwały w gardzieli bestii i niewidzialnymi strugami sączyły się z jej pyska. Pałący, intensywny strumień myślowych kalorii wlewał się bez końca do opancerzonego brzucha, wielokrotnie mocniejszy od esencji, które trafiały doń na co dzień. Nie kontrolowany przepływ energii drażnił przełyk ćmy i przepęłnił jej żołądek w ciągu kilku sekund.

Bestia nie potrafiła oderwać się od zdobyczy. Przyssała się do hełmu w niepowstrzymanym amoku konsumpcji. Wyczuwała niebezpieczeństwo, ale nie zważała na podszepty instynktu. Jak w transie pochłaniała strumień fal i w czynność tę angażowała się bez reszty. Odurzona, zachowywała się jak bezrozumny insekt, który uparcie obją się o pęknięty klosz latarni, by wreszcie znaleźć drogę i zginąć w płomieniach.

Olbrzymia ćma także szukała sposobu na samospalenie, nurzając się w coraz mocniejszym strumieniu energii.

Brzuch bestii zaczął puchnąć, a pokrywający go pancerz z chityny – pękać. Przemozna fala psychicznych emanacji otoczyła i przeniknęła ciało ćmy. Istota zdążyła tylko raz szarpnąć się gwałtownie, a potem jej korpus i czaszka eksplodowały z makabrycznym młaśnięciem.

Ćma zatoczyła się i padła. Zdychając, bryzgała dokoła deszczem posoki, strzępów skóry, wnętrzności i resztek mózgu. Truchło jeszcze przez długą chwilę ociekało niestrawioną – i niestrawną – esencją pseudoumysłu. Mokre i wiotkie szczątki upadły wprost na Andreja, który nadal wił się i naprężał, miotany potężną emanacją nie swojego mózgu.

Z gardła Isaaca wyrwał się barbarzyński, nieartykułowany ryk triumfu. Los nieszczęsnego Andreja na chwilę poszedł w zapomnienie.

Derkhan i Yagharek odwrócili się jednocześnie i spojrzeli na drżące jeszcze ścierwo ćmy.

– Tak! – wrzasnęła podniecona Bluesday, a garuda zawtórował jej krzykiem drapieżnego ptaka. Milicjanci uczepli stromizny znieruchomieli na moment. Nie wiedzieli, co się stało, ale nagłe odgłosy zwycięstwa odebrały im odwagę. Druga ćma przestępowała już ponad ciałem swej siostry, maksymalnie wyciągniętym językiem z daleka liżąc głowę Andreja. Maszyna kryzysowa wciąż pohukiwała miarowo, a starzec, mokry od deszczu i lepki od śliny potworów, wił się w agonialnym bólu, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Ćma pochwyliła go i rozpoczęła gorączkowe poszukiwanie źródła emanacji.

Trzecia bestia wylądowała na dachu, zaciekle młóćąc powietrze wielkimi skrzydłami i rozbryzgując na wszystkie strony strugi deszczu. Zawahała się na ułamek sekundy, wyczuwając śmierć towarzyski, ale aromat fal mózgowych Rady i Tkacza był nieodpartą pokusą. Ruszyła w stronę Andreja, mocząc nogi w rozlewających się szeroko wnętrznościach i krwi pierwszej bestii.

Druga była jednak szybsza od trzeciej. Odnalazła już tubę wylotową na szczycie hełmu i wsunęła w nią czubek pyska, łącząc się językiem jak pępowiną z gąszczem miedzianych rurek.

Ssała i przetykała, głodna i zachwycona, pijana szczęściem i rozpalona pragnieniem.

Pochłonięta żerowaniem, nie przerwała nawet wtedy, gdy niebywale stężony, eteryczny pokarm zaczął przepalać ściany jej żołądka. Wyła i wymiotowała, a metawymiarowe globulki psychicznych emanacji powracając do gardła, napotykały wciąż silny strumień wlatującego pożywienia. Wylewająca się treść żołądka i słodkie jak nektar fale bijące z hełmu Andreja zaczopowały gardziel potwora, dusząc go i rozpychając przelyk tak mocno, aż na skórze pojawiły się rozstępy i krwawiące pęknięcia.

Wymuszona tracheotomia stała się początkiem końca dla bestii, która ani na chwilę nie przestała ssać, przyspieszając własną śmierć. Krwawiła coraz mocniej, chłonąc energię, której nie była w stanie przyswoić. Potężna, syntetyczna emanacja wypaliła jej wnętrze, tak jak surowe mleko ćmy wypaliłoby umysł człowieka. Mózg bestii eksplodował jak wielki balon napełniony krwią.

Kiedy padała na beton, długi jęzor cofał się powoli jak sparciała guma.

Isaac po raz drugi ryknął zwycięsko i patrzył w uniesieniu, jak trzecia ćma kopniakiem odsuwa truchło drugiej i rzuca się łapczywie na źródło pokarmu.

Milicjanci byli tuż-tuż. Yagharek miotał się w śmiercionośnym tańcu, rozdając na prawo i lewo mordercze ciosy długim biczem. Trafieni zsuwali się w dół i znikali w mroku, a ci, którym udało się uniknąć ciosu, kryli się za kominami.

Derkhan znowu strzeliła, tym razem mierząc prosto w twarz funkcjonariusza, który wyłonił się tuż przed nią jak spod ziemi. Proch nie zapalił się jednak od pierwszego uderzenia i reporterka klnąc z pasją, musiała ponownie odwieść kurek. Wreszcie broń wypaliła, ale kula przemknęła ponad głową milicjanta, który pochylił się instynktownie i pośliznął się na mokrym dachu.

Isaac wycelował szybko i strzelił, przebijając od tyłu czaszkę mężczyzny, zanim ten zdążył wstać. Głowa milicjanta podskoczyła i huknęła o podłogę. Grimnebulin sięgnął po rożek z prochem, ale zatrzymał rękę w pół drogi. Nie było czasu na ponowne ładowanie broni. Milicjanci właśnie przeskakiwali nad krawędzią dachu – czekali tylko na to, aż Isaac wystrzeli.

– Wracaj, Dee! – zawołał uczony i pospiesznie wycofał się w głąb płaszczyzny dachu.

Yagharek powalił jednego z napastników, oplótszy biczem jego nogi, ale musiał uciekać, gdy pojawili się następni. Troje renegatów cofało się ku murom zamykającym połac dachu, rozpaczliwie rozglądając się za bronią, której mogliby jeszcze użyć.

Isaac potknął się o jedną z segmentowanych kończyn martwej ćmy. Za jego plecami trzecia bestia postękiwała z rozkoszy, sycąc się emanacją z hełmu Andreja. Odgłosy wydobywające się z jej gardzieli zlały się po chwili w jeden przeciągły jęk, o którym trudno było powiedzieć, czy jest jeszcze wyrazem ekstazy czy już agonicznego bólu.

Isaac odwrócił się, słysząc ten dźwięk i na jego oczach doszło do wilgotnej detonacji mięsa, kości i skóry. Strzępy ciała zaśmieciły cały dach, i tak niebezpiecznie śliski od śluzu, posoki i deszczu.

Z trzeciej ćmy uszła resztką życia.

Isaac w milczeniu spojrzał na ciemny, nieruchomy kształt, nie mniejszy od niedźwiedzia, leżący na wznak, z połamanymi kończynami i otwartym, pustym już tułowiem. Tkacz pochylał się nad ścierwem jak ciekawskie dziecko i niepewnie dźgał palcem zrujnowany egzoszkielet bestii.

Andrej poruszał się jeszcze, ale w spazmatycznych ruchach jego nóg było coraz mniej energii. Ómy nie wypiły jego świadomości, lecz uszkodził ją potężny strumień obcych myśli generowanych przez aparaturę. Mózg starca pracował, pogrążony w rozpacz i strachu, zamknięty w pętli programu maszyny kryzysowej. Procesy myślowe były jednak coraz wolniejsze, a ciało nie wytrzymało nadzwyczajnego obciążenia. Usta rozciągały się ponad miarę, próbując oczyścić się z gęstej śliny cuchnącej zgniłymi cytrusami.

Nad wyczerpanym Andrejem krążyła ostatnia, czwarta óma, zwabiona fontanną myśli i uczuć bijącą z jego hełmu. Jej skrzydła były nieruchome, kontrolowały jedynie prędkość spadania. Monstrum mknęło ku ziemi jak zabójcza, nieomylnie celna broń. Kierowało się ku największemu skupisku emanacji – ku zwłokom trzech bestii, gdzie w gąszczu ramion, macek, kolców i rozdartych skrzydeł spoczywał starzec.

Porucznik milicji, który wychylił się właśnie nad krawędzią dachu, omal nie zasnął.

– Tkacz! – krzyknął do swoich ludzi i wypalił z karabinu w stronę Isaaca.

Uczony uskoczył w bok i zaśmiał się triumfalnie, gdy dotarło do niego, że nie jest nawet ranny. Chwycił masywny klucz leżący na stercie narzędzi i cisnął go w kierunku hełmu z lustrzaną przyłbicą.

Nagle poczuł, że powietrze drgnęło. Coś ścisnęło go w dołku. Rozejrzył się w panice.

Derkhan odsuwała się tyłem od krawędzi dachu, a na jej twarzy malowało się szalone przerażenie. Yagharek przyciskał do skroni lewą rękę, w której kiwał się niepewnie długi nóż. Jego prawica, zbrojna w bicz, była nieruchoma.

Tkacz podniósł łeb i wymamrotał coś niezrozumiałego.

W piersi Andreja widniała niewielka, okrągła dziura, wyrwana pociskiem wystrzelonym przez porucznika. Krew wylewała się z niej leniwymi falami, spływała po brzuchu i wsiąkała w brudne ubranie. Twarz starca była biała jak płótno, a oczy zamknięte.

Isaac z krzykiem rzucił się ku niemu i chwycił go za rękę.

Fale mózgowo Andreja zanikały. Maszyny, które łączyły emanacje Rady Konstruktorów i Tkacza, zaczęły tracić materiał źródłowy, służący im jako wzorzec. Starzec był wytrzymały. Jego ciało zapadało się w sobie pod ciężarem długotrwałej, wyczerpującej choroby, a jego umysł zaśmiecały sztucznie generowane myśli i wrażenia. Lecz mimo to, nawet z dziurą pod sercem i przestrelonym płucem, utrzymał się przy życiu jeszcze przez blisko dziesięć sekund.

Isaac podtrzymywał Andreja, z którego ust z każdym oddechem wypływała strużka krwi. Masywny hełm kołysał się absurdalnie na bezwładnej już głowie. Grimnebulin zacisnął zęby, biernie przyglądając się śmierci starca. Wreszcie system nerwowy nadał ostatni sygnał i Andrej wyprężył się, zamykając ramiona uczonego w uścisku, który Isaac bardzo chciał uważać za znak przebaczenia.

„Musiałem... Przepraszam cię... Przepraszam...” – rozpaczął w duchu Grimnebulin.

Stojący za nim Tkacz wciąż malował odnóżami skomplikowane wzory w rozlanej posoce trzech martwych bestii. Yagharek i Derkhan wołali coś w stronę Isaaca, a na krawędzi dachu znowu pojawili się milicjanci.

Jeden ze sterowców obniżył lot na tyle, że znalazł się ledwie sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt stóp ponad jednym z sąsiednich, niższych dachów. Wyglądał w mroku jak rozdęty rekin. Z umocowanego pod kadłubem kokpitu spuszczone liny, które pomknęły ku glinianym i betonowym płaszczyznom z gliny i betonu niczym stado dzikich węży.

Umysł Andreja zgasł jak zepsuta lampa.

W maszynach analitycznych pojawił się chaos sprzecznych sygnałów.

Bez ludzkiego umysłu jako punktu odniesienia kombinacja fal Tkacza i Rady Konstruktorów stała się przypadkowa, wszelkie proporcje zostały zachwiane. Nie był to już model czegokolwiek, a raczej bałagan wariacko oscylujących cząstek i fal.

Kryzys zniknął. Gęstwina sztucznej emanacji przestała być czymś więcej niż sumą składowych; maszyny już nawet nie próbowały udawać, że jest inaczej. Paradoxs, napięcie, potencjał energetyczny – wszystko to przestało istnieć. Rozległe pole energii kryzysowej rozplynęło się bez śladu.

Rozpalone tarciami przekładnie i silniki maszyny stanęły nagle.

Z donośnym hukiem implozji ostatnia fala mentalnej energii została wessana w eter.

Isaac, Derkhan, Yagharek i milicjanci – wszyscy w promieniu trzydziestu stóp w tej samej sekundzie krzyknęli z bólu. Czuli się tak, jakby nagle przeszli z jaskrawo oświetlonej przestrzeni w ciemność tak totalną, że aż raniącą zmysły. Przez moment mieli wrażenie, że ból rozsadzi ich oczy.

Isaac wypuścił ciało Andreja, które wolno opadło na mokry beton.

Tymczasem w masie gorącego i wilgotnego powietrza ponad Dworcem Perdido unosiła się ostatnia, coraz bardziej zdezorientowana ćma. Biła skrzydłami w skomplikowanym, czterofazowym rytmie. Wisząc w miejscu, posyłała mocne podmuchy powietrza na wszystkie strony.

Przebogate źródło pożywienia, niewyczerpana studnia rozkoszy przestały istnieć. Szaleństwo, które opanowało bestię nie tak dawno, szaleństwo głodu silniejszego od innych doznań także ustąpiło.

Ćma wysunęła język i jej czułki zadrżały niespodziewanie. Wyczuwała pod sobą kilka umysłów, ale zanim ruszyła do ataku, dotarło do niej coś jeszcze: sygnał buzującej, chaotycznej świadomości Tkacza. Pamiętała zażartą bitwę, którą stoczyła z wielkim pajakiem. Skrzeczając ze strachu i wściekłości, wygięła kark do tyłu i obnażyła ogromne zęby.

I wtedy rozpoznała jeszcze jeden smak. Odwróciła się gwałtownie, zszokowana, wyczuwając śmierć jednej... dwóch... trzech siostr, wszystkich siostr! Leżały w dole, nieruchome, rozprute, martwe.

Czwarta bestia oszalała z rozpacz. Nadając ultradźwiękowy sygnał bólu, wirowała w wariackim tańcu powietrznym. Daremnie wysilała organiczne echolokatory, próbując namierzyć inne ćmy. Pracując niepojętymi zmysłami w wielu wymiarach jednocześnie, na próżno czekała na odpowiedź.

Została zupełnie sama.

Zawróciła i oddaliła się od gmachu Dworca Perdido, od cmentarzyska dachów, na których zostały jej martwe siostry, od niesłychanego aromatu, od granic dzielnicy Crow, od ostrych odnóży Tkacza, od krągłych aerostatów i od ciemnej sylwety Szpikulca. Pomknęła ku miejscu, w którym łączyły się rzeki.

Uciekała w rozpacz i strachu, szukając bezpiecznej kryjówki.

ROZDZIAŁ 51

Kiedy zmęczeni i wystraszeni milicjanci zebrali siły i odważyli się ponownie wyrzucić ponad krawędź dachu, zobaczyli stopy Isaaca, Derkhana i Yagharka. Woleli raczej zachować ostrożność, niż pchać się na oślepe przed siebie.

Z dołu pomknęły w ich stronę trzy szybko wystrzelone kule. Jedna z nich trafiła funkcjonariusza, który bez krzyku czy szeptu skargi oderwał się od stromizny i

zniknął w ciemności. Po chwili rozległ się brzęk tłuczonego szkła, gdy martwe ciało przebiło się przez okno dachowe cztery piętra niżej. Dwaj inni wtulili się mocniej w ścianę dachówek, odruchowo osłaniając się przed deszczem odłamków.

Isaac spojrział w dół i zobaczył ciemną sylwetkę stojącą na gzymsie odległym o nie więcej niż dwadzieścia stóp.

– To znowu Pół-Pacierza! – zawołał. – Jak on tam wlaźł? I co tam robi?!

– Chodź już – odpowiedziała szorstko Derkhan. – Musimy uciekać. Milicjanci zatrzymali się tuż pod dachem, ale gdy tylko któryś z nich próbował wysunąć głowę ponad krawędź, Pół-Pacierza natychmiast posyłał kulę w jego stronę. Byli blisko, ale nie mogli wykonać żadnego ruchu. Dwaj próbowali odpowiedzieć ogniem, ale czynili to bez przekonania, jakby ich morale przestało istnieć.

Pod osłoną dalszych, wysokich dachów ciemne sylwetki zsuwały się sprawnie z podbrzusza sterowca ku śliskiej połąci z betonu i smoły. Kiwały się swobodnie na wietrze, uczezione lin za pomocą haków wmontowanych w pancerze.

– Bogowie jedyni wiedzą dlaczego, ale on stara się dać nam czas na ewakuację – syknęła Derkhan, zbliżywszy się do Isaaca. – Wkrótce skończy mu się amunicja. Ci tutaj – dodała, wskazując na ukrytych poniżej milicjantów – to tylko lokalne platformy patrolujące dachy. Sukinsyny, które zjeżdżają ze sterowców, to prawdziwi żołnierze. Przed nimi naprawdę trzeba wiać.

Isaac wychylił się poza krawędź, szukając drogi odwrotu, ale wszędzie zobaczył milicjantów. Gdy tylko się poruszył, kule zagrzechotały o stromą połąc. Krzyknął ze strachu, ale zaraz dotarło do niego, że to Jack Pół-Pacierza próbuje oczyścić przed nim drogę z przycajonych funkcjonariuszy.

„To na nic” – pomyślał. Milicjanci schowali się jeszcze lepiej w zagłębienia dachu i czekali.

– Niech to szlag – warknął Isaac. Schylił się i wyciągnął wtyczkę z hełmu Andreja, odłączając od aparatury Radę Konstruktorów, która raz po raz usiłowała obejść przerywacz i przejąć kontrolę nad funkcjonowaniem maszyny kryzysowej. Wyszarpnął kabel i zwał przewody, posyłając niszczący impuls sprzężenia zwrotnego w stronę dalekiego mózgu śmietniskowego olbrzymia. – Zbieraj te graty! – rzucił w stronę Yagharka, wskazując na urządzenia rozłożone na całym dachu, zachlapane kwaśnym deszczem i posoką bestii. Garuda przyklęknął natychmiast i chwycił przemoczony worek.

– Tkaczu! – zawołał Grimnebulin, podbiegając do wielkiego pająka. Raz po raz oglądał się przez ramię, bojąc się, że zobaczy któregoś z bardziej bojowych milicjantów, gotowego postać za nim kulę. Ponad szum deszczu coraz wyraźniej wybijały się kroki podkutych butów, dobiegające z sąsiedniego, niższego dachu. – Tkaczu! – powtórzył Isaac, klaszcząc głośno tuż przed oczami potężnej istoty. Fasetkowe oczy pająka poruszyły się i spojrzały na uczonego. Tkacz wciąż miał na głowie hełm, który łączył go z martwym ciałem Andreja. Mrucząc niezrozumiale, wycierał ludzkie dłonie o lepkie wnętrza ciem. Isaac popatrzył przelotnie na zwłoki wielkich drapieżców, których skrzydła miały teraz wyblakłe, ponure barwy, bez śladu fascynujących wzorów. – Tkaczu, musimy uciekać... – wyszeptał. Pająk nie pozwolił mu mówić dalej. Odezwał się cichym, monotonnym głosem.

...JESTEM ZMĘCZONY STARY I CORAZ ZIMNIEJSZY MÓJ MAŁY GRYMAŚNY TY PRACUJESZ Z FINEZJĄ MUSZĘ TO PRYZNAĆ I ODDAĆ CI SPRAWIEDLIWOŚĆ ALE TA ŁAŹNIA FANTOMÓW WPRAWIŁA MOJĄ DUSZĘ W MELANCHOLIĘ I DOSTRZEGAM WZORY SIECI ŚWIATA NAWET W TYCH

ŻARŁOCZNYCH ISTOTACH KTÓRE BYĆ MOŻE ZBYT POCHOPNIE OSĄDZIŁEM
MÓJ SMAK ZMIENIA SIĘ NIEUSTANNIE I SAM JUŻ NIE JESTEM PEWIEN...

Tkacz uniósł garść błyszczących, ćmich wnętrzności na wysokość oczu Isaaca i zaczął rozrywać je delikatnymi ruchami.

– Uwierz mi, Tkaczu – wtrącił pospiesznie Isaac. – To, co zrobiliśmy, było słuszne. Uratowaliśmy miasto, żebyś mógł... osądzać dalej jego formę i tkać... I tyle. Teraz jednak musimy stąd odejść i potrzebujemy twojej pomocy. Proszę, zabierz nas stąd...

– Isaacu... – syknęła Derkhan. – Nie wiem, kim są te psy, które tu leżą, ale to na pewno nie milicjanci.

Isaac zerknął na sąsiednie dachy i jego oczy rozszerzyły się z niedowierzaniem.

W stronę renegatów kroczył oddział niezwykle, metalowych żołnierzy. Światło prześlizgiwało się łagodnie po ich pancerzach, błyskając zimno na załamaniach i krzywiznach blach. Wyglądali jak zdumiewająco szczegółowe rzeźby. Ich ramiona i nogi poruszały się z wielką siłą dzięki hydraulicznym mechanizmom. Syk tłoków był coraz głośniejszy z każdym ich krokiem. Drobne błyski światła pojawiały się znikąd po bokach i jakby z tyłu ich głów.

– Kurwa, co to za jedni? – jęknął Isaac zduszonym głosem. Tkacz znowu się odezwał, tym razem głośno i dość wyraźnie.

...WIELKIE NIEBA PRZEKONAŁEŚ MNIE SPÓJRZ TYLKO NA TE ZAWIŁE
WŁÓKNA KTÓRE NAPRAWIAMY ZNISZCZONE PRZEZ TEN POMIOT ŚMIERCI
LE CZ PRZECIEŻ MOŻEMY WRÓCIĆ DO NICH JESZCZE RAZ I NASTAWIĆ I
ZAPLEŚĆ I NAPRAWIĆ PIĘKNIE...

Tkacz podskakiwał w podnieceniu, wpatrując się w ciemne niebo. Jednym płynnym ruchem zsunął z głowy hełm i rzucił go daleko w mrok. Isaac nie usłyszał huku grubej blachy o ceramiczny stok dachu.

...A OSTATNIA UCIEKA BO CHCE OCALIĆ SWOJĄ SKÓRĘ I NA GWAŁT
SZUKA KRYJÓWKI BIEDNY WYSTRASZONY POTWÓR MUSIMY GO ZMIAŹDZYĆ
JAK JEGO BRACI ZANIM WYGRYZIE W NIEBIE NOWE DZIURY I KOLORY NAD
MIASTEM ZNOWU ZACZNĄ BROCYĆ WIĘC ŚLIZGAJMY SIĘ PO DŁUGICH
WŁÓKNACH SIECI ŚWIATA I SZUKAJMY UCIEKINIERA ZNAJDŹMY PRĘDKO
JEGO LEŻE...

Tkacz postąpił o kilka kroków naprzód, jak zawsze niepewnie, jakby za chwilę miał się przewrócić. Otworzył ramiona przed Isaakiem jak kochający rodzic i przygarnął go szybko, bez wysiłku. Uczony skrzywił się ze strachu, kiedy poczuł dotyk dziwnego, zimnego ciała. „Tylko mnie nie potnij” – pomyślał błagalnie. „Nie potnij mnie znowu!”

Struchlali milicjanci przyglądali się ukradkiem temu, co działo się na dachu. Olbrzymi pająk stąpał ostrożnie po zakrwawionym betonie, kołysząc masywnym ciałem Grimnebulina jak nedorzecznym wyrośniętym niemowlakiem.

Poruszał się coraz szybciej i pewniej po roztopionej smole i rozsmarowanych wnętrznościach bestii. Nikt nie mógł nadażyć za nim wzrokiem. Tkacz to pojawiał się, to znikał z realnej przestrzeni, a czynił to zbyt szybko dla ludzkiego oka.

Wreszcie stanął przed Yagharkiem. Garuda z rozmachem zarzucił sobie na plecy worek z elementami maszyny kryzysowej i z wdzięcznością oddał się w

ramiona tańczącego szalonego boga, chwytając się ze wszystkich sił wąskiej talii między głową a odwłokiem pająka.

...TRZYMAJ MOCNO MÓJ MAŁY MUSIMY ZNALEŹĆ DROGĘ UCIECZKI...
zanucił Tkacz.

Dziwacznicy, metalowi żołnierze zbliżali się do ostatniego wzniesienia dachowego krajobrazu, pracując ergonomicznie parowymi tłokami. W milczeniu i pośpiechu minęli niedobitki zwyczajnego oddziału młokosów, którzy teraz wpatrywali się w zdumieniu w ludzkie twarze widoczne w tylnej części głów żelaznych wojowników.

Derkhan również mierzyła wzrokiem osobliwe postacie, póki nie zebrała w sobie odwagi i nie odwróciła się w stronę Tkacza, stojącego z szeroko rozwartymi, ludzkimi ramionami. Isaac i Yagharek siedzieli już u nasady uzbrojonych kończyn pająka, zapierając się nogami o nierówności pancerza.

– Tylko nie urządzaj mi tak jak ostatnim razem – wyszeptwała Derkhan, odruchowo przesuwając dłonią po ranie na skroni. Szybko wsunęła pistolety za pasek i skoczyła wprost w przerażające, szeroko rozłożone ramiona Tkacza.

Nad dachami Dworca Perdido pojawił się drugi aerostat. I z jego ładowni wysypały się długie liny z metalowymi żołnierzami. Oddział prze-tworzonych Motleya ruszył biegiem w stronę miejsca akcji, gdy tylko twarde buciorzy sięgnęły powierzchni dachu. Przyczajeni za kominami milicjanci wpatrywali się w mechanicznych wojowników, niczego nie rozumiejąc.

Prze-tworzeni szybko pokonali ostatnie wzniesienie dachu i zwątpili w swoją misję dopiero wtedy, gdy ujrzeli olbrzymie cielsko Tkacza i trzy małe postacie podobne do lalek, uczone jego grzbietu.

Po chwili jednak wspięli się na najwyższy dach, nie zważając na strugi ciepłego deszczu spływające po ich nieruchomych, stalowych twarzach. Ciężkie stopy zmiażdżyły resztki maszyn walające się wśród strzępów ciał.

Na oczach prze-tworzonych Tkacz chwycił za głowę jednego z milicjantów – który zawył ze strachu i zaczął miotać się jak oszalały – odtrącił jego wirujące w panice ramiona i siłą przytulił go jak dziecko do gładkiego, błyszczącego odwłoka.

...PORA ZBIERAĆ SIĘ PĘDZIĆ WYRUSZAĆ NA POLOWANIE ZATEM
CHODŹMY...

Pająk szepnął wystarczająco głośno, by wszyscy go usłyszeli. Następnie jak gdyby nigdy nic zrobił kilka kroków w bok, poza krawędź dachu, i zniknął.

Przez dwie lub trzy sekundy nad mokrą połacią smołowanego betonu rozbrzmiewało tylko przygnębiające bębnienie deszczu. Potem Jack Pół-Pacierza wystrzelił ostatnią serię pocisków z wysokiego gzymsu, zmuszając milicjantów i prze-tworzonych do szukania kryjówek. Kiedy wyjrżeli z nich ostrożnie, tajemniczego snajpera już nie było.

Po Tkaczu i jego kompanii również nie został żaden ślad.

*

Ogarnięta paniką ćma przedzierała się przez prądy powietrzne.

Dość często wydawała z siebie głos, lecz na jej krzyki, rozbrzmiewające na rozmaitych częstotliwościach, nikt nie odpowiadał. Była coraz bardziej zdezorientowana i przygnębiona brakiem odzewu.

Lecz mimo to ani na chwilę nie przygasał w niej piekielny głód. Nawet śmierć rodzeństwa nie mogła stępić jej apetytu.

W dole ćma wyczuwała nurt Egzemy płynącej leniwie przez miasto, a na jej powierzchni liczne barki i łodzie, niczym małe świetliki unoszące się pośród ciemności. Bestia zwolniła nieco i zaczęła opadać spiralnym kursem.

Ponad obliczem Nowego Crobuzon snuła się kolumna dymu, podobna do grubej linii nakreślonej ołówkiem: zostawił ją nocny pociąg mknący na wschód linią Dexter, przez Gidd i most Barguest i dalej, do Lud Fallow i Sedim Junction.

Ćma szybowiała nisko nad Ludmead, tuż nad dachami uniwersytetu, i wreszcie przysiadła na moment na dachu Katedry Sroki w Saltbur, by zaraz polecieć dalej pod wpływem nieznośnego głodu i samotności. Ani przez chwilę nie zaznała spokoju i wiedziała, że nie zazna go, póki się nie nasyci.

Lecąc, rozpoznała nagle w dole zapamiętaną niegdyś konfigurację światła i ciemności. Poczwała, że coś ciągnie ją w tę stronę.

Za wiaduktami linii kolejowej, przecinającej zrujnowaną architekturę Miasta Kości, piętrzyły się Żebra – kolosalne, łukowate obeliski wyblakłej kości. W głowie ćmy ożyły nagle wspomnienia. Przypomniła sobie złowrogi wpływ monumentalnych szczątków nieznanego istoty, za sprawą którego Miasto Kości stało się dla niej miejscem nieprzyjaznym, kojarzącym się z ucieczką, nieprzewidywalnymi prądami w powietrzu i trującymi wyziewami kalającymi eter. W umyśle bestii pojawiły się zamglone obrazy długich dni w kajdanach i codziennego dojenia do czysta każdej porcji mleka, wizje karmienia potomstwa, którego przecież nie było... Wspomnienia były naprawdę silne.

Ćma była przestraszona i przede wszystkim potrzebowała chwili wytchnienia. Tęskniła za gniazdem, w którym mogłaby nabrać sił, gdzie czułaby się swojsko, gdzie mogłaby zadbać o siebie i gdzie inni troszczyliby się o nią. Głęboka depresja sprawiła, że w jej umyśle przeszłość została przefiltrowana, a jej obraz wypaczony, wybielony. Pamiętała już tylko to, że tutaj, w Mieście Kości, dbali o nią troskliwi opiekunowie. Tutaj było jej schronienie.

Dezorientacja, głód i pragnienie odpoczynku były silniejsze niż drzemiący gdzieś w podświadomości strach przed Żebami.

Bestia skręciła na południe, językiem odnajdując prawie zapomniany szlak. Wiedziała, że musi odnaleźć u podnóża wielkich kości długi, ciemny budynek w wąskiej uliczce, okryty smołą szeregowiec, z którego uciekła przed tygodniami.

Krążąc nad niebezpiecznym zakątkiem miasta, czuła, że powraca do domu.

*

Isaac miał wrażenie, że przespał kilka dni. Przeciągnął się z lubością i poczuł, że spoczywa w dość niewygodnej pozycji. Zsuwał się na przemian do przodu i do tyłu.

Nagle usłyszał przerażający wrzask.

Zamarł na moment, kiedy wspomnienia wróciły do niego wysoką falą. Gdy uświadomił sobie, gdzie jest i co robi, mocniej zacisnął dłonie na ramionach Tkacza, drżąc na samą myśl o tym, co niedawno przeszli.

Wielki pajak stąpał lekko po włóknach sieci świata, nieomylnie przeskakując nad metarealnymi węzłami, które łączyły ze sobą sąsiednie chwile rzeczywistości.

Isaac przypomniał sobie zawroty głowy, które poczuł niegdyś na widok dzieła Tkacza. Mdłości wywołane niewiarygodnym, niepojętym, niezmiernym pejzażem sieci świata poważnie nadwerężyły jego zdrowie. (Teraz więc używał całej siły woli, by nie otworzyć oczu. Z bliska dobiegał cichy klekot dziobu Yagharka i szeptane przekleństwa Derkhan. Właściwie nie były to dźwięki, lecz nagłe objawienia podobne do szybujących z wiatrem strzępów jedwabiu, które wślizgiwały się jakoś pod czaszkę i zniemacka stawały się jasne. Towarzyszył im jeszcze jeden głos – nieustające okrzyki trwogi, którym w świecie Tkacza odpowiadała wizja jaskrawych, poszarpanych włókien.

Uczony zastanawiał się, kto może tak wrzeszczeć.

Tkacz tymczasem sunął pospiesznie po włóknach równoległych do tych, które zerwała lub mogła zerwać dotychczasowa i przyszła działalność ćmy. Wreszcie zanurzył się w rozpadlinę, mglistą studnię połączeń między wymiarami przestrzeni i znowu znaleźli się w mieście.

Isaac poczuł na policzku powiew ciepłego powietrza, a pod nogami drewno. Ocknął się całkowicie i otworzył oczy.

Bolała go głowa. Spojrzał w górę, zapominając o ciężkim hełmie, który wygiął mu kark mocniej, niż sobie tego życzył. O dziwo, lusterka jakimś cudem przetrwały bitwę z milicją i podróż po sieci świata.

Grimnebulin zdał sobie sprawę, że spoczywa w smudze księżycowego światła na podłodze zakurzonego poddasza. Między drewniane belki ścian i deski podłoga docierały ciche, przefiltrowane odgłosy nocnego miasta.

Derkhan i Yagharek pomału podnosili się na kolanach i łokciach, w oszołomieniu potrząsając głowami. Isaac spoglądał ukradkiem, jak kobieta w pośpiechu unosi rękę i dotyka obu stron głowy. Jej zdrowe ucho – podobnie jak jego, co uczony zauważył z zadowoleniem – znajdowało się wciąż na swoim miejscu.

Tkacz stał w kącie poddasza. Kiedy przesunął się o krok, Grimnebulin dostrzegł za nim milicjanta. Funkcjonariusz wyglądał na skamieniałego z przerażenia. Siedział sztywno, oparty o ścianę i drżący. Maską zakrywająca jego twarz zsunęła się nieco i zwisała groteskowo. Karabin spoczywał nieruchomo na jego kolanach. Oczy Isaaca rozszerzyły się, kiedy przyjrzał się broni.

Szklanej broni. Był to absolutnie doskonały i najzupełniej bezużyteczny model karabinu skałkowego, wykonany z pięknego szkła.

...TO MUSI BYĆ KRYJÓWKA SKRZYDLATEGO UCIEKINIERA... Zajęczał Tkacz.

W jego głosie wyczuwało się zmęczenie, jakby podróż przez sieć świata do reszty wyczerpała jego energię.

...SPÓJRZ NA MOJEGO NOWEGO KOLEGĘ NA MAŁEGO PRZYJACIELA Z KTÓRYM ZAMIERZAM SPĘDZIĆ TROCHĘ CZASU NIE TYLKO TU W MIEJSCU SPOCZYNKU ĆMY-WAMPIRA W KTÓRYM ONA SKŁADA SKRZYDŁA BY UKRYĆ SIĘ I POŻYWIĆ I NABRAĆ SIŁ PODCZAS GDY JA BĘDĘ GRAŁ W KÓŁKO I KRZYŻYK Z MOIM STRZELCEM ZE SZKLANYM KARABINKIEM...

Tkacz wszedł głębiej w kąt pomieszczenia i raptownie ugiął wszystkie odnóża, obniżając korpus niemal do poziomu podłogi. Jedna z kończyn przypominających noże błysnęła ostrzem ze zdumiewającą szybkością i na deskach tuż przed

zszokowanym milicjantem pojawił się rysunek pola do gry, złożonego z dziewięciu kwadratów.

Tkacz wyrwał krzyżyk w narożniku szachownicy, cofnął się i zamarł w oczekiwaniu, szepcząc coś niezrozumiale.

Isaac, Derkhan i Yagharek wolno przeszli na środek poddasza.

– Myślałem, że zabierze nas w bezpieczne miejsce – mruknął półgłosem uczony. – A on poleciał za tą pieprzoną ćmą... Ona musi gdzieś tu być.

– Musimy ją załatwić – odpowiedziała mu szeptem Derkhan i bojowo zacisnęła usta. – O mało nie rozwaliliśmy ich wszystkich... Dokończmy to, co zaczęliśmy.

– Ale jak? – syknął Isaac. – Mamy tylko te zasrane hełmy i nic więcej. Nie mamy broni, którą moglibyśmy przeciwstawić się czemuś takiemu... A poza tym nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy.

– Więc musimy spróbować przekonać Tkacza, żeby nam pomógł – ucięła Bluesday.

Próby, które podjęli, nie przyniosły jednak rezultatu. Wielki pająk ignorował ich całkowicie, pomrukiwał coś ledwie słyszalnie i czekał w napięciu, jakby wiele zależało od ruchu, który porażony strachem milicjant miał wykonać w grze w kółko i krzyżyk. Isaac i jego towarzysze namawiali Tkacza i błagali, ale wszystko wskazywało na to, że są dla niego przezroczyści. Wreszcie, zrażeni i sfrustrowani, zaprzestali wszelkich prób zwrócenia na siebie uwagi olbrzyma.

– Musimy się stąd wydostać – odezwała się niespodziewanie Derkhan. Isaac spojrział jej w oczy i bardzo, bardzo wolno skinął głową. Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Nie umiem powiedzieć, gdzie jesteśmy – oznajmił po chwili. – Widzę tylko ulicę. – Raz jeszcze omiół wzrokiem pejzaż na zewnątrz, ale nie dostrzegł żadnej charakterystycznej budowli na ciemnym horyzoncie. Potrząsając głową, wrócił na środek pomieszczenia. – Masz rację, Dee – powiedział. – Może najlepiej będzie... jeśli znajdziemy jakąś drogę... jeśli zabierzemy się stąd jak najszybciej.

Yagharek wymknął się bezszelestnie z ciasnego poddasza na słabo oświetlony korytarz. Rozejrzał się ostrożnie, próbując przebić ciemność ptasim wzrokiem.

Po lewej stronie miał ścianę biegnącą pochyło, zgodnie z płaszczyzną stromego dachu. Po prawej, w wąskim korytarzu widać było dwoje zamkniętych drzwi, a dalej zakręt w prawo, ginący w półmroku.

Nie oglądając się, Yagharek przykucnął i ręką dał znak Derkhan i Isaacowi, by wolno i ostrożnie ruszyli za nim. Oboje ściskali w dłoniach pistolety naładowane resztką wilgotnego prochu, na wszelki wypadek mierząc w ciemność, choć nie mieli pewności, czy broń w ogóle wypali.

Czekali, aż Yagharek pokona kolejnych kilka jardów, a potem zaczęli iść za nim, stawiając jak najcichsze, niepewne kroki.

Garuda zatrzymał się przy pierwszych drzwiach i przyłożył do zamka swą ptasią głowę. Odczekał chwilę, a następnie powoli uchylił drewniane skrzydło. Isaac i Derkhan podkradli się bliżej i razem z nim zajrzeli do nieoświetlonego magazynu.

– Widzisz tu coś, co mogłoby się przydać? – spytał szeptem Isaac. Po chwili już wiedział, że na pustawych półkach nie ma nic prócz nielicznych próżnych butelek i paru rozpadających się mioteł.

Yagharek dotarł do drugich drzwi, z zamiarem powtórzenia całej operacji, z rym że najpierw dał Isaacowi i Derkhan znak, by byli cicho, i przez moment w napięciu nasłuchiwał czegoś przez cienkie deski. Był to moment zdecydowanie dłuższy niż poprzednim razem. Drzwi zamknięto na kilka zamków i garuda stracił nieco więcej czasu na ich rozbrojenie. Na jednej z zasuw wisiała masywna kłódka, ale ktoś nie

zamknął jej chyba celowo, jakby wyszedł tylko na chwilę. Yagharek wolniutko popchnął drzwi i wsunął głowę w szczelinę. Stał tak, na progu nie całkiem ciemnego pokoju, przez niepokojąco długą chwilę.

Wreszcie cofnął się i odwrócił.

– Isaac – szepnął. – Chodź tu.

Grimnebulin zmarszczył brwi i pospieszył w stronę garudy, czując, że serce zaczyna mu bić jak szalone.

„O co chodzi?” – zastanawiał się. „Co tam się dzieje?” (A kiedy tak myślał, w najgłębszej części jego duszy rozległ się cichy głos podpowiedzi, ale Isaac nawet nie chciał go słuchać, bojąc się, by nie okazało się, że jest to podpowiedź fałszywa).

Przecisnął się obok Yagharka i z wahaniem wszedł do pokoju.

Pomieszczenie było duże i prostokątne, z pochyłymi ścianami, właściwymi bodaj wszystkim poddaszom. Oświetlały je trzy małe lampki oliwne oraz wąty blask latarni gazowej stojącej za brudnym, szczelnie zamkniętym oknem. Powietrze śmierdziało, a drewniana podłoga tonęła w śmieciach i drobnych skrawkach metalu.

Isaac jednak miał tylko niejasne pojęcie o tym, co go otacza.

W ciemnym kącie, tyłem do drzwi, żując posłusznie pastę i dotykając gruczołem niesamowitej, pokręconej rzeźby, klęczała Lin.

Isaac zaczął krzyczeć.

Z jego piersi wyrывało się właściwie zwierzęce wycie, które przybierało na sile mimo ostrzegawczych syków Yagharka.

Na dźwięk jego głosu Lin spłoszyła się i odwróciła gwałtownie. Zadrżała, gdy zobaczyła znajomą postać.

Isaac popędził w jej stronę, łkając radośnie na widok rdzawej skóry i poruszającego się zżywieniem głowoskarabeusza, a potem z rozpaczą na widok tego, co uczynili oprawcy.

Ciało Lin było posiniaczone i pokryte zadrapaniami oraz oparzeniami, widomymi śladami wyjątkowo brutalnego traktowania. Przez poszarpaną koszulę prześwitywały głębokie rany na plecach. Skóra na piersiach naznaczona była nacięciami krzyżującymi się we wszystkich kierunkach. Podbrzusze i uda były zsiniałe i opuchnięte.

Lecz dopiero widok jej głowy, prężącego się, owadziego głowociała, omal nie zwałił Grimnebulina z nóg.

Delikatne skrzydła zostały wyrwane; o tym wiedział już od dawna z przesyłki znalezionej w mieszkaniu, ale obraz, który nosił w wyobraźni, był niczym w porównaniu z oglądaniem prawdziwych, poruszających się bezradnie kikutów... Tu i ówdzie pancerz chroniący głowociało został roztrzaskany lub odgięty, a odsłonięta przezeń, wrażliwa tkanka – mocno poraniona. Jedno ze złożonych oczu zapadło się w sobie, tracąc zdolność widzenia. Środkowe lewe i tylne prawe głowoodnóża zostały wyrwane ze stawów.

Isaac otworzył ramiona i z całej siły przytulił Lin. Była taka szczupła... taka wątła, zmasakrowana i załamana. Drżała, dotykając ciała ukochanego, i podświadomie naprężała mięśnie, jakby nie mogła uwierzyć, że to naprawdę on; jakby bała się, że zaraz ktoś go zabierze, aby zadać jej jeszcze wymyślniejsze męczarnie.

Isaac ścisnął ją i płakał. Rozluźnił nieco ramiona, wyczuwając cienkie kości pod poranioną skórą khepri.

– Przyszedłbym wcześniej – jęknął na poły radośnie, na poły żałośnie. – Przyszedłbym, ale byłem pewien, że nie żyjesz...

Lin odsunęła go lekko, by zrobić miejsce dla gestykujących dłoni.

Potrzebowałam cię, kocham cię, nadała chaotycznie. Pomóż mi, ratuj, zabierz stąd; on nie chciał, nie chciał pozwolić mi umrzeć, póki nie skończę tego...

Isaac po raz pierwszy spojrział na niezwykłą rzeźbę, która stała za plecami Lin, tę samą, którą jeszcze przed chwilą wykańczała khepri-śliną. Było to zdumiewające, wielobarwne dzieło; portret postaci z kalejdoskopu koszmarów, kombinacji łap, oczu i nóg sterczących w najdziwniejszych miejscach. Praca była prawie skończona, brakowało jedynie wykończenia bryły, która zapewne miała stać się głową. Przyjrząwszy się bliżej, Grimnebulin dostrzegł też pustą przestrzeń, którą być może miał zapłacić bark dziwnej istoty.

Isaac długo wpatrywał się w dzieło z półotwartymi ustami, a potem znowu spojrzął na swoją khepri.

Lemuel miał rację. Ze strategicznego punktu widzenia Motley nie miał absolutnie żadnego powodu, by utrzymać Lin przy życiu. Każdego innego więźnia uśmierciłby pierwszego dnia. Lecz jego próżność, jego mistyczna mania wielkości podparta filozoficznymi rojeniami znalazły w pracy Lin doskonałą pożywkę. O tym Lemuel nie mógł wiedzieć.

Motley nie mógł znieść myśli o tym, że rzeźba mogłaby pozostać niedokończona.

Teraz dopiero do pokoju weszli Derkhan i Yagharek. Kiedy reporterka zobaczyła Lin, krzyknęła z wrażenia podobnie jak Isaac. Puściła się biegiem i po chwili obejmowała już oboje, płacząc i śmiejąc się na przemian.

Yagharek zbliżył się niepewnym krokiem.

Isaac szeptał do Lin, przepraszając ją bez końca i zapewniając, że zjawiłby się znacznie wcześniej, gdyby nie pewność, że jest za późno.

Kazał mi pracować, bił i... i torturował, dręczył, tłumaczyła gorączkowo Lin, nagle wyczerpana nadmiarem emocji.

Yagharek chciał coś powiedzieć, ale nagle zamknął półotwarty już dziób i błyskawicznie odwrócił głowę.

Teraz i inni usłyszeli tupot nóg na korytarzu.

Isaac stanął bokiem do drzwi, obejmując i podtrzymując Lin. Derkhan odsunęła się nieco, wyciągnęła pistolety i wymierzyła w stronę wejścia. Yagharek wtulił się w ścianę w cieniu rzeźby, ściskając w dłoni zwinięty, gotowy do akcji bicz.

Drzwi otworzyły się z takim impetem, że uderzyły w ścianę i odbiły się od niej.

Z korytarza wyłonił się Motley.

Właściwie Isaac widział na tle czarnych ścian jedynie jego skomplikowaną sylwetkę. Zobaczył zarys gąszczu niedobranymi kończyn, żywą plątaninę organicznych elementów. Z szeroko otwartymi ustami patrzył, jak ów mutant porusza się na kozich, ptasich i psich łapach, zaciska macki i bojowo napręża niepojęte skupiska mięśni, jak pracują dziwnie złożone kości i połatana skóra – a patrząc, nie miał wątpliwości, że Lin stworzyła swe dzieło z natury.

Na widok Motleya khepri omal nie straciła przytomności ze strachu i na wspomnienie bólu. Isaac poczuł, że ogarnia go bezgraniczna wściekłość.

Bandyta cofnął się o krok i odwrócił nieznacznie w stronę drzwi.

– Straż! – krzyknął jednym z niewidocznych ust. – Do mnie, natychmiast! – ponaglił i zwrócił się w stronę intruzów. – Grimnebulin – wycedził głosem pełnym napięcia. – Więc jednak przyszedłeś. Nie dostałeś mojej wiadomości? Nieładnie się spóźnić, nieprawdaż? – ciągnął, stając w bladym świetle kaganków. Derkhan wypaliła z obu luf. Kule przedarły się przez łąty bujnego futra i pancerną skórę Motleya. Król podziemia zachwiał się na swych niezliczonych nogach i ryknął z bólu, ale jego krzyk szybko przerodził się w śmiech. – Mam zdecydowanie zbyt wiele

organów wewnętrznych, żebyś mogła mnie poważnie zranić, parszywa suko – zagrzmiął w stronę Blueday, która splunęła z pogardą w jego stronę i cofnęła się pod ścianę.

Przyglądając się Motleyowi, Isaac dostrzegł rzędy zębów zgrzytających w jego mnogich ustach. Podłoga zawibrowała nagle, gdy w korytarzu rozległ się narastający tupot nóg.

W drzwiach za plecami Motleya pojawili się ludzie wymachujący bronią. Na moment zatrzymali się z wahaniem i Isaac poczuł dziwny ucisk w żołądku: strażnicy nie mieli twarzy, a jedynie płyty skóry rozciągnięte na gładkich czaszkach. „Do diabła, cóż to za prze-tworzeni?” – pomyślał w panice. Dopiero po chwili dostrzegł lusterka sterczące z tylnych części ich hełmów.

Wreszcie dotarło do niego, że ma przed sobą prze-tworzonych o gładko wygolonych głowach, które obrócono o sto osiemdziesiąt stopni. Było to genialnie proste i celowe przystosowanie do obcowania z ćmami. Strażnicy czekali na rozkazy szefa, zwróceniu muskularnymi pierściami i ramionami w stronę Isaaca, głowami zaś w przeciwnym kierunku.

Jedna z kończyn Motleya – paskudna, segmentowana, pokryta dziwnymi wypustkami parodia ręki – skierowała się w stronę Lin.

– Kończ wreszcie tę przeklętą robotę, robacza suko, bo jak nie, to wiesz, co cię czeka! – wrzasnął, zbliżając się do przerażonej khepri.

Isaac ryknął jak dzikie zwierzę i odepchnął Lin. Natychmiast wyczuł w powietrzu chemiczny sygnał rozpacz. Ręce kobiety wyciągnęły się ku niemu w błagalnym geście, ale on już gnał w stronę Motleya, niesiony żalem, poczuciem winy i ślełą furją.

Bandyta zawył nieartykułowanie, cofając się w kierunku drzwi i szykując się do odparcia ataku.

Nagle rozległ się potężny huk. Jakaś siła wepchnęła do pokoju na poddaszu chmurę szklanych odłamków, która dotarła nawet do najdalszych kątów, zostawiając po sobie ślady krwi i przekleństwa rannych.

Isaac zamarł w bezruchu na środku izby, tuż obok równie oszołomionego Motleya. Strażnicy unosili broń gotową do strzału, wykrzykując do siebie nawzajem sprzeczne rozkazy. Grimnebulin uniósł wzrok i spojrzał w lusterka hełmu.

Za jego plecami stała ostatnia ćma. Jej obraz otaczała rama wybitego okna ze sterczącymi groźnie odłamkami szkła. Ostre drobiny wciąż jeszcze rozlewały się po podłodze jak niebezpieczny, żrący płyn.

Isaac wstrzymał oddech.

Istota była potężna i przerażająca. Na poły stała, na poły klęczała pod ścianą przy oknie, wpijając w podłogę pazury i kolce dziwacznych kończyn. Była masywna jak dorodny goryl, sprawiała wrażenie nieskończonej brutalnej i niewyciężonej.

Bestia rozłożyła skrzydła. Ukryte dotąd ruchome wzory eksplodowały nagle feerią ponurych barw jak negatyw sztucznych ogni.

Motley stał twarzą do ćmy i jego umysł natychmiast znalazł się pod hipnotyzującym wpływem niesamowitych skrzydeł. Wpatrywał się w nie bez mrugnięcia okiem. Żołnierze, którzy stali za jego plecami, pokrzykiwali w podnieceniu, mierząc w kierunku bestii.

Yagharek i Derkhan znajdowali się pod ścianą, pod którą wylądowała ćma. Isaac widział ich w lusterkach. Wzorzyste, wewnętrzne części skrzydeł były ukryte przed ich wzrokiem; oboje byli zszokowani, ale z całą pewnością nie zahipnotyzowani.

Między monstrem a Isaakiem, na brudnych deskach zasypanych warstwą tłuczonego szkła, leżała khepri.

– Lin! – krzyknął rozpaczliwie Grimnebulin. – Nie odwracaj się! Nie oglądaj się! Chodź do mnie!

Kobieta zamarła, zaskoczona paniką w jego głosie. Zobaczyła, jak niezdarnym gestem wyciąga za siebie ręce i nie odwracając się, zaczyna iść tyłem w jej stronę.

Powoli, bardzo powoli popęzła mu na spotkanie.

Za sobą słyszała cichy, zwierzęcy pomruk.

Bestia wyprostowała się, wężąc niepewnie. Wyczuwała wokół siebie wiele umysłów poruszających się w różnych kierunkach. Bała się, bo emanowały aurą poważnego zagrożenia.

Wciąż była poruszona i załamana śmiercią rodzeństwa. Jedna z kolczastych macek biła o podłogę jak ogon dzikiego kota.

Ćma rozłożyła skrzydła najpełniej, jak umiała, a jednak tylko jeden umysł sprawiał wrażenie owładniętego ich mocą. Zastanawiała się, jak to możliwe, że tylko jeden z tak wielu...

Była zdezorientowana. Wyprężyła się przed zgrają przeciwników, zaciekle bijąc skrzydłami, próbując wciągnąć ich w hipnotyczną grę wstępną, aby wydobyć na powierzchnię ukryte w ich umysłach sny i marzenia.

Daremnie.

Ćma wpadła w panikę.

Strażnicy stojący za plecami Motleya nerwowo przestępowali z nogi na nogę. Próbowali przepchnąć się do wnętrza, ale masywne ciało ich szefa niewzruszenie stało na progu. Sprawiało wrażenie zastygłego; nogi trzymały się podłoża jak przymarznięte, a oczy wpatrywały się w skrzydła bestii w głębokim transie.

Mimo nerwowości pięciu prze-tworzonych panowało nad sobą. Stworzono ich specjalnie po to, by umieli bronić się przed atakiem ćmy; mieli być polisą ubezpieczeniową Motleya, na wypadek gdyby potwory wyrwały się z niewoli. Wszyscy nosili przy sobie broń krótką, trzej ściskali w mocarnych garściach miotacze płomieni, czwarty dzierżył rozpylacz mocnego kwasu, a piąty – elyktraumatyczny karabin. Widzieli cel, ale nie mogli zaatakować zza pleców szefa.

Nie mogli ryzykować uszkodzenia jego masywnego ciała, więc jedynie pokrzykiwali z narastającą nerwowością, bezskutecznie próbując opracować jakąkolwiek rozsądną strategię działania. Obserwowali bestię w lusterkach, przez szpary między niezliczonymi ramionami i nogami Motleya. Widok prężącej się ćmy wzbudzał w nich respekt. Isaac wciąż wyciągał ręce za siebie.

– Chodź do mnie, Lin – powtórzył. – I nie oglądaj się za siebie...

To, co się działo, było dla niej jak przerażająca wersja dziecięcej zabawy.

Yagharek i Derkhan przesuwali się pomału wzdłuż ściany, za plecami ćmy. Bestia zaklekotała dziobem, wykrywając jakiś ruch, ale bardziej interesowało ją zagęszczenie emanacji ludzkich umysłów, które miała przed sobą. Nie odwróciła się.

Lin pełza mozolnie po podłodze w kierunku pleców Isaaca i jego rozpaczliwie wyciągniętych ramion. Była blisko, kiedy zaczęła się wahać. Spojrzała na Motleya, wpatrującego się w coś z głęboką fascynacją, nie zwracającego uwagi na Isaaca, bez reszty pochłoniętego obserwacją... czegoś.

Nie wiedziała, co działo się za jej plecami.

Nie wiedziała nic o ćmach.

Isaac dostrzegł jej wahanie i z rozpaczą w głosie zawołał:

– Nie zatrzymuj się!

Lin była artystką. Tworzyła, używając zmysłów dotyku i smaku, a zasadniczą wartością jej dzieł była ich faktura. Kreowała przedmioty materialne, widzialne, przeznaczone do dotykania i oglądania.

Fascynowały ją kolor, światło i cień, a także interakcje między kształtami a liniami, między negatywnymi a pozytywnymi fragmentami przestrzeni.

Przebywała na poddaszu od bardzo długiego czasu.

Ktoś inny na jej miejscu być może dopuściłby się sabotażu na imponującej rzeźbie przedstawiającej Motleya. Zlecenie stało się wszak wyrokiem. Ale Lin nie umiała pracować źle czy też zniszczyć własnego dzieła. Wlewała wszystkie siły, całą twórczą energię w ten dziwny monolit. Motley od początku wiedział, że tak będzie.

To była jej jedyna ucieczka. Jedyne środki wyrazu. Pozbawiona światła, kolorów i kształtów świata skoncentrowała się obsesyjnie na własnym strachu i bólu. Tworząc, próbowała oszukać samotność.

A teraz do mikroświata na poddaszu wdarło się coś nowego, coś niezwykłego. Nie miała pojęcia o zwyczajach ciem. Komenda „nie odwracaj się” brzmiała jak cytaty z bajki; miała zapewne sens jako element historyjki z morałem. „Isaac chciał powiedzieć:»Spiesz się i zaufaj mi«, na pewno o to chodzi” – myślała gorączkowo. Jego polecenie miało dla niej sens wyłącznie jako wyraz emocji, troski.

Lin była artystką.

Brutalnie traktowana, torturowana, oszołomiona niewolą, bólem i poniżeniem Lin myślała już tylko o tym, że za jej plecami pojawiło się coś nadzwyczajnego, coś, co warto zobaczyć. Spragniona jakiegokolwiek odmiany po tygodniach uwięzienia wśród bezbarwnych, pochyłych ścian, zatrzymała się na moment, a potem szybko obejrzała się przez ramię.

Isaac i Derkhan krzyknęli jednocześnie, a ułamek sekundy później do ich głosów dołączył ptasi pisk zszokowanego Yagharka.

Swym jedynym zdrowym okiem Lin spojrzała z podziwem na niewiarygodne kształty potwora, a potem na mieniące się barwami skrzydła. Jej żuwaczki zadrżały spazmatycznie i znieruchomiały. Wpadła w trans.

Usiadła na podłodze i wsparła głowociało na lewym ramieniu, wpatrując się tępo w wielką bestię. Podobnie jak Motley, zahipnotyzowany ruchomymi wzorami na skórze ćmy, zapomniała o wszystkim, zatraciła się w zdumiewającej wizji.

Isaac jęknął żałośnie i przyspieszył, idąc wciąż tyłem i desperacko wyciągając za siebie rozcapierzone dłonie.

Ćma była szybsza. Jednym pewnym ruchem długich macek przyciągnęła Lin do siebie. Wielki, ociekający śliną pysk otworzył się szeroko jak brama do królestwa śmierci. Śmierdzący zgniłą cytryną śluz polał się na twarz khepri.

Isaac w panice szukał rąk swojej kobiety, ale z pomocą lusterek nie było to łatwe. Z paszczy ćmy wysunął się cuchnący jęzor, który musnął głowoskarabeusza Lin. Isaac krzyczał raz po raz, ale nie mógł powstrzymać tego, co miało się stać.

Długi język, dobrze nasmarowany śliną, wtargnął między bezwładne żuwaczki owadziej głowy Lin i zniknął w jej wnętrzu.

Słyszając dramatyczne krzyki Isaaca, dwaj prze-tworzeni spośród pięciu uwięzionych za cielskiem Motleya wychylili się i strzelili z karabinów skałkowych. Pierwszy chybił, drugi posłał kulę w pierś ćmy, lecz nic nie wskórał, jeśli nie liczyć kropli gęstego płynu, która spłynęła po ciele bestii i jej pełnego wściekłości syku. Skałkówki nie były odpowiednią bronią na to polowanie.

Dwaj strzelcy skrzyknęli swoich towarzyszy i razem z nimi zaczęli ostrożnie, bez zbędnej gwałtowności popychać ciało swego szefa.

Isaac coraz mocniej ścisnął bezwładną dłoń Lin.

Gardziel ćmy puchła i kurczyła się na przemian za każdym łykiem mentalnej stawy.

Yagharek schylił się i podniósł lampkę oliwną stojącą u podnóża wielkiej rzeźby. Zważył ją ostrożnie w lewej dłoni, a w prawej ścisnął mocniej zwinięty bicz.

– Ciągnij ją, Isaacu – zawołał.

Grimnebulin wbił palce w nadgarstek Lin, dociśniętej do piersi potwora jego niezliczonymi mackami. Ciągnął z całej siły, zaciskając zęby. Wyteżając mięśnie, płakał i klął na przemian.

Yagharek cisnął kaganek w stronę głowy bestii. Szkło rozprysło się, a mgiełka łatwopalnego oleju spoczęła na pancernym karku i rozlała się nieznacznie w dół. Wraz z nią po ciele ćmy rozprzestrzeniły się płomienie.

Rozległ się przenikliwy pisk. Kończyny bestii odwróciły się i wygięły ku tyłowi, by zdławić ogień, a wielki łeb odruchowo szarpnął się ku górze. W tej samej chwili Yagharek strzelił z bicza. Gruby, czarny rzemień z dramatycznym trzaskiem owinął się wokół ciemnej skóry na szyi potwora.

Garuda szarpnął biczem z całej siły swych żyłastych ramion i grzbietu. Rzemień naprężył się, a Yagharek zamarł w oczekiwaniu na kontratak.

Ogień wciąż drażnił szyję bestii, a zaciśnięty na niej bicz uniemożliwiał przetykanie i oddychanie.

Ćma szarpała wytrzymały rzemień, wydając z siebie jedynie zduszone charczenie. Jej język zaczął puchnąć i po chwili wystrzelił z szeroko otwartych ust Lin jak z procy. Żarłocznie pochłaniana świadomość wycieńczonej khepri stanęła w gardle bestii, która w panice chwyciła ciasno zwiniętą końcówkę bicza, daremnie próbując odwiązać ją lub rozerwać.

Isaac ze wszystkich sił trzymał w dłoniach wychudły nadgarstek Lin. Ciągnął mocno, nie zwracając uwagi na gwałtowny, potworny taniec duszącej się ćmy. Wreszcie kurczowo zaciśnięte kończyny rozluźniły się i puściły osłabioną khepri, by pochwycić naprężony rzemień. Isaac raz jeszcze pociągnął ku sobie Lin i tym razem oboje upadli na podłogę, próbując w pośpiechu odpelznąć od szalejącej bestii.

Szamocąc się w panice, ćma złożyła skrzydła i odwróciła się tyłem do drzwi. W tej samej sekundzie Motley ocknął się z głębokiego transu. Zatokczył się i upadł na podłogę, powoli odzyskując władzę nad własnym umysłem i ciałem. Jego ludzie przecisnęli się obok i ruszyli w stronę kłębowiska rąk, nóg i macek wirującego na środku pokoju.

Wreszcie bestia obróciła się gwałtownie na dwóch łapach, bębniąc pazurami o deski. Wyszarpnęła Yagharkowi bicz, którego szorstka rękojeść rozcięła skórę na jego dłoniach. Garuda cofnął się w stronę Derkhan, poza zasięg ostrych jak brzytwa, wirujących bezwładnie macek.

Motley odzyskał przytomność i podniósł się z podłogi. Cofnął się natychmiast i zniknął za drzwiami, na korytarzu.

– Zabijcie to przeklęte bydlę! – wrzasnął zza ściany.

Taniec wścieklej bestii nie ustawał ani na chwilę. Pięciu przetworzonych stanęło zwartą grupą w pobliżu drzwi, mierząc do przeciwnika za pomocą lusterek.

Z dysz trzech miotaczy ognia bluznęły strumienie płonącego gazu. Wszystkie dosięgły potwora. Ćma próbowała skrzeczeć przeraźliwie z bólu, czując, jak skóra skrzydeł i chityna pancerza puchną, pękają i łuszczą się płatami, ale ciasno zawinięty rzemień wciąż dławił jej szyję. Solidna dawka kwasu wystrzelonego z miotacza trafiła prosto w jej pysk. Denaturacja białka i rozpad innych składników skóry dokonały się w ciągu paru sekund. Egzoszkielec ćmy powoli przestawał istnieć.

Kwas i płomienie przeżerały także czarny rzemień bicza. Resztki wyprawionej skóry rozleciały się na wszystkie strony, gdy bestia raz jeszcze naprężyła mięśnie karku. Znowu mogła oddychać – i wyc.

Jej obłąkańczy wrzask nasilił się, gdy dopadła ją kolejna salwa ognia i kwasu. Bestia zebrała siły i na oślep rzuciła się w kierunku napastników.

Czarne błyskawice energii wystrzeliły w jej stronę z broni piątego żołnierza. Rozeszły się po powierzchni ciała, wywołując odrętwienie i paląc żywym ogniem, choć wcale nie były gorące. Ćma zawyla jeszcze głośniejsze, ale nie przerwała szturmowi. Pędziła przed siebie jak kula ognia, ociekając żrącymi substancjami i przy każdym ruchu odsłaniając nagie, wypalone kości.

Pięciu prze-tworzonych cofnęło się pospiesznie i wypadło na korytarz w ślad za Motleyem. Rozpędzony stos płonących tkanek odbił się od ściany pokoju, przy każdym kroku gubiąc krople płonącej cieczy. Za drugim razem ćmie udało się trafić w otwarte drzwi.

Z korytarza dobiegały teraz trzaski płomieni, syk rozlewającego się kwasu i pohukiwanie elektryczno-taumaturgicznego karabinu.

Derkhan, Yagharek i Isaac przez długie sekundy w oszołomieniu wpatrywali się w pustą otwór drzwi. Ćma zniknęła im z oczu, ale wciąż słychać było jej zawodzenie, a z głębi korytarza rozchodziło się jaskrawe światło, któremu towarzyszyły podmuchy gorąca.

Wreszcie Grimnebulin zamrugnął nerwowo powiekami i spojrzał na Lin, która spoczywała bezwładnie w jego objęciach.

Potrząsnął nią i zawołał po imieniu.

– Lin – szepnął po chwili. – Lin... musimy uciekać.

Yagharek podszedł do okna i wyjrzał na ulicę, widoczną na dnie pięciopiętrowego kanionu. Tuż obok z elewacji budynku wystawała gruba kolumna cegieł, w której kryły się przewody kominowe. Wzdłuż niej umocowano rurę spustową połączoną z systemem rynien. Garuda stanął na parapecie, wychylił się i z całej siły szarpnął blaszaną tubę. Trzymała się mocno.

– Isaacu, daj ją tutaj – powiedziała Derkhan. Uczony uniósł nieprzytomną Lin. Przygryzł wargi, czując, jak bardzo zeszczułała. Spojrzał na jej poranione ciało i nagle na jego ustach pojawił się pełen niedowierzania uśmiech. Trzymając Lin na rękach, zaczął płakać.

Z korytarza nadal dobiegało żalosne zawodzenie rannej ćmy.

– Spójrz, Dee! – powiedział Isaac. Dłonie Lin poruszały się niespokojnie. – Ona daje znaki! Wszystko będzie dobrze! – Derkhan pochyliła się, usiłując odczytać słowa języka migowego. Isaac także próbował, ale po chwili pokręcił głową. – Jest nieprzytomna, to tylko przypadkowe znaki, ale jednak znaki, Dee... Zdążyliśmy.

Derkhan uśmiechnęła się z ulgą. Pocałowała Isaaca w policzek i delikatnie pogładziła głowoskarabeusza Lin.

– Zabierzmy ją stąd – szepnęła. Grimnebulin wyjrzał przez okno i w odległości kilku stóp zobaczył Yagharka uczeplonego rynny i zaklinowanego w miejscu, w którym bok komina stykał się z płaszczyzną ściany, tuż pod krawędzią dachu.

– Daj mi ją i chodźcie za mną – zakomenderował Yagharek i skinął głową, wpatrując się w ciemność ponad ramieniem Isaaca. Wschodni kraniec długiego, dwuspadowego dachu kryjącego szeregowiec Motleya stykał się z rzędem domów stojących przy sąsiedniej, prostopadłej ulicy. Ich dachy wyraźnie opadały ku południu. Ze wszystkich stron widać było dachówkowy krajobraz Miasta Kości, unoszący się falami nad otchłanią niebezpiecznych ulic. Ciągnął się w ciemność przez długie mile, sięgając od Żeber aż po Mog Hill i dalej.

Nawet wtedy, gdy jej ciało trawiły płomienie i kwas, zamroczona błyskawicami taumaturgicznej energii ćma miała szansę przeżyć.

Była zdumiewająco wytrzymałą istotą. Potrafiła regenerować zniszczone tkanki w zastraszającym tempie.

Gdyby toczyła bój w otwartej przestrzeni, mogłaby skoczyć w górę, rozpostrzeć swe ogromne skrzydła i zniknąć prześladowcom z oczu. Mogłaby to zrobić, ignorując ból i nie myśląc o płatach spalonej skóry oraz pancerza, które ciągnęłyby się za nią w powietrzu. Mogłaby zanurkować w wilgotnych chmurach, by zdusić płomienie i zmyć plamy żrącego kwasu.

Gdyby przetrwały jej siostry, gdyby miała pewność, że wróci do nich i znowu razem zapolują, być może nie wpadłaby w panikę. Gdyby nie była świadkiem rzezi pozostałych bestii, gdyby nie wyczuła ich śmierci wywołanej eksplozją sztucznej, złej, morderczej emanacji, być może nie szalałaby ze strachu i wściekłości, tracąc kontrolę nad sobą i grzęznąc coraz głębiej w pułapce.

Była jednak sama. Uwięziona wśród murów, w klaustrofobicznych wnętrzach krępujących ruchy skrzydeł, nie miała dokąd uciec. Zewsząd otaczał ją ogień, a wraz z nim pojawiał się morderczy, niekończący się ból. Płomienie atakowały zbyt szybko, by umęczone ciało nadążało z regeneracją.

Bestia kuśtykała korytarzem rezydencji Motleya jak żywa kula ognia, mimo ciężkich ran wciąż próbując sięgać przed siebie pazurami i kolcami, wciąż polując. Upadła dopiero na szczycie schodów.

Motley i jego prze-tworzeni przyglądali się jej z podziwem, przyczajeni w połowie drogi na niższe piętro. Modlili się, by nie poruszyła się więcej, by nie podpełzła bliżej i nie stoczyła się na nich, niosąc śmierć w płomieniach.

Nie uczyniła tego. Skonała.

Kiedy upewnili się, że ćma nie żyje, Motley, posłał swoich ludzi na górę. Za pomocą mokrych koców i wiader z wodą walczyli z płomieniami, które bestia zostawiła na swej drodze.

Minęło dwadzieścia minut, zanim pożar został opanowany. Belki i deski poddasza były spękane i osmalone, farba odłaziła ze ścian płytami. Na podłodze korytarza widniały wielkie, czarne ślady płonących stóp. Zwęglone ciało ćmy spoczywało u szczytu schodów. Niewiarygodna płątanina zniekształconych gorącym tkanek wyglądała teraz jeszcze bardziej egzotycznie niż za życia bestii.

– Grimnebulin i jego banda zniknęli – rzekł Motley. – Znajdźcie ich. Dowiedźcie się, dokąd poszli. Śledźcie ich. Macie ich dopaść; natychmiast, jeszcze tej nocy. – Łatwo było odtworzyć drogę ich ucieczki z płonącego poddasza: przez okno, po rynnie na dach, a potem... w zasadzie w dowolnym kierunku. Ludzie Motleya spojrzeli po sobie, nerwowo przestępując z nogi na nogę. – Ruszać się, przetworzone ścierwa! – ryknął król podziemia. – Znaleźć mi ich natychmiast i przyprowadzić do mnie!

Oddziały przerażonych ludzi, kaktusów i vodyanoich opuściły wkrótce bazę i zagłębiły się w labirynt miasta. Po drodze żołnierze Motleya snuli bezsensowne plany poszukiwań i wymieniali mało rozsądne uwagi. Wreszcie rozbiegli się w stronę Sunter, Echomire i Ludmead, do Kelltree i Mog Hill, a nawet do Badside i na drugą stronę rzeki, w stronę Brock Marsh, West Gidd, Griss Feli, Murkside i Saltpetre.

Niewykлучzone, że tysiąc razy minęli o włos Isaaca i jego towarzyszy.

Nowe Crobuzon było miastem nieskończonej liczby kryjówek. Było ich w istocie znacznie więcej niż ludzi, którzy mogliby szukać w nich schronienia. Żołnierze Motleya nie mieli najmniejszych szans.

W noc taką jak ta, gdy deszcz i blada poświata ulicznych latarni sprawiały, że linie miasta zlewały się i przyjmowały nieoczekiwane kształty – zacierając granice między kępami drzew, dziełami architektury, dźwiękami, starożytnymi ruinami, ciemnością, katakumbami, placami budowy, gospodami, nagą ziemią, światłami domów, pubami i wylotami kanałów ściekowych – Nowe Crobuzon było nie kończącą się, genialną kryjówką. Ludzie Motleya wrócili do domu z niczym, jeśli nie liczyć potężnej porcji strachu.

Motley dostał szału, gdy popatrzył na porzuconą przez Lin rzeźbę, która zdawała się drwić z niego – doskonała i niedokończona. Jego ludzie zajęli się przetrząsaniem budynku na wypadek, gdyby wcześniej przeoczono jakiś trop uciekinierów.

W ostatnim pokoju, przy końcu poddaszowego korytarza, znaleźli samotnego milicjanta siedzącego pod ścianą w stanie głębokiego szoku. Na jego kolanach leżał piękny, dziwaczny, szklany karabin. Na deskach u jego stóp wryte było pole do gry w kółko i krzyżyk.

Krzyżyki zwyciężyły w trzech ruchach.

Umykamy i chowamy się jak tropiona zwierzyzna, lecz czynimy to z ulgą i radością. Wiemy, że zwyciężyliśmy.

Isaac niesie Lin na rękach, czasem tylko z niechęcią zarzucają sobie na ramię, kiedy teren staje się trudniejszy. Uciekamy. Biegniemy jak duchy, zmęczeni i rozradowani. Zapomniane, wschodnie dzielnice miasta nie są dla nas przeszkodą. Przeskakujemy nad niskimi ogrodzeniami i przemierzamy wąskie podwórka, zaniedbane ogródki pełne zmutowanych jabłoni i splątanych jeżyn, a także zapomnianego kompostu, zwykłego błota i porzuconych, zepsutych zabawek.

O czasu do czasu Derkhan mamrocze ponuro i widzę, że na jej twarzy pojawia się cień. Rozmyśla o Andreju, ale w taką noc trudno czuć się winnym, nawet jeśli zasłużyło się na wyrzuty sumienia. Zdarzają się ponure chwile, ale w tym ciepłym deszczu i w łagodnym blasku miasta wolimy spoglądać na siebie z uśmiechem i z niemałym zdumieniem myśleć o tym, czego dokonaliśmy.

Ćmy zginęły.

To prawda, trzeba było zapłacić straszliwą, straszliwą cenę. Piekielnie wysoką cenę. Lecz teraz, gdy układamy się do snu w szopie na dachu jednego z domów w Pincod, z dala od milicyjnych wież, na północ od linii kolejowej i smrodu stacji Dark Water, jeszcze raz przeżywamy chwilę naszego triumfu.

Rankiem gazety pełne są ponurych ostrzeżeń. „Quarrell” i „The Messenger” sugerują, że władze miasta szykują się do „podjęcia daleko idących kroków”.

Derkhan śpi przez długie godziny, a potem siedzi samotnie. Smutek i poczucie winy wreszcie mają czas i miejsce, by rozkwitnąć w niej bez ograniczeń. Lin porusza się od czasu do czasu; często traci przytomność. Isaac drzemie i pożywia się tym, co udało nam się ukraść. Bezustannie tuli do siebie Lin. Z wielkim zaciekawieniem mówi o pojawieniu się Jacka Pół-Pacierza.

Teraz zagląda do torby i przekłada z miejsca na miejsce poobijane komponenty maszyny kryzysowej. Pogwizduje z cicha i zaciska usta. Mówi mi, że uruchomi ją bez problemu.

Te słowa przypominają o tęsknocie, którą żyję. O ostatecznej wolności. Pragnę jej tak mocno... Pragnę latać.

Ponad moim ramieniem czyta brudną gazetę.

Dowiadujemy się razem, że w tej napiętej sytuacji milicji nada się specjalne uprawnienia. Być może pojawią się jawne, umundurowane patrole. Może zawiesi się niektóre prawa obywatelskie. Ogłasza się stan wyjątkowy.

Ale ja czują, że w ten wietrzny dzień brud spowijający niebo – zatruwające sen odchody tych przeklętych bestii – zaczyna znikać pomału z eteru i osiadać na ziemi. Mam wrażenie, leżąc sobie pod tymi nadgniętymi deskami, że masy tego świństwa są coraz rzadsze, jakby rozkładało je słoneczne światło. Być może dryfują jeszcze przez niepojęte wymiary nad miastem, przenikając materią, ale pomału opuszczają naszą rzeczywistość.

A kiedy zapada noc, wiem już, że koszmary minęły.

Wydaje się, jakby całe miasto szlochało i wzdychało z bezgraniczną ulgą. Fala spokoju wpada do naszej kryjówki z nocnym powietrzem znad Gallmarch, Zakola Smogu, Gross Coil, Sheck, Brock Marsh, Ludmead, Mog Hill i Abrogate Green.

Nowe Crobuzon zapada w oczyszczającą toń snu. Na mokrej, zaszczonej słomie w Creekside czy innych slumsach, na puchatych pierzynach w Chnum, parami lub samotnie obywatele miasta nareszcie odpoczywają.

Życie jednak nie zamiera; to oczywiste. Nie ustaje praca nocnej zmiany w dokach, nie milkną też metaliczne odgłosy pracy walcowni i odlewni. Ostre dźwięki przebijające noc kojarzą się z wojną. Strażnicy snują się po dziedzińcach fabryk. Dziwki szukają klientów, gdzie się da. Żli ludzie popełniają zbrodnie. Przemoc nigdy nie ustaje.

Lecz śpiący i czuwający nie są już nękani przez zmory. Strachy, które im towarzyszą, należą już wyłącznie do nich.

Niczym niewyobrażalny, niemrawy olbrzym Nowe Crobuzon przewraca się z boku na bok w spokojnym śnie.

Zapomniałem już, jak przyjemna może być taka noc. Kiedy budzę się ze słońcem, mój umysł jest jasny. Ból minął. Jesteśmy wolni. Tym razem na pierwszych stronach piszą o końcu „Koszmaru nocy letniej” albo „Choroby śpiących”, albo „Przekleństwa snu” i jeszcze wielu innych zjawisk, których niedorzeczne nazwy wymyślono w poszczególnych gazetach.

Czytamy te historie i śmiejemy się do rozpuku, Derkhan, Isaac i ja. Zadowolenie wyczuwam nawet w powietrzu. Miasto wróciło do siebie. Odmienione.

Teraz czekamy już tylko, aż Lin wróci do siebie.

Ale nie wraca.

Pierwszego dnia spała. Jej ciało zaczynało się goić. Mocno przyciskała się do Isaaca i nie chciała się obudzić. Była wolna i po raz pierwszy od długiego czasu mogła spać bez strachu.

Teraz wreszcie obudziła się i usiadła leniwie. Jej głowoodnóża drżą nieznacznie. Żuwaczki pracują z zapalem: jest głodna, więc szukamy owoców w naszym kradzionym prowiancie. Dajemy jej śniadanie.

Spogląda niepewnie to na mnie, to na Derkhan, to na Isaaca, ale je. On ścisną jej uda i szepce coś, zbyt cicho, bym mógł usłyszeć. Ona odsuwa głowę jak małe dziecko. Jej ruchy są gwałtowne, spazmatyczne.

Lin unosi ręce, daje znaki Isaacowi.

On obserwuje ją w napięciu i coraz bardziej marszczy czoło w pogłębiającej się rozpacz, widząc jej koślawe, niepewne ruchy.

Oczy Derkhan otwierają się coraz szerzej z każdym znakiem.

Isaac potrząsa głową, słowa tłumaczenia ledwie przechodzą mu przez gardło.

„Rano... jedzenie... ociepla... owad... podróz... szczęśliwy...”

Lin nie może sama jeść. Jej zewnętrzne żuwaczki zaciskają się nagle i rozcinają owoc na pół, a potem rozluźniają się równie niespodziewanie, wypuszczając go na podłogę. Trzęsie się ze złości, kołysząc głową. Wydziela chmurę zapachu. Isaac mówi, że to łyżki kheprich.

Pociesza ją i trzyma dla niej jabłko. Pomaga ugryźć i wyciera sok, który spływa po jej ciele. Boi się, sygnalizuje Lin, a Isaac tłumaczy z wahaniem. Umysł, męczy, rozlewa, luźno, sztuka, Motley! Lin trzęsie się gwałtownie i rozgląda z niezmiernym przerażeniem. Isaac uspokaja ją, pociesza. Derkhan przygląda się temu z głębokim smutkiem. Sama, sygnalizuje zdesperowana Lin i wypuszcza chemiczną wiadomość, której nikt z nas nie rozumie. Potwór, ciepło, prze-tworzony... Rozgląda się. „Jabłko”, dodaje. Jabłko.

Isaac unosi owoc i karmi ją. Lin wierci się jak małe dziecko.

Kiedy nadchodzi wieczór, znowu zasypia, szybko i głęboko. Isaac i Derkhan naradzają się półgłosem, a potem on zaczyna krzyczeć i płakać.

„Dojdzie do siebie!” – woła, a Lin przewraca się we śnie na drugi bok. Jest półżywa z wyczerpania; omal nie zatłukli jej na śmierć, nic dziwnego, powtarzam: nic dziwnego, że jest zdezorientowana...

Ale Lin nie dochodzi do siebie. On wie, że już nie dojdzie.

Wyrwaliśmy ją z objęć śmy, gdy jej umysł był już w połowie wypity. Połowa myśli, połowa snów i marzeń trafiła do kałduna ohydnej bestii. I znikła – spalona najpierw przez żołądek, a potem przez ludzi Motleya.

Lin budzi się szczęśliwa i z zapalem plecie głupstwa, gestykulując dłońmi. Próbuje wstać i nie może, upada i płacze lub śmieje się chemicznie. Klekoce żuwaczkami i moczy się jak dziecko.

Raczkuje po naszym skrawku dachu, korzystając z tej połowy umysłu, która jej została. Bezradna. Zniszczona. Została z niej osobliwa kombinacja dzieciennego śmiechu i dorosłych marzeń. Jej mowa jest dziwna, niezrozumiała, złożona, gwałtowna i infantylna.

Isaac jest załamany.

Musimy opuścić ten dach, niepokoją nas odgłosy z dołu. Lin nie chce przeprowadzki, urządza nam scenę. Wścieka się, bo nie rozumiemy jej dziwacznych potoków słów. Tupie nogami z całej siły i niezdarnie próbuje bić Isaaca. Jej znaki stają się obelżywe, próbuje nas kopać.

Obezwładniamy ją i trzymamy mocno. Unosimy ze sobą.

Wędrujemy nocą. Boimy się milicji i ludzi Motleya. Uważamy też na konstrukty, które mogłyby donieść Radzie o naszym położeniu. Mamy baczenie na gwałtowne ruchy w otoczeniu i podejrzliwe spojrzenia. Nie możemy ufać sąsiadom. Jesteśmy skazani na życie w półmroku, w izolacji, w nierealnym świecie. Kradniemy to, czego nam potrzeba, albo kupujemy u nocnych sprzedawców wiele mil od naszej kryjówki. Każde pytające spojrzenie, każdy krzyk, nagły stukot kopyt lub butów, każdy syk tłoków konstruktu staje się chwilą strachu.

Jesteśmy najbardziej poszukiwanymi istotami w Nowym Crobuzon. Wątpliwy to zaszczyt.

Lin chce kolorowych jagód.

Isaac tłumaczy nam jej gesty: dziwną mieszankę symboli oznaczających żucie oraz pulsowania gruczołu (moim zdaniem jest w tym coś seksualnego).

Derkhan mówi, że pójdzie. Ona też kocha Lin.

Spędzają z Isaakiem długie godziny, przygotowując przebranie. Używają wody, masła i sadzy, poszarpanych szmat, jedzenia z naszych zapasów i znalezionych resztek barwników. Wreszcie Derkhan pojawia się jako zgarbiona i wykrzywiona staruszka o czarnych włosach lśniący jak kryształy węgla i z obrzydliwą, głęboką blizną na czole.

Kiedy nas opuszcza, czekamy ze strachem na jej powrót. Prawie się nie odzywamy.

Lin kontynuuje swój idiotyczny monolog, a Isaac próbuje odpowiadać jej w mowie znaków. Głaszcze ją i porusza dłońmi powoli, co doprowadza ją do szalu. Próbuje odejść i znowu upada; kończyny nie chcą jej słuchać. Zaczyna się bać własnego ciała. Isaac pomaga jej, sadza i karmi, masuje naprężone, posiniaczone ramiona.

Derkhan wraca i wszyscy czujemy niewymowną ulgę. Przyniosła papkę i wielką garść kolorowych jagód różnych odmian. Ich barwy są żywe, soczyste.

„Myślałam, że ta przeklęta Rada już nas ma” – mówi Derkhan. – „Wydawało mi się, że śledzi mnie konstrukt. Na wszelki wypadek kluczyłam po Kinken, żeby go zgubić”.

Nikt z nas nie wie, czy rzeczywiście ktoś ją śledził.

Lin jest podniecona. Jej czułki i głowoodnoża drżą niecierpliwie. Próbuje żuć porcję białej papki, ale trzęsie się tak mocno, że przestaje panować nad żuwaczkami. Isaac jest bardzo delikatny. Powoli wciska w nią tę papkę, jakby chciał ją przekonać, że sama tak dobrze sobie radzi.

Mija kilka minut, zanim głowoskarabeusz przetrawi papkę i skieruje ją do gruczołu. Czekamy, a Isaac potrząsa przed okiem Lin garścią kolorowych jagód. Czekają, aż będzie mógł zinterpretować kolejny niepewny gest jako wybór. Wreszcie wolno i ostrożnie podaje jej kiść, na którą – jak mu się zdaje – wskazała Lin.

Siedzimy w milczeniu. Lin przełyka i żuje z wielką uwagą. Obserwujemy ją.

Mijają minuty. Wreszcie gruczoł otwiera się. Pochylamy się nad nim, z niecierpliwością oczekując nowego dzieła Lin.

Wargi zamykające gruczoł rozchyliły się, by wypuścić dużą kroplę gęstej khepri-śliny. Podekscytowana Lin wymachuje ramionami, formując w przypadkowy sposób bezkształtną masę, która w kawałkach opada na podłogę.

Po chwili ślini się kolorową mazią z jagód, bryzgając nią na „dzieło”, które przed chwilą stworzyła.

Derkhan odwraca głowę. Isaac płacze tak, jak nie płakał jeszcze żaden człowiek, którego znałem.

Tymczasem na zewnątrz miasto rozkoszuje się swoją wolnością, raz jeszcze bezczelne i nieustraszone. Ignoruje nas. Jest niewdzięczne. Ten tydzień jest jakby chłodniejszy, daje wytchnienie po dniach upalnego lata. Wiatr dociera do nas znad wybrzeża; znad ujścia Wielkiej Smoły i znad Zatoki Żelaznej. Nowe statki przybywają każdego dnia. Na rzece jak zawsze tworzy się kolejka oczekujących na załadunek i rozładunek. Statki handlowe z Kohnid i Tesh; podróżnicy z Cieśnin Ognistej Wody; pływające fabryki z Myrshock; piraci z Figh Yadiso, udający uczciwych obywateli na wodach tak dalekich od otwartego morza... Chmury kłębią się wokół słońca jak rój pszczoł. Miasto znowu staje się hałaśliwe. Już zapomniało. Zostało mu tylko mgliste wspomnienie o koszmarnych nocach, nic więcej.

Widzę niebo. Między szorstkimi dechami, które nas otaczają, są prześwity jaskrawego światła. Bardzo bym chciał być teraz tam, w górze. Wyobrażam sobie to uczucie, kiedy smaga mnie wiatr, a powietrze poniżej wydaje się cięższe ode mnie. Chciałbym popatrzeć z wysoka na ten dom i na tę ulicę. Tak bym chciał, żeby nic mnie tu nie trzymało, żeby grawitacja była tylko sugestią, którą mógłbym zignorować...

Lin daje znaki. Lepki, przestraszona, szepce Isaac, pociągając nosem. W skupieniu obserwuje jej ręce. „Siku i mama, jedzenie, skrzydła, szczęśliwa. Boi się. Boi się”.

CZĘŚĆ ÓSMA. WYROK

ROZDZIAŁ 52

– Musimy stąd wyjechać.

Derkhan mówiła szybko, a Isaac patrzył na nią ponuro. Karmit Lin, która krzywiła się i kręciła niespokojnie, nie bardzo wiedząc, co chce robić. Próbowwała dawać znaki, ale jej ręce nie były posłuszne; chwilami przekazywały nie słowa, lecz przypadkowe symbole bez żadnego znaczenia. Isaac troskliwie strząsał kawałki owocu z jej ubrania.

Wreszcie skinął głową i wbił wzrok w podłogę. Derkhan mówiła dalej, jakby brała jego zachowanie za wyraz dezaprobaty, jakby czuła, że musi go przekonać.

– Za każdym razem, kiedy zmieniamy kryjówkę, czujemy strach – mówiła cicho, z wyrazem zawziętości na twarzy. Strach, poczucie winy, zmęczenie i smutek nie dawały jej spokoju. Była wyczerpana. – Za każdym razem, gdy na horyzoncie pojawia się jakiś automat, jesteśmy pewni, że znalazła nas Rada Konstruktorów. Zamieramy ze strachu na widok każdego mężczyzny, kobiety czy obcego. Może to agent milicji? Może zbir Motleya? – Derkhan przyklęknęła i pochyliła się nad uczonym. – Ja nie mogę tak żyć, Zaac – powiedziała. Spojrzała na Lin, uśmiechnęła się lekko i przymknęła oczy. – Zabierzemy ją ze sobą – szepnęła. – Będziemy się nią opiekować. Tutaj jesteśmy skończeni. Nie możemy ukrywać się bez końca; znajdą nas prędzej czy później. Nie chcę na to czekać.

Isaac znowu kiwnął głową.

– Ja... – zaczął i urwał. Próbował uporządkować myśli. – Ja... mam sprawę, którą muszę doprowadzić do końca – powiedział cicho.

Podrapał się po pulchnym podbródku, swędziało go skóra pod odrastającą wolno brodą. Wiatr wpadał do mieszkania przez wybite okna. Stary dom w Pincod był wysoki, zapleśniały i pełen włóczęgów. Isaac, Derkhan i Yagharek zajęli dla siebie dwa ostatnie piętra. Okna znajdowały się w przeciwległych ścianach – jedno z widokiem na ulicę, drugie z pejzażem małego, zaśmieconego podwórka. Spomiędzy betonowych płyt na tyłach domu sterczały kępy chwastów niczym zmutowane narośle.

Isaac i pozostali barykadowali drzwi zawsze, gdy przebywali w mieszkaniu. Wymykali się na ulicę wyłącznie w przebraniu i zazwyczaj nocą, zachowując nadzwyczajną ostrożność. Rzadko wypuszczali się do miasta za dnia, tak jak Yagharek uczynił to tego ranka – zawsze jednak znalazł się powód; nie cierpiąca zwłoki sprawa, która zmuszała ich do podjęcia ryzyka. Zapewne jedną z nieustających przyczyn była zwykła klaustrofobia. Uwolnili przecież miasto i nie chcieli pogodzić się z myślą, że nie wolno im przechadzać się jego ulicami w pełnym słońcu.

– Wiem o twoim zobowiązaniu – powiedziała Derkhan. Spojrzała na luźno połączone elementy maszyny kryzysowej, które uczony wyjął z worka poprzedniego dnia i skrupulatnie oczyścił, a potem złożył w całość.

– Yagharek... – mruknął Isaac. – Jestem mu to winien. Obiecałem. Derkhan spuściła wzrok i z trudem przełknęła ślinę, po czym znowu popatrzyła na niego. Skinęła głową.

– Jak długo? – spytała. Isaac zerknął na nią, ale nie wytrzymał jej spojrzenia. Wzruszył ramionami.

– Niektóre kable są przepalone – odparł ogólnikowo i ułożył nieco wygodniej Lin, przytuloną do jego piersi. – Cholerne sprzężenie zwrotne stopiło parę obwodów. Hmm... Będę musiał wyjść dziś wieczorem i poszukać paru przetworników... i dynamy. Resztę mogę naprawić sam. Tylko że nie mam narzędzi. Kłopot w tym, że za każdym razem, gdy coś kradniemy, ryzyko rośnie. – Grimnebulin raz jeszcze wzruszył ramionami. Innego rozwiązania nie było, pieniądze skończyły się dawno temu. – Muszę też zdobyć ogniwo chemiczne albo coś w tym guście. Ale najtrudniej będzie uporać się z matematyką. Naprawienie samej maszyny to kwestia czysto mechanicznej pracy. Nawet jeśli uruchomię ją wkrótce, to przebrnięcie przez obliczenia... no, wiesz... sformułowanie problemu za pomocą równań... to cholernie trudna sprawa. Ostatnim razem załatwiła to za mnie Rada Konstruktorów. – Mężczyzna przymknął oczy i oparł głowę o ścianę. – Muszę stworzyć sekwencję instrukcji – dodał cicho. – „Leć”... To właśnie muszę powiedzieć maszynie. Trzeba umieścić Yaga w powietrzu, wtedy znajdzie się w kryzysie, bo przecież powinien zlecieć na ziemię. Maszyna musi sięgnąć do istoty tego stanu i skierować jego energię na Yagharka. W ten sposób utrzyma go w powietrzu, potęgując potencjał kryzysu, a więc i energię, z której znowu może skorzystać... i tak dalej. To doskonała, nieskończona pętla – podsumował. – Myślę, że to się uda. Tylko ta matematyka...

– Jak długo? – powtórzyła cicho Derkhan. Isaac zmarszczył brwi. – Tydzień... może dwa – przyznał. – A może i dłużej.

Blueday bez słowa pokręciła głową.

– Jestem mu to winien, Dee! – powiedział z naciskiem Isaac. – Obiecałem mu to dawno temu, to on...

„To on odciągnął ćmę od Lin” – chciał powiedzieć, ale gdzieś w głębi jego duszy natychmiast pojawiło się pytanie: „Tylko czy dobrze zrobił?” Czując obrzydzenie do własnych myśli, Isaac umilkł.

„To największe osiągnięcie nauki od setek lat” – pomyślał nagle z wściekłością. „A ja nie mogę nawet wyjść z ukrycia! Muszę... uciec stąd i zabrać maszynę ze sobą”.

Pogładził pancierz głowociała Lin. Khepri znowu próbowała sygnalizować: *ryba, zimno, cukier...*

– Wiem, Zaac – odpowiedziała Derkhan bez złości. – Wiem. On... zasłużył. Ale nie możemy zwlekać tak długo. Musimy odejść.

– Uczynię, co w mojej mocy – obiecał Isaac. – Trzeba mu pomóc i zrobię to szybko.

Derkhan musiała się z tym pogodzić. Nie miała wyboru. Nie zamierzała zostawiać ani Isaaca, ani Lin. Nie winiła go. Chciała, żeby dotrzymał umowy, żeby dał Yagharkowi to, co mu obiecał.

Smród i smutek wilgotnego, ciasnego pokoju doprowadzały ją do rozpacz. Mruknęła coś o wyprawie po zapasy nad rzekę i wyszła z mieszkania. Isaac uśmiechnął się krzywo, słysząc jej mętną wymówkę.

– Bądź ostrożna – powiedział niepotrzebnie. Wsparty plecami o gnijącą ścianę, przytulił mocniej Lin.

Po chwili poczuł, że zasnęła. Wyśliznął się spod niej i podszedł do okna, by popatrzeć w dół, na świat zwyczajnych ludzi.

Nie znał nawet nazwy ulicy, przy której mieszkali. Była dość szeroka i wysadzona młodymi drzewkami, pełnymi nadziei na długi i zdrowy żywot. W jej głębi stał wóz, celowo ustawiony w poprzek jezdni, jakby ktoś chciał zmienić na chwilę zwykłą ulicę w ślepy zaułek. Człowiek i vodyanoi sprzeczali się hałaśliwie, stojąc obok dwóch zaprzężonych do wozu osłów, które pokornie spuściły łby, aby nikt nie

zwracał na nie uwagi. Obok nieruchomych kół pojazdu zjawily się nie wiadomo skąd rozwrzeszczane dzieciaki, z zapalem kopiące szmaciankę. Biegały, trzepocąc podartym odzieniem jak ptaki-nieloty bezużytecznymi skrzydłami.

Wkrótce i między nimi wybuchła kłótnia. Czterej malcy zaczęli szturchać i popychać pulchnego vodyanoiego. Wystraszony smarkacz z płaczem uciekł na czterech łapach. Jeden z chłopców rzucił za nim kamieniem, ale nie trafił. Po chwili spór poszedł w niepamięć – mały vodyanoi popłakał w samotności, a potem wrócił i skoczył w sam środek grupy, zabierając innemu piłkę.

Nieco bliżej, o kilka bram od budynku, w którym ukrywali się uciekinierzy, młoda kobieta rysowała kredą na murze jakiś znak. Był to nieznany Isaacowi, nieco kanciasty symbol, zapewne jeden z wieźmowych talizmanów. Obok, na stopniu, siedzieli dwaj starcy. Rzucali kostką do gry i co chwila śmiali się hałaśliwie. Okoliczne domy były obskurne i dość dokładnie zapaskudzone przez ptaki. W smołowanych chodnikach roilo się od mniejszych i większych dziur, w których zbierała się woda. Gawrony i gołębje lawirowały pracowicie między słupami dymu z tysięcy kominów.

Do uszu Isaaca docierały strzepy rozmów.

- ...i on chce stivera za coś takiego?!...
- ...zniszczył maszynę, ale przecież on zawsze był pizdą...
- ...nie mów o tym nikomu, ale...
- ...dopiero w następną dokotę, a ona już dostała cały kryształ...
- ...barbarzyństwo, mówię ci, pieprzone barbarzyństwo i tyle...
- ...ku pamięci? Niby czyjej?!...

„Andreja” – pomyślał nagle Isaac, najzupełniej bez powodu. Po chwili znowu zaczął nasłuchiwać.

Strumień słów nie słabł ani na chwilę. Niektóre pochodziły z nieznanym Isaacowi języków; w innych rozpoznawał perricki i fellidzki oraz charakterystyczne, zawile frazy rodem z Dolnego Cymek. Były i inne.

Nie chciał wyjeżdżać z tego miasta.

Westchnął ciężko i odwrócił się. Lin nadal spała, zwinięta w kłębek na podłodze.

Zobaczył jej piersi, rysujące się wyraźnie pod zniszczoną koszulą. Spódnica zawinęła się wysoko, odsłaniając uda. Isaac odwrócił głowę.

Odkąd uwolnili Lin, już dwa razy zdarzyło mu się pod naciskiem jej ciepłego ciała ocknąć ze snu z potężnym wzwodem. Gładził wtedy dłonią krągłość jej bioder i sięgał dalej, między rozłożone nogi. W miarę jak senność rozpływała się niczym poranna mgła, sztywność członka stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Wiedziony instynktem, nie zważając na obecność Derkhan i Yagharka, Isaac wspiął się na rozgrzaną snem Lin, która właśnie zaczynała się budzić. Szeptał do niej czule i tłumaczył powoli, co zamierza zrobić, aż nagle odchylił się gwałtownie, gdy zobaczył chaotyczne znaki kreślone w powietrzu przez jej ręce. Przypomniał sobie, co jej zrobiono.

Ocierała się o niego, przestawała i znowu zaczynała („Jak kapryśna suczka” – pomyślał wtedy z odrazą), trochę podniecona, ale wyraźnie zdezorientowana. Ta część jestestwa Isaaca, którą kierowała żądza, pragnęła kontynuować grę, ale ciężar rozpachy przeważył i nagły wzwód zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Z początku Lin wyglądała na zawiedzioną i urażoną, a potem, zupełnie niespodziewanie, ucieszyła się i z radością objęła swojego mężczyznę. Wreszcie skuliła się, zrozpaczona, i – sądząc po emisji zapachów, które rozpoznawał Isaac – zaczęła płakać. Wkrótce potem spała już mocnym snem.

Isaac wyrżał ponownie, żeby nasycić oczy dziennym życiem miasta. Rozmyślał o Rudgutterze i jego klice, o makabrycznym procederze Motleya i o zimnych

analizach Rady Konstruktorów, podstępnie pozbawionej dostępu do maszyny kryzysowej, który jej obiecano. Wyobrażał sobie ich wściekłość, kłótnie, sprzeczne rozkazy...

Podszedł wolno do swojej maszyny i przyjrzał się jej pobieżnie. Usiadł, rozłożył na kolanie kawałek papieru i zaczął liczyć.

Nie martwiło go to, że Rada Konstruktorów mogłaby zbudować kopię jego instalacji. Nie była w stanie stworzyć czegoś takiego. Nie umiała obliczyć odpowiednich parametrów. Schemat maszyny kryzysowej pojawił się w głowie Isaaca w sposób naturalny, jako nagły przebłysk intuicji, z którego przez dobrych kilka godzin w ogóle nie zdawał sobie sprawy. Rada Konstruktorów nie mogła się zdobyć na takie natchnienie. Fundamentalny model działania maszyny, jej przewodnia myśl, była czymś, czego Isaac w ogóle nie musiał zapisywać. A nawet gdyby to zrobił, nikt nie zrozumiałby jego notatek.

Isaac obrócił się nieco, by snop słonecznego światła padał na czysty papier.

*

Szare sterowce jak co dnia patrolowały przestworza, choć pewnie z mniejszym zapalem niż zwykle.

Dzień był piękny. Wydawało się, że wiatr od morza z każdą chwilą poprawia wizerunek błękitnego nieba.

Yagharek i Derkhan cieszyli się słońcem w odległych częściach miasta, próbując nie narażać się na zbyt niebezpieczeństwa. Spacerowali z dala od zatłoczonych ulic, pełnych kłótniowych handlarzy i klientów.

Bezchmurne niebo przyciągnęło roje rozkrzyczanych ptaków i wyrmenów. Wszelkie latające istoty przysiadły grupami na wieżach świątyń, stromych dachach milicyjnych baz i na belkach wspierających napowietrzne tory, metodycznie pokrywając je białawym gównem. Wielkie stada krążyły spiralnym torem wokół wysokościowców w Ketch Heath i podobnych do szkieletów, zapomnianych wieżowców w Spatters.

Przemykały i nad Crow, klucząc w powietrzu jak zawsze unoszącym się wzdłuż ścian Dworca Perdido. Wrzaskliwe kawki tłoczyły się na stromiznach krytych wypaloną gliną i na betonowych, smołowanych połaciach płaskich dachów na tyłach olbrzymiego gmachu – także i na tej niewielkiej przestrzeni, która górowała nad sąsiednimi płaszczynami. Ptasie odchody znaczyły białymi plamami niedawno wyszorowany, płaski dach, na którym zostały tylko ciemniejsze plamy w miejscach, gdzie rozlał się jakiś – być może żrący – płyn.

Latające towarzystwo obsiadło szczelnie nawet Szpikulec i Parlament.

Żebra, wyblakłe i spękane, starzały się w słońcu jakby szybciej. Ptaki przysiadły na gigantycznych, kostnych półkach i odlatywały niemal natychmiast, szukając bardziej przyjaznego schronienia w Mieście Kości. Prześlizgiwały się też nad długim, pomalowanym na czarno – ale i naznaczonym spalenizną – szeregiem połączonych domków, w sercu którego niejaki pan Motley rozpacział nad nie dokończoną rzeźbą.

Mewy i głuptaki podążały wiernie za barkami wiozącymi śmieci i za łodziami rybackimi, które przemierzały wody Smoły i Wielkiej Smoły. Nurkowały raz po raz, czyhając na porzucone przez ludzi, a nadające się do zjedzenia resztki. Niektóre zawracały i kierowały się ku innym żerowiskom – ku stosom odpadków w Badside i

targowi rybnemu na Polach Pelorusa. Szukając wytchnienia, przysiadły na okrytym glonami kablu, który wypełzał z wody na wysokości Spit Hearth. Przetrzęsły śmietniska Stoneshell i szukały półżywych istot przedzierających się przez ziemię jałową Griss Twist. Grunt pod nimi pomrukiwał z cicha, przejmując wibrację od gęstej sieci ukrytych kabli.

Z odludnej części slumsów St Jabber's Mound wyłoniła się i bez wysiłku wzbiła w niebo postać znacznie większa od ptasiej. Pożeglowała na imponującą wysokość ponad zachodnimi dzielnicami miasta. Z tej perspektywy gęsto splecione ulice i dachy wyglądały na kłęb egzotycznej pleśni w odcieniach khaki i szarości. Niesiona lekkim wiatrem istota minęła bez wysiłku aerostaty, wygrzewając się w słońcu wysoko ponad nimi. Utrzymując stałą prędkość, skierowała się na wschód i minęła jądro miasta, z którego – niczym pięć płatków gigantycznego kwiatu – wyrastały wiadukty linii kolejowych.

W przestworzach nad Sheck bandy znudzonych wyrmenów zabawiały się prymitywnymi akrobacjami. Szybująca postać minęła je w spokoju, niezauważona.

Nie spieszyła się; poruszała potężnymi skrzydłami z taką łatwością i w takim tempie, że nie można było mieć wątpliwości, iż byłaby w stanie bez trudu zwiększyć prędkość lotu nawet i dziesięciokrotnie. Przekroczyła linię Egzemy i zaczęła pomału opadać, chwilami śledząc buchające dymem pociągi linii Dexter. Podążała na wschód z rzadko widywanym w tych stronach majestatem. Obniżała lot, kierując się ku gąszczowi dachów i zręcznie wykorzystując unoszącą moc wyziewów z niezliczonych kominów.

Zmieniła nieco kierunek lotu opodal wielkich zbiorników z gazem w Echowire. Zatoczywszy łuk, prześliznęła się przez warstwy skażonego powietrza i pomknęła ku stacji Mog. Przeleciawszy pod wiaduktem zbyt szybko, by ktokolwiek zdążył ją zauważyć, zniknęła między domami dzielnicy Pincod.

*

Isaac nie zatracił się bez reszty w skomplikowanych obliczeniach.

Co kilka minut spoglądał na Lin, która we śnie poruszała ramionami i wierciła się jak bezradna larwa. Jego oczy były tak ponure, jakby nigdy nie gościła w nich radość.

Wczesnym popołudniem, gdy miał za sobą godzinę, może półtorej godziny pracy, usłyszał cichy klekot na podwórzu, a minutę później czyjeś kroki na schodach.

Zamarł, czekając, aż umilkną, aż przybysz skręci do pokoju któregoś z włóczęgów z dolnych pięt. Tak się nie stało. Kroki zbliżały się ku dwóm najwyższym kondygnacjom. Ucichły dopiero przed drzwiami izby, w której pracował.

Isaac wstrzymał oddech. Czuł, że serce bije mu na alarm. Rozejrzał się, w panice szukając pistoletu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Isaac nie odpowiedział.

Po chwili ten, kto stał po drugiej stronie, zapukał ponownie – niezbyt mocno, ale rytmicznie i natarczywie. Grimnebulin podszedł do drzwi, starając się zachować ciszę. Kątem oka zauważył, że Lin nerwowo przewraca się na drugi bok, spłoszona niespodziewanym dźwiękiem.

Na schodach rozległ się głos: dziwny, chropawy, znajomy głos. Isaac nie zrozumiał ani słowa, ale zgrzytliwe, skrzeczące dźwięki pobudziły go do działania – sięgnął nagle do klamki, niespokojny, agresywny i gotów na wszelkie kłopoty.

„Rudgutter przysłałby całą kompanię” – pomyślał, zaciskając dłoń na chłodnym metalu. „Pewnie któryś z tych łachudrów z dołu ruszył na żebry”. I choć sam nie wierzył w to wyjaśnienie, czuł dziwną pewność, że to nie milicja i nie ludzie Motleya.

Otworzył drzwi.

Na nieoświetlonych schodach, pochylony nieco do przodu, z przekrzywioną głową okrytą piórami podobnymi do suchych liści, z zagiętym dziobem przypominającym egzotyczną broń stał garuda.

Isaac od razu wiedział, że to nie Yagharek.

Skrzydła otaczały szczupłą postać jak aureola; ogromne i wspaniałe, porośnięte piórami w kolorze ochry i w odcieniach brązu.

Uczony zdążył już zapomnieć, jak wygląda garuda, który nie jest kaleką. Zapomnieć o prawdziwym majestacie olbrzymich, mocarnych skrzydeł.

W podświadomy, instynktowny sposób niemal natychmiast zorientował się, o co chodzi. Zanim zamienili choćby jedno słowo, po prostu wiedział.

Ułamek sekundy później ogarnęła go fala wątpliwości, potem wielki niepokój, następnie ciekawość i wreszcie ochota na zadanie całej serii pytań.

– Coś ty, kurwa, za jeden? – warknął. – I co tu, kurwa, robisz? Jak mnie znalazłeś? Po co... – umilkł, bo odpowiedzi pojawiły się same. Odruchowo cofnął się z progu, jakby chciał oddalić je od siebie.

– Grim... neb... lin. – Garuda miał poważne problemy z wypowiedzeniem jego nazwiska. To, co z siebie wydusił, brzmiało jak wezwanie demona. Isaac machnął ręką, zapraszając przybysza do pokoju. Zamknął drzwi i podparł je starym krzesłem.

Garuda stanął na środku pokoju w plamie słonecznego blasku. Grimnebulin przyglądał mu się nieufnie. Skóra nieznanego była ciemniejsza niż Yagharka, a cętki na pierzastej głowie wyraźniej zaznaczone. Poruszał się z niewiarygodną ergonomią: stawiał szybkie i krótkie kroki, a kiedy stanął, zamarł niemal całkowicie, jeśli nie liczyć dyskretnych ruchów głowy i oczu.

Przez długą chwilę obcy wpatrywał się w śpiącą Lin. Podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy Isaac westchnął ostentacyjnie.

– Coś ty za jeden? – spytał uczony. – Jak mnie znalazłeś, do cholery? „I co on zrobił” – dodał w myślach. „Mów, za co go osądziście”.

Stali w sporej odległości od siebie: żyłasty, muskularny garuda i tłusty, zwalisty człowiek. Pióra garudy błyszcząły w słońcu. Isaac wpatrywał się w nie, czując przemożne zmęczenie. Miał wrażenie, że zdarzy się coś nieuchronnego, ostatecznego, coś, co wiązało się z przybyciem nieznanego. Szczerze nienawidził garudy za to, że się zjawił.

– Jestem Kar’uchai – odparł garuda. Jego głos był przesiąknięty intonacją z Cymek znacznie bardziej, niż i tak trudne do zrozumienia charczenie Yagharka. – Kar’uchai Sukhtu-h’k Vaijhin-khi-khi. Konkretna Jednostka Kar’uchai Bardzo, Bardzo Szanowana.

Isaac czekał.

– Pytałem, jak mnie znalazłeś – powtórzył uparcie.

– Mam za sobą... daleką drogę, Grimneb... lin – odrzekł Kar’uchai. – Jestem yahj’hur... myśliwym. Moja wyprawa trwa już wiele dni. Tutaj poluję za pomocą... złota i papierowych pieniędzy... A moja zdobycz zostawia ślad plotek... i wspomnień. „Co on zrobił?”

– Przybywam z Cymek. Poluję już... od Cymek.

– Nie do wiary, że nas znalazłeś – zauważył Isaac, nagle i nerwowo. Mówił szybko i agresywnie, nie mogąc otrząsnąć się z owego przeczucia nieuchronnego końca. – Ale skoro tego dokonałeś, to i milicja zrobi to prędzej czy później... –

Uczony zaczął spacerować niespokojnie w tę i z powrotem. Wreszcie przykleknął przy Lin, pogładził ją delikatnie i wziął głęboki wdech, żeby powiedzieć coś jeszcze.

– Przychodzę po sprawiedliwość – rzekł Kar’uchai, uprzedzając go minimalnie. Isaac czuł się tak, jakby ktoś go dusił. – Shankell – ciągnął Kar’uchai. – Morze Mizerne. Myrshock. – „Słyszałem już o tej podróży” – pomyślał ze złością Grimnebulin. „Nie musisz mi mówić”. – Polowanie trwa już tysiąc mil. Szukam sprawiedliwości.

– Yagharek jest moim przyjacielem – powiedział Isaac, z gniewem i smutkiem zarazem.

Kar’uchai kontynuował wątek, jakby nie usłyszał jego słów.

– Kiedy zauważyliśmy, że odszedł po... wykonaniu wyroku... wybór padł na mnie.

– Czego chcesz? – spytał Isaac. – Co zamierzasz z nim zrobić? Chcesz zabrać go ze sobą? Planujesz... no... obciąć mu coś jeszcze?

– Nie przychodzę po Yagharka – odparł Kar’uchai. – Przychodzę do ciebie.

– Grimnebulin popatrzył na niego ze zdziwieniem, a garuda kontynuował: – To od ciebie zależy, czy sprawiedliwość pozostanie sprawiedliwością... – Isaac nie wiedział, co odpowiedzieć na te słowa. „Co on zrobił?” – pomyślał niecierpliwie.

– Twoje nazwisko dotarło do mnie po raz pierwszy już w Myrshock – rzekł garuda. – Było na liście wśród innych. Ale tutaj lista zaczęła się kurczyć, aż wreszcie wszyscy pozostali przestali wchodzić w rachubę. Polowanie pozwoliło mi odkryć, że Yagharek i ty... jesteście ze sobą związani. Ludzie szeptali... o twoich badaniach. O latających potworach i maszynach taumatycznych. Yagharek odnalazł więc to, czego szukał. To, za czym przewędrował tysiąc mil. Mógłbyś zniweczyć sprawiedliwy wyrok, Grimneb’lin. A ja przychodzę, bo chcę cię prosić... żebyś tego nie robił. Rzec była skończona. Yagharek został osądzony i ukarany. To wszystko. Nie sądziliśmy... nie wiedzieliśmy, że on może spróbować... i znaleźć sposób... na cofnięcie sprawiedliwości. Dlatego jestem tu i proszę cię: nie pomagaj mu latać.

– Yagharek jest moim przyjacielem – powtórzył spokojnie Isaac. – Przyszedł do mnie i zatrudnił mnie. Był hojny. Kiedy sprawy... skomplikowały się, potoczyły się nie po naszej myśli... zrobiło się naprawdę niebezpiecznie, a on wykazał odwagę i pomógł nam. Stał się częścią czegoś... czegoś niezwykłego. Zawdzięczam mu... życie – dodał, spoglądając przelotnie na Lin.

– Jestem jego dłużnikiem za to, że... Był gotów zginąć, wiesz? I naprawdę mógł zginąć, ale został z nami i... nie wydaje mi się, że moglibyśmy teraz rozmawiać, gdyby nie on. – Isaac mówił cicho, szczerze i z uczuciem. „Co on zrobił?” – Co on zrobił? – zapytał wreszcie na głos, pokonany.

– Jest winien – odpowiedział cicho Kar’uchai – kradzieży wyboru drugiego stopnia z kompletnym nieposzanowaniem.

– Ale co to znaczy?! – krzyknął Isaac. – Co on naprawdę zrobił? Czym jest ta pieprzona kradzież wyboru? Dla mnie to puste słowa!

– To jedyna zbrodnia, jaką znamy, Grimneb’lin – odrzekł Kar’uchai monotonnym, chrapliwym głosem. – Ukraść wybór to pozbawić kogoś możliwości wyboru... Zapomnieć o jego konkretnej sytuacji, uczynić go abstrakcyjnym, zapomnieć o tym, że wszyscy są elementami matrycy, że wszelkie czyny mają swoje konsekwencje. Nie wolno odbierać innej istocie możliwości wyboru... Przecież sama społeczność nie jest niczym innym, jak... sposobem na zapewnienie jednostkom... nam wszystkim... możliwości wyboru. – Kar’uchai wzruszył ramionami i wskazał ręką na otoczenie. – Włodarze waszego miasta... Mówią wciąż i mówią o jednostkach i ich prawach... a w istocie miażdżą je hierarchicznym systemem... aż wreszcie pozostaje

im tylko jeden wybór: między trzema odmianami nędzy. My, mieszkańcy pustyni, mamy znacznie mniej. Czasem głodujemy, czasem odczuwamy pragnienie. Ale wszelkie wybory, jakich możemy dokonać, są dla nas dostępne. Chyba że ktoś się zapomni, że nie pomyśli o realiach cudzego życia, że zachowa się tak, jakby był samotną jednostką... Kradnąc pożywienie, odbiera innym możliwość wyboru: jeść czy nie jeść? Kłamiąc, że nie widział zwierzyny, odbiera innym szansę na udane polowanie. Atakując kogoś bez powodu, odbiera mu możliwość bycia nieposiniaczonym albo życia bez strachu. Dziecko, które kradnie płaszcz najbliższej osobie, aby nocą podchodzić zwierza... – ciągnął garuda – także odbiera jej wybór noszenia lub nienoszenia płaszcza, ale czyni to z poszanowaniem, może nawet z nadmiernym poszanowaniem. Inne kradzieże wiążą się jednak zazwyczaj z nieposzanowaniem. Zabić... ale nie na wojnie czy w samoobronie, tylko... zamordować, znaczy potraktować kogoś z tak kompletnym, absolutnym nieposzanowaniem, że pozbawia się go nie tylko wyboru „żyć lub nie żyć w danym momencie”, ale wszystkich wyborów, których ofiara mogłaby dokonać, gdyby żyła... Wybór rodzi wybór. Gdyby ofiara nie straciła prawa wyboru życia lub śmierci, być może podjęłaby decyzję, że będzie polować, łapać ryby w słonym bagnie, grać w kości, wyprawiać skóry, pisać wiersze albo gotować strawę... ale ta jedna, jedyna kradzież pozbawia ją wszystkich tych możliwości wyboru. I to właśnie jest kradzież wyboru najwyższego stopnia. Prawda jednak jest taka, że wszystkie kradzieże wyboru oznaczają ograniczenie czyjejś wolności nie tylko w czasie teraźniejszym, ale i w przyszłości. To, co zrobił Yagharek, było... ohydny, straszliwym zapomnieniem. Kradzieżą drugiego stopnia.

– Co on zrobił?! – ryknął Isaac. Lin obudziła się z gwałtownym trzepotem dłoni i nerwowymi skurczami mięśni.

Kar’uchai odpowiedział beznamiętnie.

– Sądzę, że nazwałbyś to gwałtem.

„Ach, więc sądzisz, że nazwałbym to gwałtem?” – pomyślał Isaac sarkastycznie, ale nawet ociekające sarkazmem myśli nie mogły stłumić zgrozy, która go ogarnęła.

„Nazwałbym to gwałtem”.

Nie mógł nic na to poradzić: wyobraźnia natychmiast zaczęła pracować pełną parą.

Myślał, oczywiście, o samym akcie, który w jego mniemaniu był przejawem niewiarygodnej brutalności („Czy ją bił? Czy przycisnął do ziemi? Gdzie ją dopadł? Czy przeklinała go i walczyła?”). Jednak najsilniej podziałała na niego wizja wszystkich perspektyw, wszystkich możliwości wyboru, które Yagharek ukradł nieszczęsnej istocie. Obrazy przemykały przed oczami w błyskawicznym tempie.

Wybór nieuprawiania seksu. Wybór nieodczuwania bólu. Wybór nieryzykowania ciąży. A potem... gdyby rzeczywiście zaszła w ciążę... Wybór niedokonywania aborcji? Wybór nierodzenia dziecka?

Wybór traktowania Yagharka z szacunkiem?

Isaac bezgłośnie poruszył ustami, ale to Kar’uchai przemówił:

– Ukradł mój wybór.

Minęło kilka nedorzecznie długich sekund, zanim sens tych słów dotarł do Isaaca. Wstrzymał oddech i szeroko otworzył oczy, teraz dopiero zauważając minimalne zgrubienie raczej symbolicznych piersi Kar, równie bezużytecznych jak olśniewające pióra rajskiego ptaka. Bardzo chciał coś powiedzieć, ale w zasadzie nie wiedział, co czuł. Nie było to w każdym razie nic wystarczająco jasnego, by dało się wyrazić słowami.

Wymamrotał więc tylko niezrozumiale, że współczuje i w ogóle.

– Sądziłem, że jesteś... sędzią wśród garudów, milicjantem czy kimś takim – dodał po chwili.

– Nie ma u nas takich służb – odpowiedziała bez emocji Kar'uchai.

– Yag... pieprzony gwałciciel – syknął Isaac. Samica cmoknęła językiem.

– Złodziej wyboru.

– Zgwałcił cię – warknął uczony, lecz Kar'uchai znowu cmoknęła z dezaprobatą.

– Ukradł mój wybór – powiedziała. Grimnebulin zrozumiał nagle, że garuda nie uzupełnia jego wypowiedzi, tylko koryguje ją. – Nie możesz tak po prostu tłumaczyć tej zbrodni na język waszego prawa, Grimneb'lin – dodała po chwili. Wyglądała na rozdrażnioną. Isaac próbował coś powiedzieć; potrząsnął żałośnie głową, spojrzał na Kar'uchai i znowu miał przed oczami Yagharka dopuszczającego się brutalnego gwałtu. – Nie możesz tłumaczyć, Grimneb'lin – powtórzyła istota. – Przestań. Widzę teraz w tobie... wszystkie prawa i moralne zasady twojego miasta, o których tyle czytałam. – Isaac miał wrażenie, że garuda przemawia monotonnym głosem. Nie bardzo rozumiał emocjonalne znaczenie zmian w intonacji i nagłych przerw w zdaniach. – Nie mówię, że zostałam wykorzystana czy uszkodzona, Grimneb'lin. Nie mówię, że Yagharek nadużył siły, zhańbił mnie, zepsuł albo zniewolił. Ty powiedziałbyś, że zostałam zgwałcona, ale ja tak nie mówię, to słowo nic dla mnie nie znaczy. On ukradł mój wybór i za to został... osądzony. Wyrok był ciężki... tylko jeden jest gorszy od niego... Istnieje wiele rodzajów kradzieży wyboru mniej ohydnych niż ten i bardzo niewiele straszliwszych... Są i takie, które karze się w identyczny sposób, choć w większości w niczym nie przypominają zbrodni Yagharka. Niektórych w ogóle nie uznałbyś za przestępstwo. Czyny bywają różne, ale wina jest jedna: kradzież wyboru. – Tłumaczyła Kar'uchai. – Wasi sędziowie, wasze prawa... seksualizują i sakralizują... dla nich jednostki są abstrakcyjne... nie liczy się matrycowa natura społeczeństwa... kontekst sytuacyjny odwraca ich uwagę od istoty przestępstwa... nie ogarniają jej. Nie patrz na mnie jak na ofiarę... A kiedy Yagharek wróci, proszę cię, nie zmieniaj sprawiedliwości – wyroku Yagharka – i nie zastępuj jej własną. Dopuścił się kradzieży wyboru drugiego stopnia. Został osądzony. Garudowie głosowali. Na tym koniec.

„Czyżby?” – pomyślał Isaac. „Czy to wystarczy? Czy to już wszystko?”

Kar'uchai przyglądała się jego wewnętrznej walce.

Lin przywołała Grimnebulina, klaszcząc w dłonie jak małe dziecko. Mężczyzna przyklęknął i przemówił do niej cicho. Odezwała się ciągiem absurdalnych znaków, na które odpowiedział z powagą, tak jakby prowadzili sensowną rozmowę.

Khepri uspokoiła się i przytuliła go, nerwowo zerkając zdrowym okiem na garudę.

– Uszanujesz naszą sprawiedliwość? – spytała Kar'uchai. Isaac posłał jej ukradkowe spojrzenie i znowu zajął się Lin.

Kar'uchai milczała przez długi czas. Nie doczekawszy się odpowiedzi, ponowiła pytanie. Isaac popatrzył na nią i pokręcił głową, bardziej z niepewnością niż z jawnym sprzeciwem.

– Nie wiem – mruknął. – Proszę cię...

Znowu odwrócił się do Lin, która zdążyła już zasnąć. Opadł ciężko na podłogę obok niej i potarł dłońmi skronie.

Po kolejnych kilku minutach milczenia Kar'uchai wezwała go po imieniu. Spłoszył się, jakby zapomniał już o jej obecności.

– Odejdę teraz, ale wrócę i znowu zadam ci pytanie. Proszę, nie drwij z naszej sprawiedliwości. Pozwól, żeby nasz wyrok pozostał w mocy. – Samica usunęła

krzesło spod drzwi i wyszła. Jej szponiaste stopy głośno skrobały drewno starych schodów.

*

Isaac siedział i gładził lekko opalizujący pancerz głowociała Lin, naznaczony teraz siateczką pęknięć i nacięć, jak ciemny marmur. Rozmyślał o Yagharku.

„Nie próbuj tłumaczyć”, powiedziała mu Kar’uchai, ale jak mógł jej usłuchać?

Wyobraził sobie jej wielkie skrzydła, bijące w panice, gdy Yagharek przygwoździł ją do ziemi. A może zagroził jej nożem? Inną bronią? Może tym pieprzonym biczem?

„Chromolić ich” – pomyślał nagle, spoglądając na elementy maszyny kryzysowej.

„Nie jestem winien posłuszeństwa ich prawom...” Uwolnić więźniów. Przecież o tym zawsze pisał „Runagate Rampant”.

Jednakże garudowie z Cymek nie żyli tak, jak obywatele Nowego Crobuzon. Nie wybierali spośród siebie sędziów i przysięgłych, nie budowali fabryk karnych, nie otwierali kamieniołomów i wysypisk, w których niewolniczo pracowali prze-tworzeni, nie mieli milicjantów ani polityków. Kara nie była wynikiem łapówki wręczonej komu trzeba przez bossa przestępczego świata.

Tak mu przynajmniej mówiono. Tyle pamiętał. „Garudowie głosowali”, powiedziała Kar’uchai.

Ale czy tak było naprawdę? I czy to zmieniało sytuację Yagharka?

W Nowym Crobuzon kara za przestępstwo miała komuś lub czemuś służyć. Czy w Cymek było inaczej? Czy z tego powodu zbrodnie skrzydlatych istot były bardziej ohydne?

Czy gwałciciel-garuda był gorszy od gwałciciela-człowieka?

„A kim ja jestem, żeby to osądzać?” – pomyślał ze złością Isaac i szybkim krokiem podszedł do maszyny. Usiadł i podniósł z podłogi kartkę z obliczeniami, gotów podjąć przerwana pracę. „Kim jestem, żeby to osądzać?” – pomyślał znowu i tym razem pytanie zaniepokoiło go jeszcze mocniej. Nie wiedział już, co o tym wszystkim myśleć; wolno odłożył papier i popadł w zadumę.

Co pewien czas spoglądał na uda Lin. Siniaki już prawie zniknęły, ale pamięć o nich raniła jego umysł równie mocno jak pierwszego dnia.

Największe zagęszczenie ciemnych plam na zmasakrowanym ciele znajdowało się właśnie tam, po wewnętrznej stronie ud i na podbrzuszu.

Lin spała ostatnio niespokojnie, budziła się gwałtownie, czasem obejmowała Isaaca, a czasem uciekała od niego. Za każdym razem zgrzytał zębami na samą myśl o tym, co mogli jej zrobić. Pomyślał o Kar’uchai.

„To wszystko nie tak. Przecież powiedziała, żebym tak nie robił. Mówiła, że tu nie chodzi o gwałt...”

Żądała niemożliwego. Isaac nie umiał nie tłumaczyć sobie jej słów na zrozumiałe hasła i obrazy. Kiedy myślał o Yagharku, myślał o Kar’uchai, a kiedy myślał o niej, myślał o Lin.

„Wszystko się popieprzyło” – dumął posepnie.

Gdyby usłuchał Kar’uchai, nie mógłby dokonać oceny sprawiedliwości wyroku. Nie mógłby rozstrzygnąć, czy uznaje osąd garudów, czy też nie. Nie miał żadnych przesłanek ku temu, żeby dokonać własnej oceny; nie znał żadnych okoliczności zdarzenia. Naturalnym więc, oczywistym, nieuniknionym i zdrowym odruchem było

odwoływanie się do zasad, które znał i rozumiał, do własnego sceptycyzmu oraz do faktów, co do których nie miał wątpliwości: na przykład do tego, że Yagharek był jego przyjacielem. Czy mógł pozbawić przyjaciela prawa do latania tylko dlatego, że niepojęte, obce prawa zasiały w nim ziarno wątpliwości?

Pamiętał Yagharka wspinającego się na kopułę Szklarni i walczącego u jego boku przeciwko milicji.

Pamiętał jego bicz duszący ostatnią ćmę i tym samym zwracający wolność Lin.

Lecz kiedy wracał myślą do Kar'uchai i do tego, co jej uczyniono, nie potrafił nazywać tej zbrodni inaczej, jak tylko gwałtem. Wtedy zaś rozmyślał o Lin i o wszystkim, co ją spotkało, i wreszcie... czuł, że porzyga się z wściekłości.

Próbował wyplątać się jakoś z tej gmatwaniny rozważań.

Próbował nie myśleć więcej o gościu z Cymek. Wmawiał sobie desperacko, że odmowa współpracy z Yagharkiem nie oznaczałaby, iż go osądza. Że nie udawałby w ten sposób wszechwiedzącego, a jedynie mówił w prosty sposób: „To nie mój interes, ta sprawa mnie przerasta”. Jednak nie potrafił przekonać samego siebie.

Siedział przygarbiony, oddychając z trudem. Zrozumiał, że gdyby odwrócił się teraz od Yagharka, to bez względu na praktyczne wymówki czułby, że osądził go i uznał winnym. Pamiętał i o tym, że póki nie znał szczegółów sprawy, nawet nie próbował bawić się w wyrocznię.

Lecz zaraz potem pojawiła się w jego głowie nowa, zupełnie inna myśl. Kontrargument.

Skoro wycofanie się z obietnicy pomocy implikowało negatywny osąd – którego nie chciał wydawać – to kontynuowanie pracy nad techniką lotu dla Yagharka oznaczałoby, że czyn garudy jest akceptowalny.

„A to przecież nieprawda” – pomyślał Isaac z niesmakiem i gniewem.

Powoli złożył kartkę z notatkami, na wpół dopracowanymi równaniami i naprędce utrwalonymi formułami. Schował ją głęboko.

Kiedy wróciła Derkhan, słońce stało już nisko, a po niebie sunęły postrzępione chmury w kolorze krwi. Zastukała do drzwi w umówiony sposób i kiedy Isaac otworzył, szybko weszła do środka.

– Niesamowity dzień – powiedziała smutno. – Rozejrzałam się po całym mieście. Byłam wszędzie, zdobyłam parę informacji, mam kilka pomysłów... – Bluday spojrzała na Grimnebulina i natychmiast umilkła.

Jego ciemna, pobrużdżona twarz przyjęła niezwykle wyraz. W skomplikowanej mozaice malowały się na niej nadzieja, podniecenie i potworne przygnębienie. Wydawało się, że mężczyzna wprost emanuje energią. Ruszał się bez przerwy, jakby oblażył go mrówki. Miał na sobie długi, brudny płaszcz żebraka. Obok drzwi leżał pod ścianą wielki, płócienny worek, wypchany do granic możliwości. Derkhan zauważyła, że maszyna kryzysowa zniknęła, i to jej komponenty stanowiły masywną zawartość worka.

Bez plątaniny metalowych części i drutów pokój sprawiał wrażenie pustego i nagiego.

Derkhan gwizdnęła z cicha, gdy zobaczyła Lin zawiniętą w brudny, wystrzępiony koc. Khepri tarosiła daremnie jego brzegi, jednocześnie nadając nie kończący się strumień znaków języka migowego. Podskoczyła z radości, kiedy zobaczyła przyjaciółkę.

– Chodźmy – powiedział Isaac głuchym głosem pełnym napięcia.

– Co ty wygadujesz? – spytała rozdrażniona Derkhan. – O co ci chodzi? Gdzie jest Yagharek? Co w ciebie wstąpiło?

– Dee, proszę... – wyszeptał Grimnebulin. Chwyił ją za rękę. Zrobił to z takim wigorem, że zatoczyła się lekko. – Yag jeszcze nie wrócił. Zostawiam mu to – dodał, wyciągając z kieszeni list i rzucając go na środek pokoju. Derkhan chciała o coś zapytać, ale przerwał jej, gwałtownie potrząsając głową. – Ja... Nie mogę już... Nie pracuję już dla Yaga, Dee... Zrywam kontrakt... Wszystko ci wyjaśnię, ale teraz musimy już iść. Masz rację, zbyt długo tu zabawiliśmy. – Isaac machnął rękawem stronek okna, zza którego dobiegały odgłosy normalnego, swobodnego życia. – Pieprzona władza nas ściga, a także największy bandzior na całym kontynencie... I do tego jeszcze Rada Konstruktorów... – mówił, potrząsając lekko ramieniem Blueeday. – Więc idziemy. We troje. Chodźmy stąd jak najdalej.

– Isaacu, co się stało? – spytała stanowczo, chwytając jego rękę. – Powiedz mi natychmiast.

Grimnebulin na moment spuścił wzrok.

– Miałem tu gościa... – Westchnął głęboko i wolno pokręcił głową, widząc, jak oczy Derkhan rozszerzają się ze strachu. – Gościa z Cymek, Dee. Z cholernego Cymek. – Opornie przełknął ślinę, nie przerywając kontaktu wzrokowego z kobietą. – Wiem już, co zrobił Yagharek, Dee. – Umilkł, spoglądając na jej znacznie spokojniejszą już twarz. – Wiem, za co został... ukarany. Nic nas tu nie trzyma, Dee. Przysięgam, że powiem ci całą prawdę, ale nie w tej chwili. Naprawdę nie ma powodu, żeby zostawać tu dłużej... Powiem ci po drodze.

Od wielu dni Isaac żył w zwolnionym tempie, przytłoczony ciężarem skomplikowanych obliczeń z matematyki kryzysowej i opieki nad Lin. Dopiero teraz, niespodziewanie, dotarło do niego, w jakim byli niebezpieczeństwie. Dopiero teraz zrozumiał, jak wielką cierpliwość wykazała Derkhan. Pojął, że najwyższy czas odejść.

– Jasna cholera – mruknęła cicho Derkhan. – Wiem, że znacie się ledwie parę miesięcy, ale... on jest twoim przyjacielem, prawda? Nie możemy przecież... czy możemy tak go zostawić? – Spojrzała na Isaaca spod zmarszczonych brwi. – Czy to... Powiedz mi, co on zrobił. Czy to aż takie straszne? Takie, że nie liczy się wszystko to, co dla nas zrobił? Powiedz.

Isaac zamknął oczy.

– Nie... tak. To nie takie proste. Wyjaśnię ci w drodze. W każdym razie nie pomogę mu. To już postanowione. Nie mogę, Dee, niech mnie szlag, jeśli jest inaczej. Nie chcę go widzieć. A skoro nic nas nie zatrzymuje, chodźmy wreszcie. Naprawdę musimy.

Derkhan sprzeciwiała się, ale krótko i bez przekonania. Powtarzając, że nie jest pewna, pakowała do małej torby nieliczne ubrania i ulubiony notes. Udzielił jej się zapach Isaaca.

Nie otwierając listu do Yagharka, dopisała z tyłu kilka słów od siebie: „Powodzenia. Spotkamy się jeszcze. Przykro mi, że rozstajemy się tak nagle. Wiesz, jak wydostać się z miasta. Wiesz, co robić”. Przez chwilę zastanawiała się, jakich słów pożegnania powinna użyć, aż wreszcie napisała po prostu „Derkhan” i odłożyła list na podłogę.

Owinęła się szalikiem i pozwoliła, żeby jej nowe, czarne włosy rozlały się po ramionach jak gęsty olej. Podrapała świeżą bliznę po odciętym uchu. Wyrzała przez okno, na ciemniejące niebo, a potem podeszła do Lin i otoczyła ją ramieniem, by wspomóc jej niepewny chód.

We troje powoli zeszli po schodach.

– W Zakolu Smogu jest paru takich – powiedziała Derkhan. – Sternicy barek. Mogliby zabrać nas na południe bez zbędnych pytań.

– Wykluczone! – syknął Isaac i rozejrzył się niespokojnie spod obszernego kaptura. Stali przy końcu ulicy, tam gdzie kilka godzin wcześniej zaparkowany w poprzek wóz służył dzieciakom jako bramka. Z równoległej alei dobiegały stłumione odgłosy kłótni i histerycznych śmiechów. Handlarze, gospodynie domowe, kowale i drobni przestępcy gawędzili spokojnie na rogach uliczek. Z cichym skwierczeniem i sykiem zapalały się lampy zasilane różnymi paliwami. Za matowym szkłem kloszy pojawiały się różnokolorowe płomyki. – Wykluczone – powtórzył Isaac. – Tylko nie w głąb ładu... Wybierzmy się gdzieś dalej... A na początek do Kelltree. W dokach znajdziemy jakiś transport.

W wolnym tempie pomaszrowali na południowy zachód. Przeszli za tłoczonymi ulicami między Saltbur a Mog Hill. Stanowili dziwaczne trio: rosły i zwalisty żebrak o twarzy ukrytej pod kapturem, kobieta o kruczoczarnych włosach oraz owinięta kocem kaleka, na poły podtrzymywana, na poły ciągnięta przez dwoje kompanów.

Na widok każdego buchającego parą konstruktów w pośpiechu odwracali głowy. Isaac i Derkhan niemal bez przerwy wpatrywali się w ziemię, a rozmawiali jedynie półgłosem. Kulili się nerwowo, przechodząc pod kablami milicyjnej kolejki, jakby przemykający w swych kapsułach funkcjonariusze mogli wywęszyć ich z tak dużej wysokości. Unikali wzroku przechodniów, starali się omijać krzykliwych, ulicznych handlarzy.

Czuli się tak, jakby przez cały czas podświadomie wstrzymywali oddech. Była to wyczerpująca podróż, a jednocześnie wzbudzająca prawdziwą powódź adrenaliny.

Rozglądali się niemal bez przerwy, chłonąc każdy szczegół otoczenia, jakby ich oczy były kamerami. Wytężony wzrok Isaaca omiatał stare plakaty operowe, resztką sił trzymające się skruszałych tynków, kłęby drutu kolczastego wciśnięte między mury i zasypane tłuczonym szkłem, a także majestatyczne łuki drugorzędnej trasy kolejowej łączącej linię Dexter z dzielnicą Kelltree, przecinające też Sunter i Miasto Kości.

Uczony spojrzał w prawo i w górę, na szczyty gigantycznych Żeber, próbując na zawsze zapamiętać ich krzywiznę.

Z każdym krokiem czuli się coraz bardziej wolni od miasta. Osobliwa grawitacja Nowego Crobuzon słabła. Mieli wrażenie, że kręci im się w głowie i że mają ochotę płakać.

Niewidoczny na tle chmur, potężny cień dryfował leniwie za nimi. Zawracał i lawirował, póki kierunek wędrówki trojga uciekinierów nie stał się jasny. Wtedy latająca postać pozwoliła sobie na moment samotnej, powietrznej akrobacji. Nieświadomi tego Isaac, Lin i Derkhan kontynuowali swą wędrówkę, gdy skrzydlata istota nawróciła i z wielką prędkością skierowała się ku granicom miasta.

*

Na niebie ukazały się gwiazdy. Isaac zaczął szeptać słowa pożegnania z Kogutem i Zegarem, ze Żmijową Norą, z Ketch Heath i wszystkimi przyjaciółmi.

Wciąż jeszcze było ciepło, kiedy uparcie prąc na południe wzdłuż linii kolejowej, dotarli na rozległe równiny przemysłowych dzielnic miasta. Tu chwasty z zapomnianych dziedzińców wymykały się na chodniki, by prowokować gniew i przekleństwa potykających się nocą wędrowców. Isaac i Derkhan prowadzili Lin ostrożnie przez obrzeża Echomire i Kelltree, wciąż na południe, ku rzece.

Wielka Smoła lśniła urokliwie w blasku neonów i latarni gazowych. Drgające plamy światła skutecznie maskowały unoszące się na powierzchni zanieczyszczenia. Na tle nieba widać było w dokach wysokie sylwetki okrętów o ciężkich, zwiniętych ciasno żaglach, parowców rozlewających po rzece smar maszynowy mieniący się wszystkimi kolorami tęczy, jednostek handlowych ciągniętych wzdłuż kei przez bydłota leniwie żujące uzdy, pływających fabryk najeżonych dźwigami i młotami parowymi; słowem statków, dla których Nowe Crobuzon było tylko jednym z przystanków w niekończącej się podróży.

W Cymek nazywamy małe satelity księżyca „moskitami”. Tu, w Nowym Crobuzon, mówi się na nie „córki księżyca”.

Pokój jest teraz pełen światła księżyca i jego córek; nie ma w nim nic więcej.

Stoję tu od długiego czasu, trzymając w dłoni list od Isaaca.

Za chwilę przeczytam go jeszcze raz.

Już na schodach słyszałem pustkę tego starego domu. Echo rozchodziło się przez stanowczo zbyt długi czas. Zanim jeszcze dotknąłem drzwi, wiedziałem, że poddasze jest opuszczone.

Nie było mnie przez wiele godzin. Szukałem fałszywej wolności lub choćby jej pozorów.

Włóczyłem się po pięknych ogrodach Sobek Croix, mijając brzęczące chmury owadów i sztuczne jeziora pełne przekarmionego ptactwa. Znalazłem ruiny klasztoru, niepozorną skorupę prezentującą się dumnie w samym sercu parku. Romantyczni wandalcy wyryli imiona swych ukochanych na starożytnych kamieniach tej martwej budowli. Kaplica, która tu stała, została porzucona na tysiąc lat przed założeniem Nowego Crobuzon. Bóg, któremu była poświęcona, już dawno nie żyje.

Niektórzy ludzie przychodzą tu nocą, żeby oddawać cześć duchowi martwego boga. Cóż za niepewna, rozpaczliwa teologia.

Odwiedziłem dziś Howl Barrow. Widziałem Lichford. Stałem przed szarym murem w Barrackham, przed rozkładającą się skórą martwej fabryki. Czytałem graffiti.

Byłem głupi. Ryzykowałem. Nie trzymałem się bezpiecznej kryjówki.

Ta mała dawka wolności sprawiła, że czułem się jak pijany, pragnąłem więcej.

W końcu jednak wróciłem nocą na to puste, zapomniane poddasze, by dowiedzieć się o brutalnej zdradzie Isaaca.

Cóż za nadużycie zaufania, cóż za okrucieństwo.

Otwieram list jeszcze raz (ignorując żalosne wymysły Derkhan, podobne do drobin cukru na porcji trucizny). Słowa zdają się pełzać od niewiarygodnego napięcia, które się w nich zawiera. Wyobrażam sobie Isaaca, jak pisze to wszystko z wysiłkiem. Jego chłodną logikę. Gniew, szczere oburzenie. Obiektywizm. I jeszcze odrobinę dziwnego braterstwa; coś na kształt wstydliwych przeprosin.

„...miałem dziś gościa...” czytam, i „...w zaistniałych okolicznościach...”

„W zaistniałych okolicznościach”, W zaistniałych okolicznościach ucieknę od ciebie. Zmienię zdanie i zacznę cię osądzać. Zostawię cię z twoją hańbą. Nagle rozpoznam twoje prawdziwe wnętrze i odejdę, nie udzielając ci pomocy.

„...nie będę pytać:»Jak mogłeś?«...” Czytam to i czuję się nagle słaby, naprawdę słaby, nie tak, jakbym miał zaraz stracić przytomność czy zwymiotować, ale tak, jakbym miał umrzeć.

Chce mi się krzyczeć.

Chce mi się wrzeszczeć. Nie mogę przestać i nie chcę przestać; wołam i wołam, a mój głos jest coraz potężniejszy. Przypomina mi bitewne zawołanie; widzę oczami

wyobraźni moje plemię ruszające na łowy lub na wojnę. Wspominam żałobne zawodzenie i jęki egzorcyzmów, ale to nie to samo, to jest mój ból, nie uporządkowany, niekulturalny, nie uregulowany, niedozwolony, mój własny – mój ból, moja samotność, mój żal, moja wina.

Powiedziała mi „nie”, bo Sazhin poprosił o nią tego lata. To był jego rok zbiorów, więc się zgodziła; chciała oddać się tylko jemu, w prezencie.

Powiedziała, że jestem nieuczciwy, że powinienem natychmiast zostawić ją w spokoju, uszanować ją, okazać respekt i odejść.

To było obrzydliwe, wymuszone połączenie. Byłem tylko nieznacznie silniejszy od niej. Minęło sporo czasu, zanim zmusiłem ją do uległości. Drapała mnie i gryzła bez przerwy, mocno mnie poraniła. Ale ja nie ustępowałem.

Narastała we mnie wściekłość, napędzana żądzą i zazdrością. Pobiłem ją i wszedłem w nią kiedy była nieprzytomna.

Jej gniew był niezwykle, imponujący. Pobudził mnie do tego, co zrobiłem.

Od tamtego dnia noszę na sobie piętno hańby. Bardzo szybko poczułem, jak bardzo żałuję tego, co się stało. Oglądali mnie potem, jakby chcieli usunąć mi skrzydła.

Postanowili jednomyślnie. Nie sprzeciwiałem się faktom (myśl taka pojawiła się w mojej głowie tylko na krótką chwilę i natychmiast poczułem, że chce mi się wymiotować pogardą dla samego siebie).

Wyrok nie podlegał żadnej dyskusji.

Wiedziałem, że podjęli słuszną decyzję. Możliwe, że okazałem nawet odrobinę godności, kiedy szedłem między tymi, których wyznaczono do wykonania kary. Poruszałem się wolno, jakby spoczął na mnie niestychanie ciężki balast, który nie pozwalał mi latać, myśleć o ucieczce, ale jednak szedłem – nie zatrzymując się i o nic nie pytając.

Siły opuściły mnie dopiero pod koniec, kiedy zobaczyłem kołki, którymi mieli przytwierdzić mnie do spieczonej słońcem ziemi.

Przez ostatnich dwadzieścia stóp musieli mnie ciągnąć wyschniętym korytem Rzeki Duchów. Wrywałem się przy każdym kroku. Błagałem o litość, na którą nie zasłużyłem. Byliśmy o pół mili od naszego obozu i jestem pewien, że słyszeli tam każdy mój krzyk.

Rozciągnęli mnie krzyżem na ziemi, brzuchem do gorącego piasku, w pełnym słońcu. Szarpałem więzy tak długo, aż zdrętwiały mi ręce i nogi.

Pięciu z każdej strony trzymało moje skrzydła. Trzymali mocno, a ja próbowałem bić nimi ze wszystkich sił, roztrzaskać nimi czaszki tych, którzy wykonywali wyrok. Zadarłem głowę i zobaczyłem tego, który miał piłować. To był San jhuarr, mój czerwonopióry kuzyn.

Pył, piach i upał, a także gorący wiatr szalejący w pustym korycie rzeki. Pamiętam to wszystko.

Pamiętam też dotyk metalu. I to niezwykle wrażenie naruszenia, gdy zębate ostrze wchodziło w moje ciało i wysuwało się z chrzęstem. Wiele razy zapychało się moim mięsem; musieli wyciągać je i wycierać do czysta. Pamiętam zapierający dech w piersiach napór gorącego powietrza na nagą tkankę i końcówki nerwów oderwanych od korzeni. I ten powolny, powolny, bezlitosny trzask rozcinanej kości. Pamiętam, że wymiociny stłumiły mój krzyk, a kiedy moje usta oczyściły się, znowu krzyczałem. Pamiętam niewiarygodną ilość krwi. I to nagłe, oszałamiające wrażenie nieważkości, kiedy wreszcie odjęto mi jedno skrzydło i poczułem drżenie kostnego kikuta, który wsunął się w głąb poszarpanych mięśni, otoczonych strzępami skóry. Pamiętam też potworny ciężar czystej szmaty i maści, a także powolny krok San

jhuarra, który obchodził mnie dookoła, i tę świadomość, nieznośną świadomość, że za chwilę wszystko to zacznie się od nowa.

Nigdy nie podawałem w wątpliwość tego, że zasługuję na ten wyrok. Nawet wtedy, gdy uciekłem, by szukać szansy na odzyskanie utraconej zdolności latania. Czułem podwójny wstyd. Okaleczony i odarty z szacunku przez odrażającą kradzież wyboru, sam sobie dałem jeszcze jeden przyczynek do hańby: postanowiłem odwrócić skutki sprawiedliwej kary.

Nie mogłem żyć. Nie mogłem pozostać uwiązany do ziemi na zawsze. Byłem martwy.

Chowam list Isaaca za moją podartą kapotę, nie czytając nawet jego żałosnego, bezlitosnego pożegnania. Nie jestem pewien, czy gardzę tym człowiekiem. Nie jestem pewien, czy na jego miejscu postąpiłbym inaczej.

Wychodzę z domu.

O kilka ulic dalej, w Saltbur, nad wschodnią częścią miasta góruje piętnastopiętrowy wieżowiec. Drzwi frontowe nie są w nim zamykane. Łatwo też przedostać się na jego płaski dach, przez klapę, która powinna być zaryglowana. Wiem o tym, bo wspinałem się tam już nie raz.

Spacer nie trwa długo. Czuję się tak, jakbym lunatykował. Ludzie gapią się na mnie, kiedy mijam ich obojętnie. Nie zarzuciłem kaptura na głowę. Teraz to i tak nie ma żadnego znaczenia.

Nikt mnie nie zatrzymuje, kiedy idę schodami w górę. Tylko na dwóch piętrach drzwi uchylają się nieznacznie i wiem, że obserwują mnie czyjeś oczy ukryte w ciemności. Nikt jednak nie staje mi na drodze i po kilku minutach jestem już na dachu.

Sto pięćdziesiąt stóp nad ziemią, a może i więcej. W Nowym Crobuzon nie brakuje wyższych budowli, ale ta jest wystarczająco strzelista, bym poczuł się na niej jak na wierzchołku ceglano-betonowej skały wyrastającej ze środka oceanu.

Mijam kupki śmieci i czarne ślady po ogniskach; pamiątki po nieproszonych gościach i nielegalnych mieszkańcach. Tej nocy jestem tu sam.

Ceglany mur, który otacza przestrzeń dachu, ma pięć stóp wysokości. Opieram się o jego krawędź i rozglądam się na wszystkie strony.

Wiem, co widzę.

Umiem dokładnie określić swoje położenie.

Oto fragment Szklarni, smuga brudnego światła widoczna między dwiema wieżami gazowni. Zakrzywione Żebra są oddalone ledwie o milę od tego wieżowca; linie kolejowe i krępe domy są przy nich takie niepozorne. Miasto usiane jest ciemnymi plamami – to kępy drzew. I te światła, wszędzie światła w najróżniejszych barwach.

Z łatwością wskakuję na mur i staję.

Teraz jestem na szczycie Nowego Crobuzon.

To taki niezwykły organizm. Gigantyczne bagno, w którym można znaleźć wszystko. I oto rozciąga się u moich stóp.

Widzę rzeki. Egzema jest nie dalej niż sześć minut lotu stąd. Rozkładam ramiona.

Wicher spieszy mi na spotkanie; uderza z radością. Czuję, że nocne powietrze tętni życiem.

Zamykam oczy.

Z wielką dokładnością potrafię wyobrazić sobie lot. Trzeba odbić się mocno nogami i chwycić powietrze rozpostartymi skrzydłami, a potem wiosłować nimi uparcie, by nie dać się ściągnąć ku ziemi. Trafić na dobry prąd powietrzny, gdzie

pióra mogą odpocząć, rozłożyć się szeroko i dryfować. Poszybować wysoko, spiralnym kursem, ponad cały ten gigantyczny twór, który jest pode mną. Z powietrza miasto wygląda inaczej. Ukryte ogrody stają się źródłem rozkoszy. Wspomnienie ciemnych cegieł można strząsnąć z siebie jak błoto. Każdy budynek staje się orlim gniazdem. Można zapomnieć o szacunku dla miasta – wolno lądować i startować wedle życzenia, a potem spaskudzić się w locie.

Z powietrza, z lotu ptaka, spod niebios rząd i milicja są ledwie żalonymi termitami. Dzielnice nędzy są tylko plamami, które mija się w mgnieniu oka. Upadek, który dokonuje się w cieniu wspaniałej architektury, jest nie moją sprawą.

Czuję, że wiatr rozsuwa moje palce. Siłuje się ze mną, zaprasza. Czuję swędzenie na plecach, gdy kikuty kości skrzydeł rozsuwają się odruchowo.

Już nigdy tego nie doświadczę. Nie będę już kaleką, ptakiem uwiązany do ziemi.

Mam nadzieję, że to już koniec tego półzycia.

Tak wspaniale umiem sobie wyobrazić ostatni lot; płynne, eleganckie zwroty w przestworzach, które otwierają się przede mną na powitanie jak dawno utracona kochanka.

Niech mnie porwie wiatr.

Pochylam się, stojąc na murze, ponad dudniącym w dole miastem, jak najdalej w powietrze.

Czas stanął w miejscu. Dźwięki umilkły. Miasto i powietrze znieruchomiały.

Wolniutko unoszę ręce i przebiegam palcami po piórach na głowie. Rozgarniam je uparcie, czując lekki ból skóry. Wygładzam je bezlitośnie w przeciwnym kierunku, niż zwykły były rosnać. Otwieram oczy. Zaciskam palce i chwytam sztywne stosiny oraz dobrze natłuszczone włókna... Zaciskam dziób, żeby nie krzyknąć, i zaczynam wrywać.

Minęły długie godziny i teraz w najgłębszej nocy postanawiam zejść schodami w dół i powrócić na ulice.

Samotny powóz stukocze po bruku i znika; zapada głęboka cisza. Z przeciwnej strony ulicy, spod kłosa ulicznej latarni rozlewa się beżowy blask gazowego płomienia.

Czeka na mnie ciemna postać. Mężczyzna robi krok i staje w plamie światła. Tylko jego twarz wciąż pozostaje w cieniu. Przez ułamek sekundy myślę o wszystkich moich wrogach i zastanawiam się, który z nich przysłał tu tego człowieka. A potem dostrzegam wielkie, poruszające się szczytce modliszki, którymi mnie wita.

Stwierdzam ze zdziwieniem, że nie jestem zaskoczony.

Jack Pół-Pacierza znowu wyciąga przed siebie prze-twórzony ramię. Przywołuje mnie powolnym, dostojnym ruchem.

Zaprasza mnie. Do swojego miasta.

Ja także robię krok naprzód i wyłaniam się z cienia.

Widzi mnie, ale nie zdradza oznak niepokoju czy zdziwienia.

A ja przecież wiem, jak wyglądam.

Moja twarz jest teraz masą surowego, poszarpanego mięsa. Krwawi mozolnie setkami drobnych otworów, w których jeszcze niedawno tkwiły pióra. Małe kępki puchu, które przeoczyłem, drażnią ciało jak kilkudniowy zarost. Moje oczy są otoczone nagą, różową, poranioną skórą, pokrytą guzkami i odrażającą. Strużki krwi spływają w dół po mojej szpetnej czaszce.

Stopy znowu duszą się w ciasno zwiniętych szmatach, skutecznie maskujących ich potworny kształt. Nie ma już piór, których warstwa płynnie zmieniała się w łuski na nogach. Stąpam ostrożnie, z kroczem równie wyskubanym i obolałym jak głowa.

*Próbowałem odłamać sobie dziób, ale nie dałem rady.
Stoję w moim nowym ciele przed wysokim budynkiem.
Pół-Pacierza waha się, ale niedługo. Znowu przyzywa mnie ruchem ręki.
To hojny gest, ale muszę odmówić.*

Oferuje mi życie w pół-świecie. Proponuje udział w żalósnej egzystencji na marginesie. W mętnych krucjatach i anarchistycznym dziele zemsty. W pogardzie dla zasad.

Uciekinier, Przywódca Wolnych Prze-tworzonych... Nikt. On tu nie pasuje. Zmienił oblicze miasta, a teraz musi go bronić, by samo siebie nie pożarło.

Widzi przed sobą innego złamanego życiem odszczepieńca, kandydata do udziału w jego niezwykłej krucjacie; istotę, której egzystencja w tym świecie nie jest możliwa; żywy paradoks – ptaka, który nie może latać. Proponuje mi wyjście – miejsce w swej antyspołeczności, na marginesie, w swym skundlonym mieście. W świecie przemocy i honoru, z którego atakuje.

Jest hojny, lecz odmawiam. Nie tak wygląda moje miasto. To nie moja walka.

Muszę opuścić jego pół-świat, jego kącik niezrozumiałego oporu. Ja żyję w mniej skomplikowanych realiach.

A on się myli.

Bo nie jestem już garudą zmuszonym do życia na ziemi. Tamten Yagharek już nie żyje. To jest nowe życie. Nie jestem już odszczepieńcem, przegranym „ani-ani”.

Wyrwałem z ciała pióra, które mogły mylić. Teraz moja skóra jest gładka i jeśli nie liczyć pozostałości ptasiej fizjonomii, nie różnią się niczym od moich współobywateli. Mogą żyć pełną gębą w otwartym świecie.

Zdecydowanym gestem dziękuję mu i żegnam go, a potem odwracam się i wstępuję w strumień mętnego światła latarni ulicznych wiodący mnie na wschód, ku kampusowi uniwersyteckiemu i stacji Ludmead. Idę przez świat cegieł, zaprawy murarskiej i smoły, przez bazyliki i rynki, środkiem ulic zalanych siarkowym blaskiem. Jest noc i muszę spieszyć się do łóżka; muszę znaleźć sobie łóżko w moim mieście, w którym nareszcie mogę normalnie żyć.

Odwracam się i wkraczam na rozległe terytorium Nowego Crobuzon, napędzanego parą nienasyconego bóstwa, potężnego zlepku architektury i historii, kombinacji pieniędzy i biedy. Odwracam się i wkraczam do miasta, które jest moim domem – ale nie jako ptak czy garuda, nie jako żalósny mieszaniec.

Odwracam się i jako człowiek wkraczam do miasta, które jest moim domem.

notes

** Autor używa słowa „chymical”, pochodzącego od łacińskiego „chymus” i greckiego „chymos” [sok]. Angielskie „chyme” oznacza dziś treść żołądkową. Neologizm „chymiczny” jest uzasadniony, w książce bowiem występują istoty używające wydzielin organizmu do celów budowlanych i artystycznych. Jednocześnie słowo to budzi celowe skojarzenie z chemią (przyp. tłum.).*

